

etc.

JAMES CLAVELL

SHOGUN

TOM I

*Dwóm kapitanom Królewskiej Marynarki żeglarzom
którzy, jak tego po nich oczekiwano,
bardziej kochali statki niż kobiety.*

etc.

JAMES CLAVELL

SHOGUN

TOM I

Dwóm kapitanom Królewskiej Marynarki żeglarzom

którzy, jak tego po nich oczekiwano,

bardziej kochali statki niż kobiety.

PROLOG

Wichura targnęła nim, ukąsiła głęboko i zrozumiał, że jeżeli w ciągu trzech dni nie dotrą do jakiegoś lądu, zginą. Za dużo ludzi zmarło podczas tej wyprawy, jestem pilotem floty i umarłych, pomyślał. Z pięciu statków zachował się jeden, z liczącej stu siedmiu marynarzy załogi przeżyło dwudziestu ośmiu, z czego na nogach trzymało się dziesięciu, reszta zaś, w tym dowódca wyprawy, dogorywała. Brakowało jedzenia, prawie nie było wody, a ta, która pozostała, miała słony smak i cuchnęła.

Nazywał się John Blackthorne i przebywał na pokładzie sam, jeśli nie liczyć obserwatora na dziobniku, niemowy Salamona, który kulił się po zawietrznej, przeszukując wzrokiem morze w przodzie.

Statek zakołysał się pod nagłym uderzeniem szkwału i Blackthorne chwycił się poręczy żeglarskiego krzesła, przymocowanego przy kole sterowym na rufówce, trzymając się jej dopóty, dopóki Erasmus nie wyprostował się przy akompaniamencie trzeszczących wręg. Był

dwudziestosześcioletnim trzymasztowym okrętem handlowo-wojennym z Rotterdamu, uzbrojonym w dwadzieścia dział, jedynym, który ocalał z pierwszej ekspedycji wysłanej z Niderlandów, aby zniszczyła wrogów w Nowym Świecie. Ekspedycji holenderskich statków, które jako pierwsze naruszyły tajemnicę Cieśniny Magelana. Liczyła ona czterystu dziewięćdziesięciu sześciu ludzi, samych ochotników. I samych Holendrów, z wyjątkiem trzech Anglików - dwóch pilotów i jednego oficera. Mieli rozkazy: splądrować i puścić z dymem hiszpańskie i portugalskie posiadłości w Nowym Świecie, uzyskać trwałe koncesje handlowe, odkryć i ogłosić własnością Holandii nowe wyspy na Oceanie Spokojnym, mogące posłużyć za bazy, a na koniec w ciągu trzech lat powrócić do kraju.

Od ponad czterech dziesiątków lat protestanckie Niderlandy toczyły wojnę z katolicką Hiszpanią, walcząc o zrzucenie z siebie jarzma znienawidzonych hiszpańskich władców. Niderlandy, zwane niekiedy Holandią, Flandrią bądź Krajami Nizinnymi, prawnie nadal należały do imperium hiszpańskiego. Ich jedyny sprzymierzeniec, Anglia, pierwszy kraj w chrześcijaństwie, który zerwał z dworem papieskim w Rzymie i przed siedemdziesięcioma laty stał się protestancki, od dwudziestu lat również wojowała z Hiszpanią, a od dziesięciu otwarcie sprzyjała Holendrom.

Wiatr jeszcze bardziej przybrał na sile i statek przechylił się. Płynął z prawie nagimi masztami, mając postawione jedynie sztormowe marsie. Ale mimo to burza i prąd morski pchały go w stronę ciemniejszego horyzontu.

I tam również jest burza, orzekł Blackthorne, też są rafy, też są mielizny. I nieznane morze.

To dobrze. Całe swoje życie walczyłem z morzem i zawsze wygrywałem. Zawsze wygram.

Jestem pierwszym angielskim pilotem, który przebył Cieśninę Magelana. Tak jest, pierwszym. . a także pierwszym, który żeglował przez te azjatyckie wody, jeśli nie liczyć garstki portugalskich wyrodków i hiszpańskich bękartów, przekonanych, że to oni władają światem. Jestem pierwszym Anglikiem na tych morzach. .

Tyle pionierskich, osiągnąć. Tak. Okupionych tyłoma zgonami.

Jeszcze raz zbadał wiatr i powąchał go, nic jednak nie wskazywało na bliskość lądu.

Przeszukał wzrokiem ocean, ale był jednostajnie szary i wzburzony. Ani śladu wodorostów czy odbarwienia wody wskazującego na piaszczysty szelf. Daleko po prawej burcie dojrzał jeszcze jedną sterzącą z wody rafę, nie powiedziało mu to jednak nic. Podwodne skały wystające z morza zagrażały im już od miesiąca, lądu wszakże nie dostrzegli. Ten ocean jest bezkresny, pomyślał. To dobrze. Do tego cię właśnie szkolono - żebyś żeglował po nieznanym morzach, sporządzał ich mapy i wracał do kraju. Jak daleko stąd do niego w czasie? Rok, jedenaście miesięcy i dwa dni. Sto trzydzieści trzy dni temu ostatnie zejście na ląd, a potem skroś ocean zwany Pacyfikiem, przez który lat temu osiemdziesiąt płynął Magelan.

Blackthorne był wygłodzony, a usta i ciało miał obolałe od szkorbutu. Zmusił się, żeby sprawdzić wzrokiem kurs na kompasie i obliczyć w głowie przybliżoną pozycję statku. Wpisanie kursu do rutynowego podręcznego przewodnika żeglarskiego - zapewniało mu bezpieczeństwo w tym punkciku oceanu. A jeżeli jemu, to tym samym statkowi, wspólnie zaś mogli odnaleźć Japonię, a może nawet chrześcijańskiego króla Jana Prezbitera i jego Złote Cesarstwo, które według legendy leżało na północ od Kataju, gdziekolwiek ów Kataj się znajdował.

A dzięki przypadającej mi części tych bogactw poześluję znowu, na zachód, do kraju, pomyślał, jako pierwszy angielski pilot, który opłynął świat, i już nigdy go nie opuszczę. Nigdy. Na głowę mojego syna!

Poryw ostrego wiatru przerwał mu rozmyślenia i rozbudził. Zasnąć w tej chwili byłoby głupotą.

Nigdy by się nie ocknął z tego snu. Przeciągnął się, żeby rozluźnić zdrętwiałe mięśnie pleców, i ciaśniej owinął się płaszczem. Zobaczył, że żagle są w porządku, a ster zabezpieczony. Obserwator na dziobie czuwał. Blackthorne usadowił się więc cierpliwie w żeglarskim krześle i pomodlił o bliskość lądu.

- Zejdź pod pokład pilocie. Jeżeli chcesz, to przejmę od ciebie tę wachtę - powiedział trzeci oficer pokładowy, Hendrik Specz, mozolnie wchodząc po schodni. Twarz miał szarą ze zmęczenia, oczy zapuchnięte, a cerę krostowatą i ziemistą. Żeby utrzymać równowagę, oparł się o podstawę kompasu i chwilę wymiotował. - Błogosławiony Panie Jezu, niechaj przeklęty będzie dzień, w którym opuściłem Holandię.

- Gdzie starszy oficer, Hendriku?

- W koi. Nie może wstać ze swojej scheit voll koi. I nie wstanie. . nie po tej połowie Sądnego Dnia.

- A dowódca wyprawy?

- Jęczy o jedzenie i wodę. - Hendrik splunął. - Mówię na to, że usmażę mu kapłona i przyniosę go na srebrnej tacy z flaszką brandy do popicia. Scheit-huis! Coot!

- Nie przeklinaj!

- Dobrze, pilocie. Ale to kapryśny kretyn i przez niego zginiemy! - Młody oficer zwymiotował i splunął pstrokatą flegmą. - Błogosławiony Panie Jezu, pomóż mi!

- Zejdź pod pokład. Wróć o świcie.

Hendrik z wielkim trudem usiadł na drugim krześle żeglarskim.

- Na dole cuchnie śmiercią. Jeżeli chcesz, to przejmę od ciebie wachtę. Jaki kurs?

- Tam, dokąd niesie nas wiatr.

- Gdzie to twoje obiecane lądowanie? Gdzie ta Japonia. . gdzie ona, pytam?

- Przed nami.

- Stale przed nami! Gottimhimmel, nie mieliśmy rozkazów płynąć w nieznane. Do tej pory powinniśmy już być w domu, bezpieczni, z pełnymi brzuchami, a nie gonić za Bóg wie czym. - Zejdź na dół albo milcz.

Hendrik odwrócił przygnębiony wzrok od wysokiego, brodatego mężczyzny. Chciał zapytać:

„Gdzie jesteśmy? Dlaczego nie mogę zobaczyć tej sekretnej ruty?” Wiedział jednak, że pilotowi nie zadaje się podobnych pytań, a zwłaszcza pilotowi takiemu jak ten. Ale i tak chciałbym być równie zdrowy i silny, co przy wyjeździe z Holandii, pomyślał. Bo wtedy bym się nie wahał. Z miejsca palnąłbym cię w te szaroniebieskie oczy, zdjął ci z twarzy ten drażniący półuśmiech i posłał cię do piekła, na które zasługujesz. A wtedy ja zostałbym kapitanem i tym statkiem dowodziłby nie cudzoziemiec, ale Holender, i wszystkie twoje tajemnice zachowałibyśmy dla siebie. Bo przecież niedługo zaczniemy z wami, Anglikami, wojnę. Pragniemy tego samego: panowania na morzach, zawiadywania wszystkimi szlakami handlowymi, podbicia Nowego Świata i zduszenia Hiszpanii.

- Może Japoni wcale nie ma - wymruczał zniechęcony. - To Gottbewonden, legenda.

- Jest. Pomiędzy trzydziestym a czterdziestym stopniem szerokości północnej. A teraz przestań gadać albo zejdź pod pokład.

- Pod pokładem jest śmierć, pilocie - mruknął Hendrik, zapatrzył się przed siebie i zamyślił.

Blackthorne poprawił się w krześle, był dziś bardziej obolały. Mam więcej szczęścia od innych, pomyślał, więcej od Hendrika. Nie, nie więcej. Więcej przezorności. Kiedy inni pomimo moich ostrzeżeń niefrasobliwie zjedli swoje owoce, ja swoje zachowałem. Tak więc mój skorbut jest nadal dość łagodny, oni zaś cierpią na nieustanne krwotoki, trzewia rozrywa im biegunka, oczy mają podrażnione i kaprawe, a zęby ruszają im się albo już wypadły. Dlaczego ludzie nigdy niczego się nie Uczą?

Wiedział, że wszyscy się go boją, nawet dowódca Wyprawy, i że większość go nienawidzi. Było to

wszakże normalne, ponieważ to pilot dowodził na morzu. To on ustalał kurs i kierował statkiem, to on doprowadzał go z portu do portu.

W dzisiejszych czasach każda wyprawa była niebezpieczna, gdyż te nieliczne mapy morskie, które istniały, były tak niedokładne, że nie na wiele się zdały. Nie było też żadnego sposobu na ustalanie długości geograficznej.

- Odkryj, jak ustalić długość geograficzną, a zostaniesz najbogatszym człowiekiem na świecie

- rzekł mu kiedyś jego stary nauczyciel Alban Caradoc. - Za rozwiązanie tej zagadki nasza królowa, niech ją Bóg błogosławi, da ci dziesięć tysięcy funtów i książęcy tytuł. Ci portugalscy gównożercy dadzą ci więcej - złoty galeon! A te hiszpańskie wyrodky dadzą ci dwadzieścia! Kiedy tracisz z oczu ląd, wtedy już po tobie, chłopcze. - Caradoc urywał i jak zwykle ze smutkiem pokręcił głową. - Już po tobie. Chyba że. .

- Chyba że mam rutę! - wykrzyknął ochoczo Blackthorne wiedząc, że dobrze wyuczył się lekcji. Miał wtedy trzynaście lat i już od roku terminował u Albana Caradoca, pilota i skutnika, który zastąpił mu utraconego ojca i który nigdy go nie bił, tylko uczył go oraz innych chłopców budowy okrętów oraz odkrywał przed nimi tajemnice morza.

Ruta była małą książeczką, zawierającą szczegółowe zapiski pilota na temat miejsc, w których był. Odnotowywano w niej magnetyczne kursy kompasowe pomiędzy portami i przylądkami, półwyspami i kanałami, pomiary głębokości, kolor wody, rodzaj dna morskiego, a także opisywano, jak dotrzeć gdzieś i jak stamtąd wrócić. Ile dni płynąć określonym halsiem, jakie są wiatry, kiedy i skąd wieją, jakich prądów się spodziewać, i z którego kierunku. Ruta określała porę sztormów i porę sprzyjających wiatrów, gdzie reperować statek i gdzie zaopatrywać się w wodę, gdzie są przyjaciele, a gdzie wrogowie, gdzie mielizny, rafy, pływy, bezpieczne zatoki. Słowem wszystko, co potrzebne jest do udanej podróży.

Anglicy, Holendrzy i Francuzi mieli ruty swoich własnych wód, ale po wodach reszty świata żeglowali wyłącznie kapitanowie z Portugalii i Hiszpanii, kraje te zaś trzymały wszystkie ruty w tajemnicy. Ruty te ujawniały morskie szlaki do Nowego Świata i tajemnice Cieśniny Magelana oraz Przylądka Dobrej Nadziei - obu tras odkrytych przez Portugalczyków - dlatego też oni i Hiszpanie strzegli sekretów morskich tras do Azji niczym skarbów narodowych, ich holenderscy i angielscy wrogowie zaś polowali na nie z równą zaciekleścią.

Ale ruta była tylko tyle warta co pilot, który ją sporządził, skryba, który ją ręcznie skopiował, jeden z bardzo nielicznych drukarzy, który ją wydrukował, i uczonec, który ją przełożył.

Dlatego też ruta mogła zawierać błędy. Nawet umyślne. Pilot nigdy niczego nie wiedział na pewno, dopóki sam nie znalazł się w określonym miejscu. Przynajmniej raz.

Na morzu był on dowódcą, jedynym przewodnikiem i ostateczną instancją dla statku i załogi.

Sam jeden dowodził z rufówki.

To wino, które uderza do głowy, orzekł w duchu Blackthorne. Raz go człowiek skosztuje, nigdy nie zapomni, zawsze będzie go poszukiwał i zawsze będzie mu ono niezbędne. To jedna z tych rzeczy, które utrzymują cię przy życiu w warunkach, w których inni giną.

Wstał i wypróżnił pęcherz do splywnika. W klepsydrze przy kompasie przesypał się piasek, odwrócił więc ją i zadzwonił w okrętowy dzwon.

- Nie zaśniesz, Hendrik? - spytał.

- Nie. Myślę, że nie.

- Przyślę kogoś, żeby zmienił obserwatora na dziobie. Dopilnuj, żeby stał na wietrze, a nie po zawietrznej. Dzięki temu zachowa czujność i nie zaśnie.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien ustawić statek pod wiatr i dryfować przez noc, postanowił jednak, że tego nie robi, zszedł po zejściówce i otworzył drzwi forkaasztelu. Zejściówka prowadziła do pomieszczenia dla załogi. W kabinie tej, mającej szerokość statku, było miejsce na koje i hamaki dla stu dwudziestu marynarzy. Pomimo nieustannego smrodu, bijącego z zęb w dole, odczuł przyjemność, gdy spowiło go panujące tu ciepło. Nikt z około dwudziestu ludzi nie ruszył się z koi.

- Na górę, Maetsukker - powiedział w języku holenderskim, wspólnym dla Krajów Nizinnych, którym władał tak samo dobrze, jak portugalskim, hiszpańskim i łaciną.

- Ja ledwo żyję - odparł niski, drobny mężczyzna o ostrych rysach, wciskając się głębiej w koję. - Jestem chory. Popatrz, przez skorbut straciłem wszystkie zęby. Chryste, dopomóż nam, wszyscy zginiemy! Gdyby nie ty, pilocie, to w tej chwili wszyscy bylibyśmy już w domu, bezpieczni!

Jestem kupcem. Nie jestem marynarzem. Nie należę do załogi. . Weź kogoś innego. Tam jest Johann. .

Krzyknął, bo Blackthorne szarpnięciem wyciągnął go z koi i przycisnął do drzwi. Na jego ustach pojawiły się krwawe cętki i osłupiał. Brutalny kopniak w bok wyrwał go z odrętwienia.

- Zabieraj się na górę i pozostań tam, aż umrzesz albo zobaczysz ląd!

Maetsukker otworzył drzwi i umknął zmaltretowany. Blackthorne spojrział na pozostałych.

Wpatrywali się w niego.

- Jak się czujesz, Johann? - spytał.

- Nie najgorzej, pilocie. Może wyżyję.

Czterdziestotrzyletni Johann Vinck, starszy bosman, dowódca kanonierów, był najstarszy na pokładzie. Bezwłosy i bezzębny miał cerę barwy starego dębu i silny był też jak dąb. Sześć lat temu odbył z Blackthorne'em, nieudany rejs w poszukiwaniu Szlaku Północnego, znali więc nawzajem swoją wartość.

- W twoim Wieku mężczyźni na ogół już nie żyją, a więc wyprzedziłeś nas wszystkich - powiedział Blackthorne, który miał trzydzieści sześć lat.

Vinck uśmiechnął się niewesoło.

- To zasługa brandy, pilocie, zasługa brandy, chędożenia i świątobliwego życia, jakie wiodłem.

Nikt się nie roześmiał. Ktoś wskazał na koję.

- Pilocie - powiedział - bosman nie żyje.

- Więc zabierzcie zwłoki na górę! Obmyjcie go i zamknijcie mu oczy! Ty, ty i ty!

Tym razem wyznaczeni szybko wyszli z koi i razem, to niosąc, to ciągnąc, zabrali trupa z kabiny.

- Obejmiesz poranną wachtę, Vinck. A ty, Ginsel, będziesz obserwował z dziobu.

- Tak jest.

Blackthorne powrócił na pokład.

Zobaczył, że Hendrik nadal czuwa i że statek płynie jak trzeba. Salamon, obserwator zlurowany z posterunku, wyminął go potykając się, ledwie żywy, z oczami zapuchniętymi od ostrego wiatru. Blackthorne podszedł do drugich drzwi i zszedł pod pokład. Korytarz prowadził do wielkiej kabiny na rufie, gdzie mieściła się kwatery dowódcy wyprawy oraz magazyn. Na prawo znajdowała się jego własna kabina, a na lewo druga, należąca zwykle do trzech oficerów pokładowych. W tej chwili dzielili ją naczelnny kupiec Baccus van Nekk, trzeci oficer Hendrik i młodzik Croocq. Wszyscy byli bardzo chorzy.

Blackthorne wszedł do głównej kabiny. Na koi leżał na wpeł przytomny dowódca wyprawy, gubernator Paulus Spil bergen. Był niskim, rumianym mężczyzną, normalnie pokaźnej tuszy, lecz w tej chwili bardzo wychudł, a skóra zwisała mu w luźnych fałdach z wydatnego brzucha. Blackthorne wyjął z ukrytej szuflady flaszkę z wodą i pomógł mu się napić.

- Dziękuję - rzekł słabym głosem Spil bergen. - Gdzie jest ziemia. . gdzie ziemia?

- Przed nami - odparł Blackthorne, nie wierząc już w to dłużej, a potem odstawił flaszkę, zamknął uszy na jęki gubernatora i na nowo czując do niego nienawiść wyszedł.

Prawie dokładnie przed rokiem dotarli do Tierra del Fuego, kiedy wiatry sprzyjały im w podjęciu próby pokonania Cieśniny Magel ana. Ale dowódca wyprawy zarządził lądowanie, żeby poszukać złota i skarbów.

- Chryste Panie, niechże pan się przyjrzy temu brzegowi, gubernatorze. Na tym pustkowiu nie ma żadnych skarbów!

- Według legendy jest tu wiele złota, a ponadto możemy ogłosić ten łód własnością naszych prześwietnych Niderlandów.

- Przez pięćdziesiąt lat pełno tu było Hiszpanów.

- Być może. . być może jednak nie aż tak daleko na południu, naczelny pilocie.

- Tak daleko na południu pory roku są odwrócone. Maj, czerwiec, lipiec i sierpień to tutaj środek zimy. Według tej ruty arcyważne jest przepłynięcie przez tę cieśninę w odpowiednim czasie. . dlatego że za kilka tygodni zmieniają się wiatry i będziemy zmuszeni tu pozostać, zimować długie miesiące.

- Za ile tygodni, pilocie?

- Według tej ruty, za osiem. Ale pory roku nie zawsze zaczynają się w tym samym czasie. .

- W takim razie poszukamy przez dwa tygodnie. Zostanie nam mnóstwo czasu, a potem, jeśli będzie trzeba, udamy się na północ i złupimy jeszcze kilka miast, co, panowie?

- Powinniśmy to zrobić już, gubernatorze. Na Pacyfiku Hiszpanie mają bardzo mało okrętów.

A na tych wodach jest ich pełno i szukają nas. Moim zdaniem powinniśmy wyruszyć natychmiast.

Ale dowódca wyprawy nie zgodził się z nim i poddał sprawę pod głosowanie innych kapitanów nie będących pilotami - Anglika i trzech Holendrów - po czym przystąpił do bezowocnych wypadów na brzeg.

Tego roku wiatry odmieniły się wcześniej i musieli zimować w tamtych stronach, gdyż gubernator bał się popłynąć na północ ze względu na hiszpańskie flotyl e. Mogli ruszyć dalej dopiero po czterech miesiącach. Przez ten czas z głodu, chłodu i wskutek czerwonki zmarło stu pięćdziesięciu sześciu ludzi z ich flotyl i, wszyscy zaś jedli cieleńce skóry, którymi pokryte były liny.

Straszliwe sztormy w cieśninie rozproszyły ich statki. Jedyne Erasmus dotarł na wyznaczone miejsce spotkania u brzegów Chile. Czekali miesiąc na resztę, aż wreszcie, ponieważ zbliżyli się do nich Hiszpanie, podnieśli żagle i odpłynęli w nieznaną. Tajna ruta kończyła się na Chile.

Blackthorne wrócił korytarzem do swojej kabiny, otworzył zamek w drzwiach i zamknął je za sobą. Idąc przez małą, schludną kabinę do biurka, żeby przy nim usiąść, musiał się pochylić, bo jej belkowany strop był nisko. Otworzył kluczem szufladę i ostrożnie rozwinął ostatnie jabłko, które tak pieczołowicie przechowywał przez całą drogę z wyspy Santa Maria przy wybrzeżu Chile. Było obtłuczone i małe, a jego zgniły kawałek pokrywała pleśń. Blackthorne odciął ćwiartkę. W środku było kilka robaków. Zjadł je wszystkie, kierując się starą żeglarską legendą, że robaki w jabłku są tak samo dobre na skorbut jak sam owoc i że wtarte w dziaśła zapobiegają wypadaniu zębów. Ponieważ zęby bolały go, a dziaśła miał podrażnione i wrażliwe, zjadł jabłko powoli, a potem napił się wody z bukłaka po winie. Była słonawa. Na koniec zawinał resztę jabłka i zamknął je w szufladzie, na klucz.

Z cieni rzucanych przez wiszącą nad jego głową oliwną lampę wypadł szczur. Belki zatrzeszczały przyjemnie dla ucha. Na podłodze roiły się karaluchy.

Jestem zmęczony, pomyślał. Jestem taki zmęczony.

Zerknął na koję. Długi, wąski, słomiany siennik zapraszał.

Czuł się taki zmęczony.

Prześpij się godzinę, podszeptęła mu diabelska część jego natury. Choćby dziesięć minut, a będziesz rześki przez tydzień. Od kilku dni spałeś raptem parę godzin, i to przeważnie na pokładzie, w zimnie. Musisz się przespać. Przespać. Oni polegają na tobie. .

- Nie, pośpię jutro - rzekł na głos, a potem zmusił się do otworzenia kluczem marynarskiego kufra i wyjęcia ruty. Zobaczył z zadowoleniem, że ta druga, portugalska ruta jest bezpieczna i nietknięta. Wziął czyste gęsie pióro i zaczął pisać:

21 kwietnia 1600 roku. Godzina piąta. Pomroka. 133 dzień żeglugi od wyspy Santa Maria koło Chile, 32 stopień szerokości geograficznej północnej. Morze wciąż wzburzone, wiatr silny, statek otaklowany jak poprzednio. Kolor morza jednostajnie szarzielony, głębia. Nadal płyniemy pełnym wiatrem, kurs 270 stopni, skręcając na północ-północny zachód i posuwając się szybko, około dwóch lig na godzinę, każda po trzy mile.

Pół godziny temu w odległości półtorej mili na północny wschód-północ dostrzegliśmy duże rafy w kształcie trójkąta.

W nocy zmarło na szkorbut trzech członków załogi: żaglomistrz Joris, kanonier Reiss, drugi oficer de Haan. Powierzywszy ich dusze Bogu (dowódca wyprawy wciąż choruje) ciała ich wrzuciłem do morza nie zaszyte w płótno, gdyż nie miał kto go zszyć. Dzisiaj umarł bosman Rijckloff.

Nie mogę zmierzyć kąta nachylenia słońca, znowu z powodu chmur. Ale oceniam, że utrzymujemy się na kursie i że niedługo powinniśmy wylądować w Japonii. .

- Niedługo, ale za ile? - zadał pytanie wiszącej nad jego głową żeglarskiej lampie, która huśtała się wraz z kolebiącym się wzdłużnie statkiem. Jak sporządzić mapę? Musi być jakiś sposób, powtórzył, sobie w duchu po raz tysięczny. Jak ustalić długość geograficzną? Musi być jakaś metoda. Jak przechowywać warzywa, żeby pozostały świeże? Czym właściwie jest szkorbut? .

- Powiadają, że to fluksja biorąca się z morza, chłopcze - powiedział mu kiedyś Alban Caradoc. Był brzuchatym, serdecznym mężczyzną ze zmierzwioną siwą brodą., Ale czy można gotować te warzywa i przechowywać zupę z nich?

- Choruje się od niej. Nikt jeszcze nie znalazł sposobu na jej przechowywanie.

- Podobno wkrótce wypływa Francis Drake.

- Nic z tego. Nie popłyniesz, chłopcze.

- Mam prawie czternaście lat. Pozwoliłeś nająć się do niego Timowi i Wattowi, a on potrzebuje chłopaków uczących się na pilotów.
- Oni mają po szesnaście lat, a ty zaledwie trzynaście.
- Mówią, że spróbuje dopłynąć do Cieśniny Magelana, a potem w górę wybrzeża do niezbadanych ziem - do Kaliforny - żeby znaleźć Cieśninę Aniańską, która łączy Ocean Spokojny z Atlantykiem. A z Kaliforni aż do Nowej Fundlandii, stamtąd zaś wreszcie Północnym Szlakiem. .
- Domniemanym Północnym Szlakiem, chłopcze. Jeszcze nikt nie udowodnił prawdziwości tej legendy.
- On udowodni. Jest admirałem, a my będziemy pierwszym angielskim statkiem, który przepłynie przez Cieśninę Magelana, pierwszym na Oceanie Spokojnym, pierwszym. . taka okazja już mi się nie powtórzy.
- A właśnie, że powtórzy, on zaś nigdy nie odkryje sekretnego szlaku Magelana, chyba że ukradnie rutę albo schwyta portugalskiego pilota, żeby go przezeń przeprowadził. Ile razy mam ci powtarzać, że pilot musi być cierpliwy. Ucz się cierpliwości, chłopcze. Masz mnó..
- Proszę cię!
- Nie.
- Dlaczego?
- Ponieważ nie będzie go dwa, trzy lata, może więcej. Słabi i młodzi dostają najgorsze jedzenie i najmniej wody. A z pięciu jednostek, które z nim wypłyną, powróci tylko jego statek. Za nic nie przeżyłbyś tej wyprawy, chłopcze.
- Wobec tego zaciągnę się, ale tylko na jego statek. Jestem silny. Weźmie mnie!
- Posłuchaj, chłopcze, byłem z Drakiem na jego pięćdziesięcotonowej Judycie pod Sari Juan de Ulua, kiedy wraz z płynącym na Minion admirałem Hawkinsem przebiliśmy sobie drogę z zatoki przez tych hiszpańskich gównojadów. Sprzedawaliśmy na hiszpańskich Karaibach niewolników z Gwinei, ale bez pozwolenia Hiszpanów, którzy zwiedli Hawkinsa i schwytali naszą flotylę w pułapkę.
- Mieli trzynaście wielkich okrętów, a my sześć. Zatopiliśmy trzy ich jednostki, oni zaś nasze: Jaskółkę, Anioła, Karawelę i Jezusa z Lubeki. O tak, Drake wy dostał nas z tej pułapki i doprowadził do kraju. Z jedenastoma ludźmi na pokładzie, żeby o tym opowiedzieli. Hawkinsowi zostało piętnastu
- z czterystu ośmiu królewskich marynarzy! Drake jest bezwzględny. Zabiega o chwałę i pieniądze, ale jedynie dla siebie, a dowodem na to jest zbyt wielu marynarzy, którzy stracili życie.
- Ale ja nie zginę. Będę jednym z. .

Nie. Twój termin trwa dwanaście lat. Masz jeszcze dziesięć lat przed sobą, a potem będziesz wolny. Ale do tego czasu, do roku tysiąc pięćset osiemdziesiątego ósmego, naliczysz się, jak budować statki i dowodzić nimi. . . będziesz się słuchał Albana Caradoca, mistrza skutniczego, pilota i członka Trinity House, albo nigdy nie otrzymasz uprawnień. A bez tych uprawnień nigdy nie popilotujesz statku na angielskich wodach, nigdy i na żadnych wodach nie będziesz dowodził z mostka żadnego angielskiego okrętu, bo takie prawo ustanowił zacy król Henryś, wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie. Takie było prawo tej wielkiej dziewczki Mari Tudor, oby jej dusza smażyła się w piekle, i takie też jest prawo naszej królowej, oby władała wiecznie, prawo angielskie, najlepsze prawo morskie na świecie.

Blackthorne pamiętał, jak bardzo nienawidził za to swojego mistrza, jak nienawidził Trinity House, monopolistycznej korporacji założonej w 1514 roku przez Henryka VIII w celu szkolenia i przyznawania uprawnień wszystkim angielskim pilotom i kapitanom, jak nienawidził swojej dwunastoletniej ograniczonej wolności, bez której, o czym dobrze wiedział, nie zdobyłby jedynej rzeczy na świecie, której pragnął. Pamiętał również, jak jeszcze mocniej nienawidził Albana Caradoca, kiedy Drake, który zniknął przed trzema laty, cudownym zrzędzeniem losu powrócił na swoim stu tonowym słupie Złota Łania do Anglii, pierwszym angielskim statku, który opłynął świat, i przywiózł najbogatsze łupy, jakie kiedykolwiek przywieziono do kraju, niewiarygodne półtora miliona szterlingów w złocie, srebrze, przyprawach i naczyniach.

Jego nienawiści nie zmniejszyło to, że przepadły cztery z pięciu statków Drake'a, że życie straciło ośmiu na dziesięciu marynarzy, że zginęli Tim i Watt, że na Ocean Spokojny ekspedycję przeprowadził przez Cieśninę Magel ana nie Drake, ale pojmany portugalski pilot. To, że admirał powiesił jednego oficera, wyklął kapelana Fletchera i nie znalazł Północnego Szlaku, nie przeszkodziło powszechnemu uwielbieniu dla niego w kraju. Królowa wzięła połowę z przywiezionego przezeń skarbu i nadała Drake'owi szlachectwo. Szlachta i kupcy, którzy wyłożyli pieniądze na tę ekspedycję, otrzymali w zamian trzysta procent zysku i podjęli się sfinansowania następnej korsarskiej wyprawy. A wszyscy żeglarze błagali, żeby z nim popłynąć, bo rzeczywiście zdobył łupy, wrócił do ojczyzny, a garstce szczęśliwców, którzy przeżyli wyprawę, ich udział w zdobyczy zapewnił bogactwo do końca życia.

Ja na pewno bym przeżył, rzekł sobie w duchu Blackthorne. Na pewno. A wówczas mój udział w tych bogactwach wystarczyłby mi, żebym . . .

- Rotz vooruiii ii t! Przed nami rafy!

Z początku nie tyle usłyszał ten okrzyk, co go wyczuł. A potem ów przeciągły wrzask doleciał go ponownie, przemieszany z zawodzeniem wiatru.

Wyskoczył z kajuty i z walącym sercem i wyschniętym gardłem wbiegł po zejściówce na pokład. Zapadły już ciemności i lało, co go na moment ucieszyło, gdyż uświadomił sobie, że brezentowe zbiorniki na deszczówkę, przygotowane tyle tygodni temu, wkrótce przepełni woda.

Nastawił usta w stronę prawie pionowo siekącego deszczu i popróbował jego świeżego smaku, a potem odwrócił się plecami do nawałnicy.

Zobaczył, że Hendrik zamarł z przerażenia. Obserwator z przodu, Maetsukker, przycupnięty na dziobie, wykrzykiwał coś bez związku i pokazywał przed siebie. A Wtedy także Blackthorne spojrzął w tym kierunku.

Zaledwie dwieście jardów przed statkiem była rafa - wielkie czarne kleszcze skalne, w które tłukło zachłanne morze. Po prawej i lewej burcie ciągnęły się poprzerywane gdzieś smugi piany. Wichura porywała wielkie pokosy wody i ciskała je w nocny mrok. Na skrajniku dziobowym z trzaskiem pękł fał, a drzewce najwyższego bramsła uniósł wiatr. Maszt zadygotał w posadach, ale wytrzymał, morze zaś nieubłaganie popychało statek ku zagładzie.

- Wszyscy na pokład! - krzyknął Blackthorne i gwałtownie zadzwonił w okrętowy dzwon.

Jego dźwięk wyrwał Hendrika z odrętwienia.

- Jesteśmy zgubieni! - zawołał po holendersku. - O Jezu, dopomóż nam!

- Sprowadź na pokład załogę, draniu! Zasnąłeś! Obaj zasnęliście!

Blackthorne popchnął go w stronę zejściówki, chwycił koło sterowe, zsunął z jego drążków zabezpieczającą linę, zmobilizował się i mocno przekręcił je w lewo.

Wyteżył wszystkie siły, kiedy ster zderzył się z prądem. Cały statek zadrżał. A potem jego dziób zaczął się przesuwać coraz prędzej, bo nadleciał wiatr i znaleźli się bokiem do niego i fal.

Sztormowe topsle wydeły się, dzielnie starając się wytrzymać ciężar statku, a wszystkie liny zajęczały pod naporem. Następna fala spiętrzyła się nad nimi i kiedy płynąc równolegle do rafy przedzierali się przez nią, Blackthorne zobaczył ogromny wał wodny. Ostrzegł krzykiem ludzi nadchodzących od forkasztelu i uchwycił się czegoś, żeby nie zginąć.

Fala zwała się na statek, przechylając go niebezpiecznie, i Blackthorne pomyślał, że ich zmiażdży, ale Erasmus otrząsnął się z niej jak mokry terier i wydostał z morskiej doliny. Woda spłynęła kaskadami przez szpigaty, pilot zaś łapczywie nabrał w płuca powietrza. Ujrzał, że leżące na pokładzie zwłoki bosmana, przygotowane na jutrzejszy pogrzeb, zniknęły i że kolejna nadpływająca fala jest jeszcze silniejsza. Pochwyciła Hendrika i uniosła go, krztuszącego się i miotającego, zmywając go za burtę do morza. Jeszcze jedna fala przewaliła się z rykiem przez pokład.

Blackthorne uczeplił się koła sterowego i woda przeszła po nim. Hendrik był już pięćdziesiąt jardów od lewej burty. Morze wessało go i zaniósło z powrotem pod statek, gdzie gigantyczny grzywacz wyniósł go wysoko ponad Erasmusa, przez chwilę trzymał krzyczącego w górze, potem zaś poniósł go, rozmiażdżył na ostrej krawędzi skały i pochłonał.

Statek wpłynął w falę, starając się przez nią przedostać. Poszedł następny fał, a talia zakręciła się gwałtownie i splątała z takielunkiem.

Vinck z drugim marynarzem wspięli się na rufówkę i podparli koło sterowe, żeby pomóc Blackthorne'owi. Blackthorne widział po prawej burcie rafę wystającą z morza, przybliżała się. Z przodu i po lewej burcie, sterczało więcej skał, ale tu i ówdzie dostrzegał między nimi przerwy.

- Wejdźcie na górę, Vinck. Postawcie foki! - krzyknął.

Stopa po stopie Vinck i dwaj marynarze wspięli się mozolnie po wantach takielunku przy fokmaszcie, podczas gdy na dole inni napierali na liny, żeby im to ułatwić.

- Uważaj z przodu! - krzyknął Blackthorne.

Przez pokład przeszła spieniona fala, zabrała z sobą następnego marynarza i przyniosła z powrotem zwłoki bosmana. Dziób Erasmusa wyskoczył z morza, a opadając trzasnął w wodę, która znowu zalała pokład. Vinck i pozostali rozwiązali liny przytrzymujące żagiel. Rozwinął się on nagle i strzelił jak z armaty, kiedy wypełnił go wiatr, statek zaś się przechylił.

Vinck z pomocnikami zawiśli w górze, huśtając się nad falami, a potem zaczęli schodzić.

- Rafa. . rafa z przodu! - krzyknął Vinck.

Blackthorne z towarzyszem przekręcili koło sterowe w prawo. Statek zawahał się, a potem obrócił się i głośno zaprotestował, kiedy znajdujące się tuż pod powierzchnią morza skały napotkały jego burtę. Było to jednak uderzenie z ukosa i skalny ząb odłupał się. Belki burtowe wytrzymały, a ludzie na pokładzie znów odetchnęli z ulgą.

W rafie przed statkiem Blackthorne spostrzegł przerwę i skierował go w tamtą stronę.

Wiatr wzmógł się, a morze rozsrożyło jeszcze bardziej. Statek odchylił się w porywie wichru, wyrывая koło sterowe z rąk marynarza i Blackthorne'a. Uchwycili je razem i przywrócili Erasmusowi poprzedni kurs, ale kołysał się i kręcił jak pijany. Pokład zalała fala i wdarła się do forkasztelu, zatapiając cały pokład, podobnie jak ten górny, i roztrzaskując jednego z marynarzy o grodzie.

- Obsadzić pompy! - krzyknął Blackthorne i zobaczył, że dwóch ludzi schodzi pod pokład.

Deszcz siekł go po twarzy, więc z bólu mrużył oczy. Lampa przy kompasie i latarnia kotwiczna na rufie dawno zgasły. Następny poryw wichury jeszcze bardziej odsunął statek z kursu, a towarzysz Blackthorne'a poślizgnął się i koło ponownie wyrwało im się z rąk. Marynarz krzyknął, bo kołek od koła sterowego uderzył go w skroń, i upadł zdany na łaskę morza. Blackthorne podniósł go z pokładu i trzymał, dopóki nie przewalił się nad nimi spieniony grzywacz. A wtedy spostrzegł, że marynarz nie żyje, więc upuścił go bezwładnie na krzesło żeglarskie, a potem kolejna fala usunęła trupa z rufówki.

Przerwą w skałach znajdowała się trzy rumby, w prawo po nawietrznej i chociaż Blackthorne dokładał wszelkich starań, to nie był w stanie przybliżyć się do niej. Rozpaczliwie wypatrywał innego kanału w rafie, wiedział jednak, że go nie ma, więc żeby chwilowo zwiększyć prędkość, pozwolił

Erasmusowi odpaść od wiatru, po czym ustawił go na powrót dziobem do wichury. Nadrobił ułamek dystansu i trzymał kurs.

Statek zajęczał, zapiszczał drząc z udreki, bo jego stępka zaszurała o ostre jak brzytwa grzbiety skalne, i wszyscy na pokładzie wyobrazili sobie, jak puszczają jego dębowe wręgi i do kadłuba wlewa się woda. Pozbawiony wszelkiej kontroli, zatoczył się w przód.

Blackthorne krzyknął na pomoc, ale nikt go nie usłyszał, trzymając i więc koło, sam się zmagał z morzem. Raz rzuciło go w bok, ale sięgnął po omacku i znów je pochwycił, zastanawiając się mętnie, jak długo wytrzyma ster. .

W przesmyku pomiędzy rafami powstał wodny młyn, otoczony skałami i napędzany przez nawałnicę.

Wielkie fale rozbijały się o rafę i wirując cofały się do walki z intruzem, by na koniec ścierać się ze sobą i atakować ze wszystkich stron. Wir ów wessał osaczony zewsząd i bezbronny statek.

- A bodaj cię diabli, burzo! - ryknął rozwścieczony Blackthorne. - Zabierz precz swoje przekłete łapy od mojego statku!

Koło sterowe znów się obróciło i odrzuciło go od siebie, a pokład zachwiał się przerażająco.

Dziobnik uderzył w skałę i odpadł, a wraz z nim część takielunku, statek natomiast wyprostował się.

Fokmaszt wygiął się w łuk i złamał. Marynarze rzucili się do takielunku z siekierami, żeby go odciąć i zostawić na łaskę żywiołu, Erasmus zaś zapadł się w dolinę pomiędzy rozhukanymi falami. Marynarze odrąbali maszt, który poszedł za burtę, a wraz z nim przepadł jeden z załogi, który uwiązł w splątanej masie lin i drzewc. Schwyty w pułapkę krzyknął, ale koledzy nie mogli mu pomóc i tylko patrzyli, jak wyłania się wraz z masztem przy burcie, znika i nie pojawia się więcej.

Vinck i ci, którzy ocaleli, obejrzeni się w stronę rufówki i ujrzeli Blackthorne'a, który zmagał się z burzą jak szalony. Przeżegnali się i zdwoili modlitwy, niektórzy płacząc ze strachu i walcząc o życie.

Przesmyk poszerzył się na moment i żaglowiec zwolnił, ale przerwa w rafie przed nim znowu się zwężyła, a skały zdawały się rosnać, górując nad nimi. Od jednej z burt odbił się prąd, uniósł statek, ponownie obrócił go bokiem i rzucił ku zagładzie.

Blackthorne przestał wyklinać sztorm i pomimo bólu stężyłych mięśni stoczył bój z kołem sterowym, żeby przesunąć je w lewo i utrzymać w tej pozycji. Ale statek nic sobie nie robił ze steru, podobnie morze.

- Obróć się, piekielniku! - wykapał Blackthorne, szybko słabnąc. - Pomóżcie mi!

Morski prąd przyśpieszył, a jemu o mało co nie pękło serce, ale nadal wyteżał siły, zmagając się z

napierającym morzem. Starał się widzieć Wyraźnie, ale w oczach pociemniało mu, a barwy zmały się i przygasły; Żaglowiec znajdował się w przesmyku i stał w miejscu, lecz właśnie wówczas jego stępka zaszurała o mulistą płycznę. Od wstrząsu dziób statku obrócił się. Ster zderzył się z falą. A potem morze i wiatr pospołu przyszły mu z pomocą, ustawiając go rufą do wiatru, i Erasmus przedostał się przez przesmyk na bezpieczne wody. Do zatoki za rafami.

KSIĘGA PIERWSZA

1.

Blackthorne ocknął się nagle. Przez chwilę myślał, że śni, bo znajdował się na łądzie, w niewiarygodnym pomieszczeniu. Małym, bardzo czystym i wyłożonym miękkimi matami. Leżał na grubej kołdrze, a drugą podobną był przykryty. Strop w izbie był z wypolerowanego drewna cedrowego, a ściany z połączonych w kwadrat cedrowych listew i matowego papieru, który przyjemnie tłumiał światło. Przy posłaniu stała czerwona taca z małymi miseczkami. W jednej były zimne gotowane warzywa, które pochłonął łapczywie, ledwie zwracając uwagę na ich pikantny smak.

W drugiej zupa rybna, którą wypił do dna. W trzeciej zaś gęsta papka z pszenicy albo jęczmienia, z którą uporał się prędko, jedząc palcami. Woda w tykwie o dziwnym kształcie była ciepła i miała osobliwy smak - nieco gorzki, ale apetyczny.

I wtedy zauważył w niszy pokoju krzyż.

Pomyślał w osłupieniu, że to dom Hiszpanów albo Portugalczyków. Czy to Japonia? A może Kataj?

W tym momencie odsunięto część ściany. Obok wejścia klęczała krągłolica, mocno zbudowana kobieta w średnim wieku, która ukloniła się mu i uśmiechnęła. Cerę miała złocistą, oczy czarne i wąskie, a długie czarne włosy starannie spiętrzone na głowie. Ubrana była w szarą jedwabną szatę, krótkie białe skarpetki na grubej podeszwie, a w tali opasana szeroką fioletową szarfą.

- Goshujinsama, gokibun wa ikaga desu ka? - spytała. A ponieważ Blackthorne wpatrywał się w nią nic nie pojmując, zaczęła chwilę, po czym powtórzyła pytanie.

- Czy to Japonia? - zapytał. - Japonia? A może Kataj?

Spojrzała na niego zdezorientowana i dodała coś niezrozumiałego.

Zdał sobie sprawę, że jest nagi. Jego ubrania nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Gestami dał

jej do zrozumienia, że chce się ubrać, a potem wskazał na miseczki z jedzeniem i pojęła, że jest jeszcze głodny.

Uśmiechnęła się, ukloniła i zasunęła za sobą drzwi. Położył się wyczerpany, a niewygodna, dokuczliwie nieruchoma podłoga przyprawiła go o zawrót głowy. Z trudem spróbował się skupić.

Pamiętał, że rzucili kotwicę. On i Vinck. Byli w zatoce, statek wpakował się dziobem na rafę i utknął.

Słyszeli fale rozbijające się o brzeg, ale nic im nie groziło. Na brzegu paliły się światła, potem zaś znalazł się w kabinie i w ciemnościach. Nic sobie nie przypominał. Później w ciemnościach tych pojawiły się światła i dziwne głosy. Rozmawiał po angielsku, a także po portugalsku. Portugalski znał

trochę któryś z miejscowych. A może to był Portugalczyk? Nie, chyba tubylec. Czy spytałem go, gdzie

jesteśmy? - zastanawiał się. - Nie pamiętam. Potem znowu znaleźliśmy się na rafie, nadpłynęła kolejna wielka fala, mnie zmyło do morza i zacząłem tonąć - w lodowatej wodzie - nie, morze było ciepłe i miękkie jak jedwabne łożo grube na sążęń. Na pewno przewieźli mnie na brzeg i umieścili tutaj.

- To z pewnością dzięki temu posłaniu było mi tak ciepło i miękko - powiedział na głos. -

Pierwszy raz spałem w jedwabiach.

Oslabiony organizm zmógł go i zasnął, nie śniąc o niczym.

Kiedy się obudził, znowu stało przy nim jedzenie w glinianych miskach, a ubranie leżało porządnie ułożone w stos. Uprano je, wyprasowano i zacerowano drobnym, wybornym ścięciem.

Ale jego nóż przepadł, tak samo klucze.

Muszę odzyskać nóż, i to szybko, pomyślał. Albo pistolet.

Powędrował wzrokiem w stronę krzyża. Pomimo strachu poczuł podniecenie. Całe życie słyszał

legandy, które krążyły wśród pilotów i żeglarzy, o niesłychanym bogactwie okrytego tajemnicą portugalskiego imperium na Wschodzie, o tym, że Portugalczycy nawrócili pogan na katolicyzm i podporządkowali ich sobie, złoto jest tam tanie jak surówka żelaza, a szmaragdów, rubinów, diamentów i szafirów tak pełno, jak kamyków na brzegu morza.

Jeżeli wieść o katolicyzmie jest prawdziwa, rzekł w duchu, to być może i cała reszta. O

bogactwach. Tak. Ale im prędzej zdobędę broń, wrócę na pokład Erasmusa i stanę przy działach, tym lepiej.

Zjadł, co było, ubrał się i chwiejnie wstał. Jak zawsze, na łodzi nie czuł się w swoim żywiole.

Podszedł do drzwi, lekko się zatoczył i chcąc złapać równowagę wyciągnął rękę, ale lekkie kwadraty z listewek nie wytrzymały jego ciężaru i pękły, a papier się rozerwał. Blackthorne stanął prosto.

Przestraszona Japonka na korytarzu podniosła na niego wzrok.

- Przepraszam - powiedział, dziwnie zażenowany swoją niezręcznością. Chciał nie chciał, sprofanował jednak nieskazitelność tego, pomieszczenia. - Gdzie są moje buty?

Kobieta wpatrzyła się w niego nie pojmując. Gestami cierpliwie powtórzył jej więc pytanie o buty, na co spieszenie poszła korytarzem, uklękła, otworzyła jeszcze jedne drzwi z listewek i przyzwała go ręką. Z niedaleka docierały ludzkie głosy i ciurczenie wody. Wszedł przez otwarte drzwi i znalazł się w kolejnej izbie, niemal tak samo pustej jak tamta. Wychodziła ona na werandę ze stopniami prowadzącymi do małego ogródka otoczonego wysokim murem. Przy głównym wejściu stały dwie staruszki, troje dzieci w czerwonych szatach i starzec z grabiami w ręku, z pewnością ogrodnik. Wszyscy natychmiast pokłonili mu się z powagą i nie podnieśli głów.

Blackthorne ze zdziwieniem spostrzegł, że starzec jest właściwie nagi i że nosi jedynie wąską opaskę na biodrach, ledwo zakrywającą mu przyrodzenie.

- Dzień dobry - odezwał się do nich, nie wiedząc, co powiedzieć.

Stali nieporuszeni, wciąż zgięci w ukłonie.

Głęboko zakłopotany, wpatrywał się w nich, aż wreszcie niezgrabnie się im odkłonił.

Wyprostowali się i uśmiechnęli do niego. Starzec uklonił mu się jeszcze raz i powrócił do zajęć w ogrodzie. Dzieci przez chwilę gapiły się na obcego, a potem ze śmiechem umknęły. Stare kobiety zniknęły w głębi domu. Czuł jednak na sobie ich wzrok.

U podnóża schodków spostrzegł swoje buty. Nim zdążył je wziąć, towarzysząca mu kobieta w średnim wieku uklękła i pomogła mu je włożyć.

- Dziękuję - powiedział. Po krótkim zastanowieniu wskazał na siebie. - Blackthorne - rzekł powoli. - Blackthorne. - Wskazał na nią. - Jak się nazywasz?

Wpatrzyła się w niego nie pojmując.

- Blackthorne - powtórzył, wyraźnie wskazując na siebie, a potem, na nią. - Jak się nazywasz?

Kobieta zmarszczyła czoło i nagle, zrozumiawszy, o co pyta, wskazała na siebie i powiedziała:

- Onna! Onna!

- Onna! - powtórzył, równie dumny z siebie, jak ona z siebie.- Onna.

- Onna! - powtórzyła i uszczęśliwiona skinęła głową.

Takiego ogrodu jeszcze nie widział - był tam mały wodospad, strumień, mostek i wypielęgowane kamienne ścieżki, większe kamienie, kwiaty i krzewy. Tak tu czysto, pomyślał. Tak schludnie.

- Niewiarygodne - powiedział.

- Nirrygone? - spytała usłużnie.

- Nic, nic - odparł, a potem, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, odprawił ją gestem.

Posłusznie i grzecznie ukloniła się mu i odeszła.

Blackthorne usiadł w ciepłym słońcu, opierając się o słup. Bardzo osłabiony, przyglądał się starcowi, który pielął już dokładnie wypielony ogród. Ciekawe, gdzie są pozostali, pomyślał. Czy dowódca wyprawy jeszcze żyje? Ile dni przespałem? Pamiętam, że budziłem się, jadłem, znowu zasypiałem, a jedzenie było tak niedobre, jak moje sny.

Obok niego przebiegły goniące się dzieci i zawstydził się za nie z powodu nagości ogrodnika, bo kiedy starzec pochylał się bądź skłaniał, widać mu było wszystko, dzieci jednak, aż trudno uwierzyć, nie zwracały na to uwagi. Ponad murem, dostrzegł inne budynki, kryte dachówką lub strzechą, a w oddali wysokie góry. Niebo zamiatał rześki wiatr i popędzał obłoki. Pszczoły uganiały się za pożywieniem, był piękny wiosenny dzień. Jego ciało domagało się więcej snu, ale zmusił się do wyprostowania i ruszył do ogrodowej furtki. Ogrodnik uśmiechnął się do niego, uklonił, podbiegł, żeby otworzyć drzwiczki, uklonił się ponownie i zamknął je za nim.

Wioska leżała nad półkolistą zatoką, która wychodziła na wschód, a do podnóży opadającej ku brzegowi góry przytulało się może ze dwieście Dōmostw, jakich dotąd nie oglądał na oczy. Nie przypominał sobie podobnych. Powyżej nich, na tarasach, ciągnęły się pola i gruntowe drogi, które biegły na północ i południe. Poniżej brukowane nabrzeże i kamienna rampa wychodząca z nabrzeża w morze. Dobra, bezpieczna przystań i kamienne molo, kobiety i mężczyźni czyszczący ryby i splatający sieci, a po północnej stronie zatoki ktoś budował niezwykle zaprojektowaną łódź. Na wschodzie i na południu daleko w morzu widać było wyspy. Właśnie tam musiały być rafy, na które wpadli, albo za horyzontem.

W zatoce pełno było innych łodzi o niezwykłych kształtach, przeważnie rybackich. Część z dużymi pojedynczymi żaglami, kilka wiosłowych. Wioślarze stali i pchali wiosła pod prąd, zamiast siedzieć i ciągnąć, tak jak zrobiłby to on. Kilka z tych łodzi wypływało w morze, inne kierowały się do drewnianej przystani, Erasmus zaś stał solidnie na uwięzi pięćdziesiąt jardów od brzegu na głębokiej wodzie, przymocowany trzema kotwicznymi linami rufowymi. Blackthorne zadał sobie pytanie, kto to zrobił. Przy burtach statku stały łodzie, a na pokładzie widać było tubylców. Ale nikogo z załogi. Gdzież się oni podziiali?

Rozejrzał się po wiosce i spostrzegł, że przypatruje mu się wielu ludzi. Kiedy zobaczyli, że ich zauważył, uklonili mu się, na co, wciąż czując się nieswojo, odklonił im się. Powrócili do pogodnej krzątania, idąc w obie strony, przystając, targując się, wymieniając ukłony i najwyraźniej nie przejmując się nim, niczym liczne wielobarwne motyle. Ale kiedy szedł w stronę wybrzeża, czuł na sobie badawcze spojrzenia rzucane z wszystkich okien i drzwi.

Co jest w nich takiego dziwnego? - zastanawiał się. Chodzi nie tylko, o ich stroje i zachowanie. . Oni nie są uzbrojeni, skonstatował wreszcie., Nie noszą pałaszy ani pistoletów!

Dlaczego?.

Wzdłuż uliczek ciągnęły się otwarte sklepiki wypełnione najrozmaitszymi towarami i belami materiałów. Ich podłogi znajdowały się powyżej poziomu ulicy, a sprzedawcy i kupujący klękali albo kucali na czystych deskach. Spostrzegł, że większość nosi drewniaki albo proste plecione sandały, a niektórzy jednakowe białe skarpetki na grubej podeszwie, z przedziałem na duży i sąsiedni palec stopy dla przytrzymania rzemyków. Drewniaki i sandały zostawiali przed sklepami na ziemi. Ci na bosaka oczyszczali stopy i wsuwali je w przygotowane czyste sandały sklepowe. Jeżeli się nad tym zastanowić, to bardzo rozsądny zwyczaj, pomyślał z uznaniem Blackthorne.

Wtem dojrzał idącego w jego stronę mężczyznę z tonsurą i od jąder po żołądek przeszły go paskudna trwoga. Zakonnik był na pewno Portugalczykiem albo Hiszpanem i choć jego falująca sutanna była

pomarańczowa, to u pasa miał bez wątpienia krzyż i różaniec, a na twarzy wypisaną zimną wrogość. Jego sutanna nosiła ślady trudów podróży, europejskie buty zaś były ubłocone.

Patrzył na Erasmusa. Blackthorne nie miał wątpliwości, iż tamten zorientował się, że to statek angielski albo holenderski, nowy na większości mórz, smuklejszy i szybszy handlowy okręt bojowy, odwzorowany i ulepszony przez angielskich korsarzy, którzy dokonali takich spustoszeń na Karaibach. Z zakonnikami szło dziesięciu tubylców, czarnowłosych i czarnookich, z których jeden był ubrany tak samo jak mnich, tyle że nosił rzemienne trepy. Inni mieli na sobie różnokolorowe suknie bądź luźne spodnie albo tylko przepaski na biodrach. Żaden jednak nie był uzbrojony.

Blackthorne chciał zawczasu uciec, ale zdawał sobie sprawę, że nie starczy mu na to sił, a poza tym nie miał gdzie się ukryć. Przy swoim wzroście i kolorze oczu był w tym świecie obcy. Oparł się plecami o ścianę.

- Ktoś ty? - spytał po portugalsku zakonnik. Był grubym, ciemnowłosym, zażywnym dwudziestokilkuletnim mężczyzną z długą brodą.

- A ty? - odparł Blackthorne, mierząc go wzrokiem.

- To jest niderlandzki statek korsarski. A ty jesteś holenderskim heretykiem. Jesteście piratami. Oby Bóg się nad wami zlitował!

- Nie jesteśmy piratami. Jesteśmy spokojnymi kupcami, ale nie wobec naszych nieprzyjaciół.

Jestem pilotem tego statku. A ty?

- Jestem ojciec Sebastio. Jak tu dopłynęliście? W jaki sposób?

- Wyrzuciło nas na brzeg: Co to za kraj? Japonia?

- Tak. Japonia. Nippon - odparł zniecierpliwionym tonem zakonnik.

Odwrócił się do jednego ze swoich towarzyszy, starszego od pozostałych, drobnego, szczupłego, z silnymi rękami o zgrubiałych dłoniach, z ogoloną na szczycie głową i włosami ściągniętymi w cienki ogonek, siwy jak jego brwi. Przemówił do niego urywanymi zdaniami po japońsku, wskazując na Blackthorne'a. Japończycy przerazili się, a jeden zabobonnie przeżegnał.

- Holendrzy to heretycy, buntownicy i piraci. Jak się nazywasz?

- Czy to osada portugalska?

Zaczerwienione oczy księdza spoglądały srogo.

- Naczelnik wioski mówi, że zawiadomił już o was władze. Nie, ujdiesz karze za grzechy.

Gdzie jest reszta twojej załogi?

- Zniosło nas z kursu. Potrzebujemy żywności, wody i czasu na naprawę statku. A potem odpłyniemy. Możemy zapłacić za każdy. .

- Gdzie reszta twojej załogi?

- Nie wiem. Przypuszczam, że na pokładzie.

Zakonnik jeszcze raz spytał naczelnika wioski, który odpowiedział mu i wskazał na drugi koniec osady, szczególnie coś wyjaśniając. Duchowny odwrócił się ponownie do Blackthorne'a.

- Tutaj przestępców się krzyżuje, pilocie - rzekł. - Umrzecie. Przyjeżdża daimyō z samurajami. Niech Bóg się nad wami zlituje.

- Kim jest daimyō?

- To władca feudalny. Należy do niego cała ta prowincja. Jak tu dopłynęliście?

- A samuraje?

- To wojownicy, żołnierze, członkowie kasty rycerskiej - odparł zakonnik z rosnącą irytacją. -

Skąd przy płynęliście i kim jesteście?

- Nie rozpoznaję twojej wymowy - powiedział uszczypliwie Blackthorne. - Jesteś Hiszpanem?

- Portugalczykiem - odparł z gniewem zakonnik, chwytając przynętę. - Mówiłem ci już, że jestem ojciec Sebastio z Portugalii. Gdzieś nauczył się tak dobrze portugalskiego? Co?

- Ale przecież Portugalia i Hiszpania to w tej chwili jeden kraj - powiedział Blackthorne urągliwie. - Macie tego samego króla.

- Jesteśmy oddzielnym krajem. Jesteśmy dwiema różnymi nacjami. Zawsze tak było. Pływamy pod własną banderą. Nasze zamorskie posiadłości są oddzielne, tak jest, oddzielne. Król Filip przystał na to, kiedy skradł nam kraj. - Ojciec Sebastio z trudem opanował gniew, palce mu drżały. -

Zdobył mój kraj siłą oręża dwadzieścia lat temu! Jego żołnierze i ten diabelski pomiot, hiszpański tyran księżę Alva, zgnetli naszego prawdziwego króla. Que va! Teraz włada syn Filipa, ale i on nie jest naszym prawdziwym władcą. Wkrótce będziemy mieć z powrotem naszego własnego króla -

oświadczył ojciec Sebastio, a potem dodał jadowitym tonem: - Sam wiesz, że to prawda. Co diabeł

Alva wyrządził twojemu krajowi, to samo zrobił mojemu.

- Nieprawda. Alva był dla Niderlandów prawdziwym skaraniem boskim, ale ich nie podbił.

Nadal są wolne. I zawsze będą wolne. Ale w Portugalii rozbił jedną małą armię i cały kraj mu się poddał. Z braku odwagi. Gdybyście chcieli wyrzucić Hiszpanów, tobyście ich wyrzucili, ale nigdy na

to się nie zdobędziecie. Brak wam honoru. Brak cojonos. Nie licząc palenia w imię Boga niewinnych!

- Bodaj cię Bóg smażył w ogniu piekielnym przez wieki! - wybuchnął zakonnik. - Szatan wędruje po świecie, ale będzie wytępiony. Heretycy będą wytępieni. Ty bluźnisz przeciwko Panu Bogu!

Wbrew woli Blackthorne poczuł, jak budzi się w nim bogobojny strach.

- Księża nie mają posłuchu u Pana Boga ani nie przemawia On przez ich usta. Zrzuciliśmy z siebie wasze nikczemne jarzmo i pozostaniemy wolni!

Zaledwie czterdzieści lat temu Anglią władała Krwawa Maria Tudor, a jej mężem był Hiszpan Filip Drugi, Filip Okrutny. Ta głęboko religijna córka Henryka VIII sprowadziła z powrotem katolickich księży, inkwizytorów, procesy o herezję oraz uznała - wbrew woli większości - ponowne zwierzchnictwo obcego papieża nad krajem. Unieważniła historyczne zmiany w kościele angielskim, wprowadzone przez jej ojca. Władała przez pięć lat, a królestwo rozdarte zostało na kawałki przez nienawiść, strach i rozlew krwi. Jednakże umarła i królową została dwudziestoczteroletnia Elżbieta, Ilekroć Blackthorne myślał o królowej, był pełen podziwu dla niej i odczuwał głęboką synowską miłość. Przez czterdzieści lat wojowała z całym światem. Przechrztyła i pokonała papieży, Święte Cesarstwo Rzymskie, Francję i Hiszpanię pospołu. Wyklęta, oczerniana, lżona w obcych krajach, przywiodła Anglię do przystani - bezpiecznej, silnej, niezależnej.

- Jesteśmy wolni - rzekł Blackthorne do zakonnika. - A wy rozbici. Mamy obecnie własne szkoły, własne książki, własne Pismo święte, własny Kościół. A wy, Hiszpanie, jesteście wszyscy jednym i tym samym. Ścierwem! Wy, mnisi, niczym się między sobą nie różnicie.

Jesteście bałwochwalcami!

Zakonnik podniósł krzyż, osłaniając się nim przed Blackthorne'em niczym tarczą.

- O Boże, obroń nas ode złego! Powiadam ci, że nie jestem Hiszpanem! Jestem Portugalczykiem. A poza tym nie jestem mnichem. Jestem bratem z Towarzystwa Jezusowego.

- Aha, a więc jednym z nich. Jezuitą!

- Tak. Niechaj Bóg zlituje się nad twoją duszą!

Ojciec Sebastio powiedział coś krótko po japońsku i jego towarzysze rzucili się na Blackthorne'a. Blackthorne przywarł plecami do ściany i mocno uderzył jednego, ale reszta opadła go i poczuł, że się dusi.

O dziesięć kroków od Blackthorne'a stał młody mężczyzna. Był w bryczesach, drewniakach, lekkim kimonie, a za pasem miał zatknięte dwa miecze w pochwach. Jeden przypominał sztylet.

Drugi, oburęczny zabójczy miecz był długi i lekko zakrzywiony. Prawa ręka przybysza spoczywała swobodnie na jego rękojeści.

- Nanigoto da? - spytał szorstko, a kiedy nie odpowiedzieli mu natychmiast, powtórzył: -

Nanigoto da?!

Japończycy upadli na kolana, skłaniając głowy aż do ziemi. Nie ukląkł tylko ksiądz. Skłonił się i zacinając się począł wyjaśniać, ale mężczyzna przerwał mu z pogardą i wskazał na naczelnika wioski:

- Mura!

Naczelnik Mura, nie unosząc pochylonej głowy, pośpiesznie zaczął tłumaczyć sytuację. Kilka razy wskazał na Blackthorne'a, raz na statek, a dwa razy na jezuitę. Ruch na ulicy całkiem zamarł.

Wszyscy w zasięgu wzroku klęczeli w niskim ukłonie. Naczelnik skończył. Uzbrojony mężczyzna wyniośle wypytywał go jeszcze chwilę, otrzymując szybkie i pełne szacunku odpowiedzi. Wreszcie powiedział coś do Mury, z jawną pogardą skinął w stronę księdza, następnie w stronę Blackthorne'a, potem zaś siwowłosy naczelnik wioski wyjaśnił to w prostych słowach jezuitcie, który się zaczerwienił.

Japończyk o przystojnej, lekko ospowatej twarzy, niższy i znacznie młodszy od Anglika, wpatrywał się w cudzoziemca.

- Onushi ittai doko kara kitanoda? Doko no kuni no monoda?

- Kasigi Omi-san pyta: „Skąd przybywasz i jakiej jesteś narodowości?” - przetłumaczył nerwowo zakonnik.

- Czy pan Omi-san to daimyō? - spytał Blackthorne, mimo woli lękając się mieczy Japończyka!

- Nie. Jest samurajem, samurajem zarządzającym tą wsią. Nazywa się Kasigi Orni. Orni to jego imię. Tutaj zawsze najpierw wymieniają swoje nazwiska. „San” znaczy „szanowny” i przez grzeczność dodaje się to słowo do wszystkich imion. Radzę ci nauczyć się grzeczności. . i szybko nabrać dobrych manier. - Głos jezuity zaostrzył się. - Nie zwlekaj z odpowiedzią.

- Z Amsterdamu - odpowiedział Blackthorne. - Jestem Anglikiem.

Ojcem Sebastio wyraźnie to wstrząsnęło.

- Jest Anglikiem! Z Anglii - powiedział do samuraja i zaczął mu wyjaśniać, ale Orni przerwał mu niecierpliwie i zasypał go gradem słów.

- Omi-san pyta, czy jesteś przywódcą. Naczelnik wioski twierdzi, że przeżyła jedynie garstka was, heretyków, i że większość choruje. Czy jest wśród nich dowódca wyprawy?

- Ja jestem przywódcą - odparł Blackthorne, mimo że po zejściu na brzeg władza formalnie przeszła

w ręce dowódcy wyprawy. - To ja dowodzę - dodał wiedząc, że gubernator Spil bergen nie mógłby dowodzić niczym, tak na brzegu, jak na morzu, nawet gdyby był cały i zdrow.

Samuraj znowu wyrzucił z siebie potok słów.

- Omi-san mówi, że jako przywódcy wolno ci swobodnie poruszać się po wiosce, kiedy tylko zechcesz, aż do przybycia jego pana. Jego pan, daimyō, postanowi o twoim losie. A do tego czasu wolno ci mieszkać w domu naczelnika i zachowasz swobodę ruchów. Ale nie opuścisz wioski. Twoją załogę umieszczono w przeznaczonym dla niej domu i jej członkom nie wolno go opuszczać.

Rozumiesz?

- Tak. Gdzie jest moja załoga?

Ojciec Sebastio, wyraźnie skonfundowany decyzją i zniecierpliwieniem Omiego, wskazał wymijająco w stronę grupki domów nie opodal nabrzeża.

- Tam! Zażywaj wolności, piracie. Nie unikniesz kary za zło..

- Wakarimasu ka?! - spytał Omi, zwracając się wprost do Blackthorne'a.

- Pyta, czyś go zrozumiał.

- Jak jest po japońsku „tak”?

- Wakarimasu - powiedział ojciec Sebastio do samuraja.

Omi odprawił go pogardliwym gestem. Wszyscy nisko mu się pokłonili, z wyjątkiem jednego Japończyka, który z rozmysłem stał, nie składając mu ukłonu.»

Morderczy miecz świsnął, zataczając oślepiająco prędki łuk. Japończykowi głowa spadła z ramion, a ziemię obryzgała fontanna krwi. Ciałem zabitego kilkakrotnie targnęły drgawki, po czym znieruchomiało. Zakonnik mimowolnie cofnął się o krok. Nikomu oprócz niego na całej ulicy nie drgnął

nawet mięsień. Głowy wszystkich były nieruchome i trzymali je nisko. Blackthorne stał porażony i wstrząśnięty.

Omi niedbale postawił stopę na zwłokach, - Ikinasai! - powiedział, gestem nakazując im, żeby odeszli.

Kłęczący przed nim Japończycy ukłonili się jeszcze raz, do samej ziemi. A potem wstali i spokojnie, biernie odeszli. Ulica zaczęła pustoszeć. Podobnie sklepy.

Ojciec Sebastio spojrział na ciało zabitego. Z ponurą miną zrobił nad nim znak krzyża i powiedział:

- In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti. A potem już bez lęku spojrział na samuraja.

- Ikinasai!

Koniuszek lśniącego miecza dotknął zwłok.

Po dłuższej chwili zakonnik odwrócił się i odszedł. Z godnością. Orni przyglądał mu się bacznie, a po chwili spojrział na Blackthorne'a. Blackthorne wycofał się, a kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości, prędko skręcił za róg i zniknął.

Omi zaniósł się gromkim śmiechem. Ulica wyludniła się. Kiedy się wyśmiał do syta, chwycił oburącz miecz i metodycznie zaczął siekać zwłoki na kawałki.

Blackthorne siedział w małej łódce, a jego przewoźnik ochoczo wiosłował w stronę Erasmusa.

Ze zdobyciem łodzi nie miał najmniejszych kłopotów - na głównym pokładzie statku widać było mężczyzn. Samych samurajów. Niektórzy nosili stalowe napierśniki, ale większość zwykłe kimona, jak nazywali swoje szaty, a ponadto po dwa miecze. Uczesani byli jednakowo: szczyt głowy ogolony, włosy z potylicy i ze skroni zebrane w kity, naoliwioną, złożoną w pół na czubku głowy i starannie związaną. Takie fryzury zastrzeżone były wyłącznie dla samurajów i tylko oni mogli nosić dwa miecze - nieodmiennie oburęczny, zabójczy długi oraz krótki, przypominający sztylet - i było to ich obowiązkiem.

Samuraje ustawili się rzędem wzdłuż nadburcia, przyglądając się cudzoziemcowi.

Pełen obaw wspiał się do furty burtowej i wszedł na pokład. Jeden z samurajów, odziany staranniej od innych, podszedł do niego i złożył mu ukłon. Nauka nie poszła w las, dlatego Blackthorne odklonił mu się równie nisko i wszyscy na pokładzie rozpromienili się w jowialnych uśmiechach. W dalszym ciągu odczuwał zgrozę na wspomnienie zabójstwa na ulicy wioski, ich uśmiechy nie rozproszyły więc jego złych przeczuc. Poszedł do zejściówki i zatrzymał się jak wryty.

W poprzek drzwi biegła szeroka wstęga z czerwonego jedwabiu, a przy niej dziwnymi zawijasami wypisano mały znak. Zawahał się, sprawdził drugie drzwi, ale i na nich wisiała taka sama wstęga, a do grodzi przybito taki sam hieroglif.

Wyciągnął rękę, chcąc usunąć jedwab.

- Hotte oke! Żeby nie było żadnych wątpliwości, w czym rzecz, strzegący drzwi samuraj przecząco pokręcił głową. Już się nie uśmiechał.

- Ale to przecież jest mój statek i chcę. .

Blackthorne ukrywał swój niepokój, nie odrywając wzroku od mieczy. Muszę się dostać pod pokład, pomyślał. Muszę zabrać ruty, swoją i tę tajną. Chryste Panie, jeżeli je znajdą i przekażą tym zakonnikom albo Japończykom, to koniec. Mając takie dowody, każdy sąd na świecie - poza Anglią i Niderlandami - skazałby nas za piractwo. Moja ruta wymienia miejscowości, daty i ilość

zrabowanych łupów, liczbę zabitych podczas trzech lądowań w Ameryce i jednego w hiszpańskiej Afryce, liczbę splądrowanych kościołów oraz spalone miasta i statki. No a ruta portugalska? Dla nas oznacza wyrok śmierci, ponieważ jest kradziona. Wprawdzie ta moja została odkupiona od portugalskiego sprzedawczyka, ale zgodnie z portugalskim prawem cudzoziemiec przyłapany na posiadaniu jakiegokolwiek z ich map, nie wspominając już nawet o takiej, która ujawnia trasę Magelana, zostaje natychmiast zgładzony. A kiedy jeszcze taką mapę znajduje się na pokładzie nieprzyjacielskiego statku, zostaje on spalony, a wszyscy na jego pokładzie bezlitośnie straceni.

- Nan no yoda? - spytał jeden z samurajów.

- Mówisz po portugalsku? - zapytał w tym języku Blackthorne.

Japończyk wzruszył ramionami.

- Wakamarisen - odparł.

Inny Japończyk wystąpił naprzód i z szacunkiem przemówił do dowódcy, na co ten przyzwalająco skinął głową.

- Przyjaciel Portugizu - rzekł samuraj po portugalsku z silnym obcym akcentem. Odłonił górną część kimona i pokazał mały drewniany krzyżyk, który mu wisiał na szyi. - Kreścianin! -

Wskazał na siebie i uśmiechnął się. - Kreścianin. - Wskazał na Blackthorne'a. - Kreścianin ka?

Blackthorne po chwili wahania skinął głową.

- Chrześcijanin - odparł. - Portugizu?

- Anglik.

Samuraj i dowódca, potrajkotawszy pomiędzy sobą, wzruszyli ramionami i podnieśli na niego wzrok.

- Portugizu?

Blackthorne pokręcił głową, choć czuł się niesporo, zaprzeczając im w czymkolwiek.

- Moi przyjaciele? Gdzie? - spytał.

Samuraj wskazał na wschodni kraniec wioski.

- Pryciere - powiedział.

- To mój statek. Chcę zejść pod pokład - rzekł Blackthorne, powtarzając to zdanie na różne sposoby i gesty, tak że w końcu zrozumieli go.

- Ah, so desu! Kinjiru - odpowiedzieli z naciskiem, wskazując znak, i uśmiechnęli się promiennie.

Było oczywiste, że nie pozwolą mu zejść pod pokład. Pomyślał z rozdrażnieniem, że „kinjiru” znaczy na pewno „nie wolno”. Trudno, pał sześć! Nagłym ruchem nacisnął klamkę u drzwi i odrobinę je uchylił.

- Kinjiru! !

Szarpnięciem odwrócono go twarzą do samurajów. Miecze mieli do połowy wyciągnięte z pochew. Obaj znieruchomieli, czekali, co zrobi. Pozostali na pokładzie przyglądali się temu beznamiętnie. - Blackthorne wiedział, że nie pozostaje mu nic innego, jak wycofać się, wzruszył więc ramionami i odszedł, przy okazji sprawdzając, najlepiej jak się dało, stan takielunku i statku.

Porwane żagle były opuszczone i związane. Ale cumy różniły się od tych, które znał, wywnioskował więc, że statek zabezpieczyli Japończycy. Ruszył ku furcie burtowej i zatrzymał się. Spozstrzegł bowiem ich złowrogi wzrok i oblał się zimnym potem myśląc: „Chryste, jak mogą być aż tak głupi!” Ukłonił się uprzejmie i wrogość Japończyków natychmiast zniknęła. Odkłonili mu się i znowu zaczęli uśmiechać. Nadal jednak czuł, jak po krzyżu spływa mu pot. Nienawidził wszystkiego, co japońskie, i pragnął znaleźć się znowu wraz ze swą załogą na statku, uzbrojony i na pełnym morzu.

- Jezu Chryste, chyba nie masz racji, pilocie - powiedział Vinck. Jego bezzębny uśmiech był

szeroki i sprośny. - Jeśli tylko człowiek przyzwyczai się do tych pomysłów, które oni nazywają jedzeniem, to trudno o lepsze miejsce. W życiu. W ciągu trzech dni miałem dwie baby, a one są jak królice. Zrobią wszystko, jeżeli tylko pokażesz im jak.

Racja. Ale bez mięsa i brandy nic nie zdasz. A przynajmniej ja. Jestem wyczerpany i stać mnie tylko na raz - rzekł Maetsukker, a jego wąska twarz drgała. - Te żółte psobraty nie pojmują, że potrzebujemy mięsa, piwa, chleba. I brandy albo wina.

- I to właśnie jest najgorsze! Chryste, królestwo za krzynę grogu!

Baccus van Nekk był niepokieszony. Podeszedł do Blackthorne'a, stanął przed nim i przyjrzał

mu się badawczo. Miał bardzo krótki wzrok, a w czasie burzy stracił okulary. Ale nawet mając je na nosie, stawał jak najbliższy rozmówcy. Był naczelnym kupcem, skarbnikiem i przedstawicielem Spółki Wschodnioindyjskiej, która wyłożyła pieniądze na tę wyprawę.

- Jesteśmy na brzegu, bezpieczni, a ja jeszcze się nie napiłem. Ani kropeleczeni! To straszne.

A tobie coś dali, pilocie?

- Nie. - Blackthorne nie lubił, kiedy ktoś stał blisko niego, ale Baccus był jego przyjacielem, w dodatku prawie niewidomym, więc się nie odsunął. - Tylko gorącą wodę z jakimiś ziołami.

- Oni po prostu nie znają grogu. Nic do picia oprócz gorącej wody z ziołami, dobry Boże, miej nas w swojej pieczy! A jeżeli w tym kraju w ogóle nie ma trunków?! - Brwi Baccusa podskoczyły w górę. -

Wyświadczyć mi wielką przysługę pilocie. Poproś o jakiś trunek, dobrze?

Blackthorne odnalazł dom, który jego towarzyszom przydzielono na wschodnim krańcu wioski.

Strażujący tam samuraj pozwolił mu wejść, ale członkowie jego załogi potwierdzili, że im samym nie wolno przekroczyć bramy ogrodu. Podobnie jak i jego dom, ten również miał wiele izb, lecz był

większy i z liczną służbą w różnym wieku i obu płci.

Przeżyło jedenastu uczestników wyprawy. Zmarłych zabrali Japończycy. Obfite porcje świeżych warzyw szybko zaczęły leczyć szkorbut i oprócz dwóch wszyscy prędko wyzdrowieli. Dwaj chorzy mieli w kiszkiach krew, a ich wnętrzności pełne były wody. Vinck upuścił im krwi, ale to nie pomogło. Spodziewał się, że do wieczora umrą. Dowódca wyprawy leżał w drugiej izbie, nadal w bardzo ciężkim stanie.

- Tak jak mówi Johann, dobrze nam tu, pilocie, z wyjątkiem strawy i braku grogu - rzekł ze śmiechem niski, przysadzisty kucharz okrętowy Sonk. - Z miejscowymi jest pełna zgoda, o ile tylko człowiek nie chodzi po domu w butach. Te małe żółte psułaty wściekają się, jeżeli się ich nie zdejmie.

- Posłuchajcie - rzekł Blackthorne. - Jest tu ksiądz. Jezuita.

- O Chryste!

Kiedy opowiedział im o zakonniku i Odcięciu głowy, przeszła im wszelka ochota do żartów.

- Dlaczego on odciął tamtemu głowę, pilocie?

- Nie wiem.

Musimy wrócić na statek. Jeżeli papiści schwytają nas na brzegu W izbie zapanowała wielka trwoga. Niemowa Salomon wpatrywał się w Blackthorne'a. Poruszał ustami, w kącikach których pojawiły się banieczki śliny.

- Nie, Salomonie, to nie pomyłka - odparł zyczliwie Blackthorne na jego nieme pytanie. -

Powiedział, że jest jezuitą.

- Chryste, jezuita, dominikanin czy czort wie kto jeszcze to, psiamać, żadna różnica - rzekł

Vinck. - Lepiej wróćmy na pokład, pilocie. Zażądasz tego od tamtego samuraja, co?

- Jesteśmy w rękach Boga - powiedział Jan Roper, należąca do poszukiwaczy przygód młody kupiec z wąskimi oczami, wysokim czołem i cienkim nosem. - On nas obroni przed czcicielami Szatana.

Vinck ponownie spojrzał na Blackthorne'a.

- A co z Portugalczykami, pilocie? - spytał. - Widziałeś jakichś?

- Nie. W wiosce nie było ich ani śladu.

- Jak tylko się o nas dowiedzą, wkrótce się tu zlecą - orzekł w imieniu wszystkich Maetsukker, na co młody Croocq jęknął.

Tak, a jeżeli jest tu ten zakonnik, to muszą też być inni powiedział Ginsel, oblizując spieczony wargi.

- A w takim razie ci przekłęci konkwistadorzy też na pewno są niedaleko.

- Pewnie - dodał zaniepokojony Vinck. - Oni są jak wszy.

- Jezu Chryste! Papiści! - mruknął któryś. - I konkwistadorzy!

- Ale jesteśmy w Japoni, pilocie? - spytał van Nekk. - Powiedział ci to?

- Tak. A dlaczego pytasz?

Van Nekk przysunął się bliżej i ściszył głos.

- Jeżeli są tu księża, a niektórzy tubylcy są katolikami, to może i ta druga część opowieści jest prawdziwa, ta o bogactwach, o złocie, srebrze i drogich kamieniach. - Zapadła cisza. -

Widziałeś jakieś, pilocie?

Jakieś klejnoty u tubylców. . albo złoto?

- Nie. Nic. - Blackthorne zastanawiał się chwilę. - Nic takiego sobie nie przypominam.

Żadnych naszyjników, pereł ani bransolet. Słuchajcie, muszę wam powiedzieć o jeszcze jednym.

Wczoraj popłynąłem na Erasmusa, ale zapieczętowali go.

Opowiedział, co się stało, i ich obawy wzrosły.

- O Jezu, jeżeli nie możemy wrócić na pokład, a na brzegu są księża i papiści. . Musimy się stąd wydostać. - Maetsukkerowi zaczął drzeć głos. - Co zrobimy, pilocie? Oni nas spalą!

Konkwistadorzy, te psie syny, wpakują swoje rapiery. .

- Jesteśmy w rękach Boga! - zawołał z wiarą Jan Roper. - On broni nas przed antychrystem.

Przyrzekł to. Nie ma się czego bać.

- Ten samuraj Omi-san warknął na tego zakonnika tak. . że, jestem tego pewien, nienawidzi go

- powiedział Blackthorne. - To dobrze, prawda? Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego ten zakonnik nie nosił zwykłej sutanny. Dlaczego pomarańczową? Jeszcze takiej nie widziałem.

- Tak, to zastanawiające - przyznał van Nekk.

Blackthorne spojrział na niego.

- A może ich pozycja tutaj nie jest silna - rzekł. - To by nam ogromnie pomogło.

- Co powinniśmy zrobić, pilocie? - spytał Ginsel.

- Zachować ostrożność i poczekać na przyjazd ich wodza, tego daimyō. On nas wypuści. No bo dlaczego nie? Nie wyrządziliśmy im nic złego. Mamy na sprzedaż towary. Nie jesteśmy piratami, nie mamy się czego bać.

- Święte słowa, a nie zapominajcie, że nie wszyscy ci dzikusy są, jak mówi pilot, papistami -

rzekł van Nekk, bardziej dla dodania otuchy sobie niż innym. - Tak. To dobrze, że ten samuraj nienawidzi księdza. No i uzbrojeni są tu tylko samuraje. To też plus, prawda? Trzeba tylko uważać na nich i odzyskać naszą broń, w tym cała rzecz. Znajdziemy się na pokładzie, nim się obejrzymy.

- A co, jeżeli ten daimyō jest papistą? - spytał Jan Roper.

Nie otrzymał odpowiedzi.

- Pilocie - odezwał się Ginsel - a ten z mieczem? Po odcięciu temu drugiemu złotemu głowy porąbał go na kawałki?

- Tak Chryste! To barbarzyńcy! Szaleńcy! - Ginsel był wysokim przystojnym młodzieńcem z krótkimi rękami i mocno kabłąkowatymi nogami. Wskutek szkorbutu stracił wszystkie zęby. - Kiedy odciął mu głowę, to reszta zwyczajnie sobie odeszła? Bez jednego słowa?«

- Tak.

- Jezu Chryste. Żeby tak bez niczego zaszlachtować bezbronnego człowieka?! Dlaczego on to zrobił? Dlaczego go zabił?

- Nie wiem, Ginsel. Ale jeszcze nie widziałem, żeby ktoś zrobił to tak szybko. W jednej chwili miecz tkwił w pochwie, a w następnej głowa tamtego toczyła się po ziemi.

- Boże, miej nas w opiece! Co zrobić, pilocie? - spytał Jan Roper.

- Czekać i dochodzić do sił. Niedługo przyjedzie ich wódz. . a wtedy wszystko załatwimy.

Vinck przyglądał się samurajowi w ogrodzie, który siedział bez ruchu na piętach przy bramie.

- Spójrzcie na tego drania. Siedzi tam od wielu godzin i ani drgnie, nie odezwie się, nawet nie podłubie w nosie.

- Ale nie sprawia jak dotąd kłopotów, Johann. Najmniejszych - powiedział van Nekk.

- Owszem, ale my przecież tylko śpimy, dupczymy i zjemy te pomyje.

- Pilocie, on jest tylko jeden. A nas dziesięciu - rzekł cicho Ginsel.

- Myślałem o tym. Ale jeszcze nie całkiem wyzdrowieliśmy. Wyleczenie szkorbutu zajmie z tydzień - odparł zaniepokojony Blackthorne. - Na statku jest ich za dużo. Wolałbym nie mierzyć się z nimi bez włóczni albo arkebuza w rękę. Pilnują was w nocy?

- Tak. Ze trzy, cztery razy zmieniają warty. Czy któryś z was zauważył, żeby jakiś strażnik spał? - spytał Van Nekk.

- Pokręcili przecząco głowami., Dziś wieczorem możemy się dostać na pokład - powiedział Jan Roper. - Z Bożą pomocą zwyciężymy pogan i weźmiemy statek.

- Oczyszczyć sobie uszy z gówna! Przecież pilot dopiero co ci mówił! Nie słuchałeś?!

Vinck splunął z obrzydzeniem.

- Właśnie - poparł go artylerzysta Pieterzoon. - Przestań się czepiać starego Vincka!

Oczy Jana Ropera zwęziły się jeszcze bardziej.

- Wejrzyj w swą duszę, Johannie Vincku - powiedział. - A ty w swoją, Hansie Pieterzoonie.

Zbliża się Sądny Dzień!

Odszedł i usiadł na werandzie.

- Wszystko będzie dobrze. Zobaczycie - przerwał milczenie van Nekk.

- Roper ma rację. Przywiodła nas tu chciwość - oświadczył drżącym głosem młodzik Croocq. -

To kara boska za. .

- Przestań!

Chłopak wzdrygnął się.

- Tak, pilocie. Przepraszam, ale. . cóż. . - Maximilian Croocq był z nich najmłodszy, miał

zaledwie szesnaście lat i popłynął na tę wyprawę wyłącznie dlatego, że jego ojciec dowodził jednym ze statków, a ponadto dlatego, bo mieli zdobyć majątek. Był jednak świadkiem strasznej śmierci ojca podczas plądrowania hiszpańskiego miasta Santa Magdalena w Argentynie. Zdobywczy był obfity, poznał tam, co to przemoc i sam jej skosztował, pełen odrazy do siebie, przesiąknięty odorem mordy i krwi. Później oglądał śmierć jeszcze innych znajomych, z pięciu statków ostał się jeden, w tej chwili zaś miał uczucie, jakby był najstarszym z załogi. - Przepraszam. Przepraszam.

- Jak długo jesteśmy na brzegu, Baccusie? - spytał Blackthorne.

- Trzeci dzień. - Van Nekk znów podszedł do niego i przykucnął. - Nie za bardzo pamiętam, jak dopłynęliśmy, ale kiedy się ocknąłem, na statku wszędzie pełno było tych dzikusów. Niemniej zachowywali się bardzo grzecznie i życzliwie. Dali nam jedzenie i gorącą wodę. Zabrali zmarłych i rzucili kotwice. Wiele nie pamiętam, ale chyba przyholowali nas w bezpieczne miejsce. Kiedy przewozili cię na brzeg, majaczyłeś. Chcieliśmy, żebyś został z nami, ale nie pozwolili. Jeden wypowiedział kilka słów po portugalsku. Zdaje się, że był to naczelnik tej wsi, miał siwe włosy. Nie rozumiał tytułu „naczelnny pilot”, ale znał słowo „kapitan”. Było oczywiste, że chce, aby nasz kapitan mieszkał oddzielnie, powiedział jednak, żeby się o ciebie nie martwić, bo dobrze się tobą -

zaopiekują. Nami również. A potem przyprowadził nas tutaj, przeważnie jednak nas nieśli, i oznajmił, że zostaniemy tu do przybycia jego kapitana. Nie chcieliśmy, żeby cię zabrali, ale nic nie mogliśmy poradzić. Spytasz się naczelnika o wino albo brandy, pilocie? - Van Nekk chciwie oblizał

wargi, po czym dodał: - Teraz, kiedy o tym myślę, to przypominam sobie, że zwracając się do mnie, też wymienił słowo „daimyō”. Co będzie, kiedy przyjedzie ten daimyō?

- Czy któryś z was ma nóż albo pistolet?

- Nie - odparł van Nekk, z roztargnieniem drapiąc się w zawszoną głowę. - Zabrali nam do prania całe odzienie i zatrzymali naszą broń. Wtedy nie przywiązywałem do tego znaczenia. Zabrali mi również klucze, razem z pistoletem. Wszystkie klucze nosiłem na kółku. Do skarbcza, do kasy pancерnej, do magazynu.

- Na pokładzie wszystko jest szczelnie zamknięte. Nie ma powodu do obaw.

- Ale nie podoba mi się, że nie mam kluczy. Bardzo się tym denerwuję. Niech mnie kule biją, ale z wielką chęcią napiłbym się teraz brandy. A nawet wypiłbym dzban piwa.

- Jezu Chryste! Ten samuraj poszatkował go na kawałki, tak? - odezwał się nie wiadomo do kogo Sonk.

- Zamknij się, na miły Bóg! Mówi się „samuraj”! Zesrać się można od twojego gadania - powiedział Ginsel.«

- Mam nadzieję, że ten drań zakonnik tu nie przyjdzie - rzekł Vinck.

- W ręku Pana Boga jesteśmy bezpieczni. - Van Nekk nadal starał się mówić z przekonaniem. -

Kiedy przyjedzie ten daimyō, wypuszczą nas. Zwrócą nam statek i pistolety. Zobaczycie.

Sprzedamy wszystkie towary, a potem wrócimy do Holandii bogaci, szczęśliwie opłynąwszy Ziemię jako pierwsi Holendrzy na świecie. A katolicy pójdą do piekła i koniec.

- Wcale nie koniec - powiedział Vinck. - Na myśl o papistach cierpnie mi skóra. Nic na to nie poradzę. Na myśl o nich i o konkwistadorach. Jak myślisz, pilocie, dużo ich tu jest?

- Nie wiem. Pewnie tak! Szkoda, że nie jesteśmy tu z całą eskadrą.

- Biedaczyska - rozculił się Vinck. - Ale przynajmniej my żyjemy., Może są już W domu -

powiedział Maetsukker. - Może zawrócili z Cieśniny Magel ana, kiedy rozproszyły nas burze.

- Obyś się nie mylił - rzekł Blackthorne. - Myślę jednak, że te statki przepadły razem z załogami.

- Przynajmniej my żyjemy - powtórzył za Vinckiem Ginsel, wzdrygając się., Ponieważ są tu papiści i ci poganie z ich nieobliczalnymi humorami, to nie dałbym za nasze życie nawet szpary wysłużonej dziewczki.

- Niechaj będzie przeklęty dzień, w którym opuściłem Holandię - poskarżył się Pieterzoon. -

Niechaj będzie przeklęty grog! Gdybym nie schlał się w cztery dupy, to nadal bym sobie leżał z moją starą w łóżku w Amsterdamie.

- Możesz sobie przeklinać, jak ci się żywnie podoba, Pieterzoon, ale nie przeklinaj grogu! To woda życia!

- A ja uważam, że po szyję siedzimy w gnojówce i że jej szybko przybywa. - Vinck przewrócił oczami. - Tak jest, bardzo szybko.

- Ja w ogóle nie myślałem, że dopłyniemy do brzegu - rzekł Maetsukker. - Z wyglądu przypominał kreta, tyle że bezzębego. - W ogóle. A już najmniej, że do Japonii. Przekłęci, parszywi papiści! Nie wyjdziemy stąd żywi! Żeby tak mieć pistolety! Co za fatalne lądowanie! Ja nie miałem, na myśli nic złego, pilocie - dorzucił prędko, kiedy Blackthorne spojrzał na niego. - To zwykły pech, i tyle.

Później służba znów przyniosła im posiłek. To samo co zawsze: gotowane i surowe warzywa, lekko doprawione octem, zupę rybną i kleik z pszenicy czy jęczmienia. Wszyscy wzgardzili małymi kawałeczkami surowej ryby i zażądali mięsa i trunku. Ale nie zrozumiano ich, a potem, przed zachodem słońca, Blackthorne odszedł. Zmęczyły go ich obawy, animozje i sprośności. Zapowiedział im, że wróci wczesnym rankiem.

W sklepikach przy wąskich uliczkach panował ruch. Odnalazł swoją ulicę i bramę domu.

Zakrwawioną ziemię zamieciono, a zwłoki zniknęły. Człowiek ma niemal wrażenie, jakby to wszystko mu się przyśniło, pomyślał. Furtka do ogrodu otworzyła się, zanim jeszcze zdążył dotknąć jej ręką.

Stary ogrodnik, który nadal miał na sobie jedynie opaskę na biodra, uśmiechnął się do niego promiennie i ukłonił.

- Konbanwa - powiedział.

- Witam - odparł Blackthorne, nie zastanawiając się nad tym, co mówi. Podeszedł do schodów i przypomniawszy sobie o butach, zatrzymał się. Zdjął je, a potem bosy wszedł na werandę i do pokoju. Przeszedł przez niego na korytarz, ale nie potrafił odnaleźć swojej izby.

- Onna! - zawołał.

- Hai? - odezwała się starsza Japonka, która się pojawiła.

- Gdzie Onna?

Stara zmarszczyła brwi i pokazała na siebie.

- Onna! - powiedziała.

- Na miły Bóg - rzekł gniewnie Blackthorne. - Gdzie jest mój pokój? Gdzie jest Onna? -

Odsunął następne kwadratowe drzwi. Na podłodze wokół niskiego stołu siedziało jedząc czworo Japończyków. W jednym z nich rozpoznał siwowłosego naczelnika wioski, który towarzyszył

zakonnikowi. Wszyscy mu się uklonili. - Och, przepraszam - powiedział i zasunął drzwi.

- Onna! - zawołał.

Starsza kobieta myślała przez chwilę, a potem się ukloniła. Podążył za nią drugim korytarzem.

Odsunęła jakieś drzwi. Poznał swój pokój po wiszącym krzyżu. Jego kołdry już starannie i porządnie rozłożono.

- Dziękuję - powiedział z ulgą. - A teraz sprowadź Onnę.

Staruszka odeszła drepcząc. Blackthorne usiadł, ciało i głowa bolały go i żałował, że nie ma tu krzesła. Zastanawiał się, gdzie je trzymają. Jak się dostać na statek? Jak zdobyć pistolety? Na pewno jest jakiś sposób.

Drobne kroczyki powróciły i tym razem pojawiły się trzy kobiety - starsza, młoda dziewczyna o okrągłej twarzy i niewiasta w średnim wieku.

Staruszka wskazała na lekko wystraszoną dziewczynę.

- Onna - powiedziała.

- Nie. - Rozeźlony Blackthorne wstał i palcem wskazał kobietę w średnim wieku. - To jest Onna, na miły Bóg! Czy wy nie wiecie, jak się nazywa? Onna! Jestem głodny. Mogę dostać coś do jedzenia?

Potań dłońią brzuch, pokazując, że zgłodniał. Kobiety wymieniły spojrzenia. A potem ta w średnim wieku wzruszyła ramionami, powiedziała coś, co rozśmieszyło jej towarzyszek, podeszła do posłania i zaczęła się rozbierać. Pozostałe dwie przysiadły, patrząc wyczekująco szeroko rozwartymi oczami.

- Co robisz? - spytał zatrwożony Blackthorne.

- Ishimasho! - powiedziała, odkładając na bok szeroką szarfę i rozchylając kimono. Piersi miała płaskie, wysuszone, a brzuch duży.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że chce się położyć na posłaniu. Potrząsnął głową, kazał

jej się ubrać, wziął za rękę, a wtedy wszystkie Japonki naraz zaczęły paplać i gestykulować, kobietę zaś wyraźnie to wszystko zgniewało. Uwolniła się z długiej halki i naga próbowała wrócić na posłanie.

Nagle paplanina umilkła i wszystkie trzy ukłoniły się, bo, na korytarz wyszedł cicho naczelnik wioski.

- Nanda? Nanda?- spytał.

Stara kobieta wyłożyła mu sprawę.

- Chcesz tę kobietę? - spytał z niedowierzaniem w naznaczonej silnym akcentem, ledwo zrozumiałej portugalszczyźnie, wskazując nagą Japonkę.

- Nie. Nie, oczywiście, że nie. Chciałem tylko, żeby Onna przyniosła mi coś do jedzenia. -

Blackthorne zniecierpliwionym gestem wskazał kobietę. - Onna!

- Onna znaczy „kobieta”. - Gospodarz wskazał na wszystkie trzy Japonki: - Onna. . onna. .

onna. Chcesz onna? Blackthorne ze znużeniem pokręcił głową.

- Nie. Nie, dziękuję. Pomyliłem się. Przepraszam. Jak się nazywa?

- Proszę?

- Jak jej na imię?

- A! Imię jej Haku. Haku - powtórzył naczelnik. - Haku?

- Hai. Haku!

Przepraszam, Haku-san. Myślałem, że masz na imię Onna. Japończyk wyjaśnił to Haku, co bynajmniej jej nie ucieszyło. Ale powiedział też coś jeszcze, a wtedy wszystkie spojrzały na Blackthorne'a, zachichotały, osłaniając usta dłońmi, i opuściły pokój. Haku odeszła naga, nadzwyczaj godnie, z kimonem przerzuconym przez ramię.

- Dziękuję - powiedział Blackthorne, wściekły na siebie za okazaną głupotę.

- To mój dom. Imię mam Mura - przedstawił się Japończyk.

- Mura-san. A ja Blackthorne.

- Proszę?

- Ja nazywam się Blackthorne.

- A! Berr-rek-fon.

Mura próbował wymówić to kilka razy, ale bez powodzenia. Wreszcie dał za wygraną i ponownie z wielką uwagą zaczął się przyglądać olbrzymowi, który stał przed nim. Był to pierwszy barbarzyńca, jakiego oglądał na oczy, nie licząc ojca Sebastio i tamtego drugiego księdza wiele lat temu. No, ale w końcu księży są ciemnowłosi, ciemnoocy i normalnego wzrostu. A ten jest wysoki, złotowłosy i złotobrody, ma niebieskie oczy i dziwnie bladą skórę tam, gdzie jest zasłonięta, i czerwoną tam, gdzie odkryta. Zdumiewające! - orzekł. Myślałem, że wszyscy ludzie mają czarne włosy i ciemne oczy. Wszyscy mamy takie. Mają takie Chińczycy, a czyż Chiny to nie cały świat, jeśli nie liczyć kraju portugalskich barbarzyńców? Zdumiewające! A poza tym dlaczego ojciec Sebastio tak bardzo nienawidzi tego człowieka? Bo jest on czcicielem Szatana? Wątpię, bo ojciec Sebastio, gdyby tylko chciał, to potrafiłby przegnać tego diabła liii, nigdy jeszcze nie widziałem zanego ojca tak zagniewanego. Nigdy. Zdumiewające!

Czy niebieskie oczy i złote włosy to znamiona Szatana?

Mura spojrział na Blackthorne'a i przypomniał sobie, jak próbował go wypytać na pokładzie statku i jak potem, kiedy ten kapitan stracił przytomność, postanowił przewieźć go do swojego domu, gdyż jako dowódcy należały mu się specjalne względy. Ułożyli go na kołdrze i rozebrali z niemałym zaciekawieniem.

- Jego Niezrównane Organy są na pewno imponujące, ne? - zagadnęła matka Mury, Saiko. -

Ciekawe, jak duży będzie, kiedy się podniesie.

- Duży - odparł i wszyscy się roześmieli: jego matka, żona, znajomi, służba, również lekarz.

- Spodziewam się, że ich kobiety są na pewno.. na pewno równie szczerze obdarzone przez naturę - powiedziała jego żona Niji.

- Bzdury opowiadasz, dziewczyno - odparła na to jego matka. - Każda z naszych kurtyzan łącznie by mu wygodziła. - Z podziwem potrząsnęła głową. - W całym życiu nie widziałam takiego u nikogo. Jest bardzo niezwykły, ne?

Umyły go, ale się nie ocknął. Lekarz uznał, że nieroztropnie byłoby go dokładnie kąpać, zanim nie odzyska przytomności.

- Może powinniśmy mieć na względzie, że właściwie nie bardzo wiemy, jaki jest naprawdę ten barbarzyńca, Mura-san - powiedział z mądrą powściągliwością. - Przykro mi, ale przez pomyłkę moglibyśmy go zabić. Na pewno jest skrajnie wyczerpany. Powinniśmy okazać cierpliwość. -

- Ale co z wszami w jego włosach? - spytał Mura.

- Na razie muszą pozostać. O ile wiem, to mają je wszyscy barbarzyńcy. Przykro mi, ale doradzam cierpliwość.

- Nie sądzisz, że moglibyśmy umyć mu przynajmniej głowę? - spytała żona Mury. - Zrobimy to bardzo ostrożnie. Jestem pewna, że gospodyni pokieruje naszymi niedoskonałymi staraniami.

Powinno to dopomóc barbarzyńcy, a nasz dom utrzymać w czystości.

- Zgoda. Możecie mu umyć głowę - przesądziła sprawę jego matka. - Ale bezwarunkowo chciałabym zobaczyć, jaki duży on jest, kiedy mu się podniesie.

Mura mimowolnie spojrział na Blackthorne'a. I wówczas przypomniał sobie, co ksiądz mówił im o tych satanistach i piratach. Boże Ojczy, chroń nas ode złego, pomyślał. Gdybym wiedział, że jest taki straszny, nigdy bym go nie wprowadził pod swój dach. Nie, nie, rzekł do siebie. Masz obowiązek traktować go jako wyjątkowego gościa aż do chwili, kiedy Omi-san nie każe inaczej. Ale mądrze zrobiłeś, zawiadamiając księdza i natychmiast powiadamiając szanownego Omi. Bardzo mądrze. Jesteś naczelnikiem, ochroniłeś wieś i wyłącznie ty za nią odpowiadasz.

Tak. A Omi-san ciebie uczyni odpowiedzialnym za tę śmierć dzisiaj rano oraz za zuchwalstwo zabitego, i całkiem słusznie.

- Nie bądź głupcem, Tamazaki! Narażasz na szwank dobre imię naszej wioski, ne? - ostrzegał

tuzin razy swojego przyjaciela rybaka. - Skończ z tą nietolerancją. Omi-san nie ma innego wyboru, jak tylko szydzić z chrześcijan. Czyż nie nienawidzi ich nasz daimyō? Co innego może zrobić szlachetny Omi?

- Nic, przyznaję, Mura-san, zechciej mi wybaczyć - odpowiadał mu równie konwencjonalnie Tamazaki. - Ale buddyści powinni być bardziej wyrozumiali, ne? Czyż obaj nie praktykują buddyzmu zen?

Zasadą buddyzmu zen była dyscyplina wewnętrzna - polegał on w wielkim stopniu na samowystarczalności w działaniu i medytacji zmierzających do osiągnięcia stanu Oświecenia. Do sekty zen należała większość samurajów, ponieważ odpowiadała im ona i wydawała się wprost stworzona dla dumnych, szukających śmierci rycerzy.

- Tak, buddyzm uczy wyrozumiałości. Ale ile razy trzeba ci powtarzać, że to są samuraje i że znajdujemy się w Izu, a nie Kiusiu, a nawet gdyby to było Kiusiu, to i tak nie miałbyś racji. Nigdy.

Ne?

- Tak. Zechciej mi wybaczyć, wiem, że nie mam racji. Ale czasem czuję, że nie wolno mi żyć ze wstydem w duszy, - kiedy Omi-san lży Prawdziwą Wiarę.

No i nie żyjesz, Tamazaki, z własnego wyboru, ponieważ znieważyłeś szanownego Omi, nie

kłaniając się mu tylko dlatego, że powiedział słowa „ten cuchnący ksiądz obcego wyznania”. A przecież nasz ksiądz rzeczywiście cuchnie, a Prawdziwa Wiara jest obca. Biedny przyjacielu. Ta wiara nie wyżywi teraz twojej rodziny ani nie wywabi plamy na dobrej opinii wioski.

Och, Przenajświętsza Panno, pobłogosław mojego starego druha i zapewnij mu wieczną szczęśliwość w Niebie.

Spodziewaj się fury kłopotów ze strony szlachetnego Omiego, prze strzegł się w duchu Mura.

A jakby jeszcze tego było mało, przyjeżdża do nas daimyō.

Ilekróć pomyślał o swoim feudalnym władcy, Kasigi Yabu, daimyō Izu, wuju Omiego, człowieku okrutnym i nieszlachetnym, o tym, jak okrada wszystkie wioski z należnych im części połowów i, plonów, i o miazdzącym brzemieniu jego rządów, ogarniał go dojmujący lęk. Z kim się sprzymierzy Yabu, kiedy wybuchnie wojna, z panem Ishido czy z panem Toranagą? - zadawał sobie pytanie.

Siedzimy w potrzasku pomiędzy dwoma olbrzymami, uzależnieni od obydwu.

Na północ stąd są dobra Toranagi, największego żyjącego wodza, władcy Kantō - Ośmiu Prowincji, najważniejszego daimyō w kraju i naczelnego dowódcy Armii Wschodu, Na zachodzie zaś włości Ishido, pana na zamku w Osace, zdobywcy Korei, Opiekuna Następcy, naczelnego dowódcy Armii Zachodu. Od północy natomiast biegnie Tokaidō, Wielka Nadmorska Droga, która łączy stolicę Toranagi Edo z Osaka, stolicą Ishido - trzysta mil na zachód, które muszą pokonać w marszu ich oddziały.

Kto wygra tę wojnę?

Nikt.

Ponieważ wojna znowu ogarnie całe cesarstwo, sojusze się rozpadną, prowincje zaczną walczyć z prowincjami, a wreszcie wioski z wioskami, tak jak było zawsze. Z wyjątkiem ubiegłych dziesięciu lat. Nie do wiary, ale przez te dziesięć lat po raz pierwszy w historii w całym cesarstwie panowało bezwojnie, zwane pokojem.

Zaczynałem już lubić pokój, pomyślał Mura.

Ale człowiek, który doprowadził do pokoju, nie żyje. Ten chłopski żołnierz, który stał się samurajem, potem generałem, a później największym wodzem, na końcu zaś taikō, absolutnym władcą protektorem Japonii, zmarł rok temu, a jego siedmioletni syn jest o wiele za młody, żeby odziedziczyć absolutną władzę. Tak więc chłopiec, podobnie jak my, jest uzależniony. Od tych dwóch olbrzymów. No a wojna jest nieunikniona. Teraz nawet i taikō nie może sam obronić ukochanego syna, dynastii, dziedzictwa ani imperium.

Być może tak powinno być. Taikō podbił kraj, ustanowił pokój, zmusił wszystkich daimyō, żeby płaszczyli się przed nim niczym chłopcy, według swoich zachcianek pozamieniał lenna - jednych wyniósł, innych usunął - no a potem zmarł. Był olbrzymem pomiędzy karłami. Ale może to sprawiedliwie, że jego dzieło i wielkość odeszły wraz z nim. Czyż człowiek nie jest tylko kwiatem

wniesionym przez wiatr i jedynie góry, morze, gwiazdy i ta Kraina Bogów są wieczne i rzeczywiste?

Wszyscy jesteśmy uzależnieni, taka jest prawda. Sam Yabu zadecyduje, po której jesteśmy stronie, taka jest prawda. Wieś zawsze będzie wsią, bo pola ryżowe są żyzne, a morze zasobne, i taka jest ostatnia z prawd.

Mura na dobre powrócił myślami do pirata barbarzyńcy, który stał przed nim.

- Jesteś diabłem zesłanym na nasze skaranie, pomyślał, i odkąd przyplynałeś, mamy przez ciebie same kłopoty. Czemu nie wybrałeś sobie innej wioski? - Kapitan-san chce onna? - spytał

usłudnie.

Na jego, propozycję rada wioski poczyniła przygotowania do przyjęcia reszty barbarzyńców, już to z grzeczności, już to po to, żeby po prostu wypełnić im czas aż do przyjazdu zwierzchności.

To, że po wszystkim wieś zapewniała sobie dobrą zabawę dzięki opowieściom o obłąpiankach, z nadatkiem zwracało pieniądze, które musiała na ten cel wyłożyć.

- Onna? - powtórzył, wnioskując oczywiście, że skoro pirat stoi, to z równą radością legnie na brzuchu, rozgrzewając sobie przed snem swą Niebiańską Włócznię, a w każdym razie wszystko było przygotowane.

- Nie! - odparł Blackthorne, który marzył jedynie, żeby zasnąć. Ale ponieważ zdawał sobie sprawę, że potrzebuje mieć tego Japończyka po swojej stronie, zmusił się do uśmiechu i wskazał na krzyż. - Jesteś chrześcijaninem?

Mura skinął głową.

- Kreścianem.

- Ja jestem chrześcijaninem.

- Ojciec mówi, że nie. Nie kreścianem.

- Jestem chrześcijaninem. Nie katolikiem. Ale mimo to chrześcijaninem.

Mura nie mógł jednak tego pojąć. Blackthorne zaś, choćby nie wiem jak się starał, nie potrafiłby mu tego wytłumaczyć.

- Chce onna?

- Ten. . ten dimyō.. kiedy przyjeżdża?

- Dimyō?. . Nie rozumie.

- Dimyō.. a, to znaczy, daimyō.

- A, daimyō. Hai, daimyō! - Mura wzruszył ramionami. - Daimyō przyjedzie, kiedy przyjedzie.

Spać. Najpierw myć. Proszę.

- Co?

- Myć. Kapu, proszę.

Mura podszedł bliżej i z odrazą zmarszczył nos.

- Cuchnie. Śmierdzi. Źre. Jak wszyscy Portugizu. Kapu. To czysty dom.

- Wykąpię się, kiedy zechcę, a poza tym ja nie cuchnę! - zawrzał gniewem Blackthorne. -

Każdy wie, że kąpiele są niebezpieczne. Chcesz, żebym dostał fluksa? Myślisz, że Pan Bóg odebrał mi rozum? Zabieraj się stąd do diabła i daj mi spać!

- Kapu! - polecił Mura, oburzony jawnym gniewem barbarzyńcy, co było szczytem złego wychowania. Rzecz bowiem nie tylko w tym, że ten barbarzyńca cuchnął, ale, jak było mu wiadomo, nie kąpał się on od trzech dni, więc nie ulegało wątpliwości, że kurtyzana odmówi spania z nim bez względu na wysokość zapłaty. Ci straszni cudzoziemcy, pomyślał. Zadziwiające! Jakże zdumiewająco wstrętne są ich nawyki. Odpowiadam za ciebie. Nauczymy cię dobrych manier. Będziesz się kąpał

jak człowiek i matka dowie się tego, czego pragnie się dowiedzieć. - Kapu!

- Wynoś się stąd, zanim cię rozedrę na kawałki! - odparł Blackthorne, mierząc go groźnie wzrokiem i wyprasząc gestem.

Po krótkiej chwili zjawili się trzej Japończycy wraz z trzema kobietami. Mura wyjaśnił im krótko, w czym rzecz, a potem rzekł stanowczo do Blackthorne'a:

- Kapu. Proszę.

- Precz!

Mura wszedł sam do pokoju. Blackthorne wyciągnął rękę, nie chcąc mu zrobić krzywdy, a jedynie odepchnąć. I nagle krzyknął z bólu. Mura uderzył go w łokieć tak, że odebrał mu władzę w ręce, która natychmiast zwisała mu bezwładnie. Rozwścieczony, zaatakował Japończyka. Ale izba zawirowała mu przed oczami, a potem upadł na twarz, poczuł w plecach jeszcze jedno obezwładniające ukłucie bólu i nie mógł się poruszyć.

- O mój Boże. .

Spróbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. A wówczas Mura ze spokojem wystawił

swój mały, ale twardy jak żelazo palec i nacisnął spłot nerwowy na jego szyi. Ból był oślepiający.

- Jezu Przenajświętszy. .

- Kapu? Proszę.

- Tak. . tak - wysapał Blackthorne w paroksyzmie bólu, zdumiony, że tak niepozorny mężczyzna wziął nad nim górę i że oto leży bezradny jak dziecko, gotów na rzeź.

Wiele lat temu Mura wyuczył się sztuki dzudo i karate, podobnie jak władania włócznią i mieczem. Działo się to w czasach, gdy był wojownikiem, walczył dla Nakamury, chłopskiego generała, taikō - na długo przedtem nim taikō stał się taikō - w czasach, kiedy chłopci mogli być samurajami, a samuraje chłopami, rzemieślnikami albo nawet skromnymi kupcami, po czym od nowa wojownikami.

Dziwne, pomyślał z roztargnieniem Mura, spoglądając na powalonego olbrzyma, że zaraz, prawie na samym początku, po zdobyciu pełnej władzy taikō rozkazał wszystkim chłopom zaniechać żołnierki i natychmiast oddać całą broń. Taikō po wsze czasy zabronił chłopom posiadania broni i ustanowił

nieznany do tej pory system kastowy, któremu podlegali wszyscy w cesarstwie: na samej górze stali samuraje, niżej chłopci, następnie rzemieślnicy, potem kupcy, stojący wyżej od aktorów, wyrzutków i bandytów, a wreszcie na samym dole drabiny społecznej eta, nieludzie, ci, którzy zajmowali się ciałami martwych, wyprawianiem skór i padłymi zwierzętami, ponadto zaś pełnili rolę katów publicznych, wypalających piętna i obcinających członki. Na drabinie tej nie było oczywiście miejsca dla żadnego barbarzyńcy.

- Wybacz mi, proszę, kapitan-san - rzekł Mura, nisko się kłaniając, zażenowany, że barbarzyńca do tego stopnia stracił twarz, iż leży, kwiląc niczym niemowlę przy piersi. Tak jest, bardzo tego żałuję, ale musiałem to zrobić, pomyślał. Rozdrażniłeś mnie ponad wszelki rozsądek, nawet jak na barbarzyńcę. Krzyczałeś jak szaleniec, napędziłeś strachu mojej matce, zakłóciłeś spokój tego domu, zaniepokoiłeś służbę, a żona musi wymienić drzwi shoji na nowe. W żaden sposób nie mogłem pozwolić na tak oczywisty brak wychowania. Ani na to, byś zachowywał się wbrew moim życzeniom w moim własnym domu. Zrobiłem to doprawdy dla twojego dobra. Z drugiej strony nie stało się nic takiego, bo przecież wy, barbarzyńcy, nie macie do stracenia żadnej twarzy. Z

wyjątkiem księży, którzy są inni. Co prawda, straszliwie cuchną, ale są wybrańcami Boga Ojca, dzięki czemu są ogromnie godni. Ale ty, ty jesteś zarówno kłamcą, jak piratem. Bez honoru.

Zdumiewające! Podawać się za chrześcijanina! To ci, niestety, nic nie pomoże. Nasz daimyō nienawidzi Prawdziwej Wiary oraz barbarzyńców i toleruje ich jedynie z musu. Ale ty nie jesteś Portugalczykiem ani chrześcijaninem, dlatego prawo cię nie chroni, ne? Więc mimo że jesteś skazany na śmierć, a co najmniej na okaleczenie, mam obowiązek dopilnować, abyś poszedł czysty na spotkanie swojego losu. - Kapu bardzo dobra!

Pomógł pozostałym przenieść ciągle jeszcze oszołomionego Blackthorne'a przez dom, przez ogród pod zadaszonym chodnikiem, z którego był bardzo dumny, i wnieść go do łaźni. Kobiety podążyły za nimi.

Okazało się to jednym z największych przeżyć w jego życiu. Wiedział, że będzie opowiadał tę historię wciąż od nowa swoim niedowierzającym znajomkom przy beczułce gorącego sake, narodowego japońskiego wina, wioskowej starszyźnie, rybakom, wieśniakom i swoim dzieciom, które również nie od razu mu uwierzą. One zaś z kolei uraczą tą opowieścią swoje dzieci i tak imię rybaka Mury będzie żyć po wsze czasy w wiosce Anjiro, leżącej w prowincji Izu na południowo-wschodnim wybrzeżu głównej japońskiej wyspy Honsiu. A wszystko dzięki temu, że on, Mura rybak, miał

szczęście być naczelnikiem wsi w pierwszym roku po śmierci taikō, i dlatego przez pewien czas był odpowiedzialny za przywódcę dziwnych barbarzyńców, którzy przyплыли ze wschodniego morza.

2.

- Daimyō, Kasigi Yabu, władca Izu, chce wiedzieć, kim jesteście, skąd przybywacie, jak się tu dostaliście i jakich pirackich czynów żeście się dopuścili - powiedział ojciec Sebastio.

- Powtarzam ci, że nie jesteśmy piratami.

Ranek był pogodny i ciepły, Blackthorne klęczał przed podestem na wiejskim placu, a głowa wciąż jeszcze bolała go od uderzenia. Zachowaj spokój i myśl, powiedział sobie. To jest proces o nasze życie. Reprezentujesz załogę, i tyle. Ten wrogo nastawiony jezuita jest jedynym dostępnym tłumaczem, więc nie masz sposobu sprawdzić, co mówi, ale jednego możesz być pewien - że ci nie pomoże. . „Zachowaj czujność, chłopcze - niemal słyszał w uszach nauki Albana Caradoca. - Kiedy burza sroży się najbardziej, a morze jest najstraszniejsze, wtedy musisz być czujny jak nigdy.

Dzięki temu ocalisz siebie i statek, jeśliś jest prawdziwym pilotem. Zachowaj czujność i co dzień wyciskaj z życia, co się da, choćby było to nie wiem jak niedobre. .” Sokiem życia tego dnia jest żółć, pomyślał z goryczą Blackthorne. Dlaczego tak wyraźnie słyszę głos Albana?

- Najpierw powiedz daimyō, że toczymy ze sobą wojnę, że jesteśmy wrogami - rzekł. -

Powiedz mu, że Anglia i Niderlandy prowadzą wojnę z Hiszpanią i Portugalią.

Ostrzegam cię jeszcze raz, żebyś mówił prosto i nie przekręcał faktów. Niderlandy albo inaczej Holandia,- Zelandia, Zjednoczone Prowincje, czy jak tam jeszcze wy, parszywi holenderscy buntownicy, je zwiecie, są małą zbuntowaną prowincją Imperium Hiszpańskiego. Prze wodzisz zdrajcom, którzy wystąpili przeciwko swojemu prawowitemu królowi.

- Anglia toczy wojnę, a Niderlandy oddzie. . - Blackthorne nie dokończył zdania, ponieważ zakonnik przestał go słuchać i zaczął tłumaczyć., Niski, przysadzisty i władczy daimyō zajmował

miejsce na podeście. Klęczał wygodnie, zgrabnie podwinąwszy stopy, otoczony czterema porucznikami, wśród których był Kasigi Omi, jego bratanek i wasal. Wszyscy nosili jedwabne kimona, a na nich ozdobne kaftany z dużymi, sztywnymi ramionami, ściśnięte w talii szerokimi pasami. Do tego zaś nieodłączne miecze.

Mura klęczał na ziemi. Był na placu jedynym wieśniakiem. Pięćdziesięciu samurajów, którzy przybyli tu z daimyō, siedziało w karnych, milczących szeregach. Za plecami Blackthorne'a klęczała tak jak i on jego żeglarska czereda, a nie opodał strażnicy. Kiedy po nich posłano, musieli przynieść ze sobą, pomimo jego choroby, dowódcę wyprawy. Pozwolono ułożyć go, nadal półprzytomnego, na ziemi. Stanąwszy przed obliczem daimyō, Blackthorne i jego towarzysze ukłonili się, ale to nie wystarczyło. Samuraje rzucili ich wszystkich na kolana i niczym wieśniakom przycisnęli głowy do ziemi. Próbował się stawiać i krzychał do księdza, by wyjaśnił, że nie przywykli do takiego traktowania, że jest dowódcą, emisariuszem ich kraju i powinni się z nim stosownie obchodzić. Ale cios trzonkiem włóczni zachwiał nim. Jego załoga przygotowała się do ataku, ale krzyknął im, by poniechali tego i uklękli. Na szczęście usłuchali go. Daimyō powiedział coś gardłowo, a zakonnik przetłumaczył, że mają mówić prawdę, szybko i bez ociągania. Blackthorne zażądał krzesła, ale

jezuity odparł, że Japończycy nie używają krzeseł i że w Japoni w ogóle ich nie ma.

Kiedy Sebastio mówił do daimyō, Blackthorne skupił uwagę na nim, szukając jakiejś wskazówki sposobu na pokonanie tej przeszkody.

Na twarzy daimyō widać butę i okrucieństwo, pomyślał. Założę się, że to wyjątkowe bydlę.

Zakonnik nie mówi po japońsku płynnie. Aha, widzisz? To oznaki irytacji i zniecierpliwienia. Czyżby daimyō zażądał innego słowa, bardziej zrozumiałego? Chyba tak. Dlaczego ten jezuita nosi pomarańczową sutannę? Czy daimyō jest katolikiem? Przyjrzyj się, jezuita jest bardzo uległy i mocno się poci. Założę się, że daimyō nie jest katolikiem. Wyrażaj się dokładniej! Być może nim nie jest. Tak czy owak nie licz na jego litość. Jak by tu wykorzystać to złe bydlę? Jak by tu przemówić do niego bezpośrednio? W jaki sposób załatwić księdza? Jak go skompromitować? Jakiej użyć przynęty? No, szybciej, myśl! Wiesz dostatecznie dużo o jezuitach. .

- Daimyō każe ci rychlej odpowiadać na pytania.

- Tak. Oczywiście, przepraszam. Nazywam się John Blackthorne. Jestem Anglikiem, naczelnym pilotem flotyl i niderlandzkiej. Naszym macierzystym portem jest Amsterdam.

- Flotyl i? Jakiej flotyl i? Kłamiesz. Żadnej flotyl i nie ma. Dlaczego to Anglik jest pilotem holenderskiego statku?

- Wszystko w swoim czasie. Najpierw zechciej przełożyć to, co powiedziałem.

- Dlaczego jesteś pilotem holenderskiego statku pirackiego? Prędzej!

Blackthorne postanowił zaryzykować. Jego głos nabrał nagle ostrości i przeciął ciszę ciepłego poranka.

- Que va! Najpierw przełoż, co powiedziałem, Hiszpanie! Natychmiast!

Zakonnik pokraśniał na twarzy.

- Jestem Portugalczykiem - odrzekł: - Już ci to mówiłem. Odpowiedz na pytanie.

- Jestem tu, żeby rozmawiać z daimyō, a nie z tobą. Przełoż, co powiedziałem, ty podrzucony paduchu!

Ksiądz zaczerwienił się jeszcze mocniej i Blackthorne odniósł wrażenie, że nie uszło to uwagi daimyō. Bądź ostrożny, przestrzegł się. Jeżeli przeholujesz, ten żółty bydlak posieka cię na kawałki szybciej niż stado młodych rekinów.

- Powiedz to panu daimyō!

Z rozmysłem ukłonił się nisko w kierunku podestu - i obrawszy taktykę, od której nie było odwrotu, poczuł, jak na ciele zaczyna mu się skraplać pot.

Ojciec Sebastio świadom był, że jego przygotowanie duchowe powinno uczynić go głuchym na obelgi tego pirata i oczywisty zamiar zdyskredytowania go w oczach daimyō. Ale po raz pierwszy nie udało mu się to i się pogubił. Kiedy posłaniec Mury przyniósł do jego misji w sąsiedniej prowincji wiadomość o statku, na myśl o możliwych następstwach tego faktu przeżył wstrząs. To nie może być statek holenderski ani angielski! - orzekł. Na Oceanie Spokojnym nie pojawił się jak dotąd statek heretyków, z wyjątkiem jednostek tego diabła w ludzkiej skórze, korsarza Drake'a, a tutaj, w Azji, ani jeden. Ruty bowiem otoczone były tajemnicą i strzeżone. Natychmiast przygotował się do wyjazdu i wysłał gołębia z pilną wiadomością do swojego przełożonego w Osace żałując, że nie może się go poradzić. Zdawał sobie sprawę, że nie ma prawie żadnego doświadczenia, że przebywa w Japonii zaledwie od dwóch lat i jest tutaj nowy, że nie został jeszcze wyświęcony i brak mu odpowiedniej wiedzy, żeby załatwić tę nagłą sprawę właściwie.

Pośpieszył do Anjiro, licząc na to i modląc się, żeby wieści nie okazały się prawdziwe. Ale statek był holenderski, a pilot Anglikiem, tak więc całkowicie zawładnęła nim straszliwa odraza do szatańskich herezji Lutra, Kalwina, Henryka VIII i tej wcielonej diablidy Elżbiety, jego córki z nieprawego łoża. I w dalszym ciągu mąciła mu zdrowy rozsądek.

- Kapłanie, przetłumacz, co powiedział pirat - usłyszał głos daimyō. O Błogosławiona Matko Boża, rzekł w duchu, dopomóż mi wypełnić Twoją wolę. Dopomóż mi, abym okazał przed daimyō siłę, obdarz mnie darem mowności i daj mi go nawrócić na Prawdziwą Wiarę. Ojciec Sebastio uspokoił się i przemówił z większą pewnością siebie.

Blackthorne słuchał go pilnie, starając się wyłowić słowa i znaczenia. Ojciec Sebastio użył słów „Anglia” i „Blackthorne” oraz wskazał na statek, który spokojnie stał na uwięzi w zatoce.

- Jak się tu dostaliście? - spytał.

- Przez Cieśninę Magelana. Jest o sto trzydzieści sześć dni żeglugi stąd. Powiedz daimyō..

- Kłamiesz. Szlak Magelana otacza tajemnica. Przybyłeś przez Afrykę i Indie. W końcu wyznasz prawdę. Oni stosują tortury.

- Cieśninę otaczała tajemnica. Pewien Portugalczyk sprzedał nam rutę. Jeden z waszych rodaków sprzedał was za trochę judaszowego złota. Wszyscy jesteście głównymi wari! I teraz wszystkie angielskie okręty wojenne i wszystkie holenderskie znają drogę przez Pacyfik. W tej właśnie chwili flota złożona z dwudziestu angielskich liniowców, okrętów wojennych po sześćdziesiąt dział każdy, atakuje Manilę. Koniec z waszym imperium.

- Kłamiesz!

Tak, przyznał w duchu Blackthorne, wiedząc, że udowodnić to kłamstwo można jedynie, jeśli się popłynie do Manili.

- Ta flota będzie nękać wasze morskie szlaki i zniszczy wasze kolonie. Lada tydzień zjawi się tu jeszcze jedna holenderska flota.

Hiszpańsko-portugalska świnia z powrotem trafia do swojego chlewa, a kutas waszego generała jezuitów tkwi w jej zadzie, tam gdzie powinien!

Blackthorne odwrócił się od zakonnika i nisko uklonił daimyō.

- Skaż cię Bóg i twój plugawy język!

- Ano mono wa nani o moshite oru? - warknął zniecierpliwiony daimyō.

Jezuita przemówił szybciej, ostrzejszym tonem, i wymienił nazwisko Magel ana oraz Manilę, ale Blackthorne odniósł wrażenie, że daimyō i jego przybocznicy nie zrozumieli go za dobrze.

Yabu zaczęły nużyć te spytki. Spojrzał na zatokę i na statek, który zawładnął jego myślami, odkąd otrzymał tajną wiadomość od Omiego. Po raz kolejny zastanawiał się, czy to jest ten podarunek bogów, na który liczył.

- Sprawdziłeś już jego ładunek, Omi-san? - spytał dziś rano, zaraz po przyjeździe, ubłocony i mocno zdrożony.

- Nie, panie. Pomyślałem, że najlepiej zrobię zapieczętowując statek do twojego przyjazdu, ale w ładowniach pełno jest skrzyń i bel. Mam nadzieję, że postąpiłem właściwie. Oto wszystkie klucze. Skonfiskowałem je.

- Dobrze.

Yabu przybył z Edo, stolicy pana Toranagi, leżącej ponad sto mil stąd, rozstawnymi końmi, potajemnie i za cenę wielkiego osobistego ryzyka, musiał zaś powrócić równie szybko. Podróż zajęła mu prawie dwa dni jazdy po złych drogach i przez wezbrane wiosenne strumienie, częściowo, wierzchem, częściowo w palankinie.

- Popłynę na ten statek zaraz - oświadczył.

- Powinieneś zobaczyć tych cudzoziemców, panie - powiedział ze śmiechem Orni. - Są niebywali. Większość ma niebieskie oczy, jak syjamskie koty, i złote włosy. Ale najlepsze ze wszystkiego jest to, że są piratami. .

Orni opowiedział mu o księdzu, o tym, co powiedział on o przybyszach, co powiedział pirat i co się wydarzyło, tak więc jego podniecenie wzrosło w trójnasób. Yabu przemógł niecierpliwość, żeby pojechać na statek i złamać pieczęcie. Zamiast tego wykapał się, przebrał i nakazał sprowadzić barbarzyńców przed swoje oblicze.

- Ty, kapłanie! - powiedział ostrym głosem, ledwie rozumiejąc jego kiepską japońszczyznę. -

Dlaczego on jest na ciebie taki wściekły?

- Jest zły. Bo to pirat. Czciiciel diabła.

Yabu pochylił się w stronę Omiego, który siedział po jego lewej ręce.

- Czy rozumiesz, co on mówi, bratanku? Kłamie? Jak myślisz?

Nie wiem, panie. Któż wie, w co naprawdę wierzą barbarzyńcy. Ksiądz chyba rzeczywiście myśli, że ten pirat jest czcicielem diabła. Naturalnie, wszystko to są brednie., Yabu obrócił, się ponownie w stronę księdza, pełen odrazy do niego. Żałował, że nie może go dziś ukrzyżować i raz na zawsze usunąć chrześcijaństwa ze swoich ziem. Ale nie mógł. Chociaż on i inni daimyō byli całkowitymi panami na swoich włościach, to podlegali jednak Radzie Regencyjnej, rządzącej grupie wojskowych, którym taikō ustawowo powierzył władzę na czas niepełnoletności swojego syna, oraz dekretem, jakie wydał on za życia i które nadal prawnie obowiązywały. Jeden z nich, ogłoszony przed wieloma laty, dotyczył portugalskich barbarzyńców i czynił z nich osoby chronione prawem, ich religię tolerowaną - w rozsądnych granicach, księża zaś, w rozsądnych granicach, mogli nawracać na swoją wiarę.

- Ty, kapłanie! Co jeszcze powiedział ten pirat? Co ci mówił? Prędeż! Zaniemówiłeś Pirat mówi złe rzeczy. Złe. O więcej łodziach piratach. . wielu.

- Co znaczy „łodziach piratach”?

- Przepraszam, panie, nie rozumiem.

- „Łodziach piratach” to bez sensu, ne?

- A! Pirat mówi, że inne okręty wojenne są w Manili, na Filipinach.

- Omi-san, rozumiesz, o czym on mówi?

- Nie, panie. Ma straszną wymowę, to prawie bełkot. Czy pirat twierdzi, że więcej pirackich statków jest na wschód od Japoni ?

- Ty, kapłanie! Czy te pirackie statki są daleko od naszych brzegów? Na wschód? Tak?

- Tak, panie. Ale myślę, że pirat kłamie. Mówi, że w Manili.

- Nie rozumiem ciebie. Gdzie jest ta Manila?

- Na wschodzie. Wiele dni żeglugi stąd.

- Gdziekolwiek jest ta Manila, jeżeli przyłyną tu jakieś pirackie statki, to pięknie je powitamy.

- Proszę wybaczyć, ale nie rozumiem.

- Nieważne - odparł Yabu, wyczerpawszy cierpliwość.

Postanowił, że cudzoziemcy zginą, i rozkoszował się tą myślą. Edykt taikō, w którym wymieniano tylko „portugalskich barbarzyńców”, tych ludzi z pewnością nie obejmował, a poza tym tak czy owak

byli oni piratami. Jak tylko sięgał pamięcią, nienawidził barbarzyńców, ich smrodu, brudu, obrzydliwego zwyczaju jedzenia mięsa, ich głupiej religii, zarozumiałości i obmierzłych manier. Co więcej, podobnie jak wszyscy daimyō, wstydził się, że trzymają za gardło tę Krainę Bogów. Japonia i Chiny od wieków toczyły ze sobą wojnę. Chiny nie pozwalały na handel. Chińskie ubrania z jedwabiu były nieodzowne, żeby znośnie przeżyć długie, gorące, wilgotne japońskie lato.

Od pokoleń jedynie niewielkie ilości przemycanych materiałów prześlizgiwały się przez oka chińskiej sieci i były dostępne - po olbrzymich cenach - w Japonii. I wówczas, przed mniej więcej sześćdziesięcioma laty, przyплыли pierwsi barbarzyńcy. Cesarz chiński w Pekinie wyznaczył im małą stałą bazę w Makau na południu Chin i zgodził się wymieniać jedwab na srebro. Japonia miała srebra pod dostatkiem. Wkrótce rozwinął się handel, a oba kraje rozkwitły. Portugalscy pośrednicy wzbogacili się, a ich księża, głównie jezuita, wkrótce stali się dla tego handlu niezbędnymi. Jedynie oni zdołali się wyuczyć chińskiego i japońskiego, stąd też przypadła im rola negocjatorów i tłumaczy.

Wraz z rozkwitem handlu niezbędność duchownych jeszcze bardziej wzrosła. Obecnie coroczna wymiana handlowa osiągnęła takie rozmiary, że wpływała na życie wszystkich samurajów. Tak więc tolerowano księży, tolerowano szerzenie przez nich religii, gdyż w przeciwnym razie barbarzyńcy mogliby odpłynąć, a handel ustać.

Do tej pory na chrześcijaństwo przeszło już sporo bardzo wpływowych daimyō, a nawróciło się wieleset tysięcy Japończyków, których większość mieszkała na Kiusiu, południowej wyspie, leżącej najbliżej Chin i mającej w Nagasaki portugalski port. Tak, musimy tolerować księży i Portugalczyków, pomyślał Yabu, ale nie tych barbarzyńców, nie tych nowych niewiarygodnie złotowłosych i błękitnookich. Ogarnęło go podniecenie. Nareszcie mógł zaspokoić swoją ciekawość, jak też umierają barbarzyńcy, kiedy podda się ich torturom. A miał jedenastu ludzi, jedenaście różnych egzemplarzy ludzkich do wypróbowania. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, dlaczego cierpienia innych sprawiają mu przyjemność. Wiedział tylko, że sprawiają, dlatego uważał je za pożądane i miłe.

- Ten statek, obcy, nieportugalski i piracki, zostaje skonfiskowany z całą zawartością -

oznajmił. - Wszyscy piraci zostają skazani na natychmiastową. .

Szczęka opadła mu ze zdumienia, bo ujrzał, że przywódca piratów nagle rzuca się na księdza, odrywa mu od pasa drewniany krzyż, łamie go na kawałki, ciska je na ziemię, a potem coś bardzo głośno wykrzykuje. Pirat natychmiast ukląkł, a kiedy strażnicy skoczyli ku niemu z uniesionymi mieczami, nisko pokłonił się daimyō.

- Stać! Nie zabijać go! - Yabu był zdumiony, że ktokolwiek mógł okazać się do tego stopnia zuchwały, by zachować się aż tak niegrzecznie w jego obecności. - Ci barbarzyńcy są niepojęci!

- Tak - przyznał mu Orni, w którego głowie wydarzenie to wyzwoliło masę pytań.

Jezuita nadal klęczał, ze wzrokiem utkwionym w kawałkach krzyża. Japończycy przyglądali się, jak trzęsącą się ręką sięga po zbezczeszczone drewno i podnosi je. Powiedział coś cichym, niemal

łagodnym głosem do pirata. Z zamkniętymi oczami złożył dłonie i wolno zaczął poruszać ustami. Przywódca piratów bez jednego drgnienia przyglądał się Japończykom na podeście; patrzył

bez zmruczenia powiek jasnoniebieskimi jak u syjamskiego kota oczami, siedząc przed plebejuszami ze swojej załogi.

- Omi-san - rzekł Yabu. - Najpierw chcę popłynąć na ten statek.

A potem zaczniemy. - Głos mu schryplł, kiedy pomyślał o przyjemności, jaką sobie obiecał. -

Chcę zacząć od tego rudego na końcu szeregu, tego małego.

Orni nachylił się bliżej i ściszył głos.

- Zechciej mi wybaczyć, szanowny panie, ale coś takiego jeszcze się tu nie zdarzyło. Nie zdarzyło się od przyjazdu portugalskich barbarzyńców. Czyż krzyż nie jest dla nich świętym symbolem? Czyż nie okazują zawsze szacunku swoim kapłanom? Czyż publicznie nie klękają przed nimi? Tak jak nasi chrześcijanie? Czyż księża nie mają nad nimi pełnej władzy? Przejdź do rzeczy.

- Wszyscy brzydzą się Portugalczyków, wielmożny panie. Poza tymi z nas, którzy są chrześcijanami, ne? A może ci barbarzyńcy są więcej dla ciebie warci żywi niż martwi?

- Jak to?

- Ze względu na swoją wyjątkowość. Są przeciwnikami chrześcijan. Być może, mądry człowiek zdołałby jakoś wykorzystać tę nienawiść, czy też tę niereligijność, dla swoich celów. Oni należą do ciebie, panie, więc możesz z nimi zrobić, co chcesz. Ne?

Tak. I chcę, żeby cierpieli, pomyślał Yabu. Owszem, ale tym mogę się nacieszyć w każdej chwili. Posłuchaj Omiego, rzekł sobie. Dobry z niego doradca. Ale czy możesz mu w tej chwili ufać?

Czy za jego słowami nie kryje się jakiś utajony powód? Zastanów się.

- Ikawa Jikkyu jest chrześcijaninem - usłyszał słowa bratanka, który wymienił imię i nazwisko jego znenawidzonego wroga, jednego z krewnych i sprzymierzeńców Ishido, włości którego graniczyły na zachodzie z jego prowincją. - Czy ten plugawy kapłan nie tam mieszka?

A może barbarzyńcy dostarczą ci pomysłu, jak zdobyć dostęp do całej prowincji Ikawy. A może i do prowincji Ishido. Kto wie, czy nawet nie do ziem pana Toranagi - dorzucił ostrożnie Orni.

Yabu przyjrzał się uważnie jego minie, próbując dociec, co się pod nią kryje. A potem przeniósł wzrok na statek. Nie miał już dłużej wątpliwości, że zesłali mu go bogowie. Tak. Ale czy był

to dar czy też dopust?

Przedłożył bezpieczeństwo rodu ponad własne przyjemności.

- Zgoda - rzekł. - Ale najpierw złam mi tych piratów. Naucz ich zasad grzeczności. A zwłaszcza tego!

- Na rany Przenajświętszego Jezusa! - mruknął Vinck.

- Powinniśmy zmówić modlitwę - powiedział van Nekk.

- Jedną właśnie zmówiliśmy.

- Może lepiej zmówić jeszcze jedną. Panie Boże w niebiesiech, z chęcią wypiłbym pół kwarty brandy.

Stłoczono ich w głębokiej piwnicy, jednej z wielu, w których rybacy przechowywali ryby wysuszone na słońcu. Samuraje popędzili ich w gromadzie przez wioskowy plac, zmusili do zejścia na dół po drabinie, tak więc teraz siedzieli zamknięci pod ziemią. Wysoka na cztery kroki piwnica, miała wymiary pięć kroków na pięć, a ściany i podłogę z gołej ziemi. Zaopatrzonej w podnoszoną klapę strop wykonano z desek, które były przykryte ziemią na grubość stopy.

- Zejdź mi z drogi, ty przeklęty małpiszonie!

- Zamknij gębę, ty wozignoju! - odparł żartobliwie Pieterzoon. - Ej, Vinck! Posuń się kawałek, ty stary bezzębny grzmocie, masz więcej miejsca niż my wszyscy! Boże, z jaką chęcią napiłbym się chłodnego piwa! Posuń się.

- Nie mogę, Pieterzoon. Jesteśmy ściśnięci ciasniej niż rzyć dziewicy.

- To przez dowódcę wyprawy. Zajął całą piwnicę. Przesuńcie go.

Obudźcie! - powiedział Maetsukker.

- Co? O co chodzi? Zostawcie mnie w spokoju. Co się dzieje? Jestem chory. Muszę leżeć.

Gdzie jesteśmy?

- Zostawcie go. Jest chory. No, Maetsukker, wstań, jak Boga kocham. - Rozgniewany Vinck poderwał Maetsukkera z ziemi i pchnął go na ścianę. Na to, żeby wszyscy naraz mogli leżeć, a nawet wygodnie siedzieć, brakowało miejsca. Dowódca wyprawy, Paulus Spil bergen, z głową ułożoną na zwiniętym płaszczu, leżał wyciągnięty pod wejściem do piwnicy, bo było tam najwięcej powietrza.

Blackthorne siedział wciśnięty w kąt i wpatrywał się w klapę. Załoga dała mu spokój i zaniepokojona trzymała się od niego w miarę możliwości na dystans, na podstawie długiego doświadczenia rozpoznając jego humor, tłącą się gwałtowną wybuchowość, która czaiła się pod zewnętrznym opanowaniem.

Maetsukker rozzłościł się i pięścią zdzielił Vincka między nogi.

- Jeżeli się ode mnie nie odczepisz, to cię zabiję, sukinsynu - zapowiedział.

Vinck rzucił się ha niego, ale Blackthorne pochwycił obu i trzasnął ich głowami o ścianę.

- Zamknijcie się, wszyscy! - rzekł cicho. Posłuchali go. - Po dzielimy się na wachty. Pierwsza śpi, druga siedzi, trzecia stoi. Spil ber gen leży aż do wyzdrowienia. W tym kącie będzie latryna.

Podzielił ich. A kiedy od nowa się rozlokowali, zrobiło się znacznie znośniej.

Musimy się stąd wydostać przed upływem dnia, bo inaczej za bardzo osłabniemy, pomyślał

Blackthorne. Zrobimy to, kiedy następnym razem przyniosą drabinę, żeby dać nam jeść i pić.

Trzeba to zrobić wieczorem, dziś albo jutro. Dlaczego nas tu wtrącili? Przecież nikomu nie zagrażamy. Moglibyśmy pomóc temu daimyō. Czy rozumie to? Nie miałem innego sposobu na pokazanie mu, że ten zakonnik jest naszym prawdziwym wrogiem. Czy to pojmie? Bo jezuita wszystko rozumiał.

- Może Bóg wybaczy ci to świętokradztwo, ale nie ja - powiedział mu bardzo cicho ojciec Sebastio.
- Nie spocznę, dopóki nie zniszczę ciebie i twojego zła. .

Po policzkach i brodzie Blackthorne'a spływał pot. Wytarł go z roztargnieniem uszami łowiąc dźwięki spoza ziemianki - tak jak wówczas, gdy był na pokładzie i spał lub na wachcie, a statek dryfował - na tyle czujny, by zawczasu dosłyszeć zbliżające się niebezpieczeństwo.

Musimy się stąd wydostać i zająć statek. Ciekawe, co porabia Felicity. I dzieci. Zaraz, Tudor ma teraz siedem lat, a Lisbeth. . Z Amsterdamu wypłynęliśmy rok, jedenaście miesięcy i sześć dni temu, do tego dochodzi trzydzieści siedem dni na zaprowiantowanie i dopłynięcie tam z Chatham, a na koniec jeszcze jedenaście dni, które sobie liczyła w dniu mojego zaokrętowania. A więc dokładnie tyle wynosi jej wiek - jeżeli nic złego się nie przydarzyło. A nie powinno się nic przydarzyć. Felicity będzie gotowała, doglądała, sprzątała i paplała, a dzieci rosły, silne i odważne jak ich matka. Dobrze będzie znaleźć się z powrotem w domu, chodzić razem brzegiem morza, po lasach i polanach pięknej Anglii.

W ciągu lat nauczył się o nich myśleć jak o postaciach ze sztuki, ludziach, których się kocha i za których się cierpi, ze sztuki, która nie ma końca. W przeciwnym razie ból rozłąki byłby nie do zniesienia. Mógł niemal policzyć dni, które spędził w domu w ciągu jedenastu lat małżeństwa. Mało ich, pomyślał, bardzo mało. „Dla kobiety to ciężki los, Felicity” - powiedział kiedyś żonie. A ona odpowiedziała: „Los kobiety zawsze jest ciężki”. Miała wtedy siedemnaście lat, długie włosy, była wysoka, zmysło..

Uszy go ostrzegły.

Jego marynarze siedzieli, opierali się o ściany albo starali się zasnąć. Bardzo zaprzyjaźnieni ze sobą Vinck i Pieterzoon rozmawiali cicho. Van Nekk wraz z innymi gapił się w przestrzeń.

Spil bergen był na wpół przytomny, ale Blackthorne podejrzewał, że jest silniejszy, niż się do tego przyznaje.

Zapadła nagle cisza, bo usłyszeli nad głowami kroki. Kroki zatrzymały się. Stłumione głosy rozbrzmiewały szorstką, dziwnie brzmiącą mową. Blackthorne'owi wydało się, że rozpoznaje głos tego samuraja - Omiego? Tak, tak miał na imię - niemniej nie był całkiem pewien. Po chwili głosy ucichły, a kroki oddaliły się.

- Myślisz, że dadzą nam jeść, pilocie? - spytał Sonk.

- Tak.

- Z chęcią bym się napił. Zimnego piwa, mój Boże - rzekł Pieterzoon.

- Nie gadaj - powiedział Vinck. - Przez ciebie człowiek tylko się poci.

Blackthorne czuł, że ma przepoconą koszulę. Boże święty, z chęcią bym się wykąpał, pomyślał i nagle uśmiechnął się do wspomnień.

Tamtego wieczora Mura i pozostali zanieśli go do nagrzanego pomieszczenia i nadal całkiem odrętwiałego i spowolniałego w ruchach ułożyli na kamiennej ławie. Trzy kobiety, pod komendą tej staruchy, zaczęły go rozbierać. Próbował je powstrzymać, ale na jego najłżejszy ruch jeden z Japończyków dźgał go w nerw i obezwładniał, tak więc bez względu na to, jak mocno się pieklił i przeklinał, rozbierały go dalej, aż do naga. Rzecz nie w tym, że się wstydził obnażyć przed kobietą, ale w tym, że ludzie zawsze rozbierali się na osobności i że było to powszechnie przyjęte. A poza tym nie lubił, żeby go ktokolwiek rozbierał, tym bardziej niecywilizowani tubylcy. Ale zostać rozebrany publicznie niczym bezradne niemowlę i wymytym wszędzie niczym dziecko w ciepłej, pienistej, pachnącej wodzie, a potem leżeć na wznak, podczas gdy tamte paplały i śmiały się, tego już było mu za wiele. Później zaś jego męskość podniosła się i im bardziej starał się do tego nie dopuścić, tym było gorzej - a przynajmniej tak sądził on, jednakże nie te kobiety. On się zawstydził, im zaś powiększyły się oczy. Chryste Panie, Boże Jedyny, nie mogę się czerwienić, modlił się w duchu, ale czerwienił się, co, jak się zdaje, tylko powiększało rozmiary jego przyrodzenia, na którego widok zdumiona staruszka klasnęła w dłonie i powiedziała coś, na co pozostałe skinęły głowami, ona zaś z podziwem pokręciła swoją i dodała jeszcze coś, na co również skinęły głowami.

- Kapitan-san, szanowna matka dziękuje ci za najwspanialszy widok w swoim życiu, teraz umrze szczęśliwa - powiedział mu z nadzwyczaj poważną miną Mura. A potem on i Japonki uklonili się jednocześnie, on zaś, pojawiwszy niezwykle komizm tej sceny, zaczął się śmiać. To ich zaskoczyło, lecz potem także oni wybuchnęli śmiechem, a jemu śmiech odebrał męskie moce, co nieco zasmuciło staruszkę, która wyraziła z tego powodu żal, przyprawiając go tym o nowy napad śmiechu, Japończyków również. No a potem włożyli go delikatnie do okropnie gorącej wody i wkrótce nie mógł

w niej dłużej wytrzymać, więc ponownie ułożyli go, ciężko dyszącego, na kamiennej ławie. Kobiety osuszyły go, po czym zjawił się ślepiec. Blackthorne nie miał pojęcia, czym jest masaż. Z początku próbował się opierać wnikającym w jego ciało palcom Japończyka, ale później ich magiczne działanie uwiodło go i wkrótce mruczał prawie niczym kot, kiedy palce niewidomego odnalazły węzły nerwowe i odblokowały krew bądź eliksir, który tkwił przyczajony tuż pod skórą, w mięśniach, w ścięgnach.

Następnie, dziwnie osłabionego, w półśnie, ułożono go na posłaniu, gdzie czekała już na niego dziewczyna. Okazała mu wielką cierpliwość i kiedy się przespał, odzyskał potencję, a potem, mimo że zajęło mu to aż tyle czasu, ostrożnie ją wziął.

Nie spytał jej o imię, a rano, kiedy napięty, zdenerwowany i mocno wystraszony Mura wyrwał go ze snu, dziewczyny już nie było.

Blackthorne westchnął. Życie jest cudowne, pomyślał.

W piwnicy Spil bergen znowu narzekał, Maetsukker trzymał jego głowę i jęczał, nie z bólu jednak, lecz ze strachu, młody Croocq zaś był bliski załamania.

- Masz jakiś powód do uśmiechu, pilocie? - zagadnął go Jan Roper.

- Idź do diabła.

- Z całym szacunkiem, pilocie - odezwał się ostrożnie van Nekk, głośno wypowiadając myśl, która ich nurtowała - ale postąpiłeś bardzo nierozważnie, atakując księdza na oczach tego parszywego żółtego sukinsyna.

Powszechnie, acz ostrożnie przyznano mu rację.

- Gdybyś go nie zaatakował, to wątpię, czybyśmy wpadli w takie tarapaty., Van Nekk nie ośmielił się zbliżyć do Blackthorne'a.

- Wystarczy tylko dotknąć czołem ziemi, kiedy ten jaśnie pan sukinsyn jest w pobliżu, a łagodnieją jak baranki.

Czekał na odpowiedź, ale Blackthorne mu jej nie udzielił, a tylko odwrócił się plecami do klapy w stropie. Wyglądało to tak, jakby nie powiedziano niczego. Niepokój uwięzionych wzrósł. Paulus Spil bergen z trudem uniósł się na łokciu.

- O czym ty mówisz, Baccusie? - spytał.

Van Nekk podszedł do niego, opowiedział mu o księdzu i o krzyżu, co się stało potem i dlaczego są tutaj, oczy zaś dokuczały mu jak jeszcze nigdy.

- Tak, było to niebezpieczne posunięcie, naczelnny pilocie - orzekł Spil bergen. - Tak jest, uważam, że całkiem błędne. . podajcie mi wody, proszę. Teraz jezuici już się od nas nie odczepią.

- Powinieneś był mu skrócić kark, pilocie. Bo jezuici tak czy owak się od nas nie odczepią -

powiedział Jan Roper. - Jezuici to obmierzłe wszy, a my siedzimy w tej cuchnącej norze, bo Bóg nas pokarał.

- Bzdury gadasz, Roper - rzekł Spil bergen. - Jesteśmy tu, ponie. .

- To kara boska! Powinniśmy byli spalić wszystkie kościoły w Santa Magdel ana, a nie tylko dwa. Powinniśmy to byli zrobić. Te siedliska Szatana!

Spil bergen słabowicie klapnął muchę.

- Oddziały hiszpańskie przegrupowywały się i były piętnaście razy liczniejsze od nas. Dajcie mi wody! Splądrowaliśmy to miasto, wzięliśmy łupy i przytarliśmy im nosa. Gdybyśmy tam pozostali, zabiliby nas. .

- A czy to ważne, jeżeli wypełnia się dzieło Boże? Zawiedliśmy Go.

- Może trafiliśmy tutaj, żeby je wypełnić - rzekł pojednawczo van Nekk, ponieważ Roper, chłop porządny, choć może zbyt gorliwy, był rozsądnym kupcem i synem jego wspólnika. - Może będziemy mogli wykazać tubylcom, że praktyki papistów są błędne. Może uda nam się nawrócić ich na Prawdziwą Wiarę.

- Święta racja - przyznał Spil bergen. Nadal był osłabiony, ale wracał do sił. - Myślę, że powinniśmy poradzić się Baccusa, naczelnego pilota. W końcu jest naszym głównym kupcem. Bardzo dobrze umie pertraktować z dzikusami. Powiedziałem, żebyście mi dali wody!

- Nie ma wody, Paulusie - odparł van Nekk, jeszcze - bardziej przygnębiony. - Nie dali nam ani jedzenia, ani wody. Nie mamy się nawet do czego załatwić.

- No, to zażądajcie! Także wody! Boże w niebiesiech, chce mi się pić. Zażądajcie wody! Ty!

- Ja? - spytał Vinck.!

- Tak. Ty.

Vinck spojrzał na Blackthorne'a, ale ten, nie zwracając na nich uwagi, wpatrywał się w klapę.

Vinck stanął więc pod otworem wejściowym i krzyknął:

- Hej! Wy tam! Dajcie nam wody, psia mać! Chcemy jedzenia i wody!

Nie było odpowiedzi. Krzyknął znowu. Żadnej reakcji. Stopniowo do jego krzyków dołączyli ze swoimi pozostali. Wszyscy oprócz Blackthorne'a. Wkrótce do ich głosów wkradła się panika i obrzydzenie spowodowane ciasnotą więzienia, zaczęli więc wyc jak wilki.

Otworzono klapę. Z góry spojrzał na nich Omi. Obok niego stał Mura. I portugalski zakonnik.

- Wody! Jedzenia, na miły Bóg! Wypuście nas stąd!

Bardzo szybko znowu wszyscy podnieśli krzyk.

Orni dał znak Murze, a ten skinął głową i odszedł. W chwilę później powrócił z drugim rybakiem, dźwigając wraz z nim dużą beczkę.

A potem wylali jej zawartość - gnijące resztki ryb i wodę morską - na głowy uwięzionych.

Zamknięci w ziemiance rozpięzchli się, starając się uciec, ale nie wszyscy mogli. Spil bergen dławił się, bliski utonięcia. Paru poślizgnęło się i stratowali ich inni. Blackthorne nie ruszył się z kąta.

Jedynie z nienawiścią świdrował wzrokiem Omiego.

A potem Orni przemówił. Zastraszeni siedzieli w ciszy, przerywanej jedynie kaszlem i odgłosami wydawanymi przez wymiotującego Spil bergena. Kiedy Orni skończył, do otworu w suficie zbliżył się nerwowo jezuita.

- Oto rozkazy, jakie wydał Kasigi Orni. Zaczniecie się zachowywać jak przystało na ludzi. Nie będziecie więcej hałasować. Jeżeli to zrobicie, następnym razem do piwnicy zostanie wlanych pięć beczek. Potem dziesięć, potem dwadzieścia. Jedzenie i wodę będziecie dostawać dwa razy dziennie.

Kiedy nauczycie się zachowywać jak należy, pozwoli się wam wrócić do świata ludzi. Pan Yabu miłosiernie oszczędził was, stawiając warunek, że będziecie mu wiernie służyć. Oszczędził

wszystkich, oprócz jednego. Jeden z was umrze. O zmierzchu. Sami go wybierzecie spośród siebie.

Ale ty - zakonnik wskazał na Blackthorne'a - ty jeden nie możesz być wybrany.

Mocno skrępowany ojciec Sebastio odetchnął głęboko, złożył samurajowi półukłon i cofnął się.

Orni zajrzał do piwnicy. Dostrzegł wzrok Blackthorne'a i wyczuł jego nienawiść. Trudno go będzie złamać, pomyślał. Ale nie szkodzi. Jest na to dość czasu.

Kłapa zatrzasnęła się.

3.

Leżący w ciepłej kąpieli Yabu był zadowolony i tak pewny siebie, jak jeszcze nigdy w życiu.

Barbarzyński statek okazał się bogaty, jemu zaś to bogactwo dawało władzę, o jakiej nawet nie marzył.

- Chcę, żeby jutro wszystko przewieziono na brzeg - powiedział. - Przepakujcie muszkiety w skrzyniach. Zamaskujcie wszystko sieciami albo materiałem na worki.

Pięćset muszkietów, pomyślał rozradowany. A prochu strzelniczego i kul więcej niż Toranaga ma we wszystkich Ośmiu Prowincjach. Do tego dwadzieścia dział, pięć tysięcy kul armatnich i pod dostatkiem materiałów strzelniczych. Całe skrzynie ognistych strzał. Wszystkie najlepszej europejskiej jakości.

- Mura, dostarczysz tragarzy - rozkazał. - Igurashi-san, chcę, żeby całe uzbrojenie, włącznie z armatami, bezzwłocznie przewieziono potajemnie do mojego zamku w Mishimie. Odpowiadasz za to.

- Tak, wielmożny panie.

Znajdowali się wtedy w głównej ładowni statku, a wszyscy byli wpatrzeni w niego - Igurashi, wysoki, gibki, jednooki dowódca jego świty, Zukimoto, jego kwatermistrz, dziesięciu spoconych wieśniaków, którzy pod nadzorem Mury otwierali skrzynie, oraz czterech samurajów z jego straży przybocznej. Był pewien, że nie rozumieją jego rozradowania ani konieczności zachowania wszystkiego w tajemnicy. To dobrze, pomyślał.

Kiedy w 1542 roku Portugalczycy odkryli Japonię, wprowadzili tu muszkiety i proch. W ciągu osiemnastu miesięcy Japończycy sami zaczęli je wytwarzać. Wprawdzie ich jakość nie umywała się do wyrobów europejskich, ale nie było to istotne, gdyż broń palną traktowano tu za ledwie jako nowinkę i przez dłuższy czas używano jej wyłącznie do polowań, a i tak łuki były o wiele celniejsze.

Ponadto zaś, co ważniejsze, wojowanie w Japonii stanowiło niemalże rytuał i w bezpośredniej walce wręcz miecz był najszlachetniejszą bronią. Używanie broni palnej uchodziło za tchórzliwe, za nieszlachetne i całkowicie sprzeczne z kodeksem samurajskim, bushido, który zobowiązywał

samuraja do honorowej walki, honorowego życia i honorowej śmierci. Do dożgonnej, bezwzględnej wierności jednemu feudalnemu panu. Do nieustraszonej śmierci, a nawet do szukania jej na służbie.

Do dumy z własnego nazwiska i utrzymywania go bez skazy.

Cale Jata Yabu pielęgnował w sekrecie pewną teorię. Nareszcie będzie mógł ją rozwinąć i wprowadzić w czyn, pomyślał rozradowany. Pięćset doborowych samurajów uzbrojonych w muszkiety, ale wyćwiczonych do działania w formacji, na czele dwunastu tysięcy konwencjonalnego wojska, wspomaganego przez dwadzieścia dział używanych w specjalny sposób przez specjalnych żołnierzy, również wyćwiczonych do działania w grupie. Nowa strategia dla nowej ery! W

nadchodzącej wojnie o zwycięstwie rozstrzygnie broń palna!

A co z bushido? - zapytywały nieodmiennie duchy jego przodków.

A co z bushido? - odpowiadał im nieodmiennie.

Nigdy nie dały mu odpowiedzi.

Nigdy, w najśmielszych marzeniach nie sądził, że kiedykolwiek będzie go stać na pięćset muszkietów. Ale teraz miał je za darmo i tylko on jeden wiedział, jaki z nich zrobić użytek. Ale użyć ich po czyjej stronie? Toranagi czy Ishido? A może poczekać. . i może samemu zostać ostatecznym zwycięzcą?

- Igurashi-san. Będziesz jechał nocą i zachowasz skrajne środki bezpieczeństwa - powiedział.

- Tak, panie.

- Ma to pozostać w tajemnicy, Mura, bo inaczej twoja wioska przestanie istnieć.

- Nikt nic nie powie, wielmożny panie. Ręczę za swoją wieś. Nie mogę jednak ręczyć za to, co się stanie w podróży, ani też za inne wsie. Kto wie, gdzie siedzą szpiedzy. Ale my nic nie powiemy.

Potem zaś Yabu poszedł do skarbcza. To, co tam znalazł, uznał za piracki łup - srebrne i złote talerze, puchary, świeczniki i ozdoby, trochę religijnych malowideł w zdobionych ramach. W kufrze były kobiece szaty, starannie wyhaftowane złotymi nićmi i przybrane kolorowymi kamieniami.

- Srebro i złoto każę przetopić w sztabki i schowam do skarbcza - powiedział Zukimoto, schludny, pedantyczny czterdziestokilkuletni mężczyzna, który nie był samurajem. Przed laty był

buddyjskim kapłanem-wojownikiem, ale taikō zniszczył jego klasztor w trakcie kampanii oczyszczania cesarstwa z wojowniczych klasztorów i sekt buddyjskich, które nie uznałyby jego absolutnego feudalnego zwierzchnictwa. Zukimoto wykupił się od śmierci w młodym wieku łapówką i został Dōmokrażcą, a w końcu drobnym kupcem handlującym ryżem. Dziesięć lat temu dołączył do intendencji Yabu i od tej chwili stał się niezastąpiony.

- Co do tych szat, to być może te złote nici i klejnoty są coś warte. Za twoim pozwoleniem, panie, każę je zapakować i odesłać do Nagasaki ze wszystkim, co zdołam ocalić - rzekł.

Port Nagasaki na najdalej wysuniętym na południe wybrzeżu południowej wyspy Kiusiu był

legalnym portem przeładunkowym i rynkiem handlowym Portugalczyków.

- Barbarzyńcy mogą dobrze zapłacić za te drobiazgi - dodał.

- Dobrze. A co z tymi belami w drugiej ładowni?

- To samo grube sukno. Dla nas całkowicie nieprzydatne, panie, bez żadnej wartości rynkowej.

Natomiast to powinno cię ucieszyć - rzekł Zukimoto i otworzył kasę pancerną.

Zawierała dwadzieścia tysięcy bitych sztuk srebra. Hiszpańskich dublonów. Najlepszej jakości.

Yabu poruszył się w kąpeli. Otarł pot z twarzy i szyi małym białym ręcznikiem i zanurzył się głębiej w gorącej, wonnej wodzie. Gdyby trzy dni temu, pomyślał, wróżbita przepowiedział mi, że zdarzy się to wszystko, to kazałbym mu zjeść własny język za to, że tak straszliwie łże.

Trzy dni temu przebywał w Edo, stolicy pana Toranagi. Wiadomość od Omiego nadeszła o zmięczeniu. Oczywiście sprawę statku należało zbadać natychmiast. Jednakże Toranaga nadal bawił

w Osace, żeby stawić czoło generałowi Ishido, a pod swoją nieobecność zaprosił Yabu i wszystkich zaprzyjaźnionych daimyō z ościennych prowincji do siebie, żeby czekali na jego powrót. Takiego zaproszenia nie można było odrzucić bez fatalnych następstw. Yabu wiedział, że i on, i pozostali daimyō wraz z rodzinami służą zwiększeniu bezpieczeństwa Toranagi, będąc - choć naturalnie słowo to nigdy nie padło - zakładnikami mającymi zagwarantować, że szczęśliwie powróci ze spotkania regentów w niezdobytej twierdzy przeciwnika w Osace. Toranaga przewodniczył Radzie Regencyjnej, którą na łożu śmierci powołał taikō, by rządziła cesarstwem w czasie niepełnoletności jego, siedmioletniego w tej chwili, syna Yaemona, Regentów, samych znamienitych daimyō, było wprowadzić pięciu, lecz tylko Toranaga i Ishido posiadali prawdziwą władzę.

Yabu starannie rozważył wszystkie powody przemawiające za jazdą do Anjiro, niebezpieczeństwa z nią związane, a także racje za tym, żeby zostać. Potem zaś posłał po swoją żonę i ulubioną konkubinę. Konkubina była legalną kochanką. Mężczyzna mógł mieć tyle konkubin, ile chciał, lecz tylko jedną żonę naraz.

- Mój bratanek Orni przysłał mi potajemnie wieść, że do brzegu w Anjiro podpłynął

barbarzyński statek - oznajmił im.

Któraś z Czarnych Karawel? - spytała jego podekscytowana żona.

Karawele te były wielkimi, niewiarygodnie zasobnymi statkami handlowymi, które co roku kursowały w porze monsunowych wiatrów pomiędzy Nagasaki a portugalską kolonią Makau, leżącą prawie tysiąc mil na południe na kontynencie, w Chinach.

- Nie. Ale może mieć cenny ładunek. Natychmiast tam jadę. Powiesz, że zachorowałem i pod żadnym pozorem nie wolno mnie niepokoić. Wrócę za pięć dni.

- To ogromnie niebezpieczne - ostrzegła go żona. - Pan Toranaga wyraźnie rozkazał nam zostać. Jestem pewna, że zawrze następną ugodę z Ishido, a jest przecież za potężny, żeby go sobie zrażać. Nie mamy żadnej gwarancji, że ktoś nie domyśli się prawdy, panie, a szpiedzy są wszędzie. Gdyby Toranaga powrócił i nie zastał ciebie, to twoja nieobecność byłaby niewłaściwie odczytana. Twoi wrogowie zatrują jego myśli i nastawią go przeciwko tobie.

- Tak - dodała jego konkubina. - Zechciej mi wybaczyć, panie, ale musisz posłuchać się swojej wielmożnej małżonki. Ma rację. Pan Toranaga nigdy nie uwierzyłby, że okazałeś mu

nieposłuszeństwo tylko dlatego, że chciałeś zobaczyć barbarzyński statek. Wyślij, proszę, kogoś innego.

- Ale to nie jest zwykły barbarzyński okręt. On nie jest portugalski! Posłuchajcie. Orni twierdzi, że jest z innego kraju. Ci ludzie porozumiewają się inaczej brzmiącym językiem, a w dodatku mają niebieskie oczy i złote włosy!

- Omi-san zwariował. Albo wypił za dużo sake - odpowiedziała na to jego żona.

- To zbyt poważna sprawa, żeby sobie z tego stroić żarty, i dla niego, i dla ciebie.

Żona ukloniła mu się, przeprosiła i przyznała, że słusznie ją skarcił, ale że nie powiedziała tego żartem. Była drobną, chudą kobietą o dziesięć lat starszą od niego, i przez osiem lat z rzędu co roku rodziła mu dzieci, w tym pięciu synów, aż wreszcie jej łono wyjałowiało. Trzech z nich zostało wojownikami i polegli bohatersko na wojnie z Chinami. Czwarty został buddyjskim kapłanem, ostatnim zaś, liczącym w tej chwili dziewiętnaście lat, Yabu gardził.

Jego żona, pani Yuriko, była jedyną kobietą, przed którą czuł respekt, jedyną, którą cenił -

oprócz swojej już nieżyjącej matki - a rządziła ona jego domem z pomocą jedwabnego bata.

- Raz jeszcze proszę cię o wybaczenie - powiedziała. - Czy Omi-san określił szczegółowo ładunek?

- Nie. Nie sprawdzał go, Yuriko-san. Donosi, że zapieczętował ten statek natychmiast, bo taki jest niezwykle. Jeszcze nie było tutaj nieportugalskiego statku, ne? Twierdzi też, że jest uzbrojony. Na pokładach ma dwadzieścia dział.

- O! W takim razie ktoś musi tam natychmiast jechać.

- Sam pojedę.

- Zastanów się nad tym, proszę. Poślij Mizuno. Twój brat jest inteligentny i mądry. Błagam cię, nie jedź.

- Mizuno ma słaby charakter i nie można mu ufać.

Wobec tego każ mu popełnić seppuku i pozbądź się go - odparła szorstko.

Seppuku, zwane niekiedy harakiri, rytualne samobójstwo przez rozprucie sobie brzucha, było jedynym sposobem, w jaki samuraj mógł zmazać każdą hańbę, grzech albo utratę honoru, i wyłącznym przywilejem kasty samurajskiej. Wszystkich samurajów, zarówno mężczyzn, jak kobiety, od dzieciństwa przygotowywano bądź do samej ceremonii, bądź do udziału w niej w roli sekundanta.

Kobiety popełniały seppuku wyłącznie przez podcięcie sobie nożem gardła.

- Później, nie teraz - odpowiedział Yabu żonie.

- W takim razie poślij Zukimoto. Jemu na pewno można ufać.

- Gdyby Toranaga nie rozkazał pozostać tutaj także wszystkim żonom i konkubinom, to posłałbym ciebie. Ale to zbyt niebezpieczne. Muszę jechać. Nie mam, wyboru. Powiedziałaś, Yuriko-san, że mój skarbiec jest pusty. Twierdzisz, że ci parszywi lichwiarze nie chcą nam już udzielać kredytu. Zukimoto mówi, że od wieśniaków ściągamy już najwyższą daninę. A muszę mieć więcej koni, uzbrojenia, broni i więcej samurajów. Może ten statek zapewni mi na to środki.

- Rozkazy pana Toranagi są zupełnie jasne, panie. Jeżeli wróci i odkryje. .

- Tak. Jeżeli wróci, pani. A ja nadal uważam, że wpadł w pułapkę. Pan Ishido ma osiemdziesiąt tysięcy samurajów w samym tylko zamku w Osace i jego okolicach. Toranaga postąpił jak szaleniec, wybierając się tam z kilkuset wojownikami.

- Jest o wiele za mądry, żeby bez potrzeby się narażać - odparła z przekonaniem.

- Gdybym był Ishido i miał go w ręku, zabiłbym go natychmiast.

Tak - powiedziała Yuriko. - Ale matka następcy jest nadal zakładniczką w Edo, aż do powrotu Toranagi. Generał Ishido nie ośmieli się tknąć Toranagi, dopóki ona nie powróci bezpiecznie do Osaki.

- Zabiłbym go. Nieważne, czy pani Ochiba żyje, czy zginie.

Następca jest w Osace bezpieczny. Śmierć Toranagi gwarantuje mu odziedziczenie władzy.

Toranaga jest jedynym rzeczywistym zagrożeniem dla następcy, jedynym, który ma szansę posłużyć się Radą Regentów, przywłaszczyć sobie władzę taikō i zabić chłopca.

- Zechciej mi wybaczyć, panie, ale może generał Ishido przeciągnie na swoją stronę trzech pozostałych regentów, postawią pana Toranagę w stan oskarżenia i to będzie jego koniec, ne? -

spytała konkubina.

- Tak, pani, Ishido zrobiłby to, gdyby mógł, ale wątpię, czy może w tej chwili, tak samo Toranaga. Taikō wybrał tych pięciu regentów bardzo chytrze. Gardzą sobą nawzajem do tego stopnia, że jest prawie niemożliwe, aby się w jakiejś sprawie zgodzili.

Przed przejęciem władzy pięciu wielkich daimyō zaprzysięgło wieczną wierność umierającemu taikō, jego synowi i rodowi. Publicznie złożyli świętą przysięgę, zgadzając się na zasadę jednomyślności w Radzie, i zobowiązali się solennie do przekazania nie uszczuplonej władzy Yaemonowi, kiedy skończy piętnaście lat.

- Zasada jednomyślności oznacza, że w istocie niczego nie można zmienić aż do przekazania władzy Yaemonowi - dokończył Yabu.

- Ale kiedyś, panie, czterech regentów zjednoczy się przeciwko jednemu - z zazdrości, obawy albo

ambicji, ne? Czterech nagnie rozkazy taikō na tyle, żeby wywołać wojnę, ne?

- Tak. Ale byłaby to mała wojna, pani, więc ten jeden zawsze będzie rozgromiony, jego ziemie rozdzielone pomiędzy zwycięzców, którzy będą musieli wyznaczyć piątego regenta, a po jakimś czasie czterech stanie znowu przeciwko jednemu, który znów zostanie rozgromiony, jego ziemie zaś odebrane, dokładnie tak, jak sobie zaplanował taikō. Moim jedynym zmartwieniem jest rozstrzygnięcie, kto to będzie tym razem - Ishido czy Toranaga.

- Tym, który zostanie sam, będzie Toranaga.

- Dlaczego?

Pozostali za bardzo się go obawiają, ponieważ wiedzą, że skrycie pragnie zostać shogunem, choćby nie wiem jak mocno się tego wypierał. Shogun był najwyższym stanowiskiem, jakie śmiertelnik mógł osiągnąć w Japonii. Shogun oznaczał tytuł najwyższego wojskowego dyktatora.

Mógł go posiadać w określonym czasie tylko jeden daimyō. I tylko Jego Cesarska Wysokość, władający cesarz, Boski Syn Niebios, który żył w odosobnieniu z Cesarską Rodziną w Kioto, mógł go przyznać.

W parze z mianowaniem na shōguna szła absolutna władza - cesarska pieczęć i mandat.

Shōgun rządził w imieniu cesarza. Cała władza pochodziła od cesarza, gdyż jego ród wywodził się bezpośrednio od bogów. Dlatego każdy daimyō, który przeciwstawiał się shōgunowi, chcąc nie chcąc buntował się przeciwko tronowi cesarskiemu, od razu stawał się wyrzutkiem, a jego dobra ulegały konfiskacie.

Panujący cesarz był czczony jako bóstwo, ponieważ pochodził w prostej linii od bogini słońca Amaterasu Omikami, córki bóstw Izanagi i Izanami, które ze sklepienia niebieskiego stworzyły wyspy Japonii. Z mocy boskiego prawa do władającego cesarza należała cała ta ziemia, a władał on i miał posłuch absolutny. W praktyce jednak od ponad sześciu wieków prawdziwa władza spoczywała poza cesarskim tronem.

Sześć wieków temu miał miejsce rozłam, kiedy to dwa z trzech rywalizujących ze sobą półkrólewskich rodów samurajskich, Minowara, Fujimoto i Takashima, poparły cesarskich rywali roszczących sobie pretensje do tronu i pogrążyły kraj w wojnie Dōmowej. Po sześćdziesięciu latach ród Minowara pokonał ród Takashima, ród Fujimoto zaś, który zachował neutralność, czekał na swój moment.

Od tamtej pory, zazdrośnie strzegąc swojej władzy, shōgunowie Minowara zdominowali cesarstwo, ogłosili swój shōgunat dziedzicznym i żenić poczęli niektóre ze swych córek z przedstawicielami rodziny cesarskiej. Cesarz i jego dwór byli trzymani w całkowitym odosobnieniu w otoczonych murami pałacach i ogrodach w niewielkiej enklawie w Kioto, przeważnie cierpiąc niedostatek, a ich działalność ograniczała się wciąż do przestrzegania obrzędów shintō, starożytnej animistycznej religii japońskiej, oraz do zajęć umysłowych, takich jak kaligrafia, malarstwo, filozofia i poezja.

Dwór Syna Niebios był łatwy do zdominowania, bo choć do niego należała cała ziemia, to nie czerpał z niej żadnych dochodów. Tylko daimyō, tylko samuraje czerpali z niej dochody i mieli prawo nakładać podatki. Tak więc chociaż wszyscy członkowie dworu cesarskiego stali w hierarchii wyżej od samurajów, to żyli jednak z zasiłków przydzielanych dworowi wedle widzimisię shōguna, kampaku - państwowego głównego doradcy, bądź też przez klikę wojskową, która akurat dzierżyła władzę. Niewielu z tych ludzi było szczodrych. Niektórzy cesarze musieli nawet wymieniać swoje podpisy za jedzenie. Wielokrotnie brakowało pieniędzy na koronację.

Wreszcie shōgunowie Minowara stracili władzę na rzecz innych - potomków rodów Takashima i Fujimoto. A kiedy wojny z nie słabnącą siłą ciągnęły się przez stulecia, cesarz coraz bardziej i bardziej stawał się zabawką w ręku tego daimyō, który był na tyle silny, żeby sięgnąć po władzę nad Kioto. Z chwilą gdy nowy zdobywca Kioto zabił panującego shōguna i jego potomków, uniżenie - pod warunkiem, że pochodził z rodów Minowara, Takashima albo Fujimoto - zaprzysięgał posłuszeństwo tronowi cesarskiemu i pokornie prosił ubezwłasnowolnionego cesarza, żeby przyznał mu akurat wolne stanowisko shōguna. Potem zaś, tak jak jego poprzednicy, starał się rozszerzyć swoje panowanie poza Kioto, dopóki jego z kolei nie połknął następny rywal. Cesarze żenili się, abdykowali albo wstępowali na tron wedle zachcianek shōgunatu. Ale zawsze ich rodowód pozostawał nieprzerwany i nieskazitelny.

Tak więc shōgun był wszechwładny.

Wielu shōgunów zostało w ciągu wieków wysadzonych z siodła, a cesarstwo rozdrobniło się tymczasem na jeszcze mniejsze części. Przez ubiegłych sto lat żaden daimyō nie był na tyle potężny, żeby stać się shōgunem. Dwanaście lat temu chłopski generał Nakamura doszedł do takiej potęgi i uzyskał od panującego cesarza, Go-Nijo, mandat. Ale Nakamura, choćby nie wiem jak tego pragnął, nie mógł jednak otrzymać tytułu shōguna, gdyż urodził się chłopem. Musiał się więc zadowolić znacznie skromniejszym tytułem państwowym kampaku - Głównego Doradcy, później zaś, gdy przekazał ten tytuł swemu nieletniemu synowi Yaemonowi - zachowując wszakże, w zgodzie ze zwyczajem, pełnię władzy - poprzestać na tytule taikō. Z mocy historycznej tradycji jedynie potomkowie rozgałęzionych, starożytnych, półboskich rodów Minowara, Takashima i Fujimoto mieli prawo do tytułu shōguna.

Toranaga pochodził z rodu Minowara. Yabu mógł się doszukać swoich protoplastów w dosyć niepewnej, drugorzędnej gałęzi rodu Takashima, co w fazie czego było koligacją, która wystarczała do objęcia najwyższej władzy.

- Iii i, pani - powiedział - naturalnie, że Toranaga chce zostać shōgunem, ale nigdy mu się to nie uda. Pozostali regenci gardzą nim i się go boją. Unieszkodliwią go, tak jak to zamyślił taikō. -

Pochylił się do przodu i bacznie przyjrzał żonie. - Powiadasz, że Toranaga przegra z Ishido?

A ponadto, że ma chorą wątrobę i umrze najdalej za dwa lata. Zabiją go sake i prawdopodobnie środki wzmagające potencję.

- Jesteś silny, jak na swój wiek, Yabu-sama - rzekł.

- Ty również. Ile masz lat, Suwo?

Starzec zaśmiał się, ale jego palce nie przestały się poruszać.

- Jestem najstarszym człowiekiem na świecie, moim świecie. Wszyscy moi znajomi już od dawna nie żyją. Na pewno mam ponad osiemdziesiąt lat, trudno powiedzieć. Służyłem u pana Yoshiego Chikitady, dziadka pana Toranagi, kiedy lenno jego rodu było nie większe od tej wsi. A nawet przebywałem w obozie tego dnia, kiedy go zamordowano.

Yabu wysiłkiem woli powstrzymał się od napięcia rozluźnionych mięśni, ale wystrzył uwagę i zaczął bacznie słuchać.

- To był ponury dzień, Yabu-sama. Nie wiem, ile liczyłem wtedy lat. . ale głos miałem jeszcze dziecięcy. Mordercą był Obata Hiro, syn jego najpotężniejszego sojusznika. Być może znasz, panie, tę historię, o tym, jak ów młodzian zdjął panu Chikitadzie głowę z karku jednym uderzeniem miecza.

Była to klinga Murasamy i stąd właśnie wziął się przesąd, że wszystkie klingi tego mistrza są nieszczęśliwe dla rodu Yoshi.

Czy opowiada mi to dlatego, że ja sam posiadam miecz Murasa my? - zadał sobie pytanie Yabu. Znam wielu, którzy je mają. A może jest to zwyczajny stary człowiek, który wspomina niezwykły dzień ze swojego długiego życia?, Jaki był dziadek Toranagi? - spytał, żeby wy badać Suwo, udając brak zainteresowania.

- Wysoki, Yabu-sama. Powiedziałbym, że wyższy od ciebie i znacznie szczuplejszy. W dniu śmierci miał dwadzieścia pięć lat - odparł z ożywieniem Suwo. - Iii i, Yabu-sama, w wieku dwunastu lat był już wojownikiem, a gdy miał piętnaście, władcą, bo jego ojciec zginął w potyczce. Pan Chikitada był już wówczas żonaty i zdążył spłodzić syna. Szkoda, że pisane mu było zginąć. Obata Hiro był zarówno jego przyjacielem, jak wasalem, a miał wtedy siedemnaście lat. Ktoś jednakże zatrzał umysł młodego Obaty, podszeptując mu, że Chikitada planuje zabić podstępnie jego ojca.

Oczywiście były to same kłamstwa, lecz nie wróciło to życia Chikitadzie, żeby nam znów przewodził.

Młody Obata ukląkł przed jego ciałem i trzy razy się uklonił. Powiedział, że dokonał owego czynu z synowskiego szacunku dla ojca i chce odpokutować za obrazę nas i naszego rodu popełniając seppuku. Zezwolono mu na to.

Najpierw własnoręcznie obmył głowę Chikitady i umieścił ją na szacownym miejscu. Potem zaś otworzył sobie brzuch i skonał mężnie, bardzo uroczyście, a jeden z naszych posłużył za sekundanta i jednym uderzeniem miecza ściał mu głowę. Później ojciec Obaty przyszedł po synowską głowę i miecz Murasamy. Źle się nam zaczęło wieść. Jedyne go syna pana Chikitady zabrano gdzieś jako zakładnika, a dla części naszego rodu nastąpiły złe czasy. Było to..

- Kłamiesz, stary. Wcale cię tam nie było. - Yabu obrócił głowę i spojrzał groźnie na masażystę, który w jednej chwili zmarł. - Po śmierci Obaty ten miecz złamano i zniszczono.

- Nie, Yabu-sama. To legenda. Widziałem, jak jego ojciec przyszedł i zabrał jego głowę i miecz. Któż chciałby zniszczyć takie dzieło sztuki? Byłoby to świętokradztwo. Zabrał go jego ojciec.

- A co z nim zrobił?

- Nikt nie wie. Niektórzy mówili, że wrzucił go do morza, bo kochał i szanował naszego pana Chikitadę jak brata. Inni mówili, że zakopał miecz i że czeka on w ukryciu na jego wnuka, Yoshiego Toranagę.

- A według ciebie, co z nim naprawdę zrobił?

- Wrzucił do morza.

- Widziałeś to?

- Nie.

Yabu znowu się położył, a palce ślepcy przystąpiły do działania. Myśl, że ktoś jeszcze prócz niego wie, że ów miecz nie został złamany, dziwnie go poruszyła. Powinieneś zabić Suwo, pomyślał.

Dlaczego? Jakże ślepiec mógłby rozpoznać tę klingę? Jest podobna do innych mieczów Murasamy, a rękojeść i pochwa były w ciągu lat wielokrotnie zmieniane. Nikt nie wie, że twój miecz to miecz, który w coraz większej tajemnicy przechodził z rąk do rąk wraz z rosnącą potęgą Toranagi. Po co więc zabijać Suwo? To, że żyje, dodaje temu wszystkiemu smaku. Podnieca cię. Zostaw go przy życiu - możesz go przecież zabić, kiedy tylko zechcesz. Tymże mieczem.

Myśl ta ucieszyła Yabu, jeszcze raz cudownie odprężony swobodnie pogрузzył się w marzeniach. Już niedługo będę na tyle potężny, żeby nosić mój miecz Murasamy w obecności Toranagi, pomyślał. Kiedyś być może opowiem mu historię tej klingi.

- A co zdarzyło się potem? - spytał chcąc, żeby go ukołysał głos starca.

- Zwyczajnie, nastały dla nas złe czasy. Był to rok wielkiego głodu, tak więc po śmierci mojego pana zostałem roninem.

Roninowie byli to nie posiadający ziemi albo pana chłopci żołnierze bądź też samuraje, którzy wskutek okrycia się hańbą lub utraty władcy zmuszeni byli tułać się po kraju, aż jakiś inny pan przyjął ich na służbę. Roninom bardzo trudno było znaleźć nowe zatrudnienie. Brakowało żywności, niemal wszyscy mężczyźni zajmowali się żołnierką, a obcym rzadko ufano. Większość band zbójceckich i korsarskich, które trapiły kraj i wybrzeże, składało się z roninów.

Tamten rok i następny były bardzo złe. Walczyłem dla każdego - tu bitwa, tam potyczka. W

zamian za jedzenie. I wtedy usłyszałem, że na Kiusiu jest w bród żywności, więc ruszyłem na zachód. Tej zimy znalazłem sobie miejsce w świątyni. Udało mi się najać na strażnika buddyjskiego klasztoru. Walczyłem dla nich przez pół roku, broniąc klasztoru i jego pól ryżowych przed bandytami. Klasztor znajdował się blisko Osaki i w tamtych czasach, na długo przedtem, nim taikō wytepił

większość grasujących zbójców, było ich tylu, co komarów na bagnach. Któregoś dnia wpadliśmy w pułapkę i zostawiono mnie dogorywającego. Znaleźli mnie pewni mnisi i wyleczyli rany.

Ale nie mogli przywrócić mi wzroku.

Dotyk palców Suwo wnikał w ciało Yabu coraz głębiej.

- Przydzielili mnie niewidomemu mnichowi, od którego wyuczyłem się masażu i ponownego widzenia za pomocą palców. Myślę, że w tej chwili moje palce mówią mi więcej, niż kiedyś moje oczy.

Ostatni obraz, jaki zapamiętały, to szeroko rozdziawione usta bandyty, jego popsute zęby, błyszczący łuk, jaki zatoczył miecz, a po ciosie woń kwiatów. Zobaczyłem aromat we wszystkich jego kolorach. Wszystko to wydarzyło się bardzo dawno, przed przybyciem do nas barbarzyńców, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu, ale ujrzałem barwy woni. Sądzę, że zobaczyłem nirwanę i przez mgnienie chwili oblicze Buddy. Ślepotą to niewielka cena za taki podarunek, ne?

Nie było odpowiedzi, Suwo nie spodziewał się jej usłyszeć. Yabu zgodnie z planem zasnął.

Podobała ci się moja opowieść, Yabu-sama? - spytał niemo Suwo, ubawiony tak, jak tylko ubawiony może być starzec. Wszystko było prawdą, z wyjątkiem jednego. Klasztor nie leżał w pobliżu Osaki, ale po drugiej stronie zachodniej granicy twoich włości. Jak się nazywał ów mnich? Su, wuj twojego wroga, Ikawy Jikkyu.

Jakże łatwo mógłbym ci skrócić kark, pomyślał. Byłaby to przysługa dla szanownego Omiego.

Błogosławieństwo dla tej wsi, a także, w małej mierze, odpłata za dar od mojego opiekuna.

Powiniennem to zrobić już? A może później?

Spil bergen z napiętą twarzą podniósł pęk źdźbeł ryżowej słomy.

- Kto chce pociągnąć pierwszy? - spytał.

Nikt się nie odezwał. Blackthorne sprawiał wrażenie, jakby drzemał wciśnięty w kąt, z którego się nie ruszał. Zbliżał się zachód słońca.

- Ktoś musi pociągnąć pierwszy - powiedział chrapliwie Spil bergen. - Ciągnijcie, nie mamy za dużo czasu.

Dostali jedzenie praż beczkę wody i ceber do załatwiania się. Ale nic, żeby zmyć z siebie śmierdzące odpadki z ryb lub oczyścić się. Nadleciały muchy. Powietrze cuchnęło, ziemia zamieniła się w śliskie błoto. Większość z nich była rozebrana do pasa i pociła się z gorąca. I ze strachu.

Spil bergen wędrował wzrokiem po ich twarzach. Jego spojrzenie powróciło do Blackthorne'a.

- Dlaczego.. dlaczego ciebie wyłączyli? Co pilocie? Dlaczego? - spytał.

Blackthorne otworzył oczy, patrzyły lodowato.

- Powtarzam po raz ostatni: nie wiem!

- To niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe.

Blackthorne powrócił do przerwanych myśli. Musi być jakiś sposób, żeby stąd uciec. Musi być jakiś sposób, żeby dostać się na statek. Ten drań w końcu zabije nas wszystkich, to jasne jak Gwiazda Polarna. Nie zostało wiele czasu, a mnie wyłączyli, bo mają względem mnie jakieś szczególnie parszywe plany.

Po zamknięciu kłapy do piwnicy wszyscy wbili w niego wzrok, a któryś spytał:

- I co zrobimy?

- Nie wiem - odparł.

- Dlaczego to Właśnie ty jeden nie masz być wybrany?

- Nie wiem.

- Jezu Chryste, dopomóż nam - zaskamlał któryś.

- Posprzątajcie tutaj - rozkazał. - Zwalcie ten gnój tam!

- Nie mamy mioteł ani. .

- A od czego macie ręce?!

Wypełnili jego polecenie, on zaś - pomógł im i oczyścił jak się tylko dało dowódcę wyprawy.

- Teraz będzie ci lepiej, panie - rzekł.

- W jaki sposób. . w jaki sposób kogoś wybierzemy? - spytał Spil bergen.

- Nie wybierzemy. Będziemy z nimi walczyć.

- Czym?

- Pójdziecie jak owce na rzeź? Naprawdę?

- Nie pleć bzdur, pilocie, oni mnie nie chcą. Nie byłoby w porządku, gdyby wypadło na mnie.

- A to niby dlaczego? - spytał Vinck.

- Bo jestem dowódcą wyprawy.

- Z całym szacunkiem, łaskawy panie - odparł z ironią Vinck - ale może powinien pan zgłosić się na

ochotnika. Zgłoszenie się ochotniczo to pański obowiązek.

- Świetna myśl - poparł go Pieterzoon. - Jestem za tym, jak mi Bóg miły.

Powszechnie przyznano mu rację, wszyscy zaś myśleli przy tym: „Jezu Chryste, każdy, byle nie ja!”

Spil bergen zaczął krzyczeć, rozkazywać, ale spostrzegłszy ich bezlitosne spojrzenia zamilkł i zdjęty mdłościami wbił wzrok w ziemię.

- Nie - odezwał się. - Nie. . nie byłoby w porządku, żaby ktoś zgłaszał się na ochotnika. Nie. .

my. . pociągniemy losy. Słomki. . jedna będzie krótsza od pozostałych. Oddamy ręce. . oddamy się w ręce Pana Boga. Pilocie, będziesz trzymał słomki.

- Nie. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Powiedziałem: walczmy.

- Wszystkich nas zabiją. Przecież słyszałeś, co powiedział ten samuraj: oszczędzą życie wszystkich, prócz jednego. - Spil bergen otarł spoconą twarz i w górę wzbiła się chmara much, które po chwili znów usiadły. - Dajcie mi wody. Lepiej, żeby umarł jeden niż wszyscy.

Van Nekk zanurzył tykwę w beczce i podał ją Spil bergenowi.

- Jest nas dziesięciu. Włącznie z panem, Paulusie - powiedział. - Szanse są duże.

- Bardzo duże. . chyba że los wskaże ciebie. - Vinck zerknął na Blackthorne'a. - Mamy walczyć przeciwko tym mieczom? - spytał.

- A pójdziesz potulnie do tego kata, jeżeli los wskaże ciebie?

- Nie wiem.

- Pociągniemy losy - rzekł van Nekk. - Niech rozstrzygnie za nas Bóg.

- Biedny Bóg - powiedział Blackthorne. - Jakimiż głupstwami zawracają Mu głowę!

- No, a jak inaczej wybierzemy?! - krzyknął któryś.

- Wcale nie wybierzemy!

- Zrobimy tak, jak mówi Paulus. On jest dowódcą wyprawy - rzekł van Nekk. - Pociągniemy słomki. Tak będzie najlepiej dla większości. Przegłosujmy. Czy wszyscy są za tym?

Wszyscy powiedzieli tak, z wyjątkiem Vincka.

- Ja popieram pilota - oświadczył. - Do diabła z tymi zgnojonymi, zaszczanymi i zasranymi słomkami!

W końcu jednak przekonali go. Kalwin Jan Roper zmówił modlitwy. Spil bergen z pieczołowitą dokładnością ułamał dziesięć słomek. A potem jedną z nich przepołowił.

Van Nekk, Pieterzoon, Sonk, Maetsukker, Ginsel, Jan Roper, Salamon, Maximilian Croocq i Vinck.

- Kto chce pociągnąć pierwszy? - spytał jeszcze raz.

- A skąd wiemy, że. . że ten; kto wyciągnie pechową, krótką słomkę, pójdzie? Skąd to wiemy?

- spytał Maetsukker głosem nabrzmiałym nie skrywaną grozą.

- Nie wiemy. Pewności nie ma. A powinniśmy ją mieć - rzekł młody Croocq.

- To proste - powiedział Jan Roper. - Przysięgnijmy na Boga Wszechmogącego, że to zrobimy.

Na Niego. Że. . że umrzemy za innych w Jego imię. Wtedy nie będzie obawy. Wybrany Baranek Boży pójdzie wprost do Królestwa Niebieskiego.

Wszyscy się na to zgodzili.

- No, dalej, Vinck, zrób, jak mówi Roper.

- Dobra. - Vinck miał spieczone wargi. - Jeżeli. . jeżeli wypadnie na mnie. . przysięgam na Pana Boga, że z nimi pójdę, jeżeli. . jeżeli wyciągnę złą słomkę. Jak Boga kocham.

Po nim przysięgli pozostali. Maetsukker był tak przerażony, że musieli mu podsuwać słowa, zanim na powrót zapadł się w trzęsawisko swoich snów na jawie.

Pierwszy wybrał słomkę Sonk. Drugi Pieterzoon. Potem Roper, a po nim Salamon i Croocq.

Spil bergen czuł zbliżającą się wielkimi krokami śmierć, ustalono bowiem, że nie będzie ciągnął, ale pozostanie dla niego ostatnia słomka, w tej chwili zaś jego szanse straszliwie zmały.

Ginsel szczęśliwie ocalał sobie życie. Zostało czterech.

- I >.

Maetsukker otwarcie płakał, odepchnął jednak Vincka na bok, wziął słomkę i nie mógł uwierzyć, że nie wyciągnął feralnej.

Spil bergenowi trzęsła się zaciśnięta dłoń i Croocq mu ją przytrzymał. Nie spostrzegł, że robi po nogach.

Którą wziąć? - zapytywał się rozpaczliwie w duchu van Nekk. O Boże, pomóż mi! Ledwie widział słomki swoimi zamglonymi krótkowzrocznymi oczami. Gdybym tylko mógł je dojrzeć, może poznałbym po czymś, którą wybrać. Którą?

Pociągnął słomkę i przysunął ją sobie blisko do oczu, żeby wyraźnie zobaczyć wyrok na siebie.

Ale słomka nie była krótka.

Vinck patrzył na swoje palce, jak wybierają przedostatnią słomkę i jak upada ona na ziemię, ale wszyscy zobaczyli, że jest najkrótsza z wyciągniętych. Spil bergen rozwarł zaciśniętą dłoń i wszyscy ujrzeli, że ostatnia słomka jest długa. Spil bergen zemdlął.

Wszyscy wpatrywali się w Vincka. Spojrzał na nich bezradnie, niewidzącym wzrokiem.

Niezdecydowanie poruszył ramionami, niezdecydowanie się uśmiechnął i z roztargnieniem odpędził ręką muchy. A potem osunął się na ziemię. Zrobili mu miejsce, odsuwając się odeń niczym od trędowatego.

Blackthorne uklęknął w błocie przy Spil bergenie.

- Nie żyje? - spytał ledwie dosłyszalnie van Nekk.

Vinck zawył ze śmiechu, który zmroził wszystkich, a potem równie nagle jak zaczął się śmiać, zamilkł.

- To ja, to ja nie żyję! - powiedział. - To ja nie żyję!

- Nie lękaj się. Jesteś wybrańcem bożym. Jesteś w Jego rękach - zapewnił go z przekonaniem Jan Roper.

- Tak - rzekł van Nekk. - Nie lękaj się.

- Łatwo wam teraz mówić, co?

Oczy Vincka wędrowały od twarzy do twarzy, ale nikt nie był w stanie spojrzeć mu w nie prosto. Tylko Blackthorne nie odwrócił wzroku.

- Podaj mi wody, Vinck - powiedział cicho. - Podejdź do beczki i podaj mi wody. Rusz się.

Vinck wpatrzył się w niego. A potem wziął tykwę, napełnił wodą i podał mu ją.

- Boże Święty, Jezu Chryste, pilocie - wymamrotał - co ze mną będzie?

- Najpierw pomóż mi przy Paulusie. Vinck! Rób, co ci mówię! Dojdzie do siebie?

Vinck, któremu dopomógł spokój Blackthorne'a, odsunął od siebie dręczące myśli. Puls Spil bergena był słaby. Vinck osłuchał mu serce, odciągnął powieki i przez chwilę im się przyglądał.

- Nie wiem, pilocie - odparł. - Jezu Chryste, nie mogę normalnie myśleć. Z jego sercem jest chyba wszystko w porządku. Trzeba mu puścić krew, ale. . ale nie ma jak. . nie. . nie mogę się skupić. . Daj

mi. .

Urwał wyczerpany i usiadł opierając się o ścianę. Zaczął dygotać.

Kłapa w stropie uniosła się.

Na tle nieba zarysowała się ostro postać Omiego w kimonie zabarwionym krwawo światłem zachodzącego słońca.

4.

Vinck starał się zmusić nogi do ruchu, ale nie był w stanie. Wiele razy w życiu stawał

naprzeciwko śmierci, ale jeszcze nigdy potulnie jak baran. Tak zdecydowały słomki. Dlaczego właśnie ja?! - krzyczało mu w głowie. Nie jestem gorszy od tamtych, a lepszy od większości z nich.

Dobry Boże w niebiesiech, dlaczego ja?

Spuszczono drabinę. Orni dał znak, żeby jeden z nich wszedł na górę, i to szybko.

- Isogi! - ponaglił, co znaczyło „Prędko!”

Van Nekk i Jan Roper modlili się po cichu, zamknawszy oczy. Pieterzoon nie mógł na to patrzeć. Blackthorne zaś wpatrywał się w Omiego i jego samurajów.

- Isogi! - powtórzył ostrym tonem Orni. Vinck jeszcze raz spróbował wstać.

Niech ktoś mi pomoże - powiedział. - Pomóżcie mi wstać! Pieterzoon, który znajdował się najbliżej Vincka, schylił się, chwycił go pod ramię i pomógł mu się podnieść, wówczas jednak nagle u stóp drabiny wyrósł Blackthorne, mocno zapierając się nogami w szlamie:

- Kinjiru! - krzyknął, używając słowa zasłyszanego na statku.

Wszyscy wstrzymali oddech. Omi zacisnął dłoń na mieczu i zbliżył się do drabiny. Blackthorne w tej samej chwili obrócił ją, nie dopuszczając, żeby tamten na niej stanął.

- Kinjiru! - powtórzył.

Omi zatrzymał się.

- Co się dzieje? - spytał Spil bergen, wystraszony tak jak pozostali.

- Powiedziałem mu, że tego robić nie wolno! Nikt z mojej załogi nie pójdzie na śmierć bez walki!

- Ale. . ale przecież zgodziliśmy się!

- Nie ja.

- Czyś ty oszalał?

- Wszystko w porządku, pilocie - szepnął Vinck. - Ja. . zgodziliśmy się na to i odbyło się to uczciwie. Wola boska. Chcę. . to..

Niepewnie ruszył do drabiny, ale Blackthorne nieugięcie zastawiał mu drogę i wpatrywał się w Omiego.

- Nie pójdziesz bez walki. Nikt nie pójdzie - oświadczył.

- Odejdź od drabiny, pilocie! Rozkazuję ci odejść! - Rozdygotany Spil bergen trzymał się kąta, żeby być jak najdalej od otworu w suficie. - Pilocie! - ostrzegł przesywającym głosem.

Ale Blackthorne go nie słuchał.

Omi cofnął się o krok i szorstkim głosem wydał rozkazy swoim ludziom. Jeden z nich, a tuż za nim jeszcze dwaj natychmiast zaczęli Schodzić z obnażonymi mieczami po drabinie. Blackthorne przekreślił ją i uchylając się przed gwałtownym ciosem miecza, mocno schwycił pierwszego Japończyka, próbując go udusić.

- Pomóżcie mi! - zawołał. - Prędszej! Nuże! Brońcie się!

Zmienił chwyt tak, żeby ściągnąć przeciwnika ze szczebli, ściskając go z całych sił, podczas gdy drugi z nich dźgał mieczem w dół. Vinck otrząsnął się z odrętwienia i z szaleńczą brawurą rzucił

się na drugiego samuraja. Powstrzymał cios, który odciąłby Blackthorne'owi dłoń; przytrzymał rękę napastnika z dygoczącym mieczem, a drugą, wolną, trzasnął go w krocze. Samuraj stracił oddech i wściekle wierzgnął. Ale na Vincku kopniak nie zrobił wrażenia. Wspiął się po szczeblach, chcąc odebrać przeciwnikowi miecz, i wbił mu palce w oczy. Dwóm pozostałym samurajom ruchy ograniczała niewielka przestrzeń w piwnicy oraz Blackthorne, jednakże kopnięcie któregoś trafiło Vincka w twarz i Holender poleciał w bok. Samuraj na drabinie sieknął mieczem, nie trafił

Blackthorne'a, a potem cała załoga hurmem opadła wroga.

Croocq rąbnął pięścią w spód jego stopy i poczuł, jak pęka w niej jakaś kość. Japończykowi, który nie chciał dopuścić, aby jego broń wpadła w ręce wrogów, udało się wyrzucić miecz z ziemianki, a potem zwalił się ciężko w błoto. Vinck i Pieterzoon runęli na niego. Walczył z nimi zapamiętale, reszta zaś ruszyła na następnego schodzącego samuraja. Blackthorne podniósł krótki miecz powalonego Japończyka i zaczął wchodzić po drabinie, a za nim Croocq, Jan Roper i Salamon.

Dwójka samurajów wycofała się i stanęli przy wejściu, z zabójczymi mieczami złowieszczo przygotowanymi do zadania ciosu. Blackthorne dobrze wiedział, że przeciwko nim jego krótki miecz jest bezużyteczny. A mimo to natarł, wspomagany z bliska przez innych. W chwili gdy jego głowa znalazła się ponad ziemią, jeden z mieczów zatoczył łuk, chybiając o ułamek cala. A potem potężne kopnięcie nie zauważonego przezeń samuraja strąciło go na powrót pod ziemię.

Odwrócił się i zeskoczył, unikając kłębówiska walczących, którzy w cuchnącym błocie starali się pokonać samuraja. Vinck kopnął leżącego w kark i ciało Japończyka opadło bezwładnie. Vinck walił go dalej raz za razem, dopóki Blackthorne go nie odciągnął.

- Nie zabijaj go, możemy go użyć jako zakładnika! - krzyknął i gwałtownie szarpnął drabinę, próbując ściągnąć ją do piwnicy. Ale była za długa. W górze samuraje Omiego czekali niewzruszenie przy otworze.

- Na miłość boską, pilocie, dość tego! - wycharczał Spil bergen. - Oni nas wszystkich zabiją. .

ty nas wszystkich zabijesz! Niech ktoś go powstrzyma!

Orni wydał krzykiem następne rozkazy i silne ręce na górze uniemożliwiły Blackthorne'owi zatarasowanie wejścia drabiną.

- Uważajcie! - krzyknął.

Do piwnicy zeskoczyło zwinnie trzech samurajów ubranych tylko w przepaski na biodra i uzbrojonych w noże. Pierwszych dwóch, nie przejmując się zagrożeniem, zważyło się na bezradnego Blackthorne'a, przygnietli go do ziemi i z furją zaatakowali.

Zmiażdżyli go swoją siłą. Nie mógł użyć krótkiego miecza, czuł, jak opuszcza go chęć oporu, i żałował, że nie potrafi walczyć bez broni tak, jak naczelnik wioski Mura. Obezwładniony, zdawał sobie sprawę, że długo nie wytrzyma, zdobył się jednak na ostatni wysiłek i wyszarpnął rękę.

Wprawdzie zadany twardą jak kamień dłonią cios wstrząsnął jego głową, a od drugiego w mózgu wybuchły mu wszystkie kolory, to mimo to nie dał za wygraną.

Vinck skoczył jednemu z samurajów do oczu, ale z otworu w suficie zważył się mu na plecy następny, Maetsukker zaś wrzasnął, bo krótki miecz przeciął mu rękę. Van Nekk młócił na oślep, Pieterzoon mówił - Wal ich, jak Boga kocham, a nie mnie! - ale nie docierało to do przerażonego kupca.

Ślizgając się, ubłoconą i spoconą dłonią Blackthorne chwycił jednego z napastników za gardło i prawie udało mu się wstać. W chwili kiedy niczym rozjuszony byk próbował strząsnąć ich z siebie, otrzymał ostatni cios, po którym zapadł w nicość. Trzech samurajów przebiło sobie drogę do drabiny, a pozbawieni przywódcy europejscy więźniowie cofnęli się przed kolistymi sieknięciami ich noży, dzięki którym opanowali piwnicę, nie starając się jednak nikogo zabić ani zranić, a tylko odpędzić zdyszanych i wystraszonych jeńców pod ściany, dalej od drabiny, przy której leżeli nieruchomo samuraj i Blackthorne.

Omi wyniośle zstąpił do ziemianki i chwycił najbliższego stojącego, którym był Pieterzoon.

Szarpnięciem pociągnął go w stronę drabiny.

Pieterzoon krzyczał i wyrywał się, ale jeden nóż przeciął mu przegub, a drugi zranił w rękę.

Krzyczący marynarz został bezlitośnie przyparty plecami do drabiny.

- Chryste, dopomóż mi, to nie ja „mam iść, nie ja, to nie ja. .

Pieterzoon stał na szczeblu i cofał się w górę, byle dalej od bolesnych cięć noży, potem zaś po raz ostatni krzyknął: „Pomóżcie mi, na miłość boską!” - i jak szalony umknął w górę, na powietrze.

Omi bez pośpiechu podążył za nim.

Jeden samuraj wycofał się. Za nim następny. Trzeci zaś zabrał krótki miecz, którego używał

Blackthorne. Z pogardą odwrócił się plecami do nich, przestąpił przez rozciągniętego na ziemi nieprzytomnego towarzysza i wszedł po drabinie.

Nagłym szarpnięciem wciągnięto ją na górę. Powietrze, niebo i światło zniknęły. Szczęknięty zamykane rygle. Pozostała jedynie ciemność, a w niej falujące ludzkie piersi, bijące, rozdarte serca, lejący się pot i smród. Powróciły muchy.

Przez chwilę nikt się nie poruszył. Jan Roper miał lekko rozcięty policzek, Maetsukker mocno krwawił, a pozostali byli, przeważnie w szoku. Wszyscy z wyjątkiem Salamona. Przedostał się on po omacku do Blackthorne'a i odciągnął go od nieprzytomnego samuraja. Powiedział coś gardłowym głosem i wskazał na wodę. Croocq przyniósł jej trochę w tykwie i pomógł mu usadzić przy ścianie wciąż jeszcze nie zdradzającego oznak życia pilota. Wspólnie zaczęli oczyszczać mu twarz z błota.

- Kiedy te psie syny. . kiedy oni na niego skoczyli, to wydało mi się, że słyszę, jak trzaska mu kark albo ręka - powiedział chłopak, mocno dysząc. - O Jezu, wygląda jak trup!

Sonk zmusił się, żeby wstać, i przedostał się do nich. Ostrożnie przekręcił głowę Blackthorne'a z boku na bok i obmacał mu ręce.

- Chyba nic mu nie złamali. Trzeba poczekać, aż się ocknie i sam powie.

- O mój Boże - wyjęczał Vinck. - Biedny Pieterzoon. . jestem przeklęty. . przeklęty. .

- Ty przecież szedłeś. To pilot cię zatrzymał. Ty szedłeś, tak jak obiecałeś, sam widziałem, na miły Bóg! - Sonk potrząsnął Vinckiem, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. - Sam widziałem, Vinck. -

Obrócił się w stronę Spil bergena, odganiając ręką muchy. - Nie tak było?

- Tak, szedł. Nie labiedź, Vinck. To przez pilota. Dajcie mi wody.

Jan Roper nabrał tykwą wody, napił się i zwilżył rozcięty policzek.

- Powinien był pójść Vinck. - To on był Barankiem Bożym. To on był wybrany. A teraz jego dusza jest stracona. O Panie Boże, zlituj się nad nim, bo przez całą wieczność będzie się smażył w ogniu piekielnym.

- Dajcie mi wody - zaskomlił dowódca wyprawy.

Van Nekk wziął tykwę od Jana Ropera i podał ją Spil bergeniowi.

- To nie wina Vincka - rzekł ze znużeniem. - Nie pamiętacie, jak nie mogłem wstać? Poprosił, żeby ktoś mu pomógł. Ja bałem się tak, że też nie mogłem się ruszyć, a przecież nie musiałem iść tak jak on.

- To nie była wina Vincka - powtórzył Spil bergeniowi. - Nie. To przez niego. - Wszyscy spojrzeli na Blackthorne'a. - On zwariował.

- Wszyscy oni to sukinsyny! - zawyrokował Ginsel.

- Nie, nie wszyscy - sprzeciwił się van Nekk. - Pilot robił jedynie to, co uważał za słuszne.

Chronił nas i przepłynął z nami dziesięć tysięcy mil., Gównno, a nie chronił! Kiedy wypływaliśmy, było nas pięciuset na pięciu statkach. A zostało dziewięciu!

- To nie jego wina, że flotyl a się rozproszyła. To nie jego wina, że burza rozgoniła nas wszystkich. .

- Gdyby nie on, to pozostalibyśmy w Nowym Świecie, na miły Bóg. To przecież on powiedział, że dopłyniemy do Japonii. No i patrzcie, na rany Chrystusa Pana, gdzieśmy trafili.

- Zgodziliśmy się płynąć do Japonii. Wszyscyśmy się zgodzili - przypomniał ze znużeniem van Nekk.
- Wszyscy głosowali.

- Tak. Ale on nas do tego namówił.

- Uwaga!

Ginsel wskazał na samuraja, który poruszał się i jęczał. Sonk szybko znalazł się przy nim i trzasnął go pięścią w szczękę. Japończyk znowu stracił przytomność.

- Na rany Chrystusa! Dlaczego te sukinsyny go tu zostawiły? Z łatwością mogli go stąd zabrać. My byśmy im nie przeszkodzili.

- Myślisz, że uznali go za trupa?

- Nie wiem! Na pewno go obejrzeli. Jezu, ale napiłbym się zimnego piwa - powiedział Sonk.

- Już go więcej nie bij, Sonk, nie zabijaj go. To zakładnik. - Croocq spojrział na zasklepionego w żałośliwej nienawiści do samego siebie Vincka, który siedział skulony pod ścianą. - Boże, dopomóż nam wszystkim. Co oni zrobią z Pieterzoonem? Co zrobią z nami?

- To wina pilota - powtórzył Jan Roper. - Wyłącznie jego.

Van Nekk ze współczuciem przyjrzał się Blackthorhe'owi.

- To teraz nieważne - rzekł. - No nie? Czyja jest to wina albo była.

Maetsukker wstał chwiejnie, z rany na ręce wciąż ciekła mu krew.

- Jestem ranny, niech mi ktoś pomoże - powiedział.

Salamon z kawałka koszuli zrobił opaskę uciskową i zatamował krew. Biceps Maetsukkera był głęboko rozcięty, ale żyły i arterie miał całe. Ranę już zaczęły napastować muchy.

- Przeklęte muszyska! I przeklęty pilot, oby się w piekle smażył! - zaklął Maetsukker. -

Wszystko uzgodniliśmy. Ale nie, skądże! Oh musiał uratować Vincka! A teraz ma na sumieniu Pieterzoona, a my wszyscy przez niego cierpimy!

- Zamknij gębę! Powiedział, że nikt z jego załogi. .

Nad ich głowami rozległy się kroki. Otworzono klapę. Chłopi zaczęli wlewać do piwnicy beczki morskiej wody z odpadkami z ryb. Przeszli, kiedy na dnie piwnicy stało już sześć cali wody.

Krzyki zaczęły się, kiedy księżyc stał wysoko.

Yabu klęczał w otoczonym murem ogrodzie przy domu Omiego. Nie poruszał się. Przyglądał się światłu księżyca spowijającemu kwitnące drzewo z gałęziami czarnymi jak węgiel na tle jaśniejszego nieba. W powietrzu zawirował płatek i Yabu pomyślał:

Piękności

Nie ujmuje

Spadanie

Na wietrze

Na ziemi spoczął jeszcze jeden płatek. Westchnienie wiatru uniosło następny. Drzewo było zaledwie wzrostu człowieka, wciśnięte pomiędzy omszałe kamienie, które umieszczono tak przemyślnie, że zdawały się wyrastać z ziemi.

Yabu musiał dobrać całej siły woli, żeby skupić się na tym drzewie, kwiatkach, niebie i nocy, łowić delikatne dotknięcia wiatru, czuć jego morską świeżość, myśleć o poezji, a przy tym nasłuchiwać odgłosów tortur. Jego kręgosłup zmiękł. I tylko siła woli czyniła go podobnym do skał.

Świadomość tego pozwalała osiągnąć mu taki poziom zmysłowości którego nie da się opisać. A dziś wieczorem była ona silniejsza i gwałtowniejsza niż kiedykolwiek.

- Omi-san, jak długo zatrzyma się tu nasz pan? - spytała z wnętrza domu wystraszonym szeptem matka Omiego.

- Nie wiem.

- Te krzyki są okropne. Kiedy się skończą?

- Nie wiem - odparł Orni.

Siedzieli za parawanem w drugim z najlepszych pokoi. Najlepszy, należący do matki, oddali Yabu, oba zaś wychodziły na ogród, którego urządzenie kosztowało tyle trudu. Widzieli Yabu przez kratki parawanu, drzewo rzucało na jego twarz wyraźny cień, a w rękojeściach jego mieczy błyszczał księżyc. Na ciemnoszare kimono miał nałożony ciemny haori, czyli wierzchni kaftan.

- Chcę iść spać - powiedziała kobieta, drżąc. - Ale przy tym wyciu nie zasnę. Kiedy ono się skończy?

- Nie wiem. Bądź cierpliwa, matko - odparł cicho Omi. - Wycie wkrótce ustanie. A jutro pan Yabu powróci do Edo. Proszę cię, okaż cierpliwość.

Wiedział jednak, że tortury będą trwały aż do świtu. Tak je zaplanowano.

Postarał się skupić. Ponieważ jego feudalny pan medytował pośród krzyków, spróbował

jeszcze raz pójść za jego przykładem. Ale kolejny wrzask przekreślił ten zamiar i Omi pomyślał:

„Nie potrafię. Nie potrafię, jeszcze nie. Wciąż brakuje mi jego samokontroli i siły. Ale czy to jest siła?

Wyraźnie widział twarz Yabu. Spróbował odgadnąć, co oznacza mina daimyō: lekki grymas obwisłych grubych warg, krople śliny w ich kącikach, oczy zaciśnięte w ciemne szparki, przesuwane tylko wraz z ruchem płatków. Wyglądało to niemal tak, jakby właśnie przeżywał

orgazm - jakby do niego dochodził - nie dotykając siebie. Czy to możliwe?

Omi po raz pierwszy znajdował się tak blisko wuja, gdyż stanowił bardzo poślednie ogniwo w łańcuchu ich rodu, a jego lenno w Anjiro wraz z okolicami było biedne i bez znaczenia. Omi był

najmłodszy z trójki synów, jego ojciec zaś, Mizuno, miał sześciu braci. Yabu był z nich najstarszy i przewodził rodowi Kasigi, natomiast ojciec Omiego był drugi wedle starszeństwa. Omi miał lat dwadzieścia jeden i własnego synka.

- Gdzie twoja nieszczęsna żona? - zapytała piskliwym i zrzędlwym głosem staruszka. - Chcę, żeby pomasaowała mi plecy i ramiona.

- Musiała pojechać do swojego ojca, nie pamiętasz? Jest bardzo chory, matko. Pozwól, że ja to zrobię.

Nie. Za chwilę możesz posłać po służącą. Twoja żona jest nieuprzejma. Mogła poczekać kilka dni. Przyjechałam do ciebie w odwiedzinach aż z Edo. Ta okropna podróż zajęła mi aż dwa tygodnie i co mnie spotyka? Siedzę tu zaledwie tydzień, a ta sobie wyjeżdża. Powinna była się z tym wstrzymać. Nicpotem, oto cała ona! Twój ojciec popełnił bardzo wielki błąd, załatwiając jej małżeństwo z tobą. Powinieneś kazać jej, żeby trzymała się od ciebie z daleka, rozwiedź się raz na zawsze z tą, nic niewartą kobietą. Nie potrafi nawet wymasować mi przyzwoicie pleców. Powinieneś przynajmniej raz i drugi porządnie przetrzepać jej skórę. Te okropne krzyki! Dlaczego nie zamilkną?

- Zamilkną. Już bardzo niedługo.

- Powinieneś porządnie przetrzepać jej skórę.

- Tak, matko.

Omi pomyślał o swojej żonie Midori i serce mu zabiło. Była taka piękna, taka miła, delikatna i mądra, głos miała taki czysty, a grała tak dobrze, jak kurtyzany z Izu.

Musisz natychmiast jechać, Midori-san - powiedział jej na osobności. Omi-san, mój ojciec nie jest aż taki chory, a moje miejsce jest tutaj, służyć twojej matce, ne? - odparła. - Skoro przyjeżdża nasz pan, daimyō, dom musi być przygotowany. Och, Omi-san, to jest dla ciebie taka ważna, najważniejsza chwila w całej służbie, ne? Jeżeli zrobisz dobre wrażenie na panu Yabu, to może da ci lepsze lenno, ty przecież zasługujesz na wiele więcej! Gdyby cokolwiek złego wydarzyło się pod moją nieobecność, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła, a po raz pierwszy masz sposobność wybić się i musi ci się to udać. On przyjeżdża na pewno. Proszę cię, tak wiele jest do zrobienia.

- Owszem, ale chciałbym, żebyś wyjechała natychmiast, Midori-san.

Spędź tam tylko dwa dni, a potem szybko wracaj do domu.

Błagała go, jednakże nalegał, więc pojechała. Chciał, żeby przed przyjazdem Yabu i podczas jego pobytu tutaj nie było jej w domu. Nie z obawy, żeby Yabu ośmielił się ją tknąć bez pozwolenia -

było to nie do pomyślenia, gdyż wówczas zgodnie z prawem miałby podstawy, honor i obowiązek zabić go. Zauważył jednakże, jak zaraz po ich ślubie w Edo Yabu przypatruje się Midori, dlatego chciał usunąć ewentualne źródło zadrażeń, wszystko, co mogłoby wyprowadzić z równowagi albo wprowadzić w zakłopotanie jego feudalnego pana, gdy tu bawił. Bardzo zależało mu, żeby wyrzucić wrażenie na wielmożnym Yabu swoim synowskim przywiązaniem; przezornością i dobrymi radami. Do tej pory wszystko udawało się nad podziw. Statek okazał się prawdziwym skarbem, jego załoga następnym. Wszystko szło wybornie.

- Poprosiłam naszego Dōmowego kami, żeby się tobą opiekował - powiedziała tuż przed odjazdem Midori, mając na myśli szczególnego ducha shintō, który opiekował się ich domem - i posłałam do świątyni buddyjskiej ofiarę na modlitwy. Powiedziałam Suwo, żeby postarał się najlepiej jak potrafi, i posłałam wiadomość Kiku-san. Och, Omi-san, proszę cię, pozwól mi zostać.

Uśmiechnął się na to i wysłał ją w drogę, z makijażem rozmazanym przez łzy.

Smutno mu było bez żony, ale cieszył się, że wyjechała. Te krzyki sprawiłyby jej wielką przykrość.

Jego matka skrzywiła się na dźwięk przyniesionych przez wiatr jęków torturowanego i poruszyła się lekko, żeby zmniejszyć ból w ramionach. Bardzo bolały ją dzisiaj stawy. To ten zachodni morski wiatr, pomyślała. Ale i tak mimo wszystko lepiej tutaj niż w Edo. Tam jest za dużo bagien, za dużo komarów.

Widziała w ogrodzie niewyraźny zarys sylwetki Yabu. W duchu nienawidziła go i życzyła mu śmierci. Po śmierci Yabu jej mąż Mizuno zostałby daimyō Izu i stanąłby na czele rodu. Byłoby to bardzo przyjemne, pomyślała. Wtedy wszyscy pozostali bracia, ich żony i dzieci byłyby podporządkowane jej, - no a Mizuno-san ustanowiłby po śmierci Yabu swoim następcą Omiego.

Kolejne ukłucie bólu w karku zmusiło ją do nieznacznego ruchu ciała.

- Wezwę Kiku-san - powiedział Omi, wymieniając imię kurtyzany, która w sąsiednim pokoju cierpliwie oczekiwała wraz z chłopcem na Yabu. - Jest bardzo, bardzo zręczna.

- Nic mi przecież nie jest, jestem tylko zmęczona, ne? Ale niech będzie. Może mnie wymasować.

Omi wszedł do pokoju obok. Poślanie było już przygotowane. Składało się ono z kołder, wierzchniej i spodniej, zwanych futonami, które leżały na matach podłogowych. Kiku ukloniła się, spróbowała uśmiechnąć i wymamrotała, że byłaby zachwycona, mogąc wykorzystać swoje skromne umiejętności do wymasowania najszlachetniejszej matki pana domu. Była jeszcze bledsza niż zazwyczaj i Omi poznał, że krzyki torturowanego także jej dały się we znaki. Chłopiec starał się nie okazywać po sobie lęku.

Kiedy rozpoczęły się te wrzaski, Omi musiał dobyć z siebie wszelkich umiejętności perswazji, żeby skłonić ją do pozostania.

- Och, Omi-san, nie mogę tego znieść. . to, straszne - powiedziała. - Tak mi przykro, proszę cię, pozwól mi odejść. . chcę zatkać sobie uszy, ale ten krzyk przenika mi przez dłonie. Biedak. . to straszne.

- Proszę cię, Kiku-san, proszę, okaż cierpliwość. Nakazał to Yabu-sama, ne? Nic nie można poradzić. To się niedługo skończy.

Nienaruszalne prawo stanowiło, że za same pieniądze nie można było kupić usług dziewczyny, jeżeli ona lub jej opiekunka miała życzenie odmówić klientowi, bez względu na to, kim był. Kiku była kurtyzaną pierwszej rangi, najslyniejszą w Izu i chociaż Omi był przekonany, że nie może się ona równać z żadną nawet drugiej rangi kurtyzaną z Edo, Osaki czy Kioto, to tu była szczytem doskonałości, słusznie dumna z siebie i wyjątkowa. Więc chociaż umówił się z jej pracodawczynią, szanowną mamą-san Gyoko, że zapłaci pięć razy tyle co zwykle, to nadal nie miał pewności, czy Kiku zostanie.

A teraz przyglądał się jej zręcznym palcom poruszającym się po karku jego matki. Była piękna, filigranowa, a skórę miała niemal przezroczystą i taką miękką. Zwykle kipiała życiem. Ale jakże taka wesoła istotka może być szczęśliwa, przymuszana do znoszenia takich wrzasków? -

zastanawiał się. Cieszyło go przyglądanie się jej, cieszyło go, że zna jej ciało i jego ciepło..

Raptem krzyki urwały się.

Orni z na wpół otwartymi ustami wyteżał słuch, chcąc wyłowić najlżejszy dźwięk, i czekał.

Spostrzegł, że palce Kiku zamarły, a jego matka nie skarży się i równie chciwie nasłuchuje. Spojrzał przez ażurowy parawan na Yabu. Daimyō nadal siedział jak posąg.

- Omi-san! - zawołał wreszcie.

Orni wstał, wyszedł na lśniącą od czystości werandę i uklonił się.

- Tak, panie - powiedział.

- Idź i zobacz, co się stało.

Omi uklonił się ponownie, przeszedł przez ogród i wyszedł na wzorowo wybrukowaną drogę, która zbiegała ze wzgórza do wioski i nad brzeg morza. Daleko w dole, obok jednego z nabrzeży widział ognisko, a przy nim ludzi. A na placu nad morzem przykryte klapą wejście do piwnicy i czterech strażników.

Idąc w stronę wioski zobaczył, że barbarzyński statek stoi bezpiecznie zacumowany, a na pokładach i gniazdowych łodziach palą się lampy olejne. Wieśniacy - mężczyźni, kobiety i dzieci - w dalszym ciągu rozładowywali go, a rybackie łodzie i łódki uwijały się tam i z powrotem niczym rój świetlików. Starannie ułożone stosy bel i skrzyń piętrzyły się na brzegu. Stało już tam siedem dział, a następne za pomocą lin wciągano z łodzi na przystań.

Mimo że wiatr nie był zimny, Omi zadrżał. Zwykle wieśniacy śpiewaliby przy pracy, zarówno z radości, jak i żeby pomóc sobie równo ciągnąć liny. Dziś wieczorem w wiosce było jednak nadzwyczaj cicho, choć w żadnym domu nie spano i wszystkim przydzielono pracę, nawet najbardziej chorym. Ludzie spieszyli tam i z powrotem, kłaniali się i pędzili dalej. Nawet psy siedziały dziś cicho.

Tak nie było tutaj jeszcze nigdy, pomyślał, niepotrzebnie zaciskając dłoń na mieczu. Ma się niemal wrażenie, jakby naszą wieś opuścił jej kami.

Od strony brzegu wyszedł mu na spotkanie Mura, otwierając przed nim furtkę do ogrodu.

- Dobry wieczór, Omi-sama - powiedział, kłaniając się. - Statek będzie rozładowany do południa.

- Czy ten barbarzyńca skonał?

- Nie wiem, Omi-sama. Zaraz tam pójde i sprawdzę.

- Możesz pójść ze mną.

Mura posłusznie podążył za Omim, pół kroku za jego plecami. Orni był niespodziewanie rad z jego towarzystwa.

- Powiadasz, że do południa? - spytał Orni, któremu nie podobała się panująca cisza.

- Tak. Wszystko idzie dobrze.

- A co z zamaskowaniem?

Mura wskazał na grupkę starszych kobiet i dzieci w pobliżu sieciarni, które w towarzystwie Suwo plotły grube maty.

- Możemy zdjąć działa z lawet i je owinać. Do przeniesienia jednego potrzeba co najmniej dziesięciu

chłopa. Igurashi-san posłał do sąsiedniej wioski po więcej tragarzy.

- Dobrze.

- Niepokoję się o zachowanie wszystkiego w tajemnicy, wielmożny panie. .

- Igurashi-shan z pewnością wbije im do głów tę potrzebę, ne?

- Poświęcimy na to wszystkie nasze worki na ryż, Omi-sama, cały nasz sznurek, wszystkie nasze sieci, wszystkie słomiane maty.

- No i?

- Jak w takim razie będziemy łowić ryby, czym zwiążemy plony?

- Znajdziecie jakiś sposób - odparł nieco ostrzej Orni. - Wasza danina znowu wzrasta w tym roku o połowę. Taki rozkaz wydał Yabu-san dziś wieczorem.

- My już zapłaciliśmy tegoroczną i przyszłoroczną daninę.

- Taka jest rola chłopca, Mura. Łowić ryby, uprawiać ziemię, zbierać plony i płacić daninę. Czyż nie?

- Tak, Omi-sama - odparł chłodno Mura.

- Naczelnik, który nie potrafi utrzymać w korbach wsi, zda się psu na budę, ne?

- Tak, Omi-sama.

- Ten wieśniak nie dość, że mnie znieważył, ale na dodatek był głupcem. Jest więcej takich jak on?

- Nie ma, Omi-sama.

- Mam nadzieję. Brak wychowania jest niewybaczalny. Jego rodzina zapłaci za to grzywnę w wysokości jednego koku ryżu: w rybach, ryżu, zbożu, obojętnie czym. Mają zapłacić w ciągu trzech księżyców.

- Tak, Omi-sama.

Zarówno Mura, jak samuraj Orni dobrze wiedzieli, że suma ta całkowicie przekracza możliwości finansowe tej rodziny. Trzej - a w tej chwili dwaj - bracia Tamazaki wraz z żonami, czterema synami i trzema córkami oraz wdowa po Tamazakim z trójką dzieci mieli do spółki zaledwie jedną łódź rybacką i jedno półhektarowe pole ryżu. Koku ryżu było miarą zboża zbliżoną do ilości ryżu, jaka była potrzebna rodzinie do przeżycia przez rok, czyli około pięciu buszli. Mniej więcej trzysta pięćdziesiąt funtów. Wszystkie dochody w cesarstwie mierzono w koku ryżu.

Podobnie jak wszystkie podatki.

- Co by się stało z naszą Krainą Bogów, gdybyśmy zapomnieli o dobrych manierach? - spytał

Orni. - Zarówno w stosunku do wyżej, jak i niżej nas stojących.

- Tak, Omi-sama.

Mura zastanawiał się, skąd zdobyć dobra wartości koku ryżu, gdyż było oczywiste, że jeśli nie zapłaci go ta rodzina, to musi zapłacić wioska. A skąd zdobyć więcej worków, sznurka i sieci? Część można odzyskać po zakończeniu tej eskapady. Pieniądze można by pożyczyć. Naczelnik sąsiedniej wioski był mu winien rewanż za wyświadczoną przysługę. Aha! A czyż najstarsza, sześćioletnia córka Tamazakiego nie jest śliczna i czyż sześć lat to nie w sam raz wiek na sprzedanie dziewczyny? -

pomyślał.

Czy dalsza kuzynka siostry mojej matki nie jest najlepszą pośredniczką w handlu dziećmi w całym Izu? Ta chciwa na pieniądze, przerażająca, obmierzła stara wiedźma! Nieważne, rzekł sobie.

Może za to dziecko dostanę nawet dwa koku. Dziewczynka jest na pewno warta znacznie więcej.

- Przepraszam za złe zachowanie Tamazakiego i proszę o wybaczenie - powiedział.

- To on się źle zachował, a nie ty - odparł równie grzecznie Orni.

Obaj wiedzieli jednak, że odpowiedzialność za to spada na Murę i lepiej, żeby nie było więcej takich Tamazakich. Ale mimo to byli zadowoleni. Złożono przeprosiny, które zostały przyjęte, choć zarazem odrzucone. W ten sposób honor obu znalazł zadośćuczynienie.

Skręcili za róg nabrzeża i zatrzymali się. Orni zawahał się, a potem dał Murze znak, że może odejść. Naczelnik wioski uklonił się i z ulgą odszedł.

- Nie żyje, Zukimoto? - spytał Orni.

- Nie, nie, Omi-san. Znowu zemdlał.

Orni podszedł do wielkiego żelaznego kotła, w którym wieś wytapiała tran z wielorybów łowionych czasem w zimowych miesiącach daleko w morzu albo - co było wioskową specjalnością -

robiła klej z ryb. Barbarzyńca był zanurzony po ramiona w parującej wodzie. Twarz miał fioletową, a wargi ściągnięte w tył i odsłaniające pokryte nalotem pleśni zęby.

O zachodzie słońca Omi przyglądał się, jak nadęty próżnością Zukimoto dogląda, żeby barbarzyńcę związano niczym kurczaka, z rękami obejmującymi kolana i dłońmi zwisającymi luźno do stóp, a potem włożono do zimnej wody. W trakcie tych przygotowań drobny rudowłosy barbarzyńca, od którego pragnął rozpocząć tortury Yabu, paplał, śmiał się i płakał, chrześcijański kapłan zaś na początku mamrotał przy nim swoje przeklęte modlitwy.

Później przystąpiono do rozpalania paleniska. Yabu nie było na wybrzeżu, ale jego rozkazy były ściśle określone i wypełniono je dokładnie. Barbarzyńca podniósł krzyk i począł się miotać opętańczo, potem zaś próbował rozbić sobie na miazgę głowę o brzeg kotła, ale go powstrzymano. A wtedy nastąpiły nowe modlitwy, łkania, omdlenia, powroty do przytomności i paniczne wrzaski, zanim nadszedł prawdziwy ból. Omi próbował patrzeć na to tak, jak się patrzy na dręczenie muchy, starając się nie dostrzegać człowieka. Ale nie potrafił, dlatego odszedł najszybciej jak mógł.

Odkrył, że nie gustuje w torturach. Brak im godności, orzekł, ciesząc się, że miał możliwość poznania tej prawdy za pierwszym razem. Były one niegodne zarówno dla torturowanego, jak i dla jego kata.

Odzierają śmierć z godności, a bez tej godności czymże jest ostateczny sens życia? - zadał sobie pytanie.

Zukimoto obojętnie szturchnął kijem podgotowane ciało na nogach barbarzyńcy, jak gdyby sprawdzał, czy gotowana na wolnym ogniu ryba już doszła.

- Niedługo znowu ożyje. To nadzwyczajne, jak długo wytrzymał.

Wątpię, czy oni są z tej samej gliny co my. Bardzo ciekawe, prawda? - spytał.

- Nie - odparł Omi, nienawidząc go z całego serca.

Zukimoto natychmiast stał się czujny i z powrotem przybrał obłudną pozę.

- Nic takiego nie miałem na myśli, Omi-san - powiedział z niskim ukłonem. - Zupełnie nic.

- Oczywiście. Pan Yabu jest zadowolony, że tak dobrze się sprawiłeś. Trzeba ogromnej wprawy, żeby nie rozpalić ognia za mocno, a w sam raz. Jesteś dla mnie zbyt łaskawy, Omi-san.

- Robiłeś to już kiedyś?

- Nie w ten sposób. Ale pan Yabu zaszczyca mnie swoją przychylnością. Ja zaś tylko staram się go zadowolić.:

- Chce wiedzieć, jak długo jeszcze ten człowiek będzie żył.

- Do świtu. Jeśli się postaramy.

Orni z namysłem uważnie przyjrzał się kotłowi. A potem ruszył biegiem w stronę placu wioskowego. Wszyscy samuraje wstali i ukłonili się mu.

- Tu jest całkiem spokojnie, Omi-san - powiedział jeden z nich ze śmiechem, wskazując kciukiem klapę do piwnicy. - Z początku trochę gadali zagniewanymi głosami i słychać było ciosy. A potem dwóch, a może więcej, rozbeczało się jak przestraszone dzieci. Ale od dłuższego czasu jest cicho.

Omi nadstawił ucha. Usłyszał chlupotanie wody i odległe mamrotanie. Ktoś jeden raz jęknął.

- A Masijiro? - spytał, wymieniając imię samuraja, którego z jego rozkazu zostawili na dole.

- Nie wiemy, Omi-san. Na pewno nie wołał. Pewnie nie żyje.

Jak ten Masijiro śmiał być takim niedołęgą, pomyślał Omi. Ulec nie uzbrojonym barbarzyńcom, z których większość choruje! Oburzające! Lepiej, że nie żyje.

- Jutro nie dacie im jeść i pić. Jeżeli ktoś umrze, to w południe usuńcie trupy, ne? I wyдостаńcie na górę przywódcę. Tylko jego.

- Tak, Omi-san.

Omi poszedł z powrotem do ogniska i zaczekał, aż barbarzyńca otworzy oczy. A potem wrócił do swojego ogrodu i przekazał, co powiedział mu Zukimoto, wiatr zaś znowu przywiał odgłosy katuszy.

- Zajrzałeś temu barbarzyńcy w oczy?

Tak, Yabu-sama. Omi klęczał dziesięć kroków za plecami wuja. Yabu ani drgnął. Światło księżyca rzucało cienie na jego kimono, a rękojeść miecza wyglądała jak fal us.

- I co.. co zobaczyłeś?

- Obłąd. Najczystszy obłąd, takie oczy widziałem po raz pierwszy. A poza tym bezgraniczne przerażenie.

Miękko opadły trzy płatki kwiecia.

- Ułóż o nim wiersz.

Orni próbował zmusić umysł do wysiłku. A potem, żalując, że nie potrafi wyrazić tego lepiej, rzekł:

Jego oczy Były samym dnem Piekieł. .

Czystą udręką, Jasno wypowiedzianą.

Krzyki unosiły się w powietrzu, słabsze już, ale odległość tym okrutniej podkreślała ciszę, kiedy milkły. Po chwili Yabu rzekł:

Jeżeli dopuścisz Ich zgrozę do siebie,

Staniesz się jak one W przepastnej, przepastnej otchłani,

Niewypowiedzianej.

Tej pięknej nocy Orni długo zastanawiał się nad tym wierszem.

5.

Kiedy zamilkły krzyki, Yabu w dalszym ciągu siedział w świetle księżycy jak posąg, aż wreszcie po upływie, zda się, następnej wieczności wstał. Kiku natychmiast przeszła do drugiego pokoju, a jej jedwabne kimono zaszeptало jak morze o północy. Przestraszony chłopiec starał się nie okazywać lęku i otarł łzy, które wycisnęły mu z oczu cierpienia barbarzyńcy. Uśmiechnęła się do niego pokrzepiająco, zmuszając się do okazania spokoju, którego nie czuła.

I wtedy w drzwiach stanął Yabu. Był spocony, twarz miał napiętą, a oczy w półprzymknięte.

Kiku pomogła mu zdjąć miecze, a potem wilgotne kimono i przepaskę na biodra. Wytarła go, dopomogła włożyć czyste, wysuszone na słońcu kimono i zawiązać jedwabny pas. Ledwie zaczęła go witać, zaraz ją uciszył przykładając palec do jej warg.

A potem podszedł do okna i jak w transie, lekko się chwiejąc na nogach, wyrzał przez nie na księżyc, którego ubywało.

Stała nieruchomo, bez strachu, no bo czego mogła się w tej chwili bać? On był mężczyzną, a ona kobietą, wyszkoloną, żeby nią być, żeby sprawiać przyjemność na wszelkie możliwe sposoby.

Lecz nie do zadawania ani przyjmowania bólu. W tej formie zmysłowości specjalizowały się inne kurtyzany. Tu i ówdzie siniak, niechby i ugryzienie, mieściły się w granicach przyjemności i bólu sprawianych sobie nawzajem przez partnerów, lecz zawsze usprawiedliwionych, gdyż w grę wchodził

honor, ona zaś była pierwszej rangi damą Świata Wierzb, której nigdy nie traktowało się z lekceważeniem, lecz zawsze z szacunkiem. Do jej umiejętności należała wiedza, jak utrzymać mężczyznę w ryzach, do pewnych granic. Czasem mężczyzna nie dawał się jednak okiełznać i Dama przeżywała straszne chwile. Ponieważ była sama. I nie miała żadnych praw.

Fryzura Kiku była nieskazitelna, jeśli nie liczyć małych loczków, tak misternie opadających jej na uszy, żeby podsuwały myśli o erotycznym nieładzie, a przy tym podkreślały niewinność całości.

Wierzchnie kimono w czerwono-czarną kratę obszyte było lamówką barwy najczystszej zieleni uwypuklającej bladość jej cery i obwiązane ściśle szerokim, sztywnym, opalizującym zielonym pasem obi. Słyszała w tej chwili przybrzeżne fale i lekki wiatr szeleszczący w ogrodzie.

Wreszcie Yabu odwrócił się i spojrzał na nią, a potem na chłopca.

Chłopiec miał piętnaście lat, był synem miejscowego rybaka i terminował w pobliskim klasztorze u buddyjskiego mnicha, artysty, malarza i ilustratora książek. Należał do tych, którym miło jest zarabiać pieniądze od mężczyzn lubiących to robić z chłopcami, a nie z kobietami.

Yabu przywołał go gestem. Chłopiec, już prawie wyzbyty strachu, posłusznie, z wyćwiczoną elegancją rozwiązał pas na kimonie. Nie nosił przepaski na biodra, ale kobiecą halkę, która sięgała do ziemi. Ciało miał gładkie, kształtne i prawie bezwłose.

Kiku zapamiętała ciszę panującą w pokoju, splatający ich troje, spokój i brak krzyków, jej czekanie wraz z chłopcem, aż Yabu wskaże, które z nich chce mieć, oraz lekko chwiejącego się daimyō, który stał pomiędzy nimi i prznosił wzrok z jednego na drugie.

Po dłuższym czasie dał znak jej. Z wdziękiem rozwiązała wstążkę swego obi, odwinęła pas delikatnie i położyła. Fałdy jej cieniutkich kimon rozchyliły się z szelestem, odsłaniając cienką jak mgiełka halkę, podkreślającą biodra. Yabu ułożył się na posłaniu, a potem, na jego rozkaz, oni po jego bokach. Ułożył sobie ich ręce na ciele i przytrzymał. Szybko się podniecił, pokazując im, jak mają użyć paznokci w okolicach lędźwi, jego podniecenie wzrosło i zaczęło wzrastać coraz szybciej, mimo jego kamiennej twarzy, aż wreszcie wydał z siebie rozedrgany gwałtowny krzyk najdotkliwszego bólu. Przez chwilę leżał ciężko dysząc, z mocno zaciśniętymi powiekami, z unoszącą się ciężko piersią, a potem odwrócił się i prawie natychmiast zasnął.

W ciszy tej wstrzymali oddechy, starając się ukryć swoje zaskoczenie. Wszystko skończyło się tak szybko.

Zdumiony chłopiec podniósł brwi.

- Czyżbyśmy nie zrobili tego jak należy, Kiku-san? - wyszeptał. - No bo wszystko odbyło się tak prędko.

- Zrobiliśmy wszystko, czego chciał - odparła.

- Na pewno dotarł do Chmur i Deszczu - rzekł chłopiec. - Myślałem już, że ten dom się zawali.

Kiku uśmiechnęła się.

- A, tak. Cieszę się. Z początku bardzo się bałem. Jak dobrze jest kogoś zaspokoić.

Razem delikatnie wytarli Yabu i przykryli go kołdrą. A potem chłopiec ułożył się w rozmarzeniu na wznak i podparty na łokciu stłumił ziewnięcie.

- A może i ty zaśniesz - powiedziała.

Chłopiec obciągnął kimono i zmienił pozycję, klękając naprzeciwko niej. Siedziała przy Yabu, prawą dłonią delikatnie gładząc rękę daimyō i łagodząc jego rozedrgany sen.

- Jeszcze nigdy nie byłem jednocześnie z mężczyzną i kobietą, Kiku-san - szepnął chłopiec.

- Ja również.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Nie byłem też nigdy z dziewczyną. To znaczy, z żadną nie poduszkowałem.

- Chciałbyś ze mną? - spytała grzecznie. - Jeżeli zaczekasz, to nasz pan na pewno się nie obudzi.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Tak, proszę - powiedział, a potem dodał: - To było bardzo dziwne, pani Kiku.

Uśmiechnęła się w duchu.

- A jak wolisz? - spytała.

Kiedy leżeli spokojnie trzymając się w objęciach, chłopiec długo myślał nad odpowiedzią.

- Taki sposób wymaga wiele wysiłku.

Ułożyła głowę na jego ramieniu i żeby ukryć uśmiech, pocałowała go w kark.

- Jesteś wspaniałym kochankiem,- szepnęła. - Po tak ciężkim wysiłku musisz się przespać.

Uśpiła go pieszczotami, a potem zostawiła samego i przeniosła się na drugie posłanie z kołder.

Było zimne. Nie chciała się przysuwać do ciepłego Yabu, żeby nie zakłócać mu snu. Wkrótce jej strona posłania ogrzała się.

Cienie padające od shoji wyostrzyły się. Mężczyźni to takie duże dzieci, pomyślała. Tacy pełni niemądrej dumy. Całe te męczarnie dzisiejszej nocy za coś tak nietrwałego! Za namiętność, która przecież jest w swej istocie jedynie ułudą, ne?

Chłopiec poruszył się we śnie. Dlaczego mu to zaproponowałam? - zadała sobie pytanie. Dla jego przyjemności - dla niego, a nie dla mnie, choć mnie to ubawiło, zajęło mi czas, a jemu dało spokój, którego potrzebował. Czemu się trochę nie prześpię? Później. Prześpię się później, powiedziała sobie.

Kiedy nadeszła pora, wysliznęła się z „cieplej miękkości posłania i wstała. Jej kimona zaszeleściły przy rozdzielaniu, a na skórze poczuła zimne powietrze. Szybko ułożyła swoje szaty w idealne fałdy i zawiązała obi. A potem zręcznie, choć przy tym ostrożnie, poprawiła fryzurę. Oraz makijaż.

Z pokoju wyszła bezszelestnie.

Strażnik pilnujący wejścia na werandę uklonił się jej, na co od powiedziała mu ukłonem i wyszła na poranne słońce. Służąca już na nią czekała. .

- Dzień dobry, Kiku-san - przywitała ją.

- Dzień dobry.

Dotyk słońca był bardzo przyjemny i zmył z niej przykre wrażenia tej nocy. Jakże piękne jest życie” pomyślała.

Blackthorne zanurzył tykwę w resztkach mętnej wody w beczce, starannie odmierzył pół jej

zawartości i podał wodę Sonkowi. Sonk starał się pić powoli, żeby starczyło na dłużej, ale nie był w stanie, bo trzęsła mu się ręka. Połknął więc ciepławy płyn, żałując tego już w chwili, kiedy spłynął mu przez spieczone gardło, a potem wyczerpany po omacku odnalazł miejsce przy ścianie, deptając po tych, na których przyszła kolej leżeć. Podłogę pokrywało w tej chwili głębokie błoto, a smród i muchy dokuczały potwornie. Przez szparę w klapie do piwnicy wpadało odrobinę słońca.

Następny w kolejce do wody był Vinck, który wziął swoją porcję i wpatrzył się w nią. Siedział w pobliżu beczki, a z jej drugiej strony zajmował miejsce Spil bergen.

- Dziękuję - wymamrotał głucho.

- Pośpiesz się! - ponaglił go Jan Roper, którego rozcięty policzek już się zaognił. Był ostatni w kolejce do wody, a ponieważ znajdował się tak blisko niej, gardło przyprawiało go o mękę. - Pośpiesz się, Vinck, na rany Jezusa! Przepraszam. Weź, proszę - odparł Vinck podając mu tykwę, nieświadom, że obsiadły go muchy.

- Wypij, głupi! Nic więcej nie dostaniesz aż do zachodu słońca. Wypij!

Jan Roper wepchnął mu z powrotem naczynie do ręki. Vinck nie spojrział na niego, ale przygnębiony posłuchał się go, a potem ponownie zstąpił do swojego osobistego piekła.

Jan Roper wziął swoją porcję wody od Blackthorne'a. Zamknął oczy i w milczeniu zmówił modlitwę. Był w tej chwili jednym ze stojących i bolały go mięśnie nóg: Zawartość naczynia wystarczyła mu zaledwie na dwa łyki.

Wtedy zaś, ponieważ wszyscy otrzymali już swoje porcje, Blackthorne sięgnął do beczki i z przyjemnością się napił. Był pokryty brudem, potem i muchami. Usta i język miał podrażnione, piekące i suche. Klatkę piersiową i plecy mocno potłuczone.

Obserwował samuraja, którego zostawiono w piwnicy. Japończyk siedział skulony pod ścianą, pomiędzy Sonkiem a Croocqiem, zajmując jak najmniej miejsca, i od wielu godzin się nie poruszył.

Wpatrywał się martwym wzrokiem przed siebie, nagi, jeśli nie liczyć przepaski, z ciałem pokrytym wielkimi siniakami i z grubą pręgą dookoła szyi. Kiedy Blackthorne odzyskał przytomność, piwnica tonęła w całkowitych ciemnościach. Jamę wypełniały wrzaski, on zaś myślał, że umarł i znajduje się w duszących otchłaniach piekieł. Miał wrażenie, że został wessany w błoto, ponad miarę lepkie, zimne i pełne wijących się ciał, więc zaczął krzyczeć i w przerażeniu młócić rękami i nogami, nie mogąc oddychać, aż wreszcie, po upływie wieczności, usłyszał głos:

- Spokojnie, pilocie, nie umarłeś, spokojnie. Oprzytomniej, oprzytomniej, na miły Bóg, to nie piekło, ale tak właśnie mogłoby wyglądać.

O błogosławiony Panie Jezu, dopomóż nam wszystkim.

- Chryste, wydostań nas stąd! - wyjęczał któryś.

- Co oni robią temu biednemu Pieterzoonowi? Co oni mu robią? Boże, pomóż nam. Nie mogę wytrzymać tych krzyków!

- O Panie, ześlij na tego biedaka śmierć. Ześlij śmierć.

- Chryste Panie, przerwij te krzyki! Proszę cię, przerwij te krzyki!

Zamknięcie w tej piwnicy i krzyki Pieterzooona były ciężkim przeżyciem dla wszystkich, zmuszając ich do zajrzenia we własne dusze.

I żadnemu z nich nie spodobało się to, co tam zobaczył.

Ciemności jeszcze tylko wszystko pogarszają, pomyślał Blackthorne. Noc w piwnicy nie miała końca.

O brzasku krzyki ustały. Kiedy przesączyło się do nich światło ranka, zobaczyli zapomnianego samuraja.

- Co z nim zrobimy? - spytał van Nekk.

- Nie wiem. Jest tak bardzo wystraszony, jak my sami - odparł Blackthorne z mocno bijącym sercem.

- Lepiej, żeby z niczym nie wyskakiwał, na miły Bóg!

- O Panie Jezu, wydostań nas stąd. . - Głos Croocqa zaczął nabierać siły. - Na pomoc! !

Van Nekk, który siedział blisko niego, potrząsnął chłopakiem i powiedział łagodnym głosem:

- Wszystko w porządku, chłopcze. Jesteś w rękach Boga. On nas strzeże.

- Obejrzyj no moją rękę - wyjęczał Maetsukker, którego rana już zaczęła ropieć.

Blackthorne podniósł się chwiejnie.

- Za dzień, dwa wszyscy zwariujemy do reszty, jeżeli się stąd nie wydostaniemy - rzekł nie wiadomo do kogo.

- Już prawie nie ma wody - poskarżył się van Nekk.

- Rozdzielimy to, co zostało. Trochę teraz. . trochę w południe. Przy szczęściu, starczy nam na trzy razy. Bodaj diabli te wszystkie muchy!

Blackthorne odszukał czerpak i rozdał porcje, w tej chwili zaś pił swoją, starając się, żeby starczyła jak najdłużej.

- A co z nim. . co z tym Japończykiem? - spytał Spil bergen. Dowódca wyprawy lepiej zniósł tę noc od pozostałych, ponieważ zatkał sobie uszy przed krzykami błotem, a okupując miejsce przy beczce z

wodą przezornie ugasił pragnienie. - Co z nim zrobimy?

- Powinien dostać wody - powiedział van Nekk.

- A bodaj cię franca - zaklął Sonk. - A ja mówię, że nie dostanie. Przegłosowali to i uchwalili, że Japończyk nie dostanie wody.

- Nie zgadzam się - powiedział Blackthorne.

- Ty się nie zgadzasz z niczym, co mówimy - rzekł Jan Roper. - A to przecież wróg. Pogański diabeł, który omal cię nie zabił.

- To ty mnie omal nie zabiłeś. Z pół tuzina razy. Gdyby twój muszkiet Wypalił w Santa Magdel ana, to rozwaliłbyś mi głowę.

- Nie celowałem w ciebie. Celowałem w te przeklęte sługi Szatana!

- To byli nie uzbrojeni księża. A poza tym miałeś mnóstwo czasu.

- Nie celowałem w ciebie.

- Bóg świadkiem, że tuzin razy o mało co nie zabiłeś mnie przez twój przeklęty gniew, przeklętą bigoterię i przeklętą głupotę.

- Błuznierstwo to grzech śmiertelny. Branie Jego imienia nadaremno to grzech. Jesteśmy w Jego rękach, a nie w twoich. Nie jesteś królem i nie jesteś na statku. Nie jesteś naszym stró..

- Ale zrobicie, co każę!

Jan Roper rozejrzał się po piwnicy, na próżno szukając poparcia.

- Rób, co chcesz:- oznajmił ponuro.

- Zrobię.

Samurajowi chciało się pić, ale na widok podsuniętego czerpaka potrząsnął głową. Blackthorne zawahał się, przystawił tykwę do spierzchniętych warg Japończyka, ale ten odtrącił ją rozlewając wodę i powiedział coś szorstkim tonem. Blackthorne przygotował się do odparowania ciosu, który nastąpi. Ale nie nastąpił. Japończyk nie poruszył się więcej i tylko wpatrywał się przed siebie.

- To wariat. Oni wszyscy to wariaci - powiedział Spil bergen.

- Więcej wody dla nas. No i dobrze - rzekł Jan Roper. - Niech idzie do piekła, na które zasłużył.

- Jak się nazywasz? Imię? - spytał Blackthorne. Powtórzył to na inne sposoby, ale samuraj zdawał się tego nie słyszeć.

Dali mu spokój. Ale obserwowali go, jakby mieli przed sobą skorpiona. On na nich nie patrzył.

Blackthorne był przekonany, że człowiek ten dojrzewa do podjęcia jakiejś decyzji, ale nie wiedział jakiej.

Co zamierza, zadawał sobie pytanie. Dlaczego odmawia wody? Dlaczego go tu zostawili? Czy to niedopatrzenie Omiego? Niemożliwe. Celowo? Niemożliwe. Czy można go wykorzystać, żeby się stąd wydostać? Niemożliwe: Cały ten świat jest niemożliwy, z tym że, być może, pozostaniemy tutaj, aż oni nas stąd wypuszczą. . jeżeli w ogóle wypuszczą. A jeżeli wypuszczą, to co dalej? Co zrobili z Pieterzoonem?

Wraz z dziennym upałem zaroilo się od much.

O Boże, żebym tak mógł się położyć, żebym tak mógł się zanurzyć w tej kąpieli, pomyślał. Nie musieliby mnie już tam zaciągać. Nie miałem pojęcia, jak wiele znaczy kąpiel. I ten niewidomy starzec ze swoimi stalowymi palcami! Chętnie skorzystałbym z jego umiejętności przez godzinę albo dwie.

Ileż strat! Wszystkie nasze statki, ich załogi i wysiłki poświęcone dla takiego końca. Pełna klęska. No, prawie. Niektórzy z nas jeszcze żyją.

- Pilocie! - odezwał się van Nekk, potrząsając nim. - Zasnąłeś.

Chodzi o niego.. od minuty albo dłużej bije ci pokłony.

Wskazał na samuraja, który klęczał przed nim z pochyloną głową. Blackthorne przetarł oczy, żeby odegnać zmęczenie. Zdobył się na wysiłek i odklonił.

- Hai? - spytał krótko, przypominając sobie japońskie słowo oznaczające „tak”.

Samuraj chwycił pas od swojego porwanego kimona i okręcił go sobie wokół szyi. Wciąż klęcząc, podał jeden jego koniec Blackthorne'owi, drugi Sonkowi, skłonił głowę i pokazał im, żeby mocno pociągnęli.

- Boi się, że go udusimy - domyślił się Sonk.

- Chryste, a ja myślę, że on właśnie tego od nas chce.

Blackthorne wypuścił pas i pokręcił przecząco głową.

- Kinjiru! - powiedział, myśląc o tym, jakże pożyteczne jest to słowo. Przekazuje komuś, kto nie zna twojego języka, iż morderstwo, zabicie nie uzbrojonego człowieka jest sprzeczne z zasadami, że nie jesteśmy katami i że samobójstwo jest potępione przez Boga.

Samuraj poprosił jeszcze raz, wyraźnie go błagając, ale Blackthorne ponownie pokręcił głową.

- Kinjiru - powtórzył.

Japończyk rozejrzał się gorączkowo. Nagle zerwał się na nogi i wsadził głowę głęboko do cebra z nieczystościami, próbując się w nim utopić. Jan Roper z Sonkiem natychmiast go wyciągnęli.

Dławił się i wrywał.

- Puście go - rozkazał Blackthorne. Posłuchali go. Wskazał beczkę z nieczystościami. -

Samuraju, jeżeli tego chcesz, to zrób to!

Japończyk wymiotował, ale zrozumiał go. Spojrzał na śmierdzący ceber i pojął, że nie starczy mu woli, aby utrzymać w nim głowę wystarczająco długo. W poczuciu sromotnej klęski wrócił na swoje miejsce pod ścianą.

- Chryste - mruknął któryś.

Blackthorne zaczerpnął z beczki pół naczynia wody, wstał, na zeszywniałych nogach podszedł do Japończyka i podsunął mu tykwę z wodą. Samuraj nawet na nią nie spojrzał.

- Ciekawe, jak długo wytrzyma - powiedział Blackthorne.

- Nieskończenie długo - rzekł Jan Roper. - To nie są ludzie. To zwierzęta.

- Na miłość boską, jak długo jeszcze będą nas tu trzymać? - spytał Ginsel., Jak długo im się spodoba.

- Musimy robić wszystko, czego zechcą - powiedział van Nekk. - Musimy, jeżeli chcemy przeżyć i wydostać się z tej piekielnej jamy. Prawda, pilocie?

- Tak. - Blackthorne z ulgą oszacował długość cieni. - Samo południe, zmiana wart.

Spil bergen, Maetsukker i Sonk zaczęli narzekać, ale przekleństwami zmusił ich do wstania i kiedy zamienili się miejscami, z przyjemnością się położył. Błoto cuchnęło, a muchy roiły się jak nigdy, jednakże rozkosz, jaką dawała możliwość wyciągnięcia się na całą długość ciała, była ogromna.

Co oni zrobili Pieterzoonowi? - zadawał sobie pytanie czując, że ogarnia go znużenie. - O

Boże, pomóż nam stąd wyjść. Tak się boję.

Nad głową rozległy się kroki. Otworzono klapę. Stał tam zakonnik w towarzystwie samurajów.

- Pilocie. Masz wejść na górę. Masz wejść na górę sam - po wiedział.

6.

Oczy wszystkich w piwnicy zwróciły się na Blackthorne'a.

- Czego ode mnie chcą?

- Nie wiem - odparł grobowym głosem ojciec Sebastio. - Ale musisz wyjść natychmiast.

Blackthorne wiedział, że nie ma wyboru, ale nie opuścił osłaniającej go ściany, starając się zebrać więcej sił.

- Co się stało z Pieterzoonem?

Jezuita powiedział mu. Blackthorne przełożył to tym, którzy nie znali portugalskiego.

- Panie Boże, zlituj się nad nim - wyszeptał van Nekk w przeraźliwej ciszy. - Biedaczysko.

Biedaczysko.

- Przykro mi. Nic nie mogłem zrobić - powiedział bardzo zasmucony ksiądz. - Wątpię, czy z chwilą włożenia go do wody rozpoznawał mnie albo kogokolwiek. Postradał zmysły. Udzieliłem mu rozgrzeszenia i odmówiłem modlitwę. Być może dzięki łasce boskiej. . In nomine Patris et Filii at Spiritus Sancti. Amen. - Zrobił znak krzyża nad piwnicą. - Błagam was, żebyście wyrzekli się swoich herezji i nawrócili na wiarę Bożą. Pilocie, musisz wejść na górę.

- Na miłość boską, pilocie, nie zostawiaj nas! - zawołał Croocq. Vinck, potykając się, podszedł do drabiny i zaczął się po niej wspinać.

- Mogą wziąć mnie, nie pilota. Mnie, nie jego. Powiedz im. .

Zamilkł bezradnie, stojąc obiema nogami na szczeblach. Długa włócznia zatrzymała się o cal od jego serca. Spróbował chwycić za jej drzewce, ale samuraj był na to przygotowany i gdyby Vinck nie odskoczył w tył, toby go przebiła.

Samuraj z włócznią wskazał na Blackthorne'a i gestem polecił mu wejść. Obcesowo, Ale Blackthorne mimo to się nie ruszył. Drugi samuraj wsunął do piwnicy jakiś długi haczykowaty drąg i próbował nim zahaczyć Blackthorne'a.

Nikt się nie ruszył, żeby pomóc pilotowi, oprócz samuraja w piwnicy.

Pochwyił on szybko hak i powiedział coś ostrym tonem do tamtego na górze, ten zaś zawahał się, a potem spojrział na Blackthorne'a, wzruszył ramionami i coś odpowiedział.

- Co powiedział? - spytał Blackthorne.

- Japońską sentencję - odparł zakonnik. - „Człowieczy los jest człowieczym losem, a życie jedynie złudą”.

Blackthorne skinął głową samurajowi, nie oglądając się podszedł do drabiny i zaczął się po niej wspinać. Kiedy wyszedł na pełne słońce, zmrużył oczy przed jego rażącym blaskiem, kolana ugięły się pod nim i runął na piasek., Omi stał z boku. Zakonnik i Mura obok czterech samurajów. Kilku mieszkańców wioski przyglądało się im przez chwilę, a potem odwrócili się.

Nikt mu nie pomógł wstać.

O Boże, daj mi siłę, pomodlił się. Muszę wstać i udać, że jestem silny. Oni poważają tylko siłę.

I nieokazywanie po sobie strachu. Pomóż mi, proszę.

Zacisnął zęby, odepchnął się od ziemi i lekko się chwiejąc wstał. - Co, do diabła, chcesz ze mną zrobić, ty mały francowaty sukinsynu? - zwrócił się bezpośrednio do Omiego, a potem rzekł do jezuitę: - Powiedz temu draniowi, że w moim kraju jestem daimyō, co więc ma znaczyć takie traktowanie? Powiedz mu, że nie żyjemy do niego pretensji. Powiedz mu, żeby nas wypuścił, bo w przeciwnym razie sobie zaszkodzi. Powiedz mu, że jestem daimyō, na miły Bóg. Jestem dziedzicem sir Wil iama Micklehavena, oby ten drań dawno temu skonał! Powiedz mu!

- Ten pirat mówi, że jest w swoim kraju udziałowym panem - powiedział po japońsku zakonnik i wysłuchał odpowiedzi Omiego. - Omi-san mówi, że nie dba o to, czy jesteś w swoim kraju choćby królem., Tu, ty i twoi ludzie, żyjecie dzięki łasce pana Yabu.

- Powiedz mu, że dla mnie jest łajnem.

- Radzę ci wystrzegać się ubliżania im.

Omi znowu coś powiedział.

- Omi-san mówi, że zostaniesz wykąpany. Dostaniesz jeść i pić.

A jeżeli będziesz zachowywał się jak trzeba, to nie wtrąca cię z powrotem do piwnicy.

- A co z moimi ludźmi? Jezuita spytał o to Omiego.

- Zostaną na dole.

- W takim razie każ mu iść do diabła.

Blackthorne ruszył do drabiny, chcąc zejść z powrotem. Ale dwóch samurajów udaremniło mu to i chociaż się wrywał, z łatwością dali mu radę.

Orni przemówił do jezuitę, a potem do swoich podwładnych. Wypuścili Blackthorne'a, który omal nie upadł.

- Omi-san ostrzega, że jeżeli nie będziesz się zachowywał właściwie, to wezmą na górę następnego z twojej załogi. DREW i wody mają pod dostatkiem.

Jeżeli się teraz zgodzę, to znajdą sposoby na wykorzystanie mnie i odtąd będą mnie już zawsze mieli w rękę, pomyślał Blackthorne. Ale czy to ważne, skoro mają mnie w rękę w tej chwili i w końcu będę musiał zrobić, co zechcą? Van Nekk miał rację. Będę musiał zrobić wszystko.

- Czego oh ode mnie chce? Co to znaczy „właściwie”?

- Omi-san mówi, że znaczy to być posłusznym. Robić, co ci każą. Jeśli trzeba, to zjeść łajno.

- Każ mu iść do diabła. Powiedz, że szczam na niego, na cały jego kraj. . i na jego daimyō.

- Radzę ci, żebyś zgodził się na to, co..

- Do diabła, przekaż mu, co ci powiedziałem, dosłownie!

- Dobrze. . ale ostrzegłem cię, pilocie.

Orni wysłuchał zakonnika. Kostki jego zaciśniętej na mieczu dłoni zbieleły. Wszyscy jego podwładni poruszyli się niespokojnie, przewiercając Blackthorne’a spojrzzeniami.

A potem Orni cicho wydał rozkaz.

Natychmiast dwóch samurajów zeszło do piwnicy i wyłonili się stamtąd z młodym Croocqiem.

Zaciągnęli go do kotła, skrupowali, podczas gdy inni przynieśli w tym czasie drewno opałowe i wodę.

Potem zaś wsadzili sparaliżowanego chłopaka do napełnionego kotła i zapalili palenisko.

Blackthorne widział, jak zdjęty skrajnym przerażeniem Croocq porusza bezgłośnie ustami.

Pomyślał, że dla tych ludzi życie ludzkie nie przedstawia żadnej wartości. Bodaj ich piekło pochłonęło, zaklął, to, że ugotują Croocqą, jest tak pewne, jak to, że stoję na tej zakazanej, przeklętej przez Boga ziemi.

Nad piaszczystym brzegiem zaczęły się wznosić kłęby dymu. Ponad łodziami rybackimi krążyły rozkrzyczane mewy. Kawałek drewna wypadł z paleniska i jeden z samurajów wrzucił go nogą z powrotem.

- Każ mu to przerwać - powiedział Blackthorne. - Poproś go, żeby to przerwał.

- Omi-san pyta, czy zgadzasz się zachowywać właściwie.

- Tak.

- Pyta, czy spełnisz wszystkie jego rozkazy.

- Tak, jeżeli tylko zdołam.

- Omi znowu coś powiedział. Ojciec Sebastio zadał mu pytanie, na które skinął głową. Chce, żebyś odpowiedział mu osobiście. „Tak” brzmi po japońsku „hai”. Pyta, czy będziesz posłuszny jego rozkazom.

- Hai, jeżeli tylko zdołam.

Ogień zaczął już ogrzewać wodę i z ust chłopaka wydobył się okropny jęk. Płomienie z palących się drewn, które ułożono na ceglach pod żelaznym kotłem, lizały metal. Na stos dołożono nowych polani - Omi-san każe ci się położyć. Natychmiast.

Blackthorne wykonał rozkaz.

- Omi-san mówi, że cię nie obraził, ty zaś również nie miałeś powodu, by obrażać jego.

Ponieważ jesteś barbarzyńcą i jeszcze nie wiesz, co robisz, nie zostaniesz zabity. Weźmiesz za to lekcję wychowania. Rozumiesz?”

- Tak.

- Chce, żebyś odpowiedział bezpośrednio jemu.

Chłopak zaczął płaczliwie zawodzić. Krzyczał i krzyczał, dopóki nie zemdlął: Jeden z samurajów przytrzymał mu głowę nad wodą.

Blackthorne podniósł wzrok na Omiego. Pamiętaj, przykazał sobie, pamiętaj, że los chłopca jest w twoich rękach, masz w rękach życie całej załogi. Owszem, podszeptała mu jednak druga, diabelska strona jego natury, ale jaką masz gwarancję” że ten drań dotrzyma słowa?

- Rozumiesz?

.- Hai.

Zobaczył, że Omi podnosi kimono i spod przepaski wyciąga członka. Spodziewał się, że nasika mu w twarz. Ale Omi nie zrobił tego. Nasikał mu na plecy. Klnę się na Boga, poprzysiągł sobie Blackthorne, że zapamiętam sobie ten dzień i że gdzieś, kiedyś Omi mi za to jakoś zapłaci.

- Omi-san mówi, że niegrzecznie jest mówić, że się na kogoś szczy. Bardzo niegrzecznie.

Bardzo niegrzecznie i bardzo głupio jest mówić komuś, że się na niego szczy, jeżeli nie ma - się broni. Bardzo niegrzecznie i tym bardziej głupio jest to komuś mówić, jeżeli nie ma się broni, sił i nie bierze pod uwagę tego, że przyjaciele, rodzina lub kto tam jeszcze zginą pierwi.

Blackthorne nic nie odpowiedział. Nie spuszczał Omiego z oka.

- Wakarimasu ka? - spytał Orni.

- Pyta, czy rozumiesz.

- Hai.

- Okiro.

- Każe ci wstać.

Blackthorne wstał, w głowie boleśnie go łupało. Patrzył na Omiego, a Orni wpatrywał się w niego.

- Pójdiesz z Murą i będziesz mu posłuszny. Blackthorne nie odpowiedział.

- Wakarimasu ka? - spytał ostrym tonem Orni.

- Hai. - Blackthorne szacował, jak daleko stoi od Japończyka. Już czuł, jak jego palce wbijają się w twarz i szyję tego człowieka, i modlił się, żeby starczyło mu szybkości i siły na wyłupienie mu oczu, zanim go od niego oderwą. - A co z chłopcem? - spytał.

Jezuita, zacinając się, zapytał o to Omiego. Orni zerknął na kocioł. Woda była zaledwie letnia.

Chłopak zemdłał, ale nic mu się nie stało.

- Zabierzcie go stąd. Jeśli trzeba, sprowadźcie lekarza.

Jego ludzie wykonali rozkaz. Ujrzał, że Blackthorne podchodzi do chłopca i osłuchuje mu serce., Omi dał znak jezuitcie.

- Powiedz przywódcy, że ten młodzik również może dzisiaj pozostać na górze. Jeżeli przywódca i młodzik będą się zachowywali właściwie, jutro z piwnicy może wyjść następny barbarzyńca. Potem jeszcze jeden.

Być może. Albo więcej niż jeden. Być może. Zależy to od zachowania tych na górze. Ale ty. . -

spojrzał na Blackthorne'a - ty odpowiadasz za najmniejsze naruszenie którejkolwiek z zasad lub rozkazów. Rozumiesz?

Kiedy zakonnik przełożył te słowa, Orni usłyszał, jak barbarzyńca mówi „tak”, i zobaczył, że mrozący krew w żyłach gniew w jego oczach nieco słabnie. Niemniej nienawiść pozostała. Co za głupota, pomyślał, co za naiwność tak się nie kryć ze swoimi uczuciami. Ciekawe, co by zrobił, gdybym poigrał z nim mocniej - udał, że wycofuję się z obietnic poczynionych bardziej lub mniej otwarcie.

- Kapłanie, powtórz mi jego nazwisko. Powiedz je wolno.

Usłyszał, jak zakonnik powtarza je kilka razy, ale nadal brzmiało w jego uszach bełkotliwie.

- Potrafisz je powtórzyć? - spytał jednego z samurajów.

- Nie, Omi-san.

- Kapłanie, powiedz mi, że od tej pory będzie się nazywał Anjin, czyli pilot, ne? Kiedy sobie na to zasłuży, będą się do niego zwracać Anjin-san. Wyjaśnij mi, że w naszym języku brak jest dźwięków pozwalających nam wymówić jego prawdziwe nazwisko. Wbij mu do głowy - dodał z sarkazmem Orni - że robimy to nie dlatego, żeby go obrazić. A na razie żegnam, Anjin.

Wszyscy mu się uklonili. Grzecznie pozdrowił ich w ten sam sposób i odszedł. Kiedy oddalił się od plaży na tyle, by mieć pewność, że nikt go nie widzi, pozwolił sobie na szeroki uśmiech. Jakże łatwo poskromił wodza barbarzyńców! Jakże szybko rozpoznał, jak zapanować nad nim i pozostałymi!

Zadziwiający są ci obcy, pomyślał liiii, im prędzej Anjin zacznie mówić naszym językiem, tym lepiej. Bo wówczas dowiemy się, jak raz i na zawsze rozgromić chrześcijańskich barbarzyńców!

- Dlaczego nie narobiłeś mi na twarz? - spytał Yabu.

- Z początku miałem taki zamiar, panie. Ale ten pilot jest nadal nieposkromionym zwierzęciem, ogromnie niebezpiecznym. Narobić mi na twarz. . cóż, dla nas dotknięcie czyjejs twarzy jest najgorszą zniewagą, ne? Pomyślałem, że mogę go tym znieważyć tak bardzo, że przestanie nad sobą panować. Narobiłem mu więc na plecy, co, jak myślę, wystarczy.

Siedzieli na werandzie jego domu, na jedwabnych poduszkach. Matka Omiiego serwowała im cha - herbatę - przestrzegając najlepiej jak potrafiła wszelkich zasad ceremonii, których dobrze wyuczono ją w młodości. Z ukłonem podała filiżankę Yabu. Yabu uklonił się i uprzejmie podał ją Omiemu, który naturalnie odmówił przyjęcia jej, kłaniając się jeszcze głębiej. A wtedy Yabu przyjął

ją i całkowicie usatysfakcjonowany z przyjemnością zaczął pić.

- Zrobiłeś na mnie doskonałe wrażenie, Omi-san - powiedział. - Twoje rozumowanie jest nadzwyczajne. Wspanialeś zaplanował i przeprowadził tę sprawę.

- Jesteś dla mnie zbyt uprzejmy, panie. Mogłem się postarać znacznie lepiej, znacznie lepiej.

- Gdzieś poznał aż tak dobrze umysłowość barbarzyńców?

- Kiedy miałem czternaście lat, przez rok uczył mnie pewien mnich imieniem Jiro. W

przeszłości był katolickim księdzem, a przynajmniej uczył się na księdza, jednak na szczęście przejrzał, że głupio pobił. Na zawsze zapamiętałem sobie jedno, co mi powiedział. Powiedział, że religia chrześcijańska jest bezbronna, ponieważ naucza, że główne bóstwo chrześcijan, Jezus, przykazał ludziom nawzajem się „miłować”, w ogóle nie uczył o honorze i obowiązku, a tylko o miłości.

A ponadto, że życie jest świętością: „Nie będziesz zabijał”, ne? I tym podobne głupstwa. Ci nowi barbarzyńcy twierdzą, że również są chrześcijanami, nawet jeżeli ten kapłan temu przeczy, więc

pomyślałem sobie, że być może stanowią oni jakąś inną sektę chrześcijańską i to jest powód ich wzajemnej Wrogości, podobnie jak nasze sekty buddyjskie nienawidzą jedna drugiej. Pomyślałem zatem, że skoro „kochają bliźniego swego”, to, być może, uda nam się zdobyć wpływ na ich przywódcę, uśmiercając albo tylko grożąc uśmierceniem któregoś z jego ludzi.

Ze względu na tamtą śmierć w męczarniach, śmierć skalaną, Orni miał świadomość, czym grozi ta rozmowa. Wyczuł nieme ostrzeżenie matki, która przeszła pomiędzy nimi.

- Napijesz się jeszcze cha, Yabu-sama? - spytała.

- Dziękuję - odrzekł Yabu. - Jest bardzo, bardzo dobra.

- Dziękuję, wielmożny panie. Ale czy ten barbarzyńca nie złamał się na dobre, Omi-san? -

spytała matka, zmieniając temat rozmowy. - Może powinieneś powiedzieć naszemu panu, czy jego poskromienie uważasz za chwilowe czy też stałe.

Orni zastanowił się nad odpowiedzią.

- Chwilowe - odparł. - Jestem jednak zdania, że powinien jak najszybciej nauczyć się naszego języka. To dla ciebie bardzo ważne, panie. Będziesz prawdopodobnie musiał zabić jednego czy dwóch barbarzyńców, żeby utrzymać w ryzach jego i resztę, ale do tego czasu naucz się zachowywać właściwie. Z chwilą gdy można będzie porozumiewać się z nim bezpośrednio, Yabu-sama, będziesz mógł wykorzystać jego wiedzę. Jeżeli kapłan powiedział prawdę o tym, że pilotował

ten statek przez dziesięć tysięcy mil, to z pewnością nie jest w ciemną bitę.

- Ty sam nie jesteś w ciemną bitę. - Yabu roześmiał się. - Powierzam ci te bydlęta. Szanowny Orni, pogromco ludzi!

Orni zaczął się śmiać wraz z nim.

- Postaram się, panie.

- Podwyższam ci dochód z pięciuset do trzech tysięcy koku. Będziesz sprawował władzę w promieniu dwudziestu ri. Ri było miarą odległości zbliżoną do mili.

- A na dalszy dowód mojej sympatii po powrocie do Edo wyślę ci dwadzieścia koni, dwadzieścia jedwabnych kimon, jedną pełną zbroję, dwa miecze i broń wystarczającą do uzbrojenia setki samurajów, których najmiesz. Kiedy wybuchnie wojna, natychmiast dołączysz do mojego osobistego sztabu jako hatamoto.

Yabu czuł się jak dobrodziej, gdyż hatamoto był specjalnym członkiem świty daimyō, mającym prawo dostępu do swojego feudalnego pana i noszenia w jego obecności mieczy. Yabu był

zachwycony Omim, wypoczęty i czuł się jak nowo narodzony. Spał wyśmienicie. Kiedy się obudził, w pokoju nie znalazł nikogo, czego należało się spodziewać, ponieważ nie zażądał ani od

dziewczyny, ani od chłopca, żeby pozostali. Napił się herbaty i zjadł trochę kleiku ryżowego. A potem były kąpiel i masaż Suwo.

Co za wspaniałe przeżycie, pomyślał. Jeszcze nigdy nie czułem się tak blisko natury, drzew, gór i ziemi, bezcennego smutku życia i jego przemijania. Krzyki torturowanego wszystko to jeszcze wydoskonaliły.

- Omi-san, w moim ogrodzie w Mishimie jest kamień i chciałbym, żebyś go przyjął dla upamiętnienia tego wydarzenia, tej cudownej nocy i przychylnego nam losu - rzekł. - Wyślę go z resztą rzeczy. Kamień ten pochodzi z Kiusiu. Nazwałem go „Kamieniem Oczekiwania”, bo kiedy go znalazłem, czekaliśmy, aż pan taikō wyda nam rozkaz do ataku. Było to, ach, piętnaście lat temu.

Należałem do jego armii, która rozniosła buntowników i podbiła tę wyspę.

- Czynisz mi wielki zaszczyt, panie.

- Dlaczego nie ustawić go tutaj, w twoim ogrodzie, i przemianować? Czemu nie nazwać go

„Kamieniem Milczenia Barbarzyńcy”, dla upamiętnienia tej nocy i nie kończącego się czekania, aż zamilknie?

- A może wolno mi będzie nazwać go „Kamieniem Szczęśliwości”, żeby przypominał mnie i moim potomkom zaszczyty, jakimi mnie obsypałeś, wuju?

Nie, lepiej nazwać go po prostu „Czekającym Barbarzyńcą”. Tak, to mi się podoba. Ściślej nas z sobą łączy, jego i mnie. On czekał, tak samo jak ja czekałem. Ja żyję, on umarł. - Yabu spojrział na ogród, zastanawiając się. - To dobre, „Czekający Barbarzyńca”! Podoba mi się. Po jednej stronie tego kamienia są dziwne cętki, które przypominają łzy, i niebieskie żyłki połączone z czerwonym kwarcem, które przypominają mi ciało - jego nietrwałość - Yabu westchnął, rozkoszując się własną melancholią. A potem dodał: - Dobrze jest umieścić czasem w ogrodzie kamień i go nazwać. Ten barbarzyńca długo konał, ne? Może odrodzi się jako Japończyk, w nagrodę za te cierpienia. Czyż nie byłoby to wspaniałe? A kiedyś jego potomkowie, być może, zobaczą ten kamień i będą radzi.

Orni wypowiedział potok serdecznych podziękowań i zastrzegł się, że nie zasłużył sobie na taką szczodrość. Yabu wiedział jednakże, że w pełni zasłużył on sobie na te dary. Z łatwością mógł

mu dać więcej, pamiętał jednak stare powiedzenie, że lenno zawsze można powiększyć, ale jego zmniejszenie jest matką wrogości. I zdrady.

- Oku-san - zwrócił się do kobiety, tytułując ją Szanowną Matką - mój brat powinien mi wcześniej powiedzieć o wielkich zaletach swego najmłodszego syna. A wówczas Omi-san zaszedłby do tej pory znacznie wyżej. Mój brat jest zbyt skromny i za mało myśli o innych.

- Mój mąż za bardzo cię szanuje i dba o ciebie, panie, żeby ci się narzucać - odparła, świadoma kryjącej się za tymi słowami przygany. - Cieszę się, że mój syn otrzymał możliwość przysłużenia się tobie i że cię zadowolił. Wypełnił jedynie swój obowiązek, ne? Naszym obowiązkiem, szanownego Mizuno i nas wszystkich, jest służyć.

Na podejździe zaklekotały końskie kopyta. A potem przez ogród przemaszerował Igurashi, dowódca świty Yabu.

- Wszystko gotowe, panie - zameldował. - Jeżeli chcesz szybko wrócić do Edo, powinniśmy wyruszyć zaraz.

- Dobrze. Omi-san, ty ze swoim oddziałem pojedziesz z konwojem i pomożesz szanownemu Igurashiemu w bezpiecznym dotarciu do mojego zamku. - Yabu spostrzegł, że twarz siostrzeńca na chwilę się zachmurzyła. - O co chodzi?

- Właśnie myślałem o tych barbarzyńcach.

- Zostaw do nich kilku strażników. W porównaniu z tym konwojem barbarzyńcy nie są ważni.

Rób z nimi, co chcesz, wrzuć ich z powrotem do piwnicy, zrób, co ci się spodoba. Jeżeli uda ci się wyciągnąć z nich coś użytecznego, daj mi znać.

- Tak, panie - odrzekł Omi. - Zostawię dziesięciu samurajów, a Murze wydam szczegółowe polecenia. Przez pięć, sześć dni niczego nie nabroją. A co chcesz zrobić z tym statkiem?

- Trzymaj go tutaj. Oczywiście odpowiadasz za niego. Zukimoto posłał handlarzowi z Nagasaki listy z propozycją sprzedania statku Portugalczykom. Portugalczycy przyłyną i zabiorą go.

- Orni wahał się przez chwilę. ' , A może powinieneś zatrzymać ten statek, panie, i zmusić barbarzyńców do nauczenia naszych żeglarzy, jak nim pływać.

- A na co mi barbarzyńskie statki?

- Yabu zaśmiał się drwiąco. - Miałbym zostać jakimś parszywym kupcem?

- Oczywiście, że nie, panie - odparł prędko Orni. - Tylko pomyślałem sobie, że Zukimoto mógłby go jakoś wykorzystać.

- A na co mi statek handlowy?

- Ten kapłan powiedział, że to okręt wojenny, panie. Najwyraźniej się go obawia. Kiedy rozpocznie się wojna, okręt wojenny może. .

- Nasza wojna będzie się toczyć na lądzie. Morze jest dla kupców, a są to sami parszywi, brudni lichwiarze, piraci lub rybacy.

Yabu wstał i ruszył po schodkach w stronę furty, przy której samuraj trzymał za uzdę jego konia. Zatrzymał się i popatrzył na morze. Kolana ugięły się pod nim.

Orni podążył oczami za jego spojrzeniem.

Przyłodek opływał właśnie jakiś statek. Była to wielka galera z mnóstwem wiosł, najszybszy z japońskich przybrzeżnych okrętów, ponieważ niezależny tak od wiatru, jak od pływów Bandera na jego maszcie nosiła herb Toranagi.

7.

Toda Hiro-matsu, władca prowincji Sagami i Kozuke najbardziej zaufany generał i doradca Toranagi, głównodowodzący jego wszystkich wojsk, w pojedynkę zszedł po kładce na nabrzeże. Był

wysokim, mierzącym blisko sześć stóp mężczyzną o posturze byka, wydatnych szczękach i mimo swoich sześćdziesięciu siedmiu lat cieszył się pełnią sił. Wojskowe kimono miał z brązowego jedwabiu i bez żadnych ozdób, oprócz pięciu małych herbów Toranagi - trzech połączonych pędów bambusa. Nosił też wypolerowany napierśnik i stalowe naramienniki. Przy pasie miał tylko krótki miecz. „Długi, do zabijania, niósł swobodnie w rękę. Był gotów natychmiast wydobyć go z pochwy i zabić w obronie swojego pana. Zwyczaj ten utrzymywał od piętnastego roku życia.

Nikt, nawet taikō, nie był w stanie tego zmienić.

Przed rokiem, kiedy taikō zmarł, Hiro-matsu został wasalem Tora-nagi. Toranaga oddał mu władzę w Sagami i Kozuke, dwóch spośród swoich ośmiu prowincji, przyznał pięćset tysięcy koku ryżu rocznie i również pozostawił w spokoju jego zwyczaj. Hiro-matsu był świetny w sztuce zabijania.

Na wybrzeże wylegli wszyscy mieszkańcy wioski - mężczyźni, kobiety i dzieci - klęcząc z nisko pochylonymi głowami. Przed nimi w równych, przepisowych rzędach stali samuraje. A na ich czele Yabu ze swoimi adiutantami.

Gdyby Yabu był kobietą lub słabym mężczyzną, to powinien by już, jak wiedział, walić się w piersi, zawodzić i wrywać sobie włosy z głowy. Było to trochę za wiele jak na zwykły zbieg okoliczności. Obecność tutaj właśnie dzisiaj słynnego Tody Hiro-matsu znaczyła bowiem, że Yabu został zdradzony - albo w Edo przez któregoś z Dōmowników, albo tutaj, w Anjiro, przez Omiego, któregoś z jego podwładnych lub któregoś z wieśniaków. Przyłapano go na nieposłuszeństwie. Jakiś wróg wykorzystał jego zainteresowanie tym statkiem.

Ukląkł, skłonił się, a wszyscy jego samuraje poszli za jego przykładem. Potem zaś przeklął statek i tych, którzy nim przyплыnęli.

- A, Yabu-sama - usłyszał słowa Hiro-matsu i zobaczył, jak generał klęka na przygotowanej dla niego macie i odpowiada mu ukłonem. Ale nie był to ukłon tak głęboki jak należy, a poza tym Hiromatsu nie zaczekał na jego drugi ukłon, zorientował się - więc bez słów, że znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Ujrzał, że Toda siada na piętach. Za jego plecami nazywano go Żelazną Pięścią.

Wyłącznie Toranaga lub jeden z trzech jego doradców miał przywilej wciągania na maszt jego rodowej bandery. Dlaczego wysłał tak ważnego generała, żeby mnie przyłapał poza Edo? - zadał sobie pytanie.

- Zaszczycasz mnie przyplywając do jednej z moich ubogich wiosek, Hiro-matsu-sama - rzekł.

- Nakazał mi przyplynąć mój pan.

Hiro-matsu był znany ze swojej szczerości. Nie był podstępny ani przebiegły, a jedynie bezwzględnie wierny swojemu suzerenowi.

- Jestem zaszczycony i bardzo się cieszę - odrzekł Yabu. - Przybyłem tu w pośpiechu z powodu tego barbarzyńskiego statku.

- Pan Toranaga zaprosił wszystkich zaprzyjaźnionych daimyō do Edo, żeby tam czekali na jego powrót z Osaki.

- A jak się ma nasz pan? Mam nadzieję, że wszystko u niego dobrze.

- Im prędzej znajdzie się bezpiecznie w swoim zamku w Edo, tym lepiej. Im prędzej zetrzemy się z Ishido, rozstawimy w szyku nasze wojska, odetniemy drogę do zamku w Osace i spalimy go, tym lepiej]

Staremu generałowi poczerwieniały szczęki, bo jego obawy o losy Toranagi wzrosły, a nie cierpiał rozdzielać się z nim. Taikō wybudował zamek w Osace w taki sposób, żeby był nie do zdobycia. Był oh największy w cesarstwie, zawierał w swoich murach cały system połączonych strażnic i fos, mniejszych zamków, wież i mostów i mógł pomieścić osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy.

A dookoła jego murów i w wielkim mieście rozmieszczone było więcej oddziałów wojska, równie zdyscyplinowanych, świetnie wyposażonych i fanatycznie oddanych Yaemonowi, spadkobiercy taikō.

- Mówiłem mu tuzin razy, że to szaleństwo oddawać się w ręce Ishido. Obłąd!

- Pan Toranaga musiał tam przecież pojechać, ne? Nie miał wyboru.

Taikō nakazał, żeby rządząca w imieniu Yaemona Rada Regencyjna przynajmniej dwa razy w roku zbierała się na dziesięć dni, zawsze w zamku w Osace, wprowadzając w jego mury nie więcej niż pięciuset ludzi ze swej świty. A ponadto inni daimyō mieli również taki sam obowiązek dwa razy do roku odwiedzać wraz z rodzinami zamek, żeby złożyć uszanowanie następcy. W ten sposób każdego roku wszyscy znajdowali się przez jego część pod nadzorem i wszyscy byli bezbroni.

- Przecież to spotkanie było z góry ustalone, ne? - ciągnął Yabu. - Gdyby nasz pan nie pojechał, byłaby to z jego strony zdrada, ne?

Zdrada kogo? - Hiro-matsu poczerwieniał jeszcze mocniej. - Ishido próbuje oddzielić naszego pana od reszty. Gdybym to ja miał w swoim ręku Ishido, tak jak on ma pana Toranagę, nie wahałbym się ani chwili, bez względu na rozmiary ryzyka. Głowa Ishido spadłaby mu z ramion dawno temu, a jego dusza czekałaby na powtórne narodziny. - Generał mimowolnie ścisnął wysłużoną pochwę miecza, który trzymał w lewej ręce. Jego prawica, sękata i stwardniała, spoczywała w pogotowiu na kolanie. Przyglądał się z uwagą Erasmusowi. - A gdzie jego działa? - spytał.

- Przewiozłem je na brzeg. Dla bezpieczeństwa. Czy Toranaga-sama zawrze jeszcze jedną ugodę z Ishido?

- Kiedy wyjeżdżałem z Osaki, nic się nie działo. Rada miała się spotkać za trzy dni.

- Czy dojdzie do otwartego starcia?

- Chciałbym, żeby doszło. Ale czy mój pan? Jeżeli zechce ugody, to ją zawrze. - Hiro-matsu spojrzał na Yabu. - Rozkazał wszystkim sprzymierzonym daimyō czekać na siebie w Edo. Do jego powrotu. A tu nie jest Edo.

- Owszem. Ale uznałem, że ten statek jest na tyle ważny dla naszej sprawy, iż należy go natychmiast zbadać.

- Nie było żadnej potrzeby, Yabu-san. Powinieneś mieć więcej zaufania. Nic nie dzieje się bez Wiedzy naszego pana. Wysłałby kogoś, żeby go zbadał. Tak się składa, że wysłał mnie. Długo tu jesteś?

- Dzień i noc.

- A więc z Edo jechałeś tu dwa dni?

- Tak.

- Przyjechałeś bardzo szybko. Pogratulować.

Żeby zyskać na czasie, Yabu zaczął opowiadać o swojej forsownej podróży. Ale myślami był przy ważniejszych sprawach. Kim jest szpieg? W jaki sposób Toranaga dowiedział się o statku równie szybko, jak on sam? I kto doniósł Toranadze o jego wyjeździe? Jaki manewr teraz zastosować i jak dogadać się z Hiro-matsu?

Hiro-matsu wysłuchał go, a potem rzekł z naciskiem:

- Pan Toranaga skonfiskował, ten statek wraz z całą jego zawartością.

Na brzegu zapadła przeraźliwa cisza. To było Izu, lenno Yabu, i Toranaga nie miał tu żadnych praw. Tak samo jak Hiro-matsu nie miał tu żadnych praw, żeby wydawać rozkazy. Yabu zacisnął dłoń na mieczu.

Hiro-matsu czekał z wyćwiczonym spokojem. Wykonał dokładnie rozkaz Toranagi i nie miał już odwrotu. Pozostawało mu jedynie zabić albo zostać zabitym.

Yabu również wiedział, że musi postawić na jakąś kartę. Nie mógł - dłużej zwlekać. Gdyby odmówił oddania zdobyczy, musiałby zabić Hiro-matsu Żelazną Pięść, ponieważ Hiro-matsu Żelazna Pięść za nic nie odjechałby bez statku. Na galerze cumującej na przystani znajdowało się może ze dwie setki doborowych samurajów. Ich również trzeba by było zabić. Mógł ich zaprosić na brzeg i zapewnić rozrywkę, w ciągu niewielu godzin zaś ściągnąć do Anjiro dość swoich żołnierzy, żeby ich wyróżnił, był bowiem mistrzem w organizowaniu zasadzek. To jednak zmusiłoby Toranagę do wysłania swoich wojsk przeciwko Izu. Zmiażdżyłby cię, powiedział sobie, chyba że Ishido przyszedłby ci w sukurs. A czemu miałby to robić, skoro twój wróg, Ikawa Jikkyu, jest jego krewniakiem i chce mieć Izu dla siebie? Zabicie Hiro-matsu wywołałoby otwartą wrogość, ponieważ honor kazałby Toranadze ruszyć

na ciebie, co zmusiłoby do działania stronników Ishido i w ten sposób Izu stałoby się pierwszym polem bitwy.

A co z moimi działami? Moimi świetnymi działami i moim świetnym planem? Jeżeli oddam je Toranadze, stracę niepowtarzalną okazję.

W ręce, która spoczywała na mieczu Murasamy, czuł przepływającą krew i odczuwał ślełą chęć, żeby go użyć. Od razu odrzucił możliwość zatajenia wiadomości o muszkietach. Jeżeli wygadano o przyплыnięciu statku, to na pewno również o jego zawartości. Ale jakim sposobem Toranaga otrzymał te wieści tak prędko? Przez gołębia pocztowego! To jedyna odpowiedź. Z Edo czy stąd? Kto tu trzyma gołębie pocztowe? Dlaczego ja z nich nie korzystam? To wina Zukimoto, powinien być o tym pomyśleć, ne?

Rozważ; Wojna czy nie?

Yabu pomodlił się, aby niechęć Buddy, wszystkich kami, wszystkich bogów istniejących bądź

jeszcze nie wymyślonych spadła na tego lub na tych, którzy go zdradzili, na ich rodziców i potomków aż do dziesięcioletniego pokolenia. A potem ustąpił.

- Pan Toranaga nie może skonfiskować tego statku, wcześniej bowiem otrzymał go w darze.

Podyktowałem już list tej treści. Prawda, Zukimoto?

- Tak jest, wielmożny panie.

- Naturalnie, jeżeli pan Toranaga pragnie go uważać za skonfiskowany, to może. Ale w mojej intencji miał on być podarunkiem. - Yabu był zadowolony, że jego głos brzmi tak rzeczowo. - Ta zdobycz uszczęśliwi go.

- Dziękuję ci w imieniu mojego pana. - Hiro-matsu jeszcze raz zdumiał się trafnością ocen Toranagi. Toranaga przewidział, że tak będzie i że nie dojdzie do walki. - Pan Toranaga będzie zachwycony twoją szczodrobliwością.

Yabu przyglądał się mu z wielką uwagą.

- To nie jest statek portugalski - rzekł.

- Tak. Słyszeliśmy, o tym.

- A poza tym jest piracki. Zobaczył, że oczy generała zwężają się.

- Co takiego?

Kiedy Yabu zrelacjonował Hiro-matsu, co powiedział mu kapłan, pomyślał: „Skoro jest to dla ciebie taka nowina, jak była dla mnie, czyż nie znaczy to, że Toranaga otrzymał wiadomość z tego samego źródła co ja? Ale jeżeli znasz zawartość statku, to w takim razie szpiegiem jest Omi, któryś z jego

samurajów albo chłop z tej wioski”.

- Jest tam mnóstwo tkanin. Prawdziwe skarby. Muszkiety, proch i kule - powiedział.

Hiro-matsu zawahał się, a po chwili spytał:

- Te tkaniny to chińskie jedwabie?

- Nie, Hiro-matsu-san - odparł Yabu, używając słowa „san”. Obaj byli panami feudalnymi. Ale ponieważ przed chwilą wspaniałomyślnie „podał” statek, czuł się na tyle bezpieczny, żeby użyć mniej szacownego zwrotu. Z zadowoleniem zobaczył, że nie uszło to uwagi starego generała. Jestem daimyō Izu, rzekł w duchu, na słońce, księżyc i wszystkie gwiazdy! - To bardzo niezwykle grube sukno, dla nas zupełnie nieprzydatne. Wszystko, co było warte uratowania, przewiozłem na brzeg.

- To dobrze. Załaduj wszystko, proszę, na mój okręt.

- Słucham? - spytał Yabu, któremu omal nie pękły wnętrzności. -< Wszystko. Natychmiast.

- W tej chwili?

- Tak. Bardzo mi przykro, ale z pewnością rozumiesz, że chcę jak najszybciej powrócić do Osaki.

- Tak, ale. . ale czy starczy na wszystko miejsca?

- Działą załaduj z powrotem na statek barbarzyńców i opieczętuj. W ciągu trzech dni przyplyną tu łodzie, żeby go zaholować do Edo. A co do muszkietów, prochu i kul, to.. - Hiro-matsu urwał, unikając wpadnięcia w pułapkę, którą, jak nagle zdał sobie sprawę, na niego zastawiono.

„- Na galerze jest akurat miejsce na pięćset muszkietów - powiedział mu Toranaga. - A także na cały proch i dwadzieścia tysięcy srebrnych dublonów. Działą zostaw na pokładzie tego statku, a sukno w ładowniach. Niech Yabu mówi, ty zaś wydaj mu rozkazy tak, żeby nie miał czasu na zastanowienie. Ale nie okazuj mu gniewu ani zniecierpliwienia. Potrzebuję go, ale potrzebuję też tego statku i tych dział. Strzeż się, żeby podstępem nie próbował wyciągnąć z ciebie, że dokładnie znam ładunek, ponieważ nie może odkryć, kto jest naszym szpiegiem”.

Hiro-matsu przeklął się w duchu za to, że nie umie prowadzić tej niezbędnej gry.:

- Co zaś do potrzebnego miejsca - rzekł krótko - to może ty mi podpowiesz. I co dokładnie zawiera ten ładunek? Ile jest tych muszkietów, kul i tak dalej? Czy ten kruszec jest w sztabach czy monetach, czy to srebro czy złoto?

- Zukimoto!

- Tak, Yabu-sama.

- Przynies spis zawartości - polecił Yabu i pomyślał: „Tobą zajmę się później”.

Zukimoto odszedł pośpiesznie.

- Na pewno jesteś zmęczony, Hiro-matsu-san. Może napijesz się cha? Przygotowaliśmy ci dostępne tu wygody. Łaźnia pozostawia wiele do życzenia, lecz być może kąpiel by cię odświeżyła.

- Dziękuję. To bardzo ładnie, żeś o tym pamiętał. Z wielką chęcią wykąpię się i napiję cha.

Najpierw jednak opowiedz mi o wszystkim, co wydarzyło się od przyłynięcia tu tego statku.

Yabu zapoznał go z faktami, pomijając epizod z kurtyzaną i chłopcem, ponieważ był

nieistotny. Na jego polecenie Orni przedstawił swoją wersję, pominąwszy prywatne rozmowy z wujem. Mura zaś opowiedział swoją, opuszczając fragment o erekcji Anjina, który, jak miarkował, był wprawdzie ciekawy, ale mógł urazić Hiro-matsu, u którego, zważywszy jego wiek, erekcja mogła już być rzadkością.

Hiro-matsu spojrział na pióropusz dymu, który nadal wznosił się ze stosu drew.

- Ilu piratów pozostało? - spytał.

- Dziesięciu, panie, wliczając przywódcę - odparł Orni.

- A gdzie on teraz jest?

- W domu Mury.

- Co zrobił? Co zrobił najpierw po wyjściu z piwnicy?

- Poszedł prosto do łaźni, wielmożny panie - odparł prędko Mura. - A teraz śpi, wielmożny panie, śpi jak zabity.

- Nie musieliście go tym razem tam zaciągać?

- Nie, wielmożny panie.

- Widać szybko się uczy. - Hiro-matsu zerknął znowu na Omiego. - Myślisz, że można ich nauczyć manier?

- Nie. Nie jest to aż takie pewne, Hiro-matsu-sama.

- Czy usunąłbyś mocz wroga ze swoich pleców?

- Nie, panie.

- Ani ja. Nigdy. Barbarzyńcy są bardzo dziwni. - Hiro-matsu powrócił myślami do statku. - Kto będzie doglądał załadunku? - spytał.

- Mój bratanek, Omi-san.

- Dobrze. Chcę odpłynąć przed zmierzchem, Omi-san. Mój kapitan pomoże ci w szybkim uporaniu się z tym. W ciągu trzech trociczek.

- Tak, panie.

Miarą czasu był okres, w jakim spalała się trociczka, a więc w przybliżeniu około godziny.

- A może byś popłynął ze mną do Osaki, Yabu-san? - spytał Hiro-matsu takim tonem, jakby ta myśl dopiero co wpadła mu do głowy. - Pan Toranaga byłby zachwycony, gdyby otrzymał wszystkie te rzeczy z twoich rąk, osobiście. Zapraszam, miejsca wystarczy. - A kiedy Yabu zaczął się wymawiać, pozwolił mu na to przez jakiś czas zgodnie z poleceniem Toranagi, po czym, również z jego polecenia, rzekł: - Nalegam. Nalegam w imieniu pana Toranagi. Twoja szczodroliwość wymaga nagrody.

W postaci mojej głowy czy moich ziem? - zadał sobie gorzkie pytanie Yabu, świadom, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko wyrazić wdzięczność za to zaproszenie.

- Dziękuję. To dla mnie zaszczyt.

- Świetnie. A więc dobrze, załatwione - rzekł z wyraźną ulgą Żelazna Pięść. - A teraz pora na cha. I kąpiel.

Yabu uprzejmie poprowadził go na wzgórze do domu Omiego. Starego generała wykąpano, wyszorowano, a potem z przyjemnością położył się w gorącej parze. Później zaś odrodził się pod rękami Suwo. Po czym na osobności spożył skromny posiłek złożony z niewielkiej porcji ryżu, surowej ryby i marynowanych jarzyn. Następnie była cha, pita z doskonałej porcelany. A wreszcie krótką, pozbawioną snów drzemka.

Po wypaleniu się trzech trociczek odsunięto drzwi shoji. Osobisty strażnik generała był na tyle rozsądny, żeby nie wchodzić bez zaproszenia. Hiro-matsu już się obudził, a miecz miał do połowy wysunięty z pochwy i gotowy.

- Na zewnątrz czeka Yabu-sama, wielmożny panie - powiedział strażnik. - Mówi, że okręt jest załadowany.

- To wspaniale.

Hiro-matsu wyszedł na werandę i załatwił się do cebra.

- Masz bardzo sprawnych ludzi, Yabu-san - pochwalił.

Twoi ludzie mi pomogli, Hiro-matsu-san. Są więcej niż sprawnie Tak, i na słońce, lepiej dla nich, że są tacy, pomyślał Hiro-matsu, a potem rzekł wesoło:

- Nie ma to jak opróżnić pełny pęcherz, jeśli tylko strumień leci z dużą siłą, ne? Człowiek znowu czuje się młodo. A w moim wieku człowiek potrzebuje czuć się młodo.

- Dla wygody rozluźnił opaskę na biodrach, spodziewając się, że Yabu grzecznie przyzna mu rację, ale nie doczekał się tego. Zirykowało go to, ale się powstrzymał., Zabierzcie na mój okręt dowódcę piratów.

- Słucham?

- Byłeś na tyle szczodry, żeby podarować ten statek z całą zawartością. Jego załoga do niej się zalicza. Dlatego też zabieram przywódcę piratów do Osaki. Pan Toranaga chce go zobaczyć. Z

pozostałymi możesz oczywiście zrobić, co chcesz. Ale bądź łaskaw dopilnować, żeby, kiedy cię tu nie będzie, twoi samuraje pamiętali o tym, że ci barbarzyńcy są własnością mojego pana i że lepiej, na wypadek gdyby zechciał ich obejrzyć, wszyscy byli cali i zdrowi.

Yabu pośpieszył na nabrzeże, gdzie powinien się znajdować Omi.

Wcześniej, kiedy opuścił Hiro-matsu, żeby generał się wykapał, poszedł ścieżką, która wiała się przez pogrzebownisko. Tam uklonił się krótko stosowi pogrzebownemu i ruszył dalej skrajem wznoszących się tarasowato pól ze zbożem i sadów, aż wreszcie wyszedł na mały płaskowyż, położony wysoko nad wsią. Tego sentymentalnego miejsca strzegła starannie utrzymana kapliczka kami. Stare drzewo zapewniało cień i błogi spokój. Przyszedł tu, żeby stłumić w sobie gniew i pomyśleć. Nie ośmielił się zbliżyć do statku, do Omiego ani jego podwładnych, wiedział bowiem, że jeżeli nie wszystkim, to większości nakazałby popełnić seppuku, co byłoby marnotrawstwem, i że wyróżniłby całą wieś, co byłoby głupotą - tylko chłopcy bowiem łowili ryby i hodowali ryż, który zapewniał samurajom dobrobyt.

Kiedy siedział, piekląc się w samotności i próbując jasno myśleć, słońce schyliło się ku zachodowi i przegoniło morską mgłę. Chmury spowijające odległe góry na zachodzie rozstały się na chwilę i ujrzał piękno ich strzelistych ośnieżonych szczytów. Widok ten rozładował w nim napięcie i Yabu, odprężwszy się, zaczął myśleć i snuć plany.

Rozkaż swoim szpiegom odnaleźć szpicla Toranagi, powiedział sobie. Ze słów Hiro-matsu w ogóle nie wynika, czy zdrada wyszła stąd czy z Edo. W Osace mam potężnych przyjaciół, a pośród nich samego pana Ishido. Może któryś z nich wyniucha tego czorta. Ale prześlij natychmiast swojej żonie tajną wiadomość na wypadek, gdyby donosiciel był tam. A co z Omim? Obarczyć go zadaniem odszukania tego szpicla tutaj? A jeżeli to on nim jest? Nieprawdopodobne, ale możliwe. Zdrada najpewniej zrodziła się w Edo. Świadczy o tym czas. Gdyby Toranaga w Osace dostał wiadomość o statku zaraz po jego przyplnięciu, to Hiro-matsu zjawiłby się tu pierwszy. Masz swoich informatorów w Edo. Niechże udowodnią, co są warci.

A co z barbarzyńcami? To w tej chwili twój jedyny zysk z tego statku. Jak ich wykorzystać?

Zaraz, czyż Orni nie podsunął ci rozwiązania? Możesz wykorzystać ich znajomość morza i statków, żeby potargować się z Toranaga o działa. Ne?

Jeszcze jedna możliwość, to zostanie wasalem Toranagi. Zapoznasz go ze swoim planem.

Poprosisz, żeby powierzył ci dowództwo pułku artylerii - na jego chwałę! Ale wasal nie powinien oczekiwać od swojego pana nagrody za dobrą służbę ani nawet uznania za nią - służba bowiem to obowiązek, obowiązek to samuraj, a samuraj to nieśmiertelność. Byłoby to najlepsze wyjście, najlepsze z możliwych. Jednak czy naprawdę mogę być jego wasalem? Albo wasalem Ishido?.

Nie, to nie do pomyślenia. Sojusznikiem tak, ale nie wasalem.

Dobrze, a więc barbarzyńcy są mimo wszystko coś dla mnie warci. Orni znowu miał rację.

To go jeszcze bardziej uspokoiło, a potem, kiedy nadszedł czas i posłaniec przyniósł mu wiadomość, że statek załadowano, udał się do Hiro-matsu i dowiedział się, że utracił nawet barbarzyńców.

Kiedy dotarł do nabrzeża, w środku wszystko się w nim gotowało.

- Omi-san! - krzyknął.

- Tak, Yabu-sama?, Przyrowadź tu przywódcę barbarzyńców. Zabieram go do Osaki. Co do reszty, dopilnuj, żeby o nich dbano podczas mojej nieobecności. Chcę, żeby byli zdrowi i umieli się zachować. W razie czego skorzystaj z piwnicy.

Od chwili przybycia galery Orni miał w głowie zamęt i był pełen obaw o bezpieczeństwo Yabu.

- Pozwól mi jechać z tobą, panie. Może się na coś przydam - zaproponował.

- Nie. Chcę, żebyś dopilnował barbarzyńców.

- Proszę cię. Może w małym stopniu będę się mógł odplacić za dobroć, jaką mi okazałeś.

- Nie ma potrzeby - odparł Yabu uprzejmiej, niżby pragnął. Przypomniało mu się, że podniósł

Omiemu dochody do trzech tysięcy koku i powiększył mu lenno ze względu na kruszec i działa, które właśnie przepadły. Zauważył jednakże troskę przepełniającą bratanka i mimo woli poczuł do niego sympatię. Z wasalami takimi jak on zdobędzie cesarstwo, obiecał sobie. Kiedy odbiorę moje działa, Orni poprowadzi któryś z moich oddziałów. - Kiedy wybuchnie wojna. . cóż, powierzę ci bardzo ważne zadanie, Omi-san. A teraz idź po tego barbarzyńcę.

Orni Wziął ze sobą czterech strażników. I Murę, żeby tłumaczył.

Blackthorne'a wyrwano ze snu. Na rozbudzenie potrzebował dobrej chwili. Kiedy przejaśniło mu się w głowie, zobaczył, że stoi nad nim i wpatruje się w niego Omi.

Jeden z samurajów ściągnął z niego kołdrę, drugi rozbudził potrząśnięciem, dwóch pozostałych zaś trzymało w rękach niebezpiecznie wyglądające bambusowe kije, a Mura zwiniętą krótką linę.

Mura ukląkł i uklonił się mu.

- Konnichi wa - powiedział, czyli „dzień dobry”.

- Konnichi wa. Blackthorne podźwignął się na kolana i mimo swojej nagości równie grzecznie mu się odklonił.

To tylko zwykła uprzejmość, powiedział sobie. Mają taki zwyczaj, kłaniają się z grzeczności, więc kłanianie się nie jest żadną ujmą. A na nagość nie zwracają uwagi i również jest to ich zwyczaj, więc nagości też nie trzeba się wstydić.

- Anjin. Proszę ubrać się - powiedział Mura.

Anjin? Aha, pamiętam, przypomniał sobie Blackthorne. Jezuita powiedział, że oni nie potrafią wymówić mojego nazwiska, więc nazwali mnie „Anjin”, co znaczy „pilot”, i że nie ma w tym żadnej obrazy. Oraz że, kiedy na to zasłużę, będą mnie tytułować „Anjin-san” - „panem pilotem”.

Nie patrz na Omiego, ostrzegł się. Jeszcze nie teraz. Zapomnij o wioskowym placu, Omim, Croocqu i Pieterzoonie. Nie wszystko naraz. Tak sobie przysięgłeś przed Panem Bogiem: nie wszystko naraz. Na Boga Wszechmogącego, moja zemsta go nie ominie.

Przekonał się, że jeszcze raz uprano mu ubranie, i pobłogosławił ręce, które tego dokonały. W

łaźni zrzucił z siebie przyodziewek, jakby był pełen zarazków. Pozwolił Japonkom trzykrotnie wyszorować sobie plecy. Najbardziej szorstką gąbką i pumeksem. Ale nadal czuł na nich pieczenie moczu.

Zdjął wzrok z Mury i spojrzał na Omiego. Czerpał przewrotną przyjemność z faktu, że jego wróg żyje i jest blisko.

Uklonił się wzorem innych i pozostał w ukłonie.

- Konnichi wa, Omi-san - powiedział. Nie było ujmą mówić w ich języku, nie było ujmą powiedzieć „dzień dobry” bądź pierwszemu złożyć ukłon, jak to mieli w zwyczaju.

Orni odklonił mu się.

Blackthorne zauważył, że nie jest to ukłon tak głęboki jak jego własny, w tej chwili jednak mu to wystarczyło.

- Konnichi wa, Anjin - powiedział Orni. Głos miał uprzejmy, ale nie uprzedzająco.

Anjin-san! - rzekł Blackthorne patrząc mu prosto w twarz. Wola jednego i wola drugiego starły się ze sobą i Orni stanął przed wyzwaniem, jakie pada przy grze w karty albo kości: Czy przestrzegasz reguł gry?

- Konnichi wa, Anjin-san - odparł wreszcie, krótko się uśmiechnąwszy.

Blackthorne szybko się ubrał.

Włożył luźne spodnie i moszenkę, skarpety, koszulę i kaftan. Długie włosy miał starannie związane w

ogon, a brodę przyszytych nożyczkami, które pożyczył mu balwierz.

- Hai, Omi-san? - spytał, w ubraniu czując się lepiej, ale mając się mocno na baczności i żałując, że nie może się posłużyć większym zasobem słów.

- Proszę ręką - rzekł Mura.

- Blackthorne nie rozumiał i pokazał to na migi. Mura wyciągnął swoje ręce i pokazał gestami, że je związuje.

- Proszę ręką.

- Nie - odparł Blackthorne zwracając się bezpośrednio do Omiego i potrząsając głową. - To niepotrzebne - dodał po angielsku - całkiem niepotrzebne. Dałem słowo - rzekł perswadującym, łagodnym tonem, a potem ostrzejszym, naśladowując w tym Omiego, spytał: - Wakarimasu ka, Omi-san? Rozumiesz?

Omi zaśmiał się.

- Hai, Anjin-san. Wakarimasu - powiedział, odwrócił się i wyszedł.

Mura i pozostali zdumieni wpatrzyli się w jego plecy. Blackthorne wyszedł za Omim na słońce.

Jego buty oczyszczono. Zanim zdążył wsunąć je na nogi, służąca „onna” już przy nim klęczała i pomogła mu je obuć.

- Dziękuję, Haku-san - powiedział, przypomniawszy sobie jej imię. Jak brzmi słowo

„dziękuję”? - zastanawiał się.

Przeszedł przez furtkę, podążając za Omim.

Nie umkniesz mi, ty przeklęty psi. . Zaraz, powstrzymał się. Czy pamiętasz, co sobie obiecałeś? Więc dlaczego obrzucasz go obelgami, choćby nawet tylko w duchu? On ciebie nie zelżył.

Obelgi są dobre dla słabych albo durniów. Prawda?

Nie wszystko naraz. Wystarczy, że na niego dybiesz. Ty dobrze o tym wiesz i on dobrze o tym wie. Wie o tym bardzo dobrze, więc nie popełnij błędu.

Wciąż jeszcze nie widząc zasłoniętej zatoki, Blackthorne w asyście dwóch krocących po jego bokach samurajów schodził ze wzgórza, dziesięć kroków za nim szedł dyskretnie Mura, a w przodzie Omi.

Nad pokrytymi gontem domami ukazały się sterczące maszty Erasmusa, więc serce zabiło mu mocniej. Ulica w przodzie skręcała zgodnie z profilem wzniesienia, zbiegała w dół do placu i kończyła się. Stał tam w słońcu palankin z zasłonami. Siedzieli przy nim w kucki cztery tragarze w

krótkich przepaskach na biodra i z roztargnieniem dłubali w zębach. Na widok Omiego natychmiast padli na kolana i zaczęli bić niskie pokłony.

Orni, przechodząc, ledwie im raczył skinąć głową, ale zaraz przy stanął, bo ze schludnej bramy wyłoniła się dziewczyna i skierowała się w stronę palankinu. Blackthorne wstrzymał oddech i również się zatrzymał.

Do dziewczyny podbiegła młoda służąca, żeby osłonić ją przed słońcem zieloną parasolką. Omi uklonił się, dziewczyna odkloniła, po czym zadowoleni wdali się w wesołą rozmowę i cała dumna wyniosłość Omiego znikła.

Japonka miała na sobie brzoskwiniowe kimono, szeroki złoty pas i pantofle ze złotymi paseczkami. Blackthorne pochwycił jej spojrzenie. Ona i Omi na pewno rozmawiali o nim. Nie wiedział, jak się zachować ani co zrobić, więc nie zrobił nic, a tylko cierpliwie czekał, napawając oczy jej widokiem, czystością i ciepłem, jakie z niej promieniowały. Zastanawiał się, czy ona i Omi są kochankami, a może jest to jego żona, i zadał sobie pytanie, czy dziewczyna nie jest przywidzeniem.

Omi spytał ją o coś, na co zachwycająco subtelna, śmiejąc się melodyjnie, odpowiedziała mu i zatrzepotała zielonym wachlarzem, który migotał i tańczył w słońcu. Omi też się uśmiechnął, a po chwili odwrócił się na pięcie i odszedł energicznym krokiem, na powrót stając się samurajem.

Blackthorne ruszył za nim. Dziewczyna patrzyła na niego, kiedy ją mijał, powiedział więc

„Konnichi wa”.

- Konnichi wa, Anjin-san - odpowiedziała, ujmując go brzmieniem głosu. Miała zaledwie pięć stóp wzrostu i była skończoną pięknoscią. Kiedy mu się lekko ukloniła, wiaterek zadarł jej połę jedwabnego kimona i odsłonił rąbek drugiego, czerwonego pod spodem, co go niespodziewanie podnieciło.

Skręcając za róg, nadal był spowity zapachem jej perfum. Zobaczył klapę do piwnicy i Erasmusa. A także galerę. Dziewczyna wyleciała mu z głowy.

Dlaczego nasze furty działowe są puste? Gdzie nasze działa? - zapytywał siebie. Co, na Chrystusa Pana, robi tu ta niewolnicza galera i co się stało w piwnicy?

Nie wszystko naraz.

Najpierw Erasmus. . Kikut fokmasztu, który zabrała burza, sterczał ohydnie. Nieważne, pomyślał Blackthorne. Z łatwością wypłynęlibyśmy w morze. Wykradlibyśmy się z zatoki - nocne ruchy powietrza i prądy wyniosłyby nas z niej po cichu, a jutro moglibyśmy dokonać napraw po drugiej stronie tej zafajdanej wysepki. Pół dnia na ustawienie zapasowego masztu, a potem wszystkie żagle w górę i hajda na głębiny. A może mądrzej byłoby nie rzucać kotwicy, tylko uciec na bezpieczniejsze wody? Tylko z jaką załogą? W pojedynkę nie da się nim odpłynąć.

Skąd pochodzi ten statek niewolniczy? I dlaczego tu jest?

Na nabrzeżu widział grupki samurajów i żeglarzy. Sześćdziesięcio-wiosłowy statek - po trzydzięci wiosłach z każdej burty - był porządny i dobrze utrzymany, wiosła miał ustawione starannie i gotowe do natychmiastowego odpłynięcia. Blackthorne mimowolnie zadrżał. Ostatni raz widział galere przed dwoma laty, przy Złotym Wybrzeżu, kiedy jego flotyl a wychodziła w morze, a wszystkie pięć statków trzymało się razem. Była to bogata przybrzeżna, portugalska galera handlowa, która umykała przed nimi pod wiatr. Erasmus nie był w stanie jej dogonić, pochwycić ani zatopić.

Stanąwszy na nabrzeżu, Orni odwrócił się i zawołał do strażników przy kłapie do piwnicy.

Blackthorne ujrzał, jak podnoszą ją i zagłądają do środka. Jeden z nich przywołał ręką wieśniaków, którzy przynieśli drabinę oraz pełną beczkę świeżej wody i znieśli ją na dół. Pustą wynieśli na górę.

Tak samo ceber z, odchodami.

Widzisz? Jeżeli jesteś cierpliwy i grasz według ich zasad, to możesz dopomóc swojej załodze, pomyślał z zadowoleniem.

W pobliżu galery zgromadziły się grupki samurajów. Osobno stał tam wysoki starzec. Po szacunku okazywanym mu przez daimyō Yabu oraz tym, jak inni zrywali się na każde jego słowo, Blackthorne natychmiast zorientował się, że jest to ktoś ważny. Czy to ich król? - zastanawiał się.

Orni ukląkł przed nim uniżenie. Starzec uklonił mu się lekko i przeniósł wzrok na barbarzyńcę.

Blackthorne, z największą gracją, na jaką było go stać, również ukląkł, ułożył dłonie na piaszczystym nabrzeżu, tak jak to zrobił Orni, i tak jak on nisko się uklonił.

- Konnichi wa, sama - powiedział grzecznie.

Dostrzegł, że starzec ponownie lekko się kłania. A potem zaczyna debatować z Yabu i Omim.

Yabu powiedział coś do Mury. Mura Wskazał na galere.

- Anjin-san. Proszę tam - powiedział do Blackthorne'a.

- Dlaczego?

- Idź! Już. Idź!

- Dlaczego? - powtórzył Blackthorne, wpadając w popłoch.

- Isogi! - rozkazał Orni, gestem polecając mu wsiąść na galere.

- Nie. Nie mam zamiaru. .

Orni natychmiast wydał rozkaz i czterech samurajów rzuciło się na Blackthorne'a, unieruchamiając mu ręce. Mura wydobył linę i zaczął mu związywać ręce na plecach.

- Wy sukinsyny!?! - krzyknął Blackthorne. - Nie wsiądę na ten przeklęty statek niewolników!

- Matko Boską! Zostawcie go! Hej, wy tam, szczyhopijcy, małpoludy, wypuście tego skurczybyka! Kinjiru, ne? Jest pilotem. Anjin, ka?

Blackthorne ledwie wierzył własnym uszom. Ten hałaśliwy potok obelg w języku portugalskim dobiegł z pokładu galery. A potem ujrzał, jak po kładce schodzi z niej mężczyzna. Był jego wzrostu i mniej więcej w tym samym wieku, ale czarnowłosa i ciemnooki, niedbale odziany w strój żeglarski, za pasem miał pistolet, a u boku rapier. Na szyi wisiał mu krzyż wysadzany drogimi kamieniami. Na głowie nosił zawadiacki kapelusz, a twarz przecinał mu uśmiech.

- Jesteś pilotem? - spytał. - Pilotem tego holendra?

- Tak - usłyszał własną odpowiedź Blackthorne.

- To dobrze. To dobrze. Jestem Vasco Rodrigues, pilot tej galery!

Obrócił się w stronę starszego Japończyka i przemówił do niego mieszaniną japońskich i portugalskich słów, tytułując go Małpą-samą, a czasem Todą-samą, ale brzmiało to jak Toda-samica.

Dwa razy wyciągał pistolet, wskazywał nim wymownie Blackthorne'a i zatykał z powrotem za pas, gęsto kraszając swoją japońszczyznę ryszotkowymi portugalskimi wulgarnościami, zrozumiałymi wyłącznie dla żeglarzy.

Hiro-matsu powiedział coś krótko i samuraje wypuścili Blackthorne, a Mura rozwiązał mu ręce.

- W To już coś. Posłuchaj, pilocie, ten człowiek jest jak król. Powiedziałem mu, że będę za ciebie odpowiadał i że prędzej rozwalę ci łeb, niż się z tobą napiję. - Rodrigues uklonił się Hiromatsu, a potem promiennie uśmiechnął się do Blackthorne'a. - Ukłoń się temu Psia jego mać-samie.

Oszołomiony Blackthorne niczym w transie wykonał polecenie.

- Kłaniasz się jak Japus - powiedział z uśmiechem Rodrigues. - Naprawdę jesteś pilotem?

- Tak.

- To na jakiej szerokości leży Jaszczurka?

- Na czterdziestym dziewiątym stopniu i pięćdziesiątej szóstej minucie szerokości północnej

- uważać na rafy, które sterczą z południa na południowy zachód.

- Jesteś pilotem, Bóg świadkiem. - Rodrigues serdecznie uściśnął dłoń Anglika. - Wejdz pod pokład. Jest tam żarcie, brandy, wino, grog, wszyscy bowiem piloci winni lubić wszystkich pilotów, którzy są solą ziemi. Amen! Racja?.

- Tak - odparł słabym głosem Blackthorne.

- Kiedym usłyszał, że będziemy wracali z pilotem, mówię: świetnie! Od lat nie miałem przyjemności pogadania sobie z prawdziwym pilotem. Wejź na pokład. Jak ci się udało przedostać przez Malakę? Jak zdołałeś uniknąć naszych patroli na Oceanie Indyjskim? Czyjaś rutę zwędził?

- Dokąd mnie zabieracie?

- Do Osaki. Chce cię widzieć sam Wielki Pan Najwyższy Oprawca.

- Kto taki? - spytał Blackthorne, od nowa wpadając w popłoch.

- Toranaga! Pan Ośmiu Prowincji, gdziekolwiek tam one, do diaska, leżą! Największy daimyō Japonii - a daimyō jest jak król albo feudalny książę, tylko lepszy od nich. Wszyscy oni są despotami.

- A po co mu ja?

- Nie wiem, ale po to właśnie tu jesteśmy, a jeżeli Toranaga chce cię zobaczyć, pilocie, to zobaczy cię. Powiadają, że władza milionem tych skośnookich fanatyków, którzy umrą dla zaszczytu wytarcia mu tyłka, jeśli tylko sprawi mu to przyjemność! „Toranaga chce, żebyś mu przywiózł pilota, Vasco - powiedział mi jego tłumacz. - Przywieź pilota i ładunek tego statku. Zabierz tam starego Todę Hiro-matsu, żeby zbadał statek i. .” A owszem, pilocie, wszystko podlega konfiskacie, tak słyszałem, twój statek i wszystko, co na nim jest.

- Konfiskacie?

- To może być plotka. Bywa, że Japonce jedną ręką konfiskują rzeczy, a drugą oddają. . albo też udają, że w ogóle nie wydali takiego rozkazu. Trudno zrozumieć tych francowatych małych drani!

Blackthorne poczuł na sobie przenikliwy wzrok starego Japończyka i próbował nie okazać po sobie strachu. Rodrigues spojrział tam gdzie on.

- A tak, zaczynają się niecierpliwić. Na gadanie mamy mnóstwo czasu. Wsiadaj - rzekł i odwrócił się, ale Blackthorne go zatrzymał.

- A co z moimi znajomkami, z moją załogą?

- Hę?

Blackthorne powiedział mu krótko o piwnicy. Rodrigues łamaną japońszczyzną zapytał o to Omiego.

- Mówi, że nic im nie grozi. Posłuchaj ani ty, ani ja nic w tej chwili nie możemy zrobić. Trzeba czekać. . z Japusami nigdy nic nie wiadomo.

Mają sześć twarzy i trzy serca. - Rodrigues uklonił się Hiro-matsu jak europejski” dworzanin.

- Tak to robimy w Japonii. Jakbyśmy byli na dworze tego jebaki Filipa Drugiego, Boże, wpędź tego Hiszpana szybko do grobu.

Poprowadził gościa na pokład. Ku zdumieniu Blackthorne'a nie było tam ani łańcuchów, ani niewolników.

- Co się stało? Niedobrze ci? - spytał Rodrigues.

- Nie. Tylko myślałem, że to statek niewolniczy.

- W Japonii nie ma niewolników. Nawet w japońskich kopalniach. To wariacki pomysł, ale tak jest. Opłynąłem świat trzy razy, a takich wariatów jeszcze nie spotkałem. Wioślarzami są samuraje.

To żołnierze, prywatna armia tego starego łotra; ale lepiej wiosłujących od nich niewolników i bitniejszych wojowników nigdzie nie znajdziesz. - Rodrigues zaśmiał się. - Przykładają się do wiosła

jak wszyscy diabli, a ja jeszcze ich poganiam, żeby widzieć, jak na tych skurczybyków biją siódme poty. Są niestrudzeni. Przy płynęliśmy aż z Osaki, prawie trzysta mil morskich w czterdzieści godzin. Chodź pod pokład. Niedługo odbijamy. Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak. Myślę, że tak. - Blackthorne patrzył na Erasmusa. Stał zacumowany sto jardów od nich.

- Pilocie - zagadnął - czy nie dałoby się jakoś wejść na jego pokład? Nie pozwolą mi tam wrócić, a nie mam ubrania, bo oni opieczętowali statek, jak tylko przy płynęliśmy. Poradzisz coś, proszę?

Rodrigues przyjrzał się uważnie statkowi.

- Kiedy straciliście fokmaszt? - spytał. - Tuż przed wylądowaniem.

- Macie na statku zapasowy?

- Tak.

- A jaki jest wasz macierzysty port?

- Rotterdam.

- Tam go zbudowano?

- Tak.

- Byłem w Rotterdamie. Fatalne mielizny, ale zatoka sakramencko ładna. Twój statek ma ładną sylwetkę. Nowy. . taki typ widzę pierwszy raz. O Matko, na pewno jest szybki, bardzo szybki. I bardzo trudny do prowadzenia. - Rodrigues spojrzął na Blackthorne'a. - Prędko zbierzesz manatki?

- spytał.

Obrócił się w stronę szklanej półgodzinnej klepsydry, stojącej przy godzinnej. Obie były przymocowane do skrzynki z kompasem.

- Tak - odparł Blackthorne, starając się nie zdradzić miną swoich rosnących nadziei.

- Ale mam warunek, pilocie. Żadnej broni, w rękawie ani nigdzie. Daj mi słowo pilota.

Powiedziałem tym małpom, że biorę za ciebie odpowiedzialność.

Zgoda. i Blackthorne przyglądał się piaskowi przesypanemu się przez szyjkę klepsydry.

- Ale tylko spróbuj mnie oszwabić, to chociaż jesteś pilotem, rozwalę ci łeb albo poderżnę gardło. Oczywiście, jeżeli przedtem się zgodzę.

- Mój Boże, przyrzekam ci, jak pilot pilotowi. Bodaj zaraza wybiła Hiszpanów!

Rodrigues uśmiechnął się i klepnął go serdecznie w plecy.

- Zaczynam cię lubić, Ingeles - rzekł.

- Skąd wiesz, że jestem Anglikiem? - spytał Blackthorne, wiedząc, że jego portugalszczyzna jest bezbłędna i że nie powiedział nic takiego, co wskazywałoby, że jest Holendrem.

- Jestem jasnowidzem. Czyż nie są nimi wszyscy piloci?

Rodrigues roześmiał się.

- Rozmawiałeś z tym zakonikiem? Wiesz o tym od ojca Sebastio?

- Jeśli mogę, to unikam rozmów z księżmi. Jedna rozmowa na tydzień każdemu wystarczy w zupełności. - Rodrigues z wprawą splunął do spływnika i podszedł do furty burtowej od strony nabrzeża. - Toda-samica! - zawołał. - Ikimashi ka?

- Ikimasho, Rodrigu-san. Ima!

- Zrobi się ima. - Rodrigues spojrział w zamyśleniu na Blackthorne. - „Ima” znaczy „już”, „natychmiast”. Odplywamy natychmiast, Ingeles.

Piasek utworzył już na dnie klepsydry mały, zgrabny kopczyk.

- Zapytasz go, proszę? Zapytasz, czy mogę wejść na mój statek?

- Nie, Ingeles. Nie zapytam go, psiajuchę, o nic.

Z Blackthorne'a nagle uszła cała energia. Poczul się bardzo staro.

Patrzył, jak Rodrigues podchodzi do barierki na ruf owce i krzyczy do niskiego, wyróżniającego się spośród innych żeglarza, który stał na nadbudówce dziobowej. .

- Hej, kapitan-san. Ikimasho? Weź samuraje na pokład, ima! Ima, wakarimasu ka?

Hai, Anjin-san., Rodrigues natychmiast sześciokrotnie uderzył w okrętowy dzwon, a kapitan-san zaczął wykrzykiwać rozkazy do marynarzy i samurajów na brzegu i na galerze. Marynarze wypadli spod pokładu, żeby przygotować się do odbicia i wśród zdyscyplinowanego, zorganizowanego zamętu Rodrigues spokojnie wziął Blackthorne'a za rękę i popchnął go do furty w prawej burcie, od strony morza.

- Na dole jest łódka, Ingeles - powiedział. - Nie rób żadnych szybkich ruchów, nie rozglądaj się i nie zwracaj uwagi na nikogo oprócz mnie. Jeżeli każę ci zawrócić, zrób to prędko.

Blackthorne przeszedł przez pokład, a potem po drabince zaczął schodzić do małego japońskiego bąka. Za plecami usłyszał gniewne głosy i poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku, gdyż na galerze przebywało wielu samurajów, niektórzy uzbrojeni w łuki i strzały, a kilku w muszkiety.

- Nie musisz się o niego martwić, kapitan-san, ja odpowiadam. Ja, Rodrigu-san, ichi ban Anjin-san, na Dziewicę Maryję! Wakarimasu ka? - zawołał głos bardziej gromki od innych, które jednak z każdą chwilą stawały się coraz groźniejsze.

Blackthorne był już jedną nogą w bąku, kiedy spostrzegł, że nie ma w nim dulek. Nie potrafię tak jak oni płynąć na śrubówkę, powiedział sobie. Nie dam rady popłynąć tą łodzią. Wpław jest za daleko. A może nie?

Zawahał się, szacując odległość. Gdyby był w pełni sił, nie czekałby ani chwili. Ale w tej sytuacji?

Na drabince za jego plecami zaszurały czyjeś nogi i walczył z chęcią, Żeby się obejrzeć.

- Siądź na rufie - usłyszał ponaglenie Rodriguesa. - Szybko!

Wykonał polecenie i z wielką wprawą odbił od galery.

Na szczycie drabinki stał mocno zaniepokojony samuraj, a tuż obok dwaj z łukami w pogotowiu. Kapitan wezwał ich, jednoznacznym gestem nakazując im wrócić.

W odległości kilku jardów od galery Rodrigues obejrzał się.

- Jadę tylko tam - krzyknął do niego, wskazując na Erasmusa. - Sprowadź na pokład samurajów! - Zdecydowanym ruchem odwrócił się plecami do galery i stojąc pośrodku łodzi pchnął po japońsku wiosło, płynąc dalej. - Gdyby włożyli do łuków strzały, to mi powiedz, Ingeles! Śledź ich uważnie! Co robią w tej chwili?

- Kapitan jest bardzo zły. Nie będziesz miał przez to kłopotów?

- Jeżeli nie wyruszymy z odpływem, stary Toda może mieć powód do narzekań. Co robią łucznicy?

- Nic. Słuchają kapitana. Chyba nie może się zdecydować. Nie. Jeden z nich wyciąga strzałę.

Rodrigues przygotował się do zatrzymania.

- Matko Boska, ci przekłęci za celnie strzelają, żeby ryzykować. Czy strzała jest już w łuku?

- Tak. . ale czekaj! Kapitan. . ktoś do niego podszedł, chyba jakiś marynarz. Zdaje się, że pyta go o coś, co dotyczy statku. Kapitan patrzy na nas. Coś powiedział do tego ze strzałą. Tamten odkłada ją. Marynarz pokazuje na coś na pokładzie.

Żeby się upewnić, Rodrigues ukradkiem zerknął przez ramię i ode tchnął.

- To jeden z oficerów pokładowych. Przygotowanie żeglarzy zajmie mu całe pół godziny.

Blackthorne czekał, odległość rosła.

- Kapitan znowu na nas patrzy. Nie, nic nam nie grozi. Odszedł. Ale jeden z samurajów obserwuje nas.

- A niech obserwuje. - Rodrigues uspokoił się, ale nie zwolnił tempa wiosłowania ani się nie obejrzał. - Nie lubię być odwrócony plecami do samurajów, a zwłaszcza kiedy Są uzbrojeni. Zresztą nigdy nie widziałem żadnego z tych sukinsynów bez broni. A samuraje to same sukinsyny!

- Dlaczego?

- Uwielbiają zabijać, Ingeles. Mają nawet w zwyczaju spać z mieczami. Kraj jest wspaniały, ale samuraje są niebezpieczni jak żmije i o całe niebo podlejsi.

- Dlaczego?

Nie wiem dlaczego, Ingeles, ale tacy są - odparł Rodrigues, zadowolony, że może rozmawiać z pokrewną duszą. - Oczywiście wszystkie Japusy różnią się od nas: nie czują bólu ani zimna tak jak my, ale samuraje są jeszcze gorsi. Niczego się nie boją, a już najmniej śmierci. Dlaczego? Bóg jeden wie, ale to prawda. Jeżeli ich zwierzchnicy każą im zabić, zabijają, powiedzą im „umrzyj”, to rzucają się na własne miecze albo rozcinają sobie brzuchy. Zabijają i umierają tak łatwo, jak my szczamy. Kobiety też należą do kasty samurajskiej, Ingeles. Zabijają w obronie swoich panów, bo tak nazywają tu one swoich mężów albo zabijają siebie, jeżeli dostaną taki rozkaz. Robią to podrzynając sobie gardła. Tutaj samuraj może rozkazać żonie, żeby się zabiła, i zgodnie z prawem ona musi to zrobić. Matko Boska, Jezusie Nazareński, tutejsze kobiety to wyjątkowe i niepowtarzalne zjawisko, Ingeles, podobnych do nich nie znajdziesz na całej ziemi, ale mężczyźni. .

Samuraje to gady i najbezpieczniej podchodzić do nich jak do jadowitych węży. Dobrze się już czujesz?

- Tak, dziękuję. Jestem trochę osłabiony, ale czuję się dobrze.

- Jaki mieliście rejs?

- Trudny. A oni, ci samuraje, jak się nimi stają? Zwyczajnie biorą te dwa miecze i odpowiednio się czeszą?

- Trzeba być rodowitym Japończykiem. Oczywiście samuraje są wszelakich rang, od daimyō na samym wierzchołku tej kupy gnoju aż po tych na samym spodzie, których my zwiemy piechotą.

Podobnie jak u nas szlachectwo, tak i tu samurajskość jest dziedziczna. Powiedziano mi, że dawniej było tutaj tak, jak dzisiaj jest w Europie - chłopci mogli być żołnierzami, a żołnierze chłopami, wraz z dziedzicznym rycerstwem i szlachtą aż do królów włącznie. Niektórzy z tych chłopskich żołnierzy doszli do najwyższych szczebli władzy. Jednym z nich był taikō.

- Kim był?

- Wielkim Despotą, władcą całej Japonii, Największym Mordercą Wszechczasów. . opowiem ci kiedyś o nim. Przed rokiem zmarł i teraz smaży się w piekle. - Rodrigues splunął za burtę. - W

dzisiejszych czasach, żeby być samurajem, musisz się nim urodzić. Wszystko jest tu dziedziczne, Ingeles. Matko Boska, nie wyobrażasz sobie, jak wielkie znaczenie przywiązują oni do dziedziczenia, do rodziny, do stanu i tym podobnych. Sam widziałeś, jak Orni kłania się temu diabłu Yabu i jak obaj płaszcą się przed tym starym Todą-samicą. Słowo „samuraj” pochodzi od japońskiego słowa „służyć”. Ale chociaż oni wszyscy kłaniają się i gną przed starszymi rangą od siebie, to w równym stopniu są samurajami i przysługują im wyjątkowe przywileje. Co się dzieje na galerze?

- Kapitan trajkocze coś do drugiego samuraja i pokazuje na nas. A co w nich jest takiego wyjątkowego?

- Tu wszystkim rządzą samuraje, wszystko do nich należy. Mają swój własny kodeks honorowy i zbiór zasad. Są wyniośli? Matko Boska, nie wyobrażasz sobie nawet jak bardzo!

Najmarniejszy z nich może bezkarnie zabić każdego, kto nie jest samurajem, każdego mężczyznę, kobietę albo dziecko, z byle jakiego powodu albo w ogóle bez żadnego. Potrafią zabić, zgodnie z prawem, tylko po to, żeby wypróbować ostrość swoich sakramenckich mieczy. Widziałem już takie przypadki. . A miecze mają najlepsze w świecie. Lepsze od tych z damasceńskiej stali. Co robi teraz ten skurczybyk?

- Tylko na nas patrzy. Łuk ma w tej chwili na plecach. - Blackthorne zadrzał. - Nienawidzę tych drani bardziej niż Hiszpanów.

Wiosłujący Rodrigues zaśmiał się.

- Gdyby znali o mnie prawdę, też by mi dali do wiwatu. Ale jeżeli człowiek pragnie prędko się wzbogacić, to musi z nimi współpracować, ponieważ do nich należy wszystko. Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak. Dziękuję. Co powiedziałaś? Że d° samurajów należy wszystko?

- Tak. Cała ludność w tym kraju jest podzielona na kasty, jak w Indiach. Na górze są samuraje, a poniżej nich chłopci. - Rodrigues splunął za burtę. - Właścicielami ziemi mogą być tylko chłopci. Rozumiesz? Ale do samurajów należą wszystkie jej płody. Do nich należy cały ryż, który jest tu jedynym liczącym się zbożem, a jego część zwracają chłopom. Broń wolno nosić tylko samurajom.

Jeżeli ktoś inny niż samuraj zaatakuje samuraja, to jest to bunt karany natychmiastową śmiercią.

Poza tym każdy, kto jest świadkiem takiego ataku i natychmiast o nim nie doniesie, jest również winny, podobnie jak jego żona, a nawet dzieci. Jeżeli się nie doniesie, to ginie cała rodzina. Matko Boża, samuraje to pomioty Szatana! Na własne oczy widziałem dzieci posiekane na kawałki! -

Rodrigues odchrząknął i splunął - Niemniej jeżeli wiesz o tym kraju to i owo, to jest on rajem na ziemi. - Zerknął za siebie na galerę, żeby rozproszyć swoje obawy, a potem uśmiechnął się szeroko.

- No, Ingeles, nie ma to jak przejażdżka łodzią po zatoce, co?

Blackthorne zaśmiał się. Odmłodził o całe lata, kiedy z rozkoszą poddał się znajomemu kołysaniu fal, woni morskiej soli, nawoływaniu i igraszkom mew nad głową, uczuciu wolności. Uczuciu, które powróciło do niego po tak długim czasie.

- Myślałem, że nie zechcesz mi pomóc w dostaniu się na Erasmusa! - powiedział.

- To wada wszystkich Ingelesów. Brak cierpliwości. Posłuchaj, tutaj nie pyta się Japońców o nic, samurajów ani nikogo. Wszyscy oni są z jednej gliny. Jeżeli się zapytasz, to się zawahają, a potem spytają przełożonego, co robić. W tym kraju musisz działać! ! Naturalnie - dodał Rodrigues zanosząc się serdecznym śmiechem, który potoczył się po falach - bywa, że jeżeli zrobisz niewłaściwy krok, to cię zabijają.

- Doskonale wiosłujesz na śrubę. Kiedy nadszedłeś, zastanawiałem się właśnie, jak tym wiosłować.

- Chyba nie sądzisz, że puściłbym cię samego? Jak się nazywasz?

- Blackthorne. John Blackthorne.

Byli już blisko Erasmusa. Z pokładu spoglądał na nich pytającym, wzrokiem samuraj.

Rodrigues wciągnął wiosło, łódka skręciła zgrabnie w stronę burty i Portugalczyk uwiesił się liny abordażowej.

- Wejdz na górę, ale mówienie zostaw mnie - powiedział.

Blackthorne zaczął się wspinać, Rodrigues zaś przywiązał tymczasem łódkę. Na pokładzie znalazł się jako pierwszy. Dwornie się uklonił.

- Konnichi wa wszystkim gównozernym samom! - rzekł.

Na pokładzie było czterech samurajów. W jednym z nich Blackthorne rozpoznał strażnika, który pilnował klapy do piwnicy. Zakłopotani Japończycy sztywno uklonili się Portugalczykowi.

Blackthorne powtórzył za nim dworny ukłon, czując się nieswojo, bo wolałby uklonąć się normalnie.

Rodrigues podszedł prosto do zejściówki. Drzwi były porządnie opieczetowane. Jeden z samurajów zastąpił mu drogę.

- Kinjiru, gomen nasai - powiedział, co znaczyło „Nie wolno, bardzo mi przykro”.

- Kinjiru, powiadasz? - spytał Portugalczyk, na którym najwyraźniej nie wywarło to wrażenia. -

Jestem Rodrigu-san, anjin Toda Hiro-matsu-sama. To jest pieczęć - rzekł, wskazując czerwony odcisk stempla z dziwnymi hieroglifami - Tody Hiro-matsu-samy, ka?

- Iye - odparł samuraj, potrząsając przecząco głową. - Kasigi Yabu-sama!

Iye! ! - rzekł Rodrigues. - Kasigi Yabu-sama? Przybywam od Tody Hiro-matsu-samy, który jest większym panem niż ten twój sukinsyn, a Toda-samica przybywa od Toranagi-samy, który jest największym sukinsynem na świecie. Ne? - Zdarł pieczęć z drzwi i położył dłoń na jednym z pistoletów. Miecze samurajów były do połowy wyciągnięte z pochew, dlatego cicho ostrzegł

Blackthorne'a: - Przygotuj się do opuszczenia statku. - A do samuraja odezwał się burkliwie: -

Toranaga-sama! - Lewą ręką wskazał banderę, która łopotała na maszcie galery. - Wakarimasu ka?

Samuraje stali niezdecydowani, z mieczami w pogotowiu, Blackthorne przygotował się do skoku za burtę.

- Toranaga-sama! - Rodrigues uderzył stopą w drzwi, rygiel puścił i otworzyły się one z rozmachem. - Wakarimasu ka?! !

- Wakarimasu, Anjin-san.

Samuraje szybko zdjęli dłonie z mieczy, ukłonili się, przeprosili, ukłonili się jeszcze raz, Rodrigues zaś mruknął: „O to chodziło”, i pierwszy zszedł na dół.

- Jezu Chryste, Rodrigues - powiedział Blackthorne, kiedy znaleźli się na dolnym pokładzie. -

Czy zawsze tak robisz i uchodzi ci to płazem?

- Robię to bardzo rzadko - odparł Portugalczyk, ocierając spocone czoło - a i wtedy żałuję, że w ogóle się w to wdałem.

Blackthorne oparł się o grodzie.

- Czuję się, jakby mnie kopnięto w żołądek - wyznał.

- To moja jedyna metoda. Musisz się zachowywać jak władca. Ale nawet wtedy z samurajami nigdy nic nie wiadomo. Są tak nieobliczalni jak jakiś wściekły klecha, który z lontem w tyłku siedzi na półpełnej baryłce prochu.

- Coś im powiedział?

- Toda Hiromatsu jest głównym doradcą Toranagi, większym daimyō od tego miejscowego.

Właśnie dlatego ustąpili.

- A jaki on jest, ten Toranaga?

- Długo by mówić, Ingeles. - Rodrigues usiadł na stopniu, ściągnął długi but i podrapał się w kostkę.

- O mało co nie przetrąciłem sobie stopy na twoich parszywych drzwiach.

- Nie były zamknięte na klucz. Mogłeś je zwyczajnie otworzyć.

- Wiem. Ale o ileż mniejszy byłby efekt. Na Błogosławioną Dziewicę, dużo się jeszcze musisz nauczyć!

- Nauczysz mnie? Rodrigues wciągnął but z powrotem.

To zależy - odrzekło - Od czego?

- Zobaczysz się, no nie? Jak dotychczas, tylko ja gadałem, i słusznie - jestem zdrow, a ty nie.

Niedługo przyjdzie twoja kolej. Która kabina jest twoja?

Blackthorne przyglądał mu się uważnie przez chwilę. Pod pokładem panował smrodliwy zaduch.

- Dziękuję ci za pomoc w dostaniu się na statek - powiedział.

Ruszył przodem w stronę rufy. Drzwi do jego kabiny nie były zamknięte na klucz. Złupiono ją i zabrano wszystko, co dało się wynieść. Nie było książek, ubrań, przyrządów ani gęsich piór. Jego skrzynia żeglarska również stała otworem. I była pusta.

Poblady z gniewu, wszedł do kabiny kapitańskiej, Rodrigues zaś baczenie mu się przypatrywał.

Rabusie znaleźli nawet i opróżnili jego skrytkę.

- Zabrali wszystko - oznajmił. - Te syny zarażonych wszy!

- A czegoś się spodziewał?

- Bo ja wiem. Myślałem. . że przy tych pieczęciach. . - Blackthorne przeszedł do skarbcza. Był

ogołocony. Tak samo magazyn. W ładowniach pozostawiono jedynie bele wełnianego sukna. - Bóg skaż wszystkich Japończyków! - zaklął, wrócił do swojej kabiny i zatrzasnął wieko skrzyni.

- Gdzie je masz? - spytał Rodrigues.

- Co?

- Swoje ruty. Gdzie masz ruty?

Blackthorne obrzucił go bystrym spojrzeniem.

- Żaden pilot na świecie nie przejmowałby się ubraniem. Przyłynąłeś tu po ruty. Prawda?

- Tak.

- Coś taki zaskoczony, Ingeles? Jak myślisz, po co wszedłem na pokład? Żeby ci pomóc zabrać więcej łańców? Prawdę powiedziawszy, twoje są znoszone i będziesz potrzebował innych.

Mam ich dla ciebie mnóstwo. Ale gdzie są ruty?

- Przepadły. Trzymałem je w skrzyni.

- Nie mam zamiaru ich kraść, Ingeles. Po prostu chcę się z nimi zapoznać. I skopiować w razie potrzeby. Będę na nie chuchał jak na własne, więc nie musisz się bać. . dlatego wydobądź je z łaski swojej - dodał Rodrigues bardziej stanowczym tonem. - Czasu mamy niewiele.

- Nie mogę tego zrobić. Przepadły. Trzymałem je w skrzyni.

- W skrzyni byś ich nie zostawił, nie w chwili wpływania do obcej zatoki. Nie zapomniabyś pierwszego przykazania pilotów, które głosi, że ruty należy dobrze ukryć, a bez zabezpieczenia pozostawić tylko te fałszywe. Pośpiesz się!

- Ukradli mi je!

- Nie wierzę ci. Ale przyznaję, że świetnie je ukryłeś. Szukałem dwie godziny i nie wy wachałem, psia jego mać, niczego.

- Co takiego?

- Coś taki zdziwiony, Ingeles? Czy głowę masz tam gdzie dupę?! Jasne, że przyłynąłem tutaj z Osaki, żeby się wywiedzieć o twoje ruchy!

- Więc ty już tutaj byłeś?

- Matko Święta! - rzekł zniecierpliwiony Rodrigues. - Jasne, że byłem, kilka godzin temu z Hiro-matsu, który chciał się tu rozejrzeć. Złamał pieczęcie, a potem, po naszym odpłynięciu, ten miejscowy daimyō znowu opieczętował statek. Pośpiesz się, na miły Bóg - dodał. - Piasek w klepsydrze i ucieka.

- Ukradli mi je! - powtórzył Blackthorne. Opowiedział mu, jak tu przyłynęli i jak się ocknął na brzegu. A potem kopniakiem posłał skrzynię przez kabinę, wściekły na tych, którzy złupili mu statek.

- Ukradli mi je! Wszystkie moje mapy! Wszystkie ruty! Kopie niektórych mam w Angli, ale ruta z trasą tej wyprawy przepadła i. . - urwał.

- A ta ruta portugalska? Nie gadaj, Ingeles, przecież musiała być portugalska.

- Tak, i ta portugalska też przepadła.

Weź się w garść, powiedział sobie Blackthorne. Ruty przepadły i koniec. Kto je ma?

Japończycy? A może przekazali je temu jezuitcie? Bez tych rut i map nie dopłyniesz z powrotem do kraju. Nigdy tam nie dopłyniesz. . To nieprawda. Zdołasz dopłynąć do domu, jeżeli będziesz uważał i jeżeli będziesz miał ogromne szczęście. . Nie bądź śmieszny! Jesteś na drugim końcu świata, we wrogim kraju, w rękach nieprzyjaciół i nie masz ani ruty, ani map.

- O Jezu, daj mi siły!

Rodrigues przypatrywał mu się bacznie.

- Żal mi ciebie, Ingeles - powiedział wreszcie. - Wiem, co czujesz. . kiedyś i mnie się to przydarzyło. Tamten złodziej był Anglikiem, tak jak ty, bodaj jego statek zatonął, a on sam po wiek wieków smażył się w piekle! Chodź, wracajmy na pokład.

Orni i pozostali czekali na nabrzeżu do chwili, gdy galera opłynęła przylądek i znikła. Na zachodzie na niebo zaczęły się nakładać pierwsze warstwy nocy. Na wschodzie natomiast, gdzie horyzont już zniknął, noc spoiła niebo z morzem.

- Mura, ile czasu zajmie przewiezienie wszystkich dział z powrotem na statek? - spytał Orni.

- Jeżeli będziemy pracowali całą noc, to jutro do południa, Omi-san. A jeżeli zaczniemy o świcie, to skończymy przed zachodem słońca. Praca w dzień byłaby bezpieczniejsza.

- Pracujcie w nocy. Natychmiast przyprowadź do piwnicy tego kapłana.

Omi spojrzał na Igurashiego, głównego adiutanta Yabu, który w dalszym ciągu wpatrywał się z napiętą twarzą w przylądek, a przecinająca jego pusty oczodół, wypełniona siną tkanką szrama tonęła w niesamowitym cieniu.

- Z przyjemnością udzielę ci gościny, Igurashi-san - powiedział. - Mój dom jest wprawdzie ubogi, ale być może zdołam sprawić, żebyś się czuł w nim wygodnie.

- Dziękuję - odparł mu starszy mężczyzna, zwracając się ponownie w jego stronę - ale nasz pan polecił mi natychmiast wracać do Edo, dlatego wyjadę natychmiast. - Zatrokał się jeszcze bardziej.
- Szkoda, że nie ma nas na tej galerze.

- Tak.

- Bardzo nie podoba mi się to, że wielmożny pan Yabu ma ze sobą tylko dwóch żołnierzy.

Bardzo mi się nie podoba.

- Tak. Igurashi wskazał Erasmusa.

- Nie ma co, to diabelski statek! Tyle bogactwa, a potem nic.

- Czy na pewno nic? Czy pan Toranaga nie ucieszy się, nie ucieszy się bardzo z daru pana Yabu?

- Ten zepsuty przez pieniądź grabieżca prowincji jest tak zarozumiały na punkcie swojej ważności, że nawet nie zauważy, ile złota ukradł naszemu panu. Gdzie masz rozum, panie?

Tuszę, że do wypowiedzenia podobnej uwagi przywiodła cię jedynie troska z powodu niebezpieczeństwa, na jakie może być narażony nasz pan.

- Masz rację, Omi-san. Nie chciałem cię obrażać. Postąpiłeś bardzo mądrze i bardzo się przydałeś naszemu panu. Być może masz też rację co do Toranagi - odparł Igurashi, myśląc jednak:

„Ciesz się swoim nowo pozyskanym bogactwem, biedny głupcze. Znam naszego pana lepiej od ciebie i twoje powiększone lenno bynajmniej nie wyjdzie ci na dobre. Twój awans byłby sprawiedliwą nagrodą za statek, kruszec oraz uzbrojenie. Ale one przepadły. I z tego powodu nasz pan jest w niebezpieczeństwie. Wysłałeś wiadomość i skusiłeś go słowami: „Zobacz najpierw barbarzyńców”. A powinniśmy byli wyjechać wczoraj. Tak, do tego czasu mój pan byłby już w bezpiecznej odległości, z pieniędzmi i bronią. Czy jesteś zdrajcą? Działasz dla siebie, dla swojego głupiego ojca czy dla wroga? Może, na przykład, dla Toranagi? Nieważne. Możesz mi wierzyć, Omi-san, ty naiwny młody głupcze, że wraz ze swoją gałęzią rodu Kasigi nie pożyjesz długo na tym świecie. Powiedziałbym ci to w oczy, ale wówczas musiałbym cię zabić, naruszając w ten sposób zaufanie mojego pana. Do niego bowiem należy decyzja, kiedy to zrobić, a nie do mnie. - Dziękuję ci za gościnność, Omi-san - dodał.

- Z przyjemnością wkrótce cię zobaczę, ale teraz ruszam w drogę.

- Czy możesz łaskawie coś dla mnie zrobić? Złóż, proszę, uszanowanie mojemu ojcu. Będę ci za to bardzo wdzięczny.

- Z przyjemnością. To wspaniały człowiek. Nie powinszowałem ci jeszcze z okazji twojego nowego lenna.

- Jesteś nadzwyczaj uprzejmy.

- Raz jeszcze ci dziękuję, Omi-san. - Igurashi uniósł rękę w przyjacielskim pozdrowieniu, dał znak swoim samurajom i na czele konnego zastępu wyjechał z wioski.

Omi poszedł do piwnicy. Zastał tam księdza. Spostrzegł, że Portugalczyk jest zagniewany, i miał nadzieję, że da temu upust publicznie, wtedy zaś będzie mógł go zabić.

- Kapłanie, powiedz barbarzyńcom, że mają wyjść, pojedynczo. Przekaż im, że pan Yabu powiedział, że mogą znowu żyć pośród ludzi. - Omi celowo używał prostych słów. - Ale przy najmniejszym naruszeniu zasad dwóch z nich powróci do piwnicy. Mają się zachowywać właściwie i wykonywać

wszystkie rozkazy. Czy to jasne?

- Tak.

Orni, tak jak poprzednio, kazał jezuitie wszystko powtórzyć, a kiedy upewnił się, że Portugalczyk go zrozumiał, kazał mu to powiedzieć uwięzionym w piwnicy.

Więźniowie jeden po drugim wyszli na górę. Wszyscy byli załęknieni. Niektórym trzeba było pomagać. Jeden z nich bardzo cierpiał i krzyczał, ilekroć ktoś dotknął jego ręki.

- Powinno być dziewięciu.

- Jeden nie żyje. Zwłoki są tam, w piwnicy - wyjaśnił zakonnik. Omi zastanawiał się przez chwilę.

- Mura - rzekł - spal te zwłoki, a popioły dorzuć do tych po tamtym barbarzyńcy. Pozostałych zakwateruj w tej samej chacie co poprzednio. Daj im dużo warzyw i ryb. A również polewki z jęczmienia i owoców. Trzeba ich wykąpać. Śmierdzą. Kapłanie, powiedz im, że jeżeli będą grzeczni i posłuszni, jedzenie będzie dostarczane dalej.

Uważnie przypatrywał się i słuchał. Zobaczył, że wszyscy reagują wdzięcznością, i pomyślał z pogardą, że to bardzo głupio z ich strony. Pozbawiam ich wszystkiego tylko na dwa dni, potem zwracam im zaledwie ochłapy, a oni są gotowi jeść łajno, naprawdę!

- Mura, każ im się uklonić jak należy i zabierz ich stąd - polecił, a potem zwrócił się do jezuitę. - Tak?

- Odjeżdżam. Jadę do domu. Opuszczam Anjiro.

- Najlepiej odjedź i więcej się tu nie pokazuj, ty i wszyscy podobni tobie kapłani. Następnym razem jeden z was pojawi się w moim lennie być może dlatego, że któryś z moich chrześcijańskich włościń lub poddanych umyśli zdradę - rzekł, używając zawołanej groźby i klasycznego fortelu, który antychrześcijańsko nastawieni samuraje stosowali, żeby powstrzymać niepohamowane rozprzestrzenianie się obcej religii w swoich dobrach, bo chociaż zagraniczni księża byli pod ochroną, to ich japońscy neofici nie. Chrześcijanie dobrzy Japończycy. Zawsze. Tylko dobrzy poddani. Nigdy złych myśli. Nie.

- Cieszy mnie to. Pamiętaj, że moje lenno rozciąga się w promieniu dwudziestu ri stąd.

Rozumiesz?

- Rozumiem. Tak. Rozumiem bardzo dobrze.

Patrzył, jak Portugalczyk kłania mu się sztywno - bo nawet barbarzyńskich kapłanów obowiązywało dobre wychowanie - i odchodzi.

- Omi-san? - zagadnął jeden z jego samurajów. Był młody i bardzo przystojny.

- Słucham?

- Wybacz mi, proszę, wiem, że nie zapomniałeś o tym, ale Masijiro-san wciąż siedzi w piwnicy.

Orni podszedł do otworu piwnicznego i spojrzął z góry na samuraja. Ten natychmiast uklęknął i uklonił mu się z wielkim szacunkiem.

Dwa dni spędzone w piwnicy postarzyły go. Orni rozważył jego służbę w przeszłości i przydatność w przyszłości. A potem wydobył z pochwy młodego samuraja krótki miecz i upuścił go do ziemi.

Klęczący u stóp drabiny Masijiro wpatrzył się w nóż z niedowierzaniem. Po policzkach pociekły mu łzy.

- Nie zasługuję na taki zaszczyt, Omi-san - rzekł pokornie.

- Owszem.

- Dziękuję ci, panie.

Młody samuraj stojący przy Omim spytał:

- Czy mogę prosić, żeby wolno mu było popełnić seppuku tu, na brzegu?

- On zawiódł w piwnicy. A więc zostanie w piwnicy. Każ chłopom ją zasypać. Niech zetrą wszelkie ślady po niej. Barbarzyńcy skalali ją.

8.

- Jak myślisz, Ingeles?

- Myślę, że będzie burza.

- Kiedy?

- Przed zachodem słońca.

Zbliżało się południe, stali pod szarym zachmurzonym niebem na pokładzie rufowym galery.

Byli na morzu drugi dzień.

- Gdyby to był twój statek, to co byś zrobił?

- Za ile dopłyniemy?' - spytał Blackthorne.

- Po zachodzie słońca.

- Jak daleko jest do najbliższego lądu?

- Cztery do pięciu godzin, Ingeles. Ale wyszukanie schronienia kosztowałoby nas pół dnia, a na to nie mogę sobie pozwolić. Jak byś postąpił?

Blackthorne zastanawiał się chwilę. W czasie pierwszej nocy galera posuwała się prędko na południe wzdłuż wschodniego brzegu półwyspu Izu, w czym pomagał jej duży żagiel na maszcie śródkręcia. Kiedy znaleźli się na wprost najdalej na południe wysuniętego przylądka, przylądka Ito, Rodrigues wziął kurs na zachodnio-południowy zachód i opuścił zapewniający bezpieczeństwo brzeg, wychodząc na otwarte morze i zmierzając do wylądowania na przylądku Shintō, dwieście mil dalej.

- Zazwyczaj pływamy tymi galerami trzymając się brzegu, dla bezpieczeństwa - powiedział

Rodrigues - ale zajęłoby to za wiele czasu, a czas się liczy. Toranaga kazał mi zawieźć Samicę Tode do Anjiro i odwieźć go z powrotem szybko. Jeżeli zrobię to bardzo szybko, czeka mnie nagroda. Na tak krótkiej trasie równie dobrze poradziłby sobie któryś z japońskich pilotów, ale biedny sukinsyn śmiertelnie by się bał wieźć tak ważnego daimyō jak Samica Toda, a zwłaszcza nie widząc lądu.

Japusy nie nadają się na ocean. To wspaniali piraci, wojownicy, żeglarze przybrzeżni. Ale głębia przeraża ich. Stary taikō ustanowił nawet prawo, żeby te kilka oceanicznych jednostek, które posiadają, zawsze miały na swoich pokładach portugalskich pilotów. Prawo to do tej pory obowiązuje w ich „kraju.

- Dlaczego to zrobił? Rodrigues wzruszył ramionami.

- Może ktoś mu podsunął taką myśl.

- Kto?
- A ta twoja ukradziona ruta, Ingeles, ta portugalska. Do kogo należała?
- Nie wiem. Nie było na niej nazwiska, nie była podpisana.
- Skąd ją masz?
- Od szefa kupców holenderskiej Spółki Wschodnioindyjskiej.

- A on skąd ją wziął?

Blackthorne wzruszył ramionami.

W śmiechu Rodriguesa nie było wesołości.

- No cóż, nie spodziewałem się, że mi powiesz. . ale mam nadzieję, że kimkolwiek jest ten, kto ją ukradł i sprzedał, będzie się smażył w piekle po wiek wieków.
- Pracujesz dla tego Toranagi, Rodrigues?

- Nie. Właśnie odwiedziłem Osakę, ja i mój dowódca. To była zwyczajna przysługa wobec Toranagi. Mój dowódca zgłosił mnie z własnej woli. Jestem pilotem. - Rodrigues urwał. - Ciągłe zapominam, że jesteś wrogiem, Ingeles.

- Portugalia i Anglia przez liczne wieki były sojusznikami.

- Ale w tej „chwili nie są. Zejdź pod pokład, Ingeles. Ty jesteś zmęczony i ja też, a ludzie zmęczeni popełniają błędy. Wyjdź na górę, kiedy wypoczniesz.

Tak więc Blackthorne zszedł na dół do kabiny pilota i położył się na koi. Ruta Rodriguesa z opisem trasy tego rejsu leżała na stoliku nawigacyjnym, który podobnie jak krzesło pilota na rufówce przytwierdzony był do ściany. Oprawiony w skórę dziennik okrętowy był mocno wysłużony, ale Blackthorne nie otworzył go. - Dlaczego leży tutaj? - zapytał uprzednio.

- Gdyby nie leżał, tobyś go szukał. Ale tutaj go nie ruszysz, a nawet na niego nie spojrzysz. .

bez zaproszenia. Jesteś przecież pilotem, a nie jakimś gamrackim plugawym kupcem, który kradnie, albo ciurą., Przeczytam go. Ty byś przeczytał.

- Ale nie bez zaproszenia, Ingeles. Żaden pilot by tego nie zrobił. Nawet ja!

Blackthorne przez chwilę patrzył na dziennik okrętowy, a potem zamknął oczy. Spał głęboko przez cały dzień i kawałek nocy. Obudził się tak jak zwykle tuż przed świtem. Trochę czasu potrzebował na przyzwyczajenie się do zrywnych ruchów galery i na oswojenie się z biciem w bęben, dzięki któremu wiosła poruszały się równo. Ułożył się wygodnie na plecach w ciemnościach, z rękami pod głową. Pomyślał o swoim własnym statku i odsunął od siebie niepokój, co się stanie, kiedy dotrą do brzegu i

Osaki. Nie wszystko naraz, rzekł sobie. Pomyśl o Felicity, o Tudorze i o kraju. Nie, nie w tej chwili. Pomyśl: jeżeli inni Portugalczycy są tacy jak Rodrigues, to masz spore szanse. Popłyniesz do kraju. Piloci nie są wrogami, a wszystko inne pał sześc! Jednak nie jest to wcale takie pewne, chłopcze. Jesteś Anglikiem, znieprawionym heretykiem i antychrystem. Tym światem władają katolicy. Należy on do nich! A my i Holendrzy chcemy ich zniszczyć!

To wszystko nie ma najmniejszego sensu! Katolicyzm, protestantyzm, kalwinizm, luteranizm i wszelkie inne idiotyzmy. Powinieneś być urodzić się katolikiem. To tylko zrzędzenie losu zawiodło twojego ojca do Holandii, gdzie poznał kobietę, Anneke van Droste, która została jego żoną, i gdzie po raz pierwszy zetknął się z hiszpańskimi katolikami, z hiszpańskimi księżmi i inkwizycją. Jak to dobrze, że otworzyły mu się oczy. Jak to dobrze, że ja mam je otwarte, pomyślał Blackthorne.

A potem wyszedł na pokład. Rodrigues siedział na krześle, oczy miał zaczerwienione z niewyspania, a przy sterze stało tak jak poprzednio dwóch japońskich żeglarzy.

- Mogę cię zastąpić na wachcie? - spytał.

- Jak się czujesz, Ingeles?

- Wypocząłem. Mogę cię „zastąpić na wachcie? - Blackthorne spostrzegł, że Rodrigues taksuje go wzrokiem. - Obudzę cię w razie zmiany wiatru. . czegokolwiek.

- Dziękuję, Ingeles. Tak, prześpię się trochę. Utrzymuj ten kurs. Przy jego najbliższej zmianie skręć cztery stopnie na zachód, a przy następnej jeszcze sześc. Musisz pokazać sternikowi nowy kurs na kompasie. Wakarimasu ka?

- Hai! - Blackthorne zaśmiał się. - Jest cztery rumbly na zachód. Zejdź pod pokład, pilocie, masz bardzo wygodną koję.

Ale Vasco Rodrigues nie zszedł pod pokład. Tylko ciaśniej otulił się marynarską kurtą i głębiej umościł w krześle. Tuż przed porą odwrócenia klepsydry obudził się na chwilę, nie ruszając się z miejsca sprawdził kurs i natychmiast znowu zasnął. Raz, kiedy wiatr zmienił kierunek, ocknął się, a nabrawszy pewności, że nie ma niebezpieczeństwa, znowu zapadł w sen.

Hiro-matsu i Yabu wychodzili na pokład w ciągu tego ranka. Blackthorne zauważył, że zaskoczyło ich, iż to on prowadzi okręt, a Rodrigues śpi. Nie odezwali się do niego, tylko powrócili do rozmowy, a potem znów zeszli pod pokład.

Około południa Rodrigues wstał z krzesła, żeby przyjrzeć się horyzontowi na północnym zachodzie, i wyęzając wszystkie zmysły wachał wiatr. Obaj przypatrywali się uważnie morzu, niebu i nadciągającym chmurom.

- Co byś zrobił, Ingeles, gdyby to był twój statek? - powtórzył pytanie Rodrigues.

- Uciekłbym do brzegu, gdybym wiedział, gdzie jest. . najbliżej. Ta galera nie wytrzyma dużego naboru wody, a tam jest na pewno burza. Ze cztery godziny stąd.

- To nie może być tai-fun - mruknął Rodrigues.

- Co?

- Tai-fun. Tai-funy to wielkie wiatry, najgorsze burze, jakie znam. Ale to nie jest pora tai-funów.

- A kiedy ona wypada?

- Nie teraz, nieprzyjacielu. - Rodrigues zaśmiał się. - Nie, nie teraz. Ale ta burza może być na tyle paskudna, że posłucham twojej głównianej rady. Płyn na północ do zachodu.

Kiedy Blackthorne pokazał nowy kurs sternikowi i ten sprawnie obrócił galerę, Rodrigues podszedł do barierki i krzyknął do kapitana:

- Isogi! Kapitan-san. Wakarimasu ka?

- Isogi, hai!

- Co się stało? Szybciej?

Kącki oczu Rodriguesa zmarszczyły się w wyrazie rozbawienia.

- Nie zawadzi znać trochę mowę Japusów, co? Jasne, Ingeles, „isogi” znaczy „śpieszyć się”.

Wystarczy znać około dziesięciu słów i jeżeli tylko przyjdzie ci ochota, to możesz zmusić tych sukinsynów, żeby się zesrali. Oczywiście, jeżeli są to właściwe słowa i jeżeli Japonce są w humorze.

Zejdę pod pokład i coś zjem.

- To ty również sam sobie gotujesz?

- W Japlandii każdy cywilizowany człowiek musi sam sobie gotować albo osobiście wyuczyć gotowania którąś z tych małąp, bo inaczej skona z głodu. Oni jedzą tylko surowe ryby i surowe warzywa marynowane w słodkim occie. Ale życie może tu być kutaśne, jeżeli się wie co i jak.

- Kutaśne znaczy dobre czy złe?

- Przeważnie bardzo dobre, ale czasem strasznie złe. Wszystko zależy od samopoczucia, a poza tym zadajesz za dużo pytań.

Rodrigues zszedł pod pokład. Zaryglował drzwi kabiny i starannie, sprawdził zamek przy swojej żeglarskiej skrzyni. Włos, który umieścił tak misternie, był na swoim miejscu. A podobny włos, równie niewidoczny dla nikogo poza nim, który położył na oprawie ruty, również pozostał

nietknięty.

Na tym świecie nigdy nie za wiele ostrożności, pomyślał. Czy zaszkodziłoby ci, gdyby Anglik wiedział, że jesteś pilotem Nao del Trato, wielkiej Czarnej Karaweli, która w tym roku przyplynie z Makau? Być może. Ponieważ wówczas musiałbyś wyjaśnić, że to olbrzym, jeden z najbogatszych, największych statków na świecie, mający ponad tysiąc sześćset ton wyporności. Może cię kusić opowiadanie mu o ładunku, o handlu, o Makau i najrozmaitszych pouczających sprawach, które są bardzo, bardzo poufne i bardzo, bardzo tajne. Ale przecież toczymy wojnę przeciwko Anglikom i Holendrom.

Otworzył dobrze naoliwiony zamek i wyjął swoją prywatną rutę, żeby sprawdzić położenie najbliższej bezpiecznej przystani, a wówczas jego oczy spoczęły na zapieczętowanym pakiecie, który ksiądz ojciec Sebastio wręczył mu tuż przed wypłynięciem z Anjiro.

Czy zawiera ruty Anglika? - zadał sobie pytanie.

Zważył paczuszkę w rękę i spojrzał na pieczęcie jezuitów, odczuwając pokusę, żeby złamać je i samemu to sprawdzić. Blackthorne powiedział mu, że holenderska eskadra przepłynęła przez Cieśninę Magelana, i niewiele ponadto. Ten Anglik zadaje mnóstwo pytań i nic sam z siebie nie mówi, pomyślał. Jest bystry, przebiegły i niebezpieczny.

Czy to są jego ruty czy nie? A jeżeli tak, to jaki pożytek z nich będą mieli świątobliwi ojcowie?

Zadrzał na myśl o jezuitach, franciszkanach, dominikanach, wszystkich mnichach, księżach i inkwizycji. Są dobrzy księża i są źli księża, ale przeważnie źli, niemniej są księżmi. Kościół musi ich mieć i bez ich wstawienictwa za nami jesteśmy zagubionymi owieczkami w świecie Szatana. O

Matko Boska, zbaw nas od wszelkiego złego i złych księży!

Rodrigues siedział właśnie z Blackthorne'em w swojej kabynie w zatoce Anjiro, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł bez zaproszenia ojciec Sebastio. Jedli akurat i pili, a resztki ich posiłku leżały na drewnianych misach.

- Łamiesz się chlebem z heretykiem, panie? - spytał jezuita. - Jeść z nimi jest niebezpiecznie. Oni zarażają. Nie powiedział ci, że jest piratem?

- Okazywanie rycerskości wrogom to cecha prawdziwego chrześcijanina, ojczu. Kiedy wpadłem w ich ręce, traktowali mnie dobrze. Ja im tylko odpłacam się z dobrego serca za życzliwość. - Ukląkł i ucałował krzyż zakonnika. A potem wstał i częstując ojca Sebastio winem spytał: - Czym mogę służyć?

Ojciec Sebastio pragnął porozmawiać z nim na osobności, przeto odesłał Anglika na pokład, a potem, w zaciszu kabiny, wydobył zapieczętowany pakunek.

- Chciałbym, żebyś dostarczył to ojcu wizytatorowi, panie - po wiedział.

- Nie wiem, czy po dopłynięciu zastanę jeszcze jego eminencję w Osace - odparł Rodrigues, nierad z roli kuriera przewożącego jezuickie tajemnice. - Możliwe, że będę musiał wrócić do Nagasaki: Gubernator mógł zostawić dla mnie rozkazy.

- Wobec tego oddaj to ojcu Alvito. Tylko na pewno przekaż mu przesyłkę do rąk własnych.

- Dobrze - przyrzekł.

Teraz zaś w kabinie odłożył pakunek z powrotem, wielce podkuszony. Dlaczego ojcu Alvito?

Ojciec Martin Alvito był przez wiele lat głównym negocjatorem handlowym i osobistym tłumaczem taikō, stąd też i zażyłe stosunki z najbardziej wpływowymi daimyō. Ojciec Alvito kursował pomiędzy Nagasaki a Osaka i jako jedyny Europejczyk należał do garstki nielicznych, którzy mieli w każdej chwili dostęp do taikō - był człowiekiem nadzwyczaj mądrym, doskonale władał japońskim, a o Japończykach i zasadach ich życia wiedział więcej niż ktokolwiek w Azji. W tej chwili zaś był

najbardziej wpływowym portugalskim pośrednikiem do kontaktów z Radą Regencyjną, a zwłaszcza z Ishido i Toranagą.

Tylko jezuitom mogło się powieść zapewnienie jednemu ze swoich tak ważnego stanowiska, pomyślał Rodrigues z podziwem. Oczywiście, gdyby nie Towarzystwo Jezusowe, nic nie powstrzymałoby zalewu herezji, Portugalczycy i Hiszpanie mogliby przejść na protestantyzm i na zawsze postradaliibyśmy nasze nieśmiertelne dusze. Matko Boska!

- Dlaczego ty bez przerwy myślisz o księżach? - zadał sobie na głos pytanie. - Wiesz, że to cię denerwuje!

Tak. A jednak dlaczego właśnie ojcu Alvito? Jeżeli w tym pakiecie są ruty, to czy jest on przeznaczony dla któregoś z chrześcijańskich daimyō, dla Ishido albo Toranagi, czy też po prostu dla jego eminencji samego ojca wizytatora? A może dla mojego generała-gubernatora?

Niewykluczone również, że ruty te zostaną wysłane do Rzymu, Hiszpanom. Dlaczego ojcu Alvito?

Ojciec Sebastio mógł zwyczajnie powiedzieć, żebym oddał to jakiemuś innemu jezuitcie.

I po co Toranadze ten Anglik?

W głębi duszy wiem, że powinienem zabić Blackthorne'a. To wróg, to heretyk. Ale jest jeszcze coś. Mam przeczucie, że ten Anglik zagraża nam wszystkim. Na jakiej podstawie tak uważam? Jest pilotem, i to doskonałym. Jest silny. Inteligentny. Porządny chłop. Nie ma się czego obawiać. Więc dlaczego się go boję? Czy jest zły? Bardzo go lubię, a coś mi mówi, że powinienem go szybko zabić, im prędzej, tym lepiej. Nie w gniewie. Po prostu po to, żeby nas ochronić. Dlaczego?

Obawiam się go.

Co zrobić? Zostawić to w ręku Pana Boga? Nadciąga burza, a będzie paskudna.

- Bodaj diabli mnie i mój brak konceptu! Czemu żadne pomysły nie wpadają mi łatwo do głowy?

Burza przysła przed zachodem słońca i złapała ich na morzu. Do lądu mieli dziesięć mil.

Zatoka, do której pędzili, zapewniała im w miarę bezpieczne schronienie i leżała na wprost nich, kiedy przekraczali linię horyzontu, co pozwalało na dostrzeżenie ich przez kogoś z brzegu.

Pomiędzy nimi a bezpieczną zatoką nie było żadnych mielizn ani raf do ominięcia, ale dziesięć mil to zawsze dziesięć mil, fale zaś szybko rosły, poganiane deszczystym wiatrem.

Wichura dęła z północnego wschodu, uderzając w tylną część prawej burty, i co chwila zmieniała kierunek, gdy podmuchy skręcały bezładnie na wschód albo północ, a morze się srożyło.

Płynęli kursem na północny zachód, a więc przeważnie zwróceni pełną burtą do spiętrzającej się wody, zataczając się straszliwie, raz zapadając się w dolinę fali, to znowu wyjeżdżając przerażająco wysoko na jej grzbiecie. Galera miała płytkie zanurzenie i zbudowano ją do szybkiego pływania po spokojnych wodach, tak więc mimo chęci i zdyscyplinowania wioślarzy, trudno im było utrzymać wiosła zanurzone i popychać je czysto.

- Powinieneś wciągnąć wiosła i sztormować rufą! - krzyknął Blackthorne.

- Możliwe, ale jeszcze nie teraz! Gdzie twoje cojones, Ingeles?

- Tam gdzie powinny być, na miły Bóg, i gdzie pragnąłbym je mieć zawsze!

Obaj wiedzieli, że gdyby obrócili się pod wiatr, za nic nie zdołaliby przedostać się przez burzę - prądy i wichura odepchnęłyby ich bowiem od bezpiecznego schronienia w morze. Gdyby zaś ustawili się rufą do wiatru, to wiatr i prądy tak samo odepchnęłyby ich od bezpiecznej zatoki, tylko prędzej. Na południe była Wielka Głębia. W kierunku południowym na przestrzeni tysiąca mil żadnego lądu, a jeśli ktoś nie miał szczęścia, to na przestrzeni trzech tysięcy mil.

Obwiązani ratowniczymi linami sztormowymi umocowanymi do podstawy kompasu, cieszyli się, że je mają, bo pokład wznosił się - i kołysał. Płynęli, przytrzymując się nadburci.

Jak dotąd woda nie dostała się na pokład. Galera była mocno obciążona i tak głęboko zanurzona, że nie podobało się to żadnemu z nich. W godzinach oczekiwania na sztorm Rodrigues odpowiednio się doń przygotował. Wszystko uszczelniono, a załogę uprzedzono o niebezpieczeństwach. Hiro-matsu i Yabu zapowiedzieli, że zostaną jakiś czas pod pokładem i że wyjdą na górę potem. Rodrigues wzruszył ramionami i ostrzegł ich wyraźnie, że będzie to niebezpieczne. Był pewien, że go zrozumieli.

- Co zrobią? - spytał Blackthorne.

Kto wie, Ingeles. Ale bądź pewien, że nie rozplaczą się ze strachu. W niecce głównego pokładu wioślarze wiosłowali z całych sił. Zwykle przy każdym z wiosła stałoby ich dwóch, ale dla zwiększenia mocy, bezpieczeństwa i prędkości Rodrigues nakazał wiosłować trzem. Reszta czekała pod pokładami, żeby zluzować tamtych na rozkaz Portugalczyka. Dowódca wioślarzy na pokładzie dziobowym był bardzo doświadczony i bił w bęben wolno, równo z napływającymi falami. Galera wciąż posuwała się naprzód, chociaż wydawało się, że z każdą chwilą huśta się coraz mocniej i że wolniej odzyskuje równowagę. Potem zaś uderzenia szkwału utraciły regularność, stały się

nieobliczalne i dowódca wiosłarzy stracił rytm.

- Pilnuj dziobu! - wykrzyknęli niemal jednym tchem Rodrigues i Blackthorne.

Galera zakołysała się przerażająco, dwadzieścia wiosel zagarnęło zamiast wody powietrze i na pokładzie powstał chaos. W prawą burtę uderzył pierwszy grzywacz i przelała się przez nią woda.

Brodzili w niej.

- Idź na dziób! - polecił Rodrigues. - Niech wciągną połowę wiosel z każdej burty! Matko Boska, prędzej, prędzej!

Blackthorne zdawał sobie sprawę, że bez liny ratunkowej w każdej chwili grozi mu zmycie do morza. Ale wiosła trzeba było wciągnąć, bo w przeciwnym razie byliby zgubieni.

Rozwiązał węzeł i po śliskim, kołyszącym się pokładzie, a potem po schodni przedostał się na pokład główny. Nagle galera odchyliła się w bok, on zaś poleciał w przód, podcięty przez zbitych z nóg wiosłarzy, którzy również odwiązali swoje liny ratunkowe, żeby zapanować nad wiosłami.

Nadburcie zalała woda i ktoś wpadł do morza. Blackthorne poczuł, że i jego unosi fala. Ręką chwycił

się nadburcia, ścięgna napięły mu się, ale nie puścił, a potem drugą ręką sięgnął do okrężnicy i dławiąc się wodą podciągnął się w górę. Nogą wymacał pokład, otrząsnął się i dziękując Bogu za ocalenie pomyślał, że oto stracił siódme życie. Alban Caradoc stale powtarzał, że dobry pilot musi być jak kot, z tym że pilot powinien mieć dziesięć żyć, podczas gdy kotu wystarcza dziewięć.

U jego stóp znalazł się jakiś człowiek, więc wyrwał go morzu z pazurów, przytrzymał, aż niebezpieczeństwo minęło, a potem dopomógł wrócić na miejsce. Obejrzał się na rufówkę, przeklinając Rodriguesa za to, że wypuścił ster z ręki. Rodrigues machnął w jego stronę, pokazał na coś i krzyknął, ale jego okrzyk zginął w ryku nawałnicy. Blackthorne spostrzegł, że zmienili kurs. W tej chwili szli prawie pod wiatr, po czym poznał, że nagły skręt był zaplanowany. Mądrze, pomyślał.

Da nam to chwilę wytchnienia na przygotowanie się, ale ten drań mógł mnie uprzedzić. Nie lubię tracić kolejnych żyć bez potrzeby.

Odpowiedział mu machnięciem ręki i energicznie przystąpił do uporządkowania na nowo wiosłarzy. Wiosłowanie przerwano, nie licząc dwóch pracujących wiosel z, samego przodu, które utrzymywały galerę na kursie pod wiatr. Gestami i krzykami Blackthorne wymusił wciągnięcie wiosel, podwoił obsady tych, którymi wiosłowano, a potem wrócił na rufę. Japończycy zachowywali stoicki spokój i chociaż niektórzy wymiotowali, to tkwili na swoich miejscach i czekali na następny rozkaz.

Zatoka była coraz bliżej, ale i tak zdawała się o milion mil od nich. Na północnym wschodzie niebo było ciemne. Deszcz chłostał, a porywy wiatru nabierały gwałtowności. Gdyby płynął w tej chwili na Erasmusie, byłby spokojny. Bez trudu wpłynęliby do zatoki albo bez żadnych problemów wrócili na właściwy kurs, zdążając do wyznaczonego miejsca lądowania. Jego statek zbudowano i

otaklowano na tak złą pogodę. Ale tej galery nie.

- Co myślisz, Ingeles?

- Cokolwiek myślę, i tak zrobisz, co zechcesz - odparł Blackthorne przekrzykując wiatr. - Ale ta galera nie wytrzyma już wiele więcej wody i pójdziemy na dno jak kamień, a poza tym, kiedy znowu wybiorę się na dziób, to daj znać, że ustawiasz ją pod wiatr. A najlepiej zrób to wtedy, kiedy będę przywiązany liną, w ten sposób obaj dopłyniemy na miejsce.

- To była wola boska, Ingeles. Fala rąbnęła nas w zad i obróciła.

- O mało co nie wypadłem za burtę.

- Widziałem.

„Blackthorne oszacował znos statku.

- Trzymając się tego kursu nie dotrzemy do zatoki - powie dział. - Zniesie nas o milę albo więcej od tego cypla.

- Chcę utrzymać kurs pod wiatr. A potem, w najstosowniejszej chwili, spróbujemy dotrzeć do brzegu. Umiesz pływać?

- Tak.

- To dobrze. Ja się nie nauczyłem. To zbyt niebezpieczne. Jeżeli tonąć, to raz-dwa, a nie powoli, no nie? - Rodrigues mimo woli zadrżał. - Błogosławiona Dziewico Maryjo, nie daj mi spocząć w mokrym grobie! Ta świńska, gamracka galera wpłynie do zatoki! Musi. Czuję przez skórę, że jeżeli się obrócimy i, posztormujemy rufą, zatoniemy. Jesteśmy za bardzo obciążeni.

- To odciąż ją. Wyrzuć ładunek za rufę.

- Samica Toda nigdy by się na to nie zgodził. Musi dopłynąć albo z tym ładunkiem, albo wcale.

- Zażądaj tego od niego.

- Matko Jedyna, głuchy jesteś? Przecież ci powiedziałem. Wiem, że się na to nie zgodzi!

Rodrigues zbliżył się do sternika i upewnił, czy Japończycy dobrze zrozumieli, że mają nadal płynąć pod wiatr.

- Pilnuj ich, Ingeles! Kierujesz galera - rzekł.

Odwiązał linę ratunkową i pewnie zszedł po schodni. Wioślarze obserwowali go bacznie, kiedy kroczył w stronę nadbudówki dziobowej do kapitana, żeby gestami i słowami oznajmić mu swoje plany. Na pokład wyszli Hiro-matsu i Yabu. Kapitan galery wyłożył im plan. Obaj byli bladzi, ale zachowywali niewzruszoną postawę i żaden nie wymiotował. Poprzez deszcz spojrzeli w stronę

brzegu, wzruszyli ramionami i ponownie zeszli pod pokład.

Blackthorne wpatrzył się w zatokę po lewej burcie. Wiedział, że plan Rodriguesa jest niebezpieczny. Musieli zaczekać prawie do ostatniej chwili i tuż przed dopłynięciem do cypla nagle odpaść od wiatru, obrócić się ponownie na północny zachód i wiosłując z całych sił ratować życie.

Żagiel był nieprzydatny. Mogli liczyć wyłącznie na siebie. Południowa strona zatoki była najeżona skałami i pełna raf. Gdyby źle wybrali moment, to zostaliby zniesieni w tamtą stronę i by się rozbili.

- Chodź na rufę, Ingeles! Portugalczyk przyzwał Blackthorne'a gestem. Blackthorne poszedł za nim.

- A co powiesz na żagiel? - krzyknął Rodrigues.

- Nie, nie. Bardziej by nam zawadzał, niż pomógł.

- No, to zostań tutaj. Gdyby kapitan stracił rytm albo zginął, zastąp go. Dobrze?

- Ja jeszcze nie pływałem na czymś takim. . nie znam zasad wiosłowania. Ale spróbuję.

Rodrigues spojrział w stronę brzegu. Cypel wylaniał się i znikał w zacinającym deszczu. Już niedługo trzeba będzie podjąć próbę dotarcia tam. Fale nieustannie rosły i z ich grzbietów zaczęły już pierzchać baranki. Przesmyk pomiędzy cyplami wyglądał groźnie. Będzie bardzo trudno, pomyślał. A potem splunął i podjął decyzję.

- Idź na rufę, Ingeles - powiedział. - Weź ster. Na mój znak skieruj galerę na zachodnio-północny zachód, gdzie ten cypel. Widzisz go?

- Tak.

- Nie zwlekaj z tym i trzymaj kurs. Miej na mnie baczenie. Ten znak oznacza „lewo na burtę”, ten „prawo na burtę”, a ten „tak trzymać”.

- Dobrze.

- Na Świętą Dziewicę, zaczekasz na moje rozkazy i wypełnisz je?

- Chcesz, żebym przejął ster czy nie?

Rodrigues wiedział, że nie ma wyjścia.

- Muszę ci ufać, Ingeles, a robię to bardzo niechętnie. Idź na rufę - powiedział. Spozregł, że Blackthorne odgadł jego myśli. Po chwili zmienił więc zamiary i zawołał za odchodzącym Anglikiem: - Ej, ty zarozumiały piracie! Szczęść Boże!

Blackthorne odwrócił się, wdzięczny mu za to)

- I tobie też, Hiszpanie! Sram na wszystkich Hiszpanów, niech żyje Portugalia!

- Tak trzymać!

Wpłynęli do zatoki, ale bez Rodriguesa. Zmyło go za burtę, kiedy pękła jego lina ratunkowa.

Galera była już niemal całkiem bezpieczna, kiedy z północy nadpłynęła ogromna fala i chociaż już nabrali mnóstwo wody - utraciwszy wcześniej japońskiego kapitana - to znowu zalała ich i zniosła w stronę najeżonego skałami brzegu.

Blackthorne widział, jak Rodrigues zostaje zmyty, i patrzył, jak z trudem chwytając powietrze i miota się w kipieli. Prąd i burza zepchnęły ich mocno w kierunku południowego wybrzeża zatoki, tak że znaleźli się bardzo blisko skał, i wszyscy na pokładzie zdawali sobie sprawę, że galera jest stracona.

Kiedy Rodriguesa zmyło za burtę, Blackthorne rzucił mu drewniane koło ratunkowe.

Portugalczyk, rozpaczliwie młóćąc wodę, chciał je chwycić, ale morze porwało koło poza zasięg jego rąk. Chciał też złapać wiosło, które w niego uderzyło, Blackthorne dojrzał jeszcze przez siekający deszcz jego oraz złamane wiosło, a na wprost przybrzeżne fale wściekle, bijące w udręczony brzeg.

Mógłby zanurkować za burtę, podpłynąć do Rodriguesa i być może uratować go, być może nie było na to za późno, jednakże jego pierwszym i ostatnim obowiązkiem była opieka nad statkiem, a statek znajdował się w niebezpieczeństwie.

Tak więc przestał zważać na Rodriguesa.

Fala zabrała ze sobą kilku wiosłarzy, inni zaś starali się ze wszystkich sił ich zastąpić. Jeden z oficerów pokładowych odważnie odwiązał swoją linę ratunkową, skoczył na pokład dziobowy, zabezpieczył się i od nowa zaczął wystukiwać rytm na bębnie. Zapiewajło znowu podjął zaśpiew, a wiosłarze próbowali opanować chaos i przywrócić porządek.

- Isogi ii ! - krzyknął Blackthorne, przypominając sobie to słowo. Naparł całym ciężarem ciała na ster, żeby ustawić galerę dziobem bliżej wiatru, a potem podszedł do balustrady i powtarzając

„raz-dwa, raz-dwa” starał się zmobilizować załogę.

- No dalej, dranie, raaaz! !

Galera trafiła na skały, a przynajmniej widać je było tuż za rufą i po lewej burcie. Wiosła zanurzyły się, pchnęły wodę, ale statek i tak ani drgnął, a wiatr i prąd brały nad nim górę, dostrzegalnie spychając go w tył.

- Dalej, wiosłujcie, dranie! - krzyknął znowu Blackthorne, ręką odmierzając rytm.

Wiosłarzy natchnęła siła jego woli.

Zrazu mocowali się z morzem jak równy z równym. A później pokonali je.

Statek odsunął się od skał. Blackthorne skierował się ku zawietrznemu brzegowi zatoki.

Wkrótce wpłynęli na spokojniejsze wody. Wichura hulała nadal, ale górzę. W dalszym ciągu szalała burza, ale dalej, na pełnym morzu.

- Rzucić prawą kotwicę!

Nikt nie zrozumiał jego słów, ale wszyscy żeglarze zorientowali się, czego żąda. Pośpieszyli wypełnić rozkaz. Kotwica z pluskiem wpadła do wody przy burcie. Chcąc wybadać twardość dna, Blackthorne pozwolił galerze odpaść nieco od wiatru, a oficer pokładowy i wiosłarze pojęli ten manewr.

- Rzucić lewą kotwicę!

Kiedy galera była już bezpieczna, Blackthorne spojrzał za burtę.

Przez ulewę ledwo było widać dzikie wybrzeże. Oceniał morze i rozważył możliwości.

Ruta Portugalczyka jest pod pokładem, pomyślał wyczerpany. Mogę dopłynąć tą galerą do Osaki. Mogę nią dopłynąć z powrotem do Anjiro. Czy jednak miałem prawo złamać jego rozkazy? Nie złamałem rozkazów Rodriguesa. Przecież byłem na rufówce. Sam.

- Kierunek południe! - krzyknął mu Rodrigues, kiedy wiatr i prąd zniosły ich niebezpiecznie blisko skał. - Zawróć i sztormuj rufą!

- Nie! - odkrzyknął na to wierząc, że ich jedyną szansą jest wpłynąć do zatoki i że na otwartym morzu utoną. - Dopłyniemy!

- Zabijesz nas wszystkich, skaz cię Bóg!

Ale nie zabiłem nikogo, pomyślał Blackthorne. Wiedzieliśmy obaj, Rodrigues, ty i ja, że decyzja należy do mnie. . . gdyby zaszła konieczność jej podjęcia. Miałem rację. Statek jest bezpieczny. I tylko to się liczy.

Przywołał gestem oficera, który pośpieszył doń z pokładu dziobowego. Obaj sternicy opadli z sił, bo o mało nie wyrwało im rąk i nóg ze stawów. Wiosłarze przypominali umarłych, wisząc bezwładnie na wiosłach. Pozostali wywlekli się spod pokładu, żeby pomóc. Mocno poturbowanym Hiro-matsu i Yabu dopomóżono wejść na górę, ale natychmiast po znalezieniu się na pokładzie obaj daimyō stanęli wyprostowani.

- Hai, Anjin-san? - spytał oficer pokładowy. Był w średnim wieku, twarz miał szeroką, ogorzałą i mocne, białe zęby. Na policzku siniak od uderzenia w burtę, na którą cisnęło go morze.

- Doskonale się spisałeś - pochwalił go Blackthorne, nie przejmując się tym, że tamten go nie rozumie. Wiedział bowiem, że ton jego głosu i uśmiech mówią same za siebie. - Tak jest, doskonale.

Odtąd jesteś kapitan-san. Wakarimasu? Ty! Kapitan-san!

Japończyk wpatrzył się w niego z otwartymi ustami, a potem, pragnąc ukryć zaskoczenie i zadowolenie, ukłonił się. - Wakarimasu, Anjin-san. Hai. Arigato goziemashita.

- Posłuchaj, kapitan-san - rzekł Blackthorne. - Daj swoim ludziom jeść i pić. Gorącego.

Przenocujemy tutaj.

Na migi pomógł mu zrozumieć, co powiedział.

Świeżo mianowany kapitan natychmiast odwrócił się i z nowo pozyskaną władczością wydał komendę. Wioślarze od razu pobiegli wypełnić jego rozkaz. Nowy kapitan z dumą obejrzał się na rufówkę. Szkoda, że nie znam twojej barbarzyńskiej mowy, pomyślał uszczęśliwiony. Bo wtedy mógłbym podziękować ci za uratowanie statku, Anjin-san, a wraz z nim życia naszego pana Hiromatsu. Twoje magiczne moce tchnęły w nas nowe siły. Bez twoich czarów utonęlibyśmy. Możesz sobie być piratem, ale jesteś wspaniałym żeglarzem i dopóki będziesz pilotem, będę ci posłuszny na śmierć i życie. Nie jestem godny być kapitanem, ale postaram się zasłużyć na twoje zaufanie.

- Co mam zrobić teraz? - spytał.

Blackthorne patrzył za burtę. Dna nie było widać. Oceniał pozycję statku, a kiedy upewnił się, że kotwice się zaryły, morze zaś nie jest groźne, polecił:

- Spuście łódkę. Z dobrym wioślarzem.

Znowu gestami i słowami udało mu się z nimi porozumieć.

Natychmiast spuszczone na wodę łódź wraz z wioślarzem.

Blackthorne podszedł do nadburcia i zamierzał zejść, kiedy powstrzymał go szorstki głos.

Obejrzał się. Zobaczył Hiro-matsu, a obok niego Yabu.

Starzec miał mocno posiniaczone ramiona i okolice szyi, ale nadal trzymał w ręku swój miecz.

Yabu krwawił z nosa, twarz miał poobijaną, kimono poplamione i starał się zatamować krew skrawkiem materiału. Obaj stali niezwruszenie, najwyraźniej niepomni obrażeń i lodowatego wiatru.

Blackthorne ukłonił się im grzecznie.

- Hai, Toda-sama? - spytał.

Znowu usłyszał szorstkie słowa, a potem starzec wskazał mieczem łódkę i pokręcił głową.

- Tam jest Rodrigu-san! - Blackthorne wskazał w odpowiedzi na południowy brzeg zatoki. -

Popłynę i poszukam go!

- Iye! - Hiro-matsu jeszcze raz potrząsnął głową i po chwili znowu się odezwał, wyraźnie zabraniając mu płynąć ze względu na niebezpieczeństwo.

- Jestem Anjin-san tej gamrackiej galery i jeżeli zechcę popłynąć na brzeg, to popłynę. -

Blackthorne mówił to bardzo uprzejmym, ale stanowczym tonem i nie ulegało wątpliwości, co zamierza. - Wiem, że ta łódka nie wytrzyma na takim morzu. Hai! Ale popłynę na brzeg tam. . koło tego cypla. Widzisz ten cypel, Hiro-matsu-sama? Przy tej niskiej skale? Chcę opłynąć ten cypel. Nie spieszno mi do śmierci i nie mam dokąd uciec. Chcę odzyskać ciało Rodrigu-sana.

Przerzucił nogę przez nadburcie. Ponieważ miecz Japończyka wysunął się odrobinę z pochwy, Blackthorne znieruchomiał. Ale patrzył prosto, a minę miał zdecydowaną.

Hiro-matsu był w kłopotcie. Rozumiał, że pirat pragnie odnaleźć ciało Rodrigu, ale dotarcie w tamto miejsce wiązało się z niebezpieczeństwem, a pan Toranaga rozkazał przywieźć barbarzyńcę całego i zdrowego, tak więc musiał być dostarczony cały i zdrów. Nie ulegało zaś najmniejszej wątpliwości, że ten człowiek zamierza popłynąć.

Widział, jak podczas nawałnicy niczym morski kami, nieustraszenie, będąc w swoim żywiole i należąc do tej burzy, stoi na kołyszącym się pokładzie, i pomyślał wówczas posepnie, że najlepiej sprowadzić jego i resztę podobnych mu barbarzyńców na ląd, gdzie można sobie z nimi poradzić. Na morzu bowiem człowiek jest w ich mocy.

Zauważył zniecierpliwienie pirata. Jacy oni skorzy do obrazy, pomyślał. Mimo to winien ci jestem podziękowanie. Wszyscy mówią, że tylko dzięki tobie statek wpłynął do zatoki, że anjin Rodrigu stracił zimną krew i chciał odpłynąć od lądu, ale tyś utrzymał kurs. Tak. Gdybyśmy wydostali się na morze, niechybnie utonęlibyśmy, a wówczas zawiódłbym mojego pana. O Buddo” uchroni mnie od tego!

Bolały go wszystkie stawy, a hemoroidy piekły. Był zmęczony trudami zachowywania stoickiej postawy wobec swoich samurajów, Yabu, załogi statku, a nawet tego barbarzyńcy. O Buddo, jestem taki znużony, pomyślał. Z przyjemnością poleżałbym sobie w wannie, moczając się i moczając, i przez jeden dzień odpoczął od bólu. Tylko jeden dzień. Dość tych głupich babskich myśli! Znosisz ból od blisko sześćdziesięciu lat. Cóż znaczy ból dla mężczyzny? To zaszczyt. Miarą człowieka jest ukrywanie cierpienia. Dziękuj Buddzie, że nadal żyjesz i że możesz chronić swojego pana, podczas gdy już ze sto razy powinienes być stracić życie. Naprawdę, Buddzie wielkie za to dzięki.

Ale ja nienawidzę morza. Nienawidzę zimna. Nienawidzę bólu.

- Zostań, Anjin-san - rozkazał, dla jasności wskazując na pochwę miecza, ponuro ubawiony lodowatymi błyskami w oczach tego człowieka. Upewniwszy się, że barbarzyńca go rozumiał, spojrział na oficera pokładowego. - Gdzie jesteśmy? - spytał. - Czyje to lenno?

- Nie wiemy, wielmożny panie. Jesteśmy chyba gdzieś w prowincji Ise. Możemy posłać kogoś na

brzeg do najbliższej wioski.

- Potrafisz dopłynąć do Osaki?.

- Jeśli tylko będziemy się trzymać brzegu, wielmożny panie, a po nadto płynąć bardzo wolno i ostrożnie. Nie znam tych wód i żadną miarą nie mogę zapewnić ci bezpieczeństwa. Brakuje mi wiedzy, a na pokładzie nie ma nikogo, kto by ją posiadał, z wyjątkiem tego pilota. Gdyby to ode mnie zależało, doradzałbym ci jazdę lądem. Moglibyśmy zdobyć dla ciebie konie albo palankiny.

Hiro-matsu gniewnie potrząsnął głową. Podróż lądem nie wchodziła w rachubę. Trwałaby za długo - trasa wiodła przez góry, a dróg było niewiele - w dodatku musieliby przejechać przez liczne ziemie, którymi władali sprzymierzeńcy Ishido, jego wroga. Do tych niebezpieczeństw dochodziło też mnóstwo band zbójceckich, które trapiły te szlaki. To zaś oznaczało, że byłby zmuszony wziąć ze sobą wszystkich ludzi. Na pewno musieliby przebijać sobie drogę, walcząc z bandytami, ale nie zdołaliby tego dokonać, gdyby Ishido lub jego sprzymierzeńcy postanowili ich powstrzymać. To wszystko spowodowałoby jeszcze większe opóźnienie, a miał rozkaz dostarczyć ładunek statku, barbarzyńcę oraz Yabu szybko i bez szwanku.

- Gdybyśmy popłynęli przy brzegu, to ile by to nam zajęło czasu? - spytał.

- Nie wiem, wielmożny panie. Cztery dni, pięć, a może więcej. Ja sam czułbym się bardzo niepewnie. . bardzo mi przykro, ale nie jestem kapitanem.

- Znaczy to, że muszę pozyskać tego barbarzyńcę do współpracy, pomyślał Hiro-matsu. Żeby zapobiec jego popłynięciu na brzeg, mu siałbym go związać. A kto wie, czy związany zechce ze mną współdziałać., Jak długo będziemy musieli tu zostać?

- Pilot powiedział, że przez tę noc.

- Czy do tego czasu burza minie?

- Powinna, wielmożny panie, ale tego nigdy nie wiadomo.

Hiro-matsu uważnie przyjrzał się górzystemu brzegowi, a potem pilotowi, nie mogąc się zdecydować.

- Czy mogę coś zaproponować, Hiro-matsu-sama? - odezwał się Yabu.

- Tak, tak, oczywiście - odparł mu z rozdrażnieniem.

- Skoro, jak z tego wynika, potrzebujemy współpracy tego pirata w dopłynięciu do Osaki, czemu nie puścić go na brzeg, ale pod okiem samurajów, i nakazać im powrót przed zmrokiem. Co do jazdy lądem, zgadzam się, że byłaby zbyt niebezpieczna. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby ci się coś przytrafiło. Kiedy tylko burza przejdzie, bezpieczniejszy będziesz na statku i o wiele szybciej znajdziesz się w Osace, ne? Z pewnością jutro przed zachodem słońca.

Hiro-matsu z ociąganiem skinął głową.

- Dobrze - rzekł i przywołał ręką samuraja. - Takatashi-san! Weźmiesz sześciu ludzi i popłyniecie z pilotem. Jeżeli znajdziecie ciało Portugalczyka, przywieziecie je. Ale jeśli temu barbarzyńcy spadnie z głowy choć jeden włos, ty i twoi ludzie natychmiast popełnicie seppuku.

- Tak, panie.

- Za, twoim pozwoleniem, Hiro-matsu-san, ja poprowadzę ten oddział na brzeg - zaproponował

Yabu. - Gdybyśmy zjawili się w Osace bez tego pirata, byłoby mi tak bardzo wstyd, że tak czy owak czułbym się w obowiązku odebrać sobie życie. Niech będę miał zaszczyt wypełnić twoje rozkazy.

Hiro-matsu skinął głową, zaskoczony, że Yabu tak się naraża. Zszedł pod pokład.

Kiedy Blackthorne zrozumiał, że Yabu płynie z nim na brzeg, puls mu przyśpieszył. Nie zapomniałem o Pieterzoonie, mojej załodze i o tej piwnicy, ani o krzykach, ani o Omim, ani o niczym.

Strzeż się mnie, podlec! - rzekł w duchu.

Na łądzie znaleźli się szybko. Blackthorne miał zamiar iść na czele, ale Yabu przywłaszczył

sobie tę pozycję i narzucił wartkie tempo, tak że Anglik z trudem dotrzymywał mu kroku. Sześciu pozostałych samurajów obserwowało go czujnym wzrokiem. Nie mam dokąd uciec, głupcy, myślał, nie rozumiejąc ich zainteresowania, gdy oczami odruchowo przeszukiwał zatokę, wypatrując podwodnych skał bądź ukrytych raf, oceniając jej położenie i rejestrując w myślach szczegóły do utrwalenia w przyszłości.

Z początku szli kamienistym brzegiem, potem zaś, po krótkiej wspinaczce po wygładzonych przez morze skałach, dostali się na ścieżkę biegnącą skrajem urwiska, która pięła się niebezpiecznie wokół cypla w kierunku południowym. Deszcz wprawdzie ustał, ale nie wichura. Im bliżej byli wysuniętego w morze języka lądu, tym wyższe były bryzgi przybrzeżnych fal, rozbijających się o skały w dole. Wkrótce przemokli.

Chociaż Blackthorne'owi było strasznie zimno, na Yabu i pozostałych Japończykach, którzy swoje cienkie kimona zatknęli niedbale za pasy, wilgoć i ziąb najwyraźniej nie robiły wrażenia.

Rodrigues z pewnością nie kłamał, pomyślał, czując nawrót lęku. Japończycy są z innej gliny niż my.

Nie czują chłodu, głodu, niedostatku ani ran tak jak my. Są bliżsi zwierząt, a nerwy mają w porównaniu z naszymi stępione.

Ponad ich głowami piętrzyła się dwustustopowa skała. Brzeg był pięćdziesiąt stóp pod nimi. Za ich plecami i wszędzie dookoła wznosiły się góry, a nad całą zatoką nie było choćby jednego domu czy chaty. To jednak nie dziwiło, gdyż brakowało tu miejsca na pola, kamieniste wybrzeże bardzo prędko przechodziło w skaliste podwodzie, to zaś w granitową górę z drzewami porastającymi wyższe partie jej zboczy.

Ścieżka opadała i wznosiła się, biegnąc wzdłuż skalnego urwiska, bardzo niebezpieczna, o niepewnym podłożu. Posuwając się z trudem pod wiatr, pochylony Blackthorne zauważył, że Yabu ma silne, muskularne nogi. Poślizgnij się, ty kurewski bękarcie, życzył mu w myślach. Poślizgnij się, roztrzaskaj się w drobny mak na tych skałach. Krzyczałbyś? Co by cię zmusiło do krzyku?

Z trudem oderwał wzrok od Yabu i znów zaczął lustrować podwodzie. Każdą szczelinę, rozpadlinę, rynnę. Wiatr, który spieniał wodę, wiał gwałtownie, porywając mu z twarzy łzy. Morze napływało i odpływało, wirujące i skłębione. Wiedział, że nadzieje na odnalezienie Rodriguesa są bardzo niewielkie, że za dużo tu grot i ukrytych miejsc, których nie uda się zbadać. Ale przyplłynął

na brzeg, żeby spróbować. Winien to był Rodriguesowi. Wszyscy piloci modlili się bezradnie o śmierć na brzegu i pogrzeb na brzegu. Wszyscy oni oglądali zbyt wiele wzdętych morską wodą zwłok, zwłok nadjedzonych, okaleczonych przez kraby.

Obeszli cypel i z przyjemnością zatrzymali się po jego zawietrznej stronie. Iść dalej nie było po co. Jeżeli ciało Portugalczyka nie znajdowało się po nawietrznej stronie góry, to albo leżało gdzieś w

ukryciu, albo wchłonęła je woda, albo zostało uniesione w morze, na głębinę.

Pół mili od nich, na pokrytym białą pianą brzegu przycupnęła rybacka wioska. Yabu dał znak dwóm samurajom. Natychmiast się uklonili i susami pobiegli w jej stronę. Yabu otarł twarz z deszczu, spojrzał na Blackthorne'a i dał znak do odwrotu. Blackthorne skinął głową i ruszyli, ponownie z Yabu na czele. Widząc, że pozostali samuraje nie spuszczają go z oka, Blackthorne znowu pomyślał, że są bardzo głupi.

A potem nagle, kiedy znajdowali się w połowie powrotnej drogi, dostrzegli Rodriguesa.

Jego ciało utkwilo w szczelinie pomiędzy dwiema wielkimi skałami, powyżej poziomu przyływu, choć częściowo omywane przez fale. Jedną rękę miał odrzuconą bezwładnie, w przód.

Drugą nadal zaciskał na ułamanym wiosle, które poruszało się lekko w rytm przyływającej i cofającej się, wody. Właśnie ów ruch przyciągnął uwagę Blackthorne'a, kiedy pochylony z trudem szedł pod wiatr za Yabu.

Jedyna droga na dół wiodła po niewysokim urwisku. Trzeba było zejść zaledwie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt stóp, ale ściana opadała stromo i prawie nie było - gdzie postawić nogi.

No a co z prądami wody? - zadał sobie pytanie Blackthorne. Jest przyływ, a nie odpływ.

Odpływ uniósłby Rodriguesa z powrotem w morze. Chryste, tam na dole marnie to wygląda. Co robić?

Kiedy zbliżył się do krawędzi urwiska, Yabu natychmiast ruszył do niego kręcąc głową, a pozostali samuraje otoczyli go.

- Boże Świety, chcę się tylko lepiej przyjrzeć - zaprotestował. - Nie próbuję uciec! Dokąd miałbym uciec, do diaska!

Cofnął się kawałek i spojrzał w dół. Podążyli oczami za jego wzrokiem i zaczęli rozmawiać, a mówił przeważnie Yabu.

Nie ma szans, orzekł. To zbyt niebezpieczne. Rano wrócimy z linami. Jeżeli tu zostanie, to zostanie i pochowam go na brzegu. Niechętnie odwrócił się i w tej samej chwili zaczął się obsuwać, bo ukruszyła się pod nim krawędź skały. Yabu i samuraje natychmiast chwycili go, wciągnęli i od razu zrozumiał, że obchodzi ich wyłącznie jego bezpieczeństwo.

Oni tylko próbują mnie ochronić! - pomyślał. Dlaczego zależy im na moim bezpieczeństwie? Z

powodu Tora. . jakże on się nazywa? Toranagi? Z jego powodu? Tak, a być może także dlatego, że na pokładzie tej galery nie ma nikogo, kto by nią pokierował. Czy to dlatego pozwolili mi zejść na brzeg? Dlatego mi ustąpili? Tak, na pewno. A więc teraz mam władzę nad tym statkiem, nad tym starym daimyō i nad tym łotrem. Jak ją wykorzystać?

Uspokoił się, podziękował im i spuścił wzrok w dół.

- Musimy go zabrać, Yabu-san - powiedział. - Hai! Można tam zejść tylko wtedy. Po tej skale.

Wniosę go na górę, ja, Anjin-san! - Znów zrobił ruch, jakby chciał zejść na dół, i znowu go powstrzymali, na co rzekł z udanym zatroskaniem: - Musimy zabrać Rodrigu-san. Popatrzcie! Nie ma wiele czasu. Ściemnia się.

- Iye, Anjin-san - odparł Yabu.

Blackthorne przerastał go o głowę.

- Jeżeli nie pozwolisz mi zejść, Yabu-san, to wyślij kogoś ze swoich ludzi. Albo zejdź sam.

Ty!

Wiatr hulał, zawodząc na ścianie urwiska. Blackthorne zobaczył, że Yabu spogląda w dół, ocenia możliwość zejścia oraz zapadający zmierzch, i zorientował się, że tamten chwycił przynętę.

Wpadłeś, draniu, wpadłeś przez własną próżność. Jeżeli zaczniesz schodzić, to się poranisz. Ale nie zabij się, proszę, tylko połam sobie nogi albo kostki. A potem się utop.

Jeden z samurajów zaczął schodzić w dół, ale Yabu nakazał mu zawrócić.

- Wracaj na statek. Natychmiast przywieź liny - rozkazał.

Samuraj oddalił się biegiem., Yabu zrzucił z nóg rzemienne pantofle, wyciągnął zza pasa miecze i ułożył je bezpiecznie pod osłoną skały.

- Pilnujcie ich i barbarzyńcy - powiedział. - Jeżeli cokolwiek przydarzy się im albo jemu, to posadzę was na waszych własnych mieczach.

- Proszę, pozwól mi zejść, Yabu-sama - rzekł Takatashi. - Jeżeli się poranisz albo zginiesz, to..

- Myślisz, że tobie uda się to, co mnie się nie uda?

- Nie, wielmożny panie, skądże znowu.

- To dobrze.

- Proszę więc, żebyś zaczekał na liny. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby ci się coś przytrafiło.

Takatashi był niski, krępy i miał gęstą brodę.

A może jednak poczekać na liny, pomyślał Yabu. Tak, to byłoby rozsądne. Ale nie byłoby mądre. Spojrzał na barbarzyńcę i krótko skinął mu głową. Wiedział, że rzucono mu wyzwanie.

Spodziewał się go. Liczył na nie. Właśnie dlatego się zgłosiłem, Anjin-san, pomyślał rozbawiony.

Doprawdy jesteś bardzo nieskomplikowany. Orni miał rację.

Zdjął przemoczone kimono, w samej opasce na biodrach podszedł do krawędzi skały i wypróbował ją stopami w bawełnianych tabi - skarpetobutach. Lepiej ich nie zdejmować, Orzekł, a jego wola i ciało, zaprawione przez trwające całe życie i obowiązujące wszystkich samurajów ćwiczenia, przewyciężyły dojmujący ziąb. Tabi zapewnią lepszą przyczepność. . na jakiś czas. Żeby zejść na dół żywy, musisz dobrać wszystkie siły i umiejętności, powiedział sobie. Czy warto?

W czasie burzy i próby wpłynięcia do zatoki wyszedł na pokład i nie zauważony przez Blackthorne'a stanął przy wiosłach. Rad wspomógł swoimi siłami wiosłarzy, nie mogąc znieść wyziewów pod pokładem i mdłości, jakie w nim wywoływały. Uznał, że lepiej zginąć na powietrzu niż udusić się na dole.

Kiedy w przenikliwym chłodzie trzymał się wspólnie z innymi, zaczął się przyglądać pilotom.

Przekonał się doskonale, że na morzu statek i wszystko na nim podlega władzy tych dwóch ludzi.

Piloci byli tu w swoim żywiole, zachowując się na rozkołysanym pokładzie tak swobodnie, jak on jechał na galopującym koniu. Nie dorównywał im żaden Japończyk. Tak umiejętnościami, jak odwagą i znajomością rzeczy. A świadomość tego rozrosła się w jego głowie do wspaniałego pomysłu: wizji nowoczesnych barbarzyńskich statków obsadzonych, pilotowanych, dowodzonych i kierowanych przez samurajów! Jego samurajów!

Gdybym na początek miał trzy barbarzyńskie statki, to z łatwością mógłbym zawiadywać morskimi szlakami pomiędzy Edo i Osaka. Z mojej stolicy w Izu mógłbym zdławić wszelki handel morski albo nań zezwolić. A także miałbym w ręku niemal cały handel ryżem i jedwabiami. Czyż nie rozstrzygałbym o losach Ishido i Toranagi? A przynajmniej, w najgorszym przypadku, był

języczkiem u wagi?

Jeszcze żaden daimyō nie zainteresował się władzą na morzu.

Żaden daimyō nie ma statków ani pilotów.

Oprócz mnie.

Ja mam statek - miałem statek - a teraz mogę go odzyskać, jeżeli wykażę się sprytem. Mam pilota, a więc nauczyciela pilotów, jeżeli wydostanę go od Toranagi. I jeżeli go sobie podporządkuję.

Kiedy tylko stanie się wasalem poddanym mojej woli, będzie szkolił mi ludzi. I zbuduje statki.

Ale jak zrobić z niego prawdziwego wasala? Ta piwnica nie złamała jego ducha.

Najpierw trzeba go oddzielić od innych i trzymać w odosobnieniu - czyż nie tak radził Orni?

Później zaś można go nakłonić do grzeczności i nauczyć japońskiego. Tak. Omi jest bardzo mądry.

Może aż za bardzo.. Omim zajmę się potem. Skupmy się na pilocie. Jak podporządkować sobie barbarzyńcę, tego chrześcijańskiego zjadacza świństw?

Jak to powiedział Omi? „Oni cenią życie. Ich główne bóstwo, Jezus Chrystus, uczy ich kochać się nawzajem i cenić życie”. Czy mógłbym zwrócić mu życie? Ocalić, tak, to byłoby dobre. Czym go sobie zjednać?

Yabu tak dał się ponieść podniecającym myślom, że ledwo zauważał ruchy statku i fal.

Przewaliła się nad nim fala. Ujrzał, że zalewa pilota. Ale nie okazał on najmniejszego lęku. To go zdumiało. Jakże ktoś, kto tak potulnie pozwala wrogowi sikać na swoje plecy, żeby tylko uratować życie marnemu poddanemu, jak ktoś taki ma siłę zapomnieć o tej wieczystej zniewadze i, stanawszy na pokładzie, niczym jakiś legendarny bohater wyzwać do walki bogów morza, żeby uratować tychże wrogów? A potem, kiedy tamta wielka fala porwała Portugalczyka i tonęli, Anjin-san w nadprzyrodzony sposób zaśmiał się śmierci w twarz i wlał w nich siłę, która pozwoliła im odpłynąć od skał.

Nigdy nie pojmę barbarzyńców, pomyślał.

Stojąc na skraju urwiska, obejrzał się po raz ostatni. O Anjin-san, rzekł w duchu, wiem, że według ciebie idę na śmierć, żeś schwytał mnie w pułapkę. Wiem, że ty byś nie zszedł. Przyglądałem ci się uważnie. Ale ja wychowałem się w górach, a u nas, w Japonii, wspinamy się dla zaspokojenia ambicji i dla przyjemności. Dlatego przyjmuję walkę na swoich warunkach, nie na twoich. Podejmuję wyzwanie, a jeżeli zginę, nie szkodzi. Jeżeli jednak to mi się uda, wówczas ty, jako mężczyzna, przekonasz się, że jestem od ciebie lepszy, na postawionych przez ciebie warunkach. A ponadto, jeżeli odzyskasz zwłoki tamtego pilota, staniesz się moim dłużnikiem.

Będziesz moim wasalem, Anjin-san!

Z wielką wprawą zaczął schodzić po ścianie urwiska. W połowie drogi poślizgnął się. Lewą ręką przytrzymał się skalnego występu. Dzięki temu nie spadł i zawisł dyndając pomiędzy życiem a śmiercią. Palcami wczepił się głęboko w skałę czując, jak słabną, więc palce stóp wcisnął w jakąś szparę, ze wszystkich sił starając się zdobyć jeszcze jeden punkt zaczepienia. Kiedy jego ręka oderwała się od skały, palcami stóp wymacał inną szczelinę, wczepił się w nią, rozpaczliwie przypadając do ściany, i nadal pozbawiony równowagi przywarł do skały, szukając, czego by się chwycić. Ale wówczas oparcie usunęło mu się spod stóp. I chociaż zdołał złapać się innego występu, dziesięć stóp niżej, wisząc na nim przez chwilę, to i on również odpadł pod jego ciężarem. Yabu spadł z wysokości dwudziestu stóp, jakie pozostały do podnóża skały.

Przygotował się do tego najlepiej jak mógł, wylądował na nogach niczym kot, dla osłabienia wstrząsu przekoziołkował po skalistym zboczu i znieruchomiał zdyszany i zwinięty w kłęb.

Pokieroszowanymi rękami osłaniał głowę, żeby ją ochronić przed lawiną kamieni, która mogła spaść.

Ale nie spadł żaden. Yabu, chcąc otrzeźwieć, potrząsnął głową i wstał. Skręcił sobie kostkę. Ostry ból przeszył mu nogę, dotarł do trzewi i wywołał poty.

Palce nóg i rąk mu krwawiły, ale było to do przewidzenia.

Bólu nie ma, powiedział sobie. Nie będzie cię bolało. Wyprostuj się.

Barbarzyńca patrzy.

Słup wodnego pyłu, który na niego spadł, ulżył jego cierpieniom. Yabu ostrożnie prześlizgnął się po pokrytych wodorostami otoczakach, przecisnął się przez szczelinę pomiędzy skałami i znalazł się przy ciele.

Nagle spostrzegł, że Portugalczyk żyje. Upewnił się co do tego, a potem przysiadł na chwilę obok skały. Czy chcę, żeby żył czy umarł? - zadał sobie pytanie. Jak będzie najlepiej? Spod skały zemknął krab i plusnął do wody. Yabu poczuł, jak morze wżera mu się w rany. Jak lepiej: żywy czy martwy?

Wstał niepewnie i krzyknął:

- Takatashi-san! Ten pilot jeszcze żyje! Jedź na statek i sprowadź nosze i lekarza, jeśli jakiś tam jest!

- Tak, wielmożny panie - dobiegła go zagłuszona przez wiatr odpowiedź Takatashiego, a następnie polecenie, które wydał podwładnym odbiegając: - Pilnujcie barbarzyńcy, niech mu się nic nie stanie!

Yabu spojrział na galerę stojącą bezpiecznie na kotwicach. Samuraj, którego wysłał po liny, był już przy łódkach. Patrzył, jak wskakuje do jednej z nich i jak łódka spływa na wodę. Uśmiechnął się do siebie i zerknął w tył. Blackthorne podszedł do skraju urwiska i wykrzykiwał jakieś ponaglenia.

Co on próbuje mi powiedzieć? - zadał sobie pytanie. Pilot pokazywał na morze, ale nic mu to nie powiedziało. Było wzburzone i gwałtowne, ale wyglądało tak samo jak przedtem.

W końcu zrezygnował z prób zrozumienia, o co chodzi barbarzyńcy, i skupił się na Rodriguesie. Z trudem wciągnął go na skały, poza zasięg fal. Portugalczyk oddychał nierówno, ale serce biło mu mocno. Był silnie poturbowany. Przez skórę lewej łydki sterczała mu rozłupana kość.

Prawe ramię miał chyba zwichnięte. Yabu poszukał wzrokiem krwi z ran, ale nie ciekła.

Pomyślał, że jeżeli Portugalczyk nie ma obrażeń wewnętrznych, to być może przeżyje. .

Był ranny zbyt wiele razy i widział zbyt wielu konających i rannych, żeby nabyć pewnego doświadczenia w stawianiu diagnoz. Ocenił, że jeżeli Rodrigues będzie trzymany w cieple, da mu się sake i mocnych ziół, a ponadto zaaplikuje dużo gorących kąpiel, to przeżyje. Może nie będzie chodził, ale przeżyje. Tak, zdecydował, chcę, żeby ten człowiek żył. Nieważne, jeżeli nie będzie chodził. Może to i lepiej. Będę miał zapasowego pilota. Z pewnością jest mi winien ocalenie życia.

Jeżeli pirat nie będzie ze mną współdziałał, to być może wykorzystam tego Portugalczyka. Czy opłacałoby mi się udać, że przechodzę na chrześcijaństwo? Czy przekonałbym ich tym do siebie?

Co zrobiłby Orni?

Mądry jest ten Omi. Za mądry. Dostrzega za wiele i za prędko. A skoro sięga wyobraźnią tak daleko, to na pewno zdaje sobie sprawę, że gdyby mnie zabrakło, wtedy na czele naszego rodu stanąłby jego ojciec - mój syn jest bowiem za mało doświadczony, by się ostał - a po nim sam Omi.

Ne?

Co z nim zrobić?

A gdyby go tak podarować temu barbarzyńcy? Dla zabawy.

Co by było?

Nad jego głową rozległy się zaniepokojone okrzyki. I wówczas dotarło do niego, co mu pokazywał barbarzyńca. Przyływ! Szybko nadchodził przyływ. Już dotykał skały. Yabu zerwał się i skrzywił, bo zakłuło go w kostce. Drogę ucieczki wzdłuż brzegu odcinało morze. Zobaczył, że ślad na skale wskazujący poziom wód przyływu jest powyżej wzrostu człowieka.

Spojrzał na łódkę. Była już blisko galery. Biegący na podwodziu Takatashi nadal utrzymywał dobre tempo. Yabu orzekł, że liny nie dotrą na czas.

Wzrokiem pilnie badał okolicę. Nie było jak wdrapać się na urwisko. Żadna skała nie zapewniała schronienia. Żadna grotka. Z morza sterczały skały, ale nie było sposobu do nich dotrzeć.

Pływać nie umiał, a w pobliżu nic nie nadawało się na tratwę.

Samuraje na górze przyglądali się mu. Barbarzyńca wskazał skały wystające z morza i na migi pokazał mu, żeby tam podpłynął, ale Yabu w odpowiedzi pokręcił głową. Jeszcze raz starannie zbadał

okolicę. Nie znalazł niczego.'

Nie ma ratunku, pomyślał. Czeka cię śmierć. Przygotuj się do niej.

To karma, rzekł w duchu i odwrócił się do nich, sadowiąc wygodniej, rad z ogromnej jasności myśli, jaką uzyskał. Ostatni dzień, ostatnia fala, ostatnie światło, ostatnia radość, ostatnie wszystko. Jakże piękne jest morze, niebo, zimno, sól. Zaczął myśleć o ostatniej wierszowanej inkantacji, którą wedle zwyczaju powinien był ułożyć. Czuł się wybrańcem losu. Miał przecież czas jasno pomyśleć.

- Słuchaj, ty nieprawo synu dziewczki! - krzyknął do niego Blackthorne. - Znajdź jakąś półkę. .

tam musi być jakaś półka!

Samuraje zastępowali mu drogę, spoglądając na niego jak na wariata. Dla nich było oczywiste, że nie ma ratunku i że Yabu najzwyczajniej w świecie sposobi się do błogiej śmierci, podobnie jak zrobiliby to oni, będąc na jego miejscu. Dlatego mieli za złe Blackthorne'owi jego szaleńcze miotanie się, gdyż tak samo, jak wiedzieli, miałyby mu to za złe Yabu.

- Patrzcie tam, wszyscy. Może tam jest jakaś półka!

Jeden z samurajów podszedł do brzegu urwiska, spojrział w dół, wzruszył ramionami i powiedział coś do towarzyszy, którzy również wzruszyli ramionami. Ilekroć Blackthorne próbował

podejść do przepaści, żeby poszukać ratunku, powstrzymywali go. Z łatwością mógłby któregoś odepchnąć i zabić, kusiło go zresztą, by to zrobić. Ale rozumiał ich i ich obawy. Wymyśl coś, jak pomóc temu łotrowi, powiedział sobie. Musisz go ocalić, żeby uratować Rodriguesa.

- Hej, ty parszywy, diabła warty, sakramencki japoński zasrańcu!

Hej, Kasigi Yabu! Gdzie twoje cojones?! Nie poddawaj się! Poddają się tylko tchórze! Jesteś mężczyzną czy owcą?!

Ale Yabu nie zwracał na niego uwagi. W dalszym ciągu tkwił nieruchomy jak skała, na której siedział.

Blackthorne wziął kamień i rzucił nim w niego. Kamień nie zauważony wpadł do wody, a jeden z samurajów gniewnie krzyknął na Anglika. Blackthorne pomyślał, że lada moment rzucą się na niego i go zwiążą. Nie mieli liny. . Lina! Zdobyć linę! Da się ją z czegoś zrobić?

Jego wzrok padł na kimono Yabu. Zaczął je drzeć na pasy, próbując ich wytrzymałość.

Jedwab był bardzo mocny.

- Na co czekacie?! - rzekł do samurajów, zdejmując z siebie koszulę. - Zróbmy linę. Hai?

Zrozumieli. Prędko rozwiązali pasy, zdjęli kimona i poszli w jego ślady. Zaczęli związywać kawałki kimon i pasy.

Po związaniu liny Blackthorne ostrożnie położył się na ziemi i cal po calu przysunął do krawędzi skały, dla bezpieczeństwa poleciwszy dwóm samurajom, żeby go trzymali za kostki nóg.

Nie potrzebował pomocy, chciał ich jednak uspokoić.

Wystawił głowę najdalej, jak się ośmielił, świadom ich obaw. A potem zaczął przeszukiwać oczami okolice, tak jak się przeszukuje morze. Kawałek po kawałku. Wykorzystując wszelkie możliwości wzroku, ale przede wszystkim postrzeganie kątem oka.

Pełny łuk.

Jeszcze jeden.

Nic.

I jeszcze raz.

A to co? Tuż nad linią wód przyływu. Czy to szczelina w skale?

A może cień?’, Blackthorne zmienił ułożenie ciała, aż nazbyt dobrze świadom, że morze już prawie zatopiło półkę, na której siedział Yabu, a także Większość skał pomiędzy nią a podnóżem urwiska. Teraz widział już wszystko dokładniej, więc wskazał ręką.

- Tam! Co to jest?

Jeden z samurajów opadł na czworaki i podążył wzrokiem w, kierunku, w którym wskazywał wyciągnięty palec Blackthorne’a, ale nie dostrzegł nic.

- Tam! Gzy to nie półka?

Ze swoich rąk Blackthorne utworzył półkę, z dwóch palców człowieka, postawił go na tej półce, trzeci palec niczym podłużny toból zarzucił mu na ramię, tak że człowiek ów stał na półce - tamtej skalnej półce! - z drugim człowiekiem na ramieniu.

- Prędko! Isogi! Wytłumaczcie to mu, Kasigi Yabu-samie! Wakarimasu ka?

Samuraj zerwał się na nogi, przemówił prędko do pozostałych i oni również spojrzeli. Teraz już wszyscy dostrzegli półkę. I zaczęli krzyczeć. Ale Yabu się nie poruszył. Przypominał kamień.

Krzyczeli dalej. Również Blackthorne wspomógł ich okrzykami, ale efekt był taki, jakby w ogóle się nie odzywali.

Któryś powiedział parę słów do reszty, na co skinęli głowami, ukłonili się mówiącemu, a on się im odklonił. A potem wrzasnąwszy raptownie. „Bansaiiiii!” rzucił się ze skały i spadł, ginąc na miejscu. Yabu raptownie otrząsnął się z transu, obrócił się i wstał.

Drugi samuraj krzyknął i wskazał ręką, ale Blackthorne nie usłyszał nic i nie zobaczył niczego oprócz roztraskanego ciała, które leżało na dole, już zabierane przez morze. Co z nich za ludzie? -

pomyślał bezradnie. Czy był to akt odwagi, czy też najzwyczajniejsze szaleństwo? Ten Japończyk zabił się z rozmysłem, mając niewielką nadzieję, że zwróci na siebie uwagę drugiego Japończyka, który zrezygnował z życia. To nie ma sensu! Oni zachowują się bez sensu.

Ujrzał, że Yabu chwieje się na nogach. Oczekiwał, że poszuka ratunku i zostawi Rodriguesa.

Ja bym tak postąpił, pomyślał. Ale czy na pewno? Nie wiem. Na przemian czołgając się i sunąc Yabu ciągnął nieprzytomnego człowieka przez zalewane falami płycizny u podnóża skały. A potem odnalazł

półkę. Z ogromnym trudem wpełznął na nią Rodriguesa, omal go przy tym nie wypuszczając, a potem wciągnął się na nią sam.

Lina z kawałków była o dwadzieścia stóp za krótka. Samuraje szybko i odwiązali swoje przepaski na biodra. Na stojąco Yabu mógł teraz dosięgnąć końca liny.

Krzyknęli mu słowa zachęty i zaczęli czekać.

Pomimo nienawiści, jaką czuł do Yabu, Blackthorne musiał podziwiać jego męstwo. Z pół tuzina razy zalewały go fale. Rodriguesa dwa razy zmywało z półki, ale Yabu wytrwale wciągał go z powrotem i utrzymywał mu głowę ponad wodą. Blackthorne przyznał się sobie w duchu, że on sam dawno by dał za wygraną. Skąd czerpiesz swoje męstwo, Yabu? - zadawał sobie pytanie. A może po prostu spłodził cię diabeł? Czy to on spłodził was wszystkich?

Po pierwsze, męstwa wymagało zejście w dół. Początkowo Blackthorne sądził, że Japończyk robi to z czystej brawury. Wkrótce jednak przekonał się, że człowiek ten sprawdza na tej skale swoje umiejętności i że prawie wszystko mu się udało. Potem zaś zamortyzował swój upadek ze zrezygnacją akrobaty. A poddał się z godnością.

Chryste Panie, podziwiam tego drania i nienawidzę go.

Przez blisko godzinę Yabu zmagał się z morzem i ze swoim słabnącym ciałem, aż wreszcie o zmierzchu powrócił z linami Takatashi.

Zawiązawszy węzeł ratowniczy, samuraje zsunęli się w dół z wprawą, jakiej Blackthorne nie oglądał jeszcze u nikogo na lądzie.

Rodriguesa szybko wciągnięto na górę. Blackthorne chętnie przyszedłby mu z pomocą, ale klęczał już przy nim jakiś krótko ostrzyżony Japończyk. Patrzył, jak ów człowiek, niewątpliwie lekarz, bada złamaną nogę. Potem zaś jeden z samurajów przytrzymał Portugalczyka za ramiona, lekarz całym swoim ciężarem naparł na jego stopę i kość wsunęła się z powrotem w ciało. Palcami obmacał złamaną nogę, przesunął ją, nastawił, a potem wsadził w łubki. Następnie zaczął okładać zaognioną ranę jakimiś zgubnie wyglądającymi ziołami i wówczas wciągnięto Yabu.

Daimyō odmówił wszelkiej pomocy. Gestem nakazał lekarzowi powrócić do Rodriguesa, usiadł i czekał.

Blackthorne spojrzał na niego. Yabu wyczuł jego wzrok. Wpatrzyli się w siebie.

- Dziękuję - powiedział wreszcie Blackthorne, wskazując na Rodriguesa. - Dziękuję za uratowanie mu życia. Dziękuję, Yabu-san.

Z rozmysłem ukłonił mu się. To za twoje męstwo, ty czarnooki synu obesranej dziewczki, rzekł w duchu.

Yabu odkłonił mu się sztywno. Ale w duszy się uśmiechnął.

KSIĘGA DRUGA

10.

Podróż do Osaki minęła spokojnie. Ruty Rodriguesa były całkowicie czytelne i bardzo dokładne. W czasie pierwszej nocy Portugalczyk odzyskał przytomność. Z początku myślał, że nie żyje, ale wkrótce ból dał mu poznać, że tak nie jest.

- Zestawili ci nogę i opatrzyli - wyjaśnił Blackthorne. - A ramię masz przewiązane. Było zwichnięte. Nie puścili ci krwi, chociaż bardzo starałem się ich do tego nakłonić.

- Kiedy dopłyniemy do Osaki, zrobią to jezuici - odparł Rodrigues, przewiercając go udręczonym spojrzeniem. - Jak się tu zna laźlem, Ingeles? Pamiętam, że wypadłem za burtę, ale nic więcej.

Blackthorne opowiedział mu.

- A Więc teraz zawdzięczam ci życie. Bodaj cię diabli.

- Z rufówki wyglądało na to, że uda nam się wpłynąć do zatoki. Twój punkt widzenia na dziobie mógł się różnić od mojego o kilka stopni. Ta fala przyniosła ci pecha.

- Nie to mnie martwi, Ingeles. Ty stałeś na rufówce, ty rządziłeś statkiem. Obaj to wiemy.

Nie, ja cię posyłam do diabła, ponieważ zawdzięczam ci życie. . Matko Boska, moja noga!

Ból wycisnął mu z oczu łzy, więc Blackthorne dał mu kubek grogu, a w nocy, pośród słabnącej burzy, czuwał przy nim. Japoński lekarz zachodził kilka razy i zmuszał Rodriguesa do wypicia gorącego lekarstwa, okładał mu czoło gorącymi ręcznikami i otwierał bulaje. Kiedy wychodził, Blackthorne za każdym razem je zamykał, bo przecież powszechnie wiadomo było, że chorobę przynosi powietrze i że gdy ktoś jest tak chory, jak Rodrigues, im szczelniej zamknięta kabina, tym bezpieczniej i zdrowiej.

Po jakimś czasie lekarz skrzyczał go za to i postawił przy bulajach samuraja, tak więc pozostały otwarte.

O świcie Blackthorne wyszedł na pokład. Zastał tam Hiro-matsu i Yabu. Ukłonił się im dwornie.

- Konnichi wa Osaka? - spytał. Odkłonili mu się.

- Osaka. Hai, Anjin-san - odparł Hiro-matsu.

- Hai! Isogi. Hiro-matsu-sama. Kapitan-san! Podnieść, kotwicę!

- Hai, Anjin-san!

Blackthorne mimowolnie uśmiechnął się do Yabu. Yabu odpowiedział mu uśmiechem, a potem utykając odszedł i Blackthorne pomyślał, że jest wspaniały, choć to przy tym diabeł i morderca. A czy ty sam nie jesteś mordercą? - zadał sobie pytanie. Owszem. . ale nie w tym sensie.

Doprowadził galerę do Osaki bez najmniejszego trudu. Żegluga zajęła mu ten dzień oraz noc, a nazajutrz tuż po świcie zbliżyli się do redy w Osace. Na pokład przyplłynął japoński pilot, żeby wprowadzić statek do portu, tak więc Blackthorne, uwolniony od obowiązków, rad zszedł pod pokład, żeby się przespać.

Później kapitan obudził go > potrzęsając, uklonił mu się i pokazał na migi, że ma się przygotować i zaraz po wejściu do portu iść z Hiro-matsu.

- Wakarimasu ka, Anjin-san?

- Hai.

Japoński żeglarz wyszedł. Blackthorne rozprostował obolałe plecy i zauważył, że przygląda mu się Rodrigues.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Dobrze, Ingeles. Zważywszy, że noga mnie pali, łeb pęka, chce mi się szczać, a w gębie mam taki smak jak na widok beczki ze świńską gnojowicą.

Blackthorne podał mu nocnik, a potem opróżnił go przez bulaj. Napełnił kufel grogiem.

- Marny z ciebie pielęgniarz, Ingeles. To dlatego, że masz czarną duszę. - Rodrigues roześmiał się i miło znów było usłyszeć jego śmiech. Spojrzał na rutę rozłożoną na biurku i na skrzynię żeglarską. Zobaczył, że nie jest zamknięta na klucz. - Czy ja dałem ci klucz do skrzyni? -

spytał.

- Nie. Obszukałem cię. Musiałem mieć prawdziwą rutę. Powiedziałem ci o tym, kiedyś ocknął się tej pierwszej nocy.

To w porządku. Nie pamiętam tego, ale dobrze. Posłuchaj, Ingeles, możesz spytać byle jakiego jezuitę o Vasco Rodriguesa, a wskaże ci do mnie drogę. Odwiedź mnie, a wtedy, jeśli zechcesz, będziesz mógł skopiować moją rutę.

- Dziękuję. Z jedną już to zrobiłem. A przynajmniej przekopiowałem, co mogłem, a resztę dokładnie przeczytałem.

- Psia twoja mać! - zaklął po hiszpańsku Rodrigues.

- I nawzajem.

Rodrigues znów przeszedł na portugalski.

- Od mówienia po hiszpańsku chce mi się rzygać, chociaż klnie się w tym języku lepiej niż w jakimkolwiek innym na świecie. W moim kufrze jest paczuszka. Podaj mi ją z łaski swojej.

- Ta z pieczęciami jezuitów?

- Tak.

Blackthorne podaj mu ją. Rodrigues przyjrzał się pakunkowi, obmacując palcem nie ruszone pieczęcie, a potem chyba zmienił zamiar, bo odłożył pakiecik na szorstki koc, pod którym leżał, i złożył głowę na posłaniu.

- Ach, Ingeles, życie jest takie dziwne.

- Dlaczego?

- Jeżeli żyję, to dzięki łasce bożej, uratowany przez Japusa i heretyka. Przyślij no tego gównojada pod pokład, żebym mu podziękował, co?

- W tej chwili?

- Później.

- Dobrze.

- A ta twoja flotyl a, ta, która jak utrzymujesz, atakuje Manilę, ta, o której wspominałeś temu jezuitcie. . jak to wygląda naprawdę, Ingeles?

- Flotyl a naszych okrętów wojennych zniszczy wasze imperium w Azji, mam rację?

- A jest taka?

- Oczywiście.

- Ile jednostek liczy?

- Pięć. Reszta jest na morzu. O jakiś tydzień żeglugi. Ja przy płynąłem przed nimi, żeby zbadać Japonię, i chwyciła mnie burza.

- Znowu łiesz, Ingeles. Ale nie szkodzi. . tym, co by mnie schwytali, opowiedziałbym tyle samo. Oprócz twojego nie ma żadnych innych statków ani flotyl i.

- Zaczekaj i przekonaj się.

- Zaczekam.

Rodrigues napił się obficie.

Blackthorne przeciągnął się, podszedł do bulaja, chcąc zakończyć rozmowę, i wyjrzał na brzeg i miasto.

- Myślałem, że Londyn to największe miasto na świecie, ale w porównaniu z Osaka jest małym

miasteczkiem.

- Tu jest tuzin takich miast jak to - odrzekł Rodrigues, także rad z zakończenia tej zabawy w kota i mysz, w której nigdy nie ma zysków bez równoczesnych strat. - Miyako, stolica Japonii, albo Kioto, jak ją czasem nazywają, jest największym miastem w cesarstwie, podobno dwa razy większym od Osaki. Potem idzie Edo, stolica Toranagi. Nigdy tam nie byłem, tak samo jak żaden ksiądz ani Portugalczyk, bo Toranaga nikogo z nas tam nie wpuszcza, wstęp mamy wzbroniony. A mimo to - dodał Rodrigues z twarzą ściągniętą bólem, kładąc się na koi i zamykając oczy - nie różni się ono od innych. Oficjalnie w ogóle nie wolno nam przebywać w Japonii, z wyjątkiem portów Nagasaki i Hirado. Nasi księża słusznie nie za bardzo jednak przejmują się zakazami i jeżdżą, gdzie im się podoba. Ale my, żeglarze i kupcy, nie możemy, chyba że za specjalną przepustką od regentów albo od jakiegoś wielkiego daimyō w rodzaju Toranagi. Poza terytorium Nagasaki i Hirado każdy daimyō może skonfiskować nam statek, tak jak Toranaga zrobił z twoim. Takie tu mają prawo.

- Chcesz teraz odpocząć?

- Nie, Ingeles. Lepsza jest rozmowa. Rozmowa pomaga odegnać ból. Matko Boska, jak mnie boli głowa! Nie mogę jasno myśleć. Rozmawiajmy, dopóki nie zejdziesz na brzeg. Odwiedź mnie, chcę cię spytać o wiele rzeczy. Daj mi jeszcze grogu. Dziękuję, dziękuję ci, Ingeles.

- Dlaczego nie możecie się poruszać wedle woli?

Co? A, tutaj, w Japonii. To przez taikō, to przez niego powstała cała ta bieda. Od chwili kiedy się tu zjawiliśmy w roku 1542, żeby zacząć dzieło boże i ucywilizować ich, my i nasi księża mogliśmy się poruszać swobodnie, ale po zdobyciu przez taikō pełnej władzy zaczęły się ograniczenia. Wielu było przekonanych. . czy mógłbyś przesunąć mi nogę, zdejmij mi ten koc ze stopy, piecze mnie. .

tak. . och, Matko Jedyna, uważaj. . dobrze, dziękuję ci, Ingeles. Tak, na czym to skończyłem? Aha. .

wielu było przekonanych, że taikō to penis Szatana. Przed dziesięcioma laty wydał dekrety przeciwko świątobliwym ojcom i wszystkim, którzy chcieli szerzyć Słowo Boże. No i wygnął

wszystkich, z wyjątkiem kupców, jakieś dziesięć czy dwanaście lat temu. Stało się to, zanim przyplłynąłem na te wody, a jestem tu, z przerwami, od siedmiu lat. Świątobliwi ojcowie utrzymują, że to sprawka tych pogańskich kapłanów - buddystów - tych śmierdzących, zazdrosnych bałwochwalców, tych pogan, że to oni nastawili taikō przeciw świątobliwym ojcom, nafaszerowali mu uszy kłamstwami, gdy ojcowie byli już bliscy nawrócenia go. A tak, ten Wielki Morderca był bliski zbawienia swojej duszy. Ale stracił tę okazję. Tak jest. W każdym razie nakazał wszystkim naszym księżom opuścić Japonię. . Czy mówiłem ci już, że stało się to mniej więcej dziesięć lat temu?

Blackthorne skinął głową, rad, że Rodrigues rozpuścił język, i rad słuchać, ogromnie spragniony wiedzy.

- Taikō zebrał wszystkich księży w Nagasaki, gotów odesłać ich statkiem do Makau z pisemnym zakazem powrotu pod groźbą śmierci. A potem równie nagle zostawił ich w spokoju i nie zrobił nic

więcej. Mówiłem ci już, że te Japoncy mają wszystko postawione na głowie. Taikō dał

jezuitom spokój i wkrótce było jak dawniej, z tym że większość z nich pozostała na Kiusiu, gdzie wolno nam przebywać. Czy wspominałem ci, że Japonia składa się z trzech wielkich wysp: Kiusiu, Sikoku i Honsiu? I z tysiąca małych. Dalej na północ jest jeszcze jedna wyspa - niektórzy mówią, że to ląd - o nazwie Hokkaido, ale żyją tam tylko kosmaci tubylcy. Japonia to świat na opak, Ingeles.

Ojciec Alvito powiedział mi, że wszystko wróciło do poprzedniego stanu, jakby nigdy nic nie zaszło.

Taikō zrobił się znowu tak samo przychylny jak przedtem, chociaż nigdy się nie nawrócił. Nie zamknął chyba ani jednego kościoła i nigdy nie wprowadził w życie dekretów o wydaleniu. A potem, trzy lata temu, znów się wściekł i zamęczył dwudziestu sześciu duchownych. Ukrzyżował ich w Nagasaki. Bez najmniejszego powodu. Był wariatem, Ingeles. Ale po zabiciu tych dwudziestu sześciu nie zrobił już nic więcej. Wkrótce potem zmarł. Była to ręka boska, Ingeles. Boże przekleństwo ciążyło na nim i ciąży na jego potomstwie. Jestem tego pewien.

- Dużo macie tutaj nawróconych?

Ale pogrążony w półświadomości Rodrigues chyba nie dosłyszał tego pytania.

- Te Japusy to zwierzęta. Wspominałem ci o ojcu Alvito? Jest tłumaczem, nazywają go Tsukku-sanem, panem Tłumaczem. Tłumaczył dla taikō, a w tej chwili jest urzędowym tłumaczem Rady Regencyjnej, mówi po japońsku lepiej od większości Japończyków i wie o nich więcej niż ktokolwiek. Powiedział mi, że w Miyako, ich stolicy, Ingeles, jest kopiec ziemny wysokości pięćdziesięciu stóp. Taikō zgromadził tam i zakopał nosy i uszy wszystkich Koreańczyków zabitych podczas wojny. Korea stanowi część lądu, który leży na zachód od Kiusiu. To najszczerza prawda!

Na Błogosławioną Dziewicę Maryję, takiego mordercy jeszcze ziemia nie nosiła, a oni wszyscy są równie źli jak on. Rodrigues oczy miał zamknięte, a czoło rozognione.

- Dużo macie nawróconych? - spytał jeszcze raz ostrożnie Blackthorne, ogromnie pragnąc dowiedzieć się, ilu ma tutaj wrogów.

- Setki tysięcy - odparł ku jego przerażeniu Rodrigues - i przybywa ich z każdym rokiem. Od śmierci taikō mamy ich więcej niż kiedykolwiek, a ci, którzy dotychczas wyznawali chrześcijaństwo skrycie, teraz otwarcie chodzą do kościoła. Katolicka jest większa część wyspy Kiusiu. Większość daimyō na Kiusiu to, nawróceni. Nagasaki jest miastem katolickim, a władają nim, rządzą i zawiadują całym handlem jezuitów. Wszystek handel przechodzi przez Nagasaki. Mamy tu katedrę, tuzin kościołów i następne tuziny rozsiane po całym Kiusiu, ale na głównej wyspie, Honsiu, jak dotąd zaledwie kilka i. . - Pod wpływem bólu zamilkł, a po chwili mówił dalej: - Tylko na samej wyspie Kiusiu żyją trzy, cztery miliony ludzi i wszyscy oni zostaną niedługo katolikami. Na innych wyspach mieszka jeszcze ze dwadzieścia milionów Japońców i niedługo..

- To niemożliwe! - zaprotestował Blackthorne, w tej samej chwili przeklinając się w duchu, że przerwał ten strumień informacji.

- A po co miałbym ci kłamać? Dziesięć lat temu odbył się tu spis ludności. Ojciec Alvito mówi, że zarządził go taikō, a on wie, co mówi, bo tu był. - Rodrigues miał rozgorączkowane oczy i stracił kontrolę nad językiem. - To więcej niż ludność całej Portugalii, całej Hiszpanii, całej Francji, hiszpańskich Niderlandów i Anglii razem wziętych, a żeby dorównać Japończykom, musiałbyś dorzucić jeszcze prawie całe Święte Cesarstwo Rzymskie.

O Jezu, pomyślał Blackthorne, cała Anglia liczy najwyżej trzy miliony ludzi. Włącznie z Walijczykami. Jeżeli Japończyków jest aż tylu, to jak sobie z nimi poradzimy? Jeżeli jest ich dwadzieścia milionów, oznacza to, że są w stanie wystawić armię liczniejszą niż nasz cały naród.

Jeżeli zaś wszyscy są tacy okrutni jak ci, których widziałem - a czemu miałyby być inaczej - to, na rany Chrystusa, nie można ich pokonać. A jeśli część z nich jest katolikami i jest tu dużo jezuitów, to liczba katolików będzie rosła, nie ma zaś zagorzalszego fanatyka niż fanatyk nawrócony. Więc jakie szanse my i Holandia mamy w Azji? . .

Żadnych, ’, .

- Jeżeli myślisz, że to wszystko - mówił właśnie Rodrigues - to zaczekaj, aż popłyniesz do Chin. Mieszkają tam sami żółci, czarnowłosi i czarnoocy. Ach, Ingeles, wierzaj mi, bardzo wiele musisz się jeszcze nauczyć. W zeszłym roku byłem w Kantonie na targach jedwabiu. Kanton to otoczone murami miasto na południu Chin, leżące nad rzeką Perłową, na północ od naszego Miasta Imienia Bożego w Makau. Tylko wewnątrz jego murów mieszka milion tych pogańskich psiożerców.

Chiny mają więcej ludności niż cała reszta świata razem wzięta. Na pewno. Pomyśl tylko! - Rodrigues podskoczył z bólu i zdrową ręką przycisnął żołądek.:- Czy może krwawiłem? - spytał. - Z jakiegokolwiek rany?

- Nie. Upewniłem się. Ucierpiały tylko twoja noga i ramię. Nie masz obrażeń wewnętrznych, Rodrigues. . a przynajmniej na moje rozeznanie.

- Jak źle jest z moją nogą?

- Morze obmyło ci ją i oczyściło. Kiedy cię znaleźliśmy, złamanie i skóra nie paprały się.

- Polałeś ją brandy i przypaliłeś?

- Nie. Nie pozwoliliby na to, kazali mi odejść. Ale ten lekarz chyba zna się na rzeczy. Czy twoi krajanie szybko wejdą na pokład?

- Tak. Jak tylko dobijemy. Najpewniej.

- To dobrze. O czym to mówiłeś? O Chinach i Kantonie?

- Być może mówiłem za dużo. Jest dość czasu, żeby o nich porozmawiać.

Blackthorne patrzył, jak Rodrigues obraca w zdrowej ręce zalakowany pakiecik, i zastanawiał się jeszcze raz, co to znaczy.

- Noga ci się wygoi. Przekonasz się o tym w ciągu tygodnia.

- Tak, Ingeles.

- Nie sądzę, żeby zgniła, nie ropieje, a myślisz jasno, więc głowę masz całą. Wyzdrowiejesz, Rodrigues.

- Tak czy owak zawdzięczam ci życie. - Ciałem Portugalczyka wstrząsnął dreszcz. - Kiedy tonąłem, myślałem wyłącznie o krabach wchodzących mi w oczy. Czułem, jak kotłują się we mnie, w środku, Ingeles. Za burtą znalazłem się trzeci raz i za każdym razem jest coraz gorzej.

- Ja tonąłem na morzu cztery razy. Trzykrotnie z powodu Hiszpanów.

Drzwi kabiny otworzyły się, japoński kapitan złożył ukłon Blackthorne'owi i dał mu znak, żeby wyszedł na pokład.

- Hai! - Blackthorne wstał. - Nic mi nie jesteś winien, Rodrigues - powiedział życzliwie. -

Tchnąłeś we mnie ducha, pomogłeś mi w chwili rozpaczki i za to ci dziękuję. Jesteśmy kwita.

- Być może, ale posłuchaj, Ingeles, częściowo odpłacę ci się za to pewną radą: zawsze pamiętaj, że Japonec mają po sześć twarzy i trzy serca. Powiadają, że jedno serce, fałszywe, do pokazywania światu, ma człowiek w ustach, drugie w piersi, które okazuje starannie dobranym przyjaciołom i rodzinie, oraz trzecie, prawdziwe, rzeczywiste, tajemne serce, które zna tylko on sam, ukryte Bóg wie gdzie. Japończycy są niewiarygodnie zdradliwi, niewybaczalnie perfidni.

- Dlaczego Toranaga chce mnie widzieć?

- Nie wiem. Na Błogosławioną Dziewicę Maryję, nie wiem! Jeżeli będziesz mógł, to mnie odwiedź.

- Dobrze. Powodzenia, Hiszpanie!

- Ty czarcie nasienie! Ale mimo wszystko, Bóg z tobą.

Rozbrojony Blackthorne odpowiedział mu uśmiechem, a kiedy znalazł się na pokładzie, zakręciło mu się w głowie na widok Osaki, jej ogromu, zespolonych działań ludzkiego mrowia i olbrzymiego zamku, który górował nad miastem. Gdzieś ze środka tej przepastnej budowli strzelał

w górę piękny stołb - główna warowna wieża - wysoki na siedem, osiem pięter, z wystającymi zagiętymi daszkami na każdym, ze złotymi dachówkami i niebieskimi ścianami.

Pomyślał, że tam będzie Toranaga, i nagle poczuł w trzewiach lodowate ukłucie.

W zamkniętym palankinie zanesiono go do dużego budynku. Tani go wykąpano, po czym zjadł, jakżeby inaczej, zupę rybną, surową i gotowaną rybę, trochę marynato w z warzyw oraz wypił

gorącą ziołową wodę. Zamiast zbożowego kleiku w domu tym podano mu miskę ryżu. Widział już raz ryż w Neapolu. Był biały, zdrowy, ale dla niego bez smaku. Jego żołądek domagał się mięsa i chleba, świeżego chrupiącego chleba grubo posmarowanego masłem, łaknął wołowego combra, pierogów, kurczaków, piwa i jajek.

Następnego dnia przyszła po niego służąca. Ubranie, które podarował mu Rodrigues, wyprano.

Przyglądała się, jak je wkłada, potem zaś pomogła mu włożyć na nogi nowe skarpetobuty - tabi. Na zewnątrz czekała na niego nowa para rzemiennych trepów. Jego buty zniknęły.

Służąca pokręciła głową, wskazała na trepy, a potem na zasłonięty palankin. Otaczał go oddział samurajów. Ich przywódca dał Blackthorne'owi znak, żeby się pośpieszył i wsiadł.

Ruszyli natychmiast. Zasłony szczelnie zasłonięto. Nim palankin się zatrzymał, minęły wieki.

- Nie będziesz się bał - rzekł do siebie głośno Blackthorne i wsiadł. .

Stanął przed ogromną kamienną zamkową bramą. Była osadzona w wysokim na trzydzieści stóp murze z wbudowanymi weń bastionami, strzelnicami i fortami. Wrota były potężne, okute żelazem i otwarte, a krata z kutego żelaza podniesiona. Po drugiej stronie drewnianego mostu, liczącego dwieście kroków i szerokiego na dwadzieścia, który był przerzucony nad fosą i kończył się olbrzymim mostem zwodzonym, znajdowały się drugie wrota osadzone w drugim murze, równie potężnym.

Wszędzie stały setki samurajów. Wszyscy w jednakowych, ciemno szarych uniformach -

przepasanych kimonach z pięcioma małymi okrągłymi znakami: po jednym na każdym rękawie, dwóch na piersi i jednym pośrodku pleców. Znaki te były niebieskie i przedstawiały jakiś kwiat bądź kwiaty.

- Anjin-san!

W otwartym palankinie, który nieśli Czterej tragarze w liberiach, siedział statecznie Hiromatsu. Nosił, podobnie jak pięćdziesięciu otaczających go samurajów, brązowe sztywne kimono i czarny pas. Oni również mieli na kimonach po pięć znaków, ale czerwonych, takich samych jak na banderze łopoczącej na maszcie galery i będących godłem Toranagi. Nieśli oni długie lśniące włócznie z proporczykami na końcach.

Pod wrażeniem majestatu Hiro-matsu Blackthorne odruchowo uklonił mu się. Starzec odkłonił się sztywno, swobodnie trzymając na kolanach długi miecz, i dał znak, żeby szedł za nim.

Od bramy wyszedł im naprzeciw oficer. Po ceremonialnym odczytaniu dokumentu, który przedstawił

mu Hiro-matsu, po wielu ukłonach i spojrzaniach w kierunku Blackthorne'a, przebyli most eskortowani przez nie odstępujących ich na krok Szarych.

Głęboka na pięćdziesiąt stóp fosa biegła prosto ze trzysta kroków w obie strony, dalej zaś podążała wzdłuż skręcających na północ murów. Boże Święty, pomyślał Blackthorne, za żadne skarby nie chciałbym szturmować tej twierdzy. Jej obrońcy mogą sobie pozwolić na zagładę oddziałów broniących muru zewnętrznego oraz na spalenie mostu, a i tak nic im nie grozi wewnątrz zamku.

Chryste, jej zewnętrzny mur na pewno opasuje blisko miłą kwadratową powierzchnię, do tego ma, aż dziwne, dwadzieścia, trzydzieści stóp grubości, no a ten wewnętrzny również. I jest zbudowany z wielkich kamiennych bloków. Każdy z nich ma z pewnością dziesięć stóp na dziesięć! Lekko licząc! Są idealnie ociosane i dopasowane bez zaprawy murarskiej. Wazą na pewno po pięćdziesiąt ton. My tego nie potrafimy. Działa oblężnicze? Owszem, mogłyby ostrzelać mury zewnętrzne, ale działa obrońców nie pozostałyby im dłużne. Trudno byłoby je dowieźć aż tutaj, a nie ma tu żadnego wzniesienia, skąd można by wstrzelić za mury zamku kule zapalające.

Gdyby został zdobyty zewnętrzny mur, to obrońcy i tak wybiliby napastników ze strzelnic.

Ale nawet gdyby udało się tutaj wciągnąć oblężnicze działa, wymierzyć je i ostrzelać mur, to i tak nie zrobiłyby mu one krzywdy. Mogłyby uszkodzić tamtą drugą bramę, ale co by to dało?

Jak przebyć fosę? Jest za wielka, żeby wystarczyły tu zwykłe metody.

Zamek - odpowiednio obsadzony żołnierzami - jest z pewnością nie do zdobycia. Ile jest w nim wojska? Ilu mieszkańców znalazłoby tu schronienie?, Londyński zamek Tower jest przy nim niczym chlew. A cały pałac Hampton zmieściłby się w jednym jego kącie.

Przy następnej bramie odbyła się kolejna ceremonia sprawdzania dokumentów, potem zaś droga natychmiast skręciła w lewo w rozległą ulicę z silnie obwarowanymi domami, otoczonymi ułatwiającymi obronę wyższymi i niższymi murami, która na końcu rozwidła się, przechodząc w płataninę schodów i uliczek. Dalej były jeszcze jedna brama i kontrola, jeszcze jedna podnoszona krata i głęboka fosa, nowe skręty i zakręty, aż wreszcie Blackthorne, bystry, obdarzony nadzwyczajną pamięcią i poczuciem kierunku obserwator, zagubił się w tym przemysłnym labiryncie.

Przez cały ten czas zaś Szarzy przyglądali się im ze skarp w wałów obronnych, strzelnic, parapetów i bastionów. A jeszcze więcej było pieszych mundurowych, maszerujących, ćwiczących lub oporządzających konie w otwartych stajniach. Wszędzie żołnierze, tysiące żołnierzy. Wszyscy dobrze uzbrojeni i w pełnym rynsztunku.

Przeklął się w duchu, że nie był na tyle mądry, aby wyciągnąć więcej z Rodriguesa. Pomijając informacje o taikō i nawróconych, które same w sobie były dużym wstrząsem, Rodrigues okazał się tak powściągliwy, jak powinien, unikając udzielania odpowiedzi na jego pytania: Skup się. Szukaj wskazówek, nakazał sobie. Co wyróżnia ten zamek? To, że jest największy.

Nie, coś innego. Co?

Czy Szarzy są wrogo nastawieni do Brązowych? Nie umiem powiedzieć, oni wszyscy są tacy poważni.

Blackthorne przyjrzał się uważnie Japończykom i skupił się na szczegółach. Na lewo był starannie utrzymany, wielobarwny ogród z małymi mostkami i strumyczkiem. Mury stały tu bliżej siebie, ulice były węższe. Zbliżali się do stołbu. Wewnątrz twierdzy nie było mieszkańców miasta, tylko setki służących i . . . Tu nie ma dział! - pomyślał. Tym się on różni!

Nie widziałeś żadnego działa. Ani jednego.

Boże w niebiesiech, żadnego działa. . . a zatem i dział oblężniczych!

Gdybyś miał nowoczesną broń, a obrońcy żadnej, to dałbyś radę obalić te mury, te bramy, zasypać zamek kulami zapalającymi, podpalić go i zdobyć?

Nie zdołałbyś sforsować pierwszej fosy.

Mając działa oblężnicze dałbyś się we znaki obrońcom, ale mogliby się oni bronić w nieskończoność - przy zdecydowaniu żołnierzy, odpowiedniej ich liczbie oraz odpowiedniej ilości broni i amunicji.

Jak sforsować te fosy? Na łodziach? Tratwach zaopatrzonych w wieże?

Kiedy próbował wymyślić jakiś plan, palankin zatrzymał się. Hiro-matsu wysiadł. Znajdowali się w wąskim zaułku. Potężna, wzmocniona żelazem brama była wpuszczona w dwudziestostopowy mur, który stapiał się z fortyfikacjami umocnionej strażnicy w górze, stojącej daleko od prawie niewidocznego stąd stołbu. W przeciwieństwie do innych bram tej strzegli Brązowi, jedyni, jakich Blackthorne dostrzegł w zamku. Było jasne, że bardzo ich ucieszył widok Hiro-matsu.

Szarzy odwrócili się i odeszli. Blackthorne zauważył wrogie spojrzenia, jakimi obrzucili ich Brązowi.

A więc byli wrogami!

Brama rozwarła się i Blackthorne podążył za starym Japończykiem do środka. Reszta samurajów pozostała na zewnątrz.

Podwórca, podobnie jak ogrodu znajdującego się za nim, strzegli inni Brązowi. Blackthorne i Japończyk przeszli przez ogród i weszli do fortu. Hiro-matsu zdjął z nóg sandały, a Blackthorne zrobił to samo.

Korytarz w środku był wyłożony matami, identycznymi trzciniowymi matami, czystymi i miłymi w dotyku, którymi wykładano podłogi wszędzie, z wyjątkiem najbiedniejszych domów. Blackthorne już wcześniej spostrzegł, że wszystkie mają jednakowe rozmiary, sześć stóp na trzy. Właściwie to nie przypominał sobie, żeby widział kiedyś maty uplecione i przykrojone wedle jednego szablonu. A poza tym nie spotkał tutaj izby odmiennego kształtu. Czyż wszystkie nie były idealnie kwadratowe albo prostokątne? Oczywiście. A to oznaczało, że wszystkie domy - albo pomieszczenia - były

zbudowane tak, by pomieścić określoną liczbę mat. Tak więc wszystkie były typowe! Jakże to dziwne!

Wspięli się po krętych, łatwych do obrony schodach i poszli następnymi korytarzami i schodami. Spotkali wielu strażników, samych Brązowych. Wpadające przez otwory strzelnicze promienie słońca tworzyły misterne wzory. Blackthorne zobaczył, że znajdują się wysoko ponad trzema głównymi murami opasującymi twierdzę. Miasto i zatoka rozpościerały się w dole niczym wzorzysta kołdra.

Korytarz ostro zakręcił i po pięćdziesięciu krokach skończył się.

Blackthorne poczuł w ustach goryczkę. Nie denerwuj się, powiedział sobie, już postanowiłeś, co zrobisz. Nie masz odwrotu.

Ostatnich drzwi strzegła gromada samurajów z młodym dowódcą na czele. Nieruchomi i gotowi, wpatrywali się w dwóch nadchodzących, trzymając prawe dłonie na rękojeści mieczy, lewe na pochwach.

Hiro-matsu ucieszyła ich gotowość. Dobra! tych strażników osobiście. Nienawidził tego zamku i jeszcze raz pomyślał o niebezpieczeństwie, na jakie naraził się Toranaga, oddając się w ręce swojego wroga. Wczoraj, zaraz po wylądowaniu, pośpieszył do niego, żeby zdać mu sprawę, co się stało, i dowiedzieć się, czy podczas jego nieobecności wydarzyło się coś niedobrego. Jednakże nadal panował spokój, choć szpiegzy donosili im o niepokojących przygotowaniach wroga na północy i wschodzie, a ponadto, że ich główni sojusznicy, regenci Onoshi i Kiyama, najpotężniejsi z chrześcijańskich daimyō, zamierzają przejść na stronę Ishido. Zmienił strażę, hasło i jeszcze raz błagał Toranagę, żeby wyjechał.

Dziesięć kroków przed oficerem zatrzymał się.

11.

Yoshi Naga, dowódca warty, był groźnym, niebezpiecznym siedemnastolatkiem.

- Dzień dobry, wielmożny panie - rzekł. - Witaj po powrocie.

- Dziękuję ci. Pan Toranaga oczekuje mnie.

- Tak jest.

Naga wpuściłby Hiro-matsu nawet wówczas, gdyby ten zjawił się bez zapowiedzi. Toda Hiromatsu był jedną z trzech osób na świecie, które dopuszczano przed oblicze Toranagi o każdej porze dnia i nocy.

- Obszukać barbarzyńcę - polecił Naga. Był piątym synem Tora nagi, spłodzonym z jedną z jego konkubin, i czcił ojca.

Blackthorne spokojnie poddał się rewizji, zdając sobie sprawę w czym rzecz. Dwóch samurajów robiło to bardzo fachowo. Nie pominęli niczego.

Naga dał znak pozostałym samurajom. Rozstąpili się. Sam otworzył grube drzwi.

Hiro-matsu wszedł do ogromnej sali posłuchań. Tuż za progiem klęknął, położył miecze przed sobą na podłodze i nisko się pokłonił, czekając w tej unizonej pozycji.

Nieodmiennie czujny Naga gestem nakazał Blackthorne'owi, żeby zrobił to samo.

Blackthorne wszedł do środka. Sala miała czterdzieści kroków kwadratowych i dziesięć kroków wysokości, a nieskazitelnie uplecione, grube na cztery palce tatami były najwyższej jakości.

W ścianie na drugim końcu było dwójce drzwi. W pobliżu podium, w płytkiej wnęcie, stała mała gliniana waza z pojedynczą gałązką kwitnącej wiśni, wypełniając pomieszczenie swą barwą i wonią.

Obie pary drzwi były strzeżone. Dziesięć kroków od podestu siedziało wokół niego ze skrzyżowanymi nogami i twarzami do sali dwudziestu samurajów.

Toranaga siedział na poduszce leżącej na podium. Naprawiał złamane pióro ze skrzydła sokoła w kapturze tak delikatnie, jakby rzeźbił w kości słoniowej.

Ani on, ani nikt z obecnych nie odpowiedział na ukłon Hiro-matsu i nie zwrócił uwagi na Blackthorne'a, kiedy ten wszedł i zatrzymał się przy starym generale. W przeciwieństwie do Hiromatsu ukłonił się jednak tak, jak mu pokazał Rodrigues, a potem, zaczerpnąwszy głęboko powietrza, usiadł po turecku i wpatrzył się w Toranagę.

Spojrzenia wszystkich w jednej chwili spoczęły na nim.

Stojący w progu Naga trzymał dłoń na mieczu. Hiro-matsu wprawdzie wciąż jeszcze pochylał

głowę, ale zdążył już chwycić swój.

Blackthorne czuł się bezbronny, ale nie było dla niego odwrotu, więc pozostawało mu jedynie czekać. „Wobec Japońców musisz się zachowywać jak król” - pouczył go Rodrigues i chociaż nie zachował się po królewsku, wystarczyło to w zupełności.

Toranaga wolno podniósł wzrok.

Po skroni Blackthorne'a spłynął strumyczek potu, gdyż wszystko, co Rodrigues opowiadał mu o samurajach, zdawało się ogniskować w tym człowieku. Czuł, jak pot ścieka mu po policzku na brodę.

Zmusił się do trzymania niebieskich oczu prosto, bez zmrużenia powiek, i zachowania spokojnej miny.

Wzrok Toranagi był równie nieruchomy.

Blackthorne miał niemal wrażenie, że dosięga go nieodparta siła tego człowieka. Zmusił się, żeby wolno policzyć do sześciu, a potem skłonił głowę, ukłonił się jeszcze raz i rozciągnął usta w nieznacznym, spokojnym uśmiechu.

Toranaga przyglądał mu się krótko z kamienną twarzą, a potem opuścił wzrok i skupił na powrót na swoim zajęciu. Napięcie w sali opadło.

Sokół był sokołem wędrownym i znajdował się w świetnej formie. Sokolnik, sękaty stary samuraj, klęczał przed Toranaga i trzymał ptaka, jakby ten był ze szkła. Toranaga przeciął złamaną lotkę, zanurzył cienki bambusowy łącznik w kleju, wsadził go w dulkę, a potem delikatnie nasunął

świeżo przycięte pióro na jego drugi koniec. Ustawił idealnie kąt jego nachylenia i obwiązał je jedwabną nicią. Dzwoneczki przy nogach sokoła zadzwoniły, więc uspokoił ptaka.

Yoshi Toranaga, pan Kantō - Ośmiu Prowincji - głowa rodu Yoshi, naczelny dowódca Armii Wschodu, przewodniczący Rady Regencyjnej, był niskim mężczyzną z wydatnym brzuchem i dużym nosem. Brwi miał gęste i czarne, a wąsy i brodę poprzetykane siwizną i rzadkie. W jego twarzy dominowały oczy. Miał pięćdziesiąt osiem lat i był silny jak na swój wiek. Nosił skromne, zwykłe mundurowe kimono Brązowych, obwiązane bawełnianym pasem. Ale jego miecze nie miały sobie równych na świecie.

- Proszę bardzo, ślicznotko - rzekł czule jak kochanek. - Teraz znowu jesteś sobą. - Popieścił

piórem zakapturzonego ptaka, który siedział na obciążonej rękawicą dłoni sokolnika. Sokolica zadrżała i zadowolona musnęła pióra dziobem. - Puścimy ją w tym tygodniu.

Sokolnik ukłonił się i wyszedł.

Toranaga przeniósł wzrok na dwóch mężczyzn przy drzwiach.

- Witaj, Żelazna Pięści, miło cię widzieć - rzekł. - A więc to jest twój Słynny barbarzyńca.

- Tak, panie.

Hiro-matsu podszedł bliżej, zgodnie ze zwyczajem pozostawiając miecze przy drzwiach, ale Toranaga nalegał, żeby je wziął ze sobą.

- Czułbym się nieswojo, gdybyś ich nie miał w ręku - powiedział.

Hiro-matsu podziękował mu. Mimo to usiadł pięć kroków od niego. Wedle zwyczaju nikt uzbrojony nie mógł bezpiecznie podejść bliżej Toranagi. W pierwszym szeregu strzegących go samurajów siedział Usagi, ulubiony przez Hiro-matsu mąż jego wnuczki, więc stary generał skinął mu głową. Młodzieniec, zadowolony i zaszczycony tym, że go dostrzeżono, złożył mu głęboki ukłon. Może powinienem go formalnie usynowić, zastanawiał się Hiro-matsu, ciepło myśląc o swojej ulubionej wnuczce i pierwszym prawnuku, którym obdarzyli go w zeszłym roku.

- Jak tam twoje plecy? - spytał troskliwie Toranaga.

- W porządku, dziękuję, panie. Ale przyznaję, że rad zsiadłem z tego statku na ląd.

- Słyszałem, że masz tu nowe bawidełko, na które tracisz całe godziny, ne?

Starzec parsknął śmiechem.

- Powiem ci tylko tyle, panie, że nie były to godziny stracone. Od lat nie doświadczyłem takiej twardości.

Toranaga zaśmiał się wraz z nim.

- Wobec tego należy się jej nagroda. Twoje zdrowie jest dla mnie ważne. Czy mogę jej przesłać wyrazy podziękowania?

- Ach, Toranaga-sama, jesteś taki dobry. - Hiro-matsu spoważniał. - Mógłbyś nagrodzić nas wszystkich, wielmożny panie, natychmiast opuszczając to gniazdo szerszeni i wracając do swojego zamku w Edo, gdzie obroniliby cię twoi poddani. Ishido w każdej chwili może. .

- Zrobię to zaraz po zakończeniu Rady Regencyjnej. - Toranaga odwrócił się i dał znak Portugalczykowi o szczupłej twarzy, który siedział cierpliwie w jego cieniu. - Potłumaczysz dla mnie, przyjacielu? - spytał.

- Oczywiście, wielmożny panie.

Ksiądz z tonsurą wystąpił naprzód i z wyćwiczoną gracją ukląkł po japońsku blisko podestu.

Ciało miał równie szczupłe co twarz, oczy ciemne błyszczące, tchnął spokojem i był skoncentrowany.

Nosił skarpetki tabi i fałdziste kimono, które pasowało do niego. U pasa wisiały mu różaniec i rzeźbiony złoty krzyż. Przywitał się z Hiro-matsu jak z kimś równym, a potem spojrzał wesoło na Blackthorne'a.

- Nazywam się Martin Alvito, jestem z Towarzystwa Jezusowego, naczelny pilocie. Pan Toranaga poprosił mnie, żebym dla niego tłumaczył.

- Najpierw powiedz mu, panie, że jesteśmy wrogami i że. .

- Wszystko w swoim czasie - przerwał mu łagodnie Alvito, a potem dodał: - Możemy rozmawiać po portugalsku, hiszpańsku albo naturalnie po łacinie. . jak wolisz.

Blackthorne spostrzegł księdza dopiero wówczas, kiedy ten wyszedł z cienia. Zasłaniał go podest i samuraje. Ostrzeżony przez Rodriguesa wprawdzie spodziewał się go tu zastać, lecz nie spodobało mu się to, co zobaczył: swobodną elegancję i bijącą od niego siłę i naturalną moc jezuitów.

Sądząc po jego wpływowej pozycji i po tym, jak się o nim wyrażał Rodrigues, Blackthorne spodziewał

się ujrzeć kogoś znacznie starszego. Ale obaj, on i ten jezuita, byli właściwie rówieśnikami. Ksiądz był, być może, o parę lat starszy.

- Po portugalsku - odparł, uczepiwszy się nadziei, że da mu to lekką przewagę. - Ksiądz jest Portugalczykiem?, - Mam ten zaszczyt.

- Ksiądz jest młodszy, niż przypuszczałem.

- Senhor Rodrigues jest bardzo uprzejmy. Przypisuje mi więcej, niż na to zasługuję. Świetnie cię opisał, panie. Także twoją dzielność.

Blackthorne zobaczył, że Alvito odwraca się i grzecznym tonem płynnie mówi przez jakiś czas do Toranagi, co go jeszcze bardziej zaniepokoiło. Spośród obecnych tylko Hiro-matsu przysłuchiwał

się i przyglądał temu z uwagą. Pozostali wpatrywali się kamiennym wzrokiem w przestrzeń.

- A teraz, naczelny pilocie, zaczniemy. Zechciej, proszę, wysłuchać wszystkiego, co mówi pan Toranaga, bez przerywania mu - zaczął mówić ojciec Alvito. - „Odpowiesz dopiero potem. Od tej chwili będę tłumaczył prawie jednocześnie twoje słowa, proszę cię więc o bardzo staranne wypowiedzi.

- O co chodzi? Ja księdzu nie ufam!

Alvito natychmiast przełożył jego słowa Toranadze, który wyraźnie się zasepił.

Bądź ostrożny, ostrzegł się Blackthorne, on się z tobą bawi jak kot z myszą! Trzy złote gwinee przeciwko złamanemu farthingowi, że cię dopadnie, kiedy tylko zechce. Bez względu na to, czy tłumaczy wiernie czy nie, musisz wywrzeć odpowiednie wrażenie na Toranadze. Taka okazja może ci się już nie powtórzyć.

- Uwierz mi, że będę przekładał twoje słowa najwierniej, jak umiem. - Głos jezuita był łagodny i całkowicie opanowany. - To jest dwór pana Toranagi. A ja jestem urzędowym tłumaczem Rady

Regencyjnej, wielmożnego generała Toranagi i pana generała Ishido. Pan Toranaga od wielu lat darzy mnie swoim zaufaniem. Radzę ci, panie, żebyś odpowiadał zgodnie z prawdą, bądź pewien, że jest to nadzwyczaj spostrzegawczy człowiek. Chciałbym też podkreślić, że ja to nie ojciec Sebastio, który jest być może zbyt gorliwy, nie mówi, niestety, dobrze po japońsku i nie za bardzo zna Japonię.

Przez twoje nagłe pojawienie się tutaj utracił łaskę boską i, co przykre, dopuścił do tego, aby jego osobista przeszłość przeważała - jego rodziców, braci i siostry zmasakrowały potwornie wasze. .

wojska księcia Orańskiego. Racz mu wybaczyć i zrozumieć go. - Alvito uśmiechnął się życzliwie. - Po japońsku „wróg” to „teki”. Możesz użyć tego słowa, kiedy chcesz. Jeżeli wskażesz na mnie i je wypowiesz, pan Toranaga świetnie zrozumie, co masz na myśli. Tak, jestem twoim wrogiem, naczelny pilocie Johnie Blackthorne.

Całą duszą. Ale nie twoim zabójcą. To już załatwisz ty sam.

Blackthorne zobaczył, jak wyjaśnia Toranadze, co powiedział, usłyszał, jak z jego ust pada kilką razy słowo „teki”, i zastanawiał się, czy naprawdę znaczy ono „wróg”. Oczywiście, że tak, zapewnił się w duchu. Ten jezuita nie przypomina tamtego.

- Proszę, byś zapomniał na chwilę o moim istnieniu - rzekł ojciec Alvito. - Służę po prostu za narzędzie do zapoznania pana Toranagi z twoimi odpowiedziami tak wiernie, jak jego pytania przekazuję tobie.

Jezuita usadowił się wygodnie, obrócił w stronę Toranagi i grzecznie się uklonił.

Toranaga mówił krótko. Ksiądz zaczął tłumaczyć niemal równocześnie, po mniej więcej kilku słowach, nadzwyczaj wiernie oddając modulację głosu i głębszy sens wypowiedzi. - Dlaczego jesteś wrogiem pana Tsukku, mojego przyjaciela i tłu macza, który nie jest wrogiem nikogo? - przełożył

Alvito i wyjaśnił: - Tsukku-san to mój przydomek ponieważ Japończycy nie potrafią wymówić także mojego imienia i nazwiska. W ich języku brak dźwięków „l” i „th”. Tsukku to kalambur od japońskiego słowa „tsuyaku” - „tłumaczyć”. Odpowiedz, proszę, na pytanie.

- Jesteśmy wrogami, ponieważ nasze kraje toczą ze sobą wojnę.

- Tak? A jaki jest twój kraj?’

- Anglia.

- Gdzie on leży?’

- To królestwo na wyspie, tysiąc mil na północ od Portugalii.

Portugalia zajmuje część półwyspu w Europie.

- Od kiedy toczycie wojnę z Portugalią?’

- Odkąd Portugalia stała się wasalnym krajem Hiszpanii. Go stało się dwadzieścia lat temu, w roku 1580. Hiszpania podbiła Portugalię. W rzeczywistości walczymy z Hiszpanią. Toczmy z nią wojnę od blisko trzydziestu lat.

Blackthorne spostrzegł zdziwienie Toranagi i pytające spojrzenie, jakie rzucił ojcu Alvito z niezmaconym spokojem patrzącemu się gdzieś przed siebie.

- Mówisz, że Portugalia jest częścią Hiszpani ?

- Tak, panie Toranaga. Państwem wasalnym. Hiszpania podbiła Portugalię i obecnie stanowią właściwie jeden kraj, mając wspólnego króla. Ale Portugalczycy są podporządkowani Hiszpanom prawie wszędzie w świecie, a ich przywódcy niewiele znaczą w imperium hiszpańskim.

Nastąpiło dłuższe milczenie. A potem Toranaga zwrócił się wprost do jezuitę, który uśmiechnął się i udzielił szczegółowej odpowiedzi.

- Co powiedział? - zapytał ostrym tonem Blackthorne.

Ojciec Alvito mu nie odpowiedział, ale tak jak poprzednio zaczął tłumaczyć słowa Toranagi niemal równocześnie, naśladowując modulację jego głosu i kontynuując mistrzowski pokaz tłumaczenia.

Toranaga odpowiedział bezpośrednio Blackthorne'owi, głos miał bezlitosny i twardy jak kamień.

- Co powiedziałem, to nie twoja sprawa. Jeżeli zechcę, abys o czymś wiedział, to ci powiem.

- Przepraszam, panie Toranaga, nie chciałem być niegrzeczny. Czy wolno mi cię zapewnić, że przybywamy w pokojowych. .

- W tej chwili nie wolno ci mówić nic. Milcz, dopóki nie zażądam odpowiedzi. Zrozumiałeś?

- Tak.

Pierwszy błąd. Pilnuj się. Nie możesz popełniać błędów, ostrzegł się Blackthorne.'<- Dlaczego walczyacie z Hiszpanią? I z Portugalią?

- Po części dlatego, że Hiszpania jest zdecydowana podbić świat, a my, Anglicy, i nasi sprzymierzeńcy Holendrzy nie chcemy być podbici, po części zaś z powodu naszych religii.

- Aha! Wojna religijna? A jaka jest wasza religia?

- Jestem chrześcijaninem. Nasz kościół. .

- Chrześcijanami są Portugalczycy i Hiszpanie! Powiedziałeś, że wasza religia jest inna. Jaka jest wasza religia?

- Chrześcijańska. Trudno to objaśnić szybko i prosto, panie Toranagą. Oba wyznania. .

- Nie ma powodu do pośpiechu, panie pilocie, chodzi o dokładność. Mam mnóstwo czasu.

Jestem bardzo cierpliwy. Jesteś człowiekiem kulturalnym, na pewno nie chłopem, możesz więc opowiadać prosto lub skomplikowanie, jak chcesz, tak długo, dopóki wszystkiego nie wyjaśnisz.

Jeżeli odbiegiesz od tematu, to cię do niego z powrotem przywiodę. Co mówiłeś?

- Że moja religia jest chrześcijańska. Są dwa główne wyznania chrześcijańskie: protestantyzm i katolicyzm. Większość Anglików jest protestantami.

- Wierzycie w tego samego Boga, Matkę Boską i Dzieciątka Jezus?

- Tak, wielmożny panie. Ale nie tak jak katolicy.

Czego on chce się dowiedzieć? - głowił się Blackthorne. Czy jest katolikiem? Czy powinienem mu powiedzieć to, co jak sądzę, pragnie wiedzieć, czy też to, co uważam za prawdę? Jest nastawiony przeciw chrześcijanom? Nazwał tego jezuitę „przyjacielem”. Czy sympatyzuje z katolikami lub czy zamierza przejść na katolicyzm?

- Wierzysz, że Jezus jest Bogiem?

- Wierzę w Boga - odparł ostrożnie.

- Nie uchylaj się od bezpośrednich odpowiedzi na pytania. Wierzysz, że Jezus jest Bogiem?

Tak czy nie?

Blackthorne zdawał sobie sprawę, że na każdym katolickim dworze dawno by już go wyklęto za herezję. A także na większości, jeżeli nie wszystkich, dworów protestanckich. Już samo zwlekanie z odpowiedzią na takie pytanie było przyznaniem się do wątpliwości. A wątpliwości stanowiły herezję.

- Nie można odpowiedzieć na pytanie dotyczące Boga prostym „tak” lub „nie”. O Bogu nie wie się nic na pewno aż do śmierci.

Tak, wierzę, że Jezus jest Bogiem, ale upewnię się o tym dopiero po śmierci.

- Dlaczego zaraz po przyjeździe do Japonii zniszczyłeś krzyż tego księdza?

- Ja. . chciałem w ten sposób pokazać panu Yabu, że ten jezuita, ojciec Sebastio - jedyny tłumacz dostępny w tej wiosce - że jest on moim wrogiem i że nie należy mu ufać, a przynajmniej moim zdaniem. Bo przecież nie byłem pewien, czy przełoży moje słowa dokładnie, tak jak w tej chwili robi to ojciec Alvito. Oskarżył nas na przykład o to, że jesteśmy piratami. Nie jesteśmy piratami, przybywamy w pokojowych zamiarach.

- A, tak! Piraci! Do sprawy piractwa powrócę za chwilę. Powiadasz, że obie wasze sekty są chrześcijańskie, obie czczą Jezusa Chrystusa? Czy sens jego nauk nie sprowadza się do hasła

„kochaj bliźniego swego”?

- Tak. - Jakże więc możecie być wrogami?

- Ich wiara. . ich wersja chrześcijaństwa jest fałszywym odczytaniem Pisma.

Aha! Nareszcie do „czegoś dochodzimy. A więc toczycie wojnę z powodu różnicy zdań co do tego, czym jest albo czym nie jest Bóg?

- Tak.

- To bardzo głupi powód do wojny.

- Zgadzam się - odparł Blackthorne i spojrzał na jezuitę. - Zgadzam się całym sercem.

- Z ilu statków składa się twoja flotyl a?

- Z pięciu.

- Byłeś jej - głównym pilotem?

- Tak.

- A gdzie są te pozostałe statki?

- Na morzu - odparł ostrożnie Blackthorne, kłamiąc dalej, bo przypuszczał, że niektóre z pytań podsunął Toranadze Alvito. - W czasie burzy rozłączyliśmy się i rozproszyliśmy. Gdzie dokładnie, tego nie wiem, wielmożny panie.

- Twoje statki były angielskie?

- Nie, wielmożny panie. Niderlandzkie. Z Holandii. - A dlaczego to Anglik dowodzi niderlandzkimi statkami?

- Nic w tym nadzwyczajnego, wielmożny panie. Jesteśmy sprzymierzeńcami, portugalscy piloci też niekiedy prowadzą hiszpańskie statki i flotyl e. O ile wiem, portugalscy piloci mają prawo dowodzić twoimi statkami oceanicznymi, panie.

- Nie ma holenderskich pilotów?

- Jest ich wielu, wielmożny panie. Ale w tak długich wyprawach Anglicy mają większe doświadczenie.

- Ale dlaczego właśnie ty? Dlaczego chcieli, żebyś to ty prowadził ich statki?

- Pewnie dlatego, że moja matka była Holenderką, dlatego, że płynnie mówię ich językiem i mam doświadczenie. Chętnie skorzystałem z takiej okazji.

- Dlaczego?

- Pierwszy raz nadarzyła mi się sposobność pożeglowania na te wody. Żadne angielskie statki nie miały w planach zapuszczać się tak daleko. Była to okazja rejsu dookoła świata.

- Sam, z własnej woli, nająłeś się, pilocie, do tej flotyl i ze względu na swą wiarę i po to, by wojować z wrogimi ci Hiszpanami i Portugalczykami?

- Przede wszystkim jestem pilotem, wielmożny panie. Żaden Anglik ani Holender nie był dotąd na tych morzach. Zasadniczo jesteśmy flotyl ą handlową, chociaż posiadamy listy kaperskie zezwalające nam na atakowanie wrogów w Nowym Świecie. Do Japonii przy płynęliśmy handlować.

- Co to są listy kaperskie?

- Legalne upoważnienia, wydane przez panującego władcę albo rząd, zezwalające na walkę z wrogiem.

- Aha, a twoi wrogowie są tutaj. Masz zamiar z nimi tu wojować?

- Kiedy tu przybyliśmy, nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać, wielmożny panie.

Przy płynęliśmy wyłącznie w celach handlowych. Twój kraj jest prawie nieznan, jest legendą.

Portugalczycy i Hiszpanie nic nie mówią o tych stronach świata.

- Odpowiedz na pytanie: Twoi wrogowie są tutaj. Czy masz zamiar z nimi wojować?

- Jeżeli będą wojować ze mną, to tak.

Toranaga poruszył się rozdrażniony.

- To, co robicie na morzu albo w swoich krajach, jest waszą sprawą.

Ale tutaj wszystkich obowiązuje jedno prawo i cudzoziemcy przebywają tu tylko dlatego, że im pozwolono. Każda publiczna szkoda lub utarczka jest bezzwłocznie karana śmiercią. Nasze prawa są jasne i trzeba ich przestrzegać. Zrozumiałeś?

- Tak, wielmożny panie. Ale my przybyliśmy tu w pokojowych zamiarach. Przybyliśmy tu handlować. Czy możemy omówić sprawę handlu, wielmożny panie? Muszę przechylić statek na bok i dokonać napraw, za wszystko zapłacimy. Poza tym jest spr. .

- Kiedy zechcę omówić sprawę handlu bądź jakąkolwiek inną, powiem ci o tym. Na razie zechciej ograniczyć się do odpowiadania na moje pytania. A więc przyłączyłeś się do tej wyprawy, żeby handlować dla zysku, a nie z poczucia obowiązku czy lojalności? Dla pieniędzy?

- Tak. Taki mamy zwyczaj, wielmożny panie. Otrzymać zapłatę i mieć udział we wszystkich zdob. . w handlu i we wszystkich przejętych dobrach wroga.

- A więc - jesteś najemnikiem?

- Wynajęto mnie jako naczelnego pilota do poprowadzenia wyprawy. Tak.

Blackthorne czuł wrogość Toranagi, ale nie był w stanie jej pojąć. A cóż ja takiego powiedziałem? - zapytywał siebie. Czy ten ksiądz nie oznajmił mi, że sam się zabiję?

- To u nas normalny zwyczaj, Toranaga-sama - dodał.

Toranaga zaczął rozmawiać z Hiro-matsu i najwyraźniej zgadzając się ze sobą wymienili zdania. Blackthorne miał wrażenie, że dostrzega w ich twarzach odrazę. Dlaczego? Pomyślał, że z pewnością ma to jakiś związek z „najemnictwem”. Ale cóż w tym złego? Każdemu przecież się płaci.

Jak inaczej człowiek zarobiłby dość pieniędzy na życie? Nawet jeśli odziedziczył ziemię, to mimo wszystko..

- Powiedziałeś uprzednio, że przybyliście tu handlować pokojowo - rzekł Toranaga. - Dlaczego więc wieziecie ze sobą aż tyle dział, tyle prochu, muszkietów i kul?

- Nasi hiszpańscy i portugalscy wrogowie są bardzo potężni i silni, panie Toranaga. Musimy się bronić i. .

- Twierdzisz, że wasze uzbrojenie służy wam po prostu do obrony?

- Nie. Używamy go nie tylko, by się bronić, ale i do atakowania naszych wrogów. Poza tym wytwarzamy je w znacznych ilościach, żeby nim handlować, a jest to najlepsza broń na świecie.

Może moglibyśmy sprzedać ją wam, albo też inne towary, które przywieźliśmy.

- Kto to jest pirat?

To człowiek wyjęty spod prawa. Taki, który gwałci, zabija i rabuje dla osobistej korzyści.- A czy to nie to samo co najemnik? Czy ty sam nim nie jesteś? Piratem i przywódcą piratów?

- Nie. Prawda wygląda tak, że wszystkie moje statki mają listy kaperskie od legalnych władców Holandii, zezwalające nam wojować na wszystkich morzach i we wszystkich zakątkach świata, które opanowali nasi wrogowie. A także do znalezienia rynków zbytu na nasze towary. Dla Hiszpanów i dla większości Portugalczyków, owszem, jesteśmy piratami i religijnymi heretykami, ale powtarzam, w rzeczywistości nimi nie jesteśmy.

„Ojciec Alvito skończył tłumaczenie, a potem spokojnie i z przekonaniem zwrócił się wprost do Toranagi.

Blackthorne bardzo żałował, że nie może rozmawiać bezpośrednio. Zauważył, że Toranaga spojrział na Hiro-matsu, po czym starzec zadał kilka pytań jezuitcie, ten zaś odpowiedział na nie wyczerpująco. A wtedy Toranaga znów zajął się Blackthorne'em, a jego głos stał się jeszcze surowszy.

- Tsukku-san powiada, że owe „Holandy” - Niderlandy były jeszcze kilka lat temu wasalne wobec króla hiszpańskiego. Czy to prawda?

- Tak.

- A więc Niderlandy, wasi sprzymierzeńcy, są w stanie buntu przeciwko swojemu prawowitemu królowi?

- Owszem, walczą z tym Hiszpanem. Ale. .

- Czy to bunt? Tak czy nie?

- Tak, ale istnieją okoliczności łagodzące. Poważnie łago..

- Jeżeli chodzi o bunt przeciwko władcy, to nie ma żadnych „okoliczności łagodzących”.

- Chyba że się zwycięży.

Toranaga wpatrzył się w niego uważnie. A potem ryknął śmiechem. Wśród śmiechu powiedział coś do Hiro-matsu, na co ten skinął głową.

- Tak, panie cudzoziemcze o nazwisku nie do wymówienia, tak. Wymieniłeś jedyną okoliczność łagodzącą. - Znowu się zaśmiał, a potem jego dobry humor zniknął tak nagle, jak się pojawił. -

Zwycięzycie?

- Hai.

Toranaga znowu coś powiedział, ale jezuita nie przełożył jego słów od razu. Uśmiechał się dziwnie, wpatrując się w Blackthorne'a, westchnął i spytał:

- Jesteś o tym mocno przekonany?

- To są słowa jego czy księdza?

- To są słowa pana Toranagi. Ja. . jego słowa.

- Tak. Powiedz mu, księżu, że tak, jestem o tym mocno przekonany. Czy mogę wyjaśnić dlaczego?

Ojciec Al vi to mówił do Toranagi znacznie dłużej, niż zajęło mu przełożenie tego prostego pytania.

Czy jesteś tak spokojny, jak udajesz? - chciał go zapytać Blackthorne. Jak cię rozgryźć? Jak zniszczyć?

Toranaga powiedział coś i wyjął z rękawa wachlarz.

Ojciec Alvito znów zaczął tłumaczyć tym samym napawającym lękiem, mocno ironicznym,

nieprzyjaznym tonem.

- Tak, pilocie, możesz mi powiedzieć, dlaczego myślisz, że wygracie tę wojnę.

Blackthorne starał się zachować pewność siebie, świadom, że jezuita ma nad nim przewagę.

- Obecnie panujemy na morzach Europy. . na większości europejskich mórz - poprawił się. Nie przesadz. Mów prawdę. Nagnij ją odrobinę, tak jak z pewnością robi to ten jezuita, ale mów prawdę, przykazał sobie. - My, Anglicy, rozbiliśmy dwie wielkie hiszpańskie i portugalskie armady wojenne, dwie floty inwazyjne, i niepodobna, żeby nasi wrogowie zdołali zorganizować następne.

Nasza mała wyspa jest fortecą i w tej chwili jesteśmy bezpieczni. Nasza marynarka panuje na morzu. Nasze okręty są szybsze, nowocześniejsze i lepiej uzbrojone. Mimo ponad pięćdziesięciu lat terroru, inkwizycji i rozlewu krwi Hiszpanie nie zdołali ujarzmić Holendrów. Nasi sprzymierzeńcy są bezpieczni i silni, co więcej śmiertelnie wykrwawiają imperium hiszpańskie. Zwycięzimy, ponieważ władamy na morzach i ponieważ król hiszpański, powodowany próżną butą, nie zwróci obcym narodom wolności.

- Władacie na morzach? Także naszych morzach? Tych wokół naszych wybrzeży?

- Nie, oczywiście, że nie, Toranaga-sama. Nie chciałem wyjść na pyszałka. Mówiłem naturalnie o europejskich mordach, chociaż. .

- To dobrze, cieszę się, że jest to oczywiste. Co chciałeś powiedzieć? „Chociaż. .”?

- Chociaż już wkrótce na wszystkich otwartych morzach zmieciemy naszych wrogów -

oświadczył dobitnie Blackthorne.

- Powiedziałeś „wrogów”. A może i my jesteśmy waszymi wrogami? Co wtedy? Spróbujecie zatopić nasze statki i spustoszyć nasze wybrzeża?

- Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogli być wrogami.

- A ja tak, z łatwością. I co wtedy?

- Gdybyście zwrócili się przeciwko mojemu krajowi, to zaatakowałbym was i spróbował pobić -

odparł Blackthorne.

- A gdyby twój władca rozkazał ci zaatakować nas tutaj?

- Tobym mu to odradził. Stanowczo. Nasza królowa wysłuchałaby mnie. Ona. .

- To wami rządzi królowa, a nie król?

- Tak, panie Toranaga. Nasza królowa jest mądra. Nie wydałaby tak niemądrego rozkazu.

- - A gdyby go jednak wydała? Albo gdyby wydał go wasz prawowity władca? Wtedy poleciłbym swoją duszę Bogu, bo z pewnością bym zginął. Tak czy inaczej.

- Tak. Zginąłbyś. Ty i wszystkie wasze legie. - Toranaga zamilkł na chwilę, po czym spytał: -

Ile czasu zajęło ci dotarcie tutaj?

- Prawie dwa lata. Dokładnie rok, jedenaście miesięcy i dwa dni. W przybliżeniu jest to dystans czterech tysięcy lig, z których każda liczy trzy mile.

Ojciec Alvito przełożył jego odpowiedź, a potem krótko ją skomentował. Toranaga i Hiromatsu zadali mu pytanie, na które odpowiedział kiwając głową. Toranaga wachlował się w zamyśleniu.

- Przeliczyłem czas i odległość na ich miary, naczelny pilocie Blackthorne - wyjaśnił uprzejmie książdz.

- Dziękuję.

- Jak tu dopłynąłeś? - zwrócił się wprost do niego Toranaga.

Jaką trasą?

- Przez Cieśninę Magel ana. Gdybym miał swoje mapy i ruty, pokazałbym ci to jak na dłoni, ale mi je ukradziono, zabrano wraz z listami kaperskimi i wszystkimi dokumentami. Gdybyś. .

Blackthorne urwał, ponieważ Toranaga przemówił szorstko do Hiro-matsu, który był wzburzony tak jak i on.

- Twierdzisz, że zabrano ci wszystkie dokumenty. . ukradziono?

- Tak.

- To straszne, jeśli mówisz prawdę. W Nipponie - Japoni - brzydzimy się złodziejstwem.

Kradzież karana jest śmiercią. Natychmiast to zbadamy. Niepodobna, żeby to zrobił Japończyk, choć zdarzają się tu i tam podli bandyci i piraci.

- Może je przeniesiono - powiedział Blackthorne. - I gdzieś je ukryto. Ale one są cenne, panie Toranaga. Bez moich morskich map stanę się jak ślepiec w labiryncie. Mam ci opisać moją trasę?

- Tak, ale później. Najpierw powiedz mi, dlaczego naprawdę przepłynąłeś taki kawał świata.

- Przybyliśmy, żeby handlować, pokojowo - powtórzył Blackthorne, powściągając zniecierpliwienie.

- Żeby handlować i odpłynąć z powrotem do ojczyzny. Wzbogacić was i nas. A poza tym spróbować.

.

- Wzbogacić was i nas? A co jest ważniejsze?

- Obaj partnerzy muszą na tym oczywiście zyskać, a handel musi być uczciwy. Poszukujemy możliwości takiej wymiany handlowej, która potrwałaby dłużej, proponujemy wam warunki lepsze od tych, które dają wam Portugalczycy i Hiszpanie, a ponadto lepszy transport. Nasi kupcy. .

Blackthorne urwał na dźwięk podniesionych głosów za drzwiami sali. Hiro-matsu wraz z połową strażników natychmiast znalazł się przy nich, a pozostali zbili się w ciasną gromadę, osłaniając podest. Samuraje przy drzwiach wewnętrznych również stanęli w pogotowiu.

Toranaga nie poruszył się. Powiedział coś do ojca Alvito.

- Masz podejść tutaj, kapitanie Blackthorne, dalej od tamtych drzwi - powiedział jezuita ze starannie stuszowanym ponagleniem w głosie. - Jeżeli ci życie miłe, to nie rób gwałtownych ruchów ani się nie odzywaj.

Podszedł wolno do lewych wewnętrznych drzwi i usiadł w ich pobliżu.

Zaniepokojony Blackthorne uklonił się Toranadze, który nie zareagował na jego ukłon, i ostrożnie zbliżył się do księdza, głęboko świadom, że z punktu widzenia jezuity posłuchanie wypadło katastrofalnie.

- Co się dzieje? - wyszeptał, kiedy usiadł.

Strażnicy w pobliżu zamarli w groźnych pozach, na co Alvito powiedział coś do nich szybko, żeby rozwiać ich obawy.

- Jeżeli jeszcze raz się odezwiesz, stracisz życie - ostrzegł Blackthorne i pomyślał, że im wcześniej to się stanie, tym lepiej. Z za mierzoną powolnością wyjął z rękawa chusteczkę i wytarł

spoczone dłonie. Musiał wykorzystać całą swoją praktykę i siłę ducha, żeby zachować spokój i dobrotliwość w czasie wypytywania tego heretyka, który okazał się nawet gorszy, niż spodziewali się tego on i ojciec wizytator.

Drzwi na drugim końcu sali rozwarły się z dygotem.

- Wielmożny panie, chce się z tobą widzieć pan Ishido - obwieścił Naga. - Jest. . jest tu, w korytarzu, i chce się z tobą widzieć. Mówi, że natychmiast.

- Wszyscy na miejsca - polecił Toranaga swoim samurajom.

Bezwłocznie wypełnili jego rozkaz. Ale wszyscy, z Hiro-matsu ha czele, usiedli frontem do drzwi, a miecze wysunęli z pochew.

- Naga-san. Powiedz panu Ishido, że zawsze jest mile widziany. Poproś go do środka.

Do sali wkroczył wysoki Japończyk. A za nim dziesięciu jego samurajów - Szarych - pozostali oni

jednak przy drzwiach i na jego znak usiedli ze skrzyżowanymi nogami.

Toranaga uklonił się z etykietalną pedanterią, otrzymując w zamian równie nienaganny ukłon.

Ojciec Alvito pobłogosławił swoje szczęście, że się tu - znalazł w takiej chwili. Wiszące w powietrzu starcie dwóch rywalizujących ze sobą przywódców mogło całkowicie odmienić bieg wydarzeń w cesarstwie i losy Kościoła, dlatego każda wskazówka albo bezpośrednia informacja, która mogła pomóc jezuitom w podjęciu decyzji, kogo poprzeć, była niesłychanie ważna. Ishido praktykował buddyzm i był, fanatycznie antychrześcijański. Toranaga zaś praktykował buddyzm zen i otwarcie sympatyzował z chrześcijanami. Ale większość chrześcijańskich daimyō popierała Ishido, obawiając się - Alvito sądził, że nie bez podstaw - dominacji Toranagi. Chrześcijańscy daimyō przeczuwali, że jeżeli Toranaga wyeliminuje wpływy Ishido w Radzie Regencyjnej, to przywłaszczy sobie całą władzę. Sądził też, że kiedy już raz ją zdobędzie, to wprowadzi w życie Dekrety o Wydaleniu wydane przez taikō i zniszczy Prawdziwą Wiarę. Gdyby jednak Toranaga został usunięty z drogi, to musiałby go ktoś zastąpić, ktoś słaby, a wówczas Kościół by kwitł.

Podobnie jak z chwiejną lojalnością chrześcijańskich daimyō miały się sprawy z pozostałymi feudałami w Japoni, a równowaga sił pomiędzy dwoma głównymi przywódcami ciągle się zmieniała, tak więc nikt nie miał pewności, która strona jest rzeczywiście silniejsza. Nawet on, Alvito, najlepiej poinformowany Europejczyk w cesarstwie, nie potrafił określić na pewno, za kim właściwie opowiedzą się chrześcijańscy daimyō, kiedy dojdzie do otwartego starcia, ani też która frakcja zwycięży.

Patrzył, jak Toranaga schodzi z podestu, pośród kordonu ubezpieczających go ze wszystkich stron samurajów.

- Witam, panie Ishido. Zechciej usiąść. - Toranaga wskazał jedyną poduszkę na podeście. -

Chcę, żeby ci było wygodnie.

- Dziękuję, ale nie skorzystam, panie Toranaga.

O rok młodszy od Toranagi Ishido Kazunari był szczupły, smagły i bardzo twardego charakteru. Od dawna odnosili się do siebie wrogo. Pod swoją komendą w Osace i okolicach miał

osiemdziesiąt tysięcy samurajów, gdyż był komendantem garnizonu, a tym samym również dowódcą straży następcy taikō, naczelnym wodzem Armii Zachodu, zdobywcą Korei, członkiem Rady Regencyjnej i z urzędu generalnym inspektorem wszystkich wojsk zmarłego taikō, a więc z mocy prawa wszystkich oddziałów wszystkich daimyō w całym cesarstwie.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - powtórzył. - Byłbym skrupowany, gdybym sam siedział

wygodnie, a ty nie, ne? Kiedyś usiądę na twojej poduszce, ale nie dziś.

Na tę zawołaną groźbę Ishido przez szeregi Brązowych przeszła fala gniewu, ale Toranaga odpowiedział mu miłym tonem:

- Zjawiasz się w najodpowiedniejszej chwili. Właśnie kończyłem przesłuchiwać tego nowego barbarzyńcę. Tsukku-san, powiedz mu, proszę, żeby wstał.

Jezuita wypełnił polecenie. Z drugiego końca sali wyczuwał wrogość bijącą od Ishido. Ishido był nie tylko przeciwnikiem chrześcijaństwa, ale zaciekle potępiał wszystkich Europejczyków i chciał całkowicie zamknąć przed nimi cesarstwo.

Na Blackthorne'a spojrział z wyraźną odrazą.

- Słyszałem, że jest brzydki, ale nie miałem pojęcia jak bardzo.

Powiadają, że to pirat. Jest piratem?

- Masz wątpliwości? A ponadto łże.

- A więc zanim go ukrzyżujesz, daj mi go, proszę, na pół dnia. Być może następca ucieszy się, jeżeli ujrzy go najpierw z głową na karku. - Ishido zaśmiał się nieprzyjemnie. - A może należy go nauczyć tańczyć jak niedźwiedzia, a wówczas można by go było obwozić po cesarstwie i pokazywać jako „Potwora ze Wschodu”.

Chociaż prawdą było, że Blackthorne przybył wyjątkowo ze wschodnich mórz - a nie jak Portugalczycy, którzy zawsze przyplądali z południa i dlatego nazywano ich Południowymi Barbarzyńcami - Ishido natrętnie dawał do zrozumienia, że tak naprawdę to potworem jest Toranaga, panujący nad wschodnimi prowincjami.

Ale Toranaga tylko się na to uśmiechnął, jakby nic nie rozumiał.

- Masz ogromne poczucie Rumoru, panie Ishido - rzekł. - Ale zgadzam się z tobą, że im szybciej ten barbarzyńca zniknie, tym lepiej. Jest gadatliwy, zarozumiały, hałaśliwy, owszem, także niezwykły, ale niewiele wart, a poza tym zupełnie nie wychowany. Naga-san, przyślij tu kilku ludzi i wsadźcie go do zwykłych przestępców. Tsukku-san, każ mu z nimi iść.

- Naczelnny pilocie, masz iść z tymi ludźmi.

- Dokąd?

Alvito zawahał się. Cieszył się, że zwyciężył, ale jego przeciwnik był dzielny i miał

nieśmiertelną duszę, która jeszcze mogła być zbawiona. - Zostaniesz uwięziony - rzekł. - Na jak długo?

- Nie wiem, synu. Aż pan Toranaga podejmie co do ciebie decyzję.

12.

Przyglądając się wychodzącemu z sali barbarzyńcy, Toranaga z żalem odłożył na później myśli o jego rewelacjach i zajął się rozwiązaniem pilniejszych problemów z Ishido.

Postanowił nie odsyłać księdza wiedząc, że to jeszcze bardziej rozwścieczy Ishido, chociaż był przy tym równie mocno świadom, że dalsza obecność tutaj jezuita może się okazać w tej samej mierze niebezpieczna. Im mniej wiedzą cudzoziemcy, tym lepiej. Im mniej wiedzą wszyscy, tym lepiej, pomyślał. Czy wpływ Tsukku-sana na chrześcijańskich daimyō przyniesie mi korzyść, czy też obróci przeciw mnie? Aż do dzisiaj wierzyłem mu bez zastrzeżeń. Ale w rozmowie z barbarzyńcą zdarzyło się kilka dziwnych momentów, których jeszcze nie rozumiem.

Ishido umyślnie nie dopełnił zwyczajowych uprzejmości, tylko od razu przeszedł do rzeczy.

- Jeszcze raz muszę cię zapytać, panie, jaka jest twoja odpowiedź Radzie Regencyjnej -

rzekł.

- Odpowiadam jeszcze raz: jako przewodniczący Rady wszelkie odpowiedzi uważam za zbędne. Zaaranżowałem kilka drugorzędnych związków rodowych, bez istotnego znaczenia. Nie wymaga to żadnej odpowiedzi.

- Zareczyłeś swojego syna, pana Nagę, z córką pana Masamune, jedną ze swoich wnuczek wydałeś za syna i następcę pana Zatakiego, a inną wnuczkę za syna pana Kiyamy. Wszystkie te małżeństwa zostały zawarte z feudałami albo ich bliskimi krewnymi, dlatego też bynajmniej nie są bez znaczenia, a ponadto są całkowicie sprzeczne z rozkazami naszego pana.

- Nasz zmarły pan, taikō, nie żyje od roku. Niestety. Tak. Żałuję, że mój szwagier zmarł, wolałbym, żeby żył i nadal kierował losami cesarstwa - rzekł uprzejmie Toranaga i dodał, by rozjrzeć nie gojącą się ranę: - Gdyby mój szwagier żył, na pewno poparłby te rodzinne związki.

Jego zalecenia dotyczyły małżeństw, które zagrażałyby sukcesji jego potomka. Ja nie zagrażam panowaniu rodu taikō ani też następcy, mojemu siostrzeńcowi Yaemonowi. Wystarcza mi, że jestem księciem Kantō. Nie zabiegam o nowe ziemie. Żyję w pokoju z sąsiadami i chcę utrzymać pokój, jaki ustanowił nasz pan. I nie ja, na pana Buddę, ten pokój zburzę.

Przez sześć wieków cesarstwo wyniszczały nieustanne wojny Dōmowe. Trzydzieści pięć lat temu mało znaczący daimyō Goroda zajął Kioto, głównie za namową Toranagi. W ciągu dwóch następnych dziesięcioleci wojownikowi temu jakimś cudem udało się podbić pół Japonii, usypał górę z czaszek i ogłosił się dyktatorem, ale nie był wciąż jeszcze na tyle potężny, żeby wystąpić do władającego cesarza o przyznanie mu tytułu shōguna, choć łączyły go pewne niejasne koligacje z gałęzią rodu Fujimoto. A potem, przed szesnastoma laty, Gorodę zabił jeden z jego generałów, władza zaś przeszła w ręce jego czołowego wasala i najznamienitszego generała, chłopca Nakamury.

W ciągu czterech krótkich lat generał Nakamura, wspomagany przez Toranagę, Ishido oraz innych wytypił potomków Gorody, poddał całą Japonię swojej absolutnej, wyłącznej władzy i w ten sposób

po raz pierwszy w historii jeden człowiek podporządkował sobie całe cesarstwo. Triumfalnie udał się do Kioto, żeby pokłonić się Go-Nijo, Synowi Niebios. Tam, ponieważ z urodzenia był

chłopem, musiał się zadowolić skromniejszym tytułem kampaku, naczelnego dowódcy, którego później zrzekł się na korzyść swojego syna, a sam obrał sobie tytuł taikō. Pokłony bili mu jednak wszyscy daimyō, nawet Toranaga. Nie do wiary, ale przez dwanaście lat panował całkowity spokój. A zeszłego roku taikō zmarł.

- Na pana Buddę - powtórzył Toranaga. - To nie ja zburzę ten pokój.

- Ale na wojnę wyruszysz?

- Mądry człowiek jest przygotowany na zdradę, ne? W każdej prowincji są źli ludzie.

Niektórzy na wysokich stanowiskach. Obaj wiemy, jak bezgraniczne są rozmiary zdrady w ludzkich sercach. - Toranaga przybrał surową pozę. - Podczas gdy taikō pozostawił nam w dziedzictwie jedność, my dzielimy ją na mój Wschód i twój Zachód. Rada Regencyjna jest podzielona. Daimyō poróżnieni. Rada nie jest w stanie rządzić zarobaczoną wioską, a cóż dopiero cesarstwem. Im prędzej syn taikō dorośnie, tym lepiej. Im szybciej nastanie nowy kampaku, tym lepiej.

- A może shōgun? - spytał znacząco Ishido.

- Kampaku, shōgun czy taikō władza jest ta sama - odparł Toranaga. - Co znaczą tytuły? Liczy się tylko władza! Goroda nie został shōgunem. Nakamura w zupełności wystarczał tytuł kampaku, a później tytuł taikō. Władał i tylko to się liczyło. Czy to ważne, że mój szwagier był kiedyś chłopem?

Czy to ważne, że mój ród jest starożytny? Czy to ważne, że ty jesteś nisko urodzony? Jesteś generałem, feudalnym panem, a nawet wchodzisz w skład Rady Regencyjnej.

To jest bardzo ważne, pomyślał Ishido. I ty o tym wiesz. Wie o tym każdy daimyō. Wiedział o tym nawet taikō.

- Yaemon ma siedem lat - odparł. - Za siedem zostanie kampaku. A do tego czasu. .

- Za osiem lat, generale Ishido. Tak stanowi historyczne prawo. Kiedy mój siostrzeniec skończy piętnaście lat, stanie się dorosły i wszystko odziedziczy. A do tego czasu my, pięciu regentów, rządymy w jego imieniu. Tak życzył sobie nasz zmarły pan. Tak. I przykazał też, żeby regenci nie brali nawzajem żadnych zakładników. A pani Ochiba, matka następcy, jest zakładniczką w twoim zamku w Edo, żeby zapewnić ci tu bezpieczeństwo, to zaś jest pogwałceniem woli taikō. Tak jak wszyscy regenci, również i ty zobowiązałeś się do przestrzegania umów. Podpisałeś nawet te dokumenty własną krwią.

Toranaga westchnął.

- Pani Ochiba przebywa z wizytą w Edo u swojej jedynej, rodzącej siostry. Jej siostra jest żoną mojego syna i dziedzica. Kiedy ja jestem tutaj, miejsce mojego syna jest w Edo. Czy może być coś zwykłego od odwiedzin siostry przez siostrę w takim czasie? Czyż nie jest otoczona szacunkiem?

Być może urodzi mi się pierwszy wnuk, ne?

- Matka następcy jest najważniejszą damą w cesarstwie. Nie powinna być w. . - Ishido chciał powiedzieć „w rękach wroga”, ale się rozmyślił - w jakimś obcym mieście. - Zamilkł, a potem obcesowo dodał: - Rada chce, żebyś dziś rozkazał jej powrócić do domu.

Toranaga uniknął zastawionej pułapki.

- Powtarzam, że pani Ochiba nie jest zakładniczką, dlatego nie jest na moje rozkazy i nigdy nie była.

- Pozwól zatem, że wyrażę to inaczej. Rada życzy sobie, żeby natychmiast zjawiała się w Osace.

- Kto sobie tego życzy?

- Ja. Pan Sugiyama, Pan Onoshi i pan Kiyama. A ponadto ustaliliśmy wspólnie, że zaczekamy tutaj aż do jej powrotu do Osaki. Oto ich podpisy.

Toranaga wściekł się. Do tej pory manipulował Radą tak, że jej głosy były podzielone w stosunku dwa do trzech. Nigdy nie udało mu się wygrać z Ishido cztery do jednego, ale również Ishido wygrać z nim. Cztery głosy przeciwko jednemu oznaczały izolację i klęskę. Dlaczego opuścił

go Onoshi? Dlaczego zrobił to Kiyama? Nawet przed przyjęciem tej nowej obcej religii byli przecież zawziętymi wrogami. I jaką władzę miał w tej chwili nad nimi Ishido?

Ishido wiedział, że zdruzgotał przeciwnika. Ale do pełnego zwycięstwa pozostało mu jeszcze jedno posunięcie. Tak więc zrealizował plan, który ustalili z Onoshim.

- My, regenci, wszyscy jesteśmy zdania, że nadszedł czas rozprawienia się z tymi, którzy chcą przywłaszczyć sobie władzę naszego pana i zabić następcę. Zdrajców nie ominie kara.

Wystawieni zostaną wraz ze wszystkimi członkami rodu na widok publiczny jak pospolici przestępcy, a potem wraz z nimi jak pospolici przestępcy straceni. Nieważne, kto to będzie, Fujimoto, Takashima, nisko czy wysoko urodzony, bez różnicy! Nawet Minowara!

Wszyscy samuraje Toranagi aż sapnęli z gniewu, bo takie świętokradcze słowa skierowane przeciwko półkrólewskiemu rodom były czymś niesłychanym. A potem młody samuraj Usagi, mąż wnuczki Hiro-matsu, zerwał się na nogi, pokraśniały z gniewu. Wyciągnął swój zabójczy miecz i skoczył z obnażoną, gotową do zadania oburącz cięcia klingą ku Ishido.

Ishido był przygotowany na zabójczy cios i nie zrobił najmniejszego ruchu w swojej obronie.

Tak to zamyślił, na to liczył, jego samuraje zaś mieli rozkaz nie robić nic, dopóki nie zginie. Gdyby został zabity tu, w tej chwili przez samuraja Toranagi, cały garnizon w Osace miałby usprawiedliwiony powód, żeby zaatakować Toranagę i zabić go, nie bacząc na zakładniczkę.

Wówczas pani Ochiba została w odwecie stracona przez synów Toranagi, a pozostali regenci

wystąpili razem przeciwko rodowi Yoshi, który, odosobniony, zostałby wycięty w pień. Tylko wtedy dziedzictwo następcy byłoby zagwarantowane, a on, Ishido, wypełniłby swój obowiązek wobec taikō.

Ale cios nie nastąpił. W ostatniej chwili Usagi opamiętał się i drżącą ręką schował miecz do pochwy.

- Błagam o wybaczenie, panie Toranaga - powiedział, klękając w unizonej pozycji. -

Wysłuchiwanie takich. . takich haniebnych obelg jest nie do zniesienia. Pozwól, proszę. .

przepraszam i. . pozwól mi natychmiast popełnić seppuku, bo nie mogę dłużej żyć z takim wstydem.

Chociaż Toranaga nie poruszył się, był przygotowany, żeby odbić cios młodzieńca, a ponadto wiedział, że jest do tego przygotowany Hiro-matsu, jak i pozostali, tak więc Ishido zostałby najpewniej jedynie ranny. Rozumiał też powody tak obraźliwego i prowokacyjnego zachowania się rywala. Odpłacę ci za to z olbrzymim procentem, przyrzekł mu w duchu.«

Skupił uwagę na klęczącym młodym samuraju.

- Jak śmiesz sugerować, że którekolwiek ze słów pana Ishido mogło mnie w jakikolwiek sposób obrazić - rzekł. - Pan Ishido nigdy by sobie nie pozwolił na taką niegrzeczność. Jak śmiesz przysłuchiwać się rozmowie, która ciebie nie dotyczy. Nie, nie pozwolę ci popełnić seppuku. Bo seppuku to zaszczyt. A tobie brak honoru i dyscypliny wewnętrznej. Zostaniesz dziś ukrzyżowany jak pospolity przestępca. Twoje miecze zostaną złamane i zakopane w wiosce eta. Twój syn będzie pochowany w wiosce eta. Twoja głowa zostanie zatknięta na pikę, żeby wszyscy mogli się śmiać z napisu na niej: „Ten człowiek przez pomyłkę urodził się samurajem. Jego imię przestaje istnieć!” Usagi z najwyższym trudem opanował oddech, ale zalewał go pot i dręczył wstyd. Ukłonił się Toranadze i, na pozór spokojny, przyjął swój los.

Hiro-matsu podszedł do męża swojej wnuczki i wyszarpnął mu zza pasa miecze.

- Panie Toranaga - rzekł posępnie - za twoim pozwoleniem osobiście dopilnuję wykonania tych rozkazów.

Toranaga skinął głową.

Młodzieniec ukłonił się po raz ostatni i już zaczął się podnosić, ale Hiro-matsu pchnięciem z góry przycisnął go do podłogi, - Chodzą samuraje - rzekł. - Tak samo mężczyźni. Ale ty nie jesteś ani jednym, ani drugim. Ty poczołgasz się ku swojej śmierci.

Usagi bez słowa wypełnił polecenie.

I w wszystkich w sali zbudowała siła dyscypliny wewnętrznej młodzieńca oraz rozmiary jego odwagi. Odrodzi się samurajem, powiedzieli sobie w duchu zadowoleni.

13.

Tej nocy Toranaga nie mógł zasnąć. Zdarzało mu się to rzadko, ponieważ zwykle mógł odłożyć najpilniejsze problemy na następny dzień wiedząc, że jeżeli do niego dożyje, to rozwiąże je najlepiej, jak potrafi. Dawno temu odkrył, że niezakłócony sen może dostarczyć odpowiedzi na wiele zagadek, a jeżeli nie dostarczał, czyż było to aż takie ważne? Czyż życie nie było tylko kroplą rosy w kropli rosy?

Ale dzisiejszego wieczora zebrało się za dużo zawiłych kwestii do rozważenia.

Co zrobić z Ishido?

Dlaczego Onoshi przeszedł na stronę wroga?

Jak postąpić z Radą Regencyjną?

Czy chrześcijańscy księża znowu maczali w tym palce?

Skąd nadejdzie następna próba zamachu na jego życie?

Kiedy należy zająć się Yabu?

I co trzeba zrobić z barbarzyńcą?

Czy mówił prawdę?

To dziwne, że ten barbarzyńca przyplłynął ze wschodnich mórz właśnie teraz. Czy to jakiś omen? Czy to jego karma okaże się iskrą, która podpali tę baryłkę prochu?

Karma była hinduskim słowem przyswojonym przez Japończyków, elementem filozofii buddyjskiej odnoszącym się do losu jednostki w tym życiu, jej losu nieodwracalnie ustalonego przez uczynki dokonane w życiu poprzednim - uczynki dobre dawały lepsze miejsce w tej warstwie istnienia, a złe przeciwnie. Podobnie jak uczynki w życiu obecnym miały bezwzględny wpływ na ponowne narodziny. Pojedynczy człowiek odradzał się wciąż od nowa na tym padole płaczu, aż wreszcie po trudach, cierpieniach i naukach w ciągu wielu, wielu żywotów osiągał doskonałość, przechodząc do nirwany, Miejsca Doskonałego Spokoju, nigdy więcej nie cierpiąc ponownych narodzin.

To dziwne, że Budda albo jakiś inny bóg, a może po prostu karma przywiodła tego Anglika do lenu Yabu. To dziwne, że wylądował w tej właśnie wiosce, gdzie Mura, tajny przywódca szpiegowskiej siatki na Izu, został umieszczony tyle lat temu pod samym nosem taikō i tego zżartego przez syfilis ojca Yabu. To dziwne, że Tsukku-san był akurat tu, w Osace, żeby dla mnie tłumaczyć, a nie, tak jak zwykle, w Nagasaki. Na dodatek jest w Osace główny kapłan chrześcijan, a także portugalski generał-gubernator. To dziwne, że ten pilot, Rodrigues, również był pod ręką, żeby zawieźć Hiro-matsu do Anjiro w samą porę, by pojmał barbarzyńcę żywego i zajął działa. No i jeszcze Kasigi Omi, syn człowieka, który wręczy mi głowę Yabu na jedno moje skinienie palcem.

Jakie piękne jest życie i jakie smutne! Jak ulotne, bez przeszłości i przyszłości, obecne w bezgranicznym teraz!

Toranaga westchnął. Jedno było pewne: że barbarzyńca nigdy nie opuści Japoni . Ani żywy, ani umarły. Że na zawsze jest własnością cesarstwa.

Jego uszy wyłowiły prawie niedosłyszalny odgłos zbliżających się kroków i przygotował miecz.

Co noc zmieniał sypialnie i strażników, a nieregularnie hasło, zabezpieczając się przed napaścią nieustannie czyhających nań zabójców. Kroki zatrzymały się za shoji. A potem usłyszał głos Hiromatsu i pierwszą część hasła:

- Jeżeli Prawda jest już odsłonięta, po co medytować?

- A jeżeli Prawda jest ukryta? - odparł Toranaga.

- Jest odsłonięta - rzekł, tak jak należało, Hiro-matsu. Cytat ów pochodził ze starożytnego tantrystycznego buddyjskiego nauczyciela Sarahy.

- Wejdz.

Dopiero kiedy Toranaga zobaczył, że jest to rzeczywiście jego doradca, odłożył miecz.

- Usiądź!

- Usłyszałem, że nie śpisz. Pomyślałem, że może ci czegoś potrzeba.

- Nie, dziękuję. - Toranaga spostrzegł, że zmarszczki wokół oczu starca pogłębiły się. -

Cieszę się, żeś przyszedł, stary druhu - powiedział.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- O, tak.

- Wobec tego pójdę. Przepraszam, że ci przeszkodziłem, panie. - Nie, proszę, wejdz, cieszę się, żeś przyszedł. Siadaj. Starzec usiadł wyprostowany przy drzwiach.

- Podwoiłem strażę - powiedział.

- To dobrze.)

- A co do tego szaleńca - odezwał się Hiro-matsu po chwili - to dokładnie wypełniłem twoje rozkazy. Wszystkie.

- Dziękuję.

- Jego żona, moja wnuczka, jak tylko usłyszała o twoim wyroku, poprosiła, żebym pozwolił jej się

zabić, tak aby mogła towarzyszyć mężowi i synowi w Wielkiej Pustce. Odmówiłem i nakazałem jej czekać na twoje pozwolenie.

Hiro-matsu cierpiał w duszy. Jakże okrutne było życie.

- Słusznieś postąpił.

- Oficjalnie proszę cię, byś pozwolił mi zakończyć życie. On cię wystawił na śmiertelne niebezpieczeństwo, ale to moja wina. Powinienem był dostrzec jego wady. Zawiodłem cię.

- Nie wolno ci popełnić seppuku.

- Proszę! Oficjalnie proszę cię o pozwolenie.

- Nie. Jesteś mi potrzebny żywy.

- Będę ci posłuszny. Ale zechciej przyjąć moje przeprosiny.

- Przyjmuję twoje przeprosiny - rzekł Toranaga i po chwili spytał: - A co z barbarzyńcą?

- Bardzo wiele, panie. Po pierwsze: gdybyś dziś na niego nie czekał, to od świtu polowałbyś z sokołem i Ishido nie wciągnąłby cię w pułapkę, jaką było to oburzające spotkanie. W tej chwili nie pozostaje ci nic innego jak wydać mu wojnę, jeżeli tylko zdołasz wydostać się z tego zamku i wrócić do lido.

- A po drugie?

I po trzecie, po czterdzieste trzecie i sto czterdzieste trzecie. Nie jestem ani trochę tak mądry jak ty, panie, ale nawet ja dostrzegam, że wszystko, co wmawiano nam o Południowych Barbarzyńcach, nie jest prawdą. - Hiro-matsu był rad, że mówi. Pomagało mu to łagodzić ból. - A jeżeli istnieją dwie chrześcijańskie religie, które się nienawidzą, jeżeli Portugalczycy są częścią większego narodu hiszpańskiego i jeżeli ten nowy barbarzyński kraj, jakkolwiek brzmi jego nazwa, walczy z nimi oboma i zwycięża je, a ponadto jeśli tenże kraj jest narodem wyspiarskim jak my i -

największe „jeśli” ze wszystkich - jeśli ten barbarzyńca nie kłamie, a ksiądz wiernie tłumaczy jego słowa. . No, to można „te wszystkie „jeśli” zebrać razem, wyciągnąć z nich wnioski i ułożyć plan.

Bardzo mi przykro, ale ja nie potrafię tego zrobić. Wiem tylko to, co zobaczyłem w Anjiro i na tym statku. To mianowicie, że ten Anjin - fizycznie w tej chwili słaby, co zapewne jest skutkiem długiej podróży - ma głowę nie od parady i że panuje nad morzem. Dla mnie jest niepojęty. Jak można mieć aż tyle zalet, a przy tym pozwolić na to, żeby ktoś narobił ci na plecach? Dlaczego ocalił życie Yabu po tym, co ten człowiek mu zrobił, a także życie swojemu zdeklarowanemu wrogowi, Portugalczykowi Rodrigu? Od tej masy pytań w głowie mi się kręci, jakbym się opił sake. - Hiro-matsu zamilkł. Był

bardzo zmęczony. - Jestem jednak zdania” że powinniśmy trzymać na lądzie jego i wszystkich mu podobnych, jeżeli tacy zjawią się tu po nim, a poza tym, że wszystkich ich trzeba bardzo szybko zabić.

- A co z Yabu?

- Każ mu dziś wieczorem popełnić seppuku.

- Dlaczego?

- Jest niewychowany. Przewidziałeś, co zrobi po przyjeździe do Anjiro. Chciał ukraść twoją własność. A poza tym kłamie. Nie zwracaj sobie głowy spotykaniem się z nim, jak planowałeś.

Zamiast tego pozwól, że przekażę mu twój rozkaz. Prędzej czy później będziesz go musiał zabić.

Lepiej teraz, kiedy masz go pod ręką i nie otaczają go jego wasale. Radzę ci nie zwlekać.

Ktoś cicho zapukał do wewnętrznych drzwi.

- Tora-chan?

Toranaga tak jak zawsze uśmiechnął się na dźwięk tego wyjątkowego głosu, który wyjątkowo zdrabniał jego imię.

- Tak, Kiri-san?- odpowiedział.

- Pozwoliłam sobie, panie, przynieść tobie i twojemu gościowi cha. Czy mogę Wejść?

- Tak.

Obaj mężczyźni odклонili się jej. Kiri zamknęła drzwi i zajęła się nalewaniem. Miała pięćdziesiąt trzy lata i była wpływową Pierwszą Damą wśród dam dworu Toranagi, najstarszą z nich. Nazywała się Kiritsubo-no-Toshiko, a zwracano się do niej Kiri. Włosy miała przyprószone siwizną, kibić grubą, a jej twarz wiecznie promieniowała radością.

- O tej porze powinieneś spać, Tora-chan! Wkrótce zaświta, a ty, jak przypuszczam, pojedziesz wtedy w góry ze swoimi sokołami, ne? Potrzebujesz snu!

- Tak, Kiri-chan!

Toranaga poklepał ją czule po dużych pośladkach.

- Tylko bez żadnych „Kiri-chan”, proszę! - Kiri zaśmiała się. - Jestem starą kobietą i wymagam dużo szacunku. Twoje inne damy i tak już mi się dają we znaki. Zechciej zwracać się do mnie z łaski swojej Kiritsubo-Toshiko-san, mój panie Yoshi Toranaga-no-Chikitada!

- Sam więc widzisz, Hiro-matsu. Minęło dwadzieścia lat, a ona dalej próbuje mną rządzić.

Bardzo przepraszam, ale ponad trzydzieści lat, Tora-sama - odparła z dumą. - A cały czas byłeś mi, panie, tak powolny jak w tej chwili!

Kiedy Toranaga miał dwadzieścia kilka lat, był zakładnikiem despotycznego Ikawy Tadazakiego, władcy prowincji Suruga i Totomi, ojca obecnego daimyō Ikawy Jikkyu, który był

wrogiem Yabu. Odpowiedzialny za właściwe zachowanie się Toranagi samuraj poślubił właśnie Kiritsubo, jako swoją drugą żonę. Miała wówczas siedemnaście lat. Samuraj ów wraz z Kiri traktował

Toranagę z szacunkiem, służąc mu dobrą radą, a później, kiedy Toranaga zbuntował się przeciwko Tadazakiemu i przeszedł na stronę Gorody, podążył za nim z wieloma wojownikami i walczył dzielnie u jego boku. Potem, w walkach o stolicę, mąż Kiri zginął. Toranaga spytał ją, czy zostanie jedną z jego żon, na co chętnie przystała. W tamtych czasach nie była gruba, niemniej równie opiekuńcza i równie mądra. Szło jej wtedy na dziewiętnasty rok, a jemu na dwudziesty czwarty, i od tej pory była już bez przerwy duszą jego domu. Kiri była ogromnie bystra i bardzo uzdolniona. Od wielu lat prowadziła mu dom i chroniła od zmartwień.

Pomyślał, że chroni jego dom od zmartwień tak, jak żadna inna kobieta.

- Tyjesz - powiedział, nic sobie nie robiąc z jej otyłości.

Panie Toranaga! Takie słowa w obecności pana Tody?! Och, tak mi przykro, ale będę musiała popełnić seppuku, w najlepszym razie zaś ogolić głowę i zostać mniszka, a myślałam, że jestem taka młoda i szczupła! - Wybuchnęła śmiechem. - Prawdę powiedziawszy, to przyznaję, że mam gruby zadek, ale cóż na to poradzić. Po prostu lubię jeść, a to już kłopot Buddy i moje przeznaczenie, nie?

- Podała herbatę. - Proszę. A teraz odchodzę. Czy mam przysłać panią Sazuko?

- Nie, moja troskliwa Kiri-san, nie, dziękuję ci. Trochę porozmawiamy, a potem się prześpię.

- Dobranoc, Tora-sama. Śpij miło bez snów. Ukłoniwszy się jemu i Hiro-matsu, Kiri wyszła.

Z uznaniem pili herbatę.

- Wciąż żałuję, że nie mieliśmy szczęścia, Kiri i ja - powiedział Toranaga. - Kiedyś zaszła w ciążę, ale poroniła. Stało się to w czasie bitwy pod Nagakude.

- Ach, tej.

- Tak.

Fakt ten miał miejsce tuż po zabójstwie dyktatora Gorody, kiedy generał Nakamura, przyszły taikō, starał się skupić w swoich rękach całą władzę. Nie było to wówczas przesądzone, gdyż Toranaga popierał jednego z synów Gorody, jego prawowitego dziedzica. Nie opodal małej wioski Nagakude Nakamura wystąpił przeciwko Toranadze, jego wojska zostały rozbite, poszły w rozsypkę i przegrał tę bitwę. Toranaga rozsądnie się wycofał, ścigany przez inną, nową armię Nakamury, którą dowodził Hiro-matsu. Uniknąwszy wpadnięcia w pułapkę, Toranaga uciekł, nie ponosząc większych strat, do rodzinnych prowincji z całą swoją armią, gotów do następnej bitwy.- Pod Nagakude zginęło pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, a tylko garstka z nich należała do wojsk Toranagi.

W swojej mądrości przyszedł taikō wycofał się z wojny Dōmowej przeciwko Toranadze, choć byłby ją wygrał. Bitwa pod Nagakude była jedyną, jaką przegrał, a Toranaga jedynym generałem, który go pokonał.

- Cieszę się, że nigdy nie stoczyliśmy ze sobą bitwy, wielmożny panie - rzekł Hiro-matsu.

- Tak.

- Wygrałbyś ją.

- Nie. Taikō był największym wodzem i najmądrzejszym, najzdolniejszym człowiekiem, jakiego znałem.

Hiro-matsu uśmiechnął się.

- Owszem. Z wyjątkiem ciebie - odparł.

- Nie. Mylisz się. Właśnie dlatego zostałem jego wasalem.

- Szkoda, że nie żyje.

- Tak.

- +- No a Goroda. . też był wspaniałym człowiekiem, ne? Tak wielu świetnych ludzi nie żyje. -

Hiro-matsu bezwiednie obrócił się i przekręcił wysłużoną pochwę miecza. - Musisz wystąpić przeciwko Ishido. Zmusi to wszystkich daimyō do stanięcia po jednej ze stron, raz na zawsze. W

końcu wygramy tę wojnę. A potem możesz rozwiązać Radę i zostać shōgunem.

- Nie zabiegam o ten zaszczyt - ostro zaprotestował Toranaga. - Ile razy mam ci to powtarzać?

- Wybacz, wielmożny panie, wiem o tym. Ale uważam, że tak byłoby najlepiej dla Japonii.

- To zdrada.

- Wobec kogo, panie? Wobec taikō? On nie żyje. Zdrada wobec jego ostatniej woli? Toż to świstek papieru. Wobec tego chłopca Yaemona? Yaemon jest synem chłopca, który przywłaszczył

sobie władzę i spuściznę generała, którego potomków wytępił. Byliśmy sprzymierzeńcami Gorody, a potem taikō. Tak jest. Ale obaj dawno nie żyją.

- Doradzałbyś to, gdybyś był jednym z regentów?

- Nie. Ale przecież nie jestem regentem i bardzom z tego rad. Jestem jedynie wasalem.

Przed rokiem dokonałem wyboru. Zrobiłem to dobrowolnie.

- Dlaczego?

Toranaga nigdy dotąd go o to nie pytał.

- Ponieważ jesteś prawdziwym mężem, panie, ponieważ jesteś z rodu Minowara i ponieważ postąpisz mądrze. Słusznie powiedziałaś Ishido, że naszym narodem nie może rządzić rada. Nam potrzeba przywódcy. Komu z pięciu regentów miałem zaofiarować swoją służbę? Panu Onoshiemu?

Tak, to bardzo mądry człowiek i dobry dowódca. Ale jest chrześcijaninem, kaleką, a ciało ma tak zżarte trądem, że cuchnie od niego na pięćdziesiąt kroków. Panu Sugiyamie? Jest najbogatszym daimyō w kraju, jego ród jest równie starożytny, jak twój. Ale to przeniewierca bez charakteru i obaj znamy go na wylot. Panu Kiyamie? To mądry, dzielny, wspaniały dowódca i stary towarzysz. Ale również chrześcijanin, a ja uważam, że w tej Krainie Bogów dość mamy własnych bóstw, żeby w takim zadufaniu czcić tylko jednego. Ishido? Jak tylko sięgam pamięcią, nienawidziłem tego zdradliwego chłopskiego padalca, a nie zabiłem go tylko dlatego, że wysługiwał się taikō. - Czerstwe oblicze Hiro-matsu przeciął uśmiech. - Sam więc widzisz, panie Yoshi Toranaga-no-Minowara, że nie dałeś mi wyboru.

- A jeżeli nie posłucham twojej rady? Jeżeli zacznę manipulować Radą Regencyjną, a nawet Ishido, i wydzwignę Yaemona do władzy?

- Cokolwiek robisz, robisz mądrze. Ale wszyscy regenci życzą ci śmierci. Taka jest prawda.

Doradzam ci więc natychmiastową wojnę. Natychmiastową! Zanim pozostawią cię samego. Albo, co bardziej prawdopodobne, zabiją.

Toranaga pomyślał o swoich wrogach. Byli potężni i liczni.

Powrót do Edo gościńcem Tokaidō, głównym traktem nadmorskim, który łączył Edo z Osaka, zajęłby im całe trzy tygodnie. Żegluga statkiem była niebezpieczna, być może nawet zajęłaby więcej czasu, chyba żeby popłynął galera, która może poruszać się pod wiatr i prądy.

Toranaga znów przebiegł w myślach plan, na który się zdecydował. Nie znalazł w nim słabych punktów.

- Wczoraj dowiedziałem się poufnie, że matka Ishido odwiedza w Nagoi swojego wnuka -

rzekł i Hiro-matsu natychmiast zaczął pilnie słuchać. Nagoja była dużym miastem-księstwem, które jak dotąd nie opowiedziało się po żadnej ze stron. - Dama ta powinna zostać „zaproszona” przez przeora świątyni Johji do odwiedzenia jej. Żeby zobaczyć kwitnące wiśnie.

- Natychmiast - powiedział Hiro-matsu - wyślemy gołębia pocztowego.

Świątynia Johji słynęła z trzech rzeczy: swojej alei drzew wiśniowych, wojowniczości jej mnichów zen oraz jawnej i nie gasnącej wierności Toranadze, który przed laty dał pieniądze na jej budowę i od tamtej pory łożył na jej utrzymanie.

- Kwiaty będą już przekwitłe, ale ona stawi się tam jutro. Nie wątpię, że ta czcigodna dama zechce się zatrzymać na kilka dni, to tak uspokaja. Powinna tam przybyć wraz z wnukiem, ne?

- Nie. . tylko ona. W przeciwnym razie „zaproszenie” przeora byłoby zbyt wymowne. Po wtóre: wyślij potajemnie szyfrowaną wiadomość do mojego syna Sudary: „Wyjeżdżam z Osaki, jak tylko skończy się spotkanie Rady Regencyjnej - za cztery dni”. Zrób to przez posłańca, a jutro potwierdź, wysyłając gołębia pocztowego.

Hiro-matsu wyraźnie nie pochwalał tej decyzji.

- A czy wobec tego mogę natychmiast zawezwać dziesięć tysięcy ludzi? Do Osaki?

- Nie. Ci tutaj mi wystarczą. Teraz chyba się prześpię.

Hiro-matsu wstał i rozprostował ramiona. A potem, kiedy znalazł się w drzwiach, spytał:

- Czy mogę pozwolić swojej wnuczce Fujiko, żeby się zabiła?

- Nie. Ale Fujiko jest samurajką, panie, a sam wiesz, jak matki traktują swoich synów. To był jej pierworodny.

- Fujiko może mieć wiele dzieci. Ile ma lat? Osiemnaście. . ledwo dziewiętnaście? Znajdę jej innego męża.

Hiro-matsu potrząsnął głową.

- Nie zgodzi się na nikogo. Za dobrze ją znam. Jej najgłębszym życzeniem jest zakończyć życie. Pozwolisz, panie?

- Powiedz swojej wnuczce, że nie pochwalam śmierci bez potrzeby. Odmawiam pozwolenia.

Po dłuższej chwili Hiro-matsu uklonił mu się i chciał wyjść, kiedy Toranaga spytał:

- Ile czasu barbarzyńca wytrzyma w tym więzieniu? Hiro-matsu nie odwrócił się.

- To zależy, jak zaciekle potrafi walczyć.

- Dziękuję ci. Dobranoc, Hiro-matsu - powiedział Toranaga, a kiedy upewnił się, że jest sam, rzekł cicho: - Kiri-san?

Wewnętrzne drzwi pokoju otworzyły się, kobieta weszła i uklękła.

- Prześlij natychmiast wiadomość Sudarze: „Wszystko w porządku”. Wyślij ją gołębiami pocztowymi. Wypuść o świcie trzy jednocześnie. W południe zrób to samo.

- Tak, panie - powiedziała i wyszła.

Jeden doleci, pomyślał. Co najmniej cztery padną łupem strzał, szpiegów lub jastrzębi. Ale jeżeli Ishido nie złamał naszego szyfru, to ta wiadomość i tak mu nic nie powie.

Szyfr ten był bardzo tajny. Znały go cztery osoby. Jego najstarszy syn Naboru, jego drugi syn i następca - Sudara, Kiri oraz on sam. Rozszyfrowana wiadomość znaczyła: „Nie zważaj na wszelkie inne wiadomości. Wprowadź Plan Piąty”. Przygotowany wcześniej Plan Piąty zawierał

rozkazy zebrania wszystkich przywódców klanu Yoshi wraz z ich najbardziej zaufanymi tajnymi doradcami w jego stolicy Edo i przygotowania się do wojny. Zaszifrowane słowa oznaczające wojnę brzmiały „Szkarłatne Niebo”. Jego zabójstwo albo uwięzienie nieuchronnie uruchamiało Szkarłatne Niebo i rozpoczynało wojnę - natychmiastowy zaciekły atak wszystkich oddziałów na Kioto, pod wodzą jego następcy Sudary, przejęcie władzy w mieście i nad marionetkowym cesarzem Japonii.

Towarzyszyłyby mu przygotowane w tajemnicy, skrupulatnie zaplanowane bunty w pięćdziesięciu prowincjach, które od lat szykowano na taką okoliczność. Wszystkie cele ataku, szlaki, miasta, zamki, mosty, zostały wybrane dawno temu. Było dość broni, żołnierzy i środków do przeprowadzenia tego wszystkiego.

To dobry plan, pomyślał Toranaga. Ale zawiedzie, jeżeli nie przeprowadzę go ja. Sudarze się to nie uda. Nie dlatego, że nie dołoży starań, zabraknie mu odwagi bądź inteligencji, ale z powodu zdrady. Po prostu Sudarze brak jeszcze odpowiedniej wiedzy i doświadczenia, żeby pociągnąć za sobą daimyō nie zaangażowanych dotąd po żadnej ze stron. A ponadto na drodze stoją mu niezłomnie zamek w Osace i następca taikō, Yaemon, stanowiąc soczewkę, w której skupia się cała wrogość i zazdrość nagromadzona przeciwko mnie w ciągu tej trwającej pięćdziesiąt dwa lata wojny.

Dla Toranagi wojna rozpoczęła się, kiedy miał sześć lat i kazano mu być zakładnikiem w obozie wroga, potem zwolniono go, a następnie schwytany przez innych wrogów znów był trzymany w zastaw i wykupiony w wieku lat dwunastu. Kiedy miał dwanaście lat, poprowadził swój pierwszy zwiad i wygrał pierwszą potyczkę.

Tyle bitew. Ani jednej przegranej. Ale także tylu wrogów. Którzy w tej chwili łączą siły.

Sudarze się nie uda, powtórzył sobie. Tylko ty możesz wygrać za pomocą Szkarłatnego Nieba, być może. Taikō wygrałby na pewno. Lepiej jednak byłoby nie wprowadzać Szkarłatnego Nieba w czyn.

14.

Dla Blackthorne'a ten świt był straszny. Starł się w walce na śmierć i życie z innym więźniem.

Poszło o miskę owsianki. Obaj byli nadzy. Kiedy więźnia wtrącano do tego ogromnego, parterowego, drewnianego baraku, odbierano mu ubranie. W ubraniu człowiek zajmował więcej miejsca i mógł w nim ukryć broń.

Mroczne i duszne pomieszczenie miało pięćdziesiąt kroków na dziesięć i wypełniali je nadzy, spoceni Japończycy. Przez belki i deski, z których zbudowano ściany i nisko zawieszony, sufit, przesączało się bardzo niewiele światła.

Blackthorne z trudem mógł stać wyprostowany. Ciało miał brudne, podrapane połamanymi paznokciami przeciwnika i poobcierane o drewniane ściany. Wreszcie udało mu się trzasnąć Japończyka bykiem w twarz, chwycił go za gardło i zaczął walić jego głową o belki, aż tamten stracił przytomność. Potem zaś odrzucił nieprzytomnego w bok, przez kłębowisko spoconych ciał utorował sobie drogę do kąta, który dla siebie zajął, i przygotował się na następny atak.

O świcie karmiono więźniów i strażnicy przez mały otwór zaczęli im podawać miski z owsianką i wodą. Odkąd wczoraj o zmierzchu wrzucono go tutaj, był to pierwszy posiłek i napój. Kolejka po jedzenie i wodę zachowywała się nadzwyczaj spokojnie. Bez tej dyscypliny nikt by nie zjadł. I właśnie wówczas ten podobny do małpy Japończyk - nie ogolony, brudny i zawoszony - rąbnął go w nerki i zabrał mu porcję, podczas gdy inni czekali, co z tego wyniknie. Ale Blackthorne brał udział w zbyt wielu marynarskich bójkach, żeby złamał go jeden podstępny cios, tak więc najpierw udał

bezradnego, a potem kopnął przeciwnika, bez pardonu i rozgorzała walka. W tej chwili zaś, siedząc w kącie, ku swojemu zdumieniu ujrzał, że jakiś więzień podaje mu miskę z papką i wodę, które uznał za stracone. Przyjął je i podziękował Ofiarodawcy.

Kąty więzienia były miejscami luksusowymi. Wzdłuż glinianej polepy przez całą jego długość biegła belka, dzieląca pomieszczenie na połowy. Każda mieściła po trzy rzędy więźniów, z których dwa siedziały do siebie twarzami, a plecami do ściany lub belki, trzeci, zaś pomiędzy nimi. Środkowy rząd był przeznaczony wyłącznie dla słabych i chorych. Kiedy silniejsi z zewnętrznych rzędów chcieli rozprostować nogi, to musieli je kłaść na tych w środku.

W jednym ze środkowych rzędów Blackthorne zauważył dwa trupy, obrzmiałe i opaskudzone przez muchy. Ale słabi i dogorywający więźniowie w pobliżu nie zwracali na nie uwagi.

W rozgrzanym półmroku nie widział daleko. Słońce już zaczęło prażyć drewniane ściany. Stały tu cebry na nieczystości, smród jednak był potworny, ponieważ chorzy zanieczyszczali siebie i miejsca, w których siedzieli skurczeni.

Niekiedy strażnicy otwierali żelazne drzwi i wywoływali nazwiska. Więźniowie kłaniali się

towarzyszom i wychodzili, lecz niektórych wkrótce wprowadzano z powrotem i znów zajmowali miejsce. Wszyscy uwięzieni najwyraźniej godzili się ze swą dolą i starali się, jak tylko mogli, nie okazywać egoizmu i żyć w pokoju z najbliższymi sąsiadami.

Ktoś przy ścianie zaczął wymiotować. Szybko zepchnięto go do środkowego rzędu, gdzie na wpół uduszony zwałił się pod ciężarem nóg współwięźniów.

Blackthorne musiał zamknąć oczy i wyteńczyć wolę, by powstrzymać strach i uczucie klaustrofobii. Przeklęty Toranago! - pomyślał. Modłę się, żebym miał kiedyś możliwość wtrącenia cię tutaj choć na jeden dzień!

Przekłęci strażnicy! Zeszłego wieczoru, kiedy kazali mu się rozebrać, z poczuciem gorzkiej daremności opierał się im wiedząc, że przegrał, a walczył jedynie dlatego, że nie chciał się poddać biernie. Wepchnęli go więc przez te drzwi siłą. Baraków więziennych było cztery. Stały na skraju miasta, pośrodku brukowanego placu otoczonego wysokim kamiennym murem. Za murem tym, nie opodal rzeki, rozciągał się ubity, ogrodzony grunt. Wzniesiono tam pięć krzyży. Do ich belek przywiązano za nadgarstki i kostki nóg nagich mężczyzn i kobietę, a kiedy Blackthorne tamtędy przechodził, podążając za prowadzącymi go samurajami wzdłuż ogrodzenia, zobaczył katów z długimi pikami, którymi rozcinali ofiarom na krzyż piersi pośród wiwatującego tłumu. A potem piątkę tę odcięto i wyniesiono na krzyże następną, wówczas zaś wystąpili naprzód samuraje i długimi mieczami, cały czas się śmiejąc, posiekali trupy na kawałki.

Krwiożercze podłe rzeźniki! - pomyślał.

Więzień, z którym walczył, niepostrzeżenie odzyskał przytomność. Leżał w środkowym rzędzie. Część twarzy z jednej strony miał pokrytą zakrzepłą krwią, a nos rozbity. Znienacka, nie zważając na siedzących mu na drodze ludzi, rzucił się na Blackthorne'a.

Blackthorne dojrzał go w ostatniej chwili, zaciekle odparował atak i kopnął napastnika w biodro. Więźniowie, na których Japończyk upadł, przeklęli go, a jeden z nich, przysadzisty, zbudowany jak buldog, trzasnął go bez pardonu kantem dłoni w kark. Rozległ się suchy chrzęst i głowa napastnika zwiśla.

Buldogowaty więzień uniósł jego na wpół ogoloną głowę za cienki, zawieszony węzeł na jej szczycie, a potem wypuścił. Spojrzał na Blackthorne, powiedział coś gardłowo? odsłonił w uśmiechu nagie, bezzębne dziąsła i wzruszył ramionami.

- Dziękuję - powiedział Blackthorne ciężko dysząc, wdzięczny losowi, że jego napastnik w walce bez broni nie miał umiejętności Mury. - Nazywam się Anjin-san - rzekł pokazując na siebie. -

A ty?

- Ah, so desu! Anjin-san! - Buldog wskazał na siebie i wciągnął powietrze. - Minikui.

- Minikui-san?

- Hai - odparł tamten i wyrzucił z siebie potok japońskich słów.

- Wakarimasen - Nie rozumiem - odparł z rezygnacją Blackthorne.

- Ah, so desu!

Buldog przez chwilę trajkotał z sąsiadami. Jeszcze raz wzruszył ramionami, a potem z pomocą współtowarzyszy przeniósł trupa i ułożył go obok innych zwłok. Wrócili w kącie celi, gdzie nikt nie zajął ich miejsc.

Więźniowie przeważnie spali lub starali się na chwilę przysnąć.

Blackthorne czuł się okropnie, brudny i bliski śmierci. Bez obawy, powiedział sobie, jeszcze wiele musisz przejść, żeby umrzeć. . Nie, nie pożyję długo w tej piekielnej norze. Za dużo tu ludzi.

O Boże, wyciągnij mnie stąd! Dlaczego to więzienie tak faluje i czy to Rodrigues wypływa z głębin z poruszającymi się szczypcami w miejscu oczu? Duszę się, duszę się. Muszę się stąd wydostać, proszę, proszę, nie dokładajcie już drewna do ogniska. . Co ty tu robisz, Croocq, chłopaku, myślałem, że cię wypuścili, myślałem, że wróciliście do wioski, ale my przecież jesteśmy teraz w wiosce, więc jak się tam znalazłem. . Jest tak chłodno, a na przystani jest ta dziewczyna, taka śliczna, ale czemu nadzy samurajowie odciągają ją, a Orni się śmieje? Dlaczego na piasku, na piasku są ślady krwi, wszyscy nadzy, ja nagi, wiedźmy, wieśniacy, dzieci, jest też kocioł, a my w nim, nie, wystarczy drewna, wystarczy drewna, tonę w płynnych nieczystościach, o Boże, Boże, Boże, umieram, umieram, umieram. „In nomine Patris et Filii at Spiritus Sancti”. To ostatni sakrament, jesteś katolikiem, wszyscy są katolikami i płoniesz albo toniesz w szczytach, płoniesz w ogniu, w ogniu, w ogniu. .

Otrząsnął się z sennego koszmaru, a uszy rozsądzała mu spokojna, druzgocąca nieodwołalność słów ostatniego sakramentu. Przez chwilę nie wiedział, czy jest przytomny, czy śpi, ponieważ jego nie dające wiary uszy usłyszały jeszcze raz łacińskie błogosławieństwa, a nie dowierające oczy ujrzały pomarszczone oblicze starego stracha na wróble, Europejczyka, który piętnaście kroków od niego stał pochylony w środkowym rzędzie. Ów bezzębny starzec z długimi brudnymi włosami, skołtunioną brodą i połamanymi paznokciami miał na sobie cuchnący, wytarty chałat. Uniósł w górę przypominającą sępie szpony dłoń i zatrzymał ją z drewnianym krzyżem nad na wpół widocznymi zwłokami. Na krótką chwilę oświetlił go nikły promyczek słońca. Zamknął umarłemu oczy, wymamrotał

modlitwę i podniósł wzrok. Spostrzegł wpatrującego się weń Blackthorne'a.

- Matko Boża, czyś ty jest naprawdę? - zaskrzeczał szorstkim, prostackim głosem hiszpańskiego wieśniaka, żegnając się.

- Tak” - odparł po hiszpańsku Blackthorne. - A tyś kto?

Starzec po omacku utorował sobie drogę, mamrocąc do siebie.

Więźniowie pozwolili mu przestąpić przez swoje ciała lub po nich bez jednego słowa. Spojrzał

kaprawymi oczami na Blackthorne'a, twarz pokrytą miał kurczajkami.

- Och, Błogosławiona Dziewico, tyś, señor, jest naprawdę. Ktoś ty?

Ja. . jam jest brat. . brat Domingo.. Domingo z Najświętszego.. z Najświętszego Zakonu Świętego Franciszka. . Zakonu. . - Na jakiś czas jego mowa zamieniła się w mieszaninę japońskiego, łaciny i hiszpańskiego. Głowa drgała mu spazmatycznie, otarł ślinę, która bez przerwy ściekała mu z ust na podłogę. - Tyś, señor, jest naprawdę?

- Tak, jestem naprawdę.

Blackthorne odsunął się trochę.

Mnich wymamrotał jeszcze jedną zdrowaśkę, po policzkach ciekły mu łzy. Raz po raz całował krzyż i gdyby było miejsce, to padłby na kolana. Buldogowaty Japończyk potrząsnął sąsiadem, budząc go. Obaj przykucnęli i zrobili franciszkaninowi dość miejsca, by mógł usiąść.

- Na błogosławionego świętego Franciszka, moje modlitwy zostały wysłuchane. Ty, ty, ty, myślałem, że widzę jeszcze jedną zjawę, señor, ducha. Tak jest, złego ducha. Widziałem ich tak wiele, tak wiele. . długoś tu, señor, jest? Trudno człękowi widzieć w takiej ćmie, a moje oczy nie widzą już tak dobrze. . Jak długo?

- Od wczoraj. A ty?

- Nie wiem, señor. Długo. Wtrącili mnie tu we wrześniu. . roku pańskiego 1598.

- A teraz mamy maj tysiąc sześćsetnego.

- Tysiąc sześćsetnego?

Czyjś jęk odwrócił uwagę mnicha. Wstał i niczym pajak przedostał się przez ciała leżących, tu kogoś dotykając, ówdzie pokrzepiając w płynnej japońszczyźnie. Nie znalazł konającego, więc wyklepał w tamtej części baraku modlitwę za zmarłych i pobłogosławił wszystkich, czego nikt nie wziął mu za złe.

- Chodź ze mną, synu - rzekł.

Nie czekając, mnich odszedł kuśtykając w mrok przez więzienie pośród ludzkiej masy.

Blackthorne zawahał się, bo nie chciał stracić swojego miejsca. W końcu jednak wstał i poszedł za nim. Zrobiwszy dziesięć kroków, obejrzał się. Jego miejsce zniknęło. Wydawało się niemożliwe, żeby w ogóle kiedyś je zajmował.

Ruszył dalej przez barak. Na jego drugim końcu było, nie do wiary, trochę wolnej przestrzeni.

Dość miejsca, by mógł się położyć ktoś drobny. Stało tam kilka misek, garnuszków i leżała stara

słomiana mata.

Ojciec Domingo dostał się na to wolne miejsce, przestępując przez Japończyków, i przywołał

Blackthorne'a ręką. Otaczający go więźniowie przepuścili Anglika, przyglądając się mu w milczeniu.

- To moja trzódka, señor. Wszyscy oni są moimi synami w Błogo sławionym Jezusie Chrystusie. Tak wielu tutaj nawróciłem - to jest Jan, a to Marek i Matuzalem. . - Mnich urwał, żeby zaczerpnąć tchu. - Taki jestem zmęczony. Taki zmęczony. Muszę. . muszę. .

Nie dokończył zdania, zasnął.

O zmierzchu znowu przyniesiono jedzenie. Jeden z Japończyków dał Blackthorne'owi znak, żeby został, i przyniósł mu pełną miskę. Inny obudził delikatnym klepnięciem franciszkanina i podał mu jedzenie.

- Iye - odparł z uśmiechem na twarzy starzec potrząsając głową i wepchnął Japończykowi miskę z powrotem do rąk.

- Iye, Farddah-sama.

Duchowny pozwolił się przekonać i zjadł trochę, po czym wstał, strzelając stawami, i wręczył miseczkę jednemu z siedzących w środkowym rzędzie. Człowiek ów przyłożył rękę mnicha do swojego czoła i otrzymał od niego błogosławieństwo.

- Tak się cieszę, że widzę kogoś ze swoich - rzekł franciszkanin szorstkim, schrypłym wieśniaczym głosem, siadając znów przy Blackthornie. Słabowitym gestem wskazał na drugi koniec więzienia. - Jeden z mojej trzódki twierdzi, żeś użył, señor, słowa „pilot” - „anjin”. Jesteś, señor, pilotem!

- Tak.

- Są tu inni z załogi señor?

- Nie, tylko ja. Dlaczego tu siedzisz, ojcze? Skoroś sam, señor. . czyś przyplłynął z Manili?

Nie. Nigdy przedtem nie byłem w Azji - odparł ostrożnie Blackthorne w nieskazitelnej hiszpańszczyźnie. - To był mój pierwszy rejs jako pilota. Była to.. była to podróż docelowa.

Dlaczego tu siedzisz?

- Przez jezuitów, synu, jezuitów i ich wredne kłamstwa. Płynąłeś docelowo, señor? Nie jesteś Hiszpanem, nie. . ani Portugalczykiem. . - Mnich wpatrzył się w niego podejrzliwie i Blackthorne'a spowił jego cuchnący oddech, - Czy twój statek był portugalski? Mów prawdę, jak ci Bóg miły!

- Nie, ojcze. Nie był portugalski. Jak mi Bóg miły!

- Och, Błogosławiona Dziewico, dzięki Ci! Proszę, wybacz mi, señor. Bałem się, jestem stary, głupi i schorowany. Twój hiszpański statek pochodził skąd? Tak się cieszę. . skądeś, señor, właściwie jest? Z hiszpańskiej Flandrii? A może z Brandenburgii? Z któregoś z naszych dominiów w Niemczech? Och, jak dobrze jest pogadać sobie znowu w błogosławionej ojczyściej mowie! Rozbiłeś się, señor, tak jak my? A potem haniebnie wtrąciły cię do tego więzienia i fałszywie oskarżyły te jezuickie diabły? Niech ich Pan Bóg skarże i wykaże im, jakim grzechem jest ich zdradliwość! -

Oczy franciszkanina zapłonęły. - Powiadasz, señor, żeś nie był dotąd w Azji?

- Nie byłem.

Jeśliś, señor, nigdy dotąd nie był w Azji, toś jest niczym dziecko na puszczy. Tak, tyle jest do powiedzenia! Czy wiesz, señor, że jezuici to zwyczajni handlarze, przemytnicy dział i lichwiarze?

Że trzymają w swoich łapach cały tutejszy handel jedwabiem, cały handel z Chinami? Że co roku Czarna Karawela przewozi towary warte milion w złocie? Że zmusili Jego Świątobliwość, papieża, do przyznania im całkowitej władzy w Azji, im i ich sługusom Portugalczykom? Że wszystkie inne zakony są tu zakazane? Że jezuici obracają złotem, sprzedając i kupując dla zysku - dla siebie i dla tych pogan - wbrew wyraźnym zakazom Ojca Świętego, papieża Klemensa, króla Filipa i wbrew prawom tego kraju? Że potajemnie przemycili działa dla tutejszych chrześcijańskich władców, podburzając ich do buntu? Że wtrącają się do polityki, stręczą dla miejscowych królów, łżą, oszukują i składają fałszywe świadectwa przeciwko nam?! Że ich ojciec przełożony potajemnie przesłał wiadomość naszemu hiszpańskiemu wicekrólowi na Luzonie, prosząc go o przysłanie konkwistadorów na podbój tej ziemi? Że błagali o hiszpańską inwazję, aby ukryć więcej portugalskich błędów? Wszelkie nasze nieszczęścia to ich zasługa, señor. To jezuici kłamią, oszukują i rozsiewają zatrute wieści przeciwko Hiszpani i naszemu ukochanemu królowi Filipowi! To ich kłamstwa mnie tu wtrąciły i przyczyniły się do męczeńskiej śmierci dwudziestu sześciu świątobliwych ojców! Myślą, że skoro kiedyś byłem chłopem, to nie rozumiem. . Ale ja umiem pisać i czytać, señor, ja umiem pisać i czytać! Byłem jednym z sekretarzy jego ekscelencji, wicekróla.

Myślą, że my, franciszkanie, nie rozumiemy. .

W tym momencie starzec znowu zaczął prawić po łacinie przemieszanej z hiszpańskim.

Blackthorne'a, bardzo podnieconego i zaciekawionego tym, co po wiedział mu mnich, podniosło to na duchu. Jakie działa? Jakie złoto? Jaki handel? Jaka Czarna Karawela? Jaki milion? Jaka inwazja? Jacy chrześcijańscy królowie?.

Czy nie oszukujesz tego biednego starca? - zadał sobie pytanie. On uważa cię za przyjaciela, a nie wroga.

Nie skłamałem mu.

Ale czyś nie dał do zrozumienia, że jesteś przyjacielem?

Odpowiedziałem mu na pytanie wprost.

Ale niczego nie wyjawiałś dobrowolnie. Nie.

Czy to uczciwe?

Pierwsza zasada przeżycia na wodach wroga brzmi: nie wyjawiać dobrowolnie niczego.

Gniew mnicha szybko wzrastał. Siedzący w pobliżu Japończycy poprawili się niespokojnie.

Jeden wstał, delikatnie potrząsnął go za ramię i do niego przemówił. Ojciec Domingo powoli ochłonął

z wściekłości, a wzrok mu oprzytomniał. Spojrzał na Blackthorne'a, rozpoznając go, odpowiedział Japończykowi i uspokoił pozostałych.

- Bardzo przepraszam, señor - rzekł bez tchu. - Oni. . oni myśleli, że gniewam się na. . na seniora. Boże, wybacz mi mój niemądry gniew! Ja tylko.. que va, jezuici są z piekła rodem, tak jak heretycy i poganie. Mogę ci o nich wiele opowiedzieć. - Starł z brody ślinę i starał się uspokoić.

Przycisnął rękę do klatki piersiowej, żeby zmniejszyć ból w środku. - O co to pytałem, señor? O twój statek, czy go wyrzuciło na brzeg?

- Tak. Poniekąd. Utknęliśmy na mieliźnie - odparł Blackthorne. Ostrożnie rozprostował nogi.

Przyglądający się i przysłuchujący się im Japończycy zrobili mu więcej miejsca. Jeden wstał i pokazał mu, żeby się wyciągnął. - Dziękuję - odparł natychmiast. - Aha, jak się mówi „dziękuję”, ojczy?

- Dōmo. Czasem mówi się „arigato”. Kobiety muszą być bardzo grzeczne, señor. Mówią „arigato goziemashita”.

- Dziękuję. Jak on się nazywa?

Blackthorne wskazał na Japończyka, który przedtem wstał.

- To Gonzales.

- Ale jak się nazywa po japońsku?

- Aha. To Akabo. Ale znaczy to po prostu „tragarz”, señor. Oni nie mają nazwisk. Nazwiska noszą tylko samuraje.

- Co takiego?

- Tylko samuraje mają nazwiska, imiona i nazwiska. To ich prawo, señor. Pozostali muszą się zadowolić określeniami zawodów, jakie wykonują, nazywają się więc Tragarz, Rybak, Kucharz, Kat,

Rolnik i tak dalej. Synowie i córki nazywane są Pierwszą Córką, Drugą Córką, Pierwszym Synem et cetera. Czasem nazywają kogoś „Rybakiem, który mieszka niedaleko wiązu” albo „Rybakiem ze słabym wzrokiem”. - Mnich wzruszył ramionami i powstrzymał ziewnięcie. - Zwykłym Japończykom nie wolno nosić nazwisk. Ladacznice obierają sobie takie imiona jak Karp, Księżyc, Płatek, Węgorz albo Gwiazda. Dziwne to, señor, ale takie tu mają prawo. My dajemy im imiona chrześcijańskie, prawdziwe imiona, gdy ich chrzczymy, przynosząc im zbawienie i Słowo Boże. .

Starzec zamilkł i usnął.

- Dōmo, Akabo-san - powiedział Blackthorne do tragarza.

Japończyk uśmiechnął się nieśmiało, uklonił się i wciągnął do ust powietrze.

Obudziwszy się mnich zmówił krótką modlitwę i się podrapał.

- Powiadasz, señor, żeś jest tu dopiero od wczoraj? - spytał. - Żeś przybył tu zaledwie wczoraj? Co ci się przydarzyło, señor?

- Po wylądowaniu na brzegu zastaliśmy jezuitów - odparł Blackthorne. - Ale ty, ojcze, czy nie powiedziałaś, że cię oskarżyli? Co się przydarzyło tobie i waszemu statkowi?

Naszemu statkowi? Pytasz, señor, o nasz statek? Przyłynąłeś, señor, z Manili, tak jak my?

Czy może. . ach, ale ze mnie głupiec! Teraz przypominam sobie, żeś, señor, wypłynął w docelowy rejs i że nigdyś dotąd nie był w Azji. Na Błogosławione Ciało Jezusa Chrystusa, jak to dobrze jest rozmawiać znów z cywilizowanym człowiekiem w mojej błogosławionej ojczyściej mowie! Que va, to tyle czasu. Boli mnie, bardzo boli mnie głowa, señor. Nasz statek? Nareszcie wracaliśmy do ojczyzny. Do ojczyzny z Manili do Acapulco, w ziemi Corteza, w Meksyku, a dalej łodem do Veracruz. Stamtąd zaś jeszcze jednym statkiem przez Atlantyk, nareszcie, nareszcie do ojczyzny!

Moja wioska leży pod Madrytem, señor, w górach. Nazywa się Santa Veronica. Przebywałem poza krajem czterdzieści lat, señor. W Nowym Świecie, w Meksyku i na Filipinach. Zawsze z naszymi wspaniałymi konkwistadorami, niech ich Święta Dziewica ma w swojej opiece! Byłem na Luzonie, kiedyśmy zabili tamtejszego pogańskiego króla Lumalona, podbili Luzon i w ten sposób wprowadzili Słowo Boże na Filipiny. Już nawet wtedy walczyło tam razem z nami wielu naszych japońskich neofitów señor. Cóż to za wojownicy! Było to w roku 1575. Macierzysty Kościół jest na Luzonie dobrze zakorzeniony, synu, i nie uświadczysz tam żadnych plugawych jezuitów ani Portugalczyków.

Przybyłem do Japoni na prawie dwa lata, a potem, po zdradzie jezuitów, musiałem wyjechać znowu do Manili.

Franciszkanin zamilkł, zamknął oczy i przysnął. Po jakimś czasie znów się ocknął i jak to bywa ze starszymi ludźmi, ciągnął przerwany wątek, jakby w ogóle nie drzemał.

- Mój statek był wielkim galeonem San Felipe. Wieźliśmy ładunek złożony z przypraw, złota, srebra i monet wartości półtora miliona srebrnych peso. Jeden z tych wielkich sztormów porwał nas i wyrzucił na brzegi Sikoku. Na trzeci dzień nasz statek rozpękł się na piaszczystym progu morskim, a

do tego czasu cały kruszec i większość ładunku zdążyliśmy przewieźć na brzeg. A potem nadeszła wieść, że wszystko zostaje skonfiskowane przez samego taikō, my zaś jesteśmy piratami i .

Nagle zamilkł.

Pchnięte żelazne drzwi do więzienia rozwarły się.

Strażnicy zaczęli wywoływać z listy nazwiska. Wśród wywołanych znalazł się buldogowaty Japończyk, który zaprzyjaźnił się z Blackthorne'em. Wyszedł, nie obejrzawszy się. Wybrany też został jeden z gromadki katolików - Akabo. Akabo ukląkł przed franciszkaninem, a ten pobłogosławił go, zrobił nad nim znak krzyża i szybko udzielił ostatniego sakramentu. Japończyk ucałował krzyż i odszedł.

- Drzwi zamknięto., Czy go stracą? - spytał Blackthorne.

- Tak, jego kalwaria jest za tymi drzwiami. Oby Święta Dziewica szybko wzięła jego duszę i obdarzyła wieczystą nagrodą.

- A co on takiego zrobił?

Złamał prawo, señor. . ich prawo. Japończycy to prości ludzie. I bardzo surowi. Właściwie znają tylko jedną karę - karę śmierci. Przez ukrzyżowanie, uduszenie albo ścięcie głowy. Za podpalenie karą jest spalenie żywcem. Innych kar się prawie nie spotyka - czasem kogoś wygnają, czasem jakiejś kobiecie obetną włosy. Ale - tu starzec westchnął - ale najczęściej jest to śmierć.

- Zapomniałeś o uwięzieniu.

Mnich w roztargnieniu podrapał paznokciami strupy na rękę.

- Oni nie uważają tego za karę, synu. Dla nich więzienie to jedynie miejsce, w którym trzyma się człowieka do wydania na niego wyroku. Trafiają tu wyłącznie winni. Na bardzo krótko.

- Bzdury. A co z tobą? Siedzisz tu rok, prawie dwa lata.

- Któregoś dnia przyjdą po mnie, tak jak po pozostałych. To jedynie popas pomiędzy piekłem na ziemi a chwałą Wiekuistego Żywota.

- Nie wierzę ci.

- Nie lękaj się, synu. Tak chce Bóg. Jestem tu, mogę wysłuchać twojej spowiedzi, señor, dać ci rozgrzeszenie i oczyścić, chwała Wiekuistego Żywota jest zaledwie o sto kroków i kilka chwil od tych drzwi. Chcesz, señor, żebym teraz wysłuchał twojej spowiedzi?

- Nie. . nie, dziękuję. Nie teraz. - Blackthorne spojrział na żelazne drzwi. - Czy ktoś próbował kiedyś stąd uciec?

- A po co miałyby to robić? Nie ma dokąd uciec. . nie ma gdzie się ukryć. Władze są bardzo surowe. Każdy, kto pomaga zbiegłemu więźniowi, a nawet temu, kto popełnia przestępstwo.. -

Wskazał w stronę drzwi. - Gonzales, Akabo, ten, który. . który nas opuścił, to kaga. Powiedział mi. .

- Kto to jest kaga?

- Ach, kaga to tragarze, señor, ludzie noszący palankiny i takie mniejsze. . rodzaj hamaków, służących do transportu osób, które niesie dwóch. Powiedział mi, że jego wspólnik, biedaczyna, ukradł klientowi jedwabny szal, a ponieważ Akabo nie doniósł o tej kradzieży, również i on traci życie. Wierz mi, señor, ten, kto spróbowałby uciec albo dopomógłby w ucieczce komuś, sam straciłby życie, a w dodatku cała jego rodzina. Japończycy są bardzo surowi, señor.

- A więc wszyscy idą tu do kata jak barany?

- Nie mają wyboru. To wola boska.

Nie wpadaj w gniew ani popłoch, ostrzegł się Blackthorne. Bądź cierpliwy. Coś wymyślisz. Nie wszystko, co mówi ten mnich, jest prawdą. On stracił rozum. No, bo któżby nie stracił po takim czasie?

- Te więzienia to u nich nowość, señor - ciągnął franciszkanin.- Powiadają, że ustanowił je kilka lat temu taikō. Przed nim w ogóle ich nie było. Przedtem, kiedy schwytano człowieka, to przyznawał się do przestępstwa i go zgładzali.

- A jeżeli się nie przyznał?

- Wszyscy się przyznają. . im prędzej, tym lepiej dla nich, señor. W naszym świecie jest tak samo, jeżeli już kogoś schwytają.

Mnich zdrzemnął się na krótko, drapiąc się w czasie snu i mamrocząc. Kiedy się obudził, Blackthorne zagadnął go:

- Powiedz mi, proszę, ojcze, jakże ci przekłęci jezuici mogą wtrącić bożego człowieka do tej zatraconej nory.

- Niewiele jest tu do powiedzenia, i tyle. Po przybyciu ludzi taikō i zabranii nam całego kruszcu i towarów nasz dowódca wyprawy domagał się, żeby jechać do stolicy z protestem. Nie było podstaw do tej konfiskaty. Czyż nie byliśmy poddanymi Najwyższego Majestatu, Jego Katolickiej Wysokości króla Hiszpanii Filipa, władcy największego i najbogatszego imperium na świecie?

Najpotężniejszego monarchy na świecie? Czyż nie byliśmy zaprzyjaźnieni? Czy taikō nie prosił

hiszpańskiej Manili o bezpośredni handel z Japonią, aby przełamać haniebny monopol Portugalczyków? Ta konfiskata była całkowitą pomyłką. Na pewno.

Pojechałem z dowódcą naszej wyprawy, ponieważ mówię trochę po japońsku, choć podówczas

znałem go niewiele. San Felipe utknął i osiadł na brzegu w październiku 1597 roku. Jezuici - jeden z nich nazywał się Martin Alvito - mieli czelność zaproponować nam tam, w Kioto, swoje pośrednictwo.

Bezczelni! Nasz franciszkański przeor, brat Braganza, mieszkał w tej okolicy i był ambasadorem, prawdziwym ambasadorem hiszpańskim na dworze taikō! Błogosławiony brat Braganza przebywał w ich stolicy, w Kioto, od pięciu lat, señor. Taikō osobiście poprosił naszego wicekróla w Manili o przysłanie do Japoni franciszkanów i ambasadora. Tak więc błogosławiony brat Braganza przybył tu.

My zaś, señor, my, z San Felipe, wiedzieliśmy, że jemu, w przeciwieństwie do jezuitów, możemy ufać.

Po wielu, wielu dniach doczekaliśmy się posłuchania u taikō - był to niepozorny, brzydki, niski mężczyzna, señor - i poprosiliśmy o zwrot naszych dóbr oraz inny statek albo przewiezienie nim, za co nasz dowódca wyprawy obiecał dobrze zapłacić. Posłuchanie przebiegło pomyślnie, jak sądziliśmy, i taikō pożegnał nas. Pojechaliśmy do naszego klasztoru w Kioto i czekaliśmy, a czekając na jego decyzję przez następne miesiące, wciąż głosiliśmy Słowo Boże wśród tych pogan. Nabożeństwa odprawialiśmy otwarcie, a nie pod osłoną nocy jak złodzieje, co robią jezuiti.

W głosie brata Domingo Odezwała się pogarda.

- Chodziliśmy w swoich habitach i ornatach, a nie przebrani tak jak oni, jak miejscowi kapłani.

Szerzyliśmy Słowo Boże między ludźmi, chromymi, chorymi i ubogimi, a nie jak jezuiti, którzy przestają wyłącznie z książętami. Liczba naszych wiernych rosła. Mieliśmy własny szpital dla trędowatych, własny kościół, a naszej trzódce dobrze się wiodło, señor. Doskonale. Byliśmy bliscy nawrócenia wielu ich władców i wówczas pewnego dnia zostaliśmy zdradzeni.

Pewnego styczniowego dnia nas, franciszkanów, sprowadzono wszystkich przed urząd miasta i za osobistą zgodą taikō, señor, oskarżono o pogwałcenie ich praw, zakłócenie spokoju i skazano na śmierć przez ukrzyżowanie. Było nas czterdziestu trzech. Nasze kościoły w tym kraju miały być zniszczone, wszystkie nasze parafie rozpędzone - franciszkańskie, nie jezuickie, señor. Tylko nasze! Zostaliśmy fałszywie oskarżeni. Jezuici wsączyli do ucha taikō trucicielskie wieści, że jesteśmy konkwistadorami, że chcieliśmy dokonać inwazji na te ziemie, a przecież to jezuiti błagali jego ekscelencję, naszego wicekróla, żeby wysłał tu wojsko z Manili. Widziałem ten list na własne oczy! List od ich przełożonego! To diabły, co udają, że służą Kościołowi i Chrystusowi, ale służą wyłącznie sobie. Pożądają władzy, władzy za wszelką cenę. Chowają się za parawanem ubóstwa i pobożności, ale po kryjomu jedzą jak królowie i gromadzą fortuny. Que va, señor, prawda przedstawia się tak, że zazdrościli nam wiernych, zazdrościli nam kościołów, zazdrościli nam naszej prawdy i naszego sposobu życia. Daimyō Hizen, dom Francisco, który po japońsku nazywa się Harima Tadao, ale na chrzcie otrzymał imię Francisco, wstawił się za nami. Jest jak król, wszyscy daimyō są jak królowie, on zaś, jako franciszkanin, wstawił się za nami, ale nadaremno.

W końcu dwudziestu sześciu z nas zginęło męczeńską śmiercią. Sześciu Hiszpanów, siedemnastu naszych japońskich nawróconych oraz jeszcze trzech. Był wśród nich błogosławiony Braganza, trzech zaś z tych nawróconych było zaledwie chłopcami. Ach, señor, tego dnia było tam tysiące wiernych.

Pięćdziesiąt, sto tysięcy ludzi przyglądało się Błogosławionemu Męczeństwu w Nagasaki, tak mi mówiono. Był to przejmująco srogi, zimny lutowy dzień i przejmująco srogi rok.

Rok trzęsień ziemi, tai-funów, powodzi, burz i pożarów, kiedy Ręka Boska ciężko pokarała tego Wielkiego Mordercę, a nawet rozwaliała jego wielki zamek, Fushimi, kiedy Pan wstrząsnął ziemią.

Strasznie, ale i cudownie było widzieć, jak Palec Boży karze tych pogan i grzeszników. . Tak więc zamęczono ich, señor, sześciu poczciwych Hiszpanów. Naszą trzodę i kościół spustoszone, a szpital zamknięto. Twarz starca była jak martwa.

- Ja. . ja znalazłem się pośród przeznaczonych na męczeńską śmierć, ale. . ale ominął mnie ten zaszczyt. Popędzili nas pieszo z Kioto, a po przybyciu do Osaki część z nas zamknęli w tutejszej franciszkańskiej misji, reszcie zaś. . reszcie odcięli po jednym uchu i popędzili w pochodzie przez ulice niczym pospolitych przestępców. A potem nakazali iść Błogosławionym Braciom na zachód.

Przez miesiąc. Ich błogosławiona wędrówka skończyła się na wzgórzu zwanym Nishizaki, z którego rozciąga się widok na zatokę Nagasaki. Błagałem samuraja, żeby pozwolił mi pójść z braćmi, ale rozkazał mi wrócić do tutejszej misji, w Osace. Bez najmniejszego powodu. No a potem, po kilku miesiącach, wtrącili nas do tego więzienia. Było nas trzech. : chyba trzech, ale tylko ja byłem Hiszpanem. Pozostali to nawróceni Japończycy, nasi braciszczkowie zakonni. Po kilku dniach strażnicy wywołali ich nazwiska. Ale mojego nigdy. Może to wola boska, señor, a może ci podli jezuiti zostawili mnie przy życiu, żeby mnie dręczyć, ci, którzy odebrali mi okazję męczeńskiej śmierci pośród swoich. Trudno zachować cierpliwość, señor. Jakże trudno..

Stary mnich zamknął oczy, pomodlił się, zapłakał, aż wreszcie zmorzył go sen., Mimo że Blackthorne bardzo pragnął spać, to nie mógł zasnąć, choć zapadła noc. Ciało miał pogryzione przez wszy. W głowie kłębiły mu się przerażające myśli.

Ze straszliwą jasnością zrozumiał, że stąd nie ma ucieczki. Przytłoczyło go poczucie bezradności i” pojął, że znalazł się na krawędzi śmierci. W najciemniejszą nocną porę dopadł go paniczny strach i po raz pierwszy w życiu uległ mu i płakał.

- Tak, mój synu? - zamruczał mnich. - Co ci jest?

- Nic, nic - odparł z dudniącym sercem. - Śpij, ojczu.

- Nie trzeba się lękać. Wszyscyśmy w ręku Boga - odrzekł franciszkanin i ponownie zasnął.

Wielki strach opuścił Blackthorne’a. Jego miejsce zaś zajął taki, z którym da się żyć. Jakoś się stąd wydostanę, powiedział sobie Blackthorne, próbując uwierzyć w to kłamstwo.

O świcie przyniesiono jedzenie i wodę. Blackthorne nabrał już nieco sił. To głupio tak się zachowywać, skarcił się. To głupie, świadczy o słabości woli i jest groźne. Nie rób tego więcej, bo załamiesz się, zwariujesz i na pewno umrzesz. Umieszczą cię w tym trzecim rzędzie i po tobie. Bądź ostrożny, cierpliwy i pilnuj się.

- Jak się dziś czujesz, señor?

- Dziękuję, ojczcie, dobrze. A ty?

- Dziękuję ci, nieźle.

- Jak to powiedzieć po japońsku?

- Dōmo, genki desu.

- Dōmo, genki desu. Mówiłeś wczoraj, ojczcie, o portugalskich Czarnych Karawelach. . jak one wyglądają? Widziałeś jakąś?

- O, tak, señor. To największe statki na świecie, po prawie dwa tysiące ton każdy. Do żeglugi takim potrzeba z dwustu marynarzy i chłopców okrętowych, señor, a licząc załogę i pasażerów, mogą przewieźć tysiąc dusz. Podobno te karaki płyną dobrze z wiatrem, ale chodzą ciężko, kiedy wieje z boku.

- Ile dział mają na pokładzie?

- Czasem dwadzieścia albo trzydzieści na trzech pokładach.

Ojciec Domingo chętnie odpowiadał na pytania, mówił i udzielał rad, a Blackthorne równie chętnie go słuchał i czerpał wiadomości. Nie uporządkowana wiedza mnicha była bezcenna i doniosła.

- Nie, señor - mówił właśnie. - „Dōmo” to „dziękuję”, a „dōzo” „proszę”. Woda to „mizu”.

Zawsze pamiętaj, że Japończycy bardzo sobie cenią dobre maniere i uprzejmość. Jednego razu, kiedym był w Nagasaki. . Ach, gdyby tak mieć inkaust, gęsie pióro i papier! Och, wiem. . proszę, zapisz sobie te słowa na ziemi, to ci dopomoże je zapamiętać. .

- Dōmo - powiedział Blackthorne. A kiedy zapamiętał jeszcze kilka słów, spytał: - Od kiedy są tu Portugalczycy?

- Och, ten kraj odkryto w roku 1542, señor, w roku mojego urodzenia. Odkrywców było trzech: da Mota, Peixoto i. . nie pamiętam nazwiska trzeciego. Wszyscy byli portugalskimi kupcami i handlowali na wybrzeżach Chin w chińskiej dżonce pochodzącej z portu w Syjamie. Byłeś, señor, w Syjamie?

- Nie.

- Och, w Azji jest wiele do zobaczenia. Ci trzej handlowali, ale pochwycała ich wielka burza, tai-fun, która zniosła ich z kursu szczęśliwie do lądu koło Tanegashimy na Kiusiu. Po raz pierwszy Europejczyk postawił nogę na japońskiej ziemi i od razu rozpoczął się handel. W kilka lat potem przybył tu Francis Xavier, jeden z założycieli zakonu jezuitów.

Było to w roku 1549. . złym roku dla Japoni , señor. Któryś z naszych braciszków powinien był

zjawić się tutaj pierwszy, a wówczas nam, a nie Portugalczykom, przypadłby ten kraj. Francis Xavier umarł w trzy lata potem w Chinach, samotny i opuszczony. . Czy mówiłem ci, señor, że jezuita są już na dworze chińskiego cesarza, w mieście zwanym Pekin? .

Och, powinieneś zobaczyć Manilę, señor, i Filipiny! Mamy tam cztery katedry, blisko trzy tysiące konkwistadorów, prawie sześć tysięcy japońskich żołnierzy rozsiansych po tamtejszych wyspach i trzystu braciszków. .

Blackthorne miał głowę pełną faktów, japońskich słów i zwrotów. Zapytał o życie w Japonii, o daimyō i samurajów, o handel i Nagasaki, o wojnę i pokój. O jezuitów i franciszkanów, o Portugalczyków w Azji i hiszpańską Manilę, a także znowu i wciąż od nowa pytał o Czarną Karawelę, co roku regularnie kursującą z Makau. Przez trzy dni i trzy noce siedział z ojcem Domingo, wypytywał go, słuchał, uczył się, gnębiły go straszne sny i budził się, by zadawać więcej pytań i zdobywać więcej wiedzy.

I wówczas, czwartego dnia wywołano go.

- Anjin-san!

15.

W zupełnej ciszy Blackthorne wstał.

- A twoją spowiedź, synu? Wyspowiadaj się szybko.

- Ja. . ja nie sędzę. . ja. . - Otępiały Blackthorne uświadomił sobie, że mówi po angielsku, więc zacisnął usta i ruszył.

Mnich zerwał się na nogi, biorąc jego słowa za holenderskie lub niemieckie, chwycił go za przegub ręki i pokuśtykał wraz z nim.

- Szybko, synu. Dam ci rozgrzeszenie. Przez wzgląd na twoją nieśmiertelną duszę pośpiesz się, powiedz tylko szybko, señor, że wyznajesz przed Bogiem wszystkie grzechy przeszłe i obecne. .

Zbliżali się do żelaznych drzwi, a franciszkanin trzymał się Blackthorne z zadziwiającą siłą.

- Powiedz to natychmiast! Błogosławiona Dziewica będzie cię mieć w swojej pieczy!

Blackthorne wyrwał rękę i powiedział chrapliwie po hiszpańsku:

- Bóg z tobą, ojczy.

Drzwi zatrzasnęły się za nim.

Dzień był niewiarygodnie chłodny i świeży, a lekki wiatr z południowego wschodu poganiał błakające się chmury.

Blackthorne zaczerpnął głęboko w płuca kilka łyków czystego, wspaniałego powietrza i krew popłynęła mu zwawiej w żyłach. Owładnęła nim radość życia.

Na więziennym podwórzu stało kilku nagich więźniów, jakiś urzędnik, dozorczy więzienni z włóczniami, ludzie eta i grupa samurajów. Urzędnik miał na sobie ciemne kimono, kaftan ze sztywnymi, przypominającymi skrzydła ramionami i nosił mały czarny kapelusz. Stał przed pierwszym więźniem i czytał na głos delikatny zwój pergaminu, a kiedy skończył, wszyscy więźniowie, ciężko stąpając, ruszyli za swoimi dozorcami w stronę wielkiej żelaznej bramy. Blackthorne był

ostatni. W przeciwieństwie do tamtych otrzymał przepaskę na biodra, bawełniane kimono, a na nogi rzemienne trepy. Ponadto zaś pilnowali go samuraje.

Postanowił, że ucieknie natychmiast po przekroczeniu bramy, ale kiedy zbliżył się do niej, samuraje otoczyli go szczelnie i odcięli drogę. Do bramy doszli razem. Na zewnątrz stał wielki tłum porządnie ubranych widzów ze szkarłatnymi, żółtymi i złotymi parasolkami. Ku niebu właśnie podnoszono krzyż, do którego był przywiązany więzień. Przy wszystkich krzyżach czekało po dwóch ludzi eta, a

ich długie piki błyszczały w słońcu.

Blackthorne zwolnił kroku. Ale samuraje zwarli szyki, ponaglając go. Pomyślał w otępieniu, że lepiej byłoby zginąć już teraz, szybko, więc zatrzymał rękę w powietrzu, chcąc chwycić za miecz najbliższego. Ale nie miał po temu okazji, ponieważ samurajowie skęcili w bok od areny i poszli w stronę ogrodzenia, ku ulicom, które wiodły do miasta, i do zamku.

Blackthorne zaczekał, wstrzymując oddech, żeby się upewnić. Przeszli przez tłum gapiów, ustępujących im z drogi i kłaniających się, a potem znaleźli się na ulicy, tak więc nie mogło być mowy o pomyłce.

Blackthorne poczuł się jak nowo narodzony.

Kiedy odzyskał mowę, spytał „Dokąd idziemy?”, nie dbając o to, że nie będzie zrozumiany, ani o to, że odzywa się po angielsku. Wirowało mu w głowie. Stopami ledwie dotykał ziemi, nie przeszkadzały mu rzemienie trepów, a kłopotliwy dotyk kimona nie był mu niemiły. Właściwie czuję się W nim całkiem dobrze, pomyślał. Może jest nieco zbyt przewiewne, ale w taki piękny dzień jak dziś jest to w sam raz ubranie na rufówkę!

- Boże, jak cudownie jest znów mówić po angielsku - powiedział do samurajów. - Jezu Chryste, a już myślałem, że po mnie. Że już po moim ósmym życiu. Wiecie o tym, przyjaciele? Teraz zostało mi już tylko jedno. Ale co tam! Alban Caradoc powiadał, że piloci mają dziesięć żyć, co najmniej. Samurajów wyraźnie coraz bardziej drażniła jego niezrozumiała paplanina.

Weź się w garść, powiedział sobie. Nie denerwuj ich jeszcze bardziej.

Zauważył, że samuraje ci to sami Szarzy. Ludzie Ishido. Spytał ojca Alvito o nazwisko rywala Toranagi. „Ishido” - odpowiedział Alvito, Miało to miejsce tuż przed tym, kiedy polecono mu wstać i go zabrano.

Czy wszyscy Szarzy to ludzie Ishido? A wszyscy Brązowi do ludzie Toranagi?

- Dokąd idziemy? Tam? - Blackthorne pokazał na zamek, który górował nad miastem. - Tam, hai?

- Hai - potwierdził siwobrody dowódca samurajów i skinął głową okrągłą jak kula armatnia.

Czego chce ode mnie Ishido? - zadawał sobie pytanie Blackthorne.

Dowodzący samuraj skęcił w następną ulicę. Cały czas oddalali się od zatoki. I wtedy Blackthorne dostrzegł go - mały portugalski bryg z błękitno-białą banderą powiewającą na wietrze.

Na głównym pokładzie miał dziesięć dział, a na dziobie i rufie dwudziestofuntówki. Erasmus łatwo by się z nim uporał, orzekł w duchu. A co z moją załogą? Co porabiają tam w wiosce? Na rany Chrystusa, chciałbym ich zobaczyć. Tak się cieszyłem, że ich zostawiam i wracam do swojego domu, gdzie była onna - Haku, do domu. . jak się nazywał ten wieśniak? Ach, tak, Mura-san. A co z tą dziewczyną, tą w moim posłaniu na podłodze, i z tą drugą, anielskiej urody, z którą rozmawiał

tamtego dnia Orni?

Szli właśnie szeroką, krętą ulicą. Nie było tu sklepów, a tylko stykające się ze sobą domy, każdy na swojej parceli za wysokim ogrodzeniem. Domy te zaś, ogrodzenie i sama ulica oszałamiały czystością.

Dla Blackthorne'a ich schludność była niewiarygodna, ponieważ w Londynie, w angielskich miastach i miasteczkach, w Europie urynę, nocne nieczystości i odpadki wyrzucano na ulice.

Wprawdzie miano je stamtąd usuwać, czasem jednak piętrzyły się tak, że przechodnie, powozy i konie nie mogły się przedostać. Dopiero to było w stanie zmusić mieszkańców do porządków. Londyn uprzętały wielkie stada świń, które pędzono co noc przez jego główne ulice. Oczyszczały go zaś szczury, gromady zdziczałych psów, kotów oraz pożary. A ponadto muchy.

Ale Osaka była taka inna. Jak oni to robią? - zastanawiał się. Nie ma tu wybojów, stert końskiego łajna, żadnych kolein od kół wozów, śladu nieczystości czy odpadków. Drewniane ogrodzenia i drewniane domy są schludne i lśnią czystością. A gdzie hałasy żebraków i kalek, będących zmorą wszystkich chrześcijańskich miast? Gdzie bandy rabusiów i rozbestwionej młodzie, nieuchronnie czatujących w mroku?

Mijani przez nich ludzie kłaniali im się grzecznie, niektórzy klękali. Wyprzedzali ich śpieszący się tragarze z palankinami i jednoosobowymi kagami. Po ulicach przechadzały się grupki samurajów, wyłącznie Szarych, ani jednego Brązowego.

Szli właśnie ulicą, przy której ciągnęły się sklepy, kiedy nagle pod Blackthorne'em ugięły się nogi. Upadł ciężko, lądując na dłoniach i kolanach.

Samuraje pomogli mu wstać, ale na chwilę stracił siły i nie był w stanie iść dalej.

- Gomen nasai, dōzo ga matsu (Przepraszam, zechciejcie, proszę, poczekać) - rzekł, bo złapały go skurcze w nogach. Rozmasował stwardniałe mięśnie łydek i pobłogosławił brata Domingo za bezcenne nauki, których ten mu udzielił.

Dowódca samurajów przyjrzał mu się z góry i po dłuższej chwili coś powiedział.

- Gomen nasai, nihon go ga hanase-masen (Przykro mi, nie mówię po japońsku) - odparł wolno, lecz wyraźnie Blackthorne. - Dōzo, ga matsu.

- Ah! So desu, Anjin-san. Wakarimasu - powiedział samuraj, zrozumiałwszy go. Oстрым głosem wydał krótką komendę i jeden z samurajów pośpiesznie odszedł.

Po pewnym czasie Blackthorne wstał i chciał iść kuśtykając, ale dowódca powiedział „Iye” i gestem powstrzymał go.

Wysłany samuraj powrócił niebawem z czterema półnagimi tragarzami kaga. Samuraje pokazali Blackthorne'owi, jak się ułożyć w kadzę i przytrzymać uchwytu, który zwisał z głównego drąga.

Oddział znowu ruszył w drogę. Wkrótce Blackthorne odzyskał siły i wołałby iść pieszo, ale zdawał sobie sprawę, że nadal jest osłabiony. Muszę trochę odpocząć, zdecydował. Brakuje mi energii. Muszę się wykapać i coś zjeść. Zjeść coś porządnego.

Właśnie wspinali się po szerokich schodach, które łączyły tę ulicę z następną, a potem weszli do innej, zamożnej mieszkalnej dzielnicy miasta na skraju sporego lasu z wysokimi drzewami i przecinającą go drogą. Blackthorne ogromnie się ucieszył, że opuścili ulicę, że pod stopami mają dobrze utrzymaną miękką murawę, a droga wiedzie pośród drzew.

Kiedy na dobre zagłębili się w las, zza zakrętu przed nimi wyłonił się jeszcze jeden, liczący około trzydziestu ludzi oddział Szarych. Zrównawszy się z nimi, przybysze zatrzymali się i po zwyczajowym ceremonialnym przywitaniu się dowódców wszyscy zaczęli się przyglądać Blackthorne'owi. Kiedy po gradzie pytań i odpowiedzi napotkani samuraje zaczęli zbierać się do odejścia, ich dowódca z zimną krwią wy dobył miecz i przebił nim Japończyka dowodzącego eskortą Blackthorne'a. Jednocześnie świeżo przybyła grupa rzuciła się na samurajów pilnujących Anglika.

Zasadzka była tak niespodziewana, tak dobrze zaplanowana, że wszystkich dziesięciu Szarych zginęło niemal w jednej chwili. Żaden nie miał nawet czasu na wydobycie miecza.

Tragarze klęczeli, w przerażeniu przyciskając czoła do trawy. Dowódca napastników, mocno zbudowany samuraj z dużym brzuchem, wysłał w obie strony drogi strażę. Reszta pozbierała miecze zabitych. W trakcie tego wszystkiego nie zwracali uwagi na Blackthorne'a, dopóki nie zaczął się wycofywać. A wtedy dowódca wysyczał jakieś polecenie, oznaczające najwyraźniej, aby nie ruszał się z miejsca.

Na kolejną komendę wszyscy nowo przybyli Szarzy zdjęli mundurowe kimona. Mieli pod nimi najrozmaitsze łachmany i stare kimona. Wszyscy nałożyli maski, zawczasu zawieszane na szyjach.

Jeden z nich zabrał szare samurajskie uniformy i zniknął z nimi w lesie.

To na pewno bandyci, pomyślał Blackthorne. No bo po co im te maski? Czego ode mnie chcą?

Bandyci trajkotali ściszonymi głosami i przypatrując się mu wycierali miecze o ubrania zabitych samurajów., - Anjin-san? Hai? - spytał dowódca. Jego widoczne nad maską oczy były okrągłe, czarne jak węgiel i świdrujące.

- Hai - odparł Blackthorne, a po skórze przeszły mu ciarki. Japończyk wskazał na ziemię, najwyraźniej przykazując mu, żeby się nie ruszał.

- Wakarimasu ka?

- Hai.

Obejrżeli go sobie od stóp do głów. Jeden z wystawionych na czatach strażników - już bez szarego kimona, ale zamaskowany tak jak reszta - wyszedł na chwilę z krzaków o sto kroków dalej.

Dał ręką znak i ponownie zniknął.

Japończycy w jednej chwili otoczyli Blackthorne'a, szykując się do odejścia. Spojrzenie herszta bandytów spoczęło na tragarzach, którzy zadrżeli jak psy przed okrutnym panem i wcisnęli głębiej głowy w trawę.

Dowódca bandytów rzucił rozkaz. A wtedy cała czwórka z niedowierzaniem uniosła głowy.

Jeszcze raz padła ta sama komenda, po której ukłonili się, padli plackiem i wycofali na czworakach.

Potem zaś jak jeden mąż wzięli nogi za pas i przepadli w leśnych zaroślach.

Bandyta uśmiechnął się pogardliwie i dał Blackthorne'owi znak, by zawrócił do miasta.

Nie mając wyboru, poszedł z nimi. Nie było dokąd uciec.

Tuż przed skrajem lasu zatrzymali się. Z przodu dobiegły ich głosy i zza zakrętu wyłoniła się jeszcze jedna grupa złożona z trzydziestu samurajów, Brązowych i Szarych - Brązowi podążali na czele, ich przywódca w palankinie, a za nim kilka jucznych koni. Natychmiast się zatrzymali. Obie grupy stanęły w szyku bojowym w odległości siedemdziesięciu kroków od siebie, mierząc się wrogimi spojrzeniami. Dowódca bandytów, poruszając się zamasyście, wystąpił na wolną przestrzeń i krzyknął coś gniewnie do przybyszów, wskazując na Blackthorne'a i za swoje plecy, tam gdzie urządził zasadzkę. Wyszarpnął miecz z pochwy. Groźnie uniosł go w górę, najwyraźniej żądając od przybyłych, żeby zeszli z drogi.

Miecze jego kompanów zasyczały dobywane z pochew. Na rozkaz bandyci ustawili się plecami do Blackthorne'a, a ich herszt, z mieczem uniesionym i gotowym do ciosu, znów przemówił do przeciwników.

Przez chwilę nie działo się nic, a potem Blackthorne zobaczył, że pasażer palankinu wysiada, i natychmiast go rozpoznał. Był to Kasigi Yabu. Yabu krzyknął coś w odpowiedzi przywódcy bandytów, ten jednakże potrząsnął tylko na to wściekle mieczem, nakazując mu zejść z drogi. Swą tyradę zakończył nie znoszącym sprzeciwu tonem. A wówczas Yabu wydał krótki rozkaz i lekko utykając, z uniesionym mieczem i okrzykiem bitewnym na ustach rzucił się naprzód, a wraz z nim popędzili jego samuraje, w niewielkim odstępnie za nimi zaś Szarzy.

Blackthorne upadł, by uniknąć ciosu miecza, który przeciąłby go na pół, ale cios spadł nie w porę, więc dowódca bandytów odwrócił się i uciekł w leśne zarośla, a za nim jego ludzie.

Brązowi i Szarzy szybko znaleźli się przy Blackthornie, który podźwignął się na nogi. Część samurajów puściła się za bandytami w krzaki, inni pobiegli w górę drogi, a reszta rozsypała się w szyku obronnym. Yabu zatrzymał się na skraju gąszczy, władczym głosem wykrzykując rozkazy, potem zaś wrócił wolno, utykając wyraźniej niż poprzednio.

- So desu, Anjin-san - powiedział, dysząc z wysiłku.

- So desu, Kasigi Yabu-san - odparł Blackthorne, używając tego samego wyrażenia, które z grubsza

znaczyło tyle co „no tak”, „doprawdy”, „coś podobnego”. Wskazał w kierunku, w którym uciekli bandyci. - Dōmo. - Ukłonił się uprzejmie, jak równy równemu, i jeszcze raz pobłogosławił

brata Domingo. - Gomen nasai, nihon go ga hanase-masen - rzekł, przepraszając, że nie mówi po japońsku.

- Hai - odparł Yabu, dosyć zaskoczony, i dodał coś, czego Blackthorne nie zrozumiał.

- Tsuyaku go imasu ka? - odpowiedział mu pytając, czy ma tłumacza.

- Iye, Anjin-san. Gomen nasai.

Blackthorne poczuł się nieco raźniej. Mógł się już porozumiewać bezpośrednio. Wprawdzie posiadał skromny zasób słów, ale był to dopiero początek.

Jaka szkoda, że nie mam tłumacza, myślał Yabu. O Buddo! Chciałbym wiedzieć, co się stało, gdy poznałeś Toranagę, Anjin-san, o co cię pytał i co mu odpowiedziałeś, co mu powiedziałeś o wiosce, działach, ładunku, statku, galerze i o Rodrigu. Chciałbym wiedzieć o wszystkim, o czym była mowa, jak to zostało powiedziane, gdzie się podziewałeś i dlaczego jesteś tutaj. Wtedy miałbym pojęcie, co zamyśla Toranaga, w jaki sposób rozumuje. Mógłbym wówczas zaplanować, co mu dzisiaj powiem. Ale w tej sytuacji jestem bezradny.

Dlaczego to właśnie z tobą spotkał się Toranaga zaraz po naszym przybyciu, a nie ze mną?

Dlaczego od naszego przyjazdu aż do dzisiaj nie otrzymałem od niego żadnych wieści ani rozkazów poza zdawkowym, grzecznym powitaniem i słowami: „Z przyjemnością wkrótce się z tobą zobaczę”?

Dlaczego posłał po mnie dzisiaj? Dlaczego dwa razy odkładał nasze spotkanie? Czy z powodu czegoś, co powiedziałem? Może to sprawka Hiro-matsu? A może po prostu zwłoka spowodowana jego innymi licznymi kłopotami?

O, tak, Toranago, masz mnóstwo kłopotów nie do rozwiązania. Wpływy Ishido rozprzestrzeniają się niczym pożar. A czy już wiesz o zdradzie pana Onoshiego? Czy wiesz, że Ishido zaproponował mi głowę Ikawy Jikkyu i jego prowincję, jeżeli teraz potajemnie go wesprę?

Dlaczego to dzisiejszy dzień wybrałeś, żeby posłać po mnie? Jakież dobry kami skierował mnie tutaj, żebym ocalił życie Anjinowi, jak na urągowisko, bo nie mogę rozmawiać z nim wprost ani też za czyimś pośrednictwem, by znaleźć dzięki temu klucz do twojego tajemnego zamka? Dlaczego wtrąciłeś go do więzienia na zatracenie? Dlaczego Ishido chciał go stamtąd wyciągnąć? Dlaczego ci bandyci próbowali go schwytać dla okupu? Okupu od kogo? I dlaczego Anjin jeszcze żyje? Ten bandyta z łatwością powinien był go przeciąć na pół.

Yabu zauważył głębokie bruzdy, których nie było na twarzy Blackthorne'a, kiedy widział go za pierwszym razem. Wygląda na wygłodzonego, pomyślał. Jest jak zdziczały pies. Ale nie jeden ze stada, tylko jego przywódca, ne?

O, tak, pilocie, z miejsca dałbym w tej chwili tysiąc koku za tłumacza, na którym można polegać.

Zostanę twoim panem. Zbudujesz mi statki i wyczyszysz ludzi. Muszę jakoś podejść Toranagę.

Jeżeli mi się to nie uda, trudno. W następnym życiu będę lepiej przygotowany.

- Dobry pies! - powiedział na głos do Blackthorne'a i lekko się uśmiechnął. - Potrzebujesz tylko silnej ręki, trochę kości i trochę batów. Najpierw dostarczę cię panu Toranadze. . kiedy się wykąpiesz. Śmierdzisz, panie pilocie!

Blackthorne nie zrozumiał tych słów, ale wyczuł w nich przyjacielski ton i zobaczył uśmiech Yabu. Odpowiedział mu uśmiechem.

- Wakarimasen (Nie rozumiem) - odparł.

- Hai, Anjin-san.

Daimyō odwrócił się i poszukał wzrokiem bandytów. Otoczył usta dłońmi i krzyknął. Wszyscy Brązowi natychmiast powrócili. Naczelną samuraj Szarych, który stał na środku drogi, również odwołał pościg. Nie schwytano żadnego bandyty.

Dowódca Szarych podszedł do Yabu i zaczęli się spierać, pokazując na miasto i zamek i wyraźnie nie mogąc dojść do porozumienia.

Wreszcie Yabu, trzymając dłoń na mieczu, wziął górę w sporze i dał Blackthorne'owi znak, żeby wsiadł do palankinu. - Iye - sprzeciwił się dowódca Szarych.

Dwaj mężczyźni przybrali wojownicze pozy, a Szarzy i Brązowi niespokojnie, zmienili pozycje.

- Anjin-san desu shunjin Toranaga-sama. .

Blackthorne rozumiał piąte przez dziesiąte. „Watakushi” znaczyło „ja”, a z dodatkiem

„hitachi” „my”, „shunjin” zaś oznaczało więźnia. I wówczas przypomniał sobie, co powiedział mu Rodrigues, więc pokręcił głową i zaprotestował ostrym tonem:

- Shunjin, iye! Watakushi wa Anjin-san!

Obaj wpatrzyli się w niego.

Blackthorne przerwał milczenie i dodał w kulawej japońszczyźnie, zdając sobie sprawę z niegramatyczności swojego wysławiania się i z tego, że mówi jak dziecko, miał jednakże nadzieję, że zostanie zrozumiany.

- Ja przyjaciel. Nie więzień. Zrozumieć proszę. Przyjaciel. Bardzo przykro, przyjaciel chce kąpiel. Kąpiel, rozumieć? Zmęczony. Głodny. Kąpiel. - Wskazał na zamkową basztę. - Iść tam! Już, proszę. Pan Toranaga raz, pan Ishido dwa. Iść już!

Potem zaś, wypowiadając na koniec z dodatkową władczością słowo „ima”, niezgrabnie wgramolił

się i ułożył na poduszkach w palankinie, z którego wystawały mu nogi.

Na ten widok Yabu roześmiał się, a inni zaczęli się śmiać wraz z nim.

- Ah so, Anjin-sama! - powiedział Yabu z kpiarskim ukłonem.

- Iye, Yabu-sama. Anjin-san - sprostował z zadowoleniem Blackthorne. Tak, ty draniu, pomyślał. Teraz już co nieco wiem. Ale nie zapomniałem o tobie. I wkrótce będę deptał po twoim grobie.

16.

- Być może lepiej byłoby poradzić się mnie przed zabraniem więźnia podlegającego mojej jurysdykcji, panie Ishido - rzekł Toranaga.

- Ten barbarzyńca siedział w zwykłym więzieniu ze zwykłymi przestępcami. Myślałem naturalnie, że przestał cię interesować, bo przecież w innym przypadku nie zabrałbym go stamtąd.

Nie miałem najmniejszego zamiaru wtrącać się w twoje sprawy, panie.

Na zewnątrz Ishido demonstrował spokój i szacunek, ale w środku gotował się. Wiedział, że dał się przyłapać na nierozważnym postępku. Prawdą było, że należało wpierw spytać o to Toranagę.

Wymagała tego zwykła grzeczność. Ale nie miałyby to najmniejszego znaczenia, gdyby barbarzyńca był teraz w jego rękach. Po prostu zwróciłby go w stosownej chwili, gdyby tylko Toranaga się o niego upomniał. Ale ponieważ garstkę jego ludzi przechwycono i sromotnie wycięto, a potem, mimo obecności innego oddziału jego samurajów, Yabu z garstką ludzi Toranagi przywłaszczył sobie barbarzyńcę, sytuacja zmieniła się diametralnie. Sam utracił twarz, podczas gdy jego strategia, zmierzająca do całkowitego zniszczenia Toranagi, miała postawić w takiej sytuacji przeciwnika.

- Jeszcze raz przepraszam - dodał.

Toranaga spojrział na Hiro-matsu, przeprosiny te były muzyką dla jego uszu. Obaj wiedzieli, jak boleśnie odczuł to Ishido. Siedzieli w wielkiej sali posłuchań. Na mocy wcześniejszych ustaleń dwóm rywalom towarzyszyło jedynie po pięciu członków straży przybocznej, ludzi bezwzględnie zaufanych. Pozostali czekali za drzwiami. Za drzwiami czekał również Yabu. Barbarzyńcę zaś wykąpano. To dobrze, pomyślał Toranaga, bardzo z siebie rad. Przez chwilę skierował myśli na Yabu i postanowił, że mimo wszystko nie przyjmie go dziś, ale dalej będzie się nim bawił jak kot z myszą.

Tak więc poprosił Hiro-matsu, żeby go odesłał, i ponownie zwrócił się do Ishido.

- Oczywiście przyjmuję twoje przeprosiny. Na szczęście nic złego się nie stało.

- Czy więc mogę zabrać barbarzyńcę do następcy. . jak tylko będzie się nadawał do pokazania?

- Prześlę ci go, jak tylko z nim skończę.

Czy wolno spytać kiedy? Następcą spodziewał się go dziś rano.

- Ty i ja nie powinniśmy się tym zbyt przejmować, ne? Yaemon ma dopiero siedem lat.

Jestem przekonany, że siedmioletni chłopiec potrafi zdobyć się na cierpliwość. Ne? Cierpliwość to rodzaj dyscypliny i wymaga ćwiczeń. Czyż nie? Osobiście wytłumaczę mu to nieporozumienie. Dziś rano mam z nim kolejną lekcję pływania.

- Tak?

- Tak. Ty też powinienes nauczyć się pływać, panie Ishido. To wspaniałe ćwiczenie i może się bardzo przydać podczas wojny. Wszyscy moi samuraje umieją pływać. Domagam się, żeby wszyscy opanowali tę sztukę.

- Moi spędzają czas, ćwicząc się w strzelaniu, z łuku, fechtunku, jeździe konnej i strzelaniu z broni palnej.

- A moi ponadto w poezji, sztuce pisania, układaniu bukietów, ceremonii cha-no-yu. Jeśli samuraje chcą być dobrzy w sztukach wojennych, powinni być także biegli w sztukach pokojowych.

- Większość moich samurajów opanowała te sztuki aż za dobrze - odparł Ishido świadom, że kiepsko posługuje się pędzelkiem do pisania, a jego wykształcenie jest ograniczone. - Samuraje rodzą się do walki. Na walce znam się doskonale. I w tej chwili to mi wystarcza. To i posłuszeństwo wobec woli naszego pana.

- Lekcję pływania ma Yaemon o godzinie Konia. - Zarówno, dzień, jak noc były podzielone na sześć równych części. Dzień zaczynał się o godzinie Zająca, która trwała od piątej do siódmej rano, potem była godzina Smoka, trwająca od siódmej do dziewiątej. Dalej szły godziny Węża, Konia, Kozła, Małpy, Koguta, Psa, Dzika, Szczura i Wołu, a cały cykl kończyła godzina Tygrysa, przypadająca między trzecią a piątą rano. - Chciałbyś wziąć w niej udział?

- Dziękuję, nie. Jestem za stary na zmienianie przyzwyczajzeń - odparł piskliwie Ishido.

- Słyszałem, że dowódca twoich samurajów ma rozkaz popełnić seppuku.

- Oczywiście. Ci bandyci powinni zostać schwytani. A przynajmniej choćby jeden z nich. Bo wówczas poznalibyśmy pozostałych.

- Zdumiewające, że takie ścierwa mogą grasować tak blisko zamku.

- Rzeczywiście. Może potrafi ich opisać ten barbarzyńca.

A co on może wiedzieć? - Toranaga roześmiał się. - A skoro już mówimy o tych bandytach, to byli roninowie, prawda? Wśród twoich ludzi jest mnóstwo roninów. Przeprowadzenie śledztwa pośród nich mogłoby przynieść owoce. Ne?.

- Rozpoczęto intensywne śledztwo. W wielu kierunkach.

Ishido puścił mimo uszu podszytą szyderstwem wzmiankę o roninach, bezpańskich, stojących niemal poza nawiasem społeczeństwa samurajach, których tysiące zgromadziło się pod sztandarem następcy, kiedy Ishido rozpuścił pogłoskę, że on sam, w imieniu Yaemona i jego matki, mógłby przyjąć ich przysięgę na wierność, wybaczyłby i zapomniał - nie do wiary - ich błędne postęпки bądź

przeszłość, a z czasem wynagrodził ich za wierność tak szczerze jak taikō. Dobrze wiedział, że jest to wyśmienite posunięcie. Dostarczyło mu ono masę wyćwiczonych samurajów do zaciągu,

zapewniło ich lojalność, gdyż roninowie zdawali sobie sprawę, że już nigdy nie otrzymają takiej szansy, ściągęło do jego obozu wszystkich niezadowolonych, z których wielu zostało roninami wskutek podbojów Toranagi i jego sojuszników, wreszcie zmniejszyło zagrożenie, jakim był dla kraju wzrost liczby bandytów, gdyż samuraj pechowy na tyle, że stawał się roninem, mógł przeżyć jedynie jako mnich lub zbój.

- Wielu okoliczności tej zasadzki nie pojmuję - oznajmił Ishido tonem zaprawionym jadem. -

A tak. Czemu, na przykład, ci bandyci chcieli schwytać barbarzyńcę dla okupu? W tym mieście jest mnóstwo innych, o wiele ważniejszych osób. Czy nie to oświadczył ten bandyta? Chciał okupu. Okupu od kogo? Jaką wartość przedstawia ten barbarzyńca? Żadną. I skąd wiedzieli, gdzie go znajdują?

Przecież dopiero wczoraj kazałem go sprowadzić do następcy sądząc, że to zabawi chłopca. Bardzo dziwne.

- Bardzo - przyznał Toranaga.

- A do tego jeszcze ten zbieg okoliczności, że pan Yabu znalazł się właśnie w tamtej okolicy wraz z grupą twoich i moich ludzi akurat w tamtym czasie. Bardzo dziwne.

- Bardzo. Oczywiście znalazł się tam dlatego, że po niego posłałem, a twoi ludzie byli tam dlatego, że uznaliśmy, dzięki twojej sugestii, iż w celu poprawienia naszych stosunków będzie dobrze i słusznie, żeby podczas mojej oficjalnej wizyty twoi ludzie towarzyszyli moim wszędzie, dokądkolwiek idą.

- Dziwne jest też to, że ci bandyci, na tyle dzielni i dobrze zorganizowani, żeby bez walki wyróżnić tych pierwszych dziesięciu, z chwilą nadejścia naszych samurajów zachowali się jak Koreańczycy.

Czemu więc nie walczyli ani nie zabrali barbarzyńcy od razu w góry, tylko pozostali jak głupcy na głównej drodze do zniku? Bardzo dziwne.

- Bardzo. Na jutrzejsze polowanie z sokołami zabiorę ze sobą na pewno podwójne straże. Na wszelki wypadek. Niepokoi mnie, że ci bandyci grasują tak blisko zamku. Tak. A może i ty chciałbyś zapolować? Wypuścić któregoś ze swoich sokołów do zawodów z moim? Będę polował na tych wzgórzach na północy.

- Dziękuję, ale nie. Jutro jestem zajęty. Może pojutrze? Rozkazałem dwudziestu tysiącom ludzi, przeczesać te bory, lasy i polany wokół Osaki. Za dziesięć dni w promieniu dwudziestu ri nie uświadczysz ani jednego bandyty. To ci obiecuję.

Toranaga wiedział, że bandyci są dla Ishido pretekstem, by usprawiedliwić zwiększenie liczby jego wojsk w okolicy. Że jeśli mówi o dwudziestu tysiącach, to ma na myśli pięćdziesiąt. Pułapka się zamyka, pomyślał. Dlaczego tak szybko? Kto znowu zdradził? Dlaczego Ishido jest taki pewny siebie?

- Dobrze - powiedział. - A więc pojutrze, panie Ishido. Utrzymasz swoich ludzi z daleka od moich

terenów łowieckich? Nie chciałbym, by mi zakłócano polowanie - dodał cicho.

- Oczywiście. A co z barbarzyńcą?

- Jest i zawsze był moją własnością. Tak samo jego statek. Ale możesz go mieć, kiedy ja z nim skończę. A po wszystkim, jeżeli chcesz możesz go odesłać na miejsce straceń.

- Dziękuję. Tak, tak zrobię. - Ishido złożył wachlarz i schował go do rękawa. - On jest nieważny. Ważne jest, i to właśnie w tej sprawie przychodzę. . Aha, przy okazji, słyszałem, że moja pani matka składa wizytę w klasztorze Johji.

- Tak? Sądziłem, że jest trochę za późno na podziwianie kwitnących wiśni. Do tej pory chyba już mocno przekwitły?

- Racja. Ale w końcu, jeżeli życzy sobie je obejrzeć, to czemu nie. Ze starszymi ludźmi nigdy nic nie wiadomo, mają własny rozum i inaczej wszystko widzą, ne? Ale z jej zdrowiem jest nie najlepiej. Martwię się o nią. Musi bardzo uważać. . bardzo łatwo się przeziębia.

- To tak samo jak moja matka. Trzeba chronić zdrowie tej staruszki.

Toranaga zanotował sobie w pamięci, żeby natychmiast przesłać wiadomość przypominającą przeorowi klasztoru, żeby bardzo pieczołowicie dbał o zdrowie staruszki. Gdyby umarła w klasztorze, miałyby to straszne następstwa. Okryłyby się wstydem na całe cesarstwo. Wszyscy daimyō dowiedzieliby się, że w tej partii szachów, której stawką była władza, użył bezbronnej kobiety, matki swojego wroga, jako pionka i nie dopełnił obowiązków wobec niej. Branie zakładników było, prawdę mówiąc, niebezpieczną zagrywką.

Kiedy Ishido dowiedział się, że jego czcigodna matka znajduje się w warowni Toranagi, Nagoi, wściekłość niemal zaślepiła go. Posypały się głowy. Natychmiast uruchomił plan zniszczenia Toranagi i uroczyście poprzysiągł, że po wszczęciu kroków wojennych obiegnie Nagoję i zabije daimyō Kamazakiego, który rzekomo opiekował się staruszką. W ostatniej przesłanej przez posłańców poufnej wiadomości ostrzegał przeora, że jeżeli matka nie wyjdzie z klasztoru cała i zdrowa w ciągu doby, to Naga, jedyny będący w jego zasięgu syn Toranagi - a także każda z jego kobiet, którą zdoła schwytać - obudzi się - na swoje nieszczęście w wiosce trędowatych, karmiony przez nich i pojony, jak również wygodzony przez którąś z ich ładacznic. Ishido wiedział, że dopóki jego matką jest w rękach Toranagi, on sam musi postępować ostrożnie. Niemniej musiał wyraźnie uprzedzić wroga, że jeśli nie zostanie wypuszczona, to on podpali cesarstwo.

- Jak się ma twoja pani matka, panie Toranaga? - spytał uprzejmym tonem.

- Bardzo dobrze, dziękuję. - Toranaga pozwolił sobie na okazanie zadowolenia, tak ze względu na myśl o matce, jak z uwagi na bezsilną wściekłość Ishido. - Jak na swoje siedemdziesiąt cztery lata, cieszy się zdumiewającym zdrowiem. Mam tylko nadzieję, że w jej wieku będę równie silny.

Masz pięćdziesiąt osiem lat, Toranaga, ale nie dożyjesz pięćdziesięciu dziewięciu, przyrzekł

sobie Ishido., - Zechciej przekazać jej moje najlepsze życzenia dalszego szczęśliwego życia.

Dziękuję ci jeszcze raz i przepraszam za kłopoty. - Ponownie złożył nader grzeczny ukłon, po czym, z trudem powstrzymując wzrastającą radość, rzekł: - Aha, tym ważnym powodem, dla którego chciałem się z tobą zobaczyć, jest to, że ostatnie oficjalne spotkanie Rady zostało odłożone. Nie spotkamy się dzisiaj o zachodzie słońca.

Toranaga zachował na twarzy uśmiech, ale wiadomość ta wstrząsnęła nim.

- Tak? A dlaczego?

- Pan Kiyama zachorował. Pan Sugiyama i pan Onoshi przystali na tę zwłokę. Ja również. Kilka dni nie robi różnicy w tak ważnych sprawach, prawda?

- Możemy się spotkać bez pana Kiyamy.

- Wspólnie uznaliśmy, że nie powinniśmy spotykać się bez niego - odparł Ishido, spoglądając szyderczo.

- Oficjalnie?

- Oto nasze cztery pieczęcie.

Toranaga wrzał. Każda zwłoka niezmiernie zwiększała jego zagrożenie. Czy powinien uwolnić matkę Ishido w zamian za natychmiastowe spotkanie regentów? Nie, ponieważ wędrownka tam i z powrotem poleceń trwałaby za długo i oddałby swoją wielką przewagę za darmo.

- Kiedy odbędzie się spotkanie? - spytał.

- O ile wiem, to pan Kiyama powinien do jutra ozdrowieć, albo do pojutra.

- To dobrze. Poślę mu swojego osobistego lekarza, żeby go zbadał.

- Na pewno to doceni. Ale jego własny lekarz zabronił mu przyjmowania wizyt. Jego choroba może być zaraźliwa, ne?

- Jaka choroba?

- Nie wiem, panie. Tak mi powiedziano.

- Czy ten lekarz to barbarzyńca?

- Tak. Podobno to główny lekarz chrześcijan. Chrześcijański lekarz-ksiądz dla chrześcijańskiego daimyō. Dla . . dla tak możnego daimyō nasi nie są dostatecznie dobrzy - rzekł

szyderczo Ishido.

Toranaga zatroskał się jeszcze bardziej. Gdyby ten lekarz był Japończykiem, to dałoby się zrobić bardzo wiele. Ale jeżeli był to lekarz chrześcijański - ani chybi jezuita - to wystąpienie przeciwko niemu, a nawet zwykłe wtrącenie się do jego spraw, mogłoby źle nastawić wszystkich chrześcijańskich daimyō, na takie ryzyko zaś nie mógł sobie pozwolić. Wiedział, że jego przyjazne stosunki z Tsukku-sanem nie pomogą mu w starciu z chrześcijańskimi feudałami, Onoshim i Kiyamą.

W interesie chrześcijan leżało utrzymywanie wspólnego frontu. Wiedział też, że wkrótce będzie się musiał zbliżyć z tymi barbarzyńskimi kapłanami, zawrzeć z nimi układ, poznać cenę ich współpracy.

Jeżeli Ishido rzeczywiście przeciwną na swoją stronę Onoshiego i Kiyamę, a do tych dwóch, jeśli zaczną działać wspólnie, dołączy reszta chrześcijańskich daimyō, to jestem sam, pomyślał. A w takim wypadku pozostaje mi już tylko Szkarłatne Niebo.

- Odwiedzę pana Kiyamę pojutrze - powiedział, wyznaczając ostateczny termin.

- A co z groźbą zarażenia się? Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby przydarzyło ci się coś tutaj, w Osace, panie. Jesteś naszym gościem, znajdujesz się pod moją opieką. Stanowczo nalegam, byś go nie odwiedzał.

- Możesz być całkiem spokojny, panie Ishido, jeszcze nie wykluła się taka zaraza, która by mnie powaliła, ne? Zapominasz o przepowiedni wróżbiarza.

Kiedy sześć lat temu przybyło do taikō chińskie poselstwo, żeby postarać się o zakończenie japońsko-koreańsko-chińskiej wojny, w jego skład wchodził słynny astrolog. Chińczyk ten przewidział wiele rzeczy, które się potem sprawdziły. Podczas jednej z niewiarygodnie wystawnych kolacji u taikō poprosił on chińskiego wróżbiarza o przepowiednie dotyczące śmierci niektórych swoich doradców. Astrolog przewidział, że Toranaga zginie od miecza będąc w kwiecie wieku, a Ishido, słynny zdobywca Korei - lub inaczej Chosen, jak nazywali ten kraj Chińczycy - umrze nie chorując, pewnie stąpając po ziemi, jako najśłynniejszy człowiek swoich czasów. Sam taikō zaś miał

dożyć starości i umrzeć na posłaniu, szanowany i czczony, pozostawiając zdrowego syna, który go zastąpi. Przepowiednia ta tak bardzo ucieszyła taikō, który nadal nie miał potomka, iż zdecydował

się, że pozwoli posłom na powrót do Chin i nie zabije ich, jak planował, za ich uprzednie zuchwalstwa.

Zamiast bowiem negocjować w sprawie pokoju, jak oczekiwał, cesarz chiński za pośrednictwem swoich posłów obiecał mu jedynie, że „mianuje go królem kraju Wa”, jak Chińczycy nazywali Japonię.

Tak więc odesłał ich do ojczyzny nie w przygotowanych dla nich małych pudełeczkach, ale żywych, i od nowa zaczął wojować z Koreą i Chinami.

- Nie, panie Toranaga, nie zapominam - odparł Ishido, doskonale ją pamiętając. - Ale zarażenie się może być przykre. A po cóż komu przykrości? Mógłbyś się nabawić przymiotu, tak jak twój, co za szkoda, syn Naboru, albo stać się trędowatym, tak jak pan Onoshi. Jest jeszcze młody, ale cierpi.

Och, jak cierpi.

Toranagę wyprowadziło to na chwilę z równowagi. Aż za dobrze znał pustoszące skutki obu chorób. Najstarszy z jego żyjących synów, Naboru, nabawił się chińskiego przymiotu przed dziesięcioma laty, jako siedemnastolatek, i wszelkie kuracje japońskich, chińskich, koreańskich i chrześcijańskich lekarzy nie zdołały zaleczyć choroby, która choć go nie zabiła, to zdążyła oszpecić.

Jeżeli zdołam zdobyć pełną władzę, to być może uda mi się zniszczyć tę chorobę, przyrzekł sobie.

Czy naprawdę jej źródłem są kobiety? Jak kobiety się nią zarażają? Jak ją wyleczyć? Biedny Naboru. Gdyby nie ten przymiot, byłbyś moim dziedzicem, ponieważ wspomniała z ciebie żołnierz, lepszy zarządca od Sudary, a ponadto odznaczasz się wielką przebiegłością. W poprzednim wcieleniu musiałeś wyrządzić wiele zła, żeby w tym znieść tyle brzemion losu.

- Na Buddę, nikomu nie życzyłbym tych chorób - powiedział.

- Słusznie - rzekł Ishido, przekonany, że Toranaga, gdyby mógł, to życzyłby mu jednego i drugiego. Ukłonił się jeszcze raz i wyszedł.

- I co ty na to? - przerwał milczenie Toranaga.

- Czy wyjedziesz teraz, czy zostaniesz, wychodzi na jedno - odparł Hiro-matsu. - To katastrofa, ponieważ zdradzono cię i zostałeś sam, wielmożny panie. Jeżeli zaczekasz na spotkanie, a nie zbierzesz się przez tydzień, Ishido zgromadzi swoje oddziały dookoła Osaki i za nic nie zdołasz uciec, bez względu na los pani Ochiby w Edo, a Ishido umyślił ją poświęcić, byleby tylko dopaść ciebie. To jasne, że cię zdradzono i że czterej regenci podejmą decyzję przeciwko tobie.

Cztery głosy przeciwko jednemu w Radzie to wyrok na ciebie. Jeżeli wyjedziesz, to i tak wydadzą rozkazy, jakich zażyczy sobie Ishido. Będziesz musiał być posłuszny ich decyzji podjętej czterema głosami przeciwko jednemu. Przysięgłeś, że się do niej zastosujesz. Nie możesz nie dotrzymać solennej przysięgi, którąś złożył, panie, jako regent.

- Racja.

Zamilkli na dłużej.

Hiro-matsu czekał z rosnącym niepokojem.

- Co masz zamiar zrobić, panie? - spytał.

- Najpierw popływam - odparł z zadziwiającą pogodą ducha Toranaga. - A potem spotkam się z barbarzyńcą.

Przez prywatny ogród Toranagi w zamku przeszła cicho do małej, ślicznie wkomponowanej pomiędzy klonami, krytej strzechą chatki jakaś kobieta. Jej jedwabne kimono i obi były najprostsze z możliwych, ale i najelegantsze, a potrafili je szyć jedynie najslawniejsi chińscy mistrze. Włosy miała czesane wedle najnowszej mody w Kioto, spiętrzone wysoko i spięte długimi srebrnymi szpilkami.

Kolorowa parasolka osłaniała jej bardzo bladą skórę. Była niska, gdyż miała zaledwie pięć stóp wzrostu, za to idealne proporcje ciała. Na jej szyi wisiał cienki złoty łańcuszek, a na nim mały złoty krzyżyk.

Na werandzie chatki czekała Kiri. Siedziała głęboko w cieniu, pośladki wystawały jej poza poduszkę, i przyglądała się kobiecie zbliżającej się po służących do przejścia kamieniach, które tak misternie osadzono w mchu, że zdawały się z niego wyrastać.

- Jeszcze nigdy nie byłaś taka piękna i taka młoda, Toda Mariko-san - powiedziała Kiri bez zazdrości, odpowiadając ukłonem na jej ukłon.

- Chciałabym, żeby to była prawda, Kiritsubo-san - odparła z uśmiechem Mariko. Uklękła na poduszce, odruchowo układając kimono w subtelne fałdy.

- To jest prawda. Kiedy widziałyśmy się poprzednio? Dwa. . trzy lata temu? Przez dwadzieścia lat nie zmieniałaś się ani o włos. Poznałyśmy się bez mała dwadzieścia lat temu. Pamiętasz? Na uczenie wydanej przez pana Gorodę. Miałaś wtedy czternaście wiosen, byłaś świeżo po ślubie i bardzo niezwykła.

- I przerażona.

- Przerażona? Ty? Nie.

To było szesnaście lat temu, Kiritsubo-san, nie dwadzieścia, Tak, pamiętam bardzo dobrze., Aż za dobrze, pomyślała z rozpaczą w sercu. Tego dnia mój brat szepnął mi na ucho, że podejrzewa naszego czcigodnego ojca o zamiar zemsty na naszym suzerenie, dyktatorze Gorodzie, że chce go zabić. Swojego feudalnego pana!

O, tak, Kiri-san, pamiętam ten dzień, rok i godzinę. To właśnie wtedy zaczął się ten koszmar.

Zanim to się stało, nie przyznałam się nikomu, że wiem, co nastąpi. Nie ostrzegłam ani swojego męża, ani Hiro-matsu, jego ojca, obu wiernych wasali dyktatora, o zdradzie, którą gotuje jeden z jego największych generałów. A co gorsza, nie ostrzegłam Gorody, mojego pana, nie dopełniając tym samym swoich obowiązków wobec niego, wobec mojego męża i wobec mojej rodziny, jedynej, jaka dzięki temu małżeństwu mi została. O Madonno, wybac mi mój grzech, pomóż mi go zmazać.

Milczałam, żeby ochronić mojego ukochanego ojca, który skalał tysiącletni honor. O mój Boże, o Jezusie Nazareński, ocal tego grzesznika od wiecznego potępienia. .

- To było szesnaście lat temu - powtórzyła łagodnie.

- Tego roku nosiłam w łonie dziecko pana Toranagi - rzekła Kiri i pomyślała: „Gdyby pan Goroda nie został podstępnie zdradzony i za morderstwo przez twojego ojca, to pan Toranaga nie musiałby stoczyć bitwy pod Nagakude, a ja wcale bym się nie przeziębila i nie poroniła dziecka. Być może - dodała. - A być może nie. To po prostu karma, moja karma, cokolwiek się zdarzyło, ne?” -

Ach, Mariko-san - posiedziała bez najmniejszej urazy. - To tak dawno temu, że wydaje się, jakby

wydarzyło się w innym życiu. Ale ty jesteś wiecznie młoda. Czemu nie mam twojej figury i pięknych włosów i czemu nie poruszam się tak zgrabnie? - Kiri roześmiała się. - Odpowiedź jest prosta: bo za dużo jem!

- A czy to ważne? Opływasz w łaski pana Toranagi, ne? Niczego ci nie brakuje. Jesteś mądra, życzliwa, zdrowa i zadowolona z życia.

- Wolalabym być szczupłą, a przy tym móc dużo jeść i opływać w łaski - odparła Kiri. - Ale ty?

Nie jesteś zadowolona z życia?

- Jestem jedynie narzędziem, z którego korzysta mój pan Buntaro. Kiedy on, mój mąż, jest szczęśliwy, to ja oczywiście też. Jego przyjemność jest moją przyjemnością. Tak samo jak w twoim przypadku - powiedziała Mariko.

- Owszem. Ale nie tak samo. - Kiri poruszyła wachlarzem, a w złotym jedwabiu zabłyszczało popołudniowe słońce. Tak się cieszę, że nie jestem tobą, Mariko, pomyślała, pomimo całej twej urody, świetności, odwagi i wykształcenia. O nie! Nie zniosłabym małżeństwa z nienawistnym, szpetnym, wyniosłym i gwałtownym mężczyzną nawet jednego dnia, nie mówiąc już o siedemnastu latach. Jest takim przeciwieństwem swojego ojca, pana Hiro-matsu. Bo to wspaniały człowiek! Ale Buntaro? Jak tacy ojcowie mogą mieć tak okropnych synów? Żeby to ja miała syna, och, jak bardzo chciałabym go mieć! Ale ty, Mariko, jak zdołałaś znieść aż tyle lat podłego traktowania? Jak wytrzymałaś tragedie, które cię spotkały? To niewiarygodne, że nie widać ich śladów ani na twej twarzy, ani w duszy. - Jesteś niezwykłą kobietą Toda Buntaro Mariko-san - powiedziała.

- Dziękuję ci, Kiritsubo Toshiko-san. Och, Kiri-san, jak dobrze jest cię znowu widzieć.

- I ciebie też. Jak tam twój syn?

- Jest piękny. . piękny, piękny. Saruji ma już piętnaście lat, pomyśl tylko. Jest wysoki, silny i całkiem jak jego ojciec, a pan Hiro-matsu dał mu lenno i. . czy wiesz, że chce się żenić?

- Nie, a z kim?

- Z wnuczką pana Kiyamy. Pan Toranaga tak dobrze wszystko zaaranżował. To bardzo dobra partia dla naszej rodziny. Żeby tak tylko ta dziewczyna była. . bardziej dbała o mojego syna. Była poczciwsza. Czy wiesz, że ona. . - Mariko zaśmiała się, nieco wstydliwie. - Ko proszę, wyrażani się, jak wszystkie teściowe na świecie. Ale przyznasz mi chyba rację, że ona nie jest jeszcze tak naprawdę ułożona.

- Masz czas, żeby to nadrobić.

- Liczę na to. Tak. To szczęście, że nie mam teściowej. Nie wiem, co bym zrobiła.

- Musisz ją oczarować i ułożyć, tak jak ułożyłaś całą służbę Dōmową, ne?

- Ii i , chciałabym, żeby to też była prawda. . - Mariko trzymała ręce nieruchomo na podolku.

Przyglądała się ważce, jak siada, po czym odlatuje jak strzała. - Mój mąż kazał mi tu przyjść. Czy pan Toranaga chce się ze mną widzieć?

- Tak. Pragnie, żebyś dla niego tłumaczyła.

- „Rozmowę z kim? - spytała z przestraszeniem Mariko.

- Z tym nowym barbarzyńcą.

- Ach! A co z szanownym ojcem Tsukku? Jest chory?

- Nie. - Kiri trzepotała wachlarzem. - Zdaje się, że mamy o czym myśleć, dlaczegoż to pan Toranaga pragnie, żebyś to była ty, a nie jak przy pierwszym posłuchaniu ten kapłan. Dlaczego tak jest, że to właśnie my, Mariko-san, musimy zajmować się pieniędzmi, płacić wszystkie rachunki, szkolić służbę, kupować jedzenie i rzeczy do domu, a nawet najczęściej ubrania naszym mężom, oni zaś tak na dobrą sprawę nigdy nam o niczym nie mówią, prawda?

- Być może właśnie po to jest potrzebna nam nasza intuicja.

- Prawdopodobnie. - Kiri patrzyła jej w oczy prosto i przyjaźnie. - Ale jak sądzę, jest to ściśle tajna sprawa. Więc na pewno będziesz musiała przysiąc na swojego chrześcijańskiego Boga, że nie piśniesz słówka o tym spotkaniu. Nikomu.

Zrobiło się jakby chłodniej. - Oczywiście - odparła zaniepokojona Mariko. Bardzo dobrze rozumiała, że Kiri ma na myśli to, iż nie powie ona nic swojemu mężowi, jego ojcu ani spowiednikowi.

A ponieważ jej mąż kazał jej tu przybyć, bez wątpienia na żądanie pana Toranagi, wobec kogo zatem miała większe obowiązki - swojego suzerena czy też swego spowiednika? Czy mogła mu nic nie mówić? I dlaczego to ona miała tłumaczyć, a nie ojciec Tsukku-san? Zdawała sobie sprawę, że po raz kolejny wbrew swojej woli została wplątana w jakąś polityczną intrygę, która burzyła jej życie, i pożałowała jeszcze raz, że pochodzi z takiego starożytnego rodu i że sama należy do klanu Fujimoto, że urodziła się z talentem do języków, który pozwolił jej wyuczyć się prawie niezrozumiałej łaciny i portugalskiego, i że w ogóle przyszła na świat. Ale z drugiej strony, pomyślała, nigdy nie ujrzałabym swojego syna, nigdy nie dowiedziałabym się o dzieciątku Jezus i Jego Prawdzie ani o Życiu Wiecznym.

- To twoja karma, Mariko, powiedziała sobie ze smutkiem, po prostu karma, ' , ' , Dobrze, Kiri-san - odparła i dodała tonem przepowiedni: - Na Pana, mojego Boga, przysięgam, że nie zdradzę nic, co zostanie dzisiaj powiedziane, i że będę tłumaczyła dla mojego pana, kiedy tylko trzeba.

- Uważam również, że powinnaś odłożyć na bok część własnych uczuć po to, żeby tłumaczyć wiernie wszystko, co zostanie powiedziane. Ten nowy barbarzyńca jest dziwny i mówi osobliwe rzeczy. Jestem pewna, że po rozważeniu wszystkich kandydatów mój pan specjalnie wybrał ciebie.

- Zrobię wszystko, czego życzy sobie pan Toranaga. Nie musi się obawiać o moją wierność.

- Nigdy w nią nie wątpiliśmy, pani. Nie chciałam cię urazić.

Spadł wiosenny deszcz, pokropił płatki, mchy i liście i przeszedł, pozostawiając po sobie jeszcze piękniejszy widok.

- Chciałabym cię o coś prosić, Mariko-san. Czy mogłabyś schować ten krzyż pod kimono?

Mariko natychmiast schwyciła go w palce obronnym gestem.

- Dlaczego? Pan Toranaga nigdy nie miał nic przeciwko mojemu nawróceniu ani pan Hiromatsu, głowa mojego klanu. Mój mąż. . mój mąż pozwala mi go trzymać i nosić.

- Owszem. Ale krzyże rozwścieczają tego barbarzyńcę, a mój pan Toranaga nie chce go rozwścieczać, chce, żeby był spokojny.

Blackthorne jeszcze nigdy nie widział tak filigranowej osoby.

- Konnichi wa - powiedział. - Konnichi, Toranaga-sama.

Uklonił się dwornie, skinął głową chłopcu, który z szeroko rozwartymi oczami siedział obok Toranagi, i grubej kobiecie, która siedziała za nim. Zajmowali miejsca na werandzie otaczającej mały domek. Składał się on z pojedynczej izby z prostymi parawanami, grubo ciosanymi belkami i miał dach kryty strzechą, z tyłu zaś pomieszczenie kuchenne. Domek stał na drewnianych palach mniej więcej stopę ponad podłożem z czystego białego piasku. Była to obrzędowa herbaciarnia przeznaczona do ceremonii cha-no-yu i zbudowana wielkim kosztem do tego jedyne go celu z rzadkich materiałów, chociaż niekiedy domków takich, ponieważ stały samotnie na leśnych polanach, używano jako miejsc spotkań i poufnych rozmów.

Blackthorne zebrał kimono i usiadł na poduszce, którą umieszczono na piasku na wprost Japończyków.

- Gomen nasai, Toranaga-sama, nihon go ga hanase-masen. Tsuya-ku go imasu ka? - spytał.

- Ja jestem twoją tłumaczką, senhor - odezwała się natychmiast Mariko w prawie nieskazitelnej portugalszczyźnie. - Ale czyżbyś ty mówił po japońsku?

- Nie, senhorita, znam tylko kilka słów i zwrotów - odparł zdumiony Blackthorne. Oczekiwał, że tłumaczem będzie ojciec Alvito, a Toranadze będą towarzyszyć samuraje i, być może, daimyō Yabu. Ale w pobliżu ich nie było, choć wielu stało wokół ogrodu.

- Mój pan Toranaga pyta, gdzie. . a może najpierw powinnam była spytać, czy wolisz, panie, mówić po łacinie?

- W jakimkolwiek języku sobie życzysz, senhorita.

Jak wszyscy wykształceni ludzie, Blackthorne umiał czytać, pisać i mówić po łacinie, ponieważ łacina była jedynym językiem, którego nauczano w całym cywilizowanym świecie.

Kim jest ta kobieta? Gdzie tak świetnie nauczyła się po portugalsku? I po łacinie? Skądże indziej, jak

nie od jezuitów, pomyślał. W którejs z ich szkół. Och, tacy są przemysłni! Na samym początku budują szkoły.

Zaledwie przed siedemdziesięcioma laty Ignacy Loyola założył Towarzystwo Jezusowe, a w tej chwili jezuickie szkoły, najlepsze w całym chrześcijaństwie, rozprzestrzeniły się po całym świecie, a wpływy jezuitów podtrzymywały bądź niszczyły królów. Mieli posłuch u papieża.

Powstrzymali wielką falę reformacji, a w tej chwili zdobywali nowe wielkie terytoria dla swojego Kościoła.

- Wobec tego będziemy mówić po portugalsku - zdecydowała. - Mój pan chce wiedzieć, gdzie nauczył się tych kilku słów i zwrotów.

- W więzieniu był mnich, senhorita, franciszkański mnich i on mnie nauczył. Takich wyrazów jak „jedzenie”, „przyjaciół”, „kąpiel”, „iść”, „przyjść”, „prawda”, „nieprawda”, „tutaj”, „tam”, „ja”,

„ty”, „proszę”, „dziękuję”, „chcę”, „nie chcę”, „więzień”, „tak”, „nie” i innych. Czy mogłabyś przekazać panu Toranadze, że jestem już lepiej przygotowany, żeby odpowiadać na jego pytania, żeby pomóc, i że bardzo się cieszę, że wyszedłem z więzienia. Za co mu dziękuję.

Blackthorne przyglądał się, jak Japonka odwraca się i mówi do Toranagi. Zdawał sobie sprawę, że musi używać prostego języka, najlepiej krótkich zdań, i pilnować się, gdyż w przeciwieństwie do jezuity, który tłumaczył równolegle, ta kobieta czekała, aż skończy mówić, i dopiero wtedy streszczała bądź przedstawiała swoją wersję tego, co powiedział. Problem ten dotyczył wszystkich tłumaczy, z wyjątkiem najlepszych, choć nawet oni, jak w przypadku tego jezuity, dopuszczali, umyślnie albo nieumyślnie, wpływ własnej osobowości na przebieg rozmowy.

Kąpiel, masaż, posiłek i dwie godziny snu niezwykle go odświeżyły. Łaziebne, same kobiety, duże i mocne, wyklepały mu ciało i umyły włosy, splatając je w zgrabny warkocz, a balwierz przystrzygł mu brodę. Dano mu czystą opaskę na biodra, kimono, pas, tabi i sandały. Futony, czyli kołdry, na których spał były tak czyste, jak sam pokój. Miał wrażenie, że to sen, i kiedy obudził się z drzemki, przez chwilę zastanawiał się, co mu się śniło - to czy może więzienie.

Czekał cierpliwie, mając nadzieję, że go zaprowadzą znowu do Toranagi, planował, co mu powie, co ujawni, i zastanawiał się, jak by tu przechytryć ojca Alvito, jak zdobyć nad nim przewagę. I przewagę nad Toranagą. Na podstawie tego, co usłyszał od brata Domingo o Portugalczykach, japońskiej polityce i handlu, doszedł do wniosku, że na pewno będzie teraz w stanie pomóc Toranadze, który w zamian może mu z łatwością zapewnić bogactwo, którego pożądał.

A poza tym, nie mając tym razem za przeciwnika jezuitę, poczuł się jeszcze pewniej.

Potrzebny był mu tylko łut szczęścia i cierpliwość.

Toranagą przysłuchiwał się uważnie przypominającej lalkę tłumaczce.

Mógłbym ją podnieść jedną ręką, a gdybym otoczył ją dłońmi w pasie, to zetknęłyby mi się palce, pomyślał Blackthorne. Ile ona ma lat? Jest nieskazitelna! Zamężna? Nie ma małżeńskiej obrączki.

Ach, to ciekawe. W ogóle nie nosi biżuterii. Oprócz tych srebrnych szpil we włosach. Ta druga, ta gruba, też nie.

Poszperał w pamięci. Tamte dwie kobiety w wiosce także nie nosiły biżuterii i nie widział jej też wcale w Dōmostwie Mury. Dlaczego?

I kim jest ta gruba? Żoną Toranagi? A może piastunką tego chłopca? Czy ten chłopiec to jego syn? A może wnuk? Brat Domingo powiedział, że Japończycy mają tylko jedną żonę naraz, ale tyle konkubin - legalnych nałożnic - ile zapragną.

Czy ta tłumaczka jest konkubiną Toranagi?

Jak by to było, gdybym miał taką kobietę w swoim łóżku? Bałbym się ją zgnieść. Nie, nie zgniótłbym jej. W Anglii też spotyka się niemal równie drobne kobiety. Ale nie takie jak ona.

Chłopiec był niski, poważny, miał okrągłe oczy, gęste czarne włosy związane w krótki warkocz, a szczyt głowy nie ogolony. Zdradzał ogromne zainteresowanie.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Blackthorne mrugnął. Chłopiec podskoczył, a potem zaśmiał się, przerwał Mariko, wskazał ręką i przemówił, oni zaś słuchali go pobłaźliwie i nikt go nie uciszył. Kiedy skończył, Toranaga powiedział coś krótko do Blackthorne'a.

- Pan Toranaga pyta, czemu to zrobiłeś, senhor?

- Och, wyłącznie po to, żeby rozbawić tego chłopca. To przecież tylko dzieciak, a w moim kraju dzieci zwykle śmieją się, kiedy ktoś to robi. Mój syn jest teraz pewnie mniej więcej w jego wieku. Ma siedem lat.

- Następca ma siedem lat - powiedziała po chwili Mariko, a potem przełożyła jego słowa.

- Następca? Czy to znaczy, że ten chłopiec jest jedynym synem pana Toranagi? - spytał

Blackthorne.

- Pan Toranaga kazał mi powiedzieć, abys z łaski swojej ograniczył się w tej chwili wyłącznie do odpowiedzi na jego pytania - odparła, po czym dodała: - Jestem pewna, że jeżeli okażesz cierpliwość, naczelny pilocie Blackthorn, to później będziesz miał sposobność zapytać, o co tylko zechcesz.

- Doskonale.

- Ponieważ twoje nazwisko jest bardzo trudne do wymówienia, senhor, jako że nie mamy dźwięków, by je wypowiedzieć. . czy wolno mi dla potrzeb pana Toranagi używać twojego japońskiego nazwiska „Anjin-san”?

- Oczywiście.

Blackthorne chciał zadać pytanie, ale przypomniał sobie, co powiedziała i że musi zachować cierpliwość.

- Dziękuję. Mój pan pyta, czy masz jeszcze inne dzieci?

Córkę. Urodziła się przed moim wyjazdem z domu w Anglii. Tak więc ma teraz około dwóch lat., ;-
Masz jedną czy wiele żon?

- Jedną. To nasz zwyczaj. Podobnie jak Portugalczyków i Hiszpanów. Nie mamy konkubin. .
oficjalnych konkubin.

- Czy to twoja pierwsza żona, senhor?

- Tak.

- A ile masz lat, proszę? . .

- Trzydzieści sześć.

- Gdzie mieszkasz w Anglii?

- Na przedmieściu Chatham. To mały port blisko Londynu.

- Londyn to wasze główne miasto?

- Tak.

- Pan pyta, jakimi językami władasz.

- Angielskim, portugalskim, hiszpańskim, holenderskim, i oczywiście łaciną.

- Co to jest „holenderski”?

- To język, którym mówi się w Europie, w Niderlandach. Jest bardzo podobny do niemieckiego.

Japonka zmarszczyła brwi.

- Holenderski to język pogański? Niemiecki też?

- Oboma mówi się w krajach niekatolickich - odparł, mając się na baczności.

- Przepraszam, czy to to samo co pogańskich?

- Nie, senhorita. Chrześcijaństwo dzieli się - na dwie odrębne i mocno się różniące wyznania.

Katolicyzm i protestantyzm. Są to dwie wersje chrześcijaństwa. Sekta w Japoni jest katolicka. W

tej chwili obie sekty są do siebie bardzo wrogo nastawione. - Spostrzegł jej zaskoczenie i zobaczył

rosnące zniecierpliwienie Toranagi, bo wyłączono go z rozmowy. Bądź ostrożny, ostrzegł się. Ona jest na pewno katoliczką. Mów rzeczowo. I prosto. - Być może pan Toranaga nie życzy sobie rozmawiać o religii, senhorita, jako że częściowo omówiliśmy ten temat podczas pierwszego spotkania.

- Jesteś chrześcijańskim protestantem?

- Tak.

- I chrześcijanie katolicy to twoi wrogowie?

- Tak, większość uznałaby mnie za wroga i heretyka.

Zawahała się, obróciła w stronę Toranagi i przez dłuższy czas mówiła.

Wokół ogrodzenia stało wielu strażników. Sami Brązowi, wszyscy w znacznej odległości.

Blackthorne spostrzegł, że w cieniu, ze wzrokiem utkwionym w chłopcu, siedzi w zwartej grupie dziesięciu Szarych. Zastanawiał się, co to znaczy.

Toranaga wypytał dokładnie Mariko, a potem zwrócił się wprost do Blackthorne'a.

- Mój pan chce się dowiedzieć o tobie i twojej rodzinie - zaczęła Mariko. - O twoim kraju, jego królowej, poprzednich władcach, zwyczajach, kulturze i historii. A przy tym o wszystkich innych krajach, zwłaszcza o Portugalii i Hiszpanii. Wszystkiego o świecie, w którym żyjesz. O

waszych statkach, broni, jedzeniu, handlu, o waszych wojnach, bitwach, o żegludze morskiej, o tym, jak prowadziłeś swój statek i co się wydarzyło w trakcie tej podróży. Pragnie zrozumieć. .

Przepraszam, dlaczego się śmiejesz?

- Tylko dlatego, senhorita, że chodzi tu chyba o całą moją wiedzę.

- Dokładnie tego życzy sobie mój pan. Czy „dokładnie” to właściwe słowo?

- Tak, senhorita. Czy wolno mi pochwalić ciebie i twój portugalski, który jest bez skazy?

- Dziękuję, senhor, mój pan chce znać prawdę o wszystkim: co jest faktem, a co twoją opinią.

- Chętnie mu powiem. Ale może to zająć trochę czasu.

- Mój pan mówi, że ma czas.

Blackthorne spojrzał na Toranagę.

Wakarimasu - powiedział., - Wybacz, senhor, ale mój pan każe ci zwrócić uwagę, że trochę źle to

akcentujesz. - Mariko zademonstrowała mu, jak wymawiać to słowo, on zaś powtórzył je i podziękował. - Jestem senhora Mariko Buntaro, nie senhorita.

- Tak, senhora. - Blackthorne zerknął na Toranagę. - Chce, żeby od czego zacząć?

Spytała o to Toranagę. Przez jego męską twarz przemknął uśmiech.

- Mówi, że od początku.

Blackthorne zdawał sobie sprawę, że jest to jeszcze jedna próba. Od czego zacząć, spośród tylu nieograniczonych możliwości? Do kogo się zwracać? Do Toranagi, chłopca czy do tej kobiety?

Gdyby tu byli obecni wyłącznie mężczyźni, z pewnością do Toranagi. Ale w tej sytuacji? Dlaczego są tu te kobiety i chłopiec? To musi coś znaczyć.

- Ja. . no cóż. . - I wtedy nagle spłynęło na niego natchnienie. Może najlepiej będzie, jeżeli narysuję mapę świata, senhora, takiego, jaki znamy - rzekł pośpiesznie. - Mam to zrobić?

Kiedy to przełożyła, dostrzegł błysk zaciekawienia u Toranagi, ale żadnej reakcji u chłopca i kobiet. Jak ich zainteresować?

- Mój pan mówi, że tak. Poślę po papier. .

- Dziękuję. Ale na razie obędę się bez niego. Później, jeżeli dostanę coś do pisania, mogę narysować dokładną mapę.

Blackthorne podniósł się z poduszki i klęknął. Palcem zaczął kreślić na piasku prymitywną mapę do góry nogami, tak żeby tamci mogli ją lepiej widzieć.

- Ziemia jest okrągła jak pomarańcza, ale mapa jest jak jej skórka, bez owalnych części na północy i południu, rozplaszczona i trochę rozciągniętą na górze i na dole. Dokładnie dwadzieścia lat temu wpadł na ten pomysł Holender Merkator. Jest to pierwsza dokładna mapa świata. Możemy nawet z nią żeglować. . albo z globusem. - Śmiało wyrysował kontynenty. - To jest północ, to południe, to wschód, a to zachód. Japonia jest tutaj, a mój kraj po drugiej stronie świata. . tu. To wszystko zaś jest nie odkryte i nie zbadane. - Ręką oddzielił wszystkie tereny w Ameryce Północnej na północ od granicy Meksyku aż po Nową Fundlandię, wszystkie w Ameryce Południowej z wyjątkiem Peru i wąskiego pasa nadbrzeżnego wokół tego kontynentu, potem zaś wszystkie na północ i wschód od Norwegi , wszystkie na wschód od Rusi, całą Azję, całe wnętrze Afryki, wszystkie na południe od Jawy i koniuszka Ameryki Południowej. - Znamy wybrzeża, ale niewiele więcej. Wnętrza Afryki, Ameryki i Azji są dla nas prawie całkowitą tajemnicą.

Zamilkł, żeby mogła nadgonić przekładanie. Tłumaczyła już znacznie swobodniej i czuł, że zainteresowanie Japończyków wzrasta. Chłopiec poruszył się i przysunął bliżej.

- Następca chce wiedzieć, gdzie jesteśmy na tej mapie my.

- Tutaj. To jest Katakaj, Chiny, jak sądzę. Nie wiem, jak daleko jesteśmy od ich brzegów.

Żegluga stąd dotąd zajęła mi dwa lata.

Toranaga i gruba kobieta wyciągnęli szyje, żeby lepiej widzieć.

- Następca pyta, dlaczego na twojej mapie Japonia jest taka mała.

- To kwestia skali, senhora. Ten kontynent, tu, od Nowej Fundlandii do Meksyku, tutaj, ma prawie tysiąc lig, z których każda liczy trzy mile. Stąd do Edo jest około stu lig.

Zapadło milczenie, a potem Japończycy zaczęli rozmawiać między sobą.

- Pan Toranaga chce, żebyś mu pokazał na tej mapie, którędy dopłynąłeś do Japonii.

- Tędy. To jest Przesmyk, lub inaczej Cieśnina Magel ana, tutaj, na tym końcu Ameryki Południowej. Została tak nazwana na cześć portugalskiego żeglarza, który odkrył ją osiemdziesiąt lat temu. Od tamtego czasu Portugalczycy i Hiszpanie utrzymywali ten szlak w tajemnicy, do swojego wyłącznego użytku. Jesteśmy pierwszymi obcokrajowcami, którzy nim przepłynęli. Miałem jedną z ich tajnych rut - ruta to rodzaj mapy - ale mimo to musiałem czekać sześć miesięcy na przebycie tej cieśniny, ze względu na nieprzychylne wiatry.

Japonka przełożyła to, co powiedział. Toranaga spojrział z niedowierzaniem.

- Mój pan mówi, że się mylisz. Wszyscy bar. . wszyscy Portugalczycy przyplývają z południa.

To jest ich trasa, jedyna trasa.

- Tak. To prawda, że Portugalczycy wolą tę drogę, koło Przylądka Dobrej Nadziei, jak go nazywamy, ponieważ wzdłuż wszystkich tamtejszych wybrzeży mają tuziny fortów - w Afryce, Indiach, na Wyspach Korzennych - gdzie zaopatrują się i gdzie zimują. A ich wojenne galeony patrolują i całkowicie panują nad szlakami morskimi. Z Cieśniny Magel ana korzystają wszakże, żeby dopłynąć do swoich amerykańskich koloni na wybrzeżach Pacyfiku i na Filipiny, a ponadto dostają się tam przez międzymorze w Panamie, dla uniknięcia kilkumiesięcznego rejsu podróżując lądem.

Nam bezpieczniej było płynąć przez Cieśninę Magel ana, zamiast narażać się na żeglugę pod ostrzałem tych wszystkich portugalskich fortów. Zechciej przekazać panu Toranadze, że znam położenie wielu z nich. Przy okazji, w większości z nich służą japońskie oddziały - dodał z naciskiem.

- Brat zakonny, który mi o tym powiedział w więzieniu, jest Hiszpanem wrogo nastawionym do Portugalczyków i wszystkich jezuitów.

Blackthorne spostrzegł natychmiastową zmianę na twarzy tłumaczki, a kiedy przełożyła jego słowa, zmianę na twarzy Toranagi. Daj jej czas i mów dalej prosto, przestrzegł się.

- Japońskie oddziały? To znaczy, samurajów?

- Można ich chyba nazwać roninami.

- Powiedziałaś o „tajnej” mapie? Mój pan chce wiedzieć, jak wszedłeś w jej posiadanie.

- Pewien człowiek, Holender, który nazywał się Pieter Suyderhof, był osobistym sekretarzem prymasa Goi - prymas to tytuł głównego katolickiego księdza, a Goa to stolica Indii Portugalskich.

Naturalnie orientujesz się, panie, że Portugalczycy próbują zdobyć ten kontynent siłą. Przez ręce Suyderhofa, jako osobistego sekretarza owego arcybiskupa, będącego podówczas także portugalskim wicekrólem, przechodziły rozmaite dokumenty. Po wielu latach zdobył część portugalskich rut - map - i je skopiował. Odsłoniły one tajemnicę szlaku przez Cieśninę Magelana, a także, jak należy opłynąć Przylądek Dobrej Nadziei oraz mielizny i rafy na trasie z Goi przez Makau do Japoni. Moja ruta zawierała trasę przez Cieśninę Magelana. Znajdowała się pośród dokumentów, które zginęły z mojego statku. Dla mnie są one niezbędne, a dla pana Toranagi mogą mieć nieoszacowaną wartość.

- Mój pan mówi, że wysłał już rozkazy, aby je odszukano. Mów dalej, proszę.

- Kiedy Suyderhof wrócił do Holandii, sprzedał je Kupieckiej Spółce Wschodnioindyjskiej, która uzyskiwała wyłączność na poszukiwania na Dalekim Wschodzie.

- Czy ten człowiek był płatnym szpiegiem? - spytała Mariko, mierząc go chłodnym wzrokiem.

- Tak, zapłacono mu za mapy. Taki tam mają zwyczaj, w taki sposób wynagradzają ludzi. Nie tytułem ani ziemią, ale pieniędzmi. Holandia jest republiką. Oczywiście, senhora, mój kraj i nasi sprzymierzeńcy Holendrzy toczą z Hiszpanią i Portugalią wojnę, która trwa od lat: Rozumiesz, senhora, że w czasie wojny najważniejsze jest poznać tajemnice wrogów.

Mariko odwróciła się od niego i mówiła przez dłuższy czas.

- Mój pan pyta, w jakim celu ten arcybiskup miałby zatrudniać wroga.

- Wedle słów Pietera Suyderhofa ów arcybiskup, który był jezuitą, interesował się wyłącznie handlem. Suyderhof podwoił jego dochody, tak więc był przezeń „hołubiony”. Był nadzwyczaj zręcznym kupcem - Holendrzy są na ogół lepsi pod tym względem od Portugalczyków - więc nie sprawdzano dokładnie jego referencji. A poza tym wielu jasnowłosych i niebieskookich, Niemców i innych Europejczyków, to katolicy. - Blackthorne czekał, aż zostanie to przetłumaczone, a potem dodał ostrożnie: - Był głównym szpiegiem holenderskim w Azji, żołnierzem służącym swojej ojczyźnie i umieścił trochę swoich ludzi na portugalskich statkach. Zechciej przekazać panu Toranadze, że bez handlu z Japonią Indie Portugalskie długo nie pociągną.

Kiedy Mariko mówiła, Toranaga nie odrywał wzroku od narysowanej mapy. W ogóle nie zareagował na jej słowa. Blackthorne zastanawiał się, czy przełożyła mu wszystko.

I wtedy usłyszał: „-.”.

- Mój pan pragnie mieć szczegółową mapę świata na papierze, jak najszybciej, z zaznaczonymi wszystkimi bazami Portugalczyków i liczbą roninów w każdej z nich. Prosi, żebyś mówił dalej.

Blackthorne wiedział, że zrobił wielki krok do przodu. Ale chłopiec ziewnął, dlatego postanowił

zmienić kurs, zmierzając, wszakże do tego samego portu.

- Nasz świat nie zawsze jest taki, na jaki wygląda. Na przykład, na południe od tej linii, którą nazywamy równikiem, pory roku układają się w odwrotnej kolejności. Kiedy u nas jest lato, to u nich zima, kiedy my mamy lato, oni marzną.

- Dlaczego tak jest?

- Nie wiem, ale to prawda. Wracając do rzeczy: droga do Japonii wiedzie przez obie te cieśniny na południu. My, Anglicy, staramy się znaleźć trasę północną albo północno-wschodnią nad Syberią, albo północno-zachodnią nad Amerykami. Na północy dotarłem aż dotąd. Cała ziemia jest tam stale skuta lodem i pokryta śniegiem, a przez większą część roku jest tak zimno, że bez futrzanych rękawic człowiek po kilku chwilach odmroziłby sobie palce. Żyjący tam ludzie zwą się Lapończykami. Ubrania mają uszyte ze skór. Mężczyźni polują, a kobiety robią wszystko w gospodarstwie. Do ich prac należy szycie ubrań. W tym celu przeważnie żują skóry, żeby je zmiękczyć przed zszyciem.

Mariko roześmiała się w głos.

Blackthorne Uśmiechnął się do niej, już pewniejszy siebie.

- To prawda, senhora. Honto.

- Sorewa honto desu ka? - spytał niecierpliwie Toranaga, chcąc wiedzieć, co takiego jest prawdą.

Znów się śmiejąc, powiedziała mu, o czym mowa. Pozostali również zaczęli się śmiać.

- Żyłem wśród nich blisko rok. Pochwyciły nas lody i musieliśmy czekać, aż puszcza. Żywią się tam rybami, fokami, niekiedy niedźwiedziami polarnymi i wielorybami, które jedzą na surowo. Ich największym przysmakiem jest surowy tran wielorybi.

- Och, nie opowiadaj, Anjin-san!

- To prawda. A mieszkają w małych okrągłych domkach wykonanych w całości ze śniegu i nigdy się nie kąpią.

- Jak to nigdy?! - wykrzyknęła.

Potrząsnął przecząco głową i postanowił nie wyjawiać jej, że w Angli ludzie również kąpią się rzadko, rzadziej nawet niż w Portugalii i Hiszpanii, które są ciepłymi krajami.

Przełożyła to. Toranaga z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Mój pan mówi, że za bardzo przesadziłeś. Nikt nie może się obejść bez kąpieli. Nawet ludzie niecywilizowani.

- Ale to prawda, honto - odparł spokojnie Blackthorne i podniósł rękę. - Przysięgam na Jezusa Nazareńskiego i na moją duszę, przysięgam, że to prawda.

Mariko przyglądała się mu bez słowa. - Wszystko?

- Tak. Pan Toranaga chciał znać prawdę. Czemu miałbym mu kłamać? Moje życie jest w jego rękach. Tę prawdę łatwo jest udowodnić. . chociaż nie, właściwie bardzo trudno byłoby mi udowodnić własne słowa, musielibyście bowiem sami tam pojechać i zobaczyć to na własne oczy. Naturalnie Portugalczycy i Hiszpanie, którzy są moimi wrogami, nie potwierdzą tego. Ale pan Toranaga zażądał prawdy. I może ufać, że mu ją powiem.

Mariko zastanawiała się przez moment. Potem skrupulatnie przełożyła jego słowa, a po dłuższej chwili powiedziała:

- Pan Toranaga mówi, że to nie do wiary, żeby ktokolwiek mógł żyć bez kąpielii.

- Tak. Ale to są zimne kraje. Zwyczaje ich mieszkańców różnią się od waszych oraz moich. Na przykład w moim kraju wierzy się powszechnie, że kąpiele są niebezpieczne dla zdrowia. Moja babka, babunia Jacoba, powiadała: „Kąpiel raz, gdy się rodzisz, a drugi raz, kiedy układają cię w trumnie, żebyś spojrział na Perłowe Wrota”.

- Bardzo trudno w to uwierzyć.

- W niektóre wasze zwyczaje też bardzo trudno uwierzyć. Ale prawdą jest, że w ciągu krótkiego pobytu w waszym kraju kąpałem się więcej razy, niż w ciągu wielu poprzednich lat.

Chętnie przyznaję, że po kąpielach czuję się lepiej. - Blackthorne uśmiechnął się. - Już nie wierzę, że są niebezpieczne. A więc przybywając tutaj, skorzystałem, prawda?

- Tak - odparła Mariko po chwili i przełożyła, co powiedział.

- Jest niesłychany. . niesłychany, ne? - odezwała się Kiri.

- Jak go oceniasz, Mariko-san? - spytał Toranaga.

Jestem przekonana, że mówi prawdę i że wierzy w to, co mówi. Niewątpliwie wszystko wskazuje na to, że miałbyś z niego wielką korzyść, panie. Tak mało wiemy o zewnętrznym świecie.

Czybyś to mógł wykorzystać? Sama nie wiem. Ale ma się niemal wrażenie, jakby on przybył tu z gwiazd albo wyłonił z morza. Jeśli jest wrogiem Portugalczyków i Hiszpanów, to jego wiedza, jeśli jest godna zaufania, może się okazać bardzo ważna dla twoich interesów, ne?

- Zgadza się - powiedziała Kiri.

- A co ty o tym myślisz, wielmożny Yaemonie?

- Ja, wuju? Och, myślę, że jest brzydki, nie podobają mi się jego złote włosy i kocie oczy, on w ogóle nie przypomina człowieka - odparł jednym tchem chłopiec. - Cieszę się, że nie urodziłem się barbarzyńcą tak jak on, ale samurajem jak mój ojciec. Czy moglibyśmy pójść jeszcze raz popływać?

- Jutro, Yaemonie - odparł Toranaga zirytowany tym, że nie może rozmawiać z pilotem bezpośrednio.

W trakcie ich rozmowy Blackthorne uznał, że nadeszła właściwa chwila. Wreszcie Mariko zwróciła się znowu do niego.

- Mój pan pyta, po co byłeś na północy.

- Pilotowałem statek. Staraliśmy się znaleźć północno-wschodnią trasę, senhora. Wiele z tego, o czym mogę opowiedzieć, uznacie za śmiechu godne, wiem - zaczął. - Na przykład siedemdziesiąt lat temu władcy Hiszpani i Portugalii podpisali uroczysty traktat, w którym podzielili pomiędzy siebie prawa własności w Nowym Świecie, nie odkrytym świecie. Ponieważ wasz kraj znajduje się w części portugalskiej, oficjalnie należy do Portugalii, pan Toranaga, ty, pani, wszyscy, ten zamek i wszystko, co w nim jest, dostało się Portugalii.

- Och, przestań, proszę, Anjin-san. Racz wybaczyć, przecież to są bzdury!

- Zgadzam się, że są niewiarygodnie bezczelni. Ale to prawda.

Natychmiast przełożyła jego słowa i Toranaga roześmiał się drwiąco.

- Pan Toranaga mówi, że z podobnym skutkiem mógłby podzielić niebo pomiędzy siebie i cesarza Chin, ne?

Zechciej więc przekazać panu Toranadze, że przykro mi, ale to nie to samo - odparł

Blackthorne świadom, że wkracza na niebezpieczny grunt. - Jest to zapisane w prawomocnych dokumentach, gwarantujących każdemu z królów prawo do wszelkich niekatolickich krajów odkrytych przez jego poddanych, prawo do usunięcia istniejących tam rządów i zastąpienia ich władzą katolicką. - Blackthorne przesunął po mapie palcem, kreśląc z północy na południe linię dzielącą Brazylię. Wszystko na wschód od tej linii należy do Portugalczyków, wszystko na zachód od niej do Hiszpanii. Brazylię odkrył w roku tysiąc pięćsetnym Pedro Cabral, tak więc w tej chwili Brazylia jest portugalska. Zniszczył tam miejscową kulturę i prawowitych władców, a sam stał się bogaczem dzięki złotu i srebru z brazylijskich kopalń i zrabowanym z tamtejszych świątyń. Cała reszta ziem odkrytych do tej pory w Amerykach należy teraz do Hiszpanii: Meksyk, Peru, prawie cały południowy kontynent. Hiszpanie wytracili narody Inków, zniszczyli ich kulturę, a setki tysięcy zamienili w niewolników. Konkwistadorzy mają nowoczesne działa, tubylcy żadnych. Z

konkwistadorami przybywają księża. Wkrótce paru miejscowych księząt zmienia wiarę, po czym zaczyna się wygrywać ich wzajemną wrogość. Potem zaś księżę zwraca się przeciwko księciu-i królestwo rozpada się. W tej chwili Hiszpanie są najbogatszym narodem na świecie dzięki inkaskiemu i meksykańskiemu złotu i srebru, które zrabowali i odesłali do kraju.

Mariko spoważniała. Szybko zrozumiała, co oznacza ten wykład Blackthorne'a. Podobnie Toranaga.

- Mój pan mówi, że to czczy gadanina. Jak mogli przyznać sobie takie prawa?

- Nie przyznali - odparł ponuro Blackthorne. - Te prawa nadał im papież. Sam Namiestnik Chrystusa

na Ziemi. W zamian za szerzenie Słowa Bożego.

- Nie wierzę! - zawołała.

- Proszę przełożyć moje słowa, senhora. To jest honto.

Spełniła jego żądanie i najwyraźniej zaniepokojona mówiła dłuższy czas. A potem rzekła:

- Mój pan. . mój pan mówi, że ty. . starasz się go zrazić do swoich wrogów. Jaka jest prawda?

Przysięgnij na swoje życie, senhor.

Pierwszą linię podziału ustanowił w roku 1493 papież Aleksander Szósty - zaczął Blackthorne, błogosławiąc Albana Caradoca za to, że w młodości wbił mu do głowy tyle faktów, a ojca Domingo za pouczenie go o dumie Japończyków i za wskazówki na temat tego, jak myśleć. - W roku 1506 papież Juliusz Drugi zatwierdził zmiany w umowie z Tordesilas podpisanej przez Hiszpanię i Portugalię w roku 1494, które korygowały nieco ową linię. Papież Klemens Siódmy zatwierdził traktat z Saragossy w roku 1529, zaledwie siedemdziesiąt lat temu, wytyczając drugą linię podziału tutaj. . -

Blackthorne przejechał palcem po piasku wzdłuż południka, który przecinał południowy kraniec Japonii. Daje to Portugalii wyłączne prawo do twojego kraju, panie, do wszystkich tych krajów - od Japonii i Chin po Afrykę - na zasadach takich, jak wspominałem. Uprawniających do czerpania wyłącznych korzyści, przy użyciu wszelkich środków, w zamian za szerzenie katolicyzmu.

Znów zaczekał, a Japonka zawahała się, zmieszana. Wyczuł, że rozdrażnienie Toranagi z powodu tego, że musi czekać na przekład, wzrasta.

Mariko zmusiła usta do mówienia i powtórzyła, co jej powiedział Blackthorne. A potem znów słuchała, nie cierpiąc tego, co słyszy. Czy to naprawdę możliwe? - zapytywała się w duchu. Jakże Ojciec Święty może mówić takie rzeczy? Oddawać nasz kraj Portugalczykom? To na pewno kłamstwo. Ale przecież pilot przysięgł na Jezusa Chrystusa.

- Pilot mówi, panie - zaczęła - że. . że w czasach, kiedy Jego Świątobliwość papież podejmował te decyzje, cały ich świat, nawet kraj Anjin-sana, był katolicki. Schizma nie. . jeszcze nie nastąpiła.

Tak więc, tak więc te. . te papieskie decyzje obowiązywały wszystkie kraje. Pilot dodaje, że Portugalczycy otrzymali wyłączność na eksploatację Japonii, ze względu na wielkie rozmiary naszej wymiany handlowej z Chinami, Hiszpania i Portugalia bez przerwy kłócą się na temat tej własności.

- Co o tym myślisz, Kiri-san? - spytał Toranaga, poruszony tym tak jak pozostali.

Jedynie chłopiec bawił się bez zainteresowania wachlarzem.

- On wierzy, że mówi prawdę - orzekła Kiri. - Tak, tak uważam. Ale jak to udowodnić. . a przynajmniej częściowo?

- Jak byś zdobyła na to dowody, Mariko-san? - spytał Toranaga, wzburzony jej reakcją na to, co usłyszała, ale i bardzo zadowolony, że zgodził się, by mu tłumaczyła.

- Spytałabym o to szanownego ojca Tsukku - odparła. - A poza tym wysłałabym kogoś, zaufanego wasalą, w świat, żeby to zobaczył. Być może z Anjin-sanem.

- Jeżeli ten ksiądz nie potwierdzi rewelacji Anjin-sana, niekoniecznie musi to oznaczać, że pilot kłamie, ne? - odezwała się Kiri.

Była rada, że podsunęła Toranadze myśl o skorzystaniu z Mariko jako tłumaczki, kiedy szukał kogoś na miejsce jezuitę. Wiedziała, że Mariko można zaufać i że jeżeli raz przysięgnie na obcego Boga, to wzięta na ostre spytanie przez obojętnie którego księdza, nic nie powie. Im mniej wiedzą te diabły, tym lepiej, pomyślała. Jakąż skarbnicą wiedzy jest ten barbarzyńca! Spostrzegła, że chłopiec znowu ziewnął, i ucieszyło ją to. Powiedziała sobie w duchu, że im mniej ten dzieciak rozumie, tym lepiej. A potem zaproponowała:

- A może by tak posłać po przywódcę chrześcijańskich księży i wypytać go o te fakty?

Zobaczyć, co powie? Twarze księży na ogół zdradzają ich myśli i niemal zupełnie brak im subtelności.

Toranaga skinął głową, patrząc na Mariko.

- Z tego, co wiesz o Południowych Barbarzyńcach, Mariko-san, sądzisz, że byliby posłuszni rozkazom papieża?

- Niewątpliwie.

- Czy jego rozkazy można uważać za głos chrześcijańskiego Boga?

- Tak.

- Czy wszyscy chrześcijanie katolicy są posłuszni jego rozkazom?

- Tak .

- Nawet nasi tutaj?

- Myślę, że tak.

- Nawet ty?

- Tak, wielmożny panie. Gdyby sam Ojciec Święty wydał mi bezpośredni rozkaz, zrobiłabym to dla zbawienia mojej duszy. - Patrzyła mu prosto w oczy. - Ale do tego czasu nie będę słuchała nikogo oprócz mojego pana, ani głowy mojego rodu, ani mojego męża. Owszem, jestem Japonką, jestem chrześcijanką, ale nade wszystko samurajką.

- Uważam więc, że dobrze byłoby, gdyby Ojciec Święty trzymał się z daleka od naszych brzegów. - Toranaga zamyślił się na chwilę.

A potem podjął decyzję, co zrobi z barbarzyńcą” z Anjin-sanem. - Powiedz mu. .

Urwał. Oczy wszystkich powędrowały ku ścieżce i starej kobiecie, która nią nadeszła. Miała na sobie habit z kapturem, jaki nosiły buddyjskie mniszki. Towarzyszyło jej czterech Szarych.

Szarzy zatrzymali się i dalej poszła sama.

17.

Wszyscy pokłonili jej się nisko. Toranaga spostrzegł, że barbarzyńca skopiował jego zachowanie i nie wstał ani też nie spojrzał, co robili zazwyczaj wszyscy barbarzyńcy z wyjątkiem Tsukku-sana. Pojętny jest ten pilot, orzekł, z głową wciąż rozgorączkowaną od wieści, które usłyszał. Klębiło się w niej od dziesięciu tysięcy pytań, lecz podporządkowawszy się samodyscyplinie, odsunął je od siebie na jakiś czas, żeby skupić się na nowym zagrożeniu.

Kiri pośpieszyła do staruszki ze swoją poduszką, pomogła jej na niej usiąść i uklękła nieruchomo za jej plecami, gotowa do posług.

- Dziękuję ci, Kritsubo-san - powiedziała kobieta, odwzajemniając jej ukłon. Nazywała się Yodoko. Była wdową po taikō, a od jego śmierci buddyjską mniszką. - Przepraszam, że przybywam bez zaproszenia i że ci przeszkadzam, panie Toranaga.

- Zawsze jesteś mile widziana i nie potrzebujesz zaproszenia, Yodoko-sama.

- Dziękuję ci, tak, dziękuję. - Yodoko spojrzała na Blackthorne'a i zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. - Sądzę jednak, że ci przeszkodziłam. Nie widzę, kto.. czy to barbarzyńca? Mam coraz słabszy wzrok. To nie Tsukku-san, prawda? .

- Nie, to ten nowy barbarzyńca - odrzekł Toranaga.

- A, on! - Yodoko przyjrzała się Blackthorne'owi dokładnie. - Zechciej powiedzieć mi, że nie widzę za dobrze, stąd moja nieuprzejmość.

Mariko powtórzyła jej słowa.

- Mówi, że w jego kraju wielu ludzi ma krótki wzrok, Yodoko-sama, ale noszą okulary -

przełożyła. - Pyta, czy je mamy. Odpowiedziałam, że tak, niektórzy, od Południowych Barbarzyńców.

Że ty ich używałaś, ale że już nie nosisz.

- Tak. Wolę już mgłę, która mnie otacza. Tak, nie podoba mi się bardzo wiele z tego, co obecnie widzę. - Yodoko odwróciła się i spojrzała na chłopca udając, że dopiero teraz go spostrzegła. - Och! Synu! A więc tutaj jesteś! Szukałam ciebie. Jak dobrze jest widzieć kampaku!

Ukloniła się z całym szacunkiem.

- Dziękuję, Pierwsza Matko - odparł rozpromieniony Yaemon i jej się odklonił. - Och, powinnaś była posłuchać tego barbarzyńcy.

Wyrysował nam mapę świata i opowiadał dziwne historie o ludziach, którzy w ogóle się nie kąpią. Nigdy, w ciągu całego życia, mieszkają w domach ze śniegu i ubierają się w skóry jak złe kami.

Staruszka prychnęła z pogardą.

- Myślę, synu, że im rzadziej tutaj przyplývają, tym lepiej. Nie pojmem ich przenigdy, a zawsze okropnie cuchną. Nie pojmem przenigdy, jak pan taikō, twój ojciec, mógł znieść ich obecność.

Ale w końcu był mężczyzną, którym i ty jesteś, a więc macie więcej cierpliwości od marnej kobiety.

Masz dobrego nauczyciela, wielmożny Yaemonie. - Spojrzenie jej starczych oczu przeskoczyło na Toranagę. - Pan Toranaga jest najcierpliwszym człowiekiem w cesarstwie.

- Cierpliwość to ważna cecha u mężczyzny, a u przywódcy niezbędna - powiedział Toranaga. -

Żądza wiedzy jest również dobrą cechą, co, wielmożny Yaemonie? Wiedzę zaś czerpie się z osobliwych źródeł.

- Tak, wuju, o tak - odrzekł Yaemon. - Ma rację, prawda, Pierwsza Matko?

- Tak, tak, zgadzam się. Ale cieszę się, że jestem kobietą i nie muszę się martwić o takie rzeczy, ne? - Yodoko przytuliła chłopca, który przysiadł się do niej. - Tak, mój synu. Po co tu przyszłam? Żeby sprowadzić kampaku. Dlaczego? Ponieważ kampaku spóźnił się na posiłek i lekcje pisania.

- Nie znoszę lekcji pisania i idę popływać.

- Kiedy miałem tyle lat co ty, też nie znosiłem lekcji pisania - odezwał się z udawaną powagą Toranaga. - Ale później, kiedy miałem lat dwadzieścia, musiałem skończyć z wojaczką i powrócić do szkoły. A tego nie znosiłem jeszcze bardziej.

- Wróciłeś do szkoły, wuju? Po tym, jak opuściłeś ją na zawsze? Och, to straszne

- Przywódca musi dobrze pisać, wielmożny Yaemonie. Nie tylko jasno, ale i pięknie, a kampaku lepiej od wszystkich. Jak inaczej mógłby pisać do Jego Cesarskiej Wysokości albo do wielkich daimyō? Przywódca musi być we wszystkim lepszy od wasali, pod każdym względem. Przywódca musi robić wiele trudnych rzeczy.

- Tak, wuju. Bardzo trudno jest być kampaku. - Yaemon z wielką powagą zmarszczył czoło. -

Myślę, że nauki zaliczę teraz, a nie kiedy będę miał dwadzieścia lat, ponieważ wówczas będę miał na głowie ważne sprawy państwowe.

Wszyscy byli z niego bardzo dumni.

- Jesteś bardzo mądry, synu - pochwaliła go Yodoko.

- Tak, Pierwsza Matko. Tak jak powiada moja matka, jestem mądry jak mój ojciec. Kiedy ona wróci do domu?

Yodoko spojrzała na Toranagę.

- Niedługo - powiedziała.

- Mam nadzieję, że bardzo niedługo - rzekł Toranaga. Wiedział, że to Ishido przysłał Yodoko po chłopca. Strażników i Yaemona przyprowadził do tego ogrodu, żeby jeszcze bardziej rozżłościć swojego wroga. A także po to, by pokazać następcy dziwnego pilota i w ten sposób pozbawić Ishido przyjemności dostarczenia mu tego przeżycia.

- Odpowiedzialność za mojego syna jest bardzo męcząca - mówiła właśnie Yodoko. - Bardzo dobrze byłoby, gdyby pani Ochiba znalazła się tutaj, w Osace, znowu w domu, wtedy mogłabym powrócić do klasztoru, ne? Jak się ona czuje i jak się ma pani Genjiko?

- Obie cieszą się doskonałym zdrowiem - odparł Toranaga, zaśmiewając się w duchu.

Dziesięć lat temu w niezwykłym goście przyjaźni taikō osobiście zachęcił go do poślubienia pani Genjiko, młodszej siostry pani Ochiby, która była jego ulubioną konkubiną.

- Wtedy nasze rody raz na zawsze się połączą, ne? - powiedział mu wówczas.

- Tak, wielmożny panie. Będę ci posłuszny, choć nie zasługuję na ten zaszczyt - odparł mu z głębokim szacunkiem, pragnąc koligacji z taikō. Wiedział jednak, że choć żona taikō Yodoko może go zaaprobować, to nienawidząca go konkubina użyje swojego wpływu, żeby nie dopuścić do tego małżeństwa. A ponadto mądrzej byłoby uniknąć ożenku z siostrą Ochiby, gdyż dałoby to jej ogromną władzę nad nim, w której wcale niepoślednią rolę odgrywały klucze do jego skarbcza. Gdyby jednak wybranka poślubiła jego syna Sudarę, wówczas jako głowa rodziny zachowałby pełnię władzy.

Zaaranżowanie małżeństwa Sudary z Genjiko wymagało od niego zaangażowania wszystkich umiejętności, ale dopiął swego i w tej chwili Genjiko zapewniała mu bezcenną ochronę przed Ochibą, ponieważ Ochiba uwielbiała swoją siostrę.

- Moja synowa jeszcze nie powiła, spodziewaliśmy się, że zacznie rodzić wczoraj, ale jeżeli pani Ochiba wyjedzie zaraz, chyba nic złego się nie stanie.

- Czas, żeby po trzech dziewczynkach Genjiko dała ci wnuka, ne?

Pomodlę się za jego narodziny.

- Dziękuję - powiedział Toranaga, jak zwykle czując do niej sympatię, gdyż wiedział, że jest szczerą, nawet jeśli on stanowi dla jej rodu wyłącznie zagrożenie.

- Słyszałam, że pani Sazuko jest podobno w ciąży?

- Tak. Mam dużo szczęścia. - Toranaga pomyślał z rozkoszą o swojej najnowszej konkubinie, o jej młodości, sile i serdeczności. Liczę, że będziemy mieli syna, rzekł w duchu. Tak, to byłoby wspaniałe. Siedemnaście lat to w sam raz wiek na pierwsze dziecko, jeśli ma się tak doskonałe zdrowie jak ona. - Tak, mam dużo szczęścia.

- Budda ci pobłogosławił.

Yodoko poczuła ukłucie zazdrości. Jakże niesprawiedliwe wydawało się to, że Toranaga ma pięciu żyjących synów, cztery córki i już pięć wnuczek, w dodatku wkrótce miało mu się urodzić dziecko z Sazuko, a ponieważ miał przed sobą wiele lat krzepkiego życia, w domu zaś dużo konkubin, to mógł spłodzić znacznie więcej synów. Natomiast wszystkie jej nadzieje skupiły się na tym siedmiolatku, dziecku w tym samym stopniu jej, co Ochiby. Tak, on jest w równej mierze moim synem, pomyślała. Jakże z początku nienawidziłam Ochiby. .

Spostrzegła z zaskoczeniem, że wszyscy na nią patrzą.

- Tak? - spytała.

Yaemon zmarszczył brwi.

- Spytałem, czy pójdziemy przerobić lekcje, Pierwsza Matko. Pytałem o to dwa razy.

- Przepraszam, synu, zamyśliłam się. Tak bywa ze starszymi ludźmi. Tak, a więc chodźmy.

Kiri pomogła jej wstać. Yaemon pobiegł przodem. Szarzy również wstali, a jeden pochwycił chłopca i trzymając go w objęciach, czule nim zakołysał. Czterej samuraje, którzy towarzyszyli Yodoko, czekali z boku.

- Zechcesz się ze mną przejść kawałek, panie Toranaga? - spytała Yodoko. - Potrzebuję czyjś silnego ramienia, żeby się na nim wesprzeć.

Toranaga podniósł się zaskakująco zwinnie. Wzięła go za rękę, ale nie skorzystała z jej krzepkości.

- Tak. Potrzebuję czyjś silnego ramienia. Tak jak Yaemon. Tak jak całe cesarstwo.

- Zawsze gotów ci jestem służyć - powiedział Toranaga.

Kiedy odeszli od pozostałych, powiedziała cicho:

- Zostań jedynym regentem. Przejmij władzę i rządź sam. Dopóki Yaemon nie dorośnie.

- Testament taikō zabrania tego.. nawet gdybym chciał to zrobić, a przecież nie chcę.

Obwarowania, jakich dokonał, wykluczają przejście władzy przez jednego regenta. Nie dążę do wyłącznej władzy. Nigdy nie dążyłem.

- Tora-chan - powiedziała, używając zdrobnienia, którym tak dawno określił go taikō - ty i ja mamy kilka wspólnych tajemnic. Mógłbyś to zrobić, gdybyś tylko chciał. Ręczę ci za panią Ochibę.

Przejmij władzę do końca swoich dni. Zostań shōgunem i spraw. .

- Pani, ty mówisz o zdradzie. Ja nie dążę do zostania shōgunem.

- Oczywiście, ale zechciej mnie wysłuchać po raz ostatni. Zostań shōgunem, zrób Yaemona swoim jedynym następcą. . twoim jedynym następcą! Może być shōgunem po tobie. Czyż nie jest z rodu Fujimoto, czyż poprzez panią Ochibę i jej dziadka Gorodę nie jest spokrewniony ze starożytnymi? Fujimoto!

Toranaga wpatrzył się w nią.

- Myślisz, pani, że daimyō zgodziliby się na takie roszczenia, albo że Jego Wysokość, Syn Niebios, zatwierdziłby wybór na to stanowisko?

- Nie. Nie samego Yaemona. Ale gdybyś to ty pierwszy został shōgunem, a jego usynowił, tobyś ich mógł przekonać, wszystkich. My ciebie poprzemy, pani Ochiba i ja.

- Ona się na to zgodziła? - spytał ze zdumieniem Toranaga.

- Nie. Nie rozmawialiśmy o tym. To mój pomysł. Ale ona się zgodzi. Ręczę za nią. Z góry., Ta rozmowa nie ma sensu, pani.

- Możesz dać radę Ishido i im wszystkim. W każdej chwili. Boję się tego, co słyszę, Tora-chan, pogłosek o wojnie, podziałów na strony i powrotu Ciemnych Wieków. Kiedy wybuchnie wojna, to będzie trwała bez końca i zniszczy Yaemona.

- Tak. Też tak myślę. Tak, jeżeli wybuchnie, będzie trwała bez końca.

- A więc przejmij władzę! Zrób, co chcesz zrobić, komu chcesz i jak chcesz. Yaemon to wartościowy chłopiec. Wiem, że go lubisz. Ma rozum swojego ojca, a pod twoim kierunkiem wszyscy na tym skorzystamy. Powinien odziedziczyć to, co mu się należy.

- Ja nie nastaję na niego ani jego dziedzictwo. Ile razy mam to powtarzać?

- Następcą zostanie zniszczony, jeżeli go czynnie nie poprzysz.

- Przecież ja go popieram! - odparł Toranaga. - Pod każdym względem. Tak się umówiłem z taikō, twoim zmarłym mężem, i Yodoko westchnęła i szcелniej otuliła się habitem.

- Chłód siedzi w moich starych kościach. Tyle tajemnic, bitew, zdrad, śmierci i zwycięstw, Tora-chan. Jestem tylko kobietą, i to bardzo samotną. Cieszę się, że poświęciłam się Buddzie i że większość moich myśli skierowanych jest ku Niemu i następnemu wcieleniu. Ale w tym życiu muszę ochraniać mojego syna i mówić o tym wszystkim tobie. Mam nadzieję, że wybaczysz mi tę zuchwałość.

- Zawsze szukam twojej rady i ją sobie cenię.

- Dziękuję. - Staruszka wyprostowała się odrobinę. - Posłuchaj, dopóki żyję, ani następca, ani pani Ochiba nie zwrócą się przeciwko tobie.

- Tak.

- Rozważysz moją propozycję?

- Mój pan zabrania tego w testamencie. Nie mogę postąpić wbrew jego woli, złamać swoją świętą przysięgę regenta.

Szli w milczeniu. Yodoko westchnęła.

- Dlaczego się z nią nie ożenisz? - spytała. Toranaga zatrzymał się jak wryty.

- Z Ochibą?

- A czemu nie? Z politycznego punktu widzenia jest nieoceniona. To idealna wybranka dla ciebie. Piękna, młoda, silna, z nieskazitelnym rodowodem, po części z rodu Fujimoto, po części z Minowara, pełna blasku i bezgranicznej radości życia. W tej chwili nie masz oficjalnej żony. . więc czemu nie? Rozwiązałyby to problem dziedziczenia i zapobiegłyby rozpadowi cesarstwa. Miałbyś z nią na pewno innych synów. Mógłbyś zostać shōgunem. Zdobyłbyś władzę w cesarstwie i władzę ojcowską, a więc mógłbyś wyszkolić Yaemona podług własnej woli. Mógłbyś go formalnie usynowić, tak że stałby się jak każdy z twoich synów. Czemu nie poślubisz pani Ochiby?

Bo to dzika kotka, zdradliwa tygrysyca! Z twarzą i ciałem bogini, która myśli, że jest cesarzową i tak też się zachowuje, rzekł w duchu Toranaga. Nigdy nie byłbyś jej pewien w łóżku.

Równie prawdopodobne jak to, że by cię pieściła, jest to, że podczas snu wykłułaby ci igłą oczy. O nie, tylko nie ona! Nie ona, nawet gdybyś zawarł z nią małżeństwo tylko z nazwy, na co by się nigdy nie zgodziła. Nie ma mowy! I to z wszelkich możliwych powodów, z których wcale nie najmniej ważny jest ten, że nienawidziła mnie i spiskowała, chcąc doprowadzić do mojego upadku, odkąd tylko jedenaście lat temu urodziła pierwsze dziecko.

Już wtedy, mając zaledwie siedemnaście lat, zaczęła działać na moją zgubę. Och, na zewnątrz była taka mięciutka, jak wczesna dojrziała brzoskwinia i tak jak ona wonna. Ale w środku twarda jak stal miecza, z umysłem, który szedł z tym w parze, i rozsiewająca swoje uroki z takim skutkiem, że wkrótce taikō oszalał na jej punkcie i odsunął od siebie wszystkie inne żony. Trzymała go w garści od piętnastego roku jej życia, kiedy to po raz pierwszy ją wziął. Tak, a trzeba pamiętać, że nawet wtedy to właściwie ona spała z nim, a nie on z nią, niezależnie od tego, co sam o tym myślał.

Tak, już nawet mając piętnaście lat, Ochiba wiedziała, czego chce i jak to osiągnąć. A potem zdarzył się Cud, a to właśnie ona jedyna spośród wszystkich kobiet, jakie tylko miał w życiu, dała mu wreszcie syna. Z iloma damami spał? Co najmniej z setką, on, gronostaj, który spryskał Sokiem Szczęśliwości więcej Niebiańskich Komnat niż dziesięciu zwykłych śmiertelników! Tak. A były to kobiety w różnym wieku i wszelkich kast, przypadkowe bądź konkubiny, od księżniczki Fujimoto po kurtyzany czwartej rangi. Ale żadna z nich nawet nie zaszła w ciążę, choć później wiele z tych, które taikō odprawił, z którymi się rozszedł albo rozwiązał małżeństwa, miało z innymi mężczyznami dzieci. Żadna, oprócz pani Ochiby.

Ale ona urodziła mu pierwszego syna, gdy taikō miał lat pięćdziesiąt trzy, malutkie biedactwo, które

chorowało i tak szybko umarło. Taikō zaś rwał na sobie szaty, niemal oszalały z rozpaczy, winiąc za to siebie, a nie ją. W cztery lata później, kiedy Ochiba miała dwadzieścia jeden lat, cudem urodziła jeszcze raz, cudem jeszcze jednego syna, cudem tym razem zdrowego. Taikō nazwał ją Ochiba „Niezrównaną.

Był taikō ojcem Yaemona, czy nie? Iiii , wiele dałbym, żeby znać prawdę, pomyślał Toranaga.

Czy kiedyś ją poznamy? Prawdopodobnie nie, ale co ja bym dał za dowód na to, taki czy inny.

Dziwne, że taikō, tak przebiegły we wszystkich innych sprawach, w stosunku do Ochiby nie był mądry, aż do granic szaleństwa nie widząc świata poza nią i Yaemonem. Dziwne, że spośród wszystkich kobiet, to właśnie ona została matką następcy, ona, której ojciec, ojczym i matka zginęli z powodu taikō.

Czy byłaby na tyle przebiegła, żeby spać z innym mężczyzną, przyjmując w siebie jego nasienie, a potem, żeby się zabezpieczyć, zgładzić go? I zrobić to nie raz, ale dwa razy?

Czy byłaby zdolna do takiej perfidii? O, tak. Poślubić Ochibę? Nigdy.

- Sprawiasz mi zaszczyt swoją propozycją - odparł.

- Jesteś prawdziwym mężczyzną, Tora-chan. Z łatwością poradziłbyś sobie z taką kobietą. Ty jeden w całym cesarstwie byś to potrafił, ne? Cudownie byście do siebie pasowali. Spójrz tylko, jak w tej chwili walczy, by ochronić interesy swojego syna, a jest tylko bezbronną kobietą. Byłaby dla ciebie godną żoną.

- Wątpię, czy w ogóle rozważałaby taką możliwość.

- A jeśli tak?

- Chciałbym się o tym dowiedzieć. Poufnie. . Tak, byłby to dla mnie wielki zaszczyt.

- Wielu uważa, że tylko ty stoisz pomiędzy Yaemonem a sukcesją po taikō.

- Wielu ludzi to głupcy.

- Tak. Ale nie ty, Toranaga-sama. Ani pani Ochiba.

Ani ty, moja pani, pomyślał.

18.

W najciemniejszą godzinę nocy przez mur przedostał się do ogrodu zabójca. Był prawie niedostrzegalny. Nosił obcisły czarny strój, czarne tabi, a głowę skrywały mu czarny kaptur i maska.

Był drobny. Bezszelestnie podbiegł do muru kamiennej wewnętrznej fortecy i stanął tuż przed wysoką ścianą. Pięćdziesiąt metrów dalej strzegło głównego wejścia dwóch Brązowych, Zręcznie rzucił obszyty materiałem hak z przyczepioną do niego cienką jedwabną linką. Hak zaczepił się o kamienny występ strzelnicy. Mężczyzna wspiął się po lince, przecisnął przez otwór w murze i zniknął w środku budowli.

W cichym korytarzu paliły się świece. Bezszelestnie pośpieszył nim, otworzył drzwi na zewnątrz i wyszedł na blanki. Jeszcze jeden zręczny rzut, krótka wspinaczka i znalazł się w korytarzu piętro wyżej. Strażnicy rozstawieni na rogach blanków nie usłyszeli go, ale byli czujni.

Mężczyzna przywarł do kamiennego muru we wnęce, bo minęli go inni Brązowi, robiący obchód. Kiedy przeszli, przemknął korytarzem do końca. Na rogu przystanął i po cichu zza niego wyjrzał. Drzwi na drugim końcu strzegł samuraj. Światła świec tańczyły w ciszy. Siedzący ze skrzyżowanymi nogami strażnik ziewnął, oparł się plecami o ścianę i rozprostował nogi. Na chwilę przymknął oczy. Zabójca natychmiast popędził korytarzem. Bezgłośnie. Z jedwabnej, linki, którą trzymał w dłoniach, zrobił pętlę, zarzucił ją strażnikowi na szyję i zadzierzgnął ją szarpnięciem.

Strażnik próbował palcami zerwać garotę, ale już się dusił. Krótkie, chirurgiczne precyzyjne pchnięcie nożem w stos pacierzowy i strażnik znieruchomiał.

Przybysz ostrożnie odemknął drzwi. Sala audiencyjna była pusta, drzwi w środku nie strzeżone. Wciągnął zwłoki do środka i zamknął drzwi. Bez wahania przeszedł przez pustą salę i wybrał lewe wewnętrzne drzwi. Były z drewna, silnie uzbrojone. Do prawej ręki zabójca wsunął

zakrzywiony nóż. Cicho zapukał.

- Za czasów cesarza Shirakawy. . - rzekł, podając pierwszy człon hasła.

Spoza drzwi dobiegł go szmer stalowej klingi wysuwanej z pochwy i odpowiedź;

- . . żył mędrzec imieniem Enraku-ji. .

- . . który napisał trzydzieści jeden sutr. Mam pilne listy do pana Toranagi.

Drzwi otworzyły się na oścież i zabójca wpadł przez nie do środka. Nóż śmignął w górę, trafiając pierwszego samuraja w gardło tuż pod brodą i równie szybko wyciągnięty wbił się w ciało drugiego samuraja. Lekki skręt i znów znalazł się na wierzchu. Obaj strażnicy skonali na stojąco.

Chwycił jednego i pozwolił ciału opaść miękko na podłogę. Drugi upadł, ale bezgłośnie. Krew zabitych zalała podłogę, a ich ciała zadygotały w śmiertelnych drgawkach.

Mężczyzna pobiegł wewnątrznym korytarzem, który był słabo oświetlony. Nagle otworzyły się jakieś drzwi. Zamarł i wolno rozejrzał się dookoła.

Z odległości dziesięciu kroków wpatrywała się w niego kobieta. W rękach trzymała tacę.

Zobaczył, że dwie filiżanki na tacy są czyste, a jedzenie nietknięte. Z czajnika smużyła się para, a obok płonąła z trzaskiem świeca. A potem taca upadła, Kiri sięgnęła ręką pod obi i wyjęła ją stamtąd uzbrojoną w sztylet. Poruszała ustami, ale bezdźwięcznie. Zabójca skoczył w kąt. Drzwi na drugim końcu korytarza otworzyły się i <wyjrzał przez nie zaskoczony, zaspany samuraj.

Zabójca rzucił się w jego stronę i szarpnięciem otworzył shoji po prawej, których szukał. Kiri już krzyczała i podniesiono alarm. Poruszając się pewnie w ciemności, napastnik przebiegł przez przedpokój po śpiących kobietach, ich służących, a potem wpadł do najgłębiej usytuowanego korytarza na drugim końcu.

Było tu kompletnie ciemno, ale z rosnącą determinacją bezbłędnie wymacał drogę i odnalazł

właściwe drzwi. Odsunął je i skoczył do postaci, która leżała na futonie. Ktoś jednak chwycił go za prawą rękę z nożem, która uwięzła jak w imadle, po czym zaczął z nim walczyć na podłodze. Bił się zrećcznie, oswobodził rękę i jeszcze raz sieknął nożem, ale zaplątany w kołdrę chybił. Zrzucił ją z siebie i skoczył na leżącego, z nożem przygotowanym do zadania śmiertelnego ciosu. Zaatakowany jednak obrócił się z nieoczekiwaną zwinnością i stwardniałą stopą kopnął go w krocze. Poczul

strasliwy ból, a jego ofiara umknęła, chroniąc się.

I wtedy w drzwiach zaroilo się od samurajów, z których część miała latarnie, a ubrany tylko w przepaskę na biodra, rozczochny Naga wskoczył pomiędzy niego a Blackthorne'a z uniesionym mieczem.

- Poddaj się!

Zabójca przybrał bojową postawę, krzyknął: „Namu Amida But-su. .” - „W imię Buddy Amidy”, trzymany oburącz nóż skierował ku sobie i aż po nasadę wbił go pod brodę. Naga ciął, jego miecz zatoczył wirujący łuk i odcięta głowa zabójcy potoczyła się po podłodze.

Naga podniósł ją w ciszy i zdarł z niej maskę. Twarz mordercy była pospolita, oczy w niej jeszcze drgały. Naga trzymał głowę za samurajski czub na jej szczycie.

- Czy ktoś go zna?

Nikt nie odpowiedział. Naga napluł zabitemu w twarz, gniewnie rzucił głowę jednemu z podkomendnych, rozciął ubranie trupa, podniósł jego prawą rękę i znalazł, czego szukał. Wytrawiony pod jego pachą niewielki tatuaż - chiński hieroglify oznaczający Amidę, szczególnego Buddę.

- Kto jest dowódcą tej warty?

- Ja, panie - odparł samuraj, blady z przerażenia.

Naga przyskoczył do niego, a pozostali rozpięchli się na boki. Dowódca warty nie zrobił nic, żeby uniknąć strasznego ciosu, który odrąbał mu głowę, kawałek barku i rękę.

- Hayabusa-san, każ wszystkim samurajom z tej warty zejść na dziedziniec - rozkazał Naga oficerowi. - Na nowej warcie podwój strażę. Zabierzcie stąd ciało. A pozostali. .

Urwał, bo do progu podeszła Kiri, nadal trzymając sztylet. Spojrzała na trupa, a potem na Blackthorne'a.

- Anjin-san nie jest ranny? - spytała.

Naga, z trudem łapiąc oddech, rzucił okiem na przerastającego go o głowę barbarzyńcę. Nie zobaczył żadnych ran ani krwi. Jedyne rozspanego mężczyznę, który o mało co nie zginął. Pilot twarz miał pobladłą, ale nie zdradzał żadnych oznak trwogi.

- Jesteś ranny, pilocie? - spytał.

- Nie rozumiem.

Naga podszedł do pilota i ściągnął „z niego nocne kimono, żeby sprawdzić, czy jest ranny.

- A, teraz rozumiem. Nie. Nie ranny - usłyszał głos tego olbrzyma i zobaczył, że potrząsa przecząco głową.

- To dobrze - powiedział. - Chyba nie jest ranny, Kiritsubo-san.

Ujrzał, że Anjin wskazuje na zwłoki i coś mówi.

- Nie rozumiem cię - rzekł Naga. - Anjin-san, zostaniesz tutaj - dodał i polecił jednemu ze swoich ludzi: - Jeżeli zechce, to przynieście mu jeść i pić.

- Ten zabójca miał tatuaż Amidy, ne? - spytała Kiri.

- Tak, pani Kiritsubo.

- Diabły. . diabły.

- Tak.

Naga uklonił się jej, a potem przeniósł wzrok na jednego ze swoich zatrwożonych samurajów.

- Pójdiesz ze mną. Weź głowę! - rozkazał. Odszedł energicznym krokiem, rozważając, jak o tym powiedzieć ojcu. Och, Buddo, dzięki ci za to, że go chronisz, pomyślał.

- To był ronin - skwitował krótko Toranaga. - Nigdy nie dojdziemy, kto go przysłał, Hiromatsu-san.

- Tak. Ale odpowiedzialność za to spada na Ishido. Trzeba nie mieć krzty honoru, żeby zrobić coś

takiego”, ne? Ani trochę. Żeby użyć tych ścierv, zabójców! Proszę cię, błagam, pozwól mi wezwać nasze oddziały, panie. Skończę z tym raz na zawsze.

- Nie. - Toranaga popatrzył na Nagę. - Jesteś pewien, że Anjin-san nie jest ranny?

- Nie jest, wielmożny panie.

- Hiro-matsu-san. Zdegradujesz wszystkich strażników z tej warty za niedopełnienie obowiązków. Nie wolno im popełnić seppuku. Mają żyć z piętnem tej sromoty na oczach wszystkich moich samurajów jako żołnierze najniższej kategorii. Zabitych strażników przeciągnijcie uwiązanych za stopy przez zamek i miasto na pole straceń. Niech pożywią się nimi psy.

Toranaga spojrział na swojego syna Nagę. Wcześniej tego wieczoru z klasztoru Johji w Nagoi nadeszła pilna wiadomość o groźbie Ishido wobec Nagi. Toranaga natychmiast rozkazał synowi nigdzie nie wychodzić i otoczył go strażą, a reszta członków rodziny w Osace - Kiri i pani Sazuko -

była równie dobrze strzeżona. W swoim liście przeor dodawał, iż po namyśle uważa, że mądrze byłoby natychmiast zwolnić matkę Ishido i odesłać ją do miasta wraz z pokojówkami. „Nie odważyłbym się nierozsądnie narażać życia któregoś z twoich znakomitych synów - pisał. - Co gorsza, z jej zdrowiem nie jest najlepiej. Przeziębła się. Najlepiej, gdyby umarła u siebie w domu, a nie tutaj”.

- Naga-san, w równej mierze jesteś odpowiedzialny za wtargnięcie tu tego zabójcy - rzekł

chłodno i surowo Toranaga. - Odpowiedzialny jest za to każdy samuraj, obojętnie, czy pełni akurat wartę, śpi czy czuwa. Każę cię za to utratą połowy twoich rocznych dochodów.

- Tak, panie - odparł młodzieniec, zaskoczony, że pozwolono mu zachować cokolwiek, w tym głowę. - Proszę cię, żebyś również mnie zdegradował - powiedział. - Nie potrafię żyć z takim wstydem, panie. Zasługuję wyłącznie na pogardę za sprawienie ci zawodu.

- Gdybym cię chciał zdegradować, tobym tak zrobił. Masz natychmiast pojechać do Edo.

Wyruszysz dziś wieczorem z dwudziestoma ludźmi i stawisz się u swojego brata. Dotrzesz tam szybko jak nikt! Odejdź!

Naga uklonił się i odszedł z pobladłą twarzą.

- Wzmocnij poczwórnice straże - zwrócił się równie szorstko do Hiro-matsu. - Odwołaj moje polowanie dziś i jutro. W dzień po zebraniu regentów wyjeżdżam z Osaki. Przygotuj wszystko do podróży, a do tego czasu pozostanę tutaj. Nie przyjmę nikogo bez zaproszenia. Nikogo.

Odprawił wszystkich gniewnym gestem.

- Odejdźcie wszyscy. Ty, Hiro-matsu, zostań.

Pokój opustoszał. Hiro-matsu był rad, że poniżenie spotka go bez świadków, bo spośród wszystkich

to on, jako dowódca straży przybocznej, ponosił największą odpowiedzialność.

- Nie mam dla siebie usprawiedliwienia, panie. Żadnego - po wiedział.

- Toranaga zamyślił się głęboko. Nie widać było po nim gniewu., Gdybyś chciał potajemnie skorzystać z usług tajnego Bractwa Amidy, to jak byś ich odnalazł? - spytał. - Jak byś nawiązał z nimi kontakt?

- Nie wiem, panie.

- A kto wiedziałby, jak to zrobić?

Kasigi Yabu. Toranaga wyrzwał przez strzelnicę. Mrok na wschodzie przetykały już nici świtu.

- Sprowadź go tu o brzasku - powiedział.

- Myślisz, że to jego sprawka, panie? Toranaga nie odpowiedział, znowu się zamyślił.

Po pewnym czasie stary żołnierz nie mógł dłużej znieść jego milczenia.

- Proszę cię, panie, pozwól mi zejść ci z oczu. Tak mi wstyd, że zawiedliśmy. .

- Takie zamachy są prawie nie do uniknięcia - odparł Toranaga.

- Tak. Ale powinniśmy go schwytać na zewnątrz, w żadnym zaś wypadku blisko ciebie.

- Słusznie. Ale nie winię cię za to.

Aleja winię za to siebie. Muszę ci coś powiedzieć, panie, ponieważ aż do twojego powrotu do Edo to ja jestem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo. Zamachów na twoje życie będzie więcej, a wszyscy nasi szpiedzy donoszą o wzmożonym ruchu wojsk. Ishido mobilizuje siły. - Tak - przyznał

zdawkowo Toranaga. - Po spotkaniu z Yabu chcę zobaczyć księdza Tsukku, a potem Mariko. Podwój liczbę pilnujących Anjina.

- Dziś wieczorem nadeszły wieści, że sto tysięcy ludzi pana Onoshiego umacnia fortyfikacje na Kiusiu - dodał Hiro-matsu, dręczony troską o bezpieczeństwo Toranagi.

- Zagadnę go o to, kiedy się spotkamy.

Hiro-matsu nie wytrzymał.

- Zupełnie cię nie rozumiem, panie. Muszę ci powiedzieć, że niemądrze się narażasz. Tak jest, niemądrze. Nie dbam o to, czy pozbawisz mnie głowy za te słowa, ale to prawda. Jeżeli Kiyama i Onoshi poprą swoimi głosami Ishido, to zostaniesz oskarżony o zdradę! I koniec z tobą!

Zaryzykowałeś wszystko przyjeżdżając tutaj i przegrywasz! Uciekaj, póki jeszcze możesz.

Przynajmniej ocalisz głowę!

- Na razie nic mi nie grozi.

- A czy ta napaść dzisiejszej nocy nic ci nie mówi? Gdybyś znowu nie zmienił pokoju, to już byś nie żył.

- Tak, być może, ale prawdopodobnie jednak bym żył - odparł Toranaga. - Dzisiejszej, a także poprzedniej nocy pod moimi drzwiami stały wzmocnione straże. A poza tym czuwałeś również ty.

Żaden zabójca by się do mnie nie zbliżył. Nawet ten tak doskonale przygotowany. Znał przecież drogę, a nawet hasło, ne? Kiri-san mówi, że słyszała, jak go użył. Myślę więc, że wiedział, w którym pokoju jestem. To nie ja byłem jego ofiarą. To Anjin-san.

- Barbarzyńca?

- Tak.

Toranaga przewidywał, że po nadzwyczajnych rewelacjach tego ranka pilotowi grożą kolejne niebezpieczeństwa. Niewątpliwie za bardzo komuś zagrażał, aby mógł pozostać przy życiu. Ale Toranaga nie przewidział, że atak nastąpi w jego własnych apartamentach i że aż tak szybko. Kto mnie zdradza? - zastanawiał się. Rozważył, czy źródłem przecieku informacji mogły być Kiri albo Mariko. W zamkach i ogrodach są jednak zawsze miejsca do podsłuchiwania, pomyślał. Jestem w samym środku warowni wroga, tak więc tam, gdzie ja mam jednego szpiega, Ishido - i pozostali - będą ich mieć dwudziestu. Być może był to najzwyczajniejszy szpieg.

- Podwój straże przy Anjin-sanie - powtórzył. - Jest dla mnie wart tysiąc żołnierzy.

Po odejściu dziś rano pani Yodoko wrócił do ogrodu herbaciarni i od razu spostrzegł fizyczne osłabienie barbarzyńcy, jego nazbyt błyszczące oczy i to, że pada z nóg. Opanował więc podniecenie oraz prawie nieodpartą chęć, żeby go wypytać gruntowniej, i odesłał go zapowiadając, że jutro będą kontynuować rozmowę. Pilota powierzono opiece Kiri z poleceniem, aby sprowadzić do niego lekarza, zregenerować jego siły, nakarmić barbarzyńskim jadłem, jeżeli sobie tego zażyczy, a nawet udostępnić mu sypialnię, z której Toranaga korzystał przez większość nocy.

- Daj mu, co tylko uznasz za stosowne, Kiri-san - rzekł jej na osobności. - Szybko muszę go mieć zdrowego, na duszy i na ciele.

A wtedy Anjin-san poprosił, żeby uwolniono z więzienia tego mnicha, bo to stary i chory człowiek. Odrzekł, że to rozważy i odesłał dziękującego mu barbarzyńcę nie mówiąc mu nic, że od razu nakazał samurajowi pójść do więzienia i sprowadzić owego mnicha, który był zapewne równie cenny, tak dla niego, jak dla Ishido.

Toranaga od dawna wiedział o tym duchownym, że jest Hiszpanem wrogo nastawionym do Portugalczyków. Ale człowiek ten znalazł się w więzieniu z rozkazu taikō, przez co był jego więźniem, Toranaga zaś nie miał żadnej władzy w Osace. Rozmyślnie posłał pilota do tego

więzienia, nie tylko po to, aby udać przed Ishido, iż obcy nie przedstawia żadnej wartości, ale także w nadziei, że ten imponujący barbarzyńca zdoła wyciągnąć z tego mnicha wiadomości.

Pierwszy nieudany zamach na życie pilota w baraku więziennym został udaremiony i natychmiast roztoczono wokół niego ochronny parawan. Toranaga nagroził swojego szpiega, kagę Minikuiego, szczęśliwie wydobywając go z więzienia, obdarowując czterema osobistymi tragarzami oraz dziedzicznym prawem do korzystania z gościńca Tokaidō - wielkiego głównego traktu łączącego Edo z Osaka - na odcinku od Drugiego do Trzeciego, który biegł przez jego dobra w pobliżu Edo, i zaraz pierwszego dnia wyprawił go potajemnie z Osaki. W ciągu następnych dni jego szpiedzy donieśli mu, że dwaj Europejczycy zaprzyjaźnili się ze sobą, że mnich mówi, a pilot zadaje pytania i słucha. To, że Ishido najprawdopodobniej miał również w więzieniu swoich szpiegów, nie martwiło go.

Pilot był strzeżony i bezpieczny. I wtedy Ishido podjął próbę porwania go i poddania obcym wpływom.

Toranaga przypomniał sobie, jak wraz z Hiro-matsu świetnie się bawili, układając plan nagłej

„zasadki” - „bandyci-roninowie” byli jedną z niewielkich, samodzielnych grup jego doborowych samurajów, którzy potajemnie przebywali w Osace i jej okolicach - i czas zjawienia się Yabu, który niczego nie podejrzewając przyszedł „w sukurs”. Uśmieli się wiedząc, że wykorzystali go ponownie niczym marionetkę, żeby utylić nos Ishido w jego własnym łajnie.

Wszystko udawało się doskonale. Aż do dzisiaj.

Samuraj, którego wysłał po mnicha, wrócił z niczym.

- Ten kapłan umarł - zameldował mu. - Kiedy wywołali jego nazwisko, nie wyszedł, panie Toranaga. Wszedłem do środka, żeby go wyciągnąć, ale nie żył. Otaczający go przestępcy powiedzieli, że kiedy strażnicy wywołali jego nazwisko, po prostu stracił przytomność. Kiedy go odwróciłem, już nie żył. Wybacz mi, proszę, panie, posłałeś mnie po niego, a ja nie zdołałem wypełnić twojego rozkazu. Nie wiedziałem, czy chcesz mieć jego głowę, czy ciało wraz z głową, bo to barbarzyńca, dlatego przywiozłem go w całości. Część otaczających go przestępców twierdziła, że ich nawrócił. Chcieli zatrzymać jego ciało i próbowali to zrobić, więc kilku musiałem zabić i przywiozłem zwłoki. Cuchną i roją się od robactwa, ale są na dziedzińcu, wielmożny panie.

Dlaczego ten mnich umarł? - jeszcze raz zadał sobie pytanie Toranaga. I wtedy zauważył

pytający wzrok Hiro-matsu.

- Słucham? - spytał.

- Pytałem tylko, komu zależałoby na śmierci pilota.

- Chrześcijanom.

Kasigi Yabu szedł korytarzem za Hiro-matsu, czując się o świcie wybornie. Wietrzyk pachniał

przyjemnie solą, co przypominało mu Mishimę, jego rodzinne miasto. Był rad, że nareszcie zobaczy Toranagę i że czekanie się skończyło. Wykąpał się i starannie ubrał. Napisał ostatnie listy do żony i matki, na wypadek zaś, gdyby posłuchanie wypadło dla niego niepomyślnie, opieczętował swój testament. W zasłużonej w bitwach pochwie miecza miał dziś z sobą klingę Murasamy.

Skręcili za jeszcze jeden róg, a potem Hiro-matsu nieoczekiwanie otworzył wzmocnione, okute żelazem drzwi i po kamiennych schodach wprowadził go do wewnętrznej wieży, głównej w tej części fortyfikacji. Na warcie stało tu wielu strażników i Yabu wyczuł zagrożenie.

Wijące się w górę schody kończyły się łatwą do obrony redutą. Strażnicy otworzyli żelazne drzwi. Wyszedł na blanki. Bez lęku zadawał sobie pytanie, czy Hiro-matsu dostał rozkaz zrzucenia go z nich, czy też rozkaże mu skoczyć samemu.

Ku swojemu zaskoczeniu zastał tam Toranagę, który, aż trudno uwierzyć, podniósł się, żeby go powitać życzliwie i z szacunkiem, czego nie miał prawa oczekiwać. W końcu Toranaga był panem Ośmiu Prowincji, podczas gdy on jedynie władcą Izu. Poduszki leżały starannie rozmieszczone.

Czajniczek spowijała koszulka z jedwabiu. Bogato ubrana, mało urodziwa dziewczyna z kwadratową twarzą złożyła mu niski ukłon. Nazywała się Sazuko i była siódmą oficjalną konkubina Toranagi, najmłodszą, w bardzo zaawansowanej ciąży.

- Jakże cieszy mnie twój widok, Kasigi Yabu-san. Przepraszam, że kazałem ci tak długo czekać.

Upewniło to Yabu, że Toranaga tak czy owak postanowił skrócić go o głowę, gdyż w myśl powszechnie przyjętego zwyczaju wróg był wobec ciebie najbardziej uprzejmy wówczas, kiedy zamyślał bądź już zaplanował twoją zgubę. Yabu wyjął zza pasa oba miecze i pieczołowicie ułożył je na kamiennych płytach, pozwalając odprowadzić się od nich i posadzić na honorowym miejscu.

- Pomyślałem, że ciekawie będzie obejrzeć świt, Yabu-san. Uważam, że widok stąd jest rozkoszny, piękniejszy nawet niż z baszty następcy. Ne?

- Tak, jest piękny - zgodził się bez zastrzeżeń Yabu, pierwszy raz będąc w zamku tak wysoko. Pewien był już, że wzmianka Toranagi o następcy jest sygnałem, iż wie on o jego tajnych pertraktacjach. - To zaszczyt dla mnie móc go dzielić z tobą.

Pod nimi rozpościerało się uśpione miasto, zatoka i wyspy, na zachodzie Awaji, na wschodzie opadająca linia brzegu, a na niebie po wschodniej stronie coraz mocniejsze światło nakrapiało chmury cętkami czerwieni.

- To jest moja pani Sazuko. Sazuko, przedstawiam ci mojego sprzymierzeńca, słynnego pana Kasigi Yabu z Izu, daimyō, który dostarczył nam tego barbarzyńcę i statek ze skarbami.

Sazuko ukloniła się Yabu, skomplementowała go, na co jej się odkłonił, ona zaś złożyła mu jeszcze jeden ukłon. Pierwszą filiżankę herbaty podała jemu, ale grzecznie odmówił takiego zaszczytu, inicjując rytuał, i poprosił ją, aby dała ją panu Toranadze, który naturalnie też odmówił i nalegał na niego, by ją jednak przyjął. Wreszcie, tak jak nakazywał rytuał, dał się w końcu, jako honorowy gość,

przekonać. Hiro-matsu przyjął drugą filiżankę, z trudem utrzymując porcelanę w sękatych palcach, drugą dłonią zaś oplatając rękojeść miecza, który spoczywał mu na kolanach.

Toranaga przyjął trzecią filiżankę i napił się cha, a potem wspólnie oddali się kontemplowaniu przyrody i obserwowaniu wschodu słońca. Pod milczącym niebem.

Zakwiliły mewy. Odezwało się miasto. Wstał dzień.

Pani Sazuko westchnęła, oczy miała mokre od łez.

- Znajdując się tak wysoko i widząc tyle piękna, czuję się jak bogini, ne? - powiedziała. -

Jakie to smutne, że przeminęło bezpowrotnie, wielmożny panie. Jak bardzo smutne, ne?

- Tak - odparł Toranaga.

Kiedy słońce wyłoniło się do połowy spoza horyzontu, ukloniła się i odeszła. Ku zaskoczeniu Yabu odeszli również strażnicy. Zostało więc tylko ich trzech.

- Z radością przyjąłem twój dar, Yabu-san - powiedział Toranaga. - Był to nadzwyczaj wspaniałomyślny gest, cały ten statek i wszystko, co zawierał.

- Wszystko, co mam, jest twoje - odparł Yabu, wciąż pod wielkim wrażeniem świtu. Szkoda, że nie mam więcej czasu, pomyślał. Jakże elegancko zachował się wobec mnie Toranaga! Obdarował mnie na sam koniec tak sownie. - Dziękuję ci za ten świt.(

- Tak - rzekł Toranaga. - Należy się dzielić najlepszym. Cieszę się, że mój dar podobał ci się tak, jak mnie twój.

Zapadła cisza.

- Yabu-san, co ci wiadomo o Bractwie Amidy?

- Tylko to, co wiadomo ogólnie: że jest to tajne stowarzyszenie, podzielone na dziesiątki -

dziesięcioosobowe grupy złożone z kobiet i mężczyzn, z przywódcy i dziewięciu akolitów w jednym konkretnym rejonie. Składają oni najświętsze i najtajniejsze śluby panu Buddzie Amidzie, Dawcy Wieczystej Miłości, na wierność, czystość i gotowość na śmierć. Całe życie poświęcają treningowi po to, żeby stać się idealną zabójczą bronią, która uśmierca tylko raz i jedynie na rozkaz dowódcy, a jeżeli nie uda im się zabić wskazanej osoby, obojętnie, mężczyzny, kobiety czy dziecka, natychmiast odbierają sobie życie. To religijni fanatycy, którzy są przekonani, że po tym życiu osiągną Od razu stan Buddy. Jeszcze żadnego nie schwytano żywcem.

Yabu wiedział o zamachu na życie Toranagi. Wiedziała już o tym cała Osaka, a także o tym, że pan Kantō, Ośmiu Prowincji, zamknął się bezpiecznie wewnątrz żelaznych pierścieni fortyfikacji.

- Zabijają rzadko, a ich tajność jest całkowita. Nie ma szans, żeby się na nich zemścić, bo nikt nie wie, kim są, gdzie mieszkają ani gdzie ćwiczą.

- Gdybyś chciał ich wynająć, to jak byś się do tego zabrał?

- Szepnąłbym o tym w trzech miejscach - w klasztorze Heinan, u wrót świątyni Amidy i w klasztorze Johji. Jeżeli uznają kogoś za pożądanego zleceniodawcę, to przed upływem dziesięciu dni skontaktują się z nim przez pośredników. Wszystko to jest takie tajne i pokrętne, że nawet gdybyś chciał ich zdradzić albo pochwycić, to nie będzie to możliwe. Dziesiątego dnia zażądają pewnej sumy w srebrze, a Wysokość zapłaty zależy od osoby, która ma być zabita. Nie ma targów, płacisz z góry, ile zażądają. Gwarantują tylko tyle, że jeden z członków bractwa w ciągu dziesięciu dni podejmie próbę zabójstwa. Legenda głosi, że jeżeli zabójstwo się nie uda, morderca wraca do świątyni, po czym bardzo uroczyście popełnia samobójstwo rytualne.

- A więc sądzisz, że nigdy nie zdołamy się dowiedzieć, kto zapłacił za zamach dzisiejszej nocy?

- Nie.

- Myślisz, że będą następne?

- Może tak. A może nie. Umowa dotyczy za każdym razem jednego zabójstwa, nie? Ale mądrze byłoby wzmocnić środki bezpieczeństwa - w szeregach twoich samurajów i pośród twoich kobiet. Powiadają, że wyznawczynie Amidy są szkolone zarówno w posługiwaniu się trucizną, jak sztyletem i garotą.

- Czy wynajmowałeś już ich kiedyś?

- Nie.

- Ale twój ojciec tak?

- Nie wiem, nie jestem pewien. Podobno taikō, prosił go kiedyś, żeby się z nimi skontaktował.

- Czy ów zamach się powiódł?

- Taikō udawało się wszystko. W taki czy inny sposób.

Yabu wyczuł za plecami czyjąś obecność i doszedł do wniosku, że to wrócił cichcem któryś strażnik. Oceniał, jak daleko ma do swoich mieczów. Czy spróbuję zabić Toranagę? - zadał sobie jeszcze raz pytanie. Już o tym postanowiłem, ale teraz sam nie wiem. Coś się we mnie zmieniło.

Dlaczego?

- Ile musiałbyś im zapłacić za moją głowę? - spytał Toranaga.

- W całej Azji jest za mało srebra, żeby skłonić mnie do wynajęcia ich w takim celu.

- A ile musiałby zapłacić ktoś inny?

- Dwadzieścia tysięcy koku, pięćdziesiąt tysięcy, sto.. może więcej, nie wiem.

- Czy zapłaciłbyś sto tysięcy koku, żeby zostać shōgunem? Twoja genealogia wywodzi się z Takashimów, ne?

- Nie zapłaciłbym nic - odparł dumnie Yabu. - Pieniądze to plugastwo, zabawka dla kobiet albo dobre, dla tych zafajdanych kupców. Ale gdyby to było możliwe, choć nie jest, to oddałbym swoje życie, życie - żony, matki i całego mojego rodu, z wyjątkiem syna, a ponadto życie wszystkich moich samurajów z Izu, wszystkich kobiet i dzieci za to, żeby kiedyś zostać shōgunem. A ile byś dał za Osiem Prowincji?

- Wszystko, co wymieniłem, z wyjątkiem życia mojej żony, matki i syna.

- A za prowincję Suruga?

- Nic - odparł z pogardą Yabu. - Ikawa Jikkyu nie jest nic wart. Jeżeli w tym życiu nie pozabawię głów jego i jego całego rodu, to zrobię to w następnym. Szczam na niego i jego potomstwo przez dziesięć tysięcy wcieleń.

- A gdybym ci go podarował? I całą Surugę. . a do tego być może także sąsiednią prowincję, Totomi?

Yabu nagle zniechęciła ta gra w kota i mysz i rozmowy o Bractwie Amidy.

- Jeśliś postanowił, panie, pozbawić mnie głowy, proszę bardzo.

Jestem gotów. Podziękowałem ci za ten świt. Ale nie chcę psuć takiego wykwintu dalszą rozmową, więc zakończmy sprawę.

- Ależ ja wcale nie mam zamiaru pozbawiać cię głowy, Yabu-san - odparł Toranaga. - Co ci podsunęło taką myśl? Może Ishido? Czyż nie jesteś moim ulubionym sprzymierzeńcem? Sądzisz, że przyjmowałbym cię tutaj bez strażników, gdybym cię uważał za wroga?

Yabu odwrócił się powoli. Spodziewał się, że ujrzy za plecami samuraja z uniesionym mieczem.

Ale nie było tam nikogo. Spojrzał ponownie na Toranagę.

- Nie rozumiem.

- Sprowadziłem cię tu, żebyśmy mogli porozmawiać bez świadków. I obejrzeć świt. Czy chciałbyś władać prowincjami Suruga, Izu i Totomi. . jeżeli nie przegram tej wojny?

- Tak. Bardzo - odparł Yabu, a jego nadzieje gwałtownie wzrosły.

- Zostałbyś moim wasalem? Uznał mnie za swojego suzerena?

Yabu zawahał się.

- Nigdy. - Odparł. - Za sojusznika, tak. Za swojego przywódcę, tak. Za mniejszego od ciebie, tak. Zaangażowałbym po twojej stronie swoje życie i wszystko, co mam, tak. Ale Izu jest moja.

Jestem daimyō Izu i władzy nad nią nie oddam nikomu. Taką przysięgę złożyłem mojemu ojcu, taikō zaś zatwierdził Izu jako nasze rodowe lenno, w pierw ojcu, a potem mnie. Zatwierdził Izu dla mnie i moich dziedziców na wieki. Był on naszym panem i przysięgłem, że innego pana nie będę miał dopóty, dopóki jego następca nie dorośnie.

Hiro-matsu nieznacznie obrócił w rękę swój miecz. Dlaczego Tora-naga nie pozwoli mi skończyć z tym raz na zawsze? - pomyślał. - Po co ta cała męcząca rozmowa? Chętnie opróżniłbym pęcherz, boli mnie, a poza tym muszę się położyć, Toranaga podrapał się w pachwinie.

- Co ci zaproponował Ishido?

- Głowę Jikkyu. . kiedy tylko spadnie twoja. I jego prowincję.

- W zamian za co?

- Za poparcie, kiedy wybuchnie wojna. Za atak na twoje południowe skrzydło.

- Zgodziłeś się?

- Przecież na tyle mnie znasz, panie.

Szpiedzy z otoczenia Ishido donieśli Toranadze, że zawarto umowę i że należało do niej zobowiązanie się do zabicia trzech jego synów - Naboru, Sudary i Nagi.

- Za nic więcej? Tylko za poparcie?

- Przy użyciu wszelkich dostępnych mi środków - odparł jakby nigdy nic Yabu.

- Z zabójstwem włącznie?

- W razie wybuchu wojny, mam zamiar prowadzić ją przy użyciu wszystkich sił. Po stronie sprzymierzeńca. Używając wszystkiego, co może mu przynieść wygraną. Na czas niepełnoletności Yaemona potrzebujemy wyłącznie jednego regenta. Wojna pomiędzy tobą a Ishido jest nieunikniona. Nie ma innego rozwiązania.

Yabu starał się odgadnąć myśli Toranagi. Gardził jego niezdecydowaniem, pewien, że jest lepszy od niego, że Toranaga potrzebuje jego poparcia i że kiedyś w końcu zwycięży go. Ale co robić tymczasem? - zapytywał siebie, żałując, że nie ma tu jego żony, Yuriko, która by mu doradziła.

Ona wiedziałaby, jak postąpić najmądrzej.

- Mogę ci się bardzo przydać. Mogę pomóc ci zostać jedynym regentem - dodał, postanawiając

zaryzykować.

- A dlaczego to miałbym pragnąć zostać jedynym regentem?

- Kiedy Ishido zaatakuje, pomogę ci go pokonać: Kiedy złamie pokój - odparł Yabu.

- W jaki sposób?

Yabu opowiedział mu o swoim planie z działami.

- Pułk dział złożony z pięciuset samurajów?! - wybuchnął Hiro-matsu.

- Tak. Pomyśl tylko o sile Ognia. O tych wszystkich doborowych żołnierzach wyszkolonych do działania jak jeden mąż. O dwudziestu działach, które strzelają jednocześnie.

- To zły plan. Odrażający - oświadczył Hiro-matsu. - Nie da się go utrzymać w tajemnicy.

Jeżeli zaczniemy my, to samo zrobi nasz wróg. I nie będzie już końca tej potworności. To niehonorowe i bez przyszłości.

- Czyż nie mamy na względzie tylko tej nadciągającej wojny, panie Hiro-matsu? - odparł Yabu.

- Czyż nie chodzi nam wyłącznie o bezpieczeństwo pana Toranagi? Czyż nie jest to obowiązkiem jego sprzymierzeńców i wasali?

- Tak.

- Wystarczy, że pan Toranaga wygra jedną wielką bitwę. Zapewni mu to głowy jego wszystkich wrogów oraz władzę! Uważam, że ta strategia przyniesie mu zwycięstwo.

- A ja uważam, że nie. To odrażający plan i całkowicie niehonorowy.

Yabu obrócił się do Toranagi.

- Nowa epoka wymaga trzeźwego podejścia do kwestii honoru - rzekł.

W górę nad ich głowami wzbiła się z krzykiem mewa.

- Co powiedział na twój plan Ishido? - spytał Toranaga.

- Nie omawiałem go z nim.

- Dlaczego? Jeżeli uważasz swój plan za cenny dla mnie, to byłby on równie cenny dla niego. A może nawet bardziej.

- Tyś podarował mi świt. Nie jesteś kmieciem jak Ishido. Jesteś najmądrzejszym i najbardziej doświadczonym przywódcą w cesarstwie.

Jaki ty masz prawdziwy powód? - zadawał sobie pytanie Toranaga. - A może powiedziałeś o tym również Ishido?

- Gdybyśmy zastosowali twój plan, to połowę tych żołnierzy byłoby twoich, a połowę moich? - spytał.

- Owszem. Ja bym nimi dowodził.

- Wyznaczony przeze mnie człowiek byłby twoim zastępcą?

- Owszem. Potrzebny byłby mi ten barbarzyńca, żeby wyszkolił mi ludzi na strzelców, na kanonierów.

- Czy gdyby był cały czas moją własnością, to dbałbyś o niego tak, jak dbasz o następcę?

Wziąłbyś na siebie pełną odpowiedzialność i postępował z nim dokładnie tak, jak ci powiem?

- Owszem.

Toranaga przyglądał się przez chwilę szkarłatnym chmurom. Te plany nie mają zupełnie sensu, pomyślał. Sam musiałbym ogłosić Szkarłatne Niebo i uderzyć na Kioto na czele moich legionów. Ze stu tysiącami żołnierzy przeciwko dziesięciokrotnie liczniejszemu przeciwnikom.

- A kto byłby tłumaczem? Nie mogę zlecić tego na stałe pani Toda.

- A na kilka tygodni, wielmożny panie? Dopilnowałbym, żeby barbarzyńca wyuczył się naszej mowy.

- To zajęłoby lata. Z barbarzyńców opanowali ją tylko chrześcijańscy kapłani, ne? Zajęło im to” lata. Tsukku-san jest tu od lat trzydziestu, ne? Pilot nie nauczy się jej dostatecznie szybko, nie szybciej niż my nauczylibyśmy się ich wstrętnych języków.

- Tak. Ale przyrzekam ci, że ten pilot nauczy się japońskiego bardzo szybko..

Yabu przedstawił im podsunięty mu przez Omiego plan w taki sposób, jakby to był jego pomysł.

- To może być zbyt niebezpieczne.

- Ale dzięki temu nauczyłby się szybko, ne? A wówczas byśmy go poskromili.

- W jaki sposób utrzymałbyś to szkolenie w tajemnicy? - spytał po chwili milczenia Toranaga.

- Izu jest półwyspem, znakomicie zabezpieczonym. Bazę utworzyłbym koło Anjiro, dla bezpieczeństwa w słusznej odległości na południe, z dala od Mishimy i granicy prowincji.

- Dobrze. Natychmiast ustanowimy łączność pomiędzy Anjiro a Osaka i Edo za pośrednictwem gołębi pocztowych.

- Wspaniale. Potrzebuję zaledwie pięciu, sześciu miesięcy i . .

- Dobrze będzie, jeśli będziemy mieli sześć dni! - parsknął Hiro-matsu. - Chcesz przez to powiedzieć, że twoja słynna siatka szpiegowska została zniszczona, Yabu-san? Przecież na pewno otrzymujesz doniesienia. Czyż Ishido nie mobilizuje wojsk? Czyż nie mobilizuje ich Onoshi? Czyż nie jesteśmy tutaj zamknięci?

Yabu nie odpowiedział.

- No więc? - spytał Toranaga.

Doniesienia wskazują, że to wszystko ma miejsce, a nawet więcej - odparł Yabu. - Jeżeli będzie to sześć dni, to będzie, taka jest karma! Ale uważam, że jesteś za mądry, żeby wpaść w pułapkę. Albo dać się wciągnąć do przedwczesnej wojny.

- Gdybym się zgodził na twój plan, to uznałbyś mnie za swojego dowódcę?

- Tak, ale po twoim zwycięstwie byłbym zaszczycony przyjmując Surugę i Totomi jako części mego wieczystego lenna.

- Totomi to kwestia powodzenia twojego planu.

- Owszem.

- Przyrzekasz mi posłuszeństwo? Ręczysz za nie całym swoim honorem? -

- Tak. Na bushido, na pana Buddę, na życie mojej matki, żony i potomków.

- Dobrze - powiedział Toranaga. - A więc oblejemy ten układ.

Podszedł do krawędzi blanków. Wszedł na półkę strzelnicy, a potem na sam jej parapet -

Siedemdziesiąt stóp niżej był wewnętrzny ogród. Zdumiony brawurą swojego pana, Hiro-matsu wstrzymał oddech. Zobaczył, jak Toranaga odwraca się i skinieniem przywołuje Yabu, żeby stanął obok. Yabu posłuchał. Za najlżejszym dotknięciem spadliby w dół na pewną śmierć.

Toranaga odgarnął kimono i odsunął w bok opaskę na biodra, a Yabu zrobił to samo. Razem odsikali się, łącząc w powietrzu dwa strumienie moczu i przyglądając się, jak zraszają ogród w dole.

- Ostatni raz przypieczętowałem w ten sposób układ z taikō - rzekł Toranaga, któremu opróżnienie pęcherza przyniosło ogromną ulgę. - Właśnie wtedy postanowił dać mi Kantō; Osiem Prowincji, jako lenno. Oczywiście należały one jeszcze wówczas do naszego wroga Hojo, tak więc najpierw musiałem je zdobyć. Był to nasz ostatni przeciwnik, który stawiał opór. Naturalnie w zamian za ten zaszczyt byłem zmuszony z miejsca oddać moje dziedziczne lenna: Imagawę, Owari i Ise. Ale mimo to zgodziłem się na to i moczem oblaliśmy ten układ.,- Swobodnie stanął na parapecie, poprawiając wygodniej opaskę na biodra, tak jakby stał w samym ogrodzie, a nie wysoko w górze niczym orzeł na

perci. - Układ ten był dobry dla nas obu. Pobiliśmy Hojo w ciągu roku i zdobyliśmy pięć tysięcy głów. Zgładziliśmy jego i cały jego ród. Być może masz rację, Kasigi Yabu-san. Być może potrafisz mi pomóc, tak jak ja dopomogłem taikō.

- Pomogę ci zostać jedynym regentem, Toranaga-sama. Ale nie shōgunem.

- Oczywiście. Tego jednego zaszczytu nie szukam, bez względu na to, jak często mówią o tym moi wrogowie. - Toranaga zeskoczył na bezpieczne kamienne płyty. Obejrzał się na Yabu, który nadal stał na wąskim parapecie, poprawiając pas. Srodze kusiło go, żeby błyskawicznym ruchem zepchnąć go za jego zuchwałość. Ale nie zrobił tego, usiadł i głośno puścił wiatr. - Ulżyłem sobie. A jak twój pęcherz, Żelazna Pięści? - spytał.

- Dokucza mi, panie, bardzo dokucza.

Starzec odszedł na stronę i też wypróżnił się z ulgą poza blanki, ale nie stanął tam, gdzie stali przedtem Toranaga z Yabu. Był też bardzo zadowolony, że nie musi przypieczętowywać z Yabu żadnego układu. Takiego układu nigdy bym nie uszanował, rzekł w duchu. Nigdy.

- Yabu-san. Wszystko to musi pozostać w tajemnicy. Myślę, że powinieneś wyjechać stąd za jakieś dwa, trzy dni - rzekł Toranaga.

- Tak. Z muszkietami i barbarzyńcą, Toranaga-sama?

- Tak. Popłyniesz statkiem. - Toranaga spojrzał na Hiro-matsu. - Przygotuj galerę.

- Statek jest gotów. Muszkiety i proch są nadal w ładowniach - odparł Hiro-matsu z miną świadcząca o dezaprobacie.

- To dobrze.

Udało ci się, chciał wykrzyknąć Yabu. Masz działa, pilota, wszystko. Masz swoje sześć miesięcy. Toranaga za nic nie ruszy szybko na wojnę. Nawet gdyby Ishido zabił go w ciągu najbliższych miesięcy, to i tak zachowujesz wszystko. O Buddo, ochraniaj Toranagę do chwili, aż wypłynę w morze.

- Dziękuję ci - rzekł z nie skrywaną ogromną szczerością. - Nie znajdziesz wierniejszego sprzymierzeńca ode mnie.

Kiedy odszedł, Hiro-matsu obrócił się w stronę Toranagi.

- To było niedobre posunięcie. Wstyd mi za ten układ. Wstyd mi, że moje rady tak mało dla ciebie ważą. Nie jestem już ci przydatny, panie, a w dodatku jestem bardzo zmęczony. Ten mały zasraniec daimyō wie, jak manipulować tobą niczym marionetką. Och, posunął się w swojej bezczelności aż do tego, żeby w twojej obecności nosić miecz Murasamy.

- Zauważyłem - odparł Toranaga.

- Myślę, że bogowie rzucili na ciebie urok, panie. Otwarcie puszczasz płazem zniewagi i pozwalasz, żeby w twojej obecności bezczelnie pasł tu sobie oczy. Otwarcie pozwalasz Ishido, żeby cię zawstydział przy nas wszystkich. Nie pozwalasz mnie i nam wszystkim ciebie bronić.

Odmawiasz mojej wnuczce, damie z samurajskiego rodu, honorowej i spokojnej śmierci.

Utraciłeś kontrolę nad Radą, twój wróg cię przechytrzył, a teraz jeszcze uroczyście oblewasz układ, który jest najohydniejszym planem, jaki znam, i zawierasz go z człowiekiem, który posługuje się podłością, trucizną i zdradą, tak jak przed nim jego ojciec. Hiro-matsu trząsał się z gniewu.

Toranaga milczał i tylko wpatrywał się w niego spokojnie, jak gdyby starzec niczego nie powiedział.

- Na wszystkie kami, żyjące i martwe, rzucono na ciebie czar! -, wybuchnął stary generał. - Ja sprzeciwiam się tobie, krzyczę na ciebie, znieważam cię, a ty tylko na mnie patrzysz! Alboś ty oszalał, albo ja. Proszę cię, pozwól mi popełnić seppuku, a jeżeli nie zgodzisz się, bym zapewnił sobie taki spokój, to pozwól mi ogolić głowę i zostać mnichem, pozwól na cokolwiek, cokolwiek, ale niechże zniknę stąd.

- Nic takiego nie zrobisz. Ale pošlesz po tego barbarzyńskiego kapłana, Tsukku-sana.

To powiedziawszy, Toranaga roześmiał się.

19.

Ojciec Alvito zjeżdżał ze wzgórza zamkowego na czele gromady konnych jezuitów. Wszyscy mieli na sobie szaty buddyjskich kapłanów, z tą różnicą, że przy pasach nosili różańce i krzyże.

Jeźdźców było czterdziestu, samych Japończyków z dobrych rodzin, synów chrześcijańskich samurajów, uczniów seminarium duchownego w Nagasaki, którzy towarzyszyli mu w drodze do Osaki. Wszyscy mieli dobrą uprząż, pewnie siedzieli w siodłach i byli zdyscyplinowani niczym orszak jakiegoś daimyō.

Nie zważając na ciepłe promienie słońca, Alvito jechał żwawym truchtem, przez zagajniki i ulice miasta do misji jezuitów, dużego kamiennego budynku w stylu europejskim, który stał nie opodal nabrzeży i wznosił się ponad gromadą oficyn, skarbców i magazynów, w których wymieniano i płacono za wszystkie jedwabie w Osace.

Orszak ze stukiem przejechał przez żelazne wrota osadzone w wysokim kamiennym murze, wjechał na brukowany dziedziniec główny i zatrzymał się przy wejściu. Na ojca Alvito czekali tam już służący, żeby pomóc mu zsiąść z konia. Alvito zsunął się z siodła i rzucił im wodze. Dzwoniąc ostrogami o kamienie, energicznie pomaszerował chodnikiem przy głównym budynku, skręcił za róg, minął małą kaplicę i przeszedłszy pod kilkoma arkadami, - wkroczył na wewnętrzny podwórzec z fontanną i zacisznym ogrodem. Drzwi do westybulu były otwarte. Zrzucił z siebie niepokój i, przybrawszy odpowiednią minę, wszedł do środka.

- Czy jest sam? - spytał.

- Nie, nie, nie sam, Martinie - odparł ojciec Soldi. Był niskim, dobrotliwym, ospowatym Neapolitańczykiem, który od prawie trzydziestu lat sekretarzował ojcu wizytatorowi, z czego dwadzieścia pięć w Azji - Jego eminencja przyjmuje generała-gubernatora Ferrierę. A tak, jest u niego ten paw. Ale jego eminencja powiedział, że masz tam od razu wejść. Co się stało, Martinie?

- Nic.

Soldi chrząknął i powrócił do ostrzenia gęsiego pióra.

- Mądry ojciec powiada „nic”. Cóż, wkrótce się tego dowiemy - rzekł.

- Tak - powiedział Alvito, czując sympatię do staruszka. Poszedł do drzwi na drugim końcu westybulu. Na palenisku płonęły drwa, oświetlając piękne ciężkie, poczerńiałe od wieku meble o soczystym odcieniu, który zawdzięczały polerowaniu i pielęgnacji. Nad kominkiem wisiał mały obraz Madonny z Dzieciątkiem pędzla Tintoretta, który ojciec wizytator przywiózł ze sobą z Rzymu.

- Znowu widziałeś tego Anglika? - zawołał za nim ojciec Soldi. Alvito nie odpowiedział. Zapukał do drzwi.

- Proszę.

Carlo del 'Aqua, ojciec wizytator Azji, osobisty delegat generała zakonu jezuitów, najstarszy z zakonu, a przeto najmożniejszy człowiek na Wschodzie, był również najwyższy. Miał sześć stóp i trzy cale wzrostu i odpowiednią do niego posturę. Był siwowłosym Neapolitańczykiem, nosił tonsurę i miał sześćdziesiąt jeden lat.

- O, Martin, wejdz, wejdz. Może wina? - spytał po portugalsku z tą cudowną włoską śpiewnością. - Widziałeś tego Anglika?

- Nie, eminencjo. Tylko Toranagę.

- Jest niedobrze?

- Tak.

- Może wina?

- Dziękuję.

- Jak bardzo niedobrze? - spytał Ferriera. Fidaglio ów, w tym roku dowódca Nao del Trato, Czarnej Karaweli, siedział dumnie niczym sokół, i równie jak on barwny, przy kominku w skórzanym fotelu z wysokim oparciem. Był w wieku pomiędzy trzydziestką a czterdziestką, szczupły, drobnej budowy ciała i budził postrach.

- Myślę, że bardzo niedobrze, generale-gubernatorze. Na przykład Toranaga powiedział, że sprawa tegorocznego handlu może zaczekać.

- Ależ to oczywiste, że handel nie może czekać. . ani ja - rzekł Ferriera. - Wyruszam z odpływem.

- Nie załatwiłeś jeszcze, panie, formalności w porcie. Obawiam się, że będziesz musiał zaczekać.

- Myślałem, że wszystko zostało załatwione wiele miesięcy temu. - Ferriera jeszcze raz przeklął japońskie przepisy, które wymagały, żeby wszystkie towary, nawet ich własne, miały pozwolenia na wwóz i wywóz. - Nie powinniśmy się krępować głupimi przepisami tubylców.

Powiedziałeś, eminencjo, że to spotkanie jest zwykłą formalnością, że chodzi o zwykłe odebranie dokumentów.

- Tak być powinno, ale byłem w błędzie. Może lepiej wyjaśnię. .

- Muszę natychmiast powrócić do Makau, żeby przygotować Czarną Karawelę. W lutym na targach w Kantonie zakupiliśmy najlepsze jedwabie wartości miliona dukatów, a będziemy też wieźli co najmniej sto tysięcy Uncji chińskiego złota. Sądziłem, że jest jasne, iż każdy grosik w gotówce w Makau, Malakce i Goi, każdy grosz kupców i ojców miasta Makau został zainwestowany w tegoroczne interesy. A także każdy wasz grosz.

- Wiemy, jakie to ważne, równie dobrze jak ty, panie - odparł uszczypliwie del 'Aqua.

- Przykro mi, generale-gubernatorze, ale Toranaga przewodniczy Radzie Regencyjnej i zwyczaj nakazuje iść do niego - wyjaśnił Alvito. - Z nim nie rozmawia się o tegorocznym handlu ani o twoich zezwoleniach w porcie. Na początek zaznaczył, że nie pochwała zabójstwa.

- A kto je pochwała, ojczy? - spytał Ferriera.

- O czym mówił Toranaga, Martinie? - spytał del 'Aqua. - Czy to jakiś podstęp? Zabójstwo? A co my z tym mamy wspólnego?

- Spytał: „Z jakiego to powodu wy, chrześcijanie, chcielibyście zabić mojego więźnia, pilota?”

- Co takiego?

- Toranaga uważa, że ten zamach zeszłej nocy był wymierzony w Anglika, a nie w niego.

Twierdzi, że pierwszą taką próbę podjęto w więzieniu - rzekł Alvito z oczami utkwionymi w wojskowym.

- O co ty mnie oskarżasz, ojczy? - spytał Ferriera. - O próbę zabójstwa? Mnie? W zamku w Osace? Ja pierwszy raz jestem w Japonii!

- Więc zaprzeczasz, że cokolwiek ci o tym wiadomo?

- Nie przeczę, że im prędzej ten heretyk zginie, tym lepiej - odparł chłodno Ferriera. -

Jeżeli Holendrzy i Anglicy zaczną szerzyć swoje plugawe poglądy w Azji, to wpadniemy w kłopoty.

Wszyscy.

- Już je mamy - rzekł Alvito. - Toranaga zaczął od stwierdzenia, iż dowiedział się od Anglika, że portugalski monopol na handel z Chinami przynosi krociowe zyski, że Portugalczycy przesadnie zawyżają ceny jedwabów, które tylko oni mogą kupować w Chinach, płacąc za nie jedynym towarem, jaki przyjmują Chińczycy - japońskim srebrem, za które Portugalczycy również płacą niedorzecznie mało. Toranaga powiedział: „Ponieważ pomiędzy Chinami a Japonią panuje wrogość i bezpośredni handel pomiędzy nimi jest wzbroniony, Portugalczycy zaś mają na ten handel wyłączność, przeto na oskarżenie ich przez pilota o „lichwę” powinni dać oficjalną odpowiedź - na piśmie. Toranaga

„zachęca” cię, eminencjo, byś dostarczył regentom sprawozdanie na temat rozmiarów wymiany: srebra na jedwabie, jedwabów na złoto, złota na srebro. Dodał, że oczywiście nie ma nic przeciwko naszym dużym zyskom, jeśli tylko osiągamy je na Chińczykach.

- A ty, ojczy, naturalnie odmówiłeś spełnienia tak zuchwałych żądań - rzekł Ferriera.

- Bardzo trudno jest tego odmówić.

- Wobec tego dostarczcie mu sfalszowane sprawozdanie.

- Narazilibyśmy tym naszą pozycję tutaj, która opiera się na zaufaniu - odparł del 'Aqua.

- A czy Japusom można ufać? Oczywiście, że nie można. Nasze zyski muszą pozostać tajemnicą. Przeklęty heretyk!

- Z przykrością muszę ci, panie, powiedzieć, że ten Blackthorne jest, na to wygląda, wyjątkowo dobrze poinformowany.

Alvito spojrzał mimowolnie na del 'Aque, na chwilę się odkrywając.

.Ojciec wizytator nic na to nie powiedział.

- Co jeszcze mówił ten Japus? - spytał Ferriera udając, że nie zauważył wymiany spojrzeń pomiędzy jezuitami, i żałując, że nie wie tego wszystkiego, co wiedzą oni.

Toranaga prosi mnie, abym mu jutro do południa dostarczył mapę świata z zaznaczonymi liniami jego podziału pomiędzy Hiszpanię i Portugalię, i podał imiona papieży, którzy zatwierdzili te traktaty, wraz z ich datami. „Życzy sobie”, żeby w ciągu trzech dni dostarczyć mu na piśmie wyjaśnienie w sprawie „podbojów” w Nowym Świecie, dla zaspokojenia „mojej czysto osobistej ciekawości”, jak się dokładnie wyraził, oraz ilości złota i srebra pozyskanego - właściwie użył

wyrażenia Blackthorne'a - „zrabowanego” przez Portugalię i Hiszpanię w Nowym Świecie. Zażyczył

sobie również jeszcze jednej mapy, pokazującej zasięg imperiów Hiszpanii i Portugalii sto lat temu, pół wieku temu oraz dzisiaj, wraz z dokładnym rozmieszczeniem naszych baz od Malakki do Goi -

nawiasem mówiąc, wszystkie wiernie wymienił, miał je wypisane na papierze - oraz podania liczby japońskich najemników, których zatrudniamy w każdej z tych baz. Del 'Aqua i Ferriera byli przerażeni.

- Należy kategorycznie odmówić! - zagrział wojskowy.

- Panu Toranadze się nie odmawia - odparł del 'Aqua.

Myślę, że eminencja przecenia jego ważność - oświadczył Ferriera. - A mnie się wydaje, że ten Toranaga to jeszcze jeden despotyczny władca, jakich wielu, po prostu jeszcze jeden krwiożerczy poganin, którego na pewno nie trzeba się obawiać. Odmówcie mu. Bez naszej Czarnej Karaweli ich cała gospodarka załamie się. Oni przecież błagają nas o chińskie jedwabie. Bez jedwabów nie będzie kimon. Muszą z nami dalej handlować. Dlatego mówię: pal sześć Toranagę.

Możemy handlować z ich chrześcijańskimi książętami. . jak się tam oni zwa? Z Onoshim i Kiyamą. .

oraz z innymi chrześcijańskimi władcami Kiusiu. W końcu siedzibę mamy w Nagasaki, jest nas tam dużo i tam odbywa się cały handel.

- Nie możemy odmówić, generale-gubernatorze - odparł del 'Aqua. - Jesteś, panie, pierwszy raz w Japoni, więc nie zdajesz sobie sprawy, jakie tu mamy kłopoty. Owszem, oni nas potrzebują, ale my ich jeszcze bardziej. Bez przychylności Toranagi - i Ishido - stracimy wpływ na tych chrześcijańskich władców. Stracimy Nagasaki i wszystko, co zbudowaliśmy tu przez ponad pięćdziesiąt lat. Czy to ty pochopnie zorganizowałeś zamach na życie tego heretyckiego pilota?, -

Od początku otwarcie mówiłem Rodriguesowi i każdemu, kto słuchał, że ten Anglik to niebezpieczny pirat, który zarazi każdego, z kim się zetknie, i dlatego powinno się go za wszelką cenę usunąć.

Wasza eminencja powiedział to samo, używając innych słów. Także ty, ojcze Alvito. Czyż nie poruszaliśmy tej sprawy dwa dni temu podczas naszej narady z Onoshim i Kiyamą? Czyż nie powiedziałaś, że ten pirat jest niebezpieczny?

- Tak. Ale. .

- Wybacz mi, ojcze, ale czasem żołnierze muszą wypełniać dzieło Boże najlepiej jak potrafią.

Przyznaję, że byłem wściekły na Rodriguesa, że nie zaaranżował wypadku podczas tej burzy.

Przecież właśnie on jeden powinien mieć dość oleju w głowie! Na Ciało Chrystusa, spójrzcie, co ten angielski diabeł zdążył zrobić z Rodriguesem. Biedny głupiec jest mu wdzięczny za uratowanie życia, podczas gdy chodzi o najprostszą sztuczkę na świecie, której celem było zdobycie jego zaufania.

Czyż Rodrigues nie zbłądził się, pozwalając heretykiemu pilotowi na przejęcie rufówki, przez co z -

pewnością omal nie postradał życia? A co do tej próby zabójstwa w zamku, to kto wie, co tam naprawdę zaszło. Zlecił ją ktoś miejscowy, to japońska sztuczka. Nie martwi mnie, że go próbowali zabić, ale oburza to, że im się nie udało. Kiedy to ja załatwię jego usunięcie, bądźcie pewni, że zostanie usunięty.

Alvito napił się wina.

- Toranaga powiedział, że wysłał Blackthorne'a na Izu - rzekł. - Ten półwysep na wschodzie? - spytał Ferriera.

- Tak.

- Łądem czy statkiem?

- Statkiem.

- To dobrze. W takim razie z ubolewaniem oznajmiam ojcom, że na morzu podczas bardzo nieprzyjemnej burzy może zginąć cała załoga.

- A ja z ubolewaniem oznajmiam ci, panie, że Toranaga powiedział:- przekazuję wiernie jego słowa - „Ten pilot jest pod moją osobistą opieką, Tsukku-san, więc jeżeli coś mu się przydarzy, to zbadam

to, używając całej swojej władzy i władzy regentów, jeśli zaś przypadkiem okaże się, że winnym jest ktoś z chrześcijan lub też nawet tylko słabo z nimi powiązany, nie wykluczam zrewidowania Dekretów o Wygnaniu i natychmiastowego zamknięcia wszystkich chrześcijańskich świątyń, szkół i miejsc spoczynku”.

- Boże, uchwaj, żeby tak się stało - powiedział del 'Aqua.

- Bługuje! - orzekł szyderczym tonem Ferriera.

- Nie, jesteś w błędzie, panie, Toranaga jest przebiegły jak Machiavel i i bezwzględny jak Hun Attyla. - Alvito spojrzał znowu na del 'Aque. - Gdyby cokolwiek stało się Anglikowi, łatwo byłoby nas za to obciążyć.

- Tak.

- A może powinniście zająć się źródłem swoich kłopotów - rzekł bez ogródek Ferriera. - I usunąć tego Toranagę.

- Nie czas na krotchwile - odparł ojciec wizytator.

- To, co wspaniale udawało się w Indiach, na Malajach, w Brazylii, Peru, Meksyku, Afryce, na północnym wybrzeżu Ameryki Południowej i gdzie indziej, uda się też tutaj. Sam robiłem to w Malakce i Goi tuzin razy z pomocą japońskich najemników, a gdzież mi tam do waszych wpływów i wiedzy! Wykorzystamy chrześcijańskich ksiąząt. Dopomożemy jednemu z nich w usunięciu Toranagi, jeżeli stoi na przeszkodzie. Kilka setek konkwistadorów wystarczy. Dzielmy i rządźmy. Jeżeli zechcesz tłumaczyć, ojczu Alvito, to porozumiem się z Kiyamą. .

- Japończyków nie wolno porównywać z Indianami ani z niepiśmiennymi dzikusami w rodzaju Inków. Tu nie można dzielić i rządzić. Japończycy nie przypominają innych narodów. Wcale -

powiedział ze znużeniem del 'Aqua. - Muszę cię oficjalnie prosić, panie, byś nie „wtrącał się do wewnętrznych spraw tego kraju.

- Zgoda. Raczej zapomnieć o tym, co mówiłem. Taka szczerłość byłaby niestosowna i naiwna. Na szczęście burze są o tej porze roku normalne.

- Jeżeli zdarzy się burza, to tylko z woli Boga. Ale ty nie zaatakujesz pilota. - Nie?

- Nie. Ani nikomu tego nie zlecisz.

- Mój król zobowiązał mnie, bym niszczył jego wrogów. Anglik jest wrogiem mojego narodu.

Pasożytem, piratem, heretykiem. Jeżeli zechcę go usunąć, to moja sprawa. Dowodzę tegorocznym rejssem Czarnej Karaweli, dlatego też jestem w tym roku gubernatorem Makau, mam na tych morzach władzę wicekróla i jeżeli zapragnę usunąć tego Anglika, Toranagę albo kogokolwiek, to zrobię to., Jeżeli zrobisz to wbrew moim bezpośrednim poleceniom, z miejsca narazisz się na ekskomunikę.

- Nie posiadasz takiej władzy, eminencjo. To sprawa świecka, nie duchowa.

- Pozycja Kościoła tutaj jest, niestety, tak ściśle powiązana z polityką i handlem jedwabiem, że wszystko wiąże się z jego bezpieczeństwem.

(I na nadzieję zbawienia, dopóki żyję, nie pozwolę narazić nikomu przyszłości naszego Macierzystego Kościoła w Japonii!

- Dziękuję za tak jasne postawienie sprawy, eminencjo. Wezmę sobie za cel, żeby lepiej poznać sprawy japońskie.

- Doradzam ci to, panie, dla dobra nas wszystkich. Chrześcijaństwo jest tu tolerowane wyłącznie dlatego, że wszyscy daimyō święcie wierzą, że jeżeli nas stąd wypędzą i wytepią naszą wiarę, to Czarne Karawele już tu nie wrócą. My, jezuici, jesteśmy tutaj potrzebni, a pewne wpływy mamy tu tylko dlatego, że jedynie my mówimy po japońsku i portugalsku, możemy więc tłumaczyć i pośredniczyć im w sprawach handlu. Niestety, to, w co oni wierzą, nie jest prawdą. Jestem przekonany, że handel będzie trwał bez względu na pozycję Kościoła i naszą, ponieważ portugalscy kupcy bardziej dbają o własne egoistyczne interesy niż o służbę naszemu Panu.

- A może równie oczywiste są interesy duchownych, którzy pragną zmusić nas, posuwając się aż do proszenia Jego Świątobliwości papieża o uprawnienia, abyśmy zawijali do portu, który wskażą, i handlowali z daimyō, którego wołają, niezależnie od ryzyka!

- Pan się zapomina, generale-gubernatorze!

- Przeciwnie. Nie zapominam, że w zeszłym roku Czarna Karawela zaginęła pomiędzy Japonią a Malakką z całą załogą, wioząc dwieście ton złota i srebro wartości pięciuset tysięcy crusados, bo została zatrzymana, na waszą osobistą prośbę, aż do złej pogody. Ani o tym, że katastrofa ta omal nie zrujnowała wszystkich stąd do Goi.

- Było to konieczne ze względu na śmierć taikō i politykę wewnętrzną w sprawach dotyczących dziedziczenia władzy.

- Nie zapominam, że trzy lata temu poprosiliście wicekróla Goi o odwołanie rejsu Czarnej Karaweli i wysłanie jej tylko na wasze polecenie do portu, który wskażecie, i nie zapominam też, że wicekról odrzucił to żądanie jako zuchwałe wtrącanie się w cudze sprawy.

- Chodziło o pohamowanie taikō, o wywołanie gospodarczych trudności w trakcie głupiej wojny z Koreą i Chinami, w odwecie za zarządzane przez niego męczeństwo w Nagasaki, za obłąkańczy atak na Kościół i za ogłoszone właśnie dekrety o wydaleniu, wyrzucające nas wszystkich z Japonii.

Jeżeli będziecie z nami współdziałać, słuchać naszych rad, to w ciągu życia jednego pokolenia cała Japonia stanie się chrześcijańska! Co jest ważniejsze: handel czy zbawienie dusz?

- Odpowiem, że zbawienie dusz. Ale skoroście mnie już oświecili w sprawach japońskich, pozwólcie, że sprowadzę je do odpowiednich proporcji. Samo japońskie srebro otwiera nam dostęp do chińskich jedwabów i chińskiego złota. Ogromne zyski, jakie osiągamy, i eksport do Malakki i

Goi, a stamtąd do Lizbony, utrzymują całe nasze imperium w Azji, wszystkie forty, wszystkie misje, wszystkie wyprawy, wszystkich misjonarzy, wszystkie odkrycia, a do tego pokrywają, jeśli nie całość, to większość zobowiązań finansowych uniemożliwiają heretykom podporządkowanie nas sobie i nie dopuszczają ich do Azji, co dałoby im bogactwa potrzebne do zniszczenia nas i naszej wiary w Europie. Co jest ważniejsze, ojciec: hiszpańskie, portugalskie i włoskie chrześcijaństwo czy chrześcijaństwo japońskie?

Del 'Aqua spiorunował żołnierza wzrokiem.

- Powtarzam ci raz na zawsze, panie, nie wmieszasz się w politykę wewnętrzną tego kraju! !

Z paleniska wypadł węgiel i zatrzeszczał na dywanie. Najbliżej siedzący Ferriera kopnął go w bezpieczne miejsce.

- A jeżeli ja się... ja się powstrzymam, to co proponujecie zrobić z tym heretykiem? Lub z Toraną?

Del 'Aqua usiadł przekonany, że zwyciężył.

- W tej chwili nie wiem. Ale już sama myśl o usunięciu Toranagi jest niedorzeczna. On nam bardzo sprzyja i bardzo też sprzyja rozwojowi handlu - del 'Aqua ściszył głos jeszcze bardziej - a więc także wzrostowi pańskich dochodów.

- I waszych - odparł Ferriera, jeszcze raz stając okoniem.

- Nasze zyski służą dziełu Naszego Pana. Jak dobrze ci wiadomo. - Del 'Aqua zmęczonym ruchem nalał sobie wina i poczęstował nim wojskowego, żeby go ułagodzić. - Zostawmy to, Ferriera, nie kłóćmy się tak. Jeśli chodzi o tę sprawę z heretykiem, owszem, jest fatalna. Ale z kłótni nie ma żadnego pożytku. Potrzebujemy twojej rady, twojego pomysłu i twojej siły. Uwierz, że Toranaga jest nam niezbędny. Gdyby nie utrzymywał w ryzach pozostałych regentów, to cały ten kraj pogrążyłby się na powrót w anarchii.

- Tak, to prawda, generale-gubernatorze - rzekł Alvito. - Nie pojmuję jednak, dlaczego jeszcze siedzi w zamku i zgodził się na odłożenie spotkania Rady. Aż trudno w to uwierzyć, ale wygląda na to, że go przechytrono. Przecież na pewno zdawał sobie sprawę, że Osaka jest zamknięta szczelniej niż pas cnoty żony zazdrosnego krzyżowca. Powinien był wyjechać wiele dni temu.

- Skoro jest taki niezbędny, to po co popierać Onoshiego i Kiyamę? - spytał Ferriera. - Czy ci dwaj nie zwrócili się przeciwko niemu, stając po stronie Ishido? Dlaczego im tego nie odradziliście?

Rozmawialiśmy o tym zaledwie przed dwoma dniami.

- Powiadomili nas jedynie o swojej decyzji. Nie dyskutowaliśmy o tym. No, to może powinniście, eminencjo. Skoro to takie ważne, czemu nie kazać im, żeby ją zmienili? Pod groźbą ekskomuniki.

Del 'Aqua westchnął.

- Chciałbym, żeby to było takie proste - rzekł. - W Japoni tego się nie robi. Japończycy nie znoszą

wtrącania się w ich sprawy wewnętrzne. Nawet propozycje musimy tu wysuwać nadzwyczaj ostrożnie.

Ferriera opróżnił srebrny kielich, dolał sobie wina i opanował się wiedząc, że musi mieć jezuitów po swojej stronie, gdyż bez ich pośrednictwa jako tłumaczy jest bezradny. Ta wyprawa musi ci się powieść, rzekł w duchu. Przez jedenaście lat wojowałeś i trzymałeś się w służbie króla, by uczciwie - ponad dwadzieścia razy - zasłużyć sobie na najwyższą z jego nagród - roczne dowództwo Czarnej Karaweli i przynależną temu zaszczytowi dziesiątą część całego złota, srebra, jedwabów i zysków z każdej transakcji. Wzbogacisz się na całe życie, na trzydzieści żyć, gdybyś je miał, dzięki temu jednemu rejsowi. Jeśli doprowadzisz rzecz do końca.

Jego dłoń powędrowała do rękojeści rapiera, do srebrnego krzyża, stanowiącego część srebrnego filigranu.

- Na rany Chrystusa, moja Czarna Karawela dopłynie na czas z Makau do Nagasaki, a potem ten statek, który będzie wiozł największe bogactwa w historii, wraz z październikowym monsunem skieruje się na południe do Goi, a stamtąd do kraju! Bóg świadkiem, że tak się stanie! - oznajmił i dodał w duchu: „Nawet gdyby wymagało to spalenia całej Japonii, całego Makau i całych Chin, na Niepokalaną Dziewicę!”

- Modlimy się za ciebie, panie, oczywiście, że modlimy - odparł ze szczerym przekonaniem del 'Aqua. - Wiemy, jak ważny jest twój rejs.

- Co w takim razie proponujecie? Bez załatwienia formalności portowych i swobody w handlu mam związane ręce. Czy nie można pominąć tych regentów? Może jest jakiś inny sposób?

Del 'Aqua potrząsnął przecząco głową.

- Martinie? Ty jesteś znawcą spraw handlowych.

- Przykro mi, ale nie jest to możliwe - odparł Alvito. Przysłuchiwał się ich ożywionej wymianie zdań, kipiąc z oburzenia. Co za niewychowany, zarozumiały krety, pomyślał i natychmiast dodał: „O

Boże, daj mi cierpliwość, bo bez tego człowieka i jemu podobnych Kościół tutaj zginie”. - Jestem pewien, generale-gubernatorze, że za dzień, dwa wszystko załatwimy. Najdalej za tydzień.

Toranaga ma w tej chwili całkiem wyjątkowe kłopoty. Jestem przekonany, że wszystko dobrze się skończy.

- Tydzień zaczekam. Ale nie dłużej. - Podszyty groźbą ton głosu Ferriery napawał lękiem. -

Chciałbym dostać tego heretyka w swoje ręce. Torturami wydarłbym z niego prawdę. Czy Toranaga wspomniał o jakiejś domniemanej flocie? Wrogiej flocie?

- Nie.

- Chciałbym wiedzieć, jak wygląda prawda, ponieważ w drodze powrotnej moja karawela będzie się

kolebała niczym-gruba świnia, a jej ładownie wybrzuszały się od takiej ilości jedwabiu, jakiej jeszcze nie wieziono. Nasz statek jest jednym z największych na świecie, ale nie mam eskorty, więc jeżeli na morzu dopadnie nas nieprzyjacielska fregata albo ten holenderski gamrat Erasmus, to będziemy zdani na jej łaskę. Bez najmniejszych kłopotów zmusiłaby mnie do opuszczenia naszej królewskiej bandery. Lepiej, żeby ten Anglik nie wypłynął w morze swoim statkiem z kanonierami, działami i kulami na pokładzie.

- E vero, e solamente vero - mruknął del 'Aqua. Ferriera dopił wina.

- Kiedy Blackthorne ma być odesłany na Izu? - spytał.

- Toranaga nie powiedział - odparł Alvito. - Mam wrażenie, że niedługo.

- Dzisiaj?

- Nie wiem. Regenci mają się spotkać za cztery dni. Przypuszczam więc, że nastąpi to przedtem.

- Blackthorne'a ruszać nie wolno. Ani jego, ani Toranagi - rzekł z mocą del 'Aqua.

Ferriera wstał.

- Wracam na statek. Zjecie z nami kolację? Obaj? O zmierzchu? Mamy smacznego kapłona, pieczoną wołowinę, wino z Madery, a nawet świeży chleb.

- Dziękuję, jesteś bardzo uprzejmy, panie. - Del 'Aqua nieco się rozchmurzył. - Tak, wspaniale byłoby zjeść coś smacznego. Jesteś bardzo uprzejmy.

- Jak tylko nadejdą wieści od Toranagi, prześlemy wiadomość, generale-gubernatorze, - rzekł

Alvito.

- Dziękuję.

Po wyjściu Ferriery, zdobywszy pewność, że nikt nie podsłucha jego i Alvita, ojciec wizytator spytał z niepokojem:

- Martinie, co ci jeszcze powiedział Toranaga?

- Chce wyjaśnienia na piśmie w sprawie tego przemytu broni i wezwania tu konkwistadorów.

- Mamma mia. . Toranaga zachowywał się uprzejmie, a nawet przyjacielsko, ale. . cóż, jeszcze go takiego nie widziałem.

- Co dokładnie powiedział?

- „Słyszałem, Tsukku-san, że poprzednia głowa twojego zakonu chrześcijan, ojciec da Cunha, napisał do gubernatorów w Makau, Goi i do hiszpańskiego wicekróla w Manili, don Sisco y Vivery, w lipcu

1588 roku, według waszego kalendarza, domagając się inwazji setek hiszpańskich żołnierzy z muszkietami, aby wsparli paru chrześcijańskich daimyō w buncie przeciwko ich prawowitemu władcy, mojemu zmarłemu panu, taikō. Jak się nazywali ci daimyō? Czy to prawda, że żołnierzy wprawdzie nie przysłano wcale, ale za waszą wiedzą przemycono do Nagasaki ogromne ilości broni palnej? Czy to prawda, że wasz Ojciec Olbrzym potajemnie skonfiskował ową broń, kiedy w marcu albo kwietniu 1590 roku, według waszego kalendarza, po raz drugi przybył z Goi do Japoni jako ambasador i w sekrecie przemycił ją z Nagasaki na portugalski statek Santa Cruz, odsyłając ją z powrotem do Makau?”

Alvito wytarł spocone ręce.

- Czy powiedział coś jeszcze?

- Nic ważnego, eminencjo. Nie miałem okazji, żeby to wyjaśnić. . natychmiast mnie odprawił.

Odprawił uprzejmie, niemniej jednak odprawił.

- Od kogo ten przeklęty Anglik czerpie informacje?

- Sam chciałbym wiedzieć.

- Te daty i nazwiska. Nie mylisz się? Wymienił je tak dokładnie?

- Nie, eminencjo. Miał je zapisane na kawałku papieru. Pokazał mi go.

- Było to pismo Blackthorne'a?

- Nie. Zapisano je fonetycznie po japońsku, w hiraganie.

- Musimy się dowiedzieć, kim jest tłumacz Toranagi. Jest zdumiewająco dobry. To na pewno nikt z naszych? Może brat Manuel, co? - spytał z goryczą, używając chrześcijańskiego imienia Masamanu Jiro.

Jiro był synem chrześcijańskiego samuraja, kształconym przez jezuitów od dziecka, inteligentnym i pobożnym, wybranym do seminarium, aby wykształcił się na księdza i złożył cztery śluby zakonne, będąc pierwszym takim Japończykiem. Jiro spędził w Towarzystwie Jezusowym dwadzieścia lat i nagle porzucił je, nie do wiary, przed samym wyświęceniem, w tej chwili zaś był

zaciekłym przeciwnikiem Kościoła.

- Nie. Manuel jest nadal na Kiusiu, oby się wiecznie smażył w piekle. W dalszym ciągu jest zaciekłym wrogiem Toranagi, on by mu za nic nie pomógł. Na szczęście, nigdy nie powierzano mu żadnych politycznych tajemnic. Tłumaczką była pani Maria - oznajmił Alvito, używając chrześcijańskiego imienia Mariko Tody.

- Wiesz - o tym od Toranagi?

- Nie, eminencjo. Ale przypadkiem wiem, że gościła w zamku i że widziano ją z tym Anglikiem.

- Czy to pewne?

- Nasza wiadomość jest ścisła.

- Dobrze - rzekł del 'Aqua. - Być może Bóg pomaga nam na swój nieodgadniony sposób.

Natychmiast poślij po nią.

- Już się z nią widziałem. Zadbalem o to, żeby spotkać ją przypadkiem. Była jak zwykle przeurocza, pełna szacunku, jak zwykle pobożna, ale wyraźnie oświadczyła mi, zanim miałem sposobność ją zapytać: „Cesarstwo jest naturalnie krajem bardzo skrytym, ojcze, i pewne sprawy muszą zwyczajowo pozostać ściśle tajne. Czy tak samo jest w Portugalii i w Towarzystwie Jezusowym?”

- Jesteś jej spowiednikiem.

- Tak. Ale ona nic mi nie powie.

- Dlaczego?

- Z pewnością przestrzeżono ją i zabroniono rozmów o tym, co zaszło i co zostało powiedziane. Za dobrze ich znam. Pod tym względem wpływy Toranagi są silniejsze od naszych.

- Czy jej wiara jest taka słaba? Czy nasze nauki spełzły na niczym? Na pewno nie. Ona jest chrześcijanką pobożniejszą i lepszą od wszystkich znanych mi kobiet. Kiedyś zostanie zakonnicą. .

być może nawet pierwszą japońską przeoryszą.

- Owszem. Ale w tej chwili nic nie powie.

- Kościół jest zagrożony. To ważna sprawa, być może aż za bardzo - powiedział del 'Aqua. -

Ona to zrozumie. Jest za inteligentna, żeby tego nie zrozumiała.

- Błagam, eminencjo, abys w tej sprawie nie wystawiał jej wiary na próbę. Możemy przegrać.

Ostrzegła mnie. Powiedziała mi to tak wyraźnie, jakby napisała., Być może należałoby wystawić ją na próbę. Dla zbawienia jej duszy.

- Do ciebie należy kazać albo nie. Obawiam się jednak, że musi być powolna wobec Toranagi, a nie nas.

- Zastanowię się co do Marii. Tak - powiedział del 'Aqua.

Powędrował wzrokiem do kominka, przytłoczony brzemieniem urzędu, który sprawował. Biedna Maria. Przeklęty heretyk! Jak uniknąć tej pułapki? - zastanawiał się. Jak ukryć prawdę o tych

muszkietach? Jak ojciec przełożony i wiceprowincjał taki jak da Cunha, tak dobrze wykształcony, doświadczony i mający za sobą siedmioletnią praktykę w Makau i Japonii, mógł popełnić tak szkaradny błąd? Jak? - zapytał płomieni.

Mogę dać na to odpowiedź, rzekł w duchu. Jest zbyt łatwa. Wpadasz w popłoch, zapominasz o chwale Bożej, wbijasz się w pychę, stajesz się zarozumiały albo paraliżuje cię strach. Kto wie, czy można się zachować inaczej w podobnych okolicznościach. Najpierw być przyjętym życzliwie przez taikō o zachodzie słońca, z pełną pompą i ceremonialnie na triumfalnym spotkaniu, co dla taikō, bliskiego nawrócenia na chrześcijaństwo, jest nieomal aktem skruchy, a potem zostać obudzonym w środku tej samej nocy i dowiedzieć się o dekretach o wydaleniu, nakazujących wszystkim zakonom religijnym opuścić w ciągu dwudziestu dni Japonię pod karą śmierci, nigdy nie wracać, a co gorsza, żądających od wszystkich nawróconych w całym kraju natychmiastowego wyparcia się wiary, gdyż w przeciwnym razie zostaną wypędzeni lub zabici.

Doprowadzony do rozpaczy ojciec przełożony gorąco doradzał chrześcijańskim daimyō z Kiusiu - wśród, nich Onosiemu, Misakiemu, Kiyamie i Harimie z Nagasaki - aby dla ratowania Kościoła wszczęli bunt, i w zapamiętaniu zażądał w liście przysłania konkwistadorów, żeby ów bunt wspomogli.

Ogień trzaskał i tańczył na żelaznym ruszcie. Tak, to wszystko prawda, pomyślał del 'Aqua.

Gdybymż o tym wiedział, gdybyż tylko da Cunha zasięgnął wpierw mojej rady. Ale jakże mógł to zrobić? List do Goi wędruje sześć miesięcy, odpowiedź z-powrotem zapewne drugie sześć, więc chociaż da Cunha napisał od razu, to jako przełożony jezuitów był zdany na siebie i musiał

natychmiast stawić czoło katastrofie.

Mimo że del 'Aqua wypłynął zaraz po otrzymaniu tej wiadomości, w pośpiechu załatwiwszy listy uwierzytelniające od wicekróla Goi, to do Makau dotarł po paru miesiącach, by dowiedzieć się tam, że da Cunha zmarł, jemu zaś i reszcie ojców nie wolno pod karą śmierci wjeżdżać do Japonii .

Muszkiety jednak przepadły.

W dziesięć tygodni potem nadeszły wieści, że nie wyrugowano Kościoła z Japonii i że taikō nie wprowadził swoich nowych praw w życie. Spalono jedynie pół setki świątyń. I zniszczono tylko Takayamę. Przedostała się też wiadomość, że dekrety taikō będą nadal oficjalnie obowiązywały, niemniej gotów jest on pozostawić wszystko, tak jak było, z tym że ojcowie będą nawracali znacznie dyskretniej, nawróceni zachowywali powściągliwiej i stosowniej i położy się kres krzykliwemu, publicznemu uprawianiu kultu, demonstracjom i paleniu buddyjskich świątyń przez religijnych zagorzalców.

I wówczas, gdy zdawało się, że ta ciężka próba dobiega końca, a opieczętowane przez da Cunhę muszkiety wypłynęły, o ile było wiadomo ojcu wizytatorowi z Japonii, wyszło na jaw, iż nadal spoczywają w składach jezuitów w Nagasaki.

Po kolejnych tygodniach śmiertelnych udręk broń przeschmuglowano potajemnie z powrotem do

Makau, tym razem opieczętowaną przeze mnie, przypomniał sobie ojciec wizytator, mając nadzieję, że pogrzebał tę tajemnicę na zawsze. Ale tajemnice te nigdy nie dadzą ci spokoju, choćbyś nie wiem jak tego pragnął lub się o to modlił.

Ile wie ten heretyk?

Przez ponad godzinę jego eminencja siedział nieruchomo w skórzanym fotelu z wysokim oparciem i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w ogień. Alvito czekał cierpliwie przy szafie bibliotecznej, siedząc z dłońmi ułożonymi na kolanach. Słoneczne promienie tańczyły po srebrnym krzyżu na ścianie za plecami ojca wizytatora. Na ścianie bocznej wisiał mały obraz olejny weneckiego malarza Tycjana, który del 'Aqua kupił w młodości w Padwie, dokąd ojciec wysłał go na studia prawnicze. Przeciwległą ścianę zajmowały liczne egzemplarze Biblii i książki po łacinie, portugalsku, włosku i hiszpańsku. A ponadto dwie półki książek i broszur wydrukowanych po japońsku w Nagasaki na własnej, przywiezionej takim kosztem przed dziesięcioma laty z Goi, przenośnej prasie Towarzystwa, dzieł dewocjonalnych i katechizmów, z takim trudem przełożonych na japoński przez jezuitów, a także z japońskiego na łacinę, żeby dopomóc nawróconym w nauce tego języka, wreszcie dwie malutkie bezcenne książeczki: gramatyka portugalsko-japońska, dzieło życia ojca Sancho Alvareza, wydrukowana sześć lat temu, oraz jej drugi tom - niewiarygodny słownik portugalsko-łacińsko-japoński, wydrukowany w zeszłym roku, zarówno w alfabecie łacińskim, jak i piśmie hiragana. Zaczęto go sporządzać na jego polecenie przed dwudziestoma laty - pierwszy w historii zebrany w słownik zbiór japońskich wyrazów.

Ojciec Alvito wziął słownik i pogładził go czule. Wiedział, że jest to wybitne dzieło sztuki.

Przez osiemnaście lat sam tworzył podobne i wciąż jeszcze daleko było do ukończenia. Ale w jego słowniku miały być podane objaśnienia i miał on być znacznie bardziej szczegółowy - stanowiąc nieomal wprowadzenie do wiedzy o Japonii i Japończykach, stąd też bez zbytej próżności wiedział, że jeżeli zdoła go ukończyć, będzie to dzieło sztuki porównywalne z pracą ojca Alvareza, jego nazwisko zaś będzie pamiętane dzięki tej książce oraz ojcu wizytatorowi, jednemu ojcu, jakiego znał w życiu.

- Chcesz wyjechać z Portugalii, synu, i poświęcić się służbie Bogu? - spytał go ten olbrzymi jezuita w dniu, kiedy się poznali.

- O tak, proszę, ojcze - odpowiedział pożerany rozpaczliwym pragnieniem, zadzierając głowę.

- Ile masz lat, synu?

- Nie wiem, ojcze, może dziesięć, może jedenaście, ale umiem czytać i pisać, nauczył mnie tego ten ksiądz, a jestem sam na świecie, nie mam nikogo, jestem niczyj. .

Del 'Aqua zabrał go do Goi, a stamtąd do Nagasaki, gdzie jako najmłodszy Europejczyk w Azji wstąpił do seminarium Towarzystwa Jezusowego, nareszcie gdzieś przynależąc. A potem przyszedł

cud w postaci daru do języków i zaufanych stanowisk tłumacza oraz doradcy handlowego, najpierw u Harimy Tadao, daimyō lenna Hizen na Kiusiu, gdzie leżało Nagasaki, a po pewnym czasie doradcy

samego taikō. Został wyświęcony na księdza, a później otrzymał nawet przywilej złożenia czwartego ślubu zakonnego. Było to specjalne ślubowanie, składane oprócz ślubów ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, do którego dopuszczano jedynie jezuicką elitę - ślubowanie posłuszeństwa samemu papieżowi - że będzie się jego osobistym narzędziem w Dziele Bożym, że pojedzie się wszędzie, gdzie papież rozkaże, że zrobi się wszystko, czego osobiście zażąda, i że wzorem założyciela Towarzystwa, baskijskiego żołnierza Loyoli, stanie się jednym z Regimini Militantis Ecclesiae, jednym z zaprzysiężonych, osobistych zawodowych żołnierzy Pana, służących Jego wybranemu przywódcy na Ziemi, Namiestnikowi Chrystusa.

Miałem ogromne szczęście, pomyślał Alvito. O Boże, spraw, abym mógł pomagać.

Wreszcie del 'Aqua wstał, rozprostował ramiona i podszedł do okna. Słońce skrzyło się w połączonych dachówkach strzelistej głównej wieży zamku, której elegancja przeczyła jej potędze.

Wieża zła, pomyślał. Jak długo jeszcze będzie tutaj stała, żeby przypominać nam wszystkim o przeszłości? Zaledwie piętnaście. . nie, siedemnaście lat temu taikō zaprzęął do budowy i wykopów czterysta tysięcy ludzi, za cenę wzniesienia sobie pomnika wycisnął kraj jak cytrynę i po upływie dwóch krótkich lat zamek w Osace został ukończony. Niesamowity człowiek! Niesamowity naród!

Tak. No i zamek stoi, niezniszczalny. Chyba że dotknie go palec boży. Pan może go powalić w jednej chwili, jeśli zechce. O Boże, dopomóż mi w wypełnieniu Twojej woli.

- Cóż, Martinie. Zdaje się, że czeka nas praca. - Del 'Aqua zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, a głos znów miał tak pewny, jak kroki. - Co do angielskiego pilota. . jeżeli go nie ochronimy, to go zabiją, przez co narazimy się na niełaskę Toranagi. Jeżeli go ochronimy, wkrótce sam ukręci sobie sznur na szyję. Ale czy ośmielimy się czekać? Jego obecność jest dla nas groźna, a trudno przewidzieć, ile złego nam jeszcze wyrządzi, zanim to szczęśliwie nastąpi. A może dopomóc Toranadze w pozbyciu się go? Czy też wreszcie go nawrócić?

Alvito zamrugał oczami.

- Słucham?

Jest inteligentny, świetnie zna katolicyzm. Czyż większość Anglików nie jest tak naprawdę z duszy katolicka? Jeżeli ich król bądź królowa są katolikami, to owszem, a nie, kiedy ona lub on są protestantami. Anglicy nie przejmują się religią. W tej chwili zagorzale nas zwalczają, ale czy nie z powodu Armady? Może Blackthorne'a uda się nawrócić. Byłoby to idealne rozwiązanie, na chwałę Naszego Pana, i uratowałoby jego heretycką duszę od potępienia, do którego niechybnie zmierza. .

Po wtóre, Toranaga. Damy mu mapy, których żąda. Wytlumaczmy „strefy wpływów”. Czy nie po to właśnie wyznaczono te linie podziału, żeby oddzielić wpływy Portugalczyków i naszych hiszpańskich przyjaciół? Si, e vero! Przekaż mu, że w pozostałych ważnych kwestiach będę miał osobisty zaszczyt opracować je dla niego i dostarczyć najszybciej, jak zdołam. Ponieważ muszę sprawdzić w Makau fakty, czy zgodzi się z łaski swojej na uzasadnioną zwłokę? I jednym tchem dodaj, że z radością zawiadamiasz go, iż Czarna Karawela wypłynie trzy tygodnie wcześniej, z największym do tej pory ładunkiem jedwabiów i złota, że nasza część i wszystkie nasze towary oraz. . - zastanawiał

się chwilę - oraz przynajmniej trzydzieści procent tego ładunku zostanie sprzedane przez pośrednika, którego sam wyznaczy.

- Eminencjo, generałowi-gubernatorowi nie spodoba się pomysł wypłynięcia wcześniej, nie spodoba się. .

- Sprawę załatwienia u Toranagi zezwolenia na natychmiastowe odpłynięcie Ferriery pozostawiam tobie. Idź zaraz do niego z moją odpowiedzią. Zaimponuj mu naszą sprawnością w działaniu, czyż nie należy ona do tych rzeczy, które podziwia? Jeżeli Ferriera dostanie pozwolenie na natychmiastowe odpłynięcie, to ustąpi w drugorzędnej kwestii przybycia tutaj o tej porze roku, co zaś do pośrednika, to jaką różnicę generałowi-gubernatorowi robi taki tubylec czy inny? I tak dostanie swój procent.

- Ale panowie Onoshi, Kiyama i Harima zwykle dzielą się pośrednictwem w sprzedaży towarów pomiędzy sobą. Nie wiem, czy się na to zgodzą.

- No, to rozwiąż ten problem. Toranaga zgodzi się zaczekać w zamian za ustępstwa. A jedyne ustępstwa, na których mu zależy, dotyczą władzy, wpływów i pieniędzy. Co możemy mu dać? Nie możemy mu dostarczyć chrześcijańskich daimyō. My. .

- Jeszcze nie - przyznał Alvito.

- Nawet gdybyśmy mogli, to nie jestem przekonany, czy powinniśmy to zrobić, czybyśmy to zrobili. Onoshi i Kiyama są zawziętymi wrogami, ale połączyli się przeciwko Toranadze, ponieważ uważają, że jeśli uzyska władzę nad Radą, zniszczy Kościół, a także ich.

- Toranaga poprze Kościół. Naszym prawdziwym wrogiem jest Ishido.

- Nie podzielam twojej pewności, Martinie. Nie wolno nam zapominać, że ponieważ Onoshi i Kiyama są chrześcijanami, to są nimi również dziesiątki tysięcy ich popleczników. Nie możemy ich sobie zrażać. Jedyne ustępstwem, na jakie nam wolno” pójść względem Toranagi, jest ustępstwo w handlu. On gorąco popiera handel, ale nie zdobył się na to, żeby zająć się nim osobiście. Tak więc ustępstwo, które proponuję, może go skłonić do wyrażenia zgody na tę zwłokę, którą być może uda nam się odwlec w nieskończoność. Wiesz przecież, jak Japończycy lubią takie rozwiązania. . Wielki kij wisi w powietrzu, a obie strony udają, że go wcale nie ma, prawda?

- Moim zdaniem, zwrócenie się panów Onoshiego i Kiyamy przeciwko Toranadze właśnie teraz jest krokiem politycznie nierozważnym. Powinni mieć na względzie stare powiedzenie, które każe pozostawiać sobie otwartą furtkę, prawda? Mogę im poradzić, żeby zaproponowali panu Toranadze dwadzieścia pięć procent, tak że każdemu przypadłoby równo, co byłoby niewielką ceną za osłabienie ciosu, jakim było dla niego „czasowe” opowiedzenie się przez nich po stronie Ishido.

- Ale wówczas Ishido przestanie im ufać, a nas, na wieść o tym, znenawidzi jeszcze bardziej.

- Ishido i tak już nas bezgranicznie nienawidzi. Ufa im w takim samym stopniu, jak oni jemu, a przecież nie wiemy jeszcze, dlaczego przeszli na jego stronę. Mając zgodę Onoshiego i Kiyamy, oficjalnie wystąpilibyśmy z tą propozycją w taki sposób, jakby naszym wyłącznym zamiarem było

zachowanie bezstronności w sporze pomiędzy Ishido a Toranaga. Poufnie możemy zawiadomić Toranagę o ich wielkodusznym goście.

Del 'Aqua rozważył zalety i wady tego planu.

- Doskonale - rzekł po chwili. - Załatw to. A teraz, co do tego heretyka. . Wręcz dziś panu Toranadze jego ruty. Wróć do niego natychmiast. Powiedz mu, że te ruty przesłano nam potajemnie.

- Jak wyjaśnię zwłokę w przekazaniu ich?

Nie wyjaśnisz. Po prostu powiesz prawdę: że przywiózł je Rodrigues, ale że nikt z nas nie miał

pojęcia, że w zapieczętowanym pakiecie są te zaginione ruty. I rzeczywiście, nie otwieraliśmy go przez dwa dni. Prawdę mówiąc, nie pamiętaliśmy o nich, bo byliśmy przejęci tym heretykiem. Ruty te są dowodem, że Blackthorne jest piratem, złodziejem i zdrajcą. Jego „własne słowa pogrążą go na dobre, co jest niewątpliwym znakiem sprawiedliwości Bożej. Powiedz Toranadze prawdę: że Mura, zgodnie z rzeczywistością, przekazał je ojcu Sebastio, który wysłał je nam w przekonaniu, że będziemy wiedzieli, co z nimi zrobić. To oczyszcza Murę, ojca Sebastio, wszystkich. Powinniśmy zawiadomić Murę przez gołębia pocztowego, co zaszło. Jestem pewien, że Toranaga zrozumie, iż przedłożyliśmy jego interesy nad interesy Yabu. Czy on wie, że Yabu zawarł układ z Ishido?

- Moim zdaniem, wie na pewno, eminencjo. Ale krąży plotka, że Yabu i Toranaga zaprzyjaźnili się ze sobą.

- Ja nie ufałbym temu pomiotowi szatana.

- Toranaga z pewnością mu nie ufa. Tylko na tyle, na ile Yabu rzeczywiście zaangażował się po jego stronie.

Rozmowę zakłóciła im nagła sprzeczka za drzwiami. Otworzyły się one i do pokoju wtargnął bosy mnich w kapturze, odtrącając ojca Soldiego.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus - wychrypiał złowrogim głosem. - Może odpuści wam wasze grzechy.

- Brat Perez. . Co brat tutaj robi?! - wybuchnął del 'Aqua.

- Wróciłem do tego chlewu, żeby znów głosić poganom Słowo Boże.

- Ale bratu na mocy Dekretu za podżeganie do buntu nie wolno pod karą śmierci wracać tutaj.

Cudem uniknął brat męczeństwa w Nagasaki i nakazano mu. .

- Tak chciał Pan Bóg, a parszywe pogańskie dekryty jakiegoś zmarłego wariata mnie nie dotyczą - odparł mnich, niski, chudy Hiszpan ze zmierzwioną brodą. - Jestem tu, żeby kontynuować Dzieło Boże. - Zerknął na ojca Alvito. - Jak tam handel, ojczy?

- Na szczęście dla Hiszpanii, doskonale - odparł lodowatym tonem Al vi to.

- Ja nie spędzam czasu w kantorach, ojczy. Ja go spędzam z moją trzodą.

- To chwalebne - rzekł ostro del 'Aqua. - Ale niechże brat spędza go tam, gdzie nakazał

Ojciec Święty - nie w Japonii. Ta prowincja należy wyłącznie do nas. A poza tym jest terytorium portugalskim, nie hiszpańskim. Czy mam bratu przypominać, że trzej Ojcowie Święci nakazali wszystkim zakonom oprócz naszego opuścić Japonię? A król Filip nakazał to samo.

- Szkoda każdego słowa, eminencjo, Dzieło Boże jest ważniejsze od ziemskich nakazów.

Wróciłem, otworzę drzwi świątyń i będę błagał tłumy, żeby powstały przeciwko bezbożnikom!

- Ile razy trzeba brata ostrzegać? Nie może brat traktować Japonii jak protektoratu Inków zamieszkanego przez dzikusów z dżungli, którzy nie mają zarówno historii, jak kultury. Zabraniam bratu wygłaszania kazań i nalegam, by wypełniał brat polecenia Ojca Świętego.

- Nawrócimy tych pogan. Posłuchaj, eminencjo, w Manili czeka na statki płynące tutaj jeszcze stu moich braci, samych porządnych Hiszpanów, a także mnóstwo naszych wspaniałych konkwistadorów, żeby nas bronili, gdy zajdzie potrzeba. Będziemy publicznie wygłaszać kazania i publicznie chodzić w naszych habitach, nie zaś przemykać ukradkiem w bałwochwalczych jedwabnych koszulach tak jak jezuici!

- Nie wolno prowokować tutejszych władz, bo inaczej unicestwicie nasz Kościół Macierzysty!

- A ja mówię eminencji w oczy, że wracamy do Japonii i w niej pozostaniemy. Będziemy głosili Słowo Boże na przekór wam. . na przekór wszelkim prałatom, biskupom, królom, a nawet papieżom, na chwałę Pana!

Mnich zatrzęsął za sobą drzwi.

Spąsowiwały z gniewu del 'Aqua nalał sobie kieliszek madery. Trochę wina rozlało się po wypolerowanej powierzchni biurka.

- Ci Hiszpanie wszystkich nas zniszczą. - Del 'Aqua pił wolno, starając się opanować. Po dłuższej chwili rzekł: - Martinie, poślij paru naszych, żeby mieli na niego oko. I lepiej natychmiast ostrzeż Kiyamę i Onoshiego. Nie wiadomo, co się może stać, jeżeli ten głupiec zacznie się popisywać publicznie.

- Tak, eminencjo - odparł Alvito. Przy drzwiach zatrzymał się, niezdecydowany. - Najpierw Blackthorne, a teraz Perez. To za dużo jak na przypadek. Może Hiszpanie w Manili wiedzieli o Blackthornie i pozwolili mu przypląnąć tu tylko po to, żeby nam dokuczyć?

- Możliwe, ale najpewniej nie. - Del 'Aqua dopił wino i starannie odstawił kielich. - W każdym razie z pomocą Bożą i dzięki naszej pilności żadnemu z nich nie pozwolimy skrzywdzić naszego Świętego Kościoła. . bez względu na cenę.

- Bodajbym był przeklętym Hiszpanem, jeżeli to nie jest życie! Rozanielony Blackthorne z głową wspartą na rękach spoczywał na brzuchu na grubych futonach, częściowo okryty bawełnianym kimonem. Dziewczyna przesuwiała dłońmi po jego plecach, niekiedy wnikając dotykiem w mięśnie, przynosząc ulgę skórze i duchowi i wzbudzając w nim nieomal chęć do mruczenia z rozkoszy. Inna dziewczyna zajmowała się nalewaniem sake do malutkiej czarkei. Trzecia czekała w odwodzie z tacą z laki, bambusowym koszykiem pełnym dobrze wysmażonych po portugalsku ryb, jeszcze jedną flaszką sake oraz pałeczkami.

- Nan desu ka, Anjin-san? (O co chodzi, szanowny pilocie - co powiedziałeś?)

- Nie potrafię tego powiedzieć w Nihon-go, Rako-san. - Blackthorne uśmiechnął się do Japonki, która podała mu sake. Zamiast odpowiedzieć, wskazał czarkeę. - Jak się to nazywa? Namae ka?

- Sabazuki. - Wypowiedziała to słowo trzykrotnie, a on je powtórzył, potem zaś druga dziewczyna, Asa, poczęstowała go rybą, na co pokręcił głową. - Iye, Dōmo.

Nie wiedział, jak powiedzieć „Już się najadłem”, więc zamiast tego użył wyrażenia „już niegłodny”.

- Ah! Ima hara hette wa oranu - wyjaśniła Asa, poprawiając go.

Powtórzył to zdanie kilka razy, rozśmieszając wszystkie swoją wymową, ale w końcu wypowiedział je poprawnie.

Nigdy nie opanuję tego języka, pomyślał. Jego dźwięki nie mają odpowiedników w angielskim, ani nawet w łacinie czy portugalskim.

- Anjin-san! - powiedziała Asa, znowu wysuwając w jego stronę tacę.

Potrząsnął przecząco głową i z powagą dotknął dłonią żołądka. Ale sake przyjął i wypił.

Masująca mu plecy Sono przestała to robić, więc wziął jej rękę, położył ją sobie na karku i wydał z siebie pomruk rozkoszy. Natychmiast zrozumiała i zaczęła go masować.

Ileć dopijał małą czarkeę, zaraz mu ją napełniano. Lepiej uważaj, ostrzegł się, to już trzecia flaszką, a palce u nóg już ci się rozgrzały.

Trójka dziewcząt, Asa, Sono i Rako, zjawiała się o świcie, przynosząc cha, którą Chińczycy, jak powiedział mu brat Domingo, nazywali niekiedy t'i, a była ona narodowym napojem Japoni i Chin. Po potyczce z zabójcą spał niespokojnie, ale gorący napój o pikantnym smaku zaczął go odświeżać.

Japonki przyniosły mu małe, zwinięte, gorące, lekko naperfumowane ręczniki. Ponieważ nie zorientował się, do czego służą, zarządzająca dziewczętami Rako pokazała mu, jak ich użyć do twarzy i rąk.

A potem pod strażą czterech samurajów zaprowadziły go do parującej łaźni na drugim końcu tej części zamku i przekazały łaźniernym. Czterech strażników pociło się ze stoickim spokojem, podczas gdy jego kąpano, strzyżono mu brodę, myto włosy i masowano.

Po tych wszystkich zabiegach poczuł się cudownie odświeżony. Dano mu nowe, sięgające kolan kimono, parę nowych tabi, dziewczęta zaś znów na niego czekały. Zaprowadziły go do innego pokoju, w którym zastał Kiri i Mariko. Mariko oznajmiła, że pan Toranaga postanowił wysłać za kilka dni Anjin-sana do jednej ze swoich prowincji, żeby doszedł do sił, że jest z niego bardzo zadowolony i że Anjin-san nie musi się już o nic troskać, gdyż bierze go pod swoją osobistą opiekę. Spytała też, czy Blackthorne mógłby przystąpić do sporządzania map za pomocą przyborów i materiałów, które mu dostarczy. Wkrótce nastąpią dalsze spotkania z jej panem, pan zaś przyrzekł, że niedługo będzie mogła odpowiedzieć na wszystkie pytania pilota. Panu Toranadze bardzo zależałoby, żeby Blackthorne poznał Japończyków, on sam zaś bardzo pragnąłby posłuchać o świecie zewnętrznym, o żegludze i o tajemnicach morza. A potem Blackthorne'a zaprowadzono do lekarza. W przeciwieństwie do samurajów lekarze nosili włosy krótko ostrzyżone, bez warkocza.

Blackthorne nie znosił lekarzy i bał się ich. Ale ten lekarz był inny. Delikatny i niewiarygodnie czysty. W Europie lekarzami byli przeważnie balwierze i nieokrzesanci, równie zawszeni i brudni jak wszyscy. Ten lekarz zaś dotykał go ostrożnie, oględzin dokonał uprzejmie, przytrzymał mu rękę badając puls, zajrzał w oczy, do ust i do uszu, lekko ostukał mu plecy, kolana i podeszwy stóp, a jego dotyk i sposób zachowania uspokajały. Europejski lekarz chciał tylko obejrzeć twój język, pytał

„gdzie boli?”, puszczał krew, żeby usunąć z niej nieczystości, i dawał pacjentowi środek na silne wymioty, żeby oczyścić mu kiszki.

Blackthorne nienawidził puszczenia krwi i przeczyszczania kiszek, za każdym razem coraz bardziej. Ale ten lekarz nie miał skalpeli, miednicy do puszczenia krwi i nie cuchnął chemikaliami, których zapach zazwyczaj spowijał medyków, tak więc serce zaczęło mu bić wolniej i trochę się uspokoił.

Palce lekarza dotykały badawczo szram na jego udzie. Blackthorne wydał głos naśladujący strzał, ponieważ wiele lat temu ciało przeszła mu w tym miejscu kula z muszkietu.

- Ah so desu - rzekł na to lekarz i skinął głową.

Jeszcze trochę badawczego, głęboko penetrującego ciało, lecz bezbolesnego obmacywania lędźwi i żołądka, a potem, po dłuższej chwili, Japończyk przemówił do Rako, ta zaś skinęła głową, ukloniła mu się i podziękowała.

- Ichi ban? - spytał Blackthorne, chcąc wiedzieć, czy wszystko jest w porządku.

- Hai, Anjin-san.

- Honto ka?

- Honto.

Co za przydatne słowo to „honto” - „czy to prawda?” Tak, prawda, pomyślał.

- Dōmo, doktor-san - powiedział.

- Do itashimashite (Proszę bardzo, nie ma za co) - odparł z ukłonem lekarz.

Blackthorne odkłonił mu się. Dziewczęta odprowadziły go i dopiero kiedy rozwiązawszy kimono ułożył się na futonach, a Sono zaczęła mu delikatnie masować plecy, zdał sobie sprawę, że przy lekarzu siedział nagi w obecności Japoniek oraz samurajów i że nie myślał o tym ani się tego nie wstydził.

- Nan desu ka, Anjin-san? (O co chodzi, szanowny pilocie? Czemu się śmiejesz?) - spytała Rako. Jej białe zęby błyszczały, a w miejscu brwi miała wymalowaną półkolistą kreskę. Czarne włosy nosiła upięte wysoko, a jej różowe kwieciste kimono było przewiązane szarozielonym obi.

- Bo jestem szczęśliwy, Rako-san. Ale jak ci to powiedzieć? Jak mam ci powiedzieć, że się śmiałem, bo jestem szczęśliwy i po raz pierwszy, odkąd wyjechałem z kraju, uwolniłem się od trosk.

Bo moje plecy czują się cudownie, bo cały czuję się cudownie. Bo mam posłuchanie u Toranagi-samy, oddałem trzy potężne burtowe salwy w tych przeklętych jezuitów i jeszcze sześć w tych zapowietrzonych Portugalczyków! - odparł, a potem skoczył na równe nogi, ściśle zawiązał kimono i puścił się w beztroskie skoczne tany, śpiewając sobie do taktu marynarską szantę.

Rako i inne dziewczyny zamarły w oczekiwaniu. W tej samej chwili odsunęły się drzwi shoji i pojawili się w nich samuraje, również wytrzeszczając oczy. Blackthorne tańczył i śpiewał pełnym głosem, aż wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, parsknął śmiechem i upadł na podłogę. Japonki klaskały, a Rako próbowała naśladować go, lecz bez najmniejszego powodzenia, bo powłóczyście kimono krępowało jej ruchy. Pozostałe Japonki wstały i namówiły go, żeby im pokazał, jak to robi, więc spróbował, a dziewczyny z podkasanymi kimonami stały w szeregu, przyglądając się jego stopom. Ale nie potrafiły zatańczyć, tak więc wkrótce zaczęły szczebiotać pomiędzy sobą, chichotać i wachlować się.

Nagle strażnicy spowaźnieli i nisko się pokłonili. W drzwiach stanął Toranaga z Mariko i Kiri u boku oraz z nie odstępującymi go samurajami ze straży. Dziewczyny uklęknęły, kładąc dłonie płasko na podłodze, i złożyły pokłon, ale z ich twarzy nie zniknął śmiech i nie było na nich śladu strachu.

Blackthorne również grzecznie się uklonił, ale nie tak nisko jak kobiety.

- Konnichi wa, Toranaga-sama - powiedział.

- Konnichi wa, Anjin-san - odparł Toranaga i zadał jakieś pytanie.

- Mój pan pyta, co robiłeś, senhor - przełożyła Mariko.

- Po prostu tańczyłem, Mariko-san - rzekł Blackthorne, czując się głupio. - Taniec hornpipe.

To taniec marynarski, przy którym jednocześnie śpiewamy szanty - piosenki. Poczulem się

szczęśliwy. . być może dzięki sake. Przepraszam, mam nadzieję, że nie przeszkodziłem wielmożnemu panu Toranadze.

Mariko przełożyła jego odpowiedź.

- Mój pan mówi, że chciałby zobaczyć ten taniec i usłyszeć tę piosenkę.

- Teraz?

- Oczywiście, że teraz.

Toranaga natychmiast usiadł ze skrzyżowanymi nogami, a jego mała świta zajęła różne miejsca w pokoju i wszyscy z wyczekiwaniem patrzyli na Anglika.> No i widzisz, głupcze, skarcił się w duchu Blackthorne. Oto do czego doprowadzasz, kiedy przestajesz się pilnować. Teraz musisz przed nimi wystąpić, a wiesz przecież, że głos ci wysiadł i że tańczysz niezdarnie.

Mimo to mocniej zawiązał kimono i z werwą puścił się w tany, obracając się, wyrzucając nogi w górę, wirując, podskakując i śpiewając gromkim głosem.

Zapadła cisza.

- Mój pan mówi, że czegoś takiego jeszcze nie oglądał.

- Arigato goziemashita! - odparł Blackthorne, spocony trochę z wysiłku, a trochę z zakłopotania.

I wówczas Toranaga odłożył swoje miecze, zatknął kimono wysoko za pas i stanął przy Blackthornie.

- Pan Toranaga zatańczy twój taniec - oznajmiła Mariko.

- Słucham?

- Prosi, żebyś go nauczył.

Tak więc Blackthorne zabrał się do dzieła. Zademontrował pod stawowy krok, po czym powtórzył go raz i drugi. Toranaga szybko go opanował. Na Blackthornie spore wrażenie zrobiła zwinność tego starszego mężczyzny z pękatym brzuchem i dużymi pośladkami.

Puścił się w tany i zaśpiewał, Toranaga zaś przyłączył się do niego, z początku niepewnie, zachęcany okrzykami patrzących. A potem daimyō zrzucił kimono, skrzyżował ręce na piersi i z werwą równą werwie Anglika zaczął tańczyć przy jego boku. Blackthorne również zrzucił kimono” a potem śpiewając jeszcze głośniej wzmocnił tempo, niemal przytłoczony groteskowością tego, co robią, ale i porwany humorem sytuacji.” Wreszcie wykonał skomplikowany pływ i zatrzymał się.

Klasnął w dłonie, uklonił się Toranadze, a potem wszyscy zaczęli klaskać swojemu bardzo uszczęśliwionemu panu.

Toranaga usiadł pośrodku pokoju, oddychając swobodnie. Rako natychmiast pośpieszyła ku niemu z

wachlarzem, a inne służące po jego kimono. Ale Toranaga pchnął swoje kimono w kierunku Blackthorne'a i zamiast niego wziął proste bawełniane kimono Anglika.

- Mój pan mówi, że sprawiłoby mu przyjemność, gdybyś przyjął je w darze - przełożyła Mariko i dodała: - W Japonii otrzymanie od swojego feudalnego pana nawet bardzo starego kimona jest poczytywane za ogromny zaszczyt.

Arigato goziemashita, Toranaga-sama. - Blackthorne uklonił się nisko, a potem zwrócił się do Mariko: - Tak, rozumiem, jaki zaszczyt mi czyni, Mariko-san. Podziękuj, proszę, panu Toranadze w odpowiednich słowach, czego ja jeszcze, niestety, zrobić nie umiem, i powiedz mu, że ogromnie to sobie cenię, a w jeszcze większym nawet stopniu zaszczyt, jaki wyświadczył mi tańcząc ze mną taniec.

Toranaga ucieszył się jeszcze bardziej.

Kiri i służące z szacunkiem ubrały Blackthorne'a w kimono ich pana i pokazały mu, jak zawiązać pas. Kimono było z brązowego jedwabiu z pięcioma czerwonymi godłami, a pas z białego.

- Pan Toranaga mówi, że ubawił się twoim tańcem. Kiedyś być może pokaże ci kilka naszych.

Chciałby, żebyś jak najszybciej nauczył się mówić po japońsku.

- Ja również - odparł Blackthorne. A jeszcze bardziej, pomyślał, założyć własne ubranie, jeść własną strawę, we własnej kabinie na moim statku z nabitymi działami, za pasem mieć pistolety, a pod stopami pokład rufowy pochylony pod naporem pełnych żagli. - Czy możesz spytać pana Toranagę, kiedy odzyskam swój statek?

- Słucham, senhor?

- Mój statek, senhora. Proszę, spytaj go, kiedy odzyskam mój statek. I moją załogę. Zabrano z niego cały ładunek, w skarbcu było sto sześćdziesiąt tysięcy monet. Z pewnością zrozumie, że jesteśmy kupcami, i chociaż doceniamy jego gościnność, to chcielibyśmy sprzedać towary, które przywieźliśmy, i odpłynąć do kraju. Podróż do ojczyzny zajmie nam blisko osiemnaście miesięcy.

- Mój pan mówi, że nie musisz się o to martwić. Wszystko będzie załatwione najszybciej jak można. Najpierw musisz wrócić do sił i zdrowia. Wyjeżdżasz o zachodzie słońca.

- Słucham, senhora?

- Pan Toranaga powiedział, że wyjeżdżasz o zachodzie słońca, senhor. Czy źle to powiedziałam?

- Nie, nie, wcale nie, Mariko-san. Ale mniej więcej godzinę temu powiedziałaś, że wyjadę za kilka dni.

- Tak, ale teraz pan Toranaga mówi, że wyjeżdżasz dziś wieczorem.

Przełożyła tę wymianę zdań Toranadze, który znowu odpowiedział.

- Mój pan mówi, że lepiej i dogodniej będzie, jeśli wyjedziesz dziś. Nie musisz się o nic martwić, Anjin-san, jesteś pod jego osobistą pieczęcią. Posyła panią Kiritsubo do Edo, żeby przygotowała wszystko na jego powrót. Pojedziesz z nią.

- Proszę, podziękuj, mu ode mnie. Czy to możliwe. . wolno mi spytać, czy możliwe będzie uwolnienie brata Domingo? Ten człowiek ma ogromną wiedzę.

Mariko przełożyła jego słowa. - Mój pan mówi, że to bardzo przykre, ale ten człowiek zmarł.

Po słał po niego natychmiast, kiedy wczoraj o to poprosiłeś, ale już nie żył.

Blackthorne stropił się. - Jak umarł? - spytał.

- Mój pan mówi, że umarł, kiedy wywołano jego imię.

- Ach! Biedaczysko.

- Mój pan mówi, że śmierć i życie to to samo. Dusza tego księdza zaczeka aż do czterdziestego dnia, a potem znowu się odrodzi. Po co się smucić? To niezmiennne prawo przyrody. -

Zaczęła jakieś zdanie, ale rozmyśliła się i dodała tylko: - Buddyści wierzą, że rodzimy się bądź odradzamy wiele razy, Anjin-san. Aż w końcu stajemy się doskonali i osiągamy nirwanę - niebo.

Blackthorne odłożył na bok smutek, skupiając się na Toranadze i terażniejszości.'

- A wolno mi spytać, czy moja załoga. . - Urwał, bo Toranaga odwrócił wzrok.

Do pokoju wszedł spieszenie młody samuraj, pokłonił się Toranadze i zaczął.

- Nan ja? - spytał Toranaga.

Blackthorne nie zrozumiał z wymiany zdań pomiędzy nimi nic oprócz, jak mu się zdawało, przydomka ojca Alvito „Tsukku”. Zobaczył, że Toranaga obrzuca go spojrzeniem, spostrzegł jego słabutki uśmiezek i zadał sobie pytanie, czy daimyō posłał po jezuitę z powodu tego, co od niego usłyszał. Liczę na to, pomyślał, liczę również, że Alvito pogrzyżył się po sam nos. Pogrzyżył się czy nie?

Postanowił nie pytać o to Toranagi, choć ogromnie go kusiło.

- Karę ni matsu yoni - rzekł krótko Toranaga.

- Gyo! - odparł samuraj, pokłonił mu się i spieszenie wyszedł.

- Nan ja, Anjin-san? - spytał Toranaga, ponownie zwracając się do niego.

- O czym to mówiłeś, kapitanie? - spytała Mariko. - O twojej załodze?

- Tak. Czy Toranaga-sama może otoczyć swoją opieką także ich? Dopilnować, żeby o nich dobrze

dbano? Czy oni również zostaną wysłani do Edo?

Zapytała o to Toranagę, Daimyō zatknął miecze za pas, którym obwiązane miał krótkie kimono.

- Mój pan mówi, że oczywiście, że już się tym zajęto. Nie musisz się wcale o nich martwić.

Ani o swój statek.

- Zajęto się moim statkiem?

- Tak. Mówi, że ten statek jest już w Edo.

Toranaga wstał. Wszyscy zaczęli się kłaniać, ale Blackthorne nieoczekiwanie wtrącił:

- Jeszcze jedno.. -Urwał i przeklął się w duchu, gdyż zrozumiał, że zachował się niegrzecznie.

Toranaga najwyraźniej zakończył wizytę i kłaniający się, skonfundowani odezwaniami się Blackthorne'a, nie wiedzieli, czy dokończyć ukłonów, zaczekać czy może zabrać się do ich składania od nowa.

- Nan ja, Anjin-san? - spytał chłodno, nieprzyjaznym tonem Toranaga, bo na chwilę wyprowadziło go to z równowagi.

- Gomen nasai, przepraszam, Toranaga-sama. Nie chciałem być niegrzeczny. Chciałem tylko zapytać, czy pani Mariko wolno będzie porozmawiać ze mną kilka chwil, nim wyjadę. To by mi pomogło.

Spytała o to Toranagę.

Toranaga władczo wymruczał pozwolenie i wyszedł, a za nim Kiri i jego straż przyboczna.

Przewrażliwione dranie, wszyscy bez wyjątku, orzekł w duchu Blackthorne. Jezu Chryste, jak tu się trzeba pilnować. Otarł rękawem czoło i spostrzegł nagle strapioną minę Mariko. Rako pośpiesznie podała mu jedną z tych malutkich chusteczek, które Japonki zawsze trzymały w pogotowiu, mając ich najwyraźniej niewyczerpane zapasy, wetknięte dyskretnie gdzieś z tyłu ich obi. I wówczas uświadomił sobie, że nosi „pańskie” kimono i że ociera spocone czoło „pańskim” bez wątpienia rękawem, tak więc, Boże mój, popełnił kolejne bluźnierstwo! Nigdy się nie nauczę, nigdy -

pomyślał. - Jezu w niebiesiech, nigdy!

- Anjin-san? - odezwała się Rako, częstując go sake.

Podziękował jej i wypił wino. Natychmiast napełniła mu czarękę ponownie. Spostrzegł, że czoła wszystkich Japoniek błyszczą od potu.

- Gomen nasai - zwrócił się do wszystkich, przepraszając, wziął czarękę i zadowolony podał ją Mariko. - Nie wiem, grzecznie to czy niegrzecznie, ale czy napijesz się sake? Wolno ci? Czy też mam walić głową o podłogę?

Zaśmiała się.

- O, tak. Bardzo grzecznie, a poza tym proszę, żebyś nie rozbijał sobie głowy. Mnie nie trzeba przeproszać, kapitanie. Mężczyźni nie przepraszają kobiet. Wszystko, co robią, jest właściwe. A przynajmniej tak sądzą kobiety. - Wyjaśniła, co powiedziała, dziewczętom, te zaś z powagą skinęły głowami, ale oczy miały roześmiane. - Nie mogłeś o tym wiedzieć, Anjin-san - dodała Mariko, potem zaś pociągnęła mały łyżeczek sake i zwróciła mu czarękę. - Dziękuję, ale nie, nie wypiję więcej, dziękuję ci. Sake uderza mi prosto do głowy i kolan. Szybko się uczysz. . co musi być dla ciebie bardzo trudne. Nie martw się, Anjin-san, pan Toranaga uważa cię za wyjątkowo zdolnego.

Nigdy by ci nie podarował kimona, gdyby nie był z ciebie wyjątkowo zadowolony.

- Czy posłał po Tsukku-sana?

- Po ojca Alvito?

- Tak.

- Powinieneś być go o to spytać, kapitanie. Nie powiedział mi. W tym względzie wykazuje wielki rozsądek, bo kobiety nie znają się i nie są mądre w sprawach polityki.

- Ah, so desu ka? Chciałbym, żeby wszystkie nasze kobiety były równie. . mądre.

Kłęcząca wygodnie na podwiniętych nogach Mariko poruszyła wachlarzem.

- Twój taniec był wspaniały, Anjin-san. Czy wasze kobiety też tak tańczą?

- Nie. Tylko mężczyźni. To był męski taniec, taniec marynarski.

- Ponieważ chcesz mnie wypytywać, czy mogę spytać o coś pierwsza?

- Oczywiście.

- Jaka jest twoja pani, twoja żona?

- Ma dwadzieścia dziewięć lat. W porównaniu z tobą jest wysoka. Według naszych miar ma pięć stóp osiem cali, a ty około pięciu stóp wzrostu, a więc na pewno wyższa jest od ciebie o głowę i odpowiednio większa. . równie proporcjonalnie zbudowana. Włosy ma barwy. . - Wskazał na czyste wypolerowane cedrowe belki na suficie. Spojrzenia wszystkich powędrowały w górę, po czym znowu spoczęły na nim. - Mniej więcej takiej. Jasne z rudawym odcieniem. Długie i przeważnie rozpuszczone. A oczy niebieskie, znacznie bardziej niebieskie niż moje, niebieskozielone.

Mariko przełożyła to innym. Wszystkie wciągnęły powietrze, spojrzały na cedrowe belki i jeszcze raz na niego. Samuraje ze straży również uważnie się przysłuchiwali. Rako zadała pytanie.

- Rako-san pyta, czy jej ciało jest takie samo jak nasze ciała.

- Tak. Ale biodra ma większe i okrągłejsze, kibić zaznaczoną wyraźniej. . a ponadto nasze kobiety, cóż, mają na ogół pełniejsze kształty i znacznie większe piersi.

Czy wszystkie wasze kobiety. . i mężczyźni - są aż o tyle wyżsi od nas?

- Przeważnie tak. Ale niektórzy są tak niscy jak wy. Dla mnie wasza małość jest czarująca.

Miła dla oka.

Asa spytała o coś i zainteresowanie wszystkich szybko wzrosło.

- Asa pyta, jak w sprawach poduszkowych nasze kobiety mają się do waszych.

- Przepraszam, ale nie rozumiem. Ach, wybacz mi, proszę. W sprawach poduszkowych. . w sprawach intymnych. Mówiąc „poduszkowe” mamy na myśli fizyczny związek kobiety z mężczyzną.

To brzmi grzeczniej niż „chędożenie”, ne?

Blackthorne opanował zakłopotanie i odparł:

- Ja, hmm, miałem tutaj tylko jedno doświadczenie „poduszko we”. . a było to, hmm, w wiosce i nie pamiętam go zbyt dobrze, bo byłem, hmm, tak wyczerpany podróżą, że przeżywałem to pół na jawie, pół we śnie. Ale mam wrażenie, że, hmm, że było mi bardzo dobrze.

Mariko zmarszczyła brwi.

- A więc zaledwie raz poduszkowałeś od przyjazdu do Japonii?

- Tak.

- A więc na pewno jesteś bardzo napięty, ne? Jedna z tych dam bardzo chętnie z tobą popoduszkuje, Anjin-san. Albo i wszystkie, jeśli chcesz.

- Słucham?

- Oczywiście. Jeżeli nie chcesz żadnej z nich, nie szkodzi, na pewno się nie obrażą. Powiedz mi tylko, jaką damę chciałbyś mieć, a wszystko załatwimy.

- Dziękuję - odparł Blackthorne. - Ale nie teraz.

- Jesteś pewien? Wybacz, proszę, ale Kiritsubo-san wydała mi wyraźne polecenie, żeby chronić i polepszać twoje zdrowie. Jak możesz być zdrow bez poduszkowania? To bardzo ważne dla mężczyzny, ne? O tak, bardzo ważne.

- Dziękuję ci, ale. . może później.

Masz mnóstwo czasu. Rada wróćę później. Będzie wiele czasu na rozmowy, jeżeli sobie zażyczysz.

Masz przed sobą co najmniej cztery trociczki - poinformowała uczynnie. - Musisz wyjechać dopiero o zachodzie słońca.

- Dziękuję. Ale nie teraz - powtórzył Blackthorne, zdeprymowany aż taką szczerością i niedelikatnością propozycji.

- One naprawdę chciałyby ci wygodnie, Anjin-san. Ach! A może. . może wolałbyś chłopca?

- Co takiego?!

- Chłopca. Jeżeli tego sobie życzysz, to i z tym nie ma trudności. Uśmiech miała szczery, mówiła rzeczowo.

- Co się stało? - spytała.

- Poważnie proponujesz mi chłopca, pani?

- O, tak, Anjin-san. O co chodzi? Ja tylko powiedziałam, że gdybyś sobie życzył, to pošlemy po chłopca.

Nie życzę sobie! - Blackthorne poczuł, że do twarzy napływa mu krew. - Czyż ja wyglądam na jakiegoś przeklętego sodomitę?!

Jego słowa zabrzmiały ostro. Wszyscy w pokoju utkwili w nim wzrok. Mariko złożyła mu uniżony ukłon, głowę trzymając nisko przy podłodze.

- Wybacz mi, proszę, panie, popełniłam straszną pomyłkę - powiedziała. - Obraziłam cię, a starałam tylko zadowolić. Jeszcze nigdy nie rozmawiałam z. . z innym obcym poza świątobliwymi ojcami, a więc nie miałam skąd poznać waszych. . waszych intymnych zwyczajów. Nie uczono mnie o nich, Anjin-san. . ojcowie o nich nie mówili. Tutaj mężczyźni chcą niekiedy mieć chłopców. . z chłopców korzystają od czasu do czasu kapłani, nasi i niektórzy z waszych, z czego niemądrze wyciągnęłam wniosek, że wasze zwyczaje są takie jak nasze.

- Nie jestem kapłanem, a ten zwyczaj nie jest u nas powszechnie przyjęty.

Dowódca samurajów, Kazu Oan, przyglądał się im gniewnie. Powierzono mu odpowiedzialność za bezpieczeństwo tego barbarzyńcy i jego zdrowie, na własne oczy widział, jak niewiarygodny zaszczyt wyświadczył temu Anjinowi pan Toranaga, a teraz Anjin wściekał się. Co mu jest? -

zachodził w głowę, bo ta głupia kobieta na pewno powiedziała coś, co uraziło jego bardzo ważnego więźnia.

Mariko wyjaśniła, o czym mowa i co odpowiedział jej Anjin-san.

- Doprawdy nie rozumiem, co go tak rozdrażniło, Oan-san - powiedziała.

Oan z niedowierzaniem podrapał się w głowę.

- Wściekł się tylko dlatego, że zaproponowałaś mu chłopca, pani?

- Tak.

- Wybacz mi pytanie, ale czy byłaś wobec niego grzeczna? Może użyłaś niewłaściwego słowa?

- Och, nie, Oan-san, na pewno nie. Czuję się okropnie. Niewątpliwie ja tu zawiniłam.

- Z pewnością chodzi o coś innego. O co?

- Nie, Oan-san. Właśnie o to.

- Nigdy nie zrozumieję tych barbarzyńców - rzekł rozdrażniony Oan. - Dla naszego Wspólnego dobra uspokój go, proszę, Mariko-san. To na pewno z powodu tego, że tak długo nie poduszkowa!. Ty - rozkazał Sono - przynieś więcej sake i gorących ręczników! A ty, Rako, pomasuj temu diabłu kark.

Służące rzuciły się wypełnić polecenia.

- Zastanawiam się, czy to nie dlatego, że jest impotentem - dodał, tknięty nagłym przypuszczeniem. - Ta jego historia z poduszkowaniem w wiosce jest jakaś mętna, ne? Może biedak wścieka się, bo w ogóle nie może poduszkować, a tyś poruszyła ten temat?

- Przykro mi, ale wątpię. Lekarz powiedział, że on jest bardzo dobrze wyposażony przez naturę.

- Gdyby był impotentem, wszystko byłoby jasne, ne? Ja też bym z tego powodu wrzeszczała.

Tak jest! Spytaj go.

Mariko natychmiast wypełniła polecenie, a Oan przestraszył się, bo do twarzy barbarzyńcy znowu napłynęła krew i pokój zalał potok wstrętnej barbarzyńskiej mowy.

- On. . on powiedział „nie” - wyszeptała Mariko.

- To wszystko znaczy „nie”?

- Oni. . oni w zdenerwowaniu używają wielu opisowych przekleństw.

- Oan zaczął się pocić z niepokoju, bo to on tu odpowiadał za wszystko.. - Uspokój go! - polecił.

- Oan-san, a może on jest z tych, co lubią psy, ne? - wtrącił się, chcąc pomóc, jeden z samurajów, starszy żołnierz. - W Korei słyszeliśmy dziwne historie o Czosnkojadach. Tak, oni lubią psy i. . Tak jest, teraz sobie przypominam, lubią psy i kaczki. Może ci złotogłowi są jak Czosnkojady, bo cuchną jak oni, ne? Może on chce kaczkę?

- Spytaj go, Mariko-san! - polecił Oan. - Chociaż nie, może lepiej nie. Tylko go uspokój. . -

Urwał.

Przez drzwi w drugim końcu pokoju wszedł Hiro-matsu.

- Witaj, wielmożny panie - rzekł zwięźle Oan, starając się, by mu nie drżał głos, ponieważ Żelazna Pięść, łagodnie mówiąc” zwolennik dyscypliny, chodził przez cały zeszły tydzień jak tygrys z czyrakami na zadzie, a dzisiaj był nawet jeszcze groźniejszy. Dziesięciu samurajów zostało zdegradowanych za niechlujny wygląd, wszyscy z nocnej warty przemaszerowali w hańbiącym pochodzie przez zamek, dwóm nakazał popełnić seppuku za spóźnienie się na służbę, a czterech zbieraczy nieczystości poleciało z blanków za to, że część zawartości pojemnika rozlali do ogrodu zamkowego.

- Czy dobrze się sprawuje, Mariko-san? - dotarli do Oana gniewne słowa Żelaznej Pięści.

Był przekonany, że ta głupia kobieta, która napytała tej całej biedy, wygada prawdę, przez co z karków na pewno spadną im - i słusznie - głowy. Ku swojej uldze usłyszał jednak, jak mówi:

- Tak, panie. Wszystko w porządku, dziękuję.

- Masz rozkaz wyjechać razem z Kiritsubo-san.

- Tak, panie.

Kiedy Żelazna Pięść znikł za drzwiami, Oan podniósł głowę i wszyscy odetchnęli. Korytarzem nadbiegła Asa z sake, a tuż po niej Sono z gorącymi ręcznikami.

Przypatrywały się uważnie barbarzyńcy, któremu usługiwały. Zauważyły jego napiętą, zastygłą twarz i to, jak bez przyjemności bierze sake i chłodno dziękuje za gorące ręczniki.

- Oan-san, a może posłać którąś z nich po kaczkę? - podsunął szeptem stary samuraj. - Po prostu wpuścić ją tu. Zechce ją, to dobrze, a jak nie, to uda, że jej nie widzi.

Mariko pokręciła głową.

- Może jednak nie powinniśmy ryzykować. Zdaje się, Oan-san, że ten barbarzyńca nie ma chęci rozmawiać o poduszkowaniu, ne? Takiego jak on jeszcze tu nie było, więc musimy postępować ostrożnie.

- Słusznie - rzekł Oan. - Dopóki nie było o tym mowy, barbarzyńca zachowywał się całkiem łagodnie.

Spojrzał groźnie na Asę. .

- Przepraszam, Oan-san. Masz całkowitą rację, to wyłącznie moja wina - powiedziała natychmiast Asa, skłaniając przed nim głowę prawie do samej podłogi.

- Tak. Powiem o tym Kiritsubo-san.

- Powiesz?!

- Doprawdy uważam, że jeśli chodzi o rozmowy z tym człowiekiem o poduszkiowaniu, to trzeba naszej pani zlecić ostrożność - powiedziała dyplomatycznie Mariko. - Jesteś bardzo mądry, Oan-san. Być może jednak Asa odegrała poniekąd pożyteczną rolę, oszczędzając pani Kiritsubo, a nawet panu Toranadze, straszego zakłopotania! Pomyśl tylko, panie, co by się stało, gdyby Kiritsubo-san sama zadała mu to pytanie wczoraj w obecności pana Toranagi! Gdyby barbarzyńca zachował się tak w jego obecności. .

Oan skrzywił się.

- Polałaby się krew! Masz całkowitą rację, Mariko-san. Asie powinno się podziękować.

Wyjaśnię Kiritsubo-san, że miała szczęście.

Mariko zaproponowała Blackthorne'owi jeszcze sake.

- Nie, dziękuję - odparł.

- Jeszcze raz przepraszam za moją głupotę. Chciałeś mnie o coś spytać?

Blackthorne przyglądał się rozmawiającym Japończykom, zmartwiony, że ich nie rozumie, i wściekły, że nie może ich skłąć na czym świat stoi za ich obelgi ani też zderzyć ich ze sobą głowami.

- Tak - odparł. - Powiedziałaś, że sodomia jest tu czymś normalnym?

- Ach, wybacz mi, czy nie moglibyśmy porozmawiać o czym innym?

- Naturalnie, senhora. Ale najpierw, po to, żebym mógł was zrozumieć, skończmy ten temat.

Powiedziałaś, że sodomia jest tutaj czymś normalnym?

- Wszystko, co się wiąże z poduszkiowaniem, jest normalne - odparła wyzywająco, podrażniona jego brakiem manier i oczywistą głupotą, pamiętając, że Toranaga przykazał jej wyjaśniać wszystko, co nie dotyczy polityki, ale później zrelacjonować mu szczegółowo pytania Anglika. A ponadto, żeby nie pozwoliła Anjinowi na żadne głupstwa, bo przecież jest on barbarzyńcą, prawdopodobnie piratem i ciąży na nim wyrok śmierci, zawieszony w tej chwili z jego osobistej woli

- poduszkiowanie jest czymś całkiem normalnym. A jeżeli mężczyzna kładzie się z innym mężczyzną albo z chłopcami, to kogóż więcej to dotyczy oprócz nich? Co szkodzi to im albo innym - tobie, panie, czy mnie? Nic!

Czymże jestem, pomyślała, analfabetką i wyrzutkiem bez krzty rozumu? Głupim kupcem, dającym się zastraszyć byle barbarzyńcy? Nie. Jestem samurajką? Tak, jesteś nią, Mariko, ale jesteś też bardzo niemądra! Jesteś kobietą i jeżeli chcesz nad nim panować, to musisz go traktować jak innych mężczyzn. Kadzić mu, zgadzać się z nim i schlebiać. Zapominasz o swojej broni. Dlaczego zachowujesz się przy nim jak dwunastoletnia dziewczynka? Rozmyślnie złagodziła ton.

- Ale jeżeli myślisz. . Sodomia to grzech haniebny, zło, ohyda wyklęta przez Boga, a uprawiające ją bydłeta to najgorsze szumowiny na świecie!

Wprawdzie Blackthorne wziął górę nad Mariko, ale wciąż boleśnie odczuwał zniewagę, że w ogóle śmiała go wziąć za jednego z takich. Jak mogła to zrobić, na rany Jezusa! Opanuj się, rzekł

sobie. Gadasz jak jakiś zarazony franca fanatyczny purytański kalwin! No, a czemu to jesteś tak fanatycznie nastawiony przeciwko nim? Czy nie dlatego, że na morzu sodomici są stale obecni, że próbowała tych rzeczy większość marynarzy, bo jakże inaczej mogliby zachować zdrowe zmysły tyle miesięcy spędzając na morzu? Czy nie dlatego, że i ciebie to kusiło i że nienawidziłeś siebie za to? Czy nie dlatego, że za młodu musiałeś walczyć we własnej obronie i zabiłeś jednego z tych bydłaków, wbiłeś mu nóż w gardło, ty, dwunastolatek, a zabity był pierwszy na długiej liście tych, których uśmierciłeś?

- To grzech wyklęty przez Boga. . i całkowicie sprzeczny z prawem ludzkim i boskim!

- Ależ te chrześcijańskie określenia dotycząc pewnością innych rzeczy - zaprotestowała uszczypliwie, wbrew własnym chęciom do żywego dotknięcia jego całkowitym nieokrzesaniem. -

Grzech? A gdzie tu grzech?

- Powinnaś to wiedzieć. Jesteś katoliczką, prawda? Wychowali cię jezuiti, czy tak?

- Świątobliwy ojciec nauczył mnie mówić i pisać po łacinie i portugalsku. Nie pojmuję znaczenia, jakie przypisujesz katolicyzmowi, panie, ale jestem chrześcijanką już od blisko dziesięciu lat, a poza tym jezuiti nie mówili z nami o poduszkiowaniu. Nie czytałam waszych książek poduszkiowych, same religijne. Poduszkiowanie grzechem? Jak to możliwe? Jak cokolwiek, co sprawia człowiekowi przyjemność, może być grzechem?

- Spytaj ojca Alvito.

Chciałabym, pomyślała zagubiona. Ale nie wolno mi mówić o niczym, co zostało powiedziane, z nikim oprócz Kiri i pana Toranagi. Prosiłam Boga i Matkę Boską o pomoc, ale nie odezwali się do mnie. Wiem tylko, że odkąd przybyłeś, są same kłopoty. Ja mam same kłopoty. .

- Jeżeli to grzech, jak twierdzisz, to dlaczego tylu naszych kapłanów to robi i zawsze robiło?

Niektóre sekty buddyjskie wręcz zalecają to jako formę kultu. Czy chwila Chmur i Deszczu nie jest doznaniem najbliższym Nieba, jakie jest dostępne śmiertelnikom? Kapłani nie są źli, a przynajmniej nie wszyscy. O niektórych świątobliwych ojcach wiadomo zaś, że też lubili poduszkiować w taki sposób. Czy są źli? Pewnie, że nie. Dlaczego mieliby się pozbawiać zwykłej przyjemności, jeżeli zakazuje się im kobiet? To niedorzeczne twierdzić, że cokolwiek związane z poduszkiowaniem jest grzechem i jest wyklęte przez Boga!

- Sodomia to ohyda, sprzeczna z wszelkim prawem! Spytaj o to swojego spowiednika!

To ty sam jesteś ohydny, ty sam, główny pilocie! - chciała wykrzyknąć Mariko. Jak śmiesz być takim

prostakiem i jak możesz być takim głupcem! Sprzecznym z Bogiem, powiadasz? To niedorzeczne. Może spreczna z twoim złym bogiem. Twierdzisz, że jesteś chrześcijaninem, ale z pewnością nim nie jesteś, za to na pewno jesteś kłamcą i oszustem. Możliwe, że posiadasz nadzwyczajną wiedzę i że przebywałeś w wielu dziwnych krajach, ale nie jesteś chrześcijaninem tylko bluźniercą! Czy przysłał cię Szatan? Grzech? Co za dziwaczny pomysł!

Pieklisz się o zwyczajne sprawy i zachowujesz jak szaleniec. Zakłóciłeś spokój świątobliwym ojcom, zakłóciłeś spokój panu Toranadze, posiałeś niezgodę pomiędzy nami, zachwiałeś naszymi przekonaniem i udręczyłeś przypuszczeniami, co jest, a co nie jest prawdą. . wiedząc, że nie możemy udowodnić jej od razu.

Chcę ci powiedzieć, że pogardzam tobą i wszystkimi barbarzyńcami. O tak, otaczali mnie przez całe życie. Czyż nie darzyli nienawiścią mego ojca, ponieważ im nie ufał i otwarcie błagał

dyktatora Gorodę, by wyrzucił ich wszystkich z naszego kraju? Czy barbarzyńcy nie zatruli myśli dyktatora, tak że zaczął nienawidzić mego ojca, najbardziej oddanego mu generała, człowieka, który zrobił dla niego nawet więcej niż generał Nakamura czy pan Toranaga? Czyż to nie przez nich dyktator obraził mego ojca, doprowadzając go do obłędu i zmuszając go do zrobienia rzeczy niewyobrażalnej, czym przyczynił się do wszystkich moich cierpień?

Tak, zrobili to, a nawet więcej. Ale przynieśli też ze sobą nie mające sobie równych Słowo Boże, kiedy byłem w największej potrzebie, powróciwszy z okropnego wygnania do jeszcze bardziej okropnego życia, a ojciec wizytator wskazał mi Ścieżkę Pana, otworzył mi oczy, duszę i ochrzcił

mnie, A Ścieżka ta dała mi siłę wytrwania, wypełniła mi serce bezgranicznym spokojem, uwolniła od nieustannych cierpień i pobłogosławiła obietnicą Wiekuistego Zbawienia.

Cokolwiek więc się zdarzy, jestem w ręku Boga. O Matko Boska, udziel mi swego spokoju i dopomóż biednej grzesznicy zwyciężyć Twojego wroga.

- Przepraszam za moją niegrzeczność - powiedziała. - Masz prawo gniewać się, panie. Jestem tylko niemądrą kobietą. Zechciej mi okazać cierpliwość i wybaczyć głupotę.

Gniew Blackthorne'a w jednej chwili przygasł. Jak mężczyzna może długo gniewać się na kobietę, która otwarcie przyznaje, że się myliła, a on miał rację?

- Ja również cię przepraszam, Mariko-san - rzekł nieco udobruchany - ale u nas zarzucić komuś grzech sodomski jest największą obrazą.

A więc wszyscy jesteście dziecinni i głupi, jak również nikczemni, nieokrzesani i niewychowani, czegoż jednak można się spodziewać po barbarzyńcach, pomyślała i na pozór skruszona odparła:

- Oczywiście, że masz rację. Nie miałam na myśli niczego złego.

Wcale nie chciałam cię obrazić, Anjin-sama, zechciej więc przyjąć moje przeprosiny. O, tak

- dodała z westchnieniem, głosem tak subtelnie przymilnym, że ułagodziłaby nawet swojego męża w

jednym z jego najpodlejszych humorów. - O tak, to była wyłącznie moja wina. Bardzo przepraszam.

Słońce dotknęło horyzontu, a ojciec Alvito wciąż czekał w sali posłuchań z rutami, które ciążyły mu w rękach. A bodaj diabli Blackthorne'a, pomyślał.

- Nan ja, Tsukku-san?

Przez chwilę nie skojarzył japońskich słów, które usłyszał.

W drzwiach stał Toranaga w asyście strażników.

Spocony na plecach i twarzy Alvito uklonił mu się i opanował.

- Przepraszam za przybycie bez zaproszenia. Ja . . właśnie marzyłem na jawie. Myślałem o tym, że miałem wiele szczęścia, będąc świadkiem aż tylu wydarzeń w Japonii. Wydaje mi się, jakbym spędził całe życie tutaj i nigdzie indziej. Tylko na tym skorzystaliśmy, Tsukku-san.

Toranaga zmęczonym krokiem podszedł do podium i usiadł na zwykłej poduszce. Strażnicy bez jednego słowa otoczyli go żywym parawanem.

- Przybyłeś tu w trzecim roku Tenshō, prawda?

- Nie, wielmożny panie, w czwartym. W roku Szczura - odparł, używając japońskiego kalendarza, którego zrozumienie zabrało mu miesiące. Lata liczono tu od konkretnego roku, wybranego przez panującego cesarza. Katastrofa bądź szczęśliwe wydarzenie mogły zakończyć lub zapoczątkować epokę według jego zachcianki. Uczni dostawali polecenie, by wybrali nazwę dla nowej ery, szczególnie pomyślnego znaku ze starożytnych chińskich ksiąg, ery, która mogła trwać rok albo pięćdziesiąt lat. Tenshō znaczyło „Niebiańską Sprawiedliwość”. Poprzedni rok był rokiem ogromnej morskiej fali, kiedy to życie straciło dwieście tysięcy ludzi. Każdy zaś rok numerowano i nazywano w tym samym porządku jak kolejne godziny dnia, a więc rokiem Zająca, Smoka, Węża, Konia, Kozła, Małpy, Koguta, Psa, Świni, Szczura, Wołu i Tygrysa. Pierwszy rok ery Tenshō wypadł w roku Koguta, stąd też rok 1576 był rokiem Szczura w czwartym roku ery Tenshō.

- Wiele wydarzyło się w ciągu tych dwudziestu czterech lat, ne, stary przyjacielu?

- Tak, wielmożny panie.

- Tak. Dojście Gorody do władzy i jego śmierć. Dojście taikō do władzy i jego śmierć. A teraz?

Słowa te odbiły się echem od ścian.

- Leży to w rękach Nieskończonego - odparł Alvito, Używając określenia, które mogło oznaczać Boga, ale również i Buddę.

- Zarówno pan Goroda, jak pan taikō nie wierzyli w żadnych bogów ani w Nieskończonego.

- Czy pan Budda nie powiedział, że jest wiele ścieżek do nirwany, Wielmożny panie?

- O, Tsukku-san, mądry z ciebie człowiek. Jak ktoś tak młody może być tak mądry?

- Szczerze chciałbym, żeby to była prawda, wielmożny panie. Wówczas mógłbym być bardziej przydatny.

- Chciałeś się ze mną widzieć?

- Tak. Uznałem, że ta sprawa jest na tyle ważna, żeby przyjść bez zaproszenia.

Alvito wyjął ruty Blackthorne'a, umieścił je przed sobą i złożył wyjaśnienia, które zaproponował del'Aqua. Zobaczył, że Toranadze poważnieje twarz, i to go ucieszyło.

- Dowód, że jest piratem?

- Tak, wielmożny panie. Te ruty zawierają dosłowne rozkazy, a wśród nich takie: „Jeżeli zajdzie potrzeba, wylądować w dużej liczbie i zająć terytoria, do których się dopłynie lub które się odkryje”. Jeżeli sobie życzysz, panie, to przełożę ci dokładnie wszystkie stosowne fragmenty.

- Przełoż wszystko. Szybko - odparł Toranaga.

- Ojciec wizytator uznał, że powinieneś wiedzieć jeszcze jedno.

Alvito, tak jak uzgodnili, opowiedział Toranadze wszystko o mapach, raportach, Czarnej Karaweli i ucieszył się z wrażenia, jakie tym wywołał.

- Doskonale - powiedział Toranaga. - Jesteś pewien, że Czarna Karawela przybędzie wcześniej? Całkowicie pewien?

- Tak - odparł z przekonaniem Alvito i pomyślał: „O Boże, niechże spełnią się nasze nadzieje”.

- Dobrze. Powiedz swojemu suzerenowi, że niecierpliwie czekam na jego raporty. Tak.

Zebranie właściwych faktów zajmie mu, jak przypuszczam, kilka miesięcy?

- Obiecał sporządzić te raporty jak najszybciej. Prześlemy ci, panie, te mapy, tak jak chciałeś. Czy nasz generał-gubernator może liczyć, że niedługo otrzyma twoje pozwolenia? Jeżeli Czarna Karawela ma tu przybyć wcześniej, to bardzo by to pomogło, panie Toranaga.

- Gwarantujesz, że ten statek przybędzie wcześniej?

- Jeśli chodzi o wiatr, burzę i morze nie można zagwarantować niczego. Ale ten statek wypłynie z Makau wcześniej.

- Otrzymasz te pozwolenia przed zachodem słońca. Masz do mnie coś jeszcze? Przez trzy dni, aż do zakończenia narady regentów, nie będę dostępny.

- Nie mam, wielmożny panie. Dziękuję. Modlę się do Nieskończonego, żeby zawsze miał cię w swej

opiece.

Alvito uklonił się i czekał, aż zostanie odprawiony, lecz zamiast tego Toranaga odprawił strażników.

Alvito po raz pierwszy widział jakiegoś daimyō bez straży przybocznej.

- Chodź i usiądź tutaj, Tsukku-san - rzekł Toranaga, wskazując miejsce obok siebie na podeście.

Alvito jeszcze nigdy nie był zaproszony na podest. Oznaczało to dowód zaufania czy też wyrok śmierci?

- Zbliża się wojna - powiedział Toranaga.

- Tak - odrzekł Alvito i pomyślał, że ta wojna będzie trwać bez końca.

- Chrześcijańscy panowie feudalni Onoshi i Kiyama zdecydowanie przeciwstawiają się moim pragnieniom.

- Nie odpowiadam za żadnego z daimyō, wielmożny panie.

- Krążą niedobre pogłoski, ne? O nich i o innych chrześcijańskich daimyō.

- Mądrym ludziom leży na sercu zawsze tylko interes cesarstwa.

- Tak. Tymczasem jednak, na przekór mej woli, cesarstwo dzieli się na dwa obozy - Ishido i mój. Tak więc wszystkie interesy w cesarstwie mieszczą się po jednej lub po drugiej stronie. Nie ma drogi pośredniej. Gdzie ulokowane są interesy chrześcijan?

- Po stronie pokoju. Chrześcijaństwo jest religią, wielmożny panie, a nie ideologią polityczną.

- Wasz Ojciec Olbrzym jest tu głową waszego Kościoła. Słyszałem, że przemawiacie. . że możecie przemawiać w imieniu papieża.

- Nam nie wolno się mieszać do waszej polityki, wielmożny panie.

- Myślisz, że Ishido okaże się dla was łaskawy? - spytał Toranaga ostrzejszym tonem. - On jest całkowicie przeciwny waszej religi . To ja zawsze byłem wam łaskawy. Pragnieniem Ishido jest natychmiast wprowadzić dekrety o wydaleniu i całkowicie zamknąć wstęp do kraju wszystkim barbarzyńcom. Ja chcę rozwinąć handel.

- Nie mamy władzy nad żadnym chrześcijańskim daimyō.

- Jak wobec tego mogę na nich wpłynąć?

- Za mało wiem, aby się pokusić o doradzanie tobie.

- Wiesz dostatecznie dużo, stary przyjacielu, by zrozumieć, że jeżeli Kiyama i Onoshi wystąpią przeciwko mnie u boku Ishido z resztą tej hałastry, to wkrótce dołączą do nich wszyscy pozostali chrześcijańscy daimyō, a wówczas na mojego jednego samuraja przypadnie dwudziestu nieprzyjaciół.

- Kiedy nadejdzie wojna, będę się modlił o twoje zwycięstwo.

- Jeżeli naprzeciwko każdego mojego żołnierza stanie dwudziestu, to same modlitwy mi nie wystarczą.

- Czy nie można jakoś uniknąć wojny? Kiedy raz wybuchnie, nigdy się nie skończy.

Ja też tak myślę. A wówczas tracą wszyscy - my, barbarzyńca, Kościół Chrześcijański. Ale gdyby wszyscy chrześcijańscy daimyō stanęli otwarcie po mojej stronie, wojny by nie było.

Ukróciłoby to ambicje Ishido. Nawet gdyby wzniecił bunt, to regenci zgnetliby go niczym ryżowego wołka, Alvito poczuł, jak na szyi zaciska mu się pętla.

- Jesteśmy wyłącznie po to, żeby szerzyć Słowo Boże - odparł. - A nie wtrącać się do waszej polityki, wielmożny panie.

- Wasz poprzedni wódz zaofiarował usługi chrześcijańskich daimyō z Kiusiu taikō, zanim podbiliśmy tę część cesarstwa.

- Popęłił błąd. Ani Kościół, ani owi daimyō nie upoważnili go do tego.

- Zaproponował taikō, że statki, portugalskie statki przewiozą nasze oddziały na Kiusiu, zaproponował, że portugalscy żołnierze z muszkietami pomogą nam. Nawet w walce przeciwko Korei i przeciwko Chinom.

- I popęłił kolejny błąd, wielmożny panie, nikt go do tego nie upoważnił.

- Niedługo wszyscy będą musieli stanąć po którejś stronie, Tsukku-san. Tak. Już bardzo niedługo.

Alvito fizycznie odczuł tę groźbę Toranagi.

- Jestem zawsze na twoje usługi, panie - odparł.

- Jeżeli przegram, czy umrzesz wraz ze mną? Czy popęlnisz jenshi, pójdiesz w moje ślady, albo czy podążysz ze mną na śmierć jako wierny członek mojej świty?

- Moje życie jest w rękach Boga. Tak samo jak moja śmierć.

- A, tak! Wasz chrześcijański Bóg! - Toranaga nieznacznie poruszył mieczami. A potem nachylił się do przodu. - Przed upływem czterdziestu dni Onoshi i Kiyama zwiążą się ze mną, a Rada Regencyjna odwoła dekrety taikō.

Jak daleko ośmielię się posunąć? - zapytywał się w duchu bezradnie Alvito. Jak daleko?

- Nie mamy na nich aż tak dużego wpływu, jak sądzisz, panie - rzekł.

- A może wasz przywódca powinien im to nakazać. Nakazać! Ishido zdradzi was i ich. Dobrze wiem, jaki on jest. Podobnie jak pani Ochiba. Czyż nie nastawia Yaemona przeciwko wam?

Tak! - chciał zawołać Alvito. Ale Onoshi i Kiyama w tajemnicy uzyskali od Ishido złożone pod przysięgą zobowiązanie na piśmie, dające im prawo wyznaczania wszystkich nauczycieli Yaemona, z których jeden będzie chrześcijaninem. Ponadto Onoshi i Kiyama przysięgli na wszystkie świętości, że ich zdaniem, kiedy już usuniesz Ishido, zdradzisz Kościół.

- Ojciec wizytator nie może im rozkazywać, panie. Byłoby to niewybaczalne wtrącanie się do waszej „polityki”. Onoshi i Kiyama przed upływem czterdziestu dni, dekrety - taikō unieważnione. . i już nigdy więcej nieprawych zakonników. Regenci zakazą im wjazdu do Japoni .

- Słucham?

- Zostaniecie tylko wy i wasi kapłani. Żadnych innych, cuchnących i zebrzących Czarnych Sukien - żadnych bosonogich prostaków! Tych, którzy wykrzykują głupie groźby i wywołują jedynie zamieszanie publiczne. Ich. Jeżeli chcecie, to możecie otrzymać głowy ich wszystkich. . tych, którzy tu są.

Cała dusza Alvito wzywała go do ostrożności. Toranaga jeszcze nie pozwolił sobie wobec niego na taką szczerość. Jeden błąd, a urazisz go i na zawsze uczynisz zeń wroga Kościoła, przestrzegł się.

Pomyśl tylko, co on proponuje! Wyłączność w całym cesarstwie! Jediną rzecz gwarantującą Kościołowi na czas jego krzepnięcia czystość i bezpieczeństwo. Rzecz bezcenną. Rzecz, której nie zapewniłby nam nikt, nawet papież! Nikt oprócz Toranagi. Otwarcie popierany przez Onoshiego i Kiyamę Toranaga mógłby zgnieść i zdominować Radę.

Alvito nie spodziewał się, że Toranaga złoży mu wprost podobną propozycję. Ani że zaproponuje tak wiele. Czy Onoshiego i Kiyamę da się skłonić do zmiany stron? Ci dwaj nienawidzą się. Z sobie tylko wiadomych powodów połączyli się przeciwko Toranadze. Dlaczego? Czym ich skłonić do zdradzenia Ishido?

- Nie jestem władny, by ci na to odpowiedzieć, wielmożny panie, ani żeby omawiać z tobą takie sprawy, ne? Mogę ci rzec tylko to, że naszym celem jest zbawienie dusz - odparł.

- Podobno mój syn Naga interesuje się waszą chrześcijańską wiarą.

Czy Toranaga grozi, czy składa propozycję? - zadał sobie pytanie Alvito. Składa propozycję, że pozwoli Nadze przyjąć naszą wiarę, co byłoby mistrzowskim posunięciem, czy też ostrzega:

„Jeżeli nie będziecie współdziałać, to rozkażę mu skończyć z tym”?

- Wielmożny panie, twój syn jest jednym z wielu szlachetnie urodzonych, których umysły są otwarte na sprawy religii .

Alvito nagle zdał sobie sprawę z ogromnego dylematu, przed którym stanął Toranaga. Jest w potrzasku, musi się z nami ułożyć, pomyślał triumfalnie. Musi o to zabiegać! Musi nam dać, co zechcemy. . jeśli w ogóle zechcemy zawrzeć z nim układ! Nareszcie przyznaje otwarcie, że chrześcijańscy daimyō decydują o tym, kto ma władzę! Co tylko zechcemy! Czy potrzeba nam czegoś więcej? Nie. Z wyjątkiem. .

Umyślnie opuścił wzrok na leżące przed Toranagą ruty. Ujrzał, że daimyō bierze je i chowa do rękawa kimona.

- Aha, Tsukku-san - rzekł Toranagą dziwnym, zmęczonym głosem. - Jest jeszcze kwestia tego nowego barbarzyńcy, pirata. Wroga twojego kraju. Wkrótce zaczną tu oni licznie przybywać, ne?

Można ich do tego zniechęcić. . albo zachęcić. Tak jak tego pirata. Ne?

Ojciec Alvito pojął, że w tej chwili zdobyli wszystko. Czy dla przypieczętowania tego układu powinien poprosić o głowę Blackthorne'a na srebrnej tacy niczym o głowę Jana Chrzciciela? Czy powinien poprosić o pozwolenie na budowę katedry w Edo albo wewnątrz zamku w Osace? Po raz pierwszy w życiu poczuł, że ma zamęt w głowie, że nie wie, w którą stronę wyciągnąć rękę po władzę.

Nie chcemy więcej, niż nam proponują! Szkoda, że nie mogę zawrzeć układu już teraz! -

pomyślał. Gdyby to zależało tylko ode mnie, tobym zaryzykował. Postawiłbym na Toranagę, ponieważ go znam. Zgodziłbym się podjąć starania i przysiągłbym na Pana Naszego. Tak, żeby zdobyć ustępstwa na rzecz naszego Kościoła, gotów byłbym wykląć Onoshiego i Kiyamę, gdyby nam odmówili.

Cóż znaczą dwie stracone dusze wobec dziesiątek tysięcy, setek tysięcy, milionów. Powiedziałbym, że byłoby to usprawiedliwione! Tak, tak, tak, na chwałę Wszechmogącego. Ale jak sam dobrze wiem, nie mogę zawrzeć takiego układu. Jestem wyłącznie posłańcem, a do moich obowiązków należy. .

- Potrzebuję pomocy, Tsukku-san. Potrzebuję jej w tej chwili.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Toranaga-sama. Przyszekam ci to.

- Zaczekam czterdzieści dni - oświadczył nieodwołalnie Toranagą. - Tak. Czterdzieści dni.

Alvito uklonił się. Spostrzegł, że daimyō odpowiedział mu uklonem głębszym i bardziej ceremonialnym niż kiedykolwiek przedtem, prawie takim, jakby się kłaniał samemu taikō. Wstał niepewnie. A potem znalazł się na zewnątrz i podążył korytarzem. Przyspieszył kroku. Zaczął pędzić.

Toranaga przyglądał się jezuitcie ze strzelnicy, jak śmiga przez ogród nisko w dole. Strażnicy ponownie odsunęli shoji, ale przegonił ich przekleństwem i nakazał, żeby pod groźbą śmierci nie wazyli się mu przeszkadzać. Pilnie śledził wzrokiem Alvita przechodzącego przez warowną bramę, wyłaniającego się na dziedzińcu przed nią, a wreszcie znikającego w labiryncie umocnień wewnątrz zamku.

Wtedy zaś, samotny w panującej ciszy, Toranaga uśmiechnął się. Podkasał kimono i zaczął tańczyć. A tańczył taniec hornpipe.

21.

Tuż po zmroku Kiri, kołysząc się w biodrach, zeszła nerwowo po schodach w towarzystwie dwóch służących. Podążyła do swojej zasłoniętej lektyki, która stała przy domku w ogrodzie. Jej podróżne kimono spowijał obszerny płaszcz, przez co wydawała się jeszcze grubsza niż była, a pod brodą miała zawiązane tasiemki kapelusza z szerokim rondem.

Na werandzie czekały na nią cierpliwie pani Sazuko w mocno zaawansowanej ciąży i Mariko.

Blackthorne stał oparty o ścianę w pobliżu warownej bramy. Miał na sobie przewiązane pasem kimono Brązowych, skarpety tabi i wojskowe trepy. Na zewnętrznym podwórku za bramą stała w równych szeregach eskorta złożona z sześćdziesięciu samurajów, z których co trzeci trzymał

poходnię. U czoła tego oddziału Yabu rozmawiał z niskim, krępy, niemal pozbawionym szyi mężem Mariko, Buntaro. Obaj nosili kolczugi, na ramionach łuki i kolczany ze strzałami, a Buntaro miał

ponadto na głowie stalowy rogaty hełm. Tragarze i lektykarze kaga przycupnęli cierpliwie w karnym posłusznym milczeniu obok mnóstwa bagaży.

Lekki wiaterek przyniósł zapowiedź lata, ale nie zauważył tego nikt oprócz Blackthorne'a, jednakże nawet on wyczuwał wszechobecną atmosferę napięcia. Podobnie jak był dotkliwie świadom, że jedynie on jest tutaj nie uzbrojony.

Do werandy podeszła ciężkim krokiem Kiri.

- Nie powinnaś czekać na tym zimnie, Sazuko-san - powiedziała. - Przeziębisz się. Musisz teraz pamiętać o dziecku. Te wiosenne noce są jeszcze bardzo wilgotne.

- Nie jest mi zimno, Kiri-san. Noc jest śliczna i jest mi przyjemnie.

- Czy wszystko w porządku?

-O, tak, doskonale.

- Wolałabym nie jechać. Tak. Nienawidzę tej podróży.

- Nie masz powodu do zmartwień - pocieszyła ją Mariko, podchodząc do nich. Ona również nosiła kapelusz z szerokim rondem, ale jasny, podczas gdy kapelusz Kiri był ciemny. - Ucieszysz się z powrotu do Edo. Nasz pan wyjedzie stąd kilka dni po nas.

- Kto wie, co przyniesie jutro, Mariko-san.

- Jutro jest w ręku Boga.

- Jutro będzie śliczny dzień, a jeśli nie, to nie! - powiedziała Sazuko. - Kto by się przejmował

jutrem? Liczy się dziś. Jesteś piękna i wszystkim nam będzie ciebie brak, Kiri-san, i ciebie, Mariko-san!

Spojrzała na wrota, bo jej uwagę odciągnął gniewny wrzask Buntaro karcącego samuraja, który upuścił pochodnię.

Nominalnie dowódcą tego oddziału był stojący wyżej w hierarchii od Buntaro Yabu. Zauważył nadejście Kiri i dumnym krokiem zawrócił, przechodząc przez bramę, a Buntaro podążył za nim.

- Och, pan Yabu. . pan Buntaro - powiedziała Kiri, kłaniając się im zmieszana. - Bardzo przepraszam, że kazałam na siebie czekać. Pan Toranaga chciał zejść na dół, ale ostatecznie postanowił nie schodzić. Powiedział, że macie zaraz wyruszyć. Zechciejcie przyjąć moje przeprosiny.

- Żadnych nam nie trzeba. - Yabu pragnął jak najszybciej opuścić zamek, opuścić Osakę i wrócić do Izu. Wciąż trudno było mu uwierzyć, że wyjeżdża zachowawszy głowę, barbarzyńcę, muszkiety, wszystko. Za pośrednictwem gołębi przesłał pilne wieści swojej żonie w Edo, chcąc mieć pewność, że w Mishimie, jego stolicy, wszystko jest gotowe, a także Omiemu w wiosce Anjiro.

- Jesteście gotowe? - spytał.

W oczach Kiri zabłyśły łzy.

- Zaraz wsiądę do lektyki, niech tylko trochę odsapnę. Och, jakże chętnie w ogóle bym nie wyjeżdżała. - Rozejrzała się, szukając wzrokiem Blackthorne'a, aż wreszcie dojrzała go w cieniu. -

Kto odpowiada za Anjin-sana? Aż do wejścia na statek?

- Nakazałem mu iść przy lektyce mojej żony - odparł z rozdrażnieniem Buntaro. - Jeżeli ona nie utrzyma go na wodzy, to zrobię to ja.

- Panie Yabu, może odprowadziłbyś panią Sazuko..

- Strażnicy! !

Ostrzeżenie to dobiegło z podwórca przed bramą. Buntaro i Yabu pośpieszyli przez warowne wrota, za nimi ich straż przyboczna, a jeszcze więcej samurajów wysypało się z wewnętrznych fortów.

Aleją pomiędzy zamkowymi murami zbliżał się na czele dwustu Szarych Ishido. Zatrzymał się na dziedzińcu przed bramą, a wszyscy, mimo że nikt po obu stronach nie okazywał wrogości, nikt nie trzymał dłoni na mieczu a strzały w łuku, byli gotowi.

Ishido złożył wyszukany ukłon.

- Piękny wieczór, panie Yabu - powiedział.

- O, tak. Rzeczywiście.

Ishido skinął niedbale głową Buntaro, ten zaś odpłacił mu równą bezceremonialnością, zdobywając się w odpowiedzi na minimum wymaganej grzeczności. Obaj byli ulubionymi dowódcami taikō. Buntaro dowodził jednym z jego pułków w Korei, podczas gdy Ishido był tam naczelnym wodzem. Obaj oskarżali się nawzajem o zdradę. Rozlewowi krwi pomiędzy nimi i aktom zemsty zapobiegły jedynie osobista interwencja i bezpośredni rozkaz taikō.

Ishido uważnie przyglądał się Brązowym. A potem jego wzrok odnalazł Blackthorne'a.

Zobaczył, że barbarzyńca składa mu pólukłon, więc skinął mu głową. Przez bramę widział trzy kobiety i drugą lektykę. Jego oczy ponownie spoczęły na Yabu.

- Można by pomyśleć, że nie jesteście zwykłą dworską eskortą pani Kiritsubo, ale wybieracie się do boju, Yabu-san.

- Z powodu tego mordercy z sekty Amidy pan Hiro-matsu wydał rozkazy. .

Yabu zamilkł, bo Buntaro wystąpił wojowniczo naprzód i stanął zdecydowanie pośrodku wrót.

- My zawsze jesteśmy gotowi do boju, z bronią czy bez broni - oświadczył. - Jeden nasz samuraj wystarczy na dziesięciu waszych i pięćdziesięciu Czosnkojadów. Nigdy nie odwracamy się plecami i nie zmykamy jak śmierzące tchórze, pozostawiając towarzyszy na sromotną klęskę!

- Czyżby? - spytał Ishido zaczepnym tonem, uśmiechając się bardzo pogardliwie. - Być może już niedługo nadarzy ci się okazja zmierzyć się z prawdziwymi mężczyznami zamiast Czosnkojadów!

- Jak prędko? A dlaczego nie dziś? Dlaczego nie tutaj?

Yabu wkroczył ostrożnie pomiędzy nich. On również był w Korei, wiedział więc, że jeden i drugi mają rację oraz że żadnemu z nich nie można ufać. Buntaro w jeszcze mniejszym stopniu niż Ishido.

- Dlatego nie dziś, bo jesteśmy wśród przyjaciół, Buntaro-san - rzekł pojednawczo, za wszelką cenę pragnąc nie dopuścić do starcia, które na dobre odcięłoby im drogę z zamku. -

Jesteśmy wśród przyjaciół, Buntaro-san.

- Jakich przyjaciół? Wiem, co to przyjaciele. . i co to wrogowie! - Buntaro obrócił się gwałtownym ruchem w stronę Ishido. - A gdzie jest ten mężczyzna, ten prawdziwy mąż, o którym wspomniałeś, Ishido-san? Co? Albo ci mężczyźni? Daj mu. . daj im wszystkim wypełznąć z dziur i stanąć przeciwko mnie, Todzie Buntaro, władcy Sakury, jeżeli którykolwiek z nich ma dość ikry!

Wszyscy przygotowali się.

Ishido wpatrzył się w niego złowrogo.

- To nie jest odpowiednia chwila, Buntaro-san - powiedział Yabu. - Przyjaciele czy wrogo..

- Przyjaciele? Gdzie? W tej kupie gnoju?

Buntaro splunął na ziemię. Ręce jednego z Szarych śmignęły do miecza. Dziesięciu Brązowych poszło w jego ślady, w ułamku sekundy to samo zrobiło pięćdziesięciu Szarych i wszyscy czekali teraz, aż obnażona klinga da sygnał do ataku.

W tym momencie z ogrodowych cieni wyłonił się Hiro-matsu i przeszedł przez wrota na podwórzec, trzymając w ręku swój na wpół obnażony zabójczy miecz.

- Czasem i w gnoju można znaleźć przyjaciół, synu - rzekł spokojnie. Zaciśnięte na rękojeściach mieczów dłonie samurajów rozluźniły się. Samuraje stojący na przeciwległych blankach

- Brązowi i Szarzy - rozluźnili napięte cięciwy uzbrojonych w strzały łuków. - Mamy przyjaciół w całym zamku. W całej Osace. Tak. Nasz pan Toranaga bez przerwy nam to powtarza. - Stał niczym głąz przed swoim jedynym żyjącym synem, widząc w jego oczach żądzę krwi. W chwili dostrzeżenia nadchodzącego Ishido przez strażę Hiro-matsu obejmował akurat posterunek przy bramie. A kiedy minęło pierwsze niebezpieczeństwo, pod osłoną cienia nadszedł cicho jak kot. Wpatrzył się w oczy Buntaro. - Czy nie tak, mój synu?

Zdobywszy się na ogromny wysiłek, Buntaro skinął głową i cofnął się o krok. Lecz w dalszym ciągu zagradzał wejście do ogrodu.

- Hiro-matsu skupił uwagę na Ishido., Nie spodziewaliśmy się dziś ciebie, Ishido-san - powiedział.

- Przybyłem złożyć uszanowanie pani Kiritsubo. Dopiero kilka chwil temu dowiedziałem się, że nas opuszcza.

- Czyżby mój syn miał rację? Powinniśmy martwić się, że nie przebywamy wśród przyjaciół?

Czy jesteśmy zakładnikami, którzy powinni dopraszać się względów?

- Nie. Ale pan Toranaga i ja ustaliliśmy zasady obowiązujące w czasie tej wizyty. O

wszystkich przyjazdach i wyjazdach wysokich osobistości miałem być powiadamiany dzień wcześniej po to, żebym mógł im złożyć odpowiednie uszanowanie.

- Pan Toranaga zdecydował o tym nagle. Nie uznał sprawy wysłania jednej ze swoich pań do Edo za na tyle ważną, by ci przeszkadzać - odparł Hiro-matsu. - Tak, pan Toranaga przygotowuje się po prostu do swojego wyjazdu.

- Czy już postanowił kiedy?

- Tak. W dniu zakończenia narady regentów. Zostaniesz o tym powiadomiony w stosownym czasie, zgodnie z protokołem.

- Dobrze. Oczywiście narada może zostać znowu odłożona. Panu Kiyamie pogorszyło się.

- A więc narada jest odłożona? Czy nie jest?

- Ja tylko mówię o takiej możliwości. Liczymy, że jeszcze długo będziemy mieć przyjemność obcowania z panem Toranaga, ne? Czy wybierze się jutro ze mną na polowanie?

- Poprosiłem go, żeby aż do narady odwołał wszystkie polowania. Moim zdaniem, nie są bezpieczne. Uważam, że ta okolica przestała być bezpieczna. Skoro jacyś parszywi zabójcy tak łatwo omijają twoje straże, to o ileż łatwiej o zdradę poza murami tego zamku.

Ishido puścił mimo uszu tę zniewagę. Wiedział, że ten i inne afronty jeszcze bardziej rozjątrzają jego samurajów, jednakże w jego interesie nie leżało zapalenie lontu już w tej chwili.

Rad był z wkroczenia Hiro-matsu, bo niewiele brakowało, a przestałby nad sobą panować. Pochłonęła go myśl o głowie Buntaro, odciętej i szczękającej zębami.

- Wszyscy dowódcy pełniący tej nocy wartę dostali, jak wiesz, rozkazy odejścia w Wielką Pustkę. Niestety, ci czciciele Amidy rządzą się własnymi prawami. Ale już niedługo zostaną wytepieni. Od regentów zażąda się, żeby załatwili się z nimi raz na zawsze. A teraz, czy wolno mi będzie złożyć uszanowanie Kiritsubo-san?

Ishido ruszył. A z nim Szarzy z; jego straży przybocznej. Nagle wszyscy stanęli jak wryci.

Buntaro trzymał w łuku strzałę i chociaż skierowana była w ziemię, to łuk był napięty do granic możliwości.

- Wam nie wolno przekraczać tej bramy - oświadczył. - Uzgodniono to protokolarnie.

- Jestem komendantem zamku w Osace i dowódcą straży przybocznej następcy! Mam prawo wchodzić wszędzie!

Hiro-matsu jeszcze raz opanował sytuację.

- To prawda, że jesteś dowódcą straży przybocznej następcy i masz prawo wchodzić wszędzie. Ale przekroczyć tę bramę wraz z tobą może tylko pięciu ludzi. Czy nie takie zasady uzgodniłeś z moim panem na czas jego pobytu tutaj?<

- Pięciu czy pięćdziesięciu, co za różnica! Ta zniewaga jest nie do..

- Zniewaga? Mój syn ani myślał cię znieważać. Wypełnia jedynie rozkazy, które ty uzgodniłeś z jego suzerenem. Pięciu ludzi. Pięciu! - Słowo to było rozkazem. Hiro-matsu odwrócił się od Ishido i spojrzał na syna. - Pan Ishido wyświadcza nam zaszczyt, pragnąc złożyć uszanowanie pani Kiritsubo.

Miecz „starca wystawał na pięć cali z pochwy i nikt nie miał pewności, czy po to, żeby ciąć Ishido, gdyby doszło do walki, czy też po to, żeby odciąć głowę synowi, gdyby ten wystrzelił z łuku.

Wszyscy wiedzieli, że syn i ojciec nie darzą się sympatią, a tylko podziwiają nawzajem swą waleczność.

- No więc, synu, co masz do powiedzenia dowódcy straży przybocznej następcy?

Po twarzy Buntaro spływał pot. Po chwili ustąpił z drogi i zwolnił napiętą cięciwę łuku. Ale strzały z niej nie zdjął.

Na zawodach łuczniczych Ishido wiele razy oglądał Buntaro, jak strzelając z dwustu kroków wypuszcza sześć strzał, nim jeszcze pierwsza doleci do celu, wszystkie zaś trafiają równie celnie. Z radością wydałby rozkaz zaatakowania i zabicia tych dwóch, ojca i syna, oraz reszty. Wiedział

jednak, że zaczynać od nich, a nie od Toranagi, byłoby głupotą, a poza tym w razie wybuchu prawdziwej wojny być może zdołałby namówić Hiro-matsu do porzucenia Toranagi i walki przeciwko niemu. Pani Ochiba obiecała, że w stosownej chwili zwróci się z tym do Żelaznej Pięści. Przysięgała, że Żelazna Pięść za nic nie porzuci następcy, ona zaś przeciągnie go na swoją stronę, a być może nawet zdoła go nakłonić do zabicia Toranagi, dzięki czemu zapobiegnie wszelkim konfliktom. Jakie wpływy, jaka tajemnica, jakie informacje dają jej nad nim przewagę? - zadawał sobie od nowa pytanie. Poleciał pani Ochibie wymknąć się po cichu z Edo, gdyby jej się udało, to przed spotkaniem regentów. Z chwilą postawienia oskarżeń Toranadze, na co zgodzili się wszyscy regenci, jej życie stawało się warte mniej od ziarnka ryżu. Po oskarżeniu go mieli mu rozkazać natychmiast popełnić seppuku, a w razie konieczności do tego zmusić. Gdyby Ochiba uciekła, byłoby dobrze. A gdyby nie, to nie szkodzi. Za osiem lat następca miał objąć władzę.

Ishido przekroczył bramę i wszedł do ogrodu w towarzystwie Hiro-matsu i Yabu. Podążało za nimi pięciu strażników. Ukłonił się uprzejmie i życzył Kiritsubo udanej podróży. A potem, zadowolony, że wszystko jest jak należy, odwrócił się i odszedł ze wszystkimi swoimi samurajami.

Hiro-matsu odetchnął głęboko i podrapał swoje hemoroidy.

- Lepiej ruszajcie, Yabu-san - powiedział. - Ta ryżowa larwa nie będzie was już niepokoiła.

- Tak jest. Natychmiast.

Kiri otarła spocone czoło.

- To diabelski kami! Boję się o naszego pana.- Z oczu pociekły jej łzy. - Nie chcę wyjeżdżać!

- Przynajmniej ci, pani, że pana Toranagi nic złego nie spotka - rzekł Hiro-matsu. - Musisz jechać. Już!

Kiri próbowała stłumić łkanie i rozchyliła grubo welon, który zwisał jej z szerokiego runda kapelusza.

- Och, Yabu-sama, czy wprowadzisz panią Sazuko do środka? Proszę cię - powiedziała.

- Oczywiście.

Pani Sazuko ukloniła się i pośpiesznie odeszła, a za nią Yabu. Wbiegła na schody, a kiedy znalazła się prawie u ich szczytu, poślizgnęła się i upadła.

- Dziecko! - krzyknęła Kiri. - Czy nie sobie nie zrobiła?

Spojrzenia wszystkich przeskoczyły na rozciągniętą jak długa dziewczynę. Mariko pobiegła do niej, ale Yabu znalazł się przy niej pierwszy. Podniósł ją. Sazuko była nie tyle ranna, co przestraszona.

- Nic mi nie jest - zapewniła, lekko zadyszana. - Nie martwcie się, nic mi się nie stało. Ależ ja jestem głupia.

Upewniwszy się co do tego, Yabu wrócił na podwórzec przed bramą, sposobiąc się do natychmiastowego odjazdu.

Mariko z wielką ulgą wróciła do bramy. Blackthorne gapił się na ogród.

-Co się stało? - spytała.

- Nic - odparł po chwili. - Co krzyczała pani Kiritsubo?

- „Dziecko! Czy nie sobie nie zrobiła?” Pani Sazuko jest przy nadziei - wyjaśniła Mariko. -

Wszyscy się bali, że przez ten upadek coś może sobie zrobić.

- To dziecko pana Toranagi?

- Tak - odparła Mariko, oglądając się na lektykę.

Kiri siedziała już w środku za zasuniętymi półprzezroczystymi zasłonami i z rozwiązaniem welonem. Biedna kobieta, pomyślała Mariko wiedząc, że Kiri-san pragnie jedynie ukryć swoje łzy. Na jej miejscu mnie również byłoby straszno opuszczać mojego pana.

Przeniosła wzrok na Sazuko, która pomachała jej jeszcze raz ręką ze szczytu schodów i weszła do środka. Żelazne drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Zabrzmiało to jak dzwon dla umarłych, pomyślała Mariko. Czy jeszcze ich zobaczymy?

- Czego chciał Ishido? - spytał Blackthorne.

- On. . nie znam właściwego słowa. On sprawdzał. . przeprowadzał inspekcję bez ostrzeżenia.

- Dlaczego?

Jest komendantem zamku - odparła, nie chcąc zdradzać prawdziwego powodu. Na przodzie kolumny Yabu wydał rozkazy i ruszył. Mariko wsiadła do lektyki, zasłony pozostawiając rozchyłone.

Buntaro dał Blackthorne'owi znak, żeby szedł obok niej. Blackthorne wypełnił polecenie.

Odczekali, aż wyprzedzi ich lektyka Kiri. Blackthorne wpatrzył się w na wpół widoczną postać i usłyszał stłumione łkanie. Dwie wystraszone służące, Asa i Sono, szły przy lektyce. Blackthorne obejrzał się po raz ostatni. Przed altanką stał wsparty na mieczu Hiro-matsu. A potem samuraje zamknęli wrota i stracił ogród z oczu. Wielka drewniana krata opadła na swoje miejsce. Na podwórzu przed nią nie było strażników. Wszyscy znajdowali się na blankach.

- Co się dzieje? - spytał.

- Słucham, Anjin-san?

- Przypomina to oblężenie. Tak jakby Szarzy oblegali Brązowych. Spodziewają się kłopotów?

Nowych kłopotów?

- Och, przepraszam. Zamykanie tych wrót na noc to rzecz normalna - odpowiedziała Mariko.

Kiedy jej lektyka ruszyła, zaczął iść obok niej, a pozycje za nimi zajęli Buntaro i reszta straży tylnej. Blackthorne przyglądał się lektyce w przodzie, chwiejnie idącym lektykarzom i niewyraźnej postaci za zasłonami. Był ogromnie zaniepokojony, chociaż starał się to ukryć. Kiedy Kiritsubo tak nagle krzyknęła, natychmiast na nią spojrzął. Pozostali patrzyli na leżącą na schodach dziewczynę. Odruchowo również chciał tam spojrzeć, lecz zobaczył, że Kiritsubo rzuca się w stronę małej altanki i znikła w niej z zadziwiającą chyżością. Przez chwilę sądził, że oczy płatają mu figla,-

ponieważ w mroku jej ciemny płaszcz, ciemne kimono, ciemny kapelusz i ciemny welon czyniły ją prawie niewidzialną. Jej postać zniknęła na chwilę, znów się pojawiła, skoczyła do lektyki i zamaszystym ruchem zasunęła zasłony. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. To był Toranaga.

Mały orszak otaczający dwie lektyki posuwał się wolno przez zamkowy labirynt i wciąż nowe punkty kontrolne. Za każdym razem wymieniano ceremonialne ukłony, od nowa sprawdzano dokumenty, zmieniała się eskorta Szarych wraz z dowódcą, po czym jadących przepuszczano. Przy każdym punkcie kontrolnym Blackthorne z rosnącymi obawami obserwował, jak kolejni dowódcy straży podchodzą do lektyki Kiritsubo, żeby sprawdzić zaciągnięte zasłony. Wszyscy kłaniali się uprzejmie na w pół widocznej postaci, słysząc jej stłumione łkanie, a po pewnym czasie skinieniem ręki pozwalali ruszyć dalej.

Kto jeszcze o tym wie? - zadawał sobie rozpaczliwe pytanie. Muszą wiedzieć służące, to wyjaśniłoby ich załężnienie. Na pewno wiedział Hiro-matsu i pani Sazuko, która z całą pewnością odwróciła uwagę wszystkich. Mariko? Wątpię. Yabu? Czy Toranaga by mu zaufał? A temu raptusowi bez szyi, Buntaro? Prawdopodobnie nie.

Jest to bez wątpienia ściśle tajna próba ucieczki. Ale dlaczego Toranaga narażałby życie poza murami zamku? Czy w środku nie jest bezpieczniej? Po co ta tajemniczość? Komu ucieka?

Ishido? Tym mordercom? Prawdopodobnie wszystkim, orzekł pragnąc, żeby szczęśliwie znaleźli się na galerze i wypłynęli w morze. W razie odkrycia Toranagi rozpęta się piekło, wybuchnie śmiertelna walka i nikt nie poprosi o darowanie życia ani nikomu go nie darują. Jestem nie uzbrojony, a nawet gdybym miał parę pistoletów albo dwudziestofuntówkę czy też ze stu zabijaków, to Szarzy i tak by nas zgnetli. Nie ma gdzie uciec ani gdzie się schronić. Czy go z przodu, czy z tyłu, sytuacja jest jednakowo zaszana!

- Nie jesteś zmęczony, Anjin-san? - zagadnęła go delikatnie Mariko. - Jeżeli chcesz, to ja pójdę, a ciebie poniosą.

- Dziękuję - odparł cierpko, czując się nieswojo w rzemiennych trepach i tęskniąc za swoimi butami. - Nogi mnie nie boją. Mam tylko życzenie, żebyśmy bezpiecznie wypłynęli w morze.

- A czy morze w ogóle jest kiedykolwiek bezpieczne?

- Czasem, senhora. Nieczęsto.

Blackthorne zaledwie jej słuchał. Jezu Chryste, myślał, mam nadzieję, że nie zdradzę czymś Toranagi. To byłoby straszne! O ileż łatwiej byłoby mi, gdybym go nie spostrzegł. To był pech, jeden z tych przypadków, które burzą świetnie zaplanowany i przeprowadzony koncept. Staruszka Kiritsubo jest doskonałą aktorką, a ta młoda również. Nie dałem się złapać na ten fortel jedynie dlatego, że nie zrozumiałem, co krzyknęła. To najzwyczajniejszy pech, że zobaczyłem Toranagę tak wyraźnie - umalowanego, w peruce, w kimonie, płaszczu, tak jak Kiritsubo, ale jednak Toranagę.

Przy następnym punkcie kontrolnym kolejny dowódca Szarych podszedł bliżej niż inni, a zasmucone służące ukłoniły mu się i zastąpiły mu drogę tak, aby nie wyglądało na to, że ją zastępują.

Dowódca straży spojrział badawczo na Blackthorne'a i odszedł. Po nieufnej, dokładnej kontroli

odezwał się do Mariko, która pokręciła przecząco głową i coś mu odpowiedziała. Japończyk mruknął, powrócił do Yabu, zwrócił mu dokumenty i dał ręką znak, że orszak może przejechać.

- Co powiedział? - spytał Blackthorne.

- Ciekaw był, skąd jesteś. . gdzie leży twój kraj.

- Ale ty pokręciłaś głową, pani? Na co więc mu odpowiedziałas?

- Ach, bardzo przepraszam, powiedział. . ciekaw był, czy dawni przodkowie twojego ludu są spokrewnieni z kami, z duchem, który zamieszkuje na północy, na krańcach Chin. Aż do niedawna sądziliśmy, że Chiny to jedyny cywilizowany kraj na świecie, oprócz Japonii, ne? Chiny są tak ogromne, że prawie jak cały świat - powiedziała, zamykając temat.

Właściwie to dowódca straży zapytał ją, czy ten barbarzyńca pochodzi od Harimwakairi, kami, który opiekuje się kotami, dodając, że ten z pewnością cuchnie jak tchórz podczas rui, tak jak podobno cuchnie ten kami.

Odpowiedziała, że wątpi w to, wstydząc się w duchu jego grubiaństwa, bo pilot z pewnością nie cuchnął tak jak Tsukku-san, ojciec wizytator czy zwykli barbarzyńcy. Jego zapach był już prawie niewyczuwalny.

Minęli jeszcze jeden punkt kontrolny i skręcili za róg. Przed nimi była ostatnia spuszczana krata, ostatnia brama wjazdowa właściwej twierdzy, a za nią ostatni zwodzony most i ostatnia fosa.

Po jej drugiej stronie znajdował się najdalej wysunięty fort. Mnóstwo pochodni czyniło z nocy szkarłatny dzień.

I wtedy z mroku wyłonił się Ishido.

Brązowi dostrzegli go niemal natychmiast. Najeżyli się, smagnięci wrogością. Buntaro niemal z szybkością błyskawicy wyminął Blackthorne'a, chcąc znaleźć się bliżej czoła kolumny.

- Ten drań rwie się do walki - powiedział Blackthorne.

- Tak, senhor? Przepraszam, senhor, co powiedziałeś?

- Tylko to.. powiedziałem, że twój mąż zdaje się. . zdaje się, że Ishido potrafi bardzo szybko i bardzo mocno rozgniewać twojego męża.

Nie odpowiedziała.

Yabu zatrzymał się. Spokojnie wręczył przepustkę dowódcy przy bramie i podszedł do Ishido.

- Nie spodziewałem się, że zobaczę cię jeszcze raz. Masz bardzo, dobrych strażników -

powiedział.(

- Dziękuję - odparł Ishido, przyglądając się Buntaro i zasłoniętej lektyce za jego plecami.

- Jedna kontrola naszego przejazdu powinna wystarczyć - powiedział Buntaro, złowieszczo pobrząkując mieczami. - Najwyżej dwie. Kimże jesteśmy? Oddziałem wojskowym? To zniewaga.

- Nie miałem zamiaru was znieważać, Buntaro-san. Ale z powodu tego mordercy zarządziłem ostrzejsze środki bezpieczeństwa.

Ishido krótko przyjrzał się Blackthorne'owi i jeszcze raz rozważył w myślach: puścić go czy zatrzymać, jak tego chcieli Onoshi i Kiyama. A potem przeniósł wzrok z powrotem na Buntaro. Ty ścierwo, pomyślał. Już niedługo twoja głowa zawiśnie na ćwieku. Jak taka piękność jak Mariko mogła poślubić taką małpę jak ty?

Nowy dowódca straży starannie sprawdził wszystkich, upewniając się, że wszystko jest zgodne z listą.

- Wszystko w porządku, Yabu-sama - oznajmił, powróciwszy na czoło kolumny. - Przepustka nie będzie ci już potrzebna, panie. Zatrzymamy ją tutaj.

- Dobrze. - Yabu zwrócił się w stronę Ishido. - Niedługo się zobaczymy.

Ishido wyjął z rękawa zwój pergaminu.

- Chciałem zapytać panią Kiritsubo, czy nie zabrałaby tego z sobą do Edo. Dla mojej siostrzenicy. Przez jakiś czas nie będę mógł wybrać się tam w odwiedziny.

- Naturalnie - powiedział Yabu wyciągając rękę.

- Nie fatyguj się, Yabu-san. Sam ją o to poproszę.

Ishido podszedł do lektyki.

Służące unizienie wyszły mu naprzeciw. Asa wyciągnęła rękę.

- Może ja wezmę przesyłkę, wielmożny panie. Moja pa. .

- Nie.

Ku zaskoczeniu Ishido i wszystkich w pobliżu służące nie zeszły mu z drogi.

- Ale moja pa. .

Z drogi! - warknął Ishido, Obie służące cofnęły się pokornie i unizenie, przestraszone.

Ishido uklonił się w stronę zasłony.

- Kiritsubo-san, czy byłabyś tak uprzejma i zawiozła ode mnie list do Edo? Do mojej siostrzenicy.

Łkanie jakby ścichło na krótką chwilę, a potem postać w lektyce stanęła głową na znak zgody.

- Dziękuję.

Ishido podsunął cienki zwój pergaminu na cał od zasłon.

Łkanie ustało. Blackthorne zdał sobie sprawę, że Toranaga znalazł się w pułapce. Grzeczność nakazywała, ażeby wziął podany zwój, lecz wówczas zdradziłaby go dłoń.

Wszyscy czekali na jej pojawienie się.

- Kiritsubo-san? Nadal najmniejszego ruchu. I wówczas Ishido zrobił szybki krok. Jednym ruchem rozsunął zasłony, Blackthorne zaś w tej samej chwili wrzasnął i zaczął tańczyć jak szalenciec.

Oszupiały Ishido i pozostali zwrócili się natychmiast w jego stronę.

Przez moment za plecami Ishido widać było dokładnie Toranagę. Blackthorne uznał, że z odległości dwudziestu kroków być może można by go wziąć za Kiritsubo, ale w żadnym razie z pięciu, nawet w welonie na twarzy. We wlokącej się wieki sekundzie, nim Toranaga zasunął z powrotem zasłony, Blackthorne spostrzegł, że rozpoznał go Yabu, na pewno rozpoznała Mariko, prawdopodobnie Buntaro, a być może niektórzy z samurajów. Skoczył naprzód, wyrwał Ishido pergamin, wrzucił go w szczelinę w zasłonach i odwrócił się paplając:

- W moim kraju przynosi pecha, kiedy księżę przekazuje list niczym prosty cham. . przynosi pecha. .

Wszystko to zdarzyło się tak nieoczekiwanie i tak szybko, że Ishido nie zdążył jeszcze wydobyć miecza, a Blackthorne już giął się przed nim w pokłonach i podskakiwał niczym szalony diabeł z pudełka, ale wyćwiczony odruch Japończyka zatriumfował i jego tnący miecz powędrował

ku szyi Anglika.

Rozpaczliwe spojrzenie Blackthorne'a odnalazło Mariko.

- Na miłość boską, pomóż. . to pech. . pech! !

Krzyknęła. Ostrze miecza zatrzymało się o włos od szyi Blackthorne. Z ust Mariko posypały się wyjaśnienia tego, co powiedział. Ishido opuścił miecz, przez chwilę słuchał, zakrzyczał ją gwałtownymi słowami, a potem ze wzrastającą furią krzyknął i wierzchem dłoni uderzył

Blackthorne'a w twarz.

Blackthorne wpadł w szal. Zacisnął wielkie dłonie w pięści i rzucił się na Ishido..

Gdyby Yabu spóźnił się z zatrzymaniem ręki Ishido z mieczem, głowa Anglika potoczyłaby się po ziemi. W ułamek sekundy później Buntaro chwycił Blackthorne'a, który już zaciskał dłonie na gardle wroga. Od Ishido musiało go odciągnąć czterech Brązowych, a Buntaro ogłuszył go mocnym ciosem w kark. Szarzy skoczyli bronić swojego pana. Ale Brązowi otoczyli Blackthorne'a oraz lektyki i

przez chwilę wszyscy zamarli wyczekując. Mariko i służące rozmyślnie zaczęły płakać i zawodzić, powiększając przez to rozgardiasz i odwracając uwagę.

Yabu przystąpił do ułagodzenia Ishido, Mariko wciąż od nowa z wymuszoną histerią powtarzała, że ten szalony barbarzyńca był przekonany, że w ten sposób ratuje Ishido, Wielkiego Wodza, którego uważa za księcia, przed złym kami.

- A poza tym dotykanie czyjejś twarzy jest dla nich najgorszą zniewagą, tak jak u nas, dlatego właśnie wpadł w chwilowy szal - wyjaśniała. - To wprawdzie tylko nierozumny barbarzyńca, ale w swoim kraju jest daimyō i jedynie starał się ci pomóc, panie!

Ishido zareagował gwałtownym potokiem słów i kopnął Blackthorne'a, któremu właśnie wracała przytomność. Blackthorne z wielkim spokojem przysłuchiwał się wrzawie. Odzyskał ostrość wzroku.

Szarych z obnażonymi mieczami, którzy go otaczali, było dwadzieścia razy więcej niż Brązowych, ale jak dotąd nikogo nie zabito i wszyscy karnie czekali.

Blackthorne spostrzegł, że wszyscy skupili uwagę na nim. Tym razem jednak wiedział już, że ma sprzymierzeńców.

Ishido ponownie obrócił się ku niemu i zbliżył krzycząc. Blackthorne wyczuł, że ręce trzymających go Brązowych zaciskają się mocniej i uświadomił sobie, że nadchodzi cios, tym razem jednak nie próbował się oswobodzić, jak tego oczekiwali, lecz zaczął osuwać się na ziemię, a potem raptownie się wyprostował się, wyrwał im z obłąkańczym śmiechem i puścił się miotając i wierzgając w marynarski taniec. Brat Domingo powiedział mu, że w Japonii panuje powszechna wiara, iż szaleństwo ludzi to sprawka kami, dlatego wariaci, podobnie jak wszystkie dzieci i wiekowi starcy, nie odpowiadają za swoje czyny i niekiedy cieszą się specjalnymi przywilejami. Tak więc pisał

szaleńczo, śpiewając przy tym do Mariko: „Pomóż mi. . potrzebuję pomocy, na miłość boską. . Długo już tak nie wytrzymam. . pomóż. .” - i odgrywając wariata, gdyż wiedział, że tylko to może ich uratować.

- To szalenie. . obłąkany! - zawołała Mariko, w lot pojmując jego fortel.

- Tak - poparł ją Yabu, wciąż jeszcze nie mogąc dojść do siebie po wstrząsie, jakim był dla niego widok Toranagi, nie całkiem też pewien, czy pilot udaje, czy rzeczywiście zwariował.

Mariko straciła głowę. Nie wiedziała, co robić. Anjin-san uratował pana Toranagę, ale skąd o nim wiedział? - nedorzecznie zadawała sobie raz po raz pytanie.

Jeśli nie liczyć czerwonych pręg po uderzeniach, twarz Blackthorne'a była blada. Tańczył i tańczył zapamiętale, czekając na pomoc, ale nie nadeszła. Wówczas zaś, wymyślając Yabu i Buntaro od psich synów i tchórzy, a Mariko, że jest głupią jędzą, nagle przestał tańczyć, uklonił się Ishido jak niespójna w ruchach marionetka i ni to idąc, ni to tańcząc ruszył w stronę bramy.

- Za mną, za mną! - zawołał, niemal dławiąc się własnym głosem i próbując przewodzić reszcie niczym szczurołap z Hamelin.

Szarzy zastąpili mu drogę. Ryknął w udanym gniewie i władczym gestem nakazał im się usunąć, zaraz potem zanosząc się histerycznym śmiechem.

Ishido chwycił łuk i strzałę. Szarzy rozpierzchli się. Blackthorne był już prawie za bramą.

Osaczony, odwrócił się wiedząc, że nie ma sensu uciekać. A potem bezradnie znów zaczął szaleńczy taniec.

- On się wściekł, to wściekły pies! A wściekłe psy trzeba tępić! - oznajmił srogim głosem Ishido. Włożył strzałę do łuku i wycelował.

Mariko w tej samej chwili porzuciła obronną pozycję przy lektyce i ruszyła w stronę Blackthorne'a.

- Bez obawy, panie Ishido! - zawołała. - Nie trzeba się go bać, to chwilowe szaleństwo. Czy wolno mi. . - Zbliżywszy się, dostrzegła wyczerpanie pilota, jego zastygły maniakalny uśmiech, i mimo woli przelękła się. - Teraz ci mogę pomóc, Anjin-san - powiedziała pośpiesznie. - Musimy postarać się. . odejść. Pójdę za tobą. Nie bój się, nie zastrzeli nas. Proszę, przestań tańczyć.

Blackthorne natychmiast przerwał taniec, odwrócił się i bez słowa wszedł na most. Podążyła o krok za nim, tak jak nakazywał zwyczaj, spodziewając się strzał, słysząc je.

Tysiąc oczu przyglądało się szalonemu olbrzymowi i drobnej kobiecie, jak odchodzą po moście.

Yabu ocknął się z odrętwienia.

- Jeżeli chcesz jego śmierci, pozwól, że cię w tym wyręczę, Ishido-san - powiedział. - Nie uchodzi, żebyś sam go zabijał. Generałowie nie zabijają własnoręcznie. Powinni to robić za nich inni.

- Podeszedł bardzo blisko do Ishido i zniżył głos. - Zostaw go przy życiu. Oszalał po twoim uderzeniu.

W swoim kraju jest daimyō i to uderzenie. . jest tak, jak mówi Mariko, ne? Wierz mi, on ma dla nas wartość żywy.

- Co?

- Jest więcej wart żywy. Wierz mi. Zabić możesz go w każdej chwili. Potrzebujemy go żywego.

Ishido wyczytał w twarzy Yabu desperację i prawdę. Opuścił łuk.

- Dobrze. Ale kiedyś chcę go dostać żywego. Powieszę go za pięty nad dołem.

Yabu przełknął ślinę i złożył mu półukłon. Nerwowym machnięciem ręki nakazał orszakowi ruszyć, obawiając się, że Ishido przypomni sobie o lektyce i o „Kiritsubo”.

Buntaro, udając szacunek” przejął inicjatywę w swoje ręce i odprawił Brązowych w drogę. Nie dociekał, w jaki sposób Toranaga pojawił się wśród nich czarodziejsko niczym kami, przejęty

jedynie tym, że jego pan jest prawie bezbronny i w niebezpieczeństwie. Wprawdzie spostrzegł, że Ishido nie odrywa spojrzenia od Mariko i pilota, lecz mimo to ukłonił mu się uprzejmie, a potem zajął

miejsce za lektyką Toranagi, żeby w razie wywiązania się walki chronić swojego pana od strzał.

Pochód zbliżał się do bramy. Yabu ponownie zajął w pojedynkę miejsce na końcu kolumny, jako jej straż tylna. W każdej chwili spodziewał się zatrzymania orszaku. Pomyślał, że część Szarych Z

pewnością zobaczyła Toranagę. Jak prędko powiedzą o tym Ishido? - zastanawiał się. Czy Ishido nie przyjdzie do głowy, że i ja przyłożyłem ręki do tej próby ucieczki? Czy nie zniszczy mnie to na zawsze?

W połowie mostu Mariko obejrzała się na chwilę.

- Idą za nami, Anjin-san. Obie lektyki już minęły bramę i są na moście. Blackthorne nie odpowiedział ani się nie odwrócił. Resztkę woli pochłaniał mu wysiłek, by się trzymać prosto. Zgubił

sandały, twarz paliła go od uderzenia, a w głowie boleśnie łupało. Ostatni strażnicy przepuścili go przez zwodzony most i dalej. Pozwolili również przejść bez zatrzymywania Mariko. A potem lektykom.

Blackthorne jako pierwszy zszedł z łagodnego wzniesienia, idąc przez otwartą przestrzeń, a potem przez dalej położony most. Dopiero kiedy znalazł się w zalesionej okolicy, będąc całkowicie niewidoczny z zamku, zwałił się z nóg.

23.

- Anjin-san. . Anjin-san!

Na wpeł przytomny pozwolił, żeby Mariko pomogła mu napić się sake. Eskortowana z przodu i z tyłu przez Szarych kolumna zatrzymała się, a Brązowi otoczyli zasłoniętą lektykę. Buntaro krzyknął coś do jednej ze służących, na co ta natychmiast wydobyła z pakunków któregoś z tragarzy flaszkę. Potem kazał straży przybocznej usunąć wszystkich od lektyki „Kiritsubo-san” i energicznym krokiem podszedł do Mariko.

- Czy pilotowi nic się nie stało? - spytał.

- Nie, nie, myślę, że nie - odparła.

Podszedł do nich Yabu. - Możemy jechać, kapitanie - rzekł swobodnie, chcąc się pozbyć dowódcy Szarych. - Zostawimy paru ludzi Mariko-san. A kiedy barbarzyńca dojdzie do siebie, ona i nasi żołnierze ruszą za nami.

- Z całym szacunkiem, Yabu-san, ale zostaniemy. Polecono mi doprowadzić was wszystkich bezpiecznie do statku. W jednej grupie - odparł dowódca Szarych.

Wszyscy spojrzeli na Blackthorne’a, bo zakrztusił się lekko winem.

- Dziękuję - wycharczał. - Nic już nam nie grozi? Kto jeszcze wie. .

- Nic już nam nie grozi! - przerwała mu z rozmysłem Mariko. Odwrócona plecami do kapitana, ostrzegła Blackthorne’a wzrokiem. - Nic ci już nie grozi, Anjin-san, i nie musisz się już niczego obawiać. Rozumiesz? Miałeś jakiś atak. Rozejrzyj się. . nic już ci nie grozi!

Blackthorne zrobił, jak mu powiedziała. Zobaczył kapitana Szarych i zrozumiał. Dzięki winu szybko odzyskiwał siły.

- Wybacz, senhora. Zdaje się, że wpadłem w popłoch. Z pewnością się starzeję. Często wpadam w szal, a potem nigdy nie pamiętam, co się działo. Mówienie po portugalsku wyczerpuje, prawda? - spytał, i przeszedł na łacinę. - Rozumiesz, pani?

- Niezawodnie.

- Czy ten język jest „dogodniejszy”?

- Zapewne - odparła z ulgą, iż zrozumiał, że należy zachować ostrożność, nawet rozmawiając po łacinie, która dla Japończyków, oprócz garstki osób w cesarstwie, bez wyjątku wyuczonych przez jezuitów i ściśle związanych ze stanem kapłańskim, była językiem niepojętym i nie do nauczenia. - Oba języki są trudne, każdy niesie niebezpieczeństwa.

- Komuż jeszcze wiadomo o tych „niebezpieczeństwach”?

- Mojemu mężowi i temu, który nami dowodzi.

- Jesteś pewna, pani?

- Widać to po obu.

Dowódca Szarych poruszył się niespokojnie i powiedział coś do Mariko.

- Pyta, panie, czy jest nadal niebezpieczny, czy należy ci skrępować ręce i nogi.

Odpowiedziałam mu, że twe porażenie już minęło.

- Tak - odparł Blackthorne, powracając do portugalskiego. - Często miewam ataki. Jeżeli ktoś uderzy mnie w twarz, wpadam w szal; Przepraszam. Nigdy nie pamiętam, co się dzieje w ich trakcie.

Wola boska.

Zobaczył, że kapitan wpatruje się uważnie w jego usta, i pomyślał: „Mam cię, draniu, założę się, że rozumiesz portugalski”.

Służąca Sono nachyliła głowę, trzymając ją przy zasłonkach.

- Bardzo przepraszam, Mariko-sama - powiedziała - ale pani pyta, czy temu szaleńcowi poprawiło się na tyle, żeby jechać dalej. Pyta, czy mogłabyś mu udostępnić swoją lektykę, bo jest zdania, że aby zdążyć na odpływ, musimy się pośpieszyć. Kłopoty, jakie nam sprawił ten wariat, tylko jeszcze bardziej ją przygnębiły. Ale ponieważ dobrze wie, że tylko bogowie zyskują na ludzi szaleństwo, pomodli się za jego wyzdrowienie i kiedy tylko znajdziemy się na statku, sama da mu środki, żeby się z tego wyleczył.

Mariko przełożyła te słowa.

- Tak - rzekł Blackthorne. - Czuję się już dobrze. Wstał i zachwiał się. Yabu rzucił komendę.

- Yabu-san mówi, że pojedziesz w lektyce, Anjin-san - oznajmiła Mariko, a kiedy zaczął protestować, uśmiechnęła się. - Ja naprawdę jestem bardzo silna i nie musisz się mną przejmować.

Będę szła przy tobie, tak żebyś mógł ze mną rozmawiać, jeśli zechcesz.

Pozwolił, żeby mu pomogli wsiąść do lektyki. Od razu ruszyli w drogę. Kołyszący się chód lektykarzy uspokajał, więc Blackthorne, wyczerpany, ułożył się na wznak. Zaczekał, aż dowódca Szarych pójdzie na czoło kolumny, a potem szeptem ostrzegł Mariko po łacinie: - Ten centurion rozumie tamten język.

- Tak. Sądzę, że po łacinie trochę też - odparła równie cichym szeptem. Przez chwilę szła w milczeniu. - Z powagą mówię, żeś jest dzielny, panie. Dziękuję ci za uratowanie go.

- Tyś, pani, jest dzielniejsza.

- Nie, to Pan Bóg postawił stopy me na twojej drodze i pozwolił mi być użyteczną. Jeszcze raz ci dziękuję - powiedziała.

- Jesteś dzielna i piękna.

Przez chwilę szła w milczeniu. Nikt dotąd nie nazwał mnie piękną. . nikt, pomyślała.

- Nie jestem dzielna i nie jestem piękna. Piękne są miecze, piękny jest honor.

- Piękna jest odwaga, a ty masz jej pod dostatkiem.

Mariko nie odpowiedziała. Przypomniała sobie dzisiejszy ranek, wszystkie niedobre słowa i niedobre myśli. Jak ktoś może być taki dzielny i taki głupi, taki delikatny i taki okrutny, taki serdeczny i taki obmierzły - i to jednocześnie? Anjin-san wykazał nieskończoną dzielność, odciągając uwagę Ishido od lektyki, wcieloną przebiegłość, udając szaleństwo i w ten sposób wybawiając pana Toranagę z pułapki. Jakże mądrze postąpił pan Toranaga organizując taką ucieczkę! Ale bądź ostrożna, Mariko, ostrzegła się. Myśl o swoim panu, a nie o tym cudzoziemcu.

Pamiętaj, jakim jest złem, i powstrzymaj tę wilgotną gorącość w swoich lędźwiach, której nigdy dotąd nie czułaś, gorącość, o której mówią kurtyzany i opisują w opowieściach i książkach poduszkowych.

- Tak - przyznała. - Odwaga jest piękna, i to ty masz jej pod dostatkiem. Łacina - dodała, przechodząc z powrotem na portugalski - to taki męczący język.

- Nauczyłaś się jej w szkole?

- Nie, Anjin-san, później. Po ślubie przez dłuższy czas mieszkałam daleko na północy. Jeśli nie liczyć służby i chłopów, to żyłam samotnie, a jedynymi książkami, jakie tam miałam, były portugalskie i łacińskie - trochę gramatycznych i religijnych, no i Pismo Święte. Dzięki nauce języków bardzo szybko mijał mi czas, a ponadto było o czym myśleć. Miałam dużo szczęścia.

- A gdzie był twój mąż?

- Na wojnie.

- Jak długo byłaś sama?

- Mamy takie powiedzenie, że czasu nie mierzy się jedną miarą, że czas może być jak mróz albo jak błyskawica, jak łza, jak obłęd, burza, zachód słońca, a nawet jak kamień.

- To mądre powiedzenie - rzekł i po chwili dodał: - Świetnie mówisz po portugalsku, senhora.

A po łacinie lepiej ode mnie.

- Schlebiasz mi, Anjin-san!

- Mówię honto!

Honto to dobre słowo. Honto jest, że kiedyś do tej wioski przybył chrześcijański ksiądz.

Byliśmy jak dwie zagubione dusze. Pozostał na cztery lata i ogromnie mi pomógł. Cieszę się, że umiem dobrze mówić powiedziała bez zrozumiałości. - Mój ojciec pragnął, żebym się uczyła języków.

- Dlaczego?

- Uważał, że powinniśmy znać diabła, z którym mamy do czynienia.

- Był mądrym człowiekiem.

- Nie, nie mądrym. .

- Dlaczego?

- Kiedyś opowiem ci tę historię. Jest smutna.

- Dlaczego byłaś sama aż tak długo?

- Czemu nie odpoczniesz? Przed nami długa droga.

- Chcesz jechać? - spytał i ponownie zaczął się podnosić, ale pokręciła przecząco głową.

- Nie, dziękuję. Zostań, gdzie jesteś, proszę. Spacer jest przyjemny.

- No dobrze. Więc nie masz chęci rozmawiać?

- Jeżeli sprawi ci to przyjemność, możemy rozmawiać. Co chcesz wiedzieć?

- Dlaczego byłaś aż tak długo sama?

- Mój mąż odesłał mnie. Raziła go moja obecność. Miał całkowite prawo tak postąpić. Sprawił mi zaszczyt, że się ze mną nie rozwiódł. A potem jeszcze większy zaszczyt tym, że przyjął mnie i naszego syna z powrotem. - Mariko spojrzała na Blackthorne'a. - Mój syn ma już piętnaście lat.

Jestem doprawdy wiekowa.

- Nie wierzę ci, senhora.

- Honto., A ile miałaś lat wychodząc za mąż?

- Jestem wiekowa, Anjin-san. Bardzo wiekowa.

Mamy powiedzenie: „Wiek jest jak mróz, jak obłężenie albo zachód słońca a czasem nawet jak kamień” - powiedział. Roześmiała się. Wszystko w niej jest takie pełne wdzięku, pomyślał, zauroczony jej powabem.

- Z wiekowością tą, czciogodna pani, jest ci bardzo do twarzy, Żadnej kobiecie nie jest z mą do twarzy.

- Jesteś pani równie mądrą, jak piękna.

Nie miał najmniejszych kłopotów z wypowiedzeniem tych łacińskich słów i choć zabraniały one bardziej ceremonialnie i władczo, to przy tym również zażyłej. Uważaj, ostrzegł się.

Nikt jeszcze nigdy nie nazwał mnie piękną, powtórzyła sobie w duchu Mariko. Chciałabym, żeby to była prawda.

- W Japonii nie jest mądrze zwracać uwagę na żonę innego mężczyzny - powiedziała. - Nasze zwyczaje są bardzo surowe. Na przykład, jeżeli mężatka znajdzie się sam na sam z mężczyzną w pokoju za zamkniętymi drzwiami, po prostu gdy są sami i rozmawiają na osobności, to jej mężowi, bratu męża albo jego ojcu przysługuje prawo natychmiastowego uśmiercenia jej. Jeśli dziewczyna jest niezamężna, to jej ojciec zawsze może zrobić z nią, co chce.

- To nie jest prawo sprawiedliwe ani cywilizowane - odparł Blackthorne i natychmiast pożałował tego błędu.

- Uważamy się za w pełni cywilizowanych, Anjin-san. - Mariko była rada, że znów ją uraził, gdyż popsuło to nastrój ich rozmowy i przekreślało jej zażyłość. - Mamy bardzo mądre prawa. Jest o wiele za dużo wolnych i nie związanych z nikim kobiet, żeby mężczyzna zabierał tę, która należy do innego. Na dobrą sprawę prawo to chroni kobiety. Kobieta ma obowiązki wyłącznie względem męża. Okaż cierpliwość, panie, a przekonasz się, jak cywilizowani i światli jesteśmy. Mają swoje miejsce kobiety, mają swoje miejsce mężczyźni. Mężczyźni wolno mieć tylko jedną oficjalną żonę -

za to, naturalnie, wiele konkubin - lecz z tego, co mi wiadomo, nasze kobiety cieszą się znacznie większą wolnością niż Hiszpanki i Portugalki. Możemy chodzić swobodnie, dokąd nam się podoba i kiedy nam się podoba. Jeżeli chcemy, to możemy opuścić swoich mężów, rozwieść się z nimi. Jeżeli chcemy, to od razu możemy odmówić poślubienia kogoś. Do nas należy nasz majątek i dobytek, nasze ciała i dusze. Jeżeli zechcemy, możemy mieć w ręku ogromną władzę. Kto troszczy się o cały twój majątek, o pieniądze, o twój dom?

- Ja, oczywiście.

- A tu o wszystko troszczy się żona. Pieniądze dla samuraja są niczym. Dla prawdziwego mężczyzny są niewarte splunięcia. Ja prowadzę wszystkie sprawy mojego męża. On podejmuje wszystkie decyzje. Ja natomiast spełniam jego życzenia i płacę rachunki. Dzięki temu może swobodnie wypełniać obowiązki wobec swojego pana, poza którymi nie ma żadnych innych. O tak, Anjin-san, musisz wykazać cierpliwość, zanim zaczniesz krytykować.

Nie miałem zamiaru krytykować was, senhora. Cała rzecz w tym, że my wierzymy w świętość ludzkiego życia, w to, że nikt nie może być lekką ręką uśmiercony bez postanowienia sądu.

Królewskiego sądu.

Nie pozwoliła się udobruchać.

- Mówisz o wielu sprawach, których nie rozumiem, senhor. Ale czy nie powiedziałeś o prawie „niesprawiedliwym i niecywilizowanym”?

- Tak.

- A to przecież jest krytykowanie, ne? Pan Toranaga polecił zwrócić ci uwagę, że nie uchodzi krytykować bez znajomości rzeczy. Musisz pamiętać, że nasza cywilizacja, nasza kultura liczą tysiące lat. Trzy tysiące z nich są udokumentowane. O tak, jesteśmy starożytnym ludem. Tak starożytnym jak Chińczycy. Ile lat liczy sobie wasza kultura?

- Niewiele, senhora.

- Nasz cesarz, Go-Nijo, jest sto siódmym cesarzem ze swojej nieprzerwanej dynastii, wywodzącej się w prostej linii od Jimmu-tenno, pierwszego mieszkańca Ziemi, który wywodzi się z pięciu pokoleń ziemskich duchów, a te z siedmiu pokoleń duchów niebiańskich pochodzących od Kuni-toko-tachino-Mikoto, pierwszego ducha, który pojawił się, kiedy Ziemia oddzieliła się od Nieba. Nawet Chiny nie mogą się pochwalić taką historią. Od ilu pokoleń wasi królowie władają waszym krajem?

- Nasza królowa jest trzecia z linii Tudorów, senhora. Ale jest już stara i bezdzietna, a więc ostatnia z rodu.

- Sto siedem pokoleń, Anjin-san, sięgających aż do bogów - powtórzyła z dumą.

Skoro w to wierzysz, senhora, jak możesz uważać siebie za katoliczkę?, Zobaczył jej zachnięcie, a potem wzruszenie ramionami.

- Chrześcijką jestem od dziesięciu lat, a zatem nowicjuską, więc chociaż wierzę w chrześcijańskiego Boga, w Boga Ojca, Syna i Świętego Ducha całym sercem, to nasz cesarz wywodzi się w prostej linii Od bogów albo Boga. Jest wiele rzeczy, których nie umiem wyjaśnić ani pojąć. Ale boskość naszego cesarza jest niepodważalna. Tak, jestem chrześcijką, ale przede wszystkim jestem Japonką.

Czy to jest klucz do was wszystkich? Że przede wszystkim jesteście Japończykami? -

zastanawiał się Blackthorne. Przyglądał się jej zdumiony tym, co usłyszał. Ich zwyczaje są niedorzeczne! - pomyślał. Dla prawdziwego mężczyzny pieniądze nie znaczą nic? To wyjaśnia, dlaczego podczas pierwszego spotkania Toranaga tak pogardliwie zareagował, gdy o nich wspomniałem. Sto siedem pokoleń? Niemożliwe! Natychmiastowa śmierć za całkiem niewinne przebywanie w zamkniętym pokoju z kobietą? To barbarzyństwo, jawna zachęta do morderstwa.

Oni zalecają i popierają mordy! Czyż nie tak powiedział Rodrigues? To właśnie zrobił Omi. Czyż po prostu nie zamordował tego wieśniaka? Rany boskie, od wielu dni nie myślałem, o Omim. Ani o tamtej wiosce. A także o piwnicy i o klęczeniu przed nim. Zostaw go, słuchaj jej, bądź cierpliwy, tak jak ci radzi, wypytaj ją, bo to ona dostarczy ci środków, dzięki którym przekonasz Toranagę do swojego planu. Toranaga niewątpliwie stał się teraz twoim dłużnikiem. Ocaliłeś go. On wie o tym, wszyscy wiedzą. Czyż Mariko nie podziękowała ci? Nie za uratowanie siebie, tylko jego.

Kolumna podążała przez miasto, kierując się w stronę morza. Zobaczył, że Yabu utrzymuje tempo marszu, i na chwilę w głowie znów rozbrzmiały mu wrzaski Pieterzoona.

- Nie wszystko naraz - mruknął pod nosem.

- Tak - mówiła właśnie Mariko. - Na pewno jest ci bardzo trudno. Nasz świat jest taki inny od waszego. Taki inny, ale tak mądrze urządzone. - W lektyce przed nimi dojrzała niewyraźną postać Tora-nagi i jeszcze raz podziękowała Bogu za jego ucieczkę. Jak wyjaśnić barbarzyńcy, kim jesteście, i jak pochwalić go za męstwo? Toranaga polecił udzielać mu wyjaśnień, ale jak? - Pozwól, że opowiem ci pewną historię, Anjin-san - powiedziała. - Kiedy byłam młoda, mój ojciec służył jako generał u daimyō Gorody. W owych czasach pan Goroda nie był jeszcze Wielkim Dyktatorem, ale daimyō, feudałem walczącym o władzę. Mój ojciec zaprosił Gorodę i jego najmożniejszych wasali na ucztę. W ogóle nie przyszło mu do głowy, że nie ma pieniędzy na zakup całego jadła, sake, naczyń z laki i tatami, jakich zwyczajowo wymaga taka wizyta. Nie myślał tylko, że moja matka źle zarządzała domem, bo-tak nie było. Każdy najmniejszy pieniążek z dochodów ojca szedł na jego podwładnych samurajów i chociaż wystarczało to na utrzymanie czterech tysięcy wojowników, to matka skąpiąc, oszczędzając i umiejętnie obracając pieniędzmi dokazywała tego, że ojciec mógł prowadzić do bitwy na chwałę naszego pana pięć tysięcy trzystu żołnierzy. Nam, rodzinie - matce, konkubinom ojca, moim braciom i siostram - ledwie starczało na jedzenie. Ale czy to się liczyło? Ojciec i jego żołnierze mieli najlepszą broń, najlepsze konie i nie szczydzili sił dla swojego pana. . Tak, brakło pieniędzy na tę ucztę, dlatego moja matka wybrała się do perukarzy w Kioto i sprzedała im swoje włosy. Pamiętam, że były jak ciemna rzeka i sięgały jej aż do początku pleców. Alę sprzedała je.

Perukarze obcięli je tego samego dnia i dali matce tanią perukę, ona zaś kupiła wszystko co trzeba i ocaliła honor mojego ojca. Jej obowiązkiem było zapłacić rachunki, więc je zapłaciła. Wypełniła swój obowiązek. Dla nas obowiązek jest najważniejszy.

- Co on powiedział, co powiedział twój ojciec, kiedy się o tym dowiedział?

- A co mógł innego powiedzieć, jak tylko podziękować jej? Miała obowiązek zdobyć pieniądze.

Ocalić jego honor.

- Z pewnością bardzo go kochała.

- Miłość to słowo chrześcijańskie, Anjin-san. Miłość to pojęcie chrześcijańskie, chrześcijański ideał. My nie znamy słowa „miłość” w takim znaczeniu, jakie nadajecie mu wy.

Obowiązek, lojalność, honor, szacunek, pożądanie - oto jakie słowa i pojęcia mamy i żadnych więcej

nam nie potrzeba.

- Spojrzała na niego i znów wbrew woli przeżyła chwilę, kiedy pilot uratował pana Toranagę, a tym samym jej męża. Pamiętaj zawsze, powiedziała sobie, że obaj byli w pułapce i gdyby nie ten człowiek, to już by nie żyli., Upewniła się, że nikogo nie ma w pobliżu, Dlaczego zrobiłeś to, co zrobiłeś? - zapytała.

- Nie wiem. Może dlatego.. - Blackthorne urwał. Tak wiele mógłby jej powiedzieć: „Może dlatego, że Toranaga był bezradny, a ja nie chciałem zostać posiekany na kawałki. . Dlatego, że gdyby go odkryto, wszyscy byśmy wpadli. . Ponieważ byłem świadom, że wiem o tym tylko ja i sam podjąłem ryzyko.. Dlatego że nie chciałem umierać. . za dużo jest do zrobienia, żeby marnować życie, a tylko jeden Toranaga może mi zwrócić statek i wolność”. Zamiast tego jednak odparł po łacinie: - Dlatego, że Pan Bóg przykazał oddać cesarzowi co cesarskie.

Zbliżyli się już do morza i mieli do niego pół mili. Blackthorne widział różne statki i portugalską fregatę z zapalonymi światłami kotwicznymi. Niezła zdobycz, pomyślał. Mając dwudziestu zawadiaków wziąłbym ją. Odwrócił się jeszcze raz w stronę Mariko. Dziwna kobieta z dziwnej rodziny. Dlaczego zraziła do siebie Buntaro, tego pawiana? Jak mogła kogoś takiego poślubić, z kimś takim spać? Co to za „smutna historia”?

- Senhora - odezwał się, zachowując delikatny ton - twoja matka była z pewnością niezwykłą kobietą, skoro się na coś takiego zdobyła.

- Tak. Ale dzięki temu, co zrobiła, będzie żyć wiecznie. Przeszła do legendy. Była samurajką. .
podobnie jak mój ojciec był samurajem.

- Myślałem, że samurajami są tylko mężczyźni.

- G, nie, Anjin-san. Mężczyźni i kobiety są na równi samurajami, wojownikami i mają obowiązki wobec swoich panów. Moja matka była prawdziwą samurajką, a jej poczucie obowiązku wobec męża prześcignęło wszystko.

- Czy mieszka z tobą?

- Nie. Ani ona, ani mój ojciec, ani bracia, ani siostry, ani nikt z rodziny. Jestem ostatnia z mojego rodu.

- Wydarzyła się jakaś katastrofa? - Mariko nagle ogarnęło zniechęcenie. - Dość mam mówienia po łacinie i tym wstrętne brzmiącym portugalskim, dość mam roli nauczycielki, powiedziała w duchu. Nie jestem nią. Jestem wyłącznie kobietą, która zna swoje obowiązki i chce je spokojnie wypełniać. Nie chcę więcej podobnej zażyłości i dotrzymywania towarzystwa mężczyźnie, który tak bardzo wytrąca mnie z równowagi. W ogóle nie chcę mieć z nim do czynienia.

- W pewnym sensie to była katastrofa, Anjin-san - odparła. - Kiedyś ci o tym opowiem.

Trochę przyspieszyła kroku i odeszła, zbliżając się do drugiej lektyki. Dwie służące uśmiechnęły się

do niej nerwowo.

- Daleko jeszcze, Mariko-san? - spytała Sono.

- Mam nadzieję, że już niedaleko - pocieszyła ją.

Nagle z mroku po drugiej stronie lektyki wyłonił się dowódca Szarych. Zastanawiała się, ile podsłuchał z jej rozmowy z pilotem.

- Dać ci kagę, Mariko-san? Nie zmęczyłaś się? - spytał.

- Nie, nie, dziękuję. - Celowo zwolniła kroku, odciągając go od lektyki Toranagi. - Wcale się nie zmęczyłam.

- Czy ten barbarzyńca zachowuje się właściwie? Nie sprawia ci kłopotu?

- Och, nie. Już chyba całkiem ochłonał.

- O czym rozmawialiście?

O rozmaitych rzeczach. Próbowałam wyjaśnić mu niektóre z naszych praw i obyczajów. -

Pokazała ręką za siebie, na zamkową wieżę, rysującą się wyraźnie na tle nieba. - Pan Toranaga prosił mnie, żebym postarała się trochę go oświecić.

- Ach tak, pan Toranaga. - Dowódca obrzucił wzrokiem zamek, a potem jeszcze raz Blackthorne'a. - Dlaczego pan Toranaga tak się nim interesuje;, pani?

- Nie wiem. Przypuszczam, że z powodu jego niezwykłości.

Skręcili za róg w następną ulicę z domami w ogrodach otoczonych murami. Ludzi było tu niewiele. Dalej rozciągały się nabrzeża i morze. Ponad zabudowaniami wyrastały maszty, a powietrze było przesycone wonią wodorostów.

- O czym rozmawialiście?

- Barbarzyńcy mają bardzo dziwne wyobrażenia. Bez przerwy myślą o pieniądzach.

- Powiadają, że cały ich naród to sami plugawi handlarze i piraci. Nie ma wśród nich samurajów. Co chce z nim zrobić pan Toranaga?

- Bardzo mi przykro, ale nie wiem.

- Powiadają, że to chrześcijanin, że podaje się za chrześcijanina. Jest nim?

- Jest, ale nie takim, jak my, kapitanie. Jesteś, - panie, chrześcijaninem? Chrześcijaninem jest mój pan, więc ja również. Moim panem jest pan Kiyama.

- Mam zaszczyt dobrze go znać. Wyświadczył honor mojemu mężowi, zaręczając jedną ze swoich wnuczek z moim synem.

- Tak, Wiem, pani Toda.

- Czy pan Kiyama czuje się już lepiej? Podobno lekarze zabronili mu widywać się z kimkolwiek.

- Nie widziałem go od tygodnia. Nikt z nas go nie widział. Może cierpi na chiński przymiot.

Boże, uchronij go od tego i ukarż wszystkich Chińczyków! - Kapitan utkwił wzrok w Blackthornie. -

Lekarze mówią, że to ci barbarzyńcy przywieźli ową zarazę do Chin, do Makau, a stamtąd do naszych wybrzeży.

- Sumus omnes in manu Dei - powiedziała. „Wszyscyśmy w rękach Boga”.

- Iita, amen - odparł bezwiednie kapitan, wpadając w zastawioną pułapkę.

Wpadka ta nie uszła uwagi Blackthorne'a, ujrzał błysk gniewu na twarzy Japończyka i usłyszał, jak cedzi coś przez zęby do Mariko, która zaczerwieniła się i też zatrzymała. Blackthorne wy dostał

się z lektyki i cofnąwszy się zbliżył do nich.

- Jeśli władasz łaciną, centurionie, to może wyświadczysz mi grzeczność i porozmawiasz trochę ze mną - rzekł. - Z wielką chęcią usłyszę o twoim wielkim kraju.

- Tak, cudzoziemcze, umiem się wysławić w twoim języku.

- To nie jest mój język, centurionie, lecz kościelny, także język wszystkich wykształconych ludzi na świecie. . Dobrze nim mówisz. Jak i kiedy się go nauczyłeś?

Przyglądali się im wszyscy samuraje z mijającego ich orszaku, tak Szarzy, jak Brązowi. Idący przy lektyce Toranagi Buntaro zatrzymał się i obejrzał. Kapitan stał przez chwilę niezdecydowany, po czym znowu ruszył. Mariko była zadowolona, że podszedł do nich Blackthorne. Przez moment szli w milczeniu.

- Centurion płynnie, wspaniale mówi tym językiem, prawda? - Blackthorne zagadnął Mariko., Tak, w samej rzeczy. Czy łaciny nauczyłeś się w seminarium, centurionie?

- Ty też mówisz wspaniale, cudzoziemcze - odparł chłodno kapitan, puszczając mimo uszu pytanie Mariko i ze wstrętem przypominając sobie seminarium w Makau, do którego jako dziecku kazał mu wstąpić Kiyama, żeby uczył się języków. - Skoro już możemy rozmawiać bezpośrednio, to odpowiedz mi wprost, czemuś zadał tej damie pytanie: „Kto jeszcze wie? .” Kto jeszcze wie o czym?

- Nie przypominam sobie. Mówiłem od rzeczy.

- Aha, a więc od rzeczy? Więc czemuś powiedział „co cesarskie cesarzowi”?

- To był zwykły żart. Rozprawiałem z tą damą, która opowiada pouczające historie, czasem bardzo trudne do zrozumienia.

- Tak, wiele jest do zrozumienia. Co cię tak rozwścieczyło tam przy bramie? I dlaczegoś tak szybko doszedł do siebie po tym ataku?

- Bóg się nade mną zlitował.

Znowu szli koło lektyki, kapitan był rozgniewany, że tak łatwo dał się schwytać w pułapkę.

Jego władca, pan Kiyama, ostrzegł go przed bezgraniczną przebiegłością tej kobiety. „Pamiętaj, że przez całe życie chodzi z piętnem zdrady, a ten pirat to diabelski pomiot Szatana. Patrz, słuchaj i zapamiętuj. Może sama się zdradzi i stanie się dodatkowym świadkiem oskarżenia przeciwko Toranadze, zeznając na korzyść regentów. Zabij pirata w chwili, gdy wpadną w zasadzkę”.

I wtedy z wieczornego mroku wyleciały strzały. Pierwsza z nich przeszła gardło kapitana, a kiedy czuł, jak w piersiach rozlewa mu się ogień i dławi go śmierć, jego ostatnią myślą było zdziwienie, ponieważ zasadzkę miano zastawić nie tutaj, na tej ulicy, tylko dalej, przy nabrzeżach, i zaatakować nie jego, lecz pirata.

Następna strzała wbiła się w słupek lektyki o cal od głowy Blackthorne’a. Dwie strzały przebiły przednią zasłonę palankinu Kiritsubo, a kolejna ugodziła w brzuch służącą Asę. Na krzyk dziewczyny tragarze upuścili lektyki i wzięli nogi za pas, znikając w ciemnościach. Blackthorne przeokoziółkował

w poszukiwaniu schronienia, pociągnął z sobą Mariko, kryjąc się za przewróconą lektyką” a Szarzy i Brązowi rozpięchli się. Na obie lektyki spadł grad strzał. Jedna z głuchym odgłosem wbiła się w ziemię tam, gdzie przed chwilą stała Mariko. Buntaro jak tylko mógł osłaniał ciałem palankin Toranagi, a w jego składającej się z kolczugi, skóry i bambusa zbroi utkwiała strzała. Kiedy zaś deszcz strzał ustał, skoczył do zasłon i gwałtownie je rozsunął. W piersi Toranagi sterczały dwie strzały, ale nie wyrządziły mu krzywdy. Wyszarpnął ich zadziory z okrywającej go zbroi, którą nosił

pod kimonem, a potem zdarł z głowy szeroki kapelusz i perukę. Buntaro rozejrzał się w mroku, wypatrując wrogów baczy, że strzałą w łuku, a Toranaga wyplątał się z zasłon, wyciągnął spod narzuty miecz i poderwał się na nogi. Mariko zaczęła czołgać się, chcąc mu przyjść z pomocą, ale Blackthorne przyciągnął ją z powrotem do siebie, ostrzegając krzykiem, bo na lektyki z obu stron ulicy znów posypały się strzały, które zabiły dwóch Brązowych i Szarego. Jedna przeszła tak blisko Blackthorne’a, że otarła mu skórę na policzku. Inna przygwoździła mu skraj kimona do ziemi. Służąca Sono klęczała przy wijącej się na ziemi rannej Asie, która mężnie powstrzymywała się od krzyku. W

tym momencie Yabu wskazał ręką i zaatakował. Na krytym dachówką dachu majaczyły jakieś postacie. Z ciemności wyleciał ze świstem ostatni grad strzał, jak poprzednie wymierzonych w lektyki, a Buntaro wraz z innymi Brązowymi zagrodzili im dostęp do Toranagi. Jeden samuraj zginął.

Buntaro mruknął z bólu, gdyż strzała trafiła dokładnie w szczelinę w jego naramienniku. Yabu,

Brażowi i Szarzy, którzy puścili się w pogoń, dopadli ściany domu, ale napastnicy zniknęli już w ciemnościach. Wprawdzie tuzin Brażowych i Szarych popędził do rogu ulicy, żeby im odciąć drogę, jednak wszyscy zdawali sobie sprawę, że to nic nie da. Blackthorne podniósł się i pomógł wstać Mariko. Była roztrzęsiona, ale nic się jej nie stało.

- Dziękuję - powiedziała i pobiegła do Toranagi, chcąc dopomóc w ukryciu go przed Szarymi.

Buntaro krzychał do swoich samurajów, żeby zgasili pochodnie koło lektyk. I wówczas jeden z Szarych powiedział „Toranaga!”, co prawda cicho, lecz usłyszeli go wszyscy.

W migotliwym świetle pochodni pokryta makijażem, rozmazana od smug potu twarz Toranagi wyglądała groteskowo.

Jeden z oficerów Szarych uklonił mu się pośpiesznie. Nie do wiary, ale oto stał przed nim, na wolności i poza murami zamku, wróg jego pana!

- Zaczekasz tutaj, panie Toranaga. A ty zameldujesz się natychmiast u pana Ishido - wydał rozkaz jednemu ze swoich podwładnych, który zaraz potem puścił się biegiem.

- Zatrzymaj go - rzekł cicho Toranaga.

Buntaro wypuścił dwie strzały. Goniec upadł i skonał. Oficer błyskawicznie wyciągnął

oburęczny miecz i z bojowym okrzykiem rzucił się na Toranagę, ale przygotowany na to Buntaro odparował cios. Przemieszani ze sobą Brażowi i Szarzy jednocześnie wydobyli miecze i odskoczyli na wolną przestrzeń. Ulica zakłębiła się od walczących. Buntaro i oficer Szarych okazali się przeciwnikami godnymi siebie, robiąc finty i zadając cięcia. Nagle z roju walczących wyrwał się jakiś Szary i zaatakował Toranagę, lecz Mariko błyskawicznie chwyciła pochodnię, podbiegła i dźgnęła nią napastnika w twarz. Buntaro przeciął walczącego z nim samuraja na pół, okręcił się, przeciął następnego i jeszcze jednego, który zamierzał dopaść Toranagę. Równocześnie Mariko z wyciągniętym mieczem w ręku uskoczyła w bok, nawet na chwilę nie spuszczając z oczu Toranagi i jego straszliwego przybocznego adiutanta.

Czterej Szarzy zgrupowali się i razem ruszyli na Blackthorne'a, który w dalszym ciągu tkwił

przy lektyce. Bezradnie patrzył, jak się zbliżają. Yabu z jakimś Brażowym, zaciekle walcząc, rzucili się mu na odsiecz. Blackthorne odskoczył, chwycił pochodnię i kręcąc nią niczym buzdyganem chwilowo wybił napastników z konceptu. Yabu zabił jednego z nich, drugiego okaleczył i w tej chwili nadbiegło czterech Brażowych, by rozprawić się z pozostałymi dwoma Szarymi. Yabu z rannym Brażowym ponowili atak, chroniąc Toranagę. Blackthorne pobiegł naprzód, podniósł z ziemi długi ni to miecz ni włócznię i pędem wrócił w pobliże Toranagi. W trakcie całej tej głośnej potyczki jedynie Toranaga stał nieporuszony, z mieczem w pochwie.

Szarzy walczyli dzielnie. Czterech ruszyło do samobójczej szarży na Toranagę. Przeszkodzili im w tym Brażowi i wzięli nad nimi górę. Szarzy przegrupowali się i zaatakowali jeszcze raz. A potem ich dowódca, rozkazał trzem z nich wycofać się po pomoc, reszcie zaś osłaniać ich odwrót.

Trzej Szarzy umknęli co tchu w piersiach i chociaż ruszono w pogoń, a Buntaro jednego zastrzelił, to dwóch uciekło.

Pozostali zginęli.

Posuwali się spiesznie przez wymarłe boczne ulice, okreśną trasą zdążając do nabrzeża i galery. Było ich dziesięcioro - prowadził Toranaga, a za nim szli Yabu, Mariko, Blackthorne i sześciu samurajów. Reszta pod dowództwem Buntaro została wysłana wraz z lektykami i bagażami zaplanowaną trasą z poleceniem, żeby bez pośpiechu zdążali w stronę statku. W jednej z lektyk znajdowały się zwłoki służącej Asy. Podczas chwilowej przerwy w trakcie potyczki Blackthorne wyciągnął jej z ciała strzałę z zadziarami. Toranaga ujrzał ciemną krew, która buchnęła w chwilę później z rany, i ze zdziwieniem patrzył, jak pilot przytula dziewczynę, zamiast pozwolić jej na spokojną, godną śmierć na osobności, a potem, po ustaniu walk, delikatnie układa ją w lektyce.

Służąca była dzielna i w ogóle nie jęczała, tylko wpatrywała się w niego aż do chwili śmierci.

Toranaga pozostawił ją w zasłoniętej lektyce na przynętę, w drugiej zaś, również jako przynętę, umieszczono któregoś z rannych.

Z pięćdziesięciu Brązowych tworzących eskortę zginęło piętnastu, a jedenastu odniosło śmiertelne rany. Jedenastka ta prędko i szlachetnie przeniosła się do Wielkiej Pustki, trzech zrobiło to własnoręcznie, ośmiu pomógł w tym na ich prośbę Buntaro. Załatwiwszy to Buntaro zebrał

resztę wokół zasłoniętych lektyk i ruszyli. Na ziemi pozostało czterdziestu ośmiu Szarych.

Toranaga zdawał sobie sprawę, jak bardzo narażony jest na atak, ale był zadowolony. Jeśli zważyć zmienność sytuacji, wszystko poszło dobrze, pomyślał. Jakże ciekawe jest życie! Z początku uznałem za zły omen to, że pilot zauważył, jak zamieniam się miejscami z Kiri. Ale potem uratował

mnie, doskonale odegrawszy szaleńca, i to dzięki niemu uciekliśmy Ishido. Uwzględniłem w planach pojawienie się Ishido na dziedzińcu, ale nie przy głównej bramie. Była to nierozwaga z mojej strony.

Dlaczego on się tam pojawił? Taka ostrożność jest do niego niepodobna. Kto mu doradzał? Kiyama?

Onoshi? A może Yodoko? Kobieta, z gruntu praktyczna, byłaby. . mogłaby podejrzewać taki fortel.

Plan ten - nagłej, potajemnej ucieczki - był dobry i powziął go przed wieloma tygodniami, gdyż było oczywiste, że Ishido będzie dążył do uwięzienia go w zamku, nastawi przeciwko niemu pozostałych regentów jakimikolwiek obietnicami, chętnie poświęci zakładniczkę w Edo, panią Ochibę, i zrobi wszystko, byleby tylko zatrzymać go pod strażą aż do ostatecznej narady regentów, podczas której nie dadzą mu wyjścia, oskarżą o zdradę i zgładzą.

- Ale przecież oni i tak cię oskarżą! - powiedział Hiro-matsu wczoraj wieczorem tuż po zmierzchu, kiedy Toranaga wezwał go, by wyjaśnić mu, co się szykuje i dlaczego wahał się z decyzją.

- Nawet jeżeli uciekniesz, to regenci oskarżą cię za twoimi plecami równie łatwo, jak w twojej obecności. Tak więc będziesz musiał popełnić seppuku, kiedy ci rozkażą, a rozkażą ci to zrobić na pewno.

- Tak - przyznał mu. - Gdyby czterech regentów głosowało przeciwko mnie, to jako przewodniczący Rady byłbym do tego zmuszony. Ale tu. . - wydobył z rękawa zwinięty pergamin - tu jest moja oficjalna rezygnacja z członkostwa w Radzie. Oddasz ją Ishido, kiedy moja ucieczka się wyda.

- Co takiego?

- Jeżeli rezygnuję, to przestaje mnie obowiązywać przysięga regencka. Ne? Taikō przecież nigdy nie zabraniał mi zrezygnować, ne? To również oddasz Ishido.

Wręczył Hiro-matsu stempel, urzędową pieczęć przewodniczącego Rady.

- W ten sposób zostajesz całkiem sam. Jesteś zgubiony!

Mylisz się! Posłuchaj, taikō w testamencie powierzył władzę pięciu regentom. Ale pozostanie tylko czterech. Żeby być w zgodzie z prawem, tych czterech, zanim będzie mogło skorzystać z mandatu cesarskiego, musi wybrać albo mianować piątego, nowego członka Rady, ne? Ishido, Kiyama, Onoshi i Sugiyama muszą się ze sobą zgodzić, ne? Czyż nowy regent nie musi być zaakceptowany przez nich wszystkich? Oczywiście, że tak! A więc, stary druhu, z kim że to ci wrogowie zgodzą się podzielić najwyższą władzą? No? Kiedy zaś będą się kłócili, żadne decyzje nie zapadną, a. .

- A my będziemy przygotowywać się do boju, ty nie będziesz miał dłużej związanych rąk, tu kapniesz trochę miodu, ówdzie żółci, te hemoroidalne srajdupce zaś pożrą się nawzajem! -

dopowiedział prędko Hiro-matsu. - Och, Yoshi Toranaga-no-Minowara, tyś jest mąż nad męża!

Niechże zjem własny tyłek, jeśliś nie jest najmądrzejszym człowiekiem w tym kraju, panie!

Tak, plan był dobry, pomyślał Toranaga, i wszyscy dobrze odegrali swoje role: Hiro-matsu, Kiri i moja miła Sazuko. A teraz siedzą zamknięci na cztery spusty i tak już pozostanie, chyba że pozwolą im wyjechać. Sądzę jednak, że nigdy nie pozwolą.

Szkoda byłoby mi ich utracić.

Z trudem oderwał wzrok od zamku, skręcił za jeszcze jeden róg i prędkim krokiem wszedł w labirynt uliczek. Po jakimś czasie zatrzymał się przed wysłużoną bramą. Na jej deskach wryto rybę. Zapukał umówionym szyfrem. Drzwi otworzyły się od razu.

- Tak, wielmożny panie? - powitał go natychmiast z ukłonem niechlujny samuraj.

- Weź swoich ludzi i idźcie za mną - polecił Toranaga i ruszył.

- Z ochotą.

Samuraj ów nie nosił mundurowego kimona Brązowych, a tylko nie pasujące do siebie łachy ronina, był wszakże członkiem doborowej elity tajnych oddziałów, które Toranaga przemycił do Osaki na wypadek nagłej potrzeby. Piętnastu ludzi, podobnie odzianych i jednakowo świetnie uzbrojonych, podążyło za nim i szybko zajęło miejsca, tworząc przednią i tylną straż, inni zaś rozbiegli się, żeby

zaalarmować resztę tajnej kadry Toranagi. Wkrótce znalazło się przy nim pięćdziesięciu wojowników. Dalszych stu osłaniało go na flankach. Jeszcze tysiąc byłoby gotowych, w razie potrzeby, o świcie. Uspokoił się i zwolnił kroku wyczuwając, że pilot i Mariko zbyt szybko się męczą. A byli mu potrzebni w pełni sił.

*

Toranaga stał w cieniu składu handlowego, uważnie przypatrując się galerze, nabrzeżu i podwodziu. Towarzyszyli mu Yabu i samuraje. Pozostali, zbici w gromadkę, czekali sto kroków dalej w uliczce.

Kilkaset kroków od niego, na drugim końcu pasa ubitej ziemi, co wykluczało atak z zaskoczenia, przy trapie na galerę warował oddział złożony ze stu Szarych. Galera cumowała obok przy wspornikach wpuszczonych w kamienne nabrzeże, które wychodziło sto jardów w morze.

Wiosła na niej spoczywały porządnie w dulkach, a na pokładzie majaczyły liczne postacie marynarzy i wojowników.

- To nasi samuraje czy ich? - spytał cicho Toranaga.

- Za daleko, żeby mieć pewność - odparł Yabu.

Woda była wysoka. Za galerą dopływały do brzegu i odpływały nocne łodzie rybackie z zapalonymi latarniami, które były pomocne przy łowieniu ryb i służyły jako światła kotwiczne. Na wybrzeżu po północnej stronie stały szeregiem wyciągnięte na brzeg rozmaitych rozmiarów łodzie, przy których krzżeli się rybacy. Pięćset kroków na południe, przy jeszcze jednym kamiennym nabrzeżu cumowała portugalska fregata Santa Theresa. Grupki tragarzy pracowicie wносиły na nią w świetle pochodni beczki i bele. W pobliżu koczowała niedbale inna duża grupa Szarych. Nie było w tym nic niezwykłego, ponieważ wszyscy Portugalczycy i wszystkie zagraniczne statki w porcie znajdowały się na mocy prawa pod stałą obserwacją. Portugalskie jednostki wpływały i wypływały swobodnie tylko z portu w Nagasaki.

Gdyby jeszcze bardziej zaostrzyć środki bezpieczeństwa, spokojniej spalibyśmy wszyscy w nocy, pomyślał Toranaga. Ale czy po skrępowaniu ich handlu nadal rozwijałaby się nasza wymiana handlowa z Chinami?

Oto pułapka, w którą pochwycili nas Południowi Barbarzyńcy i z której nie ma wyjścia w sytuacji, kiedy na Kiusiu rządzą chrześcijańscy daimyō, a księża są niezbędni. Najlepiej postępować tak jak taikō. Pójść wobec barbarzyńców na małe ustępstwo, potem zaś udać, że im się to odbiera, i spróbować ich nastraszyć wiedząc, że bez handlu z Chinami nie da się żyć.

- Za twoim pozwoleniem, panie, ja zaatakowałbym natychmiast - szepnął samuraj Toranagi.

- Nie radziłbym tego - powiedział Yabu. - Nie wiemy, czy na pokładzie są nasi. A poza tym tutaj dookoła może być ukrytych tysiąc ludzi. Tamci - wskazał na Szarych przy portugalskim statku

- podnieśliby alarm. Za nic nie zdołalibyśmy dostać się na galerę i odpłynąć, bo zdążyliby nas zatrzymać. Potrzebowalibyśmy dziesięć razy więcej ludzi niż mamy.

- Generał Ishido wkrótce się o nas dowie - rzekł samuraj. - A wtedy cała Osaka zaroi się od takiej masy naszych wrogów, że będzie ich więcej niż much na polu walki tuż po bitwie. Z tymi na flankach mam stu pięćdziesięciu ludzi, To wystarczy.

- Nie dla zapewnienia bezpieczeństwa. Nie wystarczy, jeżeli nasi żeglarze nie są gotowi przy wiosłach. Lepiej w jakiś sposób odwrócić ich uwagę, odciągnąć stamtąd tych Szarych oraz wszystkich, którzy siedzą w ukryciu. I tamtych.

Yabu wskazał na samurajów przy fregacie.

- Co mogłoby odwrócić ich uwagę? - spytał Toranaga.

- Pożar tej ulicy.

- To niemożliwe! - zaprotestował osłupiały samuraj. Podpalenie było przestępstwem karanym publicznym spaleniem całej rodziny winowajcy, wszystkich jej pokoleń. Prawo karało je jak najsurowiej, ponieważ ogień był największym zagrożeniem dla każdej wioski, miasteczka i miasta w cesarstwie. Z wyjątkiem dachówek na niektórych domach siedziby Japończyków wykonane były całkowicie z drewna i papieru. Każdy dom, każdy skład towarów, każda szopa i każdy pałac były niczym hubka i krzesiwo. - Nie wolno nam podpalić tej ulicy!

- Co jest ważniejsze: zniszczenie kilku ulic czy śmierć naszego pana? - zadał pytanie Yabu.

- Ten pożar się rozszerzy, Yabu-san. Nie wolno nam spalić Osaki. Tu mieszka milion ludzi. .
więcej!

- Czy to jest twoja odpowiedź na moje pytanie?

- Wielmożny panie - zwrócił się pobladły samuraj do Toranagi - wypełnię każdy twój rozkaz.

Czy chcesz, żebym to zrobił?

Toranaga popatrzał na Yabu.

Daimyō z lekceważeniem wskazał kciukiem na miasto.

- Dwa lata temu połowa tego miasta poszła z dymem i spójrzcie, jak dzisiaj wygląda. Pięć lat temu był tu Wielki Pożar. Ile setek tysięcy straciło wtedy życie? A poza tym, czy to ważne?

Przecież tam mieszkają tylko sklepikarze, kupcy, rzemieślnicy i eta. Osaka to nie chłopska wioska.

Toranaga przez jakiś czas oceniał wiatr. Uznał, że jest lekki i że nie roznieci pożaru. Być może. Ale pożar zbyt łatwo mógł się przemienić w płonące piekło, które pochłonie całe miasto. Z

wyjątkiem zamku. Och, gdyby tak pożar strawił tylko zamek, nie zawahałbym się ani chwili,

pomyślał.

Obrócił się na pięcie i wrócił do pozostałych.

- Mariko-san, weź pilota, sześciu naszych samurajów i idźcie do galery. Udajcie popłoch.

Powiedzcie Szarym, że była zasadzka, którą zastawili bandyci albo roninowie, nie wiecie tego na pewno. Opowiedz im, co się stało, że dowódca eskorty Szarych wysłał cię pilnie przodem, byś wezwała tych stu samurajów na pomoc, bo trwa zażarty bój, Kiritsubo chyba została zabita albo ranna. . więc prosisz, by się pośpieszyli. Jeżeli zrobisz to przekonująco, to odciągniesz stąd większość z nich.

- Doskonale rozumiem, wielmożny panie.

- No a potem, bez względu na to, co zrobią Szarzy, wejdiesz z pilotem na pokład. Jeżeli są tam nasi żeglarze, a statek jest przygotowany i dla nas bezpieczny, wróć do trapu i udaj, że mdlejesz. - Wzrok Toranagi spoczął na Blackthornie. - Powiedz mu, co chcesz zrobić, ale nie mów mu o zemdleńiu.

Odwrócił się, żeby Wydać rozkazy reszcie swoich ludzi i specjalne poufne instrukcje sześciu samurajom.

Kiedy skończył, Yabu odciągnął go na stronę.

- Dlaczego odsyłasz barbarzyńcę? - spytał. - Gzy nie bezpieczniej byłoby zostawić go tu?

Bezpieczniej dla ciebie.

- Bezpieczniej dla niego, Yabu-san, ale nie dla mnie. Jest dobrą przynętą.

- Podpalenie tej ulicy byłoby jeszcze bezpieczniejsze.

Owszem., Lepiej, żeby Yabu był po mojej stronie, niż po stronie Ishido, pomyślał Toranaga.

Cieszę się, że nie kazałem mu wczoraj skoczyć z tej wieży.

- Wielmożny panie?

- Tak, Mariko-san?

Przepraszam, ale Anjin-san pyta, co będzie, jeżeli ten statek jest w ręku wroga., - Powiedz mu, że jeżeli nie czuje się na siłach, to nie musi z tobą iść.

Blackthorne pohamował gniew, kiedy przełożyła mu słowa Toranagi.

- Powiedz panu Toranadze, że jego plan nie jest odpowiedni dla kobiety, że powinnaś zostać tutaj. Jeżeli tam wszystko jest w porządku, to dam znak.

Tego nie mogę zrobić, Anjin-san, nie taki był rozkaz mojego pana - odparła stanowczo Mariko.

- Każdy jego plan jest z pewnością bardzo mądry.

Blackthorne zdał sobie sprawę, że spieranie się z nią nie ma sensu. A bodaj diabli waszą zatwardziałą, krwiożerczą wyniosłość, pomyślał. Ale, Boże Świąty, jacy oni odważni! Ci Japończycy i ta Japonka.

Kiedy Wpadli w zasadzkę, przyglądał się Mariko, jak z długim samurajskim mieczem, który był niemal jej wysokości, stoi gotowa walczyć za Toranagę na śmierć i życie. Widział, jak raz - i to po mistrzowsku - użyła go. Wprawdzie Buntaro zabił jej przeciwnika, jednakże ułatwiła mu to, zmuszając tamtego do cofnięcia się. Na jej rozdartym w kilku miejscach kimonie nadal widniała krew, a twarz miała pobrudzoną.

- Gdzie się nauczyłaś władać mieczem, pani? - spytał, kiedy ruszyli szybko w stronę portu.

- Trzeba ci wiedzieć, że wszystkie samurajki bardzo wcześnie są uczone posługiwania się nożem w obronie własnej czci i czci ich panów - odparła rzeczowo i pokazała mu sztylet, bezpiecznie ukryty w obi i gotów do natychmiastowego użycia. - Ale część z nas, niewiele, uczy się również władania mieczem i włócznią. Niektórzy ojcowie uważają, że córki, tak jak synowie, muszą być przygotowane do walki - za swoich panów. Naturalnie niektóre kobiety są bardziej wojownicze od innych i lubią iść do boju wraz z mężami i ojcami. Do takich należała moja matka. Moi rodzice uznali, że powinnam umieć posługiwać się mieczem i włócznią.

- Gdyby ten dowódca Szarych nie stał na drodze, to ta pierwsza strzała trafiłaby prosto w ciebie - powiedział Blackthorne.

- W ciebie, Anjin-san - odparła z wielkim przekonaniem. - Ale ocaliłeś mi życie, odciągając mnie w bezpieczne miejsce.

Przypatrując się jej, uświadomił sobie, że nie chciałby, aby spotkało ją coś złego.

- Pozwól, że ja pójdę z tymi samurajami, Mariko-san - powie-, dział. - Ty zostań tutaj. Proszę cię.

- To niemożliwe, Anjin-san.

- W takim razie chcę dostać nóż. A jeszcze lepiej dwa.

Przełożyła tę prośbę Toranadze, ten zaś wyraził zgodę. Blackthorne wsunął jeden nóż za pas, pod kimono. Drugi przywiązał trzonkiem w dół po wewnętrznej stronie przedramienia paskiem jedwabiu oddartym od brzegu kimona.

- Mój pan pyta, czy wszyscy Anglicy noszą w rękawach ukryte noże.

- Nie. Ale nosi je większość marynarzy.

- To nie jest tu przyjęte. . ani u Portugalczyków - powiedziała.

- Najlepiej ukryć zapasowy nóż w bucie. Wtedy można komuś paskudnie zaszkodzić. W razie potrzeby.

Kiedy to przełożyła, Blackthorne zauważył baczne spojrzenie Tora-nagi i Yabu, wyczuwając, iż nie podoba im się myśl, że jest uzbrojony. To, dobrze, pomyślał. Może jednak uda mi się zachować broń.

Zastanawiał się jeszcze raz nad Toranagą. Kiedy odparto napaść z zaskoczenia i zabito Szarych, Toranagą za pośrednictwem Mariko podziękował mu w obecności wszystkich Brązowych za „wierność”. Nic poza tym: żadnych obietnic, umów, nagród. Blackthorne wiedział jednak, że te przyjdą później. Stary mnich wyjaśnił mu, że Japończycy wynagradzają jedynie za wierność.

„Wierność i wypełnianie obowiązku, senhor - powiedział. - Oto co oni czczą - bushido. Podczas gdy my oddajemy życie za naszego Boga, Jego Błogosławionego Syna Jezusa i za Marię Matkę Bożą, te zwierzęta poświęcają się dla swoich panów i giną jak psy. Pamiętaj, senhor, dla zbawienia twojej duszy, że to zwierzęta”.

To nie zwierzęta, pomyślał Blackthorne. A poza tym większość «z tego, co mi powiedziałaś, ojczec, jest omyłką i przesadą fanatyka.

- Musimy dać jakiś znak, żeby wiedzieli, czy galera jest bezpieczna czy nie - powiedział do Mariko.

Ponownie przełożyła jego słowa, tym razem w dobrej wierze.

- Pan Toranagą mówi, że zrobi to jeden z jego żołnierzy.

- Uważam, że nie po męsku jest wysyłać kobietę, aby wypełniała zadanie dla mężczyzny.

- Zechciej okazać cierpliwość, Anjin-san. Pomiędzy kobietami i mężczyznami nie ma różnicy.

Kobiety samurajki są równe samurajom. Do przeprowadzenia tego planu kobieta nadaje się o wiele lepiej od mężczyzny.

Toranagą coś krótko do niej powiedział.

- Jesteś gotów, Anjin-san? Musimy iść.

- Ten plan jest kiepski i niebezpieczny, a ja mam dość odgrywania roli przeklętej, naiwnej ofiarnej kaczkę, ale jestem gotów.

Zaśmiała się, ukloniła Toranadze i pobiegła. Blackthorne i sześciu samurajów pędem puścili się za nią.

Była bardzo szybka i dogonił ją dopiero za rogiem domu, a potem razem wypadli na otwartą przestrzeń. Jeszcze nigdy nie czuł się taki bezbronny. W tej samej chwili, gdy się pojawili, Szarzy

dostrzegli ich i ruszyli w ich stronę. Wkrótce otoczyli ich i Mariko zaczęła gorączkowo trajkotać z Szarymi i samurajami Toranagi. A wówczas i on włączył się do ogólnej wrzawy ze swoją mieszanką portugalskiego, angielskiego i holenderskiego, gestami zachęcając ich do pośpiechu, jednocześnie wymacując schodnię, na której się oparł, wcale nie musząc udawać, jak bardzo brak mu tchu. Starał się zajrzeć na pokład galery, ale z wyjątkiem licznych głów przy nadburciach niczego nie widział wyraźnie. Dostrzegł ogolone czaszki wielu samurajów i wielu marynarzy. Nie potrafił jednakże rozpoznać ich kimon.

Zza pleców dobiegł go głos prędko mówiącego Szarego, więc odwrócił się. Powiedział, że go nie rozumie i żeby szybko poszli tamtą ulicą, gdzie rozgrywa się straszliwa bitwa.

- Wakarimasu ka? Zabierajcie stąd do wszystkich diabłów swoje dziurawe dupy! Wakarimasu ka? Tam się biją!

Mariko zapamiętała perorowała do dowódcy Szarych. Oficer ten cofnął się do galery i wykrzyczał rozkazy. Natychmiast ponad setka samurajów, samych Szarych, zaczęła wysypywać się ze statku. Paru wysłał brzegiem na północ, żeby przejmowali rannych i pomagali im w razie potrzeby.

Jednego posłał, żeby sprowadził na pomoc Szarych warujących przy portugalskiej fregacie. Potem zaś, zostawiwszy dziesięciu ludzi do pilnowania schodni, pośpieszył z resztą samurajów do ulicy, która wijąc się biegła z portu do właściwego miasta.

Do Blackthorne'a podeszła Mariko.

- Czy statek nie jest twoim zdaniem uszkodzony? - spytała.

- Unosi się na wodzie.

Blackthorne z wielkim wysiłkiem uchwycił się lin schodni i korzystając z nich wszedł na pokład.

Mariko podążyła za nim. Za nią zaś dwóch Brązowych.

Marynarze tarasujący furtę lewej burty przepuścili ich. Pokładu rufowego strzegło czterech Szarych, a dwóch innych dziobowego. Wszyscy byli Uzbrojeni zarówno w łuki i strzały, jak i miecze.

Mariko zapytała o coś jednego z marynarzy. Odpowiedział jej z szacunkiem.

- Są to wszystko marynarze wynajęci, żeby przewieźć Kiritsubo-san do Edo - wyjaśniła Blackthorne'owi.

- Spytaj go.. - Blackthorne urwał, bo rozpoznał niskiego krępego oficera, którego po burzy mianował kapitanem galery. - Konbanwa, kapitan-san - powiedział, mówiąc mu „dobry wieczór”.

- Konbanwa, Anjin-san. Watashi iye kapitan-san ima - odparł z uśmiechem Japończyk, potrząsając przecząco głową. Wskazał na stojącego samotnie na rufówce gibkiego marynarza ze stalowosiwym

sterczący węzłem na głowie. - Imasu kapitan-san!

- Ah, so desu? Hal oa, kapitan-san! - zawołał Blackthorne, uklonił się i ściszył głos. - Mariko-san, dowiedz się, czy na dole są jacyś Szarzy.

Nim zdążyła mu odpowiedzieć, kapitan odkłonił się Blackthorne'owi i krzyknął do oficera.

Oficer skinął głową i udzielił dłuższej odpowiedzi. Część marynarzy wyraziła aprobatę dla tego, co mówił. Z jakiegoś powodu na kapitanie i wszystkich na pokładzie jego słowa wywarły duże wrażenie -

Ah, so desu, Anjin-san! - rzekł kapitan, a potem krzyknął „Keirei”! czyli „Salut!” i wszyscy obecni oprócz samurajów uklonili się, oddając honory Blackthorne'owi.

- Ten oficer powiedział, że ocaliłeś jego statek podczas burzy, Anjin-san - wyjaśniła Mariko. -

Nie wspominałeś nam o tej burzy ani o tym rejsie.

- Niewiele jest do powiedzenia. Ot, burza jakich wiele. Proszę, podziękuj ode mnie kapitanowi i powiedz, że jestem szczęśliwy z tego, że znowu stoję na pokładzie. Spytaj go, czy z chwilą nadejścia pozostałych będzie gotów do odpłynięcia - rzekł Blackthorne i dodał cicho: - Dowiedz się, czy na dole są jeszcze jacyś Szarzy.

Spełniła jego polecenia.

Podszedł do nich kapitan galery, poprosiła go o więcej informacji, a potem słysząc jego opinię, jak ważna jest obecność Blackthorne'a na pokładzie, ukloniła się barbarzyńcy.

- Anjin-san, kapitan dziękuje ci za uratowanie statku i mówi, że są gotowi - powiedziała i cicho dodała: - A co do tej drugiej sprawy, to on nie wie.

Blackthorne zerknął na brzeg. Na północy nie było widać ani Buntaro, ani kolumny. Samuraj wysłany brzegiem na południe do Santa Theresy miał jeszcze sto jardów do celu i jak dotąd go nie spostrzeżono.

- I co teraz? - spytał, nie mogąc już dłużej znieść wyczekiwania. Czy statek jest bezpieczny?

Zdecyduj się, powiedziała sobie w duchu Mariko.

- Tamten dotrze tam lada chwila - powiedział Blackthorne, patrząc na fregatę.

- Słucham? Wskazał ręką.

- Tamten. . samuraj!

- Jaki samuraj? Przepraszam, nie sięgam wzrokiem tak daleko. Na statku widzę wszystko, choć tych Szarych z przodu jak przez mgłę. Jaki samuraj?

Powiedział jej i dodał po łacinie:

- Jest już zaledwie pięćdziesiąt kroków od nich. Zobaczyli go. Zaiste, potrzebujemy wsparcia. Kto da znak? Ważne jest, by go dać. Szybko.

- A mój mąż, czy go widać?

Pokręcił głową.

Od bezpieczeństwa dzieli mojego pana szesnastu Szarych, powiedziała sobie. O Matko Boża, miej go w swojej opiece!

Potem zaś, polecając duszę Bogu, przerażona, że podjęła nie właściwą decyzję, podeszła chwiejnie do szczytu schodni i udała, że mdleje.

Blackthorne'a zaskoczyło to. Zobaczył, jak Mariko uderza mocno głową o drewniane listwy.

Kiedy popędził ku niej, z nabrzeża i spod pokładów zbiegli się Szarzy, a marynarze zaczęli się zbierać. Podniósł Mariko i idąc pośród nich skierował się na rufówkę.

- Przynieście wody. . wody, hai?!

Japończycy wpatrywali się w niego nie rozumiejąc. Rozpaczliwie szukał w pamięci odpowiedniego japońskiego słowa. Stary mnich powtarzał mu je pięćdziesiąt razy. Rany boskie, jak ono brzmi?

- Aha. . mizu, mizu, hai?

- Ah, mizu! Hai, Anjin-san.

Marynarz odbiegł. Nagle ktoś krzyknął ostrzegawczo. Z bocznej Uliczki wybiegło na brzeg trzydziestu przebranych za roninów samurajów Toranagi. Szarzy, którzy mieli właśnie opuścić nabrzeże, odwrócili się na schodni. Samuraje z rufówki i pokładu dziobowego wyciągnęli szyje, żeby lepiej widzieć. Nagle któryś wydał krzykiem rozkazy. Łucznicy uzbroili łuki. Wszyscy stojący niżej samuraje, Brązowi i Szarzy, błyskawicznie wydobyli miecze i większość z nich zbiegła z powrotem na nabrzeże.

- Bandyci! - ostrzegł krzykiem jeden z Brązowych.

Dwóch Brązowych na pokładzie natychmiast rozdzieliło się: jeden pobiegł na przód, a drugi na tył galery. Czterech ha lądzie utworzyło wachlarzyk, mieszając się z oczekującymi tam Szarymi.

- Stać!

Przebrani za roninów samuraje Toranagi zaatakowali. Któregoś ugodziła w pierś strzała i zwałił się ciężko na ziemię. Brązowy na dziobie błyskawicznie zabił łuczника Szarych i próbował zabić drugiego, ten jednakże okazał się za szybki i zwarli się mieczami, a Szary ostrzegł innych o zdradzie. Brązowy na pokładzie rufowym zranił jednego przeciwnika, ale rozprawiło się z nim szybko trzech

innych, którzy natychmiast pomknęli do zejściówki, wymijając pierzchających przed nimi marynarzy. Samuraje na przystani w dole walczyli na śmierć i życie. Szarzy, roznosząc na mieczach czterech Brązowych, dobrze wiedzieli, że zdradzono ich i że w każdej chwili ich również rozniosą na mieczach napastnicy. Dowódca Szarych na pokładzie, potężnie zbudowany, brutalny samuraj z siwą brodą, obrócił się w stronę Blackthorne'a i Mariko.

- Śmierć zdrajcom! - ryknął i zaatakował ich z wojennym okrzykiem.

Blackthorne zauważył, że wszyscy Szarzy z żądzą mordy w oczach patrzą na Wciąż leżącą w omdleniu Mariko i zdał sobie sprawę, że jeżeli on i ona szybko nie otrzymają pomocy, to zginą. . i że marynarze im nie pomogą. Pamiętał, że tylko samurajowi wolno walczyć z samurajem.

Zsunął ukryty nóż do dłoni i wyrzucił go łukiem. Nóż trafił samuraja w gardło. Dwóch innych Szarych podniosło głowy i skoczyło w stronę Blackthorne'a. Wiedząc, że nie pozwoli sobie na pozostawienie Mariko bez obrony, nie odstępując od niej chwycił drugi nóż. Katem oka dojrzał, że bitwa o schodnię jest prawie wygrana. Pokładu średniówki w dole broniło już tylko trzech Szarych, tylko trzech stało na drodze nadchodzącej odsieczy. Gdyby utrzymał się przy życiu jeszcze niespełna minutę, uratowałby siebie i ją. Zabić ich, zabić tych drani!

Bardziej wyczuł, niż zobaczył cios miecza wymierzony w jego szyję i odskoczył, unikając go.

Jeden Szary dźgnął mieczem w jego kierunku, drugi zaś, wznosząc swój, stanął nad Mariko. W tej samej chwili Blackthorne ujrzał, że Mariko ożywa. Rzuciła się do nóg zaskoczonego tym samuraja i przewróciła go na pokład. Potem zaś, przedostawszy się przez ciało innego zabitego Szarego, wyrwała z jego wciąż jeszcze drgającej ręki miecz i z krzykiem zaatakowała tego, którego powaliła.

Szary zdołał się podnieść i wściekle rycząc rzucił się na nią. Cofnęła się i dzielnie cięła mieczem, ale Blackthorne był pewien, że już po niej, gdyż jej przeciwnik był za silny. Zdoławszy jakoś uniknąć kolejnego zabójczego pchnięcia, Blackthorne odpędził od siebie rywala kopniakiem i cisnął nożem w napastnika Mariko. Nóż trafił Japończyka w plecy, dzięki czemu cios tamtego chybił celu, natomiast Blackthorne znalazł się w sytuacji bez wyjścia, bo jeden Szary wbiegł za nim po schodkach na rufówkę, drugi zaś, skończywszy zwycięsko walkę na dziobie, pędził ku niemu przez pokład.

Blackthorne rzucił się do nadburcia i bezpiecznego morza, ale poślizgnął się na zalanych krwią deskach.

Pobladła Mariko wpatrywała się w chwiejącego się na nogach wielkiego samuraja, który nadal trzymał ją w potrzasku, i choć życie uchodziło z niego szybko, to jednak za wolno. Cięła z całych sił, ale odparował cios, chwycił trzymany przez nią miecz i wyrwał go jej z rąk. Ostatkiem sił zadał

pchnięcie w chwili, gdy deptając na schodni po trupach Szarych, na galerę wdarli się roninowie.

Jeden skoczył do prześladowcy Mariko, a drugi posłał strzałę na rufówkę.

Szary, którego strzała trafiła w plecy, stracił równowagę, a jego miecz wbił się w nadburcie obok Blackthorne'a. Blackthorne próbował uciec, ale Japończyk pochwycił go, obalił na pokład, i

rozcapiierzonymi palcami sięgnął mu do oczu. Następna strzała trafiła go w rękę, więc krzyząc z bólu i wściekłości zaczął daremnie szarpać za grot. Od uderzenia trzeciej strzały okręcił się dookoła, a z ust trysnęła mu krew. Dławiąc się nią i wytrzeszczając oczy, na chybił trafił sięgnął w kierunku Blackthorne'a i zwałił się na niego. W tym momencie nadbiegł z krótkim mieczem w ręku ostatni Szary, chcąc zabić barbarzyńcę. Zadał bezbronnemu Blackthorne'owi cios z góry na dół, ale jakaś sprzyjająca Anglikowi dłoń chwyciła jego rękę, a potem głowa zniknęła mu z karku i w górę trysnęła fontanna krwi. Z Blackthorne'a ściągnięto obu zabitych i postawiono go na nogi. Ocierając krew z twarzy, jak przez mgłę dojrzał leżącą na pokładzie Mariko i otaczających ją roninów Toranagi. Uwolnił się od swoich wybawców i potykając się ruszył do niej, ale nogi ugięły się pod nim i osunął się na pokład.

25.

Dobre dziesięć minut zajęło mu odzyskanie sił na tyle, żeby mógł wstać bez pomocy. W tym czasie roninowie uporali się ze wszystkimi ciężko rannymi i wrzucili ciała poległych do morza.

Zginęło sześciu Brązowych i wszyscy Szarzy. Roninowie uprzątnęli statek i przygotowali go do natychmiastowego odpłynięcia, posyłając marynarzy do wiosła, a innych na miejsca przy słupach, by czekali na oddanie cum. Wszystkie pochodnie zgaszono. Kilku samurajów wysłano w kierunku północnym na zwiad wzdłuż brzegu, aby spotkali się z Buntaro. Większość ludzi Toranagi pośpieszyła na południe, do kamiennego falochronu około dwustu kroków dalej, zajmując dogodnie pozycje obronne przeciwko setce Szarych przy fregacie, którzy Zauważyli atak i szybko się zbliżali.

Kiedy na pokładzie wszystko dwa razy sprawdzono, dowódca przyłożył dłonie do ust i krzyknął w stronę brzegu. Natychmiast z ciemności wyłoniło się więcej przebranych za roninów samurajów Toranagi pod przywództwem Yabu i rozeszli się wachlarzowato w obie strony, tworząc ochronny kordon. A wówczas pojawił się Toranaga i w pojedynkę wolno zaczął kroczyć do schodni. Pozbył się już kobiecego kimona, ciemnego podróżnego płaszcza i usunął makijaż. Miał na sobie zbroję, na niej proste brązowe kimono, a za pasem zatknięte miecze. Wolną przestrzeń za nim wypełnili ostatni z jego strażników i cały oddział ruszył miarowym krokiem ku nabrzeżu.

Ty draniu, pomyślał Blackthorne. Jesteś okrutnym, zimnym, bezdusznym draniem, ale - nie ma co - posiadasz majestat!

Wcześniej zobaczył, że Mariko z pomocą młodej Japonki zeszła pod pokład, z czego wywnioskował, że została ranna, ale chyba lekko, gdyż wszystkich ciężko rannych samurajów zabito natychmiast na wypadek, gdyby nie mieli chęci albo możliwości zabić się sami, a ona była przecież samurajką.

Ręce miał bardzo słabe, ale chwycił ster, z pomocą japońskiego sternika stanął prosto i poczuł się lepiej, bo lekki wiatr odpędził od niego mdłości. Chwiejąc się na nogach, wciąż jeszcze oszołomiony, przyglądał się Toranadze.

Na zamkowej wieży nagle zapaliło się światło i dobiegło stamtąd słabe echo dzwonów bijących na alarm. A potem z murów zamku poszybowały ku gwiazdom race. Race sygnałowe.

O Chryste, pomyślał Blackthorne, na pewno dotarły tam wieści, na pewno dowiedzieli się o ucieczce Toranagi!

W wielkiej ciszy zobaczył, że Toranaga ogląda się i patrzy w górę. W całym mieście zamigotały światła. Toranaga bez pośpiechu odwrócił się i wszedł na pokład.

Z północy wiatr przyniósł odległe krzyki. Buntaro! To był na pewno on, z resztą orszaku.

Blackthorne przeszukał wzrokiem ciemności w oddali, ale nie zobaczył nic. Na południu odległość pomiędzy atakującymi Szarymi i broniącymi się Brązowymi szybko malała. Oceniał liczebność stron.

W tej chwili siły były wyrównane. Ale jak długo?

- Keirei!

Wszyscy na pokładzie uklękli i nisko się pokłonili wchodzącemu na pokład. Toranaga dał znak Yabu, a ten podążył za nim. Natychmiast objął dowództwo na galerze i wydał rozkaz odbicia.

Pięćdziesięciu samurajów z oddziału Toranagi wbiegło po schodni, zajęło pozycje obronne i stanęło twarzami do brzegu, zbrojąc łuki.

Blackthorne poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw.

- Anjin-san!

- Hai?

Blackthorne wpatrzył się w twarz kapitana. Japończyk wyrzucił z siebie potok słów, wskazując na ster. Blackthorne pojął, że kapitan doszedł do wniosku, że to on pokieruje statkiem, dlatego prosi go, by zezwolił oddać cumy.

- Hai, kapitan-san. Oddać cumy. Isogi! - odparł. Tak jest, bardzo szybko, dodał w duchu, zdziwiony, że tak łatwo przypomniał sobie to słowo.

Galera odbiła od nabrzeża dzięki sprawności wioślarzy i pomocy wiatru. Blackthorne zobaczył, że na brzegu Szarzy atakują falochron, przypuszczając gwałtowny szturm. W tej samej chwili z ciemności za szeregiem wyciągniętych na brzeg łodzi wypadło trzech Japończyków i Japonka, cofających się i walczących z dziewięcioma Szarymi. Blackthorne rozpoznał Buntaro i służącą Sono.

Buntaro w zbroi, z której z przodu i z tyłu sterczały strzały, siekąc i tnąc zakrwawionym mieczem, przewodził temu zbrojnemu odwrotowi ku nabrzeżu. Dziewczyna była uzbrojona we włócznię, ale brakowało jej tchu i potykała się. Jeden z Brązowych przystanął śmiało, żeby osłonić ich odwrót. Opadli go Szarzy. Buntaro wbiegł po stopniach nabrzeża wraz z dziewczyną i ostatnim Brązowym, a potem odwrócił się i zaatakował prześladowców jak rozjuszony byk. Pierwszych dwóch zważyło się ciężko z wysokości dziesięciu stóp - jeden skręcił kark na kamieniach w dole, a drugi, który stracił rękę, upadł wyjąc. Szarzy zawahali się przez chwilę, co dało służącej czas na wymierzenie w nich włóczni, ale wszyscy na galerze wiedzieli, że jest to z jej strony tylko pusty gest. Ostatni Brązowy wyskoczył przed swojego pana i na oślep rzucił się na wrogów. Szarzy poszatkowali go, a potem zaatakowali chmarą.

Łucznicy ze statku posyłali jeden rój strzał za drugim, zabijając lub raniąc wszystkich atakujących Szarych oprócz dwu. Miecz któregoś odbił się od hełmu Buntaro i spadł mu na naramiennik. Chronionym przez kolczugę przedramieniem Buntaro trzasnął napastnika, złamał mu kark i rzucił się na ostatniego Szarego.

Zabił także jego.

Służąca klęczała, próbując złapać dech. Buntaro nie marnował czasu na sprawdzanie, czy Szarzy

żyją. Po prostu odrąbał im głowy pojedynczymi, idealnymi cięciami, a potem, kiedy już nie nie zagrażało mu na przystani i nabrzeżu, obrócił się w stronę morza i wyczerpany, lecz szczęśliwy ręką dał znak Toranadze. Toranaga, zadowolony równie jak on, zawołał coś w odpowiedzi.

Galera znajdowała się dwadzieścia jardów od nabrzeża, a odstęp pomiędzy nimi stale się zwiększał.

- Kapitan-san! - zawołał Blackthorne, dając Japończykowi gwałtowne znaki. - Wróć do nabrzeża! Isogi!

Kapitan posłusznie wydał krzykiem rozkaz. Wszystkie wiosła znieruchomiały i poczęły zagarniać wodę wstecz. Yabu natychmiast popędził do rufówki i z ożywieniem powiedział coś do kapitana. Rozkaz był jasny. Statek nie zawraca.

- Mamy mnóstwo czasu, na miły Bóg! Patrzcie!

Blackthorne wskazał na pas udeptanej ziemi na brzegu i falochron, przy którym roninowie trzymali Szarych w szachu.

Ale Yabu pokręcił głową.

Odległość od nabrzeża wzrosła do trzydziestu jardów, a Blackthorne'owi krzyczało w głowie:

„Co z tobą, to przecież Buntaro, jej mąż!”

- Nie wolno zostawiać go na stracenie, to jeden z naszych! - krzyknął do Yabu i wszystkich na pokładzie. - Nasz, Buntaro! - Obrócił się do kapitana. - Zawracaj. Isogi!

Ale tym razem japoński żeglarz potrząsnął bezradnie głową i utrzymał kurs, a dowódca wioślarzy nie zmienił rytmu wielkiego bębna.

Blackthorne pośpieszył do Toranagi, który stał tyłem do niego, przypatrując się pilnie brzegowi i nabrzeżu. Czterech samurajów z jego straży przybocznej w jednej chwili zastąpiło drogę barbarzyńcy, wysoko unosząc miecze.

- Toranaga-san! - zawołał Blackthorne. - Dozo! Każ zawrócić statkowi! Tam! Dozo.. proszę!

Zawróćmy!

- Iye, Anjin-san!

Toranaga wskazał na race sygnałowe na zamku i na falochron, a potem nieodwołalnie odwrócił się do niego tyłem.

- A bodaj cię, ty śmierdzący tchórze. . - zaczął Blackthorne, ale urwał. A potem popędził do burty i wychylił się przez nią. - Płyyyyyyń! - zawołał, naśladowując gestami pływanie. - Płyń, na miły Bóg!

Buntaro zrozumiał. Podniósł dziewczynę na nogi, przemówił do niej i popchnął lekko do skraju nabrzeża, ale krzyknęła i padła przed nim na kolana. Na pewno nie umiała pływać.

Blackthorne rozpaczliwie rozejrzał się po pokładzie. Nie było czasu na spuszczenie łodzi. O

wiele za daleko, żeby rzucić linę. Za mało sił, żeby dopłynąć tam i z powrotem. Żadnych kamizelek ratunkowych. Uczepiwszy się ostatniej nadziei, podbiegł do najbliższych wiosłarzy, którzy po dwu stali przy wielkich wiosłach, i przeszkodził im w wiosłowaniu. Wszystkie wiosła po lewej burcie na chwilę wypadły z rytmu, zderzając się ze sobą. Galera obróciła się niezgrabnie, bęben umilkł, a Blackthorne pokazał Japończykom, czego chce. Dwóch samurajów ruszyło, żeby go powstrzymać, ale Toranaga zawrócił ich.

Wraz z czterema wiosłarzami Blackthorne niczym strzałę wyrzucił wiosło za burtę.

Przeleciało kawałek w powietrzu, a potem gładko uderzyło w wodę i siła pędu zaniósła je do nabrzeża.

,W tym momencie przy falochronie rozbrzmiał zwycięski krzyk. Od strony miasta nadbiegły posiłki Szarych i chociaż samuraje roninowie powstrzymywali swoich dotychczasowych przeciwników, to powstanie wyłomu w ich szeregach było tylko kwestią czasu.

- Szybciej! - krzyknął Blackthorne. - Isogii i!

Buntaro podniósł dziewczynę z klęczek, pokazał jej wiosło i wskazał statek. Ukłoniła mu się lekko. Odsunął ją od siebie i całą uwagę skupił na bitwie, potężnymi nogami pewnie stojąc na nabrzeżu.

Dziewczyna krzyknęła coś w stronę galery. Odpowiedział jej kobiecy głos i skoczyła. Jej głowa wyłoniła się z wody. Młóćąc rękami i nogami dotarła do wiosła i chwyciła się go. Z łatwością utrzymała jej ciężar i po chwili wymachując nogami zaczęła płynąć w stronę galery. Dogoniła ją mała fala, ale pokonała ją szczęśliwie i zbliżyła się do statku. Wówczas jednak przestraszona rozluźniła chwyt i wiosło wymknęło jej się z rąk. Przez trwającą wieki chwilę waliła w wodę, a potem zniknęła pod powierzchnią.

Już nie wypłynęła.

Buntaro został na nabrzeżu sam i stał przypatrując się walce, jak rozpala się i gaśnie. Z

południa nadciągnęły nowe posiłki Szarych, w tym trochę konnych, żeby dołączyć do pozostałych, miał więc pewność; że falochron zaleje wkrótce całe morze żołnierzy. Dokładnie przyjrzał się północy, wschodowi i południu. A potem odwrócił się plecami do bitwy i poszedł na sam kraniec nabrzeża. Galera stała bezpiecznie pięćdziesiąt jardów stamtąd i czekała. Wszystkie łodzie rybackie dawno temu zemknęły z okolicy i czekały jak najdalej stąd po obu stronach zatoki, z zapalonymi światłami cumowniczymi, które świeciły w ciemnościach jak oczy kotów.

Kiedy Buntaro dotarł na koniec nabrzeża, zdjął hełm, łuk, kołczan, górną część zbroi i ułożył je przy pochwach swoich mieczy. Dwa miecze, do zabijania i krótki, położył oddzielnie. A potem obnażony do pasa wziął swój ekwipunek bojowy i wrzucił go do morza. Przyjrzał się z czcią długiemu

mieczowi, a potem z całej siły cisnął go daleko w głębinę. Miecz zniknął w morzu prawie bez plusku.

Buntaro pokłonił się uroczyście galerze i Toranadze, który natychmiast przeszedł na rufę, skąd mógł być widoczny. Odkłonił się Buntaro.

- Buntaro ukląkł, na kamieniu przed sobą ułożył krótki miecz, w którego ostrzu rozbłysło światło księżyca, i zwrócony twarzą do galery znieruchomiał” nieomal tak, jakby się modlił. Na co on, do diabła, czeka? - mruknął Blackthorne wśród niesamowitej, od kiedy zamilkł bęben, ciszy. -

Dlaczego nie skacze i nie płynie?

- Przygotowuje się do seppuku.

W pobliżu Blackthorne’a stała Mariko, podtrzymywana przez młodą Japonkę, jej siostrzenicę, Fujiko.

- O mój Boże, Mariko, czy nic ci nie jest, pani?

- Nie - odparła, ledwie go słuchając, z pobladała, ale nie mniej piękną twarzą.

Zobaczył, że prymitywnie zabandażowano jej lewą rękę przy ramieniu, gdzie odcięto rękaw, i że nosi ją na temblaku z materiału oddartego z kimona. Bandaż był zakrwawiony, a po ręce ciekła krew.

- Tak się cieszę. . - zaczął i wówczas dotarło do niego, co powiedziała. - Seppuku? Chce się zabić? Dlaczego? Ma mnóstwo czasu, żeby tu dopłynąć! Jeżeli on nie umie pływać, to popatrz. . tam jest wiosło, które z łatwością go utrzyma. Tam, blisko nabrzeża, widzisz je? Nie widzisz?

- Widzę, ale mój mąż umie pływać, Anjin-san - odparła. - Wszyscy oficerowie pana Toranagi muszą. . muszą się nauczyć. . wymaga tego. On wszakże postanowił nie płynąć.

- Dlaczego, na miłość boską?

Na wybrzeżu rozgorzała nagle szaleńcza walka, a kilka strzałów z muszkietów dokonało wyłomu w murze obrońców. Część samurajów roninów cofnęła się i zażarte pojedynki zaczęły się od nowa. Tym razem czołówka wroga została powstrzymana i odparta.

- Każ mu, żeby płynął, na miły Bóg!

- Nie popłynie, Anjin-san. Przygotowuje się do śmierci.

- Rany boskie, jeżeli chce umrzeć, to dlaczego nie pójdzie tam? - Blackthorne wskazał palcem walczących. - Dlaczego nie pomoże swoim? Jeżeli chce umrzeć, to dlaczego nie umrze walcząc, jak mężczyzna?

Wsparta o młodą kobietę Mariko nie odrywała wzroku od nabrzeża.

- Ponieważ mogliby go schwytać, a gdyby popłynął, to również mógłby zostać schwytany, a wtedy

wrogowie wystawiliby go na pośmiewisko, pohańbili, robili z nim straszne rzeczy. Schwytyany samuraj przestaje być samurajem. Być schwytanym przez wroga to największa sromota, tak więc mój mąż robi to, co musi zrobić samuraj i mężczyzna. Samuraj umiera godnie. Bo czymże jest życie dla samuraja? Niczym. Całe życie jest cierpieniem, nie? Ma prawo i obowiązek umrzeć z honorem, przy świadkach.

- To głupie i niepotrzebne marnowanie życia - wycedził Blackthorne przez zęby.

- Okaż nam cierpliwość, Anjin-san.

- Cierpliwość wobec czego? Nowych kłamstw? Dlaczego mi nie ufacie? Czym sobie na to zasłużyłem? Okłamałaś mnie, prawda? Udałaś, że mdlejesz, a to był umówiony znak. Tak? Spytałem cię o to i skłamałaś.

- Rozkazano mi. . . był to rozkaz, żeby cię ochronić. Naturalnie, że ci ufam.

- Okłamałaś mnie - powtórzył wiedząc, że zachowuje się nedorzecznie, ale nie dbał o to.

Mierzył go ten obłąkańczy brak poszanowania dla ludzkiego życia, a poza tym strasznie łaknął snu i spokoju, tęsknił za swoim jedzeniem, pićmi, statkiem i pobratymcami. - Wszyscy jesteście zwierzętami - powiedział po angielsku, wiedząc, że nimi nie są, i odszedł!

Główne siły Szarych dotarły do falochronu. Blackthorne spojrział na Buntaro.

- Ty biedny sukinsynu! - rzekł po angielsku. - Ty biedny, głupi sukinsynu!

Obrócił się na pięcie i, zszedłszy po zejściówce, podążył przez główny pokład w stronę dziobu, żeby przyrzeć się rafom i mieliznom w przodzie. Nikt oprócz Fujiko i kapitana nie zauważył, że opuścił pokład rufowy.

Wioślarze wiosłowali bardzo karnie i galera posuwała się szybko. Morze było w miarę spokojne, wiatr pomyślny. Blackthorne z zadowoleniem czuł w ustach smak morskiej soli. I wtedy, półtorej mili przed nimi, dojrzał u wejścia do zatoki tłoczące się łodzie. Co prawda łodzie rybackie, ale wypełnione samurajami.

- Wpadliśmy w pułapkę - powiedział głośno, czując przez skórę, że to wrogowie.

Galerę przebiegło drżenie, bo wszyscy obserwujący bitwę na brzegu jak na komendę zmienili pozycje.

Blackthorne obejrzał się. Szarzy bezlitośnie oczyszczali falochron z niedobitków, a inni bez pośpiechu szli w stronę nabrzeża do Buntaro, ale od północy nadjechało galopem po ubitej ziemi czterech Brązowych wraz z piątym zapasowym koniem, przywiązany do konia dowódcy.

Prowadzący zapasowego konia samuraj wjechał z klekotem na nabrzeże i pognął aż na sam jego koniec, podczas gdy pozostali trzej jeźdźcy popędzili w stronę nadchodzących Szarych. Buntaro również rozejrzał się, ale nie wstał z klęczek i kiedy przybysz ściągnął za jego plecami cugle,

odprawił go machnięciem ręki i skierował trzymany oburącz krótki miecz ostrzem do siebie. W tej samej chwili Toranaga przyłożył dłonie do ust i krzyknął:

- Buntaro-san! Jedź z nimi, spróbuj uciec!

Okrzyk przeleciał nad falami, został powtórzony i wówczas Buntaro usłyszał go wyraźnie.

Wstrząśnięty, z mieczem wymierzonym w ciało, zawahał się. Jeszcze raz rozległ się ponagląjący, władczy okrzyk.

Buntaro z trudem wycofał się z objęć śmierci, na zimno zastanawiając się nad życiem i nad rozkazem ucieczki. Ryzyko było wielkie. Lepiej umrzeć tutaj, rzekł w duchu. Czy pan Toranaga o tym nie wie? Tutaj umrę honorowo. Tam - prawie na pewno mnie pochwyć. Dokąd ucieknę? Trzysta ri, aż do samego Edo? Z pewnością mnie złapią!

Poczuł w swoim ręku siłę, ujrzał mocny, niezachwiany, ostry jak igła miecz zawieszony blisko jego obnażonego brzucha i zapragnął nareszcie uwolnić się od cierpień umierania. Nareszcie umrzeć i odpokutować tym cały wstyd - wstyd za ojca klęczącego przed sztandarem Toranagi, podczas gdy powinni dochować wierności Yaemonowi, następcy taikō, tak jak to przysięgli, wstyd z powodu zabicia tylu ludzi, którzy zaszczytnie służyli sprawie taikō przeciwko uzurpatorowi Toranadze, wstyd z powodu tej kobiety, Mariko, i z powodu własnego jedynego syna, na zawsze napiętnowanych

- syna z powodu takiej matki, Mariko zaś z powodu jej ojca, potwornego zabójcy, jakim był Akechi Jinsai. A ponadto wstyd z powodu świadomości, że przez nich jego własne nazwisko jest skalane na zawsze.

Ilu tysięcy cierpień nie zaznałby, gdyby nie ona!

Jego dusza łaknęła wybawienia. Tak w tej chwili bliskiego, łatwo dostępnego i zaszczytnego.

Był pewien, że następny żywot będzie lepszy, bo czyż może być gorszy niż ten?

A jednak odłożył miecz, okazał posłuszeństwo i rzucił się z powrotem w przepaść życia. Jego feudalny władca rozkazał mu znosić największe cierpienia, więc postanowił odłożyć próbę zdobycia spokoju. Cóż innego pozostawało samurajowi oprócz posłuszeństwa?

Zerwał się, Wskoczył na siodło, uderzył piętami boki konia i pomknął razem z drugim samurajem. Z ciemności wypadło galopem więcej konnych roninów, żeby zapewnić mu ucieczkę i zagrozić drogę nacierającym Szarym. A potem zemknęli także oni, gonieni przez paru jeźdźców wroga. Przez statek przewalił się wybuch śmiechu.

Rozradowany Toranaga bił pięścią w nadburcie, a Yabu i samuraje ryczeli. Śmiała się nawet Mariko.

- Jeden uciekł, ale co z tymi wszystkimi zabitymi? - zawołał rozgniewany Blackthorne. -

Spójrzcie na brzeg. . leży tam na pewno ze trzy, cztery setki ciał. Spójrzcie na nich, jak Boga kocham!

Ale jego okrzyk nie przebił się przez śmiech.

I wtedy obserwator na dziobie podniósł alarm. Śmiech zamarł.

26.

- Czy zdołamy się przez nich przebić, kapitanie? - spytał ze spokojem Toranaga. Przyglądał się zgrupowanym pięćset jardów przed nimi łodziom i nęcącemu korytarzowi, jaki zostawiły pomiędzy sobą.

- Nie, wielmożny panie.

- Nie mamy wyboru. Nie pozostaje nam nic innego - rzekł Yabu i spojrzął za rufę na tłum Szarych, którzy czekali na brzegu i nabrzeżu, a wiatr przynosił ich słabo słyszalne, szydercze obelgi.

On i Toranaga stali na nadbudówce dziobowej. Bęben zamilkł i galera kołysała się ciężko na łagodnej fali. Wszyscy na pokładzie czekali na decyzję. Wiedzieli, że całkowicie odcięto im drogę.

Katastrofa na lądzie. Katastrofa przed nimi. Katastrofą było czekanie. Sieć zaczęłaby się zacieśniać, zacieśniać i wreszcie zostaliby schwytani. W razie potrzeby Ishido mógł czekać wiele dni.

Yabu wrzał. Gdybyśmy popłynęli do ujścia zatoki zaraz po wejściu na pokład, zamiast niedorzecznie marnować czas na Buntaro, byłibyśmy w tej chwili bezpiecznie na morzu, powiedział

sobie w duchu. Toranaga traci rozum. Ishido nabierze przekonania, że go zdradziłem. Nic nie mogę zrobić. . chyba że się przebijemy, a wówczas będę zmuszony walczyć po stronie Toranagi przeciwko tamtemu. Nic na to nie poradzę. Chyba że dostarczyłbym Ishido głowę Toranagi. Ne? Dzięki temu zostałbym regentem i dostał Kantō, ne? A potem, mając w zapasie sześć miesięcy i samurajów z muszkietami, może zostałbym nawet przewodniczącym Rady Regencyjnej? Albo i zgarnął główną nagrodę?! Pozbył się Ishido i został naczelnym wodzem następcy, protektorem i gubernatorem Zamku w Osace, generałem zarządzającym wszystkimi legendarnymi skarbami spoczywającymi w zamkowej wieży i władającym całym cesarstwem w czasie niepełnoletności Yaemona, a później dysponującym władzą mniejszą jedynie od jego władzy? Czemu nie.

A może nawet nagrodę największą ze wszystkich nagród? Tytuł shōguna. Gdyby tak pozbyć się Yaemona, a potem zostać shōgunem?

Wszystko za jedną jedyną głowę i paru życzliwych bogów!

Yabu poczuł, jak pod wpływem wzrastającej żądz miękną mu nogi. Takie to łatwe, ale nie mam jak zdjąć mu głowy i uciec - na razie.

- Zarządz gotowość bojową! - polecił wreszcie Toranaga.

Kiedy Yabu wydał rozkazy i samuraje zaczęli przygotowania, Toranaga skierował uwagę na barbarzyńcę, który nadal trzymał się blisko dziobu, gdzie pozostał po ogłoszeniu alarmu i w tej chwili opierał się o krótki grotmaszt.

Żeby tak mógł go zrozumieć, pomyślał. W jednej chwili jest taki dzielny, a w następnej taki słaby.

W jednej nieoceniony, a w następnej do niczego. Raz jest mordercą, a raz tchórzem. Raz jest łagodny, to znów niebezpieczny. Jest i mężczyzną, i kobietą, Yang i Yin. Składa się z samych sprzeczności i nie można przewidzieć, co zrobi.

- Spytaj go, Yabu-san! - powiedział.

- Słucham, wielmożny panie?

- Spytaj go, co robić. Jest pilotem. Czyż nie jest to bitwa morska? Czyż nie twierdziłeś, że na morzu ten pilot jest geniuszem? A więc dobrze, przekonajmy się, czy masz rację. Niech to udowodni.

Yabu ściągnął usta w cienką, okrutną linię i Toranaga ucieszył się, wyczuwając jego strach.

- Mariko-san - burknął Yabu. - Zapytaj pilota, jak wydostać się. . jak przebić sobie drogę przez te łódzie.

Mariko posłusznie odeszła - od burty, wciąż podtrzymywana przez siostrzenicę.

- Nie, czuję się już dobrze, Fujiko-san - powiedziała do niej. - Dziękuję ci.

Fujiko puściła ją samą, z niechęcią spoglądając na Blackthorne'a. Blackthorne odpowiedział krótko.

- Mówi, że „z działami”, Yabu-san - przełożyła Mariko.

- Powiedz mu, że jeżeli pragnie zachować głowę, to musi wymyślić) coś lepszego.

- Musimy być dla niego wyrozumiali, Yabu-san - wtrącił Toranaga.- Mariko, zechciej mu grzecznie powiedzieć: „Niestety, nie mamy dział. Czy można się przebić w jakiś inny sposób? Nie możemy zejść na ląd”. Przełóż mi dokładnie jego odpowiedź. Dokładnie.

Mariko wypełniła polecenie.

- Przykro mi, panie, ale mówi, że nie. Tylko tyle: nie. Niegrzecznie.

Toranaga rozwiązał pas i podrapał swędzące miejsce pod zbroją.

- No dobrze - powiedział, nie przejąwszy się tym - skoro Anjin-san mówi o „działach”, a się na tym zna, to niech będą działa.

Kapitanie, do mnie! - Bezceremonialnie zdecydowanym dźgnięciem palca wskazał portugalską fregatę. - Przygotuj ludzi, Yabu-san. Jeżeli Południowi Barbarzyńcy nie wypożyczą nam swoich dział, to będziesz musiał je im zabrać. Prawda?’ .’>.

- Z wielką przyjemnością - odparł cicho Yabu.

- Miałeś rację, to geniusz.
- Ale to ty znalazłeś rozwiązanie, Toranaga-san.
- Łatwo je znaleźć, dostawszy odpowiedź, ne? A jak rozwiązać kwestię zamku w Osace, sojuszniku?
- Nie ma jednego rozwiązania. Pod tym względem taikō był mistrzem.
- Tak. A jak rozwiązać kwestię zdrady?
- Oczywiście poprzez haniebną śmierć. Ale nie rozumiem, dlaczego pytasz o to mnie., Przelotna myśl. . sojuszniku. - Toranaga spojrział na Blackthorne'a. - Tak, to mądry człowiek. Bardzo mi potrzeba mądrych ludzi. Mariko-san, czy barbarzyńcy dadzą mi działa?
- Oczywiście. Czemu mieliby nie dać?

Myśl, że mogliby nie dać dział, nie przyszła jej nawet do głowy. Wciąż martwiła się o los Buntaro. O wiele lepiej byłoby pozwolić mu umrzeć. Po co narażać jego honor? Zastanawiała się, czemu Toranaga nakazał Buntaro odjechać łodem w ostatniej chwili. Równie łatwo mógł mu przecież polecić, żeby dopłynął do statku. Tak byłoby o wiele bezpieczniej, a poza tym było mnóstwo czasu.

Mógł to zrobić zaraz po tym, jak Buntaro dotarł na koniec nabrzeża. Po co czekał? Najtajniejsza częśćka jaźni odpowiedziała jej, że ich pan musiał mieć W pełni uzasadniony powód, żeby czekać i wydać taki rozkaz.

- A jeżeli nie dadzą? Jesteś gotowa zabijać chrześcijan, Mariko-san? - spytał Toranaga. -
- Czyż nie tak brzmi ich najbardziej niemożliwe do wypełnienia przykazanie? Ż& nie będą zabijać?
- Tak, istotnie. Ale dla ciebie, panie, z ochotą pójdziemy do piekła, mój mąż, mój syn i ja.
- Tak. Jesteś prawdziwą samurajką i nie zapomnę ci tego, że chwyciłaś miecz w mojej obronie.
- Nie dziękuj mi, proszę. Jeżeli dopomogłam w skromnej mierze, to był to mój obowiązek.

Jeżeli ktoś ma pozostać w twojej pamięci, niechże będzie to, proszę, mój mąż i syn. Są więcej warci ode mnie.

- W tej chwili to ty jesteś dla mnie więcej warta. A możesz być warta jeszcze więcej.
- Powiedz mi jak, wielmożny panie, a wykonam to. - Odłóż na bok twojego obcego Boga.

Słucham, wielmożny panie? - spytała z zamarłą twarzą.

- Odłóż na bok Boga. Masz o jeden obowiązek za wiele. - To znaczy, że mam zostać odstępczynią, wielmożny panie?

Wyrzec się chrześcijaństwa?

- Tak, chyba że znajdziesz dla twojego Boga właściwe miejsce. . w zanadrzu swojej duszy, a nie na wierzchu.

- Racz mi wybaczyć, wielmożny panie - powiedziała drżącym głosem - ale moja wiara nigdy nie przeszkodziła mi być wierną tobie. Zawsze, cały czas, była ona dla mnie sprawą prywatną. Czy cię zawiodłam?

- Jeszcze nie. Ale zawiedziesz.

- Powiedz mi, co mam zrobić, żeby cię zadowolić.

- Chrześcijanie mogą się stać moimi wrogami, ne?

- Twoi wrogowie są moimi wrogami, panie.

- Ich kapłani są w tej chwili przeciwko mnie. Mogą nakazać wszystkim chrześcijanom, by wojowali ze mną.

- Nie robią tego, wielmożny panie. To spokojni ludzie.

- A jeżeli mimo to będą przeciwko mnie? Jeżeli chrześcijanie będą ze mną wojować?

- Nie będziesz się musiał nigdy obawiać o moją wierność tobie, wielmożny panie. Nigdy.

- Ten pilot może mówić prawdę, a twoi kapłani mieć fałszywe języki.

- Są księża dobrzy i są źli, wielmożny panie. Ale to ty jesteś moim władcą.

Doskonale, Mariko-san - rzekł Toranaga. - Wierzę ci. I rozkazuję, żebyś zaprzyjaźniła się z tym barbarzyńcą, dowiedziała wszystkiego, co on wie, poznała jego sposób myślenia, nie „spowiadała się” z niczego, co robisz, traktowała wszystkich kapłanów podejrzliwie i zawiadamiała mnie o wszystkim, o co cię pytają lub co mówią. Twój „-Bóg musi się zmieścić gdzieś pomiędzy tym, co wymieniłem, albo wcale. Mariko odgarnęła z oczu kosmyk włosów.

- Zrobię to wszystko, wielmożny panie, i nadal pozostanę chrześcijanką. Przysięgam.

- To dobrze. Przysięgnij na swojego chrześcijańskiego Boga.

- Przysięgam na to, Bóg mi świadkiem.

- Dobrze. - Toranaga odwrócił się i zawołał: - Fujiko-san!

- Tak, wielmożny panie?

- Zabrałaś ze sobą służące?

- Tak, wielmożny panie. Dwie.

- To przeznacz jedną Mariko. Drugą poślij po cha.

- Jeżeli sobie życzysz, to jest sake.

- Cha. Yabu-san, napijesz się cha czy sake?

- Proszę cha.

- Przynieś sake dla Anjin-sana.

W małym złotym krzyżku wiszącym na szyi Mariko odbiło się światło. Spostrzegła, że Toranaga przygląda się mu.

- Chcesz. . życzysz sobie, żebym go nie nosiła, wielmożny panie?

Mam go wyrzucić? - spytała.

- Nie - odparł. - Noś go, żebyś pamiętała o swojej przysiędze.

Wszyscy przyglądali się fregacie. Toranaga poczuł na sobie czyjś wzrok i rozejrzał się.

Zobaczył zaciętą twarz, chłodno patrzące niebieskie oczy i wyczuł nienawiść. . nie, nie nienawiść, podejrzliwość. Jakże ten barbarzyńca ma czelność mnie podejrzewać, pomyślał.

- Spytaj Anjin-sana, dlaczego nie powiedział wprost, że na tym barbarzyńskim statku jest wiele dział? I że trzeba rozkazać im, aby wyprowadzili nas z tej pułapki?

Mariko przełożyła. Blackthorne odpowiedział.

- Mówi. . - Mariko zawahała się, po czym dodała pośpiesznie: - Wybacz mi, proszę, ale powiedział: „Dobrze mu robi, jeśli pójdzie po rozum do własnej głowy”.

Toranaga zaśmiał się.

- Podziękuj mu za jego rozum i głowę. Bardzo mi się przyda. Mam nadzieję, że zachowa ją na karku. Powiedz mu, że teraz jesteśmy równi.

- Mówi: „Nie, nie jesteśmy równi, Toranaga-san. Ale zwróć mi statek i załogę, a oczyszczę te wody z wszelkich wrogów”.

- Mariko-san, sądzisz, że ma na myśli zarówno mnie, jak i innych, Hiszpanów i Południowych Barbarzyńców? - spytał Toranaga beztroskim tonem.

Wiatr strącił jej na oczy kosmyki włosów. Odgarnęła je strudżonym gestem.

- Bardzo przepraszam, ale nie wiem. Może tak, a może nie. Mam go zapytać? Przykro mi, ale on. . on

jest bardzo dziwny. Obawiam się, że go nie rozumiem. Zupełnie.

- Mamy mnóstwo czasu. Tak. Z czasem wytłumaczy nam swoje postępowanie.

Blackthorne spostrzegł, że zaraz po odbiegnięciu od fregaty strzegących jej Szarych, zaczęła ona cichcem wysuwać się z przystani, a na wodę spuszczone szalupę, która prędko odholowała ją od miejsca postoju przy nabrzeżu na bystrą wodę. W tej chwili zaś, zwrócona burtą do lądu, unosiła się bezpiecznie na głębokiej wodzie kilka kabli od brzegu” utrzymywana łagodnie w miejscu dzięki lekkiej kotwicy dziobowej. Manewr ten zawsze stosowały europejskie statki w obcych lub wrogich zatokach, kiedy z brzegu groziło im niebezpieczeństwo. Blackthorne wiedział

też, że chociaż teraz - podobnie jak wcześniej - na pokładzie nie widać żadnej podejrzaney krzątaniny, to wszystkie działa są już przygotowane do strzału, muszkiety rozdane, kartacze, kul armatnich i kul łańcuchowych jest pod dostatkiem, a uzbrojeni marynarze siedzą w górze na masztach. Oczy zaś przepatrują okolicę we wszystkich kierunkach. Galerę zaczęto tam obserwować w chwili, gdy zmieniła kurs. Dwa działa okrętowe na rufie, trzydziestofuntówki, były skierowane i wycelowane prosto w nich. Portugalscy kanonierzy byli najlepsi na świecie, po angielskich.

Dowiedzą się też o Toranadze, pomyślał rozgoryczony, bo są mądrzy i na pewno spytali swoich tragarzy albo Szarych, o co ta cała awantura. A do tej pory ci przekłęci jezuici, którzy wiedzą o wszystkim, zdążyli już przesłać wieści o ucieczce Toranagi i o mnie.

Czuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Każde z tych dział może nas posłać w diabły, pomyślał.

Tak, ale nic nam nie grozi, bo na pokładzie jest Toranaga. Dzięki Ci, Boże, za niego..

- Mój pan pyta - dotarły do niego słowa Mariko - co robicie, kiedy chcecie podpłynąć do drugiego okrętu wojennego.

- Jeżeli na pokładzie jest działo, to pozdrawia się wystrzałem z niego. Albo daje znaki flagami, prosząc o pozwolenie na podpłynięcie do burty.

- Mój pan pyta, co się robi, jeżeli nie ma flag.

Chociaż znajdowali się poza zasięgiem strzału, a furty działowe fregaty były wciąż zamknięte, Blackthorne poczuł się niemal tak, jakby armatnie lufy były od niego na wyciągnięcie ręki. Portugalski statek miał po każdej z burt osiem dział, a po dwa na dziobie i rufie. Erasmus na pewno by ją zdobył, zapewnił się w duchu, gdyby tylko załoga była w komplecie. Chciałbym ją zdobyć.

Ocknij się, przestań marzyć na jawie, ostrzegł się, nie jesteśmy na pokładzie Erasmusa, ale na nikczemnej galerze i ten portugalski statek jest naszą jedyną nadzieją. Pod osłoną jego dział

jesteśmy bezpieczni. Podziękuj swojemu szczęściu za Toranagę.

- Senhora, każ kapitanowi rozwinąć banderę pana Toranagi - rzekł. - To wystarczy. W ten sposób wystąpimy oficjalnie i powiadomi my ich, kto jest na pokładzie, choć założę się, że już to wiedzą.

Szybko wypełniono jego polecenie. Wszystkim na galerze jakby przybyło pewności.

Blackthorne zauważył tę zmianę. Nawet on poczuł się różnie, płynąc pod tą banderą.

- Mój pan chce wiedzieć, w jaki sposób damy im znać, że chcemy podpłynąć.

- Powiedz mu, że bez flag sygnałowych ma dwa wyjścia: zaczekać poza zasięgiem ich dział i w małej łodzi wysłać na ich statek delegację albo podpłynąć prosto do nich na odległość głosu.

- Mój pan pyta, co radzisz zrobić.

- Podpłynąć, prosto do nich. Nie mamy powodów do ostrożności. Na pokładzie jest pan Toranaga. Najważniejszy daimyō w cesarstwie. Oni nam naturalnie pomogą. Jezu Chryste!

- Słucham, senhor?

Nie odpowiedział jej jednak, więc szybko przełożyła jego słowa i wysłuchiwała następnego pytania Toranagi.

- Mój pan pyta, co zrobisz z fregaty. Zechciej wyjaśnić swój zamiar i powód, dla którego zamierzasz.

- Nagle uświadomiłem sobie, że pan Toranaga jest w stanie wojny z Ishido. Czyż nie? Dlatego ci z fregaty mogą nie być skłonni do udzielenia mu pomocy.

- Oczywiście, że mu pomogą.

- Nie. Po której stronie bardziej opłaca się być Portugalczykom, pana Toranagi czy Ishido?

Jeżeli uznają, że po stronie Ishido, to nas zatopią, posyłając w diabły!

- Niemożliwe, żeby Portugalczycy ostrzelali japoński statek - odparła natychmiast Mariko.

Wierz mi, senhora, że zrobiliby to. I założę się, że ci z fregaty nie dadzą nam podpłynąć do swojej burty. Gdybym to ja był ich pilotem, tobym nie dał. Chryste Panie! - wykrzyknął Blackthorne, wpatrując się w brzeg.

Urągający im Szarzy zeszli już z nabrzeża i rozstawili się na brzegu. Nie mamy szans, pomyślał. Łodzie rybackie w dalszym ciągu dryfowały złowrogo, zagradzając wejście do zatoki. Tam również nie było szans.

- Powiedz panu Toranadze, że tylko w jeden sposób można się wydostać z tej zatoki. Liczyć na burzę. My ją, być może, przetrwamy, a te rybackie łodzie nie. A wówczas moglibyśmy prześliznąć się przez tę sieć.

Toranaga wypytał kapitana, który odpowiedział mu wyczerpująco, potem zaś Mariko zwróciła się do Blackthorne'a:

- Mój pan pyta, czy myślisz, że będzie burza.
- Mój nos mówi mi, że tak. Ale za kilka dni. Za dwa albo trzy. Możemy tyle poczekać?
- Mówi ci twój nos? Czy burza pachnie?
- Nie, senhora. To tylko takie wyrażenie. Toranaga zamyślił się. A potem wydał rozkaz.
- Podpływamy na odległość głosu, Anjin-san.
- No to przekaz, żeby podpłynąć do nich prosto od rufy. Bo wtedy będziemy dla nich stanowić najmniejszy cel. Powiedz, że oni są perfidni. . wiem, jak bardzo potrafią być perfidni, kiedy zagrożone są ich interesy. Są gorsi od Holendrów! Jeżeli ten statek pomoże panu Toranadze uciec, to Ishido zemści się na wszystkich Portugalczykach, więc nie zaryzykują pomocy.
- Mój pan mówi, że wkrótce poznamy odpowiedź.
- Jesteśmy bezbronni, senhora. Przeciwno tym działom nie mamy szans. Jeżeli ten statek jest nam wrogi, albo nawet jedynie neutralny, zatoniemy.
- Mój pan mówi, że masz rację, ale że należy do ciebie przekonać ich, by odnieśli się do nas przychylnie.
- Jakże ich mam przekonać? Przecież jestem ich wrogiem.
- Mój pan mówi, że tak w czasie wojny, jak i w czasie pokoju, porządny wróg może się okazać cenniejszy od porządnego sojusznika. Mówi, że ty znasz ich sposób rozumowania i wymyślisz coś, co ich przekona.
- Jedyne pewny sposób to siła.
- Dobrze. Zgoda, mówi mój pan. Powiedz w takim razie, proszę, jak napaść i zdobyć ten statek.
- Słucham?
- Powiedział: „Dobrze, zgoda. Jak byś napadł na ten statek, w jaki sposób byś go zdobył? Muszę skorzystać z ich dział”. Bardzo przepraszam, czy nie wyraziłam się jasno, Anjin-san?
- A ja powtarzam, że ją zatopię - oświadczył generał-gubernator Ferriera.
- Nie - odparł del 'Aqua, przyglądając się galerze z pokładu rufowego.
- Kanonierze, czy są już w naszym zasięgu?
- Nie, don Ferriera - odpowiedział ogniomistrz. - Jeszcze nie.
- Po co płynęłyby do nas, jeśli nie we wrogich zamiarach? Dlaczego po prostu nie ucieknie?

Droga jest przecież wolna, eminencjo.

Nikt na pokładzie nie mógł widzieć napływu rybackich łodzi, gromadzących się w zasadzce, bo fregata znajdowała się za daleko od wyjścia z zatoki.

- Nie ryzykujemy nic, eminencjo, a zyskujemy wszystko - ciągnął Ferriera. - Udamy, że nie widzieliśmy o obecności Toranagi na pokładzie. Myśleliśmy, że chcą nas zaatakować bandyci. .

bandyci pod przywództwem heretyckiego pirata. Bez obawy, kiedy tylko znajdą się w zasięgu strzału, z łatwością ich sprowokujemy.

- Nie - rzekł rozkazująco del 'Aqua.

Ojciec Alvito odwrócił się od nadburcia.

- Gubernatorze - powiedział - nad tą galerą powiewa flaga Toranagi., Fałszywa! - odparł z sarkazmem Ferriera. - To najstarsza sztuczka na świecie! Przecież nie widzieliśmy Toranagi. Może go nie ma na pokładzie.

- Nie zgadzam się.

- Na rany Chrystusa, wojna to katastrofa! Jeżeli nie doprowadzi do klęski, to z pewnością zaszkodzi tegorocznemu rejsowi Czarnej Karaweli. Na to pozwolić nie mogę! Nie pozwolę, żeby mi coś w tym przeszkodziło!

- Nasze finanse są w gorszym stanie niż pańskie, gubernatorze - odparował ostro del 'Aqua. -

Bez tegorocznego handlu Kościół zbankrutuje, czy to jasne? Od trzech lat z Goi ani z Lizbony nie dostaliśmy żadnych pieniędzy, a strata zysku w zeszłym roku. . Boże, daj mi cierpliwość! Znam stawkę znacznie lepiej od ciebie, panie. I odpowiadam ci: nie!

Rodrigues siedział obolały na żeglarskim krześle, z nogą w łóbkach spoczywającą na wyściełanym stołku, który przywiązano mocno przy podstawie kompasu.♦

- Gubernator ma rację, eminencjo - odezwał się. - Po co mieliby do nas podpływać, gdyby czegoś nie knuli? Czemu nie uciekną, ha? Nadarza nam się sakramencko dobra okazja.

- Tak, a decyzja w tej sprawie należy do wojskowych - powiedział Ferriera.

Alvito błyskawicznie zwrócił się w jego stronę.

- Nie, w tej sprawie rozstrzygnie jego eminencja, generale-gubernatorze. Nie wolno nam zrazić Toranagi. Musimy mu pomóc.

- Tyle razy słyszałem od was, że kiedy wybuchnie wojna, to będzie trwała bez końca. A wojna już się zaczęła, no tak?- spytał Rodrigues. - Widzieliśmy jej początek. To musi zaszkodzić handlowi.

A śmierć Toranagi to koniec wojny i ratunek dla naszych interesów. Ja tam mówię, żeby zatopić tę galerę.

- A w dodatku pozbedziemy się tego heretyka - dorzucił Ferriera, obserwując Rodriguesa. -

Na chwałę Bożą zapobiegniemy wojnie, a jeszcze jeden heretyk pójdzie na męki piekielne.

- Byłoby to niczym nie usprawiedliwione mieszanie się do ich spraw wewnętrznych - odparł del 'Aqua, zatajając prawdziwy powód.

- Mieszamy się do nich bez przerwy. Towarzystwo Jezusowe z tego słynie. Nie jesteśmy naiwnymi, tępyimi kmiotkami!

- Bynajmniej tego nie mówię. Ale dopóki jestem na pokładzie, nie zatopisz, panie, tego statku.

- Więc proszę z łaski swojej powrócić na brzeg.

- Im prędzej ten rzeźnik zginie, tym lepiej, eminencjo - wtrącił Rodrigues. - On czy Ishido, co za różnica? Obaj są poganami i żadnemu nie można ufać. Pan gubernator ma rację, nigdy już się nam nie trafi taka gratka. A co z naszą Czarną Karawelą?

Rodrigues jako pilot miał piętnastą część udziału w zyskach. Prawdziwy pilot Czarnej Karaweli zmarł przed trzema miesiącami w Makau na kiłę, dlatego też Rodriguesa, ku jego nie kończącej się radości, wzięto z jego własnego statku Santa Theresa i powierzono nowe stanowisko. Jako oficjalną przyczynę śmierci tamtego pilota podano kiłę, jednakże wielu mówiło, że to jakiś ronin wbił mu podczas bijatyki w burdelu nóż w plecy, przypomniał sobie pochmurnie Rodrigues. Mój Boże, to moja wielka szansa. Nic mi w tym nie przeszkodzi!

- Całą odpowiedzialność wezmę na siebie - mówił właśnie Ferriera. - To decyzja wojskowa.

Wplątaliśmy się w miejscową wojnę. Mój statek jest w niebezpieczeństwie. - Ponownie obrócił się w stronę kanoniera. - Są już w zasięgu dział?

- Cóż, don Ferriera, to zależy od życzenia. - Ogniomistrz dmuchnął na koniec lontu, który rozżarzył się i zaiskrzył. - Mogę teraz rozwalić im dziób, rufę, śródokręcie, co tam wolisz, panie.

Ale jeżeli chcesz, żeby ktoś zginął, ktoś konkretny, to za parę chwil podpłyniemy do nich na odległość zabójczego strzału.

- Chcę śmierci Toranagi. I tego heretyka.

- To znaczy tego Anglika, pilota?

- Tak.

- Ktoś musi mi pokazać tego Japońca. Pilota ani chybi rozpoznam sam.

- Jeżeli pilot musi zginąć po to, żeby zabity został Toranaga i skończyła się wojna, to jestem za tym, generale-gubernatorze - rzekł Rodrigues. - W przeciwnym razie powinien być oszczędzony.

- To heretyk, wróg naszego kraju, zgorszyiciel, a sprawił nam dotychczas tyle kłopotów, co gniazdo jadowitych węży.

- Podkreślałem już, że po pierwsze i po ostatnie ten Anglik jest pilotem, jednym z najlepszych na świecie.

- Piloci powinni mieć specjalne względy? Nawet heretycy?

- A tak, na miły Bóg! Powinniśmy wykorzystać go tak, jak oni wykorzystują naszych. Zabicie kogoś z takim doświadczeniem byłoby diabelnym marnotrawstwem. Bez pilotów nie byłoby żadnego sakramenckiego imperium, żadnego handlu, nic. Beze mnie nie popłynie Czarna Karawela, nie będzie zysku, powrotu do kraju, dlatego moje zdanie jest piekielnie ważne.

- Hej tam, na rufówce, galera zmienia kurs! - dobiegło wołanie z masztu.

Galera, zmierzająca dotąd prosto na nich, skręciła kilka rumbów w prawo, kierując się w głąb zatoki.

- Pogotowie bojowe! - krzyknął natychmiast Rodrigues. - Wach ta prawej burty na maszty!

Postawić wszystkie żagle! Wybrać kotwicę!

Marynarze w tej samej chwili rzucili się wypełniać rozkazy.

- Co się stało, Rodrigues?

- Nie wiem, gubernatorze, ale wychodzimy na otwarte morze. Ta gruba zdzira zmierza ku nawietrznej.

- A czy to ważne? Możemy ich zatopić w dowolnej chwili - rzekł Ferriera. - I tak przecież musimy przywieźć na pokład zapasy, a ojcowie muszą wrócić do Osaki.

- Owszem. Ale za nic nie pozwolę wrogom znaleźć się po nawietrznej mojego statku. Ta gamratka nie jest zależna od wiatru, ona może płynąć pod wiatr. Może okrążyć nas, żeby rzucić się na nas od rufy, gdzie mamy tylko jedno działo, i dokonać abordażu!

Ferriera zaśmiał się lekceważąco.

- Na pokładzie mamy dwadzieścia dział! A oni żadnego! Myślisz, że ten brudny pogański pływający chlew ośmieliłby się nas zaatakować?

Masz nie po kolei w głowie!

- Owszem, gubernatorze, i dlatego noszę ją jeszcze na karku. Santa Theresa ma rozkaz wypłynąć w

morze!

Rozwiązane żagle rozwinęły się z trzaskiem i, pochwycił je wiatr, drzewca zazgrzytały, Obie wachty były na pokładzie na swoich stanowiskach bojowych. Fregata ruszyła, ale wolno.

- Płyńże, jędzio - ponaglił ją Rodrigues.

- Jesteśmy gotowi, don Ferriera - zawiadomił ogniomistrz. - Mam ją na celownikach. Długo jej nie utrzymam. Który to Toranaga? Wskaż go, panie!

Galere, na której nie paliły się pochodnie, oświetlał tylko księżyc. W dalszym ciągu mieli ją ze stojardów za rufą, lecz w tej chwili skręcała w lewo i kierowała się w stronę przeciwległego brzegu zatoki, a jej wiosła opadały i zanurzały się w równym rytmie.

- Czy to jest ten pilot? Ten wysoki na rufówce?

- Tak - odparł Rodrigues.

- Manuel i Perdito! Wycelujcie w niego i rufówkę! - Przy najbliższym dziale dokonano małych poprawek. - Który to Toranaga? Prędko! Sternicy, dwa rumby w prawo!

- Jest dwa rumby w prawo, ogniomistrzu!

Wiedząc o piaszczystym dnie i pobliskich mieliznach, Rodrigues obserwował wanty, gotów. W każdej chwili przejąć komendę od kanoniera, który zwyczajowo dowodził ogniem z dział na rufie.

- Uwaga główny pokład, działa prawej burty! - krzyknął ogniomistrz. - Po wystrzale dajmy im odpaść od wiatru. Otworzyć wszystkie furty działowe, przygotować się do salwy burtowej - Obsady dział wykonały rozkaz, spojrzeniami śledząc oficerów na rufówkę. Oraz księży. - Na miły Bóg, don Ferriera, który to Toranaga?

- Który to jest, ojczcze? - spytał Ferriera, gdyż nie widział Toranagi na oczy.

Rodrigues wyraźnie rozpoznał Toranagę, który stał w otoczeniu samurajów na pokładzie dziobowym. Niech zrobią to jezuici, pomyślał. No dalej, ojczcze, zabaw się w Judasza. Dlaczego to zawsze my musimy załatwiać brudną robotę, choć przecież nie dałbym złamanego dublona za życie tego pogańskiego skurwysyna!

Obaj księża milczeli.

- Prędko, który to będzie Toranaga? - ponowił pytanie ogniomistrz.

Zniecierpliwiony Rodrigues pokazał mu.

- Tamten, na dziobówce. Niski, krępy drań pośrodku tych wszystkich innych pogańskich drani.

- Widzę go, senhor pilocie.

Obsada działa dokonała ostatnich drobnych poprawek. Ferriera wyjął zapalony lont z rąk pomocnika ogniomistrza.

- Wycelowaliście w heretyka? - spytał.

- Tak, generale-gubernatorze, gotów pan? Opuszczę rękę. To będzie znak.

- Dobrze.

- Nie będziesz zabijał! - rozległ się głos del 'Aquy.

Ferriera obrócił się raptownie w jego stronę.

- To poganie i heretycy!

- Są wśród nich chrześcijanie, a nawet gdyby ich nie było.. '

- Ogniomistrzu, nie zwracajcie uwagi na księdza! - warknął gubernator. - Skoroście gotowi, strzelamy!

Del 'Aqua podszedł do lufy działa i zasłonił sobą jej wylot. Swoją ogromną postacią zdominował rufówkę i uzbrojonych marynarzy, którzy czatowali zasadzeni w ukryciu. Rękę trzymał na krzyżu.

- Powiedziałem: „Nie będziesz zabijał! !”

- Zabijamy bez przerwy, ojciec - odparł Ferriera.

- Wiem, wstydzę się tego i błagam Boga o wybaczenie. - Del 'Aqua nigdy dotąd nie był na rufówce bojowego statku z naładowanymi działami i muszkietami, w chwili gdy spoczywające na spustach palce gotowią się do zabijania. - Dopóki tu jestem, nie będzie zabijania, a ponadto nikt nie dostanie rozgrzeszenia za morderstwo z zasadzki!

- A jeżeli oni nas zaatakują? Spróbują zdobyć nasz statek?

- Będę błagał Boga, żeby wsparł nas w walce z nimi!

- Co za różnica, teraz czy potem?

Del 'Aqua nie odpowiedział. Nie będziesz zabijał, pomyślał, a poza tym Toranaga przyrzekł nam wszystko, natomiast Ishido nic.

- Więc co ma być, panie gubernatorze? Już czas! - zawołał ogniomistrz. - Teraz!'

Ferriera z niechęcią odwrócił się plecami do księży, rzucił lont i podszedł do balustrady.

- Przygotować się do odparcia ataku - zawołał. - Jeżeli bez zaproszenia podpłyną na bliżej niż pięćdziesiąt jardów, to bez względu na to, co mówią księża, macie rozkaz zatopić ich!

Rodrigues był tak samo wściekły, jak generał-gubemator, wiedział jednak, że wobec tego księdza jest równie bezradny jak on. Nie będziesz zabijał? Na Błogosławionego Jezusa Chrystusa, a co z wami? - chciał wykrzyknąć. Co z auto da fe? Co z inkwizycją? Co z wami, księżmi, ogłaszającymi wyroki na „winnych”, „czarownice”, „satanistów” i „heretyków”? Pamiętacie te dwa tysiące czarownic, które spalono w samej tylko Portugalii w roku, w którym popłynąłem do Azji? A co z niemal każdą wioską i miastem w Portugalii i Hiszpanii, co z dominiami odwiedzanymi i poddawanymi śledztwu przez Bicz Boże, jak dumnie nazywali siebie inkwizytorzy, co ze swędem palonych ciał, który pozostawiali po sobie? O Chryste Panie, miej nas w opiece!

Odsunął od siebie strach i odrazę i skupił się na galerze. Widział w tej chwili Blackthorne'a.

Ach, Angliku, pomyślał, dobrze jest cię widzieć, jak stoisz tam dowodząc, taki wysoki i pewny siebie. Sądziłem, że trafisz na pole straceń. Cieszę się, że uciekłeś, ale jednak, na szczęście, nie masz na pokładzie choćby najmniejszego działła, bo wówczas zatopiłbym cię, nie przejmując się nic a nic zdaniem księży.

Matko Boska, ochroń mnie przed złymi kapłanami.

- Ahoj, Santa Theresa!

- Ahoj, Ingeles!

- Czy to re, Rodrigues?

- Tak jest!

- Jak twoja noga?

- Ty skurczybyku!

Rodriguesa ucieszył przekorny śmiech, który nadbiegł ponad dzielącym ich morzem.

Przez pół godziny dwa statki manewrowały, goniąc się, wykonując zwroty i zmieniając kursy.

Galera starała się zająć pozycję po nawietrznej i zastawić fregacie drogę przy zawietrznym brzegu, portugalski statek zaś chciał zdobyć dla siebie więcej przestrzeni, tak żeby w razie potrzeby wypłynąć z zatoki. Żadne jednak nie było w stanie zdobyć przewagi i dopiero właśnie podczas tej gonitwy z pokładu fregaty po raz pierwszy dojrzano rybackie łodzie zgromadzone przy wyjściu z zatoki i zrozumiano, co to oznacza.

- Dlatego do nas podpływa! Szuka ochrony!

- To jeszcze jeden powód, żeby go zatopić, skoro wpadł w pułapkę. Ishido będzie nam dozwrotnie wdzięczny - rzekł Ferriera.

Del 'Aqua stał twardo przy swoim zdaniu.

- Toranaga jest zbyt ważny. Nalegam, żebyśmy najpierw z nim porozmawiali. Zatopić go można zawsze. Nie ma dział. Nawet ja wiem, że z działami walczyć można jedynie działami.

Rodrigues pozwolił więc dojrzeć nowej sytuacji, żeby dać im czas na oddech. Oba statki znajdowały się pośrodku zatoki, nie zagrożone przez rybackie łodzie i niegroźne dla siebie nawzajem; fregata drżała na wietrze, gotowa w jednej chwili od niego odpaść, a galera z podniesionymi wiosłami, stojąc bokiem do niej, dryfowała w odległości głosu. Dopiero kiedy Rodrigues zobaczył, że na galerze podnoszą wiosła i obraca się ona burtą do nich, ustawił swój statek pod wiatr, żeby mogła podpłynąć na odległość krzyku, i przygotował się do szeregu następnych manewrów. Dzięki Ci, Boże, Błogosławiony Jezusie, Maryjo i Józefie, że mamy działa, a ten drań wcale, pomyślał znowu. Ten Anglik jest za cwany.

Ale dobrze jest mieć za przeciwnika zawodowca, rzekł w duchu. Znacznie bezpieczniej. Bo wtedy nie ma głupich błędów i nikt nie ponosi niepotrzebnie szwanku.

- Czy wolno wejść na wasz pokład?

- Komu?

- Panu Toranadze, jego tłumacze i strażnikom.

- Bez strażników - rzekł cicho Ferriera.

- Musi jakichś ze sobą wziąć. To sprawa prestiżu - powiedział Alvito.

- Mam gdzieś jego prestiż. Żadnych strażników.

- Ja też nie chcę wpuszczać samurajów na pokład - przyznał Rodrigues.

- Zgodziłbyś się na pięciu? - spytał Alvito. - Tylko na jego straż przyboczną? Rozumiesz, w czym rzecz, Rodrigues.

Po chwili namysłu Rodrigues skinął głową.

- Pięciu może być, generale-gubernatorze. Wyznamy pięciu ludzi „jako twoją „straż przyboczną”, każdy uzbrojony w dwa pistolety. Ty, ojcze, ustal szczegóły. Szczegółami niech lepiej zajmie się ojciec Alvito, bo zna się na tym. Proszę, ojcze, ale powiesz nam potem, o czym była mowa.

Alvito podszedł do nadburcia i krzyknął:

- Kłamstwami nic nie zyskacie! Przygotujcie swoje dusze na spotkanie piekieł, ty i twoi bandyci! Macie dziesięć minut, a potem generał-gubernator pośle was do wszystkich diabłów na wieczne

męki!

- Płyniemy pod banderą pana Toranagi, na miły Bóg!

- Ta banderą jest fałszywa, piracie!

Ferriera wystąpił naprzód.

- Po co te bzdury, ojczy?

- Cierpliwości, panie gubernatorze - odparł Alvito. - To tylko konwenans. W przeciwnym razie Toranaga nigdy nie wybaczyłby nam znieważenia jego bandery. . co już zresztą zrobiliśmy. To nie jest zwykły daimyō, to Toranaga. Ma on pod bronią więcej żołnierzy niż król Hiszpani i lepiej byłoby, żebyś o tym nie zapominał, panie.

Wiatr szemrał w takielunku, drzewca klekotały nerwowo. Wtem na pokładzie rufowym galery zapłonęły pochodnie i ujrzeli Toranagę wyraźnie. Ponad falami pobiegł jego głos:

- Tsukku-san! Jak śmiecie unikać mojej galery! Tu nie ma piratów, są za to na tych rybackich łodziach u wejścia do zatoki. Chciałbym natychmiast do was podpłynąć!

- Ależ, panie Toranaga, bardzo przepraszam, nie mieliśmy pojęcia, że to ty, panie! -

odkrzyknął Alvito, udając zdziwienie. - Myśleliśmy, że to zwykły podstęp. Szarzy powiedzieli nam, że bandyci roninowie zdobyli galerę siłą. Sądziliśmy, że bandyci pod dowództwem angielskiego pirata płyną pod fałszywą flagą. Zaraz tam płynę.

- Nie. To ją zaraz do was przyłynę.

- Błagam cię, panie Toranaga, żebyś pozwolił mi przyłynąć i ci towarzyszyć. Jest tu ze mną mój przełożony, ojciec wizytator, a także generał-gubernator. Chcą koniecznie naprawić tę pomyłkę.

Zechciej przyjąć nasze przeprosiny! - Alvito przeszedł znów na portugalski, krzyknął głośno do bosmana „Spuścić szalupę!”, a potem po japońsku do Toranagi: - Już spuszcza szalupę, wielmożny panie!

Rodrigues, przysłuchując się pełnemu uniżoności głosowi Alvito, pomyślał, że o wiele trudniej jest sobie radzić z Japończykami niż z Chińczykami. Chińczycy rozumieli sztukę pertraktacji, kompromisu, ustępstw i nagród. Natomiast Japończycy przepełnieni byli dumą, a kiedy obrażono dumę któregoś - wszystko jedno kogo, niekoniecznie samuraja - wówczas nawet śmierć była za małą ceną do odpłacenia za zniewagę. Prędeż, skończ z tym, chciał zawołać.

- Popłynę natychmiast, generale-gubernatorze - mówił właśnie Alvito. - Eminencjo, gdyby i ksiądz ze mną popłynął, to jego wizyta bardzo by ugłaskała Toranagę.

- Dobrze.

- A czy to nie jest aby niebezpieczne? - spytał Ferriera. - Może użyć was dwóch jako zakładników.

- Gdybyście tylko dostrzegli oznaki zdrady, nakazuję wam w imię Boże zniszczyć ten statek i wszystkich na nim, nie bacząc na to, czy jesteśmy na pokładzie - odparł del 'Aqua. Dużymi krokami zszedł z rufówki na główny pokład, mijając działa, poły jego sutanny kołysały się dostojnie. Przy furcie wejściowej obrócił się i zrobił znak krzyża. A potem po schodkach zaburtowych zszedł do łodzi.

Bosman odbił od statku. Wszyscy marynarze uzbrojeni byli w pistolety, a pod ławeczką bosmana spoczywała baryłka prochu wraz z lontem. Ferriera przechylił się przez nadburcie i zawołał cicho w dół:

- Eminencjo, przywieźcie tu ze sobą tego heretyka.

- Słucham? Co powiedziałaś, panie?

Del 'Aquie sprawiało przyjemność droczenie się z generałem-gubernatorem, bo straszliwie raziła go nieustanna buta wojskowego. Zresztą dawno temu postanowił dostać w swoje ręce Blackthorne'a, słuch zaś miał doskonały. Che stupido, pomyślał.

- Przywieźcie tu ze sobą tego heretyka, dobrze? - powtórzył Ferriera.

Na pokładzie rufowym Rodrigues usłyszał zduszoną odpowiedź: „Tak, generale-gubernatorze”, i pomyślał: „Co za podłość zamyślasz, Ferriera?”

Twarz miał białą jak kreda, z trudem poprawił się na krześle. Ból w nodze był rozdzierający i Rodrigues większość sił zużywał, żeby go wytrzymać. Kości zrastały się dobrze, a rana - dzięki Ci za to, Matko Boska - nie paprała się. Ale złamanie było złamaniem i nawet lekki przechył statku stojącego w dryfie dawał się mu we znaki. Łyknął grogu z wysłużonego bukłaka marynarskiego, który wisiał na kołku przy kompasie.

- Dokucza ci noga, pilocie? - spytał Ferriera, który mu się przypatrywał.

- Mam się dobrze - odparł. Grog stępił ból.

- Czy na tyle dobrze, żebyś dopłynął stąd do Makau?

- Tak. A także stoczył regularną bitwę morską. I powrócił tu w lecie, jeśli o to pytasz.

- Tak jest, o to. - Wargi Ferriery znów zrobiły się cienkie, rozciągając się w wąskim sztucznym uśmiechu. - Potrzebny mi jest zdrowy pilot.

- Jestem zdrowy. Noga zrasta się dobrze. - Rodrigues przewyciężył ból. - Anglik nie wejdzie na nasz pokład dobrowolnie. Ja bym nie wszedł.

- Stawiam sto gwinei, że się mylisz.

- To więcej niż zarabiam przez rok.
- Płatne po dopłynięciu do Lizbony, z zysków, jakie przyniesie Czarna Karawela.
- Przyjmuję zakład. Nic go nie zmusi do wejścia na nasz pokład dobrowolnie. O mój Boże, wzbogaciłem się właśnie o sto gwinei!
- Straciłeś je! Zapomniałeś, że jezuitom zależy bardziej na sprowadzeniu go tutaj niż mnie.
- A to czemu?

Ferriera spojrział mu prosto w oczy i nie odpowiedział, uśmiechając się tak krzywo jak przedtem. Potem zaś rzekł prowokująco:

- Wyprowadziłbym Toranagę z zatoki w zamian za tego heretyka.
- Jak to dobrze, że jestem twoim towarzyszem, panie, potrzebnym tobie i Czarnej Karaweli - odparł Rodrigues. - Nie chciałbym cię mieć za wroga.
- Jak to dobrze, że się nawzajem rozumiemy, pilocie. Nareszcie.

Żądam, abyście wyprowadzili mnie z tej zatoki. Pilnie - powiedział Toranaga del 'Aquie za pośrednictwem tłumacza Avito w obecności stojących obok Yabu i Mariko, która również słuchała.

Stał na nadbudówce dziobowej galery, a del 'Aqua z Alvitem niżej, na pokładzie, ale mimo to ich oczy znajdowały się prawie na jednym poziomie. - Albo, jeśli wolicie, niech wasz okręt wojenny usunie mi z drogi tamte łodzie.

- Wybacz mi, panie Toranaga, ale byłoby to niczym nie usprawiedliwione wrogie działanie, które nie dałoby się. . nie byłoby wskazane dla tej fregaty - odparł del 'Aqua, zwracając się wprost do daimyō i będąc jak zwykle pod niesłychanym wrażeniem tego, że ojciec Alvito przekłada jego słowa równocześnie. - Nie możemy tego zrobić. . gdyż równałoby się to wypowiedzeniu wojny.

- Co zatem proponujesz?

- Zechciej udać się na fregatę, panie. Spytajmy o to generała-gubernatora. Ponieważ wiemy już, jakie masz kłopoty, on znajdzie rozwiązanie. Jest wojskowym, a my nie.

- Przywieźcie go tutaj.

- Gdybyś ty popłynął tam, byłoby szybciej, wielmożny panie. Nie mówiąc już o zaszczycie, jaki byś nam tym wyświadczył.

Toranaga wiedział, że to prawda. Zaledwie przed kilkoma minutami dostrzegli, jak z brzegu spuszczone na wodę kolejne łodzie wypełnione łucznicami i chociaż w tej chwili byli bezpieczni, nie ulegało wątpliwości, że za godzinę wejście do zatoki zostanie zamknięte przez wrogów.

Był zatem świadom, że nie ma wyboru.

- Przykro mi, wielmożny panie - wyjaśnił mu wcześniej angielski pilot, podczas ich nieudanej pogoni za fregatą. - Nie jestem w sta nie się do niej zbliżyć. Rodrigues jest za sprytny. Wprawdzie, jeśli przestanie wiać, mogę nie dopuścić, by nam uciekł, ale nie pochwycę go w pułapkę, chyba że popełni błąd. Będziemy musieli per traktować.

- A czy popełni błąd i czy wiatr przestanie wiać? - spytał Toranaga za pośrednictwem Mariko.

- Anjin-san mówi, że mądry nigdy nie zakłada się o wiatr, chyba że chodzi o pasat i jest się na pełnym morzu. Ale my znajdujemy się w zatoce, gdzie za sprawą tych gór wiatry wirują i krążą.

Tamten pilot, Rodrigues, nie popełni błędu.

Toranaga, który przypatrywał się zmaganiom obu pilotów, przekonał się ponad wszelką wątpliwość, że są mistrzami w swoim fachu. I wtedy uświadomił sobie, że ani on, ani jego ziemie, ani cesarstwo nie będą bezpieczne, dopóki nie zdobędzie nowoczesnych barbarzyńskich statków, a za ich pośrednictwem władzy nad tymi morzami.

Myśl ta poraziła go.

- Ale jak ja mogę układać się z nimi? - spytał. - Czym usprawiedliwią tak jawnie okazaną wrogość wobec mnie? Mam teraz obowiązek zabić ich za znieważenie mojego honoru.

I wówczas pilot wyjaśnił mu fortel z fałszywymi banderami, to, że podstęp tego używały wszystkie statki pragnące zbliżyć się do wroga albo go uniknąć. Toranadze ogromnie ulżyło, że kwestię zachowania przez niego twarzy da się rozwiązać w sposób możliwy do przyjęcia.

- Sądzę, że powinniśmy popłynąć tam zaraz, wielmożny panie - rzekł Alvito.

- Dobrze - zgodził się Toranaga. - Yabu-san, obejmij dowództwo nad statkiem. Mariko-san, powiedz pilotowi, żeby pozostał na rufówce i pilnował steru, a ty popłyniesz ze mną.'

- Tak, panie.

Sądząc z rozmiarów szalupy było oczywiste, że Toranaga może zabrać z sobą tylko pięciu strażników. Ale przewidział i to, a jego ostateczny plan był prosty: jeżeli nie zdoła skłonić tych z fregaty, żeby mu pomogli, to wraz ze swoimi samurajami zabije generała-gubernatora, pilota i księży, a potem zabarykaduje się w jednej z kabin. Jednocześnie galera podpływie natychmiast do fregaty od strony dziobu, tak jak zaproponował Anjin-san, i razem spróbują zdobyć ją szturmem.

Zdobędą ją albo nie zdobędą, w każdym razie szybko wszystko stanie się jasne.

- To dobry plan, Yabu-san - rzekł wcześniej.

- Pozwól, żebym to ja zamiast ciebie pojechał z nimi per traktować, panie.

- Nie zgodzą się na to.

- Dobrze, ale zaraz po wydostaniu się z tej pułapki wypędź wszystkich barbarzyńców z naszego cesarstwa. Jeżeli to zrobisz, pozyskasz sobie więcej daimyō, niż ich stracisz.

- Rozważę to - odparł Toranaga wiedząc, że to bzdura, że musi” mieć po swojej stronie chrześcijańskich daimyō Onoshiego i Kiyamę, a więc również pozostałych chrześcijańskich feudałów, w przeciwnym razie bowiem wydadzą nań zaoczny wyrok. Dlaczego Yabu pragnął jechać na fregatę? Jaką podłość zamyślał na wypadek, gdyby odmówiono im pomocy?

- Wielmożny panie - spytał go del 'Aqua ustami Alvita - czy mogę poprosić Anjin-sana, żeby nam towarzyszył?

- Po co?

- Pomyślałem sobie, że może chciałby się przywitać ze swoim kolegą, anjinem Rodriguesem.

Rodrigues ma złamaną nogę i nie może tu przyplłynąć. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, panie, to chciałby się z nim znów zobaczyć, podziękować mu za uratowanie życia.

Toranadze nie przychodziło na myśl nic, co przemawiałoby przeciw popłynięciu Anglika z nimi.

Znajdował się pod jego opieką, tak więc nic nie mogło mu się stać.

- Zgoda, jeżeli on sam zechce popłynąć. Mariko-san, idź z Tsukku-sanem.

Mariko ukloniła się: Dobrze wiedziała, że jej zadaniem jest słuchać, informować i pilnować, żeby wszystko było przekładane poprawnie, bez opuszczeń. Czuła się już lepiej - z doprowadzonymi do idealnego porządku twarzą i fryzurą, w świeżym kimonie pożyczonym od pani Fujiko i z lewą ręką na schludnym temblaku. Jeden z oficerów, uczący się na lekarza, opatrzył jej ranę. Cios miecza nie przeciął ścięgien w jej ręce, a sama rana była czysta. Kąpiel przywróciłaby jej siły i wyleczyła, ale na galerze nie było na nią warunków.

Wraz z Alvitem przeszła na rufówkę. Jezuita spostrzegł, jak dobrze pasuje do Blackthorne'a poplamione kimono, a także nóż, który miał za pasem. Zastanawiał się, do jakiego stopnia wkradł się on w łaski Toranagi.

- Co za spotkanie, pilocie Blackthorne - powiedział.

- Bodajś się w piekle smażył, ojczy! - odparł uprzejmym tonem Blackthorne.

- Być może spotkamy się tam, Anjin-san. Być może się spotkamy. Toranaga powiedział, że możesz popłynąć na fregatę.

- Czy to rozkaz?

- Powiedział, że jeśli chcesz.

- Nie chcę.

- Rodrigues pragnąłby się z tobą zobaczyć i podziękować.

- Przekaż mu moje uszanowanie i powiedz, że spotkamy się w piekle. Albo tutaj.

Nie pozwala mu na to noga.

- A jak tam jego noga?

- Goi się. Dzięki twojej pomocy i łasce Bożej. Za kilka tygodni, jak Bóg da, będzie chodził, chociaż już do końca życia będzie utykał.

- Powiedz mu, że dobrze mu życzę. Lepiej płyńcie, księżo, szkoda czasu.

Rodrigues chciałby się z tobą spotkać. Na stole u niego stoi grog, smaczny pieczony kapłon ze świeżą zieleniną, sos, świeżutki chleb, jeszcze ciepły. Szkoda, żeby się marnowało takie jadło.

- Co mówisz? Mamy świeżo upieczony złociutki chleb, pilocie, świeże suchary i zadnią wołowinę. Świeże pomarańcze z Goi, a nawet galon madery do popicia albo brandy, jeśli wola. Jest również piwo. A ponadto kapłon z Makau, gorący i soczysty. Generał-gubernator jest epikurejczykiem.

- A niech was wszyscy diabli!

- Co znaczy „epikurejczykiem”? - spytała Mariko.

- Epikurejczyk to ktoś, kto lubi dobrze zjeść i ma suto zastawiony stół, senhora Maria -

odparł Alvito, używając imienia, jakie dostała na chrzcie.

Zauważył nagle zmienioną minę Blackthorne'a. Niemal widział, jak mu pracują ślinianki, i prawie czuł, jak boleśnie kurczy mu się żołądek. Dziś wieczorem na widok jada rozstawionego w wielkiej kabine kapitańskiej, lśniących sreber, białych obrusów i foteli, prawdziwych miękkich skórzanych foteli, wśród woni świeżego pieczywa, masła i soczystych mięs jemu samemu zrobiło się słabo z głodu, a przecież nie był wygłodzony czy nie przyzwyczajony do japońskiej kuchni.

Jakże łatwo jest zwabić człowieka, rzekł w duchu. Trzeba tylko mieć właściwą przynętę.

- Do widzenia, naczelny pilocie! - powiedział, odwrócił się i pod szedł do furty wejściowej.

Blackthorne podążył za nim.

- Co się stało, Ingeles? - spytał Rodrigues.

- Gdzie to jadło? Porozmawiamy potem. Najpierw jedzenie, któreście obiecali.

Blackthorne stanął chwiejnie na głównym pokładzie.

- Proszę za mną - powiedział Alvito.

- Gdzie go zabierasz, ojcze?

- Do głównej kabiny, oczywiście, Blackthorne może posilać się podczas rozmowy pana Toranagi z generałem-gubernatorem.

- Nie. Może zjeść w mojej kabinie.

- Doprawdy, łatwiej pójść tam, gdzie jest jadło., - Bosmanie! Dopilnuj, żeby zaraz nakarmiono pilota w mojej kabinie wszystkim, czego zapragnie, co tylko jest na stole. Chcesz grogu, Ingeles, wina, piwa?.

- Najpierw piwa, a potem grogu.

- Bosmanie, zajmij się tym, sprowadź go pod pokład. Aha, słuchaj, Pesaro, daj mu z mojej szafy jakiś przydziewek, buty i wszystko. Zostań przy nim, dopóki cię nie zawołam.

Blackthorne bez słowa podążył za potężnym, krzepkim bosmanem Pesaro w dół po zejściówce.

Alvito już miał odejść od del 'Aquy i Toranagi, którzy za pośrednictwem Mariko rozmawiali przy zejściówce, kiedy Rodrigues zatrzymał go.

- Ojcze! Jedną chwilę. Co mu powiedziałeś?

- Tylko tyle, że chcesz się z nim zobaczyć i że na pokładzie jest jedzenie.

- Że ja mu je proponowałem?

- Nie, Rodrigues, tego nie powiedziałem. Ale czybyś nie zaproponował jedzenia koledze pilotowi, który jest głodny?

Ten biedny drań wcale nie jest głodny, on jest zagłodzony. Jeżeli zacznie jeść w takim stanie, to będzie połykał żarcie jak zgłodniały wilk, a potem zwróci wszystko równie łącno jak zachlana dziewczka. A przecież nie chcemy, żeby któryś z nas, niechby nawet i heretyk, żarł jak zwierzę i rzygał jak bydlę w obecności Toranagi, prawda, ojcze? Nie w obecności, tego sakramenckiego psubrata:” zwłaszcza takiego, którego zamiary są tak czyste jak zżarta franca szpara starej kurwy!

- Trzeba, żebyś nauczył się trzymać na wodzy swój plugawy język, mój synu - rzekł Alvito. -

Przez niego trafisz do piekła. Zmów lepiej sto zdrowasiek i pość dwa dni. O chlebie i wodzie.

Niechże to będzie pokuta wobec Miłosiernego, żebyś pamiętał o Jego łasce.

- Dziękuję, ojcze, zrobię to. Z chęcią. A gdybym mógł, tobym ukląkł i ucałował twój krzyż.

Tak, ojcze, ja, biedny grzesznik, dziękuję ci za cierpliwość, którą obdarzył cię Bóg. Muszę uważać

na swój język.

- Schodzisz pod pokład, Rodrigues? - zawołał od zejściówki Ferriera!

- Dopóki stoi tam ta świńska galera, zostanę na pokładzie, gubernatorze. Gdybym był

potrzebny, to jestem tutaj. - Alvito właśnie ruszył, kiedy Rodrigues spostrzegł Mariko. - Zaraz, ojcze. Kim jest ta kobieta?

- To donna Maria Toda. Jedna z tłumaczek Toranagi. Rodrigues cichutko gwizdnął.

- Dobra jest? - spytał.

- Bardzo dobra.

- To głupio wpuszczać ją na pokład. Powiedziałeś „Toda”? Czyżby była nałożnicą starego Tody Hiro-matsu?

Nie. To żona jego syna. - Głupio zrobiliście, przywożąc ją na statek; - Rodrigues przywołał

ręką marynarza. - Rozpowiedz wszystkim, że ta kobieta zna portugalski - polecił.

- Tak, senhor.

Marynarz odbiegł, a Rodrigues zwrócił się ponownie w stronę ojca Alvito.

Jezuity bynajmniej nie przestraszył jego widoczny gniew.

- Pani Maria mówi także po łacinie, i to równie doskonale. Czy masz jeszcze coś do mnie, pilocie?

- Nie, dziękuję. Może lepiej zabiorę się do odmawiania zdrowasiek.

- Owszem, powinienes.

Ksiądz zrobił znak krzyża i odszedł. Rodrigues splunął do splotnika, na co jeden ze sterników wzdrygnął się i przeżegnał.

- Przybij sobie swój zapleśniały napletek do masztu! - syknął Rodrigues.

- Tak jest, naczelny pilocie, przepraszam, senhor. Ale w obecności zacnego ojca puszcza mi nerwy. Nic złego nie miałem na myśli.

Młody sternik zobaczył, że ostatnie ziarenka piasku przelatują przez szyjkę klepsydry, i odwrócił ją.

- O wpół do zejdz na dół weź, psiamac, jakiś ceber z wodą, szczotkę do szorowania i posprzątaj ten burdel w mojej kabinie. Po wiedz bosmanowi, żeby przyprowadził Anglika na górę, a ty tam posprzątasz. I radzę ci ją wysprzątać do czysta, bo pasy z ciebie zedrę. A kiedy będziesz to robił, zmów zdrowaśki za swoją potępioną duszę.

- Tak, senhor - odparł słabym głosem młodzieniec.

Rodrigues był fanatykiem, maniakiem na punkcie czystości, a jego własna kabina na tym statku była Świętym Graalem. Bez względu na pogodę wszystko musiało w niej być bez skazy.

27.

- Musi być jakieś rozwiązanie, generale-gubernatorze - rzekł cierpliwie del 'Aqua.
- Chce ojciec otwartego aktu wojny przeciwko zaprzyjaźnionemu narodowi?
- Oczywiście, że nie.

Wszyscy w wielkiej kabinie zdawali sobie sprawę, że wpadli w tę samą pułapkę. Każde otwarte działanie stawiało ich z miejsca po stronie Toranagi, a przeciwko Ishido, czego bezwzględnie musieli uniknąć, gdyż Ishido mógł okazać się zwycięzcą. W tej chwili sprawował władzę nad Osaka, stolicą Kioto oraz nad większością regentów. A za pośrednictwem dwóch daimyō, Onoshiego i Kiyamy, miał

kontrolę nad większą częścią wyspy Kiusiu, a tym samym nad portem Nagasaki, głównym ośrodkiem wszelkiego handlu, dzięki temu zaś nad całą wymianą handlową i tegorocznym rejsem Czarnej Karaweli.

- W czym trudność? - spytał za pośrednictwem ojca Alvito Toranaga. - Przecież chcę tylko, żebyście usunęli tych piratów z wejścia do zatoki, ne?

Siedział niewygodnie na honorowym miejscu, zajmując krzesło z wysokim oparciem przy wielkim stole. Obok niego zasiadał Alvito, naprzeciwko generał-gubernator, a przy jego boku del 'Aqua. Mariko stała za plecami Toranagi, a przy drzwiach, zwróciła twarzami do uzbrojonych marynarzy, samuraje z jego straży przybocznej. Wszyscy Europejczycy mieli świadomość, że chociaż Alvito tłumaczy Toranadze wszystko, co się mówi w kabinie, to obecność Mariko gwarantuje, iż na głos nie zostanie wypowiedziane nic, co godziłoby w interesy jej pana, i że przekład będzie pełny i wierny.

Del 'Aqua pochylił się w krzesło.

- A może, wielmożny panie, wysłałbyś na brzeg posłańców do pana Ishido - rzekł. - Może wyjściem są pertraktacje. Ten statek mógłby im posłużyć jako neutralny grunt. Być może, w ten sposób zapobiegłbyś wojnie.

Toranaga zaśmiał się z pogardą.

- Jakiej wojnie? My, Ishido i ja, nie toczyliśmy wojny.
- Ależ, wielmożny panie, przecież widzieliśmy tę bitwę na brzegu.
- Nie bądźcie naiwni! Kto zginął? Garstka psa wartych roninów.

Kto kogo zaatakował? Jedyne roninowie, bandyci albo wprowadzeni w błąd gorliwcy.

- A zasadzka? O ile wiemy, to Brązowi walczyli z Szarymi., Bandyci atakowali wszystkich, Brązowych i Szarych. Moi ludzie walczyli po prostu w mojej obronie. W czasie nocnych potyczek

łatwo o pomyłki. Jeżeli Brązowi zabijali Szarych, a Szarzy Brązowych, to jest to godna ubolewania pomyłka. Cóż jednak znaczy garstka żołnierzy dla każdego z nas? Nic. Nie toczymy wojny. .

Toranaga spostrzegł ich niedowierzanie, więc dodał:

- Powiedz im, Tsukku-san, że w Japonii wojnę toczą armie. Takie drobne utarczki, zamachy na życie, to zwyczajne sondowanie przeciwnika, w razie niepowodzenia zbywane niczym. Wojna nie zaczęła się dziś wieczorem. Ona zaczęła się po śmierci taikō. A nawet wcześniej, kiedy umierał, nie pozostawiając dorosłego następcy. Albo i jeszcze wcześniej, kiedy zamordowano protektora Gorodę. Dzisiejszy wieczór nie ma trwałych następstw. Nikt z was nie rozumie naszego cesarstwa ani naszej polityki. Skąd mielibyście ją rozumieć? Owszem, Ishido dybie na moje życie. Tak jak wielu innych daimyō. Próbowali tego w przeszłości i spróbują w przyszłości. Kiyama i Onoshi to zarówno wrogi wie, jak przyjaciele. Wiedźcie, że jeżeli ja zginę, to ułatwi to sprawę Ishido, który jest waszym prawdziwym wrogiem, lecz tylko na krótko. W tej chwili schwytał mnie w pułapkę i jeżeli mu się ona uda, to po, prostu zdobędzie chwilową przewagę. A jeżeli nie, to będzie tak, jakby tej pułapki wcale nie było. Jednakże zrozumcie jasno, że moja śmierć nie usunie przyczyny tej wojny ani nie zapobiegnie zwadzie w przyszłości. Zwady nie będzie tylko wtedy, jeżeli Ishido zginie.

Tak więc w tej chwili nie ma wojny. Wcale. - Toranaga poprawił się na krześle, nie mogąc znieść odoru w kabinie, jaki bił od tłustego jadła i niemytych ciał. - Ale rzeczywiście mamy do rozwiązania pilny problem. Potrzebuję skorzystać z waszych działań. Skorzystać zaraz. Wyjście z zatoki zagrażają nam piraci. Powiedziałem ci już wcześniej, Tsukku-san, że niedługo wszyscy będą musieli opowiedzieć się po którejś ze stron. A więc jakie jest stanowisko twoje, twojego przywódcy i całego chrześcijańskiego Kościoła? Czy moi portugalscy przyjaciele są ze mną czy przeciwko mnie?

- Bądź pewien, panie Toranaga, że wszyscy popieramy twoje sprawy - odparł del 'Aqua.

- To dobrze. W takim razie natychmiast usuńcie tych piratów.

- Byłby to akt wojny, na którym nic nie można zyskać. A może tak byśmy dobili jakiegoś targu, co? - zaproponował Ferriera.

Alvito nie przełożył jego słów, lecz zamiast tego powiedział:

- Generał-gubernator mówi, że my tylko staramy się uniknąć wtrącania się do waszej polityki, panie Toranaga. Jesteśmy kapłanami.

- Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale to nie jest właściwe tłumaczenie - powiedziała do Toranagi Mariko. - Nie to powiedziano.

Alvito westchnął.

- Po prostu przestawiłem niektóre jego słowa, wielmożny panie - rzekł. - Generałowi-gubernatorowi pewne formy dobrego wychowania są obce, ponieważ jest cudzoziemcem. On nie rozumie Japoni .

- Ale ty rozumiesz, Tsukku-san? - spytał Toranaga.

- Staram się, wielmożny panie.

- A co on właściwie mówił?

Alvito powiedział mu.

- Anjin-san Wyjawiał mi - rzekł po chwili milczenia Toranaga - że Portugalczycy bardzo interesują się handlem, a handlując przejawiają brak wszelkich manier i humoru. Rozumiem i przyjmuję twoje wyjaśnienie, Tsukku-san. Ale proszę, żebyś odtąd wiernie tłumaczył wszystko, tak jak zostało powiedziane.

- Tak, panie.

- Odpowiedz generałowi-gubernatorowi tak: Kiedy ten konflikt się rozstrzygnie, rozszerzę handel. Ja handel popieram, Ishido nie.

Del 'Aqua, który przysłuchiwał się tej wymianie zdań, miał nadzieję, że Alvito zatuszował głupotę Ferriery.

- Nie jesteśmy politykami, wielmożny panie, jesteśmy ludźmi religijnymi, reprezentujemy Wiarę i wiernych. Naprawdę popieramy twoje sprawy. Tak.

- Zgoda. Rozważałem. - Alvito przerwał tłumaczenie, twarz mu się rozpromieniła i przez chwilę pozwolił płynąć japońskim słowom Toranagi. - Przepraszam, eminencjo, ale pan Toranaga powiedział: „Rozważałem, czy nie poprosić was o wybudowanie świątyni, dużej świątyni w Edo, jako dowodu zaufania dla waszych spraw”.

Przez długie lata, odkąd tylko Toranaga został panem Ośmiu Prowincji, del 'Aqua zabiegał o to, ustępstwo. A otrzymanie takiego pozwolenia akurat teraz, w trzecim co do wielkości mieście cesarstwa, było ustępstwem bezcennym. Ojciec wizytator był świadom, że nadszedł czas rozstrzygnąć sprawę dział. - Podziękuj mu, Martinie Tsukku-san - rzekł używając szyfrowego zwrotu, który wcześniej ustalili z Alvitem, obierając taktykę, w której Martinowi przypadła rola chorążego - i powiedz, że zawsze będziemy się starali być do jego usług. Aha. Zapytaj go też, co miał na myśli, mówiąc o katedrze - dodał, specjalnie na użytek generała-gubernatora.

- Czy przez chwilę mógłbym mówić do ciebie wprost, wielmożny panie? - spytał Alvito zwracając się do Toranagi. - Mój pan dziękuje ci i mówi, że to, o coś prosił, jest być może do załatwienia. Będzie dążył, żeby zawsze cię wspierać.

- „Dążenie” to słowo abstrakcyjne i nie zadowalające.

- Tak, wielmożny panie. - Alvito zerknął na strażników, którzy oczywiście przysłuchiwali się im, choć wcale nie sprawiali takiego wrażenia. - Ale pamiętam, jak mówiłeś wcześniej, że czasem mądrze jest korzystać z abstrakcyjnych słów.

Toranaga zrozumiał od razu. Ruchem ręki odprawił swoich samurajów.

- Zaczekajcie na zewnątrz, wszyscy - polecił.

Z niepokojem wypełnili jego rozkaz. Alvito obrócił się do Ferriery.

- Nie potrzebujemy już twoich strażników, generale-gubernatorze - powiedział.

Po wyjściu samurajów Ferriera odprawił swoich ludzi i spojrzał na Mariko. Za pasem miał dwa pistolety, a trzeci schowany w bucie.

- Może chciałbyś, żeby pani Mariko spoczęła, wielmożny panie? - spytał Alvito Toranagę.

Toranaga ponownie zrozumiał. Przez chwilę myślał, a potem lekko skinął głową i nie odwracając się rzekł:

- Mariko-san, weź któregoś z mojej straży i odszukajcie Anjin-sana. Zostań z nim, dopóki po ciebie nie poślę.

- Tak, panie.

Drzwi zamknęły się za nią. Zostali sami. We czwórkę.

- Co to za propozycja? Co on proponuje? - spytał Ferriera.

- Cierpliwości, generale-gubernatorze - odparł del 'Aqua, bębniąc palcami po krzyżu i modląc się za powodzenie.

- Wielmożny panie - zwrócił się Alvito do Toranagi - mój pan mówi, że spróbuje zrobić wszystko, czego żądasz. W ciągu czterdziestu dni. Potajemnie zawiadomi cię o postępach sprawy.

Za twoim pozwoleniem, kurierem będę ja.

- A jeżeli mu się nie powiedzie?

- To stanie się to nie z powodu niedostatecznych starań, namów czy też niemyślenia o sprawie. Przysięga na to.

- Przysięga na chrześcijańskiego Boga?

- Tak. Na chrześcijańskiego Boga.

- Dobrze. Da mi to na piśmie. Opatrzonym jego pieczęcią.

- Niekiedy porozumienia, porozumienia delikatnej natury, nie powinny ograniczać się do pism.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie dacie mi zgody na piśmie, jeśli ja nie dam wam swojej?

- Ja tylko przypominam sobie jedno z waszych powiedzeń, że honor samuraja jest z pewnością ważniejszy od świstka papieru. Ojciec wizytator przysięga ci przed Bogiem, dając swoje słowo

honoru, tak jak dałby je samuraj. Twój honor jest dla ojca wizytatora dostateczną rękojmą.

Pomyślałem tylko, że taki brak zaufania bardzo by go zmartwił. Chcesz, panie, żebym go poprosił o podpis?

- No dobrze - rzekł po dłuższej chwili Toranaga. - Przysięga na boga Jezusa, ne? Przysięga na swojego Boga?

- Składałem ją w jego imieniu. Przysięgnął na Błogosławiony Krzyż, że dołoży starań.

- I ty również przysięgasz, Tsukku-san?

- Bóg świadkiem, składałem taką samą przysięgę na Błogosławiony Krzyż, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby dopomóc w przekonaniu panów Onoshiego i Kiyamy, żeby zostali twoimi sojusznikami.

- W zamian za to spełnię daną wcześniej obietnicę. Czterdziestego pierwszego dnia będziecie mogli położyć kamień węgielny pod największą chrześcijańską świątynię w cesarstwie. Czy grunt pod nią może być wyznaczony od razu, wielmożny panie?

- Jak tylko przyjadę do Edo. A zatem, co z tymi piratami? Tymi w łodziach rybackich?

Usuniecie ich natychmiast?

- Gdybyś miał działa, zrobiłbyś to sam, wielmożny panie?

- Oczywiście, Tsukku-san.

Wybacz mi taki brak zdecydowania, wielmożny panie Toranaga, ale musieliśmy ułożyć pewien plan. Działa te nie są naszą własnością. Proszę mi dać jeszcze chwilę. - Alvito zwrócił się do del 'Aquy. - Z katedrą wszystko załatwione, eminencjo - rzekł, po czym zgodnie z wcześniej ustalonym przez nich planem dodał do Ferriery: - Będzie pan rad, że go nie zatopił gubernatorze.

Pan Toranaga pyta, czy przewiózłbyś mu dziesięć tysięcy dukatów w złocie, kiedy wyruszysz z Czarną Karawelą do Goi, i zainwestował je na rynku złota w Indiach. Z wielką chęcią dopomogliśmy w tej transakcji, korzystając z pośrednictwa naszych stałych tamtejszych kontrahentów i uwalniając cię od fadygi. Pan Toranaga mówi, że połowa zysku jest twoja. - Obaj, Alvito i del 'Aqua, uznali, że do czasu, kiedy za sześć miesięcy Czarna Karawelą odpłynie z powrotem, Toranaga albo odzyska stanowisko przewodniczącego Rady - i wówczas tym chętniej zgodzi się na tę dochodową transakcję - albo nie będzie żył. - Na czysto powinieneś zarobić na tym bez trudu cztery tysiące dukatów. Nic nie ryzykując.

- W zamian za - jakie ustępstwo? To więcej niż wasza roczna subwencja od króla Hiszpanii dla całego Towarzystwa Jezusowego w Azji. W zamian za co?

- Pan Toranaga twierdzi, że piraci nie pozwalają mu opuścić zatoki. On wie chyba lepiej niż ty, czy to są piraci, panie.

Ferriera odpowiedział mu równie rzeczowym tonem, który, jak obaj dobrze wiedzieli, był przeznaczony wyłącznie na użytek Japończyka.

- Nierozważnie jest wierzyć temu człowiekowi. Jego wróg trzyma w ręku wszystkie figury.

Ma przeciwko sobie wszystkich chrześcijańskich ksiąząt. A ha pewno dwóch najważniejszych, co słyszałem na własne uszy. Powiedzieli, że ten Japus jest naszym prawdziwym wrogiem. Wierzę im, a nie temu głupiemu bękartowi.

- Jestem przekonany, że pan Toranaga wie lepiej od nas, którzy Japończycy są piratami, a którzy nie - odparł mu, nie przejąwszy się jego słowami, del 'Aqua, podobnie jak Alvito wiedząc, co należy zrobić. - Przypuszczam, że nie masz nic przeciwko temu, aby pan Toranaga sam się załatwił z tymi piratami?

- Oczywiście, że nie.

- Masz, panie, na pokładzie dużo zapasowych dział - rzekł ojciec wizytator. - Dlaczego nie dać mu po cichu kilku? A właściwie to kilka sprzedać. Bez przerwy handlujesz bronią. On broń kupuje.

Cztery działa powinny mu wystarczyć aż nadto. Łatwo dadzą przewieźć się w szalupie, wraz z odpowiednią ilością prochu i kul, także po cichu. A wówczas problem mamy rozwiązany.

- Ferriera westchnął.

- Mój drogi eminencjo, z dział na galerze nie ma żadnego pożytku.

Brak na niej ambrazur, lin, słupów zabezpieczających. Nie mogą użyć dział, nawet gdyby mieli kanonierów, których nie mają. Obaj jezuici oniemieli ze zdziwienia.

- Żadnego pożytku?

- Najmniejszego.

- Ależ, don Ferriera, z pewnością potrafią przystosować galerę. .

- Bez przebudowania galery nie da się z niej strzelać z dział. Zajęłoby to przynajmniej tydzień.

- Nan ja? - spytał podejrzliwie Toranaga spostrzegając, że coś się stało, mimo że bardzo starali się to ukryć.

- Toranaga pyta, o co chodzi - przełożył Alvito.

Del 'Aqua zdawał sobie sprawę, że ich czas się kończy., - Generale-gubernatorze, proszę nam pomóc. Proszę o to pana wprost. Uzyskaliśmy ogromne koncesje na rzecz naszej Wiary. Musi mi pan uwierzyć na słowo, a poza tym, tak jest, musi nam pan zaufać. Musi pan pomóc panu Toranadze wydostać się jakoś z tej zatoki. Błagam w imieniu Kościoła. Już sama katedra to z jego strony

olbrzymie ustępstwo. Proszę cię.

Ferriera niczym nie dał po sobie poznać, jak bardzo uradowało go to zwycięstwo. Celowo odezwał się jeszcze surowszym tonem.

- Ponieważ prosisz, eminencjo, w imieniu Kościoła, oczywiście spełnię twoją prośbę.

Wydostanę go z tej pułapki. Ale w zamian chcę otrzymać dowództwo Czarnej Karaweli w roku przysłym, bez względu na to, czy ten będzie pomyślny.

- Nominacją tą dysponuje wyłącznie król Hiszpanii, jedynie on. Nie ja.

- Po wtóre: zgadzam się na jego propozycję co do złota, ale chcę twojej gwarancji, że ani tu, ani ze strony wicekróla Goi nie spotkają mnie żadne kłopoty zarówno w tej sprawie, jak i w kwestii obu Czarnych Karawel.

- Ośmielasz się szantażować mnie i Kościół, panie?

- To najzwyczajniejsza transakcja handlowa pomiędzy tobą, mną i tą małpą.

- To nie małpa, generale-gubernatorze. Radzę o tym pamiętać.

- Po trzecie: zamiast dziesięciu dostanę piętnaście procent zysków z tegorocznego ładunku.

- Niemożliwe.

Po czwarte: dla porządku, eminencjo, przysięgniesz przed Bogiem - w tej chwili - że ani ty, ani żaden z podległych ci księży nigdy nie zagrozie mi ekskomuniką, chyba że popełniłbym świętokradztwo, a nic z tego, co powiedziałem, nim nie jest. Ponadto zaś, również przed Bogiem, przysięgniesz, że ty i twoi świątobliwi ojcowie, wesprzecie mnie czynnie i dopomożecie tym dwu Czarnym Karawelom.

- I co jeszcze, generale-gubernatorze? Bo to z pewnością nie wszystko. Na pewno chcesz coś jeszcze.

- A po ostatnie: chcę tego heretyka.

Mariko spojrzała na Blackthorne'a od drzwi kabiny. Leżał półprzytomny na podłodze, skręcany wymiotami. Bosman opierał się o koję, łypiąc na nią okiem, i widać było żółte pieńki jego zębów.

- Zatrzał się czy upił? - spytała Totomiego Kanę, stojącego obok niej samuraja, bezskutecznie próbując nie wpuścić do nozdrzy smrodu jedzenia i wymiocin, szpetnego smrodu marynarza, który stał na wprost niej, i nieodłącznego, przenikającego cały statek smrodu z zęz. - Bo sprawia to niemal takie wrażenie, jakby go otruli, ne?

- Może się zatrzał, Mariko-san. Spójrz tylko na ten chlew, pani!

Samuraj ze wstrętem wskazał stół. Był on zalany piwem i zastawiony drewnianymi talerzami z resztkami okrojonego, na wpół surowego pieczonego udźca wołu, połówkami kurczaków z można,

kawałkami odłamanego chleba i sera, stały też tam masło, a także sosjerka ze smalcem z boczku i opróżniona do połowy flaszka brandy.

Żadne z nich nie widziało dotychczas europejskiego jedzenia na stole.

- Czego chcecie? - spytał bosman. - Żadnych małp. Wakarimasu? Żadnych małpich-sanów w ta kabina! - Spojrzał na samuraja i gestem nakazał mu wyjść. - Won! Poszedł stąd! - Jego spojrzenie przeskoczyło na Mariko. - Jak się nazywasz? Imię, ha?

- Co on mówi, Mariko-san? - spytał samuraj. Bosman zerknął na niego, a potem znowu na Mariko.

- Co mówi ten barbarzyńca, Mariko-san?

Mariko oderwała zahipnotyzowany Wzrok od stołu i skupiła uwagę na bosmanie.

- Przepraszam, senhor, nie rozumiem. Co powiedziałeś?

- E? - Bosman jeszcze szerzej rozdziawił usta. Był potężnie zbudowanym grubasem ze zbyt blisko siebie osadzonymi oczami i wielkimi uszami, a włosy miał związane w nasmołowany mysy ogon. Z pofałdowanej szyi zwisał mu krzyż, a za pasem nosił luźno zatknięte pistolety. - E? To ty mówisz po portugalsku? Japuska, która mówi po portugalsku? Gdzieżeś się wyuczyła gadać po ludzku?

- Na. . nauczył mnie chrześcijański ksiądz.

- Kurwa żesz moja mać! Matko Boska, kwiatusek, który gada po ludzku!

Blackthorne znowu zwymiotował i niemrawo próbował wstać z pokładu.

- Czy możesz. . czy możesz, proszę, położyć pilota tam? - spytała; wskazując koję.

- A owszem. Jeżeli ta małpa mi pomoże.

- Kto? Przepraszam, co powiedziałeś? Kto?

- On! Ten Japus. On.

Słowa te tak nią wstrząsnęły, że z najwyższym trudem zachowała spokój. Skinęła na samuraja.

- Kana-san, czy mógłbyś, proszę, pomóc temu barbarzyńcy? Trzeba położyć Anjin-sana tam.

- Chętnie, pani.

We dwójkę mężczyźni podnieśli Blackthorne'a i z głuchym odgłosem zwalili go na posłanie.

Głowę miał za ciężką i bełkotał od rzeczy.

- Trzeba go umyć - powiedziała po japońsku Mariko, wciąż jeszcze osłupiała z powodu tego, jak

bosman nazwał Kanę.

- Tak, Mariko-san. Każ temu barbarzyńcy posłać po służących.

- Dobrze. - Stół znów jak magnes przyciągnął jej niedowierzający, wzrok. - Czy oni naprawdę to jedzą?

Bosman podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Natychmiast pochylił się nad stołem, oderwał nogę kurczęcia i poczęstował ją.

- Głodnaś? Proszę, mały kwiatku-san, to smaczne. Świeży, dzisiejszy, prawdziwy kapłon z Makau.

Posiwiąła gębę bosmana przeciął uśmiech. Uczynnie umaczał nogę kurczaka w gęstym sosie i podetknął jej pod nos.

- Z sosem jest jeszcze lepsze. Ej, miło jest pogadać sobie po ludzku, nie? Jeszcze mi się to tu nie zdarzyło. Jedz, nabierzesz sił. . tam, gdzie trzeba! Mówię ci, to kapłon z Makau!

- Nie. . nie, dziękuję. Jedzenie mięsa. . jedzenie mięsa jest zakazane. Sprzeczne z prawem. . sprzeczne z buddyzmem i sintoizmem.

- Ale nie w Nagasaki! - Bosman roześmiał się. - Kupa Japusów bez przerwy wcina mięcho.

Wszyscy jedzą, kiedy tylko mogą je zdobyć, a do tego chlają nasz grog. Jesteś chrześcijanką, co?

No to spróbuj, mała donno. Jak masz się przekonać, jeśli nie spróbujesz?

- Nie, nie, dziękuję.

- Człowiek nie może żyć bez mięsa. To jest prawdziwe żarcie. Daje ci tyle sił, że możesz się pieprzyć jak gronostaj. Proszę. . - Wyciągnął nogę kurczaka w stronę Kany. - Chcesz?

Kana pokręcił głową, tak jak ona czując obrzydzenie.

- Iye!

Bosman wzruszył ramionami i niedbale rzucił nogę kurczęcia na stół.

- Jak iye, to iye. Coś sobie zrobiła w rękę? Ranili cię podczas walki?

- Tak. Ale to nic poważnego.

Mariko poruszyła ręką, żeby mu ją pokazać, i przewyciężyła ból.

- Biedactwo! Czego tu chcesz, donna senhorita, ha?

- Zobaczyć An. . zobaczyć pilota. Przysłał mnie pan Toranaga. Czy pilot się upił?

- Tak, upił się i naźarł. Biedny drań za prędko jadł i za prędko pił. Jednym haustem wydudlił pół flaszki. Wszyscy Anglicy są tacy sami. Grog się przy nich nie utrzyma i brak im ikry. - Obrzucił

ją wzrokiem od stóp do głów. - Jeszcze nie widziałem takiego małego kwiatuszka jak ty, nigdy też nie rozmawiałem z Japuską, która mówi po ludzku.

- Czy wszystkie japońskie kobiety i samurajów nazywasz Japusami i małpami?

Żeglarz zaśmiał się krótko.

- Ech, senhorita, przejęczyłem się. Tak nazywamy zwykłych ludzi, wiesz, rajfurów i dziewczki z Nagasaki. Nie chciałem cię obrazić. Ale jeszcze nigdy nie rozmawiał z cywilizowaną senhorita, nie miałem pojęcia, że takie są, jak pragnę Boga.

- Ja również, senhor, jeszcze nigdy nie rozmawiałam z cywilizowanym Portugalczykiem oprócz kapłanów. Jesteśmy Japończykami, a nie Japusami, ne? A małpy to zwierzęta, prawda?

- Pewnie. - Bosman odsłonił połamane zęby. - Wyrażasz się jak donna. Tak jest. Bez obrazy, donna senhorita.

Blackthorne zaczął mamrotać. Podeszła do koi i lekko nim potrząsnęła.

- Anjin-san! Anjin-san!

- Tak. . tak? - Blackthorne otworzył oczy. - A. . witaj. . prze. . ja. . Cierpiał tak bardzo, a kabina tak mu wirowała, że musiał się położyć.

- Poślij, proszę, po służącego, senhor - powiedziała Mariko. - Trzeba go umyć.

- Są tu niewolnicy. . ale nie do tego, donna senhorita. Zostaw tego Anglika. . co znaczy te trochę rzygowin dla heretyka?

- Nie ma służby? - spytała zdumiona.

- Mamy niewolników - odparł bosman - czarnuchów, ale są leniwi. Ja tam nie pozwoliłbym żadnemu, żeby mnie mył - dodał z krzywym uśmiechem.

Mariko wiedziała, że nie ma wyboru. Toranaga mógł wezwać Anjin-sana natychmiast, a za wykonanie tego rozkazu odpowiadała ona.

- W takim razie potrzebuję wody, - powiedziała. - Żeby go obmyć.

- Beczka stoi przy zejściówce. Pokład niżej.

- Przynieś mi ją z łaski swojej, senhor.
- Poślij jego - odparł bosman, wskazując palcem Kanę.

- Nie. Zechciej przynieść ty. Zaraz.

Bosman obejrzał się na Blackthorne'a.

- Jesteś jego kochanicą?

- Słucham?

- Kochanicą Anglika?

- Co znaczy „kochanicą”, senhor?

- Jego kobitą. Jego miłośnicą, rozumiesz, senhorita, lubą tego pilota, jego rozkosznicą.

Kochanicą.

- Nie. Nie, senhor, nie jestem jego kochanicą.

- No to jego? Tej mał. . tego samuraja? A może tego króla, tego, co właśnie wszedł na pokład?

Tora. . jakiegoś tam? Jesteś którąś z jego kobit?

- Nie.

- Ani nikogo na galerze?

Zaprzeczyła kręcąc głową.

- Czy mógłbyś, proszę, przynieść trochę wody?

Bosman skinął głową i wyszedł.

- Pierwszy raz przebywam w bliskości tak odrażającego, tak okropnie cuchnącego człowieka -

rzekł samuraj. - Co mówił?

- Że. . ten człowiek pytał, czy. . czy należę do konkubin pilota.

Samuraj podszedł do drzwi.

- Kana-san!

- Żądam, abyś pozwoliła mi w imieniu twojego męża pomścić tę zniewagę. Natychmiast,! Jakże byś w ogóle mogła obcować z jakimś barbarzyńcą!

- Kana-san! Proszę cię, zamknij drzwi.

- Ty jesteś Toda Mariko-san! Jakim prawem on śmiał cię znieważyć? Ta zniewaga musi być pomszczona!

- Będzie pomszczona, Kana-san, dziękuję ci. Tak, pozwalam ci na to. Ale jesteśmy tutaj z rozkazu pana Toranagi. I dopóki on nie wyrazi zgody, taki czyn byłby niewłaściwy.

Kana niechętnie zamknął drzwi.

- Dobrze - rzekł. - Ale proszę cię uroczyście, żebyś przed opuszczeniem tego statku poprosiła o to pana Toranagę.

- Tak. Dziękuję ci za twoją troskę o mój honor. - Przerazona zadała sobie pytanie, jak by się zachował Kana, gdyby wiedział o wszystkim, co zostało powiedziane. Co by zrobił pan Toranaga? Albo Hiro-matsu? Albo Buntaro? Małpy? Matko Boża, pomóż zachować spokój i jasność umysłu. Chcąc osłabić gniew Kany, prędko zmieniła temat. - Anjin-san wygląda tak bezradnie. Jak dziecko.

Widocznie barbarzyńcy źle znoszą wino. Tak jak niektórzy nasi mężczyźni.

- Owszem. Ale to nie od wina. Niemożliwe. To z tego, co on zjadł.

Blackthorne poruszył się niespokojnie, walcząc o odzyskanie przytomności.

- Na tym statku nie mają służby, Kana-san, tak że muszę zastąpić mu służącą.

Niezręcznie, gdyż przeszkadzała jej zraniona ręka, zaczęła rozbierać Blackthorne'a.

- Pozwól, że ci pomogę. - Kana okazał się bardzo sprawny. - Robiłem to samo z moim ojcem, kiedy go zmoгло sake.

- Dobrze jest, kiedy mężczyzna upije się raz na jakiś czas. Wypędza to z niego wszystkie złe duchy.

- Tak. Ale mój ojciec następnego dnia strasznie cierpiał.

- Mój mąż też bardzo cierpi. Przez kilka dni.

- Dałby Budda, żeby pan Buntaro uciekł - rzekł po chwili Kana.

- Tak. - Mariko rozejrzała się po kabinie. - Nie pojmuję, jak oni mogą żyć w takim brudzie.

Gorzej od najbiedniejszych. W tamtej drugiej kabinie o mało co nie zemdlałam od smrodu”.

- Jest odrażający. Nigdy dotąd nie byłem na statku barbarzyńców.

- A ja jeszcze nigdy nie byłem na morzu.

Drzwi otworzyły się i bosman postawił ceber. Nagość Blackthorne'a zgorszyła go, więc wyszarpnął

spod koi koc i przykrył go nim.

- On umrze. A poza tym. . wstyd robić coś takiemu człowiekowi, nawet jemu.

- Słucham?

- Nic. Jak ci na imię, donna senhorita? - spytał z błyszczącymi oczami.

Nie odpowiedziała. Odsunęła koc i umyła Blackthorne'a do czysta, rada, że ma zajęcie, źle znosząc pobyt w tej kabinie oraz przykrą obecność bosmana. Zastanawiała się przy tym, o czym rozmawiają w drugiej kabinie. Czy jej pan jest bezpieczny.

Kiedy skończyła, zwinęła kimono Blackthorne'a i jego brudną przepaskę na biodra.

- Czy można to uprać, senhor?

- Że co?

- Te rzeczy powinny być zaraz wyprane. Czy pošlesz z łaski swojej po niewolnika?

- Mówiłem ci już, że to banda leniwych czarnuchów. Zajęłoby to im tydzień albo dłużej.

Wyrzuć je, donna senhorita, szkoda gadać. Nasz kapitan, pilot Rodrigues, kazał mu dać prawdziwe ubranie. Proszę. - Otworzył skrzynię żeglarską, - Kazał mu dać coś stąd.

- Nie wiem, jak w to ubrać mężczyznę.

- Potrzebuje koszuli, spodni, sączka, skarpet, butów i kaftana.

Bosman wyjął te wszystkie rzeczy i pokazał jej. A potem ona i samuraj wspólnie zaczęli ubierać Blackthorne'a, który nadal był półprzytomny z przepicia.

- Jak on to nosi? - spytała, podnosząc w górę trójkątną workowatą moszenkę z tasienkami.

- Matko Boska, z przodu, o tak - odparł zakłopotany bosman, wskazując własną. - Tak jak mówię, sacek zawiązuje się na spodniach. Na przyrodzeniu.

Spojrzała na bosmana i uważnie przyjrzała się jego sączkowi. Zauważył jej wzrok i poruszył się nerwowo.

Przyłożyła moszenkę do ciała Blackthorne'a i ostrożnie ją dopasowała, a potem wraz z samurajem przewlekli tasienki pomiędzy jego nogami i obwiązali go nimi w pasie.

- Nie widziałam jeszcze tak nedorzecznej części garderoby - powiedziała cicho do Kany.

- Musi być bardzo niewygodna - odparł samuraj. - Czy księża noszą je, Mariko-san? Pod habitami? Nie wiem.

Odsunęła z oczu kosmyk włosów.

- Senhor. Czy Anjin-san jest już ubrany jak należy?

- Tak. Z wyjątkiem butów. Są tutaj. Mogą poczekać. - Bosman podszedł do niej, więc zacisnęła nozdrza. Odwrócony tyłem do samuraja, ściszył głos. - Chcesz ze mną pofiglować?

- Słucham?

- Podobasz mi się, senhorita, he? Co ty na to? W kabinie obok jest koja. Odeślij swojego znajomka na górę. Anglik jeszcze przez godzinę się nie ocknie. Zapłacę zwykłą stawkę.

- Słucham?

- Zarobisz miedziaka. . a nawet trzy, jeżeli robisz to jak gronostaj, a wygodzi ci najlepszy kogut stąd do Lizbony. Co ty na to?

Samuraj spostrzegł jej przerażenie.

- O co chodzi, Mariko-san? - spytał. Mariko precyzyjnie się obok bosmana, odsuwając się jak najdalej od koi.

- On. . on powiedział. . - odparła, zacinając się.

Kana natychmiast wyciągnął miecz, ale stanął oko w oko z lufami dwóch pistoletów z odwiedzionymi kurkami. Lecz mimo to przygotował się do ataku.

- Stój, Kana-san! - wykrztusiła Mariko. - Pan Toranaga zabronił nam atakować bez jego rozkazu!

- No chodź, małpo, zaatakuj mnie, ty głupi śmierdzący zaszrańcu! Słuchaj! Każ tej małpie odłożyć miecz, bo psi syn straci łeb prędzej, niż zdąży pierdnąć!

Mariko stała o stopę od bosmana. Prawą dłoń, nadal wsuniętą pod obi, trzymała na rękojeści sztyletu. Ale przypomniała sobie, co jest jej obowiązkiem, i cofnęła rękę.

- Kana-san - powiedziała - schowaj miecz. Proszę. Musimy być posłuszni panu Toranadze.

Musimy mu być posłuszni, Kana z najwyższym wysiłkiem spełnił jej prośbę.

- Korci mnie, żeby cię posłać do piekła, Japusie!

- Wybacz mu, proszę, senhor, i wybacz mnie - powiedziała Mariko, starając się przybrać grzeczny ton. - To był błąd, bł. .

- Ta małpia mordą wyciągnęła miecz. To nie był błąd, jak pragnę Jezusa!

- Proszę, wybacz to nam, senhor, bardzo przepraszam.

Bosman oblizwał wargi.

- Zapomnę o tym, jeżeli będziesz dla mnie miła, kwiatuszku. Pójdziemy do kabiny obok, a ty powiesz tej mał. . powiesz mu, żeby został tutaj, a zapomnę o całej sprawie.

- Jak. . jak się nazywasz, senhor?

- Pesaro. Manuel Pesaro, bo co?

- Nic. Zechciej wybaczyć mi to nieporozumienie, senhor Pesaro.

- Idź do kabiny obok. Już.

- Co się dzieje? Co.. - Blackthorne nie miał pojęcia, czy się ocknął, czy też nadal śni zły sen, ale wyczuł zagrożenie. - Co tu się dzieje, na miły Bóg?!

- Ten śmierdzący Japus zamierzył się na mnie!

- To była. . pomyłka, Anjin-san - wyjaśniła Mariko. - Ja. . ja już przeprosiłam senhora Pesaro.

- Mariko? Czy to ty. . Mariko-san?

- Hai, Anjin-san. Honto. Honto.

Podeszła bliżej. Bosman cały czas mierzył nieruchomymi pistoletami prosto w Kanę. Musiała precyzyjnie przycisnąć się obok niego i z jeszcze większym trudem opanowała chęć, żeby wyciągnąć sztylet i dźgnąć go nim w brzuch. W tym momencie otworzyły się drzwi. Do kabiny wszedł młody sternik z cebrem wody. Spojrzał jak głupi na pistolety bosmana i uciekł.

- Gdzie jest Rodrigues? - spytał Blackthorne, próbując zebrać myśli.

- Na górze, tam gdzie jest miejsce pilota - odparł bosman zgrzytliwym głosem. - Ten Japus zamierzył się na mnie, na miły Bóg!

- Pomóż mi wejść na pokład.

Blackthorne uchwycił się krawędzi koi. Mariko wzięła go pod rękę, ale nie była w stanie go utrzymać.

Bosman machnął pistoletem w stronę Kany.

- Niech ci pomoże - powiedział. - I powiedz mu, że jak Bóg na niebie, przed odpływem zawisnie na noku rei.

*

Pierwszy oficer, Santiago, oderwał ucho od sekretnej dziury po sęku w ścianie głównej kabiny

kapitańskiej, mając w głowie ostatnie słowa del 'Aqy: „A więc wszystko załatwione”. Bezszelestnie przeszedł przez mroczną kabinę, wymknął się na korytarz i cicho zamknął drzwi. Był wysokim, szczupłym mężczyzną o spokojnej twarzy, a włosy nosił splecione w wysmołowany warkocz. Ubranie miał czyste i jak większość żeglarzy był boso. W pośpiechu wspiął się po zejściówce i przez pokład główny dobiegł do rufówki, gdzie Rodrigues właśnie rozmawiał z Mariko. Przeprosił ich, nachyliwszy się przysunął wargi bardzo blisko ucha Rodriguesa i zaczął mu przekazywać wszystko, czego się dowiedział i miał polecenie podsłuchać, tak żeby nie usłyszał tego nikt więcej na pokładzie.

Blackthorne siedział na samej rufie, oparty o nadburcie, z głową złożoną na kolanach podkurczonych nóg. Wyprostowana Mariko siedziała po japońsku naprzeciw Rodriguesa, a przy niej posępny samuraj Kana. Na pokładach pełno było uzbrojonych marynarzy, także w bocianim gnieździe, dwóch zaś przy sterze. Statek w dalszym ciągu stał dziobem do wiatru, noc i powietrze były czyste, chmur więcej, a deszcz niedaleko. O sto jardów od fregaty, bokiem do niej, wystawiona na łaskę jej dział, tkwiła galera z wiosłami złożonymi w dulkach, jeśli nie liczyć dwóch po obu burtach.

Utrzymywały ją one w miejscu, gdyż spychał ją lekki prąd. Rybackie łodzie z wrogimi japońskimi łucznikami, które trzymały ją w pułapce, zbliżyły się, lecz nie ruszyły jeszcze do ataku.

Mariko przyglądała się Rodriguesowi i jego oficerowi. Nie słyszała ich rozmowy, a gdyby nawet ją słyszała, puściłaby ją mimo uszu, bo tak ją wychowano. W domach z papieru nie mogłoby być mowy o zachowaniu intymności, gdyby nie przestrzegano zasad grzeczności i liczenia się z drugimi. Bez intymności cywilizowane życie byłoby niemożliwe, tak więc wszyscy byli nauczeni słuchać i nie słyszeć. Z korzyścią dla wszystkich.

Kiedy wyszła z Blackthorne'em na pokład, Rodrigues wysłuchał wyjaśnień bosmana oraz jej nieprzekonujących tłumaczeń, że był to jej błąd, bo źle zrozumiała słowa bosmana, co skłoniło Kanę do sięgnięcia, po miecz w obronie jej czci. Bosman słuchał tego z szerokim uśmiechem, pistoletami nadal mierząc w plecy samuraja.

- Ja tylko żem spytał, czy ona jest kochanicą Anglika, jak pragnę Boga, no bo bez najmniejszej krępacji myła go i wsadzała mu ptaka do saka.

- Schowaj te pistolety, bosmanie.

- On jest niebezpieczny, pilocie, mówię ci. Powieś go!

- Będę go miał na oku. Idź na dziób.

- Gdybym nie był szybszy od tej małpy, toby mnie zakatrupił. Daj go na nok rei. Tak to załatwiamy w Nagasaki.

- Nie jesteśmy w Nagasaki. . idź na dziób! Ale już! A kiedy bosman odszedł, Rodrigues spytał:

- Co on ci powiedział, senhora? Co powiedział naprawdę?

- Że. . nic, senhor. Nie pytaj, proszę.

- Przepraszam ciebie i twojego towarzysza za zuchwalstwo tego człowieka. Zechciej go przeprosić ode mnie, poproś o wybaczenie.

A poza tym Uroczyście proszę was oboje, abyście puścili w niepamięć jego zniewagi.

Awantury na pokładzie nie przysłużyłyby się dobrze ani waszemu panu, ani mojemu. Przymierzam, że porachuję się z nim po swoim w odpowiednim czasie.

Przemówiła do Kany, który po jej namowach wreszcie przystał na wszystko.

- Kana-san mówi, że zgadza się, ale że jeżeli zobaczy bosmana Pesaro na brzegu, to mu zetnie głowę.

- I całkiem słusznie, Bóg świadkiem. Tak jest. Dōmo arigato, Kana-san - powiedział z uśmiechem Rodrigues. - Dōmo arigato goziemashita, Mariko-san.

- Ty mówisz po japońsku, panie?

- Och, nie, zaledwie kilka słów. W Nagasaki mam żonę.

- A! Długo jesteś w Japoni? To mój drugi rejs z Lizbony. W sumie spędziłem na tych wodach siedem lat, tutaj oraz pływając tam i z powrotem do Makau i do Goi - dodał Rodrigues. - Nie zważaj na bosmana, to eta. Ale Budda powiedział, że nawet eta mają prawo żyć. Ne?

- Naturalnie - odparła Mariko, a twarz i nazwisko Portugalczyka na zawsze zapadły jej w pamięć.

- Moja żona mówi trochę po portugalsku, ale gdzie jej do ciebie, pani. Jesteś oczywiście chrześcijanką?

- Tak.

- Moja żona nawróciła się. Jej ojciec jest samurajem, ale niewiele znaczącym. Jego władcą jest pan Kiyama.

- Ma szczęście, że posiada takiego męża - odparła uprzejmie Mariko, lecz w duchu zadawała sobie zdumiona pytanie, jakże można poślubić barbarzyńcę i z nim żyć. Na przekór swojej wrodzonej grzeczności. - Czy twoja pani, twoja żona, je mięso, takie jak... jak to w kabinie?

- Nie - odparł ze śmiechem Rodrigues, odsłaniając białe, zdrowe, silne zęby. - A w moim domu w Nagasaki ja także nie jadam mięsa. Na morzu i w Europie owszem. To nasz zwyczaj. Tysiąc lat temu, zanim przyszedł Budda, był to również wasz zwyczaj, ne? Zanim Budda zaczął przestrzegać Tao, Drogi, wszyscy jedli mięso. Nawet tutaj, senhora.

Nawet tutaj. No, a teraz naturalnie zmądrzeliśmy, niektórzy z nas, ne?

Mariko przemyślała to sobie, a potem spytała:

- Czy wszyscy Portugalczycy nazywają nas małpami? I Japusami?

Za naszymi plecami?

Rodrigues szarpnął kolczyk w uchu.

- A czy wy nie nazywacie nas barbarzyńcami? - spytał. - Nawet prosto w oczy? Jesteśmy cywilizowani, a przynajmniej za takich się uważamy, senhora. W Indiach, ojczyźnie Buddy, nazywają Japończyków Wschodnimi Diabłami i nie pozwolą wylądować tam żadnemu z bronią. Wy nazywacie Hindusów Czarnymi i nieludzkimi. A jak nazywają Japończyków Chińczycy? Jak wy nazywacie Chińczyków? Jak nazywacie Koreańczyków? Czosnkojadami, ne?

- Wątpię, czy pan Toranaga byłby zadowolony. Albo pan Hiro-matsu, albo nawet ojciec twojej żony.

- Błogosławiony Jezus rzekł: „Pierwej usuńcie źdźbło z własnego oka, nim usuniecie belkę z mojego”.

W tej chwili jeszcze raz zastanawiała się nad tym patrząc, jak pierwszy oficer szepce pośpiesznie do ucha portugalskiego pilota. Oficer jeszcze bardziej ściszył głos, - Co takiego powiedział?! - wykrzyknął Rodrigues, niechcący zakławszy.

Mariko wbrew sobie próbowała podsłuchać, co mówi oficer. Ale nie dosłyszała, co powtórzył. A potem zobaczyła, że obaj z troską spoglądają na Blackthorne'a, więc zaniepokojona tym podążyła wzrokiem za ich spojrzeniami.

- Co się jeszcze wydarzyło, Santiago? - spytał ostrożnie Rodrigues, świadom obecności Mariko.

Oficer odpowiedział mu szeptem, osłaniając usta dłonią.

- Jak długo zostaną pod pokładem?

- Przepijali do siebie. I pili za ten układ.

- Dranie! - Rodrigues chwycił oficera za koszulę. - Ani słowa o tym, na miły Bóg. Jeśli ci życie miłe!

- Mnie nie trzeba tego mówić, pilocie.

- Zawsze jest taka potrzeba! - Rodrigues zerknął na Blackthorne'a.- Obudź go!

Oficer podszedł do Blackthorne'a i potrząsnął nim brutalnie.

- O co chodzi, co?

- Uderz go!

Santiago uderzył Anglika w twarz.

- Jezu Chryste, ja. .

Blackthorne zerwał się na nogi, twarz go piekła, zachwiał się jednak i upadł.

- Skaranie boskie, ocknij się, Ingeles! - Rodrigues raptownym ruchem palca wskazał dwóch sterników. - Wyrzućcie go za burtę!

- Co?

- Natychmiast, do diabła!

Kiedy obaj pośpiesznie podnieśli Anglika, Mariko zaprotestowała: „Pilocie Rodrigues, nie wolno..”, ale zanim ona albo Kana mogli temu przeszkodzić, sternicy wyrzucili Blackthorne’a za burtę. Spadł z wysokości dwudziestu stóp na brzuch wzbijając chmurę wodnego pyłu i przepadł. Po chwili wynurzył się, zachłystując się, plując i młóćąc kończynami wodę, której lodowatość otrzeźwiła go.

Rodrigues z trudem spróbował wstać z żeglarskiego krzesła.

- O Matko, pomóż mi któryś!

Jeden ze sterników skoczył, żeby pomóc, a pierwszy oficer wsunął Rodriguesowi rękę pod pachę.

- Ostrożnie, Chryste Panie, uważaj na moją stopę, ty niezgrabny kapuściany łbie!

Podprowadzili go do burty. Blackthorne nadal krztusił się i pluł, ale zdążył już podплыnąć do burty statku i miotał przekleństwa na tych, którzy go za nią wyrzucili.

- Dwa rumby w prawo! - rozkazał Rodrigues.

Fregata lekko odpadła od wiatru i odsunęła się od Blackthorne’a.

- Trzymaj się z dala od mojego statku! - krzyknął Rodrigues i nagłym tonem powiedział do pierwszego oficera: - Weź szalupę, wyłów Anglika i zawieź go na galerę. Szybko. Powiedz mu. . - Tu ściszył głos.

Mariko dziękowała Bogu, że Blackthorne nie utonął.

- Pilocie! - powiedziała. - Anjin-san jest pod opieką pana Toranagi. Domagam się, żeby go natychmiast wyłowiono!

- Chwileczkę, Mariko-san! - odparł Rodrigues, nadal szepcząc do Santiago, ten zaś skinął

głową i gdzieś popędził. - Przepraszam, Mariko-san, gomen kudasai, ale było to pilne. Ingeles musiał się rozbudzić. Wiedziałem, że umie pływać. Musiał otrzeźwieć, i to migiem!

- Dlaczego?

- Jestem jego przyjacielem. Nie Wspominał ci o tym?

- Tak. Ale Anglia i Portugalia toczą wojnę. A także Hiszpania.

- Owszem. Ale piloci powinni być ponad to.

- A zatem wobec kogo masz obowiązki?

- Wobec tej bandery.

- A czy to nie znaczy, że wobec twojego króla?

- Tak i nie, senhora. Jestem winien temu Ingelesowi życie. - Rodrigues obserwował szalupę. -

Tak trzymać. . a teraz ustaw nas pod wiatr - polecił drugiemu sternikowi.

Tak, senhor., Czekał, sprawdzając raz i drugi siłę i kierunek wiatru, a wzrokiem rafa i odległy brzeg. Marynarz z sondą ręczną podawał głębokości.

- Przepraszam, co mówiłaś, senhora?

Rodrigues patrzył na nią przez chwilę, a potem zajął się ponownie sprawdzaniem położenia statku i szalupy. Mariko również jej się przyglądała. Marynarze wyciągnęli Blackthorne'a z wody i wiosłowali w tej chwili mocno ku galerze. Siedzieli, zamiast stać, i pchali wiosła. Nie widziała już wyraźnie ich twarzy. Anjin-sana zasłonił jej człowiek siedzący obok niego, ten, który szeptał z Rodriguesem.

- Co mu powiedziałaś, senhor? - spytała.

- Komu?

- Jemu. Senhorowi, którego wysłałaś do Anjin-sana.

- Żeby życzył Ingelesowi wszystkiego najlepszego i powodzenia - padła stanowcza i wymijająca odpowiedź.

Mariko przetłumaczyła Kanie tę wymianę zdań.

Kiedy Rodrigues ujrzał, że szalupa dobiła do burty galery, odetchnął.

- Zdrowaś Mario, Matko Boża. .

Spod pokładu wyszli generał-gubentator i jezuici. A za nimi Torana-ga ze strażą przyboczną.

- Rodrigues! Spuścić szalupę! Ojcowie płyną na brzeg - oznajmił Ferriera.

- A potem?

- A potem wypływamy w morze. Do Edo.

- Dlaczego tam? Przecież mieliśmy płynąć do Makau - powiedział Rodrigues, uosobienie niewinności.

- Zawozimy Toranagę do domu, do Edo. Najpierw.

- Co takiego? A co z galerą?

- Zostanie tutaj albo przebiję sobie drogę.

Rodrigues z jeszcze większym zdumieniem spojrział na galerę, a potem na Mariko. Zobaczył w jej oczach nieme oskarżenie.

- Matsu - powiedział do niej cicho.

- Słucham? - spytał ojciec Alvito. - Cierpliwości? Dlaczego cierpliwości, Rodrigues?

- Zmawiałem zdrowaśki, ojczu. Mówiłem do tej pani, że uczą one cierpliwości.

Ferriera wpatrywał się w galerę.

- Co tam robi nasza szalupa? - spytał.

- Odesłałem tego heretyka z powrotem.

- Co takiego?!

- Odesłałem Anglika na jej pokład. O co chodzi, generale-gubernatorze? Ingeles obraził mnie, więc wyrzuciłem psubrąta za burtę. Pozwoliłbym mu utonąć, ale umie pływać, więc posłałem oficera, żeby go wyłowił i odstawił na jego statek, bo chyba ten heretyk cieszy się względami pana Toranagi.

Co się stało?

- Sprowadź go z powrotem.

- Musiałbym wysłać uzbrojony oddział abordażowy, generale-gubernatorze. Czy tego pan chce? On przeklinał i ział na nas ogniem piekielnym. Tym razem nie wróci dobrowolnie.

- Chcę go mieć z powrotem.

- W czym problem? Czy nie powiedziałaś, panie, że ta galera zostanie tu i będzie walczyć, albo coś takiego? No więc? Anglik znalazł się w zaszrannej sytuacji! I bardzo dobrze. Bo co komu po tym sukinsynu? Ojcowie zaś z pewnością woleliby, żeby im zniknął z oczu. Prawda, ojczu?

Del 'Aqua nie odpowiedział. Alvito również nie. Przekreślało to bowiem ułożony przez Ferriera plan, zaakceptowany przez nich i Toranagę, a mianowicie, że zaraz popłyną na brzeg, aby ułagodzić

Ishido, Kiyamę i Onoshiego udając, iż dali wiarę opowieści Toranagi o piratach i nie mieli pojęcia, że

„uciekł” z zamku. Tymczasem fregata pomknie do wyjścia z zatoki, pozostawiając galerze zadanie odciągnięcia stamtąd łodzi. W razie zaatakowania jej, odeprze ona napastników ogniem z dział i tym samym kości zostaną rzucone.

- Ale łodzie te nie powinny nas zaatakować - wywodził Ferriera. - Mają do pochwylenia galerę. Pańskim zadaniem, eminencjo, będzie przekonać Ishido, że nie mieliśmy wyboru. W końcu Toranaga przewodniczy Radzie Regencyjnej. No i wreszcie, heretyk pozostaje na naszym pokładzie.

Żaden z księży nie spytał po co. A sam Ferriera nie podał powodu.

Ojciec wizytator dotknął delikatnie ręką generała-gubernatora i odwrócił się plecami do galery.

- Może to i dobrze, że heretyk jest tam - rzekł i pomyślał, jakże dziwne bywają zrzádenia Pana.

Nie! - chciał krzyknąć Ferriera. Chciałem zobaczyć, jak tonie. Człowiek za burtą wczesnym świtem - bez śladu, świadków, jakże prosto. Toranaga nigdy by się o tym nie dowiedział.

Przedstawiłoby mu się to jako tragiczny wypadek. Blackthorne zasługiwał na taki los. A poza tym generał-gubernator wiedział, jak straszliwa jest dla pilota śmierć w morzu.

- Nan ja? - spytał Toranaga.

Ojciec Alvito wyjaśnił, że pilot znajduje się na galerze oraz dlaczego tam jest. Toranaga obrócił się do Mariko, ta zaś skinęła głową i dodała to, co przedtem powiedział jej Rodrigues.

Toranaga podszedł do nadburcia i spojrzał w mrok. Z północnego brzegu zatoki spuszczone na wodę kolejne rybackie łodzie, a inne niedługo powinny dopłynąć na wyznaczone pozycje. Zdawał sobie sprawę, że pilot jest dla niego politycznie niewygodny, a bogowie podsuwali mu właśnie prosty sposób na pozbycie się go, gdyby tego zapragnął. Czy chcę tego? - zadał sobie pytanie.

Chrześcijańskich kapłanów z pewnością ogromnie by ucieszyło zniknięcie Anjin-sana. Podobnie jak Onoshiego i Kiyamę, którzy do tego stopnia obawiali się tego człowieka, że któryś z nich albo obaj ukartowali próbę zamordowania go. Czego aż tak bardzo się obawiali?

To karma, że w tej chwili Anjin-san jest na galerze, a nie tutaj, zagrożony. Ne? Tak więc zatonię wraz z tym statkiem, z Yabu, z resztą i z muszkietami, i to również jest karma. Mogę stracić muszkiety, mogę stracić Yabu. Ale czy Anjin-sana?., Tak.

Ponieważ mam w zapasie jeszcze ośmiu tych dziwnych barbarzyńców. Możliwe, że razem wiedzą to samo, a może i więcej od tego jednego człowieka. Najważniejsze, żeby znaleźć się jak najszybciej w Edo i przygotować się do wojny, która jest nieunikniona. Kiyama i Onoshi? Kto wie, czy mnie poprą. Może tak, a może nie. Ale kawałek ziemi i trochę obietnic są niczym wobec poparcia mnie przez chrześcijan za czterdzieści dni.

- To karma, Tsukku-san. Ne?

- Tak, wielmożny panie. - Bardzo zadowolony Alvito zerknął na generała-gubernatora. - Pan Toranaga uważa, że nic się nie stało - powiedział. - Że to wola boska.

- Tak?

Raptem na galerze odezwał się głośno bęben. Wiosła uderzyły z wielką siłą w wodę.

- Co on robi, na - Chrystusa Pana?! - ryknął Ferriera.

A kiedy przyglądali się, jak galera odpływa od nich, łopocząca bandera Toranagi zjechała z masztu.

- Wygląda na to, że obwieszczają tym wszystkim przeklętym łodziom w zatoce, że pana Toranagi nie ma już na pokładzie.

- Co on robi?

- Nie wiem - odparł Rodrigues.

- Nie wiesz? - spytał Ferriera.

- Nie. Ale na jego miejscu skierowałbym się na morze i zostawił nam ten pasztet. . albo się o to postarał. Ten Anglik właśnie pokazał nas palcem. Co robimy?

- Masz rozkaz płynąć do Edo - rzekł generał-gubernator, chcąc dodać: „Jeżeli staranujesz tę galerę, to tym lepiej”, ale nie zrobił tego, ponieważ słuchała Mariko.

Jezuici z ulgą popłynęli szalupą na brzeg.

- Postawić wszystkie żagle!- krzyknął Rodrigues, czując pulsujący ból w nodze. - Kurs południe-południowy zachód! Cała załoga do masztów!

- Senhora, powiedz, proszę, panu Toranadze, że najlepiej zrobi, jeżeli zejdzie pod pokład.

Tak będzie bezpieczniej - rzekł Ferriera.

- Dziękuję i mówi, że zostanie tutaj.

Ferriera wzruszył ramionami i podszedł do skraju rufówki.

- Przygotować wszystkie działa. Załadować kartaczami! Pogotowie bojowe!

28.

- Isogi! - krzyknął Blackthorne, ponagając dowódcę wioślarzy do szybszego bicia w bęben.

Spojrzał za rufę na fregatę, która zbliżała się do nich, płynąc pod wiatr z postawionymi wszystkimi żaglami, a potem przed dziób, szacując następny hals, który musieli wykonać.

Zastanawiał się, czy dobrze to wyliczył, gdyż tutaj, w pobliżu skał było bardzo mało miejsca i sukces od katastrofy dzieliły zaledwie jardy. Ze względu na wiatr fregata, chcąc dopłynąć do wyjścia z zatoki, musiała halsować, podczas gdy galera mogła manewrować dowolnie. Żaglowiec był jednak szybszy. Rodrigues zaś dał jasno do zrozumienia, że przy ostatnim halsie, kiedy Santa Therese będzie potrzebna przestrzeń, lepiej, żeby galera zeszła jej z drogi.

Yabu znowu coś do niego trajkotał, ale Blackthorne nie zważał na niego.

- Nie rozumiem. . wakamarisen, Yabu-san! Posłuchaj, Toranaga-sama powiedział, że ja, Anjin-san, ichi-ban ima! Ja teraz jestem główny kapitan-san! Wakarimasu ka, Yabu-san?

Pokazał na kompasie kurs japońskiemu kapitanowi, który wyciągnął rękę w stronę fregaty płynącej zaledwie pięćdziesiąt jardów za nimi. Szybko ich doganiała, idąc znowu kursem, który groził zderzeniem.

- Trzymaj kurs, do diabła! - powiedział Blackthorne.

Wiatr oziębiał jego przemoczone ubranie i przyprawiał go o dreszcze, ale zarazem pomagał otrzeźwieć. Blackthorne przyjrzał się niebu. W pobliżu jasnego księżyca nie było chmur i wiał półwiatr. Pomyślał, że z tej strony nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Boże, rzekł w duchu, zachowaj ten jasny księżyc do czasu, aż przepłyniemy.

- Hej, kapitanie! - zawołał po angielsku wiedząc, że nie ma żadnej różnicy, czy mówi tym językiem, po portugalsku, holendersku czy łacinie, gdyż był tu sam. - Poślij kogoś po sake. Sake!

Wakarimasu ka?

- Hai, Anjin-san.

Posłano pędem marynarza. W biegu obejrzał się przez ramię, przerażony rozmiarami nadpływającej fregaty i jej szybkością. Blackthorne utrzymał kurs, próbując zmusić żaglowiec do zwrotu, nim zajmie całą przestrzeń po nawietrznej. Ale fregata nie zбочyła z kursu i szła prosto na nich. W ostatniej sekundzie zeszła jej z drogi, a później, gdy dziobnik żaglowca zawisł niemal nad ich pokładem rufowym, Blackthorne usłyszał rozkaz Rodriguesa:

- Ster lewo na burt! Zwinąć sztaksle, tak trzymać! - A potem krzyk po hiszpańsku: -

Całowałaś czarta pod ogonem, Ingeles!

- Twoja matka robiła to, pierwsza, Rodrigues!

Fregata w ostatniej chwili odpadła od wiatru, żeby pomknąć ku odległemu brzegowi, gdzie miała znów zawrócić, żeby ustawić się pod wiatr, jeszcze raz pohalsować w tę stronę, po czym zawrócić po raz ostatni i popłynąć do wyjścia z zatoki. Przez chwilę oba statki były tak blisko siebie, że Blackthorne mógł niemal dotknąć żaglowca, Rodriguesa, Toranagi, Mariko i generała-gubernatora stojących chwiejnie na jego pokładzie. A potem fregata odpłynęła, a ich okręciły fale, które zostawiła.

- Isogi, isogi, na miły Bóg!

Wioślarze zdwoili wysiłki, a Blackthorne na migi zapędził do wiosła więcej ludzi, aż wreszcie w rezerwie nie pozostał nikt. Musiał dotrzeć do ujścia zatoki przed fregatą, bo inaczej byli zgubieni.

Galera połykała przestrzeń. Ale fregata także. Na drugim końcu zatoki okręciła się jak tancerz i Blackthorne dojrzał, że Rodrigues postawił dodatkowo marsie i topsle. . -- A to przechera, tak jak każdy rodowity Portugalczyk!

Przyniesiono sake, ale z rąk marynarza wzięła je młoda Japonka, która pomagała Mariko, i onieśmielona podała mu wino. Odważnie pozostała na pokładzie, mimo że nie był to jej naturalny żywioł. Miała silne ręce, starannie uczesane włosy, a gustowne i kosztowne kimono czyste. Galera podskoczyła. Japonka zachwiała się i wypuściła czarzkę. Nie zmieniła miny, ale Blackthorne spostrzegł

rumieniec wstydu na jej twarzy.

- Por nada - powiedział, kiedy sięgnęła po nią po omacku. - Nie szkodzi. Namae ka?

- Usagi Fujiko, Anjin-san.

- Fujiko-san. Proszę, daj ją. Dozo.

Wyciągnął rękę, wziął flaszkę i napił się prosto z niej, łykając wino, żądny wlać w siebie jego ciepło. Skupił się na nowym kursie, płynąc wzdłuż mielizn, o których na polecenie Rodriguesa powiedział mu Santiago. Dopijając ciepłe wino, sprawdził powtórnie pozycję galery względem przyładka, zapewniającą im wolną od przeszkód i zagrożeń drogę do wyjścia z zatoki. Zastanawiał się przelotnie, jak je ogrzano i dlaczego nieodmiennie podaje się je ciepłe i w małych ilościach.

Otrzeźwiał już i czuł, że jeśli będzie uważał, to wystarczy mu sił. Wiedział jednak, że brakuje mu rezerw, tak jak brakowało ich galerze.

- Sake, dozo, Fujiko-san - powiedział. Zwrócił jej flaszkę i przestał się nią interesować.

Płynąca nawietrznym halsiem fregata posuwała się aż za szybko i przeszła sto jardów przed nimi,

kierując się ku brzegowi. Wiatr przywiał do jego uszu sprośności, na które, oszczędzając energię, nie pofatygował się odpowiedzieć.

- Isogi, jak Boga kocham! Przegrywamy! - krzyknął., Emocje wyścigu, odzyskana samodzielność i władza nad statkiem, którą zawdzięczał nie tyle swojej pozycji, co sile woli, w połączeniu z rzadką satysfakcją, że Yabu jest na jego łasce, przepelniły go niesłychaną radością.»

- Gdyby nie to, że galera by zatonęła, a ja wraz z nią, chętnie władowałbym ją na skały po to tylko, żeby widzieć, jak toniesz, Yabu, ty kanalio! Za biednego Pieterzoona! - powiedział.

Lecz czy Yabu nie uratował Rodriguesa, kiedyś ty tego nie umiał zrobić? - przyszło mu na myśl. Czyż nie rzucił się na tamtych bandytów, kiedyś wpadł w zasadzkę? A dzisiaj zachował się dzielnie. Tak, to kanalia, ale mimo wszystko dzielna kanalia, taka jest prawda.

Znowu zaproponowano mu flaszkę sake.

- Dozo - podziękował.

Fregata przechyliła się mocno, płynąc pod wiatr, i widok ten sprawił mu wielką przyjemność.

- I ja bym sobie lepiej nie poradził - przyznał się głośno wiatrowi. - Ale gdyby była w moim ręku, to przedarłbym się przez te łodzie na morze i tyle by mnie widziano. Dopłynąłbym jakoś do ojczyzny, a Japonię pozostawił Japończykom i tym zapowietrzonym Portugalczykom. - Zobaczył, że Yabu i kapitan bacznie mu się przypatrują. - Ale tak naprawdę, tobym tego nie zrobił, jeszcze nie.

Do schwytania i złupienia pozostaje Czarna Karawela. A poza tym zemsta, prawda, Yabu-san?

- Nan desu ka, Anjin-san? Nan ja?

- Ichi-ban! Pierwszorzędna! - odparł, pokazując na fregatę. Opróżnił flaszkę.

Fujiko wzięła ją od niego.

- Sake, Anjin-san?

- Dōmo, iye!

Dwa statki były już bardzo blisko zmasowanych łodzi rybackich - galera kierowała się prosto w przerwę, którą umyślnie między sobą zostawiły, a fregata kończyła ostatni hals i zawracała w stronę wyjścia z zatoki. Kiedy zostawili w tyle osłaniające ich przylądki, powiało mocniej, a pół mili przed sobą mieli otwarte morze. Żagle fregaty falowały w podmuchach wiatru, wanty wydawały trzaski przypominające strzały z pistoletów, a przy dziobie i za rufą pojawiła się piana.

Wioślarze spływali potem i tracili siły. Jeden zasłabł. Potem następny. Około pięćdziesięciu samurajów roninów zajęło już stanowiska. W łodziach przed galerą po obu stronach utworzonego przez nie kanału łucznicy zbroili łuki. Na wielu z nich Blackthorne dojrzał malutkie kociołki z rozżarzonymi węglami, wiedział więc, że strzały, które nadlecą, będą płonąć.

Przygotował się do bitwy najlepiej, jak potrafił. Yabu zrozumiał, że będą musieli walczyć, i od razu pojął, co oznaczają płonące strzały. Blackthorne otoczył ster drewnianymi zastawkami.

Otworzył kilka skrzyń z muszkietami, uzbroił potrafiących strzelać i wydał im proch i kule. Ściągnął też na rufówkę kilka baryłek z prochem i zaopatrzył je w lonty.

Kiedy pierwszy oficer Santiago pomógł mu wejść do szalupy, powiedział mu też, że Rodrigues, jeżeli Bóg dopuści, przyjdzie mu z pomocą.

- Dlaczego? - spytał.

- Mój pilot kazał ci powiedzieć, że musiał cię wyrzucić za burtę, żebyś otrzeźwiał, senhor.

- Dlaczego?

- Ponieważ kazał ci powiedzieć, senhor pilocie, że na pokładzie Santa Theresy grozi niebezpieczeństwo, grozi ono tobie.

- Jakie niebezpieczeństwo?

Mówi, żebyś, jeżeli możesz, przebił sobie drogę. Ale że on ci pomoże.

- Dlaczego?

- Na Najświętszą Dziewicę, przestań mleć swoim heretyckim jęzorem i posłuchaj, bo mam mało czasu.

Właśnie wtedy Santiago opowiedział mu o mieliznach, trasie przez kanał i o planie. Dał mu też dwa pistolety.

- Mój pilot pyta, czy jesteś dobrym strzelcem.

- Kiepskim - skłamał.

- Na koniec kazał ci powiedzieć, żebyś płynął z Bogiem.

- I on również. . i ty też. - A ty idź do piekła!

- Tam gdzie ty masz krewnych!

Blackthorne zaopatrzył beczki w lonty na wypadek, gdyby zaczęli strzelać z dział, żaden plan nie istniał lub gdyby okazał się fałszywy, jak również w razie wtargnięcia wrogów na galerę. Nawet taka mała baryłka prochu z zapalonym lontem, unosząca się przy burcie fregaty, zatopiłaby ją tak niechybnie, jak salwa z siedemdziesięciu dział. Nieważne, jak mała jest baryłka, pomyślał, jeśli tylko ich wypatroszy.

- Ratuście się isogi! - zawołał i przejął ster, dziękując Bogu za Rodriguesa i jasno świecący księżyc.

Zatoka u wejścia zwężała się do czterystu jardów. Głęboka woda ciągnęła się prawie od brzegu do brzegu, a z morza sterczały ostro w górę skaliste cyple.

Rybackie łodzie, które zastawiły pułapkę, stały w odległości stu jardów od siebie.

Santa Theresa znarowiła się, mając wiatr za trawersem z prawej burty i zostawiając za sobą dużą falę, szybko się do nich zbliżała. Blackthorne trzymał się środka kanału i dał znak Yabu, żeby był gotów. Wszystkim samurajom roninom polecono przycupnąć za nadburciami, gdzie niewidoczni dla wroga mieli siedzieć aż do chwili, kiedy Blackthorne da znak, a wówczas każdy, z muszkietem albo mieczem, z prawej lub lewej burty, gdziekolwiek będzie potrzebny, miał pod komendą Yabu podjąć walkę. Japoński kapitan wiedział, że wiosłarze muszą nadażyć za rytmem bębna, a bębniści, że musi być posłuszny Anjin-sanowi. I że wyłącznie Anjin-san kieruje statkiem.

Fregata znajdowała się pięćdziesiąt jardów za nimi pośrodku kanału, zmierzała prosto na nich i wcale nie kryła się z tym, że chce mieć ten środek dla siebie.

- Staranuj go! - cicho polecił Rodriguesowi Ferriera. Patrzył na Mariko, która stała z Toranagą przy barierze dziesięć kroków od nich.

- Nie ośmielimy się. . nie w obecności Toranagi i tej Japonki.

- Senhora! - zawołał Ferriera. - Senhora. . radzę wam zejść pod pokład, tobie i twojemu panu.

Bezpieczniejsi będziecie na pokładzie działowym.

Mariko przetłumaczyła to Toranadze, który zastanawiał się przez chwilę, po czym zszedł po zejściówce na pokład działowy.

- A niech mnie kule biją - rzekł nie wiadomo do kogo dowódca kanonierów. - Chciałbym wystrzelić salwę i coś zatopić. Od roku, psia jego mać, nie zatopiliśmy choćby jednego zapowietrzonego pirata!

- Tak jest. Tym małpom należy się kąpiel.

- Staranuj galerę, Rodrigues! - powtórzył na rufówce Ferriera.

- Po co zabijać wroga, skoro inni w tym człowieka wyręczają?

- Matko Boska! Wart żeś tego księdza! Czy w twoich żyłach w ogóle płynie krew?

- Płynie, ale nie krew mordercy - odparł Rodrigues, również po hiszpańsku. - Ale w tobie, panie? W tobie ona płynie. Co? I to zapewne krew hiszpańską?

- Staranujesz ją czy nie? - spytał po portugalsku Ferriera, owładnięty chęcią mordy.

- Jeżeli zostanie tam, gdzie jest, to owszem.

- No, to niech zostanie tam, gdzie jest.

- Jakie miałeś plany względem tego Anglika, panie? Dlaczego byłeś taki zły, że nie jest na naszym pokładzie?

- Przestałem cię lubić i ci ufać, Rodrigues. Dwa razy stanąłeś, a przynajmniej na to wyglądało, po stronie tego heretyka przeciwko mnie lub nam. Gdyby w Azji był jeszcze jeden zdalny pilot, to pozbyłbym się ciebie ze statku i odpłynął moją Czarną Karawelą.

- I byś utonął, panie. Cuchniesz śmiercią i tylko ja mogę cię przed nią uchronić.

Ferriera przeżegnał się zabobonnie.

- Matko Boska, a niech cię diabli za twój plugawy język. Jakim prawem mi to mówisz?.

- Moja matka była Cyganką i, tak jak ja, siódmym dzieckiem siódmego dziecka.

- Kłamiesz!

Rodrigues uśmiechnął się.

- A tak, być może kłamię, mój generale-gubernatorze. - Przyłożył dłonie do ust i krzyknął: -

Pogotowie bojowe! - A potem do sternika: - Tak trzymać, a jeżeli ta ciężarna krowa się nie ruszy, to zatop ją!

Blackthorne mocno trzymał ster, bolały go ręce, bolały nogi. Dowódca wioślarzy walił w bęben, oni zaś dobywali resztek sił.

Fregata znajdowała się już tylko dwadzieścia jardów za ich rufą, piętnaście, dziesięć. I wtedy Blackthorne mocno przesunął ster w lewo. Przechylony w ich stronę żaglowiec o mało co nie otarł się o galerę i w chwilę potem znalazł przy jej burcie. Mając go dziesięć jardów od siebie, Blackthorne mocno pchnął ster w prawo, tak żeby ustawić się doń równolegle. A potem razem, burta w burtę, przygotowali się do przemknięcia pomiędzy szpalerem wrogich łodzi.

- Ciągnąć, ciągnąć, dranie! - krzyknął Blackthorne, chcąc utrzymać się dokładnie przy burcie fregaty, bo tylko wówczas osłaniał ich jej kadłub i żagle. Wystrzeliło kilka muszkietów, a potem spadł na nich rój płonących strzał, nie wyrządzając poważniejszych szkód, ale kilkanaście z nich niechcący trafiło w niższe żagle fregaty i wzniciło ogień.

Przerażeni tym samurajscy dowódcy w łodziach powstrzymali swoich łuczników. Nikt dotąd nie zaatakował w Japonii statku Południowych Barbarzyńców. Czyż to nie wyłącznie oni przywozili jedwabie, dzięki którym dawały się znieść letnie, nasyczone wilgocią upały i zimowe chłody, a wiosny i jesienie były rozkoszne? Czyż Południowych Barbarzyńców nie chroniły cesarskie dekrety? Czy spalenie któregoś z ich statków nie rozsierdziłoby ich do tego stopnia, że więcej by tu już - i słusznie - nie powrócili?

Tak więc kiedy galera kryła się pod opiekuńczymi skrzydłami fregaty, dowódcy powstrzymali swoich podwładnych, nie ośmielając się w najmniejszym stopniu ryzykować, że któryś z nich bez osobistego rozkazu generała Ishido przyczyni się do ustania rejsów Czarnych Karawel. Dlatego dopiero po ugaszeniu przez marynarzy z fregaty płomieni odetchnęli swobodniej.

Kiedy przestały padać strzały, Blackthorne również stał się spokojniejszy. Podobnie Rodrigues. Plan działał. Rodrigues doszedł do wniosku, że galera ma szansę, jedyną szansę, tylko pod osłoną fregaty. „Ale mój pilot uprzedza cię, że musisz być przygotowany na niespodzianki, Ingeles” -

przekazał mu Santiago.

- Zepchnijcie drania na bok - zawołał Ferriera. - Do diabła, rozkazuję wam zepchnąć go między te mały!

- Pięć rumbów w lewo! - wydał posłusznie rozkaz Rodrigues.

- Jest pięć rumbów w lewo! - odparł mu jak echo sternik.

Blackthorne usłyszał tę komendę. Natychmiast przesunął ster pięć stopni w lewo i pomodlił się. Gdyby Rodrigues utrzymał ten kurs za długo, to uderzyliby w łodzie i byłby to - ich koniec.

Gdyby zwolnili rytm bębna i zostali w tyle, wrogie łodzie z pewnością opadłyby ich bez względu na to, czy zdaniem nieprzyjaciół Toranaga był na pokładzie galery czy nie. Dlatego musieli trzymać się przy burcie żaglowca.

- Pięć rumbów w prawo! - rozkazał w samą porę Rodrigues. Jemu również nie marzyło się więcej strzał na pokładzie, na którym było za dużo prochu. - No wiejże, ty rajfurze - mruknął do wiatru. »Dmuchnij z cojones w moje żagle i zabierz nas stąd do wszystkich diabłów!

Blackthorne ponownie przesunął ster pięć stopni w prawo, żeby utrzymać się przy fregacie, tak więc oba statki pędziły burta w burtę - wiosła galery z prawej niemal dotykały żaglowca, te z lewej zaś prawie podtapiały rybackie łodzie. Teraz zrozumiał już, w czym rzecz, japoński kapitan, dowódca wiosłarzy, a także oni sami. Włożyli w wiosłowanie resztę sił. Na komendę Yabu samuraje roninowie odłożyli łuki i pośpieszyli z pomocą, a sam daimyō również energicznie zabrał się do wiosłowania.

Szli łeb w łeb. Do pokonania pozostało im tylko kilkaset jardów.

I wówczas Szarzy z łodzi rybackich, odważniejsi od poprzedników, podpłynęli, przecinając im drogę, i rzucili haki do chwytania. Dziób galery zatopił wrogie łodzie. Haki wyrzucono za burtę, zanim się zahaczyły. Trzymający je samuraje utonęli. Tak więc atak ten się nie powiódł.

- Bardziej w lewo!

- Nie ośmielę się, generale-gubernatorze. Toranaga nie jest głupi, a poza tym, niech pan spojrzy, przed nami jest rafa.

W pobliżu ostatnich łodzi rybackich Ferriera dostrzegł wystający z wody grzbiet skały.

- Matko Boża, wpędź go na nie! - zawołał.

- Dwa rumbury w prawo!

Fregata przesunęła się raz jeszcze, a wraz z nią galera. Oba statki zmierzały na zmasowane rybackie łodzie. Blackthorne również spostrzegł skały. Zatopili następną łódź, a na pokład spadł grad strzał. Blackthorne utrzymał kurs tak długo, jak się odważył, krzyknął: „Pięć rumbów w lewo!”, żeby ostrzec Rodriguesa, i przesunął ster.

Portugalczyk wykonał manewr uchylający i odbił w bok. Tym razem jednak utrzymał lekko kolizyjny kurs, co nie należało do planu.

- Naprzód, draniu! - zawołał Rodrigues, podniecony wyścigiem i smagany strachem. -

Sprawdźmy, co z twoimi cojones!

Blackthorne musiał się błyskawicznie zdecydować: zderzyć ze skałami czy z fregatą.

Pobłogosławił wioślarzy za to, że nie porzucili wiosła, załogę i wszystkich na pokładzie, dzięki karności których zachował luksus wyboru. Wybrał więc.

Przesunął ster bardziej w prawo, wyciągnął pistolet i wycelował go.

- Z drogi, na miły Bóg! - krzyknął i nacisnął cyngiel.

Kula zagwizdała na rufówce fregaty, przechodząc dokładnie pomiędzy Rodriguesem a generałem-gubernatorem.

Ferriera raptownie schylił głowę, a Rodrigues skrzywił się. Ty Angliku, ty synu bezmlecznej dziewczki! - pomyślał. Szczęście to, umiejętności strzeleckie, a możeś celował, żeby zabić?

Zobaczył w ręku Blackthorne'a drugi pistolet i spostrzegł, że przypatruje się mu Toranaga.

Uznał, że to nieważne.

Błogosławiona Matko Boża, co robić? Trzymać się planu czy go Śmienić? Czy nie lepiej zabić tego Anglika? Dla dobra wszystkich, odpowiedz mi tak czy nie, pomodlił się w duchu.

Odpowiedz sobie sam, na twą nieśmiertelną duszę! Czyż nie jesteś człowiekiem?

A więc słuchaj: za tym Anglikiem, zabije go się czy nie zabije, niczym wszy podążą inni heretycy. Jesteś mu winien życie, a, na honor, nie masz w sobie krwi mordercy - nie zabijesz pilota.

- Ster prawo na burt - rozkazał i ustąpił z drogi.

- Mój pan pyta, dlaczego o mało co nie rozbiłeś galery.
- To była zwykła zabawa, senhora, zabawa pilotów. Żeby wypróbować nawzajem swoje nerwy.
- A ten strzał z pistoletu?!
- To również zabawa. . żeby wypróbować moje nerwy. Te skały były za blisko i, być może, za mocno przyparłem Anglika do muru. Ale przecież jesteśmy przyjaciółmi, tak?
- Mój pan mówi, że takie zabawy są głupie.
- Przepróż go, proszę, ode mnie. Ważne, że pilot jest bezpieczny, galera jest bezpieczna. A ja cieszę się z tego. Honto.
- Urządziłeś tę ucieczkę, ten podstęp, wspólnie z Anjin-sanem?
- Tak się składa, że jest bardzo łebski i że wszystko wykonał w odpowiednim czasie. Księżyc oświetlał mu drogę, morze sprzyjało i nie popełnił błędu. Ale dlaczego wrogowie go nie zatopili, tego nie wiem. Wola boska.
- Czyżby? - spytał Ferriera. Nie odwrócił się, wpatrując w galerę za nimi.

Zostawili już dość daleko za sobą wejście do zatoki i wpłynęli bezpiecznie na osacką redę, mając galerę kilka kabli za rufą. Obu się nie śpieszyło. Większość wiosłał na galerze czasowo wciągnięto, „zostawiając tylko tyle, żeby spokojnie płynąć, podczas gdy przeważająca część wioślarzy regenerowała siły.

Rodrigues całkowicie zignorował pytanie generała-gubernatora. Całą uwagę skupił na Toranadze. Cieszę się, że jesteśmy po jego stronie, pomyślał. W czasie wyścigu bacznie mu się przyglądał, rad z tak rzadkiej sposobności. Oczy tego człowieka były wszędzie, z nienasyconą ciekawością przypatrywały się kanonierom, działom, żaglom i drużynie gaszącej pożar, a za pośrednictwem Mariko wypytywał marynarzy i oficera: Po co to? Jak ładujecie działo? Ile trzeba prochu? Jak z nich strzelacie? Do czego służą te liny?

- Mój pan mówi, że być może była to po prostu karma. Wiesz, co to karma, naczelny pilocie?'
- Tak.
- Dziękuję ci, że mógł skorzystać z twojego statku. Teraz powróci na swój.
- Co takiego?! - Ferriera odwrócił się w jednej chwili. - Dopłyniemy do Edo na długo przed galerą. Z chęcią ugościmy pana Toranagę na naszym statku.
- Mój pan mówi, że nie ma potrzeby sprawiać wam dłużej kłopotu. Pojedzie na swój statek.
- Zechciej poprosić go, żeby został. Miło mi będzie dotrzymać mu towarzystwa.

- Pan Toranaga dziękuje ci, panie, ale życzy sobie zaraz udać się na swój statek.

- Bobrze. Zrób, jak mówi, Rodrigues. Dajcie im sygnał i spuście szalupę.

Ferriera nie był zadowolony. Pragnął zobaczyć Edo i lepiej poznać Toranagę, skoro tak bardzo związał z nim swoją przyszłość. Nie uwierzył w to, co Japończyk powiedział mu o środkach unikania wojny. Czy podoba nam się to, czy nie, toczymy wojnę po stronie tej mały przeciwko Ishido, orzekł.

A mnie się to nie podoba.

- Żałuję, że pan Toranaga nie będzie mi towarzyszył - rzekł i złożył uprzejmy ukłon.

Toranaga odklonił mu się i coś krótko powiedział.

- Mój pan dziękuje ci, panie - powtórzyła Mariko i dodała do Rodriguesa: - Mój pan mówi, że wynagrodzi cię za tę galerę, kiedy powrócisz tu z Czarną Karawelą.

- Ja nic takiego nie zrobiłem. Wypełniłem tylko obowiązek. Wybacz mi, proszę, że nie wstaję z krzesła. . ale moja noga, ne? - odparł Rodrigues z ukłonem. - Szczęść ci Boże, senhora.

- Dziękuję, kapitanie-pilocie. Tobie również.

Kiedy przytrzymując się, zmęczona schodziła po zaburtowych schodkach z Toranaga, zobaczyła, że szalupą dowodzi bosman Pesaro. Ścierpła jej skóra i omal nie zwymiotowała.

Opanowała jednak skurcz żołądka, wdzięczna swojemu panu za to, że polecił im wszystkim opuścić ten cuchnący statek.

- Pomyślnego wiatru i szczęśliwej podróży! - zawołał do nich z góry Ferriera. Skinął im na pożegnanie ręką, na co odpowiedzieli mu tym samym, a potem łódź odbiła.

- Kiedy szalupa powróci, a ta parszywa galera zniknie z oczu, zejście ze stanowisk - polecił dowódcy bateri .

Na rufówce zatrzymał się przed Rodriguesem. Wskazał na galerę.

- Jeszcze pożałujesz, żeś go zostawił przy życiu - oświadczył.

- Wszystko w ręku Boga. Jeśli zdołasz zapomnieć o sprawie wiary, to ten Anglik jest „zdatnym” pilotem, mój generale-gubernatorze.:

- Zastanawiałem się nad tym.

- No i?

- Im prędzej znajdziesz się w Makau, tym lepiej. Masz tam dopłynąć szybko jak nigdy dotąd,

Rodrigues - rzekł Ferriera i zszedł pod pokład.

Rodriguesowi boleśnie pulsowało w nodze. Pociągnął łyk z bukłaka z grogiem. A bodaj piekło pochłonęło tego. Ferriera, pomyślał. Proszę cię jednak, Boże, nie wcześniej, nim znajdziemy się w Lizbonie.

Wiatr zmienił odrobinę kierunek, a do aureoli księżyca dotarła chmura, deszcz był niedaleko, na niebie zaś pojawiła się pierwsza smużka brzasku. Rodrigues całą uwagę skupił na statku, jego żaglach i położeniu. W pełni usatysfakcjonowany tym, co zobaczył, zaczął przyglądać się szalupie. A wreszcie na koniec galerze.

Pociągnął znowu rumu, rad, że jego plan przebiegł tak gładko. Nawet ten strzał z pistoletu, który dopełnił dzieła. Cieszył się, że się na to zdecydował.

Musiałem podjąć decyzję i podjąłem ją, pomyślał.

- Ale mimo to - rzekł z wielkim smutkiem - generał-gubernator ma rację. Wraz z tobą herezja przybyła do Raju.

29.

- Anjin-san?

- Hai? - spytał Blackthorne, wyrwany z głębokiego snu.

- Przyniosłam coś do zjedzenia i cha.

Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, kim jest i gdzie się znajduje. A potem rozpoznał

kabinę na galerze. Mrok przebijała smuga słońca. Czuł się ogromnie wypoczęty. Nie było słychać dudniącego bębna i nawet w najgłębszym śnie zmysły podpowiadały mu, że rzucono kotwicę, galera stoi bezpiecznie przy brzegu, a morze jest spokojne.

Ujrzał służącą z tacą, a przy niej Mariko, już bez temblaka. Leżał na koi pilota, tej samej, z której korzystał Rodrigues podczas rejsu z Anjiro do Osaki, a która była mu w pewnym sensie tak bliska jak jego własna koka i kabina na Erasmusie. Erasmus! Wspaniale byłoby znaleźć się na jego pokładzie i znów zobaczyć załogę.

Przeciągnął się rozkosznie, a potem wziął od Mariko filiżankę z cha.

- Dziękuję. Jest wyborna. Jak twoja ręka? . .

- Znacznie lepiej, dziękuję. - Chcąc mu to zademonstrować, Mariko zgięła rękę w łokciu. - To była jedynie powierzchowna rana.

- Lepiej wyglądasz, Mariko-san.

- Tak, czuję się lepiej.

Kiedy wróciła o świcie na galerę z Toranagą, była bliska omdlenia.

- Lepiej zostać na górze - powiedział jej wtedy. - Słabość prędkiej ci minie.

- Mój pan podziwia twoje umiejętności żeglarskie.

- Mieliśmy szczęście. Pomógł księżyc. A załoga spisała się wspaniale. Mariko-san, może byś spytała kapitana, czy dobrze zna te wody. Powiedz panu Toranadze, że przykro mi, ale nie mogę już dłużej obejść się bez snu. A może będziemy mogli podryfować przez jakąś godzinę? Muszę się przespać.

Mgliście przypomniał sobie, jak odpowiedziała, że pan Toranagą pozwala mu zejść pod pokład i że na kapitana można w zupełności polegać, jeżeli tylko pozostaną na przybrzeżnych wodach i nie wypłyną w morze.

Blackthorne przeciągnął się jeszcze raz i otworzył bulaj. Znajdowali się dwieście jardów od skalistego brzegu.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

- Przy brzegu prowincji Totomi, Anjin-san. Pan Toranagą chciał popływać i dać odpocząć kilka godzin wiosłarom. W Anjiro będziemy jutro.

- W tej wiosce rybackiej? Niemożliwe. Zbliża się południe, a o świcie byliśmy pod Osaka. To niemożliwe!

- Ach, to było wczoraj, Anjin-san. Przespałeś dzień, noc i połowę następnego - odparła. - Pan Toranagą zakazał cię budzić. Myśli, że dobrze ci zrobi, jeżeli na rozbudzenie się trochę sobie popływasz. Po posiłku.

Posiłek składał się z dwóch misek ryżu, ryby pieczonej na węglu drzewnym i polanej ciemnym, słono-gorzkiem, słodko-kwaśnym sosem, który, jak mu wyjaśniła, robiono ze sfermentowanej fasoli.

- Dziękuję. . tak, z chęcią popływam. Spałem prawie półtorej doby. Nic dziwnego, że czuję się świetnie. - Zgłodniały, wziął tacę od służącej. Ale nie zabrał się do jedzenia od razu. - Czego ona się boi? - spytał.

- Nie boi się, Anjin-san. Tylko trochę się denerwuje. Wybacz jej, proszę. Jeszcze nigdy nie widziała z bliska cudzoziemca.

- Powiedz jej, że przy pełni księżyca barbarzyńcom wyrastają rogi, a z ust dobywa się ogień, jak smokom.

Mariko zaśmiała się.

- Na pewno nie powiem. - Wskazała na stół. - Jest tam proszek do zębów, szczotka, woda i czyste ręczniki - powiedziała i dodała po łacinie: - Rada jestem, mogąc cię oglądać w dobrym zdrowiu. Podobnie jak w czasie marszu, wykazałeś się wielką dzielnością, panie. Ich spojrzenia spotkały się i rozstały po dłuższej chwili. Mariko złożyła mu grzeczny ukłon. Dziewczyna też się ukłoniła. Drzwi zamknęły się za nimi.

Posiliwszy się, Blackthorne wyszedł na pokład. Niemal wszyscy byli nadzy. Niektórzy Japończycy wycierali się, inni leżeli na słońcu, kilku wyskoczyło za burtę. W morzu przy statku pływali samuraje i marynarze, chlapiąc się wodą jak dzieci.

- Konnichi wa, Anjin-san.

- Konnichi wa, Toranaga-sama - odparł.

Całkiem nagi Toranaga wchodził po schodkach, które spuszczone do wody.

- Sonata wa oyogitamo ka? - spytał, wskazując morze i strząsając ręką z brzucha i ramion wodę ciepłą od słońca.

- Hai, Toranaga-sama, Dōmo - odparł Blackthorne przypuszczając, że pyta go, czy chce popływać.

Toranaga ponownie wskazał na morze i mówił przez chwilę, a potem przywołał Mariko, żeby to przełożyła. Nadeszła od rufówki w Dōmowym, białym, bawełnianym, niedbale przewiązanym w pasie kimonie, osłaniając głowę czerwoną parasolką.

- Toranaga-sama mówi, że wyglądasz na bardzo wypoczętego, Anjin-san. Woda jest orzeźwieniem.

Orzeźwia - poprawił ją grzecznie. - Taki - Ach, dziękuję. . orzeźwia. Prosi więc, żebyś popływał.

Toranaga opierał się beztrąsko o nadburcie, wycierając uszy z wody małym ręcznikiem, a kiedy nie zdołał dobrze osuszyć lewego, zwiesił głowę i zaczął skakać na lewej nodze aż do skutku.

Blackthorne zauważył, że pomimo wydatnego brzucha jest muskularny i w dobrej formie.

Skrepowany, aż za bardzo świadom obecności Mariko, zdjął koszulę, sączeł na jądra, spodnie, aż wreszcie został całkiem nagi, tak jak Toranaga.

- Pan Toranaga pyta, czy wszyscy Anglicy są tacy owłosieni. Mają takie jasne włosy.

- Niektórzy - odparł.

- My. . nasi mężczyźni nie są owłosieni na piersiach ani rękach tak jak wy. Mają ich niewiele.

Mówi, że jesteś bardzo dobrze zbudowany.

- I on również. Podziękuj mu, proszę.

Blackthorne podszedł do szczytu drabiny, świadom obecności Mariko i młodej Japonki, Fujiko, która klęczała na ruf owce pod żółtą parasolką, a obok niej służąca, która także go obserwowała. I wówczas, nie będąc w stanie zachować godności na tyle długo, aby zejść nago aż do samej wody, dał przez burtę nurka do bladoniebieskiego morza. Był to piękny skok, a chłód morskiej wody orzeźwił go. Na piaszczystym dnie, dziesięć jardów pod powierzchnią pośród kołyszących się wodorostów uwijało się mnóstwo ryb, które nie lękały się pływaków. Blisko dna przestał opadać, obrócił się, pobawił z jakąś rybą, a potem wynurzył i wyraźnie leniwymi, spokojnymi, lecz zarazem szybkimi wyrzutami rąk znad głowy, których nauczył go Alban Caradoc, popłynął w stronę brzegu., Mała zatoka była pusta - wiele skał, wąski kamienisty brzeg, żadnych śladów życia. W błękitne, bezkresne niebo wzbijały się na wysokość tysiąca stóp góry.

Ułożył się na skale w słońcu. Czterech samurajów, którzy tam z nim przyплыnęli, zatrzymało się niedaleko od niego. Uśmiechnęli się do niego i pomachali rękami. Później popłynął z powrotem, a oni za nim. Toranaga cały czas mu się przyglądał.

Blackthorne wszedł na pokład. Jego ubranie zniknęło. W dalszym ciągu przebywały tam Mariko, Fujiko oraz dwie służące.

Jedna z nich ukloniła się i podała mu śmiesznie mały ręcznik, który wziął i zaczął się nim wycierać, skrepowany stając przodem do nadburcia.

Masz zachowywać się swobodnie, przykazał sobie. Przecież w zamkniętym pokoju z Felicity jesteś swobodny, prawda? Tylko publicznie, w obecności kobiet - w obecności Mariko - jesteś skrępowany. Dlaczego? Japończycy nie zauważają nagości i jest to całkiem rozsądna postawa.

Jesteś w Japoni . Zachowuj się więc jak oni. Będiesz jak oni i będziesz się zachowywał jak król.

- Pan Toranaga mówi, że bardzo dobrze pływasz. Czy nauczysz go tego stylu? - spytała Mariko.

Bardzo chętnie - odparł, zmusił się do odwrócenia i oparł o nadburcie tak jak Toranaga.

Mariko uśmiechnęła się do niego. Jaka ona ładna, pomyślał.

- I sposobu, w jaki zanurkowałeś do morza - dodała. - My. . my jeszcze czegoś takiego nie widzieliśmy. Zawsze skaczemy na nogi. Chce się nauczyć, jak się to robi.

- Teraz?

- Tak, proszę.

- Nauczę go.. a przynajmniej postaram się.

Służąca czekała na niego z przygotowanym bawełnianym kimonem, w które ubrał się z ulgą i obwiązał się pasem. A potem odprężony wyjaśnił, jak należy nurkować, jak schować głowę pomiędzy ręce, odbić się w górę i wyskoczyć, ale że trzeba się wystrzegać upadku na brzuch.

- Najlepiej zacząć od najniższego stopnia schodków zaburtowych i od rzucenia się w wodę głową w przód, bez odbijania się czy rozbiegu.

Tak uczymy dzieci.

Toranaga słuchał, zadawał pytania, a kiedy zaspokoił ciekawość, powiedział za pośrednictwem Mariko: „Dobrze. Chyba zrozumiałem”. Podszedł do furty burtowej i zanim Blackthorne mógł go powstrzymać, rzucił się z wysokości pięciu jardów do wody. Wyrznął w nią mocno brzuchem. Nikt się nie roześmiał. Toranaga rozpryskując wodę powrócił na pokład i spróbował jeszcze raz. I znowu wylądował płasko na brzuchu. Innym samurajom powiodło się tak samo jak jemu.

- To niełatwe - rzekł Blackthorne. - Nauczenie się tego zajęło mi wiele czasu. Odpocznijcie, a jutro spróbujemy znowu.

- Pan Toranaga mówi: „Jutro to jutro. Nurkować nauczę się dziś”.

Blackthorne odłożył kimono na bok i jeszcze raz pokazał skok do wody. Samuraje poszli w jego ślady. I znowu im się nie udało. Tak samo jak Toranadze. Sześciokrotnie.

Po kolejnym zademonstrowaniu im, jak się nurkuje, Blackthorne wgramolił się na kładkę i ujrzał pośród samurajów Mariko, która naga szykowała się do skoku z góry. Miała śliczne ciało, a na ręce świeży bandaż.

- Zaczekaj, Mariko-san! - zawołał. - Lepiej spróbuj stąd. Za pierwszym razem. - Dobrze, Anjin-san.

Zeszła do niego, a malutki krzyżyk podkreślał jej nagość. Blackthorne pokazał jej, jak się schylić, skoczył do morza, chwycił ją w pasie, i przechylił tak, że wsunęła się do wody najpierw głową.

Potem spróbował to zrobić sponad linii zanurzenia galery Toranaga i poniekąd mu się powiodło.

Mariko spróbowała jeszcze raz, a dotyk jej skóry tak podochocił Blackthorne'a, że przez chwilę błaznował, po czym wpadł do wody i płynął dopóty, dopóki się nie ostudził. A potem wbiegł na pokład, stanął przy nadburciu i pokazał im nurkowanie „na kotwicę”, które uznał za łatwiejsze, świadom, że Toranadze musi się koniecznie udać skok.

- Ale trzeba zachować sztywność, hai? Tak jak miecz. A wówczas musi się powieść - zapewnił.

Spadł za burtę. Zanurkował czysto i zaczekał, pływając w pionie.

Kilku samurajów wystąpiło naprzód, ale Toranaga dał im znak, by się odsunęli. Sztywno uniósł

ręce, wyprostował plecy. Pierś i biodra miał zaczerwienione od upadków na brzuch. A potem, tak jak to zademonstrował Blackthorne, swobodnie spadł w przód. Najpierw wszedł do wody głową i przerzuciło mu nogi, ale zanurkował, jako pierwszy z nich z powodzeniem, więc kiedy się wynurzył, powitała go burza pochwał. Zanurkował jeszcze raz, tym razem udatniej. Inni samuraje poszli w jego ślady. Potem zaś spróbowała Mariko.

Blackthorne zobaczył jej jędrne małe piersi, wąską talię, płaski brzuch i krągłe biodra. Kiedy podnosiła ręce w górę, przez twarz przemknął jej grymas bólu. Ale wyprostowała się jak strzała i dzielnie rzuciła za burtę. Weszła do wody czysto. Prawie nikt oprócz niego tego nie zauważył.

- Pięknie zanurkowałeś. Naprawdę pięknie - pochwalił, podając jej rękę, żeby z łatwością wyciągnąć Mariko z wody na kładkę przy schodkach zaburtowych. - Powinnaś na tym poprzestać.

Może ci się otworzyć rana na rękę.

- Tak, dziękuję, Anjin-san. - Bardzo z siebie zadowolona stanęła przy nim, ledwie sięgając mu do ramienia. - To niezwykle uczucie spadać za burtę, zachowując sztywne ciało, a nade wszystko pokonując strach. O tak, to było naprawdę niezwykle przeżycie.

Weszła po drabince i włożyła kimono, które podała jej służąca. A potem, delikatnie osuszając twarz, zeszła pod pokład. „Chryste, to jest dopiero kobieta” pomyślał.

*

O zachodzie słońce Toranaga zawezwał go. Siedział na czystych futonach rozłożonych na pokładzie rufowym przy małym kubie z węglem drzewnym, w którym dymiły małe kawałki pachnącego drewna. Używano ich do aromatyzowania powietrza oraz po to, żeby o zmierzchu odpędzać moskity i komary. Kimono miał schludne i wyprasowane, a wielkie przypominające skrzydła ramiona wykrochmalonego kaftana sprawiały, że swoim wyglądem wzbudzał szacunek. Również Yabu nosił

ceremonialny strój, a także Mariko. Była też obecna Fujiko. Na straży siedziało w milczeniu dwudziestu samurajów. W stojaki włożono pochodnie, a galera w dalszym ciągu spokojnie kołysała się na kotwicy w zatoce.

- Sake, Anjin-san?

- Dōmo, Toranaga-sama.

Blackthorne uklonił się, przyjął od Fujiko małą czarbkę, wznosił ją toast w kierunku Toranagi i wypił. Czarbkę natychmiast napełniono mu powtórnie. Miał na sobie mundurowe kimono Brązowych, w którym czuł się swobodniej i naturalniej niż w europejskim ubraniu.

- Pan Toranaga mówi, że zostaniemy tutaj na noc. Jutro do płyniemy do Anjiro. Chciałby usłyszeć więcej o twoim kraju i świecie zewnętrznym - powiedziała Mariko.

- Oczywiście. Co chciałby wiedzieć? Piękna noc, prawda?

Blackthorne usiadł wygodnie, świadom jej kobiecości. Świadom aż za bardzo. Dziwne, pomyślał, bardziej zwracasz uwagę na nią, kiedy jest ubrana, niż wówczas, kiedy nie miała na sobie nic.

- Tak, bardzo piękna. Niedługo zrobi się parno, Anjin-san. Lato nie jest tu najlepszą porą roku. - Przełożyła Toranadze, co powiedziała. - Mój pan każe ci powiedzieć, że Edo leży w bagnistej okolicy. W lecie bardzo tam dokuczają moskity, ale wiosna i jesień są piękne. . o tak, pory narodzin i śmierci są piękne.

- W Anglii klimat jest umiarkowany. Na siedem zim może „jedna wypada sroga. Tak samo lato.

Raz na sześć lat mamy głód, chociaż zdarza się, że i dwa lata z rzędu.

- U nas też zdarza się głód. Każdy głód jest zły. Jak jest z tym teraz w twoim kraju?

- W ciągu ubiegłych dziesięciu lat trzy razy mieliśmy złe zbiory i zabrakło słońca, żeby dojrzały zboża. Ale to ręka Wszechmogącego.

Teraz Anglia jest bardzo silna. Kraj kwitnie. Nasz lud ciężko pracuje. Sami wytwarzamy sobie ubrania, całe uzbrojenie, większość wełnianej odzieży w Europie. Z Francji sprowadzamy trochę jedwabów, ale kiepskiej jakości, a chodzą w nich jedynie bardzo bogaci.

Blackthorne postanowił nie mówić im o zarazach, buntach, powstaniach wywołanych przez gradzenie wspólnych gruntów i napływ wieśniaków do miasteczek i miast. Opowiedział im za to o dobrych królach i królowych, świątłych przywódcach, mądrych parlamentach i pomyślnych wojnach.

- Pan Toranaga chce mieć całkowitą pewność. Twierdzisz, że tylko wasza potęga na morzu chroni was przed Hiszpanią i Portugalią?

- Tak. Tylko ona. Panowanie nad morzami zapewnia nam wolność. Wy również, tak jak i my, jesteście narodem wyspiarskim. Bez opanowania mórz, czyż i wy nie jesteście bezbronni wobec

zewnątrznego wroga? Mój pan zgadza się z tobą.

- O, a więc i wy przeżyliście najazd?

Blackthorne spostrzegł, że Mariko, zwracając się w stronę Toranagi, lekko zmarszczyła czoło, co przypomniało mu, że musi ograniczać się do odpowiedzi, a nie pytać.

Kiedy odezwała się do niego ponownie, głos jej spoważniał.

- Pan Toranaga mówi, że powinnam ci odpowiedzieć na to pytanie, Anjin-san. Tak, dokonywano na nas najazdu dwa razy. Ponad trzysta lat temu - według waszego kalendarza w roku 1274 -

najechali nas Mongołowie chana Kubilaja, który dopiero co podbił Chiny i Koreę.

Zaatakowali nas, kiedyśmy odmówili podporządkowania się ich władzy.

Kilka tysięcy wojska wylądowało na Kiusiu, ale naszym samurajom udało się je powstrzymać, a po pewnym czasie wróg się wycofał. Ale w siedem lat później Mongołowie przyплыли znowu. Tym razem w inwazji wzięło udział prawie tysiąc statków chińskich i koreańskich z dwustoma tysiącami żołnierzy - Mongołów, Chińczyków i Koreańczyków - przeważnie konnych. Była to największa armia inwazyjna, jaką zebrano w całej historii Chin. Okazaliśmy się bezradni wobec tak przytłaczającej potęgi, Anjin-san. Znowu zaczęli lądować w zatoce Hakata na Kiusiu, ale zanim zdążyli rozwinąć wszystkie swoje wojska, z południa nadleciał Wielki Wiatr, tai-fun, i zniszczył całą nieprzyjacielską flotę wraz ze wszystkim, co wiozła. Ci, którzy zostali na lądzie, szybko zostali wybici. Był to kamikazi, Boski Wiatr, Anjin-san powiedziała z pełnym przekonaniem. - Kamikazi zesłany przez bóstwa, żeby ochronił tę Krainę Bogów przed obcymi najeźdźcami. Mongołowie już więcej nie powrócili, a po mniej więcej osiemdziesięciu latach ich dynastię T'sin wypędzono z Chin - dodała z ogromnym zadowoleniem Mariko. - Bogowie obronili nas przed nimi. Bogowie zawsze ochronią nas przed najazdem. W końcu jest to przecież ich ziemia, ne?

Blackthorne zadumał się nad olbrzymią liczbą statków i żołnierzy uczestniczących w owym najeździe. Hiszpańska Armada, która napadła na Anglię, wydawała się przy tym fraszką.

- Nam również pomogła burza, senhora - odparł z równą powagą. - Wielu wierzyło, że ją także zesłał Bóg, że był to na pewno cud, któż zresztą wie, czy nie był nim naprawdę. - Spojrzał na kociołek, bo trzasnął w nim jakiś węgielek i zatańczyły płomyki. A potem ciągnął: - Mongołowie o mało co nie zalali także Europy. - Opowiedział jej, jak hordy Czyngis-chana, dziadka chana Kubilaja, dotarły niemal do bram Wiednia, zanim powstrzymano jego rzezie i zawrócił, pozostawiając po sobie góry czaszek. - Ludzie w owych czasach wierzyli, że Czyngis-chana i jego żołnierzy zesłał Bóg, żeby ukarać świat za grzechy.

- Pan Toranaga mówi, że był on zwyczajnym barbarzyńcą, który umiał świetnie wojować.

- Tak. W Anglii jednak błogosławimy swój dobry los, że zamieszkujemy wyspę. Dziękujemy Bogu za nią i za Kanał. A także za naszą marynarkę. Ponieważ macie tak blisko tak potężne Chiny, a z Chinami jesteście w stanie wojny, zdumiewa mnie, że nie macie dużej floty. Czy nie obawiacie się kolejnego

ataku?

Mariko nie odpowiedziała, tylko przełożyła Toranadze, o czym była mowa. Kiedy skończyła, Toranaga przemówił do Yabu, na co ten skinął głową i odpowiedział mu z równą powagą. Obaj przez jakiś czas rozmawiali. Mariko odpowiedziała na kolejne pytanie Toranagi, a potem spytała Blackthorne'a:

- Anjin-san, ile statków potrzebujecie do władania morzami?.

- Dokładnie nie wiem, ale w tej chwili nasza królowa ma pewnie ze sto pięćdziesiąt okrętów liniowych. Są to statki wybudowane wyłącznie na potrzeby wojny., Mój pan pyta, ile statków w roku buduje wasza królowa.

- Dwadzieścia do trzydziestu okrętów wojennych, najlepszych i najszybszych na świecie. Ale okręty te budują zazwyczaj grupy prywatnych kupców, którzy odsprzedają je Koronie.

- Dla zysku?

Blackthorne pamiętał, co samurajowie myślą o zysku i pieniądzach.

- Nasza królowa szczerze „wynagradza ich ponad poniesione koszty, by zachęcić ich do szukania nowych rozwiązań i nowych typów okrętów. Bez królewskiej przychylności nie byłoby to raczej możliwe. Na przykład mój statek Erasmus należy do nowej klasy i zbudowano go według angielskiego projektu w Holandii.

- Czy mógłbyś zbudować taki statek tutaj?

- Tak. Gdybym miał cieśli, tłumaczy, wszystkie potrzebne materiały oraz czas. Najpierw wolałbym zbudować mniejszą jednostkę. Nigdy jeszcze nie budowałem statku samodzielnie, więc musiałbym poprobać. . Naturalnie - dodał, starając się powściągnąć podniecenie, kiedy pomysł

dojrzał mu w głowie - naturalnie, gdyby pan Toranaga chciał mieć statek lub statki, zapewne udałoby mi się zawrzeć transakcję handlową. Może mógłby zamówić pewną liczbę okrętów wojennych, które zbudowano by w Angli . Przypłynęlibyśmy nimi, tutaj, otaklowanymi i uzbrojonymi według jego życzeń.

Mariko przełożyła to. Zainteresowanie Toranagi wzrosło. Podobnie zainteresowanie Yabu.

- Pyta, czy naszych marynarzy można wyuczyć żeglowania takimi statkami.

- Oczywiście, z czasem. Moglibyśmy załatwić, żeby ich kapitanowie albo przynajmniej jeden z nich popływał przez rok na tych morzach. A wtedy mógłby wam ułożyć program szkolenia. W ciągu kilku lat mielibyście własną marynarkę. Nowoczesną marynarkę. Nie ustępującą żadnej.

Mariko przez jakiś czas mówiła. Toranaga znowu wypytywał ją dociekliwie, podobnie Yabu.

- Pan Yabu pyta, czy na pewno nie ustępującą żadnej.

- Tak. Lepszą od tej, na jaką stać Hiszpanów. Albo Portugalczyków.

Cisza rosła. Pomysł z okrętami najwyraźniej pochłonął Toranagę, mimo że starał się ukryć ten fakt.

- Mój pan pyta, czy jesteś pewien, że da się to załatwić.

- Tak. Ile czasu by to zajęło?

Dwa lata na to, żebym dopłynął do kraju. Dwa lata na wybudowanie okrętu lub okrętów. Dwa na dopłynięcie z powrotem. Połowa kosztów musiałaby być pokryta z góry, reszta po dostarczeniu statków.

Toranaga w zamyśleniu pochylił się do przodu i dołożył do kociołka trochę aromatycznego drewna. Wszyscy wpatrywali się w niego i czekali. A potem długo rozmawiał z Yabu. Mariko nie tłumaczyła, o czym mówili, Blackthorne zaś był na tyle mądry, żeby o to nie pytać, chociaż ogromnie pragnął uczestniczyć w ich rozmowie. Przyglądał się uważnie wszystkim, nawet tej młodej, Fujiko, która równie pilnie się przysłuchiwała, ale nie potrafił wywnioskować niczego z ich min. Wiedział, że jest to wspaniały pomysł, który może przynieść ogromne zyski i zapewnić mu szczęśliwy powrót do Anglii.

- Anjin-san. Z iloma statkami mógłbyś popłynąć?

- Naraz najlepiej z flotyl ą złożoną z pięciu statków. Należałoby się liczyć z tym, że któryś z nich przypadnie w czasie sztormu albo wskutek napaści Hiszpanów i Portugalczyków, bo niewątpliwie będą wychodzić ze skóry, żebyście nie dostali tych okrętów wojennych. Za dziesięć lat pan Toranaga może mieć marynarkę złożoną z piętnastu do dwudziestu jednostek. - Oczekał, aż Mariko przetłumaczy te słowa, a potem wolno mówił dalej. - Ta pierwsza flotyl a może przywieźć ze sobą szkutników, cieśli okrętowych, kanonierów, marynarzy i kapitanów. W ciągu dziesięciu czy piętnastu lat Anglia może dostarczyć panu Toranadze trzydzieści nowoczesnych okrętów wojennych, wystarczających aż nadto, żeby opanować wasze ojczyście wody. A do tego czasu, gdybyście sobie życzyli, można by już zapewne budować na miejscu nowe jednostki, które zastąpiłyby stare. My-już chciał powiedzieć „sprzedalibyśmy”, ale zmienił słowo - nasza królowa byłaby zaszczycona, pomagając wam utworzyć własną marynarkę, a ponadto, tak, owszem, na wasze życzenie wyszkolilibyśmy ją i wyposażyli.

Tak jest, pomyślał w uniesieniu, a żeby udoskonalić ten plan ostatecznie, dostarczylibyśmy również oficerów oraz admirała, królowa zaś zaproponowałaby wam ściśle przymierze, korzystne dla was i dla nas, które stanowiłoby część transakcji, po czym wspólnie, przyjacielu Toranaga, przepędzilibyśmy Portugalczyków i Hiszpanów z tych mórz i opanowali je na zawsze. Mógłby to być największy dwustronny układ handlowy, jaki kiedykolwiek zawarły dwa narody, pomyślał radośnie. A gdyby nad tymi wodami panowała japońsko-angielska flota, to my, Anglicy, zdominowalibyśmy japońsko-chiński handel jedwabiem. Corocznie przyniosłoby to miliony.

Gdyby mi się to udało, zmieniłbym bieg historii, zdobyłbym bogactwa i zaszczyty, o jakich mi się nie śniło, stałbym się protoplastą rodu. A zostanie protoplastą rodu to najcenniejszy zaszczyt, o jaki może zabiegać mężczyzna, nawet jeśli mu się to nie uda.

- Szkoda, powiada mój pan, że nie mówisz naszym językiem.

- Tak, szkoda, ale jestem pewien, że ty, pani, tłumaczysz doskonale.

- Mówi tak nie dlatego, by mnie krytykował, Anjin-san, po prostu wypowiada spostrzeżenie.

To prawda. O wiele korzystniej dla mojego pana byłoby rozmawiać z tobą bezpośrednio, tak jak mogę to zrobić ja.

- Czy macie jakieś słowniki, Mariko-san? I gramatyki - gramatykę portugalsko-japońską albo łacińsko-japońską? Gdyby pan Toranaga zapewnił mi książki i nauczycieli, to spróbowałbym się nauczyć waszego języka.

- Nie mamy takich książek.

- Ale jezuici mają. Sama mi to powiedziałaś.

- Och!

Zaczęła mówić do Toranagi i Blackthorne ujrzał, jak oczy daimyō i oczy Yabu rozpromieniają się, a twarze ich rozciągają się w uśmiechach.

- Mój pan mówi, że zapewni ci to, Anjin-san.

Na polecenie Toranagi Fujiko dołała Blackthorne'owi i Yabu sake. Toranaga, podobnie jak Mariko, pił cha. Nie mogąc się powstrzymać, Blackthorne spytał:

- Co mówi na moją propozycję? Jaką dał odpowiedź?

- Anjin-san, zalecam cierpliwość. On odpowie ci we właściwym czasie.

- Proszę, spytaj go teraz.

- Zechciej mi wybaczyć, wielmożny panie - Mariko niezbyt chętnie zwróciła się do Toranagi -

ale Anjin-san z całym szacunkiem pyta, co myślisz o jego planie. Bardzo pokornie i jak najgrzeczniej prosi o odpowiedź.

- Dostanie ją we właściwym czasie.

- Mój pan mówi, że rozważy twój plan i dokładnie przemyśli to, coś mu powiedział - odparła Mariko Blackthorne'owi. - Prosi cię o cierpliwość.

- Dōmo, Toranaga-sama.

- Idę spać. Odpywamy o świcie - powiedział Toranaga i wstał.

Wszyscy oprócz pilota zeszli za nim pod pokład. Blackthorne został sam na sam z nocą.

Na pierwszą zapowiedź świtu Toranaga wypuścił cztery gołębie pocztowe, które wraz z głównym bagażem przysłano na statek, kiedy przygotowywano go do wypłynięcia. Ptaki zatoczyły dwa koła, a potem odleciały - dwa w kierunku Osaki, dwa w stronę Edo. Szyfrowana wiadomość do Kiritsubo zawierała polecenie dla Hiro-matsu, aby zrobił wszystko, co tylko można, żeby bez awantur natychmiast wyjechać z Osaki. Gdyby nie pozwolono im na to, mieli zamknąć się w środku, a w momencie sforsowania bramy podpalić część zamku, którą zajmowali, i dopełnić seppuku.

Szyfrowana wiadomość do syna Toranagi, Sudary, w Edo brzmiała, że Toranaga uciekł, że jest bezpieczny i nakazuje mu, aby w dalszym ciągu potajemnie szykował się do wojny.

- W morze, kapitanie - polecił.

- Tak, panie.

Do południa przebyli zatokę oddzielającą prowincje Totomi i Izu i znaleźli się przy przylądku Ito, najdalej na południe wysuniętego punktu półwyspu Izu. Wiatr im sprzyjał, fala była martwa, a w żegludze dopomagał pojedynczy grotzagiel.

Później zaś, kiedy skręcili na północ, płynąc blisko brzegu, w kanale pomiędzy lądem i kilkoma wysepkami, na wybrzeżu odezwały się złowieszcze grzmoty.

Wszystkie wiosła znieruchomiały.

- Chryste Panie, co.. - zaczął Blackthorne, wbijając wzrok w brzeg.

Nagle w nadmorskich skałach pojawiło się węzowate pęknięcie i do morza zwały się miliony ton kamienia. Woda zagotowała się na chwilę. Do galery dotarła mała fala i przeszła. Lawina kamieni ustała. Znowu rozległo się dudnienie, niższe w tonie, bardziej przypominające pomruk, ale dochodzące z dalszej odległości. Ze skał stoczyły się wolno kamienie. Wszyscy pilnie nasłuchiwali i czekali, wpatrując się w lico skały. Słysząc było krzyki mew, szum przybrzeżnych fal i wiatru. A potem Toranaga dał znak bębniście, który ponownie uderzył w bęben. Ruszyły wiosła. Na galerę powróciło normalne życie.

- Co to było? - spytał Blackthorne.

- Zwyczajne trzęsienie ziemi - odparła zdumiona Mariko. - U was nie ma trzęsień ziemi?

- Nie. Nigdy. Nigdy nie widziałem trzęsienia ziemi.

- Ach, u nas są one często, Anjin-san. To było nic, tylko małe. Ośrodek wstrząsu jest gdzie indziej, może nawet w morzu. A może było to małe trzęsienie ziemi, wyłącznie miejscowe. Miałeś szczęście, że widziałeś małe.

- Zdawało mi się, że trzęsie się cała ziemia. Przysięgłbym, że widziałem. . słyszałem o trzęsieniach ziemi. Mają je w Ziemi Świętej i w imperium otomańskim. Chryste! - Zaczerpnął

powietrza, serce mocno mu waliło. - Przysięgłbym, że widziałem, jak się trzęsła cała tamta skała.

- Och, bo się trzęsa, Anjin-san. Kiedy człowiek przebywa w takiej chwili na łódce, nie ma dlań strasniejszego przeżycia na świecie. Trzęsienie pojawia się bez zapowiedzi, Anjin-san.

Wstrząsy nadchodzą falami, czasem z boku, czasem ziemia wznosi się i opada, a niekiedy trzy, cztery drżenia następują szybko po sobie. Bywa, że po małym trzęsieniu w dzień później w nocy przychodzi większe. Bez określonego porządku. Najgorsze przeżyłam w nocy, sześć lat temu koło Osaki, trzeciego dnia miesiąca Spadających Liści. Nasz dom zwałił się na nas, Anjin-san. Nic się nam nie stało, synowi i mnie. Wygrzebaliśmy się spod ruin. Wstrząsy trwały przez tydzień albo dłużej, niektóre silne, inne bardzo silne. Nowy wielki zamek taikō w Fujimi został doszczętnie zniszczony.

Podczas tego trzęsienia ziemi i w pożarach, które ono wywołało, zginęły setki tysięcy ludzi. To właśnie jest najgroźniejszy dopust spośród wszystkich, Anjin-san - pożary, które ono wywołuje.

Nasze miasta, miasteczka i wsie tak łatwo giną. Czasem silne trzęsienie ziemi zdarza się daleko na morzu, a legenda głosi, że właśnie tam powstają Wielkie Fale. Mają one po dziesięć, dwadzieścia stóp wysokości. Zjawiają się zawsze bez ostrzeżenia i bez względu na porę roku. Wielka Fala po prostu występuje z morza na nasze brzegi i przewala się przez ląd. Znikają miasta. Kilka lat temu taka właśnie fala zniszczyła pół Edo.

- I tak się dzieje u was zwykle? Każdego roku?

- O, tak, co roku w tej Krainie Bogów mamy trzęsienia ziemi.

A ponadto pożary, powodzie, Wielkie Fale i potworne sztormy, tai-funy. Przyroda nas nie rozpieszcza. - W kącikach oczu Mariko zebrały się łzy. - Może właśnie dlatego tak bardzo kochamy życie, Anjin-san. Jak sam widzisz, musimy. Śmierć unosi się w naszym powietrzu, jest obecna w morzu i ziemi. Powinieneś wiedzieć, Anjin-san, że na tym Padole Łez towarzyszy nam ona od dnia urodzin.

Koniec tomu pierwszego

TOM DRUGI

KSIĘGA TRZECIA

Fujiko klęczała pokornie przed Toranagą w głównej kabinie statku, którą zajmował w czasie tej podróży. Byli sami.

- Łaski, wielmożny panie - powiedziała błagalnie. - Cofnij wyrok.

- To nie wyrok, to rozkaz.

- Naturalnie, będę ci posłuszna. Ale nie mogę. .

- Nie możesz?! - rozgniewał się Toranaga. - Jak śmiesz mi się sprzeciwiać?! Rozkazuję ci być nałożnicą pilota, a ty masz czelność sprzeciwiać się?!

- Przepraszam cię z całej duszy, wielmożny panie - odparła prędko Fujiko, wyrzucając z siebie potok słów. - Wcale nie chciałam ci się sprzeciwiać. Pragnęłam jedynie powiedzieć, że nie mogę zaspokoić twoich życzeń. Racz mnie łaskawie zrozumieć. Wybacz, wielmożny panie, ale trudno mi być szczęśliwą. . albo udawać, że nią jestem. - Ukłoniła się, dotykając czołem futonu. - Z całą pokorą błagam cię, żebyś pozwolił mi popełnić seppuku.

- Już ci mówiłem, że nie pochwalam bezsensownej śmierci. Jesteś mi potrzebna.

- Ale ja, wielmożny panie, nie chcę żyć, proszę cię. Pokornie błagam. Chcę się połączyć z moim mężem i synem.

- Już ci odmówiłem tego zaszczytu - smagnął ją ostrym głosem Toranagą, zagłuszając hałasy na statku. - Jeszcze sobie nań nie zasłużyła. Tylko przez wzgląd na twojego dziadka, mojego najstarszego druha, pana Hiro-matsu, wysłuchiwałem dotąd cierpliwie twych impertynencji. Dostyc tego, kobieto. Przestań się zachowywać jak głupia chłopka!

- Pokornie cię błagam, wielmożny panie, żebyś pozwolił mi ściąć włosy i zostać mniszka. Budda będzie. .

- Nie. Wydałem ci rozkaz. Wypełnij go!

- Wypełnić? - spytała z nieruchomą twarzą, nie podnosząc oczu. A potem dodała półgłosem: -

Sądziłam, że mam rozkaz pojechać do Edo.

- Miałaś rozkaz wsiąść na ten statek! Zapominasz o swojej pozycji, zapominasz o swoim rodzie, zapominasz o swoim obowiązku! O obowiązku! Mierzysz mnie. Odejdź i przygotuj się.

- Chcę umrzeć, proszę cię, wielmożny panie, żebyś pozwolił mi połączyć się z nimi.

- Twój mąż przez pomyłkę urodził się samurajem. Był spaczony, tak więc spaczony byłby też jego potomek. Przez tego głupca omal nie zginąłem! Połączyć się z nimi? Co za bzdura! Zabraniam ci

popęłnić seppuku! A teraz zejdz mi z oczu!

Fujiko ani drgnęła.

- A może lepiej odesłać cię do eta. Do któregoś z ich domów. Może to przypomni ci o dobrym wychowaniu i obowiązku.

Przebiegł ją dreszcz, ale i tak wysyczała obronnym tonem:

- To są przynajmniej Japończycy.

- A ja jestem twoim lennym panem! I dlatego zrobisz, co każę! Fujiko zawahała się, a po chwili wzruszyła ramionami.

- Tak, panie. Przepraszam za swoje niewłaściwe zachowanie - odparła skruszonym głosem, z nisko pochyloną głową i dłońmi płasko ułożonymi na futonie. W głębi duszy jednak pozostała nie przekonana i oboje wiedzieli, co zamierza zrobić. - Wielmożny panie, szczerze przepraszam, że zakłóciłam twój spokój, twoje wa, twoją harmonię, a także za moje niewłaściwe zachowanie. Ty miałeś słuszność. Ja się myliłam.

Wstała i w milczeniu ruszyła do drzwi kabiny.

- A jeżeli przychylę się do twoich życzeń, to w zamian zrobisz dla mnie to, czego pragnę, najlepiej jak umiesz? - spytał Toranaga.

Wolno odwróciła głowę.

- Jak długo, wielmożny panie? - spytała. - Ośmielam się zadać ci pytanie, jak długo mam być nałożnicą barbarzyńcy.

- Rok.

Odwróciła się i sięgnęła do klamki.

- Pół roku - powiedział Toranaga.

Jej ręka zawisała w powietrzu. Drżąc Fujiko oparła głowę o drzwi. - Tak - powiedziała. -

Dziękuję, wielmożny panie. Dziękuję ci.

Toranaga wstał i podszedł do drzwi. Zgięła się w ukłonie, otworzyła je przed nim i zamknęła. A potem cicho zapłakała.

Była samurajką.

Bardzo zadowolony z siebie, Toranaga wyszedł na pokład. Osiągnął swój cel jak najmniejszym wysiłkiem. Gdyby za bardzo pogięł dziewczynę, okazałaby mu nieposłuszeństwo i samowolnie

odebrała sobie życie. Wiedział już jednak na pewno, że usilnie będzie starała się wypełnić zadanie, a ważne było, żeby chociaż na pokaz udawała, że jest szczęśliwa z pilotem, sześć miesięcy zaś satysfakcjonowało go w zupełności, pomyślał z zadowoleniem, że z kobietami idzie mu łatwiej niż z mężczyznami. W pewnych sprawach znacznie łatwiej.

I wtedy jego dobry nastrój prysł, bo spostrzegł samurajów Yabu zgromadzonych w zatoce.

- Witam w Izu, panie Toranaga - powiedział Yabu. - Ściągnąłem tu trochę żołnierzy, żeby posłużyli ci jako eskorta.

- To dobrze.

Galera szybko, w równym tempie zbliżała się do oddalonej o dwieście jardów przystani.

Widzieli już Igurashiego, Omiego, futony i baldachim.

- Wszystko przyszykowano tak, jak to omówiliśmy w Osace - ciągnął Yabu. - A może zatrzymałbyś się tu na kilka dni, panie? Wyświadczyłbyś mi tym zaszczyt, a i byłaby z tego wielka korzyść. Mógłbyś zatwierdzić wybór dwustu pięćdziesięciu ludzi do regimentu muszkietów oraz poznać ich dowódcę.

- Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej, Yabu-san. Ale jak najszybciej muszę się znaleźć w Edo.

- Może jednak na dwa, trzy dni? Proszę, panie. Parę dni wolnych od zmartwień dobrze ci zrobi, ne? Twoje zdrowie jest dla mnie bardzo ważne. . ważne dla wszystkich twoich sprzymierzeńców. Trochę odpoczynku, dobrego jadła i polowanie.

Toranaga rozpaczliwie szukał wyjścia z sytuacji. Niepodobna, by mógł tu pozostać z zaledwie pięćdziesięcioma ludźmi ze straży przybocznej. Wówczas bowiem znalazłby się całkowicie na łasce Yabu, co było jeszcze gorsze od sytuacji, w jakiej był w Osace. Ishido przynajmniej przestrzegał

określonych reguł i dało się przewidzieć, jak się zachowa. Ale Yabu? Yabu jest zdradziecki jak rekin, a rekinów się nie przynęca, ostrzegł się. A ponadto w żadnym razie na ich własnych wodach. I nigdy, jeśli samemu jest się przynętą. Wiedział, że układ, który zawarł z nim w Osace, będzie wart tyle, co ich mocz przy zetknięciu z ziemią, jeśli tylko Yabu uzna, że Ishido poczyni mu większe ustępstwa. Gdyby bowiem dostarczył tamtemu na drewnianym półmisku głowę Toranagi, z miejsca uzyskałby znacznie więcej, niż Toranaga gotów był mu ofiarować. Zabić Yabu czy też zejść na brzeg? Taki miał wybór.

- Jesteś nadzwyczaj uprzejmy - rzekł. - Ale muszę jechać do Edo. Do głowy mi nie przyszło, że Yabu znajdzie czas, żeby zgromadzić tutaj tyle wojska, pomyślał. Czyżby złamał nasz szyfr?

- Proszę, wybacz, że będę nalegał, Toranaga-sama. W okolicy są dobre tereny łowieckie. Moi ludzie mają sokoły. Po zamknięciu w murach Osaki dobrze będzie sobie zapolować, ne?

- Owszem, miło byłoby dziś zapolować. Żałuję, że straciłem w Osace swoje sokoły.

- Ależ nie straciłeś ich, panie. Hiro-matsu na pewno przywiezie je z sobą do Edo.

- Kazałem mu je wypuścić zaraz po tym, jak znajdziemy się w bezpiecznej odległości. Nim dotarłyby do Edo, znarowiłyby się bez ćwiczeń i spaczyły. Do moich nielicznych przestrzeganych zasad należy polować tylko z tymi sokołami, które sam układałem, i zapobiec, by miały innego pana.

W ten sposób popełniają tylko moje własne wpojone im błędy.

- To słuszna zasada. Chciałbym poznać inne. Może dziś wieczorem, przy posiłku.

Ten rekin jest mi potrzebny, pomyślał z goryczą Toranaga. Za wcześnie na zabicie go.

Dwie rzucone z galery liny pochwycono i umocowano. Naprężone trzeszczały z wysiłku, a statek zgrabnie kołysał się przy nabrzeżu. Wciągnięto wiosła. Spuszczono schodnię, Yabu stanął na jej szczycie.

Zgromadzeni samurajowie natychmiast wzniesli bitewny okrzyk „Kasigi! Kasigi!”, a ich wrzask poderwał w niebo rozkrzyczane mewy. Samuraje uklonili się jak jeden mąż.

- Zejdźmy na brzeg.

Toranaga spojrział na chmarę samurajów, na wieśniaków leżących plackiem na ziemi i zadał

sobie pytanie, czy to właśnie tu, tak jak to przewidział chiński astrolog, zginie od miecza. Pierwsza część tej wróżby już się sprawdziła: jego imię wypisano na murach Osaki.

Odsunął od siebie tę myśl.

- Zostajecie tutaj, wszyscy! - rozkazał głośno i władczo swoim pięćdziesięciu samurajom w brązowych mundurowych kimonach, stojąc na szczycie schodni. - Ty, kapitanie, przygotujesz się do natychmiastowego odpłynięcia! Zostaniesz w Anjiro trzy dni, Marico-san. Sprowadź zaraz na brzeg Fujiko-san i pilota i zaczekajcie na mnie tam na placu - polecił, stanął twarzą do brzegu i ku zdumieniu Yabu jeszcze donośniej oznajmił: - A teraz, Yabu-san, zlustruj twoje oddziały.

Natychmiast wyminął go i zszedł po schodni swobodnym, pewnym, władczym krokiem doświadczonego w boju generała.

Nie było wodza, który wygrałby więcej bitew i przewyższał go sprytem, z wyjątkiem taikō, ale ten przecież nie żył. Żaden inny generał nie stoczył ich aż tylu, miał więcej cierpliwości i stracił tak mało żołnierzy. A ponadto jeszcze z nikim nie przegrał.

Kiedy go rozpoznano, po wybrzeżu przeszedł szmer zdumienia. Tej inspekcji nikt nie oczekiwał. Z ust do ust podawano sobie jego nazwisko, a wzbierające na sile szeptu oraz respekt, jaki wzbudzało, cieszyły go. Wiedział, że Yabu podąża za nim, ale się nie obejrzał.

- O, Igurashi-san - powiedział wesołym tonem, choć wcale nie było mu wesoło. - Miło cię znowu widzieć. Chodźmy, razem dokonajmy inspekcji waszych żołnierzy.

- Tak, panie.

- A ty jesteś z pewnością Kasigi Omi-san. Twój ojciec to mój stary towarzysz broni. I ty też chodź z nami.

- Tak, panie - odparł Omi, rosnąc wobec takiego zaszczytu. - Dziękuję.

Toranaga narzucił różne tempo. Zabrał ich z sobą po to, żeby nie mieli okazji zamienić słowa z Yabu, wiedział bowiem, że jego życie zależy od tego, ozy utrzyma inicjatywę w swoim ręku.

- Czy nie walczyłeś wraz z nami pod Odawarą, Igurashi-san? - spytał, wiedząc doskonale, że to właśnie tam towarzyszący mu samuraj stracił oko.

- Tak, wielmożny panie. Miałem ten zaszczyt. Byłem tam z panem Yabu, walczyliśmy na prawym skrzydle wojsk taikō.

- To zaszczytnie, bo tam walka była najzawziętsza. Wiele mam do zawdzięczenia tobie i twojemu panu.

- Rozbiliśmy wroga, panie. Wypełnialiśmy tylko nasz obowiązek. Pomimo że nienawidził

Toranagi, Igurashi był dumny z tego, iż pamięta on o tym manewrze i że wyraża wdzięczność.

Podeszli do pierwszego regimentu.

- Tak - ciągnął donośnie Toranaga - ty i żołnierze z Izu bardzo nam pomogliście. Być może gdyby nie wy, nie zdobyłbym Kantō! Co, Yabu-sama? - Urwał znacząco. Publicznie obdarzając Yabu tym zaszczytnym tytułem, przydał mu splendoru.

To pochlebstwo kolejny raz zbiło Yabu z tropu. Wprawdzie uważał, że w zupełności zasługuje na ów tytuł, niemniej nie spodziewał się go usłyszeć” z ust Toranagi, ani myślał też pozwalać mu na formalną inspekcję swoich oddziałów.

- Być może - odparł - ale wątpię w to. Taikō nakazał wyciąć w pień ród Beppu. Tak więc został on wycięty.

Minęło dziesięć lat od chwili, kiedy dowodzony przez Beppu Genzaemona przepotęźny i starożytny ród Beppu - ostatnia przeszkoda do zdobycia przez generała Nakamurę pełnej władzy w cesarstwie - przeciwstawił się połączonym siłom Nakamury, przyszłego taikō, i Toranagi. Ród ten przez wiele wieków władał Ośmioma Prowincjami, Kantō.

Toranaga przyjrzał się Yabu.

- Szkoda, że taikō nie żyje, ne? - spytał.

- Tak.

- Mój szwagier był wspaniałym wodzem. I świetnym nauczycielem. Tak jak i on, nigdy nie zapominam przyjaciół. Ani wrogów.

- Już niedługo dorośnie pan Yaemon, Jego dusza to dusza taikō. Panie Tora. .

Yabu nie zdążył powstrzymać inspekcji, bo Toranaga znów ruszył, tak więc pozostało mu tylko podążyć za nim.

Toranaga pełen życzliwości szedł wzdłuż szeregów jego samurajów. Tu i ówdzie wyróżniał

jakiegoś spojrzeniem, niektórych rozpoznawał, lecz na żadnym nie zatrzymywał dłużej wzroku, kiedy sięgał do pamięci, by skojarzyć sobie ich twarze i nazwiska. Posiadał tę rzadką umiejętność wybitnych wodzów, podczas inspekcji których żołnierz czuje, że przez chwilę wzrok dowódcy spoczywa wyłącznie na nim, a być może zwraca się on właśnie do niego jednego spośród wszystkich towarzyszy. Toranaga robił to, do czego był urodzony, to, co robił już tysiącrotnie: panował nad żołnierzami siłą woli.

Yabu, Igurashi i Omi minęli ostatniego samuraja z szeregu wyczerpani. Ale nie Toranaga.

Zanim Yabu miał ponowną okazję go powstrzymać, wszedł prędko na pagórek i stanął na nim w pojedynkę.

- Samurajowie Izu, poddani mojego przyjaciela i stronnika, Kasigi Yabu-sama! - zawołał

bardzo dźwięcznym głosem. - To dla mnie zaszczyt gościć tutaj. Ujrzeć część potęgi Izu, część wojsk mojego wielkiego sojusznika. Słuchajcie, ciemne chmury gromadzą się nad cesarstwem i zagrażają pokojowi - ustanowionemu przez taikō. Musimy uchronić dary, które nam dał, przed zdradą na najwyższych szczeblach władzy! Przygotujcie się wszyscy! Wyostrzcie broń! Wspólnie obronimy jego testament! I zwyciężymy! Niechaj wielcy i mali bogowie Japonii dopilnują tego! Niech bez litości zgładzą wszystkich tych, którzy przeciwstawiają się rozkazom taikō!

Podniósł ręce i pozdrowił zebranych okrzykiem bitewnym „Kasigi!”, po czym - nie do wiary - uklonił się oddziałom i pozostał w ukłonie.

Wszyscy wlepili w niego wzrok. A potem od szeregów nadleciał powtarzany raz po raz ryk „Toranaga!” i samuraje oddali mu ukłon.

Uklonił się nawet Yabu, przytłoczony niezwykłą wymową tej chwili.

Nim zdążył się wyprostować, Toranaga już zszedł z pagórka i ruszył zwawym krokiem.

- Idź z nim, Omi-san - polecił Yabu. Nie przystało mu bowiem biec w dyrdy za Toranaga.

- Tak, panie - odparł Omi.

- Jakie wieści z Edo? - spytał po jego odejściu Yabu Igurashiego.

- Twoja żona, pani Yuriko, kazała zawiadomić cię przede wszystkim, że w całym Kantō trwa wzmożona mobilizacja. Na wierzchu widać niewiele, lecz pod spodem wszystko wrze. Jej zdaniem Toranaga szykuje się do wojny, do nagłego ataku, być może przeciwko samej Osace.

- A co z Ishido?

- Przed naszym wyjazdem nic. A wyjechaliśmy pięć dni temu. Nic też o ucieczce Toranagi.

Dowiedziałem się o niej dopiero wczoraj, kiedy twoja żona, panie, wysłała z Edo gołębia pocztowego.

- Aha, a czy Zukimoto załatwił już łączność przez posłańców?

- Tak, wielmożny panie. - To dobrze.

- Wiadomość od twojej żony brzmiała: „Toranaga uciekł szczęśliwie galerą z Osaki wraz z naszym panem. Przygotuj się na ich powitanie w Anjiro”. Pomyślałem, że zachowam to w tajemnicy przed wszystkimi oprócz pana Omiego, ale jesteśmy przygotowani.

- Jak?

- Nakazałem „manewry” w całym Izu, wielmożny panie. Jeżeli zapragniesz, to w ciągu trzech dni zamkniemy wszystkie szlaki i trakty prowadzące do Izu. Na północy pływa nasza flota, która udaje piracką. Na twoje życzenie zatopi ona w dzień czy w nocy każdy statek bez eskorty. Tutaj zaś, jeśli zechcesz, znajdziesz miejsce przygotowane tak dla ciebie, jak i najznakomitszego gościa.

- Dobrze. Goś jeszcze? Masz jeszcze jakieś wieści? Igurashi ociągał się z przekazaniem mu wiadomości, których następstw nie był w stanie pojąć.

- Przygotowaliśmy się na wszystko - rzekł. - Ale dziś rano doniesiono z Osaki, że Toranaga zrezygnował z członkostwa w Radzie Regentów.

- Niemożliwe! Z jakiego powodu?

- Nie wiem. Nie umiem tego rozgryźć, wielmożny panie. Ale to na pewno prawda. Z tego źródła nie było ani razu fałszywej wiadomości.

- Od pani Sazuko? - spytał ostrożnie Yabu, wymieniając najmłodszą konkubinę Toranagi, której służąca szpiegowała dla niego.

Igurashi potwierdził skinieniem głowy.

- Tak. Ale zupełnie tego nie rozumiem. Przecież teraz regenci oskarżą go, prawda? Rozkażą mu się zabić. Ustąpienie z Rady to szaleństwo, ne?

- Na pewno zmusił go do tego Ishido. Ale jak? Nie było żadnych plotek - Sam Toranaga z własnej woli by nie zrezygnował. Masz rację, to postępek szaleńca. Jeżeli zrobił to, jest stracony.

Ta wiadomość musi być fałszywa.

Zdezorientowany Yabu zszedł ze wzgórza i przyjrzał się Toranadze, który przeszedł przez plac do Mariko, barbarzyńcy i stojącej w pobliżu nich Fujiko. W tej chwili mówił coś szybko i pośpiesznie do idącej obok niego Mariko, podczas gdy tamci czekali na placu. Yabu ujrzał, jak Toranaga wręcza Mariko zwoik pergaminu, i zaczął się zastanawiać, co też on zawiera i o czym tamci rozmawiali. Zadawał sobie pytanie, jaki nowy podstęp uknuł Toranaga, i żałował, że nie ma przy sobie żony, która posłużyłaby mu mądrą radą.

Toranaga zatrzymał się na przystani. Nie wsiadł na statek, by się znaleźć pośród zapewniających mu bezpieczeństwo samurajów. Zdawał sobie sprawę, że tak ważną decyzję musi podjąć i wykonać na brzegu. Nie mógł uciec. Nic jeszcze nie było przesądzone. Przyglądał się nadchodzącym Yabu i Igurashiemu. Dziwny spokój Yabu dał mu wiele do myślenia.

- O co chodzi, Yabu-san? - spytał.

- Zatrzymasz się na kilka dni, panie?

- Najlepiej zrobię, jeśli wyjadę natychmiast. Yabu polecił oddalić się wszystkim poza zasięg słuchu.
- Na pewien czas pozostali na brzegu sami.

- Otrzymałem z Osaki niepokojące wieści. Ustąpiłeś z Rady Regencyjnej, panie? - spytał.

- Tak. Ustąpiłem.

- W takim razie zabiłeś siebie, pogrzebałeś swoją sprawę, a także wszystkich twych wasali, sprzymierzeńców i przyjaciół! Zniszczyłeś Izu i zamordowałeś mnie!

- Regenci, jeśli zechcą, z pewnością mogą cię pozbawić władzy oraz życia. Tak jest.

- Na wszystkich bogów żyjących, martwych i jeszcze nie narodzonych. . - Yabu zmagął się z wybuchem gniewu. - Racz mi wybaczyć moje zachowanie, ale twój. . twój niewiarygodny postępek. .

bardzo przepraszam. - Zdradzenie się ze swoimi uczuciami niczego nie załatwiało, a uchodziło powszechnie za niegodziwe i kompromitujące. - Ale wobec tego lepiej zrobiłbyś, panie, pozostając tutaj.

- Wolę jednak odpłynąć natychmiast.

- Tu czy w Edo, co za różnica? Rozkaz regentów zaraz nadejdzie. Pewnie od razu zechcesz popełnić seppuku. W spokoju. Godnie.

- Sekundowani ci przy tym byłoby dla mnie zaszczytem.

- Dziękuję ci. Ale na razie nie nadszedł żaden prawomocny rozkaz, dlatego moja głowa pozostanie tymczasem tam, gdzie jest.

- A cóż to znaczy dzień czy dwa. Ten rozkaz nadejdzie nieuchronnie. Przygotuję wszystko co konieczne, tak, wszystko wypadnie doskonale. Możesz na mnie polegać.

- Dziękuję ci. O tak, wiem, jak mógłbyś wykorzystać moją głowę.

- Stracę też moją własną. Gdybym posłał twoją głowę panu Ishido albo wziął ją i poprosił go o przebaczenie, to mogłoby go przekonać, chociaż wątpię, ne?

- Na miejscu Ishido zażądałbym twojej głowy. Moja głowa, niestety, w niczym ci nie pomoże.

- Kiedy wróci, Mariko-san? - spytał.

- Nie wiem, Anjin-san.

- Jak się dostaniemy do Edo?

- Zostaniemy tutaj. A przynajmniej ja pozostanę tu trzy dni. Później mam polecenie pojechać tam.

- Morzem?

- Lądem.

- A co ze mną?

- Ty zostaniesz tutaj.

- Dlaczego?

- Powiedziałaś, że interesuje cię nauka naszego języka. A poza tym czeka cię tutaj zajęcie.

- Jakie?

- Przykro mi, ale nie wiem. Powie ci to pan Yabu. Mój pan pozostawił mnie tutaj, żebym tłumaczyła, przez trzy dni.

Blackthorne był pełen złych przeczuć. Wprawdzie miał za pasem pistolety, ale brakowało mu noży, prochu, kul. Wszystko to pozostało w kabinie galery.

- Dlaczego mnie nie uprzedziłaś, że zostajemy? - spytał. - Powiedziałaś tylko, że schodzimy na brzeg.

- Nie wiedziałam, że zostaniesz tu także ty - odparła. - Pan Toranaga poinformował mnie o tym dopiero przed chwilą, na placu.

- A dlaczego nie powiedział o tym mnie? Osobiście?

- Nie wiem.

- Miałem pojechać do Edo. Tam jest moja załoga. Mój statek. Co z nimi?

- Przekazał mi tylko, że masz zostać tutaj.

- Jak długo?

- Tego nie powiedział, Anjin-san. Może będzie to wiedział pan Yabu. Proszę, bądź cierpliwy.

Toranaga przyglądał się z rufówki galery brzegowi.

- Myślę, że on wiedział cały czas, że tu zostanę, prawda? - spytał Blackthorne.

Nie odpowiedziała. Jakąż dziecinadą jest mówienie na głos tego, co się myśli, rzekła w duchu.

I jakże sprytnie Toranaga wywinął się z tej pułapki.

Obok niej w cieniu baldachimu czekały cierpliwie Fujiko i dwie służące w towarzystwie matki i żony Omiego, z którymi się krótko przywitała. Spojrzała ponad ich głowami na galerę, która już nabierała prędkości, ale nadal znajdowała się w zasięgu strzał. Do dzieła musiała więc przystąpić lada chwila. Całą uwagę skupiła na Yabu, modląc się: „Matko Boża, daj mi siłę”.

- Czy to prawda? To prawda? - spytał Blackthorne.

- Co? Och, przepraszam, Anjin-san, nie wiem, Ale mogę cię zapewnić, że pan Toranaga jest bardzo mądry. Najmądrzejszy. Z jakiegokolwiek powodu to zrobił, to był on słuszny. - Przyjrzała się uważnie niebieskim oczom i zaciętej twarzy Blackthorne'a wiedząc, że nie ma najmniejszego pojęcia, co tu zaszło. - Proszę, bądź cierpliwy, Anjin-san. Nie ma się czego bać. Jesteś jego ulubionym wasalem i znajdujesz się pod jego..

- Ja się nie boję, Mariko-san. Po prostu nie chcę być dłużej pionkiem przesuwany po czyjejsz szachownicy. I nie jestem niczym wasalem.

- Czy „członkiem świty” brzmi lepiej? Albo jak jeszcze inaczej nazwać kogoś, kto pracuje dla innej osoby lub jest przez nią wynajęty do specjalnych. .

W tym momencie spostrzegła, że do twarzy Yabu napłynęła krew.

- Muszkiety. . muszkiety pozostały na galerze! - wykrzyknął.

Wiedziała, że nadszedł czas, żeby działać. Pośpieszyła do niego, kiedy odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy Igurashiemu.

- Przepraszam, panie Yabu - powiedziała, doganiając go - niepotrzebnie się martwisz o muszkiety. Pan Toranaga kazał przeprosić cię za ten „pośpiech, ale, we wspólnym interesie, ma do załatwienia

w Edo pilne sprawy. Obiecał, że natychmiast odeśle galerę. Z muszkietami. I z dodatkowym prochem. A także z dwustu pięćdziesięcioma ludźmi, o których go prosiłeś. Zjawią się tu za pięć, sześć dni.

- Co takiego?

Mariko wyjaśniła mu to cierpliwie i uprzejmie, tak jak przykazał Toranaga. A kiedy Yabu wreszcie wszystko pojął, wyjęła z rękawa zwitek pergaminu.

- Mój pan prosi, żebyś to łaskawie przeczytał. Chodzi o Anjin-sana - wyjaśniła i ceremonialnie podała mu list.

Ale Yabu nie przyjął go. Powędrował oczami do galery.

Była już daleko, płynęła bardzo szybko. Poza zasięgiem strzał. Nieważne, pomyślał z zadowoleniem, uspokojony. Szybko otrzymam muszkiety z powrotem, wydostałem się z pułapki Ishido, mam słynny miecz Toranagi i niedługo wszyscy daimyō dowiedzą się o mojej pozycji w Armii Wschodu, zaraz po samym Toranadze! Ponieważ wciąż jeszcze go widział, pomachał mu ręką, na co otrzymał podobną odpowiedź. A potem Toranaga opuścił rufówkę.

Yabu wziął pergamin i skupił się na teraźniejszości. I na Anjin-sanie.

Obserwujący go z odległości trzydziestu kroków, Blackthorne poczuł, jak pod świdrującym spojrzeniem Yabu jeżą mu się włosy na karku. Dźwięk melodyjnego głosu Mariko nie pokrzepił go.

Ukradkiem zacisnął dłoń na pistolecie.

- Anjin-san! - zawołała Mariko. - Podejdź tutaj, proszę.

Kiedy się do niej zbliżał, Yabu zerknął znad pergaminu i skinął mu przyjaźnie głową. Skończył czytać, oddał pergamin Mariko i odezwał się krótko, po części do niej, po części do Blackthorne'a.

Mariko z szacunkiem podała pergamin Blackthorne'owi. Wziął go i uważnie przyjrzał się niezrozumiałym hieroglifom.

- Pan Yabu mówi, że jesteś mile widzianym gościem wioski. Na dokumencie tym widnieje pieczęć pana Toranagi. Masz go zatrzymać. Obdarzył cię rzadkim zaszczytem. Pan Toranaga mianował cię hatamoto. Jest to tytuł specjalnego członka jego świąty. Jesteś pod jego całkowitą pieczęcią, Anjin-san. Pan Yabu naturalnie uznaje ten fakt. Później wytłumaczę ci, jakie przywileje wiążą się z tym tytułem. Ponadto pan Toranaga przyznał ci wynagrodzenie w wysokości dwudziestu koku miesięcznie. To około..

Yabu przerwał jej. Szerokim gestem wskazał na Blackthorne'a, na wioskę, a potem przez dłuższy czas mówił. Mariko przełożyła to.

- Pan Yabu powtarza, że jesteś tu mile widzianym gościem. Ma nadzieję, że będziesz zadowolony i

że zostanie zrobione wszystko, żeby uprzyjemnić ci pobyt tutaj. Dostaniesz dom i nauczycieli. Mówi, że wyuczysz się japońskiego najszybciej, jak to możliwe. Dziś wieczorem zada ci trochę pytań i wyjaśni specjalne zadania, które cię czekają.

- Spytaj go, proszę, jakie to zadania.

- Czy mogę ci doradzić odrobinę więcej cierpliwości, Anjin-san? To naprawdę nie jest właściwa pora.

- Zgoda.

- Wakarimasu ka, Anjin-san? - spytał Yabu chcąc wiedzieć, czy go zrozumiał. .

- Hai, Yabu-san. Dōmo.

Yabu polecił Igurashiemu rozpuścić pułk, a potem pomaszerował do wieśniaków, którzy nadal leżeli plackiem na piachu.

Stanął przed nimi w to ciepłe pogodne popołudnie, trzymając nadal w ręku miecz Toranagi.

Jego słowa smagały ich niczym bat. Wskazał mieczem Blackthorne'a i po kilkunastosekundowej perorze nagle umilkł. Chłopi zadrżeli. Mura zgiął się w ukłonie przed Anglikiem i kilka razy powtórzył

„hai”.

- Wakarimasu ka? - zawołał do nich, na co wszyscy odpowiedzieli „hai”, a ich głosy zmieszały się z westchnieniami przybrzeżnych fal.

- Co tu się dzieje? - spytał Blackthorne Mariko.

Ale Mura wykrzyknął właśnie „Keirei!”, więc wieśniacy złożyli niskie ukłony: jeden Yabu, drugi Blackthorne'owi. Yabu odmaszerował, nie oglądając się.

- Co tu się dzieje, Mariko-san?

- On. . pan Yabu powiedział im, że jesteś jego honorowym gościem. Że jesteś jego wielce honorowym gościem, was. . członkiem świty pana Toranagi. Że jesteś tu przede wszystkim po to, żeby się nauczyć języka. Pan Toranaga, zaszczycił wioskę zadaniem i odpowiedzialnością za wyuczenie cię japońskiego. Ta wioska za to odpowiada, Anjin-san. Wszyscy jej mieszkańcy mają ci w tym pomagać. Zapowiedział, że jeżeli w ciągu sześciu miesięcy nie opanujesz zadowalająco japońskiego, to ta wioska zostanie spalona. Przedtem jednak wszyscy jej mieszkańcy, z kobietami i dziećmi włącznie, zostaną ukrzyżowani.

31.

Dzień dobiegał końca, cienie były długie, morze czerwieniało i wiał lekki wiatr.

Blackthorne wspinał się ścieżką wiodącą z wioski do domu, który wcześniej wskazała mu Mariko mówiąc, że należy do niego. Sądziła, że odprowadzi go tam, ale jej za to podziękował i minąwszy klęczących wieśniaków, poszedł na przylądek, by znaleźć tam odosobnienie i pomyśleć.

Samuraje przechadzali się po wiosce alba stali w grupkach rozmawiając. Większość odmaszerowała już ze swoimi dowódcami w ordynku do obozowiska za wzgórzem. Blackthorne pozdrawiał mijanych wojowników, na co odpowiadali mu pozdrowieniami. Chłopów nie spotkał.

Przy bramie w ogrodzeniu przystanął. Na nadprożu zobaczył więcej osobliwych japońskich hieroglifów, a bramę wyrzeźbiono w tak pomysłowe wzory, żeby zarazem ukrywała i odsłaniała ogród za nią.

Nim zdążył otworzyć furtkę, już uchyliła się do wewnątrz i wpuścił go przez nią do środka przestraszony, gnący się w ukłonach starzec.

- Konbanwa, Anjin-san - powiedział mu „dobry wieczór” żałośnie drżącym głosem.

- Konbanwa - odparł Blackthorne. - Słuchaj, staruszk. . o namae ka?

- Namae watashi wa, Anjin-san? Ah, watashi Ueki-ya. . Ueki-ya.

Niewiele brakowało, a starzec zaśliniłby się z ulgi.

Blackthorne powtórzył imię kilka razy, by je zapamiętać, i dodał „san”, na co starzec energicznie potrząsnął głową.

- Iye, gomen nasai! Iye, „san”, Anjin-sama. Ueki-ya! Ueki-ya!

- Dobrze, Ueki-ya - rzekł Blackthorne, myśląc jednak: „Dlaczego nie «san», jak wszyscy inni?”

Odprawił go gestem. Starzec odszedł prędko, utykając.

- Muszę być ostrożniejszy. Muszę im dopomóc - postanowił Blackthorne na głos.

Przez otwarte shoji weszła na werandę zalękniona służąca i nisko mu się ukloniła.

- Konbanwa, Anjin-san.

- Konbanwa - odparł, mgliście przypominając ją sobie z galery. I ją też odprawił gestem.

Zaszeleścił jedwab. Z domu wyłoniła się Fujiko. A wraz z nią Mariko.

- Spacer był przyjemny, Anjin-san?

- Tak, przyjemny, Mariko-san - odrzekł, ledwie zwracając uwagę na nią, Fujiko, dom i ogród.

- Napijesz się cha? A może sake? A może się wykąpiesz? Woda jest gorąca. - Mariko zaśmiała się nerwowo, zaniepokojona wyrazem jego oczu. - Łaźnia nie jest jeszcze wykończona, ale mamy nadzieję, że cię zadowoli. ;.

- Proszę sake. Tak, najpierw trochę sake, Mariko-san.

Po kilku słowach Mariko Fujiko zniknęła na powrót w domu. Służąca bez słowa przyniosła trzy poduszki i odeszła. Mariko z wdziękiem usiadła na jednej.

- Usiądź, Anjin-san. Na pewno jesteś zmęczony.

- Dziękuję.

Usiadł na stopniach werandy, nie zdjął sandałów. Fujiko, tak jak jej kazała Mariko, przyniosła dwie butelki sake oraz filiżankę do herbaty, a nie małą porcelanową czarbkę, z której należało pić.

- Lepiej dać mu szybko dużo sake - wyjaśniła. - Najlepiej, gdyby się mocno upił, ale pan Yabu chce go widzieć dziś wieczorem. Może sake i kąpiel uspokoją go.

Blackthorne wypił podaną mu filiżankę ciepłego wina, nie smakując go. Potem drugą. Trzecią.

Przyglądały się mu, jak nadchodzi, przez szparę w ledwo odsuniętych drzwiach.

- Co mu jest? - spytała zaniepokojona Fujiko.

- Przygnębiły go słowa pana Yabu, to, czym zagroził tej wiosce.

- Dlaczego się tym przejął? Przecież jemu nic nie grozi. Jego życiu to nie zagraża.

- Barbarzyńcy bardzo się od nas różnią, Fujiko-san. Na przykład Anjin-san uważa tych chłopów za ludzi takich jak inni, jak samuraje, a niektórych z nich, być może, nawet za lepszych od samurajów.

Fujiko zaśmiała się nerwowo.

- To przecież niedorzeczne, ne? Jakże wieśniacy mogą być równi samurajom?

Mariko w milczeniu przyglądała się Blackthorne'owi.

- Biedny człowiek - powiedziała wreszcie.

- Biedna wioska! - Krótka górna warga Fujiko podwinęła się w wyrazie pogardy.

- Co za głupie marnotrawstwo chłopów i rybaków! Kasigi Yabu-san to głupiec! Jakże barbarzyńca może nauczyć się w pół roku naszego języka? Ile czasu zajęło to barbarzyńcy Tsukku-sanowi? Ponad dwadzieścia lat, ne? A czyż nie jest on jedynym cudzoziemcem, któremu udało się znośnie opanować

japoński?

- Nie, nie jedynym, chociaż nie znam lepszego od niego. Tak, to dla nich bardzo trudne. Ale Anjin-san jest niezwykle inteligentny, a pan Toranaga twierdzi, że jeżeli przez pół roku Anjin-san będzie pozbawiony kontaktu z innymi barbarzyńcami, będzie jadł po naszymu, żył tak jak my, pił

cha, codziennie się kąpał, to wkrótce się do nas Upodobni.

Fujiko nie zmieniła miny.

- Spójrz na niego, Mariko-san. . jaki brzydki. Jaki potworny i obcy. I pomyśleć, że po przekroczeniu przez niego tej bramy nie będzie dla mnie odwrotu i chociaż tak strasznie nienawidzę barbarzyńców stanie się moim panem i władcą.

- To dzielny, bardzo dzielny człowiek, Fujiko. Ocalił panu Toranadze życie i wiele dla niego znaczy.

- Tak, wiem o tym i dlatego powinnam go trochę lubić, ale nie potrafię, przykro mi. Dołożę jednak wszelkich starań, żeby stał się jednym z nas. Modlę się, żeby dopomógł mi w tym nasz pan Budda.

Mariko przyglądała się, jak Fujiko nalewa resztę wina. Ta filiżanka została wypita tak jak poprzednie, bez wrażenia.,- Dozo. Sake - zażądał Blackthorne. Przyniesiono więcej sake. Wypił je.

- Dozo. Sake.

- Mariko-san, mój pan chyba nie powinien już pić, ne? - zaniepokoiła się Fujiko. - Upije się.

Spytaj go, proszę, czy teraz się wykąpie. Poślę po Suwo.

Mariko spytała Blackthorne'a.

- Przykro mi, ale mówi, że wykąpie się później.

Fujiko cierpliwie poleciła przynieść sake, a Mariko kazała służącej przygotować rybę pieczoną na węglach.

Z tym samym milczącym zapamiętaniem Blackthorne opróżnił nową butelkę. Nie chciało mu się jeść. Ale za miłą namową Mariko poczęstował się rybą. Nie zjadł jej.

Znowu przyniesiono wino i Blackthorne pochłonął jeszcze dwie flaszki trunku.

- Zechciej przeprosić ode mnie Anjin-sana - powiedziała Fujiko. - Bardzo mi przykro, ale nie mamy już w domu sake. Przeproś go za ten brak. Posłałam służącą do wioski, żeby przyniosła więcej.

- To dobrze. Wypił aż za dużo, chociaż wcale po nim tego nie widać. Możesz zostawić nas teraz samych, Fujiko? Pora, żeby złożyć mu w twoim imieniu oficjalną propozycję.

Fujiko ukloniła się Blackthorne'owi i odeszła, ciesząc się, że zwyczaj nakazuje załatwiać takie

sprawy zawsze na osobności przez osoby trzecie. W ten sposób obie strony mogły zachować godność.

Mariko wyjaśniła Blackthorne'owi kwestię wina.

- Ile czasu zajmie dostarczenie go? - spytał.

- Niewiele. Może chciałbyś się teraz wykapać? Dopilnuję, żebyś dostał sake zaraz po przyniesieniu.

- Czy Toranaga wspomniał coś przed odjazdem o moim planie? O marynarce?

- Nie. Przykro mi, ale nic o tym nie mówił. - Mariko wypatrywała u niego wymownych oznak upojenia, ale ku swojemu zaskoczeniu nie dopatrzyła się żadnych, nawet najmniejszego rumieńca czy też połykania słów. Wypiwszy w takim tempie tyle wina, każdy Japończyk byłby się upił. - To wino ci nie smakuje, Anjin-san? - spytała.

- Nie bardzo. Jest za słabe. W ogóle na mnie nie działa.

- Szukasz w nim zapomnienia?

- Nie, rozwiązania.

- Zrobimy wszystko, co tylko można, żeby ci pomóc.

- Muszę mieć książki, papier, pióra.

- Jutro zajmę się tym i je pozbięram.

- Nie, dziś wieczorem, Mariko-san. Muszę zacząć natychmiast.

- Pan Toranaga przyrzekł, że ci przyśle książkę. . jak ją nazywasz? Przyśle ci książki gramatyczne i ze słowami, należące do świątobliwych ojców.

- Długo to zajmie?

- Nie wiem. Ale będę tu przez trzy dni. Może to ci pomoże. A Fujiko też jest tutaj, by pomagać. - Uśmiechnęła się, zadowolona na jego rachunek. - Mam zaszczyt oznajmić ci, że została ci przeznaczona na nałożnicę i. .

- Co takiego?!

- Pan Toranaga poprosił ją, by została twoją konkubiną. Zgodziła się i odparła, że sprawi jej to zaszczyt. Będzie. .

- Ale ja się nie zgodziłem.

- Słucham? Przepraszam, nie rozumiem cię.

- Nie chcę jej. Ani jako konkubiny, ani w ogóle przy sobie. Dla mnie ona jest brzydka.

Mariko zrobiła wielkie oczy.

- A cóż uroda ma do konkubiny?

- Każ jej odejść.

- Ależ, Anjin-san, nie wolno ci odmówić! Byłaby to straszna zniewaga dla pana Toranagi, dla niej, dla wszystkich! Co ona ci zrobiła? Zupełnie nic. Usagi Fujiko uwa. .

- Słuchasz, co mówię, pani? - przerwał jej Blackthorne, a jego słowa obiegły echem werandę i dom.
- Każ jej odejść!

- Przepraszam cię, Anjin-san - powiedziała natychmiast Mariko. - Tak, słusznie się gniewasz.

Ale. .

- Nie gniewam się - wtrącił lodowato Blackthorne. - Czy nie., czy wam, ludzie, nie przychodzi do głowy, że mam dość bycia marionetką? Nie chcę mieć przy sobie tej kobiety, chcę odzyskać swój statek, załogę i koniec! Nie zostanę tutaj przez sześć miesięcy i mam dosyć waszych obyczajów! To potworne, żeby jeden człowiek groził zagładą całej wioski tylko po to, żebym ja nauczył się japońskiego! Co zaś do nałożnic, to jest to gorsze od niewolnictwa, a narzucanie komuś czegoś takiego bez pytania jest haniebną zniewagą!

O co chodzi? - zastanawiała się bezradnie Mariko. Co brzydota ma wspólnego z konkubiną? A poza tym Fujiko wcale nie jest brzydka.

- Zgadzam się - przyznała skwapliwie. - Masz całkowitą rację. Strasznie nadużyto twojego zaufania i twój gniew jest ze wszech miar usprawiedliwiony - dodała uspokajająco. - Tak, pan Toranaga z pewnością powinien był cię o to spytać, nawet jeśli nie pojmuje waszych obyczajów. Ale nawet do głowy mu nie przyszło, że miałbyś coś przeciwko temu. Po prostu starał się wyświadczyć ci zaszczyt, należny najbardziej faworyzowanemu samurajowi. Mianował cię hatamoto, czyli niemal swoim krewniakiem, Anjin-san. W całym Kantō jest zaledwie około tysiąca hatamoto. A jeżeli chodzi o panią Fujiko, to chciał ci tylko dopomóc. Pani Usagi Fujiko byłaby uznana. . wśród nas, Anjin-san. .

uznalibyśmy taki dar za wielki zaszczyt.

- Dlaczego?

- Ze względu na starożytność jej rodu i wykształcenie. Jej ojciec i dziadek są książętami.

Naturalnie jest samurajką, a ponadto przyjmując ją do siebie, wyświadczyłbyś jej zaszczyt - dodała ostrożnie. - Poza tym potrzebny jest jej jakiś nowy dom i nowe życie.

- Dlaczego?

- Dopiero co owdowiała. Biedaczka, ma zaledwie dziewiętnaście lat, ale straciła męża i syna i nie posiada się z żalu. Zostanie twoją oficjalną, konkubiną oznacza dla niej nowe życie.

- A co się stało z jej mężem i synem?

Stropiona niegrzeczną bezpośredniością pytań Blackthorne'a, Mariko zawahała się z odpowiedzią. Znała go jednak już na tyle dobrze, żeby wiedzieć, iż jest to jego zwyczaj, który nie świadczy o braku wychowania.

- Zostali straceni, Anjin-san - odparła. - Przebywając tutaj potrzebujesz kogoś, kto dbałby o twój dom. Pani Fujiko będzie. .

- Dlaczego ich stracono?

- Przez jej męża pan Toranaga o mało co nie postradał życia. Proszę, rozważ. .

- Toranaga skazał ich na śmierć?

- Tak. Ale postąpił słusznie. Spytaj ją o to.. sama ci to przyzna.

- W jakim wieku było to dziecko?

- Miało kilka miesięcy.

- Toranaga skazał na śmierć niemowlę za czyn popełniony przez ojca?

- Tak. Taki mamy zwyczaj. Okaż nam, proszę, cierpliwość. Pod pewnymi względami nie jesteśmy wolni. Nasze zwyczaje różnią się od waszych. Widzisz, z mocy prawa należymy do naszego suzerena. Z mocy prawa do ojca należy życie jego dzieci, żony, konkubin i służby. Z mocy prawa jego życie należy do jego lennego pana. Taki mamy zwyczaj.

- Tak więc ojciec rodziny może zabić w swoim domu każdego?

- Tak.

- W takim razie jesteście narodem morderców.

- Nie.

- Ale wasze zwyczaje rozgrzeszają morderstwo. Myślałem, że jesteś chrześcijanką.

- Jestem chrześcijanką, Anjin-san.

- No, a co z Dziesięcioma Przykazaniami?

- Doprawdy, nie potrafię ci tego wyjaśnić. Ale jestem chrześcijanką, samurajką i Japonką, co nie stoi ze sobą w sprzeczności. Dla mnie nie. Proszę, okaż cierpliwość mnie i nam. Proszę.

- Na rozkaz Toranagi uśmierciłabyś własne dzieci?

- Tak. Mam tylko jednego syna, ale tak, myślę, że zrobiłabym to. Na pewno byłoby to moim obowiązkiem. Takie mamy prawo.. Jeśli zgodziłby się na to mój mąż.

- Mam nadzieję, że Bóg ci wybaczy. Wybaczy wam wszystkim.

- Bóg to rozumie, Anjin-san. O tak, On to zrozumie. Może otworzy także twój umysł i to pojmiesz. Przykro mi, nie potrafię tego dobrze wyjaśnić, ne? Wybacz mi ten brak. - Wyprowadzona z równowagi, przyglądała się mu w milczeniu. - Ja ciebie też nie rozumiem, Anjin-san. Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Twoje zwyczaje kłopotczą mnie. Może jeśli oboje będziemy cierpliwi, oboje się nauczymy. Weźmy, na przykład, panią Fujiko. Jako twoja konkubina będzie dbała o twój dom i służbę. I o twoje potrzeby. . wszelkie potrzeby. Musisz mieć kogoś, kto się tym zajmie. Dopilnuje prowadzenia twojego domu, wszystkiego. Nie musisz z nią poduszkować, jeżeli to cię trapi. . jeżeli jej uroda cię nie zadowala. Nie musisz nawet być wobec niej uprzejmy, chociaż ona na to zasługuje.

Będzie ci służyć i spełniać wszystkie twoje życzenia.

- Mogę ją traktować, jak mi się podoba?

- Tak.

- Mogę z nią poduszkować albo nie?

- Oczywiście. Znajdzie kogoś, kto cię zadowoli, zaspokoi twoje cielesne potrzeby, jeśli chcesz, albo nie będzie się do tych spraw wtrącać.

- Mogę ją traktować jak służącą? Jak niewolnicę?

- Tak. Ale zasługuje na lepsze traktowanie.

- Mogę ją wyrzucić? Nakazać odejść?

- Jeżeli ci uchybia owszem.

- Co by się z nią stało?

- W zwykłym przypadku powróciłaby w niesławie do domu swoich rodziców, którzy mogliby ją tam przyjąć lub nie. Jednak osoba taka jak pani Fujiko wolałaby się zabić, niż znieść podobny wstyd.

Ona. . trzeba ci wiedzieć, że prawdziwy samuraj nie może się zabić bez pozwolenia swojego pana.

Niektórzy naturalnie robią to, ale nie dopełniają swych obowiązków i nie są godni miana samuraja.

Ja, bez względu na wstyd, nie zabiłabym się bez pozwolenia pana Toranagi bądź pozwolenia mojego męża. Pan Toranaga zabronił jej odebrać sobie życie. Gdybyś ją odesłał, stałaby się wyrzutkiem.

- Dlaczego? Dlaczego nie przyjęłaby jej własna rodzina?

Mariko westchnęła.

- Przykro mi, Anjin-san, ale jeżeli ją odeślesz, to jej niesława będzie tak ogromna, że nikt już jej nie przyjmie.

- Ponieważ jest skalana? Przez obcowanie z barbarzyńcą?

- Och, nie, Anjin-san, tylko dlatego, że nie wywiązała się ze swoich obowiązków względem ciebie - odparła natychmiast Mariko. - Jest - w tej chwili twoją konkubiną. . z rozkazu pana Toranagi, który przyjął. A ty jesteś panem domu. .

- Tak?

- O, tak, wierz mi, Anjin-san, masz przywileje. A jako hatamoto jesteś błogosławiony. I zamożny. Pan Toranaga wyznaczył ci pensję dwadzieścia koku miesięcznie. Za tę sumę samuraj służyłby swojemu panu wraz z dwójką innych samurajów, którym musiałyby zapewnić uzbrojenie, konie i jedzenie przez okrągły rok, a ponadto oczywiście łożyć na utrzymanie ich rodzin, Ty jednak nie masz takiego obowiązku. Błagam cię, Anjin-san, traktuj Fujiko jak człowieka. Błagam, okaż jej chrześcijańskie miłosierdzie. To dobra kobieta. Wybacz jej brzydotę. Będzie godną konkubiną.

- Nie ma domu?

- Nie. To jest jej dom. - Mariko opanowała się. - Proszę cię, przyjmij ją jak należy. Ogromnie ci się przyda, nauczy cię, jeśli zechcesz brać od niej nauki. Jeżeli jednak wolisz jej nie zauważać, to traktuj ją jak drewniany słup albo shoji, albo jak kamień w ogrodzie, co tylko chcesz, ale pozwól jej zostać. Jeżeli nie chcesz, żeby była twoją konkubiną, to okaż jej miłosierdzie, przyjmij ją, a potem zgodnie z naszym prawem, jako. głowa domu, zabij.

- To jedyne rozwiązanie, jakie tutaj znacie, co? Zabić!

- Nie, Anjin-san. Ale życie i śmierć są tym samym. Kto wie, może większą przysługę zrobisz Fujiko zabijając ją. Masz teraz do tego wszelkie prawo. Masz je. Jeżeli jednak wolisz ją wyrzucić, to też masz do tego prawo.

- A więc znów jestem w pułapce - rzekł Blackthorne. - Tak czy tak, ona ginie. Jeżeli nie nauczę się waszej mowy, to zostanie wyrznięta cała wioska. Jeżeli się wam sprzeciwię, zawsze zginie ktoś niewinny. Nie ma wyjścia.

- Rozwiązanie jest bardzo proste, Anjin-san. Śmierć. Człowiek nie musi znosić nieznośnego życia.

- Samobójstwo to obłąd. . i grzech śmiertelny. Myślałem, że jesteś chrześcijanką.

- Tak powiedziałam. Ale ty, Anjin-san, masz wiele możliwości zginąć zaszczyciej niż z własnej ręki. Szydziłeś z mojego męża, że nie chce umrzeć w walce, ne? Nie jest to nasz zwyczaj, ale wasz tak. Więc czemu tego nie zrobisz? Masz przecież pistolet. Zabij pana Yabu. Uważasz go za potwora, tak?

Wystarczy tylko, że spróbujesz go zabić, a już dzisiaj znajdziesz się w niebie albo w piekle.

Spojrzał na nią, nienawidząc jej spokojnej twarzy i mimo nienawiści dostrzegając jej urodę.

- Umierać tak bez powodu to dowód słabości charakteru. Albo trafniej: głupoty.

- Twierdzisz, że jesteś chrześcijaninem. A więc wierzysz w dzieciątko Jezus, w Boga, w niebo. Śmierć nie powinna ci być straszna. A co do śmierci „bez powodu”, to ocena zależy od ciebie.

Można mieć wystarczający powód do śmierci.

- Jestem w waszej mocy. Wiesz o tym. I ja też.

Mariko nachyliła się i współczująco dotknęła jego ręki.

- Zapomnij o wiosce, Anjin-san - powiedziała. - Przed upływem tych sześciu miesięcy zdarzyć się może milion rzeczy. Może nadejść wielka morska fala albo trzęsienie ziemi, możesz odzyskać swój statek i odpłynąć, pan Yabu albo my wszyscy możemy umrzeć, kto to wie. Kwestie boskie pozostaw Bogu, karma to karma. Dziś jesteś tu i nic tego nie zmieni. Dziś żyjesz, jesteś tutaj, opływasz w zaszczyty i ci się szczęści. Popatrz na to zachodzące słońce, czyż nie jest piękne? Ono jest. A jutra nie ma. Jest tylko obecna chwila. Popatrz, proszę. Ten zachód słońca jest taki piękny i już nigdy się nie powtórzy, już nie, nigdy w całej wieczności. Pogrąż się w nim, połącz w jedno z naturą i nie przejmuj się karmą, swoją, moją ani tej wioski.

Oczarowała go jej pogoda ducha i słowa. Spojrzał na zachód. Na niebie rozlewały się wielkie kałuże fioletowej czerwieni i czerni. Przyglądał się słońcu, póki nie zniknęło.

- Żałuję, że to nie ty jesteś moją konkubiną - powiedział.

- Należę do pana Buntaro i aż do jego śmierci nie wolno mi myśleć ani mówić o tym, co może przyjść na myśl i na usta.

Karma, pomyślał Blackthorne.

Czy się z nią pogodzę? Z moją karmą? Jej? Ich?

Ten wieczór jest taki piękny.

Tak jak i ona, a ona należy do innego.

O tak, jest piękna. I bardzo mądra. Kwestie boskie pozostaw Bogu, karma to karma.

Przybyłeś tu bez zaproszenia. Jesteś tutaj. Jesteś w ich mocy.

Ale jakie jest z tego wyjście?

Wyjście się znajdzie, powiedział sobie. Ponieważ jest Bóg na niebie, gdzieś jest.

Usłyszał kroki. Po wzgórzu wspinały się światła. Nadchodziło dwudziestu samurajów z Omim na czele.

*

- Przepraszam, Anjin-san, ale Omi-san rozkazuje, żebyś oddał mu pistolety.

- Powiedz mu, żeby poszedł do diabła!

- Nie mogę, Anjin-san. Nie ośmielę się.

Blackthorne trzymał dłoń na rękojeści pistoletu i wpatrywał się w Omiego. Z rozmysłem nie wstał ze schodów werandy. W ogrodzie za plecami Omiego stało dziesięciu samurajów, reszta czekała przy palankinie. Kiedy tylko Omi wszedł tu bez zaproszenia, z wnętrza domu wyłoniła się Fujiko i w tej chwili stała z tyłu za Blackthorne'em.

- Pan Toranaga nigdy nie miał nic przeciwko temu i przez wiele dni towarzyszyłem uzbrojony jemu i panu Yabu.

- Tak, Anjin-san - odparła nerwowo Mariko - zechciej jednak zrozumieć, że Omi-san mówi prawdę. Nasz zwyczaj wymaga, żebyś stanął przed obliczem daimyō nie uzbrojony. Nie masz się czego bać. . bez obawy. Yabu-san jest twoim przyjacielem. Jesteś jego gościem.

- Przekaż Omiemu, że nie oddam mu pistoletów - rzekł Blackthorne. A kiedy nic nie powiedziała, wpadł w gniew i potrząsnął głową. - Iye, Omi-san! Wakarimasu ka? Iye!

Omi zacisnął szczęki. Wydał rozkaz. Dwóch samurajów wystąpiło naprzód. Blackthorne natychmiast wyciągnął pistolety. Samurajowie zatrzymali się. Oba pistolety celowały prosto w twarz Omiego.

- Iye! - powtórzył Blackthorne i zwrócił się do Mariko. - Każ mu ich odwołać, bo jak nie, to pociągnę spusty.

Wykonała, co jej kazał. Nikt się nie poruszył. Blackthorne wolno wstał, ani na chwilę nie zdejmując mocno trzymany pistoletów z celu. Omi stał niewzruszenie, bez strachu, oczami śledząc jego kocie ruchy.

- Proszę cię, Anjin-san. To bardzo niebezpieczne. Musisz zobaczyć się z panem Yabu. Nie możesz tam iść z pistoletami. Jesteś hatamoto, jesteś chroniony, a ponadto jesteś gościem pana Yabu.

- Powiedz Omiemu, że jeżeli on albo któryś z jego ludzi zbliży się do mnie na pięć kroków, rozwalę mu głowę.

- Omi-san mówi uprzejmie: „Po raz ostatni nakazuję ci oddać pistolety. Natychmiast”.

- Iye.

- A może zostawisz je tutaj, Anjin-san? Nie masz się czego obawiać. Nikt nie tknie. .

- Bierzesz mnie za głupca?

- W takim razie daj je Fujiko-san!

- A co ona może? Przecież Omi jej zabierze. . może to zrobić ktokolwiek. . i stanę się bezbronny.

- Dlaczego nie słuchasz, co się do ciebie mówi, Anjin-san? - spytała ostrzejszym tonem Mariko. - Fujiko-san jest twoją konkubiną. Na twój rozkaz będzie chroniła twoje pistolety aż do śmierci. To jej obowiązek. Nie powtórzę ci już tego nigdy więcej, ale pamiętaj: Toda-no-Usagi Fujiko jest samurajką.

Blackthorne skupił uwagę na Omim, ledwo jej słuchając.

- Powiedz Omiemu, że nie podobają mi się jego rozkazy. Jestem gościem pana Toranagi.

Gościem pana Yabu. A gości się „prosi”. Nie wydaje się im poleceń i nie wkracza do czyjegoś domu bez zaproszenia:

Mariko przełożyła jego słowa. Omi wysłuchał jej z kamienną twarzą i krótko odpowiedział, nie spuszczając oczu z nieruchomych, wycelowanych w niego luf.

- Mówi: „Ja, Kasigi Omi, proszę o twoje pistolety i o pójście ze mną z rozkazu wielmożnego pana Kasigi Yabu, który poleca stawić ci się przed swoim obliczem. Kasigi Yabu-sama wymaga ode mnie, żebym nakazał ci oddanie pistoletów. Przykro mi, Anjin-san, ale po raz. ostatni proszę cię, żebyś mi je oddał”.

Blackthorne’a ścisnęło w piersi. Wiedział, że go zaatakują, i był wściekły na siebie za własną głupotę. Bywają jednak chwile, kiedy człowiek musi powiedzieć dość, sięga po nóż lub pistolet i z powodu głupiej dumy płynie krew. Przeważnie z głupiej dumy. Do diabła, rzekł sobie, jeżeli mam zginąć, to Omi zginie pierwszy!

Poczuł w sobie siłę, choć i oszołomienie. I wtedy w uszach rozbrzmiały mu słowa Mariko:

„Fujiko jest samurajką, jest twoją konkubiną!” Nagle znów zaczął myśleć.

- Chwileczkę! - rzekł. - Mariko-san, powtórz Fujiko moje słowa. Dokładnie. „Chcę ci powierzyć moje pistolety. Masz ich strzec. Nie wolno ich dotknąć nikomu oprócz mnie”.

Mariko spełniła jego prośbę i usłyszał za swoimi plecami odpowiedź Fujiko „hai”.

- Wakarimasu ka, Fujiko-san? - spytał ją.

- Wakarimasu, Anjin-san - odparła cichym, nerwowym głosem.

- Mariko-san, powiedz panu Omi, że teraz z nim pójde. Przykro mi z powodu tego nieporozumienia. Tak jest, przykro mi.

Blackthorne cofnął się odwrócił. Fujiko wzięła pistolety, czoło miała zroszone potem.

Blackthorne Stał twarzą do Omiego, mając wielką nadzieję, że postąpił słusznie.

- Pójdziemy?

Omi przemówił do Fujiko i wyciągnął rękę. Kiedy pokręciła głową, wydał krótki rozkaz. Dwóch samurajów ruszyło do niej. W jednej chwili wsunęła jeden pistolet za obi, drugi zaś, trzymany oburącz, wyciągnęła na długość ramienia i wycelowała w Omiego. Spust cofnął się odrobinę, a kurek poruszył.

- Ugoku na! - ostrzegła.- Dozo!

Samuraje posłuchali. Zatrzymali się.

Wysłuchawszy prędkiej i gniewnej przemowy Omiego, odpowiedziała mu cicho i uprzejmie, nie zdjęła jednak z jego twarzy pistoletu z na wpół odciągniętym kurkiem.

- Iye, gomen nasai, Omi-san! (Nie, racz mi wybaczyć, Omi-san!) - zakończyła.

Blackthorne czekał, co z tego wyniknie.

Jeden z samurajów poruszył się minimalnie. Kurek przesunął się groźnie, zatrzymując w najwyższym punkcie łuku swojej drogi. Ale ręka dziewczyny nie drgnęła.

- Ugoku na! - poleciała Fujiko.

Nikt nie wątpił, że pociągnie za spust. Nawet Blackthorne. Omi powiedział coś zwięźle do niej i swoich samurajów. Cofnęli się. Opuściła pistolet, lecz trzymała go nadal w pogotowiu.

- Co powiedział? - spytał Blackthorne.

- Tylko tyle, że powie o tym zdarzeniu panu Yabu.

- To dobrze. Powiedz, że ja zrobię to samo. - Blackthorne zwrócił się w stronę dziewczyny. -

Dōmo, Fujiko-san - podziękował jej. A następnie, przypomniawszy sobie, w jaki sposób Toranaga i Yabu zwracają się do kobiet, mruknął władczo do Mariko: - Chodźmy, Mariko-san. . ikamasho!

Ruszył do bramy.

- Anjin-san! - zawołała Fujiko.

- Hai?

Blackthorne przystanął. Fujiko ukloniła mu się i powiedziała coś szybko do Mariko.

Oczy Mariko rozszerzyły się. Skinęła głową, odpowiedziała coś Fujiko, po czym odezwała się do

Omięgo, który, wyraźnie rozżłoszczony, powstrzymując gniew również skinął głową.

- O co chodzi?

- Cierpliwości, Anjin-san.

Na wołanie Fujiko odpowiedziano z wnętrza domu. Na werandę wyszła służąca. Z dwoma mieczami w ręku. Mieczami, samurajskimi.

Fujiko wzięła je z szacunkiem i mówiąc cichym głosem z ukłonem podała je Blackthorne'owi.

- Twoja konkubina słusznie zwraca uwagę, że jako hatamoto masz naturalnie prawo nosić samurajskie miecze. Więcej nawet, obowiązek. Uważa, że nie godzi się, abyś składał wizytę panu Yabu bez tych mieczy, że byłaby to niegrzeczność. Według naszego prawa noszenie mieczy jest obowiązkiem. Pyta, czy, mimo że miecze te nie przystoją twojej osobie, raczysz używać ich do czasu, kiedy sprawisz sobie własne.

Blackthorne wpatrzył się w Mariko, potem w Fujiko i jeszcze raz w Mariko.

- Czy to znaczy, że jestem samurajem? Że pan Toranaga zrobił mnie samurajem?

- Nie wiem, Anjin-san. Ale nie było jeszcze hatamoto, który by nim nie był. Nigdy. - Mariko odwróciła się i zadała pytanie Omiemu. Odpowiedział jej, niecierpliwie kręcąc głową. - Omi-san również tego nie wie. Oczywiście specjalnym przywilejem hatamoto jest noszenie mieczy bez przerwy, nawet w obecności pana Toranagi. To jego obowiązek, bo jako strażnik cieszy się jego pełnym zaufaniem. Ponadto jedynie hatamoto ma zapewniony w każdej - chwili dostęp do swojego pana.

Blackthorne wziął krótki miecz i zatknął go za pas, a po nim drugi, długi, służący do zabijania, dokładnie tak, jak je nosił Omi. Z bronią tą poczuł się lepiej.

- Arigato goziemashita, Fujiko-san - powiedział cicho.

Spuściła oczy i coś cicho odpowiedziała. Mariko przełożyła jej słowa.

- Fujiko-san mówi, że ponieważ musisz nauczyć się naszej mowy dobrze i szybko, to, za twoim pozwoleniem, panie, pokornie pragnie zwrócić ci uwagę, że stosowniejszym wyrażeniem dla mężczyzny jest „Dōmo”. „Arigato” z „goziemashita” lub bez jest niepotrzebną uprzejmością, wyrażeniem używanym tylko przez kobiety.

- Hai. Dōmo. Wakarimasu, Fujiko-san. - Uzbrojony w te wiadomości Blackthorne przyjrzał się po raz pierwszy Fujiko innym wzrokiem. Zobaczył na jej czole pot i spostrzegł błyszczące ręce.

Wąskie oczy, kwadratową twarz, drobne, ostre zęby. - Zechciej przekazać mojej konkubinie, że w tym szczególnym przypadku nie sędzę, żeby „arigato goziemashita” było przesadną uprzejmością wobec niej - powiedział.

Yabu znowu spojrzął na miecze. Blackthorne siedział naprzeciwko niego, zajmując honorowe miejsce na poduszce, a po bokach miał Igurashiego i Mariko. Znajdowali się w głównej sali warowni.

Omi skończył mówić.

- Źle to rozegrałeś, bratanku - powiedział Yabu wzduszając ramionami. - Pewnie, że obowiązkiem konkubiny jest chronić Anjin-sana i jego dobytku. Pewnie, że ma prawo nosić miecze.

Tak, źle to rozegrałeś. Powiedziałem wyraźnie, że Anjin-san jest moim honorowym gościem.

Przeprós go.

Omi natychmiast wstał, ukląkł przed Blackthorne'em i złożył mu ukłon.

- Przepraszam za mój błąd, Anjin-san - powiedział.

Usłyszał, jak Mariko mówi, że barbarzyńca przyjmuje przeprosiny.

Uklonił się jeszcze raz, spokojnie powrócił na miejsce i usiadł. Ale w środku bynajmniej nie był spokojny. Pochłaniała go w tej chwili całkowicie jedną myśl: zabicie Yabu.

Postanowił wykonać rzecz nie do pomyślenia: zabić swojego lennego pana i głowę rodu.

Nie, decyzja ta nie miała nic wspólnego z publicznymi przeprosinami Blackthorne'a, chociaż niesprawiedliwość ta dołożyła swoje do owładającej nim nienawiści. Głównym jej powodem było publiczne znieważenie jego matki i żony, którym Yabu w obecności wieśniaków kazał czekać godzinami w słońcu niczym chłopkom, a potem niczym chłopki odprawił je bez słowa podziękowania.

- To nieważne, synu - powiedziała jego matka. - Ma do tego prawo.

- Jest naszym lennym panem - dodała jego żona Midori z policzkami zalanyymi łzami wstydu. -

Wybacz mi, proszę.

- Nie zaprosił żadnej z was, byście powitały jego i oficerów w warowni - ciągnął Omi. - Na ucztę, którą przygotowałyście. Samo jedzenie i sake kosztowało jeden koku!

- To nasz obowiązek, synu. Naszym obowiązkiem jest wypełniać wszystkie życzenia pana Yabu.

- Poradziłem mu, jak ma postąpić w sprawie statku, Anjin-sana - i nowych barbarzyńców i jak wydostać się z pułapki Toranagi. Dzięki mojej pomocy zyskał ogromny prestiż. Dzięki symbolicznemu podarunkowi z miecza stał się drugim po Toranadze wodzem w Armii Wschodu.

I jak się nam za to odpłacił? Podłymi zniewagami.

- Pogódź się ze swoją karmą.

- Moją karmą jest zniszczyć Yabu.

- No cóż, jesteś mężczyzną. Masz prawo decydować. Co ma być, to będzie. Ale samo zabicie Yabu to za mało. Musimy mieć plan. Trzeba usunąć także jego syna, a ponadto Igurashiego.

Zwłaszcza jego. A wówczas twój ojciec stanie na czele naszego rodu, co mu się należy.

- Jak to zrobimy, matko?

- Zaplanujemy to razem, ty i ja. Bądź cierpliwy, ne? No, a potem trzeba się będzie poradzić twojego ojca. Nawet ty możesz służyć nam radą, Midori, byleby tylko była cokolwiek warta.

- A co z panem Toranagą? Podarował Yabu swój miecz.

- Myślę, że panu Toranadze chodzi wyłącznie o to, żeby prowincja Izu była silna i mu podlegała. Nie chce sojuszników. Nie zależy mu na nich tak samo jak kiedyś taikō. Yabu sądzi, że jest jego sojusznikiem. A ja myślę, że Toranagą nie cierpi sojuszników. Jeżeli zostaniemy jego wasalami, nasz ród rozkwitnie. Albo jeżeli zostaniemy wasalami Ishido! Kogo wybrać? I jak dokonać zabójstwa?

Omi przypomniał sobie falę radości, jaka zalała go, gdy zdecydował się zabić. Znow ją czuł.

Przyglądając się Yabu, napawał się nowo odkrytym ekstatycznym uczuciem zemsty. Nietrudno było zabić Yabu, lecz wymagało to skoordynowania z innymi posunięciami. Bo tylko wtedy jego ojciec albo starszy brat mogliby zdobyć władzę w ich rodzie i w Izu.

Yabu przeszedł do rzeczy.

- Mariko-san, powiedz, proszę, Anjin-sanowi, że pragnę, ażeby od jutra zaczął szkolić moich ludzi w strzelaniu, jak to robią barbarzyńcy. Chcę też dowiedzieć się wszystkiego o sposobach prowadzenia przez nich bitew.

- Przepraszam, Yabu-san, ale muszkiety dotrą tu za sześć dni - przypomniała mu Mariko.

- Na sam początek mam ich wystarczająco dużo między moimi ludźmi - odparł Yabu. - Chcę, żeby zaczął jutro.

Mariko powtórzyła to Blackthorne'owi.

- Chce wiedzieć wszystko o bitwie? - spytał.

- Powiedział, że wszystko.

- A szczególnie co? Mariko spytała Yabu.

- Yabu-san pyta, czy uczestniczyłeś w jakichś bitwach na lądzie.

- Tak. W Niderlandach. I jednej we Francji.

- Yabu-san mówi, że to doskonale. Chce poznać europejską strategię wojskową. Chce wiedzieć, jak się toczy bitwy w waszych krajach. Szczegółowo.

Blackthorne powierzył swoją duszę Bogu.

- Powiedz panu Yabu - zaczął - że mogę mu bardzo pomóc. I panu Toranadze. Mogę sprawić, że ich armia będzie nie do pokonania.

- Pan Yabu mówi, że jeżeli twoje informacje okażą się użyteczne, to. po miesiącu podniesie ci wynagrodzenie z wysokości dwustu czterdziestu koku rocznie, które ci dał pan Toranaga, do pięciuset.

- Podziękuj mu. Powiedz jednak, że wszystko to zrobię dla niego w zamian za przysługę: chcę, żeby cofnął swoje rozporządzenie w sprawie wioski, a po pięciu miesiącach zwrócił mi mój statek i załogę.

- Anjin-san, z nim nie wolno ci targować się niczym z kupcem - powiedziała Mariko.

- Poproś go o to. O tę skromną przysługę. Dla jego honorowego gościa i przyszłego wdzięcznego wasala.

Yabu zmarszczył brwi i udzielił dłuższej odpowiedzi.

- Yabu-san mówi, że ta wioska nie jest ważna. Jeżeli chce się coś uzyskać od chłopów, to trzeba im przytykać ogień do pośladków. Nie zwracaj sobie nimi głowy. A co do statku, to jest pod opieką pana Toranagi. Pan Yabu ma pewność, że niedługo go odzyskasz. Wyraził życzenie, żebym zaraz po przyjeździe do Edo przekazała twoją prośbę panu Toranadze. Zrobię to, Anjin-san.

- Zechciej przeprosić pana Yabu, ale jestem zmuszony żądać, żeby cofnął to rozporządzenie.

Dziś wieczorem.

- Przecież już odmówił, Anjin-san. To nie byłoby grzeczne.

- Tak, rozumiem. Zechciej jednak go o to poprosić. Dla mnie jest to bardzo ważne. . to prośba.

- Mówi, że musisz być cierpliwy. Nie przejmuj się chłopami.

Blackthorne skinął głową. Podjął decyzję.

- Dziękuję. Rozumiem - powiedział. - Tak. Podziękuj panu Yabu, ale powiedz mu, że nie mogę żyć z takim wstydem.

Mariko pobladła.

- Słucham? - spytała.

- Nie mogę żyć z taką hańbą, nie chcę mieć na sumieniu całej wioski. To mi uwłacza. Nie mogę tego znieść. To wbrew moim chrześcijańskim przekonaniom. Chcę natychmiast odebrać sobie życie.

- Zabić się?

- Tak. Tak właśnie postanowiłem.

- Nan ja, Mariko-san? - wtrącił się Yabu.

Zacinając się, przełożyła mu, co powiedział Blackthorne. Udzieliła mu odpowiedzi na jakieś pytanie. A potem Yabu rzekł:

- Gdyby nie twoja reakcja, uznałbym to za żart, Mariko-san. Czemu się tak przejęłaś?

Dlaczego sądzisz, że mówi poważnie?

- Nie wiem, wielmożny panie. Wydaje mi się. . nie wiem. . Zamilkła.

- Omi-san?

- Samobójstwo jest wbrew wszelkim wierzeniom chrześcijan, wielmożny panie. Oni nigdy nie zabijają się sami tak jak my. Jak samuraje.

- Mariko-san, jesteś chrześcijanką. Czy to prawda?

- Tak, wielmożny panie. Samobójstwo to grzech śmiertelny, sprzeczny z przykazaniem boskim.

- Igurashi-san? A co myślisz ty?

- Udaje. Nie jest chrześcijaninem. Pamiętasz tamten pierwszy dzień, wielmożny panie?

Pamiętasz, co zrobił temu kapłanowi? I na co pozwolił panu Omi, żeby ocalić tamtego chłopca?

Yabu uśmiechnął się na wspomnienie tamtego dnia i nocy, która po, nim nastąpiła.

- Tak. Racja. On nie jest chrześcijaninem, Mariko-san.

- Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem, wielmożny panie. O co chodzi z tym kapłanem?

Yabu opowiedział jej, co zaszło pierwszego dnia pomiędzy zakonikiem a Blackthorne'em.

- Zbeczczył krzyż? - spytała, najwyraźniej wzburzona.

- A jego kawałki rzucił na ziemię - dodał Igurashi. - On tylko udaje, wielmożny panie. Jeżeli ta sprawa z wioską okrywa go takim wstydem, to jak może przebywać W miejscu, gdzie został tak zhańbiony, gdzie Omi wypróżnił się mu na grzbiet?

- Co takiego? Przepraszam, wielmożny panie, ale znowu nie rozumiem - powiedziała Mariko.

- Wyjaśnij to jej - polecił Yabu Omiemu.

Omi wypełnił polecenie. To, co od niego usłyszała, napełniło ją odrazą, ale nie okazała tego po sobie.

- Po tym wszystkim Anjin-san całkowicie spotulniał, Mariko-san - zakończył Omi. - Bez broni zawsze będzie potulny.

Yabu napił się sake.

- Powiedz mu tak, Mariko-san: samobójstwo nie jest zwyczajem barbarzyńców. Jest wbrew chrześcijańskiemu Bogu. Jakże więc może się zabić?

Mariko przełożyła. Yabu przyglądał się uważnie odpowiadającemu Blackthorne'owi.

- Anjin-san bardzo pokornie przeprasza, ale mówi, że bez względu na zwyczaj i Boga, nie potrafi znieść tak ogromnej hańby, jaką jest sprawa tej wioski. Twierdzi, że . . . że jest, w Japonii, jest hatamoto i że wolno mu żyć wedle naszych praw. - Mariko drżały ręce. - To właśnie powiedział, Yabu-san. Wolno mu żyć wedle naszych zwyczajów. . . zgodnie z naszym prawem.

- Barbarzyńcy nie mają tu praw.

- Pan Toranaga mianował go hatamoto - odparła. - To daje mu prawa, ne?

Shoji zagrzechotało pod podmuchem wietrzyku.

- A w jaki sposób się zabije? Co? Spytaj go o to.

Blackthorne wyciągnął krótki, ostry jak igła sztylet i ułożył go delikatnie na tatami ostrzem w swoją stronę.

- Udaje! - oświadczył Igurashi. - Czy ktoś słyszał kiedyś, żeby barbarzyńca zachował się jak człowiek cywilizowany?

Yabu zmarszczył czoło, jego serce z podniecenia zwolniło rytm.

- To dzielny człowiek, Igurashi-san. Bez wątpienia - rzekł. - I dziwny. Ale żeby coś takiego? -

Yabu chciał to zobaczyć, przekonać się, jaki jest ten barbarzyńca, ujrzeć, jak idzie na śmierć, wraz z nim doświadczyć tej ekstatycznej wędrówki. Z - wysiłkiem opanował falę rozkoszy, jaka w nim wzbierała. - Co mi radzisz, Omi-san? - spytał chrapliwie.

- Posiedziałeś, że zgładzisz wioskę, „jeżeli Anjin-san nie opanuje zadowolająco” języka.

Proponuję ci, żebyś poszedł na małe ustępstwo. Powiedz mu, że „zadowolili” cię wszystko, czego

zdola się nauczyć W ciągu tych pięciu miesięcy, w zamian jednak musi przysiąc na swojego Boga, że nie powie o tym wiosce.

- Ale przecież on nie jest chrześcijaninem. Jakże taka przysięga może go do czegoś zobowiązać?

- Myślę, że jest w jakimś sensie chrześcijaninem, wielmożny panie. Na pewno jest przeciwnikiem Czarnych Sukni i to jest istotne. Uważam, że będzie respektował przysięgę na swojego Boga. Powinien ponadto przysiąc na swojego Boga, że skupi się bez reszty na nauce i będzie całkowicie na twoje rozkazy. Ponieważ jest mądry, w ciągu tych pięciu miesięcy nauczy się wiele. W

ten sposób ocalisz swój honor, a on również, jeżeli go ma. Nie tracisz nic, a zyskujesz wszystko. A co bardzo ważne, jego dobrowolną lojalność.

- Wierzysz w to, że się zabije?

- Tak.

- A ty, Mariko-san?

- Nie wiem, Yabu-san. Przykro mi, nie potrafię ci nic doradzić. Kilka godzin temu powiedziałabym, że tego nie zrobi. Ale teraz sama nie wiem. On. . od chwili, gdy przyszedł po niego Omi-san. . zmienił się.

- Igurashi-san?

- Jeżeli ustąpi mu się w tej chwili, a on tylko udaje, to bez przerwy będzie stosował tę sztuczkę. Jest chytry jak kami lisa, wszyscy przecież wiedzieliśmy, jaki jest sprytny, ne? Kiedyś będziesz musiał mu powiedzieć „nie”, wielmożny panie. Radzę ci to zrobić teraz, on udaje.

Omi pochylił się w przód i pokręcił głową.

- Wielmożny panie, racz wybaczyć, ale. muszę powtórzyć, że jeżeli odpowiesz „nie”, wiele stracisz. Jeżeli udaje, co może być prawdą, to jeszcze jedno upokorzenie przepelni tego dumnego człowieka taką nienawiścią, że na pewno nie pomoże ci z całej duszy, czego potrzebujesz. Poprosił

cię o coś jako hatamoto, do czego ma prawo, a twierdzi, że dobrowolnie chce żyć wedle naszych zwyczajów, Czyż to nie jest ogromny postęp, wielmożny panie? To wspaniale i dla ciebie, i dla niego.

Doradzam ci rozważę. Użyj go z korzyścią dla siebie.

- Mam taki zamiar - burknął głucho Yabu.

- Owszem - odezwał się Igurashi - jest cenny, owszem, chcę poznać jego wiedzę. Ale trzeba go trzymać w karbach, powtarzałeś to wiele razy, Omi-san. Jest barbarzyńcą. Niczym więcej. Och, wiem, że jest teraz hatamoto i że wolno mu od dzisiaj nosić miecze. Ale to nie czyni go samurajem.

Nie jest samurajem. Nie jest nim i nigdy nie będzie.

Mariko zdawała sobie sprawę, że spośród wszystkich tu obecnych, ona najlepiej powinna rozumieć zachowanie Anjin-sana. Ale nie potrafiła. W jednej chwili rozumiała go, ale w następnej znów stawał się dla niej niepojęty. W jednej chwili lubiła, a w następnej nienawidziła. Dlaczego?

Blackthorne jak nawiedzony wpatrywał się w przestrzeń. Ale czoło miał zroszone potem. Ze strachu? - zastanawiał się Yabu. Ze strachu, że odkryją, iż udaje? A udaje?

- Mariko-san?

- Tak, panie?

- Powiedz mu. - Yabu nagle poczuł suchość w ustach, zakłuło go w piersi. - Powiedz Anjin-sanowi, że zarządzenie pozostaje w mocy.

- Wielmożny panie, racz wybaczyć, ale usilnie nalegam, żebyś posłuchał rady Omiego-sana.

Yabu nie spojrzał na nią, tylko na Blackthorne'a. Żyła na czole mu pulsowała.

- Anjin-san twierdzi, że już postanowił. Niech więc będzie. Przekonajmy się, czy jest barbarzyńcą. . czy hatamoto.

- Anjin-san - powiedziała prawie niedosłyszalnie Mariko. - Yabu-san mówi, że zarządzenie pozostaje w mocy. Przykro mi.

Blackthorne usłyszał te słowa, ale nie poruszyły go one. Nigdy dotąd nie czuł w sobie takiej siły i takiego spokoju, jeszcze nigdy nie był aż tak bardzo świadom życia.

Czekając, nie patrzył na nich ani ich nie słuchał. Jego decyzja była nieodwołalna. Resztę pozostawił woli boskiej. Zamknął się w sobie, słysząc wciąż od nowa te same słowa, te same, które wskazywały mu, jak tutaj żyć, te same, które z pewnością przez usta Mariko przekazał mu Bóg:

„Wyjście jest proste: śmierć. Żeby przeżyć, musisz żyć wedle naszych zasad. .”

- . .zarządzenie pozostaje w mocy.

A więc muszę umrzeć, pomyślał.

Powiniennem się bać. Ale się nie boję.

Dlaczego?

Nie wiem. Wiem tylko tyle, iż odkąd uznałem, że aby żyć tu jak człowiek, należy się dostosować do miejscowych zwyczajów, narażać życie, umrzeć - być może umrzeć - lęk przed śmiercią nagle zniknął. „Życie i śmierć są tym samym. . karmę pozostaw karmie”.

Nie boję się śmierci.

Po drugiej stronie shoji zaczął padać łagodny deszcz. Blackthorne spuścił wzrok na krótki miecz.

Miałem udane życie, pomyślał.

Jego wzrok znów spoczął na Yabu.

- Wakarimasu - powiedział wyraźnie i chociaż zdawał sobie sprawę, że słowo to wymówił jego usta, czuł się tak, jakby odezwał się nie on, a ktoś inny.

Nikt się nie poruszył.

Przyglądał się, jak jego prawa ręka bierze sztylet. A» potem jego rękojeść chwyciła także lewa. Nieruchome ostrze mierzyło w' serce. Słyszał już tylko własne życie, coraz silniej i silniej, aż wreszcie nie mógł już wsłuchiwać się w nie dłużej. Jego dusza łaknęła wieczystej ciszy.

Łaknienie to wyzwoliło odruch. Dłonie nieomylnie skierowały broń na cel.

Gotów powstrzymać pchnięcie Omi nie był jednak przygotowany na aż taką nagłość i dzikość ciosu i kiedy pochwycił prawą dłonią za rękojeść sztyletu, a lewą za jego ostrze, poczuł ból i zaczął

krwawić. Zmagał się z siłą ciosu z całej mocy. Nie dawał rady. I wówczas dopomógł mu Igurashi.

Wspólnie powstrzymali pchnięcie. Odciągnęli sztylet. Z rozciętej skóry powyżej serca Blackthorne'a, tam gdzie weszło ostrze, popłynęła cienka strużka krwi.

Mariko i Yabu nie poruszyli się.

- Powiedz mu, powiedz mu, Mariko-san, że wystarczy mi to, czego się nauczy - rzekł Yabu. -

Każ mu. . nie, poproś Anjin-sana, żeby złożył przysięgę, o jakiej mówił pan Omi. Żeby zrobił to, co powiedział Omi-san.

Blackthorne powoli wysuwał się z objęć śmierci. Z wielkiego oddalenia wpatrywał się w nich i w sztylet, niczego nie pojmując. A potem rwący strumień życia powrócił do niego, ale ponieważ nie potrafił pojąć, co to znaczy, uznał, że nie żyje i jest martwy.

- Anjin-san? Anjin-san?

Zobaczył jej poruszające się usta i usłyszał słowa, ale wszystkimi zmysłami skupiony był na deszczu i na wietrze. «w Tak?

Jego własny głos nadal dobiegał skądś z daleka, czuł jednakże woń deszczu, słyszał jego krople i smakował morską sól w powietrzu.

Żyję, rzekł zdumiony w duchu. Żyję, na dworze pada prawdziwy deszcz i więcej prawdziwy wiatr, z

północy. Tam stoi prawdziwy kociołek, z prawdziwymi węglami, a gdybym wziął do ręki tę filiżankę, to znalazłbym w niej prawdziwy płyn, który miałby smak. Nie umarłem. Żyję!

Pozostali siedzieli w milczeniu, czekając cierpliwie, zachowując się delikatnie, żeby złożyć hołd jego dzielności. Jeszcze żaden Japończyk nie widział na oczy tego, czego byli świadkami.

Wszyscy zapytywali się w duchu, co teraz robi Anjin-san. Czy zdoła wstać o własnych siłach i odejść, czy też go opuszczą siły? Jak zachowaliby się na jego miejscu?

Milcząca służąca przyniosła bandaż i opatrzyła Omiemu głęboką ranę zadaną przez ostrze, tamując płynącą krew. Panował ogromny spokój. Co jakiś czas Mariko wypowiadała cichym głosem jego imię, a inni, zresztą bardzo oszczędnie, popijali cha bądź sake, rozkoszując się czekaniem, patrzeniem i wspomnianiem całego zdarzenia.

Dla Blackthorne'a ten brak życia zdawał się trwać całą wieczność. A potem jego wzrok zobaczył. Uszy usłyszały.

- Anjin-san?

- Hai? - odparł z ogromnym, nie znanym mu dotąd znużeniem. Mariko powtórzyła mu to, co powiedział Omi w taki sposób, jakby były to słowa Yabu. Musiała to zrobić kilka razy, zanim upewniła się, że zrozumiał.

Blackthorne zmobilizował resztki sił, rozkoszując się zwycięstwem.

- Moje słowo jest tak samo dobre jak jego słowo. Ale mimo to przysięgnę, tak jak tego chce, na Wszechmogącego. Tak. Podobnie jak pan Yabu przysięgnie mi uroczyście na swojego boga, że ze swojej strony też dotrzyma umowy.

- Pan Yabu zgadza się, przysięga na pana Buddę.

Blackthorne złożył więc przysięgę, jakiej żądał Yabu. Przyjął cha.

Nigdy jeszcze nie smakowała mu tak bardzo. Filiżanka wydała mu się bardzo ciężka i nie mógł długo utrzymać jej w ręku.

- Miły deszcz, prawda? - powiedział, przyglądając się jego kroplom, które rozbijały się i znikwały, zaskoczony tym, że wszystko widzi tak wyraźnie.

- Tak - odparła łagodnie Mariko świadoma, że zmysłami Blackthorne przebywa na równinach niedostępnych dla tych, którzy sami dobrowolnie nie wyszli na spotkanie śmierci i którzy zrzuceniem nieodgadnionej karmy cudownie stamtąd powrócili.

- Może byś teraz odpoczął, Anjin-san? Pan Yabu dziękuje ci i mówi, że dłużej porozmawia z tobą jutro. Teraz powinieneś odpocząć.

- Tak. Dziękuję ci. Dobrze. - Zdołasz wstać?

- Tak. Myślę, że tak.

- Yabu-san pyta, czy chciałbyś pojechać w palankinie.

Blackthorne rozważył propozycję. Po dłuższej chwili orzekł, że samuraj poszedłby o własnych siłach. . spróbowałby pójść.

- Nie, dziękuję - powiedział, mimo że ogromnie pragnął się położyć, zostać zanieśionym, zamknąć oczy i natychmiast zasnąć. Jednocześnie miał świadomość, że bałby się zasnąć na wypadek, że oto śni pośmiertny sen, a sztylet leży nie tam, na futonie, lecz nadal tkwi w jego ciele, on sam zaś znajduje się w piekle albo jego przedsionku.

Powoli uniósł sztylet i przyjrzał mu się dokładnie, rozkoszując się tym, co naprawdę czuje. A potem schował go do pochwy. Na wszystko potrzebował tyle czasu.

- Przepraszam za moją powolność - wymamrotał.

- Nie wolno ci przeproszać, Anjin-san. Dziś narodziłeś się ponownie. To twoje następne, nowe życie - powiedziała mu z dumą Mariko, pełna podziwu dla niego. - Niewielu dane jest wrócić stamtąd.

Nie przepraszaj. Przecież wiemy, że wymaga to ogromnego hartu ducha. Po czymś takim mężczyźni przeważnie nie starcza sił, żeby wstać. Czy ci pomóc?

- Nie. Nie, dziękuję.

- To nie ujma przyjąć pomoc. Dopomożenie ci to dla mnie zaszczyt.

- Dziękuję, ale ja. . chcę spróbować. Najpierw.

Nie zdołał jednak wstać od razu. Z pomocą rąk podźwignął się na kolana i musiał zaczekać, żeby zebrać siły. Wtedy zaś podniósł się chwiejnie i omal się nie zwalił. Zatoczył się, ale nie upadł.

Yabu uklonił mu się. Zrobili to też Mariko, Omi i Igurashi.

Blackthorne zrobił kilką kroków jak pijany. Uchwycił się filaru i chwilę przytrzymał. A potem podjął marsz. Zachwiał się, ale odszedł bez niczyjej pomocy. Jak mężczyzna. Jego dłoń spoczywała na długim, zatkniętym za pas mieczu, głowę trzymał wysoko.

Dwanaście dni potem, po południu, nadjechał z Osaki posłaniec. Wraz z nim przybyło dziesięciu eskortujących go samurajów. Ich konie były pokryte pianą i bliskie padnięcia. Proporce na pikach i włóczniach nosiły symbole wszechwładnej Rady Regencyjnej. Było gorąco, pochmurnie i wilgotno.

Posłaniec był szczupłym, surowym samurajem wyższej rangi, jednym z głównych poruczników pana Ishido. Nazywał się Nebara Jozen i słynął z bezwzględności. Szare mundurowe kimono miał w strzępach i ubłocone, oczy zaczerwienione ze zmęczenia. Odmówił jedzenia i picia i niegrzecznie zażądał natychmiastowej audiencji u pana Yabu.

- Przepraszam za mój wygląd, Yabu-san, ale mam pilną sprawę - oznajmił. - O, tak, daruj mi to. Mój pan zapytuje po pierwsze, czemu to ćwiczysz swoje wojsko wspólnie z oddziałami Toranagi, a po drugie, dlaczego ćwiczysz aż z tyloma muszkietami?

Yabu pokraśniał na takie grubiaństwo, ale powściągnął wybuch wiedząc, że Jozen otrzymał konkretne instrukcje i że taki brak dobrych manier jest oznaką dzierżenia przeogromnej władzy. A ponadto bardzo zaniepokoił go fakt, że w jego systemie bezpieczeństwa pojawiła się kolejna luka.

- Serdecznie cię witam, Jozen-san - powiedział uprzejmym tonem, który nie zwiódł nikogo z obecnych; - Możesz zapewnić swojego pana, że zawsze mam na sercu jego interes.

Znajdowali się na werandzie warowni. Omi siedział tuż za Yabu. Igurashi, który przed kilku dniami znów wrócił do łask, bliżej Jozena, otaczali ich - zaś samuraje ze straży przybocznej.

- I co jeszcze mówi twój pan? - spytał Yabu.

- Mojego pana ucieszy wieść, że twoje i jego interesy są tożsame - odparł Jozen. - Jeśli zaś chodzi o te muszkiety i szkolenie, to mój pan chciałby wiedzieć, czemu to syn Toranagi Naga jest zastępcą dowódcy. Zastępcą dowódcy czego? Pan generał Ishido zapytuje uprzejmie, co za ważny powód sprowadza tu syna Toranagi. To go ciekawi. Dlaczego, na przykład, ten barbarzyńca, jak wszystko na to wskazuje, szkoli was? Szkoli w jakim celu? Tak, Yabu-san, to również jest bardzo ciekawe. - Jozen poprawił swoje miecze, rad, że ma za plecami własnych strzegących go samurajów.

- A ponadto: pierwszego dnia nowego księżyca zbiera się Rada Regentów. Za dwadzieścia dni.

Jesteś oficjalnie zaproszony do Osaki, żeby odnowić przysięgę wierności. Yabu ścisnęło w żołądku.

- O ile mi wiadomo, Toranaga-sama ustąpił z Rady rzekł.

- Tak, Yabu-san, to prawda. Ale jego miejsce zajął pan Ito Teruzumi. Mój pan będzie nowym przewodniczącym Rady.

Yabu wpadł w popłoch. Toranaga powiedział przecież, że czterech regentów nigdy nie zgodzi się na piątego. Ito Teruzumi był mało znaczącym daimyō z prowincji Negato na zachodzie Honsiu, ale jego

starożytny ród wywodził się z linii Fujimoto, tak więc mimo marionetkowości, zniewieścienia i nieposiadania żadnej władzy, nadawał się na regenta.

- Zaproszenie to jest dla mnie bardzo zaszczytne - odparł obronnym tonem Yabu, pragnąc zyskać czas na przemyślenie sobie wieści.

- Mój pan sądzi, że zapewne zechcesz wyjechać natychmiast. Zdążyłbyś wówczas na oficjalne zebranie Rady w Osace. Kazał ci przekazać, że takie zaproszenie otrzymają wszyscy daimyō. Tak.

Stąd też wszyscy będą mogli stawić się tam na czas dwudziestego pierwszego dnia. Żeby uczcić owo wydarzenie Jego Wysokość, cesarz Go-Nijo zatwierdził Uroczystą Wystawę Kwiatów.

Jozen podał urzędowy pergamin.

- Nie ma na nim pieczęci Rady Regentów.

- Mój pan wysłał to zaproszenie już teraz wiedząc, że jako wierny poddany zmarłego taikō, wierny poddany Yaemona, jego syna, dziedzica, a po osiągnięciu właściwego wieku prawowitego zarządcy cesarstwa, zrozumiesz, iż nowa Rada zatwierdzi to posunięcie. Ne?

- Być świadkiem urzędowego posiedzenia Rady to na pewno wielki przywilej - odparł Yabu, z całych sił starając się zachować niewzruszoną minę.

- To dobrze - rzekł Jozen. Wyjął jeszcze jeden pergamin, rozwinął go i podniósł w górę. - To jest kopia nominacji pana Ito, przyjęta, podpisana i zatwierdzona przez pozostałych regentów, panów Ishido, Kiyamę, Onoshiego i Sugiyamę.

Jozen nie próbował ukryć triumfującego spojrzenia, dobrze wiedząc, że jest to pułapka bez wyjścia dla Toranagi i jego stronników, a ponadto, że dokument ten gwarantuje jemu i jego ludziom nietykalność.

Yabu wziął pergamin. Palce mu drżały. Dokument był bez wątpienia prawdziwy. Podpisała go pani Yodoko, żona taikō, zaświadczając, że jest on autentyczny, podpisany w jej obecności, że jest jedną z sześciu kopii rozesłanych po, cesarstwie, ta zaś przeznaczona jest dla władców prowincji Iwari, Mikawa, Totomi, Suruga, Izu oraz Kantō. Widniała na nim data sprzed jedenastu dni.

- Daimyō Iwari, Mikawy, Totomi i Surugi już wyrazili zgodę. Oto ich pieczęcie. Jesteś przedostatni na mojej liście. Ostatni jest pan Toranaga.

- Podziękuj, proszę, swojemu panu i przekaz, że z chęcią go zobaczę i złożę gratulacje - rzekł

Yabu.

- To dobrze. Chcę to otrzymać na piśmie. Na razie to wystarczy.

- Dziś wieczorem, Jozen-san. Po wieczery.

- Doskonale. A teraz możemy pójść i przyrzec się szkoleniu.

- Dzisiaj nie ma ćwiczeń. Wszyscy moi żołnierze odbywają forsowne marsze - odparł Yabu.

Kiedy tylko Jozen z oddziałem wjechali w granice Izu, Yabu, któremu szybko przekazano tę wieść, z miejsca nakazał przerwać strzelanie i kontynuować po cichu ćwiczenia z bronią z dala od Anjiro. -

Jeśli sobie życzysz, to możesz się tam wybrać ze mną jutro, w południe.

Jozen spojrział na niebo. Zbliżał się wieczór.

- Dobrze - odparł. - Przyda mi się trochę snu. Ale za twoim pozwoleniem, o zmierzchu wrócę.

A wtedy ty, panie, twój dowódca, komendant Omi-san, oraz drugi komendant, Naga-san, opowiedzie mi, by zaspokoić ciekawość mojego pana, o tym szkoleniu, o muszkietach i o wszystkim. Także o barbarzyńcy.

- On. . tak, oczywiście. - Yabu dał znak Igurashiemu. - Przygotuj kwatery dla naszego honorowego gościa i jego ludzi.

- Dziękuję, ale nie jest to konieczne - odparł natychmiast Jozen. - Samurajowi wystarczy do spania derka rozłożona na ziemi, a siodło za poduszkę. Jeżeli można, tobym się wykąpał. . jest tak parno, ne? Rozbiję obóz na skraju wzgórza. . za twoim pozwoleniem, oczywiście.

- Jak sobie życzysz.

Jozen uklonił się sztywno i odszedł w otoczeniu swoich samurajów. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby. Do pilnowania koni pozostawili dwóch łuczników.

Kiedy oddalili się na słuszną odległość. . twarz Yabu wykrzywił grymas wściekłości.

- Kto mnie zdradził?! - wykrzyknął. - Kto? Gdzie ten szpieg?!

Równie jak on pobladły Igurashi kazał strażnikom” odejść na taką odległość, by ich nie mogli słyszeć.

- W Edo, wielmożny panie - odparł. - Na pewno. Tu jesteśmy świetnie zabezpieczeni.

- Biada! - wykrzyknął Yabu, o mało co nie drąc szat. - - Zdradzono mnie. Zostaliśmy sami. Izu i Kantō są osamotnione. Ishido wygrał. Wygrał!

- Jeszcze nie, przez dwadzieścia dni, wielmożny panie - wtrącił szybko Omi. - Natychmiast prześlij wiadomość panu Toranadze. Zawiadam go..

- Głupcze! - syknął Yabu. - Przecież Toranaga już o tym wie. Tam gdzie ja mam jednego szpiega, on ma pięćdziesięciu. Pozostawił mnie samego w pułapce.

- Nie sądzę, wielmożny panie - odparł nieustraszenie Omi. - Iwari, Mikawa, Totomi i Suruga są do niego wrogo nastawione, ne? I do każdego, kto jest jego sojusznikiem. Ich władcy nie ostrzegliby go, więc być może jeszcze o niczym nie wie. Zawiadam go więc i podsuń. .

- Czyś nie słyszał?! - krzyknął Yabu. - Wszyscy czterej regenci zgodzili się na nominację Ito, tak więc Rada znów jest prawomocna, a zbierze się za dwadzieścia dni!

- Odpowiedź na to jest prosta, wielmożny panie. Podsuń Toranadze myśl, żeby natychmiast polecił zabić Ito Teruzumiego albo któregoś z pozostałych regentów. .

Yabu opadła szczeka. - Co takiego?

- Jeżeli sam nie chcesz tego zrobić, to pošlij mnie, niech spróbuję. Albo pana Igurashiego. Z

chwilą śmierci Ito Ishido znów stanie się bezradny.

- Nie wiem, czyś ty oszalał, czy jak - odparł bezradnie Yabu. - Czy pojmujesz, coś przed chwilą powiedział?

- Wielmożny panie, błagam cię, zechciej okazać cierpliwość. Anjin-san dostarczył ci bezcennej wiedzy, ne? Większej niż to się śniło. A teraz, dzięki raportom twoim i zapewne osobistym raportom pana Nagi, wie o tym również pan Toranaga. Jeżeli będziemy mieli dość czasu, to nasze pięćset muszkietów wraz z trzystoma tamtymi da ci całkowitą przewagę w bitwie, ale tylko jednej. Kiedy wrogowie, kimkolwiek są, ujrzą, w jaki sposób wykorzystujesz żołnierzy i siłę ognia, szybko się tego nauczą. Ale tę pierwszą bitwę muszą przegrać. Ta jedyna, prawdziwa bitwa przyniesie panu Toranadze pełne zwycięstwo.

- Ishido nie musi staczać żadnych bitew. Za dwadzieścia dni otrzyma mandat cesarski.

- Ishido to chłop. Jest synem chłopca, kłamcą i ucieka z pola bitwy, pozostawiając swoich towarzyszy.

Yabu wpatrzył się w niego. Twarz pokrywały mu czerwone cętki. - Czy. . czy ty wiesz, co mówisz?

- Tak właśnie zrobił w Korei. Byłem tam. Widziałem to, widział to mój ojciec. Ishido naprawdę pozostawił pana Buntaro i nas, tak byśmy sami przebili sobie drogę. To zwykły zdradziecki kmiotek, sługus taikō, oczywiście. Chłopom nie wolno ufać. Ale Toranaga jest z rodu Minowara. On jest godzien zaufania. Radzę ci brać pod uwagę tylko jego interesy.

Yabu z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Czyś ty ogluchł? Nie słyszałeś, co powiedział Nebara Jozen? Ishido wygrał. Za dwadzieścia dni Rada znów odzyska władzę.

- Być może odzyska.

- Nawet jeżeli Ito. . Jakże możesz coś takiego mówić? To przecież niemożliwe.

- Naturalnie, mogę podjąć próbę, ale w żaden sposób nie uda mi się załatwić tego na czas.

Nikt z nas tego nie zdoła dokonać, nie w ciągu dwudziestu dni. Ale pan Toranaga owszem. - Omi wiedział, że sam wszedł w paszczę smoka. - Błagam cię, żebyś to rozważył.

Yabu otarł dłońmi twarz, był cały mokry.

- Po takim wezwaniu, jeżeli Rada się zbierze, a ja się tam nie stawię, to zginiemy wszyscy, ja i mój ród, włącznie z tobą. Na wyszkolenie jednego pułku potrzebuję co najmniej dwóch miesięcy.

Nawet gdybyśmy już wyszkolili naszych wojowników, to ja i Toranaga za nic nie zdołamy pokonać pozostałych daimyō. Nie, mylisz się, muszę poprzeć Ishido.

- Jeżeli do Osaki udasz się forsownym marszem, to masz jeszcze w zapasie dziesięć czy czternaście dni - rzekł Omi. - Natychmiast powiadom Toranagę o Jozenie. Ocalisz Izu i ród Kasigi.

Błagam cię. Ishido zdradzi cię i zniszczy. Przecież Ikawa Jikkyu to jego krewniak, ne?

- Ale co z Jozeniem?! - wykrzyknął Igurashi. - Co z muszkietami? Co z naszą świetną strategią? On chce dziś wieczorem dowiedzieć się wszystkiego.

- No, to mu powiesz. Szczegółowo. To przecież zwykły fagas - odparł Omi, przystąpiwszy do podchodów. Dobrze wiedział, że ryzykuje wszystko, musiał jednak, jeśli się da, uchronić Yabu od przejścia na stronę Ishido i zaprzepaszczenia wszelkich szans. - Wyjawisz mu wszystkie nasze plany.

Igurashi gwałtownie zaprotestował.

- Jak tylko Jozen dowie się, co tu robimy, od razu prześle wiadomość panu Ishido. Jest zbyt ważna, by tego zaniechał. A kiedy Ishido przywłaszczy sobie nasze plany, to koniec z nami.

- Pojedziemy za posłańcem i zabijemy go w dogodnej chwili.

Yabu zapłonął gniewem.

- Ten pergamin jest podpisany przez najwyższą władzę w kraju! - rzekł. - Oni Wszyscy podróżują pod ochroną regentów! Oszalałeś, żeby proponować coś takiego! Wyjęliby mnie spod prawa!

Omi potrząsnął głową, nie tracąc pewnej miny.

- Moim zdaniem ten zdrajca Ishido zwiódł wielmożną panią Yodoko i oszukał innych, podobnie jak oszukał Jego Wysokość cesarza. Musimy ocalić te muszkiety, wielmożny panie. Musimy zatrzymać wszystkich posłańców.

- Milcz! Twoje rady to szaleństwo!

Skarcony Omi uklonił się. Ale po chwili podniósł wzrok i dodał spokojnie:

- Wobec tego pozwól, że popełnię seppuku, wielmożny panie. Najpierw jednak pozwól mi dokończyć. Nie próbując cię ochronić, nie dopełniłbym swoich obowiązków. Jako twój wierny poddany, proszę cię o tę ostatnią łaskę.

- Dokończ!

- W tej chwili Rady Regencyjnej nie ma, tak więc tego grubianina i chama Jozena nic prawomocnie nie chroni, chyba że ktoś uhonoruje nielegalny dokument i. . - Omi chciał powiedzieć

„potwierdzi własną słabość”, jednakże rozmyślił się i dokończył pewnie i spokojnie - da się oszukać jak inni, wielmożny panie. Żadnej Rady w tej chwili nie ma! Regenci nie mogą rozkazać nic i nikomu.

Jeżeli się zbiorą, wtedy owszem, będziesz zmuszony okazać im posłuszeństwo. Ale ilu daimyō posłucha ich przed wydaniem prawomocnych rozkazów? Tylko sprzymierzeńcy Ishido, ne? Czy Iwari, Mikawa, Totomi i Suruga nie są rządzone przez jego krewnych i czyż nie są otwarcie z nim sprzymierzone? Tak, ten dokument z całą pewnością oznacza wojnę. Błagam cię jednak, panie, poprowadź ją na swoich warunkach, a nie na warunkach Ishido. Zlekceważ te pogrożki, tak jak na to zasługują! Toranaga nie przegrał dotąd żadnej bitwy. A Ishido tak. Toranaga uniknął udziału w wyniszczającym ataku na Koreę. A Ishido nie. Toranaga sprzyja żegludze i handlowi. Ishido nie.

Toranaga zechce mieć własną marynarkę wojenną, czy nie to mu doradzałeś? Ishido tego nie zechce. Ishido zamknie cesarstwo, Toranaga utrzyma je otwarte. Jeżeli Ishido wygra, odda twoje dziedziczne rodowe lenno Izu Ikawie Jikkyu. Toranaga zaś odda ci całą jego prowincję. Jesteś sojusznikiem pana Toranagi. Czyż nie podarował ci swojego miecza? Czyż nie powierzył dowództwa nad pułkiem muszkietów? I czy, jeśli uda się nam zaskoczenie, nie gwarantują one zwycięstwa? A co może w zamian dać ci ten chłop Ishido? Przysłał ci tu niewychowanych samurajów-roninów z rozkazami, których celem jest pohańbić cię w twojej własnej prowincji! Twierdzą, że twoje jedyne wyjście to Toranaga Minowara. Musisz pozostać przy nim.

Omi uklonił się i w milczeniu czekał.

Yabu zerknął na Igurashiego.

- I co powiesz? - spytał.

- Zgadzam się z Omim, wielmożny panie. - Na twarzy Igurashiego malowała się troska. -

Jeżeli chodzi o zabicie posłańca, to jest to niebezpieczne zadanie, po którym nie byłoby już odwrotu. Jozen na pewno wyśle jutro paru ludzi. Zapewne mogą zniknąć, zabici przez bandytów. . -

Urwał w pół zdania. - Gołębie pocztowe. Juczne konie Jozena przywiozły dwie klatki z gołębiami!

- Dziś wieczorem musimy je otruć - powiedział Omi.

- Ale jak? Będą ich pilnować.

- Nie wiem. Ale do jutra rana trzeba je usunąć albo okaleczyć.

- Igurashi, wyślij zaraz ludzi, żeby śledzili Jozena - polecił Yabu. - Niech pilnują, czy nie wysłał jakiegoś gołębia już teraz, dzisiaj.

- Proponuję natychmiast wysłać na wschód wszystkich naszych sokolników z sokołami - dorzucił prędko Omi.

- Jeżeli ujrzy swojego ptaka straconego albo zmarnowane gołębie, nabierze podejrzeń - ostrzegł Igurashi.

Omi wzruszył ramionami.

-7 Musimy go powstrzymać - upierał się.

Igurashi spojrział na Yabu, a ten z rezygnacją skinął głową.

- Załatw to - powiedział.

- O czymś pomyślałem, Omi-san - rzekł Igurashi po powrocie. - Wiele z tego, coś mówił o Jikkyu i parni Ishido, było słuszne. Skoro jednak doradzasz „zniknięcie” posłańców, to po co w ogóle cackać się z Jozenem? Po co mu mówić cokolwiek? Dlaczego od „razu nie zabić wszystkich?”

- No właśnie, dlaczego? Chyba że sprawi to przyjemność wielmożnemu panu Yabu. Przyznaję, że twój plan jest lepszy, Igurashi-san - powiedział Omi.

Obaj wpatrywali się w Yabu.

- Jak mogę utrzymać sprawę muszkietów w tajemnicy? - zadał im pytanie.

- Zabij Jozena i jego ludzi - odparł Omi.

- Nie ma innego sposobu?

Omi pokręcił głową. Tak samo Igurashi.

- Może mógłbym wymienić coś za coś z Ishido - rzekł roztrzęsiony Yabu, usiłując znaleźć jakieś wyjście z tej pułapki. - Trafnie oceniłeś, że pozostaje mi dziesięć, najwyżej czternaście dni.

Co zrobić z Jozenem, a przy tym zachować czas na różne manewry?

- Mądrze byłoby udać, że wybierasz się do Osaki - doradził Omi. - Ale przecież nic nie zaszkodzi poinformować natychmiast o sprawie pana Toranagę, ne? Któryś z naszych gołębi dotrze przed zmierzchem do Edo. Być może. To nic nie zaszkodzi.

- Tak, możesz, panie, zawiadomić Toranagę o przyjeździe Jozena i o zebraniu Rady za dwadzieścia dni - rzekł Igurashi. - Ale jeśli chodzi o tę drugą sprawę, o zabójstwo pana Ito, to pisać o tym jest

zbyt niebezpieczne, nawet jeżeli. . Tak, to zbyt niebezpieczne, ne?

- Zgadzam się. Nic o Ito. Toranaga powinien sam o tym pomyśleć. To oczywiste, ne?

- Tak, wielmożny panie. Nieprawdopodobne, ale oczywiste.

Omi czekał w milczeniu, gorączkowo poszukując rozwiązania. Czuł na sobie wzrok Yabu, ale się nie bał. Jego rady były rozsądne i służyły wyłącznie ochronie ich rodu, rodziny i wuja, obecnej głowy klanu. To, że postanowił pozbyć się Yabu i przywódcy rodu, nie przeszkadzało mu w udzielaniu roztropnych rad. A poza tym był przygotowany na śmierć. Gdyby Yabu okazał się na tyle głupi, by nie skorzystać z jego bezsprzecznie mądrych pomysłów, to wkrótce i tak nie będzie rodu, któremu można by przewodzić, pomyślał. Karma.

Yabu pochylił się w przód” nadal niezdecydowany.

- Czy jest jakiś sposób na pozbycie się Jozena i jego ludzi tak, żeby nie narazić się i nie przesądzać o niczym jeszcze przez dziesięć dni? - spytał. - .

- Naga. Trzeba jakoś zastawić pułapkę z Nagą jako przynętą - stwierdził bez ogródek Omi.

O zmierzchu Blackthorne i Mariko wraz ze świtą podjechali do bramy jego domu. Oboje byli zmęczeni. Mariko siedziała po męsku, ubrana w luźne spodnie i przepasany kaftan. Dla ochrony przed słońcem miała na głowie kapelusz z szerokim rondem, a na dłoniach rękawiczki. Nawet wieśniaczki starały się chronić twarze i ręce przed jego promieniami. Od niepamiętnych czasów było przyjęte, że im ciemniejsza skóra, tym pospolitsza osoba, a im skóra bielsza, tym bardziej poważana.

Służący chwycili postronki i odprowadzili konie. Blackthorne odprawił forysiów w znośnej japońszczyźnie i przywitał się z Fujiko, która jak zwykle czekała z dumą na werandzie.

- Czy podać ci cha, Anjin-san? - spytała ceremonialnie, tak jak zwykle, na co jak zwykle odmówił.

- Najpierw się Wykąpię - odparł. - A potem napiję sake i coś zjem.

Tak jak zawsze odpowiedział jej ukłonem, korytarzem poszedł na tył domu i przez ogród kolistą ścieżką dotarł do plecionej łaźni. Kiedy służąca rozebrała go, wszedł do środka i usiadł nagi.

Druga służąca wyszorowała go, namydliła, umyła włosy, splukała wodą mydło i brud. A potem całkiem czysty powoli, gdyż woda była strasznie gorąca, wszedł do wielkiej żelaznej wanny i położył się.

- Jezu Chryste, ależ to cudowne - rzekł rozradowany, z zamkniętymi oczami i czołem ociekającym potem, pozwalając gorącu przeniknąć do mięśni.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi, przywitanie Suwo „Dobry wieczór, panie”, a potem wiele japońskich słów, których nie zrozumiał. Dzisiaj jednak był za bardzo zmęczony, by podjąć próbę porozmawiania z nim. Kąpiel, co tylekroć powtarzała mu Mariko, nie służyła li tylko oczyszczeniu skóry. „Kąpiel to dar dany nam przez Boga albo bogów, boska rozkosz, z której należy się cieszyć i

jako taką traktować.”

- Bez rozmów, Suwo - uprzedził. - Dziś chce myśleć.

- Tak, panie. Przepraszam, ale powinieneś być powiedzieć „Dziś chcę myśleć”.

- Dziś chcę myśleć - powtórzył Blackthorne w poprawnej japońszczyźnie, starając się przyswoić te prawie niepojęte dźwięki, rad, że go poprawiają, ale i bardzo tym zmęczony.

- I gdzie jest ta książka słownikowo-gramatyczna? - spytał z samego ranka Mariko. - Czy pan Yabu zażądał jeszcze raz jej przysłania?

- Tak. Bądź cierpliwy, Anjin-san. Wkrótce nadejdzie.

- Obiecano ją przysłać wraz z galerą i wojskiem. Nie przysłała. Żołnierze i muszkiety owszem, ale nie książki. Mam szczęście, że tu jesteś. Bez ciebie wszystko byłoby niemożliwe.

- Trudne, ale nie niemożliwe, Anjin-san.

- Jak się mówi: „Nie, źle to robicie! Musicie biec wszyscy razem, razem zatrzymywać się, celować i strzelać”?

- A do kogo się zwracasz, Anjin-san? - spytała. Znowu poczuł przyływ zniechęcenia.

- To wszystko jest bardzo trudne, Mariko-san.

- O, nie Anjin-san, w porównaniu z innymi językami japoński jest bardzo prosty. Nie ma rodzajników. Nie ma odmiany czasowników i bezokoliczników. Wszystkie czasowniki są regularne, kończą się na „masu” i możesz, jeśli chcesz, wyrazić prawie wszystko za pomocą czasu teraźniejszego. Gdy o coś pytasz, to po czasowniku dodajesz po prostu „ka”. Przy przeczeniu zmieniasz „masu” na „masen”. Czy może być coś łatwiejszego? „Yukimasu” znaczy „idę”, ale równocześnie „ty, on, ona, ono, oni, my idziemy”, albo „pójdziemy”, albo nawet „mogliśmy pójść”. A nasze rzeczowniki w liczbie pojedynczej i mnogiej brzmią tak samo. „Tsuma” znaczy żona albo żony.

Bardzo proste.

- No, a jak odróżniacie yukimasu „idę” od yukimasu „poszli”?

- Dzięki modulacji głosu i akcentowi. Posłuchaj: yukimasu - yukimasu.

- Ale to brzmi dokładnie tak samo.

- Och, Anjin-san, to dlatego, że myślisz w twoim rodzinnym języku. Żeby zrozumieć japoński, musisz myśleć po japońsku. Nie zapominaj, że nasza mowa to mowa nieskończoności. Wszystko jest takie proste. Wystarczy tylko zmienić swoje pojmowanie świata. Japońska mowa to nauka nowej sztuki, niezależna od świata. . Taka prosta.

: - O dupę potłuc - mruknął po angielsku i poczuł się lepiej.

- Słucham? Co powiedziałaś?

- Nic. Ale to, co mówisz, nie ma sensu.

- Naucz się hieroglifów - odparła.

- Nie mogę. Za długo by mi to zajęło. Dla mnie nic one nie znaczą.

- Posłuchaj, Anjin-san, właściwie są to bardzo proste rysunki. Chińczycy są bardzo mądrzy.

Pożyczyliśmy sobie od nich pismo tysiąc lat temu. Weź na przykład ten hieroglif albo symbol, który wyobraża świnię.

- Wcale nie przypomina świni.

- Kiedyś przypominał. Pozwól, że ci pokażę. Proszę. Po dodaniu nad „świnią” symbolu „dachu” co otrzymasz?

- Świnię pod dachem.

- Ale co to znaczy? Co znaczy ten nowy hieroglif?

- Nie wiem.

- „Dom”. W dawnych czasach Chińczycy uważali, że świnią pod dachem oznacza dom. Nie są buddystami, jedzą mięso, dlatego świnią dla nich, dla wieśniaków, przedstawiała zamożność, a zatem zasobny dom. I stąd ten hieroglif.

- Ale jak wy to wymawiacie?

- To zależy od tego, czy jesteś Chińczykiem, czy Japończykiem.

- Oh ko!

- Zaprawdę oh ko - powiedziała ze śmiechem. - A to inny hieroglif. Przedstawia „dach”,

„świnię” i „kobietę”. Dwie „świnie” pod „dachem” oznaczają „pogardę”. Dwie „kobiety” pod jednym

„dachem” oznaczają „niezgodę”. Ne?

- Jak najbardziej!

- Naturalnie pod pewnymi względami Chińczycy są bardzo głupi, a ich kobiety nie są tak wyszkolone jak nasze. W twoim domu nie ma niezgody, prawda?

Blackthorne właśnie się nad tym zastanawiał, teraz, dwanaście dni po swoich ponownych narodzinach. Nie, nie było niezgody. Ale również i prawdziwego domu. Fujiko pełniła rolę jedynie wiernej gospodyni i wiedział, że kiedy on wieczorem pójdzie spać, zostanie futony znowu rozłożone, ona zaś będzie cierpliwie klęczeć przy nich z kamienną twarzą. W nocnym kimonie, podobnym do dziennego, tylko że miększym i luźno związanym w pasie nie sztywnym obi, tylko szarfą.

- Dziękuję ci, pani - powie jej. - Dobranoc.

Ona ukloni mu się i w milczeniu odejdzie do izby po drugiej stronie korytarza. A wtedy on wejdzie pod cieniotką jedwabną siatkę przeciwko komarom. Siatkę dotąd mu nie znaną. Potem zaś ułoży się błogo, a w nocy, słysząc z zewnątrz bzykanie nielicznych owadów, zatrzyma się myślą na Czarnej Karaweli, na tym, jak wiele ona znaczy dla Japonii.

Bez Portugalczyków nie ma handlu z Chinami. Jedwabiu na odzież i na siatki. Już teraz, choć wilgoć w powietrzu dopiero zaczynała wzbierać, doceniał wartość jedwabnych szat.

Wiedział, że jeżeli będzie się kręcił w nocy, to służąca prawie natychmiast otworzy drzwi i spyta, czy czegoś sobie życzy. Kiedyś tego nie rozumiał. Odprawił służącą, po czym wyszedł do ogrodu i usiadł na stopniach, przyglądając się księżycowi. Po kilku minutach pojawiła się rozczochrana, zaspana Fujiko i bez słowa usiadła za jego plecami.

- Coś ci przynieść, panie? - spytała.

- Nie, dziękuję. Idź spać, proszę.

Powiedziała coś niezrozumiałego. Ponownie odprawił ją gestem, na co przemówiła ostrym tonem do towarzyszącej jej wiernie jak cień służącej. Wkrótce potem zjawiała się Mariko.

- Czy dobrze się czujesz, Anjin-san?

- Tak. Nie rozumiem, co was zaniepokoiło. Chryste Panie, przecież ja tylko patrzę na księżyc.

Nie mogłem zasnąć. Chciałem się tylko przewietrzyć.

Fujiko powiedziała coś zacinając się, zakłopotana i urażona jego zirytowanym głosem.

- Twierdzi, że kazałeś jej pójść spać, panie. Chce, żebyś wiedział tylko to, że nie mamy we zwyczaju, aby żona albo konkubina spała, kiedy nie śpi mąż.

- W takim razie będzie musiała zmienić zwyczaj. Ja często wstaję w nocy. Sam. To żeglarski nawyk, na łądzie mam bardzo lekki sen.

- Tak, Anjin-san.

Mariko wyjaśniła to dwóm Japonkom i odeszły. Ale Blackthorne wiedział, że Fujiko nie pójdzie spać i zrobi to dopiero po jego zaśnięciu. Bez względu na to, o jakiej porze wracał, zawsze była na nogach i czekała. W niektóre noce chadzał samotnie na brzeg morza. I mimo że nalegał, by być sam,

był świadom, że idą za nim i go śledzą. Nie dlatego, że bali się o to, iż ucieknie, ale dlatego, że mieli we zwyczaju nie pozostawiać ważnych osób bez opieki. A w Anjiro był ważną osobą.

Po jakimś czasie pogodził się z jej obecnością. Tak jak na początku powiedziała mu Mariko:

„Traktuj ją jak kamień, shoji albo ścianę. Służyć tobie to jej obowiązek”.

Z Mariko było inaczej.

Cieszył się, że została, Gdyby jej tu zabrakło, za nic nie rozpoczęłby szkolenia, nie mówiąc już o objaśnianiu subtelności bitewnej strategii.

- Anjin-san - usłyszał jej głos. Ukłoniła mu się. - Yabu-ko wa kiden no goshusseki o kon-ya wa hitsuo to senu to oserareru.

Powoli w głowie pojawiło mu się zdanie: Pan Yabu nie wymaga widzenia się dzisiaj z tobą.

- Ichi-ban - odparł uradowany. - Dōmo.

- Gomen nasai, Anjin-san. Anatawa. .

- Tak, Mariko-san - przerwał jej, rozleniwiony gorącym wodą. - Wiem, że powinienem wyrazić się inaczej, ale nie chcę w tej chwili mówić dłużej po japońsku. Nie dziś wieczorem. Czuję się dziś jak uczeń, którego zwolniono ze szkoły na święta. Czy wiesz, że są to moje pierwsze wolne godziny od przyjazdu tutaj?

- Tak, wiem o tym. - Uśmiechnęła się lekko. - A czy zdajesz sobie sprawę, senhor pilocie Bhrackhfon, że to moje pierwsze wolne godziny od twojego przyjazdu?

Zaśmiał się. Miała na sobie luźno przewiazaną szatę kąpielową z grubej bawełny, a na głowie ręcznik ochraniający włosy. Co Wieczór, kiedy jego zaczynało masować, ona kąpała się, czasem sama, a czasem z Fujiko.

- Proszę, możesz się już kąpać - rzekł, zbierając się do wyjścia z wanny.

- Och, nie, proszę. Nie chcę ci przeszkadzać w kąpeli., - To kąp się ze mną. Jest cudowna.

- Dziękuję. Nie mogę się doczekać, żeby zmyć z siebie pot i kurz.

Zdjęła szatę i usiadła na małym stołeczku. Służąca zaczęła ją namydlać, a Suwo czekał cierpliwie przy stole do masażu.

- To przypomina szkolne ferie - powiedziała.

Bardzo poruszył go widok jej nagiej tamtego dnia, kiedy pływali. Tym razem nagość Mariko i jego własna nie wywołała żadnej fizycznej reakcji. Żyjąc w tak bliskim otoczeniu ludzi na japońską

modłę, w japońskim domu z papierowymi ścianami i wielofunkcyjnymi izbami wiele razy oglądał ją rozebraną bądź w częściowym negliżu. Widział nawet, jak się załatwiała.

- A czy jest coś bardziej normalnego, Anjin-san? - spytała go kiedyś. - Ciało to rzecz zwykła, tak jak zwykle są różnice pomiędzy kobietami i mężczyznami, ne?

- Tak, ale. . my po prostu jesteśmy nauczeni inaczej.

- No, ale teraz jesteś tutaj, nasze zwyczaje są twoimi, a co normalne, jest normalne. Ne?

Jeżeli pod ręką nie było latryny albo kubła, to załatwienie fizycznej potrzeby na widoku było czymś zwyczajnym, po prostu podnosiłeś lub rozchylałeś kimono, kucałeś albo stałeś, a pozostali grzecznie czekali nie patrząc. Parawanami zasłanianie się rzadko, bo i po co? I tak wkrótce jakiś chłop zabierał twoje odchody i po zmieszaniu ich z wodą użyźniał pola. Ludzki mocz i kał były jedynym i najważniejszym nawozem w cesarstwie. Byków i koni hodowano niewiele, a innych źródeł

zwierzęcych odchodów nie było wcale. Tak więc zbierano cały ludzki gnój i sprzedawano rolnikom w całym kraju.

A kiedy widziałeś wysoko i nisko urodzonych, jak rozchylają i podnoszą szaty, załatwiają się na stojąco i w kucki, to przestawiałeś się krępować.

- Czy jest się czego krępować, Anjin-san?

- Nie.

- To dobrze - odparła, bardzo zadowolona. - Wkrótce będziesz jak surowa ryba, świeży glon, no a potem staniesz się prawdziwym hatamoto.

Służąca polala ją wodą. Czysta Mariko weszła do wanny i ułożyła się naprzeciw niego z długim rozkosznym westchnieniem. Pomiędzy jej piersiami huśtał się krzyżyk.

- Jak ty to robisz? - spytał.

- Co?

- Zanurzasz się tak szybko. A ta woda jest taka gorąca.

- Nie wiem, Anjin-san, ale poprosiłam, służbę, żeby podłożyła drewna i podgrzała ją. Fujiko zawsze pilnuje, żeby dla ciebie była. . jak to się mówi, letnia.

- Jeżeli to jest letnia woda, to ja jestem dudek!

- Słucham?

- Nic, nic.

Gorąca woda działała usypiająco i przez jakiś czas pławili się w niej bez słowa.

- Co chciałbyś robić dziś wieczorem, Anjin-san? - spytała później.

- Gdybyśmy byli w Londynie, to.. - Blackthorne urwał. Nie będę o nich myślał, powiedział sobie. Ani o Londynie. To przypało. Tego nie ma. Istnieje tylko ta chwila.

- Gdybyśmy byli? - zagadnęła, przyglądając się mu, świadoma zaszłej w nim zmiany.

- Poszlibyśmy do teatru na sztukę - dokończył, mobilizując się. - Czy macie tutaj sztuki?

- O, tak, Anjin-san. Bardzo je lubimy. Taikō lubił nimi zabawiać swoich gości, lubi je nawet pan Toranaga. I, naturalnie, mamy wiele wędrownych trup dających przedstawienia dla gminu. Ale, o ile wiem, nasze sztuki nie przypominają waszych. Nasi aktorzy noszą maski. Nazywamy te sztuki „no”.

Są częściowo muzyczne, częściowo tańczone i bardzo smutne, historyczne i bardzo tragiczne.

Mamy też komedie. Poszlibyśmy na komedię czy sztukę religijną?

- Nie, poszlibyśmy do teatru Glob i obejrzelibyśmy jakąś sztukę dramaturga Szekspira. Wolę go od Marlowe'a i Bena Jonsona. Może zobaczylibyśmy „Poskromienie złośnicy”, „Sen nocy letniej” albo „Romeo i Julię”. Na „Romeo i Julię” zabrałem swoją żonę i bardzo jej się podobało.

Opowiedział Mariko treść sztuki. Niewiele z tego zrozumiała.

- Podobne nieposłuszeństwo dziewczyny wobec ojca byłoby u nas nie do pomyślenia -

powiedziała. - Ale to takie smutne, nie? Smutne dla tej dziewczyny i dla tego chłopca. Miała tylko trzynaście lat? Czy wszystkie wasze kobiety wychodzą tak młodo za mąż?

- Nie. Zwykle w wieku piętnastu, szesnastu lat. Kiedy się żeniliśmy, moja żona miała siedemnaście. A ile lat miałaś ty?

- Tylko piętnaście, Anjin-san. - Nie spostrzegł, że lekko zmarszczyła brwi. - A co zrobilibyśmy po sztuce?

- Zabrałbym cię na kolację. Poszlibyśmy do Stone's Chop House na Fetter Lane albo do Cheshire Cheese na Fleet Street. To gospody, w których podają specjalne dania.

- Co byś zjadł?

- Wolę nie pamiętać - odparł uśmiechając się leniwie i wracając myślami do rzeczywistości. -

Nie pamiętam. Jesteśmy tutaj i tu zjemy kolację, smakuje mi surowa ryba, a karma jest karmą. -

Zanurzył się głębiej w wannie. - „Karma” to wspaniałe słowo. Wspaniały koncept. Ogromnie mi

pomogłaś, Mariko-san.

- Bardzo mi miło, że mogłam ci trochę pomóc. - Mariko odprężyła się w ciepłej kąpeli. - Fujiko przyszykowała ci dziś specjalną potrawę.

- Tak?

- Kupiła. . zdaje się, że nazywasz tego ptaka bażantem. To duży ptak. Schwytał go dla niej jeden z sokolników.

- Bażanta? Naprawdę? Honto?

- Honto - odparła. - Fujiko poprosiła ich, żeby go upolowali. Kazała mi, żebym ci to powtórzyła.

- Jak jest przyrządzony?

- Któryś z żołnierzy widział, jak przyrządzają go Portugalczycy, i jej powiedział. Fujiko prosi cię o wyrozumiałość, jeżeli nie będzie upieczony jak należy.

- Ale jak ona to robi. . w jaki sposób robią to kucharki? - poprawił się wiedząc, że gotują i sprzątają wyłącznie służące.

- Żołnierz powiedział, że najpierw ktoś musi oskubać go z piór, a potem . wypatroszyć. -

Mariko opanowała mdłości. - Następnie ptaka kraje się na małe kawałki i smaży w oleju albo gotuje z solą i przyprawami. - Zmarszczyła nos. - Niekiedy oblepiają go błotem, kładą na węgle paleniska i pieką. Tutaj nie mamy pieców, Anjin-san. Więc będzie usmażony. Mam nadzieję, że taki jak trzeba.

- Na pewno będzie doskonały - odparł przekonany, że nie będzie się nadawał do jedzenia.

Roześmiała się.

- Czasem tak łatwo zdradzasz swoje myśli, Anjin-san - powiedziała.

- Nie masz pojęcia, jak ważne jest jedzenie! - Uśmiechnął się wbrew chęciom. - Masz rację.

Nie powinienem przywiązywać wagi do jedzenia. Ale nie potrafię opanować głodu.

- Wkrótce się tego nauczysz. Nauczysz się nawet, jak pić z pustej filizanki.

- Słucham?

- Nie miejsce tu ani czas, żeby ci to wyjaśniać, Anjin-san. Do tego musisz być w pełni rozbudzony i czujny. Konieczny jest cichy wieczór albo świt. Za to, co zrobiłeś, kiedyś pokażę ci, na czym to polega. Och, jak miło jest tak leżeć, prawda? Kąpiel to zaiste boski dar.

Usłyszeli, jak za ścianą służące dokładają do paleniska. Wytrzymał wzrastającą temperaturę, póki

mógł, aż wreszcie z pomocą Suwo wyskoczył z wody i dysząc spoczął na wznak na grubym ręczniku. Palce starego wniknęły w jego ciało. Chciało mu się zawołać z rozkoszy: „Ach, jakie to cudowne!”

- Tak bardzo się zmieniłeś przez te kilka zeszłych dni, Anjin-san - powiedziała. -

- Czyżby?

- O tak, od twoich ponownych narodzin. . tak, bardzo.

- To moje dziewiąte życie! Ostatnie! - odparł.

- Słucham? - spytała Mariko. - Co mówiłeś?

- Nic. Nic takiego - odparł zakłopotany.

Przekręcił się na brzuch. Widział ją wśród pary. Głęboko oddychała, głowę miała lekko odchyloną, a skórę zaróżowioną.

Jak ona wytrzymuje taki wrzątek? - zastanawiał się. - Chyba dzięki przyzwyczajeniu od dzieciństwa.

Palce Suwo sprawiały mu przyjemność, na chwilę przysnął.

O czym to myślałem? - zadał sobie pytanie.

O moim dziewiątym życiu, życiu ostatnim, i przestraszyłem się na wspomnienie tego przesądu. Ale głupio jest być przesądnym w tej Krainie Bogów. Tu wszystko jest inne, na wieczność.

A wieczność to dziś.

Jutro może zdarzyć się bardzo wiele.

A dziś dostosuję się do ich zasad.

Tak zrobię.

Jozenowi szumiało w głowie. Nie od sake, od myśli o niewiarygodnej strategii wojennej, którą tak otwarcie przedstawili mu Yabu, Omi i Igurashi. Jedyne zastępca Yabu, syn śmiertelnego wroga, Naga, ze ściągniętą twarzą i charakterystycznym długim nosem Toranagi, stale milczał, przez cały wieczór zachowując się chłodno, sztywno i wyniośle.

- Zdumiewające, Yabu-sama - rzekł. - Teraz pojmuję, czemu byliście tacy dyskretni. Mój pan też to zrozumie. Mądrze, bardzo mądrze. Milczałeś przez cały wieczór, Naga-san. A ja chciałbym poznać twoją opinię. Jak ci się podoba ta ruchliwość wojska. . ta nowa strategia?

- Mój ojciec uważa, że w wojnie należy uwzględniać wszelkie możliwości - odparł młodzieniec.

- A jakie jest twoje osobiste zdanie?

- Prysłano mnie tutaj, żebym Wypełniał rozkazy, obserwował, słuchał, uczył się i próbował. A nie po to, żebym wygłaszał opinie.

- Oczywiście. Ale jako zastępca dowódcy, a raczej, znamienity zastępca dowódcy, uważasz to doświadczenie za udane?

- Na to powinni odpowiedzieć Yabu-sama albo Omi-san. Bądź mój ojciec.

- Ale przecież Yabu-sama obiecał, że wszyscy będą się dziś wypowiadać swobodnie. Co tu jest do ukrywania? Przecież jesteśmy przyjaciółmi, ne? Tak sławny syn tak sławnego ojca z pewnością ma własne zdanie. Ne?

Na tę obelgę Naga zmrużył oczy, ale nic nie powiedział.

- Wszyscy mogą się wypowiadać swobodnie, Naga-san - rzekł Yabu. - Co zatem o tym myślisz?

- Myślę, że z zaskoczenia można tym sposobem wygrać jedną potyczkę albo bitwę. Tak, w razie zaskoczenia przeciwnika. Ale co potem? - Głos Nagi stał się lodowaty. - Potem wszystkie walczące strony zastosują tę taktykę w walce i niepotrzebnie zginie mnóstwo żołnierzy zabitych niehonorowo przez napastników, którzy nawet nie będą wiedzieli, kogo uśmiercili. Wątpię, czy mój ojciec rzeczywiście się zgodzi na zastosowanie tej taktyki w prawdziwej bitwie.

- Tak powiedział? - spytał natarczywie Yabu, nie bacząc na obecność Jozena.

- Nie, Yabu-sama. Wyrażam własną opinię. Oczywiście.

- Ale jeśli chodzi o pułk muszkietów. . to go nie pochwalasz? Razi cię? - ' spytał ponuro Yabu.

Naga spojrział na niego oczami płaskimi jak u gada.

- Skoro mnie pytasz o zdanie, to owszem, z całym szacunkiem, ale budzi on we mnie odrazę.

Nasi praojcowie zawsze wiedzieli, kogo zabijają i kto ich zwycięża. To bushido, nasz rycerski kodeks, Droga Wojownika, kodeks prawdziwego samuraja. Lepszy zwycięża, ne? Ale to? Jakże udowodnisz swoją dzielność panu? Jakże może on wynagrodzić cię za odwagę? Szarżować, na kule, owszem, to czyn mężny, ale i zarazem głupi. Bo co w tym dzielnego? Muszkiety są sprzeczne z naszym kodeksem samurajskim. Tak walczą barbarzyńcy, tak walczą chłopci. Czy zdajecie sobie sprawę, że w ten sposób mogą walczyć plugawi kupcy, chłopci, a nawet pariasi eta? - Jozen zaśmiał się, Naga zaś ciągnął jeszcze bardziej złowieszczy tonem. - Garstka fanatyków wyposażonych w muszkiety może z łatwością zabić dowolną liczbę samurajów! Tak, chłopci mogą zabić każdego z nas, nawet pana Ishido, który chce zająć miejsce mojego ojca. Jozen zachnął się.

- Pan Ishido nie pożąda ziem twojego ojca, panie. Dąży tylko, by zachować cesarstwo dla prawowitego następcy.

- Mój ojciec nie zagraża Yaemonowi ani cesarstwu.

- Oczywiście, ale ty mówiłeś o chłopach. Chłopem był ongiś pan taikō. Chłopem był kiedyś mój pan Ishido. Chłopem byłem kiedyś ja. I roninem!

Naga nie pragnął zwady. Wiedział, że nie sprostą Jozenowi, który słynął z wprawy we władaniu mieczem i toporem.

- Nie miałem zamiaru obrażać twojego pana, ciebie ani nikogo, Jozen-san. Chciałem tylko powiedzieć, że nam, samurajom, nie wolno dopuścić, żeby chłopstwo dostało do ręki broń palną, bo wówczas przestaniemy być bezpieczni.

- Kupcy i chłopci nigdy nam nie zagrożą - odparł Jozen.

- Zgadzam się - rzekł Yabu - a po części zgadzam się też z tobą, Naga-san. Tak. Ale muszkiety to broń nowoczesna. Wkrótce będą nimi staczane wszystkie bitwy. Przyznaję, że są odrażające. Ale tak się toczy nowoczesne wojny. A mimo to pozostanie tak, jak było zawsze -

najdzielniejsi wojownicy zawsze będą górą.

- O, nie, przykro mi, ale mylisz się, Yabu-sama! O czym nam opowiada ten przekłety barbarzyńca? O istocie ich wojskowej strategii? Sam przyznaje, że ich wojsko pochodzi z zaciągu i najmu. Ne? Najmu! Pozbawione wszelkiego poczucia obowiązku wobec własnego pana. Żołnierze walczą tylko dla zapłaty i rabunku, łupów, gwałtów i pełnego brzucha. Czyż nie przyznał, że ich armie są złożone z chłopów? Oto do czego doprowadziły w ich świecie muszkiety i do tego samego doprowadzą u nas. Gdybym miał władzę, to już dzisiaj ściałbym głowę temu barbarzyńcy i na zawsze zakazał używania broni palnej.

- Czy tak właśnie sądzi twój ojciec? - spytał nazbyt prędko Jozen.

- Jak z pewnością wiesz, mój ojciec nie zdradza, co myśli, ani mnie, ani nikomu. Nie mówię w imieniu swojego ojca, za niego nikt bowiem nie mówi - odparł Naga, zły, że w ogóle dał się wciągnąć do rozmowy, - Zostałem przysłany tutaj, żeby wykonywać rozkazy, słuchać, a nie mówić.

Przepraszam. Nie odezwałbym się, gdybyś mnie nie spytał. Jeżeli cię, panie, obraziłem, albo ciebie, Yabu-sama, lub ciebie, Omi-san, to przepraszam.

- Niepotrzebnie przepraszasz. Spytałem cię o twoje zdanie - rzekł Yabu. - Jakżeby ktoś mógł tutaj czuć się obrażony. Przecież rozmawiamy, ne? Prowadzimy rozmowę między przywódcami.

Zakazałbyś stosowania muszkietów?

- Tak. Myślę, że mądrze byś zrobił, gdybyś objął ścisłą kontrolą całą broń palną w swoich włościach.

- Wieśniakom nie wolno posiadać żadnej broni. A moi chłopci i samuraje są dobrze pilnowani.

Jozen uśmiechnął się głupkowato do szczupłego młodzieńca, którego nie lubił.

- Masz ciekawe poglądy, Naga-san - rzekł. - Ale mylisz się co do chłopów, Dla samurajów są tylko dostarczycielami dóbr. Mogą im zrobić tyle co kupa gnoju;

- W tej chwili! - odparł Naga, dając się ponieść dumie. - Dlatego też zakazałbym muszkietów natychmiast. Masz słuszność, Yabu-san, że nowa epoka wymaga nowych metod. Ale zważywszy to, co powiedział ten barbarzyńca pilot, rozszerzyłbym obowiązujące prawa. Wydałbym dekret, żeby każdego, kto nie jest samurajem, a kogo przyłapie się na posiadaniu broni palnej albo handlu nią, natychmiast pozbawić życia wraz z wszystkimi członkami jego rodziny we wszystkich pokoleniach.

Ponadto zabroniłbym sprowadzania i wyrobu muszkietów. Zabroniłbym barbarzyńcom noszenia ich oraz przywożenia ich do naszego kraju. Tak, gdybym miał władzę, o którą nie zabiegam i której nigdy miał nie będę, w ogóle nie dopuściłbym barbarzyńców do naszej ziemi, nie licząc garstki kapłanów i jednego portu handlowego, który otoczyłbym wysokim murem i kordonem zaufanych wojowników. I oczywiście natychmiast uśmierciłbym tego znieprawionego barbarzyńcę, żeby nie rozszerzał swojej nikczemnej wiedzy. Ten człowiek to zaraza.

- Och, Naga-san, jak dobrze jest być takim młodym - rzekł Jozen. - Wiedz, że mój pan zgadza się z wieloma twoimi poglądami na temat barbarzyńców. Wielekroć słyszałem z jego ust słowa: „Przepędzić ich, wyrzucić, wykopać do Nagasaki i niech tam siedzą!” Zabiłbyś Anjin-sana, tak? Ciekawe. Mój pan również go nie lubi. Ale dla niego.. - Jozen urwał. - O, tak, to dobry pomysł z tymi muszkietami. Widzę to bardzo wyraźnie. Czy mogę o nim powiedzieć swojemu panu? O twoim pomysłe dotyczącym nowych praw?

- Oczywiście - odparł Naga, który złagodniał i uspokoił się, wyrzuciwszy z siebie to, co tłumił w duszy od pierwszego dnia.

- Podzieliłeś się tą opinią z panem Toranagą? - spytał Yabu.

- Pan Toranagą nie prosił mnie o zdanie. Mam nadzieję, że kiedyś zrobi mi ten zaszczyt i poprosi mnie o to, co ty - odparł natychmiast szczerym tonem Naga zastanawiając się, czy któryś z nich zwietrzył kłamstwo.

- Skoro dyskutujemy swobodnie - odezwał się Omi - to ja uważam tego barbarzyńcę za bezcenny skarb. Moim zdaniem powinniśmy się od niego uczyć. Musimy znać się na broni palnej i na statkach wojennych, ponieważ znajdują się na nich oni. Musimy poznawać ich wiedzę natychmiast po nich, a nasi przedstawiciele muszą od zaraz przystąpić do nauki ich sposobu rozumowania, tak żebyśmy mogli szybko ich prześcignąć.

- A na czymż to oni się znają, Omi-san? - spytał z zadufaniem Naga. - Przyznaję, że na muszkietach i statkach. Ale na czym więcej? Jakże mogą nas zniszczyć? Przecież nie ma wśród nich samurajów. Czy ten pilot nie przyznaje otwarcie, że nawet ich królowie to mordercy i religijni fanatycy? Nas są miliony, a ich garstka. Możemy ich nakryć gołymi dłońmi.

- Ten Anjin-san otworzył mi oczy, Naga-san. Odkryłem, że na naszej ziemi i Chinach świat się nie kończy, że są one tylko jego małą częścią. Z początku uważałem to za ciekawostkę, ale już tak nie uważam. Dziękuję bogom, że go nam zesłali. Myślę, że nas zbawił, i wiem, że możemy się od niego

wiele nauczyć. Już obdarzył nas władzą nad Południowymi Barbarzyńcami. . i nad Chinami.

- Jak to?

- Taikō nie powiodło się z nimi, gdyż w pojedynku wojownik na wojownika, strzała na strzałę, są od nas liczniejsi, ne? A dzięki muszkietom i barbarzyńskiej taktyce walki możemy zdobyć Pekin.

- Dzięki barbarzyńskiej zdradliwości, Omi-san!

- Dzięki barbarzyńskiej wiedzy, Naga-san, możemy zdobyć Pekin. Kto go zdobędzie, w końcu zawładnie Chinami. A kto włada Chinami, ten włada światem. Musimy się nauczyć, że nie jest ujmą czerpanie wiedzy od każdego, kto ją ma.

- Uważam, że nie potrzeba nam nic, co jest z zewnątrz.

- Bez obrazy, Naga-san, a ja uważam, że musimy chronić tę Krainę Bogów wszelkimi dostępnymi sposobami. Naszym obowiązkiem jest ochrona niepowtarzalnej, boskiej pozycji Japończyków na tej ziemi. Tylko ten ląd jest Krainą Bogów, ne? Tylko nasz cesarz jest boski.

Przyznaję, że temu barbarzyńcy powinno się zamknąć usta. Ale nie przez zabicie go. Tylko trzymając go w stałym odosobnieniu tu, w Anjiro, dopóki nie nauczymy się od niego wszystkiego, co wie. Jozen podrapał się w zadumie.

- Powiadomię mojego pana o waszych poglądach. Zgadzam się, że barbarzyńcę trzeba odizolować. A także z tym, że szkolenie należy przerwać natychmiast.

Yabu wyjął z rękawa zwitek pergaminu.

- Oto pełne sprawozdanie dla pana Ishido o naszym doświadczeniu z muszkietami. Kiedy pan Ishido wyrazi życzenie, żeby przerwać szkolenie, to naturalnie przerwiemy je - powiedział.

Jozen przyjął pergamin.

- A pan Toranaga? Co z nim? - spytał, przenosząc wzrok na Nagę. Naga w milczeniu wpatrzył się w pergamin.

- O jego zdanie będziesz mógł się zapytać bezpośrednio - odparł Yabu. - Sporządzi podobny raport. Przypuszczam, że jutro wybierzesz się do Edo? A może chcesz się przyjrzeć naszemu szkoleniu? Nie muszę ci chyba mówić, że moim żołnierzom daleko jeszcze do biegłości.

- Chciałbym obejrzeć jeden taki „atak”.

- Omi-san, zajmiesz się tym. Poprowadzisz ten atak.

- Tak, wielmożny panie.

Jozen zwrócił się w stronę swojego zastępcy i wręczył mu pergamin.

- Masumoto, natychmiast zawieziesz go panu Ishido. - rzekł.

- Tak jest, Jozen-san.

- Daj mu przewodników do granicy i świeże konie - powiedział Yabu do Igurashiego.

Igurashi natychmiast wyszedł z samurajem. Jozen przeciągnął się i ziewnął.

- Proszę o wyrozumiałość, ale to przez tę nieustanną-kilkudniową jazdę. Muszę podziękować ci za ten nadzwyczajny wieczór, Yabu-sama. Twoje pomysły są dalekosiężne. I twoje, Omi-san. I twoje, Naga-san. Pochwalę was przed panem Toranagą i przed moim panem. A teraz wybaczcie, panowie, ale jestem bardzo zmęczony, a do Osaki kawał drogi.

- Istotnie - zgodził się Yabu. - A co słyhać w Osace?

- Doskonale. Pamiętasz, panie, tych bandytów, którzy zaatakowali was z lądu i z morza?

- Oczywiście.

- Tej nocy zdjeliśmy cztery i pół setki głów. Wielu miało na sobie mundury Toranagi.

- Roninowie nie mają honoru. Ani krzty.

- Niektórzy roninowie mają - wtrącił się Jozen, zraniony tą zniewagą. Wciąż ciążył mu wstyd, że kiedyś był roninem. - Część była ubrana nawet w nasze szare. Nikt nie uciekł. Wszyscy zginęli.

- A Buntaro-san?

- Nie. On. . - Jozen urwał. Wymknęło mu się to „nie”, ale skoro już się wygadał, przestało mu na tym zależeć. - Nie. Nie mamy pewności. . nikt nie przyniósł jego głowy. Nie mieliście, o nim żadnych wieści?.

- Nie - odparł Naga.

- Może go schwytano. Może poszatковано na kawałki i je rozrzucono. Kiedy dotrą do was jakieś wieści, mój pan chciałby je usłyszeć. W tej chwili, w Osace sprawy mają się bardzo dobrze.

Przygotowania do narady posuwają się naprzód. Dla uczczenia początku nowej epoki przygotowano liczne rozrywki, oczywiście także na cześć wszystkich daimyō.

- A co z panem Todą Hiro-matsu? - spytał grzecznie Naga.

- Stary Żelazna Pięść jest silny i obcesowy jak zwykle.

- Nadal tam przebywa?

- Nie. Wyjechał ze wszystkimi samurajami twojego ojca na kilka dni przede mną.

- A co z domownikami mego ojca?

- Słyszałem, że panie Kiritsubo i Sazuko poprosiły o pozostanie w gościnie mojego pana.

Lekarz zalecił pani Sazuko miesięczny odpoczynek, rozumiesz, panie, ze względu na jej zdrowie.

Uznał, że podróż nie będzie korzystna dla dziecka, którego się spodziewa - odparł Jozen i spytał

Yabu: - W wieczór twojego wyjazdu z Osaki przewróciła się, prawda?

- Tak.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego - rzekł bardzo zatroskany Naga.

- Nie, Naga-san, nic poważnego - zapewnił Jozen i ponownie zwrócił się do Yabu. -

Powiadomiłeś pana Toranagę o moim przyjeździe?

- Oczywiście.

- To dobrze.

- Przywiezione przez ciebie wieści na pewno bardzo go zainteresują.

- Tak. Widziałem krążącego gołębia pocztowego, który odleciał na północ.

- Korzystam już z gołębi - rzekł Yabu, zatajając, że zauważono też gołębia Jozena, którego w pobliżu gór przechwyciły jego sokoły, oraz że przesłana wiadomość została rozszyfrowana. Brzmiała ona: „W Anjiro. Wszystkie doniesienia prawdziwe. Są tu Yabu, Naga, Omi i barbarzyńca”.

- Jeżeli pozwolisz, to wyjadę jutro, panie, po „ataku”. Dasz mi świeże konie? Nie mogę dopuścić, żeby pan Toranaga długo na mnie czekał. Zobaczę go z wielką ochotą. Podobnie jak mój pan. W Osace. Liczę, że będziesz mu towarzyszył, panie Naga - powiedział Jozen.

- Jeżeli dostanę rozkaz, to się tam stawię.

Naga miał spuszczonego wzrok, ale w środku gotowała się w nim tłumiona wściekłość.

Jozen wyszedł i wraz ze strażnikami wspinał się na wzgórze do swojego obozu. Zmienił strażę, polecił swoim samurajom iść spać, a potem wszedł do małego szałasiku z gałęzi, zbudowanego na wypadek deszczu. Pod moskitierą przy świecy przepisał poprzednio wysłaną wiadomość na cienkim papierze ryżowym i dopisał: „Pięćset muszkietów to śmiertelna groźba. Planowany zmasowany atak bronią palną z zaskoczenia, pełny raport wiezie już Masumoto”. Postawił datę i zgasił świecę. W

ciemnościach wyślizgnął się spod moskitiery, wyjął z klatki gołębia i umieścił wiadomość w

kapsułce na jego łapie. A potem chyłkiem przedostał się do jednego ze” swoich ludzi i wręczył mu ptaka.

- Zanieś go w krzaki - szepnął. - Ukryj go w jakimś miejscu, gdzie przesiedzi bezpiecznie do świtu. Jak najdalej stąd. Ale zachowaj ostrożność, bo tu wszędzie są oczy. Jeżeli cię odkryją, to powiedz, że cię wysłałem na patrol. Najpierw jednak ukryj gołębia.

Samuraj wymknął się z obozu cicho jak karaluch.

Zadowolony z siebie Jozen spojrział w dół na wioskę. W warowni i na przeciwległym stoku, w domu, który, jak „wiedział, należał do Omiego, paliły się światła. Poniżej niego, w domu barbarzyńcy, również kilka.

Ten szczeniak Naga ma rację, pomyślał Jozen, odganiając komara. Ten barbarzyńca to straszna zaraza.

*

- Dobranoc, Fujiko-san.

- Dobranoc, Anjin-san.

Shoji zamknęło się za nią. Blackthorne zdjął kimono, opaskę na biodra, wdział lżejsze kimono nocne, wszedł pod moskitierę i położył się.

Zdmuchnął świecę. Otoczyły go głębokie ciemności. W domu panowała cisza. Małe okiennice były zamknięte, słyszał morskie fale. Chmury przesłoniły księżyc.

Od śmiechu i wina było mu wesoło i kręciło mu się w głowie. Sennie słuchał fal, mając wrażenie, że unosi się na nich. Czasem w wiosce na dole zaszczekał pies. Powinienem, wziąć sobie jakiegoś, pomyślał, bo przypomniał sobie swojego bulteriera. Ciekawe czy jeszcze żyje? Wabił się Grog, ale mój syn Tudor nazywał go zawsze „Og-og”.

Ach, Tudorku. Tyle czasu. Tak chciałbym zobaczyć was wszystkich, a przynajmniej napisać list i wysłać do kraju. Pomyślmy. Od czego by tu zacząć?

Kochani moi. To mój pierwszy list, który mogłem wysłać do kraju od wylądowania w Japoni . U mnie wszystko dobrze, odkąd nauczyłem się żyć podług tutejszych zwyczajów. Niedługo odzyskam statek. Od czego zacząć opowieść? W tej chwili żyję w tym dziwnym kraju niczym feudalny pan.

Mam dom, konia, ośmioro służby, gospodynię, osobistego fryzjera i własnego tłumacza. Chodzę gładko ogolony, a golą mnie codziennie - tutejsze stalowe brzytwy są z pewnością najlepsze na świecie. Zarabiam bardzo dużo - tyle, ile trzeba na wyżywienie przez rok dwustu pięćdziesięciu japońskich rodzin. W Anglii oznaczałoby to blisko tysiąc złotych gwinei! Dziesięć razy więcej niż moje zarobki w spółce holenderskiej. .

Ktoś zaczął odsuwać shoji. Blackthorne wymacał pod futonem pistolet i przygotował się, odsuwając w tył-. I wówczas usłyszał prawie nieuchwytny szelest jedwabiu i poczuł woń perfum.

- Anjin-san? - dobiegł go cichutki, wiele obiecujący szept.

- Hai? - odparł cicho, świdrując oczami ciemności i niewiele widząc.

Kroki przybliżyły się. Usłyszał, jak jego gość klęka, odsuwa siatkę przeciw moskitom, wchodzi pod nią i zakrywa ją z powrotem. Japonka wzięła jego rękę i podniosła do swojej piersi, a potem do ust.

- Mariko-san?

W ciemnościach natychmiast dotknęła palcami jego ust nakazując, by milczał. Skinął głową, rozumiejąc straszliwe ryzyko, na jakie się narażają. Ujął przegub jej drobnej ręki i musnął go wargami. W atramentowych ciemnościach odszukał dłoń jej twarzy i zaczął ją gładzić. Ucałowała jego palce jeden po drugim. Jej rozpuszczone włosy sięgały do pasa. Wędrował rękami po jej ciele.

Czuł rozkoszny dotyk jedwabiu, a pod nim tylko skórę. -

Była przemiła. Językiem dotknął jej zębów, powiódł nim po brzegach jej uszu, zapoznając się z nią. Rozwiązała mu nocne kimono i z omdlewającym westchnieniem pozbyła się swojego. Przysunęła się bliżej, wtuliła w niego i nasunęła im na głowy przykrycie. A potem, nie żałując warg i rąk, zaczęła się z nim kochać. Z czułością, pomysłowością i wprawą, o jakich dotąd nie miał pojęcia.

33.

Blackthorne obudził się o świcie. Był sam. Z początku wydawało mu się, że to wszystko mu się przyśniło, ale w powietrzu wciąż unosił się zapach jej perfum, po czym poznał, że to nie był sen.

Rozległo się dyskretne pukanie.

- Hai?

- Ohayo, Anjin-san, gomen nasai.

Fujiko, przed którą służąca otworzyła shoji, wniosła na tacy cha, miskę z kleikiem ryżowym i słodkie ryżowe ciasteczka.

- Ohayo, Fujiko-san, dōmo - podziękował jej.

Zawsze osobiście przynosiła pierwszy posiłek, odsuwała siatkę i czekała, kiedy jadł, służąca zaś przygotowywała dla niego świeże kimono, tabi i przepaskę na biodra.

Popijając cha zastanawiał się, czy Fujiko wie o tej nocy. Z jej miny nie mógł wyczytać niczego.

- Ikaga desu ka? - zagadnął, pytając, jak się czuje.

- Okagasama do genki desu, Anjin-san. Anata wa? (Bardzo dobrze, dziękuję. A ty?) Z ukrytej komódki, wkomponowanej z ręcznie w ten pokój z drewnianych kratownic i papieru, służąca wyjęła dla niego świeży przyodziewek i zostawiła ich samych.

- Anata wa yoku nemutta ka? (Czy dobrze spałaś?) - spytał.

- Hai, Anjin-san, arigato goziemashita! - Uśmiechnęła się, przytknęła rękę do czoła tak, jakby bolała ją głowa, i pokazała, że upiła się i spała jak kamień. - Anata wa?

- Watashi wa yoku nemuru (Spałem bardzo dobrze) - odparł.

- Watashi wa yoku nemutta - poprawiła go.

- Dōmo. Watashi wa yoku nemutta.

- Yoi! Taihenyoi! (Dobrze. Doskonale.)

- Fujiko-san? - zawołała z korytarza Mariko.

- Hai, Mariko-san?

Fujiko podeszła do shoji i je uchyliła. Nie zobaczył Mariko. Nie zrozumiał też, o czym rozmawiają.

Mam nadzieję, że nikt nie wie o niczym, pomyślał. Modlę się, żeby pozostało to naszą tajemnicą,

tylko nas dwojga. Może lepiej byłoby, gdyby to był zwykły sen.

Zaczął się ubierać. Fujiko wróciła, uklękła i zajęła się zawiązywaniem jego tabi.

- Mariko-san? Nan ja? - spytał.

- Nane mo, Anjin-san - odparła, twierdząc, że to nic ważnego. Przeszła do tokonama, niszy z wiszącymi ornamentami i kompozycją kwiatową, gdzie zawsze odkładano jego miecze. Zatknał je za pas. Nosił je, nie czując się już dłużej śmiesznie, ale chciałby to robić śmieiej.

Wyszedł na werandę. Włożył sandały i skinął głową służącym, którzy zgodnie ze zwyczajem, stali w szeregu przed nim, żeby mu się pokłonić.

Dzień był szary. Niebo zaciągnięte, a od morza wiał ciepły, wilgotny wiatr. Osadzone w żwirowanej ścieżce kamienie służące do chodzenia były mokre od deszczu, który spadł w nocy.

Za bramą czekało dziesięciu konnych samurajów z jego świty i Mariko.

Siedziała już w siodle ubrana w jasnożółty kaftan, jasnozielone jedwabne spodnie, przytrzymywany żółtymi wstążkami kapelusz z szerokim rondem i welonem oraz w rękawiczki. W

pochwie przy siodle tkwiła przygotowana parasolka.

- Ohayo - przywitał się oficjalnie. - Ohayo, Mariko-san.

- Ohayo, Anjin-san. Ikaga desu ka?

- Okagesama de genki desu. Anata wa?

- Yogi, arigato goziemashita - odparła z uśmiechem.

Niczym nie dała po sobie poznać, że coś się pomiędzy nimi zmieniło.

Niczego jednak nie oczekiwał, a tym bardziej publicznie, zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa ich sytuacji. Owionął go zapach jej perfum i poczuł nagłą ochotę, żeby ją pocałować, przy wszystkich.

- Ikimasho! - oznajmił, dosiadł konia i dał znak samurajom, żeby pojechali przodem.

Ruszył niespiesznie, a Mariko zrównała się z nim, jadąc obok. Kiedy zostali we dwoje, odprężył się.

- Mariko.

- Hai?

- Jesteś piękna i cię miłuję - powiedział po łacinie.

- Dziękuję ci, panie, ale z powodu tej ilości wina zeszłego wieczoru w mej głowie wcale nie jest pięknie. Miłość zaś to, zaprawdę, słowo chrześcijańskie.

- Jesteś piękna i jesteś chrześcijanką, a wino wcale na ciebie nie działa.

- Dzięki ci za twe kłamstwo, Anjin-san, o tak, dzięki.

- Nie. To ja tobie powinienem złożyć dzięki.

- Tak? A dlaczego?

- Nigdy nie pytaj „dlaczego”, żadnych „dlaczego”. Dziękuję ci szczerze.

- Skoro wino i mięso czyni cię tak serdecznym, miłym i rycerskim, to muszę polecić twojej konkubinie, żeby poruszyła niebo i ziemię, abyś je jadł codziennie.

- Tak. Rad bym mieć wciąż to samo, zawsze.

- Tryskasz dziś wyjątkowym szczęściem, panie. To dobrze, to bardzo dobrze. Ale dlaczego?

Dlaczego zaiste?

- To dzięki tobie. Ty wiesz dlaczego.

- Nie wiem nic, Anjin-san.

- Nic? - spytał, drocząc się z nią.

- Nic.

Stropił się. Przecież byli zupełnie sami i bezpieczni.

- Czemuż to „nic” gasi twój uśmiech, panie? - spytała.

- Ależ ze mnie głupiec. Skończony głupiec. Zapomniałem, że najmądrzej jest zachować ostrożność. Ale zostaliśmy sami, a ja chciałem ci to powiedzieć. Prawdę mówiąc, powiedzieć więcej.

- Mówisz zagadkami. Nie rozumiem cię. Znów się speszył.

- Nie chcesz o tym rozmawiać, pani? Wcale?

- O czym, Anjin-san?

- A co w takim razie zaszło tej nocy?

- Ja zaszłam blisko twoich drzwi, kiedy była u ciebie, panie, moja służąca Koi.

- Co takiego?

- My, twoja konkubina i ja, pomyślałyśmy, że bidzie to dla ciebie miły dar. Zadowolili cię, panie, prawda?

Blackthorne próbował dojść do siebie. Służąca Mariko była jej wzrostu, ale młodsza i ani trochę tak gładka i urodziwa. Owszem, było ciemno choć oko wykol, a jemu szumiało w głowie od wina, tak, ale nie, to na pewno nie była służąca.

- To niemożliwe - powiedział po portugalsku.

- Co jest niemożliwe, senhor? - spytała w tym samym języku. Powrócił znowu do łaciny, ponieważ samuraje byli niedaleko i wiatr wiał w ich kierunku.

- Nie żartuj ze mną, proszę. Nikt nas przecież nie słyszy. Wiem, jak wyglądasz i jak pachniesz.

- Myślałeś, że to ja? Och, ale to nie byłam ja, Anjin-san. Byłabym zaszczycona, ale w żadnym razie nie mogłabym. . Jakkolwiek bym tego pragnęła. . Och, nie, Anjin-san, to nie byłam ja, lecz Koi, moją służącą. Byłabym zaszczycona, ale należę do innego mężczyzny, nawet jeżeli on nie żyje.

- Owszem, ale to nie była twoja służąca! - Pohamował gniew. - Jeżeli jednak sobie życzysz, niech tak będzie.

- To była moja służąca - powtórzyła pojednawczo Mariko. - Skropiłyśmy ją moimi perfumami i pouczyłyśmy, żeby nie odzywała się do ciebie, a tylko dotykała. Nawet do głowy nam nie przyszło, że możesz ją wziąć za mnie! Zrobiłyśmy to nie po to, by cię zwieść, lecz po to, żebyś sobie ulżył, bo wiemy, że rozmowy o poduszkowaniu wciąż cię peszą. - Przyglądała mu się szeroko rozwartymi, niewinnymi oczami. - Sprawiała ci przyjemność, Anjin-san? Bo ty jej sprawiłeś.

- Żarty na temat bardzo ważnych spraw są niekiedy pozbawione humoru.

- Bardzo ważne sprawy są zawsze traktowane z wielką powagą. Ale służąca w łóżku mężczyzny to błahostka.

- Dla mnie nie jesteś błahostką.

- Dziękuję ci. I nawzajem. Ale służąca w łóżku mężczyzny to błahostka i prywatna sprawa.

Ona obdarza go sobą, a bywa, że on ją też. Nic więcej.

- Nigdy?

- Czasem. Ale w takim prywatnym poduszkowaniu nie ma nic z twojej przeogromnej powagi.

- Nigdy?

- Tylko wówczas, kiedy mężczyzna i kobieta łączą się z sobą bezprawnie. W tym kraju!

Ochłonał, nareszcie pojmując, dlaczego wszystkiemu zaprzeczyła.

- Przepraszam - sumitował się. - Tak, masz rację, a ja wcale. Nie powinienem był o tym mówić.

Przepraszam.

- Po co przepraszasz? Za co? Przypomnij sobie, Anjin-san, czy ta dziewczyna nosiła krzyż?

- Nie.

- A ja się z nim nie rozstaję. Nigdy.

- Krzyż można zdjąć - odparł odruchowo po portugalsku. - To żaden dowód. Można go pożyczyć, tak samo jak perfumy.

- Powiedz mi uczciwie: widziałeś tę dziewczynę? Naprawdę ją widziałeś?

- Oczywiście. Ale proszę cię, zapomnijmy, że w ogóle. .

- Noc była bardzo ciemna, księżyc skryty za chmurami. Powiedz mi prawdę, Anjin-san.

Zastanów się! Rzeczywiście widziałeś tę dziewczynę?

Oczywiście, że ją widziałem! - pomyślał z oburzeniem.

Do diabła, szczerze się zastanów. Przecież nie widziałeś jej. Szumiało ci w głowie. To mogła być służąca, wiedziałeś jednak, że to Mariko, dlatego że pożyłaś jej, tylko ją miałeś w głowie, bo wierzysz, że ona pożyła cię równie mocno. Ty głupcze. Ty przeklęty głupcze.

- Właściwie. . to nie - przyznał. - Istotnie powinienem cię przeprosić. Jak mam to zrobić?

- Nie musisz przepraszać, Anjin-san - odparła spokojnie. - Mówiłam ci już wiele razy, że mężczyzna nigdy nie przeprosza, nawet jeżeli się pomyli. Tyś się nie pomylił. - Spojrzała na niego kpiąco. - Moja służąca nie wymaga przeprosin.

- Dziękuję. - Roześmiał się. - Dzięki tobie czuję się mniej głupio.

- Kiedy się śmiejesz, ubywa ci lat. I ten bardzo poważny Anjin-san znowu zamienia się w chłopca.

- Mój ojciec posiedział mi, że urodziłem się od razu stary.

- Naprawdę?

- Tak uważał.

- Jaki był?

- Był mężczyzną jak się patrzy. Właścicielem statku, kapitanem. Zginął z rąk Hiszpanów w Antwerpi, kiedy wyrznęli to miasto. Spalili jego statek. Miałem wtedy sześć lat, ale pozostał mi w pamięci jako wysoki, potężny, dobroduszny mężczyzna o złocistych włosach. Mój starszy brat Artur miał

wówczas osiem lat. . Żle się nam wtedy działo, Mariko-san.

- Dlaczego? Opowiedz mi o tym. Proszę.

- To bardzo zwyczajna historia. Wszystkie nasze pieniądze zostały włożone w ten statek, a statek przepadł. . no, a niedługo potem, cóż, zmarła moja siostra. Właściwie to umarła z głodu. W

roku siedemdziesiątym pierwszym wybuchł głód, a na dokładkę zaraza.

- U nas też się zdarzają zarazy. Ospa. Miałaś liczne rodzeństwo?

- Było nas troje - odparł. - Wil ia, moja siostra, umarła mając dziewięć lat. Po niej przysła kolej na Artura. . chciał zostać artystą, rzeźbiarzem, ale musiał pójść do terminu u kamieniarza; żeby zarabiać na nasze utrzymanie. Zginął podczas ataku Armady. Biedny głupiec, jako niewykształony dwudziestopięciolatek zamustrował się na statek. Co za niepotrzebna strata! Ja jestem ostatni z Blackthorne'ów. Jego żona i córka mieszkają teraz z moją rodziną. Żyje też nadal moja matka, a także babcia Jacoba. . ma siedemdziesiąt pięć lat i chociaż jest Irlandką, jest twarda jak angielskie dębowe polano. W każdym razie żyły jeszcze, kiedy wypływałem ponad dwa lata temu.

Znow go dopadła tęsknota. Pomyślę o nich, kiedy wyruszę do kraju, ale nie' wcześniej, przyrzekł sobie.

- Jutro będzie burza - stwierdził, przyglądając się morzu. - Silna. A za trzy dni znowu powróci pogoda.

- To pora szkwałów. Jest przeważnie pochmurno i pada. A po deszczach robi się bardzo parno. I, wtedy zaczynają się tai-funy.

Żeby tak znowu znaleźć się na morzu, pomyślał. Czy kiedyś po nim pływałem? Czy mój statek istniał? Co jest prawdą? Mariko czy ta służąca?;

- Rzadko się śmiejesz, prawda, Anjin-san?

- Za długo żeglowałem. Żeglarze są zawsze poważni. Nauczyliśmy się przyglądać morzu.

Zawsze przyglądamy się mu i wyczekujemy katastrofy. Wystarczy, że na chwilę spuścisz morze z oka, a pochwyci twój statek i rozbije w drzazgi.

- Boję się morza - wyznała.

- Ja również. Pewien stary rybak powiedział mi kiedyś: „Ten, kto nie boi się morza, wkrótce utonie, bo wypłynie w dniu, w którym nie powinien”. Ale my boimy się morza, dlatego toniemy tylko od czasu do czasu. - Spojrzał na nią. - Mariko-san. .

- Tak?

- Kilka minut temu przekonałaś mnie, że. . powiedzmy, że zostałem przekonany. A w tej chwili nie

jestem. Jak wygląda prawda? Honto. Muszę wiedzieć.

- Uszy są od słuchania. Naturalnie, że to była służąca.

- A czy mogę ją mieć, kiedy tylko zapragnę?

- Oczywiście. Mądry jednak by tego nie zrobił.

- Dlatego że mógłby się rozczarować? Za drugim razem?

- Być może.

- Trudno mi się pogodzić z poświęceniem służącej i z jej stratą, trudno milczeć.

- Poduszkowanie to przyjemność. Cieleśna. Nic nie trzeba mówić.

- No, to jak przekażę służącej, że jest piękna? Że ją kocham? Że przepelnia mnie ekstaza?

- „Kochać” służącą w taki sposób się nie godzi. W tym kraju. Taka namiętność przeznaczona jest tylko dla żony albo konkubiny, Anjin-san. - Nagle zmrużyła oczy. - Tak można kochać jedynie kogoś takiego jak Kiku-san, kurtyzanę, która jest piękna i zasługuje na to.

- Gdzie mogę znaleźć tę dziewczynę?

- W wiosce. Będę zaszczycona, mogąc wam pośredniczyć.

- Na miły Bóg, ty to mówisz serio?

- Oczywiście. Mężczyzna potrzebuje namiętności. A ta pani jest. warta uczucia, jeśli tylko cię na nią stać.

- To znaczy?

- Jest bardzo droga.

- Miłości nie da się kupić. Taki jej rodzaj nie jest nic wart. „Miłość” nie ma ceny.

Uśmiechnęła się.

- Poduszkowanie zawsze ma swoją cenę. Zawsze. Niekoniecznie wyrażoną w pieniądzu, Anjin-san. Ale mężczyzna zawsze płaci za poduszkowanie, tak czy inaczej. Prawdziwa miłość, którą nazywamy obowiązkiem, dotyczy związku dusz i nie potrzebuje takiego wyrazu, nie potrzebuje fizycznej manifestacji, być może z wyjątkiem podarunku z własnej śmierci.

- Mylisz się. Szkoda, że nie mogę ci pokazać, jak naprawdę wygląda świat.

- Wiem, jaki on jest i jaki zawsze będzie. Chcesz mieć znowu tę nic niewartą służącą?

- Tak. Wiesz, że chcę. .

Mariko roześmiała się wesoło.

- A więc ci ją przyślemy. O zachodzie słońca. Przyprawimy ci ją, Fujiko i ja!

- Do diaska. . ja myślę!

Zaczął się śmiać wraz z nią.

- Och, Anjin-san, jak to dobrze widzieć, że się śmiejesz. Odkąd wróciłeś do Anjiro, dokonała się w tobie wielka zmiana. Bardzo wielka.

- Nie, nie taka duża. Ale dzisiejszej nocy miałem sen. Sen o ideale.

- Idealny jest Pan Bóg. Zdarza się też czasem, że i zachód słońca, wzejście księżyca albo pierwszy wiosenny krokus.

- Zupełnie cię nie rozumiem.

Odsunęła welon z kapelusza i spojrzała mu prosto w oczy.

- Kiedyś inny mężczyzna powiedział mi „Zupełnie cię nie rozumiem”, na co mój mąż rzekł:

„Wybacz panie, ale nie rozumie jej żaden mężczyzna. Nie rozumie jej własny ojciec ani bogowie, ani jej barbarzyński Bóg, ani nawet jej matka”.

- Czy to był Toranaga? Pan Toranaga?

- O nie, Anjin-san. To był taikō. Pan Toranaga mnie rozumie. On rozumie wszystko.

- Nawet mnie?

- Zwłaszcza ciebie.

- Jesteś tego pewna, tak?

- Tak, jak najbardziej tak.

- Czy wygra tę wojnę?

- Tak.

- I jestem jego ulubionym wasalem?

- Tak.

- A czy przyjmie moje zamówienie na flotę?

- Tak.

- Kiedy odzyskam swój statek?

- Nie odzyskasz go.

- Dlaczego?

Jej powaga pierzchła.

- Ponieważ w Anjiro będziesz miał swoją „służącą”, z którą będziesz tyle poduszkiować!, że nie starczy ci sił na odejście, nawet na czworakach, kiedy ona poprosi cię, żebyś wsiadł na swój statek, a pan Toranaga każe ci wsiąść na niego i odpłynąć od nas!

- No proszę! W jednej chwili śmiertelnie poważna, a w następnej nie!

- To tylko dlatego, że chcę ci odpowiedzieć, Anjin-san, i postawić pewne sprawy na właściwym miejscu. Och, ale przed opuszczeniem nas powinieneś odwiedzić panią Kiku. Warta jest wielkiej namiętności. Jest taka piękna i taka utalentowana. Wobec niej musiałbyś się postarać nadzwyczajnie!

- Kusi mnie, żeby przyjąć to wyzwanie.

- Ja nikogo na nic nie wyzywam. Lecz jeżeli gotów jesteś być samurajem, a nie .

cudzoziemcem, jeżeli gotów jesteś traktować poduszkiowanie tak, jak na to zasługuje, to wówczas będę zaszczycona, mogąc posłużyć za pośredniczkę.

- A cóż to znaczy?

- Kiedy będziesz w dobrym humorze, kiedy poczujesz ochotę na bardzo wyjątkową rozrywkę, to daj znać swojej konkubinie, by mnie poprosiła.

- A dlaczego Fujiko-san?

- Ponieważ obowiązkiem konkubiny jest dbać o twoje przyjemności. Mamy we zwyczaju ułatwiać życie naszym panom. Podziwiamy prostotę, dlatego uważamy poduszkiowanie za to, czym w rzeczywistości jest: za na pewno ważny element życia, ale pomiędzy kobietą a mężczyzną są o wiele ważniejsze sprawy. Na przykład, pokora, szacunek, obowiązek. A nawet ta twoja „miłość”. Fujiko „kocha” cię.

- Nie, nie kocha!

- Odda za ciebie życie. Co można dać więcej?

Po dłuższej chwili przeniósł wzrok i spojrzał na morze. Brzeg zalewały spienione fale, bo wiatr się wzmógł. Blackthorne odwrócił się znów do Mariko.

- Więc nic sobie nie powiemy? - spytał. - Między nami.

- Nic. Tak jest mądrze.

- A jeżeli się nie zgodzę?

- Musisz. Jesteś tutaj. To twój dom.

Pięciuset atakujących samurajów galopowało hurmem skrajem wzgórza, zjeżdżając na usiane kamieniami dno doliny, gdzie w imponującym rozciągniętym szyku czekało na nich dwa tysiące

„obrońców”. Wszyscy jeźdźcy mieli na plecach muszkiety, a przy pasach sakwy na kule, krzemienie i rogi z prochem. Podobnie jak większość samurajów ubrani byli w najrozmaitsze kimona i łachy, ale broń mieli najlepszą, na jaką było ich stać. Jedyne Toranaga i małpujący go we wszystkim Ishido obstawali, żeby ich wojsko nosiło schludne jednakowe mundury. Reszta daimyō uważała taką zewnętrzną ekstrawagancję w odzieniu za niemądre trwonienie pieniędzy, zbędną innowację. Nawet Blackthorne podzielał ich zdanie. W Europie armie nie były umundurowane - jakież król bowiem mógł

sobie na to pozwolić, nie licząc mundurów dla swojej osobistej gwardii?

Stał na wzniesieniu z Yabu, jego adiutantami, Jozenem, jego wszystkimi podkomendnymi i Mariko; Była to pierwsza próba ataku wszystkimi siłami. Czekał niespokojnie. Yabu był niezwykle napięty, a Omi i Naga drażliwi tak bardzo, że aż napastliwi. Zwłaszcza Naga.

- Co z nimi wszystkimi jest? - spytał Blackthorne Mariko.

- Może chcą dobrze wypaść przed swoim panem i jego gościem.

- Czy to także daimyō?

- Nie, ale ważna osobistość, to jeden z generałów pana Ishido. Dobrze byłoby, gdyby wszystko się dziś udało.

- Wolałbym zawczasu wiedzieć, że dziś ma się odbyć próba.

- A co by to pomogło? Przecież zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy.

Tak, pomyślał Blackthorne, patrząc na pięciuset konnych. Ale jeszcze bardzo daleko im do pełnej gotowości. Yabu z pewnością też to wie, wiedzą wszyscy. Więc jeżeli dojdzie do blamażu, to cóż, karma, rzekł sobie z większym przekonaniem i myśl ta go pocieszyła.

Przez dolinę przetoczył się grzmot kopyt.

- A gdzie jest dowódca atakujących? Gdzie jest Omi-san? - spytał Jozen.

- Cierpliwości, wśród żołnierzy - odparł Yabu.

- Ale gdzie jego chorągiew? I dlaczego nie nosi bitewnej zbroi i piór? Gdzie chorągiew dowódcy? Przypominają bandę niktzemnych, brudnych rozbójników.

- Cierpliwości! Oficerowie mają rozkaz nie wyróżniać się. Już ci to mówiłem. A nie zapominaj, proszę, że my udajemy zażarty bój, że jest to fragment większej bitwy, z odwodami i bro..

- A gdzie są ich miecze?! - wybuchnął Jozen. - Oni nie mają mieczów! Samuraje bez mieczów?

Zmasakrują ich!

- Cierpliwości!

Atakujący właśnie zsiadali z koni. Z szeregów obrońców wyszli pierwsi wojownicy, żeby zademonstrować im swoje męstwo. Ruszyła na nich równa liczba przeciwników. A potem nagle niekształtna masa atakujących utworzyła szybko pięć zdyscyplinowanych oddziałów, składających się z czterech rzędów po dwudziestu pięciu ludzi, trzech w przodzie i dwóch w rezerwie, Czterdzieści kroków za nimi. Jednocześnie zaatakowali wrogów. Zamarli na komendę w odległości strzału i pierwsze ich rzędy wystrzeliły salwę. Rozległy się krzyki konających. Jozen i jego ludzie odruchowo skulili się, a potem przerażonym wzrokiem patrzeli, jak przednie szeregi przyklękają, zaczynają ładować broń, natomiast drugie szeregi strzelają ponad ich głowami, a następnie, na tę samą modłę, robią to trzecie i czwarte. Po każdej salwie padali nowi obrońcy, a dolinę wypełniły krzyki, wrzaski i chaos.

- Zabijacie własnych ludzi?! - zawołał Jozen przekrzykując zgiełk.

- To nie jest prawdziwa amunicja, tylko ślepa. Oni udają, ale wyobraź sobie prawdziwy atak prawdziwymi kulami! Patrz!

Obrońcy doszli już „do siebie” po pierwszym wstrząsie. Przegrupowali się i rzucili do frontального kontrataku. Ale do tego czasu pierwsze rzędy zdążyły już na nowo załadować broń i w przyklęku na komendę wystrzeliły następną salwę, potem wystrzeliły ją stojące drugie rzędy, po nich jak poprzednio rzędy trzecie, czwarte i chociaż wielu muszkietników guzdrało się, a ich szeregi postrzępiły, to łatwo można było sobie wyobrazić, jakie straszliwe spustoszenie spowodują wyszkoleni strzelcy. Kontratak nie powiódł się, a potem poszedł w rozsypkę, obrońcy zawrócili, odgrywając chaos i cofając się po wzgórzu, by zatrzymać się tuż poniżej obserwatorów. Ziemię gęsto zaścierał „trup”.

Jozen i jego ludzie byli zaszokowani.

- Te muszkiety złamią każdy szyk! - zawołał.

- Zaczekaj. Bitwa jeszcze nie skończona.

Obrońcy ponownie przegrupowali się, a ich dowódcy, zagrzewając do zwycięstwa, posłali do boju odwoły z rozkazem przypuszczenia ostatecznego generalnego szturmu. Samuraje zbiegli ze wzgórza, rzucając się na wroga ze straszliwym bitewnym wrzaskiem.

- Teraz wdepczą tamtych w ziemię - zawyrokował Jozen, tak jak inni porwany realizmem tej pozornej bitwy.

I miał rację. Oddziały muszkietników nie utrzymały pozycji. Załamały się i pierzchły przed bitewnym rykiem prawdziwych samurajów z mieczami i włóczniami, a kiedy ich pułki rzuciły się do rzezi, Jozen wraz z towarzyszami przyłączyli się do wrzawy swoimi obelgami. Muszkietnicy uciekali niczym Czosnokojady, przebiegłszy sto kroków, dwieście, trzysta. . i wtedy nagle na komendę ich oddziały przegrupowały się, tym razem ustawiając w szyku strzały. Znow rozbrzmiały ogłuszające huki salw. Atak załamał się. Zamarł. Ale muszkiety strzelały dalej. A potem i one zamilkły. Manewry dobiegły końca. Na wzniesieniu jednak wszyscy mieli świadomość, że w warunkach podobnych do tych te dwa tysiące obrońców zostałyby wybite.

W ciszy, która zapanowała, obrońcy i napastnicy zaczęli się rozdzielać, „trupcy” wstały, zebrano broń. Słychać było śmiechy i jęki. Wielu kulało, a kilku odniosło poważne rany.

- Winszuję ci, Yabu-sama - powiedział całkiem szczerze Jozen. - Teraz zrozumiałem, co miałeś na myśli.

- Strzelali nierówno - rzekł Yabu, radując się w duchu. - Wyszkolenie ich zajmie miesiąc.

Jozen pokręcił głową.

- Nie uśmiechałoby mi się ich atakować, gdyby mieli ostrą amunicję. Żadna armia nie wytrzyma takiego uderzenia, żaden szyk bojowy. Szeregi musiałyby się załamać. A w powstałe wyłomy wpadłyby zwykłe oddziały i kawaleria i zwinęłyby skrzydła przeciwnika niczym stary pergamin. - Podziękował wszystkim kami, że miał na tyle rozumu, aby obejrzeć ten atak. - Strach było patrzeć. Przez chwilę myślałem, że oglądam prawdziwą bitwę.

- Mieli rozkaz odegrać ją realistycznie. A teraz, jeżeli chcesz, możesz dokonać inspekcji moich muszkietników.

- Dziękuję. Będę zaszczycony.

Obrońcy ciągnęli do swoich obozów rozłożonych na przeciwległym stoku wzgórza. Pięciuset muszkietników czekało w dole, nie opodal drogi przechodzącej przez wzniesienie i schodzącej do wioski. Dzielili się na kompanie, dowodzeni przez Omiego i Nagę, którzy znowu nosili miecze.

- Yabu-sama?

- Tak, Anjin-san?

- Dobrze, co? - - Tak, dobrze-.

- Dziękuję, Yabu-sama. Czeszę się.

- Cieszę się - poprawiła go odruchowo Mariko.

- Ach, bardzo przepraszam, cieszę się. Jozen odciągnął Yabu na stronę.
 - Czy to wszystko wymyślił Anjin-san? - spytał.
 - Nie - skłamał Yabu. - Ale tak walczą barbarzyńcy. On tylko uczy żołnierzy ładowania i strzelania.
 - Dlaczego nie posłuchać rady Nagi? Wiecie już tyle, co ten barbarzyńca. Po co ryzykować, że jego wiedza się rozprzestrzeni? Ten barbarzyńca to zaraza. Jest bardzo niebezpieczny, Yabu-sama. Naga-san ma rację. To prawda, w ten sposób mogą walczyć chłopci! Z łatwością. Pozbądź się natychmiast tego cudzoziemca.
 - Jeżeli pan Ishido pragnie jego głowy, wystarczy, że o nią poprosi.
 - Proszę o nią ja. W tej chwili. - W głosie Jozena zabrzmiało okrucieństwo. - Mówię w jego imieniu.
 - .- Zastanowię się nad tym, Jozen-san.
 - A ponadto proszę też w jego imieniu, byś natychmiast odebrał tym oddziałom muszkiety.
- Yabu zmarszczył czoło i skupił uwagę na kompaniach muszkietników. Wchodzili na wzgórze.
- Ich równe, karne szeregi wyglądały jak zwykle nieco śmiesznie, ale tylko dlatego, że taki szyk był niezwykle. Pięćdziesiąt kroków od nich zatrzymali się. Omi i Naga podeszli we dwójkę i zasalutowali.
- Jak na pierwsze manewry, poszło dobrze - rzekł Yabu.
 - Dziękujemy, wielmożny panie - odparł Omi. Lekko utykał, a jego zabrudzona, posiniaczona twarz nosiła ślady prochu.
 - W prawdziwej bitwie twoje oddziały będą nosić miecze, Yabu-sama, ne? Samuraje muszą być uzbrojeni w miecze, bo przecież w końcu kiedyś skończy im się amunicja.
 - Miecze znajdą zastosowanie w natarciu i odwrocie. Będą je nosić tak jak zwykle w celu zaskoczenia wroga, ale tuż przed pierwszym atakiem' pozbędą się ich.
 - Samurajom zawsze będą potrzebne miecze. W prawdziwej bitwie. Ale i tak cieszę się, że nie będziecie musieli w ten sposób atakować. . - „Stosując tę podłą, zdradziecką taktykę walki” chciał dorzucić Jozen, lecz zamiast tego powiedział: - bo wówczas wszyscy musielibyśmy odłożyć nasze miecze.
 - Być może tak zrobimy, Jozen-san, kiedy wyruszymy na wojnę. - Zrezygnowałbyś ze swojego miecza Murasamy? A nawet z podarunku Toranagi?
 - Żeby wygrać bitwę, tak. Ale nie w innym przypadku.

- W takim razie, być może, byłbyś zmuszony bardzo prędko biec, żeby ocalić skórę, gdyby zaciął ci się muszkiet albo zamoczył proch.

Jozen zaśmiał się z tego przytyku, Yabu nie.

- Omi-san! Pokaż mu! - polecił?

Omi natychmiast Wydał rozkaz. Jego samuraje wydobyli z wiszących im z tyłu na pasie, prawie niezauważalnych, pochew bagnety i nasadzili je na lufy muszkietów.

- Do ataku!

Samuraje w jednej chwili zaatakowali z bitewnym okrzykiem „Kasigi!” Las nagich ostrzy zatrzymał się o krok od nich. Jozen i jego podwładni roześmieli się nerwowo na ten nieoczekiwane zaciekły szturm.

- Dobrze, doskonale - pochwalił Jozen. Sięgnął ręką i dotknął jednego z bagnetów. Był nadzwyczaj ostry. - Być może masz rację, Yabu-sama. Oby nigdy nie zostały wypróbowane w walce.

- Omi-san! - zawołał Yabu. - Ustaw ich w szyku. Jozen-san dokona przeglądu wojska. Potem wróćcie do ‘obozu. Mariko-san, Anjin-san, pójdziecie ze mną.

Zszedł ze wzniesienia, krocząc wśród szeregów, a za nim jego adiutanci, Blackthorne i Mariko.

- Ustawić się przy drodze. Zdjąć bagnety!

Połowa samurajów natychmiast wypełniła rozkaz i ruszyła w dół stoku. Ale Naga i jego dwustu pięćdziesięciu samurajów pozostali tam, gdzie stali, z groźnie postawionymi bagnetami.

Jozen zjeżył się.

- Co się dzieje? - spytał.

- Twoje zniewagi są nie do zniesienia - oświadczył Naga jadowitym tonem.

- Mówisz od rzeczy. Nie znieważylem ciebie ani nikogo! To twoje bagnety mnie znieważają.

Yabu-sama!

Yabu odwrócił się. Znajdował się w tej chwili na drugim końcu oddziału Toranagi.

- Naga-san - zawołał chłodno. - Co to ma znaczyć?

- Nie mogę puścić płazem temu człowiekowi zniewag wobec mojego ojca i mnie.

- Jest chroniony. Nie wolno ci go tknąć! Chroni go immunitet wysłannika regentów!

- Wybacz, Yabu-sama, ale to sprawa, pomiędzy mną a panem Jozenem.

- Nie. Podlegasz moim rozkazom. Rozkazuję ci zabrać swoich ludzi do obozu.

Nikt się nie poruszył. Zaczęło padać.

- Przepraszam, Yabu-san, racz wybaczyć, ale to sprawa pomiędzy i mną a nim, dlatego cokolwiek się wydarzy, zwalnię cię od odpowiedzialności za czyny moje i mych ludzi.

Jeden ze stojących za plecami Nagi samurajów Jozena wydobyl miecz i chciał mu zadać cios w nie osłonięte plecy. Ale salwa z dwudziestu muszkietów w jednej chwili roztrzaskała mu głowę.

Dwudziestu muszkietników klęknięto i zaczęło ładować broń. Do strzału przygotował się drugi szereg.

- Kto wydał rozkaz użycia ostrej amunicji? - spytał Yabu.

- Ja. Ja, Yoshi Naga-no-Toranaga!

- Naga-san! Rozkazuję ci puścić wolno Nebarę Jozena i jego ludzi. Masz rozkaz odmaszerować na kwaterę i pozostać tam, dopóki nie zasięgnę rady pana Toranagi w sprawie twojego nieposłuszeństwa!

- Naturalnie, że zawiadomisz mojego ojca, ale karma jest karmą. Żałuję, panie Yabu, ale przedtem ten człowiek umrze. Umrzeć muszą oni wszyscy. Dziś!

- Jestem pod ochroną regentów! - wrzasnął Jozen. - Nic nie zyskasz zabijając mnie.

- Odzyskam mój honor, ne? - odparł Naga. - Odplacam ci za szyderstwa z mojego ojca i zniewagi wobec mnie. Niemniej tak czy owak musiałbyś umrzeć. Ne? Nie mogłem tego wypowiedzieć jaśniej niż zeszłego wieczora. Przed chwilą zaś widziałeś atak. Nie mogę ryzykować, że Ishido dowie się o tej całej - ręką wskazał na pole bitwy - potworności!

- On już wie! - wygadał się Jozen, błogosławiąc swoją wczorajszą przezorność. - On już o tym wie! O świcie przesłałem mu przez gołębia pocztowego wiadomość! Zabicie mnie nic wam nie da, Naga-san!

Naga dał znak jednemu ze swoich żołnierzy, staremu samurajowi, ten zaś wystąpił z szeregu i rzucił do stóp Jozena uduszonego ptaka. A potem na ziemię upadła odcięta głowa, głowa samuraja Masumoto, którego Jozen wysłał wczoraj z listem. Oczy w niej były nadal otwarte, a wargi ściągnięte w grymasie nienawiści. Głowa potoczyła się. Wzdłuż szeregów wojska stoczyła się w dół i znieruchomiła na jakimś kamieniu.

Jozen jęknął. Naga i jego samuraje zaśmiali się. Nawet Yabu się uśmiechnął. Na Nagę rzucił

się kolejny samuraj Jozena. Dwadzieścia muszkietów rozpruło mu ciało, a stojący obok niego bez ruchu samuraj również padł na ziemię skręcając się z bólu, śmiertelnie ranny.

Śmiech zamilkł.

- Czy mam wydać swoim ludziom rozkaz do ataku, wielmożny panie? - spytał Omi, bo przechytryć Nagę było bardzo łatwo.

Yabu otarł twarz z deszczu.

- Nie, to by nic nie dało. Cokolwiek zrobię, to Jozen i jego ludzie i tak już przepadli. Taka jest jego karma, podobnie jak karma pana Nagi. Naga-san! - zawołał. - Po raz ostatni rozkazuję ci: Wypuść ich!

- Wybacz, panie, ale muszę ci odmówić.

- Dobrze. Kiedy skończycie zamelduj się u mnie.

- Tak jest. Ale powinienem mieć oficjalnego świadka, wielmożny panie. Dla pana Toranagi i dla pana Ishido.

- Omi-san, zostaniesz tutaj. Podpiszesz świadectwo śmierci i wyślesz urzędową wiadomość.

Naga-san i ja złożymy na niej podpisy.

Naga wskazał na Blackthorne'a.

- Niech on również zostanie. Także jako świadek. Powinien być świadkiem. Bo to on odpowiada za ich śmierć.

- Anjin-san, pozwól tu na górę! Do pana Nagi. Rozumiesz?

- Tak, panie Yabu. Rozumiem, ale z łaski twojej chcę wiedzieć po co.

- Na świadka.

- Przepraszam, nie rozumiem.

- Mariko-san, wyjaśnij mu, co to „świadek”, że ma być świadkiem tego, co nastąpi, a potem pójdziesz ze mną.

Skrywając swoje wielkie zadowolenie, Yabu odwrócił się i odszedł”.

- Yabu-sama! - wrzasnął Jozen.- Proszę! Yabuuuuu-samaaaa!

34.

O godzinie Konia, jedenastej rano, w dziesięć dni po śmierci Jozena i jego ludzi cypel Anjiro okrążyły trzy galery - pełne żołnierzy. Na brzeg zszedł Toranaga, a towarzyszył mu Buntaro.

- Najpierw chcę obejrzeć atak z udziałem tej pierwszej pięćsetki, Yabu-san - powiedział Toranaga. - Zaraz.

- A czy nie można jutro? Mógłbym się do tego przygotować - odparł układowie Yabu, w środku wściekły na ten nagły przyjazd Toranagi i na swoich szpiegów, że go nie ostrzegli. Ledwie zdążył w pośpiechu na czas dotrzeć na brzeg z gwardią honorową. - Na pewno jesteś zmęczony. .

- Dziękuję ci, nie jestem -. rzekł Toranaga rozmyślnie szorstkim tonem. - Nie potrzebuję „obrońców”, odpowiedniej scenerii, krzyków czy zainscenizowanego umierania. Zapominasz, stary przyjacielu, że nagrałem się dość w sztukach no i wystawiłem ich tyle, że potrafię korzystać z własnej wyobraźni. Ja nie jestem chłopem i roninem! Zarządź natychmiastowy pokaz.

- Przepraszam, wielmożny panie - wtrącił się do ich rozmowy Buntaro. - Gdzie mają rozbić obóz nasi samuraje?

- Na płaskowyżu. Urządźcie tam stały obóz. Dwustu strażników pozostanie ze mną w Warowni. Po załatwieniu wszystkiego dołączysz do mnie. Chcę, żebyś zobaczył - te manewry.

Buntaro spiesznie odszedł.

- Stały obóz? A więc zostaniesz tutaj, panie? - spytał Yabu.

- Nie, tylko moi samuraje. Jeżeli ten atak jest tak skuteczny, jak słyszałem, to stworzymy dziewięć batalionów szturmowych, po pięciuset samurajów każdy.

- Słucham?

- Tak. Przywiozłem ci jeszcze tysiąc doborowych wojowników. Drugi tysiąc dostarczysz ty.

- Ale przecież nie ma tylu muszkietów i szkło..

- Przepraszam, ale mylisz się, przywiozłem z sobą tysiąc muszkietów i pod dostatkiem prochu oraz kul. Reszta przypłynie tu w ciągu tygodnia wraz z kolejnym tysiącem żołnierzy.

- Będziemy mieli dziewięć batalionów szturmowych?

- Tak. Utworzą pułk. Dowodzony przez Buntaro.

- Może lepiej byłoby, gdybym to ja dowodził. On będzie. .

- Zapominasz, że za kilka dni zbiera się Rada. Jak możesz być dowódcą pułku, skoro jedziesz do Osaki? Nie zamierzasz jechać?

Yabu przystanął.

- Jesteśmy sojusznikami. Zgodziliśmy się, że ty jesteś wodzem, i moczem zatwierdziliśmy nasz układ. Dotrzymałem umowy i nadal dotrzymuję. Pytam więc, jakie są twoje plany.

Rozpoczynamy wojnę czy nie?

- Nikt jej przeciwko mnie nie ogłosił. Na razie.

Yabu korciło, żeby dobyć z pochwy miecz Yoshimoto i nie dbając o cenę raz a dobrze spryskać ziemię krwią Toranagi. Zewsząd czuł na sobie oddechy jego strażników, ale przestał już na to zważać.

- A czy Rada i tobie nie bije w żałobny dzwon? - spytał. - Sam to przyznałeś. Kiedy się zbiorą, będziesz musiał im być posłuszny. Ne?

- Oczywiście.

Toranaga dał znak swoim strażnikom, żeby odeszli. Mocno i pewnie stał na krępych nogach, swobodnie wsparty na mieczu.

- Co wobec tego postanowiłeś? Co proponujesz?

- Najpierw zobaczmy atak.

- A potem?

- Potem wybierzemy się na polowanie.

- Jedziesz do Osaki, panie?

- Oczywiście.

- Kiedy?

- W dogodnym czasie.

- To znaczy, w dogodnym dla Ishido?

- To znaczy, w dogodnym dla mnie.

- Zostaniemy sami - rzekł Yabu. - Nie możemy walczyć z całą Japonią, nawet mając pułk szturmowy, którego i tak nie zdołamy wyszkolić w ciągu dziesięciu dni.

- Owszem.

- Tak więc, jakie są twoje plany?

- Co właściwie zaszło pomiędzy Jozenem i Nagą?

Yabu zrelacjonował mu wszystko szczerze, pomijając jedynie fakt, że Nagą manipulował Omi.

- A mój barbarzyńca? Jak się sprawuje Anjin-san?

- Dobrze. Bardzo dobrze.

Yabu opowiedział mu o próbie seppuku pierwszego wieczora i w jaki sposób sprytnie skłonił barbarzyńcę do współpracy ku ich obopólnej korzyści.

- Mądre posunięcie - stwierdził wolno Toranaga. - Do głowy mi nie przyszło, że mógłby spróbować seppuku. Ciekawe.

- Na szczęście uprzedziłem Omiego” by był czujny.

- Tak.

Yabu niecierpliwie czekał na dalszy ciąg rozmowy, ale Toranaga milczał.

- A co powiesz na to, że pan Ito zostaje regentem? - spytał go wreszcie. - Czy dowiedziałeś się o tym przed otrzymaniem tej wiadomości ode mnie?

Toranaga zwlekał chwilę z odpowiedzią.

- Doszły do mnie pogłoski. Pan Ito jest dla Ishido wprost wymarzony. Biedny dureń zawsze lubił, by go onaczono, kiedy włąził w tyłek komuś drugiemu. Dobrze im się będzie spółkować.

- Niemniej jego głos cię zniszczy.

- Pod warunkiem, że Rada się zbierze.

- O, a więc masz jakiś plan?

- Zawsze mam jakiś plan. . albo plany. . Nie wiedziałeś? No, a ty, - co planujesz, sojuszniku?

Jeżeli chcesz odejść, odejdz. Jeżeli chcesz zostać, zostań. Wybieraj!

Toranaga ruszył.

Mariko podała Toranadze pergamin gęsto zapisany hieroglifami.

- To wszystko? - spytał.

- Tak, wielmożny panie - odparła, nie znosząc tej dusznej kabiny i galery, chociaż cumowała ona na

przystani. - Wiele z podręcznika wojennego to powtórki, ale każdego wieczora robiłam notatki i spisywałam wszystko, co się działo, a przynajmniej starałam się o to. Wszystko, co powiedziano i co zaszło, odkąd wyjechałeś. . Przypomina to niemalże pamiętnik.

- Dobrze. Czy czytał go ktoś jeszcze?

- O ile się orientuję. . chyba nie. - Poruszyła wachlarzem, żeby się ochłodzić. - Konkubina i służące Anjin-sana widziały, jak go spisuję, ale trzymałam go pod kluczem.

- Jakie są twoje wnioski?

Mariko zawahała się. Spojrzała na drzwi kabiny i zamknięty bulaj.

- Na statku są tylko moi ludzie, a pod pokładem nie ma nikogo. Oprócz nas - zapewnił

Toranaga.

- Tak, wielmożny panie. Właśnie przypomniałam sobie słowa Anjin-sana, że na pokładzie statku nie ma tajemnic. . Pułk muszkietów wygra jedną bitwę - powiedziała po chwili namysłu. - Gdyby barbarzyńcy wylądowali tutaj w dużej sile z muszkietami i działami, toby nas pokonali. Musisz mieć barbarzyńską flotę. Jak dotąd wiedza tego pilota jest dla ciebie ogromnie cenna, tak bardzo, że powinna być zachowana w tajemnicy, tylko dla twojej wiadomości. W niewłaściwych rękach stałaby się dla ciebie śmiertelnym zagrożeniem.

- A kto ją już poznał?

- Wiele wie Yabu-san, ale jeszcze więcej Omi-san, który jest najbardziej pojętny. Ponadto Igurashi-san, Naga-san i samuraje. Samuraje, naturalnie, rozumieją strategię, lecz nie jej subtelności, a poza tym nie mają pojęcia o politycznej i ogólnej wiedzy Anjin-sana. Ja wiem z wszystkich najwięcej. Zapisywałam każde jego słowo, wszystkie pytania i jego wyjaśnienia, wielmożny panie. Najlepiej jak umiałam. Oczywiście powiedział nam tylko o niektórych sprawach, ale jego wiadomości są bardzo rozległe, a pamięć ma prawie doskonałą. Jeżeli okażemy mu cierpliwość, to dostarczy nam dokładnego opisu świata, jego zwyczajów i niebezpieczeństw. Jeśli mówi prawdę.

- A mówi?

- Wierzę, że tak.

- Co sądzisz o Yabu?

- To brutalny człowiek, bez najmniejszych skrupułów. Dba tylko o własny interes. Obowiązek, lojalność, tradycja nic dla niego nie znaczą. Ma przebłycki wielkiego sprytu, a nawet dużej inteligencji. Jest równie groźny jako sojusznik, jak i wróg.

- Same godne polecenia zalety. A co można powiedzieć na jego niekorzyść?

- Źle się rządzi. Gdyby jego chłopci mieli broń, to wszczęliby bunt.

- Dlaczego?

- Bo wymusza wygórowane podatki. Bezprawne. Zabiera im trzy czwarte ryżu, ryb i produktów. Bierze pogłówny, podatki od ziemi, od łodzi. . Na Izu opodatkowane jest wszystko, każda transakcja, każda beczułka sake.

- Kto wie, może powinienem zatrudnić go lub jego kwatermistrza w moim Kantō. Cóż, to, co tu robi, jest jego sprawą, nie mamy się czym martwić, bo jego chłopci nigdy nie dostaną broni. W razie potrzeby nadal mogą korzystać z tej wioski jako bazy.

- Ale, wielmożny panie, górna dopuszczalna prawem granica podatków to sześćdziesiąt od sta.

- Taka była. Prawo to ustanowił taikō, ale taikō zmarł. Co jeszcze powiesz na temat Yabu?

- Je mało, wygląda zdrowo, ale Suwo, masażysta, jest zdania, że ma kłopoty z nerkami. Ma też pewne osobliwe upodobania.

- Jakie?

Opowiedziała mu o Nocy Krzyków.

- A od kogo o tym wiesz?

- Od Suwo. A poza tym od matki i żony Omiego.

- Ojciec Yabu również gotował swoich wrogów. Strata czasu. Ale jak z tego widać, raz na jakiś czas mu tego potrzeba. A jego bratanek Omi?

- Bardzo bystry. Bardzo mądry. Całkowicie oddany wujowi. Bardzo uzdolniony, budzący podziw poddany.

- A rodzina Omiego?

- Jego matka. . bardzo surowo traktuje jego żonę Midori. Żona, która pochodzi z samurajskiego rodu, jest delikatna, silna i bardzo porządna. Wszyscy są wiernymi poddanymi pana Yabu. W tej chwili Omi nie ma konkubin, chociaż jako taką można by traktować Kiku, najśłynniejszą kurtyzanę w Izu. Gdyby go było stać na wykupienie jej kontraktu, to chyba wzięłby ją do swego domu.

- Czy gdybym chciał, to pomógłby mi przeciwko Yabu?

Zastanowiła się nad tym. Potrząsnęła głową.

- Nie, wielmożny panie. Wątpię: Myślę, że jest wiernym poddanym wuja.

- A Naga?

- Trudno o lepszego samuraja. Od razu dostrzegł zagrożenie, jakim są dla ciebie Jozen i jego ludzie, i

załatwił sprawę, nim mógł się ciebie poradzić. Mimo że tak bardzo nienawidzi batalionu muszkietów, to jednak surowo ćwiczy swoje kompanie chcąc, żeby doszły do doskonałości.

- Wykazał wielką głupotę. . stał się marionetką w rękach Yabu. Nie komentując tego, poprawiła fałdę na swoim kimonie. Toranaga poruszył wachlarzem.

- No, a Anjin-san?

Spodziewała się tego pytania, ale kiedy padło, wszystkie, mądre uwagi na jego temat wyleciały jej z głowy.

- No więc?

- Musisz to ocenić na podstawie tego pergaminu, wielmożny panie. Pod pewnymi względami postępuje niezrozumiale. Oczywiście jego, wychowanie i nabyta wiedza nie mają nic wspólnego z naszymi. Ma bardzo skomplikowaną osobowość, dla nas nie. . dla mnie niepojętą. Kiedyś wykazywał wielką szczerłość. Ale od tej próby seppuku zmienił się. Stał się bardziej skryty.

Zrelacjonowała Toranadze, co zrobił i co opowiedział jej Omi o tamtej pierwszej nocy w Anjiro. A także o obietnicy Yabu.

- O, a więc to Omi go powstrzymał, nie pan Yabu?

- Tak.

- I Yabu posłuchał rady Omiego?

- Tak, wielmożny panie.

- A zatem Omi jest jego doradcą. Ciekawe. Ale Anjin-san z pewnością nie oczekuje, że Yabu dotrzyma swojej obietnicy?

- Oczekuje tego, jak najbardziej.

- Go za naiwność! - powiedział ze śmiechem Toranaga.

- Niestety, Anjin-san bardzo głęboko wierzy w chrześcijańskie „sumienie”. Nie może uniknąć swojej karmy, do której należy to, iż można nim manipulować dzięki temu, że tak bardzo nienawidzi śmierci tych, których nazywa „niewinnymi”. Nawet śmierć Jozena głęboko go poruszyła. Przez wiele nocy bardzo źle spał i kilka dni prawie z nikim nie rozmawiał.

- Czy to „sumienie” dotyczy wszystkich barbarzyńców?

- Nie, chociaż wszystkich chrześcijańskich powinno.

- Czy straci owo „sumienie”?

- Wątpię. Ale dopóki je ma, jest bezbronny jak lalka.

- A co z jego konkubiną?

Mariko opowiedziała mu o wszystkim.

- To dobrze. - Toranaga był zadowolony, że wybrał Fujiko i że jego plan sprawdza się tak skutecznie.

- To bardzo dobrze. Doskonale zrobiła z tymi pistoletami, A jego zwyczaje?

- Na ogół są normalne, z wyjątkiem zdumiewającego skrępowania w sprawach poduszkowych i dziwnej niechęci do mówienia o najnormalniejszych funkcjach organizmu. - Opisała także jego niezwykłą potrzebę samotności i obrzydliwe upodobania kulinarne. - W innych sprawach jest przeważnie uprzejmym, rozsądnym, inteligentnym i pojętnym uczniem, bardzo ciekawym nas i naszych obyczajów. Wszystko jest w moim sprawozdaniu. Mówiąc krótko, wyjaśniłam mu co nieco nasz sposób życia, opowiedziałam trochę o nas i o naszej historii, o taikō oraz o kłopotach, jakie w tej chwili nękają cesarstwo.

- Aha, a o następcy?

- Tak, wielmożny panie. Czy źle zrobiłam?

- Nie. Kazałem ci go uczyć. A co z jego japońskim?

- Zważywszy wszystko, bardzo dobrze. Za jakiś czas będzie bardzo dobrze mówił naszym językiem. Jest pilnym uczniem, wielmożny panie.

- Poduszkowa!?

- Z jedną służącą - odparła natychmiast.

- Wybrał ją?

- Posłała mu ją jego konkubina.

- No i?

- O ile wiem, to oboje byli zadowoleni.

- Aha! A więc nie miała trudności.

- Nie, wielmożny panie.

- Ale jest dobrze wyposażony przez naturę?

- „Och, jak najbardziej”, powiedziała ta służąca. Użyła słowa „szczodrze”.

- To wspaniale. Przynajmniej pod tym względem jego karma jest pomyślna. Mężczyźni mają z tym na

ogół kłopoty, na przykład Yabu, na przykład Kiyama. Małe szpunty. To nieszczęście urodzić się z małym szpuntem. Wielkie. Tak. - Toranaga spojrział na pergamin i z trzaskiem złożył wachlarz. -

A ty, pani Mariko? Co u ciebie?

- Dobrze, dziękuję, wielmożny panie. Bardzo się cieszę widząc, że masz się tak dobrze. Czy mogę ci powinszować urodzin wnuka?

- Dziękuję ci, tak. Ucieszyło mnie to. Chłopiec jest kształtny i wygląda zdrowo.

- A pani Genjiko?

Toranaga chrząknął.

- Silna jak zawsze. Tak. - W zamyśleniu zacisnął wargi. - Może poleciałabyś mi jakąś piastunkę.

- Było we zwyczaju, że synowie ważnych samurajów mieli piastunki, ażeby ich matki mogły usługiwać mężom i prowadzić dom, pozostawiając piastunkom wychowanie silnych, będących chlubą rodziców potomków. - O znalezieniu odpowiedniej osoby nie będzie, obawiam się, łatwo. Pani Genjiko nie ma najłatwiejszego charakteru, ne?

- Jestem pewna, że znajdziesz idealną kandydatkę, wielmożny panie - odparła Mariko wiedząc, że doradzanie w takiej sprawie byłoby głupotą, bo nie urodziła się jeszcze taka, która zadowoliłaby jednocześnie Toranagę i jego synową.

- Dziękuję ci. Ale co słyszę u ciebie, Mariko-san?

- Dziękuję, dobrze, wielmożny panie.

- A co z twoim chrześcijańskim sumieniem?

- Nie ma sprzeczności, wielmożny panie. Najmniejszej. Zrobiłam wszystko, czegoś sobie życzył. Naprawdę.

- Czy byli tu jacyś księża?

- Nie, wielmożny panie.

- Potrzebujesz jakiegoś?

-: Dobrze byłoby wypowiadać się, przyjąć komunię i uzyskać rozgrzeszenie. Tak, prawdę powiedziawszy, chciałabym to zrobić. . wypowiadać się z tego, co mi wolno, i otrzymać błogosławieństwo.

Toranaga przyglądał się jej z uwagą. Patrzyła szczerze.

- Dobrze się spisałaś, Mariko-san. Mów, proszę, dalej.

- Dziękuję, wielmożny panie. Jest pewna sprawa. . Anjin-sanowi bardzo potrzebne są gramatyka i słownik.

- Posłałem po nie do Tsukku-sana. - Toranaga spostrzegł, że zmarszczyła brwi. - Wątpisz, czy je prześle?

- Oczywiście, że cię posłucha. Ale być może nie tak szybko, jakbyś pragnął.

- Wkrótce się przekonamy. Pozostało mu tylko trzynaście dni - rzekł Toranaga złowieszczym tonem.

Mariko to zaskoczyło.

- Tak, wielmożny panie? - spytała, nie pojmując go.

- Że trzynaście? Ach - odparł nonszalancko Toranaga, tuszując fakt, że się wygadał - kiedy byliśmy na tym portugalskim statku, poprosił mnie, żebym pozwolił mu odwiedzić Edo. Zgodziłem się pod warunkiem, że zrobi to przed upływem czterdziestu dni, nie później. Zostało ich trzynaście.

Czyż to nie czterdzieści dni ten bonza, prorok, ten Mojżesz spędził na owej górze, gdzie otrzymał od „Boga” przykazania, które były wyryte w kamieniu?

- Tak, wielmożny panie.

- Czy wierzysz, że tak było?

- Tak. Ale nie pojmuję jak ani dlaczego.

- Rozmowa o „rzeczach boskich” to strata czasu. Ne?

- Tak, jeżeli szuka się faktów, wielmożny panie.

- Czy czekając na ten słownik próbowałaś układać własny?

- Tak, wielmożny panie. Ale obawiam się, że wiele mu brakuje. Niestety, czasu jest tak mało, a problemów tak wiele. Tutaj. . i wszędzie - dodała znacząco.

Skinął głową, że podziela jej zdanie, wiedząc, że chciałaby bardzo zadać mu wiele pytań: na temat nowej Rady Regencyjnej, mianowania pana Ito, postępu Nagi i czy wojna wybuchnie natychmiast.

- Mamy szczęście, że wrócił do nas twój mąż, ne? - zagadnął.

Jej wachlarz znieruchomiał.

- Nie przypuszczałam, że zdoła ujść z życiem - odparła. - W ogóle. Codziennie modliłam się za niego i zapalałam w jego intencji kadzidło. To prawie cud. Kiedy zobaczyłam go obok ciebie na brzegu, myślałam, że nawiedził mnie kami.

- Jest przebiegły. Bardzo silny i bardzo przebiegły.

- Mogę spytać, co słyhać z panem Hiro-matsu, wielmożny panie? I co w Osace? U pani Kiritsubo i pani Sazuko?

Toranaga obojętnym tonem poinformował ją, że Hiro-matsu po-’ wrócił do Edo na dzień przed jego wyjazdem, kobiety jednak postanowiły pozostać w Osace, a powodem zwłoki w ich wyjeździe stamtąd był stan zdrowia pani Sazuko. Nie było potrzeby wyjaśniać więcej. Oboje zdawali sobie sprawę, że jest to zwykła formuła służąca zachowaniu twarzy i że komendant Ishido za nic nie wypuściłby takich dwóch cennych zakładniczek, skoro wymknął mu się Toranaga.

- Shigata ga nai. Karma, ne? (Nic nie można poradzić. Karma, prawda?) - rzekł.

- Tak.

Wziął pergamin.

- Muszę go zaraz przeczytać. Dziękuję ci, Mariko-san. Doskonale się spisałaś. Przyprowadź o świcie do warowni Anjin-sana.

- Szanowny panie, ponieważ jest tu mój mąż, będę musiała. .

- Twój mąż już się zgodził, że na czas mojego pobytu tutaj pozostaniesz, gdzie jesteś, i będziesz tłumaczką, a twoim podstawowym obowiązkiem będzie towarzyszyć przez kilka następnych dni Anjin-sanowi.

- Ależ wielmożny panie, muszę urządzić mojemu mężowi dom. Potrzebuje domu i służby.

- W tej chwili byłoby to marnotrawstwo czasu, wysiłków i pieniędzy. Zostanie z żołnierzami. .

albo zamieszka w domu Anjin-sana, co będzie wolał. - Spostrzegł w jej oczach błysk rozdrażnienia. -

Nan ja?

- Moje miejsce powinno być przy moim panu. Żeby mu służyć.

- Twoje miejsce jest tam, gdzie ja sobie życzę. Ne?

- Tak, proszę o wybaczenie. Oczywiście.

- Oczywiście.

Wyszła.

Uważnie przeczytał pergamin i podręcznik wojenny. A później jeszcze raz odczytał

fragmenty rękopisu. Odłożył je w bezpieczne miejsce, wystawił strażę przed kajutą i wszedł na

pokład.

Świtało. Dzień zapowiadał się ciepły i pochmurny. Odwołał spotkanie z Anjin-sanem i pojechał na płaskowyż z setką strażników. A potem wziął sokolników, trzy ptaki i urządził polowanie w promieniu dwudziestu ri od wsi. Do południa zdobył trzy bażanty, dwie duże słonki, zająca i parę przepiórek. Jednego bażanta i zająca posłał pilotowi, a resztę do warowni. Nie wszyscy jego samuraje byli buddystami, a on tolerował ich kulinarne upodobania. Sam zjadł trochę zimnego ryżu z pastą rybną i marynowanych wodorostów z płatkami imbiru. Potem zaś zwinął się na ziemi i zasnął.

35.

Blackthorne czekał w ogrodzie. Miał na sobie brązowe mundurowe kimono, będące, podobnie jak miecze zatknięte za szerokim, pasem, pod którym ukrywał pistolet, podarunkiem od Toranagi. Z

pośpiesznych wyjaśnień Fujiko, a potem służby zrozumiał, że musi przyjąć Buntaro pod swój dach, ponieważ samuraj ten jest ważnym generałem, hatamoto, a także pierwszym gościem w jego domu.

Dlatego wykąpał się, szybko przebrał i udał na przygotowane miejsce.

Wczoraj widział Buntaro przez krótką chwilę po jego przyjeździe. Przez resztę wczorajszego dnia był on zajęty z Toranagą, Yabu oraz Mariko, Blackthorne'a zaś pozostawili w spokoju, żeby wraz z Omim i Nagą przygotował pokaz szybkiego ataku. Atak był udany.

Mariko wróciła do domu bardzo późno. Opowiedziała mu zwięźle o ucieczce Buntaro, o tym, jak przez wiele dni polowali na niego ludzie Ishido, jak się im wymknął i przez wrogie prowincje nareszcie dotarł do Kantō.

- Było to bardzo trudne, ale może nie aż tak, Anjin-san. Mój mąż jest bardzo silny i bardzo dzielny.

- I co teraz będzie? Wyjedziesz?

- Pan Toranaga rozkazuje, żeby wszystko pozostało jak dotychczas. Nic się nie zmieni.

- Ty się zmieniłaś, Mariko. Przygasaś.

- Nie. Tylko w twoich oczach, Anjin-san. Po prostu ulżyło mi, że on żyje, a byłam pewna, że zginął.

- Tak. Ale to przecież jest różnica, prawda?

- Oczywiście. Dzięki Bogu, że mój pan nie został schwytany. . że przeżył, aby być na rozkazy pana Toranagi. Wybacz mi, Anjin-san, jestem zmęczona. Przepraszam, jestem bardzo zmęczona.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

- A cóż mógłbyś zrobić? Anjin-san? Oprócz bycia miłym dla mnie i dla niego. Doprawdy, nic się nie zmieniło. Nic się nie skończyło, bo nic nie zaczęło. Wszystko jest jak dawniej. Mój mąż żyje.

Chciałbyś, żeby żył? - zadał sobie pytanie Blackthorne. - Tak.

To po co masz z sobą ten ukryty pistolet? Czujesz się winny?

Nie. Nic się nie zaczęło.

Nic?

Nie.

Tyś tylko myślał, że ją bierzesz. A czyż to nie jest to samo, co wzięcie jej naprawdę?

Zobaczył, że z domu schodzi do ogrodu Mariko. Podążając pół kroku za Buntaro przypominała figurkę z porcelany, przez kontrast tym bardziej podkreślając jego krzepkość. Wraz z nią szły Fujiko i służące.

Blackthorne uklonił się.

- Yokoso oide kudasareta, Buntaro-san - rzekł, witając go w swoim domu.

Wszyscy mu się odклонili. Buntaro i Mariko usiedli na poduszkach naprzeciwko niego. Fujiko zajęła miejsce za jego plecami. Nigatsu i służąca Koi zaczęły podawać herbatę i sake. Buntaro przyjął sake. Tak samo Blackthorne.

- Dōmo, Anjin-san. Ikaga desu ka?

- Ii. Ikaga desu ka?

- Ii. Kowa jozuni shabereru yoni natta na. (Dobrze. Zaczynasz bardzo dobrze mówić po japońsku).

Wkrótce Blackthorne stracił wątek rozmowy, jako że Buntaro mówił szybko i niedbale, połykając słowa.

- Przepraszam, Mariko-san. Nie zrozumiałem tego.

- Mój mąż pragnie podziękować ci za próbę uratowania mu życia. Z pomocą tamtego wiosła.

Pamiętasz? Kiedy uciekaliśmy z Osaki.

- Ah, so desu! Dōmo. Powiedz mi, proszę, że nadal uważam, że powinniśmy cofnąć się do brzegu. Mieliśmy na to dość czasu. Ta służąca utonęła niepotrzebnie.

- Mówi, że to karma.

- Niepotrzebna śmierć - odparł Blackthorne, i pożałował tej niegrzecznej odpowiedzi.

Spostrzegł, że jej nie przełożyła.

- Mój mąż mówi, że strategia ataku jest bardzo dobra, naprawdę doskonała.

- Dōmo. Powiedz mi, iż jestem rad, że uciekł cało. I że będzie dowodził pułkiem. No i oczywiście, że jest mile widzianym gościem.

- Dōmo, Anjin-san. Buntaro-sama mówi, że owszem, atak był bardzo dobry. Ale jeśli o niego chodzi, to nigdy nie rozstanie się z łukiem i mieczami. Potrafi z niego zabić na znacznie większą odległość, strzelając celniej i szybciej niż z muszkietu.

- Jeżeli pragnie, to mogę się z nim zmierzyć w strzelaniu i się przekonamy.

- Przepraszam, Anjin-san, ale przegrasz. Chcę cię ostrzec, byś tego nie próbował -

powiedziała.

Blackthorne spostrzegł, że Buntaro przeskakuje oczami z niego na Mariko i z powrotem.

- Dziękuję ci, Mariko-san. Powiedz mu, że chciałbym zobaczyć, jak strzela.

- Pyta, czy umiesz strzelać z łuku.

- Owszem, ale nie tak, jak wyszkolony łucznik. Łuki są u nas bardzo przestarzałą bronią. Nie licząc kuszy. Mnie szkolono do żeglugi; A na morzu korzystamy jedynie z dział, muszkietów i pałaszy. . Niekiedy używamy ognistych strzał, ale z bliska, do podpalania żagli przeciwnika. -

- Pyta, jak ich używacie, jak przyrządzacie te ogniste strzały. Czy różnią się od tutejszych, użytych przeciwko naszej galerze w Osace?

Blackthorne zaczął wyjaśnienia, przerywane uciążliwymi wtrętami i badawczym wypytywaniem. Jednakże przywykł już do niezwyklej dociekliwości w kwestiach wszystkiego, co dotyczy wojny, ale rozmowa za pośrednictwem tłumaczki bardzo go męczyła. Mimo że Mariko robiła, to wspaniale, to jednak rzadko, jej tłumaczenie było dokładne. Długa odpowiedź zawsze ulegała skróceniu, a niektóre wyjaśnienia drobnym zmianom, więc zdarzały się nieporozumienia. Wyjaśnienia trzeba było zatem niepotrzebnie powtarzać.

Wiedział jednak, że bez pomocy Mariko w żaden sposób nie mógłby być dla nich taki cenny.

Tylko dzięki mej wiedzy nie wtrącają mnie do ciemnicy, przypomniał sobie. Ale to żaden problem, ponieważ jest jeszcze bardzo wiele do opowiedzenia, a do wygrania bitwa. Prawdziwa bitwa. Aż do tego czasu jestem bezpieczny. A w planach mam marynarke. Potem zaś ojczyznę. Szczęśliwy powrót.

Jego wzrok spoczął na mieczach Buntaro i mieczach towarzyszącego mu strażnika, poczuł też swoje własne miecze, ciepło naoliwionego pistoletu i orzekł, że w tym kraju nigdy nie będzie naprawdę bezpieczny. Nie był tutaj bezpieczny nikt. Nawet Toranaga.

- Anjin-san, Buntaro-sama zapytuje, czy jeżeli przyśle jutro do ciebie swoich ludzi, to pokażesz im, jak się sporządza takie strzały?

- A skąd weźmiemy tutaj smołę?

- Nie wiem. Mój mąż obiecuje pomówić o tym z panem Toranaga. Może w Kantō jest gdzieś smoła. Nie znamy nic takiego. Zamiast smoły mamy gęste oleje, oleje wielorybie, które mogą ją zastąpić. Pyta, czy wy również stosujecie czasem rakiety bojowe, jak Chińczycy.

- Tak, ale nie cieszą się one uznaniem, chyba że podczas oblężeń. Używali ich Turcy w walce z rycerzami świętego Jana z Malty. Rakiet używa się u nas przeważnie do podpalenia i siania popłochu.

- Mój mąż prosi, żebyś podał mu szczegóły tej bitwy.

- Zdarzyło się to przed czterdziestu laty na największym śródziemnym morzu w Europie, Mariko-san. Było to oblężenie jak każde inne, niewarte opowieści - skłamał. Nagłe bowiem zdał sobie sprawę, że bitwa ta dostarcza mu kluczy do zamku w Osace: jak go oblegać, jak nękać, jak sforsować bramy, jak go zdobyć. Taka wiedza była bezcenna i na pewno nie należało jej ujawniać lekkomyślnie, a już na pewno nie w tej chwili. Mariko wielokrotnie powtarzała, że, Toranadze stoi na drodze do zwycięstwa niezłomny zamek w Osace. Blackthorne był przekonany, że rozwiązanie problemu zamku może być jego paszportem do wyjazdu z cesarstwa z bogactwami, które starczą mu do końca życia.

- Senhora? - spytał spostrzegając zafrasowaną minę Mariko.

- Nic, nic, senhor - odparła i przełożyła jego odpowiedź.

Poznał jednak, iż wie, że coś przed nimi ukrywa.

- Mój mąż pragnie, żebyś mu opowiedział o jakiejś bitwie, w której brałeś udział -

powiedziała, zwracając się znów do niego.

- Wszystkie są opisane w podręczniku wojennym.

- Mówi, że przeczytał go z wielkim zainteresowaniem, ale zawiera, on tylko skrótowy opis. W

ciągu następnych dni pragnie dowiedzieć się wszystkiego o waszych bitwach. Jeżeli pozwolisz, to o jakiejś z nich w tej chwili.

- Wszystkie są opisane w podręczniku wojennym. Może jutro, Mariko-san.

Chciał się dokładnie zastanowić nad tą oślepiającą nową myślą dotyczącą zamku w Osace i nad tamtą bitwą, miał za to serdecznie dość tej rozmowy, dociekliwych pytań, przede wszystkim jednak chciało mu się jeść.

- A może jednak zechcesz ją powtórzyć mojemu mężowi, tylko raz? Dosłyszał w jej głosie pełną troski prośbę, więc jej uległ.

- Oczywiście. A która, twoim zdaniem, by mu się spodobała?

- Ta w Niderlandach. Koło „Zelandii”, czy tak to wymawiasz?

- Tak.

Zaczął więc opowiadać o tej bitwie, przypominającej wszystkie inne, w których giną żołnierze, przeważnie wskutek błędów i głupoty swych dowódców.

- Mój mąż mówi, że w Japoni jest inaczej, Anjin-san. U nas dowódcy muszą być bardzo dobrzy, bo w przeciwnym razie prędko giną.

- Oczywiście, moja krytyka odnosi się wyłącznie do europejskich wodzów.

- Buntaro-sama mówi, że opowie ci w ciągu tych dni o naszych wojnach i naszych dowódcach, a zwłaszcza o panu taikō. Żeby godziwie zrewanżować ci się za twoje informacje - powiedziała wymijająco.

- Dōmo.

Blackthorne uklonił się lekko, czując na sobie świdrujący wzrok męża Mariko. Czego ty właściwie ode mnie chcesz, sukinsynu? - zadawał sobie pytanie. -

Kolacja była katastrofą. Dla wszystkich.

Jeszcze zanim przeszli z ogrodu na werandę, żeby zjeść, miało miejsce złowróżbne zdarzenie.

- Przepraszam, Anjin-san, ale co to jest? - spytała Mariko pokazując. - Tam. Mój mąż pyta, co to jest.

- Gdzie? Ach, tam. To bażant - odparł Blackthorne. - Przysłał mi go pan Toranaga, wraz z zającem. Zjemy go na, kolację, po angielsku. . a przynajmniej ja, choć starczy dla wszystkich.

- Dziękuję, ale. . my, mój mąż i ja, nie jemy mięsa. Ale dlaczego ten bażant tam wisi? W tym gorącu, czy nie powinien być zabrany i przyrządzony?

- To sposób na przyrządzenie bażanta. Wiesz się go, żeby mięso było kruche.

- Co takiego? Tak po prostu? Wybacz, Anjin-san - powiedziała zmieszana - bardzo przepraszam. Ale on szybko się zepsuje. Jest nie oskubany i nie. . oczyszczony.

- Mięso bażanta jest suche, Mariko, dlatego wiesz się go na kilka dni, może nawet na dwa tygodnie, zależnie od pogody. Potem ptaka oskubuje się, patroszy i piecze.

- Zo.. zostawiacie go na powietrzu? Żeby zgnił? Tak jak. .

- Nan ja? - spytał zniecierpliwiony Buntaro.

Powiedziała coś do niego usprawiedliwiając się, na co wstrzymał oddech, wstał, przyjrzał się uważnie bażantowi i szturchnął go. Zabrzęczało kilka much, które usiadły z powrotem. Fujiko z wahaniem rzekła coś mężowi Mariko. Buntaro poczerwieniał.

- Twoja konkubina twierdzi, że zabroniłeś komukolwiek go dotykać, tak? - spytała Mariko.

- Tak. Czy wy nie wieszacie upolowanej zwierzyny? Nie wszyscy są buddystami.

- Nie, Anjin-san. Wątpię.

- Niektórzy są zdania, że bażant powinien wisieć za pióra na ogniu, dopóki sam nie spadnie, ale to czysty wymysł - rzekł Blackthorne. - Należy go wieszać za szyję, a wtedy wszystkie soki pozostają

tam, gdzie trzeba. Inni trzymają go, aż przerwie mu się szyja, ale ja osobiście nie gustuję w aż tak bardzo dojrzałym mięsie. Zazwyczaj. . Urwał, bo spostrzegł, że Mariko odrobinę pozieleniała.

- Nan desu ka, Mariko-san? - spytała prędko Fujiko.

Mariko wyjaśniła. Wszyscy zaśmieli się nerwowo, a Mariko wstała i delikatnie osuszyła lśniące czoło.

- Wybacz, Anjin-san, przepraszam na chwilę. .

Wasze jedzenie jest równie dziwaczne, chciał powiedzieć. Na przykład wczoraj, ta surowa mątwą - białe, oślizgłe, prawie pozbawione smaku i wymagające żucia mięso, polane jedynie sosem sojowym. Albo te posiekane jądra ośmiornicy, znowu na surowo, z zimnym ryżem i wodorostami! A ta świeża meduza w żółtobrązowym, przypominającym zupę tōfu, sfermentowanym twarożku sojowym, wyglądającym jak psie rzygowiny? O tak, podanym pięknie w delikatnej ładnej misce, ale i tak wyglądającym jak wymiociny! Tak, na miły Bóg, to wystarczy, żeby człowiek dostał mdłości!

Buntaro głośno „siorbał sake i zupę, tak jak nakazywał zwyczaj. Blackthorne’a zaczęło to irytować. Mariko rozmawiała wesoło z mężem, który ledwie bąkał, odpowiadając jej pomrukami. Nic nie jadła, a co drażniło jeszcze bardziej, to fakt, że obie z Fujiko płaszczyły się przed Buntaro, w dodatku on sam musiał znosić, chcąc nie chcąc, tego niepożądanego gościa.

- Powiedz panu Buntaro, że w moim kraju gospodarz wznosi toast na cześć szanownego gościa. - Z niewesołym uśmiechem podniósł czarkę. - Za długie i życie i szczęście!

Wypił.

Po wysłuchaniu wyjaśnień Mariko Buntaro skinął głową i uniosł swoją czarkę. Uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby i wypił wino.

- Na zdrowie! - powiedział przy następnym toaście Blackthorne.

A potem jeszcze raz.

I znowu.

- Zdrowie!

Tym razem Buntaro nie wypił. Odstawił napełnioną czarkę i spojrzał na Anglika małymi oczami.

Potem zaś przywołał kogoś z zewnątrz. Natychmiast odsunięto shoji. Jego nieodłączny przyboczny strażnik uklonił się i podał mu ogromny łuk oraz kołczan. Buntaro wziął je, a potem gwałtownie i porywczo powiedział coś do Blackthorne’a.

- Mój mąż. . mój mąż mówi, że chciałeś zobaczyć, jak on strzela z łuku, Anjin-san - przełożyła Mariko. - Jest zdania, że za długo z tym czekać do jutra. Teraz jest na to odpowiednia pora.

Proponuje strzelać do bramy twojego domu. Pyta, który jej słupek wybierasz.

- Nie rozumiem - odparł Blackthorne, bo główna brama była ze czterdzieści kroków stąd, po drugiej stronie ogrodu, lecz w tej chwili całkowicie zasłaniała ją ściana, którą miał po swojej prawej ręce.

- Lewy słupek czy prawy? Zechciej wybrać - dodała nagle.

Ostrzeżony przez nią, spojrzął na Buntaro. Mąż Mariko zachowywał obojętność, nie patrząc na nich - przysadzisty, szpetny gnom, który siedział wpatrując się w przestrzeń.

- Lewy - rzekł zafascynowany.

- Hidari! - powiedziała.

Buntaro natychmiast wyjął strzałę z kołczana, ustawił łuk, uniósł go, naciągnął cięciwę trzymaną na wysokości oka i z dziką, niemal poetycką płynnością wystrzelił. Strzała śmignęła w stronę Mariko i musnąwszy po drodze kosmyk jej włosów przepadła, przebijając papierową ścianę.

Zanim zniknęła z oczu pierwsza, wyleciała druga; a potem następna, wszystkie o cal od zastygłej Mariko, która, spokojna i nieporuszona, klęczała jakby nigdy nic.

Śmignęła czwarta strzała, a po niej ostatnia. Cisza była pełna ech rozedrganej cięciwy.

Buntaro westchnął i powoli ochłonął. Położył łuk na kolanach. Mariko i Fujiko wciągnęły powietrze, uśmiechnęły się, ukłoniły i skomplementowały strzelca, na co ten skinął głową i lekko im się odkłonił.

Spojrzeli na Blackthorne'a. Zdawał sobie sprawę, że był świadkiem czegoś, co graniczyło z magią.

Wszystkie strzały przeszły przez ten sam otwór w shoji.

Buntaro oddał łuk strażnikowi i wziął małą czarę. Wpatrywał się w nią przez chwilę, po czym uniósł ją w stronę Blackthorne'a, wypił sake, a potem przemówił szorstko, powracając do swoich grubiańskich manier.

- On. . mój mąż prosi grzecznie, żebyś tam poszedł i sprawdził.

Blackthorne rozważał to przez chwilę, pragnąc uspokoić rozkołataną serce.

- Nie ma potrzeby. Na pewno trafił w cel.

- Mówi, że chciałby, abyś się upewnił.

- Jestem pewny. .

- Proszę cię, Anjin-san. Wyświadczysz mu tym zaszczyt.

- Nie muszę wyświadczać mu zaszczytu.

- Owszem, ale czy mogę dodać do jego prośby swoją własną? Znowu dostrzegł w jej oczach błaganie.

- Jak się mówi „To był wspaniały pokaz”?

Powiedziała mu. Powtórzył to i uklonił się Buntaro, na co ten niedbale mu się odkłonił.

- Poproś go, żeby poszedł ze mną zobaczyć te strzały.

- Mówi, że wolałby, abyś poszedł sam. Nie pragnie tam iść, Anjin-san.

- Dlaczego?

- Jeżeli strzały były celne, powinieneś zobaczyć to sam. W ten sposób unikniesz zakłopotania i ty, i on.

- A jeżeli chybił?

- Nie chybił. Ale wedle naszego zwyczaju celność w tak niezwykłych okolicznościach jest niczym wobec wdzięku, z jakim strzela łucznik, szlachetności jego ruchów, siły, której wymaga strzelanie na siedząco, oraz obojętności na zwycięstwo czy porażkę w takim zakładzie.

Strzały tkwiły pośrodku lewego słupka rozrzucone na przestrzeni jednego cala od siebie.

Blackthorne odwrócił się w stronę odległego o jakieś czterdzieści kroków domu i w jego papierowej ścianie dojrzał regularny otwór - iskierkę światła w ciemnościach.

Pomyślał, że aż trudno uwierzyć w taką celność. Buntaro ze swojego miejsca nie mógł widzieć ogrodu ani bramy, a na dworze była ciemna noc. Blackthorne obrócił się do słupka i podniósł latarnię wyżej. Spróbował wyciągnąć strzałę. Ale jej stalowy bełt wbił się za głęboko. Mógłby ułamać drewnianą brzechwę, ale nie chciał tego robić.

Strażnik Buntaro przyglądał mu się.

Blackthorne zawahał się. Strażnik ruszył w jego stronę, by mu pomóc, ale podziękował mu

„Iye, dōmo”, potrząsnął przecząco głową i wrócił do domu.

- Mariko, zechciej powtórzyć mojej konkubinie, że chcę, aby strzały te pozostały na zawsze w słupie bramy. Wszystkie! Po to, bym pamiętał o mistrzu łuku. Nigdy dotąd nie oglądałem takiego popisu strzeleckiego.

Uklonił się Buntaro.

- Dziękuję, Anjin-san.

Mariko przełożyła to mężowi, a ten uklonił się i podziękował mu za pochwałę.

- Sake! - zażądał Blackthorne.

Wypili więcej. Znacznie więcej. Wino, które Buntaro zaczął żłopać bez umiaru, uderzyło mu do głowy. Sięgnął do dwóch czarek sake, jedną, rozlewając trunek, wręczył Blackthorne'owi, po czym dał znak kobietom, żeby wzięły pozostałe.

- On. . mój mąż mówi, że niekiedy czarki z sake są za małe - przełożyła jego słowa Mariko i napełniła czarki. Łyknęła z jednej, a Fujiko z drugiej.

Po następnej, jeszcze bardziej agresywnej perorze męża uśmiechy na twarzach jej i Fujiko zastygły.

- Iye, dōzo gomen nasai, Buntaro-sama - przemówiła Mariko.

- Ima! - rozkazał Buntaro.

Fujiko odezwała się nerwowym głosem, ale Buntaro uciszył ją jednym spojrzeniem.

- Gomen nasai - przeprosiła szeptem Fujiko. - Dozo, gomen nasai.

- Co on powiedział, Mariko-san? - spytał Blackthorne. Zachowywała się tak, jakby nie dosłyszała jego pytania.

- Dozo gomen nasai, Buntaro-sama, watashi. . Jej mąż poczerwieniał na twarzy.

- Ima! !

- Bardzo przepraszam, Anjin-san, ale mój mąż każe mi powiedzieć. . odpowiedzieć na twoje pytania. . chce, żebym opowiedziała ci o sobie. Odparłam, że nie powinno się mówić o rodzinnych sprawach o tak późnej porze, ale on każe mi to zrobić. Okaż mi cierpliwość. - Pociągnęła duży łyk sake. Jeszcze jeden. Kosmyki luźno opadających jej na uszy włosów kołysały się w lekkim prądzie powietrza od wachlarza Fujiko. Dopiła czarkę i odstawiła ją. - Moje panięńskie nazwisko brzmi Akechi. Jestem córką pana Akechiego Jinsai, zabójcy. Mój ojciec podstępnie przyczynił się do śmierci naszego lennego pana, dyktatora Gorody.

- Boże w niebiesiech! Dlaczego to zrobił?

- Bez względu na powody nic nie usprawiedliwia jego czynu, Anjin-san. Mój ojciec popełnił najcięższą zbrodnię, jaką zna Japonia. Skalał mnie samą, jak i mojego syna.

- To dlaczego.. - Blackthorne urwał.

- Tak, Anjin-san?

- i Chciałem tylko powiedzieć, że zdaję sobie sprawę, co to znaczy. . zabić swojego lennego pana.

Dziwi mnie, że zostawiono was przy życiu.

- Mój mąż wyświadczył mi zaszczyt. .

Buntaro jeszcze raz przerwał jej ze złością, na co przeprosiła go i wyjaśniła, o co spytał

Blackthorne. Lekceważącym gestem nakazał jej mówić dalej.

- Mój mąż wyświadczył mi zaszczyt odsyłając mnie - ciągnęła tym samym łagodnym tonem. -

Błagałam, żeby pozwolił mi na seppuku, ale odmówił mi tego przywileju. Był to.. Muszę ci wyjaśnić, że może mi go przyznać albo on, albo pan Toranaga. Dlatego raz do roku w rocznicę tamtej zdrady nadal proszę pokornie, żeby mi na to pozwolił. Ale w mądrości swojej mój mąż zawsze mi, jak dotąd, odmawiał. - Uśmiechnęła się ślicznie. - Mąż codziennie, bez przerwy czyni mi zaszczyt, Anjin-san.

Na jego miejscu w ogóle nie rozmawiałabym z tak. . skalaną osobą.

- Czy to dlatego.. dlatego jesteś ostatnia z rodu? - spytał przypominając sobie, jak podczas wędrówki przez Osakę wspomniła mu o jakiejś rodzinnej katastrofie.

Mariko przełożyła jego pytanie Buntaro i znów zwróciła się do niego.

- Hai, Anjin-san. Ale to nie była katastrofa, nie dla nich. Ojca wraz z rodziną schwycił w górach generał Nakamura, który został taikō. To właśnie on dowodził odwetową armią i wyrznął w pień wszystkie oddziały ojca, dwadzieścia tysięcy żołnierzy. Ojciec i jego najbliżsi wpadli w pułapkę, ale miał czas, żeby wszystkim dopomóc, czterem moim braciom i trzem siostram, mojej. . mojej matce i dwóm konkubinom. A potem popełnił seppuku. Wszyscy byli samurajami i on postąpił jak samuraj - powiedziała. - Śmiało uklękli przed nim i po kolei ich zabił. Umarli z honorem. I on umarł z honorem. W zdradzie przeciwko naszemu lennemu panu uczestniczyli też dwaj bracia ojca i wuj. Oni również wpadli w pułapkę. I umarli równie godnie. Z rodu Akechi nie ocalał nikt prócz mnie, której przyszło znosić szyderstwa i nienawiść. . och, przepraszam, Anjin-san, myślę się, prawdziwi wrogowie to mój ojciec, jego bracia i wuj. Z wrogów tych ocalałam tylko ja, żywy świadek ich podłej zdrady.

Mnie, Akechi Mariko, pozostawiono przy życiu, ponieważ byłam mężatką i należałam przeto do rodziny męża. Mieszkaliśmy podówczas w Kioto. W chwili śmierci ojca przebywałam właśnie tam.

Jego zdrada i bunt trwały tylko trzynaście dni, Anjin-san. Ale jak długo na tych wyspach żyją ludzie, nazwisko Akechi będzie skalane.

- Jak długo byłaś mężatką, kiedy to się stało?

- Dwa miesiące i trzy dni, Anjin-san.

- I miałaś wtedy piętnaście lat?

- Tak. Mąż uczynił mi zaszczyt nie rozwodząc się ze mną ani nie wyrzucając mnie, tak jak powinien był zrobić. Zostałam odesłana do pewnej wioski na północy kraju. Tam, w prowincji Shonai, było zimno. Bardzo zimno.

- Jak długo tam przebywałaś?

- Osiem lat. Pan Goroda miał lat czterdzieści dziewięć, kiedy popełnił seppuku, żeby uniknąć pojmania. Było to prawie szesnaście lat temu, Anjin-san, a większość jego potom. .

Buntaro znów jej przerwał, głosem ostrym jak bat.

- Przepraszam, Anjin-san - powiedziała Mariko. - Mój mąż słusznie wskazuje mi, że wystarczy, jeśli powiem, że jestem córką zdrajcy, a długie wyjaśnienia są zbędne - dodała ostrożnie. - Racz wybaczyć maniery mojego męża. Bardzo przepraszam, ale mam rozkaz odejść.

Wyjdź, proszę, stąd dopiero po jego odejściu albo kiedy upije się do nieprzytomności. Nie powstrzymuj go w tym. - Ukłoniła się Fujiko. - Dozo gomen nasai.

- Do itashimashite.

Mariko skłoniła głowę przed Buntaro i wyszła. W powietrzu pozostał zapach jej perfum.

- Sake! - zażądał Buntaro i uśmiechnął się złośliwie. Fujiko napełniła mu filiżankę, którą zastąpił czarękę.

- Zdrowie - powiedział Blackthorne, nie wiedząc co myśleć. Przez ponad godzinę przepijał do Buntaro, aż i jemu samemu zakręciło się w głowie. Wreszcie Buntaro stracił przytomność i zwałił się na potrzaskane filiżanki. Natychmiast odsunięto shoji. Do środka wszedł strażnik z Mariko.

Podnieśli Buntaro i z pomocą służących, które wyrosły jak spod ziemi, zanieśli go do pokoju naprzeciwko. Pokoju Mariko, która z pomocą służącej Koi zaczęła rozbierać męża. Strażnik zasunął shoji i z dłonią na rękojeści wysuniętego miecza usiadł w korytarzu.

Fujiko czekała, przyglądając się Blackthorne'owi. Służące, które nadeszły, uprzątnęły bałagan.

Znużony Blackthorne przejechał dłonią po długich włosach i rozwiązał wstążkę na warkoczu. Potem zaś chwiejnie wstał i wyszedł na werandę, a za nim jego konkubina. Woń świeżego powietrza otrzęwiła go. Ale nie do końca. Zadumany usiadł na werandzie i pił w ciemności.

Kłęcząca za jego plecami Fujiko pochyliła się do przodu.

- Gomen nasai, Anjin-san.- wyszeptała, wskazując głową dom. - Wakarimasu ka? (Rozumiesz?)

- Wakarimasu, shigata ga nai - odparł, a spostrzegając jej nienaturalny niepokój, pogładził ją po głowie.

- Arigato, arigato, Anjin-sama.

- Anatawa suimin ima, Fujiko-san - rzekł, z trudem klecąc słowa. (Ty teraz spać.)

- Dozo gomen nasai, Anjin-sama, suimin, ne? - powiedziała patrząc błagalnie i pokazując na jego pokój.

- Iye. Watashi oyogu ima. (Nie, idę popływać.)

- Hai, Anjin-sama.

Posłusznie odwróciła się i zawołała. Nadbiegli dwaj służący, młodzi wieśniacy z wioski, silni i znani z tego, że dobrze pływają.

Blackthorne nie sprzeciwiał się. Wiedział, że dzisiejszej nocy jego sprzeciwy byłyby bez znaczenia.

- No cóż, w każdym razie - powiedział na głos, kiedy zamroczony winem schodził chwiejnie ze wzgórza, a za nim wieśniacy - uśpiłem go. Tak więc jej nie skrzywdzi.

Popływawszy godzinę w morzu, Blackthorne poczuł się lepiej. Kiedy wrócił” Fujiko czekała na werandzie z dzbankiem świeżej cha. Kiedy się napił, położył się na posłaniu i natychmiast zasnął.

Obudził go nasączony jadem głos Buntaro. Odszukał ręką kolbę pistoletu, który zawsze trzymał pod futonem. Od nagle przerwane go snu serce waliło mu w piersi.

Buntaro zamilkł. Zaczęła mówić Mariko. Blackthorne zrozumiał tylko pojedyncze słowa, wyczuwał jednakże w jej głosie perswazję i prośbę wypowiedzianą zwykłym, spokojnym tonem bez śladu uniżoności, zawodzenia, płaczu. Buntaro znowu się wściekł.

Blackthorne starał się nie słuchać.

- Nie wtrącaj się - uprzedziła go bardzo przezornie. Nie miał przecież żadnych praw, za to Buntaro wiele. - Błagam cię, żebyś był ostrożny, Anjin-san. Pamiętaj, co ci powiedziałam o uszach, które nasłuchują, i o Wieńcu Ośmiu Płotów.

Oblany zimnym potem, posłusznie położył się na wznak i zmusił się do myślenia o tym, co od niej usłyszał.

- Widzisz, Anjin-san - powiedziała mu, kiedy sobie kpił z powszechnego braku intymności w tym kraju: wszechobecnych ludzi, papierowych ścian, wścibskich oczu i uszu - u nas musisz się nauczyć stwarzania sobie własnego intymnego świata. Od dzieciństwa uczy się nas zamykania w sobie, otaczania nieprzebytymi murami, za którymi żyjemy. W przeciwnym razie na pewno byśmy zwariowali i pozabijali się nawzajem albo samych siebie.

- Jakimi murami?

- Och, do ukrycia się mamy niezliczone labirynty, Anjin-san. O, tak, rytuały i zwyczaje, najrozmaitsze

zakazy. Nawet w naszym języku są liczne subtelności, których brak waszym językom, a które pozwalają nam, z zachowaniem grzeczności, nie odpowiadać na żadne pytanie, jeśli tego nie chcemy.

- Ale w jaki sposób zamykacie uszy, Mariko-san? Przecież to niemożliwe.

- Och, bardzo łatwo się tego nauczyć. Oczywiście nauka rozpoczyna się, kiedy tylko dziecko zacznie mówić, tak że wkrótce staje się to naszą drugą naturą. Jakże inaczej moglibyśmy żyć?

Najpierw zaczynasz od usunięcia ludzi z własnej świadomości, od przeniesienia się na inne jej piętro. Bardzo pomaga w tym przyglądanie się zachodzącemu słońcu albo wsłuchiwanie się w deszcz. . Czy zauważyłeś, Anjin-san, że deszcz różnie brzmi? Jeżeli naprawdę jesteś zasłuchany, to rzeczywistość znika, ne? Wyjątkowo świetnym ćwiczeniem jest przysłuchiwanie się opadającym płatkom kwiatów albo obrastaniu kamienia. Naturalnie, nikt nie oczekuje, że postrzeże te rzeczy, bo są to jedynie znaki, wiadomości dla twojego hara, jestestwa, żeby ci przypomnieć o przemijalności życia, dopomóc w osiągnięciu wa, harmonii, Anjin-san, doskonałej harmonii, która jest najbardziej poszukiwaną wartością w życiu Japończyków, samą sztuką, samą. . - Roześmiała się. - No widzisz, co ze mną robi aż tyle wypitej sake. - Koniuszką języka nadzwyczaj powabnie dotknęła warg. - Zdradzę ci na ucho pewną tajemnicę: nie daj się zwieść naszym uśmiechom i grzecznościom, naszemu ceremoniałowi, ukłonom, przyjemnym manierom i uprzejmościom. Pod tym wszystkim ukryci możemy być oddaleni o milion ri, bezpieczni i sami. Bo tego właśnie szukamy - odosobnienia. Jedna z naszych pierwszych zapisanych pieśni, zamieszczona w naszej pierwszej historycznej księdze,

„Kojiki”, spisanej przed mniej więcej tysiącem lat, być może wyjaśni ci, o czym mówię: Osiem chmur nadlatuje.

Żeby skryć kochanków.

A Osiem Wieńców owych chmur otacza

Wieniec Ośmiu Płotów prowincji Izumo..

O, jakże wspaniały Wieniec Ośmiu Płotów!

Gdybyśmy nie mieli tego Wieńca Ośmiu Płotów, to z całą pewnością byśmy oszaleli, o, tak!.

Pamiętaj o Wieńcu Ośmiu Płotów, rzeźł sobie, cały czas słysząc wściekłe syczenie Buntaro.

Nic o niej nie wiesz. Ani o nim, naprawdę. Pomyśl o pułku muszkietów, o kraju, o Felicity, o tym, jak odzyskać statek, o Baccusie, Toranadze, Omim. A co z Omim? Czy muszę się na nim zemścić? Chce się ze mną zaprzyjaźnić, a od wydarzenia z pistoletami traktował mnie dobrze, miło i. .

Nagle w głowie zahuczał mu odgłos uderzenia. Usłyszał głos Mariko, znowu odgłos ciosu, więc zerwał się na równe nogi i otworzył shoji.

Przed pokojem Mariko stał z mieczem w pogotowiu złowrogi strażnik Buntaro.

Blackthorne już był gotów zaatakować go, kiedy - na drugim końcu korytarza Otworzyły się drzwi i

nadeszła Fujiko. Rozpuszczone włosy spływały jej w falach na nocne kimono. Nie zwracając najmniejszej uwagi na odgłosy dartych szat i wymierzanych policzków, ukloniła się grzecznie strażnikowi i stanęła pomiędzy nim a Blackthorne'em. Złożyła mu pokorny ukłon, wzięła za rękę i wskazała jego własny pokój. Blackthorne spostrzegł, że samuraj stoi cały naprężony i gotowy.

Ponieważ miał przy sobie tylko jeden pistolet, a w nim jedną kulę, wycofał się. Fujiko weszła za nim i zamknęła shoji. A potem bardzo zaleźniona ostrzegawczo potrząsnęła głową, dotknęła ust palcem i patrząc błagalnie pokręciła głową jeszcze raz.

- Gomen nasai, wakarimasu ka? - wyszeptwała.

Blackthorne jednak skupiał całą uwagę na ścianie sąsiedniego pokoju, którą mógł rozwalić z taką łatwością.

Fujiko również na nią spojrzała, a potem stanęła pomiędzy nim a nią i usiadła, pokazując mu, żeby zrobił to samo.

Ale nie mógł usiąść. Stał gotując się do ataku, który zniszczy ich wszystkich, podżegany płaczem Mariko wywołanym przez kolejny raz.

- Iye! - powiedziała Fujiko, drżąc ze strachu. Dał jej znak, by mu zeszła z drogi.

- Iye, iye - powtórzyła błagalnie.

- Ima! !

W jednej chwili wstała, powstrzymała go gestem i bezszelestnie podeszła do mieczów spoczywających przed tokonamą, małą wnęką w ścianie. Drżącymi rękami wzięła długi miecz, wysunęła go z pochwy i przyszykowała się, żeby przejść przez ścianę za Blackthorne'em. W tym momencie usłyszeli uderzenie i kolejny wybuch furii. Trzasnęło odsunięte shoji i zadudniły ciężkie kroki Buntaro, za którym ruszył jego strażnik. Przez chwilę w domu panowała cisza, a potem grzmotnęła zatrzaśnięta furtka ogrodowa.

Blackthorne podszedł do drzwi. Fujiko skoczyła i zastąpiła mu drogę, ale odsunął ją na bok i je otworzył.

Mariko nadal klęczała w kącie drugiej izby. Na policzku miała siną pręgę, włosy w nieładzie, kimono w strzępach, a na udach i lędźwiach liczne sińce.

Podszedł szybko, chcąc ją podnieść, ale krzyknęła na niego:

- Odejdź, proszę, odejdź, Anjin-san! Zauważył, że z kącika jej ust spływa strużka krwi.

- O Boże, jak mocno cię. .

- Prosiłam, żebyś się nie mieszał. Odejdź, proszę - powiedziała tym samym spokojnym głosem, który przeczył jej pełnemu furii spojrzeniu.

I wtedy spostrzegła Fujiko, która stała w wejściu. Coś do niej powiedziała. Fujiko posłusznie wzięła Blackthorne'a za rękę, żeby go wyprowadzić, ale wyrwał się jej.

- Nie! Iye!.

- Twoja obecność upokarza mnie. Nie pociesza i nie uspokaja, tylko zawstydzają. Odejdź! -

powiedziała Mariko.

- Chcę ci pomóc. Nie rozumiesz tego?

- A czy ty rozumiesz? W tej sprawie nie masz żadnych praw. To prywatna kłótnia pomiędzy mężem i żoną.

- Nic nie usprawiedliwia bicia. .

- Dlaczego ty mnie nie słuchasz, Anjin-san? Jeżeli mu się spodoba, może mnie zatłuc na śmierć. Ma do tego prawo i szkoda, że tego nie zrobił. . niechby zatłukł! Nie musiałabym już wtedy dłużej znosić swojej hańby. Myślisz, że łatwo mi z nią żyć? Nie słyszałaś, co ci powiedziałam?

Jestem córką Akechiego Jinsai. Akechiego! !

- To nie twoja wina. Ty nic nie zrobiłaś!

- Moja wina, dlatego że jestem jego córką.

Na tym Mariko mogłaby zakończyć rozmowę. Ale spoglądając na niego i widząc jego współczucie, troskę, miłość, a także znając jego umiłowanie prawdy, pozwoliła sobie na uchylenie przed nim rąbka tajemnicy.

- Dzisiaj to ja zawiniłam, Anjin-san - powiedziała. - Gdybym płakała, tak jak tego pragnął, prosiła go o wybaczenie, płaszczyła się przed nim, była wobec niego sparaliżowana strachem i uległa, gdybym rozłożyła przed nim nogi, udając przerażenie, gdybym robiła to wszystko, czego wymaga się w takich razach od kobiety, to wówczas jadłby mi z ręki. Ale ja tego nie zrobiłam.

- Dlaczego?

- Bo to jest moja zemsta. Zapłata za to, że pozostawił mnie przy życiu po tamtej zdradzie.

Zapłata za odesłanie mnie na osiem lat i utrzymywanie mnie przy życiu przez cały ten czas. I zapłata za to, że nakazał mi powrót do normalnego życia, bym żyła dalej. - Usiadła obolała i zawinęła się ciasniej w porwane kimono. - Nigdy więcej mu się nie oddałam. Z własnej woli zrobiłam to jeden raz, mimo że od pierwszego wejrzenia był mi wstrętny.

- To dlaczego go poślubiłaś? Powiedziałaś mi, że kobiety tutaj mają prawo odmówić ślubu, że nie muszą wychodzić za mąż na przekór swoim chęciom.

- Poślubiłam go, żeby sprawić przyjemność dyktatorowi Gorodzie i mojemu ojcu. Byłam taka młoda, że nie miałam pojęcia, kim jest Goroda, ale jeżeli chcesz znać prawdę, to był on najokrutniejszym, najbardziej obmierzłym człowiekiem, jakiego nosiła ziemia. Doprowadził mojego ojca do zdrady. Oto jak wygląda prawda! On, Goroda! - powiedziała, wypluwając z ust to nazwisko. -

Gdyby nie on, wszyscy byśmy żyli i cieszyli się szacunkiem. Modłę się do Pana Boga, żeby Goroda na wiek wieków pozostał w piekle. - Ostrożnie zmieniała pozycję, żeby złagodzić ból w boku. - Z moim mężem łączy mnie tylko nienawiść, to nasza karma. Przecież z taką łatwością mógłby mi pozwolić, żebym wspięła się na ten mały podest, na którym się umiera.

- Dlaczego nie pozwoli ci odejść od siebie?, Nie rozwiedzie się z tobą? Albo nawet nie zaspokoi twoich pragnień?

- Ponieważ jest mężczyzną.

Skrzywiła się, bo przeszył ją ból. Blackthorne uklęknął przy niej i wziął ją w ramiona.

Odepchnęła go, z wszelkich sił starając się opanować. Fujiko przyglądała się im od progu ze stoickim spokojem.

- Nic mi nie jest, Anjin-san. Proszę, zostaw mnie. Nie wolno ci tego robić. Musisz być ostrożny.

Znużonym gestem odgarnęła włosy z oczu i wpatrzyła się w niego badawczo. A może by tak pozwolić mu na zetknięcie się z jego karmą, pomyślała. Nie należy do naszego świata. Buntaro zabije go z taką łatwością. Dotychczas tarczą mu była tylko osobista ochrona Toranagi. Yabu, Omi, Naga, Buntaro.. każdego z nich łatwo można sprowokować do zabicia go.

Przecież od jego przyjazdu są same kłopoty, ne? Naga-san ma rację: Anjin-san zniszczy nasz świat, jeżeli go się nie powstrzyma.

A jeżeli Buntaro zna prawdę? Albo zna ją Toranaga? O tamtym poduszgowaniu. .

- Czyś ty oszalała? - spytała ją tamtej pierwszej nocy Fujiko.

- Nie.

- To dlaczego chcesz zastąpić służącą?

- Z powodu sake i dla przyjemności, Fujiko-san, a także z ciekawości - skłamała, ukrywając prawdziwy powód. Blackthorne bowiem podniecał ją, pożądał go, a nigdy nie miała kochanka. Gdyby'

nie skorzystała z takiej okazji tamtej nocy, to nie skorzystałaby już nigdy, a kochankiem tym musiał być Anjin-san, nikt inny.

Tak więc poszła do niego, przeżyła zachwyty, wczoraj zaś, po przyplnięciu galery, Fujiko spytała ją

w zaufaniu:

- A Czy poszłabyś do niego wiedząc, że twój mąż żyje?

- Nie. Naturalnie, że nie - skłamała jej.

- Ale teraz powiesz o tym panu Buntaro, he? O poduszkowaniu z Anjin-sanem?

- A po co?

- Myślałam, że taki masz plan. Że kiedy powiesz panu Buntaro o wszystkim we właściwej chwili, to skrupi całą wściekłość na tobie i zanim się spostrzeże, co zrobił, ty szczęśliwie już nie będziesz żyła.

- Nie, Fujiko-san, on mnie nigdy nie zabije. Niestety. Jeżeli znajdzie dostateczny powód, to - za pozwoleniem pana Toranagi - odda mnie pariasom eta, ale nie zabije mnie nigdy.

- Cudzołóstwo z Anjin-sanem, czy to by mu wystarczyło?

- O, tak.

- A jaki byłby los twojego syna?

- Skoro ja jestem pohańbiona, to on odziedziczyłby po mnie hańbę, ne?

- Powiedz mi, proszę, czy twoim zdaniem Buntaro-sama podejrzewa, co się stało? Bo jako konkubina Anjin-sama mam obowiązek ochraniać go.

Tak, masz taki obowiązek, Fujiko-san, pomyślała Mariko. To zaś dałoby ci powód do jawnej zemsty na oskarżycielu twojego ojca, czego tak bardzo pragniesz. Bardzo mi przykro, biedna Fujiko, ale twój ojciec był tchórzem. Nawet te miecze, które tak sobie cenisz, nie zostały mu przyznane za zasługi w bitwie, ale kupił je od rannego samuraja. To też jest prawda, ale wybaczone, nigdy ci tego nie powiem.

- Nie boję się go - powtórzył Blackthorne.

- Wiem - odparła, nękana bólem. - Ale proszę cię, błagam, bój się go przez wzgląd na mnie.

Blackthorne podszedł do drzwi.

Buntaro czekał na niego o sto kroków od domu, pośrodku drogi zbiegającej do wioski - krępy, mocno zbudowany i śmiertelnie groźny. Obok niego stał strażnik. Ranek był pochmurny, morze spokojne. Na płycznach już krzątały się rybackie łodzie.

Blackthorne spostrzegł, że Buntaro trzyma łuk luźno, zwrócił też uwagę na jego miecze i miecze strażnika. Buntaro chwiał się lekko na nogach, była więc nadzieja, że chybi z łuku, co pozwoli mu zbliżyć się do niego odpowiednio blisko. Przy drodze nie było gdzie się schować. Nie zważając na nic, Blackthorne odwiódł kurki pistoletów i ruszył w dół ku tamtym.

Pal diabli osłonę, pomyślał mętnie, owładnięty żądzą krwi, wiedząc przy tym, że porywa się na czyn szalony, że nie ma najmniejszych szans w starciu z tymi dwoma samurajami bądź

dalekosiężnym łukiem, że nie ma żadnego prawa wtrącać się do sprawy. I wówczas, gdy wciąż jeszcze znajdował się za daleko, by wystrzelić z pistoletu, Buntaro uklonił mu się nisko, a strażnik poszedł za jego przykładem. Blackthorne zatrzymał się, wietrząc podstęp. Rozejrzał się dookoła, ale w pobliżu nie było nikogo. Jak we śnie ujrzał, że Buntaro opada ciężko na kolana, odkłada na bok łuk i płasko ułożywszy dłonie na ziemi kłania mu się niczym chłop swojemu panu. Podobnie zrobił strażnik.

Zdezorientowany Blackthorne wybałuszył na nich oczy. Kiedy upewnił się, że go wzrok nie myli, ruszył wolno, z pistoletami wprawdzie nie wymierzonymi, ale gotowymi do strzału, spodziewając się podstępu. W niewielkiej odległości od nich zatrzymał się. Zwyczaj nakazywał mu uklęknąć i odpowiedzieć pozdrowieniem, jako że byli sobie równi albo prawie równi, ale nie był w stanie zrozumieć, po co te niewiarygodne, ceremonialne uprzejmości w sytuacji, w której za chwilę ma popłynąć krew.

- Wstań, bydlaku! - powiedział, przygotowując się do pociągnięcia za spusty.

Buntaro nie odezwał się, nic nie zrobił, lecz trwał z nisko pochyloną głową i płasko ułożonymi rękami. Kimono na plecach miał mokre od potu.

- Nan ja? - spytał Blackthorne, używając najbardziej obcesowego pytania: „O co chodzi?”, żeby sprowokować Buntaro do wstania, jakiegoś wrogiego gestu, zdając sobie sprawę, że nie zabije go dopóty, dopóki tak klęczy przed nim z pochyloną głową, niemal dotykając nią ziemi.

Świadom, że niegrzecznie jest stać, kiedy oni klęczą, i że owo „nan ja” było prawie niewybaczalnym, a już na pewno zbędnym afrontem, nie wypuszczając pistoletów ukląkł, położył

dłonie na ziemi i się odkłonił. Usiadł na piętach.

- Hai? - spytał z wymuszoną grzecznością.

Buntaro natychmiast zaczął coś mamrotać. Uniżonym tonem. Przepraszająco. Za co go przeproszał i dlaczego, Blackthorne nie wiedział. Wyłapywał pojedyncze słowa, wielokrotnie słowo

„sake”, niemniej były to z pewnością przeprosiny i pokorna prośba o wybaczenie. Buntaro mówił i mówił. A kiedy nareszcie zamilkł, znów przycisnął głowę do ziemi.

Gniew zaślepiający Blackthorne'a już minął.

- Shigata ga nai - powiedział ochryple, a znaczyło to „nie ma na to rady”, „nic się nie da zrobić” bądź „cóż począć”. Nie wiedział, czy te przeprosiny to zwykły rytuał, który poprzedza atak.

- Shigata ga nai. Hakkiri wakaranu ga shinpai surukotowanai. (Cóż począć? Nie rozumiem dokładnie, ale się nie martw).

Buntaro podniósł wzrok i usiadł.

- Arigato.. arigato, Anjin-san. Dorno gomen nasai.

- Shigata ga nai - powtórzył Blackthorne, a ponieważ przeprosiny okazały się prawdziwe, podziękował Bogu, że sprawił cud i do pojedynku nie doszło. Zdawał sobie sprawę, że nie ma tu żadnych praw, że zachował się jak szaleniec i że kryzys w stosunkach z Buntaro można rozwiązać, odwołując się do zasad. To zaś oznaczało arbitraż Toranagi.

Ale dlaczego on przeprasza? - zapytywał się gorączkowo. Pomyśl! Musisz nauczyć się myśleć jak oni.

I nagle odgadł wyjaśnienie. To na pewno dlatego, że jestem hatamoto a Buntaro, jako gość, zakłócił wa, harmonię mojego domu. Tak jawną i gwałtowną kłótnią z żoną w moim domu ubliżył mi, a ponieważ ponosi za to całkowitą winę, więc musi mnie przeprosić bez względu na to, co sobie myśli.

Samuraj jest zobowiązany przeprosić drugiego samuraja, a gość gospodarza. .

Zaraz! Pamiętaj, że wedle ich zwyczajów każdemu mężczyźnie wolno się upić, a kiedy się upije, to właściwie nie odpowiada za swoje uczynki. Nie zapominaj, że urznięcie się nie jest tu kompromitacją. Przypomnij sobie, na statku Mariko i Toranaga nie przejęli się, żeś się spił. Byli rozbawieni, a nie oburzeni, jak my, Europejczycy.

I czy to nie ciebie trzeba winić za to wszystko? Czy to nie ty zacząłeś tę popijawę? Czy to nie ty ją sprowokowałeś?

- Tak - odpowiedział sobie na głos.

- Nan desu ka, Anjin-san? - spytał Buntaro, patrząc przekrwionymi oczami.

- Nani mo. Watashi no kashitsu desu (Nic. To moja wina) - odparł.

Buntaro pokręcił głową, oświadczył, że wcale nie, że cała wina jest po jego stronie, uklonił się i przeprosił jeszcze raz.

- Sake - zakończył sprawę Blackthorne i wrzucił ramionami. - Shigata ga nai. Sake!

Buntaro uklonił się i przeprosił znowu. Blackthorne odkłonił mu się i wstał. To samo zrobili Buntaro i strażnik. Ponownie złożyli mu ukłon. I znowu odwzajemnił im się ukłonem.

Po dłuższej chwili Buntaro odwrócił się i odszedł chwiejnym krokiem. Blackthorne zaczekał, aż tamten oddali się poza zasięg strzału z łuku, zastanawiając się, czy mąż Mariko jest aż tak pijany, jak wygląda. A potem wrócił do domu.

Fujiko oczekiwała go na werandzie, kryjąc się ponownie pod uśmiechem i pozorami grzeczności. Co ty sobie naprawdę myślisz? - zadawał sobie pytanie, kiedy go witała.

Drzwi do pokoju Mariko były zamknięte. Stała przy nich jej służąca.

- Mariko-san? - odezwał się.

- Tak, Anjin-san?

Czekał, ale drzwi pozostały zamknięte.

- Czy nic ci nie jest?

- Nie, dziękuję. - Usłyszał jej chrząknięcie, a potem cichy głos: - Fujiko powiadomiła pana Yabu i pana Toranagę, że jestem dziś niedysponowana i nie będę mogła tłumaczyć.

- Powinnaś sprowadzić lekarza.

- Och, dziękuję, ale Suwo doskonale sobie z tym poradzi. Posłałam po niego. Ja . . ja tylko skręciłam sobie biodro. Naprawdę nic mi nie jest, nie musisz się o mnie martwić.

- Posłuchaj, znam się trochę na objawach. Nie plujesz krwią, co?

- Och, nie. Poślizgnęłam się i stłukłam sobie policzek. Naprawdę czuję się całkiem dobrze.

- Buntaro przeprosił mnie - powiedział po chwili.

- Wiem. Fujiko widziała to z bramy. Dziękuję ci uniżenie za przyjęcie jego przeprosin.

Dziękuję ci. A poza tym, Anjin-san, bardzo mi przykro, że zakłócono ci spokój. . to niewybaczalne, żeby twoja harmonia. . zechciej przyjąć również moje przeprosiny. Nie powinnam była przenigdy folgować językowi. Popełniłam niegrzeczność, dlatego racz wybaczyć także mnie. Ta kłótnia była z mojej winy. Przyjmij, proszę, moje przeprosiny.

- Za to pobicie?

- Za nieposłuszeństwo wobec mojego męża, za to, że nie pomogłam mu błogo zasnąć, za to, że zawiodłam jego i mojego gospodarza. A także za to, co powiedziałam.

- Na pewno nic nie mogę dla ciebie zrobić?

- Nie. . nie, dziękuję ci, Anjin-san. To tylko jeden dzień.

Blackthorne jednak nie zobaczył jej przez osiem.

36.

- Zaprosiłem cię na polowanie, Naga-san, nie po to, żeby wysłuchiwać opinii, które już znam - rzekł Toranaga.

- Błagam cię, ojcze, po raz ostatni: zaniechaj tego szkolenia, zabroń używania muszkietów, zabij barbarzyńcę, ogłoś, że próba z nimi się nie udała i skończ z tą potwornością.

- A ja po raz ostatni powiadam: nie!

Sokolica, siedząca na obleczonej rękawicą dłoni Toranagi, poruszyła się niespokojnie i nie przyzwyczajona do tak ostrych, tonów w ustach swojego pana, gniewnie syknęła. Stali w krzakach, poza zasięgiem słuchu naganiaczy i straży przybocznej. Dzień był upalny, wilgotny i pochmurny.

Naga wysunął podbródek.

- Dobrze. Ale i tak moim obowiązkiem jest przypomnieć ci, że grozi ci tu niebezpieczeństwo, dlatego też z należną grzecznością domagam się po raz ostatni, żebyś dziś opuścił Anjiro.

- A ja po raz ostatni powtarzam: nie!

- Więc weź moją głowę!

- Przecież już ją mam!

- No, to weź ją dzisiaj, w tej chwili i pozwól mi zakończyć życie, ponieważ nie posłuchasz dobrych rad.

- Naucz się cierpliwości, szczeniaku!

- Jakże mogę zachować cierpliwość, skoro widzę, że sam siebie gubisz? Moim obowiązkiem jest ci to wytknąć. Siedzisz tutaj, polując i marnując czas, podczas gdy twoi wrogowie skrzykują przeciwko tobie cały świat. Jutro spotykają się regenci. Cztery piąte japońskich daimyō albo już znajduje się w Osace, albo w drodze do niej. Tylko ty jeden spośród możliwych odmówiłeś. Oskarżą cię o zdradę. A wtedy nic cię nie uratuje. Powinieneś przynajmniej być w Edo, w otoczeniu własnego wojska. Tutaj jesteś bezbronny. Nie zdołamy cię obronić. Mamy zaledwie tysiąc samurajów, a czy Yabu nie zmobilizował całej Izu? W promieniu dwudziestu ri ma ponad osiem tysięcy żołnierzy, a jeszcze sześć strzeże granic prowincji. Szpiedzy, jak wiesz, donoszą, że na północ stąd pływa jego flota, która zatopi twoją galerę, gdy-, byś próbował uciec! Czy nie widzisz, że znów jesteś jego więźniem? Wystarczy jeden gołąb od Ishido, żeby Yabu, mógł zniszczyć cię w dowolnej chwili. Skąd wiesz, że on i Ishido nie knują zdrady?

- Jestem pewien, że Yabu rozważa taką możliwość. Na jego miejscu robiłbym to samo, a ty?

- Nie, ja nie.

- W takim razie niedługo byś pożył, co byłoby w pełni zasłużone, ale nie pożyłaby też długo twoja rodzina, cały ród oraz wszyscy wasale, a to już byłoby nie do wybaczenia. Jesteś niemądrym, porywczym durniem! Nie posługujesz się rozumem, nie słuchasz, niczego się nie uczysz, nie trzymasz na wodzy języka ani nerwów! Pozwalasz powodować sobą jak małe dziecko i wierzysz, że wszystko da się załatwić dzięki klindze miecza. Pozwolę ci zachować twoją głupią głowę i jedynie ze względu na twój młody wiek nie udzielę ci zgody na skrócenie twego nic niewartego życia, dostrzegam bowiem w tobie pewne możliwości, twoje pomyłki nie wypływają ze złej woli, nie jesteś podstępny, a twoja wierność jest bez zarzutu. Ale jeżeli prędko nie nauczysz się cierpliwości i samodyscypliny, to pozbawię cię pozycji samuraja i wraz z wszystkimi twoimi potomkami obrócę w chłopów! - Toranaga prawą pięścią trzasnął w siodło, a zdenerwowana sokolica krzyknęła przenikliwie. - Rozumiesz?

Naga przeżył wstrząs. Nigdy dotąd nie widział ani nie słyszał, żeby ojciec krzyczał w gniewie lub przestał nad sobą panować. Wiele razy doświadczył ostrości jego języka, ale nigdy bez słusznego powodu. Wiedział, że popełnił wiele błędów, ale ojciec zawsze naprawiał je tak, że wcale nie wyglądały na takie głupie jak z początku. Dla przykładu, kiedy wykazał mu, w jaki sposób on, Naga, wpadł w pułapkę Omiego - czy też Yabu - w sprawie Jozena, to trzeba go było fizycznie powstrzymać od rzucenia się na nich, gdyż chciał ich zabić. Toranaga jednakże nakazał swoim strażnikom tak długo polewać syna zimną wodą, aż ten zaczął rozumnie myśleć. Wtedy zaś wyjaśnił mu spokojnie, że bardzo mu pomógł, usuwając z drogi zagrożenie, jakim był Jozen.

- Ale lepiej byłoby, gdybyś wiedział, że cię podpuszczono. Bądź cierpliwy, synu, bo od cierpliwości zależy wszystko - poradził mu ojciec. - Niedługo sam będziesz mógł nimi manipulować.

Postąpiłeś bardzo dobrze. Jeżeli jednak chcesz być użyteczny dla siebie albo dla swojego pana, to musisz się nauczyć rozpoznawać, co kto ma na myśli. Potrzebuję przywódców. Fanatyków mam pod dostatkiem.

Ojciec zawsze przedstawiał logiczne argumenty i wybaczał, ale dzisiaj. . Naga zeskoczył z konia i pokornie uklęknął.

- Zechciej mi wybaczyć, ojcze - powiedział. - Za nic nie chciałem cię rozgniewać. . to wszystko dlatego, że tak bardzo boję się o twoje bezpieczeństwo. Przepraszam, że zakłóciłem harmonię. .

- Zamilcz! - krzyknął Toranaga, płosząc konia.

Mocno ścisnął kolanami zaniepokojone zwierzę i prawą ręką silniej ściągnął cugle. Wytrącona z równowagi sokolica zaczęła szaleć, zeskakując mu z dłoni, gwałtownie trzepocząc skrzydłami, wykrzykując świdrujące w uszach ik-ik-ik-ik-ii ik! - rozzłoszczona niezwykle i przykrym poruszeniem dookoła.

- No więc? - spytał Toranaga.

Klęczący przy swoim koniu Naga pokłonił się.

- Masz całkowitą rację, wielmożny panie. . w tym, jak mnie oceniłeś. Przepraszam, że cię obraziłem.

- Ale nie za udzielenie mi złej rady?

- Ja. . błagam, przydziel mnie do kogoś, kto nauczy mnie, bym więcej nie powtórzył tego błędu. Nie chcę udzielać ci więcej złych rad, nigdy.

- To dobrze. Część każdego dnia spędzisz na rozmowach z Anjin-sanem, ucząc się od niego wszystkiego, co wie. Będzie jednym z twoich nauczycieli.

- On?

- Tak. Może to nauczy cię trochę dyscypliny. Jeżeli rozkruszysz kamień, który masz pod czaszką, to z pewnością dowiesz się wielu cennych rzeczy. Może nawet dowiesz się rzeczy cennych dla mnie.

Naga wbił w ziemię zgnębiony wzrok.

- Chcę, żebyś poznał wszystko, co on wie o muszkietach, działach i prowadzeniu wojny.

Zostaniesz moim ekspertem. Tak. Chcę, żebyś znał się na tym doskonale.

Naga nic nie powiedział.

- Chcę, żebyś się z nim zaprzyjaźnił.

- W jaki sposób, wielmożny panie?

- A dlaczego sam nie wymyślisz jakiegoś? Może byś tak użył własnej głowy.

- Postaram się. Przysięgam, że się postaram.

- Oczekuję po tobie więcej. Ma ci się powieść. Wykorzystaj „chrześcijańską miłość bliźniego”. Chyba nauczyłeś się wystarczająco dużo, żeby to załatwić. Ne?

Naga spojrzał na niego spode łba.

- Bardzo się o to starałem, ale tego nie można się nauczyć - odparł. - Naprawdę! Tsukku-san mówił o samych dogmatach i bzdurach, od których zemdliłoby każdego. Chrześcijaństwo dobre jest dla chłopstwa, a nie dla samurajów. Nie zabijaj, nie bierz więcej niż jedną kobietę i pół setki innych głupstw! Byłem ci posłuszny wówczas i będę ci posłuszny teraz, jestem ci zawsze posłuszny! Może jednak pozwolisz mi robić to, co umiem, wielmożny panie? Jeżeli pragniesz, to na twoje polecenie zostanę chrześcijaninem, ale nie mogę uwierzyć. . to wszystko przecież gównieście. . przepraszam za wyrażenie. Zaprzyjaźnię się z Anjin-sanem. Zrobię to.

- Dobrze. I pamiętaj, że on jest wart dwadzieścia tysięcy razy więcej niż surowy jedwab jego wagi i posiada wiedzę większą, niż ty posiadałbyś w ciągu dwudziestu wcieleń.

Naga powstrzymał nerwy i z szacunkiem skinął głową na znak zgody.

- Dobrze. Poprowadzisz dwa bataliony. Omi-san dwa, a jeden pozostanie w odwodzie pod dowództwem Buntaro.

- A cztery pozostałe, wielmożny panie?

- Brakuje nam dla nich muszkietów. Ten fortel był po to, żeby zwieść Yabu - odparł Toranaga, podsuwając synowi smakowity kąsek. -

- Słucham, wielmożny panie?

- Był to pretekst do ściągnięcia tutaj jeszcze tysiąca naszych wojowników. Czyż nie przypląną tu jutro? Mając dwa tysiące samurajów mogą utrzymać Anjiro, a w razie potrzeby uciec.

Ne?

- Ale Yabu mimo to może. . - Naga ugryzł się w język, zdając sobie sprawę, że znowu z całą pewnością źle ocenił sytuację. - Dlaczego ja jestem taki głupi? - spytał z goryczą. - Dlaczego nie dostrzegam tego, co ty? Albo Sudara. Chcę ci pomóc, być przydatny. Nie chcę cię bez przerwy drażnić.

- W takim razie ucz się cierpliwości, synu, i opanowania. Twój czas niedługo nadejdzie.

- Tak, wielmożny panie?

Cierpliwość Toranagi nagle wyczerpała się. Spojrzał w niebo.

- Chyba się prześpię - powiedział.

Naga natychmiast zdjął siodło, końską derkę i ułożył z nich na ziemi samurajskie pośłanie.

Toranaga podziękował mu i przyglądał się, jak syn rozstawia strażę. Kiedy upewnił się, że zostało to zrobione jak należy i jest bezpieczny, położył się i zamknął oczy.

Nie miał zamiaru spać, tylko myśleć. Wiedział, iż to, że wpadł w gniew, jest złym znakiem.

Masz szczęście, że zdarzyło się to w obecności Nagi, który nie jest zbyt rozgarnięty, rzekł sobie.

Gdybyś to zrobił przy Omim albo Yabu, od razu rozpoznaliby, że się bardzo martwisz. A taka wiedza łatwo mogłaby ich popchnąć do zdrady. Tym razem dopisało ci szczęście.

Nagę należy traktować jak sokoła. Czyż nie krzyczy i nie wścieka się jak najlepsze z tych ptaków? Jedyne z nim kłopot, że puszczono go na niewłaściwą zwierzynę. Jego żywioł to walka i nagła śmierć, które już wkrótce napotka.

A co z Anjin-sanem? To też sokół. Ale nie jest jeszcze ułożony do ręki, jak utrzymują Yabu i Mariko.

Kto jest jego zwierzyną? Jego zwierzyną jest Czarna Karawela, pilot Rodrigues, ten szpetny, zarozumiały mały generał-gubernator, i który niedługo już pożyje na tej ziemi, wszyscy księża Czarne Suknie i księża Włochate Śmierdziele, wszyscy Portugalczycy, Hiszpanie, Turcy, kimkolwiek są, Islamczycy, nie zapominając o Omim, Yabu, Buntaro, Ishido i mnie.

Na kogo go wypuścić?

Na Omiego? Jeszcze nie.

Na Yabu? Jeszcze nie.

Na Buntaro?

Właściwie dlaczego Anjin-san ruszył za nim z pistoletami? Z powodu Mariko, oczywiście. Ale czy ze sobą poduszkowali? Mieli mnóstwo okazji. Myślę, że tak. To dobrze. Nic złego nie ma w ich poduszkowaniu, pod warunkiem, że obie strony są dyskretne, a Buntaro uchodził przecież za zmarłego.

Nie, nie wypuszczę pilota na niego, potrzebuję tego głupca. Ale bez względu na to, czy tych dwoje poduszkowało ze sobą, mam nadzieję, że Buntaro nie przyjdzie to do głowy. Wtedy bowiem musiałbym go szybko zabić, ponieważ nic nie powstrzymałoby go od zabicia Anjin-sana i Mariko, a oni są mi potrzebni bardziej niż on.

Leżąc pod pochmurnym niebem i czekając na deszcz, Toranaga uśmiechnął się do siebie.

Wszyscy wokół to drapieżne ptaki, pomyślał. Mariko, Buntaro, Omi, Fujiko, Ochiba, Naga, wszyscy moi synowie i córki, kobiety i wasale, i wszyscy moi wrogowie. . same drapieżne ptaki, a zarazem ich ofiary.

Z rozmyślań wytrącił go słaby okrzyk, więc zerwał się na nogi. Podniecony Naga wskazywał ręką na zachód. Wszyscy patrzyli w tamtym kierunku.

Do Anjiro prosto z zachodu nadlatywał gołąb. Z trzepotem przysiadł na odległym drzewie, a po chwili zerwał się ponownie wraz z zaczynającym kropić deszczem.

Daleko na zachodzie za nim leżała Osaka.

Kiedy Toranaga ściągał z siebie przemoczone ubranie, gołębiarz delikatnie, ale mocno trzymał gołębia. Daimyō wrócił galopem pośród ulewy. Naga i drugi samuraj stłoczyli się w wąskim wejściu, nie bacząc na ciepły deszcz, który wciąż lał się strumieniami i bębnił w dachówki.

Toranaga starannie wytarł ręce. Gołębiarz podał mu ptaka, Gołąb miał przymocowane do nóg dwie małe kapsułki z kutego srebra. Toranaga musiał się bardzo wysilać, żeby opanować nerwowe drżenie palców. Odwiązał cylinderki i zaniósł je do światła wpadającego przez otwory okienne, żeby sprawdzić miniaturowe pieczęcie. Rozpoznał tajny znak Kiri. Naga i pozostali przyglądali mu się w napięciu. Nic nie można było wyczytać z jego twarzy.

Toranaga nie złamał pieczęci od razu, chociaż bardzo chciał. Cierpliwie czekał, aż przyniosą mu suche kimono. Pod przytrzymywanym przez służącego dużym parasolem z impregnowanego pergaminu przeszedł do swoich pomieszczeń w warowni. Czekwały na niego zupa i cha. Wypił je powoli, wsłuchując się w deszcz. Kiedy się rozgrzał” wystawił strażę i wszedł do pokoju w głębi budynku. W

samotności złamał pieczęcie. Cztery zwoje były z bardzo cienkiego papieru, pismo drobnutkie, wiadomość długa i zaszyfrowana. Odszyfrowanie jej było bardzo żmudne. Kiedy skończył, odczytał ją dwukrotnie. A potem zaczął intensywnie myśleć.

Zapadła noc. Deszcz ustał. O Buddo, spraw, żeby zbiory były obfite, pomodlił się. O tej porze roku ryżowiska tonęły w wodzie i w całym kraju na nagich, wylewionych do czysta, niemal płynnych polach sadzono jasnozielone sadzonki ryżowe, które za cztery, pięć miesięcy, zależnie od pogody, miały przynieść plon. W całym kraju biedni i bogaci, cesarz i pariasi eta, samuraje i służba, wszyscy modlili się o to, żeby deszczu, słońca i wilgoci było w sam raz we właściwym czasie. Każdy też Japończyk, włącznie z dziećmi, liczył dni do zbiorów.

Potrzebujemy w tym roku doskonałych zbiorów, pomyślał Toranaga.

- Naga! - zawołał. - Naga-san!

- Tak, ojczec? - spytał jego syn; nadbiegając.

- W godzinę po brzasku sprowadź pana Yabu i jego głównych doradców na płaskowyż. A ponadto Buntaro i trzech naszych starszych dowódców. Także Mariko-san. Niech się wszyscy stawiają o świcie. Mariko poda herbatę. Tak. Chcę też, żeby Anjin-san pozostał w obozie. W

promieniu dwustu kroków od nas wystaw strażę.

- Tak, ojczec. - Naga odwrócił się, by wypełnić polecenia, ale nie mogąc się powstrzymać, spytał: - To wojna, tak?

Toranaga tym razem nie upomniał syna za niezdyscyplinowanie i zuchwalstwo, bo potrzebował mieć w warowni zwiastuna pomyślnych wieści.

- Tak - powiedział. - Tak, ale na moich warunkach.

Naga zamknął shoji i pośpiesznie odszedł. Toranaga był pewien, że choć mina i zachowanie syna pozostaną opanowane, to nic nie ukryje jego podnieconego chodu i zapału w oczach. Tak więc, przy właściwym podsycaniu owego ognia, przez Anjiro przemkną pogłoski i kontrpogłoski, które rozszerzą się na całą Izu i poza jej granice.

- Teraz już nie mam odwrotu - powiedział na głos do kwiatów, które tak błogo i spokojnie stały w tokonamie pośród cieni drżących w miłym blasku świecy.

Wielmożny Panie - napisała mu Kiri - modłę się do Buddy o Twoje zdrowie i bezpieczeństwo.

To nasz ostatni już gołąb pocztowy, modłę się więc, żeby Budda zawiódł go do Ciebie; zdrajcy wytracili wszystkie pozostałe, podpalając nam gołębnik, a ten ocalał jedynie dlatego, że był chory i pielęgnowałam go oddzielnie.

Wczoraj rano, tak jak było w planie, pan Sugiyama nagle zrezygnował. Ale zanim mógł na dobre uciec, na przedmieściach Osaki wpadł w pułapkę zastawianą przez roninów Ishido. Na nieszczęście pochwycono wraz z nim część jego rodziny, a zdradził go, jak słyszałam, ktoś ze swoich. Płotka mówi, że Ishido zaproponował mu ugodę: taką mianowicie, że jeśli pan Sugiyama odłoży swoją rezygnację do czasu zebrania Rady Regencyjnej (jutro), by w ten sposób można Cię było zgodnie z prawem oskarżyć, to w rewanżu Ishido urzędowo przyzna mu całe Konto i w dowód zaufania natychmiast uwolni go wraz z rodziną. Pan Sugiyama odmówił zdradzenia Ciebie. Ishido z miejsca rozkazał siepaczom eta, żeby go do tego skłonili. Torturowali jego dzieci, a potem jego konkubinę, ale mimo to Cię nie zdradził. Wszystkich zamęczono na śmierć. Na koniec on sam również zginął w wielkich męczarniach.

Naturalnie, nie było żadnych świadków tej podłości i wszystko to są plotki, ale wierzę w nie.

Ishido oczywiście wyparł się, że cokolwiek wie o tym mordzie i że się do niego przyczynił.

Oświadczył, że złapie „morderców”. Z początku twierdził, że Sugiyama wcale nie złożył rezygnacji, dlatego Rada mimo to może się, jego zdaniem, zebrać. Ale kopie rezygnacji Sugiyamy rozesłałam pozostałym regentom, Kiyamie, Ito i Onoshiemu, jeden odpis dostarczyłam bezpośrednio Ishido, a cztery inne puściłam w obieg pomiędzy innych daimyō. (Jakże mądrze z Twojej strony, Tora-chan, żeś przewidział, iż przydadzą się dodatkowe kopie). Tak więc od wczoraj, tak jak to zaplanowaliśmy z Sugiyama, Rada utraciła moc prawną - pod tym względem powiodło Ci się całkowicie.

Dobre wieści: pan Mogami wydostał się z miasta z całą rodziną i samurajami. W tej chwili otwarcie Cię popiera, tak więc na dalekiej północy, z prawego skrzydła nic Ci nie zagraża. Panowie Maeda, Kukushima, Asano, Ikeda i Okudaira wszyscy szczęśliwie wymknęli się po kryjomu zeszłej nocy z Osaki, podobnie jak chrześcijanin pan Oda.

Złe wieści są takie, że rodziny Maedy, Ikedy i Ody oraz tuzina innych ważnych daimyō nie uciekły i pozostają tutaj zakładnikami, podobnie jak rodziny około pięćdziesięciu, sześćdziesięciu pomniejszych niezaangażowanych panów.

Złą wieścią jest też to, że Twój przyrodni brat Zatoki, władca Shinano, publicznie opowiedział się za następcą, a przeciwko Tobie, oskarżając Cię o spiskowanie z Sugiyama, w celu obalenia Rady Regencyjnej i wywołania chaosu. Tak więc w tej chwili Twoja północno-wschodnia granica jest zagrożona, a Zataki z pięćdziesięcioma tysiącami fanatycznych wojowników wystąpi przeciwko Tobie.

Ponadto złą wieścią jest, że prawie wszyscy daimyō przyjęli „zaproszenie” cesarza.

Złą wieścią jest, że niemało Twoich przyjaciół i sprzymierzeńców ma do Ciebie pretensję, że nie zawiadomiłeś ich wcześniej o swojej taktyce, tak by mogli przygotować sobie odwrót. Zalicza się do nich Twój najstarszy przyjaciel, wielki pan Shimazu. Dzisiaj po południu usłyszałam, że otwarcie zażądał, aby cesarz nakazał wszystkim lennym panom uklęknąć przed chłopcem, przed Yaemonem.

Źle, że pani Ochiba tak wspaniale przedzie swoją sieć, obiecując wszystkim niezaangażowanym lenna, tytuły i urzędy dworskie. Wielka szkoda, Tora-chan, że nie masz jej po swojej stronie, bo to groźna przeciwniczka. Tylko pani Yodoko zaleca modlitwy i pokój, ale nikt jej nie słucha, pani Ochiba zaś, wyczuwając Twoją słabość i osamotnienie, pragnie przyspieszyć wojnę.

Bardzo mi przykro, Panie, ale jesteś osamotniony i - na to wygląda - zdradzony.

A najgorsze ze wszystkiego, że chrześcijańscy panowie Kiyania i Onoshi jawnie trzymają ze sobą i zażarcie występują przeciwko Tobie. Dziś rano wydali wspólne oświadczenie, ubolewając nad

„zdradą” Sugiyamy oraz stwierdzając, że swoim czynem wywołał zamieszanie w cesarstwie i że „ze względu na dobro cesarstwa wszyscy musimy być silni. Na regentach spoczywa najwyższa odpowiedzialność. Musimy razem być przygotowani na zniszczenie każdego pana albo grupy panów, którzy chcieliby obalić testament taikō bądź ‘sukcesję po nim’”. (Czy oznacza to, że planują spotkanie Rady złożonej z czterech regentów?) Jeden z naszych chrześcijańskich szpiegów w kwaterze głównej Czarnych Sukien doniósł, że kapłan Tsukku-san pięć dni temu potajemnie wyjechał

z Osaki, ale nie wiemy, czy udał się do Edo, czy do Nagasaki, gdzie spodziewana jest Czarna Karawela. Czy wiedziałeś, że w tym roku ma przyplłynąć bardzo wcześnie? Być może za dwadzieścia lub trzydzieści dni?

Wielmożny, Panie, nigdy nie byłam skora wydawać pospiesznych sądów opartych na pogłoskach, plotkach, informacjach szpiegów i babskiej intuicji (to Tyś mnie tego nauczył, Tora-chan!, ale czas nagli i, być może, nie będę już miała okazji z Tobą porozmawiać. A więc po pierwsze, zbyt wiele rodzin tkwi tutaj w pułapce. Ishido nigdy ich stąd nie wypuści (tak samo jak i nas).

Zakładnicy ci są dla Ciebie wielkim zagrożeniem. Niewielu feudalnych panów ma poczucie obowiązku i odznacza się hartem ducha. Bardzo wielu, jak sądzę, nawet jeśli zrobią to niechętnie, ze względu na tych zakładników opowie się za Ishido. Myślę też, że Maeda zdradzi cię, a

prawdopodobnie także Asano. Szacuję, że spośród dwustu sześćdziesięciu czterech daimyō w naszym kraju poprze Cię na pewno dwudziestu czterech, a pięćdziesięciu być może. To o wiele za mało. Kiyama i Onoshi wywrą wpływ na większość chrześcijańskich daimyō i w tej sytuacji już się do Ciebie nie przyłączą.

Najbogatszy i najpotężniejszy feudal, pan Mori, jest Ci niechętny tak jak zawsze, a wciąż w swoje sieci Asano, Kobayakawę i zapewne Odę. A ponieważ masz przeciwko sobie także swojego przyrodniego brata Zatakiego, to Twoja pozycja jest bardzo zagrożona. Doradzam Ci ogłoszenie Szkarłatnego Nieba i marsz na Kioto. To Twoja jedyna nadzieja.

Jeśli chodzi o panią Sazuko i o mnie, to mamy się dobrze i nic nam nie brakuje. Dziecko jest bardzo zwawe w łonie i jeżeli jego karma jest przyjść na świat, to tak będzie. Jesteśmy bezpieczne w naszym zakątku zamku, drzwi są szczelnie zamknięte, krata w bramie opuszczona. Nasi samuraje są oddani całą duszą Tobie i Twojej sprawie i jeżeli naszą karma jest rozstać się z życiem, to pożegnamy się z nim w pokoju. Twoja pani mocno za Tobą tęskni, bardzo mocno. Co do mnie, to bardzo chciałabym Cię zobaczyć, Tora-chan, śmiać się razem z Tobą, widzieć Twój uśmiech.

Umierając, żałowałabym, że nie będę mogła więcej tego przeżyć i czuwać nad Tobą. Jeżeli jest życie po śmierci, Bóg, Budda i kami, to przyrzekam, że jakimś sposobem przeciągnę ich na Twoją stronę. . choć być może wpierw ubłagam ich, żeby ze względu na Ciebie uczynili mnie szczupłą, młodą i płodną, ale pozostawili mi przy tym upodobanie do jedzenia. Och, to zaiste byłoby prawdziwe niebo móc jeść, jeść, jeść, a mimo to być stałe młodą i szczupłą.

Przesyłam Ci mój śmiech. Niechaj Budda pobłogosławi Tobie i Twoim.

Toranaga odczytał zebrany list, pomijając osobiste fragmenty dotyczące Kiri i pani Sazuko.

Kiedy skończył, spojrzeli na niego i siebie nawzajem z niedowierzaniem, zdumieni nie tylko treścią korespondencji, ale również tym, że obdarzył ich takim zaufaniem.

Siedzieli na ułożonych półkolem matach pośrodku płaskowyżu, bez asysty strażników, zabezpieczeni przed niepowołanymi uszami. Buntaro, Yabu, Igurashi, Omi, Naga, dowódcy samurajów i Mariko. Strażnicy czuwali dwieście kroków od nich.

- Chcę się was poradzić - powiedział Toranaga. - Moi doradcy są w Edo. A to pilna sprawa, dlatego pragnę, abyście ich pospołu zastąpili. Jak się rozwiną wydarzenia i co powinienem zrobić, Yabusan?

Skonfundowany Yabu nie wiedział, co myśleć. Każda droga zdawała się prowadzić do klęski.

- Po pierwsze, wielmożny panie, co to właściwie jest „Szkarłatne Niebo”? - spytał.

- Szyfrowa nazwa rozstrzygającej bitwy, pojedynczego gwałtownego szturmu na Kioto wszystkimi moimi wojskami, ataku, którego zasadą jest ruchliwość i zaskoczenie, a celem odebranie stolicy wrogim siłom, które ją w tej chwili otaczają, i wyrwanie z ich brudnych łap osoby cesarza, którego - z Ishido na czele - oszukali. Zaraz po uwolnieniu Syna Niebios z ich szponów wniósłbym do Niego

prośbę o cofnięcie mandatu obecnej, jawnie zdradzieckiej bądź zdominowanej przez zdrajców Radzie i powierzenie go mnie, żebym utworzył nową Radę, która ponad osobiste ambicje przedłoży interesy cesarstwa i następcy taikō. Poprowadziłbym osiemdziesiąt do stu tysięcy żołnierzy, pozostawiając jednak własne ziemie bez ochrony, odsłonięte na flankach i nie mając zabezpieczonego odwrotu.

Ujrzał, że wpatrują się w niego oszołomieni. Nie wspomniał im o kadrze doborowych samurajów, których w takiej tajemnicy rozmieścił w ciągu ubiegłych lat we wszystkich ważniejszych zamkach i prowincjach, a których zadaniem było wszcząć wszędzie jednoczesne bunty, powodując chaos stanowiący istotę całego planu.

- Ależ musiałbyś walczyć przez całą drogę aż do Kioto! - wybuchnął Yabu. - Ikawa Jikkyu trzyma w garści Tokaidō na odcinku stu ri. A warownie Ishido trzymają w szachu resztę szlaku!

- Tak, ale ja planuję pośpieszyć gościńcem Koshu-kaidō, a potem uderzyć na Kioto, omijając nadmorskie ziemie.

Wielu natychmiast zaczęło kręcić na to głowami i mówić, ale Yabu uprzedził ich.

- Wielmożny panie, ale w tym liście piszą, że twój krewniak Zataki przeszedł na stronę wroga!

Tak więc północny szlak też jest już odcięty. Gościniec Koshu-kaidō biegnie przez jego prowincję.

Musiałbyś przebijać się przez całą Shinano, przez górzysty i ciężki teren, a przecież ludzie Zatakiego są mu fanatycznie oddani. W tych górach rozniosą cię na strzępy.

- Nie ma innego sposobu, to moja jedyna szansa. Zgadzam się z tobą, że mam wielu wrogów na tym nadbrzeżnym szlaku.

Yabu spojrział na Omiego żalując, że nie może zasięgnąć jego rady. Nienawidził tego listu, paskudnej sytuacji w Osace i nie cierpiał swojej pozycji wasala, na którą się zgodził za radą Omiego.

- Jesteś całkowicie odcięty, wielmożny panie - rzekł do Toranagi. - Osamotniony.

- A czy mam jakieś wyjście? - spytał Toranaga.

- Przepraszam, wielmożny panie - wtrącił Omi - ale ile czasu zajęłoby przygotowanie tego ataku?

- Już jest przygotowany.

- Izu też jest przygotowana, wielmożny panie - powiedział Yabu. - Twoje sto tysięcy i moje szesnaście, a do tego pułk muszkietów. . czy to wystarczy?

- Nie. Szkarłatne Niebo to plan desperacki, w którym wszystko stawia się na jeden udany szturm.

- Musisz zaryzykować, jak tylko przestanie padać i można będzie się bić - rzekł z naciskiem Yabu. - No, bo jaki masz wybór? Ishido z miejsca utworzy nową Radę, a ta zachowa swój mandat.

Tak więc dziś, jutro lub pojutrze i tak cię oskarżą. Po co czekać, aż cię zniszczą? Posłuchaj, może pułk muszkietów przebije się przez te góry! Nakaż Szkarłatne Niebo! Rzuć wszystkich do jednego potężnego szturmu. Tak każe Kodeks Wojownika, to godne prawdziwego samuraja, Toranaga-sama!

Muszkiety, nasze muszkiety zmiotą Zatakiego z drogi, a zresztą czy to ważne: zwyciężysz czy przegrasz? Pamięć o tej szarzy przetrwa wieki!

- Tak, ale my wygramy. . wygramy! - powiedział Naga.

Kilku dowódców skinęło głowami czując ulgę, że nadeszła wojna.

Omi nic nie powiedział.

-No a ty? - spytał Toranaga, patrząc na Buntaro.

- Panie, wybacz mi, że nie będę miał swojego zdania. Ja i moi ludzie zrobimy, cokolwiek postanowisz. To mój jedyny obowiązek. Moja opinia jest bez znaczenia, ponieważ i tak zrobię to, co każesz.

- W zwykłej sytuacji bym się z tym pogodził, ale nie dziś!

- Jestem za wojną. Pan Yabu ma rację. Wyruszmy na Kioto. Dzisiaj, jutro albo kiedy przestanie padać. Niech będzie Szkarłatne Niebo! Mam dość czekania.

- A ty, Omi-san? - spytał Toranaga.

- Yabu-sama ma słuszość, wielmożny panie. Ishido zastosuje się do woli taikō i wyznaczy prędko nową Radę. Otrzyma ona mandat władzy od cesarza. Twój wrogowie temu przyklasną, przyjaciele zawahają się, a tym samym cię zdradzą. Nowa Rada natychmiast oskarży cię o zdradę.

A wtedy. .

- Ruszy Szkarłatne Niebo? - przerwał mu Yabu.

- Jeżeli tak rozkaże pan Toranaga. Ale wątpię, czy oskarżenie o zdradę jest cokolwiek warte.

Nie zwracaj nim sobie głowy, wielmożny panie!

- A to czemu? - spytał Toranaga, kiedy Omi przykuł uwagę wszystkich.

- Zgadza się z tobą, wielmożny panie. Ishido jest zły, ne? A daimyō, którzy zgodzili się mu służyć, też są źli. Prawdziwi mężczyźni wiedzą, kim jest naprawdę Ishido, tak jak wiedzą, że cesarza znowu oszukano - odparł Omi, ostrożnie stąpając po ruchomych piaskach, które, z czego zdawał sobie sprawę, mogły go pochłonąć. - Myślę, że mordując pana Sugiyamę, popełnił

nieodwracalny błąd. Ten podły mord sprawi, że odtąd wszyscy daimyō będą, jak sądzę, spodziewać się po nim zdrady i tylko bardzo niewielu z tych, których nie ma w swoich rękach, będzie

posłusznych nowej „Radzie”. Dlatego jesteś bezpieczny, panie. Na jakiś czas.

- Jak długo?

- Deszcze padają u nas przez dwa miesiące, mniej więcej. Kiedy ustaną, Ishido umyśli wysłać przeciwko tobie pana Zatakiego i Ikawę Jikkyu, żeby schwytali cię w dwa ognie, a sam wspomógł ich, naciągając z głównymi siłami gościńcem Tokaidō. Do tego czasu jednak, do ustania deszczów, wszyscy skłóceni ze sobą daimyō będą mydlić Ishido oczy aż do chwili, gdy zrobi pierwszy ruch, wtedy zaś, nic sobie z niego nie robiąc, wezmą się za łby albo zaczną rozgrabiać ziemię wedle swego widzimisie. W ten sposób cesarstwo zostanie rozdarte, tak jak było., zanim nastąpi taikō. Ale ty, wielmożny panie, jesteś na tyle potężny, żeby przy łucie szczęścia sam jeden wspólnie z Yabusamą zniweczyć zakusy na Kantō i Izu, zagrozić dostęp do nich przed pierwszą falą ataku i odeprzeć ją.

Wątpię, czy Ishido zdobędzie się na drugi atak, a przynajmniej nie na taki wielki. Kiedy on i reszta wyczerpią siły, wtedy razem z panem Yabu możecie ostrożnie wyjść z naszych gór i powoli przejąć cesarstwo w swoje ręce.

- A kiedy to nastąpi?

- Za życia twoich dzieci, wielmożny panie.

- Mamy się bronić? - spytał z pogardą Yabu.

- Myślę, że razem jesteście za tymi górami bezpieczni. Zaczekaj, wielmożny panie. Zaczekaj, aż zdobędziesz więcej sojuszników. Obronisz się. To się uda! Generał Ishido to zły człowiek, ale nie na tyle głupi, żeby rzucić wszystkie swoje siły do jednej bitwy. Przyczai się za murami Osaki. Tak więc na razie nie wolno nam użyć naszego pułku muszkietów. Musimy tylko wzmocnić środki bezpieczeństwa i zachować go jako tajną broń, zawsze czujną i gotową do ataku w momencie, kiedy wyjdiesz z gór. W tej chwili jednak za nic bym go nie użył. - Omi wiedział, że spoczywają na nim oczy wszystkich. Ukłonił się Toranadze. - Bardzo przepraszam, wielmożny panie, że mówiłem tak długo.

Toranaga przyjrzał mu się uważnie i zerknął na swojego syna. Dostrzegł jego tłumione podniecenie i uznał, że czas go Wypuścić na jakąś zwierzynę.

- Co myślisz, Naga-san? - spytał.

- Omi-san się nie myli - odparł mu natychmiast uradowany Naga. - Na ogół. Ale ja radzę poświęcić te dwa miesiące na pozyskanie sprzymierzeńców, by w ten sposób zwiększyć izolację Ishido, a kiedy ustaną deszcze, zaatakować bez ostrzeżenia, czyli uruchomić Szkarłatne Niebo.

- Nie zgadzasz się z Omim-sanem co do długiej wojny? - spytał Toranaga.

- Nie. Ale czy nie jest to.. - Naga urwał.

- Dokończ, Naga-san. Mów szczerze! Naga ugryzł się w język, pobladł.

- Dokończ!

- No więc, wielmożny panie, przyszło mi na myśl. . - Naga urwał znowu, po czym wyrzucił z siebie: - Czy to nie jest wspaniała okazja do zostania shōgunem? Gdyby udało ci się zdobyć Kioto i otrzymać mandat, to po co powoływać Radę? Dlaczego nie złożyć cesarzowi prośby, żeby mianował

cię shōgunem? Tak byłoby najlepiej i dla ciebie, i dla cesarstwa. - Naga starał się ukryć obawę w głosie, bo przecież mówił o zdradzeniu Yaemona, a większość obecnych tu samurajów - Yabu, Omi, Igurashi, zwłaszcza zaś Buntaro - była szczerze oddana następcy. - Moim zdaniem, powinieneś zostać shōgunem - rzekł i obronnym tonem zwrócił się do reszty: - Jeżeli nie skorzysta się z tej sposobności. . Masz rację co do długiej wojny, Omi-san, ale żeby pan Toranaga mógł przekazać władzę, to wpiery musi ją zdobyć! Długa wojna zrujnuje cesarstwo, podzieli je z powrotem na tysiąc kawałków! Kto tego chce? Pan Toranaga musi zostać shōgunem. Jeżeli cesarstwo ma być powierzone Yaemonowi, panu Yaemonowi, to najpierw trzeba je zabezpieczyć! Nigdy już nie nadarzy się druga sposobność. .

Zamilkł. Wyprostował się, przerażony swoimi słowami i zadowolony, że wypowiedział publicznie to, o czym zawsze myślał. Toranaga westchnął.

- Nigdy nie dążyłem do zostania shōgunem - rzekł. - Ile razy muszę to powtarzać? Popieram mojego siostrzeńca Yaemona i testament taikō. - Przyjrzał się po kolei wszystkim. - Na końcu Nadze. Młodzieniec drgnął. Ale jego ojciec przemówił łagodnie, jeszcze raz podsuwając mu przynętę. - Tłumaczą cię jedynie twój zapal i młodość. Niestety, wielu znacznie starszych i mądrzejszych od ciebie sądzi, że to jest moim pragnieniem. A nie jest. Bzdurze tej można położyć kres tylko w jeden sposób: przez oddanie władzy Yaemonowi. I to właśnie zamierzam zrobić.

- Tak, ojczu. Dziękuję ci. Dziękuję - odparł zrozpaczony Naga. Toranaga przeniósł wzrok na Igurashiego.

- A co radzisz ty? - spytał.

- Ja jestem tylko prostym żołnierzem, a nie doradcą, ale nie radziłbym rozpoczynać Szkarłatnego Nieba, jeśli nie możemy prowadzić wojny na, tak jak mówi Omi-san, własnych warunkach. Wiele lat temu walczyłem w Shinano. To podła ziemia, a wtedy pan Zataki był po naszej stronie. Nie chciałbym ponownie walczyć w Shinano i w żadnym razie mieć pana Zatakiego za przeciwnika. A jeżeli w dodatku nie można polegać na panu Maedzie, no to jak tu planować bitwę w sytuacji, kiedy twój najsilniejszy sojusznik może zdradzić? Pan Ishido wystawi przeciwko tobie dwieście, trzysta tysięcy żołnierzy, a i tak jeszcze sto zostanie mu w Osace. Nawet z muszkietami nie starczy nam ludzi do przeprowadzenia ataku. Ale siedząc za tymi górami, jeśli wypadki potoczą się zgodnie z przewidywaniami Omiego-sana, można dzięki tym muszkietom bronić się bez końca.

Wytrzymamy ich ataki. Masz dosyć ryżu, wielmożny panie. Czyż Kantō nie zaopatruje w ryż połowy cesarstwa? A przynajmniej jedną trzecią. Możemy ci dostarczyć tyle ryb, ile zechcesz. Będziesz bezpieczny. Jeśli zdarzy się tak, jak powiedział pan Omi, to Ishido i ten diabeł Jikkyu niech sobie nas atakują, wkrótce bowiem nasi wrogowie zaczną się zreć między sobą. A jeżeli nie zaczną, to miej

gotowe w odwodzie Szkarłatne Niebo. Wojownik umiera za swojego pana tylko raz w życiu.

- Czy ktoś jeszcze chce coś dodać? - spytał Toranaga. Nie było odpowiedzi. - A ty, Mariko-san?

- Nie uchodzi mi mówić w takim miejscu, wielmożny panie - odparła. - Jestem pewna, że powiedziano już wszystko, co było do powiedzenia. Ale czy w imieniu wszystkich twoich doradców wolno mi spytać, co twoim zdaniem nastąpi?

Toranaga z rozmysłem dobierał słowa.

- Uważam, że stanie się tak, jak przepowiedział Omi-san. Z jednym wyjątkiem: Rada nie będzie zniewolona. Rada ta będzie miała dosyć władzy, żeby zebrać niezwykłą sprzymierzoną armię. Kiedy ustaną deszcze, ominie ona Izu i uderzy na Kantō. Najpierw zostanie połknięte Kantō, a Izu potem. Dopiero po mojej śmierci daimyō zaczną ze sobą walczyć.

- Ale dlaczego, wielmożny panie? - ośmielił się spytać Omi.

- Ponieważ mam zbyt wielu wrogów, należy do mnie Kantō, wojowałem przez czterdzieści lat i nigdy nie przegrałem bitwy, Wszyscy się mnie boją. Wiem, że najpierw te, ścierwojady zbiorą się, żeby mnie, zniszczyć. Wszyscy doskonale wiecie, że tylko ja mogę stanowić realne zagrożenie dla Yaemona, mimo że wcale mu nie zagrażam. W tym cała ironia. Wszyscy uważają, że pragnę zostać shōgunem. A ja tego nie chcę. Oto jeszcze jedna całkiem niepotrzebna wojna!

- No, to co zamierzasz zrobić, wielmożny panie? - przerwał milczenie Naga.

- Słucham?

- Co zamierzasz zrobić?

- Oczywiście rozpocznę Szkarłatne Niebo - odparł Toranaga.

- Ale przecież powiedziałaś, że nas zniszczą?

- Bez wątpienia, gdyby dać im czas. Ale ja nie dam im ani chwili. Wojnę rozpocniemy natychmiast!

- Ale co z deszczami. . co z deszczami?

- Dojedziemy do Kioto mokrzy. Zgrzani, cuchnący i mokrzy. Wojny wygrywa się dzięki zaskoczeniu, ruchliwości, śmiałości i dobrej organizacji, ne? Yabu-san dobrze powiedział.

Muszkietami przebijemy sobie drogę przez góry.

Przez godzinę omawiali plany i możliwości skutecznego prowadzenia wojny na wielką skalę w porze deszczów - strategii niesłychanej. A potem Toranaga odprawił wszystkich oprócz Mariko i polecił Nadze, aby kazał tu przyjść Anjin-sanowi. Przyjrzał się odchodzącym. Kiedy obwieścił im swoją decyzję, wszyscy okazali entuzjazm. Zwłaszcza Naga i Buntaro. Jedyne Omi był pełen rezerwy, zamyślony i nie przekonany. Igurashiego nie brał pod uwagę, wiedząc dobrze, że ten żołnierz robi

jedynie to, co mu każe Yabu, Yabu zaś pominął jako pionka w grze, co prawda perfidnego, ale jednak pionka. Tylko Omi jest cennym doradcą, pomyślał. Ciekawe, czy już zorientował się, co naprawdę zamierzam zrobić?

- Mariko-san. Dowiedz się taktownie, ile kosztowałoby wykupienie kontraktu kurtyzany - powiedział.

Zamrugła oczami.

- Kiku-san, wielmożny panie?

- Tak.

- Teraz, wielmożny panie? Już?

- Najlepiej, gdyby dziś wieczorem. - Spojrzał na nią dobrotliwie. - Jej kontrakt niekoniecznie ma być wykupiony dla mnie, być może dla któregoś z moich oficerów.

- Mam wrażenie, że cena będzie zależała od tego, kim jest wykupujący, wielmożny panie.

- Ja również. Ale ustal cenę. Dziewczyna oczywiście ma prawo odmówić, kiedy padnie nazwisko tego samuraja, ale powiedz jej właścicielce, że. spodziewam się, iż okaże się na tyle dobrze wychowana, by zaufać mojemu wyborowi. Zaznacz też, że»Kiku-san jest damą pierwszej rangi w Mishimie, a nie w Edo, Osace czy Kioto - dodał łagodnie Toranaga. - Dlatego oczekuję, że zapłacę za nią cenę obowiązującą w Mishimie, a nie w tamtych miastach.

- Tak, oczywiście, wielmożny panie.

Chcąc zmniejszyć ból w ramieniu, Toranaga poruszył nim i przemieścił miecze.

- Czy mogę ci wymasować ramię, wielmożny panie? - spytała Mariko. - A może przysłać Suwo?

- Nie, dziękuję. Z Suwo zobaczę się później.

Toranaga wstał, z wielką przyjemnością opróżnił pęcherz i znów usiadł. Miał na sobie krótkie jedwabne kimono w niebieski wzór i proste słomiane sandały. Wachlarz również był niebieski i ozdobiony jego herbem.

Słońce stało nisko, zbierały się ciężkie deszczowe chmury.

- Jakże nieogarnione jest życie - powiedział uszczęśliwiony. - Niemal słyszę deszcz, który czeka na swoje narodziny.

- Tak - odparła.

Toranaga chwilę, myślał. A potem wyrecytował wiersz:

Niebo

Spieczone słońcem

Płacze

Życiodajnymi łzami. .

Mariko posłusznie zaprzęła umysł do wysiłku, żeby zagrać ze swym panem w wiersze, grę tak popularną wśród samurajów, spontanicznie obracając słowa ułożonego przezeń haiku, przystosowując je i tworząc z nich nowy. Po chwili zaimprovizowała: Ale las Zraniony przez wiatr.

Płacze Martwymi liśćmi.

- Dobrze powiedziane! O tak, świetnie!

Toranaga przyjrzał się jej z zadowoleniem, sycąc oczy jej widokiem. Ciekawe, zadał sobie figlarnie pytanie, czy gdyby Buntaro zginął, zgodziłaby się zostać moją konkubina? Wolał

doświadczone kobiety, wdowy albo rozwódki (niezbyt ładne, mądre, młode czy dobrze urodzone), bo nigdy nie sprawiały kłopotu i zawsze były wdzięczne. Zaśmiał się do siebie. Nigdy bym jej o to nie poprosił, ponieważ ma w sobie Wszystkie cechy, których nie pragnę u konkubiny, tyle tylko, że jest w idealnym wieku.

- Wielmożny panie? - zapytała.

- Myślałem o twoim wierszu, Mariko-san - rzekł jeszcze łagodniej, po czym dodał: Czemu jest tak zimowo?

Lato Dopiero przyjdzie i schyłek

Przepięknej jesieni.

Odpowiedziała mu na to:

Gdybym mogła słów użyć

Niczym spadłych liści.

Jakież ognisko

Powstałoby z moich wierszy!

Zaśmiał się i uklonił jej z żartobliwą pokorą.

- Uznaję twoją wyższość, Mariko-sama. Co ma być nagrodą? Wachlarz? A może szal na włosy?

- Dziękuję Ci, wielmożny panie - odparła. - Tak, cokolwiek sprawi ci przyjemność.

- Dziesięć tysięcy koku rocznie dla twojego syna.
 - Och, wielmożny panie, nie zasługujemy na taką nagrodę!
 - Odniosłaś zwycięstwo. Zwycięstwa i lojalność muszą być i nagradzane. Ile lat ma w tej chwili Saruji?
 - Piętnaście. . prawie piętnaście.
 - A, rzeczywiście, zaręczył się niedawno z jedną z wnuczek pana Kiyamy, prawda?
 - Tak, wielmożny panie. W jedenastym miesiącu zeszłego roku, w miesiącu Szronu. Obecnie jest w Osace z panem Kiyamą.
 - To dobrze. Dziesięć tysięcy koku, poczynając od zaraz. Upoważnienie prześlę jutrzejszą pocztą. A teraz dosyć wierszy, powiedz mi, jakie jest twoje zdanie.
 - Moje zdanie jest takie, że w twoich rękach wszyscy jesteśmy bezpieczni, wielmożny panie, tak jak bezpieczny jest w twoich rękach nasz kraj.
 - Chcę, żebyś odpowiedziała mi poważnie.
 - Ależ ja mówię poważnie, wielmożny panie. Dziękuję ci za życzliwość dla mojego syna.
- Wierzę, że cokolwiek zrobisz, postąpisz słusznie. Na Madonnę. . tak jest, przysięgam na Madonnę, że wierzę w to.
- To dobrze. Ale mimo to chcę poznać twoje zdanie.

Uszczęśliwiona odpowiedziała mu natychmiast, jak równa równemu.

- Po pierwsze: potajemnie powinieneś przeciągnąć pana Zatakiego na swoją stronę. Domyślam się, że albo wiesz, jak tego dokonać, albo najpewniej umówiłeś się po cichu z przyrodnim bratem i zaproponowałeś mu rzekomą „zradę” głównie po to, żeby zmylić i uspić Ishido. Po wtóre: nie zaatakujesz jako pierwszy. Nie robiłeś tego nigdy, zawsze doradzając cierpliwość, a atak przypuszczasz jedynie wtedy, gdy jesteś pewien zwycięstwa, tak więc natychmiastowe publiczne ogłoszenie Szkarłatnego Nieba to jeszcze jeden fortel dla zmylenia wroga. Po trzecie: czas -
- gdybyś miał wykonać to, co zamierzasz, to, moim zdaniem, powinieneś zarządzić Szkarłatne Niebo, ale nic potem nie robić. To dezorientuje Ishido, ponieważ jego szpiegzy tu i w Edo na pewno doniosą mu o twoim planie, co zmusi go do rozproszenia w czasie podłej pogody wojsk w celu przygotowania się do odparcia zagrożenia, które nie nadejdzie. Tymczasem ty poświęcisz dwa następne miesiące na zebranie sprzymierzeńców, żeby podkopać jego sojusze i zburzyć jego koalicję, co i tak cię nieodzownie czeka. A poza tym musisz oczywiście wywabić Ishido z zamku w Osace. Jeżeli tego nie zrobisz, wielmożny panie, to Ishido wygra, ty zaś w najlepszym razie utracisz szansę na shōgunat. Ty. .

- Przecież jasno wypowiedziałem się, co o tym myślę - rzekł ostro Toranaga, tracąc dobry humor. - A ty się zapominasz.

- Ze względu na zakładników w Osace, wielmożny panie, nie muszę się dziś kryć z niczym - odparła wesoło, nie przejmując się tym. - Są oni raną w twoim sercu.

- A co z nimi?

- Okaż mi, proszę, cierpliwość, wielmożny panie. Być może już nigdy nie znajdę sposobności, by porozmawiać z tobą „szczerze, w cztery oczy, po angielsku”, nigdy nie jesteś sam tak jak ze mną w tej chwili. Błagam więc, żebyś mi wybaczył moje niewłaściwe zachowanie. - Mariko odzyskała rezon i, o dziwo, rozmawiała z nim dalej jak równy z równym. - Zdecydowanie uważam, że Naga-san ma rację. Musisz zostać shōgunem, bo w przeciwnym razie sprzeniewierzysz się obowiązkom, jakie masz wobec cesarstwa i rodu Minowara.

- Jak śmiesz mi mówić coś takiego?!

Mariko zachowała zupełny spokój, w ogóle nie przejmując się jego otwartym gniewem.

- Doradzam ci poślubienie pani Ochiby. Yaemonowi brakuje do dorosłości ośmiu lat, żeby zgodnie z prawem odziedziczył władzę. . a to przecież wieczność! Kto wie, co się zdarzy w ciągu ośmiu miesięcy, a co dopiero ośmiu lat.

- Na wycięcie twojej rodziny wystarczy osiem dni!

- Tak, wielmożny panie. Ale to nie ma żadnego związku z tobą, twoimi obowiązkami i cesarstwem. Naga-san ma rację. Musisz przejąć władzę, żeby ją dać - powiedziała ze sztuczną powagą i bez tchu. - Czy twoja wierna doradczyni ma popełnić seppuku teraz, czy ma to zrobić później?

Udała, że mdleje.

Toranaga przez chwilę gapił się na to niewiarygodne zuchwalstwo, po czym ryknął śmiechem i uderzył pięścią w ziemię. Kiedy odzyskał mowę, wydusił z siebie:

- Nigdy cię nie zrozumiem, Mariko-san.

- Och, zrozumiesz, wielmożny panie - odparła, osuszając spocone czoło: - Byłeś na tyle uprzejmy, że pozwoliłeś się rozśmieszyć twojej oddanej poddance, wysłuchałeś jej próśb, dałeś jej powiedzieć to co trzeba, co musiała ci powiedzieć. Wybacz mi, proszę, moje zuchwalstwo.

-? A to niby dlaczego, co? Dlaczego? - spytał dobrotliwie Toranaga, znów się uśmiechając.

- Z powodu tych zakładników, wielmożny panie - odparła wprost.

- A, tak! - rzekł, również poważniejąc.

- Tak. Muszę jechać do Osaki.

- Tak - powiedział. - Wiem.

38.

Blackthorne w towarzystwie Nagi schodził niepocieszony ze wzgórza w stronę dwóch postaci, które siedziały na futonach wewnątrz kręgu strażników. Za strażnikami wznosiły się podnóża gór strzelających w zachmurzone niebo. Było duszno. Od zgryzot ostatnich dni, od obaw o Mariko i konieczności porozumiewania się wyłącznie po japońsku Blackthorne'a bolała głowa. Już dostrzegł Mariko i jej widok trochę go pocieszył.

Wiele razy zachodził do domu Omiego, żeby ją zobaczyć lub o nią zapytać. Ale samuraje nieodmiennie grzecznie, lecz stanowczo odprawiali go z niczym. Omi powiedział mu jako tomodashi, przyjaciel, że nic jej nie jest. „Nie martw się, Anjin-san - zapewnił go. - Rozumiesz?” „Tak” - odparł mu, rozumiejąc tylko tyle, że nie może się z nią zobaczyć.

A potem wezwał go Toranaga. Tak wiele chciał mu powiedzieć, ale ponieważ znał za mało słów, zdołał go tylko zirytować. Fujiko kilka razy odwiedzała Mariko. Po powrocie nieodmiennie powtarzała, że Mariko ma się dobrze, i dodawała nieodzowne: „Shinpai suruna, Anjin-san.

Wakarimasu?” (Nie martw się. Rozumiesz?)

Obaj z Buntaro odnosili się do siebie tak, jakby nic nie zaszło. Spotykając się w ciągu dnia, grzecznie się pozdrawiali. Co prawda Buntaro raz na jakiś czas korzystała jego łaźni, ale traktował go jak wszyscy samuraje w Anjiro: ani przyjacielsko, ani wrogo.

Od rana do wieczora Blackthorne uganiał się, szkoląc w przyspieszonym tempie muszkietników. Przed wieczorem zawsze był wyczerpany. Zgrzany, spocony i przemoczony. A do tego samotny. Nigdy dotąd nie czuł się taki samotny, taki obcy w tym odmiennym świecie.

A na dobitkę trzy dni temu przeżył coś strasznego. Tamtego długiego dnia było parno. O zachodzie słońca znużony dojechał do domu i od razu wyczuł kłopoty. Fujiko przywitała go nerwowo.

- Nan desu ka? - spytał.

Odpowiedziała mu na to obszernie, z oczami utkwionymi w ziemi.

- Wakarimasen (Nie rozumiem) - odparł. - Nan desu ka? - powtórzył niecierpliwie, poirytowany wskutek zmęczenia.

Skinęła ręką, żeby wszedł do ogrodu. Wskazała mu okap, ale nie zauważył niczego niezwykłego. Dopiero po kolejnych jej słowach i gestach dotarło do niego, że pokazuje mu miejsce, gdzie wisiał bażant.

- Tarę toru desu ka? - spytał, chcąc wiedzieć, kto go wziął.

- Ueki-ya.

- A, ten stary pryk! - Ueki-ya, grzeczny, bezzębny staruszek, który pieczołowicie troszczył się o rośliny i upiększał ogród. - Yoi. Motte kuru Ueki-ya. (Dobrze, sprowadź go).

Fujiko potrząsnęła głową. Jej twarz stała się biała jak kreda.

- Ueki-ya shinda desu, shinda desu! - wyszeptała.

- Ueki-ya ga shindato? Don yoni? Doshite? Doshite shindanoda? (Jak? Dlaczego? Jak umarł?) Wskazała ręką miejsce, w którym wisiał bażant, i wypowiedziała wiele cichych niezrozumiałych słów. A potem pokazała sieknięcie mieczem.

- Jezu Chryste! Uśmierciliście staruszkę z powodu śmierdzącego, przeklętego bażanta?!

W tej samej chwili cała służba wbiegła do ogrodu i padła na kolana. Przycisnęli głowy do ziemi i zamarli, włącznie z dziećmi kucharza.

- Co tu się, psiakrew, dzieje?! - spytał Blackthorne, bliski szafu. Zobaczył, że jedno z dzieci drży z przerażenia i strachu. - Jezu Chryste w niebiesiech, daj mi siłę. . - Przytrzymał się słupa. -

To nie wasza wina - wydusił z siebie, nie zdając sobie sprawy, że nie mówi po japońsku. - To wina jej!

Twoja! Ty krwiożercza suko!

Fujiko wolno podniosła wzrok. Ujrzała jego wyciągnięty palec i nienawiść bijącą z twarzy.

Szeptem wydała polecenie służącej Nigatsu. Nigatsu potrząsnęła głową i zaczęła ją błagać.

- Ima!

Służąca pobiegła. Powróciła z długim mieczem i twarzą zalaną łzami. Fujiko wzięła go od niej i podała Blackthorne'owi. Wprawdzie nie zrozumiał jej wszystkich słów, pojął jednak ich sens:

„Jestem za to odpowiedzialna, odbierz mi wobec tego życie, bo cię rozgniewałam”.

- Iye! ! - Pochwycił miecz i go odrzucił. - Myślisz, że to przywróci Ueki-ya życie?!

I wtedy nagle dotarło do niego, co narobił i co robi w tej chwili.

- O mój Boże. .

Zostawił ich. Zrozpaczony poszedł na wzgórze wznoszące się ponad wsią, w pobliże świątyni stojącej obok starego powykręcane cyprysu, i zapłakał.

Zapłakał, ponieważ niepotrzebnie zginął poczciwy człowiek, a także dlatego, że wiedział już, iż to on go zamordował.

- Przebacz mi, Panie Boże. To ja za to odpowiadam, nie Fujiko. To ja go zabiłem. Przykazałem, żeby oprócz mnie nikt nie dotykał tego bażanta. Spytałem ją, czy wszyscy zrozumieli, i powiedziała, że tak. Rozkaz ten wydałem z żartobliwą powagą, ale to już się nie liczy. Wydałem to polecenie, znając ich prawo i zwyczaje. Stary złamał mój rozkaz, więc co innego mogła zrobić Fujiko? To moja wina.

Po pewnym czasie łązy przestały płynąć. Nastąpiła głęboka noc. Blackthorne powrócił do domu.

Teraz przywitał się, podchodząc do siedzących.

- Ohayo, Toranaga-sama. Ohayo, Mariko-san.

- Ohayo, Anjin-san. Dōzo suwaru. (Dzień dobry, usiądź, proszę.)

- Ohayo, Anjin-san. Ikaga desu ka? - spytała go z uśmiechem Mariko.

- Yoi, dōmo. - Blackthorne jeszcze raz spojrział na nią, rad, że ją widzi. - Radość przepelnia mnie na twój widok, wielka radość - rzekł po łacinie.

- Mnie na twój również. . jak dobrze jest cię zobaczyć. Ale widzę, że coś cię gryzie.

Dlaczego?

- Nan ja? - spytał Toranaga.

Przekazała mu, o czym mówili. Toranaga chrząknął i coś powiedział.

- Mój pan mówi, że wyglądasz na udręczonego, Anjin-san. Muszę mu przyznać rację. Pyta, co cię gnębi.

- To nic. Dōmo, Toranaga-sama. Nane mo..(To nic).

- Nan ja? - spytał wprost Toranaga. - Nan ja?

- Ueki-ya - odpowiedział natychmiast posłusznie bezradny Blackthorne. - Hai, Ueki-ya.

- Ah so desu! - rzekł Toranaga i przez dłuższy czas mówił coś do Mariko.

- Mój pan mówi, że nie trzeba przejmować się starym ogrodnikiem. Prosi mnie, abym zapewniła cię, że wszystko odbyło się jak należy. Stary ogrodnik całkowicie rozumiał, co robi.

- Nie rozumiem.

- Tak, trudno będzie ci się z tym pogodzić, ale widzisz, ten bażant gnił na słońcu, Anjin-san.

Straszliwie roiły się tam muchy. Zagrażało to twojemu zdrowiu, zdrowiu twojej konkubiny i zdrowiu

wszystkich domowników. A poza tym nie brakowało bardzo osobistych, dyskretnych skarg ze strony głównej służącej Omi-sana. . i innych. Jedną z naszych podstawowych zasad jest, że pojedynczej osobie nie wolno w żadnym przypadku zakłócać wa, harmonii grupowej, pamiętasz? Tak więc coś należało zrobić. Rozkład, zapach rozkładającego się mięsa, jest dla nas odrażający. Przykro mi, ale dla nas to najwstrętniejszy zapach na świecie. Próbowałam ci to powiedzieć, ale. . cóż, jest to jedna z tych rzeczy, które wyprowadzają nas z równowagi. Twoja główna służąca. .

- Dlaczego ktoś do mnie od razu z tym nie przyszedł? Dlaczego nikt po prostu mi o tym nie powiedział? - spytał Blackthorne. - Ten bażant nic dla mnie nie znaczył.

- A co można było powiedzieć? Wydałeś polecenia. Jesteś głową domu. Nie znali twoich zwyczajów ani nie wiedzieli, jak rozwiązać tę kwestię w inny sposób niż po swojemu. Czy to cię przygnębia? Chcesz, żebym mówiła dalej?

- Tak, proszę, Mariko-san.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- No więc, twój główny kucharz zebrał służbę. Zaproszono tam oficjalnie naczelnika wioski Murę. Uradzili, że bażanta nie może zabrać nikt z miejscowych eta. Że to sprawa domowników. Że pomimo twoich rozkazów, by nie ruszać ptaka, musi go zdjąć i zakopać ktoś ze służby. Obowiązkiem twojej konkubiny było oczywiście dopilnować, żeby twe rozkazy były wypełnione. Stary ogrodnik poprosił, żeby jemu pozwolono zabrać bażanta. Ostatnio w dzień i w nocy cierpiał na bóle brzucha, a klęczenie, pielenie i sadzenie bardzo go męczyły, więc nie mógł pracować tak dobrze, jak chciał.

Zgłosił się również trzeci pomocnik kucharza mówiąc, że jest bardzo młody, głupi, a jego życie na pewno nic nie znaczy wobec wagi tak istotnej sprawy. W końcu zaszczytu tego dostąpił ogrodnik.

Dla niego był to naprawdę wielki honor. Wszyscy bardzo uroczyście mu się pokłonili, a on im, po czym uszczęśliwiony wziął ptaka i ku wielkiej uldze wszystkich zakopał go.. Kiedy wrócił, poszedł

prosto do Fujiko i powiedział jej, co zrobił, że pogwałcił twój rozkaz. Podziękowała mu za zlikwidowanie niebezpieczeństwa i kazała zaczekać. Przyszła poradzić się mnie, co ma robić.

Wszystko zostało załatwione zgodnie z obyczajem, tak też więc należało to potraktować. Odparłam jej, że nie wiem. Spytałam o to męża, ale on również nie wiedział. Sprawa była zawita, z powodu ciebie. Buntaro-san spytał więc pana Toranagę. A pan Toranaga osobiście przyjął twoją konkubinę.

Chodziło o rozstrzygnięcie, czy jesteś samurajem, czy nie. Mam zaszczyt powiadomić cię, że nasz pan uznaje cię za samuraja i przysługują ci samurajskie prawa. Tak więc to od razu przesądziło o wszystkim i ułatwiło decyzję. Popelniono przestępstwo. Umyślnie sprzeniewierzono się twoim rozkazom. Prawo jest tu oczywiste”. Nie pozostawia wyjścia. - Mariko bardzo spowalniała. - Ale pan Toranaga, znając twoją wrażliwość na zabijanie, dla oszczędzenia ci cierpień osobiście polecił

jednemu ze swoich samurajów, by odesłał starego ogrodnika w Wielką Pustkę.

- Ale dlaczego ktoś przedtem nie zapytał mnie? Ten bażant nic dla mnie nie znaczył.

- Bażant nie ma z tym nic wspólnego, Anjin-san - wyjaśniła. - Jesteś głową domu. Prawo mówi, że żadnemu z domowników nie wolno ci się sprzeciwić. Stary ogrodnik z rozmysłem złamał to prawo.

Gdyby ludzie kpili sobie z prawa, rozleciałby się cały świat. Twój. .

Toranaga przerwał jej, coś do niej mówiąc. Wysłuchała go, odpowiedziała na kilka pytań, a potem na jego znak mówiła dalej.

- Hai. Pan Toranaga pragnie cię zapewnić, że osobiście dopilnował, aby starego ogrodnika spotkała szybka, bezbolesna i zaszczytna śmierć, na którą sobie zasłużył. Posunął się nawet do tego, żeby pożyczyć owemu samurajowi własny miecz, który jest bardzo ostry. Trzeba ci wiedzieć, Anjin-san, że stary ogrodnik był ogromnie dumny, mogąc u schyłku życia dopomóc twojemu domowi, dumny z tego, że pomógł ustalić, że jesteś samurajem. A nade wszystko dumny z zaszczytu, jaki go spotkał. Nie użyto publicznych katów. Pan Toranaga pragnie, żebyś ci to dokładnie wyjaśniła.

- Dziękuję, Mariko-san. Dziękuję za to wyjaśnienie. - Blackthorne zwrócił się w stronę Toranagi i złożył bardzo przepisyowy ukłon. - Dōmo, Toranaga-sama, Dōmo arigato. Wakarimasu.

Dōmo.

Odpowiedział na pytania Toranagi dotyczące szkolenia muszkietników, ale myślał o czym innym. To, co usłyszał, było dla niego ogłuszającym ciosem. Zwymyślał Fujiko w obecności wszystkich służących i nadużył zaufania domowników, podczas gdy ona postąpiła jak najśluszej, podobnie oni.

Była zupełnie bez winy. Nikt z nich nie był winny. Tylko on.

Nie mogę odwrócić tego, co się stało. Ani wobec Ueki-ya, ani jej. Ich wszystkich, pomyślał.

Jakże tu żyć z takim wstydem?

Siedział ze skrzyżowanymi nogami przed Toranaga, za pasem miał miecze, a lekka morska bryza targała mu kimono. Otepiały, słuchał i odpowiadał, lecz nic nie miało znaczenia. Mariko powiedziała, że zbliża się wojna. Spytał, kiedy wybuchnie. Odparła:

- Wkrótce. Tak że masz natychmiast ze mną wyjechać, Anjin-san. Będiesz mi towarzyszył

przez część drogi, bo udaję się do Osaki, ale ty pojedziesz lądem do Edo, żeby przygotować swój statek do walki. .

Nagle zrobiło się straszliwie cicho.

A potem ziemia zatrzęsała się.

Miał wrażenie, że pękają mu piersi, a każda cząsteczka jego jaźni krzyczała w panice.

Próbował wstać, ale nie mógł. Zobaczył, że wszyscy strażnicy są równie bezradni. Mariko i Toranaga rękami i nogami rozpaczliwie wczepiali się w murawę. Z nieba i z ziemi dobiegały dudnienia i grzmoty katastrofy. Otaczały ich zewsząd, potężniejąc i potężniejąc, aż wreszcie bębrenki w ich uszach były bliskie pęknięcia. Rozpasane szaleństwo wchłonęło ich w siebie. Wtem na chwilę ustało, ale wstrząsy trwały. Zbierało mu się na mdłości, a niedowierzający rozum krzyczał, że to przecież twardy, bezpieczny ląd, a nie morze, kiedy świat co chwila się wywraca. Raz po raz wymiotując, ucapiiony dygoczącej ziemi, splunął, żeby usunąć z ust wstrętny smak.

Od góry na północy oderwała się lawina kamieni i z wyciem stoczyła się w dolinę, powiększając ogólny zgiełk. Część samurajskiego obozu zniknęła. Blackthorne podźwignął się na czworaki spostrzegając, że Mariko i Toranaga robią to samo. Usłyszał własny krzyk, miał jednak wrażenie, że tak z jego, jak i ich ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

Drżenie ustało.

Ziemia znów stała się pewna, pewna, jak była zawsze i jak zawsze być powinna. Nie panował nad rozdygotanymi rękami, kolanami, ciałem. Starał się je uspokoić i odzyskać oddech.

I wtedy ziemia zawyła ponownie. Nastąpił drugi wstrząs. Silniejszy od pierwszego. Na drugim końcu płaskowyżu grunt pękł. Ziejąca rozpadlina zaczęła pędzić w ich stronę z niewiarygodną prędkością, przeszła pięć kroków od nich i pomknęła dalej. Nie dowierzając oczom, Blackthorne ujrzał, że Toranaga i Mariko zawisli na skraju urwiska, tam gdzie powinno być twardo. Jak we śnie zobaczył, że znajdujący się najbliżej przepaści daimyō zaczyna się w nią osuwać. Ocknął się z odrętwienia i rzucił przed siebie. Prawą ręką złapał Toranagę za pas. Ziemia drżała niczym liść na wietrze.

Ziejąca śmiercią rozpadlina była na dziesięć kroków szeroka i głęboka na dwadzieścia.

Sypiące się na Blackthorne'a i Toranagę błoto i kamienie wlokły ich z sobą. Blackthorne, już prawie wciągnięty w przepaść, próbował zaczepić gdzieś ręce i nogi, rycząc na Toranagę, by mu pomógł.

Wciąż na wpół oszołomiony daimyō wbił czubki stóp w ścianę rozpadliny i z pomocą dźwigającego go w górę Blackthorne'a wdrapał się z powrotem. Obaj zlegli w bezpiecznym miejscu ciężko dysząc.

W tym momencie nastąpił jeszcze jeden wstrząs.

Ziemia znowu się rozstąpiła. Mariko krzyknęła. Próbowała uciec z drogi nowemu pęknięciu, ale ją wchłonęło. Blackthorne jak szalony podczołgał się na jego skraj, raz po raz tracąc równowagę wskutek kolejnych wstrząsów.

Dotarłszy do krawędzi, spojrzął w dół. Mariko dygotała na półce kilka stóp niżej, a ziemia drżała pod obojętnym niebem. Krawędź szerokiej na kilka i głębokiej na kilkanaście kroków rozpadliny kruszyła się pod-nim zatrzważająco. Oślepiiony błotem i kamieniami zsunął się w dół i pochwyciwszy Mariko, wciągnął ją na bezpieczniejszą półkę. Razem próbowali odzyskać równowagę.

Ziemia zadrżała. Większa część półki zawaliła się na ich zgubę. I wtedy pas Blackthorne'a pochwyciła żelazna ręka Toranagi, powstrzymując ich od osunięcia się w piekło zagłady.

- O Chryste! . - krzyknął Blackthorne, bo ramiona miał prawie wyrwane ze stawów, jedną ręką obejmując Mariko, a drugą wolną i stopami rozpaczliwie starając się przytrzymać. Toranaga trzymał go dopóty, dopóki nie stanęli znów na jakiejś półce, a wtedy Blackthorne'owi pękł pas. Dzięki małej przerwie między wstrząsami zdołał wśród spadających kawałków ziemi wciągnąć Mariko na półkę. Toranaga odskoczył w bezpieczne miejsce, ponaglając go krzykiem. Rozpadlina zawyla i zaczęła się zwierać. Mariko i Blackthorne nadal tkwili głęboko w jej gardzieli, ale Toranaga nie mógł

już im pomóc. Przeważenie dodało Blackthorne'owi nadludzkich sił i porwawszy Mariko zdołał ją jakoś wypchnąć z ich ziemnego grobowca w górę. Toranaga chwycił ją za przegub i wciągnął na skraj urwiska, zdrapujący się na nie Blackthorne zachwiał się do tyłu, bo odpadł kawałek ściany. Zbliżająca się ku niemu przeciwległa ściana rozpadliny skrzeczała zatrważająco. Sypały się z niej błoto i kamienie. Przez chwilę myślał, że już po nim, ale zdołał się wyrwać i po omacku prawie wydostał z mogiły. Z nogami w rozpadlinie, leżąc na jej drżącej krawędzi, łapczywie łapał powietrze i nie był w stanie odpełznąć. Szczelina zwierzała się. Aż wreszcie znieruchomiła. . głęboka na osiem kroków i szeroka na sześć.

Łoskot ustał. Ziemia się uspokoiła. Zapadła cisza. Bezradni, czekali na czworakach na powrót koszmaru. Ociekający potem Blackthorne zaczął się podnosić.

Toranaga dał mu znak, żeby nie wstawał. Anglik twarz miał rozbitą, a przez skroń, w miejscu zderzenia z kamieniem, biegło głębokie rozcięcie.

Cała trójka dyszała, piersi im falowały, a w ustach czuli gorycz. Strażnicy zaczęli się zbierać z ziemi. Kilku ruszyło biegiem w stronę Toranagi.

- Iye! - krzyknął. - Matę! (Czekajcie!).

Posłuchali go i opadli z powrotem na czworaki. Czekanie zdawało się nie mieć końca. A potem na drzewie zaskrzeczał ptak i z krzykiem wzbił się w powietrze. Za nim wzleciał następny.

Blackthorne potrząsnął głową, żeby strącić pot zalewający mu oczy. Ujrzał swoje zakrwawione, połamane paznokcie zaciśnięte na kępkach trawy. A po chwili w trawie tej wędrującą mrówkę. A potem jeszcze jedną i następną. Zaczęły buszować.

Nadal przerażony, usiadł na piętach.

- Kiedy będzie bezpiecznie? - wysapał.

Mariko nie odpowiedziała. Szczelina w ziemi hipnotyzowała ją. Blackthorne podczołgał się do niej.

- Nic ci się nie stało? - spytał.

- Nie. . nie - odparła dysząc. Twarz miała powalaną błotem. Kimono podarte i brudne. Zgubiła sandały i tabi. Także parasolkę. Pomógł jej odsunąć się od rowu. W dalszym ciągu była jak sparaliżowana.

- Ikaga desu ka? - spytał Blackthorne, patrząc na Toranagę.

Toranaga nie był w stanie mówić, pierś rozsadzał mu ból, a nogi i ręce miał otarte do żywego mięsa. Wskazał ręką. Szczelina, w której o mało co nie zginął” skurczyła się do wąskiego rowu w ziemi. Na północy wszakże ziała, tworząc jar, ale nie była już tak szeroka i głęboka jak wcześniej.

Blackthorne wzruszył ramionami.

- Karma - powiedział.

Toranaga czknął głośno, odchrząknął, splunął i czknął jeszcze raz. To pomogło mu odzyskać głos, bo wskazując na rów posłał nad nim potok złorzeczeń, i chociaż Blackthorne nie zrozumiał

wszystkiego, daimyō najwyraźniej używał japońskich odpowiedników przekleństw: „A bodaj franca karmę, bodaj franca to trzęsienie ziemi, bodaj franca tę rozpadlinę. . bodaj to franca, straciłem swoje miecze!”

Z ulgi, że żyje, a przy tym czując niedorzeczność sytuacji, Blackthorne wybuchnął śmiechem: Po chwili śmiechem zaniósł się również Toranaga, a ich wesołość zaraziła Mariko.

Toranaga wstał. Energicznie. A potem, pokrzepiony radością życia, zaczął błaznować nad rozpadliną, parodiując siebie podczas trzęsienia ziemi. Znieruchomiał, przywołał gestem Blackthorne’a i podszedł do rowu. Tu odsunął z bioder opaskę i od nowa zdjęty śmiechem kazał

Blackthorne’owi zrobić to samo. Kiedy Blackthorne wykonał polecenie, obaj spróbowali nasikać do rowu. Ale nie wydobyli z siebie nic, nawet kropli. Bardzo się o to starali, ale rozśmieszyło ich to jeszcze bardziej i zatkało pęcherze. Po jakimś czasie jednak dowiedzieli tego, a potem Blackthorne, podparty na rękach, usiadł, żeby zebrać siły. Kiedy trochę doszedł do siebie, zwrócił się do Mariko i spytał:

- Czy to trzęsienie ziemi skończyło się na dobre, Mariko-san?

- Tak, do następnego wstrząsu - odparła, nie przestając oczyszczać z błota rąk i kimona.

- Czy zawsze to tak wygląda?

- Nie. Zdarzają się bardzo lekkie trzęsienia ziemi. Bywa też, że następuje druga seria wstrząsów. . po trocicze czasu albo dniu, czasem po pół trociczki albo po pół dnia. Niekiedy jest to tylko jeden wstrząs, nigdy nie da się tego przewidzieć, Anjin-san. I kończy się, zanim się zacznie następny. Karma, ne?

Strażnicy przyglądali się im bez ruchu, czekając na rozkaz Toranagi.

- Dōmo, Anjin-san, ne? Dōmo - pozwiedzał Toranaga, który już spoważniał.

- Dōzo, Toranaga-sama. Nane mo. Hombun, ne? (Proszę, Toranaga-sama. Nie ma o czym mówić. Obowiązek.) - rzekł Blackthorne, a potem, ponieważ miał za mały zasób słów, pragnął zaś być

dokładnie zrozumiany, dodał: - Mariko-san, czy wytłumaczysz to w moim imieniu? Chyba zrozumiałem już, co mieliście na myśli ty i pan Toranaga mówiąc o karmie i o tym, że niemądrze przejmować się tym, co jest. Dużo mi się wyjaśniło. Nie wiem dlaczego, może dlatego, że jeszcze nigdy nie byłem taki przerażony, może to otworzyło mi oczy, ale chyba myślę jaśniej. No.. na przykład, jeśli chodzi o tego starego ogrodnika. Tak, to była wyłącznie moja wina i naprawdę tego żałuję, bo popełniłem błąd, ale niezamierzony. Tak jest. I nic nie można na to poradzić. Przed chwilą o mało co nie zginęliśmy. Tak więc niepotrzebnie się martwiłem i trapiłem, prawda? Karma. Tak, teraz już wiem, co to jest. Rozumiesz?

- Tak.

Przełożyła to, co powiedział, Toranadze.

- Mówi: „To dobrze, Anjin-san. Karma to ziarno wiedzy. Zaraz potem idzie cierpliwość.

Cierpliwość jest bardzo ważna. Silni są cierpliwi, Anjin-san. Cierpliwość oznacza zapanowanie nad skłonnością do siedmiu uczuć: nienawiści, uwielbienia, radości, troski, gniewu, żalu i strachu. Jeżeli nie ulegasz tym siedmiu, to jesteś cierpliwy; wkrótce zrozumiesz wszystko na tym świecie i osiągniesz harmonię z Wiecznością”.

- Wierzysz w to, Mariko-san?

- Tak. Bardzo mocno. Ja też staram się być cierpliwą, ale to trudne.

- Zgadzam się. To jest także wa, twoja harmonia, twoje „wyciszenie”, ne?

- Tak. Znowu odmłodniałeś - powiedziała i dodała po łacinie: - Jesteś na powrót sobą, panie, i to bardziej niż wprzód!

- Za to tyś jest tak piękna jak zawsze.

Jej spojrzenie ożywiło się, odwróciła oczy od Toranagi. Blackthorne zauważył to i odnotował w pamięci jej przezorność. Wstał i zajrzał w poszarpaną rozpadlinę. Ostrożnie zeskokczył do niej i zniknął z oczu.

Mariko podźwignęła się z ziemi, przez chwilę zaniepokojona, ale Blackthorne bardzo szybko wyłonił się z powrotem. W rękę trzymał miecz Fujiko. Wprawdzie był ubłocony i obdrapany, ale w pochwie. Krótki miecz do zadawania pchnięć zaginął.

Blackthorne ukląkł przed Toranagą i podał mu miecz tak, jak nakazywał zwyczaj.

- Dozo, Toranaga-sama - powiedział wprost. - Kara, samurai ni samurai, ne? (Proszę, od samuraja dla samuraja).

- Dōmo, Anjin-san. - Władca Kantō przyjął miecz i wsunął go za pas. A potem uśmiechnął się, pochylił w przód i mocno klepnął Blackthorne'a po ramieniu. - Tomo, ne? (Przyjaciel, co?)

- Dōmo.

Blackthorne spojrział w bok. Jego uśmiech zniknął. Ponad wzniesieniem, za którym leżała wioska, sunęła chmura dymu. Natychmiast spytał Toranagę, czy może odejść, żeby upewnić się, czy nic się nie stało Fujiko.

- Pan Toranaga wyraża zgodę, Anjin-san - powiedziała Mariko. - Spotkamy się z nim na wieczery w warowni, o zachodzie słońca. Chce z tobą omówić pewne sprawy.

Blackthorne powrócił do wioski. Zrujnowanej, z drogą wykrzywioną nie do rozpoznania, z pogruchatą nawierzchnią. Ale łodziom nic się nie stało. Nadal płonęły liczne pożary. Wieśniacy nieśli cebry z piaskiem i wodą. Skręcił za róg. Dom Omiego przechylił się jak pijany w jedną stronę.

Jego własny był wypaloną ruiną.

39.

Fujiko była ranna. Jej służąca Nigatsu zginęła. Przy pierwszym wstrząsie załamały się główne filary domu, rozrzucając węgle z kuchennego paleniska. Fujiko i Nigatsu zostały uwięzione przez belkę” a płomienie zamieniły służącą w żywą pochodnię. Fujiko zdołała się wydostać. Zginęło też jedno z dzieci kucharza, ale reszta służby ocalała, wychodząc z tego z siniakami, a kilkoro ze zwichnięciami. Nie posiadali się z radości przekonawszy się, że Blackthorne ocalał i wyszedł bez szwanku.

Fujiko leżała na ocalałym futonie, na wpół przytomna, obok nienaruszonego płotu. O mało się nie rozplakała, kiedy zobaczyła, że Blackthorne’owi nic się nie stało.

- Dziękuję Buddzie, że nie jesteś ranny, Anjin-san - powiedziała słabym głosem.

Wciąż jeszcze była w szoku, więc zakazał jej się ruszać, kiedy próbowała wstać. Nogi i lędźwie miała mocno poparzone. Lekarz już się nią zajął, owijając jej poparzenia bandażami nasączonymi w herbacie i ziołach, żeby złagodzić ból. Blackthorne ukrył troskę, odczekał, aż lekarz zrobi swoje, a po wszystkim zapytał go na osobności, czy pani Fujiko wydobrzeje.

- Fujiko-san, yoi ka?

Japończyk wzruszył ramionami.

- Hai - odparł, cofając wargi i odsłaniając wystające zęby. - Karma, ne?

- Hai. - Blackthorne dość się napatrzył na śmierć poparzonych marynarzy, żeby wiedzieć, iż każde silne poparzenie jest groźne, że otwarte rany prawie zawsze po kilku dniach zaczynają się paprać i niczym nie da się powstrzymać zakażenia. - Nie chcę, żeby umarła.

- Dozō?

Powtórzył to po japońsku, na co lekarz potrząsnął głową i zapewnił go, że Fujiko na pewno wydobrzeje. Że jest młoda i silna.

- Shigata ga nai - rzekł lekarz, przykazał służącymi żeby bandaże były cały czas wilgotne, Blackthorne’owi dał na jego otarcia skóry zioła, obiecał wkrótce powrócić, a potem pośpieszył na wzgórze do rozwalonego domu Omiego.

Blackthorne stanął w głównej bramie, która nic nie ucierpiała. W jej lewym słupku nadal tkwiły strzały Buntaro. Z roztargnieniem dotknął jednej. Szkoda, że Fujiko się poparzyła, pomyślał.

Wrócił do niej i kazał służącej przynieść cha. Pomógł Fujiko się napić i trzymał ją za rękę, dopóki nie zasnęła, a przynajmniej wyglądało na to, że śpi. Służba ratowała, co się dało z domu, uwijając się wraz z kilkoma pomagającymi im wieśniakami. Wiedzieli, że wkrótce spadnie deszcz.

Czterej mężczyźni starali się zbudować prowizoryczne schronienie.

- Dozo, Anjin-san - powiedział kucharz, częstując go cha i próbując ukryć zgryzotę. Mała córeczka, która zginęła, była jego ulubienicą.

- Dōmo - odparł Blackthorne. - Sumimasen. (Przykro mi).

- Arigato, Anjin-san. Karma, ne?

Blackthorne skinął głową, przyjął herbatę i żeby nie zawstydzić kucharza, udał, że nie dostrzega jego smutku. Później na wzgórze przybył samuraj z wiadomością od Toranagi, że Blackthorne i Fujiko do czasu odbudowania domu będą nocować w warowni. Przyniesiono dwa palankiny. Blackthorne delikatnie umieścił w jednym z nich Fujiko i odesłał ją ze służącymi, oznajmiając, że niedługo za nią podąży. Drugi palankin odprawił.

Zaczęło padać, ale nie zwrócił na to uwagi. Przysiadł na kamieniu i patrzył na ogród, który dał

mu tyle przyjemności. W tej chwili był w ruinie. Mały mostek zdruzgotany, sadzawka rozwalona, a potoczek zniknął.

- Nie szkodzi - szepnął w przestrzeń. - Te kamienie żyją.

Ueki-ya powiedział mu kiedyś, że ogród musi być założony wokół kamieni, że bez nich jest pusty, pozostaje jedynie miejscem, gdzie coś rośnie.

Jeden z kamieni był poszarpany i zwyczajny, ale Ueki-ya umieścił go tak, że kiedy przyglądało mu się długo i uważnie w porze zachodzącego słońca, wtopione weń żyłki i kryształy nieciły czerwonawe błyski i można w nim było zobaczyć całe pasmo górskie z długimi dolinami, głębokimi jeziorami, a daleko na zieleńjącym widnokręgu wzbierającą noc.

Blackthorne dotknął kamienia.

- Daję ci imię Ueki-ya-sama - powiedział. Ucieszyło go to, bo był pewien, że gdyby Ueki-ya żył, też by się bardzo tym ucieszył. Mimo że nie żyje, może się dowie rzekł w duchu, może jest tu w tej chwili jego kami. Wyznawcy shintō Wierzą, że po śmierci stają się kami. .

- Co to jest kami? - spytał kiedyś Mariko.

- Kami nie da się wytłumaczyć, Anjin-san. Jest jak duch, lecz nim nie jest, jest jak dusza, ale nie jest duszą. Być może jest to niematerialna istota rzeczy lub osoby. . trzeba ci wiedzieć, że człowiek staje się po śmierci kami, ale kami jest również drzewo, kamień, roślina, malowidło. Kami się czci, ale nie ubóstwia. Mieszkają one pomiędzy niebem a ziemią, odwiedzają tę Krainę Bogów albo opuszczają ją, wszystko naraz.

- A shintō? Co to jest shintō?

- Och, bardzo przepraszam, tego również nie da się wytłumaczyć. Jest jak religia, lecz nią nie jest. Z początku nawet nie miało nazwy, nazwaliśmy ją shintō, Drogą Kami, dopiero tysiąc lat temu, dla odróżnienia jej od butsudo, Drogi Buddy. Ale mimo swej nieokreśloności shintō jest esencją Japonii

i japońskości i chociaż nie posiada teologii, bóstwa, wiary ani systemu etycznego, to stanowi dla nas rację bytu. Shintō to kult przyrody, w którego mity i legendy nikt szczerze nie wierzy, ale mimo to wszyscy go czczą. Osoba jest shintō w ten sam sposób, w jaki rodzi się Japończykiem.

- A czy ty też jesteś shintō.. i zarazem chrześcijanką?

- O, tak, jak najbardziej, oczywiście. .

Blackthorne ponownie dotknął kamienia:

- Proszę cię, kami Ueki-ya, racz pozostać w moim ogrodzie - szepnął.

A potem, nic sobie nie robiąc z deszczu, pozwolił oczom spocząć na kamieniu, powędrować przez jego bujne doliny, spokojne jezioro do zieleńiącego widnokręgu, tam gdzie wzbierał mrok.

Słuch nakazał mu wzmóc czujność. Podniósł wzrok. Patrzył na niego Omi, który przysiadł

cierpliwie na pośladkach. Pod przeciwdeszczowym płaszczem z ryżowej słomy miał świeżo wyprasowane kimono, a na umytych włosach bambusowy stożkowaty kapelusz. Nadal padało.

- Karma, Anjin-san - powiedział, wskazując na tłące się zgliszcza.

- Hai. Ikaga desu ka?

Blackthorne otarł mokrą twarz.

- Yoi. - Omi wskazał w górę na swój dom. - Watakushi no yuya wa hakaisarete imasen ostukai ni narimasen-ka? (Moja łaźnia nie jest zniszczona. Chciałbyś z niej skorzystać?)

- Ah so desu! Dōmo, Omi-san, hai, dōmo.

Wdzięczny Blackthorne podążył za nim w górę krętą drogą i weszli na podwórze jego domu.

Służący i wioskowi rzemieślnicy pod nadzorem Mury stukali młotami, piłowali i naprawiali. Ustawili już na miejscu główne słupy i prawie umocowali dach.

Na migi, używając prostych słów i cierpliwości, Omi wyjaśnił, że jego służącym w porę udało się zgasić ogień. Powiedział, że za dzień, dwa dom będzie odbudowany i, bez obawy, tak porządny, jak poprzednio.

- Odbudowa twojego zajmie dłużej, tydzień, Anjin-san. Nie martw się, Fujiko-san to świetna gospodyni. Bardzo szybko umówi się z Murą co do kosztów i twój dom będzie jeszcze wygodniejszy.

Słyszałem, że się poparzyła. To się zdarza. Ale się nie martw, nasi lekarze świetnie znają się na oparzeniach. . muszą, ne? Tak, Anjin-san, było to przykre trzęsienie ziemi, ale jeszcze nie najgorsze. Ryżowiska właściwie nie ucierpiały, a niezbędny system nawadniający ocalał. Ocalały również łodzie, co też się bardzo liczy. Ta lawina zabiła tylko stu pięćdziesięciu samurajów, to niewiele, ne?

A jeśli chodzi o wioskę, to za tydzień nie będzie prawie śladu po trzęsieniu. Zginęło pięciu chłopów i kilkoro dzieci, to nic! Anjiro miało wielkie szczęście. Słyszałem, że wyciągnąłeś pana Toranagę ze śmiertelnej pułapki. Wszyscy jesteśmy ci za to wdzięczni, Anjin-san. Bardzo.

Gdybyśmy go utracili. . Pan Toranaga powiedział, że przyjął od ciebie miecz. . masz szczęście, to wielki zaszczyt. Tak. Masz bardzo silną karmę, bardzo dobrą, bardzo bogatą. Tak, ogromnie ci dziękujemy. Posłuchaj, porozmawiamy dłużej, kiedy się wykąpiesz. Cieszę się, że jesteś moim przyjacielem.

Omi przywołał łaziebne.

- Isogi! (Migiem!)

Służące zaprowadziły Blackthorne'a do łaźni, która mieściła się w malutkim klonowym gaju, a z domem łączyła ją ładna, kręta, przeważnie zadaszona ścieżka. Łaźnia Omiego była o wiele bardziej zbytkowna niż jego własna. Jedna jej ściana była mocno zarysowana, ale wieśniacy już ją gipsowali.

Pomimo braku kilku dachówek i niewielkich przecieków tu i tam, dach trzymał się mocno.

Blackthorne rozebrał się i usiadł na malutkim stołku. Służące namydliły mu na deszczu ciało i włosy. Kiedy go obmyły, wszedł do środka i zanurzył się w parującej wodzie. Wszystkie kłopoty odpłynęły.

Fujiko wyzdrowieje. Mam szczęście, myślał, mam szczęście, że wyciągnąłem Toranagę, szczęście, że uratowałem Mariko, i szczęście, że on tam był i nas wybawił.

Dzięki czarodziejskim umiejętnościom Suwo znowu odżył. Potem pozwolił mu opatrzyć swoje obrażenia i rozcięcia, włożył czystą opaskę na biodra, świeże kimono i tabi, które dla niego przygotowano, i wyszedł. Deszcz ustał.

W kącie ogrodu wzniesiono prowizoryczną wiatę. Miała porządną nadziemną podłogę i znajdowały się w niej futony oraz mała waza z kompozycją kwiatową. W wiacie czekał na niego Omi w towarzystwie bezzębnej staruszki o surowej twarzy.

- Usiądź, proszę, Anjin-san - powiedział Omi.

- Dziękuję ci, dziękuję też za ubranie - odparł po japońsku, zacinając się.

- Doprawdy nie ma za co. Napijesz się cha albo sake?

- Cha - zdecydował Blackthorne uznając, że lepiej, jeśli będzie trzeźwy na spotkaniu z Toranagą. - Dziękuję.

- To moja matka - oznajmił oficjalnym tonem Omi, najwyraźniej darząc ją uwielbieniem.

Blackthorne uklonił się. Staruszka uśmiechnęła się sztucznie i wciągnęła powietrze. „„

- To dla mnie zaszczyt, Anjin-san - rzekła.

- Dziękuję, ale to zaszczyt dla mnie - Blackthorne wypowiedział odruchowo grzecznościową formułkę, której nauczyła go Mariko.

- Bardzo nas zasmucił widok twojego domu w płomieniach, Anjin-san.

- Cóż poradzić. Karma, ne?

- Tak, karma. - Stara odwróciła głowę i spojrzała groźnie. - A pośpiesz no się! Anjin-san chce ciepłej herbaty!

Na widok dziewczyny, która stała przy służącej z tacą, Blackthorne wstrzymał oddech. A potem przypomniał ją sobie. Czy to nie ją właśnie widział z Omim za pierwszym razem, kiedy szedł przez wioskowy plac w stronę galery?

- To moja żona - przedstawił ją zwięźle Omi.

- Jestem zaszczycony - powiedział Blackthorne, kiedy zajęła miejsce, uklękła i ukloniła się.

- Musisz jej wybaczyć opieszałość, panie - odezwała się matka Omiego. - Czy cha jest wystarczająco gorąca? -

- Dziękuję, jest bardzo dobra. - Blackthorne odnotował, że stara nie wymieniła imienia żony, tak jak powinna. Z drugiej strony nie zaskoczyło go to, bo Mariko objaśniła mu już dominującą rolę świekry w japońskim społeczeństwie.

- Dzięki Bogu, że w Europie jest inaczej - odparł jej wtedy.

- Świekra ma we wszystkim rację, Anjin-san, no, bo w końcu to właśnie rodzice wybierają synowi żonę, a jakże ojciec mógłby mu ją wybrać nie poradziwszy się przedtem małżonki?

Oczywiście synowa musi być posłuszna, a syn zawsze postępuje zgodnie z wolą ojca i matki.

- Zawsze?

- Zawsze.

- A jeżeli jakiś syn odmówi?

- To nie jest możliwe. Wszyscy muszą być posłuszni głowie domu. Syn ma przede wszystkim obowiązki wobec swoich rodziców. To oczywiste. Matki dają synom wszystko: życie, jedzenie, czułość, opiekę. Matka pomaga synowi przez całe życie. Dlatego słusznie, żeby syn stosował się do jej życzeń. Synowa. . synowa musi być posłuszna. To jej obowiązek.

- U nas jest inaczej.

- Trudno być dobrą synową, bardzo trudno. Po prostu musi ona żyć nadzieją, że sama doczeka się

synów i zostanie świekrą.

- A co z twoją świekrą?

- Och, nie żyje, Anjin-san. Umarła dawno temu. Nie poznałam jej. Pan Hiro-matsu był na tyle mądry, żeby nie brać sobie drugiej żony.

- Buntaro-san jest jego jedynym synem?

- Tak. Mój mąż ma pięć żyjących sióstr, ale żadnych braci. . W jakimś sensie jesteśmy teraz z sobą skoligaceni, Anjin-san - zażartowała. - Fujiko jest siostrzenicą mojego męża. O co chodzi?

- Dziwię się, że mi nigdy o tym nie wspomniałaś, tylko tyle.

- Cóż, to dość skomplikowane, Anjin-san.

Mariko wyjaśniła mu, że Fujiko jest właściwie przybraną córką Numaty Akinoriego, który poślubił najmłodszą siostrę Buntaro, i że prawdziwym ojcem Fujiko był wnuk dyktatora Gorody spłodzony z jego związku z ósmą konkubiną, a Numata adoptował ją, kiedy była dzieckiem, na rozkaz taikō, ponieważ taikō pragnął zadzierzgnięcia bliższych więzów rodzinnych pomiędzy potomkami Hiro-matsu i Gorody. .

- Co takiego?

Mariko zaśmiała się tłumacząc mu, że owszem, rodowe związki w Japonii są bardzo skomplikowane, ponieważ adopcja jest czymś zwyczajnym, rodziny często wymieniają synów i córki, a ponadto bez przerwy się rozwodzą, żenią ponownie i zawierają małżeństwa w obrębie rodziny.

Przy tylu konkubinach i łatwości rozwodów - zwłaszcza na rozkaz lennego pana - wszystkie rodziny są związane niewiarygodnie splątanymi powinowactwami.

- Na dokładne rozwikłanie rodzinnych powiązań pana Toranagi potrzeba by dni. A pomyśl tylko o komplikacjach, Anjin-san: obecnie ma on siedem konkubin, a z nimi pięciu synów i trzy córki.

Niektóre z tych konkubin miały przedtem mężów i dzieci, z których część pan Toranaga adoptował.

W Japonii nie pyta się, czy ktoś jest rodzonym, czy adoptowanym potomkiem. Bo czy to doprawdy ważne? Dziedziczenie zależy od woli głowy rodziny, tak więc to, czy potomek jest adoptowany czy nie, nie ma znaczenia, nie? Nawet matka pana Toranagi była rozwódką. Po powtórny ożenku z drugim mężem miała jeszcze trzech synów i dwie córki, a wszyscy oni pozawierali małżeństwa! Jej najstarszy syn z drugiego małżeństwa to Zataki, władca Shinano.

Blackthorne przemyślał to sobie, po czym rzekł;

- Nam nie wolno się rozwodzić. Nie możemy.

- Tak nam mówią świątobliwi ojcowie. Przepraszam, ale nie jest to rozsądne, Anjin-san.

Pomyłki się zdarzają, ludzie się zmieniają, karma, ne? Dlaczego mąż miałby znosić niedobrą żonę, a żona niedobrego męża? To niemądre być skazanym na siebie. Ne?

- Tak.

- Pod tym względem jesteśmy bardzo mądrzy, a świątobliwi ojcowie nie. Był to jeden z dwóch zasadniczych powodów, dla których taikō nie przyjął chrześcijaństwa; właśnie z powodu tej głupoty z rozwodami. . i szóstego przykazania Nie będziesz zabijał”. Ojciec wizytator wysłał list do samego Rzymu, błagając o dyspensę dla Japończyków w kwestii rozwodów. Ale jego świątobliwość papież w mądrości swojej odmówił. Gdyby Ojciec Święty wyraził na to zgodę, to wierzę, że taikō by się nawrócił, daimyō wyznawaliby w tej chwili Prawdziwą Wiarę, a ten kraj byłby chrześcijański.
Sprawa

„zabijania” stałaby się nieistotna, ponieważ tak naprawdę nikt tego nie przestrzega, a już najmniej chrześcijanie. Takie małe ustępstwo za tak wiele, ne?

- Tak - przyznał Blackthorne. Rozwody wydawały się tutaj takie rozsądne. Dlaczego więc w ojczyźnie były śmiertelnym grzechem, któremu w chrześcijaństwie w imię Boga przeciwstawiał się zarówno katolicki ksiądz, jak i anglikański pastor?

- Jaka jest żona pana Toranagi? - spytał pragnąc, by mówiła dalej. Na ogół unikała mówienia o Toranadze i historii jego rodu, a dla niego ważne było wszystko.

Mariko posmutniała na chwilę.

- Nie żyje. Była jego drugą żoną i umarła dziesięć albo jedenaście lat temu. Była przyrodnią siostrą taikō. Pan Toranaga nie miał szczęścia do żon, Anjin-san.

- Dlaczego?

- Och, ta druga była stara, zmęczona i zachłanna, wielbiła złoto, chociaż, tak jak jej brat taikō, udawała, że nie. Była niepłodna i zrzędliva. Przez jakiś czas musiałam być jej damą dworu. Nic nie mogło jej zadowolić, żaden młodzieniec ani mężczyzna nie potrafił rozwiązać supła w jej Złotym Pawilonie.

- Słucham?

- W jej Nefrytowej Bramie. Z pomocą swojej Żółwiej Głowy. . Rozpalonej Włóczni.

Rozumiesz? W jej. . przyrodzeniu.

- Ach! Zrozumiałem. Tak.

- Nikt nie potrafił rozwiązać jej supła. . zaspokoić jej.

- Nawet Toranaga?

- On wcale z nią nie poduszkował!, Anjin-san - odparła mocno wzburzona. - Gdzieżby tam, po zawarciu małżeństwa nie miał z nią nic wspólnego, tyle że podarował jej zamek, służbę oraz klucze do skarbcza. Była stara i już dwukrotnie zamężna, ale jej brat, taikō, rozwiązał te małżeństwa.

Nadzwyczaj niemiła kobieta, i wszystkim, nawet jej bratu, ogromnie ulżyło, kiedy odeszła w Wielką Pustkę. Jej - wszystkie przyrodnie synowe i wszystkie konkubiny Toranagi z wielkiej radości potajemnie wypaliły z tej okazji kadzidła.

- A pierwsza żona Toranagi?

- Och, pani Tachibana. Było to jeszcze jedno polityczne małżeństwo. Pan Toranaga miał lat osiemnaście, ona piętnaście. Wyrosła na straszną kobietę. Dwadzieścia lat temu pan Toranaga był

zmuszony uśmiercić ją, ponieważ odkrył, że po cichu spiskowała, chcąc zabić ich lennego pana, dyktatora Gorodę, którego nienawidziła. Zdaniem mojego ojca, który często mi to powtarzał, on, Toranaga, Nakamura i wszyscy generałowie mieli szczęście zachowując głowy, ponieważ Goroda był

bezlitosny, bezwzględny i 'nader podejrzliwy wobec najbliższego otoczenia. Ta kobieta, bez względu na niewinność każdego z nich, mogłaby ich wszystkich zgubić. Z powodu jej intrygi przeciwko panu Gorodzie został stracony jedyny syn Tachibany Nobunaga. Uśmierciła jedynego syna. Pomyśl tylko, jakie to smutne, jakie straszne, Anjin-san. Biedny Nobunaga był ulubieńcem Toranagi, urodzonym generałem, wyznaczonym na jego dziedzica, a do tego bezwzględnie wiernym i dzielnym. Wplątała go w swoją intrygę, mimo że był niewinny. Miał zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy pan Toranaga rozkazał mu popełnić seppuku.

- Toranaga zabił własnego syna? I żonę?

- Tak, rozkazał im się zabić, ale nie miał wyboru, Anjin-san. Gdyby tego nie zrobił, pan Goroda mógłby nabrać podejrzeń, że on sam też należał do spisku, i kazałby mu, by natychmiast otworzył

sobie brzuch. O, tak. Pan Toranaga miał szczęście, że uszedł gniewu Gorody, i mądrze postąpił, szybko odsyłając Tachibanę z tego świata. Po jej śmierci wszystkie konkubiny Toranagi i jej synowa nie posiadały się z radości. Zmusiła ona swojego syna, żeby odesłał w niesławie do domu pierwszą żonę za jakieś zmyślane uchybienie, a urodziła mu ona dwójkę dzieci. Dziewczyna popełniła seppuku. . Czy wspominałam ci, że kobiety popełniają seppuku przez poderżnięcie sobie gardła, a nie rozcięcie brzucha, jak mężczyźni? Chętnie jednak wybrała śmierć, rada, że uwalnia się od „życia pełnego niedoli. Natomiast druga żona Nobunagi modliła się o śmierć, ponieważ świekra także i jej życie zamieniła w piekło..

Patrząc na matkę Omiego, na herbatę spływającą jej po brodzie, Blackthorne wiedział już, że gdyby głowa rodziny, mąż tej starej wiedźmy na to pozwolił, to decydowałaby ona o życiu i śmierci Midori, o jej rozwodzie i poniżeniu. A cokolwiek ustaliłaby wspólnie z mężem, Omi by posłusznie wykonał. Okropność.

Midori, taka młoda i urocza, była całkowitym przeciwieństwem starej, twarz miała owalną, włosy

gęste. Była ładniejsza od Mariko, giętka jak paproć i delikatna jak pajęczyna, brakowało jej wszakże bożej iskry tamtej.

- A gdzie zakąski? Anjin-san jest na pewno głodny, ne? - spytała gderliwie stara.

- Och, bardzo przepraszam - odparła natychmiast Midori. - W tej chwili je przynieś - poleciała służącej. - Prędko! Bardzo przepraszam, Anjin-san!

- Bardzo przepraszam, Anjin-san - zawtórowała starucha.

- Ależ nie przepraszaj, pani - Blackthorne zwrócił się do Midori i od razu zorientował się, że popełnił gafę. Dobre maniery wymagały bowiem, żeby odzywał się wyłącznie do świekry, a już zwłaszcza takiej, która miała opinię złej. - Bardzo przepraszam - powiedział. - Ja nie głodny. Dziś jeść muszę z panem Toranaga.

- Ah so desu! Słyszeliśmy” że uratowałeś mu życie. Powinieneś wiedzieć, że jesteśmy ci za to bardzo wdzięczni, wszyscy jego poddani! - zaskrzeczała starucha.

- To był obowiązek. Nie zrobiłem nic takiego.

- Zrobiłeś wszystko, Anjin-san. Omi-san i pan Yabu cenią sobie twój czyn tak bardzo jak my.

Blackthorne spostrzegł, że stara kobieta patrzy na syna. Żeby tak mógł przejrzeć twoje zamiary, stara wiedźmo, pomyślał. Czy jesteś tak zła jak tamta druga, Tachibana?

- Matko - odezwał się Omi - mam szczęście, że Anjin-san jest moim przyjacielem.

- Wszyscy mamy to szczęście - odparła.

- Nie, to ja mam szczęście - licytował się Blackthorne. - To szczęście mieć przyjaciół takich jak rodzina Kasigi Omiego-sana.

Wszyscy łzemy, pomyślał, ale nie wiem, dlaczego wy to robicie. Ja kłamię, żeby siebie ochronić, a także, bo taki jest zwyczaj. Wcale jednak nie zapomniałem. . Zaraz! A czy to, na dobrą sprawę, nie była karma? Czyż nie zrobiłbyś Omiemu tego samego, co on tobie? To było dawno.. w poprzednim życiu, ne? W tej chwili nie ma to znaczenia. .

Na podjeździe zaklekotały kopyta koni, nadjechała grupa jeźdźców pod dowództwem Nagi.

Naga zsiadł i energicznie wkroczył do ogrodu. Wieśniacy przerwali pracę i padli na kolana. Gestem nakazał im pracować dalej.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, Omi-san, ale przysyła mnie pan Toranaga - oznajmił.

- Ależ proszę, wcale nie przeszkadzasz. Przysiadź się do nas - odparł Omi. Midori natychmiast z niskim ukłonem odstąpiła gościowi swoją poduszkę. - Napijesz się cha albo sake, Naga-sama?

Naga usiadł.

- Dziękuję, ale nie. Nie jestem spragniony.

Omi grzecznie powtórzył zaproszenie, kontynuując niezbędny rytuał, chociaż było oczywiste, że Naga się śpieszy.

- Jak się czuje pan Toranaga?

- Bardzo dobrze. Oddałeś nam wielką przysługę, Anjin-san. Tak. Dziękuję ci osobiście.

- To był obowiązek, Naga-san. Ale zrobiłem niewiele. Pan Toranaga wyrwał mnie. . też mnie wyrwał ziemi.

- Tak. Ale potem. Bardzo ci dziękuję.

- Naga-san, czy mogę coś zrobić dla pana Toranagi? - spytał Omi, kiedy nakazy etykiety pozwoliły mu w końcu przejść do rzeczy.

- Chciałby się z tobą zobaczyć po kolacji. Odbędzie się walna narada oficerów.

- Będę zaszczycony.

- Anjin-san, pojedziesz teraz ze mną, jeśli łaska.

- Oczywiście. To dla mnie zaszczyt.

Po kolejnej porcji ukłonów i pozdrowień Blackthorne dosiadł konia i pocwałowali w dół ze wzgórza. Kiedy samurajski oddział dotarł do placu, Naga ściągnął cugle.

- Anjin-san!

- Hai?

- Dziękuję ci z całego serca za uratowanie pana Toranagi. Pozwól mi zostać twoim przyjacielem. . - powiedział Naga i dodał coś, czego Blackthorne nie rozumiał.

- Bardzo przepraszam. Nie rozumiem. „Karite iru”?

- Och, bardzo przepraszam. „Karite iru” - ktoś karite iru drugiemu różne rzeczy. . jak „dług”.

Rozumiesz słowo „dług”?

„Winien”, wpadło Blackthorne’owi do głowy.

- Ah so desu! Wakarimasu.

- Dobrze. Powiedziałem tylko, że mam wobec ciebie dług.

- To był mój obowiązek, ne?

- Tak. Ale mimo to jestem ci winien życie.

- Toranaga-sama mówi, że proch i kule do dział załadowano tutaj, w Anjiro, na twój statek, zanim odplynął do Edo, Anjin-san. Pyta, ile zajęłoby ci przygotowanie go do wypłynięcia w morze.

- To zależy od stanu statku, czy załoga przechyli go na bok, żeby oczyścić, czy go wyremontuje, wymieni maszt i tak dalej. Czy panu Toranadze wiadomo, w jakim on jest stanie?

- Mówi, że statek jest chyba sprawny, ale ponieważ nie jest żeglarzem, nie wie tego na pewno. Od chwili doholowania go do zatoki w Edo, kiedy pan Toranaga wydał dyspozycje, by o niego dbano, nie był na jego pokładzie. Zakładając, że ten statek jest zdalny do żeglugi, pyta, ile czasu zajęłoby ci przygotowanie go do walki.

Blackthorne'owi zamarło serce.

- Walki z kim, Mariko-san? - spytał.

- Pyta, z kim chciałbyś walczyć.

- Z tegoroczną Czarną Karawelą - odparł z miejsca Blackthorne, nagle podjąwszy decyzję i rozpaczliwie licząc na to, że jest to właściwa chwila i miejsce na przedstawienie Toranadze planu, który w skrytości ducha obmyślił w ciągu minionych dni. Stawiał na to, że ocalenie dzisiejszego ranka życia daimyō daje mu specjalny przywilej, który pomoże mu przebrnąć przez rafy owej propozycji.

- Słucham? - spytała zaskoczona Mariko.

- Z Czarną Karawelą. Powiedz panu Toranadze, że wystarczy, jeśli zwróci mi moje listy kaperskie. Resztę załatwię sam. Mając statek i niewielką pomoc. . podzielę się z nim ładunkiem i kruszcem.

Mariko roześmiała się. Ale nie Toranaga.

- Mój. . mój pan mówi, że byłby to niewybaczalny i wrogi akt wojny przeciwko zaprzyjaźnionemu narodowi. Portugalczycy są Japonii niezbędni.

- Tak, są niezbędni. . w tej chwili. Ale ja uważam ich za wrogów zarówno swoich, jak i jego, i bez względu na ich zasługi, my wykonamy to lepiej. I taniej.

- Mówi, że być może tak. Ale nie wierzy, żeby Chiny handlowały z wami. W Azji nie ma jak dotąd wielu Anglików czy Holendrów, a my potrzebujemy stałych dostaw jedwabiu teraz.

- Ma oczywiście rację. Ale za rok, dwa to się zmieni i przekona się o tym. Dlatego składam jeszcze jedną propozycję. Ja i tak już wojuję z Portugalczykami. Poza trzymilowym pasem międzynarodowych wód przybrzeżnych. Zgodnie z obowiązującym prawem, mając swoje listy kaperskie, mogę zająć tę karawelę jako przyz, dopłynąć nią do jakiegokolwiek portu, tam zaś sprzedać

ją wraz z ładunkiem. Gdybym miał statek i załogę, byłoby to łatwe. W ciągu paru tygodni czy miesięcy mogę dostarczyć Czarną Karawelę wraz z zawartością do Edo. Mogę ją tam sprzedać.

Pan Toranaga dostałby z tego połowę jako podatek portowy.

- Mówi, że to, co dzieje się pomiędzy twoimi wrogami a tobą na morzu, mało go obchodzi.

Morze należy do wszystkich. Ale ta ziemia jest nasza i obowiązują na niej nasze prawa, a naszych praw łamać nie wolno.

- Tak. - Blackthorne wiedział, że wszedł na niebezpieczny grunt, ale wycucie podpowiadało mu, że wybrał właściwy moment i że Toranaga połknie przynętę. Tak samo Mariko. - To była jedynie propozycja. Spytał mnie, z kim bym walczył. Racz mi wybaczyć, czasem jednak jest dobrze przygotować się na każdą możliwość. Pod tym względem, jak sędzę, interesy pana Toranagi i moje się pokrywają.

V.

Mariko przełożyła to. Toranaga chrząknął i krótko odpowiedział.

- Pan Toranaga ceni sobie rozsądne rady, Anjin-san, w rodzaju twojej propozycji w sprawie floty, ta jednak jest niedorzeczna. Nawet gdyby wasze interesy się pokrywały, a tak nie jest, w jaki sposób ty z dziewięćoosobową załogą zaatakowałbyś tak wielki statek z blisko tysiącem ludzi na pokładzie?

- Nie zaatakowałbym. Muszę mieć nową załogę, Mariko-san. Osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu wyszkolonych marynarzy i kanonie-rów. Znalazłbym ich w Nagasaki na portugalskich statkach. - Blackthorne udał, że nie widzi tego, iż wstrzymała oddech i przestała się wachlować. - Na pewno jest tam paru Francuzów. A przy szczęściu, paru Anglików, trochę Niemców albo Holendrów - przeważnie renegatów albo siłą zaciągniętych na statek. Musiałbym tylko zostać dowieziony bezpiecznie do Nagasaki, dostać ochronę oraz trochę srebra albo złota. W

nieprzyjacielskich flotach zawsze są marynarze, którzy zaciągną się za gotówkę albo obiecany udział w łupach.

- Mój pan mówi, że każdy dowódca, który podczas ataku zaufałby podobnej hałastrze, byłby szalony.

- Zgadzam się - przyznał Blackthorne. - Ale żeby wypłynąć w morze, naprawdę potrzebuję załogi.

- Pyta, czy dałoby się wyuczyć naszych marynarzy i samurajów żeglugi i strzelania z dział.

- Z łatwością. Ale to wymaga czasu. Szkolenie zajęłoby miesiące. O zdobyciu w tym roku Czarnej Karaweli nie mogłoby być mowy.

- Pan Toranaga mówi: „Nie zamierzam atakować portugalskiej Czarnej Karaweli w tym roku ani w następnym. Portugalczycy nie są moimi wrogami i nie prowadzę z nimi wojny”.

- Wiem o tym. Ale ja prowadzę z nimi wojnę. Wybacz. Oczywiście, jedynie wymieniamy myśli, ale

jeżeli pan Toranaga wyrazi życzenie, abym mu służył, to do wypłynięcia w morze będę potrzebował trochę ludzi.

Siedzieli w osobistych pokojach Toranagi, które wychodziły na ogród. Warownia prawie wcale nie ucierpiała podczas trzęsienia. Noc była parna, duszna, a ze zwojów kadzidła leniwie unosił się dym, żeby odpędzać komary.

- Mój pan pragnie wiedzieć - ciągnęła Mariko - czy gdybyś miał statek i tych członków załogi, którzy z tobą przybyli, to popłynąłbyś do Nagasaki, żeby zwerbować nowych członków, których ci potrzeba.

- Nie. To zbyt niebezpieczne. Miałbym tak niewielu ludzi do ochrony, że Portugalczycy by mnie złapali. O wiele lepiej byłoby najpierw zwerbować nowych marynarzy i przywieźć ich na własne wody, do Edo, ne? Po skompletowaniu uzbrojenia statku i zdobyciu przeze mnie załogi wrogom nie pozostanie na tych morzach nic, żadna jednostka mogąca dorównać mojej.

- Wątpi, żebyś z tymi dziewięćdziesięcioma ludźmi zdobył Czarną Karawelę.

- Erasmus prześcignie ją i zatopi. Naturalnie, wiem, że to wszystko są tylko przypuszczenia, ale gdyby wolno mi było zaatakować wrogów, to po skompletowaniu załogi popłynąłbym natychmiast do Nagasaki. Gdyby Czarna Karawela stała wtedy w porcie, to wciągnąłbym wojenną banderę i zaczekał na morzu, by zastawić jej drogę. Poczekałbym, aż zakończy handel, a potem, przy wietrze sprzyjającym powrotnemu rejsowi, udałbym, że muszę odnowić zapasy, i wypuściłbym ją z zatoki.

Schwyciłbym ją kilka mil dalej, ponieważ jesteśmy od niej szybsi, po czym działami dopełniłbym dzieła. Zaraz po zwinięciu przez nią bandery posłałbym na jej pokład załogę przyzową i sprowadził do Edo. Na pokładzie wiozłaby z górą trzysta, czterysta ton złota.

- Ale dlaczego, gdybyś zwyciężył, pokonany kapitan karaweli nie uciekłby z niej przed waszym wejściem na pokład?

- Zazwyczaj. . - Blackthorne chciał powiedzieć: „. jeżeli kapitan statku jest fanatykiem, to załoga podnosi bunt, ale jeszcze nie spotkałem takiego wariata. Przeważnie zwycięzca zawiera układ z kapitanem: oszczędza życie marynarzy, daje im trochę pieniędzy i wysadza bezpiecznie w najbliższym porcie. Tym razem jednak miałbym do czynienia z Rodriguesem, znam go i wiem, jak by się zachował”. Wolał jednakże to przemilczeć ani nie zdradzać całego planu. Barbarzyńskie metody najlepiej pozostawić barbarzyńcom, pomyślał. - Zazwyczaj zwyciężony statek poddaje się, Mariko-san - rzekł zamiast tego. - To zwyczaj, jeden ze stosowanych przez nas w wojnie morskiej, który ogranicza niepotrzebne ofiary w ludziach.

- Pan Toranaga mówi, że bardzo mu przykro, ale ten zwyczaj jest odrażający. Jego statki by się nie poddawały. - Mariko napiła się herbaty i spytała: - A jeżeli tej karaweli jeszcze nie byłoby w porcie?

- W tym przypadku patrolowałbym morskie trasy, tak żeby złapać ją i w odległości kilku mil od brzegu na międzynarodowych wodach. Łatwiej byłoby ją zdobyć, gdyby była mocno wyładowana i płynęła ociężale, trudniej za to doprowadzić do Edo. Kiedy ma przypląć?

- Mój pan nie wie. Mówi, że zapewne zjawi się w ciągu trzydziestu najbliższych dni. Ten statek ma w tym roku przyplłynąć wcześniej.

Blackthorne zdawał sobie sprawę, że zdobycz jest blisko, jakże blisko.

- W takim razie trzeba jej zastawić wyjście z portu i zdobyć przed końcem tej pory roku.

Mariko przełożyła jego słowa i Blackthorne odniósł wrażenie, że przez twarz Toranagi przemknęło niezadowolenie. Zamilkł, jakby rozważał inne rozwiązania, po czym dodał:

- W Europie byłby jeszcze inny sposób. Można by podplłynąć w nocy i zdobyć ją siłą. Atakiem z zaskoczenia.

Toranaga mocniej ścisnął rękojeść miecza.

- Pyta, czy ośmieliłbyś się walczyć ze swoimi wrogami na naszej ziemi.

Blackthorne'owi wyschły wargi.

- Nie - odparł. - Ale gdyby pan Toranaga, to oczywiście znowu założenie, prowadził z Portugalczykami wojnę i chciał im zaszkodzić, byłby to dobry sposób. Z dwiema, trzema setkami żołnierzy, dobrą załogą i Erasmusem łatwo można by podplłynąć do Czarnej Karaweli, dokonać abordażu i wyprowadzić ją w morze. Pan Toranaga mógłby wybrać moment ataku z zaskoczenia. .

gdybyśmy byli w Europie.

Zapadło dłuższe milczenie.

- Pan Toranaga mówi, że tu nie Europa, a on nie prowadzi wojny z Portugalczykami i nigdy nie będzie.

- Oczywiście. Jeszcze jedna, ostatnia sprawa, Mariko-san. Nagasaki nie znajduje się pod władzą pana Toranagi, czy tak?

- Tak, Anjin-san. Portem tym i przyległymi ziemiami włada pan Harima.

- Ale czy portem tym i całym handlem nie zawiadują w praktyce jezuici? - Blackthorne spostrzegł jej niechęć do przełożenia tych słów, lecz nie przestał naciskać. - Czy to nie honto, Mariko-san? I czy pan Harima nie jest katolikiem? Czy większa część Kiusiu nie jest katolicka? I czy w takim razie jezuici nie władają w pewnym sensie całą tą wyspą?

- Chrześcijaństwo jest religią. Ziemią władają daimyō, Anjin-san - wyjaśniła od siebie Mariko.

- Ale mówiono mi, że Nagasaki to właściwie ziemia portugalska. Podobno Portugalczycy zachowują się tam jak właściciele, Czy ojciec pana Harimy nie sprzedał tego gruntu jezuitom?

- Tak - przyznała Mariko ostrzejszym tonem. - Ale taikō odebrał go im. W tej chwili cudzoziemcom

nie wolno tu mieć ziemi.

- Ale czy taikō nie zaniechał wykonania swoich edyktów, tak że obecnie nie dzieje się tam nic bez zgody jezuitów? Czy nie kontrolują oni wszystkich frachtów w Nagasaki i całego handlu? Czy nie pertraktują przy wszelkich transakcjach handlowych i nie służą za pośredników?

- Bardzo dużo wiesz o Nagasaki, Anjin-san - powiedziała z naciskiem.

- A może pan Toranaga powinien odebrać wrogom kontrolę nad tym portem. Może. .

- To są twoi wrogowie, Anjin-san, nie nasi - odparła, wreszcie chwytając przynętę. - Jezuci są. .

- Nan ja?

Z przepaszającą miną obróciła się w stronę Toranagi i wyjaśniła, o czym rozmawiali. Kiedy skończyła, Toranaga przemówił surowo, najwyraźniej strofując ją. „Hai”, powiedziała kilka razy i, skarcona, ukloniła się.

- Pan Toranaga przypomina mi, że moje opinie są bez znaczenia, a tłumaczka powinna tylko tłumaczyć - wyjaśniła. - Proszę o wybaczenie.

Kiedyś Blackthorne przeprosiłby ją za wciągnięcie w pułapkę. Ale teraz nawet o tym nie pomyślał. Ponieważ osiągnął swoje, zaśmiał się i rzekł:

- Hai, kawaii Tsukkuko-sama! (Tak, piękna pani tłumaczko!)

Mariko uśmiechnęła się nieznacznie, wściekła na siebie, że wpadła w pułapkę, i wewnętrznie rozdarła, pragnąc być lojalna wobec obu.

- Yoi, Anjin-san - powiedział Toranaga, znowu miłym tonem.

- Mariko-san kawaii desu yori Tsukku-san anamsu ka nori masen, ne? (A w dodatku Mariko-san jest znacznie ładniejsza od starego pana Tsukku, prawda? No i znacznie ładniej pachnie).

- Hai - odparł Toranaga ze śmiechem.

Mariko zaczerwieniła się i, nieco ułagodzona, nalała cha. A potem odezwał się Toranaga. Z powagą.

- Nasz pan chce wiedzieć, dlaczego tak się wypytyjesz lub wyrażasz sądy o panu Harimie i Nagasaki.

- Tylko po to, żeby wykazać, że port w Nagasaki jest w rzeczywistości w rękach cudzoziemców. Portugalczyków. A na mocy naszego prawa mogą legalnie atakować moich wrogów wszędzie.

- Ale on mówi, że tu nie jest „wszędzie”. To Kraina Bogów i taki atak jest nie do pomyślenia.

- Zgadzam się z nim w pełni. Ale gdyby kiedyś pan Harima stał się wrogiem albo wrogami stali się przewodzący Portugalczykom jezuici, to właśnie w taki sposób można ich upolować.

- Pan Toranaga mówi, że ani on, ani żaden inny daimyō nie pozwoli, by jakakolwiek obca nacja atakowała inną na japońskiej ziemi ani też, by obcy zabijali naszych rodaków. Inaczej się rzeczy mają z wrogami cesarza. Jeśli zaś chodzi o zdobycie żołnierzy i załogi, to każdy mówiący po japońsku z łatwością może tu zwerbować każdą liczbę ludzi. Na Kiusiu jest wielu wako.

- Wako, Mariko-san?

- Ach, bardzo przepraszam, „wako” nazywamy korsarzy, Anjin-san. Kiedyś mieli wiele kryjówek na całym Kiusiu, ale taikō wytepił ich. Niestety, ich niedobitki przetrwały. Wako od wieków terroryzowali wybrzeża Chin. To właśnie z ich powodu Chiny zamknęły przed nami swoje porty. -

Wyjaśniła Toranadze, o czym mówią. Znow coś powiedział, jeszcze dobitniej. - Mówi, że nigdy się nie zgodzi, nie zaplanuje ani nie dopuści do ataku na lądzie, choć na pełnym morzu możesz sobie łupić wrogów twojej królowej. Powtarza, że tu nie jest „wszędzie”. To Kraina Bogów. Już ci mówił, że powinieneś być cierpliwy.

- Tak. Chcę spróbować być taki cierpliwy, jak on. Wroga pragnę uderzyć jedynie dlatego, że jest wrogiem. Całkowicie wierzę, że jest to także jego wróg.

- Pan Toranaga mówi, że Portugalczycy uważają cię za jego wroga, a Tsukku-san i ojciec wizytator są o tym w pełni przekonani.

- Gdybym zdołał pochwycić Czarną Karawelę na morzu i doprowadził ją jako legalną zdobycz pod angielską banderą do Edo, to czy zgodnie z naszymi zwyczajami wolno by mi ją było sprzedać wraz z całą zawartością w tym porcie?

- Pan Toranaga mówi, że to zależy.

- Czy w razie wybuchu wojny wolno mi będzie atakować wrogów, wrogów pana Toranagi, najlepiej jak umiem?

- Mówi, że jest to obowiązek hatamoto. A hatamoto podlega oczywiście cały czas jego osobistym rozkazom. Mój pan pragnie, abyś wiedział jasno, że w Japoni wszystko musi być rozwiązane tylko i wyłącznie japońskimi sposobami, żadnymi innymi.

- Tak. Rozumiem to całkowicie. Z należnym szacunkiem chcę podkreślić, że im więcej wiem o jego kłopotach, tym bardziej mogę się okazać pomocny.

- Mówi, że obowiązkiem hatamoto jest zawsze pomagać swojemu panu, Anjin-san. Każe mi, żebym później odpowiedziała na każde twoje rozsądne pytanie.

- Dziękuję. A czy wolno spytać, czy chciałby mieć własną flotę? Tak jak zasugerowałem mu na galerze?

- Już ci powiedział, że chciałby mieć swoją flotę, nowoczesną flotę, obsadzoną jego ludźmi, Anjin-san. Jakież daimyō by tego nie pragnął?

- Więc powtórz mu to: Gdybym miał szczęście zdobyć wrogi statek, to przyplłynąłbym z nim do Edo, żeby naprawić go i policzyć zdobycz. A potem przeniósłbym swoją połowę złota na Erasmusa, a Czarną Karawelę odprzedał Portugalczykom albo ofiarował w darze wielmożnemu panu Toranadze, gdyby zaś sobie tego zażyczył, spaliłbym ją. Wtedy zaś popłynąłbym do kraju. Przed upływem roku przyplłynąłbym tu powrotem z czterema okrętami wojennymi, które byłyby podarunkiem dla pana Toranagi od królowej Anglii.

- Pyta, co ty byś na tym zyskał.

:- Honto wygląda tak, że po zapłaceniu za te jednostki przez królową mnie pozostałoby bardzo wiele. Ponadto chciałbym wziąć ze sobą jako ambasadora na dworze mojej królowej któregoś z jego najbardziej zaufanych doradców. Może zainteresowałby go traktat o przyjaźni pomiędzy naszymi krajami.

- Pan Toranaga mówi, że byłaby to nadmierna szczodroliwość ze strony twojej królowej.

Dodaje, że gdyby doszło do takiego cudu, że powróciłbyś tu z tymi nowymi okrętami, to kto wyszkoliłby żeglarzy, samurajów i kapitanów na ich załogi?

- Na początku, gdyby mu to dogadzało, ja. Byłby to dla mnie zaszczyt, po mnie zaś zajęliby się tym następni.

- Pyta, co znaczy „na początku?”

- Przez dwa lata.

Toranaga uśmiechnął się przelotnie.

- Nasz pan mówi, że dwa lata „na początek” nie wystarczą. Dodaje jednak, że to i tak wszystko mrzonki. Nie prowadzi wojny z panem Harimą, z Nagasaki ani z Portugalczykami.

Powtarza, że to, co robisz poza japońskimi wodami na własnym statku z własną załogą, jest twoją osobistą karmą. - Mariko czymś się zaniepokoiła. - Mówi, że poza naszymi wodami jesteś cudzoziemcem. Ale tutaj jesteś samurajem.

- Tak. Zdaję sobie sprawę z zaszczytu, jaki mi wyświadczył. Czy mogę spytać, w jaki sposób samuraje pożyczają pieniądze, Mariko-san?

- Od lichwiarzy, Anjin-san. No bo skąd? Od podłych kupczących handlarzy. - Przełożyła to Toranadze. - A po co ci pieniądze?

- Czy w Edo są lichwiarze?

- O, tak. Gdzie ich nie ma, ne? Czyż nie tak samo jest i w twoim kraju? Spytaj swojej konkubiny,

Anjin-san, może ona ci w tym pomoże. To należy do jej obowiązków.

- Powiedziałaś, że jutro wyjeżdżamy do Edo?

- Tak, jutro.

- Niestety, Fujiko-san nie będzie w stanie podróżować.

Mariko zamieniła kilka zdań z Toranaga.

- Pan Toranaga mówi, że przewiezie ją na galerze. Pyta, na jaki cel chcesz pożyczyć pieniądze.

- Muszę zdobyć nową załogę, Mariko-san, żeby w ogóle gdzieś dopłynąć, żeby służyć panu Toranadze wedle jego życzeń. Czy może to zrobić?

- Załogę z Nagasaki?

- Tak.

- Da ci odpowiedź, kiedy przyjedziesz do Edo.

- Dōmo, Toranaga-sama. A dokąd mam się skierować po dotarciu do Edo, Mariko-san? Czy będzie tam na mnie czekał przewodnik?

- Och, zupełnie nie musisz się martwić o podobne sprawy, Anjin-san. Jesteś jednym z hatamoto pana Toranagi.

Do drugich drzwi pokoju ktoś zapukał.

- Wejść.

Naga odsunął shoji i uklonił się.

- Przepraszam, ojczcie, ale kazałeś mi zawiadomić cię, kiedy stawią się wszyscy oficerowie.

- Dziękuję, niedługo tam przyjdę. - Toranaga zastanawiał się przez chwilę, a potem przyjacielsko skinął na Blackthorne'a. - Anjin-san. Pójdiesz z panem Nagą. Zaprowadzi cię do twojego pokoju. Dziękuję ci, żeś przedstawił mi swoje poglądy.

- Tak, wielmożny panie. Dziękuję za wysłuchanie. Dziękuję ci za twoje słowa. Tak, Bardzo staram się być cierpliwy i zachowywać bez zarzutu.

- Dziękuję, Anjin-san. - Toranaga przyglądał się Blackthorne'owi, jak kłania mu się i odchodzi.

Kiedy zostali sami, zwrócił się do Mariko: - No, i co myślisz?

- O dwóch rzeczach, wielmożny panie. Po pierwsze, jego nienawiść do jezuitów jest niezmiernie, przewyższa nawet jego wrogość wobec Portugalczyków, więc jeżeli szukasz bicia, to jest on biczem

na jednych, drugich albo tych i tych. Wiemy, że jest dzielny, więc śmiało odeprze każdy atak na morzu. Po drugie, wciąż dąży do pieniędzy. Na jego obronę trzeba powiedzieć, że z tego co wiem, dla barbarzyńców pieniądze są jedynym realnym środkiem zachowania władzy. Kupują za nie ziemię i pozycję - kupcową jest nawet ich królowa, która „sprzedaje” ziemię swojej szlachcie, a okręty i ziemię prawdopodobnie nabywa. Poza tym jednym nie tak wiele różnią się od nas, wielmożny panie. Ale właśnie dlatego nie pojmują, czym jest władza ani tego, że wojna jest życiem, a życie śmiercią.

- Czy chrześcijanie są moimi wrogami?

- Nie wierzę w to.

- A Portugalczycy?

- Moim zdaniem, interesują ich tylko zyski, ziemia i szerzenie słowa Bożego.

- Czy chrześcijanie są moimi wrogami?

- Nie, wielmożny panie. Chociaż niektórzy z twoich wrogów, katolików lub protestantów, mogą nimi być.

- Aha, a myślisz, że Anjin-san jest moim wrogiem?

- Nie, wielmożny panie. Nie. Wierzę, że poważy cię i że z czasem stanie się wiernym poddanym.

- A co z naszymi chrześcijanami? Kto z nich jest wrogiem?

- Panowie Harima, Kiyama, Onoshi i każdy inny samuraj, który zwraca się przeciwko tobie.

Toranaga roześmiał się.

- Tak, ale czy ci księża mają na nich wpływ, jak to daje do zrozumienia Anjin-san?

- Wątpię.

- Ci trzej wystąpią przeciwko mnie?

- Nie wiem, wielmożny panie. W przeszłości wszyscy oni darzyli cię i wrogością, i przyjaźnią.

Ale byłoby bardzo źle, gdyby stanęli po stronic Ishido..

- Zgadzam się. Tak. Jesteś cenną doradczynią. Trudno ci być chrześcijanką katoliczką, przyjaźnić się z wrogiem i słuchać tego, co myśli.

- Tak, wielmożny panie.

- Wciągnął cię w pułapkę, ne?

- Tak. Ale prawdę powiedziawszy, miał do tego prawo. Nie robiłam tak, jak mi kazałeś.

Wtrącałam swoje uwagi pomiędzy jego słowa a twoje. Wybacz mi, proszę.

- Twoje zadanie nadal będzie trudne. Może jeszcze bardziej.

- Tak, wielmożny panie. Ale lepiej jest znać obie strony monety. Bo chociaż trudno było dać wiarę jego opowieściom, to większość z nich okazała się prawdziwa, na przykład ta o podziale świata pomiędzy Hiszpanów i Portugalczyków i ta o księżach szmuglujących muszkiety. W ogóle nie musisz się obawiać o moją wierność, wielmożny panie. Zawsze bowiem, bez względu na trudności, wypełnię swoje obowiązki względem ciebie.

- Dziękuję ci. To, co powiedział Anjin-san, było bardzo ciekawe, ne? Ciekawe, ale niedorzeczne. Tak. Mariko-san, dziękuję ci, jesteś cenną doradczynią. Mam nakazać ci rozwód z Buntaro?

- Słucham, wielmożny panie?

- No więc?

Och, być wolną! - śpiewało jej w duszy. - Matko Boża, wolną!

Pamiętaj, kim jesteś, Mariko, pamiętaj o tym. I pamiętaj, że „miłość” to słowo barbarzyńskie.

Toranaga przyglądał się jej w wielkiej ciszy. Na dworze komary roztrącały spirale kadzidlanego dymu i zmykały w bezpieczne miejsca. Tak, myślał, Mariko to też sokolica. Tylko na jaką zwierzyne ją wypuścić?

- Nie, wielmożny panie - odparła wreszcie. - Dziękuję, ale nie.

- Anjin-san to dziwny człowiek, prawda? Głowę ma nabitą marzeniami. To śmieszne myśleć o zaatakowaniu naszych przyjaciół Portugalczyków albo ich Czarnej Karaweli. Niedorzeczne wierzyć w to, co mówi o czterech czy też dwudziestu statkach.

Mariko zawahała się.

- Jeżeli twierdzi, że stworzenie floty jest możliwe, to ja mu wierzę, wielmożny panie - odparła.

- Nie zgadzam się z tobą - rzekł z naciskiem Toranaga. - Ale masz rację, że on i jego bojowy statek jest przeciwwagą dla tamtych. Jakie to dziwne. . i jakie pouczające! Tak jak powiedział Omi: w tej chwili potrzebujemy barbarzyńców, żeby się od nich uczyć. A jeszcze wiele mamy do nauczenia się, zwłaszcza od niego, ne?

- Tak.

- Nadszedł czas, żeby otworzyć cesarstwo, Mariko-san. Ishido zamknie je ciasno jak ostryga perłę. Gdybym znów został przewodniczącym Rady, - to zawarłbym traktaty ze wszystkimi narodami, jeśli tylko zachowywałyby się wobec nas przyjaźnie. Wysłałbym naszych ludzi w świat, żeby uczyli się od

innych nacji, tak, i wysłałbym ambasadorów. Królowa tego człowieka byłaby dobra na początek. Gdybym znalazł odpowiednio mądrą kobietę, to może wysłałbym ją do niej jako ambasadora.

- Musiałaby być bardzo silna i bardzo mądra, wielmożny panie.

- Tak. Ta podróż byłaby bardzo niebezpieczna.

- Wszystkie podróże są niebezpieczne, wielmożny panie - powiedziała Mariko.

- Tak. Czy gdyby Anjin-san odpłynął stąd statkiem pełnym złota, toby powrócił? - spytał

Toranaga, znów bez najmniejszej zapowiedzi zmieniając temat. - Osobiście?

- Nie wiem - odparła po dłuższej chwili.

Toranaga postanowił, że już nie będzie jej dłużej naciskał.

- Dziękuję, Mariko-san - rzekł, odprawiając ją przyjacielskim tonem. - Pragnę, żebyś była obecna na naradzie i tłumaczyła, co mówię do Anjin-sana.

- Wszystko, wielmożny panie?

- Tak. A dziś wieczorem, kiedy pójdziesz do herbaciarni w sprawie wykupienia kontraktu Kiku, zabierz go ze sobą. Każ jego konkubinie wszystko załatwić. Należy mu się nagroda, ne?

- Hai.

Kiedy znalazła się przy shoji, Toranaga dodał:

- Po załatwieniu spraw pomiędzy mną a Ishido nakażę ci się rozwieść.

Zacisnęła dłoń na papierowym ekranie. Skinęła lekko głową na znak, że przyjęła to do wiadomości. Ale się nie obejrzała. Drzwi zamknęły się za nią.

Toranaga przez chwilę wpatrywał się w kadzidlany dym, a potem wyszedł do ustępu w ogrodzie i kucnął. Kiedy się załatwił i podtarł papierem, usłyszał, że służąca wysuwa spod dziury pojemnik i wstawia na jego miejsce czysty. W roztargnieniu odgonił ręką brzęczące komary. Myślał

właśnie o sokołach i jastrzębiach wiedząc, że nawet najlepsze z nich popełniają błędy, tak jak pomylili się Ishido, Kiri, Mariko, Omi, a nawet Anjin-san.

Stu pięćdziesięciu oficerów stało w porządnym szeregu, a przed nimi Yabu, Omi i Buntaro.

Z boku przy Blackthornie klęczała Mariko. Toranaga wmaszerował ze swoją strażą przyboczną, siadł

twarzą do nich na pojedynczej poduszce, odpowiedział na ich ukłony, po czym poinformował krótko o temacie odprawy, po raz pierwszy wyłożył publicznie plan bitwy. Jeszcze raz zataił

wszystko, co dotyczyło tajnych i starannie zaplanowanych buntów, a także to, że atak ruszy północną drogą nadbrzeżną, a nie południową. Wreszcie, wśród powszechnego aplauzu, gdyż wszyscy ucieszyli się, że nadszedł kres niepewności, oznajmił im, że po ustaniu deszczów prześle zaszyfrowane hasło „Szkarłatne Niebo”, które da sygnał do ataku.

- Tymczasem spodziewam się, że Ishido bezprawnie zwoła Radę Regencyjną. Oczekuję, że oskarżą mnie fałszywie o zdradę. Oczekuję, że wbrew prawu zostanie mi wypowiedziana wojna. - Z

dłonią w charakterystyczny dla niego sposób zaciśniętą na jednym udzie, drugim zaś przyciskając miecz, pochylił się do przodu. - Posłuchajcie! Wypełniam testament taikō, a mojego siostrzeńca Yaemona uznaję za kampaku i jego następcę. Nie požądam żadnych innych ziem. Nie pragnę żadnych dodatkowych zaszczytów. Ale w razie zaatakowania mnie przez zdrajców, będę zmuszony się bronić. Jeżeli zdrajcy oszukają Jego Cesarską Wysokość i pokuszą się o przejęcie władzy nad krajem, to moim obowiązkiem jest obronić cesarza i wytepić zło. Ne?

Słowa te powitał ryk aprobaty. Przez salę przetoczyły się bitewne okrzyki „Kasigi!” i

„Toranaga” i odbiły się echem w całej, warowni.

- Pułk szturmowy przygotowuje się w ciągu pięciu dni do zaokrętowania na galery i pod dowództwem panów Tody Buntaro oraz Kasigi Omiego, jego zastępcy, popłynie do Edo. Panie Kasigi Yabu, zechciej zmobilizować wojska prowincji Izu i posłać na przejścia graniczne sześć tysięcy żołnierzy na wypadek, gdyby ten zdrajca Ikawa Jikkyu uderzył od południa, żeby odciąć nam szlaki komunikacyjne. Z ustaniem deszczów Ishido zaatakuje Kantō..

Omi, Yabu i Buntaro w milczeniu zaaprobowali fakt, że Toranaga tak mądrze zataił, iż na mocy popołudniowej decyzji atak ma nastąpić natychmiast, w porze deszczów.

To dopiero będzie przeżycie, pomyślał Omi, którego ścisnęło w żołądku na myśl o wojaczce wśród deszczu w górach Shinano.

- Nasze muszkiety przebiją nam drogę - oświadczył z entuzjazmem Yabu dziś po południu.

- Tak - potwierdził Omi, nie mając zaufania do tego planu, ale też żadnego innego; To szaleństwo, orzekł w duchu, chociaż uradowało go, że został mianowany zastępcą dowódcy.

Nie pojmuję, jakże Toranaga może myśleć, że ma jakieś szanse przy ataku przeprowadzonym północnym szlakiem. Nie ma najmniejszych szans. Słuchał jednym uchem zagrzewającej do walki mowy Toranagi, gdyż pragnął skupić się raz jeszcze na kwestii zemsty na wuju. Oczywiście atak na Shinano stwarzał liczne możliwości, żeby, samemu się nie narażając, skierować Yabu na pierwszą linię walki. Wojna, każda wojna, jest ci na rękę, rzekł sobie, pod warunkiem, że będzie zwycięska. . I wtedy dotarły do niego słowa Toranagi:

- Dzisiaj omal nie zginąłem. Dzisiaj Anjin-san wyrwał mi ziemi. Po raz drugi, albo nawet trzeci, ocalił mi życie. Moje życie jest niczym wobec przyszłości mojego rodu, któż wie, czy bez jego pomocy zachowałbym je czy stracił? Ale chociaż bushido nakazuje poddanym nie spodziewać się

żadnej nagrody za zasługi, to obowiązkiem lennego pana jest niekiedy nagradzać.

Wśród powszechnych odgłosów aprobaty Toranaga rzekł:

- Anjin-san, usiądź tutaj! Ty również, Mariko-san.

Omi z zazdrością patrzył, jak wysoki mężczyzna wstaje i klęka przy Toranadze na wskazanym miejscu. W całej sali nie znalazłoby się nikogo, kto by nie chciał mieć takiego szczęścia i dokonać tego samego, co ten barbarzyńca.

- Anjin-san otrzymuje lenno w okolicy rybackiej wioski Jokohama, na południe od Edo, warte dwa tysiące koku rocznie, prawo do zaciągu dwustu wojowników i zostaje pełnoprawnym samurajem i hatamoto należącym do rodu Yoshiego Toranagi-no-Chikitada-Minowara. Poza tym otrzyma dziesięć koni, dwadzieścia kimon, pełny rynsztunek bojowy dla swoich żołnierzy, a ponadto tytuł naczelnego admirała i pilota Kantō. - Toranaga zaczekał, aż Mariko to przełoży, a wtedy zawołał: - Naga-san!

Naga posłusznie przyniósł ojcu pakunek zawinięty w jedwab. Toranaga zdjął opakowanie. Kryło dwa miecze, jeden krótki, a drugi długi, do zabijania.

- Kiedy Anjin-san spostrzegł, że ziemia pochłonęła moje miecze i że jestem bezbronny, zszedł

z powrotem w rozpadlinę, chcąc odszukać swój własny miecz i oddać go mnie. Za ten czyn podarowuję ci te dwa, Anjin-san. Wykonał je mistrz płatnerski Yori-ya. Pamiętaj, że miecz to dusza samuraja. Jeżeli go zapomni albo straci, nic go nie usprawiedliwi!

Pośród jeszcze głośniejszych wyrazów aprobaty i jeszcze silniejszej zazdrości Blackthorne przyjął miecze, stosownie się uklonił, wsunął miecze za pas i ponownie złożył ukłon.

- Dziękuję, Toranaga-sama - rzekł. - To dla mnie zbyt duży zaszczyt. Dziękuję.

Chciał się wycofać, ale Toranaga poprosił go, żeby został.

- Nie, usiądź tutaj, przy mnie, Anjin-san.

Toranaga spojrział na wojownicze, fanatyczne miny swoich oficerów. Głupcy! - chciał do nich krzyknąć. - Czyż nie rozumiecie, że wojna, teraz czy po deszczach, byłaby katastrofą? Każda wojna z Ishido, Ochibą, Yaemonem i ich obecnymi sojusznikami musiałaby się zakończyć rzezią moich wojsk, was wszystkich, a ponadto zabiciem mnie i wycięciem w pień całego mojego rodu? Nie rozumiecie, że moja jedyna szansa to czekać i liczyć na to, że Ishido udusi się sam?

Zamiast tego jednak jeszcze bardziej zagrzał ich do walki, ponieważ przede wszystkim należało wyprowadzić przeciwnika z równowagi.

- Słuchajcie, samuraje! Wkrótce będziecie mogli wykazać się swoją dzielnością w walce wręcz, tak jak wykazywali się nią nasi przodkowie. Zniszczę Ishido i wszystkich zdrajców, a jako pierwszego Ikawę Jikkyu. Niniejszym oddaję wszystkie jego ziemie, obie prowincje Surugę i Totomi, które są warte trzysta tysięcy koku, mojemu wiernemu wasalowi panu Kasigiemu Yabu, a ponadto

zatwierdzam jego i jego ród jako władców tych dwóch prowincji i prowincji Izu.

Buchnęły gromkie wiwaty. Yabu pokraśniał z zadowolenia.

Omi walił rękami w podłogę, krzycząc w uniesieniu. Łup, który na niego czekał, miał

niepomiarłą wartość, ponieważ zgodnie ze zwyczajem spadkobierca Yabu dziedziczył wszystkie jego ziemie.

Jak by tu go zabić nie czekając na wojnę? - przebiegło mu przez **głowę.**, „’.

I wtedy jego wzrok spoczął na uśmiechniętym od ucha do ucha pilocie. A może załatwiłby to za ciebie Anjin-san? - zadał sobie pytanie i zaśmiał się głośno na ten niedorzeczny pomysł. Buntaro, w dobrej wierze biorąc jego śmiech za radość z powodu szczęścia, jakie spotkało Yabu, pochylił się ku niemu i klepnął go w ramię.

- Niedługo i ty dostaniesz lenno, na jakie zasługujesz, ne? - zawołał, przekrzykując wrzawę. -

Tobie również należy się uznanie. Twoje pomysły i rady są cenne.

- Dziękuję ci, Buntaro-san.

„’ - Bez obawy. . przedrzemy się przez te góry.

- Tak.

- Buntaro był wodzem zapamiętałym w boju i Omi wiedział, że są dobrze dobrani. Sam był śmiałym strategiem, Buntaro zaś nieustraszoną przywódcą wszelkich szturmów.

Jeżeli ktoś przeprowadzi nas przez te góry, to właśnie on, pomyślał.

Wybuchły nowe wiwaty, bo Toranaga, kończąc oficjalną część zebrania; polecił przynieść sake.

Popijając wino, Omi przyglądał się ubranemu w nieskazitelne kimono Blackthorne'owi, jego prawidłowo noszonym mieczom, temu, jak pije drugą czarę sake. Mariko cały czas mówiła. Bardzo się zmieniła od tamtego pierwszego dnia, Anjin-san, pomyślał z zadowoleniem. Jest jeszcze w tobie wiele głęboko zakorzenionych barbarzyńskich cech, ale już prawie się ucywilizowałaś. .

- Co się stało, Omi-san?

- Nic. . nic, Buntaro-san. .

- Masz minę, jakby eta podsunał ci tyłek pod twarz.

- Nic podobnego.. wcale nie! Ii i , wprost przeciwnie. Zaczyna mi kielkować w głowie pewna myśl. Wypijmy! Hej, Kwiecie Brzoskwini, przynieś no więcej sake, bo czarka szanownego pana Buntaro

jest pusta!

40.

- Polecono mi dowiedzieć się, czy Kiku-san będzie dziś wieczorem wolna - powiedziała Mariko.

- Och, bardzo przepraszam, pani Toda, ale nie jestem pewna - odparła przymilnie Gyoko, mama-san.

- Wolno spytać, czy szanowny klient będzie potrzebował panią Kiku na cały wieczór, jego część, a może aż do jutra. . oczywiście, jeżeli nie jest zajęta.

Mama-san była wysoką, elegancką kobietą tuż po pięćdziesiątce i miała miły uśmiech. Ale piła za dużo sake, zamiast serca miała liczydło, a nos taki, że z odległości pięćdziesięciu ri wyczuwała pojedynczą sztukę złota.

Siedziały w przydzielonym Mariko ośmiomatowym pokoju, sąsiadującym z prywatnymi pokojami Toranagi. Wychodził on na niewielki ogródek otoczony pierwszym wewnętrznym murem obronnym. Znów padało i w blasku pochodni lśniły krople deszczu.

- O tym zadecyduje klient - odparła grzecznie Mariko. - Może uzgodniłybyśmy to wszystko teraz, uwzględniając wszelkie ewentualności.

- Tak. Bardzo mi przykro, że nie wiem w tej chwili, kiedy będzie wolna. Ma takie powodzenie, pani Toda. Pani to na pewno rozumie.

- O, tak, naturalnie. Mamy doprawdy wielkie szczęście, że tak świetna dama przebywa akurat w Anjiro.

Słowo „Anjiro” wypowiedziała Mariko z naciskiem. Mogłaby pójść do Gyoko, ale zamiast to zrobić, posłała po nią. A kiedy kobieta ta zjawiała się, na tyle późno, żeby zostało to zauważone, lecz nie aż tak, by popełnić niegrzeczność, Mariko ucieszyła się, że ma możliwość zmierzenia się z godną przeciwniczką.

- Czy herbaciarnia mocno ucierpiała? - zapytała.

- Nie, na szczęście, jeśli nie liczyć cennej porcelany i ubrań, chociaż reperacja dachu i uporządkowanie ogrodu pochłoną małą fortunę. Naprawy tyle kosztują, nie sądzisz, pani?

- Tak. To bardzo przykre. I w Edo, i w Mishimie, i nawet w tej wiosce.

- Kojące otoczenie to rzecz bardzo ważna, ne? Czy ten klient zaszczyciłby swoją obecnością naszą herbaciarnię? A może chciałby, żeby Kiku odwiedziła go tutaj. . gdyby była wolna.

Mariko zesnurowała usta, rozważając to.

- W herbaciarni - odparła.

- Ah so desu!

Mama-san nazywała się naprawdę Heikoichi - Pierwszą Córką Murarza. Jej ojciec i ojciec jej ojca byli fachowcami od wznoszenia murów ogrodowych. Przez wiele lat była kurtyzaną w Mishimie, stolicy Izu, i doszła do drugiej rangi. Ale bogowie uśmiechnęli się do niej i dzięki podarunkom od klientów oraz głowie do interesów zarobiła tyle pieniędzy, że w odpowiednim czasie wykupiła swój kontrakt i stała się zarządczynią dam do towarzystwa we własnej herbaciarni w chwili, kiedy piękne ciało i szelmowski dowcip, którymi obdarzył ją los, przestały znajdować chętnych. Teraz nazywała siebie Gyoko-san, Szczęśliwą Panią. Jako czternastoletniej nowicjuszcze w branży nadano jej imię Tsukaiko - Zaklinaczka Węży. Jej właścicielka wyjaśniła jej, że pewna część ciała mężczyzny przypomina z wyglądu węża, więc jeżeli stanie się zaklinaczka takich węży, to czeka ją wielkie powodzenie. A poza tym imię to rozśmieszało klientów, a śmiech był w tym zawodzie nieodzowny.

Gyoko nigdy nie zapomniała o śmiechu.

- Sake, Gyoko-san?

- Dziękuję, tak, dziękuję, pani Toda.

Służąca naląła wina. Po chwili Mariko odprawiła ją.

Jakiś czas piły w milczeniu. Mariko ponownie napełniła czarki.

- Taka piękna porcelana. Taka elegancka - powiedziała Gyoko.

- Jest bardzo skromna. Wybacz, że musimy z niej korzystać.

- Czy gdyby Kiku była wolna, to cena pięciu kobanów byłaby do przyjęcia?

Koban był złotą monetą o wadze osiemnastu gramów. Jeden koban stanowił równowartość trzech koku ryżu.

- Bardzo przepraszam, może nie wyraziłam się dość jasno. Ja nie chcę kupić całej herbaciarni w Mishimie, a tylko usługi tej damy na jeden wieczór.

Gyoko zaśmiała się.

- O pani Toda, cieszysz się zasłużoną opinią. Ale może zwrócę twoją uwagę na fakt, że Kiku-san jest damą pierwszej rangi. Cech obdarzył ją tym zaszczytem w zeszłym roku.

- To prawda, i na pewno zasłużyła sobie na nią. Ale to było w Mishimie. Nawet w Kioto.. ale ty oczywiście żartowałaś, bardzo przepraszam.

Gyoko połknęła ordynarne słowo, które miała na końcu języka, i uśmiechnęła się dobrotliwie.

- Niestety, musiałabym zwrócić pieniądze klientom, którzy, właśnie sobie o tym przypomniałam, już ją wynajęli. Biedne dziecko, podczas gaszenia wodą pożaru zniszczono jej cztery kimona. Ciężkie czasy idą dla tego kraju, pani, na pewno to rozumiesz. Pięć kobanów też wcale nie byłoby zdzierstwem.

- Oczywiście. Pięć byłoby uczciwą zapłatą w Kioto, za tydzień hulanki z dwiema damami pierwszej rangi. Ale to nie są normalne czasy i trzeba się z tym liczyć. Pół kobana. Sake, Gyoko-san?

- Dziękuję, dziękuję. To sake jest takie smaczne. . co za gatunek, jakie znakomite. Jeszcze czarzę, jeśli łaska, a potem sobie pójdę. Jeżeli Kiku-san nie będzie wolna dziś wieczorem, z radością załatwię inną z moich dam. . może Akeko. A może odpowiadałby inny dzień? Na przykład, pojutrze?

Mariko przez chwilę milczała. Pięć kobanów było ceną bezwstydną - tyle płaciło się za wynajęcie słynnej kurtyzany pierwszej rangi w Edo. Pół kobana byłoby aż nadto godziwą zapłatą za usługi Kiku. Mariko знаła ceny takich usług, ponieważ korzystał z nich co jakiś czas Buntaro i nawet wykupił kontrakt jednej z dziewcząt. Mariko zaś musiała płacić rachunki, bo te oczywiście słusznie, przysyłano jej. Zmierzyła wzrokiem Gyoko. Kobieta piła sake spokojnie, ręka jej nie drżała.

- Być może - odpowiedziała. - Ale wątpię, bo żadna inna dama i wieczór nie wchodzi w rachubę. . Nie, jeżeli nie da się tego załatwić dzisiaj, to obawiam się, że pojutrze będzie za późno, bardzo mi przykro. A co do innych dam. .

Mariko uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. Gyoko ze smutkiem postawiła czarzę.

- Słyszałam, że nasi samuraje opuszczają nas. Jaka szkoda! Noce są tutaj takie miłe. W

Mishimie nie mamy takiego morskiego wietrzyku. Mnie również żal będzie stąd wyjeżdżać.

- Co powiesz na jeden koban? Jeżeli ten wieczór będzie udany, to wówczas chciałabym omówić koszty wykupienia jej kontraktu.

- Jej kontraktu?!

- Tak. Sake?

- Dziękuję, tak. Kontraktu. . jej kontraktu? A, to całkiem inna sprawa. Pięć tysięcy koku.

- To niesłychana cena!

- Tak - przyznała Gyoko - ale dla mnie Kiku-san jest jak córka. «, Co ja mówię, ona jest moją córką, więcej niż córką. Szkoliłam ją od szóstego roku życia. Jest najznakomitszą damą Świata Wierzb w całej Izu. Och, dobrze wiem, że w Edo są wspanialsze damy, dowcipniejsze, bardziej światowe, ale to tylko dlatego, że Kiku zabrakło szczęścia i nie zetknęła się z równie możnymi osobami tak jak one. Niemniej i tak nie ma sobie równych w grze na samisenie oraz w śpiewie.

Przysięgam na wszystkich bogów, że wystarczy jej rok pobytu w Edo, odpowiedni opiekun oraz źródło wiedzy, żeby z powodzeniem konkurowała z najlepszymi damami w cesarstwie. Pięć tysięcy koku to skromna cena za taki klejnot. - Na czoło Gyoko wystąpił pot. - Wybacz mi, ale nie rozważałam dotąd sprzedaży jej kontraktu. Ma zaledwie osiemnaście lat, jest bez skazy, to jedyna dama pierwszej rangi, jaką mam zaszczyt się opiekować. Ani mi w głowie było odsprzedawanie jej kontraktu za sumę, którą wymieniłam. Bardzo przepraszam, nie, ale muszę to sobie przemyśleć.

Może porozmawiałybyśmy o tym jutro? Pozbyć się Kiku-san? Mojej małej Kiku?

W kącikach jej oczu zebrały się łzy i Mariko pomyślała: „Jeżeli te łzy są prawdziwe, to ty, Gyoko, nigdy nie rozstawiłaś szczerze nóg przed Królewskim Tłuczkiem”.

- Bardzo przepraszam. Shigata ga nai, ne? - odparła kurtuazyjnie, pozwalając Gyoko wyjęczeć się i wyzalić, często gęsto napełniając jej czarkę winem. Ile właściwie wart jest taki kontrakt? -

zadawała sobie pytanie. Już pięćset koku byłoby fantastycznie zawyżoną ceną. Wszystko zależy od pożądlivosti kupującego, który w tym przypadku wcale nie odczuwa żądz. Pan Toranaga z pewnością nie. Dla kogo więc kupuje Kiku? Dla Omiego? Zapewne. Ale dlaczego kazał tu przyjść Anjin-sanowi?

- Zgadzasz się na to, Anjin-san? - spytała go wcześniej z nerwowym uśmiechem, przekrzykując hałasujących pijanych oficerów.

- Powiadasz, że pan Toranaga załatwia mi damę? W nagrodę?

- Tak. Kiku-san. Nie wolno ci odmówić. Ja. . mam polecenie służyć wam jako tłumaczka.

- Polecenie?

- Och, z radością będę wam tłumaczyć. Naprawdę nie wolno ci odmówić, Anjin-san. Po tylu zaszczytach, jakie cię spotkały, byłaby to wielka niegrzeczność, ne? - Uśmiechnęła się do niego, żeby go ośmielić, bardzo dumna i rada z niesłychanej szczodroblewości Toranagi. - Proszę cię.

Jeszcze nigdy nie byłam w herbaciarni. . z radością zobaczyłabym to na własne oczy i porozmawiała z prawdziwą damą Świata Wierzb.

- Słucham?

- Och, damy te nazywane są tak dlatego, że powinny mieć tyle wdzięku co wierzby. Niekiedy nazywa się je damami Świata Płynącego, ponieważ przypominają lilie pływające w jeziorze. No, proszę, Anjin-san, zgódź się.

- A co z panem Buntaro?

- Och, wie o tym, że ci to załatwiam. Powiedział mu pan Toranaga. Wszystko to odbywa się oczywiście całkiem oficjalnie. Dostałam) polecenie. Podobnie jak ty! Proszę cię! - powiedziała i dodała po łacinie, rada, że w Anjiro nikt nie zna tego języka: - Jest jeszcze jeden powód, o którym powiem ci później.

- Aha. . powiedz mi teraz.

- Później. Ale zgódź się, z humorem. Ponieważ ja cię o to proszę. 7- O pani. . jakże mógłbym ci odmówić?

- Tylko z humorem. To musi być zrobione z humorem! Przrzeknij!

- Ze śmiechem. Przrzekam ci, że na pewno dołożę wszelkich starań - odparł.

Wtedy opuściła go, żeby poczynić przygotowania.

- Ach, na samą myśl o sprzedaży kontraktu mojej ślicznotki umieram z żalu - jęczała właśnie Gyoko. - Tak, dziękuję ci, jeszcze odrobinę sake, a potem naprawdę muszę iść. - Osuszyła czarkę i strudzonym gestem wyciągnęła ją do ponownego napełnienia. - Zgodzimy się na dwa kobany za wieczór? Na tyle oceniam me pragnienie, żeby zadowolić damę takich zalet.

- Jeden. Jeżeli się ugodzimy, to dziś wieczorem, w herbaciarni mogłybyśmy, być może, porozmawiać jeszcze o tym kontrakcie. Bardzo mi przykro, że tak ponaglam, ale sama rozumiesz, że czas. . - Mariko skinęła ręką w stronę sali narad. - Sprawy państwowe. . przyszłość cesarstwa. . pan Toranaga. . rozumiesz, Gyoko-san.

- O tak, pani Toda, oczywiście. - Gyoko zaczęła się podnosić. - Czy zgodzimy się na półtora za wieczór? To świetnie, ustalone. .

- Na jeden.

- Oh ko, pani, te pół to przecież drobiazg, o którym szkoda nawet wspominać. - Gyoko podniosła lament, dziękując bogom, że jej dali bystry rozum, i nie zmieniając bolesciwej miny.

Półtora kobana stanowiło potrójną stawkę. Ale ważniejsze od pieniędzy było to, że wreszcie zaproszenie wyszło od jednego z prawdziwych możnowładców, o co wciąż zabiegała. Z chęcią poradziłaby więc Kiku, żeby wszystko robiła za darmo, i to po dwa razy. - Na wszystkich bogów, pani Toda, zdaję się na twoją łaskę, półtora kobana. Pomyśl, proszę, o moich pozostałych dziewczątkach, które trzeba ubierać, szkolić i karmić przez długie lata. Nigdy nie staną się takie bezcenne jak Kiku-san, a przecież trzeba je hołubić tak jak ją.

- Jeden koban, w złocie, jutro. Ne?

Gyoko uniosła porcelanową flaszkę i nalała do dwóch czarek. Jedną podała Mariko, a drugą wypić i natychmiast napełniła ponownie.

- Jeden - powiedziała, bliska zadławienia.

- Dziękuję ci, jesteś taka miła i troskliwa. O tak, czasy są ciężkie. - Mariko z powagą łyknęła wina. - Anjin-san i ja niedługo zjawimy się w herbaciarni - oznajmiła.

- Co? Co powiedziałaś?

- Że. Anjin-san i ja niedługo zjawimy się w herbaciarni. Będę dla niego tłumaczyła.

Blackthorne spojrzał na dziewczynę i mruknął:

- Bogu dzięki!

- To jest Kiku-san - przedstawiła oficjalnym tonem Mariko, uradowana jego reakcją.

Dziewczyna weszła do pokoju Wśród szelestu jedwabiu, uklękła, złożyła ukłon i zaszczebiotała coś, czego Blackthorne nie rozumiał., - Mówi, że rada cię wita, że swoją wizytą zaszczytasz ten dom.

- Dōmo - powiedział.

- Do itashimasite. Sake, Anjin-san? - spytała Kiku.

- Hai, dōmo.

Przyglądał się, jak nieskazitelnymi dłońmi nieomylnie odnajduje flaszkę i upewnia się, czy ma właściwą temperaturę. Kiedy napełniła mu czarkę, uniósł ją i wyciągnął w jej stronę tak, jak pokazała mu Mariko, z gracją większą niż oczekiwał.

- Naprawdę przyrzekasz, że będziesz się zachowywał jak Japończyk? - spytała go Mariko, kiedy wyruszyli z warowni, ona w palankinie, a on idąc obok drogą, która wiła się w dół do wioski i nadmorskiego placu. Z przodu i z tyłu szli oświetlacze z pochodniami. Jako straż honorowa towarzyszyło im dziesięciu samurajów.

- Tak, spróbuję - obiecał Blackthorne. - Co mam robić?

- Przede wszystkim zapomnij, co masz robić, i po prostu pamiętaj, że ta noc jest dla twojej przyjemności.

Dzisiaj przeżyłem najszczęśliwszy dzień w swoim życiu, myślał. A noc. . co z nocą? Stojące przed nim zadanie podniecało go, a w dodatku tak bardzo pragnął zachowywać się jak Japończyk, wszystkim się radować, nie krępować się niczym.

- Ile. . ile ten wieczór. . kosztuje? - spytał.

- To bardzo nie po japońsku o to pytać, Anjin-san - skarciła go. - A co to ma wspólnego z czymkolwiek? Fujiko uznała, że umowa jest do przyjęcia.

Przed wyjściem zaszedł do niej. Lekarz, który ją odwiedził, zmienił jej bandażę i dał leki ziołowe. Fujiko była dumna z zaszczytów Blackthorne, jego nowego lenna, i dużo mówiła. Wcale nie okazywała, że ją boli, i cieszyła się, że on wybiera się do herbaciarni. Naturalnie Mariko - jakaż ona dobra! - poradziła się jej i wszystko uzgodniły. Bardzo żałowała, że jest poparzona, bo inaczej sama wszystko by załatwiła. Przed wyjściem dotknął jej ręki, czując do niej sympatię. Podziękowała mi , jeszcze raz go przeprosiła i posłała w drogę wyrażając nadzieję, że dobrze się zabawi.

Gyoko i służące uroczyście czekały przy bramie, żeby ich powitać.

- To jest Gyoko-san, mama-san tej herbaciarni - przedstawiła ją Mariko.

- Co za zaszczyt, Anjin-san, co za zaszczyt.

- Mama-san? To znaczy, mama? Matka? Po angielsku brzmi to tak samo, Mariko-san. Mama, mamusia, matka.

- Aha! Prawie tak samo, Anjin-san, przykro mi, ale „mama-san” znaczy tyle co „macocha” albo „przyrodnia matka”. Matka to „haha-san” albo „oba-san”.

Po chwili Gyoko przeprosiła ich i spiesznie odeszła. Blackthorne uśmiechnął się do Mariko.

Była jak dziecko, pożerające ciekawym wzrokiem wszystko, co widzi.

- Och, Anjin-san, zawsze chciałam zobaczyć, jak wygląda taki przybytek w środku. Mężczyźni są tacy szczęśliwi! Czy to nie wspaniałe? Czy to nie cudowne, nawet w takiej małej wiosce?

Mistrzowie rzemieślnicy całkowicie go odnowili! Spójrz, co za gatunek drewna i . . . och, jakże miło z twojej strony, że zabrałaś mnie ze sobą. Nigdy już nie miałabym drugiej takiej możliwości. . . spójrz na te kwiaty. . . jaka prześliczna kompozycja. . . och, wyjrzyj tylko na ogród. . .

Blackthorne bardzo się cieszył i bardzo żałował, że w pokoju jest służąca, a drzwi są otwarte, ponieważ nawet tutaj, w herbaciarni, było nie do pomyślenia i śmiertelnie niebezpieczne dla Mariko pozostać z nim W pokoju sam na sam.

- Takaś piękna - powiedział po łacinie.

- I tyś. - Twarz miała roześmianą. - Jestem z ciebie dumna, admirał okrętów. A Fujiko?!

Och, była z ciebie tak dumna, że ledwo mogła uleżeć na posłaniu.

- Jej oparzenia wyglądają na ciężkie.

- Bez obawy. Lekarze są doświadczeni, a ona młoda, silna i wierzy w siebie. Dziś wieczorem zapomnij o wszystkim. Dość już pytań o Ishido, Ikawę Jikkyu, bitwy, hasła, lenna i okręty. Dziś wieczorem żadnych trosk, dziś są dla ciebie tylko rzeczy czarodziejskie.

- Ty jesteś moją czarodziejką.

Zatrzepotała wachlarzem, naląła sobie wina i nic nie powiedziała. Przyjrzał się jej, a potem w tej samej chwili uśmiechnęli się do siebie.

- Ponieważ są tu inni, a ozory miałą, w dalszym ciągu musimy być ostrożni - upomniała. - Och, jaka jestem szczęśliwa z powodu ciebie.

- Moja ty. A jaki był ten drugi powód? Wspomniałaś, że chcesz, abym tu przyszedł z jeszcze jednego powodu.

- A, tak, drugi powód. - Znowu spowiała go woń tych samych perfum. - Mamy taki starożytny zwyczaj. Jeżeli dama, która należy do innego, darzy względami drugiego mężczyznę i pragnie podarować mu coś znaczącego, czego jej dać nie wolno, wtedy na swoje miejsce załatwia inną kobietę - w darze dla niego - najlepszą kurtyzanę, na jaką może sobie pozwolić.

- Powiedziałaś: „jeżeli dama darzy względami drugiego”. Mówisz o „miłości”?

- Tak. Ale tylko dziś.

- O ty.

- O Anjin-san.

- Dlaczego dziś, Mariko-san? Dlaczego nie przedtem?

- Dziś jest czarodziejska noc i towarzyszą nam kami. Pragnę cię.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Kiku i Blackthorne powiedział:

- Bogu dzięki! Przywitano go i podano sake.

- Jak mam wyrazić, że ta dama jest nadzwyczaj ładna? - spytał. Mariko powiedziała, a on powtórzył jej słowa. Dziewczyna zaśmiała się radośnie na ten komplement i też skomplementowała gościa.

- Kiku pyta, czy chcesz, żeby ci zaśpiewała czy też zatańczyła.

- A co wolisz ty?

- Ta dama jest tutaj dla twojej przyjemności, samuraju, a nie mojej.

- A ty? Czy ty również jesteś tu dla mojej przyjemności?

- Tak, na swój sposób. . w bardzo prywatnym sensie.

- Wobec tego poproś ją, żeby zaśpiewała.

Kiku delikatnie klasnęła w dłonie, na co służąca Ako przyniosła samisen. Był to długi, trzystrunowy instrument, kształtem przypominający gitarę. Ako zajęła miejsce na podłodze i podała Kiku plektron z kości słoniowej.

- Pani Toda - powiedziała Kiku - racz przekazać naszemu szanownemu gościowi, że najpierw zaśpiewam „Pieśń Ważki”.

- Kiku-san, wyświadczysz mi zaszczyt, jeżeli dziś wieczorem tutaj będziesz się do mnie zwracać Mariko-san.

- Jesteś dla mnie zbyt łaskawa, wielmożna pani. Racz wybaczyć, ale nie mogę być wobec ciebie aż

tak niegrzeczna.

- Proszę o to.

- Dobrze, jeżeli tego chcesz, ale. . - Kiku uśmiechnęła się ślicznie. - Dziękuję, Mariko-sama.

Uderzyła w struny. Od chwili przekroczenia przez gości furtki do jej świata nastroiła na ich spotkanie wszystkie zmysły. Ukradkiem przyglądała się im z ukrycia, kiedy byli z Gyoko-san, a później sami, i starała się znaleźć jakąś wskazówkę, w jaki sposób by tu dogodzić barbarzyńcy i zrobić dobre wrażenie na pani Todzie.

Nie była jednak przygotowana na to, co już wkrótce stało się oczywiste, że Anjin-san bardzo pożąda pani Tody, chociaż, jak człowiek cywilizowany, ze wszystkich sił starał się to ukryć. Fakt ten sam w sobie nie zaskakiwał, ponieważ pani Toda była najpiękniejszą, najbardziej wykształconą i niezwykle ważną osobą, i tylko ona mogła się z nim porozumieć. Zdumiało ją jednak co innego - że pani Toda niewątpliwie pożąda go równie mocno, jeżeli nie jeszcze bardziej.

Barbarzyńca to samuraj, a pani Toda jest samurajką, córką możnego pana, tego zabójcy Akechiego Jinsai, żoną Buntaro! Ii ii! Biedny człowiek, biedna kobieta. Takie to smutne. Z pewnością zakończy się tragedią, orzekła Kiku.

O mało nie rozplakała się, myśląc o smutku, o niesprawiedliwości życia. Och, jakże chciałabym urodzić się samurajką, a nie chłopką, bo wtedy mogłabym być nawet konkubiną wielmożnego Omiego, a nie przelotnym bawidełkiem. Oddałabym za to z chęcią nadzieję na swoje powtórne narodziny.

Odpędź smutek, powiedziała sobie. Daj przyjemność, to twój obowiązek.

Palcem wydobyła drugi akord, akord przepelniony melancholią. I wtedy spostrzegła, że wprawdzie Mariko jest oczarowana jej muzyką, ale Anjin-san nie.

Dlaczego? Była pewna, że nie z powodu jej gry, bo wiedziała, że robiła to w sposób bliski ideału. Takie mistrzostwo było dane tylko garstce dam.

Na próbę wydobyła trzeci, jeszcze piękniejszy akord. Nie ma wątpliwości, jemu się nie podoba, orzekła prędko. Pozwoliła wybrzmieć akordowi i zaczęła śpiewać bez akompaniamentu, głosem wznoszącym się w nagłych zmianach tempa. Wydoskonalenie owej techniki zabrało jej lata.

Znowu oczarowała Mariko, ale nie jego, więc natychmiast urwała.

- Dzisiejszy wieczór nie jest stworzony dla muzyki ani śpiewu - oznajmiła. - Dzisiejszy wieczór jest stworzony dla zabawy. Mariko-san, jak powiedzieć w jego języku „racz wybaczyć”?

- Per favor.

- Per favor, Anjin-san, dziś musimy się wyłącznie śmiać, ne?

- Dōmo, Kiku-san. Hai.

- Trudno jest zabawiać kogoś bez słów, ale nie jest to niemożliwe, ne? Och, wiem!

Kiku skoczyła na równe nogi i zaczęła odgrywać komiczną pantomimę, naśladowując daimyō, tragarza, rybaka, domokrażcę, napuszonego samuraja, a nawet starego chłopca podnoszącego pełne wiadro. Robiła to tak udanie i z takim humorem, że wkrótce Mariko i Blackthorne śmiali się i klaskali w dłonie.

Ukloniła się klaszczącym widzom, napiła się cha i osuszyła błyszczące czoło. Spostrzegła, że Blackthorne porusza ramionami i rozluźnia mięśnie pleców.

- O, per favor, senhor! - powiedziała, uklękła za nim i zaczęła mu masować kark.

Jej doświadczone palce od razu znalazły ośrodki przyjemności w jego ciele.

- O Boże, to.. hai. . właśnie tutaj!

Zrobiła, jak poprosił.

- Twój kark wkrótce poczuje się lepiej. Za dużo siedzenia, Anjin-san.

- Świetnie to robisz, Kiku-san. Przy tobie Suwo jest niemal do niczego.

- Och, dziękuję ci. Mariko-san, Anjin-san ma takie ogromne ramiona, pomożesz mi, pani?

Wymasuj mu lewe ramię, a ja wymasuję prawe. Przepraszam, ale mam za słabe ręce.

Mariko dała się przekonać i przyjęła jej propozycję. Kiku ukryła uśmiech, wyczuwając, jak pod dotykiem palców Mariko barbarzyńca naprężacie. Była bardzo zadowolona z siebie, że na oczekaniu wymyśliła ten fortel. Dzięki jej artyzmowi i wiedzy klient doznawał przyjemności i chcąc nie chcąc osiągał pożądaną stan.

- Czy tak lepiej, Anjin-san?

- Dobrze, bardzo dobrze, dziękuję.

- Och, proszę bardzo. Cała przyjemność po mojej stronie. Ale pani Toda jest o niebo zręczniejsza ode mnie. - Kiku wyczuwała, jak bardzo się nawzajem pożądają, mimo że starali się to ukryć. - A teraz może troszeczkę zjemy?

Natychmiast wniesiono jedzenie.

- Dla ciebie, Anjin-san - powiedziała z dumą.

Danie składało się z bazanta pokrojonego na małe kawałeczki i upieczonego na węglach w słodkim sosie sojowym. Nałożyła mu porcję.

- Pyszny, pyszny - pochwalił. I rzeczywiście bażant był znakomity.

- A ty, Mariko-san? - spytała Kiku.

- Dziękuję.

Mariko wzięła symboliczny kawałek, ale nie zjadła go.

Kiku wzięła pałeczkami cząstkę i z niesmakiem zaczęła przeżuwać.

- Dobrze, ne?

- Nie, Kiku-san, bardzo dobre! Bardzo dobre.

- Proszę, Anjin-san, dołóż sobie. - Wzięła drugi kawałeczek. - Jest go dużo.

- Dziękuję ci. Proszę. Jak. . jak się robi to?

Blackthorne wskazał na gęsty, brązowy sos.

Mariko przełożyła odpowiedź Kiku.

- Kiku mówi, że jest to cukier z soją i odrobiną imbiru. Pyta, czy w twoim kraju są cukier i soja.

- Cukier tak, w burakach, soja nie, Kiku-san.

- Och. Jakże można się obejść bez soi? - Kiku spoważniała. - Powiedz, proszę, Anjin-sanowi, że cukier mamy tutaj od tysiąca lat. Sprowadził go do nas z Chin buddyjski mnich Ganjin. Wszystko co najlepsze przyszło do nas z Chin, Anjin-san. Mniej więcej pięćset lat temu przyszła do nas cha.

Mnich buddyjski Eisai przywiózł trochę nasion i zasadził je w prowincji Chikuzen, gdzie się urodziłam. Sprowadził też do nas buddyzm zen.

Mariko przełożyła to z równą powagą, a wtedy Kiku zaniósła się śmiechem.

- Och, bardzo przepraszam, Mariko-sama, ale oboje macie takie poważne miny. Ja tylko udawałam powagę, kiedy mówiłam o cha. . czyż to ma jakiegokolwiek znaczenie?! Chciałam was tylko rozbawić.

Japonki przyglądały się, jak Blackthorne kończy jeść bażanta.

- Dobrze - powtórzył. - Bardzo dobre. Podziękuj, proszę, Gyoko-san.

- Będzie zaszczycona. - Kiku nalała obojgu sake. Potem zaś, wiedząc, że nadszedł odpowiedni moment, powiedziała niewinnie: - Wolno spytać, co zaszło dzisiaj podczas trzęsienia ziemi?

Słyszałam, że Anjin-san ocalił życie panu Toranadze. Byłabym zaszczycona, dowiadując się o tym z pierwszej ręki.

Usiadła cierpliwie, pozwalając Blackthorne'owi i Mariko na przyjemność snucia opowieści i wtrącała w nią swoje „och”, albo „a co potem?”, dolewała sake, ale - jako idealna słuchaczka - nie przerwała im ani razu.

A kiedy skończyli, zdumiała się ich dzielnością i wielkim szczęściem pana Toranagi. Rozmawiali jeszcze jakiś czas, po czym Blackthorne wstał i podążył za dziewczyną, której polecono pokazać mu drogę.

- Po raz pierwszy jadłaś ptasie mięso, prawda, Kiku-san? - przerwała milczenie Mariko.

- Moim obowiązkiem jest przez krótki czas robić wszystko to, co sprawia mu przyjemność, ne?

- Nie przypuszczałam, jak doskonała potrafi być dama. Teraz pojmuję, dlaczego nieodzowny jest Świat Płynący, Świat Wierzb, i jak szczęśliwi są mężczyźni, a także, jak wiele mnie samej brakuje.

- Och, w żadnym razie nie było to moim celem, przenigdy, Mariko-sama. Ani nie jest.

Jesteśmy tu po to, by sprawiać przyjemność przez ulotną chwilę.

- Tak. Chciałam jedynie wyrazić ci swój wielki podziw. Chciałabym, żebyś została moją siostrą.

Kiku ukloniła się.

- Nie byłabym godna takiego zaszczytu - odparła.

Poczuły do siebie gorącą sympatię.

- To bardzo sekretny przybytek i wszystkim można ufać, nikt tu nie szpieguje - dodała Kiku po chwili.

- W pokoju rozkoszy w ogrodzie jest bardzo ciemno, jeżeli ktoś ma takie życzenie. A ciemność wszystko spowija tajemnicą.

- Tajemnicę można zachować jedynie wtedy, gdy jest się samemu i powierza ją szeptem pustej studni w samo południe, ne? - powiedziała niewinnym tonem Mariko, potrzebując czasu na podjęcie decyzji.

- Siostrze studnia nie jest potrzebna. Odprawiłam służącą aż do ranka. Nasz pokój rozkoszy to bardzo intymne miejsce.

- Musisz tam być z nim sam na sam.

- Sama mogę być zawsze, zawsze.

- Jesteś dla mnie taka miła, Kiku-chan, taka troskliwa.

- To czarodziejska noc, ne? I bardzo niezwykła.

- Czarodziejskie noce kończą się za szybko, młodsza siostrze. Czarodziejskie noce są dla dzieci, ne?

A ja nie jestem dzieckiem.

- Kto wie, co się dzieje podczas czarodziejskich nocy. Ciemność skrywa-wszystko.

Kiku odłożyła na razie ten temat.

- Jestem podarkiem dla Anjin-sana? - spytała po chwili. - On sam o mnie poprosił?

- Gdyby cię widział, jakże mógłby o ciebie nie poprosić? Prawdę mówiąc, to dla niego, zaszczyt, że go przyjął. Teraz to rozumiem.

- Ale on już mnie kiedyś widział, Mariko-san. Stałam właśnie z panem Omim, kiedy mijał mnie idąc na statek, który płynął do Osaki.

- Och, ale on mi powiedział, że widział z panem Omim Midori. Więc to byłaś ty? Przy palankinie?

- Tak, na wioskowym placu. O, tak, to byłam ja, Mariko-san, a nie jego pani, żona wielmożnego pana Omiego. Powiedział wtedy do mnie „konnichi wa”. Ale naturalnie nie pamięta tego. Jakże miałby pamiętać? To było w jego poprzednim życiu, ne?

- Och, ale on ją zapamiętał. Śliczną dziewczynę z zieloną parasolką. Powiedział, że takiej ślicznej dziewczyny jeszcze nie widział. Opowiadał mi o niej wiele razy. - Mariko przyglądała się jej jeszcze dokładniej. - Tak, Kiku-san, z łatwością można cię wziąć za nią w taki dzień, pod parasolką.

Kiku naląła sake, oczarowując Mariko bezwiedną elegancją.

- Miałam wtedy zieloną parasolkę - powiedziała, bardzo zadowolona, że ją zapamiętał.

- Jak wtedy wyglądał Anjin-san? Całkiem inaczej? Ta Noc Krzyków musiała być okropna.

- Tak, tak, była okropna. Poza tym on był wtedy starszy, skórę na twarzy miał napiętą. . Ale mówmy poważnie, starsza siostrze. Och, nie wiesz nawet, jaki to zaszczyt dla mnie, że mogę cię tak tytułować. Dzisiejsza noc będzie wyłącznie nocą rozkoszy. Dość powagi, ne?

- Tak. Dobrze. Przepraszam.

- A przechodząc do spraw praktycznych. . Czy możesz udzielić mi pewnej rady?

- Jakiej tylko zechcesz - odparła równie przyjacielsko Mariko.

- Jeśli chodzi o sprawy poduszkowe, to wiadomo ci coś, czy mężczyźni z jego nacji mają jakieś ulubione przyrzady albo pozycje? Bardzo przepraszam, że o to pytam, ale, być może, potrafisz udzielić mi wskazówek.

Mariko musiała dobyć całej wyćwiczonej siły woli, żeby się nie zmieszać.

- Nie, nic mi o tym nie wiadomo - odparła. - Ale Anjin-san jest bardzo wyczulony na wszystko, co

dotyczy poduszkowania.

- A czy nie można go spytać o to nie wprost, ale aluzyjnie?

- Wątpię, czy można w taki sposób pytać o to cudzoziemca. A już na pewno nie jego. No, a poza tym, bardzo mi przykro, ale nie wiem nic o tych . przyrządach, oczywiście z wyjątkiem harigata.

- Och! - Kiku jeszcze raz odwołała się do własnej intuicji i spytała niewinnie: - A zechciałabyś na nie spojrzeć? Mogę ci je pokazać, może w jego obecności, bo wówczas nie trzeba go będzie pytać. Poznamy wszystko po jego zachowaniu.

Mariko zawahała się, ale ciekawość pokonała rozsądek.

- Jeżeli da się to zrobić z humorem .

Usłyszały, że nadchodzi Blackthorne. Kiku powitała go i nalała mu wina.

- Posłuchaj, starsza siostró - Mariko pochyliła się ku niej i uśmiechnęła porozumiewawczo -

powiedz z łaski swojej Anjin-sanowi, że mamy tu pewne narzędzia do poduszkowania. Czy są takie w jego kraju?

- Mówi, że nie, Kiku-san. Bardzo żałuje, ale nie słyszał o żadnych takich.

- Och! A czy nie zainteresowałoby go obejrzenie ich? Są w sąsiednim pokoju, więc mogę je przynieść. . są doprawdy podniecające.

- Chciałbyś je zobaczyć, Anjin-san? Ona mówi, że są bardzo zabawne - przełożyła Mariko, celowo zmieniając przymiotnik.

- Czemu nie - odparł przez ściśnięte gardło Blackthorne, wy-, stawiony całkowicie na atak ich perfum i kobiecości. - Wy. . używacie do poduszkowania jakichś narzędzi? - spytał.

- Kiku-san mówi, że czasem tak, Anjin-san. Że naszym zwyczajem, co jest prawdą, jest zawsze odwlekać jak najdłuższą chwilę Chmur i Deszczu, ponieważ wierzymy, że wówczas, przez krótki moment my, śmiertelnicy, stajemy się równi bogom. - Mariko przypatrywała mu się z uwagą. -

Dlatego jest bardzo ważne, by trwał on tak długo, jak się da, ne? To niemal obowiązek, prawda?

- Tak.

- Tak. Mówi, że stać się równym bogom to rzecz niezbędna. To dobre wierzenie i łatwo w nie wierzyć, nie sądzisz? Otwarcie Chmury jest uczuciem tak niezwykłym i boskim. Prawda? Tak więc stosowanie wszelkich środków służących temu, żeby jak najdłuższą pozostawać równym bogom, jest naszym obowiązkiem, ne?

- O tak, jak najbardziej.

- Napijesz się sake, Anjin-san?

- Dziękuję.

Mariko poruszyła wachlarzem.

- Koncept Otwarcia Chmury, Chmur, i Deszczu albo, jak czasem go nazywamy, Ognia i Rwącego Strumienia, jest taki japoński, Anjin-san. Bardzo ważne jest, żeby do spraw poduszkowych podchodzić po japońsku, ne?

Ku jej uldze uśmiechnął się i uklonił dwornie.

- Tak. Jak najbardziej. Jestem Japończykiem, Mariko-san. Honto!

Kiku wniosła kasetkę obciążoną jedwabiem. Otworzyła ją i wyjęła dwa okazałe, naturalnych rozmiarów członki, jeden z kości słoniowej i drugi elastyczny, z miększego materiału, jaki Blackthorne widział po raz pierwszy w życiu. Beztrąsko odłożyła je na bok.

- To są naturalnie zwyczajne harigata, Anjin-san - wyjaśniła spokojnie Mariko ze wzrokiem utkwionym w inne przedmioty w kasetce.

- Naprawdę? - spytał Blackthorne, nie mając pojęcia, co może jeszcze powiedzieć. - Matko Boska!

- Ale to są tylko zwyczajne harigata, Anjin-san. Wasze kobiety, z pewnością z nich korzystają!

- W żadnym razie! Nie, nie używają ich, - dodał, starając się zachować dobry humor.

Mariko nie mogła w to uwierzyć. Wyjaśniła, o co chodzi, Kiku, którą to również zdumiało.

Dziewczyna mówiła przez dłuższy czas, a Mariko jej potakiwała.

- Kiku-san bardzo to dziwi. A ja podzielam jej zdanie. Tutaj prawie wszystkie dziewczyny używają ich bez zastanowienia, po prostu żeby sobie ulżyć. Jakże mogłyby zachować zdrowie, jeśli nakłada się na nie podobne ograniczenia w tym względzie, które nie obowiązują mężczyzn? Jesteś pewien, że tak u was jest? Nie kpisz sobie z nas, Anjin-san?

- Nie. . ja. . nasze kobiety na pewno ich nie używają. Byłoby to.. Chryste, to.. no, nie, my. .

one. . tego nie używają.

- Muszą więc mieć ciężkie życie. Nasze porzekadło powiada, że harigata jest jak mężczyzna, ale lepszy, ponieważ jest to najwartościowsza część mężczyzny, ale bez jego części najgorszych.

Ne? A ponadto jest lepsza dlatego, że wszystkim mężczyznom nie staje. . tej sprawności, którą mają wszystkie harigata. Poza tym są zawsze wierne, Anjin-san, i nigdy nie mają cię dość, jak mężczyzna. A do tego mogą być takie jak męskie członki, szorstkie albo gładkie. . Anjin-san, przyrzekłeś mi, pamiętasz? - traktować to z humorem!

- Masz rację! - Blackthorne uśmiechnął się szeroko. - Masz rację” na miły Bóg. Przepraszam. -

Wziął harigata i uważnie go obejrzał, cichutko pogwizdując. - Masz słuszość, szanowna nauczycielko! Może być szorstki?

- Tak - odparła wesoło. - Może być szorstki albo gładki, wedle życzenia, a ponadto harigata są o niebo wytrzymalsze od mężczyzn i niestrudzone!

- Otóż to!

- Tak. Nie zapominaj, że nie każda kobieta ma tyle szczęścia, by należeć do jurnego mężczyzny. Bez pomocy tych narzędzi, dających upust najzwyczajszym namiętnościom i zaspokajających normalne potrzeby kobiety, jej ciało szybko uległoby zatruciu, co niebawem zniszczyłoby jej wewnętrzną harmonię, szkodząc i jej, i otoczeniu. Kobiety nie mają takiej wolności jak mężczyźni, i słuszenie, ne? Ten świat słuszenie należy do mężczyzn, prawda?

- Tak. - Blackthorne uśmiechnął się. - I nie.

- Szkoda mi waszych kobiet, bardzo przepraszam, ale na pewno nie różnią się od naszych. Po powrocie do kraju musisz je pouczyć, Anjin-san. O, tak, powiedz to swojej królowej, ona zrozumie.

Jesteśmy bardzo wrażliwe w sprawach poduszkowych.

- Wspomnę o tym Jej Wysokości. - Blackthorne z udawanym ociąganiem odłożył harigata. - Co dalej?

Kiku wyjęła sznur złożony z czterech okrągłych korali z białego jadeitu, nawleczonych w odstępach na mocną jedwabną nić. Mariko wysłuchiwała pilnie wyjaśnień Kiku, z oczami rozszerzonymi jak nigdy dotąd, wachlując się wachlarzem, a kiedy dziewczyna doszła do końca, jeszcze raz ze zdumieniem spojrzała na korale.

- Ah so desu! A więc, Anjin-san - zaczęła zdecydowanym tonem - nazywają się one konomi-shinju, Perły Rozkoszy, i mogą z nich korzystać zarówno senhor, jak senhora. Sake, Anjin-san?

- Dziękuję.

- Tak. Może je stosować dama albo mężczyzna. Paciorki te umieszcza się starannie na samym końcu jej Korytarza, a kiedy zbliża się chwila Chmur i Deszczu, wyciąga się powoli jeden po drugim.

- Co takiego?

- Tak. - Mariko położyła paciorki na poduszce przed Blackthorne'em. - Pani Kiku mówi, że bardzo ważne jest, żeby zrobić to w odpowiednim czasie, i że zawsze. . nie wiem, jak to powiedzieć. . aha, zawsze powinno się stosować tłustą maść. . dla przyjemności, Anjin-san. -

Spojrzała na niego i dodała: - Mówi też, że dostępne są Perły Rozkoszy różnych rozmiarów i że umiętne ich zastosowanie może dać bardzo dobre wyniki.

Blackthorne ryknął śmiechem i zawołał po angielsku:

- Stawiam beczułkę złotych dublonów przeciwko świńskiemu łajnu, że wy w to wierzycie!

- Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem, Anjin-san.

Kiedy się uspokoił i odzyskał głos, rzekł po portugalsku:

- Stawiam górę złota przeciwko źdźbłu trawy, że wyniki są rzeczywiście znakomite, Mariko-san. - Wziął paciorki i obejrzał je, gwizdząc bezwiednie. - Perły Rozkoszy, co? - Po chwili je odłożył.

- A co tam jeszcze jest?

Kiku, zadowolona, że eksperyment się powiódł, pokazała mu z kolei himitsu-kawa, Ukrytą Skórkę.

- To Pierścień Rozkoszy, Anjin-san, nakładany przez mężczyznę, który już puścił żywotne soki, na członka, by mu dalej stał. Z jego pomocą, twierdzi Kiku-san, mężczyzna może zadowolić kobietę po własnym szczytowaniu albo kiedy jego pożądanie opadło. - Mariko przyglądała się Blackthorne'owi. - Ne?

- Jak najbardziej - odparł Blackthorne i się rozpromienił. - Dobry Boże, uchron mnie przed jednym i przed drugim, a także przed niemożnością zaspokojenia kobiety. Poproś Kiku-san, żeby kupiła mi trzy takie. . na wszelki wypadek!

Z kolei pokazano mu hiro-gumbi, Pancierz Strudzonego, cienkie wysuszone łądygi jakiejś rośliny, które, namoczone i owinięte na Niezrównanym Członku, nabrzmiewały, dzięki czemu wydawał

się mocny. W pudełku były też ponadto wszelakie środki na potencję, pobudzające i podniecające, oraz maści, nawilżające, powiększające i wzmacniające męski narząd.

- Nie ma osłabiających? - spytał, ku większej uciechu.

- Oj, nie, Anjin-san, co za niedorzeczność!

Następnie Kiku wyłożyła inne pierścienie dla mężczyzn: z kości słoniowej, elastyczne, jedwabne z gruzełkami, szczecina, wstążkami, dodatkami i urozmaicheniami wszelkich rodzajów wykonanymi z kości słoniowej, końskiego włosia, nasion, a jedne nawet z malutkimi dzwoneczkami.

- Kiku-san twierdzi, że prawie wszystkie przemieniają najbardziej nieśmiałą damę w rozpasaną ladacnicę.

O Boże, jakże chciałbym, żebyś była rozpasaną ladacnicą, pomyślał.

- Ale wszystko to zakładają wyłącznie mężczyźni, ne? - spytał.

- Im bardziej podniecona jest dama, tym większa przyjemność jej partnera, ne? - odparła Mariko. - Oczywiście, mężczyzna jest w równej mierze zobowiązany sprawiać kobiecie przyjemność, a jeżeli

na swoje nieszczęście własny narząd ma mały, słaby, stary bądź zmęczony, to dzięki jednemu z tych udogodnień może z honorem wygodnie kobiecie.

- Korzystałaś z nich, Mariko-san?

- Nie, Anjin-san, widzę je po raz pierwszy. Są to.. żony nie są po to, by dawać przyjemność, ale żeby wychowywać dzieci, dbać o dom i gniazdo rodzinne., - Żony nie spodziewają się zaspokożenia?

- Nie. Nie byłoby to normalne. Zaspokożenie jest dla dam ze Świata Wierzb. - Mariko powachlowała się i zrelacjonowała Kiku, o czym rozmawiali. - Kiku-san pyta, czy na pewno tak samo jest w twoim świecie. Czy obowiązkiem mężczyzny jest sprawiać przyjemność damie, tak jak jej obowiązkiem jest sprawiać mu przyjemność?

- Powiedz jej, że żałuję, ale wcale nie jest tak samo, wprost przeciwnie.

- Mówi, że to bardzo niedobrze. Sake?

- Powiedz jej, że nas uczą, żeby się wstydzić własnych ciał, poduszkowania, nagości i . .

wszelkich głupstw. Dopiero tutaj uświadomiłem Sobie pewne rzeczy. Teraz, kiedy się trochę ucywilizowałem, lepiej wiem, co myśleć.

Mariko przełożyła jego słowa. Blackthorne opróżnił czarękę. Kiku natychmiast mu ją napełniła, pochylając się i tak przytrzymując podczas nalewania wina długi rękaw kimona, by nie dotknął niskiego stolika z laki.

- Dōmo.

- Do itashimashite, Anjin-san.

- Kiku-san mówi, że twoje słowa przynoszą nam zaszczyt. Zgadzam się z nią, Anjin-san.

Jestem z ciebie bardzo dumna. Ale na pewno nie jest aż-tak źle, jak to przedstawiasz.

- Jest jeszcze gorzej. Trudno to pojąć, a co dopiero wyjaśnić, komuś, kto tam nigdy nie był i tam się nie wychował. Widzisz. . prawdę mówiąc. . - Blackthorne spostrzegł, że się w niego wpatrują, czekając cierpliwie, takie śliczne, czyste, wielobarwne w tym nieskazitelnym, pozbawionym zbędnych sprzętów i kojącym pokoju. Od razu zaczął to porównywać z ciepłym, znajomym zaduchem angielskiego domostwa, trzcina na polepie, dymem z otwartego ceglanego paleniska wylatującym przez otwór w dachu (w całej jego wsi były tylko trzy nowe kominki z kominami, a posiadali je sami zamożni), z dwiema małymi sypialniami i jedną dużą, brudną izbą, w której jadło się, gotowało, siedziało i prowadziło rozmowy. Zima czy lato, wchodziłeś do chaty <w żeglarskich butach nie zważając, że są powalane błotem czy gnojem, i siadałeś na krześle bądź ławie, przy dębowym stole zaśmieconym jak izba, w otoczeniu kilku psów i dwójki dzieci - swojego syna i córki zmarłego brata Arthura, które wspinały się, gramoliły, spadały i bawiły raz w to, a raz w Alvito. Felicity gotowała, długą suknią zamiatając brudną polepę, kuchta siąkała nosem i włąziła w drogę, a wdowa po

Arthurze, Maria, kaszłała w dobudowanej dla niej izbie obok, jak zawsze bliska śmierci, lecz nie umierająca.

Felicity. Droga Felicity. Kąpała się może raz w miesiącu, i to w lecie, na osobności, w miedzianej balii, ale codziennie myła twarz, ręce i nogi, zawsze zakryta od kostek po szyję, przez okrągły rok odziana w warstwy ciężkich welen, nie pranych miesiącami lub latami, cuchnąca jak wszyscy dookoła, jak wszyscy zawszona i drapiąca się.

A do tego te wszystkie inne wierzenia i przesady, że czystość zabija, że zabija otwieranie okien, zabija woda, gdyż sprowadza czerwonkę i plagi, a wszy, pchły, muchy, brud i choroby to kara boska za ziemskie grzechy.

Każdej wiosny pchły, muchy i nowe plecionki z sitowia, za to Felicity codziennie w kościele, a w niedzielę dwa razy, żeby wysłuchać walącego w ludzi jak w bęben słowa Bożego, że nic nie jest ważne, jedynie Bóg i zbawienie.

Urodzona w grzechu, żyjąca w poczuciu winy, diabelskie nasienie - Felicity, skazana na piekło, modląca się o zbawienie i odpuszczenie win, taka bogobojna, przepełniona lękiem przed Panem i strachem przed Szatanem, rozpaczliwie pragnąca dostać się do Nieba, po mszy wracała do domu na posiłek. Udziec pieczony na rożnie. Jeśli kawałek mięsa spadł ci na podłogę, to go podnosiłeś, wycierałeś z brudu i zjadałeś, naturalnie, jeśli psy nie dopadły go pierwsze, ale i tak rzucałeś im kości. Podłogę zaścielały nieczystości - różne odpadki rzucane gdzie-popadło, by je potem zamieść albo wyrzucić na drogę. Człowiek spał najczęściej w dziennym przyodziewku i drapał się, drapał stale niczym zadowolony pies. Tak młodo się starzał, tak młodo brzydł, tak młodo umierał. Felicity. W tej chwili dwudziestodwuletnia, posiwiiała, z niewieloma zachowanymi zębami, zniszczona, pomarszczona i wysuszona.

- Za prędko, biedaczko. Mój Boże, i co z tego miałaś! - wykrzyknął w gniewie. - Co za parszywe zmarnowane życie!

- Nan desu ka, Anjin-san? - spytały jednocześnie obie Japonki i ich dobry nastrój prysł.

- Bardzo przepraszam. . to tylko.. jesteście wszyscy tacy czyści, a my brudni, i tyle Judzi, niepoliczony milion, ja również, marnuje sobie życie. . a wszystko z braku wiedzy. Chryste Panie, co za marnotrawstwo! To przez księży. . to oni są wykształceni i kształcą innych, to do nich należą szkoły, to oni tylko uczą. . i zawsze w imię Boże. . życie w brudzie w imię Boże. . to prawda!

- O, tak, oczywiście - odparła pocieszająco Mariko, wzruszona jego cierpieniem. - Nie trapij się tym teraz, Anjin-san. Proszę, zostaw to na jutro..

Kiku wprawdzie uśmiechała się, ale w duchu była na siebie wściekła. Powinnaś być ostrożniejsza, skarciła się. Głupia, głupia, głupia! Mariko-san cię potrzebowała! A ty zepsułaś dzisiejszy wieczór i jego czarodziejski nastrój prysnął, prysnął, prysnął!

I rzeczywiście, gęsta, prawie namacalna atmosfera erotyzmu, którą zdążyły wytworzyć, zniknęła. Może to i dobrze, pomyślała. Mariko i Anjin-sanowi jeszcze przynajmniej jedną noc nic nie grozi.

Biedny człowiek, biedna kobieta. Przyglądając się im wyczuła, że zmienił się ton ich rozmowy.

- Muszę cię już opuścić - powiedziała Mariko po łacinie.

- Wyjdźmy razem.

- Błagam cię, żebyś pozostał. Dla honoru własnego i jej. I dla mojego honoru, Anjin-san.

- Nie chcę twojego prezentu - rzekł. - Chcę ciebie.

- Wierzaj mi, jestem twoja, Anjin-san. Proszę cię, zostań, błagam cię, wiedz, że tej nocy jestem twoja.

Nie nalegał dłużej, żeby została.

Kiedy odeszła, położył się na wznak, podłożył ręce pod głowę i wpatrzył się przez okno w noc.

Deszcz bębnił w dachówki, od morza dolatywały pieszczotliwe podmuchy wiatru.

Kiku klęczała przed nim nieruchomo. Nogi miała sztywne. Sama też z przyjemnością by się położyła, ale najmniejszym poruszeniem nie chciała zakłócać jego nastroju. Nie jesteś zmęczona, nie bolą cię nogi, powiedziała sobie. Wsłuchaj się w deszcz i myśl o rzeczach przyjemnych. Pomyśl o Omim i o herbaciarni w Mishimie, o tym, że żyjesz, a wczorajsze trzęsienie ziemi było po prostu jednym trzęsieniem ziemi więcej. Pomyśl o wielmożnym panu Toranadze i niewiarygodnie wysokiej cenie, jakiej wstępnie zażądała pani Gyoko za twój kontrakt. Wróżbiarz mówił prawdę, masz szczęście wzbogacić panią Gyoko ponad najśmielsze marzenia. Jeżeli to się sprawdza, to czemu i nie cała reszta? Kiedyś poślubisz samuraja, którego będziesz szanować, i dasz mu syna, będziesz żyć i umrzesz w późnym wieku, należąc do jego rodziny, bogata i szanowana, twój syn zaś - cud nad cuda - osiągnie równie wiele, stanie się samurajem, a będą też nimi jego synowie.

Kiku ożywiła się na myśl o tej niewiarygodnej, cudownej przyszłości. Po jakimś czasie Blackthorne przeciągnął się jak basza, owładnięty przyjemnym znużeniem. Zobaczył Kiku i uśmiechnął się.

- Nan desu ka, Anjin-san? - spytała.

Grzecznie pokręcił głową, wstał i otworzył shoji prowadzące do sąsiedniego pokoju. Przy osłoniętych siatkami futonach nie klęczała żadna służąca. W małym, wykwinnym pawilonie on i Kiku byli sami.

Przeszedł do sypialni i zaczął zdejmować kimono. Pośpieszyła mu pomóc. Rozebrał się do naga i włożył lekkie jedwabne kimono nocne, które mu przytrzymała. Odsunęła siatkę przeciw komarom i położył się.

Wtedy zaś przebrała się także ona. Zobaczył, że zdejmuje obi, zewnętrzne kimono, mniejsze, obwiedzione czerwoną lamówką kimono o barwie najbledszej zieleni, wreszcie halkę. Włożyła brzoskwiniowe kimono nocne, zdjęła kunsztowną wieczorową perukę i rozpuściła włosy. Były kruczoczarne, piękne, bardzo długie.

Uklęła przy siatce.

- Dozo, Anjin-san? - spytała.

- Dōmo.

- Dōmo arigato goziemashita - szepnęła.

Wśliznęła się pod siatkę i ułożyła przy nim. Świece i olejowe lampy paliły się jasno. Był z tego zadowolony, ponieważ Kiku była taka piękna.

Jego gwałtowna żądza już zniknęła, chociaż cierpiał nadal. Nie pożądam cię, Kiku-san, pomyślał. Nawet gdybyś była Mariko, nic by to nie zmieniło. I chociaż jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu, piękniejszą nawet od Midori-san, którą uznałem za piękniejszą od bogiń, to i tak nie pożądam ciebie. Może później, ale nie teraz, wybacz.

Wyciągnęła rękę i dotknęła go.

- Dozo?

- Iye - powiedział delikatnie, kręcąc głową.

Przytrzymał rękę Kiku, a potem swoje ramię wsunął pod jej ramiona. Posłusznie przytuliła się do niego, w lot go obejmując. Zapach jej perfum mieszał się z wonią pościeli i futonów. Takie czyste, pomyślał, wszystko jest tu takie niewiarygodnie czyste.

Jak się wyraził Rodrigues? „Japonia to niebo na ziemi, Ingeles, jeżeli wiesz, gdzie go szukać” albo „To raj, Ingeles”. Nie pamiętam. Wiem tylko, że nie ma go tam, za morzami, jak myślałem. Nie tam.

Niebo jest tutaj.

41.

W ciemnościach drogą do uspiętej wioski nadjechał galopem kurier. Świt zdążył już zabarwić niebo, a łodzie po nocnym połowie właśnie wpływały do przystani. Jechał bez odpoczynku z Mishimy przez górskie przełęcze i po ciężkich drogach, rekwirując gdzie się tylko dało świeże konie.

Jego koń zadudnił kopytami po ulicach wsi, a na wioskowym placu i na drodze wspinającej się do warowni śledziły go z ukrycia liczne oczy. Na chorągwi miał godło Toranagi i znał aktualne hasło.

Ale i tak wzywano go do zatrzymania się i czterokrotnie sprawdzono tożsamość, zanim pozwolono mu tam wjechać i stanąć przed obliczem dowódcy warty.

- Pilne depesze z Mishimy, Naga-san, od pana Hiro-matsu - oznajmił.

Naga wziął od niego zwinięty pergamin i pośpiesznie wszedł do środka.

Przy mocno strzeżonych shoji zatrzymał się.

- Ojczy! - zawołał.

- Tak?

Naga odsunął drzwi i zaczekał. Toranaga z powrotem wsunął miecz do pochwy. Strażnik przyniósł olejną lampę.

Toranaga usiadł pod moskitierą i złamał pieczęć. Dwa tygodnie temu rozkazał Hiro-matsu przekraść się potajemnie z doborowym pułkiem do zamku w mieście Mishima przy gościńcu Tokaidō, który strzegł dostępu do przełęczy prowadzącej przez góry do miast Atami i Odawara na północy.

Odawara stanowiła klucz do obrony całego Kantō.

„Wielmożny panie - pisał Hiro-matsu - Twój przyrodni brat Zataki, władca Shinano, przybył tu dzisiaj z Osaki i poprosił o bezpieczne dowieszenie go na spotkanie z Tobą w Anjiro. Podróżuje oficjalnie z setką samurajów i tragarzy pod godłem «nowej» Rady Regencyjnej. Z przykrością zawiadamiam Cię, że informacje pani Kiritsubo były prawdziwe. Zataki zdradził Cię i nie kryje się ze swoim podporządkowaniem Ishido. Nie wiedziała tylko tego, że Zataki jest teraz regentem w miejsce pana Sugiyamy. Pokazał mi urzędową nominację, podpisaną zgodnie z prawem przez Ishido, Kiyamę, Onoshiego i Ito. Zrobiłem, co mogłem, żeby powściągnąć swoich ludzi od ukarania go za butę i, wypełniając twój rozkaz, przepuścić wszelkich posłańców Ishido. Sam chciałem zabić tego gównozercę. Podróżuje wraz z nim barbarzyński kapłan, Tsukku-san, który przybył morzem do portu w Numazu z Nagasaki. Prosił o posłuchanie u Ciebie, więc wysłałem go razem z tym oddziałem. Jako eskortę przydzieliłem im dwustu żołnierzy. Zjawią się w Anjiro przed upływem dwóch dni. Kiedy wracasz do Edo? Szpiegzy donoszą, że Jikkyu po cichu przeprowadza mobilizację, a z Edo nadeszły wieści, że ponieważ prowincja Zatakiego, Shinano, zwróciła się przeciwko tobie”, to północne rody gotowe są przyłączyć się do Ishido. Błagam Cię, natychmiast wyjedź z Anjiro, wycofaj się morzem.

Niech Zataki podażą za Tobą do Edo, gdzie będziemy mogli zgotować mu takie przyjęcie, na jakie zasługuje”.

Toranaga trzasnął pięścią w podłogę.

- Naga-san. Sprowadź mi tu natychmiast panów Buntaro, Yabu i Omiego.

Przybyli bardzo szybko. Toranaga odczytał im list.

- Musimy przerwać szkolenie - powiedział. - Cały pułk muszkietów, do ostatniego żołnierza, odeślijcie w góry. Nie może się od nas wydostać żaden przeciek.

- Przepraszam, wielmożny panie, ale może” zechcesz rozważyć możliwość spotkania się z tym oddziałem przed górami. Powiedzmy, w Yokose. Zaproś pana Zatakiego do któregoś z pobliskich zdrojowisk, lecz spotkaj się z nim w Yokose. A kiedy przekaże ci to, co ma do przekazania, można zawrócić go z wszystkimi ludźmi, odprowadzić do granicy albo zniszczyć, co tylko zechcesz.

- Nie znam Yokose.

- Jest piękne, położone prawie w samym centrum Izu, wielmożny panie, za górami, w kotlinie -

rzekł z dumą Yabu. - Leży nad rzeką Kano, która płynie na północ. Na samym końcu Kano mija Mishimę i Numato i wpada do morza, ne? Yokose leży na skrzyżowaniu dróg - z północy na południe i ze wschodu na zachód. Tak, Yokose to świetne miejsce na spotkanie, wielmożny panie. Niedaleko jest źródło Shuzenji, z bardzo gorącą, doskonałą wodą - jeden z naszych najlepszych. Powinieneś go odwiedzić, wielmożny panie. Uważam, że propozycja pana Omiego jest dobra.

- Łatwo można się tam obronić?

- Tak, wielmożny panie - odparł szybko Omi. - Jest tam most. Górskie stoki stromo opadają w dół. Napastnicy musieliby walczyć na krętej drodze pod górę. Obie przełęcze utrzyma garstka ludzi.

Urządzenie tam na ciebie zasadzki jest niemożliwe. Mamy aż nadto żołnierzy, żeby cię obronić i jeśli będzie trzeba, wyrznąć dziesięć razy więcej przeciwników.

- Bez względu na to, co się stanie, i tak ich wyrzniemy, ne? - rzekł z pogardą Buntaro. - Ale lepiej tam niż tutaj. Pozwól, wielmożny panie, że zabezpieczę tę miejscowość na twój przyjazd.

Wezmę pięciuset łuczników na koniach, muszkietników wcale. Razem z samurajami mojego ojca to w zupełności wystarczy.

Toranaga sprawdził datę na liście.

- Kiedy dotrą do tego skrzyżowania dróg? - spytał.

- Najwcześniej dzisiaj wieczorem? - rzekł Yabu, spoglądając, żeby się upewnić, na Omiego.

- Prawdopodobnie nie wcześniej niż jutro o świcie.

- Buntaro-san, wyjedź natychmiast - powiedział Toranaga. - Zatrzymaj ich w Yokose, ale mają pozostać po drugiej stronie rzeki. Wyjadę jutro o świcie jeszcze z setką ludzi. Powinniśmy tam się znaleźć około południa. Yabu-san, na ten czas obejmiesz dowództwo nad pułkiem muszkieterów i będziesz osłaniał nasz odwrót. Zasadź się z nimi po drugiej stronie gościńca Heikawa, tuż za widnokretem, tak żebyśmy w razie potrzeby mogli się schronić za ich szeregi.

Buntaro chciał odejść, ale słysząc pytanie zaniepokojonego Yabu zatrzymał się.

- Jakże możliwa jest zdrada, wielmożny panie? Przecież oni mają zaledwie stu ludzi.

- Spodziewam się zdrady. Pan Zataki nie składałby głowy w moje ręce, gdyby nie miał jakiegoś planu, no, bo oczywiście, jeśli tylko będę miał okazję, to wezmę jego głowę - odparł Toranaga. -

Gdyby nie przewodził tym swoim fanatykom, to nasze szanse na przedostanie się przez jego góry byłyby o wiele większe. Dlaczego więc ryzykuje wszystko? Dlaczego?

- Czy byłby gotów znowu stać się naszym sojusznikiem? - spytał podchwytliwie Omi.

Wszyscy wiedzieli o długotrwałej rywalizacji, która istniała pomiędzy przyrodnimi braćmi. Aż dotąd była ona przyjacielska.

- Nie, nie on. Nigdy mu nie ufałem. Czy ktoś z was by mu w tej chwili zaufał?

Potrząsnęli przecząco głowami.

- Z pewnością nie masz powodu do zmartwienia, wielmożny panie - rzekł Yabu. - Owszem, pan Zataki jest regentem, ale spełnia jedynie rolę posłańca, ne?

„Głupcze!,- chciał krzyknąć Toranaga. - Czy ty nic nie rozumiesz?!”

- Wkrótce się dowiemy. Ruszaj natychmiast, Buntaro-san.

- Tak, wielmożny panie. Miejsce spotkania wybrałem starannie, ale nie dopuść go do siebie bliżej niż na dziesięć kroków. Byłem z nim w Korei. Mieczem posługuje się o wiele za szybko.

-.Tak.

Buntaro szybko odszedł.

- Może Zatakiego da się skusić do zdrady Ishido, na przykład nagrodami - podsunął Yabu. -

Czym go znęcić? Nawet gdyby nie dowodził tymi żołnierzami, to góry Shinano są straszne.

- Przynęta jest oczywista - odparł Toranaga. - Jest nią Kantō. Czyż nie tego pożąda, czyż nie tego zawsze pragnął? Czyż nie tego pragną wszyscy moi wrogowie? Czyż nie tego właśnie pożąda Ishido?

Nie odpowiedzieli mu. Nie było potrzeby.

- Oby Budda nam pomógł. Pokój zbudowany przez taikō dobiegł końca - rzekł ponuro Toranaga. - Zaczyna się wojna.

- Tak, Omi-sama, oczywiście.- powiedziała Gyoko. - Sprowadzę Anjin-sana natychmiast. Racz wybaczyć. Ako, chodź ze mną.

Gyoko posłała Ako po herbatę, a sama wpadła do ogrodu, zachodząc w głowę, jakie to ważne wieści przywiózł ten - galopujący posłaniec, bo ona również słyszała tętent kopyt. I dlaczego Omi zachowuje się dziś tak dziwnie? - zadawała sobie pytanie. - Dlaczego jest taki chłodny, szorstki i zły?. A poza tym czemu przybył tu sam w tak nieważnej sprawie? Czemu nie przysłał samuraja?

Weszła po wypolerowanych cedrowych stopniach. Zapukała w wypraktykowany sposób.

- Anjin-san. . Anjin-san. Bardzo przepraszam, ale przysłała po ciebie pan Toranaga. Masz natychmiast stawić się w warowni.

- Co? Co mówisz?

Powtórzyła to prostszymi słowami.

- Aha! Rozumiem! Dobrze. . będę szybko - usłyszała jego zabarwioną dziwnym akcentem odpowiedź.

- Bardzo przepraszam, racz wybaczyć. Kiku-san?

- Tak, Mama-san? - Po chwili shoji odsunęły się. Kiku uśmiechnęła się do niej, otulona kimonem i z włosami w uroczym nieładzie. - Dzień dobry, Mama-san, czy miałaś miłe sny?

- Tak, tak, dziękuję. Bardzo przepraszam, że ci przeszkadzam. Kiku-chan, czy napijesz się świeżej herbaty?

- Och!

Uśmiech Kiku zniknął. Było to umówione zdanie, które Gyoko mogła swobodnie wypowiedzieć w obecności każdego klienta. Informowało ono Kiku, że jej najwierniejszy klient, Omi, jest w herbaciarni. Dzięki temu Kiku zawsze mogła szybciej dokończyć swoją opowieść, pieśń czy taniec i, jeśli miała na to ochotę, iść do Omiego. Kiku poduszkowała z niewieloma mężczyznami, chociaż zabawiała wielu - jeżeli zapłacili odpowiednią stawkę. Bardzo, bardzo niewielu mogło sobie pozwolić na wszystkie jej usługi.

- Co się stało? - spytała Gyoko, pilnie jej się przypatrując.

- Nic, Mama-san. Anjin-san - zawołała wesoło Kiku. - Bardzo przepraszam, napijesz się cha?

- Tak, proszę.

- Zaraz ją przyniosą - powiedziała Gyoko; - Ako! Pośpiesz się, dziecino.

- Tak, pani.

Ako wniosła tacę z herbatą i dwiema filiżankami, nalała cha, Gyoko natomiast wyszła, jeszcze raz przepraszając Blackthorne'a za to, że mu przeszkodziła.

Kiku osobiście podała mu filiżankę. Wypił łączywie napój, a wtedy pomogła mu się ubrać. Ako przyniosła dla niej świeże kimono. Kiku była nadzwyczaj uprzejma, ale pochłaniała ją myśl o tym, że już wkrótce będzie musiała odprowadzić Anjin-sana za bramę i tam pokłonić mu się na pożegnanie.

Tego wymagały dobre maniery. Co więcej, był to jej” przywilej i obowiązek. Tylko damom Świata Wierzb pierwszej rangi wolno było przekroczyć bramę herbaciarni i oddać te tak rzadkie honory, wszystkie inne dziewczęta musiały pozostać na podwórku. Nie do pomyślenia było, żeby nie zakończyła tej nocy zgodnie z oczekiwaniami, byłby to bowiem straszliwy afront wobec gościa, a jednak. .

Po raz pierwszy w życiu Kiku broniła się przed złożeniem ukłonu odchodzącemu gościowi w obecności drugiego gościa.

Nie mogła, nie Anjin-sanowi wobec Omiego.

Dlaczego? - zadawała sobie pytanie. - Dlatego, że Anjin-san to barbarzyńca i wstyd ci przed całym światem, iż dowie się, że posiadał cię jeden z nich? Nie. Wie o tym całe Anjiro, a mężczyźni nie różnią się od siebie, najczęściej. Ten człowiek to samuraj, hatamoto, admirał okrętów pana Toranagi! Nie, to nie z tego powodu.

A więc z jakiego?

To dlatego, że w nocy spostrzegłam, iż wstydzę się tego, co mu zrobił Omi. Wszyscy powinniśmy się tego wstydzić. Omi w żadnym razie nie powinien był tego robić. Anjin-san jest napiętnowany, a ja chyba wyczułam to piętno przez jego jedwabne kimono. Płonę ze wstydu z jego powodu, z powodu dobrego człowieka, którego nigdy nie powinno było coś takiego spotkać.

Czy jestem zbrukana?

Nie, oczywiście, że nie, tylko wstyd mi przed nim. I wstyd mi przed Omim, że się wstydzę.

I wtedy do najgłębszych zakamarków jej świadomości dotarł głos Mamy-san, powtarzającej:

„Dziecko, dziecko, męskie sprawy pozostaw mężczyznom. Naszym balsamem na nich jest nasz śmiech, a także balsamem na bogów, a nawet na starość”.

- Kiku-san?

- Tak, Anjin-san?

- Idę.

- Tak. Chodźmy razem - powiedziała.

Blackthorne czule ujął jej twarz w szorstkie dłonie i pocałował.

- Dziękuję. Brak mi słów na to, by ci podziękować - rzekł.

- To ja powinnam ci podziękować. Pozwól, że ci podziękuję, Anjin-san. Chodźmy już.

Pozwoliła, żeby Ako dokończyła ostatnich poprawek przy jej włosach, które pozostawiła luźne, opasała świeże kimono obi i wyszła z Blackthorne'em.

Szła, tak jak pozwalał jej na to przywilej, przy jego boku, a nie kilka kroków na nim, tak jak żona, konkubina, córka lub służąca. Na chwilę położył dłoń na jej ramieniu. Było to dla niej okropne, ponieważ nie znajdowali się sami w zamkniętym pokoju. Nagle ogarnęło ją potworne przeczucie, że on - co, jak wspomniała Mariko, było zwyczajem barbarzyńców - pocałuje ją publicznie przy bramie.

O Buddo, nie dopuść do tego, pomyślała, bliska zemdlenia ze strachu.

Jego miecze były w pokoju przyjęć. Zgodnie ze zwyczajem wszelką broń pozostawiano pod strażą, na zewnątrz pokojów uciech, żeby zapobiec śmiertelnym nieporozumieniom pomiędzy klientami, a także, by nie dopuścić do śmierci pensjonariuszek. Nie wszystkie damy Świata Wierzb miały bowiem szczęście i los im sprzyjał.

Blackthorne zatknął miecze za pas. Kiku w ukłonach wyprowadziła go na werandę, gdzie włożył

sandały. Gyoko i inne kobiety zebrały się, żeby się pokłonić odchodzącemu honorowemu gościowi. Za bramą był wioskowy plac i morze. Kręciło się tam mnóstwo samurajów, a pośród nich Buntaro. Kiku nie dostrzegła Omiego, chociaż była pewna, że skądś im się przygląda.

Anjin-san wydawał się jej strasznie wysoki, a ona przy nim taka mała. Właśnie szli przez podwórko. Omiego zobaczyli oboje w tej samej chwili. Stał w pobliżu bramy.

Blackthorne zatrzymał się.

- Dzień dobry, Omi-san - powiedział jak przyjaciel i ukłonił się przyjacielsko, nie mając pojęcia, że Omi i Kiku są więcej niż znajomymi.

Skąd miałby o tym wiedzieć, pomyślała. Nikt mu tego nie powiedział, bo i po co. Zresztą, jakie to ma znaczenie?

- Dzień dobry, Anjin-san - odparł Omi, również przyjacielskim, tonem, ale zauważyła, że jego ukłon jest tylko zdawkowy.

Po chwili jego czarne jak węgiel oczy spoczęły na niej, więc z nieskazitelnym uśmiechem ukłoniła mu się.

- Dzień dobry, Omi-san. Twoja obecność zaszczyca ten dom.

- Dziękuję, Kiku-san. Dziękuję.

Widząc, że patrzy na nią badawczo, udała, że tego nie dostrzega, i skromnie spuściła wzrok. Z werandy przyglądały się im Gyoko, służące i dziewczęta, które akurat nie były zajęte.

- Idę do warowni, Omi-san - rzekł Blackthorne. - Wszystko dobrze?

- Tak. Przysłał mnie po ciebie pan Toranaga.

- Idę już. Liczę, że niedługo się zobaczymy.

- Tak.

Kiku podniosła oczy. Omi nadal się w nią wpatrywał. Uśmiechnęła się najładniej, jak umiała, i spojrzała na Anjin-sana. Bacznie przyglądał się Omiemu. A kiedy wyczuł na sobie wzrok Kiku, ponownie popatrzył na nią i uśmiechnął się w sposób nieco wymuszony.

- Bardzo przepraszam, Kiku-san, Omi-san, muszę iść - rzekł i ukłonił się Omiemu.

Jego ukłon został odwzajemniony. Blackthorne wyszedł za bramę. Podążyła za nim, ledwie oddychając. Ruch na placu zamarł. W ciszy ujrzała, jak Blackthorne odwraca się i przez jedną straszną chwilę była pewna, że chce ją objąć. Ale ku jej wielkiej uldze nie zrobił tego, lecz jedynie stał jak człowiek cywilizowany i czekał.

Czując, że Omi świdruje ją wzrokiem, Kiku złożyła Blackthorne'owi najczulszy ukłon.

- Dziękuję, Anjin-san - powiedziała, uśmiechając się tylko do niego jednego. Przez plac przebiegło westchnienie. - Dziękuję ci -7” powtórzyła i zgodnie z uświęconym zwyczajem dodała:;-

Odwiedź mnie znowu, proszę. Będę niecierpliwie liczyła chwile do następnego spotkania.

Ukłonił jej się ze stosowną niedbałością i odszedł wyniosłym krokiem jak samuraj wysokiej rangi. Kiku, ponieważ potraktował ją nader właściwie, chcąc odplacić Omiemu za jego niepotrzebnie zbyt chłodny ukłon, zamiast od razu wrócić do herbaciarni, pozostała na miejscu, patrząc za odchodzącym Anjin-sanem, by w ten sposób uhonorować go jeszcze bardziej. Zaczekała, aż dojdzie do rogu ulicy, i wtedy zobaczyła, że się odwraca. Skinął jej ręką. Ukłoniła mu się bardzo nisko, zachwycona, że skupiła na sobie uwagę całego placu, i udała, że tego nie zauważa. I dopiero kiedy naprawdę straciła go z oczu, powróciła do domu. Dumnie i z wielką elegancją. Nim znikła za furtką, patrzyli, na nią wszyscy mężczyźni, pasąc oczy taką pięknnością i zazdroszcząc Anjin-sanowi, który na pewno był ogromnie męski, skoro aż tak długo stała przy bramie.

- Jesteś taka piękna - zachwycił się Omi.

- Chciałabym, żeby to była prawda, Omi-san - odparła z odrobinę tylko mniej olśniewającym

uśmiechem. - Napijesz się cha? Albo coś zjesz?

- Z tobą, tak.

- Racz mi wybaczyć moje złe maniery, Omi-sama - powiedziała obłudnie Gyoko, podchodząc do nich. - Ale zapraszam cię, żebyś z nami zjadł. Czy jadłeś już coś dzisiaj?

- Nie. . jeszcze nie, ale nie jestem głodny. - Omi zerknął na Kiku.- Czy już jadłaś?

- Pozwól, że poczęstujemy cię czymś, co nie będzie aż tak bardzo odbiegało od twoich wymagań, Omi-sama - wtrąciła zaborczo Gyoko. - Dołączysz do nas, kiedy się przebierzesz, Kiku-san?

- Oczywiście, przebacz mi, Omi-sama, że pojawiłam się w takim stroju. Bardzo przepraszam.

Kiku odbiegła, udając zadowolenie, którego nie czuła, a w ślad za nią Ako.

- Chciałbym z nią dziś spędzić wieczór, żeby zjeść i dla rozrywki - oświadczył Omi.

- Oczywiście, Omi-sama - odparła z niskim ukłonem Gyoko wiedząc, że dziewczyna nie będzie wolna. - Zaszczycasz naszą herbaciarnię i czynisz nam aż nadto wiele honoru. Jakie to szczęście dla Kiku-san, że cieszy się twoimi względami.

.- Trzy tysiące koku? - spytał zgorszony Toranaga.

- Tak, wielmożny panie.

Siedzieli na jego osobistej werandzie w warowni. Zaczęło padać, ale deszcz nie złagodził

dziennego upału. Mariko była apatyczna, bardzo zmęczona i tęskniła do jesiennego chłodu.

- Bardzo przepraszam, ale nie mogę dłużej pertraktować z tą kobietą. Rozmawiałam z nią prawie do świtu. Bardzo mi przykro, wielmożny panie, ale kazałeś mi zakończyć targi zeszłej nocy.

- Ale aż trzy tysiące koku? To zdzierstwo!

- Tak jest, wielmożny panie. Masz słuszność. Wina jest całkowicie po mojej stronie. Myślałam, że nawet pięćset to przesada, ale ta Gyoko nie chciała nic opuścić. Poszła, wszakże na jedno ustępstwo.

- Jakie?

- Z całą czołobitnością godzi się na obniżenie ceny do dwóch i pół tysiąca, jeżeli wyświadczysz jej zaszczyt i zgodzisz się jej wysłuchać przez jedną trociczkę kadzidła.

- Mama-san obniża cenę o pięćset koku tylko za rozmowę ze mną? - Tak, wielmożny panie.

- Dlaczego? - spytał podejrzliwie.

- Zdradziła mi powód, wielmożny panie, ale pokornie prosiła, żeby mogła wyłożyć ci go osobiście.

Uważam, że jej propozycja cię zainteresuje. A poza tym pięćset koku. . to oszczędność.

Mimo że Kiku jest damą pierwszej rangi i całkowicie zasługuje na swój status, to jestem przerażona, że - nie potrafiłam zawrzeć korzystniejszej umowy. Wiem, że cię zawiodłam.

- To prawda - odparł cierpko Toranaga. - Nawet tysiąc byłoby za wiele. To nie Kioto, ale Izu!

- Masz całkowitą rację, wielmożny panie. Powiedziałam tej kobiecie, że jej cena jest tak bardzo niedorzeczna, że sama nie mogę o niej decydować, mimo że kazałeś mi sfinalizować tę umowę zeszłej nocy. Mam nadzieję, że wybaczysz mi to nieposłuszeństwo, ale zapowiedziałam jej, że przed zawarciem umowy muszę się wpierw - poradzić pani Kasigi, matki pana Omiego, która jest tu najstarszą damą.

Toranaga rozpogodził się, zapominając o wszystkich swoich zmartwieniach.

- Aha, a więc to załatwione, ale nie załatwione?

- Tak, wielmożny panie. Nic nie jest przesądzone, dopóki nie zasięgnę rady tej szacownej damy. Obiecałam, że odpowiedź dam dziś do południa. Przepraszam za moje nieposłuszeństwo.

- Powinnaś zakończyć te pertraktacje, tak jak ci kazałem! - Toranaga radował się w duchu, że Mariko tak mądrze stworzyła mu okazję do wyrażenia zgody lub sprzeciwu w taki sposób, żeby nie stracił przy tym twarzy. Było nie do pomyślenia, żeby on sam uciekał się do wybiegów w kwestii tak błahej jak pieniądze. Ale oh ko, trzy tysiące koku! . - Powiadasz, że kontrakt tej dziewczyny jest wart tyle, co wikt tysiąca rodzin przez trzy lata?

- Dla amatora wart każdego ziarnka. Toranaga przyjrzał się jej przenikliwie.

- Ach tak? A zatem opowiedz mi o niej i o tym, co zaszło. Opowiedziała mu o wszystkim, pomijając jedynie swoje uczucie do Anjin-sana i jego głębokie uczucie do niej. A także propozycję, jaką złożyła jej Kiku.

- Dobrze. Tak, doskonale. Mądrze zrobiłaś. Tak - pochwalił ją Toranaga. - Musiał ją naprawdę zadowolić, skoro już po pierwszym razie tak go żegnała przy bramie.

Prawie całe Anjiro czekało na tę chwilę, żeby przekonać się, jak się zachowa tych dwoje, barbarzyńca i Wierzbowa Dama pierwszej rangi.

- Tak.

- Te trzy koku to dobrze zainwestowane pieniądze. Teraz będzie go poprzedzać fama.

- Tak - przyznała Mariko, bardzo dumna z faktu, że Blackthorne'owi się powiodło. - To nadzwyczajna kobieta, wielmożny panie.

Toranagę zaintrygowało przekonanie Mariko o wartości tej transakcji. Ale cena pięćset koku za kontrakt byłaby godziwsza. Większość właścicielek herbaciarni nie zarabiała takiej sumy w ciągu

całego życia, więc jeżeli jedna z nich w ogóle była gotowa zrezygnować z pięciuset koku. .

- Jest warta każdego ziarnka, powiadasz? Trudno mi w to uwierzyć.

- Dla odpowiedniego człowieka, wielmożny panie. Ja w to wierzę. Ale nie mogę oceniać, kto byłby tym właściwym.

Zapukano do shoji.

- Tak?

- Przy bramie jest Anjin-san, wielmożny panie - zameldował strażnik.

- Wprowadźcie go.

- Tak, wielmożny panie.

Toranaga powachlował się. Ukradkiem spojrzął na Mariko, i spostrzegł chwilowe ożywienie na jej twarzy. Umyślnie nie uprzedził jej, że po niego posłał.

Co robić? Wszystkie plany obowiązują dalej, myślał. Ale w tej chwili potrzebuję Buntaro, Anjina i Omiego jeszcze bardziej. A już najbardziej potrzebuję Mariko.

- Dzień dobry, Toranaga-sama.

Odkłonił się Blackthorne'owi i odnotował sobie, że ten rozpromienił się na widok Mariko.

- Mariko-san - rzekł po zwyczajowych powitaniach i odpowiedziach - powiedz mu, że o świecie wyjeżdża ze mną. Ty również. Pojedziesz dalej, do Osaki.

Przeszedł ją dreszcz.

- Tak, wielmożny panie.

- Jadę w Osakę, Toranaga-sama? - spytał Blackthorne.

- Nie, Anjin-san. Mariko-san, powiedz mu, że na parę dni jadę do źródła Shuzenji. Oboje będziecie mi towarzyszyć. Ty pojedziesz dalej, do Osaki. On pojedzie z tobą do granicy, a stamtąd sam do Edo.

Przyglądał się im uważnie, kiedy Blackthorne mówił coś do niej prędko i nagłym tonem.

- Bardzo przepraszam, Toranaga-sama, ale Anjin-san pokornie pyta, czy nie mógłby mnie wypożyczyć jeszcze na kilka dni. Racz wybaczyć, ale mówi, że moja obecność ogromnie przyśpieszyłaby sprawę jego statku. Potem, gdybyś sobie tego życzył, natychmiast wziąłby któryś z twoich przybrzeżnych okrętów i zawiózł mnie do Osaki, a sam popłynął do Nagasaki. Twierdzi, że to zaoszczędziłoby czasu.

- Jeszcze nie podjąłem żadnej decyzji w sprawie jego statku. Ani. jego załogi. Może nie będzie musiał płynąć do Nagasaki. Dokładnie mu to wyjaśnij. Nie, nie podjąłem żadnej decyzji. Ale rozważę prośbę dotyczącą ciebie. Jutro dowiesz się, co postanowiłem. A teraz możesz odejść. .

Aha, ostatnia sprawa, Mariko-san, powiedz mu, że chcę poznać jego genealogię. Może ją spisać, a ty mi ją przełożysz i potwierdzisz, że jest prawidłowa.

- Tak, wielmożny panie. Czy ma to zrobić natychmiast?

- Nie. Po przyjeździe do - Edo będzie miał na to dość czasu., Mariko wyjaśniła rzecz Blackthorne'owi.

- A po co mu ona? - spytał. Mariko wpatrzyła się w niego.

- Bo wszyscy samuraje muszą mieć oczywiście zapisane daty urodzin i śmierci, Anjin-san, podobnie jak swoje lenna i tytuły własności ziemskich. Jakże inaczej lenny pan mógłby zawiadywać wszystkim? Czyż nie jest tak samo w twoim kraju? Tutaj z mocy prawa wszyscy mieszkańcy są zapisani w urzędowych rejestrach, nawet eta: ich narodziny, zgony i małżeństwa. Każde sioło, wioska lub ulica miasta mają swój urzędowy zwój pergaminu. Jakże inaczej byłoby wiadomo, gdzie i do kogo należysz?

- My tego nie zapisujemy. Nie zawsze. I nieurzędowo. Wszystko jest zarejestrowane?

Każdy?.

- O, tak, nawet eta, Anjin-san. To ważne, ne? Bo wtedy nikt nie może udawać kogoś, kim nie jest, łatwiej jest złapać złoczyńców, a mężczyźni, kobiety ani rodzice nie mogą oszukiwać przy zawieraniu małżeństw, ne?

Blackthorne odłożył na później rozważenie tego, co usłyszał, i w grze z Toranagą zagrał

kolejną kartą, która, jak liczył, doprowadzi do zagłady Czarnej Karaweli.

Mariko wysłuchiwała go uważnie i po zadaniu paru pytań zwróciła się do Toranagi.

- Wielmożny panie, Anjin-san dziękuje ci za okazane względy i liczne dary. Pyta, czy wyświadczyłbyś mu zaszczyt i wybrał osobiście jego dwustu żołnierzy. Mówi, że twoje rady są warte każdej ceny.

- Warte tysiąc koku? - spytał od razu Toranagą. Zobaczył zaskoczenie Mariko i pilota. Jak to dobrze, że tak łatwo cię przejrzeć, Anjin-san, mimo pozorów ucywilizowania, pomyślał. Gdybym był

hazardzistą, założyłbym się o to, że ta prośba o poradę nie jest twoim pomysłem.

- Hai! - usłyszał stanowczą odpowiedź Blackthorne'a.

- To dobrze - odparł krótko. - Skoro Anjin-san jest taki szczodry, to przyjmuję jego propozycję.

Tysiąc koku. Przyda się innym samurajom będącym w potrzebie. Powiedz mu, że jego żołnierze będą na niego oczekiwać w Edo. Zobaczymy się jutro o świcie, Anjin-san.

- Tak. Dziękuję, Toranaga-sama.

- Mariko-san, natychmiast zasięgnij rady pani Kasigi. Ponieważ ty zaakceptowałaś ową sumę, to ona, pomimo nikczemności tej umowy, też ją, jak sądzę, zaaprobuje, chociaż z uwagi na niedorzecznie wygórowaną cenę, rozważenie sensu tej transakcji zajmie jej czas aż do jutra rana.

Wyślij służącą do tej Gyoko z poleceniem, żeby stawiła się tu o zachodzie słońca. Może przyprowadzić tę dziewczynę. Kiku-san może nam przecież pośpiewać w trakcie rozmowy, ne?

Odprawił Mariko i Blackthorne'a, zadowolony, że zaoszczędził tysiąc pięćset koku. Niektórzy ludzie są tacy rozrzutni, pomyślał życzliwie.

- A czy zostanie mi dosyć na załogę? - spytał Blackthorne.

- O, tak, Anjin-san. Ale jeszcze nie wyraził zgody na twój rejs do Nagasaki - odparła Mariko.

- Pięćset koku wystarczy aż nadto na roczne utrzymanie, a z drugiego pięćset będziesz miał sto osiemdziesiąt kobanów na wynajęcie marynarzy. To bardzo dużo pieniędzy.

Fujiko uniosła się zboląła na posłaniu i coś powiedziała do Mariko.

Twoja konkubina mówi, że nie powinieneś się martwić, Anjin-san. Da ci listy uwierzytelniające do pożyczkodawców, od których otrzymasz tyle, ile ci będzie potrzeba. Wszystko załatwi.

- Tak, ale czy nie muszę opłacić swoich żołnierzy? Z czego zapłacę za dom, Fujiko-san, za jego utrzymanie?

- Wybacz mi, proszę - odparła z oburzeniem Mariko - ale to przecież nie twoje zmartwienie.

Twoja konkubina zapewniła, że o wszystko - zatroszczy się sama. Ona. .

Fujiko przerwała jej i przez chwilę rozmawiały.

- Ah so desu, Fujiko-san! - Mariko zwróciła się ponownie do Blackthorne'a. - Mówi, że nie wolno ci tracić czasu na myślenie o tym. Uniżenie prosi cię, byś poświęcił swój czas na zajęcie się kłopotami pana Toranagi. W razie potrzeby ma własne fundusze, do których może sięgnąć.

Blackthorne zamrugał oczami.

- Pożycz mi własne pieniądze? - spytał.

- O, nie, Anjin-san, naturalnie da ci je, jeżeli zajdzie potrzeba. Nie zapominaj, że twoim zmartwieniem jest tylko przetrwać ten rok - wyjaśniła Mariko. - W następnym będziesz bogaty, Anjin-san. A jeśli chodzi o twoich żołnierzy, to każdy otrzyma za rok służby po dwa koku. Nie

zapominaj, że Toranaga-sama podarował ci uzbrojenie i konie dla nich, a dwa koku wystarczy na utrzymanie ich rodzin i koni. Nie zapominaj, że dałeś panu Toranadze połowę swojego rocznego dochodu w zamian za to, że osobiście dobierze ci tych żołnierzy. To ogromny zaszczyt, Anjin-san.

- Tak myślisz?

- Och, na pewno. Fujiko-san w pełni się z tym zgadza. To był nadzwyczaj mądry pomysł.

- Dziękuję.

Blackthorne pozwolił sobie na okazanie umiarkowanego zadowolenia. Odzyskujesz rozum i zaczynasz myśleć tak jak oni, rzekł sobie w duchu, uszczęśliwiony. Tak, wciągnięcie do tej sprawy Toranagi to udane posunięcie. Teraz będziesz miał najlepszych żołnierzy, których nigdy sam byś nie zdobył. Cóż znaczy tysiąc koku w zestawieniu z Czarną Karawelą? Tak więc znów potwierdziły się słowa Mariko: ze jedną ze słabości Toranagi jest sknerstwo. Naturalnie, nie powiedziała tego wprost, tylko tyle, że w gromadzeniu niewiarygodnych bogactw Toranaga prześcignął wszystkich daimyō w cesarstwie. Ta wskazówka oraz jego własne spostrzeżenia, że szaty Toranagi są tak zwykłe jak jego jedzenie, a styl życia niewiele się różni od stylu życia przeciętnego samuraja, dały mu jeszcze jeden klucz do dobrania się do władcy Kantō.

Dziękuję Ci, Boże, za Mariko i za brata Domingo!

Fujiko właśnie coś mówiła. Obserwował ją. Bandaże miała nadal poplamione. Zbolała spoczywała na futonach, a służąca wachlowała ją-

- Do rana wszystko dla ciebie załatwi, Anjin-san - zapewniła Mariko. - Twoja konkubina proponuje, żebyś wziął w drogę dwa konie wierzchowe i jednego jucznego. Jednego służącego i służącą. .

- Wystarczy służący.

- Bardzo przepraszam, ale służąca musi jechać, by ci usługiwać. A ponadto oczywiście kucharz i kuchcik.

- Czy tam nie będzie kuchni, z której my. . ja będę korzystał?

- Będą. Ale i tak musisz mieć swoich kucharzy, Anjin-san. Jesteś hatamoto.

Wiedział, że nie ma sensu się z nią spierać.

- Wszystko pozostawiam tobie - rzekł.

- Och, to bardzo mądrze z twojej strony, Anjin-san, bardzo mądrze. A teraz wybacz, muszę iść i spakować się.

Mariko odeszła uszczęśliwiona. Nie rozmawiali z sobą wiele, a po łacinie tylko tyle, by mieć pewność, że choć tamta czarodziejska noc nie znalazła spełnienia i nigdy nie będą o niej mówić, tak jak i o pierwszej wspólnej nocy, to jednak nigdy jej nie zapomną.

- Moja ty.
- Mój ty.
- Kiedy usłyszałam, że tak długo stała przy tej bramie, byłam taka dumna. Twoja opinia ogromnie wzrosła, Anjin-san.
- Przez chwilę omal nie zapomniałem, co mi powiedziałaś. Mimowolnie byłem o włos od pocałowania jej publicznie.
- Oh ko, Anjin-san, to byłoby straszne!
- Oh ko, masz słuszość, pani! Gdyby nie ty, całkiem straciłbym twarz, niczym robak wijący się po ziemi.
- Lecz zamiast tego zdobyłeś sławę, a twoja męskość jest niewątpliwa. Czy użyłeś sobie z pomocą któregoś z tych dziwnych przyrządów?
- Och, piękna pani, w moim kraju mamy pradawny zwyczaj: mężczyzna nie rozprawia o intymnych zwyczajach jednej damy z drugą.
- My mamy ten sam zwyczaj. Ale ja pytałam, czy sobie użyłeś z pomocą któregoś, a nie czy któregoś używałaś. Tak, mamy ten sam zwyczaj, jak najbardziej. Rada jestem, że ten wieczór ci się spodobał.
- Mariko uśmiechnęła się miło. - W Japonii mądrze jest postępować po japońsku, ne?
- Nie mam dość podziękowań za twoje nauki, za porady, za otworzenie mi oczu - rzekł. - Za to..
Chciał powiedzieć „za to, że mnie kochasz”, ale zamiast tego dodał „że jesteś”.
- Ja nic nie zrobiłam. Zawdzięczasz to sobie.
- Dziękuję ci, za wszystko.. za twój dar.
- Cieszę się, że sprawił ci on taką przyjemność.
- Przykro mi, ale nie miałem żadnej przyjemności. Rad jestem, że i ty jedziesz do tego źródła. Ale dlaczego do Osaki?
- Och, nie mam rozkazu jechać do Osaki. Jadę do niej za pozwoleniem pana Toranagi. Mam tam pewne sprawy rodzinne i majątkowe, które wymagają dopatrzenia. A poza tym w Osace jest teraz mój syn. Ponadto mogę zawieźć poufne wieści dla Kiritsubo-san i pani Sazuko.
- A czy to nie jest niebezpieczne? Przypomnij sobie własne słowa: zbliża się wojna, a Ishido to wróg. Pan Toranaga mówi to samo, czyż nie?
- Tak. Ale jeszcze nie ma wojny, Anjin-san. A samuraje nie wojują z kobietami, chyba-że one wojują z nimi.

- Ale czy ty nie wojujesz, pani? A co z mostem w Osace, tym nad fosą? Czyż nie przeszłaś po nim wraz ze mną, żeby zmylić Ishido? Byłby mnie zabił. A pamiętasz swój miecz w czasie walki na galerze?

- Och, chodziło mi wyłącznie o uratowanie mojego pana i o ocalenie własnego zagrożonego życia. To mój obowiązek, Anjin-san, i tyle. Nic mi nie grozi. Byłam damą dworu pani Yodoko, wdowy po taikō, a nawet dworu pani Ochiby, matki następcy. Mam zaszczyt być ich przyjaciółką. Jestem zupełnie bezpieczna. Właśnie dlatego Toranaga-sama pozwala mi jechać. Ale dla ciebie Osaka nie jest bezpieczna z powodu ucieczki pana Toranagi i tego, co spotkało pana Ishido. Więc twoja noga stanąć tam nie może. Bezpieczny będziesz w Nagasaki.

- A więc zgodził się, żebym tam popłynął?

- Nie. Jeszcze nie. Ale kiedy się zgodzi, będziesz tam bezpieczny. Gn ma w Nagasaki władzę.

Chciał spytać, czy większą od jezuitów, ale zamiast tego powiedział:

- Modłę się o to, żeby pan Toranaga kazał ci popłynąć do Osaki. - Zobaczył, że Mariko lekko drży. - Co cię trapi?

- Nic, poza tym. . poza tym, że nie lubię morza.

- A wyda taki rozkaz?

- Nie wiem. Ale. . - Znow zmienila się w figlarną trzpiotkę i przeszła na portugalski. - Ale dla twojego dobrego zdrowia powinniśmy zabrać ze sobą Kiku-san, ne? Czy dziś wieczorem zajrzysz znowu do jej Cynobrowej Komnaty?

Zaśmiał się wraz z nią.

- Byłoby miło, ale. . - Urwał, przypominając sobie nagle bardzo wyraźnie minę Omiego. -

Wiesz, Mariko-san, kiedy stałem przy bramie herbaciarni, spostrzegłem, jestem tego pewien, że Omi patrzy na Kiku w bardzo szczególny sposób, jak kochanek. Zazdrosny kochanek. Nie wiedziałem, że oni są kochankami.

- O ile wiem, jest jednym z jej klientów, tak, klientem ulubionym. Ale co tobie do tego?

- Ponieważ patrzył na nią w sposób bardzo osobisty. Bardzo szczególny.

- On nie ma do niej wyjątkowych praw, Anjin-san. Kiku jest kurtyzaną pierwszej rangi. Może przyjmować lub odrzucać kogo chce.

- Gdybyśmy byli w Europie, a ja poduszkowałbym z jego dziewczyną. . rozumiesz, Mariko-san?

- Chyba rozumiem, Anjin-san, ale co cię to obchodzi? Nie jesteś w Europie, on nie ma do niej żadnych oficjalnych praw. Jeżeli ona zechce przyjąć i jego, i ciebie, a nawet obu was Odrzucić, to co

to ma wspólnego z czymkolwiek?

- Wyczuwam, że jest jej kochankiem, w naszym sensie tego słowa. A to ma z tym wspólnego wszystko, ne?

Podziękował jej i na tym zakończył rozmowę. Poszedł do swojego pokoju. Wyjął z ukrycia pistolet, sprawdził ładunek i wetknął broń pod kimono. A potem poszedł sam do domu Omiego.

Omiego nie zastał. Przywitała go Midori i poczęstowała herbatą, ale grzecznie jej odmówił. Na rękach trzymała dwuletnie dziecko. Bardzo przeprosiła i zapewniła, że Omi niedługo wróci. Czy Blackthorne zechciałby poczekać? Mimo uprzejmości i ugrzecznienia była jakaś skrępowana.

Odmówił jeszcze raz, podziękował jej, oznajmił, że przyjdzie później, i zszedł do swojego domu.

Wieśniacy już oczyścili teren, szykując się do odbudowy. Z ognia uratowano jedynie naczynia kuchenne i garnki. Fujiko nie zdradziła mu kosztów postawienia nowego domu. Oświadczyła, że są bardzo niskie, i żeby się tym nie przejmował.

- Karma, Anjin-sama - odezwał się któryś z chłopów.

- Tak.

- Co począć? Nie martw się, twój dom wkrótce będzie gotowy. . lepszy niż poprzedni.

Blackthorne zauważył Omiego, który, napięty i srogi, wspinał się na wzgórze. Wyszedł mu na spotkanie. Na jego widok gniew Omiego nieco opadł.

- O, Anjin-san - powiedział serdecznie. - Słyszałem, że ty również wyjeżdżasz o świcie z panem Toranagą. Bardzo dobrze, pojedziemy razem.

Pomimo jego jawnie przyjacielskiego zachowania Blackthorne miał się mocno na baczności.

- Posłuchaj, Omi-san, teraz idę tam. - Wskazał na płaskowyż. - Idź, proszę, ze mną, tak?

Omi spostrzegł, że Blackthorne w charakterystyczny sposób trzyma dłoń na rękojeści długiego miecza. Potem zaś bystrymi oczami wypatrzył wzgórek pod jego pasem i na podstawie zarysu kształtów natychmiast poznał, że jest to ukryty pistolet.

- Mężczyzna, któremu pozwala się na noszenie mieczy, powinien umieć robić z nich użytek," a nie tylko z nimi paradować, ne? - spytał cicho.

- Proszę? Nie rozumiem.

Omi powtórzył to prostszymi słowami.

- Ach, rozumiem. Tak. Tak lepiej.

- Tak. Pan Yabu twierdzi, że ponieważ zostałeś prawdziwym samurajem, powinieneś wyuczyć się wielu rzeczy, które dla nas są naturalne. Na przykład, jak asystować komuś przy seppuku, a nawet jak przygotować się do tego samego, do czego wszyscy jesteśmy 'zobowiązani. Tak, Anjin-san, powinieneś nauczyć się władać mieczem. Samuraj musi bezwzględnie umieć posługiwać się swoim mieczem i go czcić, ne?

Blackthorne nie rozumiał nawet połowy słów. Ale wiedział, o czym mówi Omi. A przynajmniej wiem to z grubsza, poprawił się zaniepokojony.

- Tak. Prawda. Ważne - odparł. - Proszę, kiedyś ty uczy. . przepraszam, ty może uczysz?

Słucham? To zaszczyt dla mnie.

- Tak. . Chciałbym cię uczyć, Anjin-san.

Blackthorne'owi zjeżyły się włosy na karku, bo w głosie Omiego dosłyszał zamierzoną groźbę.-

Pilnuj się, przypominał sobie. Nie fantazuj.

- Dziękuję ci. Teraz pójść tam, proszę. Mało czasu. Ty iść? Z mną? Tak?

- Dobrze, Anjin-san. Ale pojedziemy. Zaraz cię dogonię.

Omi wspinał się na górę i - wszedł na własne podwórko.

Blackthorne nakazał służącemu osiodłać konia i dosiadł go niezgrabnie z prawej strony, jak to było we zwyczaju w Japonii i w Chinach, Nie myśl, że ci coś pomoże to, że pozwolisz mu uczyć cię szermierki, rzekł do siebie, prawą ręką poprawiając ukryty pistolet, którego przyjemne ciepło dodawało mu odwagi. Pewność siebie opuściła go jednak, kiedy nadjechał Omi. Towarzyszyło mu czterech samurajów.

Razem pogalopowali popękaną drogą w stronę płaskowyżu. Minęli wiele kompanii samurajów, którzy w pełnym rynsztunku i uzbrojeniu, wśród trzepotu chorągwi na włóczniach maszerowali pod dowództwem oficerów. Kiedy wjechali na górę, ujrzeli cały pułk muszkietów rozciągnięty w szyku przy obozie i gotów do wymarszu. Żołnierze stali obok opancerzonych koni, na samym końcu kolumna z bagażami, a na czele Yabu, Naga i ich oficerowie. Zaczęło mocno padać.

- Wszystkie oddziały jadą? -" spytał wzburzony Blackthorne i ściągnął koniowi cugle.

- Tak.

- Jadą do zdroj z Toranaga-sama, Omi-san?

- Nie wiem.

Samozachowawczy instynkt podpowiedział Blackthorne'owi, żeby o nic więcej nie pytać. Ale jedno pytanie domagało się odpowiedzi.

- A Buntaro-sama? - spytał Obojętnym tonem. - On jutro z nami, Omi-san?

- Nie. Już wyjechał. Dziś rano, kiedy wychodziłeś z herbaciarni, był na placu. Nie widziałeś go niedaleko herbaciarni? - odrzekł Omi.

Blackthorne nie dostrzegł niczego niezwykłego w jego minie.

- Nie, nie widziałem, przykro mi. On jechał też do źrój?

- Tak przypuszczam. Nie jestem pewien. - Z zawiązanego pod brodą, stożkowatego kapelusza Omiego skapywał deszcz. Oczy Japończyka były prawie niewidoczne. - No więc, dlaczego chciałeś, żebym tu z tobą przyjechał?

- Jak mówię, pokazać miejsce.

Zanim Omi mógł cokolwiek powiedzieć, Blackthorne uderzył konia ostrogami i ruszył. Dzięki wyrobionemu na morzu instynktowi żeglarskiemu odtworzył z pamięci położenie rozpadliny.

Podjechał. prędko w odpowiednie miejsce. Zeskoczył z konia i przywołał Omiego gestem.

- Proszę.

- O co chodzi, ha? - spytał z irytacją Omi.

- Proszę, tutaj, Omi-san. Ty sam.

Omi dał znak swoim strażnikom, żeby odjechali, i ruszył galopem, nagle wyrastając nad Blackthorne'em.

- Nan desu ka? - powtórzył, niedwuznacznie zaciskając dłoń na mieczu.

- To miejsce Toranaga-sama. - Ponieważ Blackthorne'owi nie chciały przyjść do głowy odpowiednie słowa, wyjaśnił, o co chodzi, częściowo z pomocą rąk.

- Rozumie?

- Tutaj wyrwałeś go ziemi, ne? Więc?

Blackthorne spojrzał na Omiego, z rozmysłem spuścił wzrok na jego miecz i bez słowa spojrzał na niego powtórnie. Otarł z twarzy deszcz.

- Nan desu ka? - Omi był już bardzo zirytowany.

Blackthorne nie odpowiedział. Omi spojrzał w rozpadlinę i znowu na Blackthorne'a. I nagle oczy mu rozbłysły.

- Ah so desu! Wakarimasu! - Po chwili zastanowienia przywołał jednego ze strażników. -

Sprowadź tu natychmiast Murę - polecił. - Z dwudziestoma ludźmi i łopatami!

Samuraj odjechał galopem. Omi odesłał pozostałych do wsi, zsiadł z konia i stanął przy Blackthornie.

- Tak, Anjin-san, to doskonała myśl - pochwalił. - Dobry pomysł.

- Pomysł? Jaki pomysł? - spytał niewinnie Blackthorne. - Ja tylko pokazał miejsce. . myślał, ty chce widzieć miejsce, ne? Bardzo przepraszam, nie rozumiem.

- Toranaga-sama stracił tutaj swoje miecze - rzekł Omi. - Miecze ogromnie cenne. Będzie szczęśliwy, jeżeli je odzyska. Bardzo szczęśliwy, ne?

- Ah so! Nie mój pomysł, Omi-san - rzekł Blackthorne. - Pomysł Omiego-sana.

- Oczywiście. Dziękuję ci, Anjin-san. Jesteś dobrym przyjacielem i szybko myślisz. Sam powinienem na to wpaść. Tak, jesteś dobrym przyjacielem, nam wszystkim potrzeba przyjaciół na kilka najbliższych miesięcy. Mamy wojnę, chcemy jej czy nie chcemy-

- Proszę? Bardzo mi przykro. Nie rozumiem, mówił za szybko. Wybacz, proszę.

- Cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi, ty i ja. Rozumiesz?

- Hai. Powiedziałaś: wojna? Wojna już?

- Niedługo. Co poradzić? Nic. Nie martw się. Toranaga-sama pobije Ishido i zdrajców.

Naprawdę, rozumiesz? Nie ma obaw, ne?

- Rozumiem. Pójdę już, do mojego domu. Dobrze? - Tak. Do zobaczenia o świcie. Jeszcze raz ci dziękuję. Blackthorne skinął głową. Ale nie odjechał.

- Jest piękna, ne?

- Słucham?

- Kiku-san. . Blackthorne stał na lekko rozstawionych nogach, gotów w każdej chwili odskoczyć, wydobyć pistolet, wycelować go i strzelić. Bardzo wyraźnie pamiętał, z jaką niewiarygodną prędkością i jak łatwo Omi dawno temu odrąbał głowę tamtemu pierwszemu wieśniakowi, tak więc był na to przygotowany najlepiej, jak potrafił. Rozumował, że tylko wtedy, gdy nie będzie zwlekał z poruszeniem sprawy Kiku, zapewni sobie bezpieczeństwo. Omi nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Podobnie naganne zachowanie było dla niego nie do pomyślenia. Pełen wstydu z powodu własnej słabości, schowałby tę swoją bardzo niejapońską zazdrość w najdalszym zakamarku świadomości. A ponieważ zazdrość ta była tak bardzo obca i wstydliva, wzbierałaby w. nim niczym wrzód dopóty, aż w najmniej oczekiwanej chwili Omi wyładowałby swój ślepy, okrutny gniew.

- Kiku-san? - spytał Omi.

- Hai. - Blackthorne zauważył, że wytrącił Omiego z równowagi. Ale mimo to był rad, że wybrał akurat ten moment i to miejsce. - Jest piękna, ne?

- Piękna?

- Hai.

Deszcz zgęstniał. Ciężkie krople rozpryskiwały błoto. Ich konie drżały nieprzyjemnie. Obaj byli przemoczeni, ale ulewa była ciepła i ściekała po nich.

- Tak. Kiku-san jest bardzo piękna - przyznał Omi i wyrzucił z siebie potok słów, których Blackthorne nie zrozumiał.

- Teraz za mało słów, Omi-san. . za mało, żeby mówić jasno - rzekł Blackthorne. - Później tak.

Nie teraz. Rozumiesz?

Omi sprawiał wrażenie, jakby tego nie słyszał.

- Mnóstwo czasu, Anjin-san - powiedział - mnóstwo czasu, żeby o niej porozmawiać. I o tobie, i o mnie, i o karmie. Ale zgadzam się, że teraz nie czas na to, ne?

- Myślę: rozumiem. Tak. Wczoraj nie wiedział, Omi-san i Kiku-san dobre przyjaciele - dodał

Blackthorne, nacierając dalej.

- Ona nie jest moją własnością.

- Teraz wiem, ty i ona przyjaciele. Teraz. .

- Teraz odejdz. Temat jest zamknięty. Ta kobieta nic nie znaczy. Nic.

Blackthorne uparcie stał w miejscu.

- Następnym razem ja. .

- Skończyliśmy rozmowę! Nie słyszałeś?! Skończyliśmy!

- Iye! Iye, na miły Bóg!

Ręka Omiego powędrowała do miecza. Blackthorne odskoczył o dwa kroki, nie zdając sobie z tego sprawy. Ale nie wyciągnął pistoletu, a Omi nie wy dobył miecza. Obaj byli gotowi, lecz żaden nie chciał zacząć.

- Co chcesz powiedzieć, Anjin-san?

- Następnym razem najpierw spytam. . o Kiku-san. Jeżeli Omi-san powie tak, to tak. Jeżeli nie, to nie. Rozumiesz? Dla przyjaciółki przyjaciel, ne?

Omi rozluźnił dłoń zaciśniętą na mieczu.

- Powtarzam: ona nie jest moją własnością. Dziękuję że pokazałeś, mi to miejsce, Anjin-san.

Do widzenia.

- Przyjaciel?

- Oczywiście.

Omi podszedł do konia Blackthorne'a i przytrzymał uzdę. Blackthorne wskoczył na siodło.

Spojrzał na Omiego. Był przekonany, że gdyby wiedział, iż ujdzie mu to na sucho, to strzeliłby w tej chwili temu samurajowi w łeb. Tak byłoby najbezpieczniej.

- Do widzenia, Omi-san. I dziękuję.

- Do widzenia, Anjin-san.

Obserwujący odjeżdżającego Blackthorne'a Omi odwrócił się dopiero wówczas, gdy tamten zniknął za wzniesieniem. Dokładnie oznaczył miejsce w rozpadlinie kamieniami, a potem, nie zważając na potop z nieba, z głową pełną rozmaitych myśli przysiadł na piętach i czekał.

Wkrótce zjawili się Mura i wieśniacy obryzgni błotem.

- Dokładnie tutaj pan Toranaga wpadł w szczelinę, Mura - wyjaśnił. - Leżą tu przywalone jego miecze. Przed zachodem słońca przynieście mi je.

- Tak, Omi-sama.

- Gdybyście mieli rozum w głowie, gdybyście myśleli o mnie, waszym lennym panu, to już byście to zrobili.

- Przepraszam, wybacz nam naszą głupotę.

Omi odjechał. Patrzyli za nim krótką chwilę, a potem rozsypali się kuliście wokół ułożonych przez niego kamieni i zaczęli kopać.

Do Yokose przybyli w południe. Buntaro napotkał zeszłego wieczora Zatakiego i zgodnie z poleceniem Toranagi powitał go z wszelkimi ceremoniami.

- Poprosiłem, żeby stanął obozem poza granicami wioski, na północy, wielmożny panie, do czasu, aż przygotujemy miejsce waszego spotkania - Oznajmił Toranadze. - Jeżeli ci odpowiada, to oficjalne spotkanie odbędzie się tutaj dziś po południu - dodał bez humoru. - Uznałem, że korzystna będzie godzina Kozła.

- Dobrze.

- Chciał się z tobą spotkać dziś wieczorem, ale odrzuciłem to żądanie. Powiedziałem, że będziesz „zaszczycony” spotykając się z nim dziś albo jutro, ale nie po zmroku. Mam swoich ludzi tam, tam i tam - ciągnął Buntaro, pokazując łukiem na wszystkie wzniesienia. - Jest stamtąd widok w promieniu wielu ri we wszystkich kierunkach, wielmożny panie. To dobre punkty obrony, most i całą wioskę mamy pod kontrolą. Jeszcze inni żołnierze zabezpieczają twój odwrót na wschód.

Oczywiście most jest dokładnie strzeżony przez strażników, a w obozie Zatakiego pozostawiłem naszą „straż honorową” w sile stu ludzi.

- Pan Zataki tam teraz jest?

- Nie, wielmożny panie. Dla niego i jego oficerów wybrałem godny jego pozycji zajazd przy północnych opłotkach wsi i zaprosiłem go, żeby wziął tam kąpiel. Zajazd ten jest odcięty i zabezpieczony. Powiadomiłem go, że jutro udajesz się do źródła Shuzenji i że będzie twoim gościem. A to twój zajazd, wielmożny panie. - Buntaro wskazał na schludny, parterowy zajazd na skraju polany, skąd roztaczał się najpiękniejszy widok. Budynek stał w pobliżu gorącego strumienia, który pieniając się wypływał ze skały i wpadał do naturalnej łaźni. Przed zajazdem klęczała grupa ludzi z bardzo nisko pochylonymi głowami, którzy zamarli w ukłonie. - To naczelnik i starszyzna wioski.

Nie wiedziałem, czy będziesz chciał ich zobaczyć od razu.

- Później. - Utrudzony koń Toranagi zarżał i zaczął targać głową, pobrzękując uzdą. Jego pan Uspokoił go i zadowolony w pełni z przedsięwziętych środków bezpieczeństwa dał swoim ludziom znak i zsiadł. - Dobrze. Tak, bardzo dobrze - wyraził głośno pochwałę wśród odgłosów żołnierzy, którzy zsiadali z koni, rozmawiali i dzielili się na grupy. - Dobrze się spisałeś.

- Jeżeli zechcesz wyświadczyć mi zaszczyt, wielmożny panie, to pokornie cię proszę, żebyś pozwolił mi natychmiast zabić pana Zatakiego i jego ludzi.

- Obraził cię?

- Nie, przeciwnie, zachowywali się wobec mnie bardzo dwornie, ale chorągiew, pod którą podróżuje, jest zdradziecka.

- Cierpliwości. Jak często muszę ci to powtarzać? - upomniał wyrozumiale Toranaga.
- Obawiam się, że stale, wielmożny panie - odparł szorstko Buntaro. - Proszę o wybaczenie.
- Kiedyś był twoim przyjacielem.
- Kiedyś był twoim sojusznikiem.
- Uratował ci życie pod Odawarą.
- Pod Odawarą byliśmy po tej samej stronie - rzekł Buntaro i wybuchnął: - Jakże on może ci to robić, wielmożny panie? Twój własny brat! Czyż nie darzyłeś go względami, czy nie walczyliście po tej samej stronie. . przez całe życie?
- Ludzie się zmieniają. - Toranaga skupił uwagę na podium. Z krokwi nad podniesieniem zwieszały się delikatne jedwabne zasłony. Ozdobne brokatowe kutasy, harmonizujące z poduszkami, tworzyły przyjemne szlaczki, a cztery większe zdobiły narożne słupy. - Ten wystrój jest o wiele za bogaty, nasze spotkanie nie ma aż takiej rangi powiedział. - Urządźcie to skromniej. Usuńcie te zasłony, te wisiorzy i poduszki, oddajcie je kupcom, a jeżeli nie zwrócą kwatermistrzowi pieniędzy, to każ mu je sprzedać. Weź cztery poduszki, nie, dwie. . zwykłe, wypchane siewką.
- Tak, wielmożny panie.

Oczy Toranagi spoczęły na źródle, podszedł do niego. Ze szczeliny w skale wypływała z sykiem parująca, siarkowa woda. Jego ciało domagało się kąpieli.

- A co z tym chrześcijaninem? - spytał. - Słucham, wielmożny panie?

- Co z Tsukku-sanem, chrześcijańskim kapłanem.

- A, z nim? Jest gdzieś w wiosce, ale po drugiej stronie mostu. Nie wolno mu przejść na tę bez twojego pozwolenia. A dlaczego pytasz, wielmożny panie? Czy to ważne? Mówił, że będzie bardzo zaszczycony, jeżeli raczysz przyjąć go w dogodnej chwili. Chcesz go widzieć natychmiast?

- Przyjechał sam?

- Nie. Z dwudziestoma akolitami, z tonsurami takimi jak u niego, wszyscy z Kiusiu, wielmożny panie, sami dobrze urodzeni i z rodzin samurajskich. Wszyscy na dobrych koniach, ale bez broni.

Przeszukałem ich. Dokładnie.

- A jego?

- Jego oczywiście, jeszcze dokładniej niż ich. Mieli z sobą cztery gołębie pocztowe.

Skonfiskowałem je.

- To dobrze. Zlikwiduj je. Przez pomyłkę zrobił to jakiś głupiec, powiesz, bardzo nam przykro, ne?

- Rozumiem. Mam po niego posłać?

- Później. Zobaczę się z nim później. Buntaro zmarszczył czoło.

- Czy źle zrobiłem, że go obszukałem?

Toranaga potrząsnął głową i, zagubiony w myślach, obejrzał się na górę.

- Wyślij paru zaufanych ludzi, żeby mieli oko na pułk muszkietów - polecił.

- Już to zrobiłem, wielmożny panie. - Na twarzy Buntaro pojawił się wyraz ponurej satysfakcji. - A wśród przybocznej straży pana Yabu mamy swoje oczy i uszy. Jeżeli sobie życzysz, to nawet baka nie zdoła puścić tak, żebyś ty o tym nie wiedział.

- To dobrze.

Zza odległego zakrętu wijącej się górskiej drogi wyłoniło się czoło kolumny bagażowej.

Toranaga zobaczył trzy palankiny, jadącego konno, zgodnie z jego rozkazem, Omiego, a obok niego Anjin-sana, swobodnie siedzącego w siodle.

Odwrócił się od nich.

- Przywiozłem z sobą twoją żonę - zwrócił się do Buntaro.

- Tak, wielmożny panie.

- Prosi, żebym jej pozwolił pojechać do Osaki.

Buntaro wpatrzył się w niego, ale nic nie powiedział. A potem zerknął za siebie na ledwo rozróżnialne postacie.

- Udzielę jej swojej zgody. . naturalnie pod warunkiem, że ty również jej udzielisz - rzekł

Toranaga.

O godzinie Kozła strażnicy przy moście rozstąpili się. Przez most ruszył orszak. Najpierw heroldowie z chorągwiami przyozdobionymi godłem wszechwładnych regentów, potem bogato zdobiony palankin, a wreszcie kolejni strażnicy.

Saigawa Zataki. .władca Shinano, był wyższy od Toranagi, pięć lat młodszy od niego, ale równie szeroki w ramionach i z takim samym wydatnym nosem. Brzuch miał płaski, brodę czarną i gęstą, a oczy jak szparki. Kiedy bracia przebywali osobno, uważano, że są niezwykle podobni, ale kiedy byli razem, bardzo się od siebie różnili. Kimono Zatakiego było zbytkowne, zbroja paradna i błyszcząca, a miecze często używane.

- Witaj, bracie - powiedział Toranaga, schodząc z podestu i składając ukłon. Był ubrany w najprostsze kimono i żołnierskie słomiane sandały. Miał też miecze.

Zataki wysiadł z palankinu i odklonił się, rozpoczynając drobiazgowy, pedantyczny, nie kończący się ceremoniał, który obowiązywał ich obu.

- Zechciej zająć tę poduszkę, panie Zataki - rzekł Toranaga.

- Wybacz, ale sprawisz mi zaszczyt, jeżeli zechcesz usiąść pierwszy, panie Toranaga.

- Jesteś taki uprzejmy. Ale proszę, wyświadczyć mi zaszczyt i pierwszy zajmij miejsce. .

Wreszcie usiedli naprzeciwko siebie na poduszkach w odległości dwóch mieczy. Na lewo za plecami Toranagi zajął miejsce Buntaro. Na lewo, z tyłu za Zatakim starszy siwowłosy samuraj, jego główny doradca. W odległości dwudziestu kroków od podestu i od siebie siedzieli samuraje obu braci.

Po ceremonialnym podaniu im przez Mariko herbaty przystąpili do niewinnej, zdawkowej rozmowy. Kiedy upłynął stosowny czas, Mariko ukłoniła się im i odeszła. A wtedy Zataki - za szybko -

oznajmił szorstkim tonem:

- Przywożę rozkazy od Rady Regencyjnej.

Na placu zapanowała nagle cisza. Wszystkich, nawet samurajów Zatakiego, przeraził taki brak dobrych manier, zuchwałość, z jaką mówił, o „rozkazach”, a nie „wiadomościach”, i to, że nie zaczekał, aż Toranaga spyta go: „Czym mogę służyć?”, jak wymagała tego etykieta.

Naga na krótko oderwał wzrok od ręki Zatakiego, tej, którą tamten walczył mieczem, i zerknął na ojca. Zobaczył jego poczerwieniały kark, co było niechybnym znakiem nadchodzącego wybuchu. Ale twarz Toranagi była spokojna i Naga zdumiał się, gdy usłyszał jego opanowaną odpowiedź:

- Przepraszam, a więc wieziesz rozkazy? A od kogo, bracie? Jestem pewien-, że przywozisz wiadomości.

Zataki wyszarpnął z rękawa dwa małe zwoje papieru. Na ten nagły ruch Buntaro o mało co nie chwycił za czekający w pogotowiu miecz, ponieważ rytuał wymagał, żeby wszystkie ruchy były powolne i rozważne. Toranaga nie poruszył się.

Zataki złamał pieczęć na pierwszym zwoju i zaczął czytać donośnym, mrozącym krew w żyłach głosem:

- Z rozkazu Rady Regencyjnej, w imieniu cesarza Go-Niji, Syna Niebios, pozdrawiamy naszego znakomitego poddanego Yoshiego Toranagę-no-Minowara i zapraszamy go do bezzwłocznego złożenia nam osobiście hołdu i poinformowania naszego znakomitego wysłannika, regenta, pana Saigawę Zatakiego, czy przyjmuje nasze zaprosiny, czy też odmawia ich przyjęcia.

Zataki podniósł wzrok i równie donośnym głosem obwieścił:

- List ten podpisali wszyscy regenci i jest on opieczętowany Wielką Pieczęcią Cesarstwa Japonii.

Wyniośle położył zwój przed sobą. Na znak Toranagi Buntaro wystąpił naprzód, uklonił się Zatakiemu, podniósł zwój, obrócił się w stronę Toranagi i ponownie uklonił. Toranaga wziął zwój i gestem odesłał Buntaro na miejsce. Studiował dokument bez końca.

- Wszystkie podpisy są autentyczne - zapewnił Zataki. - Przyjmujesz zaprosiny czy.

odmawiasz?

Ściszone głosem, tak że słyszeli go tylko siedzący na podeście, a ponadto Omi i Naga, Toranaga spytał:

- Znasz może powód, dlaczego nie miałbym ci zdjąć głowy z karku za twój brak manier?

- Dlatego że jestem synem mojej matki - odparł Zataki.

- Jeżeli będziesz dalej tak się zachowywał, to cię nie uchroni.

- W takim razie umrze przedwcześnie.

‘-Co takiego?

- Nasza pani matka przebywa w Takato. - Leżące na śródlądziu Takato było niezdobytą twierdzą i stolicą Shinano, prowincji Zatakiego. - Przykro mi, że jej ciało pozostanie tam na zawsze.

- Tylko straszysz. Szanujesz ją równie mocno jak ja.

- Na jej śmiertelnego ducha, bracie, równie mocno jak ją szanuję, jeszcze bardziej nienawidzę tego, co robisz cesarstwu.

- Nie dążę do zdobycia więcej ziem i więcej. .

- Dążysz do obalenia dziedzictwa - warknął Zataki.

- I znowu się mylisz, bo zawsze będę strzegł mego siostrzeńca przed zdrajcami.

- A ja myślę, że dążysz do upadku następcy, i właśnie dlatego postanowiłem żyć, szczelnie zamknąć Shinano i północny szlak. Bez względu na cenę wystąpiłem przeciwko tobie i bez względu na cenę będę to robił dopóty, dopóki Kantō nie znajdzie się w rękach sprzymierzeńców.

- W twoich, bracie? - spytał Toranaga.

- W każdym, które gwarantują bezpieczeństwo, co wyklucza twoje. Bracie!

- Ufasz Ishido?

- Nie ufam nikomu, tego mnie nauczyłeś. Ishido to Ishido, ale jego wierność jest bezsporna.

Nawet ty musisz to przyznać.

- Przyznaję, że Ishido próbuje mnie zniszczyć i podzielić cesarstwo, że przywłaszczył sobie władzę i łamie testament taikō.

- Ale spiskowałeś z panem Sugiyamą, żeby rozbić Radę Regencyjną. Ne?

Żyła na czole Zatakiego pulsowała jak czarny robak.

- Co na to powiesz? Jeden z jego doradców przyznał się do zdrady. Spiskowałeś z panem Sugiyamą, żeby zgodził się na przyjęcie do Rady na twoje miejsce pana Ito, a w dzień przed spotkaniem regentów zrezygnował z udziału w Radzie i uciekł nocą, tym samym sprowadzając na cesarstwo zamęt. Słyszałem to zeznanie. . bracie!

- Byłeś jednym z jego zabójców?

Zataki pokraśniał na twarzy.

- Nie ja zabiłem Sugiyamę ani nikt z ludzi Ishido, tylko zbyt gorliwy ronin!

- To dziwne, że tak prędko zgodziłeś się zostać regentem, ne?

- Nie. Mój ród jest równie starożytny jak twój. Ale to nie ja nakazałem zabicie Sugiyamy ani nie zrobił tego Ishido, który przysiągł na swój honor samuraja. Ja również; Sugiyamę zabił ronin, ale zasługiwał on na śmierć.

- Na torturach, niehonorowo, w jakiejś parszywej piwnicy, masakrując na jego oczach jego dzieci i konkubiny?!

- To podłe oszczerstwo rozpowszechniane przez nikczemnych malkontentów, być może twoich szpiegów, których celem jest zniesławienie pana Ishido, a pośrednio pani Ochiby i następcy.

Nie ma na to żadnych dowodów.

- No, to przyjrzyj się ich zwłokom.

- Nie ma żadnych zwłok. Ronin zabójca podpalił tamten dom.

- Co za pomyslna okoliczność, ne? Jak możesz być aż taki łatwowierny? Przecież nie jesteś ciemnym chłopem!

- Odmawiam siedzenia tutaj i wysłuchiwanie bredni. Daj mi odpowiedź już, w tej chwili. A potem albo weź moją głowę, a wówczas matka zginie, albo pozwól mi odjechać. - Zataki pochylił się w stronę brata. - W kilka chwil po tym, jak moja głowa spadnie z karku, dziesięć pocztowych gołębi wyleci na północ do Takato. Na północy, wschodzie i zachodzie, o dzień marszu stąd, poza waszym

zasięgiem mam zaufanych ludzi. Gdyby jednak zawiedli, to mam więcej takich, którzy czekają bezpiecznie na twoich granicach. Jeżeli zetniesz mi głowę, zabijesz albo z obojętnie jakiego powodu zginę w Izu, to ona również umrze. Tak więc albo skróć mnie o głowę, albo pozwól dokończyć przekazywania zwojów i natychmiast opuścić Izu. Wybieraj.

- Pana Sugiyamę zamordował Ishido. Z czasem dostarczę ci dowodu. To ważne, ne?

Potrzebuję tylko trochę. .

- Ty już nie masz czasu! W tym liście padło słowo „natychmiast”. Naturalnie, możesz odmówić posłuszeństwa, a wtedy koniec z tobą. Proszę. - Zataki położył na tatami drugi zwój. - Oto oficjalne oskarżenie cię o zdradę i” rozkaz popełnienia seppuku, który również zlekceważysz, oby Budda ci to wybaczył! A więc postanowione. Natychmiast wyjeżdżam, następnym razem spotkamy się na polu bitwy, a przyrzekłem sobie, że, na pana Buddę, tegoż dnia przed zachodem słońca ujrzę twoją głowę na gwoździu.

Toranaga ani na chwilę nie spuszczał wzroku z adwersarza.

- Pan Sugiyama był przyjacielem moim i twoim. Był naszym towarzyszem, samurajem o niedościgłym honorze. Prawda o jego śmierci powinna coś dla ciebie znaczyć.

- Twoja śmierć znaczy dla mnie więcej, bracie.

- Ishido wyssał cię, jak wygłodniałe niemowlę pierś matki. Jakże mogę ci udowodnić, że nie staram się obalić następcy? - spytał Toranaga brata.

- Natychmiast zrzeknij się wszystkich twoich tytułów i władzy na rzecz swojego syna i dziedzica, pana Sudary, i popełnij dziś seppuku. A wtedy ja i wszyscy moi ludzie jak jeden mąż poprzemy Sudarę jako władcę Kantō.

- Rozważę, coś mi powiedział.

- Co?

- Rozważę, coś mi powiedział - powtórzył bardziej zdecydowanie Toranaga. - Jeżeli ci odpowiada, to spotkamy się tu jutro o tej samej porze.

Zataki Wykrzywił twarz.

- Czy to jeszcze jedna z twoich sztuczek? Po co mamy się jeszcze spotykać?

- W sprawie tego, co mi powiedziałaś, w tej sprawie. - Toranaga podniósł wyżej zwój, który trzymał w dłoni. - Jutro dam ci odpowiedź.

- Buntaro-san! - Zataki wskazał drugi zwój. - Zechciej podać go swojemu panu.

- Nie! - odbił się echem po polanie głos Toranagi, który po chwili bardzo ceremonialnie dodał

głośno: - Mam zaszczyt oficjalnie przyjąć list od Rady, na który jutro o tej samej porze dam odpowiedź jej znakomitemu wysłannikowi, mojemu bratu, władcy Shinano.

Zataki przyjrzał mu się podejrzliwie. Wziął drugi zwój i wsunął go do rękawa.

- Dobrze. Zgadza się, panie Toranaga - rzekł po namyśle. - Powiedz mi tylko jeszcze na koniec, gdzie jest pan Kasigi Yabu. Dla niego również mam zwój. W jego przypadku tylko jeden.

- Prześlę mu go.

Sokolica złożyła skrzydła i z wysokości tysiąca stóp rzuciła się w dół z wieczornego nieba, uderzyła, wzbijając kurzawę piór z lecącego gołębia, wbiła w niego szpony i poniosła na wschód.

Wciąż spadając jak kamień, kilka stóp ponad ziemią wypuściła martwą już ofiarę, gwałtownie wyhamowała i usiadła na niej idealnie. Ik-ik-ik-i ik! - krzyknęła, z dumą trzepocząc piórami na szyi i w ekstazie rozrywając szponami głowę zdobycznego ptaka.

Po chwili galopem nadjechali Toranaga z synem. Daimyō zsunął się z konia i łagodnie przywołał ptaka na dłoń. Sokolica posłusznie usiadła mu na rękawicy. W nagrodę dostała natychmiast kąsek z poprzednio upolowanej zdobyczy. Toranaga nasunął jej na głowę kaptur i zębami ściągnął tasiemki.

Naga podniósł gołębia i włożył go do wypełnionej w połowie torby myśliwskiej przy ojcowskim siodle, a potem odwrócił się i przyzwał z daleka gestem naganiaczy i strażników.

Toranaga na powrót wskoczył na siodło, trzymając sokolicę, która wygodnie siedziała mu na rękawicy, przytroczona do niej cienkimi rzemykami. Zadarł głowę w niebo, żeby zbadać, ile jeszcze zostało dnia.

Późnym popołudniem zza chmur wyjrzało słońce. W dolinie panował przyjemny chłód, bo dzień szybko się kończył, a słońce już dawno zaszło za górę na zachodzie. Na północy, odepchnięte tam przez silny wiatr, nad górskimi szczytami, wiele z nich skrywając, wisiały chmury. Na tej wysokości, w kotlinie otoczonej zewsząd zboczami, powietrze było czyste i świeże.

- Jutro powinniśmy mieć pogodę, Naga-san. Sądzę, że bezchmurną. O świcie chyba zapoluję.

- Tak, ojcze. - Naga, zmieszany, patrzył na ojca, jak zwykle bojąc się go pytać, chociaż bardzo chciał wiedzieć wszystko. Nie pojmował, jak Toranaga może być taki spokojny po tym uwłaczającym mu spotkaniu.

Nagle spostrzegł, że z lasu przed nimi wyłaniają się jeźdźcy i jadą galopem w ich stronę przez faliste podnóża gór. Za ciemną zielenią lasów wiała się czarna wstęga rzeki. Światła zajazdów błyszczały jak świetliki.

- Ojcze! - powiedział Naga.

- Co?! A, tak. Już ich widzę. Kto to?

- Yabu-san, Omi-san i . . ośmiu strażników.

- Masz lepsze oczy ode mnie. A, tak, już ich poznaję.

- Nie pozwoliłbym panu Yabu na spotkanie z panem Zatakim bez. . - wypalił bez namysłu Naga i urwał, zająknąwszy się. - Wybacz, proszę.

- Dlaczego nie wysłałbyś tam” pana Yabu samego?

Naga przeklął się za to, że otworzył usta, i zadrżał pod spojrzeniem ojca.

- Wybacz mi, proszę, ale dlatego, że wtedy nie dowiedziałbym się, jaką potajemną umowę zawarli. On byłby do tego zdolny, ojczy, z łatwością, Przepraszam, ale nie dałbym im się spotkać.

Nie ufam mu.

- Gdyby Yabu-san i Zataki knuli za moimi plecami zdradę, to zdradziliby mnie bez względu na to, czy posłałbym tam swojego świadka. Czasem mądrzej jest dać zwierzynie dłuższy sznurek. . tak przecież łowi się ryby, ne?

- Tak, bardzo przepraszam. .

Toranaga zdał sobie sprawę, że syn tego nie rozumiał i że nigdy nie zrozumie, że na zawsze pozostanie zwyczajnym jastrzębiem, którego wypuszcza się na wroga, szybkim, bystrym i śmiertelnie niebezpiecznym.

- Cieszę się, że to rozumiesz, synu - powiedział, żeby mu dodać otuchy, bo znał jego zalety i doceniał je. - Jesteś dobrym synem - dodał całkiem serio.

- Dziękuję, ojczy - odparł Naga, bardzo dumny z powodu tej rzadkiej pochwały. - Mam tylko nadzieję, że wybaczysz mi moje głupstwa i nauczysz, jak ci służyć lepiej.

- Ty nie jesteś głupi. - „Głupi jest Yabu”, o mało co nie dodał Toranaga, - Im mniej ludzie wiedzą, tym lepiej, a nie ma potrzeby obciążać twojego umysłu, Naga. Jesteś taki młody, jeśli nie liczyć twojego przyrodniego brata Tadateru, najmłodszy w rodzinie. Ile on ma lat? Aha, siedem, tak, siedem.

Przez chwilę przyglądał się nadjeżdżającym.

- Jak tam twoja matka, Naga?

- Tak jak zawsze, jest najszczęśliwszą kobietą na ziemi. W dalszym ciągu pozwala się odwiedzać tylko raz do roku. Czy mógłbyś namówić ją, żeby zmieniła ten zwyczaj?

- Nie - odparł Toranaga. - Ona się nigdy nie zmieni.

Na myśl o Chano-Tsubone, swojej oficjalnej konkubinie i matce Nagi, zawsze robiło mu się ciepło

na sercu. Śmiał się w duchu na wspomnienie jej rubasznych żartów, jej dołeczków w policzkach i jej zgrabnych pośladek, tego, jak nimi kręciła i jak ochoczo poduszowała.

Była wdową po rolniku spod Edo, a spodobała mu się dwadzieścia lat temu. Mieszkała z nim przez trzy lata, dopóki nie poprosiła, żeby pozwolił jej wrócić do uprawy ziemi. Pozwolił jej odejść.

W tej chwili żyła sobie na dobrym gospodarstwie blisko miejsca, gdzie się urodziła, jako gruba, szczęśliwa, owdowiała buddyjska mniszka, szanowana przez wszystkich i bez zobowiązań wobec nikogo. Raz na jakiś czas odwiedzał ją, a wtedy śmiali się razem bez powodu, jak dwójka przyjaciół.

- Och, to dobra kobieta - powiedział.

Yabu i Omi wjechali na górę i zsiadli z koni. Dziesięć kroków od nich zatrzymali się i uklonili.

- Przekazał mi zwój - oznajmił rozwścieczony Yabu, wymachując papierem. - „Prosimy, żebyś dzisiaj natychmiast wyjechał z Izu do Osaki i stawił się w zamku w Osace na posłuchanie, gdyż w przeciwnym razie wszystkie twoje dobra ulegną przepadkowi, ty zaś będziesz odtąd wyjęty spod prawa”. - Zmiał papier w dłoni i rzucił go na ziemię. - Dzisiaj!

- W takim razie najlepiej zrobisz, jeśli wyruszysz natychmiast - warknął Toranaga, nagle rozeźlony z powodu jego nieokrziesania i głupoty.

- Wielmożny panie, bardzo cię proszę - wtrącił prędko Omi, pokornie padając na kolana. - Pan Yabu jest twoim oddanym wasalem, więc proszę cię pokornie, nie naigrawaj się z niego. Przepraszam za moje grubiaństwo, ale pan Zataki. . Przepraszam za swoje grubiaństwo.

- Yabu-san, zechciej mi wybaczyć tę uwagę. . płynęła z życzliwości do ciebie - rzekł

łaskawszym tonem Toranaga, przeklinając się za ten błąd. - Takie listy powinniśmy przyjmować z humorem, ne? - Przywołał sokolnika i przekazał mu ptaka, którego zdjął z dłoni, odprawił go wraz z naganiaczami. Wszystkim samurajom oprócz Nagi nakazał gestem odejść poza zasięg słuchu, przysiadł na piętach i polecił pozostałym, żeby zrobili to samo. - Może lepiej powiesz mi, co się stało.

- Właściwie nie ma o czym mówić - odparł Yabu. - Poszedłem się z nim zobaczyć. Przyjął mnie, okazując zaledwie minimum grzeczności. Najpierw przekazał mi „pozdrowienia” Ishido, a potem zaproponował wprost, żebym się z nim potajemnie sprzymierzył, zaplanował twoją natychmiastową śmierć i wymordował wszystkich twoich samurajów w Izu. Naturalnie, nie chciałem go słuchać, a wtedy od razu - od razu! - nie zachowując nawet pozorów uprzejmości, wręczył mi to! - Palcem wojowniczo pokazał na zwój. - Gdyby nie bronił go twój bezpośredni rozkaz, z miejsca posiekałbym go na kawałki! Domagam się, żebyś go odwołał, panie. Nie mogę żyć z takim wstydem. Muszę się zemścić!

- Czy nie wydarzyło się nic więcej?

- A czy to mało?

Toranaga puścił płazem tę impertynencję i spojrział groźnie na Omiego.

- To twoja wina, ne? - spytał. - Dlaczego nie masz dość rozumu, żeby chronić swojego pana?

Podobno jesteś doradcą. Powinieneś być mu tarczą. Skłonić pana Zatakiego do odsłonięcia się, postarać się wywiedzieć o zamiary Ishido, czym go przekupił, jakie mają plany. Podobno jesteś cennym doradcą. Miałeś świetną okazję, by to udowodnić, a zmarnowałeś ją jak niedoświadczony tuman!

Omi zwiesił głowę.

- Bardzo przepraszam, wielmożny panie.

- Ja ci mogę wybaczyć, ale nie widzę powodu, dlaczego miałby to zrobić pan Yabu. Twój pan przyjął zwój. Tak więc nie ma wyjścia. Musi postąpić albo tak, albo tak.

- Co takiego? - zachnął się Yabu.

- A dlaczego ja zachowałem się tak, jak zachowałem? Żeby zyskać na czasie, oczywiście, odwlec sprawę - odparł Toranaga.

- O jeden dzień? A cóż znaczy jeden dzień? - spytał Yabu.

- Kto wie? Jeden dzień więcej dla ciebie, to jeden mniej dla twojego wroga. - Toranaga przeniósł znów wzrok na Omiego. - Nie dopełniłeś swoich obowiązków wobec swojego pana i mnie.

- Proszę o wybaczenie. .

- A co mu dokładnie powiedziałaś?

Omi milczał.

- Czy zapomniałaś również o dobrych manierach? Co mu powiedziałaś?

- Nic, wielmożny panie. Nie powiedziałem nic.

- Słucham?

- Nie powiedział nic panu Zatakiemu, ponieważ go tam nie było - wtrącił raptownie Yabu. -

Zataki chciał rozmawiać ze mną w cztery oczy.

- Ach tak? - Toranaga ukrył uciechę z faktu, że Yabu zmuszony był przyznać się do własnej głupoty i że część prawdy wyszła na jaw. - Zechciej mi wybaczyć, Omi-san. Oczywiście myślałem, że byłeś przy tym obecny.

- To moja wina, wielmożny panie. Powinienem być na to nalegać. Masz słuszość. Nie udało mi się

ochronić mojego pana - odparł Omi. - Powiniennem był domagać się tego usilniej. Bardzo przepraszam. Bardzo przepraszam, Yabu-sama.

Zanim Yabu mógł na to odpowiedzieć, Toranaga rzekł:

- Naturalnie, że jest ci to wybaczone, Omi-san. Jeżeli twój pan to na tobie wymógł, miał do tego prawo. Wymogłeś to na panu Omim, Yabu-sama?

- Tak. . tak, ale nie myślałem, że to ważne. Myślisz, że ja. .

- No cóż, stało się. Co teraz zamierzasz zrobić?

- Oczywiście zignoruję treść tego listu, wielmożny panie - odparł zaniepokojony Yabu. -

Sądziysz, że mogłem uniknąć odebrania go?

- Naturalnie. Mogłeś popertraktować z Zatakim jeden dzień. Może więcej. Nawet kilka tygodni - dorzucił Toranaga, głębiej wpychając nóż w świeżą ranę Yabu, złośliwie ucieszony, że ten złapał się na haczyk z powodu własnej, głupoty. Nie robił sobie nic z tego, że Yabu - z pewnością był

nakłaniany do zdrady, przekupywany, wabiony pochlebstwami i zastraszany. -Przykro mi, ale nie masz wyjścia. Nie szkodzi, bo, jak sam stwierdziłeś, „im prędzej wszyscy staną po którejś ze stron, tym lepiej”. - Toranaga wstał. - Nie ma potrzeby, żebyście wracali dziś do pułku. Obaj zjecie ze mną kolację. Załatwiłem też rozrywkę. Dla wszystkich, mruknął do siebie, ogromnie zadowolony.

Mariko miała rację, pomyślał Toranaga. Ta kurtyzana jest warta swojej ceny. Oczarowała jego duszę, sprawiła, że mniej martwił się Zatakim. Posłać po nią dziś wieczorem czy spać samemu?

Jego męskość drgnęła na wspomnienie wczorajszej nocy.

- A więc, Gyoko-san, chciałaś się ze mną widzieć? - spytał ją wczoraj w swoich prywatnych pokojach w warowni.

- Tak, wielmożny panie.

Zapalił odmierzoną trociczkę kadzidła.

Gyoko pokłoniła mu się, ale prawie na nią nie patrzył. Po raz pierwszy oglądał Kiku. Dokładnie.

Z bliska jej wyjątkowa uroda prezentowała się jeszcze korzystniej, nie tknięta jak dotąd trudami jej profesji.

- Zechciej nam pograć w czasie rozmowy - powiedział, zaskoczony, że Gyoko jest gotowa rozmawiać w jej obecności.

Kiku natychmiast spełniła jego prośbę, ale grała zupełnie inaczej niż zeszłego wieczoru w herbaciarni. Wczoraj jej muzyka miała koić, towarzyszyć zbliżeniu. Dzisiejsza zaś miała podniecać,

zadziwiać, obiecywać.

- Wielmożny panie - zaczęła oficjalnym tonem Gyoko - najpierw chciałabym ci pokornie podziękować za zaszczyt, jaki wyświadczasz mnie samej, mojemu domowi i Kiku-san, pierwszej z moich dam Świata Wierzb. Wiem, że cena, jaką wyznaczyłam za jej-kontrakt, jest zuchwalstwem, z pewnością jest nie do zaakceptowania i nie zostanie ustalona aż do jutra rana, kiedy pani Kasigi i pani Toda podejmą właściwą decyzję. Gdyby sprawa ta dotyczyła ciebie, zdecydowałbyś się już dawno, bo czymże są godne pogardy pieniądze dla zwykłego samuraja, nie mówiąc już o największym daimyō na świecie. - Gyoko dla większego efektu zawiesiła głos. - Czymże są pieniądze? Niczym więcej niż środkiem porozumiewania się - ciągnęła - tak samo jak muzyka Kiku. Czymże innym zajmujemy się bowiem my, damy Świata Wierzb, jeżeli nie porozumiewaniem się ludzi z sobą oraz rozrywką, oświecaniem ludzkich dusz, zdejmowaniem z nich ciężaru życia. .

Toranaga powstrzymał się z uszczypliwą repliką, przypominając sobie, że kobieta ta kupiła sobie właśnie jedną trociczkę jego czasu za pięćset koku, a za te pięćset koku zasługiwała na uważne wysłuchanie. Więc pozwolił jej mówić i słuchał jednym uchem, drugie ciesząc strumieniem cudownej muzyki, która docierała do samego rdzenia duszy, uspokajając go i przynosząc błogość. I wtedy nagle słowa Gyoko wciągnęły go brutalnie na powrót do rzeczywistego świata.

- Co powiedziałaś? - spytał.

- Po prostu zaproponowałam ci, wielmożny panie, żebyś wziął Świat Wierzb pod swoją opiekę i zmienił bieg historii .

- W jaki sposób?

- Robiąc to co zawsze, a więc przedkładając przyszłość cesarstwa ponad własną.

Puścił mimo uszu to absurdalne do przesady zdanie i zmusił się do niesłuchania muzyki Kiku, bo wpadł już w jej pułapkę najpierw każąc Gyoko, żeby przyprowadziła z sobą tę dziewczynę, potem, kiedy zachwycił się jej pięknnością i muzyką, i wreszcie, gdy pozwolił jej grać tak uwodzicielsko w czasie przemowy jej pani.

- A o co chodzi z tym Światem Wierzb?

- O dwie sprawy, wielmożny panie. Po pierwsze, Świat Wierzb jest obecnie z konieczności związany ze światem materialnym, ze szkodą dla obydwu. Po drugie, nie wszystkie nasze damy mogą osiągnąć doskonałość, której mężczyźni mają prawo oczekiwać.

- Ach tak., Minęła go smużka zapachu perfum Kiku, zapachu, jakiego nie znał. Były dobrane idealnie. Mimowolnie spojrzął na nią. Półuśmiech na jej ustach był przeznaczony wyłącznie dla niego.

Spuściła marzycielskie oczy, jej palce trąciły struny, on zaś poczuł ich intymny dotyk. Spróbował się skupić.

- Przepraszam, Gyoko-san. Co powiedziałaś?

- Zechciej wybaczyć mi, wielmożny panie, że nie wyrażam się jasno.. Po pierwsze, Świat Wierzb powinien być odłączony od świata materialnego. Moja herbaciarnia w Mishimie znajduje się w południowej dzielnicy, a inne herbaciarnie są porzucane po całym mieście. Tak samo jest w Kioto, w Narze, tak samo w całym cesarstwie. Nawet w Edo. A ja myślę, że Edo powinno stać się wzorem dla świata.

- W jaki sposób? - spytał. Serce w nim zamarło na dźwięk nowego, boskiego akordu.

- Wszystkie inne zawody mają swoje ulice, swoje rejony. My też powinniśmy mieć swój rejon, wielmożny panie. Edo to nowe miasto. Może rozważysz, czy nie warto przydzielić osobnej dzielnicy Światu Wierzb. Przenieś wszystkie herbaciarnie za jej mury i zakaż ich działalności gdzie indziej, nawet tym najskromniejszym.

Toranaga skupił się już całkowicie, ponieważ był to wspaniały pomysł. Był tak świetny, że skarcił się w duchu, iż sam na to nie wpadł. Wszystkie herbaciarnie i kurtyzany za ogrodzeniem, stąd też bardzo łatwe do kontrolowania przez policję, do pilnowania, do ściągania podatków, a ich klienci łatwi do śledzenia, do szpiegowania. Prostota tego pomysłu oszołomiła go. Zdawał też sobie sprawę, jak bardzo wpływowe były damy pierwszej rangi. Niczym jednak nie zdradził swojego entuzjazmu.

- A jaka z tego korzyść, Gyoko-san? -

- Miałybyśmy swój własny cech, wielmożny panie, z wszelką związaną z tym opieką, prawdziwy cech skupiony w jednym miejscu, a nie, by tak rzec, rozrzucony, cech, którego słuchałyby wszystkie. .

- Na pewno?

- Tak, wielmożny panie, dla dobra ogółu. Cech odpowiadałby za godziwe ceny i odpowiednią jakość usług. Och, za kilka lat dama drugiej rangi w Edo dorównałaby tej z Kioto, i tak dalej. Gdyby ten plan udał się w Edo, to czemu nie we wszystkich twoich posiadłościach?

- Ale właścicielki herbaciarni w tej ogrodzonej dzielnicy decydowałyby o wszystkim. Miałyby wyłączność na usługi, ne? Zamknęłyby drzwi przed wieloma innymi, które mają takie samo prawo pracować w Świecie Wierzb?

- Tak, niewykluczone, wielmożny panie. I na pewno gdzieś tam raz na jakiś czas coś takiego się zdarzy. Niemniej bardzo łatwo jest wprowadzić surowe prawa, wymuszające uczciwość i godziwe ceny, tak więc dobro wzięłoby górę nad złem z korzyścią dla nas, naszych szanownych klientów i gości. Po drugie, damy. .

- Skończmy z pierwszą sprawą, Gyoko-san - przerwał jej chłodno Toranaga. - Ta rzecz przemawia przeciwko twojej propozycji, ne?

- Owszem, wielmożny panie. Możliwe. Ale każdy daimyō może to z łatwością zmienić. A tak ma do czynienia z jednym cechem w jednym miejscu. Ty, wielmożny panie, nie miałbyś żadnych kłopotów. Każda dzielnica naturalnie odpowiadałaby za porządek i spokój na własnym terenie. I za podatki.

- A tak, podatki! Rzeczywiście byłoby je znacznie łatwiej zbierać. Ten punkt przemawia za tobą.

Oczy Gyoko utkwione były w trocicze, której zniknęło już ponad połowę.

- Ty w swojej mądrości mógłbyś rozporządzić, żeby w całym świecie jeden jedyny świat, nasz Świat Wierzb nigdy, po wsze czasy, nie płacił podatków. Nigdy, nigdy, nigdy. - Patrzyła mu prosto w oczy, głos miała szczery. - W końcu, wielmożny panie, czyż naszego świata nie nazywają Światem Płynącym, czyż naszym jedynym towarem do zaoferowania nie jest piękno, którego głównym składnikiem jest młodość? Czy coś tak przemijającego jak młodość nie jest darem bogów, i to darem świętym? Ty jeden spośród wszystkich mężczyzn, wielmożny panie, na pewno wiesz, jak niezwykle i nietrwała jest młodość. . i kobieta.

Muzyka zamilkła. Wzrok Toranagi przyciągnęła Kiku-san. Wpatrywała się w niego pilnie, z leciutko zmarszczonym czołem.

- Tak - przyznał szczerze. - Wiem, jak może być nietrwała. - Łyknął cha. - Rozważę to, co mi powiedziałaś. A po drugie?

- Po drugie. . - Gyoko pozbierała myśli. - Po drugie i ostatnie, wielmożny panie, możesz na zawsze opieczętować swą pieczęcią Świat Wierzb. Weźmy kilka moich dam. Na przykład, Kiku-san uczyła się śpiewu, tańca i gry na samisenie od szóstego roku życia. Każdą świadomą chwilę wykorzystywała na doskonalenie się w swojej sztuce. Słusznie więc została damą pierwszej rangi, tak jak na to zasługuje jej niepowtarzalny artyzm. Ale nadal pozostaje kurtyzaną i niektórzy mężczyźni żądają od niej, żeby nie tylko zabawiała ich swoją sztuką, ale i z nimi poduszkowała.

Moim zdaniem powinno się stworzyć dwie kategorie dziewcząt. Pierwszą, zwyczajnych kurtyzan, tych od zabawiania, uszczęśliwiania i od spraw cielesnych. I drugą, nową, której można nadać miano gei-sha, kategorię artystek, oddających się jedynie sztuce. Do obowiązków gejsz nie należałoby poduszkiwanie. Zajmowałyby się wyłącznie rozrywką, tańcem, śpiewem, muzyką, byłyby specjalistkami poświęcającymi się wyłącznie swojej profesji. Niechaj gejsze raczą umysły i dusze mężczyzn swoją pięknnością, wdziękiem i artyzmem. A kurtyzany z równym artyzmem niech swoim pięknem i wdziękiem dają zadowolenie ich ciałom.

Ponownie uderzyła go prostota tego pomysłu i dalekosiężne możliwości, jakie stwarzał.

- A jak byś dobierała gejsze? - spytał.

- Wedle ich zdolności. Wraz z osiągnięciem przez dziewczynę dojrzałości płciowej jej właścicielka decydowałaby o jej dalszym losie. Cech zaś zatwierdzałby albo odrzucał uczennicę, ne?

- To nadzwyczajny pomysł, Gyoko-san.

Kobieta ukloniła mu się i zadrżała.

- Wybacz mi moją gadatliwość, wielmożny panie, ale dzięki temu, kiedy uroda zblednie, a figura zgrubieje, taka dziewczyna mimo to ma przed sobą niezwykle przyszłość i nie traci wartości.

Nie potrzebuje iść dalej drogą, którą obecnie podążają wszystkie kurtyzany. Mówię tu o artystkach,

które są pośród tych dziewcząt, na przykład o mojej Kiku-san. Apeluję do ciebie, żebyś garstce wybranek zapewnił przyszłość i pozycję, na którą zasługują w tym kraju. Nauka śpiewu, tańca i gry na instrumencie wymaga wielu, wielu lat ćwiczeń. A do poduszkiowania potrzeba jedynie młodości i nie istnieje lepszy od niej środek na potencję. Ne?

- Tak - przyznał Toranaga, przyglądając się jej. - Gejsze by nie poduszkiowały?

- Nie należałoby to do ich obowiązków, bez względu na zapłatę. Gejsze nie musiałyby poduszkiować, wielmożny panie. Gdyby któraś chciała poduszkiować z wybranym mężczyzną, to byłaby to jej prywatna sprawa. . chociaż może powinno to się odbywać za pozwoleniem jej właścicielki, a cena za tę usługę nie przekraczałaby możliwości finansowych wybranka. Obowiązkiem kurtyzany byłoby artystyczne poduszkiowanie, natomiast gejsze i uczące się zawodu byłyby nietykalne. Przepraszam, że mówię tak długo.

Gyoko ukloniła się i to samo zrobiła Kiku. Pozostała już jedynie odrobina kadzidła.

Toranaga wypytywał ją dwakroć dłużej ponad wyznaczony czas, rad, że ma możliwość dowiedzenia się czegoś o ich świecie, sondując ich pomysły, nadzieje i lęki. To, co usłyszał, podnieciło go. Usłyszane wiadomości zachował sobie na przyszłość, a potem odesłał Kiku do ogrodu.

- Chciałbym” Gyoko-san, żeby dzisiaj ona tu została, jeśli ma ochotę, aż do rana. . jeżeli jest wolna. Poprosisz ją o to? - spytał. - Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że może już być zmęczona.

Grała przecież tak długo i tak wybornie, że wszystko zrozumie. Ale może zastanowiłaby się nad tą propozycją. Byłbym zobowiązany, gdybyś ją o to poprosiła.

- Oczywiście, wielmożny panie, wiem jednak, że twoje zaproszenie przyjmie jako zaszczyt.

Naszym obowiązkiem jest służyć najlepiej jak potrafimy, ne?

- Tak. Ale, jak słusznie wskazałaś, ona jest bardzo niezwykła. Całkowicie zrozumie, jeżeli jest zbyt zmęczona. Poproś ją tu za chwilę. - Podał Gyoko skórzaną sakiewkę z dziesięcioma kobanami. Żałował aż tak ostentacyjnego gestu, wiedział jednak, że wymaga tego jego pozycja. -

Może to wynagrodzi ci ten tak wyczerpujący wieczór i będzie symbolicznym podziękowaniem za twoje pomysły.

- Naszym obowiązkiem jest służyć, wielmożny panie - powtórzyła Gyoko.

Widział, jak stara się powstrzymać palce od liczenia monet przez miękką skórę i jak jej się to nie udaje.

- Dziękuję. Wybacz mi, proszę, wezwę ją. - I wtedy, nagle i nieoczekiwanie w jej oczach pojawiły się łzy. - Racz, proszę, przyjąć podziękowania od prostej starej kobiety za wysłuchanie mnie i za okazaną uprzejmość. Rzecz w tym, że za te wszystkie przyjemności, które dajemy, naszą jedyną nagrodą jest rzeka łez. Prawdę mówiąc, trudno jest mi wyrazić, co czuje kobieta. . proszę o wybaczenie. .

- Posłuchaj, Gyoko-san, ja to rozumiem. Nie martw się. Rozważę wszystko, co mi powiedziałaś.

Aha, zaraz po świcie obie pojedziecie ze mną. Kilka dni w górach będzie dla was przyjemnym urozmaiceniem. Myślę, że cena kontraktu zostanie zaakceptowana, ne?

Gyoko podziękowała mu ukłonem, otarła łzy z oczu i spytała zdecydowanym tonem:

- A czy wolno mi zatem spytać o nazwisko szanownej osoby, która wykupi jej kontrakt?

- Yoshi Toranaga-no-Minowara.

Ojciec Alvito z Towarzystwa Jezusowego kipiał. Właśnie wtedy, gdy powinien był koniecznie przygotować się do spotkania z Toranagą, wymagającego od niego najwyższej sprawności umysłu, stanął przed tym nowym szkaradzieństwem, z którego załatwieniem nie można było czekać.

- Co masz na swoje usprawiedliwienie? - huknął na zakapturzonego japońskiego akolitę, który pokornie klęczał przed nim.

Pozostali bracia stali półkolem w małym pokoju.

- Przepraszam, ojcze, zgrzeszyłem - wyjąkał unieszczęśliwiony zakonnik. - Proszę, przebac. .

- Powtarzam, wybaczenie jest w rękach Boga Wszechmogącego, a nie moich. Popeliłeś grzech śmiertelny. Złamałeś święte śluby. I co na to powiesz?

Odpowiedź ledwo było słychać.

- Przepraszam, ojcze.

Japończyk był chudy i drobny. Miał trzydzieści lat, a na chrzcie otrzymał imię Józef. Jego towarzysze, braciszkanie Towarzystwa Jezusowego, byli w wieku od osiemnastu do czterdziestu lat. Wszyscy mieli tonsury, wszyscy pochodzili z samurajskich rodzin na Kiusiu, wszyscy byli rygorystycznie przygotowani do stanu kapłańskiego, chociaż nikt z nich jeszcze nie otrzymał

święceń.

- Przyznałem się do winy, ojcze - wyszeptał brat Józef z nisko opuszczoną głową.

- Myślisz, że to wystarczy?

Zniecierpliwiony Alvito odwrócił się i podszedł do okna. Pokój był zwyczajny, maty dość porządne, papierowe osłony w shoji kiepsko wyreperowane. W Yokose nie znaleźli nic lepszego od tego starego, trzeciorzędnego zajazdu, bo inne zajęli samuraje. Alvito wpatrzył się w nocny mrok, słysząc dochodzący z daleka głos Kiku, który był głośniejszy od hałasów znad rzeki. Wiedział, że dopóki ta kurtyzana nie skończy śpiewać, Toranaga po niego nie pośle.

- Podła ladacznica - powiedział na wpół do siebie.

Dysharmonijny, zawodzący japoński śpiew irytował go bardziej niż zwykle wzmagając jego gniew na zdradę Józefa.

- Posłuchajcie, bracia - rzekł do reszty akolitów, ponownie zwracając się twarzą do nich. -

Sądzimy tutaj brata Józefa, który zeszłej nocy zadał się z tutejszą ladacznicą, łamiąc święty ślub wstrzeźliwości płciowej, łamiąc święty ślub posłuszeństwa, zbezczeszczył swoją nieśmiertelną duszę, swój stan duchowny, swoje miejsce w Kościele świętym i wszystko, co się z tym wiąże. Przed Bogiem pytam każdego z was. . czy uczyniliście to co on?

Wszyscy przecząco pokręcili głowami.

- Czy kiedyś uczyniliście to co on?

- Nie, ojcze.

- Ty grzeszniku! Czy przed Bogiem przyznajesz się do grzechu?

- Tak, ojcze, już przyz. .

- Czy przed Bogiem przyznajesz, że był to pierwszy raz?

- Nie, to nie był pierwszy raz - odparł Józef. - Ja. . ja poszedłem z inną, cztery dni temu. . w Mishimie.

- Ale. . ale przecież wczoraj odprawiliśmy mszę! Co z twoją spowiedzią wczoraj, przedwczoraj i trzy wieczory temu, przecież nie. . Wczoraj odprawiliśmy mszę! Na miłość boską, przyjąłeś komunię bez spowiedzią doskonale wiedząc o grzechu śmiertelnym?

Brat Józef poszarzał ze wstydu. U jezuitów przebywał od ósmego roku życia.

- To było.. to było pierwszy raz, ojcze. Tylko cztery dni temu. Przez całe życie byłem bezgrzeszny. Znow mnie podkuśło.. i, przebacz mi, Najświętsza Panienko, tym razem uległem. Mam trzydzieści lat. Jestem człowiekiem. . wszyscy jesteście ludźmi. Proszę, ojcze, pan Jezus wybaczył

grzesznikom. . może więc ty wybaczyłbyś mnie? Wszyscy jesteście ludźmi. .

- Wszyscy jesteście kapłanami!

- Nie jesteście prawdziwymi kapłanami! Nie złożyliśmy ślubów zakonnych! Nie jesteście prawdziwymi jezuitami. Nie możemy przyjąć czwartego ślubu tak jak ty, ojcze - rzekł ponuro Józef. - Inne zakony wyświęcają swoich braci, ale nie jezuiti. Czemu nie. .

- Zamilcz!

- Nie! - wybuchnął Józef. - Za pozwoleniem, ale dlaczego nie wyświęcicie niektórych z nas? -

Wskazał na jednego z braci, wysokiego, okrągłoliciego, który przyglądał się im z błogim spokojem. -

Dlaczego nie wyświęcicie brata Michała? Uczy się od dwunastego roku życia, w tej chwili ma lat trzydzieści sześć i jest wzorem chrześcijanina, niemal świętym. Nawrócił tysiące ludzi, a mimo to nadal nie jest wyświęcony. .

- Na Boga Jedyneho, będziesz. .

- Na Boga Jedyneho, czemu nie wyświęcicie jednego z nas? Ktoś musi się ośmielić i o to spytać! - Józef wstał. - Ja uczyłem się szesnaście lat, brat Mateusz dwadzieścia trzy, Julian jeszcze dłużej, przez całe nasze życie. . niezliczone lata. Znamy modlitwy, katechizmy, hymny lepiej od ciebie, a Michał i ja nawet mówimy po łacinie tak dobrze jak po portu. .

- Dosyć!

- Portugalsku. Wygłaszamy najwięcej kazań, najczęściej dyskutujemy z buddystami i resztą tych bałwochwalców, mamy najwięcej nawróconych. Taka jest prawda! Na Boga Jedyneho i Matkę Bożą, czego nam brakuje? Dlaczego nie zasługujemy na to, by zostać jezuitami? Czy tylko dlatego, że nie jesteśmy Portugalczykami albo Hiszpanami, czy też dlatego, że nie jesteśmy owłosieni i nie mamy okrągłych oczu? Na Boga Jedyneho, ojczu, czemu to nie ma, jak dotąd, ani jednego wyświęconego japońskiego jezuitę?

- Natychmiast zamilcz!

- My, Michał, Julian i ja, byliśmy nawet w Rzymie! - wybuchnął Józef. - Tyś nigdy nie był w Rzymie, nie poznałeś ojca generała ani Jego Świątobliwości papieża, tak jak my. .

- To jeszcze jeden powód, abyś miał dość rozumu, żeby ze mną nie dyskutować. Ślubowałeś czystość cielesną, ubóstwo i posłuszeństwo? Zostałeś wybrany spośród wielu, wyróżniony spośród wielu, a teraz dopuszczasz do tego, żeby twoja dusza stała się tak zepsuta, że. .

- Bardzo przepraszam, ojczu, ale wątpię, czy to wyróżnienie spędzić osiem lat na podróży tam i z powrotem i po pobraniu tylu nauk, po tylu modlitwach, kazaniach i czekaniu nie zostać wyświęconym, co nam przyrzeczone Kiedy wyjeżdżałem, miałem dwanaście lat, Julian jedenaście. .

- Zabraniam ci mówić dalej! Rozkazuję ci zamilknąć! - W straszliwej ciszy, która zaległa, Alvito spojrział na pozostałych akolitów, którzy stali pod ścianami, pilnie im się przypatrując i słuchając. - Wszyscy zostaniecie Wyświęceni W swoim czasie. Ale ty, Józefie, jak Bóg na niebie, ty. .

- Jak Bóg na niebie, w czym czasie?! - wybuchnął Józef.

- W czasie wyznaczonym przez Boga - odparł ostro Alvito, płonąc fanatyzmem, osłupiały w obliczu tego jawnego buntu. - Na kolana! !

Brat Józef starał się zmusić go do spuszczenia wzroku, ale to mu się nie udało, a kiedy gniew z niego uszedł, ugiął się, opadł na kolana i skłonił głowę.

- Niech Bóg się nad tobą zlituje. Sam przyznałeś się do popełnienia ohydneho grzechu śmiertelnego, do złamania świętego ślubu czystości, świętego ślubu posłuszeństwa względem przełożonych. Jak śmiesz wątpić w rozkazy generała naszego zakonu i postępowanie Kościoła?

Naraziłeś swoją nieśmiertelną duszę. Pohańbiłeś swojego Boga, swoje Bractwo, swój Kościół, rodzinę i przyjaciół. Twój przypadek jest tak poważny, że musi się nim zająć ojciec wizytator. Do tego czasu nie przyjmiesz komunii, nie będziesz się spowiadał sam ani innych, nie będziesz też uczestniczył w mszach. . - Ramiona Józefa zaczęły drżeć pod ciężarem wyrzutów sumienia, które go ogarnęły. - Jako wstępną pokutę otrzymujesz zakaz odżywiania się, przez trzydzieści dni będziesz żył tylko o ryżu i wodzie, trzydzieści następnych nocy spędzisz na klęczkach, modląc się do Błogosławionej Matki Bożej, żeby odpuściła ci twoje potworne grzechy, a ponadto zostaniesz wychłostany. Dostaniesz trzydzieści batów. Zdejmij sutannę.

Ramiona Józefa przestały drżeć. Podniósł głowę.

- Przyjmuję wszystkie twoje polecenia, ojcze - rzekł - i przepraszam za moje grzechy z całego serca. Z całej duszy proszę, żebyś mi wybaczył, tak jak do końca dni moich będę o to błagał

Jego. Ale nie dam się wybatożyć jak zwykły przestępca.

- Zostaniesz wychłostany! !

- Wybacz mi, ojcze, proszę cię - powiedział Józef. - Na Błogosławioną Matkę Bożą, mnie nie chodzi o ból. Ból mam za nic, śmierć za nic. Może moją karmą jest być potępionym i przez wieczność smażyć się w piekle, to zniosę. Ale jestem samurajem. Jestem z rodu pana Harimy.

- Twoja pycha napęlnia mnie wstrętem. Nie dla bólu zostaniesz ukarany, ale po to, żebyś pozbył się tej odrażającej pychy. Zwykły przestępca, mówisz? A gdzie twoja pokora? Nasz Pan, Jezus Chrystus, zniósł upokorzenia. I skonał między zwykłymi przestępcami.

- Tak. Właśnie z tym mamy największy problem, ojcze.

- Słucham?

- Przepraszam za szczerość, ale gdyby Król Królów nie skonał jak pospolity przestępca na krzyżu, to samuraje mogliby zaakceptować. .

- Dosyć!

- . . chrześcijaństwo łatwiej. W przeciwieństwie do innych zakonów Towarzystwo Jezusowe jest na tyle mądre, że unika mówienia o ukrzyżowaniu Chrystusa. .

Alvito jak anioł zemsty wysunął przed siebie krzyż niczym tarczę.

- W imię Boże milcz i okaż posłuszeństwo; bo w przeciwnym razie zostaniesz wyklęty!

Chwyćcie go i rozbierzcie!

Pozostali adepci, wyrwani z bezruchu, ruszyli do Józefa, ale ten poderwał się na nogi. W jego dłoni błysnął nóż, który wydobył spod sutanny. Plecami przywarł do ściany. Wszyscy stanęli jak wryci. Wszyscy, z wyjątkiem brata Michała. Powoli i spokojnie szedł dalej z wyciągniętą ręką.

- Proszę cię, bracie, odłóż go - powiedział łagodnie.

- Nie. Przepraszam cię.

- W takim razie módl się za mnie, bracie, tak jak ja modłę się za ciebie - rzekł Michał i ze spokojem sięgnął po nóż.

Józef odskoczył kilka kroków w tył i przygotował się do zadania śmiertelnego pchnięcia.

- Wybacz mi, Michale «- rzekł. i Michał szedł dalej.

- Michale, stań! Zostaw go - polecił Alvito.

Michał posłuchał i zatrzymał się o centymetry od zawieszzonego w powietrzu ostrza.

- Niech Bóg zlituje się nad tobą, Józefie - powiedział Alvito z poszarzałą twarzą. - Wyklinam cię'. Szatan posiadał twoją duszę na ziemi i posiadzie ją po twojej śmierci. Odejdź!

- Wyrzekam się chrześcijańskiego Boga! Jestem Japończykiem, jestem shintō. Moja dusza należy odtąd do mnie. Nie boję się! - krzyknął Józef. - Tak, jesteśmy dumni. . w przeciwieństwie do barbarzyńców. Jesteśmy Japończykami, nie barbarzyńcami. Nie są nimi nawet nasi chłopci.

Żeby ich wszystkich ochronić, Alvito z wielką powagą zrobił znak krzyża i bez lęku stanął plecami do nagiego noża.

- Pomódlmy się razem, bracia. Jest w naszym gronie Szatan.

Inni również odwrócili się od Józefa, wielu zasmuconych, niektórzy nadal wstrząśnięci tym, co się stało. Tylko Michał pozostał tam, gdzie stał, patrząc na odstępce. Józef zdarł z siebie różaniec i krzyż. Właśnie chciał je odrzucić, kiedy Michał jeszcze raz wyciągnął rękę w jego stronę.

- Proszę, bracie, proszę, daj je mnie. . to taki prosty podarunek - rzekł.

Józef wpatrywał się w niego dłuższą chwilę, po czym oddał mu i różaniec.

- Przepraszam cię - powiedział.

- Będę się za ciebie modlił - obiecał Michał.

- Czyś nie słyszał? Wyparłem się Boga!

- Będę modlił się, żeby Bóg nie wyparł się ciebie. Uraga-no-Tadamasa-san.

- Wybacz mi, bracie - odparł Józef. Wsunął nóż do pochwy, szarpnięciem otworzył drzwi i na ośleprzemierzywszy korytarz wy dostał się na werandę. Przez podwórko ruszył do bramy. Na drodze stał mu samuraj.

- Stać!

Józef zatrzymał się.

- Dokąd idziesz, proszę?

- Przepraszam, panie, ale. . nie wiem.

- Służę panu Toranadze. Wybacz, ale nic nie poradzę na to, że sły szałem wszystko, co zaszło w środku. Na pewno sły szano to w całej gospodzie. Co za okropne maniery. . to straszne, że twój przywódca tak krzyczy i zakłóca spokój. I ty również. Jestem tu na służbie. Najlepiej zrobisz, jeżeli porozmawiasz z moim dowódcą warty.

- Ja chyba. ., dziękuję ci, ale pójdę w swoją stronę, Wybacz, proszę.

- Nigdzie nie pójdziesz, przykro mi. Tylko do mojego dowódcy.

- Słucham? Aha. . tak. Tak, przepraszam, oczywiście - bełkotał Józef, starając się zmusić do myślenia.

- To dobrze. Dziękuję.

Samuraj odwrócił się, bo od mostu nadszedł drugi samuraj i go pozdrowił.

- Mam zabrać Tsukku-sana do pana Toranagi - oznajmił.

- Dobrze. Czeka na ciebie.

43.

Toranaga przyglądał się wysokiemu księdzu, który szedł przez polanę. W migoczącym świetle pochodni jego okolona czarną brodą twarz wydawała się jeszcze bledsza niż zazwyczaj.

Pomarańczowa sutanna jezuity była elegancka, a u pasa wisiał mu różaniec z krzyżem.

Dziesięć kroków od niego ojciec Alvito zatrzymał się, ukląkł i rozpoczynając zwyczajowy ceremoniał powitalny, uklonił się z szacunkiem.

Toranaga siedział sam na podeście, otoczony przez strażników stojących półkolem, poza zasięgiem słuchu. W pobliżu był tylko Blackthorne, który, tak jak mu polecono, opierał się niedbale o podest i świdrował jezuitę wzrokiem. Alvito zachowywał się tak, jakby go nie zauważał.

- Dobrze jest cię znów zobaczyć, wielmożny panie - rzekł Alvito, kiedy mógł już to zrobić bez uchybiania zasadom grzeczności.

- I ciebie, Tsukku-san. - Toranaga zaprosił go gestem, żeby usiadł na poduszce leżącej na tatami przed podestem. - Dawno cię nie widziałem.

- Tak, wielmożny panie, wiele jest do powiedzenia - odparł Alvito aż nadto dobrze świadom, że poduszka spoczywa na ziemi, a nie na podeście. Doskonale też widział samurajskie miecze noszone przez Anglika tak blisko Toranagi i jego niedbałą pozę. - Przywożę poufną wiadomość od przełożonego mojego zakonu, ojca wizytatora, który z całym szacunkiem pozdrawia cię.

- Dziękuję. Najpierw jednak opowiedz mi o sobie.

- Ach, wielmożny panie - rzekł Alvito, dobrze wiedząc, że daimyō jest zbyt spostrzegawczy, by nie zauważył trapiących go wyrzutów sumienia, które tak bardzo starał się w sobie stłumić. -

Akurat dzisiaj aż nadto jestem świadom swych porażek. Wolałbym być dziś wieczorem zwolniony z ziemskich obowiązków, zaszyć się w odosobnieniu i pomodlić się, prosząc Boga o łaskę. -
Zawstydził

go własny brak pokory. Co prawda grzech Józefa był straszliwy, ale zareagował nań gniewem, zbyt pośpiesznie i niemądrze. Przez ten błąd została wyklęta i bezpowrotnie stracona jedna dusza. - To bardzo smutne stracić brata, to straszne wykląć kogoś, nawet jeśli popełnił grzech straszliwy.

Powinienem był okazać więcej cierpliwości. To moja wina.

- A gdzie on teraz jest?

- Nie wiem, panie.

Toranaga przywołał strażnika.

- Odszukaj tego chrześcijańskiego odszczepieńca i przyślij go do mnie jutro w południe - polecił.

Samuraj pośpiesznie odszedł.

- Błagam o miłosierdzie dla niego, wielmożny panie - rzekł prędko i szczerze Alvito.

- Dlaczego w waszym Towarzystwie nie ma wyświęconych księży, Tsukku-san? - spytał zniechęcony Toranaga.

- Ponieważ, wielmożny panie, żaden z naszych, akolitów nie ma odpowiedniego wykształcenia.

Na przykład, rzeczą niezbędną jest znajomość łaciny, nasz zakon wymaga bowiem od braci gotowości udania się w każdej chwili w dowolny zakątek świata, a łaciny, niestety, bardzo trudno jest się wyuczyć. Nikt z nich nie jest jeszcze odpowiednio wyszkolony ani gotowy.

Alvito wierzył w to całym sercem. W przeciwieństwie do ojca wizytatora, był stanowczo przeciwny istnieniu jezuickiego kleru złożonego z wyświęconych Japończyków.

Zerknął na Blackthorne'a, po czym znowu na Toranagę, który spytał:

- Ale kilku z tych uczących się na księży umie mówić po łacinie i portugalsku, ne? Ten człowiek powiedział prawdę. Dlaczego ich nie wybrano?

- Niestety, przykro mi, ale generał naszego Towarzystwa uznał, że nie są dostatecznie przygotowani. Dowodem na to jest, być może, tragiczny upadek Józefa.

- Źle jest złamać uroczystą przysięgę - rzekł Toranaga. - Tak. Bardzo źle, gdy ktoś łamie przysięgę, krzyczy i zakłóca harmonię tego zajazdu.

- Bardzo za to przepraszam, wielmożny panie, przepraszam, że wspomniałem o swoich kłopotach. Dziękuję za wysłuchanie. Twoja troska jak zwykle poprawia mi samopoczucie. Czy wolno mi przywitać się z pilotem?

Toranaga wyraził zgodę.

- Moje gratulacje, pilocie - rzekł Alvito po portugalsku. - Pasują do ciebie te miecze.

- Dziękuję, ojcze, właśnie uczę się nimi władać - odparł Blackthorne. - Ale nie robię jeszcze tego, wstyd powiedzieć, wprawnie. Jeśli przyjdzie mi walczyć, pozostanę przy pistoletach, pałaszach i działach.

- Modlę się, byś nie musiał już nigdy więcej walczyć, pilocie, i żeby oczy otworzyły ci się na niezmiernie miłosierdzie Boże.

- Ja mam oczy otwarte. To twoje nie widzą wyraźnie.

- Na dobro twojej duszy, pilocie, miej oczy otwarte i otwarty rozum. Bo możesz się pomylić.

Mimo to muszę ci podziękować za ocalenie życia panu Toranadze.

- Od kogo o tym wiesz?

Alvito nie odpowiedział i zwrócił się znów w stronę Toranagi. <- Co sobie powiedzieliście? -

spytał Toranaga, przerywając milczenie.

Alvito powiedział mu i dodał:

- Chociaż jest wrogiem mojej wiary i piratem, cieszę się, że uratował ci życie, wielmożny panie. Niezbadane są wyroki Boże. Obdarzyłeś go ogromnym zaszczytem, czyniąc go samurajem.

- Jest też moim hatamoto - odparł Toranaga, uradowany przelotnym zaskoczeniem jezuitę. -

Przywiozłeś słownik?

- Tak, wielmożny panie, wraz z kilkoma mapami, o które prosiłeś. Jest na nich zaznaczona część portugalskich baz po drodze z Goi tutaj. Książkę mam w swoim bagażu. Czy kogoś po nią posłać, czy może przekazać mu ją później osobiście?

- Przekaż mu ją później. Dziś wieczorem albo jutro. Czy przywiozłeś też z sobą obiecany raport?

- O muszkietach rzekomo przywiezionych z Makau? Ojciec wizytator właśnie go przygotowuje, wielmożny panie.

A co z liczbą japońskich najemników, których zatrudniacie w poszczególnych nowych bazach?

- Ojciec wizytator zażądał od wszystkich aktualnych danych, wielmożny panie, i dostarczy ci je zaraz po ich skompletowaniu.

- Dobrze. A teraz odpowiedz mi, od kogo wiesz o wyratowaniu mnie.

- Prawie wszystko, co dotyczy pana Toranagi-no-Minowara, staje się przedmiotem plotek i legend. Po drodze z Mishimy tutaj dowiedzieliśmy się, że o mało co nie pochłonęło cię trzęsienie ziemi, wielmożny panie, ale ten „Złoty Barbarzyńca” cię wyciągnął. A ponadto, że z kolei ty wyciągnąłeś jego i jakąś damę. Panią Mariko, jak się domyślam?

Toranaga skinął głową.

- Tak. Jest tutaj, w Yokose. . Jutro - dodał po chwili - zgodnie z waszymi zwyczajami, chciałaby się wypowiedzieć. Ale tylko ze spraw, które nie dotyczą polityki. Mam wrażenie, że wyklucza to wszystko, co wiąże się ze mną i niektórymi moimi hatamoto, ne? Wyjaśniłem to także jej.

Alvito skłonił się na znak, że zrozumiał.

- Za twoim pozwoleniem, wielmożny panie, czy mogę odprawić mszę dla wszystkich tutejszych chrześcijan? Oczywiście, bardzo dyskretnie. Jutro?

- Rozważę to. - Przez chwilę Toranaga mówił o sprawach bez znaczenia, po czym spytał: -

Masz dla mnie wiadomość? Od swojego naczelnego kapłana?

- Z całą pokorą ośmielam się zauważyć, wielmożny panie, że jest ona poufna.

Toranaga udał, że się nad tym zastanawia, chociaż już przed spotkaniem z jezuitą zdecydował, jak ma ono przebiegać, i szczegółowo pouczył Anjin-sana, co ma robić i co mówić.

- Doskonale. - Obrócił się do Blackthorne'a. - Anjin-san, możesz odejść, porozmawiamy jeszcze później.

- Tak, wielmożny panie - odparł Blackthorne. - Bardzo przepraszam, Czarna Karawela.

Przybywa Nagasaki?

- A, właśnie. Dziękuję - odparł Toranaga, rad, że pytanie Anjin-sana nie wyglądało na przygotowane.

- No więc, Tsukku-san, czy wpłynęła już ona do portu?

Alvita zaskoczył fakt, że Blackthorne mówi po japońsku, i bardzo go wzburzył.

- Tak, wielmożny panie. Zawinęła do portu przed czternastoma dniami.

- Aha, czternastoma? - spytał Toranaga. - Rozumiesz, Anjin-san?

- Tak. Dziękuję.

- Dobrze. O inne rzeczy możesz spytać Tsukku-sana później, ne?

- Tak, wielmożny panie. Przepraszam.

Blackthorne wstał, ukłonił się i odszedł. Toranaga patrzył za nim.

- Nadzwyczaj interesujący człowiek. . jak na pirata - rzekł. - No, a teraz opowiedz mi najpierw o Czarnej Karaweli.

- Przyplłynęła szczęśliwie, wielmożny panie, z największym do tej pory ładunkiem jedwabiu -

odparł Alvito, siląc się na entuzjastyczny ton. - Umowa pomiędzy panami Harimą, Kiyamą, Onoshim i tobą jest realizowana. Za rok o tej porze twój skarbiec wzbogaci się o dziesięć tysięcy kobanów.

Przywiezione jedwabie są w najlepszym gatunku. Mam dla twojego kwatermistrza wykaz przywiezionych towarów. Generał Ferriera przysyła ci wyrazy uszanowania i liczy, że wkrótce

zobaczy się z tobą osobiście. Ojciec wizytator wysłał mnie w największym pośpiechu z Osaki do Nagasaki, żebym upewnił się, czy wszystko się udało. Właśnie przy wyjeździe z Nagasaki doszły nas wieści, że wyjechałeś z Edo do Izu, dlatego przybyłem tutaj najprędzej, jak mogłem, podróżując najpierw jednym z naszych najszybszych kutrów do portu Nimazu, a dalej łądem. W Mishimie, napotkałem pana Zatakiego i poprosiłem go, żeby pozwolił mi się do siebie przyłączyć.

- Twój statek nadal stoi w Nimazu?

- Tak, wielmożny panie. Zaczeka tam na mnie.

- Dobrze. - Toranaga zastanawiał się przez chwilę, czy nie wysłać tym statkiem Mariko do Osaki, postanowił jednakże, że sprawą tą zajmie się potem. - Zechciej przekazać ten spis towarów mojemu kwatermistrzowi.

- Tak, wielmożny panie.

- A czy umowa na tegoroczne towary została opatrzona pieczęciami?

- Tak. Jak najbardziej.

- To dobrze. A teraz druga sprawa. Ta ważna.

Alvitowi wyschły dłonie.

- Ani pan Kiyama, ani pan Onoshi nie zgodzą się na odstąpienie od Ishido - powiedział. -

Przykro mi, ale mimo że ich usilnie nakłanialiśmy, nie zgodzą się w tej chwili przejść pod twoje sztandary.

- Podkreśliłem - rzekł Toranaga ściszym, bezlitosnym tonem - że wymagam od was czegoś więcej niż nakłaniania!

Przepraszam, że przywożę niepomyślnie wieści, wielmożny panie, ale w tym przypadku, nikt publicznie nie zgodziłby się przejść. .

- A, publicznie, powiadasz? A prywatnie. . po cichu?

- Prywatnie obaj są tak samo nieugięci jak pu. .

- Rozmawialiście z nimi oddzielnie czy razem?

- Oczywiście, że i razem, i oddzielnie, w największej tajemnicy, ale żadna z naszych namów. .

- Tylko „namawialiście” ich do działań? Dlaczego im tego nie nakazaliście?!

- Wielmożny panie, tak jak powiedział ojciec wizytator, nie możemy nakazać niczego żadnemu daimyō ani żadnemu. .

- Aha, ale swoim braciom możecie wydawać rozkazy? Ne?

- Tak, wielmożny panie.

- Czy im również grozicie wyrzuceniem?

- Nie, wielmożny panie. -

- Dlaczego?

- Ponieważ nie popełnili grzechu śmiertelnego.

- A więc wyrzucacie jakiegoś głupca za zgodny z naturą czyn, taki jak poduszkowanie, ale kiedy dwóch waszych nawróconych zachowuje się nienaturalnie, a co więcej, zdradliwie, w chwili gdy ja, wasz przyjaciel, szukam pilnej pomocy, to wy tylko ich „namawiacie”?! Rozumiesz chyba, jak poważna to sprawa, ne?

- Przepraszam, wielmożny panie. Wybacz, proszę, ale. .

- Być może nie wybaczę ci tego, Tsukku-san. Już mówiłem, że teraz wszyscy muszą stanąć po jednej ze stron - rzekł Toranaga.

- My jesteśmy oczywiście po twojej stronie, wielmożny panie. Ale niczego nie możemy nakazać ani panu Kiyamie, ani panu Onoshiemu. .

- Ja na szczęście mogę wydawać rozkazy moim chrześcijanom.

- Słucham, wielmożny panie?

- Mogę wydać rozkaz uwolnienia Anjin-sana. Wraz ze statkiem. Wraz z działami.

- Strzeż się go, wielmożny panie. Ten pilot jest diabelnie mądry, ale zarazem to pirat, heretyk i nie wolno mu ufać. .

- Tutaj Anjin-san jest samurajem i hatamoto. Na morzu być może jest piratem. Myślę, że ściągnie na swój statek wielu korsarzy i wako, bardzo wielu. Co cudzoziemiec robi na pełnym morzu, to jego sprawa. Zawsze wyznawaliśmy tę zasadę, ne?

Alvito milczał, starając się zaprząć mózg do pracy. Nikt nie przewidział, że ten Ingeles tak bardzo zbliży się do Toranagi.

- Czy tych dwóch chrześcijańskich daimyō na pewno nie opowie się po mojej stronie, nawet po cichu?

- Nie, wielmożny panie. Próbowaliśmy na. .

- Żadnych ustępstw, nic?. .

- Nie, wielmożny panie. .

- Żadnej wymiany, ugody, kompromisu?

- Nie, wielmożny panie. Próbowaliśmy wszelkich zachęt i perswazji. Uwierz mi. - Alvito zdawał

sobie sprawę, że wpadł w pułapkę i widać było po nim trochę, że jest zdesperowany. - Gdybym załatwiał tę sprawę ja, to co innego. Zagroziłbym im ekskomuniką, choć byłaby to groźba bez pokrycia, bo nie do spełnienia, chyba że popełniliby grzech śmiertelny i przyznali się do niego albo gdyby nie wypełnili pokuty i okazali nieposłuszeństwo. Ale jeśli nawet groźba taka przyniosłaby chwilowy zysk, to i tak byłaby czymś bardzo złym, wielmożny panie, grzechem śmiertelnym.

Naraziłbym się na wieczne potępienie.

- Powiadasz, że gdyby zgrzeszyli przeciwko waszej, wierze, tobyście ich wyklęli?

- Tak, ale nie twierdzę, że w ten sposób można by ich było przeciągnąć na twoją stronę, wielmożny panie. Przepraszam, ale oni. . są w tej chwili całkowicie przeciwko tobie. Przykro mi, taka jest prawda. Powiedzieli nam to bardzo jasno, razem i z osobna. Bóg świadkiem, że modłę się, aby zmienili zdanie. Ojciec wizytator i ja przysięgaliśmy ci na Boga, wielmożny panie, że będziemy się starali. Tę obietnicę wypełniliśmy. Bóg jednak świadkiem, żeśmy zawiedli.

- A więc przegram - powiedział Toranaga. - Wiecie o tym, prawda? Jeżeli oni pozostaną sprzymierzeńcami Ishido, to po jego stronie staną wszyscy chrześcijańscy daimyō. A wówczas muszę przegrać. Na jednego mojego samuraja przypadnie dwudziestu wrogów. Ne?

- Tak.

- Co planują? Kiedy mnie zaatakują?

- Nie wiem, wielmożny panie.

- A powiedziałbyś mi, gdybyś wiedział?

- Tak. . na pewno.

Wątpię w to, pomyślał Toranaga i przytłoczony brzemieniem trosk zapatrzył się w nocny mrok. 'Czyżby w końcu musiało dojść do Szkarłatnego Nieba? -TM- zadał sobie bezradnie pytanie. -

Do bezsensownego, skazanego na klęskę uderzenia na Kioto?

- Przykro mi, że ci dwaj trzymają z waszym prawdziwym wrogiem.

- Przysięgam, że próbowaliśmy, wielmożny panie.

Alvito przyglądał się ze współczuciem Toranadze, wyczuwając, jak ciężko jest mu na duszy.

- Tak. Wierzę ci. Wierzę, że ty i ojciec wizytator dotrzyмалиście waszej uroczystej obietnicy, tak więc i ja dotrzymam swojej. Od zaraz możecie przystąpić do wznoszenia w Edo swojej świątyni. Wydzielono już teren pod nią. Nie mogę zakazać innym waszym mnichom, innym Kosmatym, wstępu do cesarstwa, ale mogę przynajmniej sprawić, żeby byli niepożądanymi gośćmi w moich włościach. A nowi barbarzyńcy, jeśli w ogóle przyplłyną, będą tam równie niepożądani. Co zaś do Anjin-sana. .
- Toranaga wzruszył ramionami. - A zresztą, jak długo to wszystko.. no cóż, karma, ne?

Alvito gorąco podziękował Bogu za miłosierdzie i przychyłność w postaci takiej łaski Toranagi.

- Dziękuję ci, wielmożny panie - rzekł, ledwie mogąc mówić. - Na pewno tego nie pożałujesz.

Modłę się, żeby twoi wrogowie zostali rozniesieni w puch, a ty żebyś mógł zebrać wszystkie nagrody Niebios.

- Żałuję swoich szorstkich słów. Wypowiedziałem je w gniewie. Jest tyle. . - Toranaga wstał niezgrabnie. - Pozwalam ci odprawić jutro mszę, stary przyjacielu.

- Dziękuję, wielmożny panie - odparł Alvito i nisko się uklonił, litując się nad tym zazwyczaj majestatycznym mężczyzną. - Dziękuję ci z całego serca. Niechaj Boska Istota błogosławi ci i ma cię w swojej opiece.

Toranaga, stąpając ciężko, wszedł do zajazdu, a za nim strażnicy.

- Naga-san!

- Tak, ojczy - odpowiedział młodzieniec, śpiesząc ku niemu.

- Gdzie pani Mariko?

- Tam, z Buntaro-sanem, wielmożny panie. - Naga wskazał małą herbaciarnię z zapalonymi lampionami wewnątrz ogrodu, w której widać było ludzkie cienie. - Czy mam im przerwać cha-no-yu?

Cha-no-yu było sformalizowaną, w najwyższym stopniu zrytualizowaną ceremonią picia herbaty.

- Nie. Nie wolno jej przerywać. A gdzie Omi i Yabu-san?

- W swoim zajęździe, wielmożny panie.

Naga wskazał niezgrabny niski budynek po drugiej stronie rzeki, niedaleko brzegu.

- Kto go wybrał?

- Ja, wielmożny panie. Wybac, ale kazałeś mi znaleźć zajazd na drugim brzegu rzeki. Czy źle cię zrozumiałem?

- A Anjin-san?

- Jest w swoim pokoju, wielmożny panie. Czeka, na wypadek gdybyś go potrzebował.

Toranaga jeszcze raz potrząsnął przecząco głową.

- Zobaczę się z nim jutro - rzekł i po chwili dodał tym samym nieobecny tonem: - Teraz się wykąpię. A potem nie życzę sobie, żeby mi przeszkadzano, aż do rana, chyba że. .

Naga czekał niespokojnie, przyglądając się ojcu zapatrzonemu niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Był ogromnie zmieszany jego zachowaniem.

- Dobrze się czujesz, ojcze? - spytał.

- Słucham? A, tak. . tak, nic mi nie jest. A dlaczego pytasz?

- Bez powodu. . przepraszam. Czy nadal masz zamiar rano zapolować?

- Zapolować? O, tak, to dobry pomysł. Dziękuję ci, żeś mi o tym przypomniał, tak, to mi bardzo dobrze zrobi. Zajmij się tym. No, to dobrej nocy. . Aha, pozwoliłem Tsukku-sanowi na odprawienie dyskretnej mszy: Mogą na nią pójść wszyscy chrześcijanie. Ty pójdziesz również.

- Słucham, wielmożny panie?

- W pierwszym dniu nowego roku zostaniesz chrześcijaninem.

- Ja?!

- Tak. Dobrowolnie. Powiedz o tym po cichu Tsukku-sanowi.

- Słucham, wielmożny panie?

- Ogłuchłeś?! - naskoczył na niego Toranaga. - Czy znowu nie rozumiesz najprostszych rzeczy?

- Przepraszam. Tak, ojcze. Rozumiem.

- To dobrze.

Toranaga znów się rozkojarzył, a po chwili odszedł w towarzystwie przybocznego strażnika.

Do Nagi podszedł jeden z oficerów, równie zatroskany jak on.

- Co się stało z naszym panem? - spytał.

- Nie wiem, Yoshinaka-san. - Naga spojrział przez ramię na polanę. Alvito właśnie oddalał się, idąc w asyście tylko jednego samuraja w stronę mostu. - Ma to jakiś związek z nim.

- Jeszcze nie widziałem, żeby pan Toranaga stąpał tak ociężale. Widzę to pierwszy raz.

Powiadają. . powiadają, że ten barbarzyński kapłan to czarownik. To na pewno prawda, skoro tak dobrze mówi po japońsku, ne? Czy mógłby rzucić urok na naszego pana?

- Nie. W żadnym razie. Nie na mojego ojca.

- Ja przez tych barbarzyńców aż się cały trzęsę, Naga-sań. Czy słyszałeś o tej kłótni, o tym, że Tsukku-san i jego banda wrzeszczeli i sprzeczekali się jak niewychowani eta?

- Tak. To odrażające. Jestem pewien, że ten człowiek zakłócił harmonię mojego ojca.

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to strzała w gardło tego kapłana zaoszczędziłaby naszemu panu wielu kłopotów.

- Tak.

- Może powinniśmy powiedzieć o panu Toranadze panu Buntaro. Jest naszym dowódcą.

- Zgoda, ale później. Ojciec powiedział wyraźnie, żeby nie przerywać ceremonii cha-no-yu.

Zaczekam, aż pan Buntaro skończy.

Wśród milczenia Mariko siedziała przez chwilę nieruchomo, zachowując niezmacony spokój i nie chcąc jeszcze potwierdzać żadnym znakiem, że to koniec ceremonii, ani zakłócać panującej ciszy. Czowała jednak na sobie coraz natarczywszy wzrok męża. Cha-no-yu dobiegła końca. Zaczynało się znów zwykle życie.

- Urządziłeś to doskonale - wyszeptwała, przytłoczona smutkiem.

Uroniła łzę, której upadek wyrwał mu serce z piersi.

- Ach, nie. . nie. Wybacz, proszę. . ale to ty jesteś doskonała. . ceremonia była zwyczajna - rzekł, zaskoczony jej niespodziewaną pochwałą.

- Nie widziałam lepszej - odparła, ujęta kryształową uczciwością brzmiącą w głosie męża.

- Nie, nie, wybacz, jeśli w miarę się udała, to dzięki tobie, Mariko-san. Udała się w miarę. . to ty ją ozdobiłaś.

- Dla mnie była nieskazitelna. Pod każdym względem. Jaka szkoda, że nie mogli jej zobaczyć inni, więcej warci ode mnie.

Jej oczy błyszczały w migotliwym świetle.

- Widziałas ją ty! To wystarczy. Była przeznaczona tylko dla ciebie. Inni by jej nie zrozumieli.

Poczuła na policzkach gorące łzy. W zwykłych okolicznościach wstydziłaby się ich, lecz w tej chwili

jej nie „przeszkadzały.

- Dziękuję, jak mogę ci za to podziękować?

Wziął gałązkę dzikiego tymianku, pochylił się i drżącymi palcami delikatnie pochwycił na nią łzę Mariko. W milczeniu spuścił wzrok na łodyżkę ziela, która jeszcze bardziej zmaląła w jego dużej dłoni.

- Moje dzieło.. moje dzieło.. nie umywa się do jej piękna -, powiedział. - Dziękuję ci.

Przypatrywał się łzie na listku.

Oboje dali się nieść słodkiej melancholii, połączeni prostotą pojedynczej łzy, radzi z panującej ciszy, dzieląc uczucie pokory i wiedząc, że dar zwrócono w stanie nieskalanym.

- Gdyby nie zabraniał nam tego obowiązek, to poprosiłbym cię, żebyś połączyła się ze mną w śmierci. Teraz.

- Odeszłabym razem z tobą.

- Z chęcią - odparła natychmiast. - Wyjdźmy na spotkanie śmierci. Już.

- Nie możemy. Mamy obowiązek wobec pana Toranagi. Mariko wyjęła z obi sztylet i z czcią ułożyła go na tatami.

- W takim razie pozwól, że ja przygotuję się do niej - powiedziała.

- Nie. Bo tym samym nie dopełniłbym swojego obowiązku.

- Co ma być, to będzie. Ty i ja nie przeważymy szali.

- Tak, ale nie możemy odejść przed naszym panem. Ani ty, ani ja. Potrzebuje wszystkich swoich wiernych wasali trochę dłużej. Wybacz, proszę, ale nie wolno mi do tego dopuścić.

- Z radością odeszłabym dziś wieczorem. Jestem gotowa. Więcej nawet, ja pożądam przejścia na tamtą stronę. Tak. Moją duszę przepelnia radość. - Uśmiechnęła się z wahaniem. -

Wybacz mi, proszę, samolubstwo. Masz zupełną słuszność co do naszego obowiązku.

W świetle świecy błysnęło ostre jak brzytwa ostrze. Przyglądali się mu, zagubieni w kontemplacji. A potem Buntaro zniszczył nastrój.

- Dlaczego jedziesz do Osaki, Mariko-san? - spytał.

- Są tam do załatwienia sprawy, które jedynie ja mogę załatwić.

Zmarszczki na jego czole pogłębiły się, kiedy patrzył, jak światło z kapiącej świecy pada na łzę i

zostaje rozszczepione na tysiąc kolorów.

- Jakie sprawy?

- Sprawy dotyczące przyszłości naszej rodziny, które muszę załatwić właśnie ja.

- W takim razie musisz jechać. - Spojrzał na nią badawczo. - Jedziesz tam sama?

- Tak. Chcę dopilnować, żeby wszystkie rodzinne umowy pomiędzy nami a panem Kiyamą w sprawie małżeństwa Sarujiego zostały załatwione bez zarzutu. Pieniądze, posag, ziemie i tak dalej.

Trzeba załatwić prawne powiększenie jego lenna. Załatwienia tej sprawy domagają się pan Hiromatsu i pan Toranaga. Jestem odpowiedzialna za naszą rodzinę.

- Tak - odparł wolno - to twój obowiązek. - Ich oczy spotkały się. - Jeżeli pan Toranaga każe ci jechać, to jedź, ale wątpię, czy pozwolą ci tam zostać. Niemniej i tak. . musisz szybko wrócić.

Bardzo szybko. Niemądrze byłoby pozostawać w Osace nawet chwilę dłużej niż to konieczne.

- Tak.

- Morzem dojechałabyś prędzej niż lądem. Ale ty przecież nie znosiłaś morza.

- I nadal nie znoszę.

- Czy masz się tam stawić szybko?

- Nie wiem, czy pół miesiąca albo miesiąc robi różnicę. Być może, nie jestem pewna. Po prostu czuję że powinnam tam pojechać natychmiast.

- Wobec tego kwestię terminu i samego wyjazdu zostawmy do decyzji pana Toranagi, jeśli w ogóle pozwoli ci jechać. Obecność tutaj pana Zatakiego i te dwa zwoje pergaminu oznaczają tylko jedno: wojnę. Podróż będzie zbyt niebezpieczna.

- Tak. Dziękuję ci.

Buntaro przyjrzał się uważnie sztyletowi i dodał ponuro:

- Och, Mariko-san, nic więcej nie możemy zrobić dla pana Toranagi. Jego karma jest już zapisana. Wygra albo przegra. Wygra czy przegra, będzie wielka rzeź.

- Tak.

W zadumie oderwał oczy od sztyletu i zamyślił się nad gałązką dzikiego tymianku, nad wciąż niezmaczoną, czystą łzą.

- Jeżeli przegra, zanim zginę - dodał po pewnym czasie - to ja sam albo, jeśli nie będę żył, jeden z

moich ludzi zabije Anjin-sana.

Jej twarz jaśniała w ciemnościach. Powiewy leciutkiego wietrzyku poruszały kosmyki jej włosów, jeszcze bardziej upodabniając ją do posągu.

- Wybacz, proszę, czy wolno mi spytać dlaczego?

- Jest zbyt niebezpieczny, żeby żyć. Jego wiedza, pomysły, które słyszałem nawet z piątej ręki. . zarażą cesarstwo, nawet pana Yaemona. Pan Toranaga znalazł się pod jego urokiem, ne?

- Panu Toranadze wiedza sprawia przyjemność - odparła Mariko.

- Chwila, w której on umrze, będzie też wyrokiem śmierci na pilota. Mam jednakże nadzieję, że naszemu panu wcześniej otworzą się oczy. - Świeca zatrzeszczała i zgasła. Buntaro spojrzał na żonę.

- Czy ty jesteś pod jego urokiem?

- To fascynujący człowiek. Ale jego sposób myślenia tak różni się od naszego.. jego wartości. . tak, jest pod tyloma względami tak bardzo odmienny od nas, że czasem bywa zupełnie niepojęty. Kiedyś starałam się mu wytłumaczyć ceremonię cha-no-yu, ale nie był w stanie jej zrozumieć.

- To na pewno straszne urodzić się barbarzyńcą - powiedział Buntaro.

- Tak.

Jego wzrok spoczął na ostrzu sztyletu.

- Niektórzy uważają, że w poprzednim wcieleniu Anjin-san był Japończykiem. Nie przypomina innych barbarzyńców i. . bardzo się stara mówić i zachowywać jak jeden z nas, lecz - mu się to nie udaje, ne?

- Szkoda, żeś go nie widział, kiedy bliski był popełnienia seppuku, Buntaro-san. Ja. . to było niezwykle. Zobaczyłam, jak odwiedza go śmierć, którą zawróciła ręka Omiego. Gdyby w poprzednim życiu był Japończykiem, wiele by to tłumaczyło. Pan Toranaga uważa, że w tej chwili jest on dla nas cenny.

- Czas, żebyś zarzuciła jego nauki i z powrotem stała się Japonką.

- Słucham, wielmożny panie?

- Uważam, że pan Toranaga jest pod jego urokiem. I ty też.

- Wybacz mi, ale wątpię w to.

- Tamtej nocy w Anjiro, tej, która źle się potoczyła, czułem, że ty trzymasz z nim. .

przeciwko mnie. Oczywiście była to zła myśl, ale tak to czułem.

Mariko oderwała oczy od sztyletu. Spojrzała spokojnie na Buntaro i nic nie powiedziała.

Następna świeca zatrzaśkała krótko i zgasła. Paliła się już tylko jedna.

- Tak, tamtej nocy nienawidziłem go - ciągnął Buntaro tym samym spokojnym głosem - i pragnąłem jego śmierci, a także twojej i Fujiko-san. Mój łuk szeptał do mnie, jak mu się to czasem zdarza, domagając się, żebym zabił. A kiedy nazajutrz o świcie zobaczyłem go schodzącego ze wzgórza z tymi małymi pistoletami dla tchórzy w rękach, moje strzały błagały mnie, bym pozwolił im się napić jego krwi. Ale odłożyłem zabicie go na później i narzuciłem sobie pokorę, nienawidząc swoich złych manier bardziej niż jego, wstydzając się ich-i wypitej sake. - Zaczął zdradzać oznaki zmęczenia. - Tak wiele wstydu musimy znosić, ty i ja. Ne?

- Tak.

- Nie chcesz, żebym go zabił?

- Musisz robić to, co, jak wiesz, jest twoim obowiązkiem - odparła. - Podobnie jak ja zawsze będę wypełniała swój.

- Dzisiaj nocujemy w zajeździe - powiedział.

- Tak.

I wtedy zmienił zamiar. Ponieważ okazała się wymarzoną gością, a jemu ceremonia cha-no-yu udała się jak jeszcze nigdy, postanowił, że zwróci jej tyle samo czasu i spokoju, ile od niej otrzymał.

- Idź do zajazdu. Spać - rzekł, wziął sztylet i podał go Mariko. - Kiedy klony stracą liście albo kiedy powrócisz z Osaki, zaczniemy od początku. Jako mąż i żona.

- Tak. Dziękuję ci.

- Zgadzasz się na to dobrowolnie, Mariko-san?

- Tak. Dziękuję ci.

- Twój Bóg ci świadkiem?

- Tak. Mój Bóg świadkiem.

Mariko ukloniła się, wzięła sztylet, schowała go” ukloniła się jeszcze raz i wyszła.

Jej kroki ucichły. Buntaro spuścił wzrok na gałązkę tymianku, którą nadal ścisnął w dłoni, i na łzę pochwyconą na małym listku. Drżącymi palcami delikatnie ułożył gałązkę na dogorywających węglach. Soczyste zielone liście zaczęły się zwijać i czernieć. Łza wyparowała z sykiem.

A potem w ciszy „Buntaro rozpląkał się z gniewu, nagle dogłębnie pewien, że Mariko zdradziła go z Anjin-sanem.

Blackthorne dojrzał ją, kiedy wychodziła z ogrodu i szła przez dobrze oświetlony dziedziniec.

Jej prześliczna bladość zaparła mu dech. Na niebo po wschodniej stronie wkradał się już świt.

- Witaj, Mariko-san.

- Och. . witaj, Anjin-san! Ty. . bardzo przepraszam, zaskoczyłeś mnie. . nie zauważyłam ciebie.

Późno chodzisz spać.

- Nie. Gomen nasai, o właściwej porze. - Uśmiechnął się i wskazał na brzask, który był już blisko. - To zwyczaj nabyty na morzu. Człowiek budzi się tuż przed świtem, w samą porę, żeby wyjść na pokład i być gotowym do zmierzenia wysokości słońca na niebie. - Uśmiechnął się szerzej. -

To ty późno chodzisz spać.

- Nie miałam pojęcia, że to.. że noc minęła.

Strażujący przy bramach i wszystkich wejściach samuraje, a wśród nich Naga, przypatrywali im się bacznie. Mariko przeszła na łacinę i jej głos stał się prawie niedosłyszalny.

- Strzeż się ich oczu, błagam cię - powiedziała. - Nawet w najciemniejszej nocy kryją się zwiastuni nieszczęścia.

Odwrócili głowy, ponieważ przy głównej bramie zaklekotały kopyta koni sokolników, myśliwych i strażników. Z zajazdu wyszedł smętny Toranaga.

- Wszystko gotowe, wielmożny panie - oznajmił Naga. - Czy mogę jechać z tobą?

- Nie, nie, dziękuję. Odpocznij sobie. Mariko-san, jak tam cha-no-yu?

- Bardzo piękna, wielmożny panie. Przepiękna.

- Buntaro-san jest w tym mistrzem. Masz szczęście.

- Tak, wielmożny panie.

- Anjin-San? Chcesz pojechać na polowanie? Chciałbym cię nauczyć polowania z sokołem.

- Słucham, wielmożny panie?

Mariko natychmiast przełożyła słowa Toranagi.

- Tak, dziękuję - odparł Blackthorne.

- Dobrze. - Toranaga dał mu znak, żeby dosiadł konia. - Pojedziesz ze mną.

- Tak, wielmożny panie.

Mariko przyglądała się odjeżdżającym. Kiedy wjechali truchtem pod górę, poszła do swojego pokoju. Służąca pomogła jej się rozebrać, usunąć makijaż i rozpuścić włosy. Mariko kazała dziewczynie pozostać w pokoju po to, by jej samej nie przeszkadzano aż do południa.

- Tak, pani.

Mariko położyła się, zamknęła oczy i zanurzyła całym ciałem we wspaniałe miękkie spodnie kołdry. Była wyczerpana i szczęśliwa. Ceremonia cha-no-yu pozwoliła jej wznieść się na nieznane dotąd wyżyny ukojenia, oczyściła ją, doprowadzając do wysublimowanego, radosnego postanowienia, żeby umrzeć, a potem wzniosła na jeszcze wyższy szczyt, na jakim dotąd nie gościła. Powrót z owego szczytu na ziemię dał jej niesamowitą i niewiarygodną świadomość cudowności życia. Miała wrażenie, że wyszła z siebie, tak cierpliwie odpowiadając na pytania - Buntaro, przekonana, że jej odpowiedzi i maniery dorównują doskonałością ceremonii. Zwinęła się na posłaniu, uradowana, że zdobyła spokój. . aż do pory opadających liści.

Matko Boża, modliła się żarliwie, dzięki Ci, że tak miłosiernie i cudownie przedłużyłaś mi życie. Dziękuję Ci za to z całego serca i z całej duszy, miłując Cię na wieki wieków.

Pokornie odmówiła trzy zdrowaśki, a potem, prosząc o wybaczenie, zgodnie ze swoim zwyczajem, posłuszna swojemu lennemu panu, na kolejny dzień schowała Boga w zanadrze świadomości.

Co bym zrobiła, gdyby Buntaro poprosił mnie, bym dzieliła z nim łóżko? - zastanawiała się, nim ją zmorzył sen.

Odmówiłabym mu.

No, a gdyby upierał się przy tym, bo ma prawo?

Dotrzymałabym obietnicy danej mu podczas cha-no-yu. O, tak. Nic się nie zmieniło.

44.

O godzinie Kozła orszak ponownie przeszedł przez most. Wszystko było jak poprzednio, z tą różnicą, że tym razem Zataki i jego ludzie ubrani byli lekko, do podróży. . albo do starcia. Wszyscy uzbrojeni byli po zęby i wprawdzie bardzo karni, ale w razie zwady gotowi walczyć na śmierć i życie.

Usiedli w ordynku naprzeciwko znacznie od nich liczniejszych szeregów Toranagi. Ojciec Alvito stał z boku w tłumie widzów. Tak samo Blackthorne.

Toranaga powitał Zatakiego z taką samą ceremonialną grzecznością, przedłużając uroczyste posiedzenie. Obaj daimyō byli dziś na pomoście sami, a ich poduszki umieszczono dalej od siebie.

Chmury wisiały nisko. Yabu, Omi, Naga i Buntaro otaczali wianuszkami Toranagę siedząc na ziemi, a za plecami Zatakiego zajmowało miejsca czterech jego wojskowych doradców.

W stosownym momencie Zataki wyjął drugi zwój.

- Przyszedłem po twoją oficjalną odpowiedź - oznajmił.

- Zgadzam się pojechać do Osaki i podporządkować woli Rady - odparł spokojnym głosem Toranaga i uklonił się.

- Chcesz się podporządkować? - spytał Zataki z twarzą wykrzywioną w grymasie niedowierzania. - Ty, Toranaga-no-Minowara, chcesz. .

- Posłuchaj - przerwał mu Toranaga swoim dźwięcznym, nakazującym posłuch głosem, który chociaż wcale nie wydawał się głośny, to rozszedł się po całej polanie. - Radzie Regencyjnej należy okazać posłuch! Nawet jeżeli jest ona nielegalna, jest instytucją cesarstwa, którego żaden daimyō nie ma prawa rozdzierać, bez względu na to, ile słuszności jest po jego stronie. Cesarstwo ma pierwszeństwo! Jeżeli więc jakiś daimyō się zbuntuje, to obowiązkiem pozostałych jest go zniszczyć. Przysiągłem taikō, że przenigdy jako pierwszy nie naruszę pokoju, więc mimo że w naszym kraju panoszy się zło, nie zrobię tego. Przyjmuję zaproszenie! Wyruszam dziś!

Oślupiali samuraje, wszyscy bez wyjątku, próbowali odgadnąć, co oznacza ta nieprawdopodobna zmiana stanowiska. Byli boleśnie świadomi faktu, że jeżeli nie wszyscy, to większość z nich będzie zmuszona zostać roninami, wraz z wszelkimi konsekwencjami tej odmiany losu: utratą honoru, dochodów, rodziny i przyszłości.

- Poddajesz się, panie? Nie będziemy się bić?! - ryknął Yabu, zdając sobie sprawę, że śmierć jego i jego rodziny jest więcej niż pewna.

- Przyjmuję zaproszenie Rady - odparł Toranaga. - Podobnie jak przyjmiesz je ty!

- Ja nie będę. .

Wyrwany z zamyślenia Omi miał na tyle przytomności, by w lot pojąć, że natychmiast musi przerwać wujowi, jeśli ten nie ma zginąć błyskawiczną śmiercią, do czego doprowadziłby każdy sprzeciw wobec woli Toranagi. Niemniej umyślnie zapieczętował usta, krzycząc w duchu z uciechy na ten zesłany z nieba dar, i czekał, aż Yabu się pogrąży.

- Czego nie będziesz? - spytał Toranaga.

Dusza głośno ostrzegała Yabu przed niebezpieczeństwem.

- Ja. . ja. . naturalnie, twoi poddani będą ci posłuszni - zdołał wycharczeć. - Tak. . jeżeli postanowisz. . cokolwiek postanowisz. . ja to wykonam.

Omi zaklął w duchu i ponownie przybrał kamienną minę, wciąż zdetonowany nieoczekiwaną kapitulacją Toranagi.

Zirytowany Toranaga pozwolił Yabu jąkać się dalej, a tym samym przeproszać usilniej.

Wreszcie przerwał mu z lekceważeniem.

- To dobrze - rzekł i zwrócił się ponownie do Zatakiego, ale zachował czujność. - Tak więc, bracie, możesz odłożyć drugi zwój. Poza tym nic. . - Kątem oka dostrzegł zmieniającą się minę syna i ostrzegł go:

- Naga!

Młodzieniec omal nie wyskoczył ze skóry, ale zdjął dłoń z miecza.

- Tak, ojcze? - spytał, zacinając się.

- Przynies mi przybory do pisania! Natychmiast!

Kiedy Naga znalazł się poza zasięgiem mieczy przeciwników, Toranaga odetchnął z ulgą, że udało mu się zapobiec atakowi na Zatakiego. Przyjrzał się bacznie Buntaro. Potem Omiemu. A na końcu Yabu. Uznał, że wszyscy trzej ochłonęli już na tyle, by nie zrobić jakiegoś głupstwa, prowokując natychmiastową walkę i wielką rzeź.

- Zaraz dam ci moją oficjalną zgodę na piśmie - zwrócił się do Zatakiego. - Przygotuje to Radę na moją uroczystą wizytę. - Ściszył głos i powiedział tylko do brata: - W granicach Izu jesteś bezpieczny, regencie. I bezpieczny poza nimi. Jesteś bezpieczny aż do chwili, gdy uwolnię z twoich łap moją matkę. Tylko do tego czasu. Spotkanie skończone.

- Dobrze. „Uroczystą wizytę”? - zadrwił Zataki, nie ukrywając pogardy. - Co za hipokryzja!

Do głowy by mi nie przyszło, że doczekam dnia, w którym Yoshi Toranaga-no-Minowara będzie bił pokłony generałowi Ishido. Jesteś po prostu. .

- Co jest ważniejsze, bracie? - przerwał mu Toranaga. - Ciągłość mojego rodu czy ciągłość cesarstwa?

Kiedy wszystko przygotowano do wyjazdu, Toranaga wyszedł ze swoich pokoi na werandę i wezwał Mariko i Blackthorne'a. Mariko pozwolił pojechać do Osaki.

- Ale najpierw udasz się stąd prosto do Mishimy - powiedział do niej. - Przekażesz mój prywatny list panu Hiro-matsu, a potem pojedziesz dalej z Anjin-sanem do Edo. Aż do przyjazdu do Edo odpowiadasz za niego. Stamtąd prawdopodobnie popłyniesz do Osaki, zdecyduję o tym później.

Anjin-san! Czy otrzymałeś słownik od księdza?

- Proszę? Bardzo przepraszam, nie rozumiem. Mariko przełożyła.

- Przepraszam. Tak, dostałem książka.

- Kiedy zobaczymy się w Edo, będziesz mówił po japońsku lepiej niż w tej chwili. Wakarimasu ka?

- Hai. Gomen nasai.

Przygnębiony Toranaga opuścił podwórze, osłaniany przed deszczem dużym parasolem niesionym przez samuraja. Wszyscy samuraje, tragarze i wieśniacy jednocześnie złożyli mu ukłon.

Nie zwracając na nich uwagi, wsiadł do stojącego na czele kolumny palankinu z dachem i zaciągnął zasłony.

Buntaro wrócił do wysokiej, rzeźbionej bramy zajazdu, nie dbając o lejący deszcz.

- Mariko-san! - zawołał.

Posłusznie pośpieszyła ku niemu, osłaniając się parasolką z pomarańczowego impregnowanego papieru, w który bębniły ciężkie krople.

- Słucham, wielmożny panie?

Jego spoglądające spod runda bambusowego kapelusza oczy przemknęły ponad nią i dotarły do Blackthorne'a, który patrzył na nich z werandy.

- Powiedz mu. . - Buntaro urwał.

- Tak, wielmożny panie? Buntaro wbił wzrok w żonę.

- Powiedz mu, że czynię go odpowiedzialnym za ciebie.

- Tak, wielmożny panie - odparła. - Zechciej mi jednak wybaczyć, ale za siebie odpowiadam sama.

Buntaro odwrócił się i ocenił odległość do czoła kolumny. Kiedy spojrzał ponownie na Mariko, na

jego twarzy znać było udrękę.

- A więc opadające liście nie przykryją już naszych oczu? - spytał.

- To jest w ręku Boga, wielmożny panie.

- Nie, to jest w rękach pana Toranagi - rzekł wzgardliwym tonem.

Podniosła wzrok, wcale nie drżąc pod jego spojrzeniem. Deszcz bębnił w parasolkę. Krople spadały z jej runda niczym kurtyna z łez. Błoto ochlapało rąbek kimona Mariko.

- Sayonara - powiedział Buntaro - do zobaczenia w Osace.

To ją zaskoczyło.

- Och, przepraszam, a czy nie zobaczymy się w Edo? Z pewnością przyjedziesz tam z panem Toranagą, i to chyba w tym samym czasie co ja, ne? Zobaczę się wtedy z tobą, panie?

- Tak. W Osace jednak, kiedy się tam spotkamy lub kiedy z niej powrócisz, zaczniemy od nowa. Dopiero wtedy naprawdę się zobaczymy, ne?

- Ach, rozumiem. Bardzo przepraszam.

- Sayonara, Mariko-san - powtórzył.

- Sayonara, panie.

Mariko ukłoniła mu się. Odpowiedział jej głębokim ukłonem pożegnalnym i przez błocko poszedł do swojego konia. Wskoczył na siodło i nie oglądając się pogalopował.

- Jedź z Bogiem - powiedziała, patrząc za nim.

Stojący pod dachem werandy Blackthorne przyglądał się, jak Mariko odprowadza męża wzrokiem. Wkrótce czoło kolumny zniknęło w chmurach, a potem także palankin Toranagi i wtedy odetchnął szerzej, nadal przytłoczony decyzją daimyō i całym tym złowróbnym dniem.

Tuż przed południem, po powrocie z polowania w Yokose i po spotkaniu Toranagi z Zatakim, kiedy wykapał się i wziął masaż, na drodze stanął mu nagle niczym mściwa zjawa ojciec Alvito w asyście dwóch wrogich akolitów.

- Jezu Chryste, precz ode mnie! - powiedział Blackthorne.

- Nie masz się czego bać ani nie potrzebujesz bluźnić - odparł Alvito.

- Bodaj Bóg przeklął ciebie i wszystkich księży! - odrzekł mu Blackthorne, starając się opanować. Dobrze wiedział, że znajduje się na terytorium wroga, ponieważ wcześniej był świadkiem, jak z pół

setki katolickich samurajów przeszło przez most, żeby, jak wyznała Mariko, wziąć udział w mszy, którą na podwórku swojego zajazdu odprawił Alvito. Sięgnął dłonią do miecza, ale nie znalazł go, bo wbrew obowiązującemu zwyczajowi nie nosił go do kąpielowych szat. Przeklął się więc za głupotę, bardzo żałując, że nie jest uzbrojony.

- Oby Bóg wybaczył ci bluźnierstwa, pilocie. Tak. Oby wybaczył ci i otworzył oczy. Nie żywię do ciebie urazy. Przychodzę z podarunkiem. Proszę, oto dar od Boga.

Blackthorne wziął podejrzliwie pakunek. Kiedy otworzył go i ujrzał portugalsko-łacińsko-japoński słownik z gramatyką, ogarnęło go wzruszenie. „Przejrzał kilka stron. Nigdy dotąd nie widział podobnie doskonałego druku, a jakość i szczegółowość haseł wręcz oszałamiała.

- Tak, to jest rzeczywiście dar od Boga, ale dajecie mi go z rozkazu pana Toranagi.

- Jesteśmy posłuszni jedynie rozkazom naszego Pana.

- Toranaga zażądał od was, żebyście mi go dali?

- Tak. Wyraził takie życzenie.

- A czy „życzenie” Toranagi nie jest rozkazem?

- To zależy, naczelnny pilocie, od tego, kim jesteś, czym jesteś i jak mocna jest twoja wiara. -

Alvito wskazał książkę. - Trzech naszych braci poświęciło na przygotowanie tego dzieła dwadzieścia siedem lat.

- No, to dlaczego mi je dajecie?

- Bo nas o to poproszono.

- A dlaczego nie wykręciliście się jakoś od spełnienia żądania Toranagi? Przecież macie na to aż nadto sprytu.

Alvito wzruszył ramionami. Blackthorne prędko przekartkował słownik, sprawdzając go. Papier był doskonały, druk bardzo przejrzysty. Nie brakowało stron.

- Jest kompletny - rzekł rozbawiony Alvito. - My nie przepoławiamy książek.

- Ta książka jest zbyt cenna, by z niej robić prezenty. Czego chcecie w zamian?

- Pan Toranaga poprosił nas, żebyśmy dali ją tobie. Ojciec wizytator zgodził się na to. Tak więc dostajesz ją. Została wydrukowana dopiero teraz, w tym roku. Nareszcie. Jest piękna, prawda? Prosimy tylko, byś się o nią troszczył, byś ją dobrze traktował. Zasluguje na dobre traktowanie.

- Zasluguje, by ją strzec jak życia. To bezcenna wiedza, tak jak i wasze ruty. Ale więcej warta. Czego

za to chcecie?

- Nie prosimy cię o nic.

- Nie wierzę. - Blackthorne z jeszcze większą podejrzliwością zważył słownik w rękę. -

Przecież dobrze wiecie, że w ten sposób staję się wam równy. Otrzymuję całą waszą wiedzę, co zaoszczędza nam dziesięć, może dwadzieścia lat. Z pomocą tego słownika już niedługo będę mówić tak dobrze jak ty. A kiedy to się stanie, będę mógł uczyć innych. To klucz do całej Japoni, nie?

Język to klucz do każdej obczyzny, prawda? Za sześć miesięcy będę mógł rozmawiać bezpośrednio z panem Toranaga.

- Tak, być może. Jeżeli będziesz miał te sześć miesięcy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nic ponadto, co już i tak wiesz. Pan Toranaga zginie znacznie prędzej niż za sześć miesięcy.

- Dlaczego? Co za wieści mu przywiozłeś? Od rozmowy z tobą przypomina byka z na wpół poderżniętym gardłem. Coś mu powiedział, ha?

- Wiadomość ta była poufna, wiadomość od jego eminencji dla pana Toranagi. Przykro mi, ale jestem zwyczajnym posłańcem. Z pewnością wiadomo ci jednak, że w Osace rządzi generał Ishido, a kiedy pan Toranaga tam pojedzie, straci wszystko. I ty również.

- Dlaczego ja? - spytał Blackthorne, czując lodowaty chłód w kościach.

- Nie uciekniesz od swojego przeznaczenia, pilocie. Pomogłeś panu Toranadze przeciwko Ishido. Wyprowadziłeś statek z zatoki w Osace. Przykro mi, ale mówienie po japońsku, twoje miecze i status samuraja nic ci nie pomogą. Być może gorzej dla ciebie, że zostałeś samurajem.

Mogą ci teraz wydać rozkaz popełnienia seppuku, a jeżeli odmówisz. . Mówiłem ci już - dodał Alvito tym samym łagodnym tonem - to są prości ludzie.

- My, Anglicy, też jesteśmy prości - odparł z niemałą brawurą Blackthorne. - Kiedy giniemy, to giniemy, wierząc jednak przy tym w Boga i nie dając zamoknąć prochowi. Nic się nie bój, księżu, mam jeszcze w zapasie trochę sztuczek.

- Ależ ja się nie boję, pilocie. Nie boję się niczego ani ciebie, ani twojej herezji, ani twoich dział. Wszystkie są zagwożdżone, tak jak i ty sam.

- Karma, wszystko w rękach Boga, nazywaj to sobie jak chcesz - odparł zdenerwowany Blackthorne. - Ale Bóg świadkiem, że odzyskam statek, a za parę lat przywiodę tutaj eskadrę okrętów i przepędzę was z Azji do wszystkich diabłów!

Alvito przemówił raz jeszcze ze swoim ogromnym, onieśmielającym spokojem.

- O tym zadecyduje Pan Bóg, pilocie. Tutaj jednak wszystko jest już przesądzone i żadna z twoich przepowiedni się nie spełni. Żadna. - Alvito spojrzał na Blackthorne'a tak, jakby miał przed sobą nieboszczyka. - Niechaj Bóg zmiłuje się nad tobą, bo wierzę, On mi świadkiem, że nigdy nie opuścisz tych wysp.

Blackthorne zadrżał, przypominając sobie, z jakim przekonaniem Alvito wypowiedział te słowa.

- Zimno ci, Anjin-san?

Stojąca obok niego w wieczornym zmierzchu na werandzie Mariko otrząsnęła z deszczu swoją parasolkę.

- Ach, przepraszam, nie, nie jest mi zimno, po prostu rozmyślałem - odparł.

Spojrzał na przełęcz. Kolumna już zniknęła w zwałach chmur. Deszcz nieco zelżał i padał łagodnie i miękko.

- Wieczorem jest znacznie przyjemniej, prawda? - spytała Mariko.

- Tak - odpowiedział w pełni świadom, że są całkiem sami i że jeśli tylko zachowają ostrożność, a ona będzie pragnąć tego samego co on, nic im nie grozi.

Służąca, która nadeszła z suchymi skarpetami tabi, wzięła od Mariko parasolkę, uklękła i ręcznikiem zaczęła osuszać jej stopy.

- Jutro o świcie wyruszamy w podróż, Anjin-san.

- Długą?

- Kilkudniową, Anjin-san. Pan Toranaga powiedział. . że mamy mnóstwo czasu.

- Ojciec Alvito twierdzi, że kiedy pan Toranaga pojedzie do Osaki, będzie skończony - rzekł z niepokojem Blackthorne.

- O, tak. Tak, Anjin-san, to najprawdziwsza prawda - przyznała Mariko z ożywieniem, którego nie czuła. - Ale Osaka jest o wiele mil« stąd, w odległości niezliczonych trociczek czasu, jednakże do chwili, kiedy stanie się, co się stanie, nikt nie może wiedzieć, co to będzie, ani Ishido, ani poczciwy ojciec, ani my, ani nikt. Ne? O tym wie tylko Bóg. Ale nam tego nie powie, prawda? Być może aż do ostatniej chwili, ne?

- Hai! - Zaśmiał się wraz z nią. - Ach, jesteś taka mądra.

- Dziękuję, ale chcę ci coś zaproponować, Anjin-san. W czasie tej podróży zapomnijmy o wszystkich

kłopotach dookoła. O wszystkich.

- Moja ty - powiedział po łacinie. - Jakże dobrze jest cię oglądać.

- I ciebie. . - Mariko urwała, bo minęła ich właśnie Gyoko, którą wraz z Kiku Toranaga polecił jej zabrać ze sobą w podróż.

- Wobec tych dwóch należy w czasie podróży zachować nadzwyczajną ostrożność, ne?

- Bądź tego pewna, pani.

- Jestem pewna. Prawdę powiedziawszy, nawet bardzo.

- Jesteśmy w tej chwili niemal sami, ne? Ty i ja.

- Tak. Ale tego, co było, nie ma i nigdy się nie zdarzyło.

- To prawda. Tak. Masz znowu słusność. I jesteś piękna. Przez bramę wszedł samuraj i pozdrowił Mariko. Był w średnim wieku, miał dziobatą twarz, siwiejące włosy i lekko utykał.

- Przepraszam, wielmożna pani Toda, ale wyjeżdżamy o świcie, ne? - spytał.

- Tak, Yoshinaka-san. Jeżeli jednak sobie życzysz, to nic nie szkodzi, jeżeli zaczekamy z wyjazdem do południa. Mamy mnóstwo czasu.

- Tak. Jak wolisz, wyjedźmy zatem w południe. Dobry wieczór, Anjin-san. Pozwól, że się przedstawię. Jestem Akira Yoshinaka, dowódca twojej eskorty.

- Dobry wieczór, dowódco.

Yoshinaka zwrócił się ponownie do Mariko.

- Odpowiadam za niego i za ciebie, wielmożna pani, dlatego powiedz mu, proszę, że mam rozkaz pozostawić w jego pokoju na noc dwóch ludzi, żeby go chronili. W nocy wartę będzie pełnić dziesięciu strażników. Dookoła was. W sumie mam stu ludzi.

- Dobrze, kapitanie. Bardzo mi przykro, ale radzę nie pozostawiać na noc żadnych ludzi w pokoju Anjin-sana. Do bardzo surowo przestrzeganych zwyczajów jego nacji należy spanie samemu lub w towarzystwie jednej damy. Będzie z nim prawdopodobnie nocować moja służąca, więc nie pozostanie bez opieki. Dlatego' zechciej wystawić dookoła strażników, ale nie za blisko, żeby go nie zdenerwować.

Yoshinaka podrapał się w głowę i zmarszczył czoło.

- No dobrze, wielmożna pani - rzekł. - Tak, zgadzam się na to, chociaż mój sposób ma więcej sensu. W takim razie jednak poproś go z łaski swojej, żeby nie wychodził na te nocne przechadzki.

Aż do Edo odpowiadam za wszystkich, a kiedy odpowiadam za bezpieczeństwo wielu ważnych osób, to robię się bardzo nerwowy.

Yoshinaka uklonił się sztywno i odszedł.

- Kapitan prosi cię, żebyś nie oddalał się w pojedynkę podczas tej podróży. Jeżeli wstaniesz w nocy, zawsze bierz z sobą samuraja, Anjin-san - powiedziała Mariko. - Twierdzi, że w ten sposób mu pomożesz.

- Dobrze. Tak, tak zrobię. - Blackthorne patrzył za odchodzącym. - Czy mówił o czymś jeszcze? Zrozumiałem, że wspomniał coś o spaniu. Rozumiem go nie za bardzo..

Urwał, bo z zajazdu wyszła Kiku. Miała na sobie kąpielową szatę, a włosy zawinięte gustownie w ręcznik. Boso przeszła wolnym krokiem w stronę łaźni z gorącym źródłem, złożyła im półukłon i pomachała ręką. Odpowiedzieli jej na pozdrowienie.

Blackthorne przyglądał się jej długim nogom i rozkołysanemu chodowi, dopóki nie zniknęła.

Czując na sobie baczny wzrok Mariko, spojrział na nią.

- Nie - zapewnił od razu i pokręcił głową.

Roześmiała się.

- Myślałam, że. . po tak nadzwyczajnym poduszkowaniu będziesz skrępowany jej towarzystwem w podróży - powiedziała.

- Skrępowany, nie. Przeciwnie, jest mi bardzo przyjemnie. Mam przyjemne wspomnienia.

Cieszę się, że Kiku należy teraz do pana Toranagi. To wszystko ułatwia, jej, jemu. . Wszystkim. -

Miał zamiar dodać, że wszystkim, prócz Omiego, ale się rozmyślił. - W końcu dla mnie była ona jedynie bardzo wyjątkowym, wspaniałym podarkiem. Niczym więcej. Ne?

- Tak, była podarkiem.

Chciał dotknąć Mariko. Ale nie dotknął. Zamiast tego odwrócił się od niej i wpatrzył w przełęcz, nie całkiem pewien, co kryje się w spojrzeniu ukochanej. Przełęcz spowity już nocne ciemności. I chmury. Z dachu przyjemnie kapiała woda.

- Co jeszcze mówił dowódca eskorty? - spytał.

- Nie ważnego, Anjin-san.

45.

Podróż do Mishimy trwała dziewięć dni i każdej nocy jej część spędzali razem. Potajemnie.

Nieświadomie pomagał im w tym Yoshinaka, bo we wszystkich zajazdach wybierał dla nich sąsiadujące ze sobą pokoje.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, wielmożna pani, ale to bardzo ułatwi nam zapewnienie wszystkim bezpieczeństwa - powtarzał za każdym razem, a Mariko wyrażała zgodę i brała dla siebie środkowy pokój, sąsiadujący z pokojami Kiku i Gyoko oraz Blackthorne'a. W środku nocy zaś pozostawiała służącą Chimmoko i szła do niego. Ponieważ ze wszystkich pozostałych pokoiw dobiegała normalna paplanina, nocne odgłosy, śpiewy i hulanki innych podróżnych, których otaczał nieodmiennie rój zawsze gotowych do posług służących, czuwający na zewnątrz strażnicy z niczego nie zdawali sobie sprawy. W sekret kochanków wtajemniczona była jedynie Chimmoko.

Mariko wiedziała, że w końcu Gyoko, Kiku i wszystkie kobiety w ich grupie poznają, co się święci. Ale to jej nie martwiło. Była samurajką, a one nie. Jej słowo liczyło się bardziej od ich świadectw, chyba że przyłapano by ją in flagranti, żaden samuraj jednak, nawet Yoshinaka, nie ośmieliłby się bez zaproszenia otworzyć w nocy drzwi do jej pokoju. Wszyscy wiedzieli, że Blackthorne sypia z Chimmoko bądź którąś ze służących z zajazdu. Tak więc mogła ją zdradzić wyłącznie jedna kobieta, a gdyby ją zdradziła, to zarówno zdrajczynie, jak pozostałe służące z ich grupy zginęłyby śmiercią bardziej pospolitą i trwającą dłużej niż śmierć jej samej, Mariko, ukaranej za podłą zdradę. Ponadto wszystkie one wiedziały, że gdyby tylko zechciała, to przed dotarciem do Mishimy czy Edo, mogłaby je w każdej chwili uśmiercić za choćby najmniejszą, prawdziwą bądź

rzekomą, niedyskrecję. Była przekonana, że Toranaga nie sprzeciwiłby się zabijaniu. Z pewnością przyklasnąłby śmierci Gyoko i - coś jej mówiło w głębi serca - nie sprzeciwiłby się nawet śmierci Kiku. Za dwa i pół tysiąca koku można przecież kupić wiele kurtyzan pierwszej rangi.

Tak więc nie czuła się zagrożona przez kobiety. Ale przez Blackthorne'a owszem, mimo że tak mocno go pokochała. Nie - był Japończykiem. Nie był szkolony od urodzenia do budowania wewnętrznych, niezniszczalnych płotów, za którymi można się skryć: Jego twarz, zachowanie, duma mogły go zdradzić. Nie bała się o siebie. Bała się o niego.

- Nareszcie wiem, co to znaczy kochać - wyznała podczas pierwszej nocy. A ponieważ przestała już walczyć z miłosnymi porywami i nie opierała się im dłużej, pożerał ją strach o jego bezpieczeństwo.
- Kocham cię, dlatego boję się o ciebie - wyszeptła po łacinie, języku kochanków, trzymając go w objęciach.

- Kocham cię. Och, jakże cię kocham.

- Zakochując się w tobie, zniszczyłam cię, ukochany. Jesteśmy zgubieni. Zniszczyłam cię. .

taka jest prawda.

- Nie, Mariko, na pewno zdarzy się coś takiego, że wszystko ułoży się dobrze.

- Nie powinnam się w tobie zakochać. To moja wina.

- Błagam cię, przestań się martwić. Karma to karma.

Po pewnym czasie udała, że ją przekonał, i rozstąpiła w jego ramionach. Była jednak pewna, że sam wykopie sobie grób. O sobie nie bała się wcale.

Wspólne noce były rozkoszne. Każda następna czulsza i wspanialsza od poprzedniej. Dla niej dni były łatwe, dla niego trudne. Bez przerwy miał się na baczności, ze względu na nią za nic nie chcąc popełnić jakiegoś błędu.

- Ty na pewno nie popełnisz błędu - powiedziała, kiedy jechali razem, w bezpiecznej odległości od reszty. - Jesteś taki silny. Jesteś samurajem i nie popełnisz błędu.

- A po dotarciu do Edo?

- Edo.. zostawmy Edo. Kocham cię.

- Tak. I ja też cię kocham.

- To dlaczego jesteś taki smutny? >.

- Nie jestem smutny, pani. Cierpię, bo muszę milczeć. A chciałbym krzyczeć o swojej miłości ze szczytów gór.

Radowali się swoim odosobnieniem i pewnością, że nadal nie grożą im niczyje wścibskie oczy.

- Co się z nimi stanie, Gyoko-san? - spytała w palankinie swoją opiekunkę Kiku pierwszego dnia podróży.

- Czeka ich katastrofa, Kiku-san. Nie ma dla nich żadnych widoków na przyszłość. On się z tym dobrze kryje, ale ona!. Z jej twarzy wprost krzyczy uwielbienie dla niego! Przyjrzyj się jej!

Jest jak młoda dziewczyna! Ach, jaka' ona głupia!

- Ach, jaka jednak piękna, ne? Jakie to szczęście zaznać takiej pełni uczuć, ne?

- Tak, ale mimo wszystko nikomu nie życzyłabym zguby, która ich czeka. .

- Co zrobi Yoshinaka, kiedy odkryje, co ich łączy?

- Może nie odkryje. Modlę się, żeby nie odkrył. Mężczyźni to tacy durnie i tacy są głupi. Nie dostrzegają u kobiet najprostszyc rzeczy, dzięki niech będą za to Buddzie, a jego imię pochwalone. Módlmy się, żeby ich nie odkryto aż do chwili, kiedy my zajmiemy się naszymi interesami w Edo. Módlmy się, by nas nie obarczono odpowiedzialnością. O, tak, zaiste! A kiedy zatrzymamy się dziś po południu, odszukajmy najbliższą świątynię, gdzie zapalę w intencji bóstwa dziesięć trociczek. Na wszystkich bogów, jeżeli nam się uda wyjść z tego cało i dostanę pieniądze, to gotowa jestem przez

dziesięć lat przeznaczają w świątyni wszystkim bóstwom po trzy koku rocznie.

- Taka z nich piękna para, ne? Jeszcze nie widziałam kobiety w takim rozkwicie.

- Tak, ale kiedy oskarżą ją przed panem Buntaro, zwiędnie jak złamana kamelia. Ich karma jest ich karmą i nic na to nie poradzimy. Podobnie w przypadku pana Toranagi. . a nawet Omiego. Nie płacz, dziecko.

- Biedny Omi-san.

Omi dogonił ich trzeciego dnia podróży. Zatrzymał się w ich zajeździe, a po wieczerzy na osobności oficjalnie poprosił Kiku, żeby połączyła się z nim na wieczność.

- Z ochotą, Omi-san, z ochotą - odparła natychmiast, nie powstrzymując łez, ponieważ bardzo go lubiła. - Ale obowiązki wobec pana Toranagi, który mnie wyróżnił, a także wobec Gyoko-san, która mnie wykształciła, nie pozwalają „mi na to.

- Pan Toranaga stracił do ciebie prawo. Poddał się. Jest skończony.

- Ale nie dotyczy to, choćbym nie wiem jak tego pragnęła, jego umowy, Omi-san. Umowa ta jest prawomocna i obowiązuje. Wybacz mi, ale muszę ci odmówić. .

- Nie, odpowiadaj od razu, Kiku-san. Przemyśl to sobie. Proszę, błagam cię. Daj mi odpowiedź jutro - powiedział i odszedł.

Ale następnego dnia jej zroszona łzami odpowiedź była taka sama.

- Nie mogę być taka samolubna, Omi-san. Wybacz mi. Mam obowiązki wobec pana Toranagi i Gyoko-san. Nie mogę tego zrobić, choćbym nie wiem jak bardzo chciała. Przepraszam.

Zaczął ją przekonywać. Popłynęło więcej łez. Poprzysięgli sobie. wzajemne uwielbienie, potem zaś odesłała go z obietnicą:

- Jeżeli umowa nie zostanie dotrzymana albo pan Toranaga umrze, a ja będę wolna, wtedy zrobię wszystko, co chcesz, posłucham każdego twojego rozkazu.

Tak więc Omi opuścił zajazd i odjechał do Mishimy pełen niedobrych przeczuć, ona zaś osuszyła łzy i poprawiła makijaż.

- Jesteś taka mądra, dziecko - pochwaliła ją Gyoko. - Och, jakbym chciała, żeby pani Toda miała choć w połowie twój rozum.

- A, dzień dobry, Mariko-san. Jaki piękny dzień - powiedział ojciec Alvito, zbliżając się do nich. Stali przed zajazdem, gotowi do wyruszenia w całodzienną drogę. Zrobił nad nią znak krzyża. -

Niech cię Bóg błogosławi i zawsze ma w swojej pieczy.

- Dziękuję, ojczcie.

- Dzień dobry, pilocie. Jak się dzisiaj czujesz?

- Dobrze, dziękuję, A ty?

Ich oddziałek i jezuici wyprzedzali się na przemian po drodze. Czasem zatrzymywali się w tym samym zajeździe. Czasem jechali razem.

- Czy życzysz sobie, pilocie, żebym dziś rano podróżował z wami? - spytał Alvito. - Jeśli zechcesz, z przyjemnością pouczę cię znowu japońskiego..

- Tak, chcę. Dziękuję.

Pierwszego dnia podróży Alvito zaproponował Blackthorne'owi, że będzie go uczył języka.

- W zamian za co? - spytał czujnie Blackthorne.

- Za nic. W ten sposób zapełnię sobie wolny czas, a ponadto, mówiąc szczerze, w tej chwili jest mi smutno i czuję się staro. Poza tym, być może, chcę ci dać zadośćuczynienie za moje szorstkie słowa.

- Nie oczekuję od ciebie żadnego zadośćuczynienia. Ty robisz swoje, a ja swoje. Nigdy się nie spotkamy.

- Możliwe. . ale w czasie tej podróży możemy się tym i owym dzielić, ne? Jesteśmy wędrowcami podróżującymi tą samą drogą. Chciałbym ci pomóc.

- Dlaczego?

- Bo wiedza należy do Boga, nie do człowieka. Chciałbym ci dopomóc, traktując to jako dar. .
nie żądając niczego.

- Dziękuję, ale nie wierzę ci.

- W takim razie, skoro się upierasz, opowiedz mi o swoim świecie, co widziałeś i gdzie byłeś.

Cokolwiek, ale tylko to, co chcesz, samą prawdę. To mnie naprawdę interesuje i będzie godziwą zapłatą. Przybyłem do Japoni , kiedy miałem trzynaście czy czternaście, lat i nie widziałem niczego na świecie. Jeżeli chcesz, to możemy nawet na czas tej podróży zawrzeć rozejm.

- I nie będziemy rozmawiać o religii, polityce i doktrynach papistów?

- Jestem, kim jestem, pilocie, ale postaram się.

Tak więc zaczęli się ostrożnie dzielić wiedzą. Blackthorne uważał tę wymianę za niesprawiedliwą, jako że erudycja Alvita była przeogromna i był wybornym nauczycielem, podczas gdy on sam sądził,

że mówi mu jedynie o rzeczach dobrze znanych Wszystkim pilotom.

- Ależ to nieprawda - zaprzeczył Alvito. - Jesteś wyjątkowym pilotem, dokonałeś rzeczy niebywałych. Należysz do pół tuzina takich żeglarzy na świecie, ne?

Powoli nastąpiło między nimi zawieszenie broni, co ucieszyło Mariko.

- To jest przyjaźń, Anjin-san, albo jej początek - powiedziała mu.

- Nie, to nie przyjaźń. Nie ufam mu tak jak zwykle, tak samo jak i on mnie. Jesteśmy nieustającymi wrogami. O niczym nie zapomniałem ani on. Jest to czasowe zawieszenie broni, prawdopodobnie z jakiegoś konkretnego powodu, którego nigdy by mi nie wyjawiał, gdybym go o to spytał. Rozumiem go i nic w tym złego, jak długo mam się na baczności.

Zdarzyło się to siódmego dnia po wyjeździe z Yokose. Po dojechaniu do rozwidlenia traktu ojciec Alvito oznajmił im nagle, że się z nimi rozstaje. Pojedzie traktem na zachód, żeby na mniej więcej jeden dzień odwiedzić swój statek, ale jeżeli wolno, dogoni ich i przyłączy się do nich znowu na drodze z Mishimy do Edo.

- Oczywiście, oboje możecie pojechać ze mną «- zaproponował.

- Dziękuję ci, ojcze, przepraszam, ale mam do załatwienia w Mishimie kilka spraw - odparła Mariko..

- A ty, Anjin-san? Skoro pani Mariko będzie zajęta, to zapraszam ciebie samego. Mamy bardzo dobrego kucharza, a wino smaczne. Bóg mi świadkiem, że nic ci nie zagraża, będziesz mógł się poruszać swobodnie. Na pokładzie jest Rodrigues.

Mariko spostrzegła, że Blackthorne chce ją opuścić. Jak może? - zapytywała się ze smutkiem.

- Jakże może rozstawać się ze mną, kiedy zostało już tak niewiele czasu?

- Jedź, proszę, Anjin-san - powiedziała. - Dobrze ci to zrobi. . i miło ci będzie znów zobaczyć Rodriguesa, ne?

Ale chociaż Blackthorne bardzo chciał pojechać, to nie pojechał. Nie ufał temu jezuitcie.

Nawet dla Rodriguesa nie wszedłby w te sidła. Podziękował zakonnikowi i razem z Mariko patrzył, jak odjeżdża.

- Zatrzymajmy się, Anjin-san - zaproponowała Mariko, choć było dopiero południe. - Nie ma pośpiechu, ne?

- Doskonale. Tak, jestem za tym.

- Ojciec to dobry człowiek, ale cieszę się, że odjechał.

- Ja również. Ale to nie jest dobry człowiek. To ksiądz!

Gwałtowność, z jaką wyrzucił z siebie te słowa, zaskoczyła ją.

- Och, przepraszam, Anjin-san, wybacz mi, proszę, że powiedziałam. .

- To nieważne, Mariko-san. Już ci mówiłem. . ja nie zapominam o niczym. On zawsze będzie na mnie dybał.

Blackthorne poszedł odszukać kapitana Yoshinakę. Zmartwiona Mariko spojrzała na rozstaje dróg na zachodzie.

Tej nocy spali niespokojnie.

- Co się stało, ukochany? - spytała.

- Nic, Mariko-san. Śpij.

Ale nie zasnęła. I on też. Znacznie wcześniej, niż musiała, wśliznęła się z powrotem do swojego pokoju, on zaś wstał i usiadł na dziedzińcu, w świetle świecy aż do świtu studiując słownik.

Kiedy wzeszło słońce i nastał ciepły dzień, ich nocne troski zniknęły i spokojnie kontynuowali podróż.

Wkrótce dotarli do wielkiej drogi głównej Tokaidō, tuż na wschód od Mishimy, i napotkali znacznie więcej podróżnych. Przeważnie wędrowali oni, tak jak zwykle, pieszo, dźwigając swój dobytek na plecach. Natknęli się również na kilka juczych koni, ale - nie na powozy.

- Ach, powozy. . to coś, co ma koła, ne? W Japonii nie mają zastosowania, Anjin-san -

wyjaśniła Mariko. - Nasze drogi są za strome, a poza tym poprzecinane zawsze przez rzeki albo strumienie. Ponadto koła zniszczyłyby ich nawierzchnię, tak więc nie wolno ich używać nikomu oprócz cesarza, a i on przejeżdża zaledwie kilka ri po specjalnej drodze w Kioto w czasie uroczystości. Nie potrzebujemy kół. Jakże przenosić pojazdy przez rzeki i strumienie. . których jest dużo, o wiele za dużo, by przerzucić nad nimi mosty. Stąd do Edo jest do przebycia może ze sześćdziesiąt strumieni, Anjin-san. Ile dotąd musieliśmy pokonać? Tuziny, ne? Nie, my tu tylko chodzimy lub jeździmy konno. Oczywiście z koni, a zwłaszcza palankinów wolno korzystać jedynie ważnym osobom, daimyō i samurajom, a i to nie wszystkim.

- Co takiego? Nawet jeżeli cię stać na palankin, to nie możesz go wynająć?

- Nie, jeżeli nie masz odpowiedniej pozycji, Anjin-san. To bardzo mądre prawo, nie sądzisz?

Lekarze i bardzo starzy ludzie mogą podróżować na koniu albo w lektyce, także ludzie bardzo chorzy, jeśli otrzymają pozwolenie na piśmie od swojego lennego pana. Palankiny i konie nie byłyby stosowne dla chłopów i pospólstwa. Nauczyłyby ich lenistwa, ne? Znacznie lepiej dla nich, że poruszają się pieszo.

- To również zapobiega opuszczaniu przez nich miejsca, prawda?

- O, tak. Ale wszystko to służy zachowaniu spokoju, porządku i wa. Pieniądze do zmarnotrawienia mają jedynie kupcy, a przecież to darmozjady, które niczego nie tworzą, nie sieją, nie robią nic prócz pasienia się na cudzej pracy. Oni wszyscy stanowczo powinni poruszać się pieszo, ne? Pod tym względem jesteśmy bardzo mądrzy.

- Nigdy nie widziałem tylu wędrujących ludzi - powiedział Blackthorne.

- Och, to jeszcze nic. Zaczekaj, aż zbliżymy się do Edo. Uwielbiamy podróżować, Anjin-san, ale rzadko sami. Lubimy podróżować w grupach.

Ale wędrujące tłumy nie spowalniały ich podróży. Godło Toranagi na chorągwiach, osobista pozycja Mariko i szorstka fachowość Akiry Yoshinakiego oraz gońców wysłanych przodem, by obwieszczać, kto jedzie, zapewniały im najlepsze pokoje w najlepszych zajazdach i niczym nie zakłócały wędrowkę. Wszyscy obcy podróżni i samuraje prędko ustępowali im z drogi i gięli się w niskich ukłonach czekając, aż przejadą.

- Czy oni wszyscy muszą zatrzymywać się i tak klękać przed każdym? - spytał Blackthorne.

- O, nie, Anjin-san. Tylko przed daimyō i ważnymi osobami. A ponadto przed większością samurajów. Tak, mądrze, że obowiązuje to cały gmin. To grzeczny zwyczaj, Anjin-san, i niezbędny, ne? Gdyby pospółstwo nie szanowało samurajów ani siebie, to jakże mogłoby działać prawo i jak można by było rządzić cesarstwem? W dodatku prawo to obowiązuje wszystkich. Czyż nie zatrzymaliśmy się, nie ukłoniliśmy się i nie przepuściliśmy cesarskiego posłańca? Do grzeczności zobowiązani są wszyscy. Mniej ważni daimyō muszą zsiadać z koni i kłaniać się możniejszym. Naszym życiem rządzą rytuały, ale w cesarstwie panuje posłuch.

- A powiedzmy, że spotykają się dwaj daimyō równi sobie.

- Wtedy obaj zsiadają z koni, kłaniają się sobie równie głęboko i rozjeżdżają się w swoje strony.

- Powiedzmy, że spotykają się pan Toranaga i generał Ishido.

Mariko gładko przeszła na łacinę.

- A kim oni są, Anjin-san? - spytała. - Nie znam tych nazwisk, nie dzisiaj, nie między nami.

- Masz słusność, pani. Proszę o wybaczenie.

- Posłuchaj, ukochany, przyrzeknijmy, że jeżeli Madonna uśmiechnie się do nas i szczęśliwie wyjedziemy z Mishimy, dopiero w Edo, na Pierwszym Moście, dopiero tam, do tego zmuszeni, opuścimy nasz intymny świat. Proszę cię, dobrze?

- A cóż takiego grozi nam w Mishimie?

- Nasz kapitan musi tam złożyć meldunek panu Hiro-matsu. Ja też muszę się z nim zobaczyć.

To mądry człowiek, bardzo spostrzegawczy. Ktoś z łatwością mógłby nas zdradzić.

- Byliśmy ostrożni. Poprośmy Pana Boga, żeby twoje obawy były bezpodstawne.

- O siebie się nie martwię, jedynie o ciebie.

- A ja o ciebie.

- A więc przyrzekniemy sobie, że pozostaniemy w naszym własnym intymnym świecie?

- Tak. Udawajmy, że to świat prawdziwy. . i że innego świata nie ma.

- Oto Mishima, Anjin-san.

Mariko wskazała na drugi brzeg ostatniego strumienia, który mieli przebyć. Prawie całe nieregularnie rozrzucone miasto z blisko sześćdziesięcioma tysiącami mieszkańców skrywała poranna, nisko zawieszona mgła. Widać było tylko zarysy niewielu dachów i kamienny zamek. Za miastem ciągnęły się góry zbiegające ku morzu po zachodniej stronie wyspy. Daleko na północnym zachodzie wznosiła się wspaniała góra Fuji. Jej północny i wschodni stok zasłaniały niebo.

- I co teraz? - spytał Blackthorne.

- Yoshinaka otrzymał polecenie, że ma znaleźć najładniejszy zajazd w promieniu dziesięciu ri.

Zatrzymamy się w nim na dwa dni. Przynajmniej tyle zajmie mi załatwienie moich spraw. W tym czasie Kiku-san i Gyoko odłączą się od nas. A potem wyruszymy dalej. Co twoje wyczucie pogody mówi ci na temat klimatu Mishimy?

- Że jest tu przyjaźnie i bezpiecznie - odparł. - A co potem, co po Mishimie?

Wskazała bez przekonania na północny wschód.

- Potem pojedziemy tamtędy. Jest tam przełęcz, która wije się przez góry w stronę Hakone.

To najbardziej uciążliwy odcinek gościńca Tokaidō. Dalej opada ona do miasta Odawara, znacznie większego od Mishimy, Anjin-san. Leży ono na wybrzeżu. Stamtąd dotarcie do Edo jest już tylko kwestią czasu.

- Długo?

- Nie dość.

- Mylisz się, ukošana, wybac mi - rzekł. - Mamy czasu, ile dusza zapagnie.

46.

General Toda Hiro-matsu przyjął od Mariko prywatny list, który przywiozła. Złamał pieczęcie Toranagi. W zwoju znalazł krótki opis wydarzeń w Yokose, potwierdzenie, że Toranaga zdecydował się poddać woli Rady, a także rozkaz mówiący, że aż do jego powrotu jemu, Hiro-matsu, nie wolno przepuścić przez granice i przełęcze Kantō żadnego intruza (ma natomiast szybko załatwić każdego posłańca od Ishido i ze wschodu), a ponadto wskazówki na temat chrześcijańskich renegatów oraz Anjin-sana. Stary żołnierz ze znużeniem odczytał list jeszcze raz.

- A teraz opowiedz mi o wszystkim, coś widziała w Yokose albo słyszała tam na temat pana Toranagi.

Mariko wypełniła to polecenie. -

- A teraz opowiedz mi, co według ciebie zaszło - rzekł Hiro-matsu. Ponownie spełniła jego życzenie.

- Co zaszło pomiędzy tobą a moim synem w czasie tej cha-no-yu? Opowiedziała mu wszystko, ze szczegółami.

- I mój syn doszedł do wniosku, że nasz pan przegra? Przed drugim spotkaniem z Zatakim?

- Tak, wielmożny panie.

- Jesteś pewna?

- O, tak, wielmożny panie.

W komnacie wysoko na zamkowej wieży górującej nad miastem zapadła długa cisza. Hiromatsu wstał i podszedł do otworu strzelniczego w grubym kamiennym murze. Bolały go plecy i stawy, w rękach trzymał swobodnie miecz.

- Nie rozumiem tego - wyznał.

- Słucham, wielmożny panie?

- Nie rozumiem ani mojego syna, ani naszego pana. Możemy się przebić przez każdą armię, z którą Ishido stanie na polu bitwy. A co do decyzji o poddaniu się. .

Mariko bawiła się wachlarzem, patrząc na wieczorne niebo, wygwieżdżone i miłe.

Hiro-matsu przyjrzał się jej bacznie.

- Doskonale wyglądasz, Mariko-san, młodo jak nigdy. Na czym polega twoja tajemnica?

- Nie mam żadnej tajemnicy, wielmożny panie - odparła i nagle zaschło jej w gardle. Czekwała na zawalenie świata, ale minęła chwila i starzec skierował spojrzenie bystrych oczu na miasto w dole.

- A teraz powiedz mi, co się wydarzyło po waszym wyjeździe z Osaki. Wszystko, co widziałaś, słyszałaś lub w czym uczestniczyłaś.

Nim skończyła, zrobiło się bardzo późno. Opowiedziała mu o wszystkim bez niedomówień, z wyjątkiem tego, jak daleko posunęła się w zażyłości z Anjin-sanem. Ale nawet w tym przypadku nie omieszkła dać do zrozumienia, że go lubi i ceni za inteligencję i dzielność. Nie zataiła też podziwu, jaki ma dla jego walorów Toranaga.

Przez dłuższą chwilę Hiro-matsu spacerował tam i z powrotem, a ruch łagodził ból, który odczuwał. Wszystko zgadzało się z raportami Yoshinaki i Omiego, nawet tyrada Zatakiego, wygłoszona przed jego spieszonym odjazdem do Shinano. Teraz rozumiał wiele rzeczy dotąd niejasnych i uzyskał dosyć informacji, żeby podjąć dobrze skalkulowaną decyzję. Niektóre fragmenty relacji Mariko napawały go odrazą, inne jedynie jeszcze bardziej podsycaly nienawiść do własnego syna. Wprawdzie mógł zrozumieć, co nim powodowało, lecz to i tak nie zmieniało niczego.

Reszta opowieści Mariko wzbudzała w nim niechęć do barbarzyńcy, a niekiedy podziw dla niego.

- Widziałaś, jak wyciągnął naszego pana w bezpieczne miejsce? - spytał.

- Tak, wielmożny panie, gdyby nie on, pan Toranaga już by nie żył. Jestem pewna. Trzykrotnie uratował naszemu panu życie: podczas ucieczki z zamku w Osace, na pokładzie galery w zatoce oraz z całą pewnością podczas trzęsienia ziemi. Widziałam miecze, które wykopał pan Omi. Były pogięte jak makaron i nie nadawały się do niczego.

- Myślisz, że Anjin-san naprawdę chciał popełnić seppuku?

- Tak. Przysięgam na chrześcijańskiego Pana Boga, że wierzę, iż miał szczyry zamiar to zrobić. Tylko Omi-san temu zapobiegł. A poza tym, wielmożny panie, nie mam wątpliwości, że godzien jest być samurajem, że godzien jest być hatamoto.

- Nie prosiłem cię o zdanie.

- Przepraszam, wielmożny panie, to prawda. Ale przecież pytanie takie miałaś na języku.

- Stałaś się nie tylko nauczycielką barbarzyńcy, ale i nauczyłaś się czytać w myślach?

- O nie, wielmożny panie, przepraszam, oczywiście, że nie - odparła jak najmielszym tonem. -

Po prostu wypełniam polecenie przywódcy mojego rodu najlepiej, jak mi na to pozwalają moje skromne możliwości. Przede wszystkim mam na względzie interesy naszego pana. Twoje zaś interesy stoją zaraz po nich.

- Naprawdę?

- Bardzo przepraszam, ale o to nie trzeba mnie pytać. Rozkazuj mi, wielmożny panie.

Wypełnię twoje rozkazy.

- Skąd w tobie tyle dumy, Mariko-san? - spytał podchwytliwie. - Przekonania o własnej słuszności? Co?

- Przepraszam, wielmożny panie. Zachowałam się niegrzecznie. Nie zasługuję na taki. .

- Wiem! Tak jak wszystkie kobiety! - Hiro-matsu roześmiał się. - Ale mimo to zdarza się, że potrzebujemy tej chłodnej, okrutnej, złośliwej, przebiegłej, praktycznej mądrości kobiet. Są o wiele sprytniejsze od nas, ne?

- Och, nie, wielmożny panie - odparła zastanawiając się, co naprawdę miał na myśli. .

- Bardzo dobrze, że jesteśmy sami. Gdybym wygłosił to zdanie publicznie, uznaliby, że stary Żelazna Pięść stetryczał, że czas, aby odłożył miecz, ogolił głowę i zaczął się modlić do Buddy za dusze ludzi, których odesłał w Pustkę. I mieliby rację.

- Nie, wielmożny panie. Jest tak, jak powiedział twój syn, mój szanowny mąż. Dopóki los naszego pana nie jest przesądzony, nie odejdziesz. Ani ty, ani mój szanowny mąż. Ani ja.

- Tak. Ale mimo to z wielką chęcią odłożyłbym miecz i poszukał spokoju Buddy dla siebie i tych, których uśmierciłem.

Przez jakiś czas Hiro-matsu spoglądał w nocny mrok, czując swoje lata, aż wreszcie spojrział na Mariko. Rozkosz było na nią patrzeć, bardziej niż na jakąkolwiek znaną mu kobietę.

- Wielmożny panie? - spytała.

- Nic, nic, Mariko-san. Przypomniało mi się, kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz - odparł.

- A gdzie jest w tej chwili Ingeles, ojczek?

- Nie wiem dokładnie, Rodrigues. Na razie. Na pewno w jednej z gospód w południowej dzielnicy Mishimy. Pozostawiłem tam służącego, żeby dowiedział się w której.

Alvito zebrał resztkę sosu skórką świeżego chleba.

- A kiedy będziesz wiedział?

- Ani chybi jutro.

- Que va, chciałbym się z nim znów zobaczyć. Czy jest zdrowy? - spytał szczerym tonem Rodrigues.

- Tak.

Okrętowy dzwon odezwał się sześć razy. Była trzecia po południu. - Czy powiedział ci, co się z nim działo po wypłynięciu z Osaki?

- Wiem o tym częściowo. Od niego i innych. To długa historia i dużo by o tym opowiadać.

Najpierw zajmę się moją korespondencją, porozmawiamy później.

W małej kabinie na rufie, gdzie siedzieli, Rodrigues odchylił się w tył w fotelu.

- Dobrze. Doskonale - rzekł i wpatrzył się w ostre rysy jezuitę, jego bystre piwne oczy z żółtymi cętkami. Oczy kota. - Posłuchaj, ojcze, ten Ingeles uratował mi statek i życie. Pewnie, że to wróg, pewnie, że to heretyk, ale jest pilotem, jednym z najlepszych w historii. Nic złego w tym, że się szanuje wroga, a nawet w tym, że się go lubi.

- Pan Jezus wybaczył swoim wrogom, a ci mimo to ukrzyżowali go. - Alvito chłodno spojrzał

Rodriguesowi w oczy. - Ale ja też go lubię. A przynajmniej lepiej go rozumiem. Zostawmy na chwilę ten temat.

Rodrigues skinął głową na znak zgody. Spozrzegł, że talerz księdza jest pusty, więc sięgnął przez stół i podsunął bliżej półmisek.

- Proszę, ojcze, jeszcze trochę kapłona? Chleba? - zaproponował.

- Dziękuję. Tak, chętnie. Nie miałem pojęcia, jak bardzo zgłodniałem.

- Wina?

- Tak, dziękuję.

- A gdzie reszta twoich ludzi, ojcze?

- Zostawiłem ich w zajeździe przy nabrzeżu.

Rodrigues spojrział przez okna na rufie, wychodzące na Nimazu, nabrzeża, port i znajdujące się na wprost prawej burty ujście rzeki Kano, z wodą ciemniejszą niż morska. Kręciło się tam wiele rybackich łodzi, przyplływających i wypływających w morze.

- A ten sługa, którego zostawiłeś, ojcze. . czy można mu ufać? Jesteś pewien, że nas znajdzie?

- O, tak. Z pewnością nie wyruszą z Mishimy jeszcze przez dwa dni. Nie zapominaj, że podróżują z pełną pompą. Pozycja pani Mariko i chorągwie Toranagi nadają tej podróży ceremonialny charakter. O nich i o tym, gdzie się zatrzymują, wiedzą wszyscy w promieniu wielu mil.

Rodrigues roześmiał się. .

- Ingeles podróżujący z wielką pompą? Kto by to pomyślał? Niczym jakiś zapowietrzony daimyō!

- To jeszcze daleko nie wszystko, pilocie. Toranaga zrobił z niego samuraja i hatamoto.

- Co takiego?!

- Obecnie naczelnym pilotem Blackthorne paraduje z dwoma mieczami. I swoimi pistoletami. A ponadto jest zaufanym Toranagi i do pewnego stopnia jego protegowanym.

- Ingeles?!

- Tak.

Alvito celowo zamilkł, by w kabinie zaległa cisza, i zabrał się znów do jedzenia.

- A czy wiesz dlaczego? - spytał Rodrigues.

- Tak, częściowo; Wszystko w swoim czasie, pilocie.

- Powiedz mi dlaczego. Krótko. A szczegóły podasz mi później, proszę, ojcze.

- Anjin-san po raz trzeci uratował Toranadze życie. Dwukrotnie podczas ucieczki z Osaki, a ten trzeci raz podczas trzęsienia ziemi w Izu.

Alvito łapczywie wgrzył się w kurcze udko. Po czarnej brodzie spływała mu nitka tłuszczu. Jego rozmówca czekał, ale jezuita nie dodał już ani słowa. Rodrigues w zamyśleniu przeniósł wzrok na puchar, który trzymał w ręku. W powierzchni ciemnoczerwonego wina odbiło się światło.

- Ten sakramencki Ingeles blisko Toranagi nie oznacza dla nas nic dobrego - odezwał się po dłuższej chwili. - Wcale. Nie on. Prawda?

- Masz rację.

- A mimo to chciałbym się z nim zobaczyć.

Jezuita nic na to nie powiedział. Rodrigues w milczeniu zaczekał, aż Alvito oczyści talerz, i poczęstował go znowu. Zupełnie stracił dobry humor. Po zniknięciu korpusu i ostatniego skrzydełka kapłona, osuszeniu jeszcze jednego kielicha wina, nadszedł czas na smaczny francuski koniak, który ojciec Alvito wyjął z kredensu.

- A ty, Rodrigues? Napijesz się kieliszek?

- Dziękuję.

Żeglarz patrzył, jak Alvito nalewa orzechowo-brązowy płyn do kryształowego kieliszka. Całe wino i koniak pochodziły z prywatnych zapasów ojca wizytatora i były podarunkiem na pożegnanie dla przyjaciela jezuity.

- Wspaniałe jedzenie, Rodrigues - pochwalił Alvito, bawiąc się okruszkiem na stole. -

Dziękuję.

- To dobrze - odparł spoważniały Rodrigues. - Jakie są twoje plany, ojczy? Powinniśmy. .

Zamilkł w pół zdania i wyjrzał przez okna. A potem niezadowolony wstał od stołu. Boleśnie utykając, podszedł do bulaja od strony lądu i wyjrzał.

- Co się stało, Rodrigues?

- Wydało mi się, że zmienia się pływn. Chcę sprawdzić, czy dużo nam zostało bezpiecznej wody.

- Otworzył szerzej okiennicę i wychylił się, ale i tak nie dojrzał kotwicy dziobowej. - Przepraszam na chwilę, ojczy - rzekł. '.'

Wyszedł na pokład. Spojrzał na miasto i na wzgórza za nim.

- Pesaro!

- Tak, senhor?

- Przygotuj łódź. Przed zmierzchem popłynę na brzeg.

- Tak jest. Będzie gotowa. A kiedy wrócisz, pilocie?

- O świcie.

- To jeszcze lepiej! Zejdę na brzeg z oddziałem, dziesięcioma ludźmi.

- Żadnego schodzenia na brzeg, Pesaro. Kinjiru! Matko Boska, mąci ci się we łbie?

Rodrigues przeszedł przez pokład rufowy i oparł się o nadburcie.

- Nie godzi się, żebyśmy wszyscy ponosili karę - odparł bosman Pesaro, gestykulując stwardniałymi dłońmi. - Zejdę tam z oddziałem i przyrzekam, że nie będzie najmniejszych kłopotów.

Już całe dwa tygodnie siedzimy w zamknięciu.

- Władze tego portu powiedziały kinjiru, więc bardzo żałuję, ale kinjiru to, psiamac, kinjiru!

Zapomniałeś? Nie jesteśmy w Nagasaki!

- Nie, na rany Chrystusa, i tym większa szkoda! - Mocno zbudowany bosman skrzywił się kwaśno. - Przecież porąbaliśmy tylko jednego Japusa.

- Jeden zarąbany na śmierć, dwóch ciężko ranionych nożami, kupa rannych i pobita dziewczyna, zanim samuraje położyli kres burdzie. Ostrzegalem was wszystkich przed zejściem na brzeg: „Nimazu to nie Nagasaki, więc zachowujcie się jak należy!” O Madonno! I tak mieliśmy szczęście, że wykręciliśmy się z tego tylko śmiercią jednego marynarza. Mieli prawo zarąbać całą piątkę.

- To ich prawo, pilocie, nie nasze. Przeklęte małpy! To była tylko zwykła bijatyka w burdelu.

- Tak, ale wywołali ją twoi ludzie, władze japońskie odizolowały mój statek, a wy macie zakaz opuszczania go. Włącznie ze mną! - Rodrigues przesunął nogę, żeby złagodzić ból. - Bądź cierpliwy, Pesaro. Ojciec już wrócił, więc odpłyniemy.

- Z tym odpływem? O świcie? Czy to rozkaz?

- Nie, jeszcze nie. Masz przygotować łódź. Popłynie ze mną Gomez.

- Pozwól, że ja też z tobą pojedę, co? Per favor, pilocie. Mam potąd uwięzienia na tej francowatej łajbie.

- Nie. I radzę ci nie schodzić dziś wieczorem na ląd. Tobie i wszystkim innym.

- A jeżeli nie wrócisz do rana?

- To do mojego powrotu będziesz tu gnął na kotwicy. Jasne? Grymas na twarzy bosmana powiększył się. Po krótkim wahaniu

Pesaro wycofał się.

- Tak, tak, jasne, jak pragnę Boga!

- To dobrze - rzekł Rodrigues i zszedł pod pokład. Alvito spał, ale ocknął się w chwilę po tym, jak Portugalczyk otworzył drzwi kabiny.

- A, wszystko w porządku? - spytał, syty ciałem i duszą.

- Tak. To tylko pływ się przesilił.

Rodrigues napił się wina, żeby splukać z ust nieprzyjemny smak. Zawsze go czuł, kiedy napotykał bunt. Gdyby Pesaro go nie posłuchał, to byłby zmuszony albo wsadzić mu kulkę w głowę, albo zakuć w kajdany, wymierzyć pięćdziesiąt batów, przeciągnąć pod dnem statku lub zastosować jedną z setki obrzydliwych kar, w myśl prawa morskiego niezbędnych do zachowania dyscypliny. Bez dyscypliny statek byłby stracony.

- Jak wyglądają twoje plany, ojczy? - spytał. - Wypływamy o świcie?

- A jak się mają gołębie pocztowe?

- Są zdrowe. Zostało nam jeszcze sześć, cztery z Nagasaki i dwa z Osaki.

Jezuita sprawdził, gdzie jest słońce. Do zachodu pozostało cztery, pięć godzin. Mnóstwo czasu, żeby wypuścić ptaki z pierwszą, od dawna gotową wiadomością: „Toranaga poddaje się rozkazom regentów. Najpierw jadę do Edo, potem do Osaki. Do Osaki będę towarzyszył Toranadze.

Mówi, że nadal możemy wybudować katedrę w Edo. Szczegóły przywiezie Rodrigues”.

- Poproś z łaski swojej gołębiarza, żeby natychmiast przygotował dwa gołębie z Nagasaki i jednego z Osaki - powiedział Alvito. - Potem porozmawiamy. Nie wracam statkiem. Jadę łądem do Edo. Większą część tej nocy i jutrzejszy dzień zajmie mi napisanie szczegółowego listu, który zawieziesz ojcu wizytatorowi i oddasz mu go tylko do rąk własnych. Wyplynieś zaraz po tym, jak go skończę?

- Jeżeli będzie to przed zmierzchem, to zaczekam do brzasku. Na przestrzeni dziesięciu mil morskich od brzegu są tu mielizny i ruchome łachy. . Pojedziesz z Ingelesem? Tak jak poprzednio?

- Owszem. Z Edo sam powrócę do Osaki. Będę towarzyszył panu Toranadze. Chciałbym, żebyś zatrzymał się w Osace z kopią mojego listu na wypadek, gdyby tam był ojciec wizytator albo gdyby wyjechał z Nagasaki przed twoim przybyciem i właśnie był w drodze do Osaki. W tym przypadku możesz oddać list jego sekretarzowi, ojcu Soldiemu, ale tylko jemu.

- Dobrze. Chętnie stąd odpłynę. Tu nas nienawidzą.

- Z Bożą pomocą możemy to wszystko zmienić, Rodrigues. Z łaski Pana Boga nawrócimy wszystkich tutejszych pogan.

- Mówię na to: amen. Tak. - Wysoki Portugalczyk przesunął nogę i pulsowanie w niej chwilowo ustało. Wyjrzał przez okno, a po chwili zniecierpliwiony wstał. - Sam pójdę po te gołębie - oznajmił.

-

Napisz tę wiadomość, a potem pogadamy. O Ingelesie.

Poszedł na pokład i z gołębnika wybrał ptaki. Kiedy powrócił, jezuita zdążył już skorzystać z ostrego jak igła pióra i inkaustu, żeby na malutkich pasemkach papieru zapisać jeszcze raz tę samą zaszyfowaną wiadomość. Zapieczętował depesze w przygotowanych malutkich cylinderkach i wypuścił gołębie. Wszystkie trzy zatoczyły koło, po czym w stadzie pofrunęły na zachód w kierunku południowego słońca.

- Porozmawiamy tutaj czy na dole? - spytał Alvito.

- Tutaj. Tu jest chłodniej.

Rodrigues nakazał marynarzom z wachty na rufówce odejść na taką odległość, żeby nie mogli ich podsłuchać.

Alvito usiadł na żeglarskim krześle.

- Najpierw powiem o Toranadze - rzekł.

Zrelacjonował pilotowi pokrótce, co zaszło w Yokose, pomijając incydent z bratem Józefem i swoje podejrzenia, co do związków Mariko z Blackthorne'em. Wieść o decyzji Toranagi Rodrigues przyjął z osłupieniem.

- Nie ma wojny? To cud! Teraz naprawdę nic już nam nie grozi, nic nie grozi Czarnej Karaweli, Kościół jest bogaty, my bogaci. . dzięki niech będą Bogu, wszystkim świętym i Madonnie! Nie

mogłeś przywieźć pomyślniejszych wieści, ojczcie. Nic nam nie zagraża?

- Jeżeli-da Bóg. Zaniepokoiło mnie jedno zdanie Toranagi. Wyraził się następująco: „Mogę wydać rozkaz uwolnienia mojego chrześcijanina, Anjin-sana. Wraz z jego statkiem i działami”.

Rodriguesa nagle opuścił świetny humor.

- Erasmus jest nadal w Edo? - spytał. - Nadal jest w rękach Toranagi?

- Tak. Czy gdyby Ingeles został uwolniony, toby nam to poważnie zagroziło?

- Poważnie? Gdyby ten statek pod jego dowództwem, z działami i jaką taką załogą na pokładzie, dopadł nas pomiędzy Japonią a Makau, toby nas rozbił w proch. Do walki mamy tylko niewielką fregatę, a ona nie da rady Erasmusowi! Ani karawela. Będzie tańczył dookoła nas, tak że pozostanie nam tylko poddać się.

- Jesteś pewien?

- Tak. Przysięgam na Boga, że Erasmus by nas wykończył. - Rodrigues gniewnie zacisnął pięść.

- Ale zaraz. . Ingeles powiedział, że dopłynął tu najwyżej z tuzinem ludzi, w dodatku nie z samymi żeglarzami, bo część z nich było kupcami i chorowali. Ta garstka nie może żeglować statkiem. A załogę można zdobyć tylko w Nagasaki. . albo w Makau. W Nagasaki Ingeles może zdobyć wystarczająco dużo ludzi! Są to ci, którzy. . lepiej nie dopuszczać go tam i do Makau!

- A jeżeli skompletowałyby miejscową załogę?

- Mówisz, ojczcie, o tych zbójcach Toranagi? Albo wako? Myślisz, że jeżeli Toranaga poddał się, to wszyscy jego samuraje staną się roninami? Gdyby Ingeles miał dość czasu, to na pewno by ich wyszkolił. Z łatwością. Jezu Chryste. . przepraszam, ojczcie, ale gdyby Ingeles zdobył samurajów albo wako.. Do takiego ryzyka dopuścić nie wolno, on jest za dobry. Wszyscy widzieliśmy to w Osace!

On, wolny na tym sakramenckim statku W Azji, z załogą złożoną z samurajów. . Alvito przypatrywał mu się, coraz mocniej zatroskany.

- Chyba prześlę ojcu wizytatorowi jeszcze jedną wiadomość - powiedział. - Jeżeli ta sprawa jest pilna, to powinien być o niej poinformowany. Będzie wiedział, co robić.

- Ja wiem, co robić! - Rodrigues walnął pięścią w nadburcie. Wstał i odwrócił się plecami. -

Ojczcie, wysłuchaj mojej spowiedzi. Tamtej nocy, kiedy płynęliśmy galerą z Anjiro i stanął przy mnie po raz pierwszy na rufówce, serce podpowiadało mi, żeby go zabić, właśnie wtedy, gdy szalała burza.

Pan Jezus dopomógł mi - posłałem Ingelesa na dziób i bez ostrzeżenia umyślnie ustawiłem galerę pod wiatr w chwili, gdy nie miał liny zabezpieczającej. Chciałem go zamordować, ale on nie wypadł za

burtę, chociaż na jego miejscu wypadłby każdy. Pomyślałem, że to ręka boska, a upewniło mnie o tym to, że nie posłuchał się mnie i uratował statek. A kiedy statek był już bezpieczny, mnie zaś porwała fala i tonąłem, przyszło mi na myśl, że to kara boska za to, że chciałem go zabić. Czegoś takiego nie.

robi się drugiemu pilotowi, on nigdy by mi tego nie zrobił! Zasłużyłem sobie tym na śmierć. No, a potem, kiedy odkryłem, że żyję, i ujrzałem, że on pochyła się nade mną i pomaga mi się napić, strasznie się zawstydzilem. Jeszcze raz zacząłem błagać Boga o wybaczenie i poprzysiągłem na wszystkie świętości, że postaram się wynagrodzić to Anglikowi. Matko Boża! - wyjęczał z udreką -

przecież ten człowiek ocalił mi życie, chociaż wiedział, że próbowałem go zgładzić. Widziałem to w jego spojrzeniu. Uratował mnie, pomógł przeżyć, a teraz muszę go zabić.

- Dlaczego?

- Generał-gubernator miał rację. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeżeli Ingeles wypłynie w morze Erasmusem, uzbrojony i z jaką taką załogą.

Blackthorne i Mariko spali w pogrążonym w nocnej ciszy małym pawilonie, należącym do Zajazdu Pod Kameliami, który mieścił się przy ulicy Dziewiątej Południowej. W każdym domku były trzy pokoje. Jeden zajęła Mariko ze służącą Chimmoko, drugi Blackthorne, trzeci zaś, najbliższej wejścia i werandy, pozostawili na wpół pusty - służył im do siedzenia, jedzenia i rozmów.

- Myślisz, że to bezpieczne? - spytał zaniepokojony Blackthorne. - Nocować bez Yoshinaki, bez służących i strażników śpiących obok?

- Nie, Anjin-san. Nic nie jest bezpieczne - odparła Mariko. - Ale miło jest być we dwoje. Ten zajazd uważany jest za najładniejszy i najstynniejszy w całej Izu. Naturalnie, poprosiłam o dwa pawilony, jeden dla ciebie, drugi dla mnie. Niestety, przykro mi, ale dostępny był tylko jeden.

Yoshinaka-san jednak nie zmartwił się tym. Wręcz ulżyło mu, że nie musi dzielić swoich ludzi.

Postawił wartowników na wszystkich przejściach, tak więc jesteśmy bezpieczni i nikt nam nie zakłóci spokoju. Kto zresztą miałby to zrobić? Cóż złego może się stać, skoro - mamy oddzielne pokoje, a Chimmoko śpi ze mną?

- Nic. Nigdy jeszcze nie oglądałem tak pięknego zajazdu. Jakże jesteś mądra i jaka piękna.

- Och, a ty, jakże jesteś dla mnie miły, Anjin-san. Najpierw kąpiel, a potem wieczerza i mnóstwo sake.

- Dobrze. Bardzo dobrze.

- Odłóż słownik, Anjin-san, proszę.

- Alę przecież zawsze zachęcałaś mnie do nauki.

- Jeżeli w tej chwili odłożysz książkę, to. . . zdradzę ci tajemnicę.

- Jaka?
 - Zaprosiłam do nas na kolację pana Yoshinakę. I kilka dam. Żeby nas zabawiały.
 - Ach tak!
 - Tak. Kiedy cię opuszczę, wybierzesz sobie którąś, ne?
 - Bardzo mi przykro, ale to może zakłócić ci sen.
 - Przrzekam ci, że będę spała bardzo mocno, ukochany. A mówiąc poważnie, ta zmiana może ci dobrze zrobić.
 - Tak, ale w przyszłym roku, nie teraz.
 - Bądź poważny.
 - Jestem poważny.
 - Och, w takim razie, jeżeli przypadkiem uprzejmie się rozmyślisz i szybko ją odeślesz, po wyjściu pana Yoshinaki z partnerką, to kto wie, co może dla ciebie znaleźć nocny kami.
 - Słucham?
 - Byłam dziś na zakupach.
 - Tak? I co kupiłaś?
 - Ach!
- Kupiła komplet przyrządów do poduszkiwania, takich jak pokazała im Kiku, które znacznie później, po odejściu Yoshinaki, kiedy Chimmoko pilnowała werandy, wręczyła mu z głębokim ukłonem.
- Na wpół żartem przyjął je równie ceremonialnie i razem wybrali pierścień rozkoszy.
- Jest jakiś mocno kłujący, Anjin-san, ne? Na pewno się przed nim nie wzbranasz?
 - Nie, jeżeli nie wzbranasz się ty. . ale przestań się śmiać, bo wszystko zepsujesz. Zgaś te świece.
 - O, nie, proszę, daj popatrzeć.
 - Na miłość boską, Mariko, przestań się śmiać!
 - Ale przecież ty też się śmiejesz.
 - Nieważne, zgaś to światło, bo.. Popatrz, coś narobiła.
 - Och!

- Przestań się śmiać! Nie pomoże ci chowanie głowy w futony. . Po jakimś, czasie Blackthorne odezwał się stropionym głosem:

- Mariko..

- Tak, kochany?

->- Nie mogę go znaleźć.

- Och! Pozwól, że ci pomogę.

- E, już w porządku. Mam go. Leżałem na nim.

- Ach. Na. . na pewno się przed tym nie wzbraniasz?

- Nie, ale jest odrobinę. . hmm, no cóż, nie pomaga się wznieść. Tyle tego gadania, a tyle się czeka, co?

- Och, nie szkodzi. To moja wina, że się śmiałam. Och, Anjin-san, tak cię kocham, przebacz mi.

- Przebaczam.

- Uwielbiam cię dotykać.

- Twój dotyk jest niezrównany.

- Co robisz, Anjin-san?

- Nakładam go.

- Czy to trudne?

- Tak. Przestań się śmiać!

- Och, bardzo przepraszam, może ty. .

- Przestań się śmiać!

- Wybacz, proszę. .

Po wszystkim natychmiast zasnęła. On nie zasnął. Było mu przyjemnie, ale nie cudownie. Za bardzo się o nią martwił. Postanowił, że tym razem wszystko będzie podporządkowane sprawianiu przyjemności jej, a nie sobie.

Tak, to było dla niej, pomyślał rozkochany. Jedno wszakże udało mi się idealnie: wiem, że naprawdę ją zaspokoilem. Przynajmniej raz jestem tego całkowicie pewien.

Zasnął. A potem przez sen zaczęły do niego docierać ludzkie głosy, odgłosy kłótni i portugalskiej

mowy. Przez chwilę myślał, że śpi, kiedy nagle rozpoznał ów głos.

- Rodrigues!

Mariko mruknęła przez sen.

Na dźwięk kroków na ścieżce w kontrolowanym popłochu podźwignął się na kolana. Podniósł ją niczym lalkę i ruszył do shoji, ale zatrzymał się, bo ktoś właśnie otworzył je z zewnątrz. Była to Chimmoko. Głowę miała opuszczoną, a oczy dyskretnie zamknięte. Z Mariko na rękach szybko wyminął służącą i delikatnie ułożył na wpół uśpioną kochankę na jej własnych kołdrach. Cicho wybiegł

do swojego pokoju, zlany zimnym potem, mimo że noc była ciepła. Po chwili włożył kimono i pośpieszył

na werandę. Yoshinaka właśnie wstępował na schodek.

- Nan desu ka, Yoshinaka-san? - spytał.

- Gomen nasai, Anjin-san - odparł Japończyk. Wskazał pochodnie palące się przy bramie zajazdu po drugiej stronie i dorzucił wiele słów, których Blackthorne nie zrozumiał. Sprowadzały się one jednak do tego, że stojący tam człowiek, barbarzyńca, chce się z nim zobaczyć. Yoshinaka kazał

mu zaczekać, na co tamten odparł, że nie będzie czekał, a zachowywał się jak daimyō, choć nim nie był, i próbował się przepchnąć, lecz Yoshinaka go powstrzymał. - Powiedział, że jest twoim przyjacielem. Czy to prawda?

- Heja, Ingeles! To ja, Vasco Rodrigues!

- Hej, Rodrigues! - odkrzyknął mu wesoło Blackthorne. - Zaraz tam przyjdę. Hai, Yoshinaka-san. Karę wa watashi no ichi yujin desu. (To mój przyjaciel).

- Ah so desu!

- Hai. Dōmo.

Blackthorne zbiegł po schodach, chcąc popędzić do bramy, kiedy za plecami usłyszał głos Mariko:

- Nan ja, Chimmoko?

Kiedy służąca odpowiedziała jej szeptem, Mariko zawołała władczo:

- Yoshinaka-san!

- Hai, Toda-sama!

Blackthorne rozejrzał się dookoła. Yoshinaka wszedł po schodach i ruszył do pokoju Mariko.

Przed zamkniętymi drzwiami stała Chimmoko. Jej pogniecione posłanie leżało blisko nich. Zawsze tam spała, tak jakby jej pani, całkiem słusznie, nie życzyła sobie spać z nią w tym samym pokoju.

Yoshinaka uklonił się drzwiom i zaczął opowiadać, co się stało. Blackthorne boso, ze wzrastającą radością poszedł ścieżką, wpatrując się w Portugalczyka, który na twarzy miał szeroki powitalny uśmiech, a w jego kolczykach i sprzączce zawadiackiego kapelusza tańczyło światło pochodni.

- Hej, Rodrigues! To wspaniale znowu cię oglądać. Jak tam twoja noga? Jak mnie znalazłeś?

- Matko Boska, Ingeles, urosłeś, nabrałeś ciała. Tak, jesteś zdrow jak byk, a zachowujesz się niczym sakramencki daimyō.

Rodrigues uścisnął go mocno, na co odpowiedział mu tym samym.

- Jak twoja noga?

- Boli jak diabli, ale chodzę; a znalazłem cię rozpytując się, gdzie jest ten ogromny Anjin-san, ten wielki barbarzyńca, ten bandyta, ten drań z niebieskimi oczami!.

Wybuchnęli śmiechem, przerzucając się sprośnościami i nic sobie nie robiąc z otaczających ich samurajów i służby. Po chwili Blackthorne posłał służącą po sake i ruszył pierwszy z powrotem.

Obaj szli żeglarskim krokiem, Rodrigues z przyzwyczajenia trzymając prawą dłoń na rękojeści rapiera, a kciuk lewej zatknięty za szeroki pas blisko pistoletu. Blackthorne przerastał go o kilka cali, ale Portugalczyk miał potężniejszą klatkę piersiową i jeszcze szersze bary.

Na werandzie oczekiwał ich Yoshinaka.

- Dōmo arigato, Yoshinaka-san - powiedział Blackthorne, jeszcze raz dziękując samurajowi, po czym wskazał gościowi jedną z poduszek. - Porozmawiajmy tutaj.

Rodrigues postawił nogę na stopniach, ale zatrzymał się, bo Yoshinaka zastąpił mu drogę, wskazał na rapier i pistolet, a potem podniósł w górę otwartą dłoń.

- Dozo!

Portugalczyk spojrział na niego krzywym okiem.

- Iye, samuraj-sama, dōmo ari. .

- Dozo!

- Iye, samuraj-sama, iye! - powtórzył Rodrigues ostrzejszym tonem. - Watashi yujin Anjin-san, ne?

Blackthorne zrobił krok, zaskoczony tym nagłym konfliktem.

- Yoshinaka-san, shigata ga nai, ne? - rzekł z uśmiechem. - Rodrigues yujin, wata. .

- Gomen nasai, Anjin-san. Kinjiru! - odparł Japończyk i dodał szorstko do Portugalczyka: -

Ima!

- Iye! - odparował Rodrigues. - Wakarimasu ka?

Blackthorne prędko wkroczył między nich.

- Ej, Rodrigues, a czy to ważne? Oddaj je Yoshinace. To nie ma nic wspólnego z tobą ani ze mną. Chodzi o tę damę, o wielmożną panią Todę Mariko. Jest tutaj. Przecież znasz ich drażliwość na punkcie broni noszonej w obecności daimyō lub ich żon. Będziemy się o to spierać całą noc, przecież ich znasz, ne? Robi ci to różnicę?

Portugalczyk z trudem przywołał na twarz uśmiech.

- Pewnie. Czemu nie - powiedział. - Hai. Shigata ga nai, samuraj-sama. So desu!

Rodrigues uklonił się z powagą jak dworzanin, wysunął rapier wraz z pochwą zza klamerki przy pasie, wyciągnął pistolet i podał oba. Yoshinaka dał znak samurajowi, który wziął broń i pobiegł z nią do bramy, gdzie ułożył ją na ziemi i stanął przy niej na straży. Rodrigues ruszył po stopniach, ale Yoshinaka ponownie stanowczo i grzecznie zażądał od niego, żeby się zatrzymał. Inni samuraje ruszyli do Portugalczyka, chcąc go obszukać, na co wściekły Rodrigues odskoczył.

- Iye! ! Kinjiru, jak Boga kocham! Co to..

Samuraje opadli go, unieruchomili ręce i dokładnie go obszukali. W cholewach butów znaleźli dwa noże, trzeci przywiązany do przedramienia lewej ręki, a ponadto dwa małe pistolety - jeden za podszewką płaszcza, drugi pod koszulą - oraz płaską cynową flaszkę na biodrze.

Blackthorne zbadał pistolety. Oba były nabite.

- Czy tamten też jest nabity? - spytał.

- Tak. Oczywiście. To wrogi kraj, nie zauważyłeś tego, Ingeles? Każ im mnie puścić!

- Zazwyczaj przyjaciela nie odwiedza się z takim arsenałem w nocy, ne?

- Mówię ci, że to wrogi kraj. Zawsze jestem tak uzbrojony. A ty nie? O Madonno, każ tym draniom, żeby mnie puścili.

- Czy to wszystko? Nie masz niczego więcej?

- Oczywiście. . każ im mnie puścić, Ingeles!

Blackthorne oddał samurajom pistolety i przystąpił do Portugalczyka. Palcami dokładnie obmacał od wewnętrznej strony jego szeroki skórzany pas. Z ukrytej pochwy wysunął się sztylet, bardzo cienki, ogromnie sprężysty, wykonany z najlepszej damasceńskiej stali. Yoshinaka obrzucił

przekleństwem samurajów, którzy dokonali rewizji. Przeprosili, ale Blackthorne patrzył wyłącznie na Rodriguesa.

- Masz coś jeszcze? - spytał, swobodnie trzymając sztylet w dłoni.

Rodriges wpatrzył się w niego kamiennym wzrokiem.

- Bo powiem im, gdzie mają szukać. . i jak, Rodrigues. Tak jak zrobiliby to Hiszpanie. .

niektórzy, co?

- Me cago en la leche, che cabron!

- Que va, leche! Prędziej! - powiedział Blackthorne, a nie otrzymawszy odpowiedzi, ruszył do Portugalczyka ze sztyletem. - Dozo, Yoshinaka-san. Watash. .

- Za wstążką przy kapeluszu - rzekł chrapliwie Rodrigues, więc Blackthorne zatrzymał się.

- Dobrze - powiedział i wyciągnął rękę po jego kapelusz z szerokim rondem.

- Ty ich. . szkolisz, prawda?

- A ty nie?

- Uważaj na pióro, Ingeles, bo jestem do niego przywiązany.

Wstążka była szeroka i sztywna, a pióro zawadiackie jak sam kapelusz. Kryła pod sobą cienki sztylet, mniejszy, specjalnie zaprojektowany, z doskonałej stali, z łatwością dostosowującej się do krzywizny. Yoshinaka ponownie ostro skarcił swoich samurajów.

- Bóg ci świadkiem, że to wszystko, Rodrigues?

- O Madonno.. przecież powiedziałem.

- Przysięgnij.

Rodrigues spełnił jego życzenie.

- Yoshinaka-san, ima ichi-ban. Dōmo..(Już wszystko w porządku. Dziękuję ci.) - powiedział.

Yoshinaka wydał rozkaz. Jego ludzie wypuścili Portugalczyka. Rodrigues rozmasował członki, żeby złagodzić ból.

- Czy można usiąść, Ingeles? - spytał.

- Tak.

Rodrigues czerwoną chustką otarł pot, a potem wziął cynową flaszkę i ze skrzyżowanymi nogami

zasiadł na poduszce. Yoshinaka pozostał w pobliżu na werandzie. Wszyscy jego podwładni oprócz czterech powrócili na swoje posterunki.

- Czemu są tacy drażliwi? Czemu jesteś taki drażliwy, Ingeles? Nigdy dotąd nie musiałem oddawać broni. Czy ja jestem mordercą?

- Spytałem cię, czy to cała twoja broń, i skłamałeś mi.

- Nie słuchałem, co mówisz. O Madonno! Czyś ty. . żeby trzymać mnie jak pospolitego przestępcę - rzekł z goryczą Rodrigues. - A zresztą, czy to ważne, Ingeles, czy coś jest w ogóle ważne? Zepsułeś tę noc. . Hej, ale zaraz! Po co sobie psuć wspaniały wieczór? Wybaczam im. I wybaczam tobie. Miałaś rację, to ja popełniłem błąd. Przepraszam. Miło cię znów zobaczyć. - Wyjął

korek z flaszki i podał ją Blackthorne'owi. - Proszę. . napij się świetnej brandy.

- Ty pierwszy.

Rodrigues zbladł.

- Matko Boska, czy ty myślisz, że przyniosłem ci truciznę?

- Nie. Napij się pierwszy.

Rodrigues napił się.

- Jeszcze raz!

Portugalczyk zrobił to i otarł usta wierzchem dłoni. Blackthorne przyjął od niego flaszkę.

- Salud! - Przechylił ją i udał, że łyka, ale choć bardzo chciał się napić, zatkał językiem otwór, żeby zapobiec wlaniu, się trunku do ust. - O! - powiedział. - To było dobre. Proszę!

- Zachowaj ją, Ingeles. To podarek.

- Od zacnego ojca? Czy od ciebie?

- Ode mnie.

- Bóg ci świadkiem?

- Bóg i Najświętsza Panienska, ty i to twoje przysięganie! - odparł Rodrigues. - To podarek ode mnie i od ojca wizytatora! Do niego należą wszystkie trunki na pokładzie Santa Filipa, ale jego eminencja powiedział, że mogę z nich korzystać i brać sobie jedną z każdego tuzina flaszek na pokładzie. To podarunek. Gdzie twoje dobre maniery?

Blackthorne udał, że znów pociąga łyk, a potem zwrócił flaszkę.

- Proszę, łyknij jeszcze.

Rodrigues czuł, że trunek dotarł mu do palców nóg, i był rad, że po przyjęciu pełnej flaszki od ojca Alvito, po cichu opróżnił ją, starannie wymył i napełnił brandy własnej butelki. O Madonno, przebac mi, modlił się, przebac, że zwątpiłem w świątobliwego ojca. Matko Boża, Boże Ojczy i Panie Jezusie, zstąpcie, na miłość boską, na ziemię i odmieńcie ten świat, na którym czasem ośmielamy się nie wierzyć nawet księżom.

- Co się stało?

- Nic, Ingeles. Po prostu myślałem o tym, że ten świat jest sakramencko podły, skoro w dzisiejszych czasach nie można ufać nikomu. Przyszedłem tutaj z otwartymi rękami, a trafiłem na próżnię.

- Naprawdę?

- Tak.

- Uzbrojony po zęby?

- Ja zawsze jestem tak uzbrojony. Dlatego właśnie jeszcze żyję. Salud! - Potężny zachmurzony Portugalczyk podniósł flaszkę i znów z niej pociągnął. - Sram na taki świat, sram na wszystko.

- Srasz na mnie?

- Ingeles, to ja, Vasco Rodrigues, pilot portugalskiej marynarki, a nie jakiś zasrany samuraj.

Ty i ja wymieniliśmy wiele obelg, a wszystko w przyjaźni. Dzisiaj przyszedłem w odwiedziny do przyjaciela, a okazuje się, że go wcale nie mam. To bardzo smutne.

- Tak.

- Nie powinno być smutne, a jest. Przyjaźń z tobą ogromnie skomplikowała mi życie. -

Rodrigues wstał, rozprostował plecy i znowu usiadł. - Nienawidzę siedzieć na tych przeklętych poduszkach! Jestem stworzony do krzesel. Do pokładu. No cóż, salud, Ingeles.

- Kiedy ustawiłeś galerę pod wiatr, a ja byłem na śródkręciu, to po to, żebym spadł za burtę, prawda?

- Tak - przyznał od razu Rodrigues. Wstał. - Tak. Cieszę się, że o to spytałeś, bo bardzo mi to ciąży na sumieniu. Cieszę się, że w ogóle mam okazję cię przeprosić, bo za nic nie zdobyłbym się na to, żeby ci się do tego przyznać. Tak, Ingeles. Nie proszę o wybaczenie, zrozumienie ani nic. Ale cieszę się, że mogę ci się przyznać do tej hańby w oczy.

- Myślisz, że ja bym ci zrobił coś takiego?

- Nie. Jeżeli jednak zdarzy się, że. . Nigdy nic nie wiadomo, aż do nadejścia godziny próby.

- Przyjechałeś tutaj, by mnie zabić?

- Nie. Wątpię. Wątpię, żeby to było moim głównym celem, choć dla moich rodaków i dla mojego kraju, jak obaj dobrze wiemy, byłoby lepiej, gdybyś nie żył. To bardzo smutne, ale prawdziwe. Jakże głupie jest życie, co, Ingeles?.

- Nie pragnę twojej śmierci, pilocie, jedynie twojej Czarnej Karaweli.

- Posłuchaj, Ingeles - rzekł bez gniewu Rodrigues. - Jeżeli spotkamy się na morzu, ty, uzbrojony, na swoim statku, a ja na swoim, to pilnuj się. Przybyłem tu, żeby ci to obiecać, tylko tyle.

Myślałem, że, mogę ci to powiedzieć jako przyjacielowi i że zawsze pozostanę twoim przyjacielem.

Z wyjątkiem morza, wszędzie indziej będę twoim dłużnikiem. Salud!

- Mam nadzieję, że dopadnę Czarną Karawelę na morzu. Salud, pilocie.

Rodrigues odszedł Wolnym krokiem. Yoshinaka z samurajami podążył za nim - Przy bramie Portugalczyk odebrał broń. Wkrótce potem wchłonęła go noc.

Yoshinaka odczekał, aż wartownicy rozejdą się na posterunki. Kiedy upewnił się, że wszystko jest zabezpieczone, pokuśtykał do swojej kwatery. Blackthorne usiadł prosto na poduszce, a po chwili nadeszła cicho z tacą zadowolona służąca, którą posłał po sake. Nalała mu do czaraki, gotowa pozostać dłużej, by mu usługiwać, ale odprawił ją. Został sam. Znów otoczyły go odgłosy nocy, szelesty, szum wodospadu, poruszające się w ciemności nocne ptaki. Wszystko było jak przedtem, lecz wszystko się zmieniło.

Zasmucony sięgnął ręką, chcąc napełnić czarękę, ale zaszeleścił jedwab i flaszką znalazła się w dłoni Mariko. Mariko nalała jemu i sobie.

- Dōmo, Mariko-san.

- Do itashimashite, Anjin-san.

Usadowiła się na drugiej poduszce. Napili się gorącego wina.

- Chciał cię zabić, ne?

- Nie wiem, nie mam pewności.

- Co znaczy „przeszukać jak Hiszpanie”?

- Niektórzy Hiszpanie rozbierają jeńców, po czym szperają w otworach ich ciała. I to niezbyt delikatnie. Nazywają to obszukiwaniem eon singnifica, zasadniczym. Bywa, że używają do tego noży.

- Ach - Mariko łyknęła wina i zasłuchała się w szmer wody płynącej po kamieniach. - Tak samo jest tutaj, Anjin-san. Czasem. Właśnie dlatego mądrze jest nie dać się schwytać. Jeżeli cię schwytają, to

okrywasz się tak wielką hańbą, że cokolwiek robi z tobą ten, który cię pojmał. .

Najlepiej nie być jeńcem. Ne?

Blackthorne wpatrzył się w lampiony kołyszące się w podmuchach chłodnego świeżego wiatru.

- Yoshinaka miał rację, a ja się myliłem. To obszukanie było konieczne. Ten pomysł był twój, prawda? Kazałaś Yoshinace obszukać go?

- Przepraszam za to, Anjin-san, mam nadzieję, że nie było to dla ciebie kłopotliwe. Po prostu bałam się o ciebie.

- Dziękuję ci za to, pani - rzekł, znów używając łaciny, choć było mu przykro, że doszło do rewizji Rodriguesa. Bez niej zachowałby przyjaciela. Może, stwierdził sceptycznie.

- Proszę bardzo, panie - odparła. - Ale wypełniłam jedynie swój obowiązek.

Miała na sobie nocne kimono i niebieską narzutkę, a luźno splecione włosy opadały jej do pasa.

Spojrzała za siebie na odległą bramę po drugiej stronie zajazdu, widoczną między drzewami.

- Bardzo mądrze postąpiłeś z tym trunkiem, Anjin-san. Byłam bliska szczypania się z gniewu za to, że zapomniałam ostrzec o tym Yoshinakę. Bardzo chytrze zmusiłeś go, żeby się dwa razy z niej napił. Czy w waszych krajach często stosuje się trucizny?

- Zdarza się. Niektórzy je stosują. To podły sposób.

- Tak, za to bardzo skuteczny. Tutaj też to się zdarza.

- To straszne, że nie można ufać nikomu, prawda?

—

Och, nie, Anjin-san, wybacz - odparła. - Ale to jedna z najważniejszych życiowych zasad, ni mniej, ni więcej.

Koniec tomu drugiego

TOM III

KSIĘGA CZWARTA

Oślepiająco jasny Erasmus błyszczał w promieniach słońca w samo południe przy nabrzeżu w Edo.

- Panie Jezu w niebiesiech, Mariko, spójrz tylko na niego! Czy widziałaś kiedyś coś takiego jak on? Spójrz na jego sylwetkę.

Zaopatrzone w nowe liny statek cumował o sto kroków od nich przy nabrzeżu, otoczony ze wszystkich stron barierkami. Cały teren był silnie strzeżony, samuraje byli też na pokładzie statku, a napisy wszędzie obwieszczały, że wstęp tutaj jest wzbroniony, chyba że za osobistą zgodą pana Toranagi.

Erasmus był świeżo pomalowany i wysmołowany, pokłady lśniły czystością, kadłub uszczelniono, a żagle naprawiono. Nawet fokmaszt, który zabrała burza, został zastąpiony ostatnim z zapasowych, wiezionych w ładowni, i osadzony w gnieździe pod idealnym kątem. Końce wszystkich lin były porządnie zwinięte, wszystkie działa w furtach działowych błyszczały pociągnięte ochronną warstwą smaru. A nad tym wszystkim powiewała dumnie postrzępiona bandera.

- Ahoj! - zawołał wesoło Blackthorne spoza ogrodzenia, ale nikt mu nie odpowiedział.

Jeden ze strażników wyjaśnił, że dziś na pokładzie nie ma żadnych barbarzyńców.

- Shigata ga nai - odparł na to. - Dōmo. - Poskromił rosnącą niecierpliwość, żeby wejść na pokład, i uśmiechnął się promiennie do Mariko. - Wygląda tak, jakby właśnie opuścił po remoncie stocznię w Portsmouth, Mariko-san - rzekł. - Spójrz na jego działa, chłopcy musieli tu tyrać jak woły. Jest piękny, ne? Nie mogę się doczekać spotkania z Baccusem, Vinckiem i innymi. Do głowy mi nie przyszło, że odnajdę statek w takim stanie. Chryste, jaki on śliczny, ne?

Mariko przyglądała się jemu nie statkowi. Zdawała sobie sprawę, że o niej zapomnieli. I że znalazł sobie co innego na jej miejsce.

Trudno, powiedziała sobie. Nasza podróż dobiegła końca.

Tego ranka dojechali wreszcie do rogatek na przedmieściach Edo. Ponownie sprawdzono im dokumenty podrózne. Ponownie przepuszczono ich uprzejmie, lecz tym razem czekała na nich nowa eskorta honorowa.

Większość wczorajszego dnia i wieczór spędzili w przydrożnym zajeździe ze dwa ri na południe stąd, a Yoshinaka, jak poprzednio, pozwolił im mitrężyć czas.

Ach, to była taka piękna noc, pomyślała.

Tyle było tych pięknych dni i nocy. Wszystkie cudowne, z wyjątkiem pierwszej po wyjeździe z Mishimy, kiedy to dogonił ich ponownie ojciec Tsukku-san i kruchy rozejm, jaki zawarł z Blackthorne'em, został gwałtownie zerwany. Ich nagłą zajadłą kłótnię podgrzał i zaognił wypadek z Rodriguesem i za dużo wypitej brandy. Po groźbach z jednej i drugiej strony i klątwach ojciec Alvito

pomknął przodem do Edo, pozostawiając ją z poczuciem klęski i rujnując całą przyjemność z tej podróży.

- Nie wolno nam było dopuścić do tego, Anjin-san - powiedziała.

- Ale ten człowiek nie miał prawa. .

- O, tak, zgadzam się. Oczywiście, masz rację. Ale jeżeli ten wypadek zniszczy twoją wewnętrzną harmonię, to zgubisz siebie i mnie. Proszę cię, błagam, bądź Japończykiem. Zapomnij o tym incydencie, jest on tylko jednym z tysięcy. Nie wolno, żeby zniszczył twoją równowagę ducha.

Schowaj go w jakiś zakamarek duszy.

- Jak? Jakże mogę to zrobić? Spójrz tylko na moje ręce! Jestem taki wściekły, że nie mogę opanować ich drżenia.

- Spójrz na ten kamień, Anjin-san. Posłuchaj, jak rośnie.

- Co takiego?

- Posłuchaj, jak rośnie ten kamień, Anjin-san. Skup się na tym, na harmonii tego kamienia.

Wsluchaj się w jego kami. Wsluchaj się, jeśli ci życie miłe. I moje!

Tak więc spróbował - z pewnym powodzeniem - a następnego dnia, kiedy znów zapanowały pomiędzy nimi przyjaźń, miłość i spokój, uczyła go dalej, starając się w niego wpoić, tak żeby się nie zorientował, ideę Wieńca Ośmiu Płotów i budując w nim wewnętrzne ściany i umocnienia, które jako jedyne mogły doprowadzić go do harmonii. I przeżycia.

- Tak się cieszę, że ten ksiądz odjechał i już nie powróci, Anjin-san.

- Tak.

- Lepiej byłoby jednak, żeby nie doszło między wami do kłótni. Boję się o ciebie.

- Nic się nie zmieniło.. zawsze był moim wrogiem i zawsze nim będzie. Karma to karma. Ale nie zapomnij, że oprócz nas nie ma nic. Jeszcze nie. Ani jego, ani nikogo. Aż do Edo. Ne?

- Tak. Jesteś taki mądry. I znów masz rację. Jestem z tobą taka szczęśliwa. .

Droga z Mishimy do Edo szybko opuściła równiny i zaczęła się wspinać, wijąc w górę ku przełęczy Hakone. Zadowoleni i szczęśliwi odpoczywali na wierzchołku góry przez dwa dni, o wschodzie i zachodzie słońca podziwiając wspaniałą górę Fuji, której szczyt spowijały kłęby chmur.

- Czy ta góra zawsze tak wygląda? - spytał Blackthorne.

- Tak, Anjin-san, na ogół zawsze jest zasłonięta. Ale dzięki temu, gdy widać ją jak na dłoni, wydaje

się jeszcze piękniejsza, ne? Można wspiąć się aż na sam jej szczyt.

- To zrobmy to teraz.

- Nie” teraz nie, Anjin-san. Kiedyś się na nią wespniemy. Musimy zostawić sobie coś na przyszłość, ne? Wejdziemy na Fuji-san jesienią. .

Aż do równin Kantō, wędrując w dół, zatrzymywali się w samych ładnych, ustronnych zajazdach. Na prawo mieli morze i bez przerwy przeprawiali się przez strumyczki” potoki, rzeki.

Ich grupka podążała na północ uczęszczanym tłoczonym gościńcem Tokaidō, który wił się przez największą niekę ryżową w cesarstwie. Każdy najmniejszy centymetr płaskich, namulistych, obfitujących w wodę równin zajmowały uprawy. Powietrze było tu w tej chwili gorące, wilgotne, przesycone silnym fetorem ludzkich odchodów, którymi rolnicy, po zmieszaniu ich z wodą, bardzo troskliwie podlewali rośliny.

- Ryż dostarcza nam jedzenia, tatami do spania, sandałów do chodzenia, okryć do ochrony przed deszczem i zimnem, strzech, żebyśmy mieli ciepło w domach, papieru do pisania. Bez ryżu nie da się żyć, Anjin-san.

- Ale ten smród, Mariko-san!

- To mała cena za tak wiele pożytków, ne? Po prostu rób to co my, miej otwarte oczy, uszy, rozum. Słuchaj wiatru i deszczu, owadów i ptaków. Przysłuchuj się, jak rosną rośliny, a w wyobraźni oglądaj wszystkich swoich potomków aż po kres czasu. Jeżeli to zrobisz, Anjin-san, to wkrótce zaczniesz dostrzegać i czuć same powaby życia. Wymaga to praktyki. . ale staniesz się bardzo japoński, ne?

- Och, dziękuję, pani! Muszę ci jednak wyznać, że już zaczynam lubić ryż. Na pewno wolę go od kartofli i wiesz co jeszcze? Już nie tak bardzo tęsknię za mięsem. Czy to nie dziwne?

Przestałem już być taki głodny.

- A ja jeszcze nigdy nie byłam taka wygłodniała.

- Och, ale ja mówiłem o jedzeniu.

- Och, ja również. .

W trzy dni drogi od przełęczy Hakone Mariko zaczął się okres, poprosiła go więc, żeby wziął sobie którąś ze służących z zajazdu.

- Mądrze byś zrobił, Anjin-san - powiedziała.

- Przepraszam, ale wolę nie brać.

- Proszę cię o to. To dla bezpieczeństwa. Z rozwagi.

- Zgadzam się, ponieważ to ty o to prosisz. Ale nie dzisiaj, jutro. Dzisiejszą noc prześpijmy spokojnie.

Tak, pomyślała Mariko, tę noc przespaliśmy spokojnie, a następny rano był tak śliczny, że pozostawiłam go samego w ciepłym pościeli, usiadłam na werandzie z Chimmoko i patrzyłam, jak wstaje nowy dzień.

- O, dzień dobry, pani Toda. - U wejścia do ogrodu stała zgięta w ukłonie Gyoko. - Wspaniały poranek, ne?

- Tak, piękny.

- Czy wolno ci przeszkodzić? Czy mogłybyśmy porozmawiać w cztery oczy, same? W sprawach interesów.

- Oczywiście.

Mariko zeszła z werandy, nie chcąc zakłócać snu Blackthorne'owi, a potem wysłała Chimmoko po cha i poleciła jej ułożyć koce na trawie przy małym wodospadzie.

Kiedy zostały same i już można było przejść do rzeczy, Gyoko powiedziała:

- Zastanawiałam się, w jaki sposób mogę być najbardziej pomocna wielmożnemu panu Toranadze.

- Tysiąc koku jest aż nadto hojnym darem.

- Ale jeszcze hojniejszym mogą się okazać trzy tajemnice.

- Wystarczy jedna, byleby właściwa, Gyoko-san.

- Anjin-san to dobry człowiek, ne? Jego przyszłości też trzeba dopomóc, ne?

- Anjin-san ma swoją własną karmę - odparła Mariko wiedząc, że nadszedł czas targów, i zastanawiając się, z czego zrezygnować i czy starczy jej na to odwagi. - Mówiliśmy o panu Toranadze, ne? Czyżby jedna z tych tajemnic dotyczyła Anjin-sana?

- O nie, pani. Jest tak, jak mówisz. Anjin-san ma swoją własną karmę, podobnie jak ma swoje własne tajemnice. Po prostu wpadło mi do głowy, że należy do ulubionych wasali pana Toranagi, a wszystko, co chroni naszego pana, w pewnym sensie chroni też jego wasali, ne?

- Owszem. Obowiązkiem wasali zaś jest naturalnie przekazywanie wszelkich wieści, które mogą dopomóc ich panu.

- To prawda, pani, wielka prawda. Och, to dla mnie ogromny zaszczyt móc służyć tobie.

Naprawdę. Niech mi wolno będzie ci powiedzieć, że zaszczyca mnie to, że mogę z tobą podróżować, rozmawiać, jeść i śmiać się, a niekiedy służyć skromną radą, chociaż nie dostaje mi wiedzy, niestety. A na koniec muszę ci powiedzieć, że twoja mądrość dorównuje twojej piękności, a twoja dzielność jest tak świetna jak twoja pozycja społeczna.

- Ach. Gyoko-san, wybacz, proszę, ale jesteś dla mnie za uprzejma, za życzliwa. Jestem zaledwie żoną jednego z generałów mojego pana. Co mówiłaś? O czterech tajemnicach?

- O trzech, pani. Zastanawiałam się, czy wstawisz się w mojej sprawie u pana Toranagi.

Niepodobna, żebym osobiście przekazała mu na ucho to, co na pewno jest prawdą. Byłoby to w bardzo złym stylu, ponieważ nie wiedziałabym, jakich użyć słów albo jak przedstawić mu ową wiadomość, zresztą w sprawach ważnych znacznie lepszy jest nasz zwyczaj korzystania z pośredników, ne?

- A czy Kiku-san nie załatwiłaby tego lepiej? Nigdy nie wiem, kiedy on po mnie pośle i po jakim czasie stanę znowu przed jego obliczem ani nawet, czy okaże zainteresowanie czymkolwiek z tego, co mam do powiedzenia.

- Bardzo przepraszam, pani, ale ty byłabyś o niebo lepsza. Ty potrafisz ocenić, co warta jest jakaś wiadomość, ona nie. Dla ciebie on ma zawsze chętnie ucho, a dla niej co innego.

- Nie jestem doradczynią, Gyoko-san. Ani też nie oceniani wiadomości.

- Moim zdaniem, są warte tysiąc koku.

- So desu ka?

Gyoko dokładnie upewniła się, że nikt ich nie słyszy, a potem opowiedziała jej, co wygadał

chrześcijański kapłan odstępcą, a mianowicie, że powtórzył swojemu wujowi, panu Harimie, co wyznał mu w konfesjonale pan Onoshi. Opowiedziała, że drugi kucharz pana Omiego dowiedział się o intrydze, jaką Orni knuje z matką przeciwko Yabu. A ponadto zrelacjonowała wszystko, co wiedziała o panu Zatakim, o jego wyraźnej żądzy, którą czuł do pani Ochiby, oraz o powiązaniach Ochiby z Ishido..

Mariko słuchała pilnie bez jednego słowa, chociaż wiadomość o złamaniu tajemnicy spowiedzi bardzo nią wstrząsnęła, a w głowie kłębiło jej się od myśli o rozlicznych możliwościach, jakie otwierała ta informacja. Na koniec dokładnie wypytała Gyoko, żeby upewnić się, czy wszystko właściwie zrozumiała, i dobrze to sobie zapamiętać.

Kiedy przekonała się, że wie wszystko, co Gyoko jest gotowa ujawnić w tej chwili (bo naturalnie każda tak bystra handlarka zostawia sobie mnóstwo w zapasie), posłała po świeżą cha.

Osobiście napełniła filiżankę Gyoko i zaczęły pić z powagą. Obie czujne, obie pewne siebie.

- Nie jestem w stanie ocenić, ile warte są te informacje, Gyoko-san - powiedziała Mariko.

- Oczywiście, Mariko-sama.

- Myślę, że te informacje, wraz z tantym tysiącem koku, ogromnie ucieszą pana Toranagę.

Gyoko ugryzła się w język, na którego końcu miała nieprzyzwoite słowo. Spodziewała się, że ów tysięczny upust ulegnie poważnemu zmniejszeniu.

- Bardzo przepraszam, ale pieniądze są całkiem bez znaczenia dla takiego daimyō, chociaż dla chłopki takiej jak ja sama to prawdziwy skarb. Z tysiącem koku można zostać założycielką rodu.

Zawsze trzeba znać swoje miejsce, pani Toda, ne? - spytała uszczypliwie.

- Tak. Dobrze jest wiedzieć, czym i kim się jest, Gyoko-san. To jeden z tych rzadkich talentów, dzięki którym kobieta przewyższa mężczyznę. Kobieta zawsze wie. Na szczęście ja wiem, kim jestem. O, jak - najbardziej. Ale zechciej, proszę, przejść do rzeczy.

Gyoko nie ugięła się pod tą groźbą, ale niegrzecznie, prędko ruszyła do ataku.

- Rzecz w tym, że obie znamy życie i rozumiemy śmierć, a ponadto obie wierzymy, że to, jak cię traktują w piekle i wszędzie indziej, zależy od pieniędzy - powiedziała.

- Obie?!

- Tak.

- Bardzo przepraszam, ale według mnie tysiąc koku to za dużo.

- Lepsza od tego jest śmierć? Ja już napisałam swój wiersz pogrzebowy, pani. Oto on: Kiedy umrę nie grzebcie mnie, nie grzebcie, trupa mego wyrzucicie wprost na pole, żeby najadł się nim jakiś wygłodniały pies.

- To się da załatwić. Z łatwością.

- Owszem. Ale ważniejsze może się okazać, że ja mam długie uszy, a język bezpieczny.

Mariko dołała cha. Tylko sobie.

- Przepraszam bardzo, napijesz się? - spytała.

- O, tak, jak najbardziej. Racz mi wybaczyć, ale nie chwałę się, zostałam dobrze wyszkolona, pani, pod tym względem i wieloma innymi.

Nie boję się umrzeć. Na wypadek mojej śmierci sporządziłam testament ze szczegółowymi dyspozycjami dla mojej rodziny. Dawno już pogodziłam się z bogami i wiem, że w czterdzieści dni po śmierci odrodzę się znowu. A jeżeli nie - Gyoko wzruszyła ramionami - to będę kami. - Jej wachlarz ani drgnął. - Dlatego stać mnie na sięganie po rzeczy niemożliwe, ne? Wybacz, że o tym wspominałam, ale jestem podobna do ciebie: nie boję się niczego. Jednak w przeciwieństwie do

ciebie w tym życiu nie mam nic do stracenia.

- Tyle słów o złych rzeczach w taki przyjemny poranek Gyoko-san. Bo jest przyjemny, ne? -

Mariko przygotowała się do schowania pazurów. - Wolałabym o wiele bardziej widzieć cię żywą, jak dożywasz zaszczytnie starości jako jedna z podpór swego cechu. Sprytnie to wymyśliłaś. Doskonale, Gyoko-san.

- Dziękuję ci, pani. Ja również pragnę, żebyś była szczęśliwa, bezpieczna i wiodło ci się tak, jak pragniesz. Żebyś się zabawiała i opływała w zaszczyty, których ci potrzeba.

- Zabawiała? - spytała agresywnie Mariko.

- Jestem jedynie chłopką, pani, więc nie wiem, jakich zaszczytów pragniesz i co by cię zabawiło. Albo twojego syna.

Żadna z nich nie zwróciła uwagi na trzask wąskiego drewnienka w wachlarzu, który trzymała Mariko. Wiatr ustał. W ogrodzie wychodzącym na spokojne morze wisiało ciepłe wilgotne powietrze.

Muchy roiły się w locie, siadały i znowu wzbijały się rojem.

- A jakich. . jakich zaszczytów i zabawek pragnęłabyś ty? - spytała Mariko. - Dla siebie.

Wpatrzyła się z niechętną fascynacją w starszą kobietę, w pełni świadoma tego, że musi ją zniszczyć, gdyż inaczej jej syn zginie.

- Dla siebie, żadnych - odparła Gyoko. - Pan Toranaga obdarzył mnie zaszczytami i bogactwami ponad najśmielsze marzenia - odparła. - Ale dla mojego syna. . O, tak, jemu można pomóc.

- Pomóc w czym?

- Dając mu dwa miecze. - To niemożliwe.

- Wiem, pani. Bardzo przepraszam. Tak łatwo je przyznać, a jednak takie to niemożliwe.

Zbliża się wojna. Wielu będzie potrzebnych do walki.

- Teraz już nie będzie wojny. Pan Toranaga jedzie do Osaki.

- Dwa miecze. To niewielka prośba.

- Niemożliwa do spełnienia. Bardzo mi przykro, ale ja mu nie mogę ich dać.

- Bardzo przepraszam, ale ja cię o nic nie prosiłam. Niemniej zadowolili mnie tylko to jedno.

Tak. Tylko to. - Pot zaczął skapywać Gyoko z twarzy na kolana. - Na dowód mojego szacunku dla pana Toranagi w tych ciężkich czasach chciałabym ofiarować mu pięćset koku za wykupienie

kontraktu. Drugie pięćset podaruję synowi. Samurajowi potrzebny jest spadek, ne?

- Skazujesz swojego syna na śmierć. Wszystkich samurajów pana Toranagi czeka śmierć albo los roninów.

- Karma. Mój syn ma już własnych synów, pani. Oni opowiedzą swoim synom, że kiedyś nasz ród był samurajski. Tylko to jedno się liczy, ne?

- Ja mu nie mogę dać samurajskich mieczy. - To prawda. Bardzo przepraszam. Ale zadowolę mnie wyłącznie to.

Toranaga gniewnie potrząsnął głową.

- Jej informacje są ciekawe, zapewne, ale niewarte tego, żeby robić jej syna samurajem.

- Wydaje mi się, że jest wierną poddaną, wielmożny panie - odparła Mariko. - Powiedziała, że sprawi jej zaszczyt, jeżeli ujmiesz jeszcze pięćset koku z ceny jej kontraktu dla jakiegoś samuraja w potrzebie. -

- To nie płynie ze szczodrobliwości. Nie, wcale. Wyłącznie z niespokojnego sumienia, że podyktowała tak wygórowaną cenę.

- Może warto rzecz rozważyć, wielmożny panie. Jej pomysł z cechem, z gejszami i nową klasyfikacją kurtyzan przyniesie doniosłe zmiany, ne? Być może wcale nie zaszkodzi.

- Nie zgadzam się. Nie. Dlaczego ją nagradzać? Nie ma powodu, by przyznawać jej ten zaszczyt. To śmieszne! Przecież ona nie mogła cię o to prosić, co?

- Taka prośba z jej strony byłaby niemałym zuchwalstwem, wielmożny panie. Zaproponowałam ci to, ponieważ sądzę, że ta kobieta może ci się bardzo przydać.

- Byłoby dla niej o wiele lepiej, gdyby była bardziej przydatna. A w dodatku te jej tajemnice to pewnie kłamstwa. Obecnie wszyscy tylko kłamią.

Toranaga zadzwonił małym dzwonkiem i w drzwiach po drugiej stronie pokoju natychmiast pojawił się jego przyboczny strażnik. - Tak, wielmożny panie?

- Gdzie jest kurtyzana Kiku?

- W swoim pokoju, wielmożny panie.

- Czy ta Gyoko z nią tam jest?

- Tak, wielmożny panie.

- Odeślij je z zamku. Natychmiast! Odeślij je z powrotem do.. Nie, umieść je w zajeździe. .

zajeżdźcie trzeciej klasy i każ im tam zaczekać, aż je wezwę. Oburzające! - dodał gniewnie Toranaga po wyjściu samuraja. - Stręczyciele chcą być samurajami! Ci śmierdzący chłopcy przestali znać swoje miejsce!

Mariko przyglądała mu się, jak siedzi na poduszce, poruszając co jakiś czas wachlarzem. Była wstrząśnięta zmianą, jaką w nim zaszła. Miejsce pogodnej pewności siebie zajęły przygnębienie, irytacja i drażliwość. Przysłuchiwał się z zaciekawieniem tajemnicom Gyoko, ale bez ożywienia, jakiego po nim oczekiwała. Biedak, pomyślała ze współczuciem, poddał się. Po co mu jakiegokolwiek informacje? Być może jest na tyle mądry, żeby odsunąć od siebie rzeczy doczesne i przygotować się na spotkanie nieznanego. Ty sama również powinnaś to zrobić, powiedziała sobie, w duchu robiąc kolejny krok w stronę śmierci. Tak, ale przecież ty nie możesz tego zrobić, jeszcze nie, jakoś musisz uratować swojego syna.

Znajdowali się na szóstym piętrze wysokiej ufortyfikowanej wieży, której okna wychodziły z trzech stron świata na miasto. Zachód słońca był dzisiaj mroczny, sierp księżyca wisiał nisko nad horyzontem, a przejmująco wilgotne powietrze zatykało, chociaż tutaj, prawie sto stóp od podnóży zamkowych murów obronnych, do sali docierał każdy podmuch wiatru. Była nisko sklepiona, warowna i zajmowała pół piętra, a za nią mieściły się inne izby.

Toranaga wziął relację, którą Hiro-matsu przesłał mu za pośrednictwem Mariko, i przeczytał ją jeszcze raz. Spostrzegła, że drży mu ręka.

- Po co on chce przyjechać do Edo? - spytał Toranaga i niecierpliwym gestem odrzucił list na bok.

- Bardzo żałuję, ale nie wiem, wielmożny panie. Po prostu prosił, żebym oddała ci ten list.

- Czy rozmawiałaś z tym chrześcijańskim odstępcą?

- Nie, wielmożny panie. Yoshinaka-san powiedział, że zakazałeś tego wszystkim.

- Jak się sprawował Yoshinaka podczas podróży?

- Był bardzo sprawny, wielmożny panie - odparła, odpowiadając na to pytanie drugi raz. -

Bardzo skuteczny. Strzegł nas doskonale i dowiózł na czas. „v - Dlaczego ksiądz Tsukku-san nie jechał z wami całą drogę?

- W drodze z Mishimy, wielmożny panie, on i Anjin-san posprzeczali się - odparła Mariko, nie wiedząc, co też mógł na ten temat powiedzieć Toranadze ojciec Alvito, jeśli Toranaga zdążył już go wezwać. - Ojciec postanowił podróżować sam.

- A o co im poszło?

- Częściowo o mnie, o moją duszę, wielmożny panie. Ale głównie pokłócili się z powodu różnic religijnych i z powodu wojny pomiędzy ich władcami.

- Kto zaczął sprzeczkę?

- Wina była po obu stronach. Zaczęło się od butelki trunku. - Mariko zrelacjonowała mu zdarzenie z Rodriguesem. - Tsukku-san przywiózł drugą butelkę w darze chcąc, jak powiedział, wstawić się za Rodriguesem, ale Anjin-san z niedopuszczalną bezpośredniością odpowiedział, że nie napije się żadnego „trunku papistów”, woli sake i nie ufa księżom - Na to.. na to świątobliwy ojciec poczerwieniał i z równie niedopuszczalną bezpośredniością odparł, że nigdy nie parała się trucicielstwem, za nic tego nie zrobiłby i nie darowałby tego nikomu.

- A, trucicielstwem? Czy używają trucizn jako broni?

- Anjin-san twierdzi, że niektórzy to robią, wielmożny panie. To ich przywiodło do jeszcze gwałtowniejszych słów i zaczęli sobie skakać do oczu w sprawach religii, mojej duszy, katolików i protestantów. . Odeszłam najszybciej jak mogłam, żeby sprowadzić pana Yoshinakę, a on przerwał kłótnię.

- Barbarzyńcy sprowadzają same kłopoty. Chrześcijanie to same kłopoty. Ne?

Nie odpowiedziała mu. Jego rozdrażnienie zaniepokoiło ją. Takie to było do niego niepodobne i brakło jakiegokolwiek widomego powodu, żeby tak nagle stracił swoje legendarne opanowanie. Może wstrząs spowodowany porażką to dla niego za wiele, pomyślała. Jeżeli go zabraknie, koniec z nami, koniec z moim synem, a Kantō wkrótce wpadnie w obce ręce. Przygnębienie Toranagi było zaraźliwe.

Na ulicach i w samym zamku dostrzegła całun smutku, który spowił całe miasto, miasto słynące z wesołości, zacnego, rubasznego humoru i radości życia.

- Urodziłem się w roku, w którym przybyli tu pierwsi chrześcijanie i od tamtej pory mącą w tym kraju - rzekł Toranaga. - Od pięćdziesięciu ośmiu lat same z nimi kłopoty. Ne?

- Przykro mi, że cię urazili, wielmożny panie. Czy wezwałeś mnie po coś jeszcze? Za twoim pozwoleniem. .

- Usiądź. Jeszcze nie skończyłem. - Toranaga znowu zadzwonił dzwonkiem i otworzyły się drzwi. - Niech wejdzie Buntaro-san.

Wszedł Buntaro. Z surową miną uklęknął i ukłonił się. Mariko złożyła mu ukłon, całkiem zdrętwiała, ale jej się nie odklonił.

Przed chwilą Buntaro spotkał ich orszak przy zamkowej bramie. Przywitał się z nią krótko i powiedział, że ma się natychmiast stawić u pana Toranagi i że Anjin-san zostanie wezwany później.

- Buntaro-san, prosiłeś mnie, żebym cię przyjął jak najszybciej w obecności twojej żony? - spytał Toranaga.

- Tak, wielmożny panie.

- Czego chcesz?

- Pokornie błagam cię, żebyś pozwolił mi ściąć głowę Anjin-sanowi - odparł Buntaro.

- Dlaczego?

- Racz mi wybaczyć, wielmożny panie, ale. . ale nie podoba mi się to, w jaki sposób patrzy na moją żonę. Chciałem. . chciałem to powiedzieć w jej obecności, po raz pierwszy, przed twoim obliczem. A poza tym obraził mnie w Anjiro i nie potrafię dłużej żyć z tym wstydem.

Toranaga zerknął na Mariko, która siedziała jak skamieniała.

- Oskarżasz żonę o zachęcanie go?

- Ja. . ja proszę, żebyś mi pozwolił ściąć mu głowę.

- Oskarżasz ją o zachęcanie go? Odpowiedz mi na pytanie!

- Wybacz, wielmożny panie, ale gdybym tak pomyślał, to w tej samej chwili byłbym zobowiązany ściąć jej głowę - odparł lodowato Buntaro ze wzrokiem wbitym w tatami. - Ten barbarzyńca, cały czas zakłóca moją harmonię. A dla ciebie jest, moim zdaniem, utrapieniem.

Pozwól, że odetnę mu głowę, błagam cię. - Podniósł wzrok, mocne szczęki miał nie ogolone, oczy podkrążone. - Albo pozwól mi zabrać stąd żonę, a dziś wieczorem staniemy przed tobą. . żeby przygotować się do odejścia w Pustkę.

- Co ty na to, Mariko-san?

- To mój mąż. Zrobię, cokolwiek postanowi. . chyba że ty wydasz inny rozkaz, wielmożny panie. To mój obowiązek.

Toranaga patrzył to na jedno, to na drugie. A potem jego głos nabrał surowości i przez chwilę przypominał dawnego Toranagę.

- Mariko-san, za trzy dni wyjedziesz do Osaki. Przygotujesz tam moje uroczyste odejście i zaczekasz na mnie. Ty, Buntaro-san, pojedziesz ze mną, gdy wyruszę, jako dowódca mojej eskorty.

Po tym, jak spełnisz rolę mojego sekundanta, ty albo któryś z twoich ludzi może to samo zrobić z Anjin-sanem, za jego zgodą albo bez niej.

Buntaro odchrząknął.

- Wielmożny panie, proszę, zarządz Szkarłat. .

- Zamilcz! Zapominasz się! Trzy razy powiedziałem ci: nie! Jeżeli jeszcze raz będziesz miał

czelność udzielić mi niewczesnej rady, to rozplątasz sobie brzuch w jakiejś gnojówce w Edo!

Buntaro dotknął głową tatami.

- Przepraszam, wielmożny panie. Przepraszam za moją bezczelność.

Mariko również zdumiał grubiański i niegodny wybuch Toranagi, więc żeby ukryć zakłopotanie, także zgięła się w niskim ukłonie.

- Zechciej mi wybaczyć ten wybuch - rzekł po chwili Toranaga. - Zgadzam się na twoją prośbę, Buntaro-san, ale dopiero po tym, jak posłużysz mi za sekundanta.

- Dziękuję, wielmożny panie. Wybacz, proszę, że cię uraziłem.

- Nakazałem wam obojgu pogodzić się ze sobą. Zrobiliście to?

Buntaro krótko skinął głową. Mariko również.

- Dobrze. Mariko-san, wrócisz tu do mnie dziś wieczorem z Anjin-sanem, o godzinie Psa.

Możesz odejść.

Ukloniła się im i wyszła.

Toranaga przyjrzał się bacznie Buntaro.

- No więc? - spytał. - Oskarżasz ją?

- Nie. . nie do pomyslenia jest, żeby mnie zdradziła, wielmożny panie - odparł posępnie Buntaro.

- Owszem.:- Toranaga bardzo znużonym ruchem odpędził muchę. - No cóż, wkrótce dostaniesz głowę Anjin-sana. Mnie jest ona potrzebna na jego karku trochę dłużej.

- Dziękuję, wielmożny panie. Jeszcze raz proszę o wybaczenie za to, że cię zdenerwowałem.

- To denerwujące czasy. Niedobre czasy. - Toranaga pochylił się, do przodu. - Posłuchaj, chcę, żebyś zaraz pojechał do Mishimy, żebyś wyręczył na kilka dni swojego ojca. Prosi mnie, żebym pozwolił mu przyjechać tu po radę. Nie wiem jaką. . W każdym razie w Mishimie muszę mieć kogoś zaufanego. Czy mógłbyś wyruszyć o świcie?. . Ale trasą przez Takato.

- Słucham, wielmożny panie?

Buntaro widział, że Toranaga z najwyższym wysiłkiem zachowuje spokój i że mimowolnie drży mu głos.

- Mam osobistą wiadomość do mojej matki w Takato. Nie mów nikomu, że tam jedziesz. A kiedy tylko oddalisz się od miasta, rusz na północ.

- Rozumiem.

- Pan Zataki może zapobiec dostarczeniu tej wiadomości, może podejmować takie próby.

Masz ją przekazać tylko jej. Rozumiesz? Tylko jej. Weź dwudziestu ludzi i jedźcie galopem. Do pana Zatakiego wyślę gołębia z prośbą, żeby was przepuścił.

- Ta wiadomość będzie ustna czy na piśmie, wielmożny panie?

- Na piśmie. - A jeżeli nie będę mógł jej dostarczyć?

- Musisz ją dostarczyć, oczywiście, że musisz. Właśnie dlatego wybrałem ciebie. Ale. . jeżeli zostaniesz zdradzony tak jak ja. . jeżeli zostaniesz zdradzony, to nim się zabijesz, zniszcz ten list.

Kiedy tylko dotrą do mnie te niedobre wieści, głową Anjin-sana spadnie z karku. A jeżeli. . co z Mariko-san? Jeżeli coś się nie uda, to co z twoją żoną? . ‘.

- Zanim umrzesz, wielmożny panie, zgładź ją. Byłbym zaszczycony, gdybyś. . zasługuje na godnego sekundanta.

- Obiecuję ci, że na pewno umrze z honorem. Dopilnuję tego. Osobiście. A zatem przyjdź tu o świcie po ten list. Nie zawieź mnie. Ma trafić do rąk własnych mojej matki.

Buntaro podziękował mu jeszcze raz i wyszedł, zawstydzony wyraźnym lękiem Toranagi.

Pozostawszy sam, Toranaga wyjął chustkę i otarł spoconą twarz. Pałce mu drżały. Próbował

opanować drzenie, ale nie był w stanie. Z najwyższym trudem dalej odgrywał niedojdę i głupka, żeby ukryć bezgraniczne podniecenie tajemnicami, które, o dziwo, obiecywały mu upragnione tymczasowe zażegnanie klęski.

- Prawdopodobne zażegnanie, tylko prawdopodobne, jeżeli te jej tajemnice są prawdziwe -

powiedział na głos, z trudem mogąc jasno myśleć, bo w mózgu krzyczała mu przyniesiona od Gyoko przez Mariko zdumiewająco korzystna wieść.

Ochiba, rozkoszował się w myślach. . a więc to powaby tej jędzy wyrzuciły mojego brata z jego orlego gniazda. Mój brat pożąda Ochiby. Ale teraz nie ma już najmniejszych wątpliwości, że chce mieć nie tylko ją, nie tylko Kantō. On chce cesarstwa. Nie znosi Ishido, wstrętni są mu chrześcijanie, a teraz szaleje z zazdrości z powodu dobrze wszystkim znanej żądy Ishido do Ochiby. Tak więc pokłóci się z nim, z Kiyamą i Onoshim, ponieważ tak naprawdę mój zdradziecki brat pragnie dla siebie tytułu shōguna. Jest z Minowarów, ma wymagany rodowód, niepomierną ambicję, ale brakuje mu mandatu. Oraz Kantō. Najpierw więc musi zdobyć Kantō, żeby uzyskać resztę.

Toranaga zatarł ręce, radując się z wszystkich możliwości, które stwarzały mu świeżo pozyskane informacje do snucia wspañałych intryg przeciwko bratu.

I do tego jeszcze ten trędowaty Onoshi!

- Gyoko jest całkiem pewna, wielmożny panie - powiedziała mu Mariko. - Ten akolita, brat Józef, twierdzi, że Onoshi wyznał w konfesjonale, iż zawarł potajemny układ z Ishido przeciwko innemu chrześcijańskiemu daimyō i chce być z tego rozgrzeszony. W umowie tej Ishido uroczyście przyrzeka, że w zamian za poparcie go w tej chwili, po twojej śmierci oskarży owego chrześcijanina o zdradę i tego samego dnia zaprosi go, w razie potrzeby siłą, do Wielkiej Pustki, a ponadto, że syn i spadkobierca Onoshiego dostanie w spadku wszystkie ziemie. Nazwisko tego chrześcijanina nie padło, wielmożny panie.

To Kiyama czy Harima z Nagasaki? - zastanawiał się Toranaga. - Nieważne. Moim zdaniem, na pewno Kiyama.

Pomimo rozradowania wstał chwiejnie i wymacawszy drogę do okna oparł się na drewnianym parapecie. Spojrzał na księżyc i niebo. Gwiazdy były przyćmione. Gromadziły się deszczowe chmury.

- O Buddo, o wszyscy bogowie, jacykolwiek, sprawcie, żeby mój brat chwycił przynętę. . i niech pogłoski od tej kobiety okażą się prawdziwe! - powiedział na głos.

Bądź cierpliwy, upomniał się w duchu. Rozważaj jedynie fakty. Usiądź i pomyśl.

Wiedział, że napięcie nerwowe zaczyna dawać mu się we znaki, ale było to konieczne, żeby nikt z jego bliskich ani wasali - a tym samym nikt z legionu gadatliwych głupców bądź szpiegów w Edo - nawet przez moment nie podejrzewał, że on tylko udaje kapitulację i że gra rolę pokonanego.

W Yokose natychmiast zrozumiał, że przyjęcie od brata drugiego dokumentu byłoby dla niego podzwonnym. Uznał, że małą szansę ocalenia ma tylko wówczas, gdy przekona wszystkich, w tym samego siebie, że całkowicie pogodził się z porażką, choć w rzeczywistości była to jedynie maska, dzięki której zyskiwał czas, kontynuując prowadzoną przez siebie całe życie grę, składającą się z pertraktacji, zwlekania i pozornych odwrotów, i czekał cierpliwie na pojawienie się szczeliny w zbroi wroga, tam gdzie kryje się żyła szyjna, żeby natychmiast bez pardonu zadać celny cios.

Czy Zataki naprawdę pożąda Ochiby? - zastanawiał się. Wiele ryzykuję, dając wiarę plotkom jakiejś rozstawiającej nogi dziewczki - i jej zaspanego zalotnika. Czy ta bezczelna pijawka Gyoko kłamie, żeby to wyzyskać?! Jej syn samurajem! Oto klucz do uwolnienia jej tajemnic.

Na pewno ma jakiś dowód na to, co łączy Mariko-san i Anjin-sana. Bo czyż inaczej Mariko przedstawiłaby mi taką prośbę? Toda Mariko i barbarzyńca! Barbarzyńca i Buntaro! Iii, życie jest dziwne.

Znów go dopadł szarpiący ból pod sercem. Po chwili napisał wiadomość, którą miał zanieść gołąb, pocztowy, i wszedł ciężko po schodach na poddasze nad salą. Starannie wybrał ptaka z jednej z licznych klatek i przytwierdził mu do nogi małą kapsułkę. Potem umieścił gołębia w otwartym pudle na żerdzi, skąd o brzasku miał odlecieć. W liście prosił matkę, żeby zażądała bezpiecznego przejazdu dla Buntaro, który wiezie ważną wiadomość dla niej i brata. Podpisał go niczym ofertę, Yoshi

Toranaga-no-Minowara, po raz pierwszy w życiu roszcząc sobie pretensje do tego tytułu.

- Leć szczęśliwie i doleć, ptaszku - powiedział, głaszcząc pióro, które zgubił gołąb. - Niesiesz dziedzictwo dziesięciu tysięcy lat.

Jeszcze raz jego wzrok spoczął na mieście w dole. Na horyzoncie po zachodniej stronie pojawiła się niteczka światła. W porcie widział szpileczki pochodni, które otaczały statek barbarzyńcy.

Jest jeszcze jedno rozwiązanie, pomyślał i zaczął się zastanawiać nad trzema tajemnicami Gyoko. Był pewien, że coś pominął.

- Szkoda, że nie ma tutaj Kiri - powiedział w noc.

Mariko klęczała przed wypolerowanym metalowym lustrem. Oderwała wzrok od swojego odbicia. W ręku trzymała sztylet, w którym odbijało się migotliwe światło olejnej lampy.

- s- Powinnam była cię użyć - szepnęła, pełna żalu. Jej oczy odszukały Madonnę z Dzieciątkiem we wnęce obok ślicznie ułożonych kwiatów i wypełniły się łzami. - Wiem, że samobójstwo to grzech śmiertelny, ale cóż mogę poradzić? Jak mogę żyć z takim wstydem? Lepiej, jeżeli zrobię to, zanim zostanę zdradzona.

Rozległy się kroki. Skrzypnęła otwierana furta w bramie i usłyszała służące, spieszące, by powitać pana. Szybko schowała sztylet pod obi i osuszyła łzy. Niedługo potem na odgłos kroków otworzyła shoji, uprzejmie się - kłaniając.

Buntaro, w złym humorze, zawiadomił ją, że Toranaga znowu zmienił zdanie i że teraz on, Buntaro, ma rozkaz udać się na jakiś czas do Mishimy.

- Wyjeżdżam o świcie - oznajmił. - Chciałem ci życzyć szczęśliwej podróży. . - Urwał i przyjrzał się jej. - Czemu płaczesz?

- Przepraszam, wielmożny panie. To dlatego, że jestem kobietą, a tak trudno mi żyć. A poza tym z powodu wielmożnego pana Toranagi.

- Jest złamaną trzcina. Przykro mi to mówić. Straszne, że spotkało to jego. Powinniśmy walczyć. O wiele lepiej jest się bić niż wiedzieć, że będę musiał spojrzeć w plugawą gębę Ishido, śmiejącego się z mojej karmy!

- Tak, bardzo mi przykro. Żebym tak mogła w jakiś sposób pomóc. Napijesz się sake czy cha?

Buntaro odwrócił się i huknął na służącą stojącą w korytarzu.

- Przynieś sake! Migiem!

Wszedł do pokoju Mariko. Zamknął drzwi. Zatrzymał się przy oknie, spoglądając na mury zamku i wieżę za nimi.

- Nie martw się, proszę, wielmożny panie - powiedziała, chcąc go udobruchać. - Kąpiel jest gotowa i posłałam po twoją faworytę.

Gotując się w środku, Buntaro nie odrywał oczu od wieży.

- Skoro nie ma odwagi przewodzić nam dłużej, to powinien ustąpić miejsca panu Sudarze -

wyrzucił z siebie. - Pan Sudara jest jego synem i prawowitym dziedzicem, ne? Ne?

- Tak, wielmożny panie.

- Tak. A jeszcze lepiej zrobiłby, gdyby posłuchał rady pana Zatakiego. Popełnił seppuku.

Wtedy Zataki i jego wojska walczyłyby razem z nami. Z pomocą ich i muszkietów na pewno przebilibyśmy sobie drogę do Kioto. A gdyby nawet nam się nie udało, lepsze to, niż poddawać się jak parszywe, tchórzliwe Czosnkojady! Nasz pan stracił wszelkie prawa. Ne? Ne?!

Buntaro odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

- Wybacz mi, proszę. . ale nie mnie o tym sądzić - powiedziała. - To nasz lenny pan.

Buntaro znów się odwrócił i w zamyśleniu wpatrzył w wieżę. Na wszystkich piętrach paliły się światła. A najsilniejsze na szóstym. - Zgłoszę wniosek jego Radzie, żeby poprosiła go o odejście w Pustkę, a jeżeli odmówi, żeby mu w tym dopomogła. Znamy dość - takich przykładów z historii!

Wielu podziela moje zdanie, ale nie pan Sudara. On jeszcze nie. Choć w duchu być może tak. . kto wie, co naprawdę myśli. Kiedy zobaczysz się z jego żoną, z panią Genjiko, porozmawiaj z nią i ją przekonaj. A wtedy ona przekona jego, bo przecież to ona u nich rządzi, ne? Jesteście przyjaciółkami, ciebie ona posłucha. Przekonaj ją.

- Myślę, że byłby to bardzo niegodziwy postępek, wielmożny panie. Byłaby to zdrada.

- Rozkazuję ci z nią porozmawiać!

- Będę ci posłuszna.

- Tak jest, wykonasz mój rozkaz, prawda? - spytał. - Wykonasz? Dlaczego zawsze jesteś taka zimna i niemiała? Co? - Wziął lustro i podstawił jej przed twarz. - Spójrz na siebie!

- Przepraszam, wielmożny panie, jeśli cię dotknęłam. - Głos miała spokojny i patrzyła ponad lustrem w jego twarz. - Nie chciałam cię rozgniewać.

Przyglądał się jej przez chwilę, a potem rzucił lustro na stolik z laki.

- Nie oskarżam cię - powiedział. - Gdybym sądził, że ty. . nie zawahałbym się.

I nagle Mariko usłyszała własny głos, którym w sposób niewybaczalny pyta natarczywie:

- Nie zawahałbyś się zrobić czego? Zabić mnie, wielmożny panie? Albo ku mojej większej sromocie zostawić mnie przy życiu?

- Nie ciebie oskarżam, tylko jego! - ryknął Buntaro.

- Ale ja oskarżam ciebie! - krzyknęła w odpowiedzi. - I ty też mnie oskarżyłeś!

- Zamilcz!

- Zawstydziłeś mnie w obecności naszego pana! Oskarżyłeś mnie, a sam nie wypełniasz swoich obowiązków! Boisz się! Jesteś tchórzem! Śmierdzącym, tchórzliwym Czosnkojadem!

Kiedy dobył miecza z pochwy, poczuła dumę, że wreszcie odważyła się zmusić go, by przekroczył miarę.

Ale miecz zawisł nieruchomo w powietrzu.

- Ty. . ty mi przysięgłaś. . przysięgłaś na twojego boga, w Osace. Zanim. . zanim, umrzemy. . ty mi przysięgłaś i. . trzymam cię za słowo!

Zaśmiała się wyzywająco - ostro i zjadliwie.

- O tak, mój możny panie. Jeszcze raz jeden posłużę ci za poduszkę, ale spotka cię chłodne, niemiłe i gnuśne przyjęcie.

Z całej siły na oślep sieknął oburącz w narożny słup, niemal przecinając wysuszoną, grubą na stopę belkę. Pociągnął, ale ostrze siedziało mocno. Bliski szалу, przekreślił miecz, zaczął się z nim mocować i złamał klingę. Zakławszy po raz ostatni, cisnął ułamaną rękojeść przez cieniutką papierową ścianę i, chwiejąc się jak pijany, poszedł do drzwi. Stała przy nich, drżąca służąca z tacą i sake. Buntaro wytrącił jej tacę z rąk. Służąca natychmiast padła na kolana, dotknęła czołem podłogi i zamarła.

Buntaro oparł się o strzaskaną ramę drzwi.

- Poczekaj. . poczekaj do Osaki - powiedział i wytoczył się z domu. „‘ . „-, Przez jakiś czas Mariko siedziała nieruchomo, najwyraźniej w transie. A potem kolory powróciły na jej policzki. Oczy zaczęły widzieć. W milczeniu zajęła się znów lustrem. Przez chwilę przyglądała się swojemu odbiciu.

A potem z całym spokojem dokończyła się malować.

Opancerzone drzwi otworzyły się cicho. Toranaga siedział na drugim końcu kwadratowej sali na podwyższeniu z tatami. Był sam.

Blackthorne ukląkł i płasko ułożywszy dłonie nisko się uklonił.

- Konbanwa, Toranaga-sama - powiedział. - Ikaga desu ka?

- Okagesana de genki desu, Anata wa?

Toranaga postarzał się, przygaśł i znacznie schudł. Shigata ga nai, rzekł Blackthorne w duchu.

Karma Toranagi nie zniszczy Erasmusa, to Erasmus go wybawi, na miły Bóg!

Odpowiedział na zwyczajowe pytania Toranagi prostą, ale prawidłowo akcentowaną japońszczyzną, stosując uproszczoną technikę wy- mowy, którą rozwinął z pomocą Alvita. Toranaga pochwalił go za postępy i zaczął mówić szybciej.

Blackthorne użył w odpowiedzi jednego z zasobu zwrotów, których wyuczyli go Alvito i Mariko: „Wybacz, wielmożny panie, ale ponieważ nie mówię po japońsku dobrze, czy zechciałbyś mówić wolniej i używać prostszych słów, takich jak ja. Racz wybaczyć, że sprawiam ci tyle kłopotu”.

- Dobrze. Tak, oczywiście. Powiedz mi, jak ci się podobało Yokose? - spytał Toranaga.

Blackthorne rozumiał jego pytania, ale odpowiadając na nie zaciął się i posługiwał nadal bardzo ograniczonym słownictwem. Wreszcie jednak Toranaga zadał mu pytanie, w którym Anglik nie wychwycił najistotniejszych słów. - Dozo? Gomen nasai, Toranaga-sama - rzekł przepraszająco. -

Wakarimasen. (Nie rozumiem).

Toranaga powtórzył zdanie prostszym językiem. Blackthorne zerknął na Mariko.

- Bardzo mi przykro, Mariko-san. Co znaczy „sohkei su beki umi”?

- Zdatny do pływania, Anjin-san.

- Aha! Dōmo.

Blackthorne zwrócił się znów twarzą do Toranagi. Daimyō spytał, jak szybko może upewnić się, czy statek nadaje się w pełni do żeglugi.

- To nic trudnego - odparł. - Zajmie mi to pół dnia, wielmożny panie.

Po chwili zastanowienia Toranaga kazał mu zrobić to jutro i zameldować się po południu, o godzinie Kozła.

- Później zaś będziesz mógł zobaczyć swoich ludzi - dodał.

- Słucham, wielmożny panie?’

- Twoich wasali. Posłałem po ciebie, żeby cię zawiadomić, że jutro dostaniesz swoich żołnierzy.

- Ach, bardzo przepraszam. Rozumiem. Wasali samurajów. Dwustu.

- Tak. Dobranoc, Anjin-san. Do jutra.

- Proszę o wybaczenie, wielmożny panie, ale czy wolno mi z całym szacunkiem zapytać o trzy sprawy?

- Jakie?

- Po pierwsze: czy jest możliwe, żebym zobaczył teraz moją załogę? Oszczędność czasu, ne?

Proszę.

Toranaga zgodził się na to i wydał jednemu z samurajów krótki rozkaz, żeby zaprowadził

Blackthorne'a do jego ziomków.

- Zabierz z sobą dziesięciu strażników - rzekł. - A po wszystkim odprowadź Anjin-sana do zamku.

- Tak, wielmożny panie.

- Co jeszcze, Anjin-san?

- Czy możliwe, proszę, porozmawiać sami? Mało czasu. Wybacz mi niegrzeczność.

Blackthorne starał się nie okazać niepokoju, kiedy Toranaga spytał Mariko, o co tu właściwie chodzi. Odparła zgodnie z prawdą, że wiadomo jej tylko tyle, że Anjin-san ma do powiedzenia coś osobistego, ale nie pytała go, czego to dotyczy.

- Jesteś pewna, że będę go mógł spytać, Mariko-san? -; zadał jej wcześniej pytanie Blackthorne, kiedy zaczęli wspinać się po schodach.

- O, tak. Pod warunkiem, że zaczekasz, aż skończy mówić. Ale musisz wiedzieć dokładnie, co chcesz mu przekazać, Anjin-san. On. . on nie jest tak cierpliwy jak zwykle.

Nie zapytała go, o co chce spytać Toranagę, a on sam nic jej nie wyjaśnił.

- Dobrze, Anjin-san - odparł Toranaga. - Zechciej poczekać na zewnątrz, Mariko-san.

Ukloniła się i wyszła.

- A więc słucham.

- Bardzo mi przykro, słyszałem, że pan Harima z Nagasaki teraz wróg - powiedział

Blackthorne.

Toranagę zaskoczyło to, bo o jawnym wstąpieniu Harimy w szeregi sojuszników Ishido sam dowiedział się dopiero po przyjeździe do Edo.

- A od kogo o tym wiesz? - spytał.

- Słucham?

Toranaga powtórzył pytanie wolniej.

- Aha! Rozumiem. Słyszałem o panu Harimie w Hakone. Powiedziała nam Gyoko-san. Gyoko-san usłyszała w Mishimie.

- Ta kobieta jest dobrze poinformowana. Może aż za dobrze.

- Słucham, wielmożny panie?

- Nic. Mów dalej. I co z panem Harimą?

- Wielmożny panie, z całym szacunkiem mogę powiedzieć: mój statek, wielka broń na Czarną Karawelę, ne? Jeśli zdobyć Czarną Karawelę bardzo szybko, księża bardzo źli, bo nie ma pieniędzy na dzieło chrześcijan tu, nie ma pieniędzy w innych portugalskich ziemiach. Zeszły rok Czarna Karawela nie być tu, więc nie ma pieniądze, ne? Jeśli teraz zdobyć Czarną Karawelę szybko, bardzo szybko i w następny rok też, wszyscy księża w wielkim strachu. To prawda, wielmożny panie. Myślę, księża ugną się, jeśli postraszyć. Księża tacy dla Toranaga-sama!

Żeby zademonstrować, co ma na myśli, Blackthorne gwałtownie zacisnął dłoń.

Toranaga słuchał go uważnie i wpatrywał się w jego usta, a Blackthorne robił to samo.

- Rozumiem cię, ale co to da, Anjin-san? - spytał.

- Słucham, wielmożny panie?

Toranaga dostosował się do jego skrótowego stylu wysławiania się.

- Co się przez to uzyska? Złapie? Zdobędzie?

- Pana Onoshiego, pana Kiyamę i pana Harimę.

- A więc chcesz się wtrącać do naszej polityki tak jak księża?

- Bardzo przepraszam, wybacz, nie rozumiem.

- Nieważne. - Toranaga namyślał się dłuższy czas, wreszcie rzekł: - Księża mówią, że nie mogą rozkazywać chrześcijańskim daimyō.

- Nieprawda. Wielmożny panie, wybacz, proszę. Pieniądze - wielka władza nad księżmi. To prawda, wielmożny panie. Nie ma Czarna Karawela w tym roku, nie ma Czarna Karawela w następnym

-; ruina. Bardzo, bardzo źle dla księży. Pieniądze to władza. Proszę, rozważ: jeżeli Szkarłatne Niebo, to ja, równocześnie albo prędzej, atakuję Nagasaki. Nagasaki teraz wróg, ne? Biorę Czarną Karawelę i atakuję trasy morskie pomiędzy Kiusiu i Honsiu. Może groźba wystarczy, żeby z wroga

był przyjacielem?

- Nie. Księża wstrzymają handel. Nie prowadzę wojny z kapłanami i z Nagasaki. Ani z nikim.

Jadę do Osaki. Nie będzie Szkarłatnego Nieba. Wakarimasu?

- Hai.

Blackthorne nie przejął się tym. Wiedział, że Toranaga w lot pojął, iż taka bardzo realna taktyka odciągnęłyby sporą część wojsk Kiyamy, Onoshjego i Harimy, które stały na Kiusiu. Erasmus z całą pewnością przeszkodziłby każdemu większemu transportowi wojska z tej wyspy na wyspę główną. Bądź cierpliwy, przestrzegł się. Niech Toranaga to rozważy. Może będzie tak, jak mówi Mariko: pomiędzy dniem dzisiejszym a Osaka jest wiele czasu i kto wie, co się jeszcze wydarzy.

Przygotuj się na najlepsze, lecz nie bój się najgorszego.

- Anjin-san, dlaczego nie mówisz o tym w obecności Mariko-san? - spytał Toranaga. - Powie o tym księżom? Tak myślisz?

- Nie, wielmożny panie. Chciałem tylko porozmawiać z tobą bezpośrednio. Wojna to nie sprawa kobiet. Jedno ostatnie pytanie, Toranaga-sama. - Blackthorne zrobił to, co sobie zaplanował.

- Zwyczajem hatamoto jest prosić o łaskę, czasem. Zechciej wybaczyć, wielmożny panie, czy mogę z całym szacunkiem wypowiedzieć możliwą prośbę?

Toranaga przestał się wachlować.

- O jaką łaskę chodzi? - spytał.

- Wiem, że rozwód łatwy, kiedy pan każe. Proszę Toda Mariko-sama na żonę.

Toranaga osłupiał i Blackthorne zląkł się, czy tym razem nie posunął się za daleko, dlatego dodał:

- Racz mi wybaczyć niegrzeczność. Toranaga szybko doszedł do siebie.

- Czy Mariko-san zgadza się? - spytał.

- Nie, Toranaga-sama. Moja tajemnica. Nigdy jej nie mówił, nikomu. Tajemnica tylko moja.

Nie mówił Mariko-san. Nigdy. Kinjiru, ne? Ale znam gniewy żony i męża. Rozwód w Japonii łatwy.

Proszę tylko pana Toranagę. Wielka tajemnica tylko moja. Mariko-san nigdy. Przepraszam, jeżeli cię uraziłem.

- To butna prośba jak na cudzoziemca. Niesłychana! Ale ponieważ jesteś hatamoto, mam obowiązek rozważyć ją, chociaż pod żadnym warunkiem nie wolno ci o tym wspomnieć Mariko-san.

Ani jej, ani jej mężowi. Czy to jasne?

- Słucham? - spytał Blackthorne, nic nie rozumiejąc i w ogóle z wielkim trudem mogąc myśleć.
- Bardzo źle myśleć i pytać, Anjin-san. Rozumiesz?
- „Tak, wielmożny panie, bardzo prze. .
- Ponieważ Anjin-san jest hatamoto, nie gniewam się. Rozważę. Zrozumiałeś?
- Tak, tak myślę. Dziękuję. Racz wybaczyć mój marny japoński. Przepraszam.
- Żadnych rozmów z nią, Anjin-san, o rozwodzie. Ani z Mariko-san, ani z Buntaro-sanem.

Kinjiru, wakarimasu?

- Tak, wielmożny panie. Zrozumiałem. Tajemnica tylko ja i ty. Dziękuję. Wybacz mi, proszę, niegrzeczność i dziękuję ci za cierpliwość.

Blackthorne złożył nienaganny ukłon i wyszedł niczym we śnie. Drzwi zamknęły się za nim.

Stojący na podeście schodów patrzyli na niego pytająco.

Chciał się podzielić swoim zwycięstwem z Mariko. Ale obecność strażników i jej błoga, rozkojarzona mina powstrzymały go od tego.

- Przepraszam, że kazałem ci tak długo na siebie czekać - rzekł tylko.
- Cała przyjemność po mojej stronie - odparła równie wymijająco.

Ruszyli po schodach. Piętro niżej powiedziała:

- Twój prosty sposób wysławiania się” jest dziwny, ale w pełni zrozumiała, Anjin-san.
- Za dużo razy traciłem wątek. Świadomość, że tu jesteś, bardzo mi pomogła.
- Nie zrobiłam nic takiego Dalej szli w milczeniu, Mariko nieco z tyłu, tak jak nakazywał

zwyczaj. Na każdym piętrze przechodzili przez kordon samurajów. Kiedy mijali już ostatni zakręt schodów, wlokący się za nią rąbek kimona zaplątał się w balustradę i potknęła się. Blackthorne złapał

ją i przytrzymał. Nagłe zetknięcie się ciałami obojgu sprawiło przyjemność.

- Dziękuję ci - szepnęła podniecona, kiedy postawił ją na ziemi.

Schodzili dalej, znacznie bliżej siebie niż dotąd tego wieczoru.

W drodze do głównej, południowej bramy Mariko powiedziała mu, że kiedy budowa dobiegnie końca, forteca pomieści w swoich murach sto tysięcy samurajów i dwadzieścia tysięcy koni wraz z niezbędnym prowiantem, który starczy na cały rok.

- W takim razie będzie największa na świecie - rzekł Blackthorne.

- Takie były plany pana Toranagi. Shigata ga nai, ne? - Jej głos był śmiertelnie poważny.

Wreszcie doszli do ostatniego mostu. - Jak więc widzisz, Anjin-san, ten zamek jest sercem Edo, środkiem sieci ulic, które rozchodząc się we wszystkie strony tworzą miasto. Dziesięć lat temu była tu tylko wioska rybacka. A teraz jest tu, kto wie? Trzy-stutysięczne miasto? Dwustutysięczne?

Czterystutysięczne? Pan Toranaga jeszcze nie policzył mieszkańców. Ale wszyscy oni są tu wyłącznie z jednego powodu: żeby służyć temu zamkowi, broniącemu portu i równin, które żywią wojsko.

- Tylko z tego? - spytał.

- Nie.:

Nie trzeba się martwić ani chodzić z tak poważną miną, pomyślał wesoło. Wszystko załatwiłem. Toranaga spełni wszystkie moje życzenia.

Po drugiej stronie oświetlonego pochodniami Ichi-bashi, Pierwszego Mostu, który wiódł do właściwego miasta, zatrzymała się.

- Tutaj się rozstajemy, Anjin-san.

- Kiedy cię zobaczę?

- Jutro. O godzinie Kozła. Będą na ciebie czekała na dziedzińcu.

- Nie zobaczymy się dziś wieczorem? Jeżeli wrócę wcześniej?

- Nie, bardzo żałuję, wybacz mi. Nie dziś - powiedziała i ukłoniła się mu zgodnie z etykietą. -

Konbanwa, Anjin-san.

Odkłonił się jej. Jak samuraj. Patrzył, jak Mariko idzie po moście, a wraz z nią część strażników z pochodniami. Wokół pochodni zatkniętych w uchwyty przy filarach mostu kłębiły się owady. Wkrótce wchłonęła ją ludzka ciżba i mrok.

Blackthorne z rosnącym podnieceniem odwrócił się plecami do zamku i podążył za swoim przewodnikiem.

48.

- Barbarzyńcy mieszkają tam, Anjin-san - samuraj wskazał ręką przed siebie.

Blackthorne poczuł się nieswojo i wpatrzył się w ciemność. Powietrze stało w miejscu i było duszno.

- Gdzie? - spytał. - W tamtym domu? Tam?

- Tak. Niestety, właśnie tam. Widzisz go, panie?

- Śmierdzi jak londyński rynek rybny Billingsgate przy najniższej wodzie - mruknął, zabijając następnego nocnego natręta, który usiadł mu na policzku. Ciało lepiło mu się od potu.

Nagle dosłyszał strzęp swawolnej morskiej szanty śpiewanej po holendersku i natychmiast zapomniał o wszystkich przykrościach.

- Czy to ty, Vinck? - spytał.

Uradowany ruszył w stronę głosu wraz z tragarzami oświetlającymi mu drogę i samurajami, którzy podążali za nim.

Kiedy znalazł się bliżej, dojrzał parterowy budynek, częściowo w stylu japońskim, częściowo europejskim, znacznie nowszy od gromady pobliskich ruder. Był wzniesiony na palach i stał na osobnej parceli, otoczonej rozchwierutanim bambusowym płotem. W płocie tym nie było furtki, tylko dziura. Dom miał dach kryty strzechą, drzwi mocne, ściany z nie heblowanych desek, a okna zasłonięte okiennicami w stylu holenderskim. Tu i ówdzie przez szpary wydostawało się światło.

Śpiewy i przekomarzania słyhać już było lepiej, ale jeszcze nie dało się rozpoznać głosów. Przez zaniedbany ogród biegły prosto do stopni na werandę kamienne płyty. Przy wejściu umocowano liną niski maszt flagowy. Blackthorne zatrzymał się i przyjrzał mu. Zwisiała z niego apatycznie nieruchoma, prowizoryczna holenderska bandera, na której widok serce zabiło mu żywiej.

Ktoś raptownym pchnięciem otworzył drzwi. Na werandę wystrzeliła smuga światła. Baccus van Nekk pijanym krokiem dotarł na jej skraj, z na wpół przymkniętymi oczami odciągnął sącdek i wysikał się wysokim, zakrzywionym łukiem.

- Uhhhhh - stęknął z rozkoszą. - Nie ma to jak się odlać.

- Prawda? - zawołał po niderlandzku Blackthorne. - Dlaczego nie korzystasz z wiadra?

- Co? - Van Nekk wpatrzył się swoimi oczami krótkowidza w Blackthorne'a, który stał w ciemnościach rozświetlonych pochodniami samurajów. - Chryste Jezu Przenajświętszy, samuraje! -

Odchrząknął, wziął się w garść i niezgrabnie uklonił w pas. - Gomen nasai, samuraj-sama. Ichibon gomen nasai wszystkim małpom-samom. - Wyprostował się, uśmiechnął z przymusem i mruknął pod

nosem: - Jestem bardziej zalany, niż myślałem. Ubzdurało mi się, że ten bękart, ten psi syn odezwał

się po holendersku! Gomen nasai, ne? - zawołał jeszcze raz i zawrócił chwiejnie do chałupy, drapiąc się i macając sączek.

- Ej, Baccusie, masz na tyle rozumu w głowie, żeby nie kalać własnego gniazda? - spytał

Blackthorne.

- Co?! - Van Nekk obrócił się i nie widzącym wzrokiem wpatrzył w pochodnie, próbując dojrzeć mówiącego. - Pilot?! - wydusił z siebie. - Czy to ty, pilocie? A niech wszyscy diabli te moje oczy, nic nie widzę. Na miły Bóg, pilocie, czy to ty?

Blackthorne zaśmiał się. Jego stary znajomek stał tam taki nagi, tak głupio wyglądał, a członek zwiślał mu tak żałośnie.

- Tak, to ja! - odparł i zwrócił się do swojego japońskiego przewodnika, który przyglądał się tej scenie z kiepsko skrywaną pogardą. - Matte kurasai. (Zaczekaj na mnie, proszę.)

- Hai, Anjin-san.

Blackthorne ruszył, a kiedy doszedł do smugi światła, zobaczył, że cały ogród to jeden wielki śmietnik, z odrazą zdjął więc drewniaki i wbiegł po stopniach.

- Witaj, Baecusie, widzę, że sadła masz więcej niż przy wyjeździe z Rotterdamu, ne? - spytał

i klepnął go serdecznie w plecy.

- Panie Jezu Chryste, to naprawdę ty? i - Tak, pewnie, że ja.

- Dawno temu uznaliśmy cię za zmarłego. - Van Nekk wyciągnął rękę i dotknął Blackthorne'a, żeby się upewnić, że nie śni. - Panie Jezu, wysłuchałeś naszych modlitw. Pilocie, co się z tobą działo, skąd przybywasz? To cud! Czy to naprawdę ty?

- Tak. A teraz nasuń z powrotem sączek i wejdźmy do środka - powiedział Blackthorne, świadom obecności samurajów.

- Co? Aha! Przepraszam, nie. . - Van Nekk prędko spełnił jego życzenie, a po policzkach pociekły mu łzy. - O Jezu, pilocie. . już myślałem, że gorzałkowe diabły znowu płątają mi figle. Chodź, najpierw jednak pozwól, że cię zapowiem, co? - Przytrzymał Blackthorne'owi drzwi i przekrzykując zachryplę śpiewy wrzasnął: - Chłopaki! Patrzcie tylko, kogo nam przyniósł święty Mikołaj!

Dla większego efektu z hukiem zatrzaskał drzwi.

W jednej chwili zapadła cisza.

Blackthorne potrzebował dobrej chwili, żeby przyzwycząić oczy do światła w środku. Dusił się od

smrodu. Ujrzał, że wszyscy gapią się na niego, jakby mieli przed sobą diabelską zjawę. A potem czar prysł i rozległy się powitania i okrzyki radości. Wszyscy zaczęli go ścisnąć, walić w plecy i mówić jeden przez drugiego.

- Skąd przybywasz, pilocie?. . Napij się. . Chryste, czy to możliwe. . A niech mi naszczują w kapeluszu, wspaniale jest cię znowu widzieć. . Uznaliśmy cię za zmarłego.. Nie, mamy się dobrze, a przynajmniej na ogół. . Złaż z tego krzesła, dziwko, najlepsze zasrane krzesło dla pilota-samy. . Hej, grogu, ne, migiem, psiajucho, migiem!. . Niech mnie szlag, zejź mi z drogi, bo chcę mu uściskać rękę.

- Po jednym, chłopaki! - wrzasnął w końcu Vinck. - Dajcie mu się przywitać. Dajcie pilotowi krzesło i coś do picia, na miły Bóg! Tak, ja też go wziąłem za samuraja. .

Któryś wsunął Blackthorne'owi w dłoń drewniany kielich. Blackthorne usiadł na koślawym krześle, wszyscy wzniesli pucharki i znów posypały się pytania, Blackthorne rozejrzał się po izbie.

W oświetlonym świecami i lampkami olejnymi pomieszczeniu stały ławy, stoły i parę prymitywnych krzesel. Na plugawej podłodze ustawiono dużą beczkę sake. Na jednym, pełnym brudnych talerzy stole leżał niedopieczony udziec, który obsiadły muchy.

Pod ścianą klęczało w ukłonie sześć skulonych kocmołuchowatych Japoniek.

Jego krajanie czekali uśmiechnięci, aż zacznie mówić: kucharz Sonk, starszy bosman i ogniomistrz Johann Vinck, Salamon niemowa, młody Croocq, żaglomistrz Ginsel, skarbnik i naczelny kupiec Baccus van Nekk i wreszcie drugi kupiec, Jan Roper, który jak zwykle usiadł z boku, z tym samym co, zwykle kwaśnym uśmiechem na pociągłej, napiętej twarzy.

- A gdzie dowódca wyprawy? - spytał Blackthorne.

- Nie żyje, pilocie, umarł. - odparło mu sześć głosów i na wypródki zaczęło opowiadać, płacząc relację.

Wreszcie zmuszony był podnieść rękę i uciszyć ich.

- Umarł, pilocie. Już nie wyszedł z tej jamy. Pamiętasz, że był chory, prawda? Kiedy cię zabrali. . cóż, tej samej nocy usłyszeliśmy, że się dławi w ciemnościach. Prawda, chłopcy?

Odpowiedział mu chór potakiwań, więc van Nekk dodał:

- Siedziałem przy nim, pilocie. Chciał się napić wody, ale ponieważ nic jej nie zostało, to się dusił i jęczał. Nie mam pewności co do godziny, wszyscy śmiertelnie się baliśmy, ale w końcu zadławił się, a potem zaczął, hmm, śmiertelnie rzeźzić. Miał ciężką śmierć, pilocie.

- Tak, miał okropną śmierć - dodał Jan Roper. - Ale to kara boska.

Blackthorne przyjrzał się po kolei ich twarzom.

- Czy któryś z was go uderzył? Żeby uciszyć? - spytał.

- Nie. . nie, och, nie - odparł van Nekk. - On tylko charczał. Zostawili go w ziemiance z tym drugim. . z tym Japusem, pamiętasz go, tym, który próbował się utopić w cebrze szczyn. Potem jednak pan Omi kazał im wynieść stamtąd zwłoki Spil bergena i spalili je. Ale tamtego drugiego biednego drania zostawili. Pan Omi dał mu nóż i tamten, psia jego mać, sam sobie otworzył brzuch, a wtedy go zasypali. Pamiętasz go, pilocie?

- Tak. A co z Maetsukkerem?

- Najlepiej ty opowiedz, Vinck.

- Ten mały Szczurza Morda zgnił, pilocie - zaczął Vinck, na co reszta zaczęła wykrzykiwać szczegóły i rozpuściła języki, tak że w końcu musiał ryknąć: - Baccus poprosił o to mnie, jak rany Chrystusa! Na każdego przyjdzie kolej!

Głosy ucichły.

- Opowiedz o tym ty, Johann - uczynnie przyszedł Vinckowi w sukurs Sonk.

- Zaczęła mu gnić ręka, pilocie. Drasnęli go w czasie tej walki w piwnicy. . pamiętasz tę walkę, kiedy cię ogłuszili? Chryste, wydaje mi się, że to było wieki temu! W każdym razie rana zaczęła ropieć, więc przez dwa dni z rzędu puszczałem mu krew, ale ręka szerniała. Powiedziałem mu, że najlepiej będzie przeciąć wrzód, bo inaczej straci całą. . powtarzałem to tuzin razy, wszyscy powtarzaliśmy, ale nie posłuchał. Piątego dnia rana zaczęła cuchnąć. Przytrzymałmy go i wycięliśmy większość zgnitego ciała, to jednak nie pomogło. Wiedziałem, że to na nic, ale niektórzy uważali, że warto próbować. Zachodził do nas kilka razy taki żółty psi syn, lekarz, ale i on nic nie mógł poradzić.

Tak więc Szczurza Morda przeżył jeszcze dzień czy dwa, ale zgnilizna zaszła za daleko i mocno szalał. W końcu musieliśmy go związać.

- Tak jest, pilocie - potwierdził Sonk, drapiąc się z ukontentowaniem. - Musieliśmy go związać.

- A co się stało z jego ciałem? - spytał Blackthorne.

- Zanieśli je na wzgórze i też spalili. Chcieliśmy wyprawić jemu i generałowi-gubernatorowi porządnym chrześcijański pogrzeb, ale nam nie dali. Po prostu spalili ich.

Zrobiło się jeszcze ciszej.

- Nie tknąłeś-trunku, pilocie! - odezwał się wreszcie któryś.

Blackthorne podniósł sake do ust i spróbował. Omal nie zwymiotował, bo kielich był brudny.

Czysty alkohol sparzył mu gardło. Odór nie mytych ciał i zastarzałego brudu nie pranej odzieży był

dla niego prawie nie do zniesienia.

- I jak ci smakuje ta gorzałka, pilocie? - spytał van Nekk.

- Bardzo dobra.

- Opowiedz mu o niej, Baccusie, no, mów!

- Ech! Zrobiłem kocioł do destylacji, pilocie - powiedział van Nekk. Był bardzo dumny z siebie, a reszta promieniała. - Pędzimy już ją beczkami. Bierzymy ryż, owoce, dajemy im sfermentować, czekamy około tygodnia, a potem, z pomocą małych czarów marów. . - Przysadzisty mężczyzna zaśmiał się i radośnie podrapał. - Pewnie lepiej byłoby potrzymać zacier przez rok, żeby dojrzał, ale wypijamy ten trunek szybciej niż. . - zamilkł. - Nie smakuje ci?

- Och, przepraszam, jest dobry. . dobry.

W rzadkich włosach van Nekka Blackthorne spostrzegł wesz.

- A ty, pilocie? - zaczął go pytać Jan Roper. - Masz się dobrze, prawda? Co u ciebie?

Znowu posypały się pytania, które uciął okrzyk Vincka:

- Ależ dajcie mu coś powiedzieć! - A potem ten mężczyzna z czerstwą twarzą wyznał

uszcześliwiony: - i - Chryste, kiedy zobaczyłem cię w tych drzwiach, pomyślałem, że to jedna z tych małą, słowo daję. . słowo!

Zgodzono się z nim chóralnie.

- Tak jest - zdołał wtrącić van Nekk. - Te przekłete głupie kimona! Wyglądasz jak kobieta, pilocie; albo jak któryś z tych półmężczyzn. Tych przeklętych sodomitów, ha! Mój Boże, wielu Japusów to sodomici! Jeden uganiał się za Croocqiem.

Znów zaczęły się krzyki i sprośne żarty, wreszcie jednak van Nekk dokończył.

- Na pewno zechcesz przebrać się w normalny strój, pilocie. Posłuchaj, mamy tu twoje ubranie. Do Edo przyплыliśmy na Erasmusie. Doholowali nas tu i pozwolili zabrać na brzeg odzież, ale nic ponadto. Zabraliśmy twoją, żeby ją dla ciebie przechować, pozwolili nam na to. Wzięliśmy twój worek żeglarski, z wszystkimi żeglarskimi ubraniami. Skocz no po nie, Sonk, dobra?

- Jasne, że skoczę, ale później, co, Baccusie? Nie chcę niczego stracić.

- Zgoda.

- Miecze i kimono.. jak u prawdziwego poganina! - odezwał się Jan Roper z urągliwym uśmiechem na cienkich ustach. - Może wolisz już teraz żyć po pogańsku, co, pilocie?

- To ubranie jest chłodne, lepsze od naszego - odparł zakłopotany Blackthorne. -

Zapomniałem, że jestem inaczej ubrany. Tak wiele się zdarzyło. Nie miałem innego ubrania, więc przyzwyczaiałem się do noszenia tego. W ogóle się nad tym nie zastanawiałem. Ten ubiór jest z pewnością wygodniejszy.

- Czy to są prawdziwe miecze?

- Tak, oczywiście, a dlaczego pytasz?

- Nam nie wolno nosić broni. Żadnej broni! - rzekł z przekąsem Jan Roper. - Dlaczego tobie na to pozwolili? Tak jak wszystkim tym poganom samurajom?

Blackthorne zaśmiał się krótko.

- Nic się nie zmieniłeś, Janie Roper, prawda? Jesteś coraz świętszy? Dobrze, w swoim czasie opowiem wam o mieczach, wpierw jednak przekażę wam najpomyślniejsze wieści. Słuchajcie, za mniej więcej miesiąc znów wypłyniemy na pełne morze.

- Jezu, Boże Święty, mówisz poważnie, pilocie? - spytał Vinck.

- Tak.

Ryknęli głośno na wiwat, a potem znów popłynęła rzeka pytań i odpowiedzi.

- A mówiłem wam, że ruszymy w drogę. . a mówiłem, że Bóg nam sprzyja?! Niech mówi. . dajcie pilotowi mówić. .

Wreszcie Blackthorne podniósł rękę i wskazał na w dalszym ciągu klęczące nieruchomo, jeszcze pokorniejsze pod jego spojrzeniem Japonki.

- Co to za jedne? - spytał.

Sonk zaśmiał się.

- To nasze miłośnice, pilocie. Nasze kurwy, i to tanie, na tydzień kosztują nas tyle co guzik, na miły Bóg! W sąsiednim domu jest ich pełno, a znacznie więcej w wiosce. .

- A łobzują się jak gronostaje - wtrącił Croocq.

- Tak jest, pilocie - potwierdził Sonk. - Pewnie, że są krępe i koślawe, ale bardzo żwawe i nie mają syfa. Chcesz jakąś, pilocie? Mamy swoje własne koje, nie tak jak te małpy, własne koje i pokoje. .

- Wypróbuj Dupiastą Mary, pilocie, jest w sam raz dla ciebie - zachęcił Croocq.

- Pilot nie chce naszych ładacznic - przekrzyczał wszystkich Jan Roper. - Ma własne. Co, pilocie?

Ich twarze ożywiły się.

- To prawda, pilocie? Masz kobiety? Ej, opowiedz nam o tym, co? Nie ma lepszych od tych małych, no nie?

- Powiedz nam o swoich miłośnicach, pilocie! - rzekł Sonk, znowu drapiąc zawzione miejsca na ciele.

- Wiele by tu opowiadać - odparł Blackthorne. - Ale powinno się to odbyć bez świadków. Im mniej słuchających uszu, tym lepiej, prawda? Odeślijcie te kobiety, to będziemy mogli porozmawiać.

Vinck dźgnął palcem w stronę Japoniek.

- Wyoście się, hai?

Kobiety ukloniły się, wymamrotały podziękowania, przeprosiły i szybko się wyniosły, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Najpierw o statku. To niewiarygodne. Chcę wam podziękować i pogratulować roboty, którą odwaliliście. Po powrocie do kraju będę nalegał, żebyście dostali za to potrójny udział we wszystkich łuskach z przyzów, a będzie to nagroda ponad wszelkie. . - Zobaczył, że wymieniają zakłopotane spojrzenia. - O co chodzi?

- To nie my, pilocie - powiedział skrepowany van Nekk. To ludzie króla Toranagi. Oni to zrobili. Vinck im pokazał, ale my nie tknęliśmy tam niczego palcem.

- Co takiego?

- Nie pozwolili nam już wrócić na pokład. Na statek dopuścili tylko Vincka, a chodził tam raz na jakieś dziesięć dni. My nic nie zrobiliśmy.

- On jeden - dorzucił Sonk. - Johann im pokazał.

- A jak się z nimi porozumiałeś, Johann? - spytał Blackthorne.

- Jeden z samurajów zna portugalski i mówiliśmy z sobą w tym języku. . wystarczyło, żebyśmy się rozumieli. Sato-samę, tak nazywa się ten samuraj, wyznaczono dowódcą statku, kiedyśmy tu przyплыnęli. Spytał, którzy z nas są oficerami lub marynarzami. Odpowiedzieliśmy, że Ginsel, ale że jest przede wszystkim kanonierem, że ja i Sonk, który. .

- Który jest, psiamać, najgorszym kucharzem, jakiego..

- Zamknij tę głupią jadaczkę, Croocq!

- Bo nie potrafisz, psiakrew, gotować na lądzie, nie wspominając już nawet o tym, że i na pokładzie, jak Boga kocham!

- Wy dwaj, bądźcie cicho, proszę! - upomniał ich Blackthorne. - Mów dalej, Johann.

- Sato-sama - ciągnął Vinck - spytał mnie, czego brakuje statkowi, więc mu wyjaśniłem, że trzeba go przechylić, oskrobać i cały wyreperować. Powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem, no i zabrali się do roboty. Przechylili Erasmusa jak należy, oczyścili żęzy, wyszorowali je niczym książęcy sracz. . Wszystkim kierowali samuraje, podczas gdy inne małpy tyrały jak wszyscy diabli, setki tych psich synów. Kurwa-mać, pilocie, jeszcze żeś nie oglądał na oczy pracujących tak pilnie jak oni!

- To prawda - przyznał Sonk. - Jak wszyscy diabli.

- Zrobiłem wszystko, co tylko mogłem, żeby dzień, w którym. . Chryste Panie, pilocie, naprawdę myślisz, że stąd odpłyniemy?

- Tak, jeżeli będziemy cierpliwi i jeżeli. .

- Jeżeli zechce Bóg, pilocie. Tylko wtedy.

- Tak. Być może masz rację - odparł Blackthorne, myśląc, że nie szkodzi, że Jan Roper jest religijnym fanatykiem. Potrzebował go, potrzebował ich wszystkich. I pomocy boskiej. - Tak.

Potrzebna nam będzie pomoc boska - rzekł i obrócił się znów twarzą do Vincka. - A co z naszym kilem? - spytał.

- Czysty i mocny, pilocie. Nie myślałem, że sprawią się z nim aż tak dobrze. Ci dranie są zmyślni jak najlepsi cieśle, szkutnicy i powroźnicy w Holandii. Takielunek jest w idealnym stanie. .

wszystko.

- A żagle?

- Uszyli komplet z jedwabiu, który jest mocny jak płótno. A do tego drugi zapasowy; Zabrali nasze i dokładnie je skopiowali, pilocie. Działa są w jak najlepszym stanie, wszystkie z powrotem na pokładzie, razem z prochem i zapasem kul. W razie czego statek mógłby wypłynąć choćby dziś, z odpływem. Jasne, że nie był na morzu, więc co warte są te żagle, przekonamy się, kiedy powieje, ale stawiam swoje życie na to, że wszystkie szpary są tak szczelne jak przy pierwszym naszym wyjściu na Zuiderze, a nawet szczelniejsze, bo przecież wręgi, dzięki Bogu, wyschły! - Vinck przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza. - Kiedy odpłyniemy?

- Za miesiąc. Mniej więcej.

Tręcili się łokciami, promienni i rozradowani, a potem wzniesli huczny toast za pilota i statek.

Blackthorne wesoło pomachał im ręką po raz ostatni. Z ciemności po drugiej stronie małego mostu odpowiedziano mu okrzykiem. Odwrócił się, z trudem zmusił się do stłumienia w sobie serdecznych uczuć i w asyście dziesięciu pilnujących go samurajów skręcił za róg.

Mijane ulice, aleje i mosty widział jak przez mgłę. Wtem zauważył, że rękę trzyma pod kimonem i

drapie się. Staął jak wryty.

- Te parszywe przekłete. .

Rozwiązał pas, zdarł z siebie wilgotne kimono i, tak jakby było zbrukane, cisnął je do rowu.

- Dōzo, nan desu ka, Anjin-san? - spytał jeden z eskorty.

- Nani mo! Nic, na miły Bóg! - odparł Blackthorne i z mieczami w ręku szedł dalej.

- Ah! Eta! Wakarimasu! Gomen nasai!

Samuraje rozmawiali pomiędzy sobą, ale nie przysłuchiwał się im.

Tak lepiej, myślał z największą ulgą, nie zwracając sobie głowy tym, że jest prawie nagi, bo liczyło się tylko to, że po zdjęciu zawszonego kimona przestała go swędzić skóra.

Mój Boże, z jaką rozkoszą by się teraz wykąpał.

Opowiedział załodze o swoich przygodach, ale nie o tym, że został samurajem i hatamoto, że jest jednym z faworytów Toranagi. Nie wspomniał też o Fujiko. Ani o Mariko. Nie powiedział im również, że ich oddział wylądował w Nagasaki, że szturmem zdobędą Czarną Karawelę, a samurajami będzie dowodził on sam. Na to przyjdzie czas później, pomyślał ze znużeniem. I na wszystko inne.

Czy kiedykolwiek powiem im o Mariko? - zadał sobie pytanie, stukając drewnianymi sabotami o deski Pierwszego Mostu.

Przy głównej bramie zamku czekał na niego drugi przewodnik. Zaprowadził go do jego kwatery znajdującej się w wewnętrznym kręgu umocnień. Przeznaczono dla niego pokój w jednym z ufortyfikowanych, ale ładnych domów gościnnych, jednak grzecznie odmówił pójścia tam od razu.

- Najpierw kąpiel, proszę - powiedział do samuraja.

- A rozumiem. To bardzo mądrze z twojej strony, Anjin-san. Do łaźni idzie się tędy. Tak, gorąca noc, ne? A poza tym słyszałem, że odwiedziłeś Nieczystych. Inni goście docenią, że się o nich troszczysz. Dziękuję ci w ich imieniu.

Blackthorne nie zrozumiał wszystkich słów, ale pojął ich znaczenie. „Nieczyści” to określenie moich ziomeków i mnie, nas, a nie ich własnych biedaków, eta, pomyślał.

- Dobry wieczór, Anjin-san - przywitał go łaźiebny. Był potężnie zbudowanym Japończykiem w średnim wieku, z ogromnym brzuchem i bicepsami. Służąca obudziła go przed chwilą oznajmiając, że nadchodzi jeszcze jeden spóźniony klient. Klasnął w dłonie, na co zjawiły się łaźiebne. Blackthorne poszedł za nimi do szorowni, gdzie namydliły go, umyły, po czym kazał im to zrobić drugi raz. Po umyciu przeszedł do wpuszczonego w ziemię basenu, zstąpił do parującej gorącej wody i pokonawszy ukrop, oddał się rozmyślanom.

Po jakimś czasie mocne ręce pomogły mu wyjść z wody, natarły wonnym olejkim ciało, rozmasowały mięśnie i kark, poprowadziły do pokoju wypoczynkowego i tam podały wyprane, wysuszone na słońcu kimono. Wreszcie z przeciągłym westchnieniem ulgi położył się i . .

Obudził się odświeżony. Obok leżały czyste kimono, przepaska na biodra i tabi. Pochwy jego mieczów wypolerowano. Szybko się ubrał. Przed łaźnią czekali samuraje. Podnieśli się z ziemi i ukłonili.

- Jesteśmy dziś twoją strażą, Anjin-san - wyjaśnili.
- Dziękuję. Pójdziemy teraz na statek? - spytał.
- Tak. Oto twoja przepustka.
- Dobrze. Dziękuję. A jak się nazywasz, panie?
- Mitsutoki Musashi.
- Dziękuję, Musashi-san. Pójdziemy? Poszli do nabrzeży.

49.

- Anjin-san? - usłyszał.

- Hai? W odsuniętych drzwiach stanęła Fujiko i uśmiechając się nieśmiało ukloniła mu się.

- Byłbym o tobie zapomniał - powiedział po angielsku. - Bałem się, że umarłaś.

- Dōzo goziemashita, Anjin-san, nan desu ka?

- Nani mo, Fujiko-san - odparł, czując wstyd. - Gomen nasai. Hai. Gomen nasai. Ma-suware odoroi ta honto ni mata aete ureshi.

- Dōmo arigato goziemashita - odparła i wysokim, cienkim głosem zapewniła, że raduje się jego widokiem, że jego japoński bardzo się poprawił, że świetnie wygląda, ona zaś bardzo się cieszy, że tu jest.

Patrzył, jak siada niezgrabnie na poduszce naprzeciwko niego.

- Nogi. . - Szukał w pamięci słowa „oparzone”, ale nie mógł go sobie przypomnieć, więc zamiast tego powiedział: - Nogi pożar bolą. Żle?

- Nie. Przepraszam. Ale bolą mnie trochę przy siadaniu - odparła Fujiko, uważnie wpatrując się w jego usta. - Nogi bolą, niestety.

- Pokaż, proszę.

- Wybacz, Anjin-san. Nie chcę ci sprawiać kłopotu. Masz inne zmartwienia. Ja. .

- Nie rozumiem. Za szybko, przykro mi.

- Ach, przepraszam. Nogi w porządku. Bez kłopotu.

- Z kłopotem. Jesteś konkubiną, ne? Bez wstydu. Pokaż mi!

Posłusznie wstała. Najwyraźniej krępowano ją to, lecz zaczęła rozwiązywać tasiemki obi. Kiedy zdjęła kimona, wierzchnie i spodnie, i została w samej halce, podszedł i podniósł rąbek bielizny.

Oparzenia zaczynały się na łydkach.

Fujiko stała bez ruchu. Po policzku spłynęła jej kropla potu, uszkadzając makijaż. Podniósł

halkę wyżej. Obie nogi z tyłu, włącznie z pośladkami, były poparzone, ale goiły się idealnie. Tkanka już się zablizniła i nie było infekcji ani ropienia, a tylko troszkę czystej krwi w stawie kolanowym, tam gdzie świeża blizna pękła, kiedy Fujiko siadała.

- Lekarz bardzo dobry. Najlepszy, jaki widziałem! - powiedział. - Najlepszy! Budda czuwa nad

Fujiko-san. - Położył ręce na jej ramionach i zajął w oczy. - Nie martw się już. Shigata ga nai, ne?

Rozumiesz?

Po twarzy Fujiko popłynęły łzy.

- Przepraszam, Anjin-san. Tak mi głupio. Powinnam była być z tobą, chronić cię. . a nie tkwić w tamtym domu ze służbą. Tam nie ma dla mnie nic, nic, nie mam żadnego powodu, żeby mieć dom. .

Wprawdzie nie rozumiał prawie nic z tego, co mówiła, ale trzymał ją współczująco w ramionach. Miała szczęście, że poparzyła sobie tylko nogi i pośladki, a nie twarz, pomyślał. Spojrzał

na nią. Jej twarz była kwadratowa i płaska jak zawsze, zęby ostre jak u łasicy, ale ciepło bijące z oczu przyćmiewało brzydotę. Przytulił ją jeszcze raz.

- Już dobrze. Nie płacz. To rozkaz!

Posłał służącą po świeżą herbatę, sake i wiele poduszek, a potem pomógł Fujiko położyć się na nich, choć z początku bardzo ją to krępowało.

- Jakże ci za to podziękować? - spytała.

- Nie dziękuj. Zwracam. . - Zaczął się zastanawiać, ale nie mógł przypomnieć sobie japońskich odpowiedników słów „przysługa” i „pamiętać”, dlatego wyjął słownik i odszukał je. „Przysługa” brzmiała „o-negai”. . a „pamiętać” „omoi dasu”. - Hai, mondotsu o-negai! Orni desu? (Zwracam przysługę. Pamiętasz?) - Podniósł dłonie, naśladując nimi pistolety i wymierzył je. - Pamiętasz Omiego-sana?

- A, oczywiście - zawołała. A potem zdumiona poprosiła, żeby pokazał jej tę książkę. Nigdy jeszcze nie widziała rzymskiego pisma, dlatego słupki japońskich słów z łacińskimi i portugalskimi odpowiednikami i na odwrót nic jej nie mówiły, ale szybko pojęła, czemu służą. - To jest książka ze wszystkimi naszymi. . przepraszam. To słownik, ne?

- Hai.

- „Hombun”? - spytała.

Pokazał jej, jak znaleźć to słowo po łacinie i po portugalsku.

- „Hombun” to „obowiązek” - rzekł i dodał po japońsku: - Ja rozumiem obowiązek. Obowiązek samuraja, ne?

- Hai.

Klasnęła w dłonie, jakby pokazano jej magiczną zabawkę. Ale to przecież jest magiczny podarunek, od Boga, rzekł w duchu. Da mi on dostęp do jej myśli, do myśli Toranagi i niedługo będę mówił świetnie.

Podawała mu inne słowa, na które otrzymała łacińskie i portugalskie odpowiedniki. Wszystkie rozumiał i wszystkie znalazł. Słownik ani razu go nie zawiódł.

Sprawdził słowo.

- Majutsu desu, ne? (To magia, prawda?) - spytał.

- Tak, Anjin-san. To książka magiczna. - Łyknęła herbaty. - Teraz mogę z tobą rozmawiać.

Naprawdę rozmawiać.

- Trochę. Tylko powoli, rozumiesz?

- Tak. Okaż mi cierpliwość. Racz mi wybaczyć.

Duży zegar na wieży zamkowej wybił godzinę Kozła i we wszystkich świątyniach Edo rozdzwoniły się dzwony. - Pójdę już. Pójdę do pana Toranagi.

Blackthorne schował książkę do rękawa.

- Jeżeli wolno, to zostanę tutaj.

- Gdzie?

Wskazała ręką.

- O, tam, w moim pokoju obok. Racz mi wybaczyć obcesowość. .

- Powoli. Mów powoli. Mów prosto! Powtórzyła wszystko wolniej, znowu przepraszając.

- Dobrze - powiedział. - Dobrze. Zobaczymy się później. Chciała się podnieść, ale potrząsnął głową i wyszedł na dziedziniec.

Zachmurzyło się, powietrze zatykało. Czekwała na niego eskorta. Wkrótce znaleźli się na podwórku przed wieżą. Zastali tam Mariko, jeszcze szczuplejszą, jeszcze bardziej eteryczną, z twarzą alabastrową pod rdzawozłotą parasolką. Była w ciemnobrązowym kimonie, oblamowanym zielenią.

- Ohayo, Anjin-san. Ikaga desu ka? - spytała, składając mu oficjalny ukłon.

Powiedział, że czuje się dobrze, z zadowoleniem podtrzymując ich zwyczaj rozmowy po japońsku tak długo, jak był w stanie, i przechodząc na portugalski tylko wówczas, kiedy się zmęczył

albo gdy chcieli zachować treść rozmowy dla siebie.

- Moja ty. . - rzekł ostrożnie po łacinie, kiedy wchodzili po schodach w wieży.

- Mój ty - odpowiedziała Mariko i natychmiast przeszła na portugalski z taką samą poważną miną jak

wczoraj wieczorem. - Wybacz, proszę, ale dziś żadnej łaciny, Anjin-san. Łacina niezbyt pasuje dzisiaj. . łacina nie może dziś służyć temu, do czego jest stworzona. Ne?

- A kiedy będę mógł z tobą porozmawiać?

- To bardzo trudne, przepraszam. Mam obowiązki. .

- Nie stało się nic złego, prawda?

- Och, nie - odparła. - Wybacz, proszę, ale co złego mogłoby się stać? Nic złego się nie stało.

W milczeniu przeszli następny odcinek schodów. Na kolejnym piętrze ponownie sprawdzono im, jak zwykle, przepustki i ruszyli dalej w asyście strażników z przodu i z tyłu. Mocno się rozpadało i zrobiło się mniej parno.

- Będzie padać wiele godzin - orzekł.

- Tak. Ale bez deszczu nie ma ryżu. Wkrótce deszcze zupełnie ustaną, za dwa, trzy tygodnie, a potem aż do jesieni będzie ciepło, parno i wilgotno. - Wyjrzała przez okno na ulewę przesłaniającą świat. - Spodoba ci się jesień, Anjin-san.

- Tak - odparł patrząc na Erasmusa, stojącego w oddali na przystani. A potem nawałnica zasłoniła statek, on zaś wszedł w przewężenie schodów. - Po rozmowie z panem Toranagą będziemy musieli przeczekać ten deszcz. Może znajdzie się tu jakieś miejsce do porozmawiania?

- Z tym mogą być trudności - odparła wymijająco, co go zdziwiło. Zwykle wykazywała zdecydowanie i wypełniała jego grzeczne „propozycje” jak rozkazy, które należy od razu wykonać. -

Wybacz mi, Anjin-san, proszę, ale w tej chwili jest mi trudno i muszę załatwić wiele spraw. -

Zatrzymała się na chwilę, przełożyła parasolkę do drugiej ręki i ujęła rąbek kimona. - Jak się udał

wieczór? - spytała. - Jak twoi znajomi, twoja załoga?

- Dobrze. Wszystko dobrze - odparł.

- Ale nie za „dobrze”?

- Dobrze, ale bardzo dziwnie. - Blackthorne spojrzał na Mariko. - Wszystko zauważysz, prawda?

- Nie, Anjin-san. Ale nie wspomniałeś o nich, a wiele o nich myślałeś przez cały tydzień. Nie jestem czarodziejką. Niestety.

- Czy u ciebie na pewno wszystko w porządku? - spytał po chwili. - Nie masz żadnych kłopotów z panem Buntaro, prawda?

Od Yokose nie rozmawiał z nią o jej mężu ani o nim nie wspomniał. Od pierwszej chwili za

obopólną zgodą żadne z nich nie przywoływało tego widma.

- To moja jedyna-prośba, Anjin-san - szepnęła mu podczas ich pierwszej wspólnej nocy. -

Wszystko, co zdarzy się w trakcie podróży do Mishimy albo, jeśli Matka Boska sprawi, do Edo, będzie tylko naszą własnością, nikogo więcej, dobrze? Nie powiemy sobie o niczym, co istnieje naprawdę. Ne? O niczym. Proszę.

- Dobrze. Przysięgam ci to.

- I ja tobie. Ostatecznie nasza podróż skończy się na Pierwszym Moście w Edo.

- Nie.

- Musi mieć swój koniec, ukochany. Nasza podróż skończy się na Pierwszym Moście. Proszę cię o to, bo inaczej nie przeżyję udręki i lęku, że wystawiłam cię na takie niebezpieczeństwo..

Wczoraj rano stanął na skraju Pierwszego Mostu i chociaż uradował go widok Erasmusa, to nagle zrobiło mu się ciężko na duszy.

- Powinniśmy już przejść przez ten most, Anjin-san - powiedziała Mariko.

- Tak, ale to przecież zwykły most. Jeden z wielu. Chodź, Mariko-san. Po tym moście przejdź przy moim boku. Przy moim boku, proszę cię. Wejdźmy razem - dodał po łacinie - i wyobraź sobie, że idziemy ręka w rękę, żeby wszystko zacząć od nowa.

Wysiadła z palankinu i poszła obok niego aż do końca mostu. A potem skryła się ponownie za zasłonami w palankinie i weszli na małe wzniesienie. Przy bramie zamku czekał Buntaro.

Blackthorne przypomniał sobie, jak się modlił, żeby piorun strzelił z jasnego nieba.

- Nie masz z nim żadnych kłopotów, prawda? - spytał jeszcze raz, kiedy weszli na ostatnie piętro.

Pokręciła przecząco głową.

- Statek jest w pełni gotów, Anjin-san? - spytał Toranaga. - Na pewno?

- Na pewno, wielmożny panie. Jest w świetnym stanie.

- Ilu dodatkowych ludzi. . ilu ludzi więcej chcesz mieć na statku. . - Toranaga spojrział na Mariko. - Spytaj go, proszę, ilu jeszcze ludzi potrzebuje, żeby pływać tym statkiem jak należy.

Pragnę, żeby dokładnie wiedział, jakie informacje chcę uzyskać. - Anjin-san mówi, że do żeglugi tym statkiem potrzeba co najmniej trzydziestu marynarzy i dwudziestu artylerzystów. Jego załoga liczyła pierwotnie stu siedmiu ludzi, wliczając w to kucharzy i kupców. Do pływania i walki na tych wodach wystarczyłoby dwustu samurajów.

- I uważa, że pozostałych ludzi, których potrzebuje, można by wynająć w Nagasaki?

- Tak, wielmożny panie.

- Ja na pewno nie zaufałbym najemnikom - rzekł z odrazą Toranaga.

- Przepraszam, wielmożny panie, czy mam to przełożyć?

- Słucham? O, nie, to nieważne.

Toranaga wstał, nadal udając, że jest w złym humorze, i spojrzął przez okna na deszcz. Ulewa przesłaniała miasto. Niech leje miesiącami, pomyślał. O bogowie, sprawcie, żeby deszcze padały aż do Nowego Roku. Kiedy Buntaro zobaczy się z moim bratem?

- Przekaż Anjin-sanowi, że jego wasali przyślę mu jutro. Dziś okropna pogoda - powiedział. -

Będzie lało przez cały dzień. Nie ma sensu moknąć. „Tak, wielmożny panie”, usłyszał jej odpowiedź i uśmiechnął się do siebie z ironią. Jak dotąd pogoda jeszcze nigdy nie odwiodła go od niczego. To na pewno powinno przekonać ją i innych wątpiących, że nieodwracalnie zmieniłem się na gorsze, pomyślał, zdając sobie sprawę, że jeszcze nie wolno mu zmienić taktyki.

- Jutro czy pojutrze, czy to ważne? - ciągnął. - Kiedy będę gotów, wezwę go. Do tego czasu ma czekać w zamku.

Przysłuchiwał się, jak przekazuje jego polecenie Anjinowi.

- Tak, panie Toranaga, rozumiem - odparł Blackthorne. - Ale czy, z całym szacunkiem, wolno spytać: możliwe prędko jadę Nagasaki? Myślę, to ważne. Bardzo przepraszam.

- O tym zadecyduję później - rzekł szorstko Toranaga, tak żeby pilot nie był pewny swego.

Dał mu znak, że ma odejść. - Do widzenia, Anjin-san. Niedługo zadecyduję o twojej przyszłości. -

Spostrzegł, że tamten ma chęć nalegać, ale że z grzeczności się powstrzymuje. To dobrze, przynajmniej uczy się dobrych manier, pomyślał. - Powiedz Anjin-sanowi, że nie musi na ciebie czekać, Mariko-san. Do widzenia, Anjin-san.

Mariko spełniła polecenie. Toranaga odwrócił się do nich plecami, żeby przyjrzeć się miastu i ulewie. Wsłuchał się w szum deszczu. Za Anjin-sanem zamknęły się drzwi.

- O co się pokłóciliście? - spytał, nie patrząc na Mariko.

- Słucham, wielmożny panie?

Jego wyczulony słuch pochwycił w jej głosie leciutkie drzenie. - Ty i Buntaro, oczywiście, a może miałaś jeszcze jakąś inną sprzeczkę na mój temat? - dodał z gryzącą ironią, ponieważ musiał

szybko załatwić tę sprawę. - Może z Anjin-sanem, może z moimi chrześcijańskimi wrogami albo z Tsukku-sanem?

- Nie, wielmożny panie. Bardzo cię przepraszam. Ta kłótnia zaczęła się jak zawsze, tak jak większość sprzeczek pomiędzy mężem i żoną. Doprawdy o nic. Sprzeczka, w której po chwili raptem oboje zaczynają wypominać sobie całą przeszłość, a jeżeli są w nastroju do kłótni, to przeszłość ta zatruwa i jego, i ją.

- A byliście w takim nastroju?

- Tak. Bardzo przepraszam. To ja bezlitośnie sprowokowałam męża. Wina była wyłącznie po mojej stronie. Żałuję tego, wielmożny panie, ale w dzisiejszych czasach, niestety, ludzie mówią złe rzeczy.

- Ależ mówże prędzej, jakie to złe rzeczy?

Przypominała zagonioną łanię. Twarz miała białą jak kreda. Wiedziała, że szpiedzy na pewno donieśli mu, co wykrzykiwali ona i Buntaro w domowym zaciszu.

Zrelacjonowała mu całą rozmowę z mężem najlepiej, jak pamiętała. A potem dodała:

- Uważam, że mój mąż wyrzekł te słowa w furii, którą ja sprowokowałam. Jest wierny. . . wiem, że jest wierny. Jeżeli ktokolwiek ma ponieść za to karę, to ja, wielmożny panie. To ja wywołałam u niego ten wybuch wściekłości.

Toranaga z kamienną twarzą znów usiadł na poduszce, prosto, jakby połknął kij.

- Co powiedziała pani Genjiko? - spytał.

- Jeszcze z nią nie rozmawiałam, wielmożny panie.

- Ale masz taki zamiar albo miałaś, ne?

- Nie, wielmożny panie. Za twoim pozwoleniem zamierzam natychmiast wyjechać do Osaki.

- Wyjedziesz, kiedy ci powiem, ale nie prędzej. Każda zdrada to podłość!

Na te chłoszczące jak bat słowa Mariko ukloniła się.

- Tak, wielmożny panie. Bardzo przepraszam. Cała wina jest po mojej stronie. .

Toranaga zadzwonił małym ręcznym dzwonkiem. Otworzyły się drzwi i stanął w nich Naga.

- Każ tu natychmiast przybyć panu Sudarze z panią Genjiko - polecił.

- Tak, wielmożny panie - odparł Naga i odwrócił się, chcąc odejść.

- Zaczekaj! A potem zwołaj moją radę, Yabu i wszystkich. . . wszystkich starszych dowódców.

Mają się tu stawić o północy. Usuń ludzi z tego piętra. Wszystkich strażników! Wróć tu, z Sudarą!

- Tak, wielmożny panie.

Pobladły Naga zamknął drzwi.

Toranaga usłyszał stukot nóg samurajów, którzy zbiegali po schodach. Piętro opustoszało.

Zatrzasnął drzwi i zaryglował je. Podniósł drugi dzwonek i zadzwonił. Na drugim końcu sali otworzyły się drzwi. Były one ledwo widoczne, bo bardzo pomysłowo wkomponowano je w boazerię. Stała w nich mocno zbudowana kobieta w średnim wieku.

Ubrana była w habit z kapturem, jaki noszą buddyjskie mniszki.

- Tak, Wielki Panie? - spytała.

- Proszę o cha, Chano-chan - powiedział Toranaga. Drzwi zamknęły się. Jego wzrok znów spoczął na Mariko. - A więc uważasz, że jest wierny?

- Wiem o tym, wielmożny panie. Bardzo przepraszam, to nie była jego wina, tylko moja - odparła, gotowa błagać go. - Ja go sprowokowałam.

- Tak, sprowokowałaś go. To oburzające. Straszne. Niewybaczalne! - Toranaga wyjął papierową chustkę i otarł czoło. - Ale pomyślne - rzekł.

- Słucham, wielmożny panie?

- Gdybyś go nie sprowokowała, to być może w ogóle nie dowiedziałbym się o zdradzie.

Natomiast gdyby powiedział to bez sprowokowania, pozostawałoby mi tylko jedno. A tak stworzyłaś mi wybór.

- Słucham, wielmożny panie?

Toranaga milczał. Myślał właśnie: „Szkoda, że nie ma tu Hiro-matsu, miałbym wtedy przy sobie przynajmniej jednego człowieka, któremu mogę bezgranicznie ufać”.

- A co z tobą? Co z twoją wiernością?

- Ależ wielmożny panie, przecież na pewno wiesz, że jestem ci wierna.

Nie odpowiedział. Wzrok miał bezlitosny.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i do sali weszła śmiało bez pukania mniszka Chano z tacą.

- Proszę, Wielki Panie, cha była gotowa. - Uklękła po chłopsku. Ręce też miała chłopskie, szorstkie,

ale zachowywała się z wielką pewnością i promieniowała spokojem ducha. - Niechaj Budda obdarzy cię spokojem - rzekła, a potem zwróciła się w stronę Mariko, ukloniła się jej po chłopsku i wygodnie usadowiła. - Może sprawisz mi zaszczyt i nalejesz cha, pani - zaproponowała. - Zrobisz to pięknie i jej nie rozlejesz, ne?

W jej oczach błyszczało dyskretne rozbawienie.

- Z przyjemnością, Oku-san - zgodziła się Mariko, tytułując ją duchową matką i skrywając zaskoczenie. Matkę Nagi widziała po raz pierwszy. Znała większość pozostałych oficjalnych konkubin Toranagi, bo widziała je na uroczystościach, ale dobre stosunki łączyły ją tylko z Kiritsubo i panią Sazuko.

- Chano-chan, to jest pani Toda Mariko-no-Buntaro.

- Ah so desu, bardzo przepraszam, wzięłam cię, pani, za jedną z czcigodnych dam mojego Wielkiego Pana. Zechciej mi wybaczyć, pani Toda, niechaj Budda ci błogosławi.

- Dziękuję - powiedziała Mariko.

Podawała filiżankę Toranadze, który ją przyjął i się napił.

- Nalej Chano-chan i sobie - zaproponował.

- Bardzo przepraszam, Wielki Panie, ale za twoim pozwoleniem, dla mnie nie. Zadnią gębę mam pełną cha, a do wiadra za daleko na moje sterane kości.

- Przydałoby ci się trochę ćwiczeń - odparł Toranaga, rad, że posłał po nią, kiedy powrócił do Edo.

- Tak, Wielki Panie, masz rację. . tak jak zawsze. - Chano ponownie zwróciła się do Mariko. -

A więc jesteś córką pana Akechiego Jinsai. .

Filizanka w” rękę Mariko znieruchomiała niepewnie w powietrzu.

- Tak. Wybacz, proszę. .

- Och, a co tu jest do wybaczenia, dziecko? - Chano zaśmiała się życzliwie, a brzuch jej się zatrzęsł.

- Wybacz mi, że nie znając twojego nazwiska nie rozpoznałam cię, ale przecież ostatni raz widziałam cię na twoim ślubie.

- Tak?;

- A, tak, ja ciebie tam widziałam, ale ty mnie nie. Podglądałam zza zasłony. Tak jest, ciebie i wszystkich wielkich panów, dyktatora i Nakamurę, przyszłego taikō, całą szlachtę. Och, byłam zbyt nieśmiała, żeby dotrzymywać im towarzystwa. Ale to były dla mnie wspaniałe dni. Najlepsze w moim życiu. Mój Wielki Pan darzył mnie względami drugi rok, a ja byłam przy nadziei, niemniej pozostałam chłopką, którą się urodziłam. - Wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki. - Bardzo mało

zmieniłaś się od tamtych czasów, pani, nadal jesteś jedną z wybranek Buddy - dodała.

- Och, chciałabym, żeby to była prawda, Oku-san.

- To jest prawda. Czy wiedziałaś, że jesteś jedną z wybranek Buddy?

- Nie jestem nią, Oku-san, nawet gdybym bardzo tego pragnęła.

- Jest chrześcijanką - wyjaśnił Toranaga.

- Aha, chrześcijanką, a jaka to różnica dla kobiety: być chrześcijanką czy buddystką, Wielki Panie? Niekiedy niewielka, chociaż nie zawadzi, jeśli kobieta ma jakiegoś boga. - Chano zaśmiała się wesoło. - My, kobiety, potrzebujemy boga, Wielki Panie, żeby pomagał nam radzić sobie z mężczyznami, ne?

- A my, mężczyźni, potrzebujemy cierpliwości, boskiej cierpliwości, żeby radzić sobie z kobietami, ne?

Mniszka zaśmiała się i w sali od razu zrobiło się milej, a złe przeczucia Mariko chwilowo nieco zelżały.

- Tak, Wielki Panie - ciągnęła Chano - a wszystko dlatego, że czyjś Niebiański Pawilon nie ma przed sobą przyszłości, brakuje mu odrobiny ciepła, za to piekła zaznaje w obfitości.

Toranaga chrząknął.

- I co ty na to, Mariko-san? - spytał.

- Pani Chano jest mądra ponad swój młody wiek - odparła Mariko.

- Ach, pani, mówisz miłe rzeczy głupiej starej - powiedziała mniszka. - Pamiętam cię tak dobrze. Miałaś wtedy niebieskie kimono w najpiękniejsze żurawie, jakie widziałam w życiu. Srebrne.

- Jej spojrzenie powróciło do Toranagi. - No cóż, Wielki Panie, chciałam przysiąc na chwilę. A teraz, wybaczyć, że pójdę. -

- Jest jeszcze czas. Nie odchodź.

- Tak, Wielki Panie - odparła Chano, wstając ociężale. - Tak jak zawsze byłabym ci posłuszną, ale natura mnie wzywa. Bądź więc miły dla starej wieśniaczki, „bo za nic nie chciałaby ci przynieść wstydu. Czas iść. Wszystko jest przygotowane. Jedzenie i sake, kiedy tylko sobie życzysz, Wielki Panie.

- Dziękuję.

Drzwi zamknęły się za nią bezgłośnie. Mariko czekała, aż Toranaga opróżni filiżankę, po czym napełniła ją ponownie.

- O czym myślisz? - spytał.

- Czekałam, wielmożny panie.

- Na co, Mariko-san?

- Panie, jestem hatamoto. Jeszcze nigdy o nic nie prosiłam. Chciałabym więc prosić cię, jako hata. .

- Nie życzę sobie żadnych twoich próśb, do których masz prawo jako hatamoto:- przerwał jej.

- W takim razie pozwól, że złożę ci prośbę życia.

- Nie jestem twoim mężem, bym mógł na to pozwolić.

- Czasem jednak poddany może prosić o coś swojego lennego pana.

- Czasem tak, ale nie w tej chwili! Zabraniam ci w tej chwili wspominać o jakichkolwiek próbach życia, nagrodach, życzeniach i tym podobnych.

Zgodnie ze starożytnym zwyczajem prośba życia była przywilejem, o który - bez utraty twarzy - żona mogła prosić męża, syn ojca, a niekiedy mąż żonę, pod warunkiem, że w razie jej spełnienia, osoba ta zgadzała się nigdy już o nic nie prosić. Zwyczaj nakazywał, aby na temat owego życzenia nie zadawać żadnych pytań ani nigdy więcej o nim nie wspominać.

Do drzwi ktoś - grzecznie zapukał.

- Odsuń rygiel - rzekł Toranaga.

Mariko wypełniła polecenie. Do sali weszli Sudara, za nim jego żona, pani Genjiko, i Naga.

- Naga-san - Toranaga zwrócił się do syna. - Zejdiesz na drugie piętro i dopilnujesz, żeby nikt bez mojego rozkazu nie wszedł na górę.

Naga wyszedł.

- Mariko-san, zamknij drzwi i „usiądź tu.

Toranaga wskazał jej miejsce tuż przed sobą chcąc, żeby siadła twarzą do wezwanych.

- Wezwałem tu was oboje - rzekł - ponieważ musimy omówić sprawy rodzinne, które nie cierpią zwłoki.

Oczy Sudary mimowolnie powędrowały do Mariko i znów spoczęły na ojcu. Pani Genjiko ani drgnęła.

- Pani Toda jest tutaj z dwóch powodów, synu -. powiedział szorstko Toranaga. - Po pierwsze

dlatego, że ja tego chcę, a po drugie dlatego, że ja tego chcę!

- Tak, ojczcie - odparł Sudara, zawstydzony niegrzecznym zachowaniem ojca wobec nich wszystkich. - Wolno spytać, czym cię uraziłem?

- A czy jest jakiś powód do urazy?

- Nie, wielmożny panie, chyba że takim powodem jest moja gorliwość w zapewnieniu ci bezpieczeństwa i to, że nie chcę dopuścić, żebyś się rozstał z tym światem.

- A co powiesz o zdradzie? Doszło do mnie, że ośmielasz się przywłaszczać sobie moje miejsce jako głowa naszego rodu!

Sudara zbladł. Tak samo pani Genjiko.

- Nigdy nie zrobiłem tego myślą, słowem ni uczynkiem. Podobnie jak nikt z mojej godziny ani nikt w mojej obecności.

- To prawda, wielmożny panie - potwierdziła z równą mocą pani Genjiko.

Sudara był dumnym, szczupłym mężczyzną o zimnych, wąskich oczach i cienkich ustach, które nigdy się nie uśmiechały. Ten dwudziestoczwololatek, drugi z pięciu żyjących synów Toranagi, był

dobrym dowódcą. Uwielbiał swoje dzieci, nie miał konkubin i był oddany żonie.

Genjiko była niska, trzy lata starsza od męża i pękata po urodzeniu czworga potomków. Ale chodziła z podniesioną głową, miała w sobie całą dumę swojej siostry Ochiby, była bezgranicznie opiekuńcza wobec dzieci i drzemała w niej ta sama co u tamtej dzikość, którą obie odziedziczyły po dziadku Gorodzie.

- Każdy, kto oskarża mojego męża, jest kłamcą - oświadczyła.

- Mariko-san - rzekł Toranaga - wyjaw pani Genjiko, co ci kazał powiedzieć twój mąż!

- Mój pan Buntaro poprosił mnie, rozkazał mi, abym cię przekonała, że nadszedł czas, żeby pan Sudara przejął władzę, że inni w radzie pana Toranagi podzielają jego zdanie, że jeśli pan Toranaga nie zechce zrzec się władzy, to.. to powinno się go jej pozbawić siłą.

- Nikomu z nas taka myśl nie powstała w głowie, ojczcie - odparł Sudara. - Jesteśmy ci wierni i nigdy bym nie roz. .

- A gdybym ci przekazał władzę, to co byś zrobił? - spytał Toranaga.

- A skąd pan Sudara może to wiedzieć, skoro nigdy nie brał pod uwagę takiej niegodziwości -

odparła natychmiast Genjiko. - Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale nie może ci na to odpowiedzieć, ponieważ nigdy o tym nie myślał. Jakże mogło mu przyjść na myśl coś podobnego? A

co do pana Buntaro, to na pewno opętał go zły kami.

- Buntaro oświadczył, że inni podzielają jego zdanie.

- Kto? - spytał jadowitym tonem Sudara. - Powiedz mi, kim oni są, a po chwili już nie będą żyć.

- To ty mi to powiedz!

- Nie znam nikogo takiego, wielmożny panie, bo gdybym znał, to już bym ci o nim doniósł.

- A czy pierwiej byś ich nie zabił?

- Twoim pierwszym prawem jest być cierpliwym, drugim - być cierpliwym. Zawsze byłem posłuszny twoim rozkazom. Zaczekałbym i najpierw zawiadomił ciebie. Jeżeli cię obraziłem, każ mi popełnić seppuku. Nie zasłużyłem sobie na twój gniew, wielmożny panie, nie popełniłem zdrady. Nie mogę znieść, że wylewasz na mnie swój gniew.

- Tak, wielmożny panie - poparła go pani Genjiko. - Racz wybaczyć, ale pokornie zgadzam się z moim mężem. Jest niewinny, tak jak i reszta naszych ludzi. Jesteśmy wierni, wszystko, co mamy, należy do ciebie, dzięki tobie jesteśmy tym, kim jesteśmy, i spełnimy każde twoje życzenie.

- Aha! Jesteście wiernymi wasalami, tak? Posłusznymi? Zawsze wypełniacie rozkazy?

- Tak, wielmożny panie.

- To dobrze. W takim razie idźcie i uśmierćcie wasze dzieci. Już.

Sudara zdjął wzrok z ojca i spojrzał na żonę.

Poruszyła głową i skinęła nią na znak zgody.

Sudara uklonił się Toranadze. Zacisnął dłoń na rękojeści miecza i - wstał. Cicho zamknął za sobą drzwi. Pozostała po nim wielka cisza. Genjiko zerknęła na Mariko, a potem wpatrzyła się w podłogę.

Dzwony wydzwoniły połowę godziny Kozła. Atmosfera w sali zagęściła się jeszcze bardziej.

Deszcz ustał na krótko, a potem znów zaczął padać mocniej.

Tuż po wybiciu przez dzwony kolejnej godziny zapukano do drzwi.

- Tak?

Drzwi otwarły się.

- Wybacz, wielmożny panie, ale mój brat. . - zaczął Naga. - Pan Sudara chce znowu wejść na górę.

- Wpuść go.. i wróć na posterunek.

Sudara wszedł, ukląkł i uklonił się. Był przemoczony do suchej nitki, deszcz zmierzwił mu włosy. Ramiona lekko mu drżały.

- Moje. . moje dzieci są. . Ty już je zabrałeś, wielmożny panie. Genjiko zachwiała się i niewiele brakowało, aby upadła.

- Ty. . nie zabiłeś ich? - spytała męża.

Sudara potrząsnął przecząco głową, a Toranaga powiedział:

- Wasze dzieci są w moich pokojach, piętro niżej. Poleciałem Chano-san, żeby sprowadziła je tam, kiedy was tu wezwałem: Musiałem mieć pewność co do was dwojga. Niegodziwe czasy wymagają niegodziwych prób.

Zadzwonił ręcznym dzwonkiem.

- Czy. . czy cofasz swój. . swój rozkaz, wielmożny panie? - spytała Genjiko, za wszelką cenę starając się zachować stateczną godność.

- Tak. Cofam go. Tym razem. Był on konieczny, żeby was poznać. A także mojego dziedzica.

- Dziękuję ci, dziękuję ci, wielmożny panie.

Sudara czołobitnie skłonił głowę.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi.

- Chano-san, przyprowadź tu na chwilę moje wnuki - powiedział Toranaga.

Wkrótce potem trzy ciemno ubrane piastunki i mamka wprowadziły dzieci. Dziewczynki miały lat cztery, trzy i dwa, a kilkudniowy syn, niemowlak, spał w ramionach mamki. Wszystkie dziewczynki były w czerwonych kimonach, a we włosach nosiły czerwone wstążki. Piastunki uklękły, ukloniły się Toranadze, a ich podopieczne, naśladowując je, zrobiły to samo z wielką powagą i dotknęły czołami tatami, oprócz najmłodszej, której głowa potrzebowała pomocy łagodnej, lecz stanowczej ręki.

Toranaga odkłonił się im z powagą. Potem, spełniwszy swój obowiązek, dziewczynki rzuciły się mu w objęcia, oprócz najmłodszej, która niepewnym krokiem dotarła w ramiona matki.

Otworzyły się boczne drzwi. Wszedł przez nie Toranaga. Za nim Sudara. Zebrani dowódcy uklonili się sztywno. Toranaga odkłonił im się i siadł twarzą do nich. Sudara, jako jego prawdopodobny następca, zajął miejsce nieco przed nim, również siadając twarzą do reszty. Od głównych drzwi sali nadszedł Naga i zamknął drzwi boczne.

Tylko Toranaga nosił miecze.

- Doniesiono mi, że niektórzy z was mówią o zdradzie, myślą o zdradzie i planują zdradę -

powiedział chłodno.

Nikt się nie odezwał i nikt się nie poruszył. Toranaga wolno przesuwiał wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Nadal siedzieli bez jednego ruchu. .

- Wielmożny panie, z całym szacunkiem, czy wolno spytać, co rozumiesz przez „zdradę”? - spytał generał Kiyoshio.

- Każde kwestionowanie rozkazów, decyzji bądź stanowiska swojego lennego pana jest zawsze, w każdej chwili, zdradą! - odparł gwałtownie Toranaga.

Generał zjeżył się.

- W takim razie jestem winien zdrady - stwierdził.

- A więc natychmiast stąd wyjdź i popełnij seppuku.

- Tak zrobię, wielmożny panie - odparł dumnie żołnierz - ale wpierw domagam się prawa do swobodnego wypowiedzenia się w obecności twoich oficerów i dorad. .

- Utraciłeś wszystkie prawa!

- Dobrze. W takim razie domagam się tego jako przysługującej mi prośby życia. Jako twój hatamoto, który wiernie ci służył przez dwadzieścia osiem lat.

- Streszczaj się.

- Dobrze, wielmożny panie - odparł lodowato Kiyoshio. - Po pierwsze: pozwolę sobie powiedzieć, że jazda do Osaki i kłanianie się temu wieśniakowi Ishido jest zdradą wobec twojego honoru, honoru twojego rodu, honoru twoich wasali, wobec twojego wspaniałego dziedzictwa, a ponadto jest całkowicie sprzeczna z bushido. Po drugie: oskarżam cię o tę zdradę i oświadczam, że z tej przyczyny utraciłeś prawo do bycia naszym lennym panem. Po trzecie: proszę cię, żebyś natychmiast zrzekł się władzy na rzecz pana Sudary i zaszczytnie rozstał się z życiem. . albo ogolił

głowę i wstąpił do klasztoru, co wolisz.

Generał uklonił się chłodno i usiadł na piętach. Wszyscy czekali ledwie oddychając, bo to, co było tak niedawno nie do pomyślenia, stało się rzeczywistością.

- Na co jeszcze czekasz? - wysyczał znieczeka Toranaga. Generał Kiyoshio wpatrzył się w niego.

- Na nic, wielmożny panie. Bardzo przepraszam.

Kiyoshio uklonił się Toranadze po raz ostatni, wstał i z ogromną godnością wyszedł. Część zebranych poprawiła się nerwowo na swoich miejscach, przez salę przeszedł szmer, ale szorstkie zachowanie Toranagi znów narzuciło posłuch.

- Czy jeszcze ktoś przyznaje się do zdrady? - spytał. - Czy jeszcze ktoś ośmiela się naruszać kodeks bushido? Czy jeszcze ktoś ośmiela się zarzucić lennemu panu zdradę?

- Wybacz, wielmożny panie - odezwał się spokojnie Isumi, jego starszy doradca. - Z

przykrością muszę powiedzieć, że jeżeli pojedziesz do Osaki, zdradzisz dziedzictwo swoich przodków.

- W dniu, w którym pojedę do Osaki, ty opuścisz tę ziemię. Siwowłosa mężczyzna uklonił się grzecznie.

- Tak, wielmożny panie.

Toranaga przyjrzał się zebrany. Bezlitosnym wzrokiem. Niektórzy poruszyli się niespokojnie, wszyscy zaś wbili w niego wzrok. Jeden z samurajów, były wojownik, który wiele lat temu stracił ochotę do walki, ogolił głowę i stał się buddyjskim mnichem, a w tej chwili należał do cywilnej administracji Toranagi, wprawdzie nic nie powiedział, ale skurczył się z wielkiej trwogi, rozpaczliwie starając się ją ukryć.

- Czego się boisz, Numata-san?

- Niczego, wielmożny panie - odparł mnich ze spuszczonego wzrokiem.

- To dobrze. Idź i popelnij seppuku, ponieważ jesteś kłamcą, a twój strach zaraźliwie cuchnie.

Mnich zajęczał i wyszedł, potykając się. Strach padł na wszystkich. Toranaga obserwował ich.

I czekał.

Atmosfera stała się nieznośna, ciche trzaski płonących pochodni brzmiały niesamowicie głośno. I wówczas Sudara, wiedząc, że na niego spada ten obowiązek i odpowiedzialność, odwrócił

się w stronę ojca i uklonił. . ? .

- Wielmożny panie, z całym szacunkiem, czy pozwolisz mi wygłosić oświadczenie?

- Jakie oświadczenie?

- Uważam, wielmożny panie, że nie ma. . że w tej sali nie ma więcej zdrajców i że nie będzie już zdra. .

- Mam inne zdanie.

- Przepraszam, wielmożny panie, wiesz, że będę ci posłuszny. Wszyscy będziemy ci posłuszni.

Zabiegamy jedynie o to, co najlepsze dla twojego..

- Najlepsze jest to, co sam postanowię. Moja decyzja jest najlepsza! Bezradny Sudara przyznał mu rację i zamilkł. Toranaga nie zdjął z niego wzroku. Patrzył bezlitośnie.

- Przestałeś być moim dziedzicem - oświadczył.

Sudara zbladł. I wówczas Toranaga przeciął napięcie panujące w sali mówiąc:

- To ja jestem waszym suzerenem!

Odczekał chwilę, a potem w ciszy jak makiem zasiał wstał i wyniosłym krokiem opuścił salę.

Drzwi zamknęły się za nim. Przez salę przebiegło ogromne westchnienie. Dłonie bezradnie szukały rękojeści mieczy. Ale nikt nie wstał z miejsca.

- Dziś. . dziś rano.. dostałem wiadomość od naszego naczelnego wodza - odezwał się wreszcie Sudara. - Za parę dni przybędzie tutaj pan Hiro-matsu. Ja. . porozmawiam z nim. Milczcie, zachowajcie cierpliwość, bądźcie wierni naszemu lennemu panu. Chodźmy - i złożmy honory generałowi Seracie Kiyoshio..

Straszliwie samotny Toranaga szedł po schodach wśród ech własnych kroków w pustce wieży.

Blisko jej szczytu zatrzymał się i ciężko dysząc oparł się na chwilę o ścianę. Znow chwycił go ból w klatce piersiowej. Zaczął ją masować.

- To tylko brak ćwiczeń - mruknął. - Wyłącznie to, brak ćwiczeń.

Ruszył dalej. Wiedział, że znalazł się w wielkim niebezpieczeństwie. Zdrada i strach były zaraźliwe i należało je wyplenić bez litości z chwilą pojawienia. Ale i tak nigdy nie było pewności, czy to się udało. Walka, w którą się wdał, nie była dziecięcą zabawą. Słabi musieli paść pastwą silnych, a silni stać się pionkami w rękę bardzo silnych. Gdyby Sudara publicznie upomniał się o władzę, nic nie mógłby na to poradzić. Aż do nadejścia odpowiedzi Zatakiego musiał czekać.

Kiedy zamknął i zarygłował drzwi, podszedł do okna. W dole dojrzał swoich generałów i doradców, którzy w milczeniu wracali do kwater poza murami obronnymi wieży. Miasto za murami zamku tonęło niemal w całkowitych ciemnościach. W górze świecił blady, zamglony księżyc. Noc była posępna i mroczna. Miał wrażenie, że po niebie kroczy ku niemu zguba.

Blackthorne ze słownikiem w ręku siedział samotnie w porannym słońcu w kącie ogrodu przed domem gościnnym i marzył na jawie. Był piękny bezchmurny dzień, pierwszy taki od wielu tygodni, piąty od jego ostatniego spotkania z Toranagą. Przez cały ten czas był skazany na pobyt w zamku -

nie widział Mariko, nie mógł iść na statek ani do swojej załogi, zwiedzić miasta, zapolować bądź pojeździć konno. Raz dziennie szedł z jakimś samurajem popływać w zamkowej fosie, a dla zabicia czasu niektórych uczył pływać, a innych nurkować. Nie było mu jednak dzięki temu łatwiej czekać.

- Przepraszam, Anjin-san, ale to samo dotyczy wszystkich - powiedziała mu wczoraj Mariko, kiedy przypadkiem napotkał ją w swojej części twierdzy. - Czekają nawet pan Hiro-matsu. Przyjechał

dwa dni temu, a dotąd nie widział pana Toranagi. Nikt go nie widział.

- Ale to ważna sprawa, Mariko-san. Myślałem, że rozumiał, iż liczy się każdy dzień. Czy mogę jakoś przekazać mu wiadomość?

- O, tak, Anjin-san. To proste. Po prostu napisz - odparła. - Jeżeli mi powiesz, co chcesz mu przekazać, to napiszę ci list. Każdy musi pisemnie poprosić o posłuchanie, tak rozkazał. Bądź

cierpliwy, tylko to nam wszystkim pozostaje.

- Wobec tego poproś go o posłuchanie. Rad bym .

- To żaden kłopot, zrobię to z przyjemnością.

- Gdzie byłeś? Nie widziałem cię cztery dni.

- Wybacz, ale miałam tak wiele rzeczy do załatwienia. Jest. . . jest mi poniekąd trudno, tyle przygotowań. .

- Co się tu dzieje? Od blisko tygodnia cały zamek przypomina rój, który lada moment wyleci z ula.

- Och, przepraszam. Wszystko jest w porządku, Anjin-san.

- Tak? Przepraszam, a ten generał i starszy urzędnik, którzy popełniają seppuku na dziedzińcu przed wieżą? To normalne? Pan Toranaga, który zamyka się w wieży z kości słoniowej, każąc swoim ludziom czekać bez żadnego widocznego powodu, to też normalne? A co z panem Hiromatsu?

- Pan Toranaga jest naszym władcą. Cokolwiek robi, jest słuszne.

- A ty, Mariko-san? Dlaczego cię nie widywałem?

- Bardzo cię przepraszam, wybacz, ale pan Toranaga polecił, żeby dać ci spokój, byś mógł

postudiować język. Właśnie odwiedzam twoją konkubinę, Anjin-san. Nie przybyłam w odwiedziny do ciebie.

- A dlaczego on miałby coś przeciwko temu?

- Przypuszczam, że zależy mu, byś musiał posługiwać się naszym językiem. Przecież to tylko kilka dni, ne?

- Kiedy wyjeżdżasz do Osaki?, - Nie wiem. Sądziłam, że wyjadę trzy dni temu, ale pan Toranaga nie podpisał mi przepustki.

- Myślałem, że to ja zawiozę cię do Osaki statkiem. Nie mówił ci, że zawiozę cię tam statkiem?

- Tak. Tak mówił, ale. . z naszym panem nigdy nic nie wiadomo, Anjin-san. Zmienia plany.

- Czy zawsze tak było?

- Tak i nie. Od Yokose popadł. . jak to się mówi. . w melancholię, ne? Tak, w melancholię. I bardzo się zmienił. On. . tak”, zmienił się.

- Od przejścia Pierwszego Mostu ty również popadłaś w melancholię i bardzo się zmieniłaś.

Tak, jesteś inna.

- Pierwszy Most był końcem i początkiem, Anjin-san, a także naszą tajemnicą. Ne?

- Tak. Bardzo przepraszam.

Ukloniła się zasmucona i odeszła, a gdy znalazła się w bezpiecznej odległości od niego, nie odwracając się szepnęła „Mój ty. .” Słowa te pozostały w korytarzu tak długo, jak zapach jej perfum.

Dźwięki gongów obwieściły zmianę godziny. Po raz pierwszy pomyślał, że to środek godziny Konia, a nie osiem szklanek wachty - samo południe.

Wsunął słownik do rękawa ciesząc się, że nadszedł czas na pierwszy tego dnia prawdziwy posiłek.

Dzisiaj był to ryż, gotowane krewetki, zupa rybna i pikle.

- Chcesz więcej, Anjin-san?- spytała Fujiko.

- Dziękuję. Tak. Proszę o ryż i trochę ryby. Dobre. . bardzo.. - Sprawdził słowo „smaczny” i powtórzył je kilka razy dla zapamiętania. - Tak, smaczne, ne?

Fujiko ucieszyła się.

- Dziękuję. To ryby z północy. Woda na północy zimniejsza, rozumiesz? Ta ryba nazywa się kurima-

ebi.

Powtórzył tę nazwę i zapamiętał. Kiedy skończył jeść i służba zabrała tace, Fujiko naląła cha i wyjęła z rękawa paczuszkę.

- Oto pieniądze, Anjin-san - powiedziała i pokazała mu złote monety. - Pięćdziesiąt kobanów.

Warte sto pięćdziesiąt koku. Chcesz je, ne? Na żeglarzy. Przepraszam, czy rozumiesz?

- Tak, dziękuję ci.

- Proszę bardzo. To dość?

- Tak. Tak myślę. Skąd masz?, - Główny zarządca wielmożnego pana Toranagi. . - Fujiko szukała sposobu, żeby wyjaśnić to prościej. - Poszłam do ważnego człowieka pana Toranagi.

Naczelnika. Jak Mura, ne? Nie samuraja. . tylko człowieka od pieniędzy. Napisałam swoje nazwisko za ciebie.

- A, rozumiem. Dziękuję. Moje pieniądze? Moje koku?

- O, tak.

- Ten dom. Jedzenie. Służba. Kto płaci?

- Och, ja płacę. Z twojego.. koku za rok.

- Czy to dosyć, proszę? Dostyc koku?

- O, tak. Tak, tak myślę - odparła.

- Czemu zmartwienie? Zmartwienie na twarzy?

- Och, przepraszam, Anjin-san. Nie jestem zmartwiona. Nie zmartwiona. .

- Boli? Boli oparzenie?

- Nie boli. Zobacz. - Fujiko ostrożnie wstała z grubych poduszek, z których, ponieważ na to nalegał, korzystała. Nie zdradzając najmniejszych oznak bólu, uklękła na tatami, po czym usiadła na piętach i usadowiła się. - Proszę, wszystko lepiej.

- li i, bardzo dobrze - powiedział, zadowolony. - Pokaż, co?

Wstała ostrożnie, zadarła kimona i halki i pokazała mu nogi. Tkanka blizny nie była popękana i nie ropiała.

- Bardzo dobrze - powtórzył. - Tak, niedługo jak skóra dziecka, ne?

- Dziękuję ci, tak. Miękką. Dziękuję ci, Anjin-san.

Zauważył leciutką zmianę w jej głosie, ale nie skomentował tego. Tej nocy nie odprawił jej.

Poduszkowanie zadowoliło go. Nic ponadto. Nie pozostawiło uczucia rozkoszy, radosnego znużenia. Po prostu był to najnormalniejszy stosunek. To bardzo niedobrze, pomyślał, chociaż jednak mimo wszystko nie, ne?

Zanim wyszła, uklękła, złożyła mu ponownie ukłon i położyła dłonie na czole.

- Dziękuję ci z całego serca - powiedziała. - Teraz, proszę, zaśnij, Anjin-san.

- Dziękuję, Fujiko-san. Zasnę później.

- Zaśnij teraz, proszę. To mój obowiązek i sprawiłbyś mi wielką przyjemność.

Jej dłoń była w dotyku ciepła, sucha i niemiła. Niemniej udał, że układa się do snu. Pieściła go nieumiejętnie, choć bardzo cierpliwie. Wreszcie po cichu wróciła do swojego pokoju. Zadowolony z tego, że został sam, Blackthorne podparł głowę rękami i wpatrzył się w ciemność.

Toranaga rozwinął mały zwitek papieru, który nadszedł dwie godziny po świcie. Wiadomość od matki brzmiała: „Twój brat zgadza się, synu. Jego potwierdzający to list zostanie wysłany dziś przez posłańca. Uroczysta wizyta pana Sudary wraz z rodziną musi się zacząć przed upływem dziesięciu dni”.

Toranaga usiadł bezsilnie. Gołębie zatrzepotały na grzędach i uspokoiły się. Na strych wpadało przyjemne światło porannego słońca, chociaż na niebie już gromadziły się deszczowe chmury. Zebrawszy siły, zszedł do swoich pokoi, żeby przystąpić do dzieła.

- Naga-san! - zawołał.

- Tak, ojczu?

- Przyślij tu pana Hiro-matsu. A potem mojego sekretarza.

- Tak, ojczu.

Stary generał zjawił się szybko. Stawy skrzypiały mu od wspinaczki na górę. W rękach swobodnie trzymał miecz. Z twarzą jeszcze surowszą, jeszcze bardziej wiekową i miną stanowczą jak nigdy dotąd nisko się uklonił.

- Witaj, stary druhu - rzekł Toranaga.

- Dziękuję, panie. - Hiro-matsu podniósł głowę. - Zasmuca mnie widok twojej zatroskanej twarzy.

- A mnie zasmuca, że aż tyle słyszę i widzę dookoła zdrady.

- Tak. Zdrada to niegodziwość.

Toranaga spostrzegł badawczy wzrok starego generała.

- Możesz mówić śmiało, co tylko chcesz - powiedział.

- A czy znasz przypadek, żebym kiedyś rozmawiał z tobą inaczej, wielmożny panie? - spytał starzec.

- Wybacz mi, że kazałem ci czekać.

- Wybacz mi, że cię niepokoję. Czego sobie życzysz, wielmożny panie? Powiedz mi, proszę, co postanowiłeś w sprawie przyszłości swojego rodu. Czy ostatecznie wybrałeś wyjazd do Osaki. .

ugięcie się przed tą kupą gnoju?

- A czy ty znasz przypadek, żebym ostatecznie przesądzał o jakiejś sprawie?

Hiro-matsu zmarszczył czoło, a po chwili wyprostował plecy, żeby zmniejszyć ból, który odczuwał w ramionach.

- Zawsze znałem cię z twojej cierpliwości, zdecydowania i z tego, że nigdy nie przegrywasz.

Dlatego właśnie cię nie pojmuje. Poddanie się komukolwiek jest do ciebie zupełnie niepodobne.

- Czy cesarstwo jest ważniejsze od mojej przyszłości?

- Nie.

- Z mocy testamentu taikō Ishido i inni regenci są nadal legalnymi władcami.

- Jestem wasalem Yoshiego Toranagi-no-Minowara i nie uznaję innego pana.

- To dobrze. Pojutrze wyznaczyłem dzień swojego wyjazdu do Osaki.

- Tak, słyszałem o tym.

- Będziesz dowodził eskortą, a Buntaro będzie twoim zastępcą.

Stary generał westchnął.

- O tym również wiem, wielmożny panie. Ale odkąd wróciłem, rozmawiałem z twoimi głównymi doradcami i genera. .

- Tak, wiem. I co o tym myślisz?

- Że nie powinieneś opuszczać Edo. Że twoje rozkazy powinny być chwilowo uchylone.

- Przez kogo?

- Przeze mnie. Na moje polecenie.

- Czy to oni sobie tego życzą? Czy też postanowiłeś o tym sam? Hiro-matsu położył swój miecz na podłodze bliżej Toranagi i bezbronny spojrzał mu prosto w oczy.

- Racz mi wybaczyć, wielmożny panie, ale chciałbym zapytać cię, jak powinienem postąpić.

Moje poczucie obowiązku podpowiada mi, że powinienem przejąć dowództwo i nie dopuścić do twojego wyjazdu. Zmusi to tym samym Ishido do natychmiastowego ruszenia przeciwko nam. Tak, oczywiście, że przegramy, ale to jest chyba jedyna honorowa droga.

- Niemniej głupia, ne?

Stalowski brwi generała zwały się.

- Nie - odparł. - Polegniemy w bitwie, z honorem. Odzyskamy wa. Kantō to zdobycz wojenna, ale przecież w tym życiu nie ujrzymy już nowego pana Ośmiu Prowincji. Shigata ga nai.

- Nigdy nie cieszyły mnie niepotrzebne straty w ludziach. Jeszcze nie przegrałem żadnej bitwy i nie widzę powodu, żeby dać temu początek.

- Przegranie jednej bitwy to nie hańba, wielmożny panie. Hańbą natomiast jest poddanie się.

- Wszyscy zgodziliście się na tę zdradę?

- Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale pytałem różne osoby jedynie o opinię wojskową.

Nie ma żadnej zdrady ani intrygi.

- Ale mimo to słuchałeś zdrajców.

- Z całym szacunkiem, wielmożny panie, ale gdybym, jako twój naczelny wódz, zgodził się z nimi, to nie byłaby to już dłużej zdrada, tylko polityka zgodna z racją stanu.

- Odbieranie prawa decyzji swojemu lennemu panu jest zdradą.

- Wielmożny panie, znamy aż nadto liczne przykłady odsunięcia od władzy pana. Robiłeś to ty, robił Goroda, taikō, wszyscy robiliśmy to i jeszcze gorsze rzeczy. Zwycięzcy nie popełniają zrad.

- Postanowiłeś mnie odsunąć?

- Proszę cię o pomoc w podjęciu tej decyzji.

- Uważałem cię za jedyną osobę, której mogę ufać!

- Na wszystkich bogów, ja tylko pragnę ci służyć jak najwierniej. Jestem wyłącznie żołnierzem i chcę

wypełnić swój obowiązek wobec ciebie. Myślę jedynie o twoim interesie, wielmożny panie. Zaslługuję na twoje zaufanie. Jeżeli to pomoże, weź mą głowę. Jeśli to przekona cię do walki, chętnie oddam za ciebie życie, przeleję krew mojego rodu, dziś, przy wszystkich lub na osobności, jak chcesz. Czyż nie to właśnie zrobił nasz przyjaciel, generał Kiyoshio? Bardzo przepraszam, ale nie rozumiem, dlaczego miałbyś zmarnować wszystko, o co zabiegałeś całe życie.

- A więc odmawiasz objęcia dowództwa kolumny, która pojutrze wyruszy do Osaki?

Słońce przesłoniła chmura i obaj spojrzeli przez okno.

- Niedługo znów zacznie padać - powiedział Toranaga.

- Tak. W tym roku spadło za dużo deszczu, ne? Jeżeli deszcze wkrótce nie ustaną, to przepadną zbiory.

Spojrzeli na siebie.

- No więc? - spytał Toranaga.

- Oficjalnie pytam cię, wielmożny panie - odparł na to bez ogródek Hiro-matsu - czy każesz mi stanąć na czele, eskorty, która pojutrze ma wyruszyć z Edo, towarzysząc ci w podróży do Osaki?

- Ponieważ wszyscy moi doradcy najwyraźniej zalecają mi zrobić coś przeciwnego, przyjmuję ich zdanie i twoje i odkładam wyjazd.

Hiro-matsu był całkowicie nie przygotowany na taki obrót sprawy.

- Jak to? Nie wyjedziesz?

Toranaga roześmiał się, zdejmując wreszcie maskę, i stał się na powrót dawnym Toranaga.

- Nigdy nie zamierzałem jechać do Osaki - powiedział. - Jak mógłbym być aż tak głupi?

- Co takiego?

- Moja zgoda w Yokose była najzwyczajszym fortem, gdyż chciałem zyskać na czasie -

wyjaśnił grzecznie. - Ishido pochwyci} przynętę. Ten głupiec spodziewa się mnie za parę tygodni w Osace! Zataki również się na nią złapał. Złapałeś się na nią również ty i wszyscy moi dzielni, nieufni wasale. Nie dając nic, zyskałem miesiąc, mącąc w głowach Ishido i jego niegodziwym sprzymierzeńcom. Słyszałem, że już wszyscy ostrzą sobie zęby na Kantō, które zostało tymczasem przy-rzeczzone zarówno Kiyamie, jak Zatakiemu.

- Nigdy nie miałeś zamiaru jechać? - Hiro-matsu pokręcił głową, i a kiedy wreszcie dotarła do niego oczywistość całego pomysłu, na jego twarzy pojawił się radosny uśmiech. - A więc to był

podstęp?

- Oczywiście. Posłuchaj, przecież musiałem nabrać wszystkich, ne? Zatakiego, całą resztę, nawet ciebie! Bo w przeciwnym razie szpiedzy donieśli by Ishido, ten natychmiast wyruszyłby na nas, a wówczas żaden sprzyjający los na ziemi ani żadni bogowie w niebie nie zapobiegliby mojej klęsce.

- To prawda. . och, panie, wybacz mi. Jestem taki głupi! Zasługuję na pozbawienie mnie głowy!

A więc to wszystko były bajdy, same bajdy. Ale. . ale co z generałem Kiyoshio?

- Przyznał się do zdrady. A mnie nie potrzeba zdradzieckich generałów, tylko posłusznych wasali.

- Ale po co było uderzać w pana Sudarę? Po co cofać mu względy?

- Bo tak mi się podoba - odparł szorstko Toranaga.

- Tak. Proszę o wybaczenie. Masz do tego wyłączne prawo. Błagam cię, żebyś mi wybaczył moje wątpliwości.

- A dlaczego miałbym wybaczać ci to, że jesteś sobą, stary druhu? Potrzebowałem ciebie, żebyś zrobił to, coś zrobił, i powiedział to, co powiedziałaś. W tej chwili zaś jesteś mi potrzebny jak nigdy dotąd. Muszę mieć kogoś, komu mogę ufać. Właśnie dlatego robię cię moim powiernikiem. Musi to pozostać naszą wspólną tajemnicą.

- Och, wielmożny panie. Tak mnie uszczęśliwiasz. .

- Tak. Boję się tylko jednego - wyznał Toranaga.

- To znaczy, wielmożny panie?

- Jesteś dowódcą moich wojsk. Tylko ty jeden możesz wykorzenić ten niemądry, kielkujący bunt, podczas gdy ja będę czekał. Ufam ci i muszę ufać. Mój syn nie potrafi utrzymać generałów w ryzach, choć gdyby poznał moją tajemnicę, na pewno nie zdradziłby się ze swoją radością.

Natomiast twoja twarz to brama twojej duszy, stary druhu.

- W takim razie pozwól, że kiedy już załatwię się z generałami, odbiorę sobie życie.

- To nie pomoże. Musisz utrzymać ich razem aż do mojego rzekomego wyjazdu, ne? Po prostu będziesz musiał uważać na swoją minę i pilnować się podczas snu jak nigdy dotąd. Ty jeden jedyny na świecie wiesz o wszystkim, tylko tobie jednemu muszę ufać, ne?

- Wybacz mi moją głupotę, wielmożny panie, nie zawiodę cię. Wyjaśnij mi, jak mam się zachować.

- Powiedz moim generałom prawdę, że przekonałeś mnie do przyjęcia twojej rady, która jest również ich radą, ne? Oficjalnie odłożę wyjazd o siedem dni. Potem odłożę go znowu. Tym razem z powodu choroby. Będziesz o tym wiedział tylko ty.

- A potem? Potem będzie Szkarłatne Niebo?

- Nie, Szkarłatne Niebo było zawsze planem ostatecznym.

- Tak. A co z pułkiem muszkietów? Czy przebijemy się dzięki niemu przez góry?

- Częściowo. Ale nie aż do samego Kioto.

- Każ zamordować Zatakiego.

- Nie wykluczam takiego posunięcia. Ale Ishido i jego sprzymierzeńcy nadal są nie do pokonania, - Toranaga opowiedział mu o racjach, jakie przedstawili mu Omi, Yabu, Igurashi i Buntaro w dzień trzęsienia ziemi. - Nakazanie wówczas Szkarłatnego Nieba było jeszcze jednym fortem służącym zmyleniu Ishido.. a ponadto temu, żeby właściwe fragmenty naszej dyskusji dotarły do niepożądanych uszu. Pozostaje jednakże faktem, że siły Ishido są dla nas w dalszym ciągu nie do pokonania.

- Jak możemy je osłabić? A co z Kiyamą i Onoshim?

- Nic, ci dwaj są zdecydowanie przeciwko mnie. Będę miał przeciw sobie wszystkich chrześcijan. . oprócz mojego chrześcijanina, z niego zaś i jego statku już wkrótce zrobię dobry użytek. Najbardziej potrzebuję czasu. W całym cesarstwie mam sprzymierzeńców i utajonych przyjaciół, więc gdybym tylko miał czas. . z każdym dodatkowo, zyskanym dniem osłabiam Ishido.

Oto mój bitewny plan. Ważny jest każdy dzień zwłoki. Posłuchaj, kiedy przestanie padać, Ishido wyruszy na Kantō i weźmie mnie w kleszcze - Ikawa Jikkyu uderzy od południa, a Zataki od północy.

Jikkyu zastopujemy pod Mishimą i wycofamy się do przełęczy Hakone i do Odawary, na nasze ostateczne pozycje. Natomiast Zatakiego zatrzymamy bardzo szybko w górach na północy, na gościńcu Hoshō-kaidō, w okolicach Mikawy. Igurashi i Omi mieli rację: na pewno powstrzymamy pierwszy atak, co powinno zapobiec kolejnemu wielkiemu najazdowi. Powalczymy i zaczekamy za naszymi górami. Powalczymy, pozwlekamy, zaczekamy, a kiedy owoc dojrzeje do zerwania. . ruszy Szkarłatne Niebo.

- Ii i i, oby ten dzień nadszedł wkrótce!

- Posłuchaj, stary, druhu, tylko ty zdołasz utrzymać w ryzach moich generałów. Z czasem, gdy już zapewnimy Kantō bezpieczeństwo, całkowite bezpieczeństwo, przetrzymamy pierwszy atak, a potem sojusze Ishido zaczną się rozpadać. Kiedy zaś to nastąpi, przyszłość Yaemona będzie pewna, a testament taikō nie naruszony.

- Nie przejmiesz wyłącznej władzy, wielmożny panie?

- Powtarzam po raz ostatni: „Prawo może być wbrew rozumowi, ale rozum nigdy nie może być wbrew prawu, w przeciwnym razie bowiem całe społeczeństwo rozleci się na kawałki jak stara mata.

Prawo może być użyte do pomieszania szyków rozumowi, ale rozum z pewnością nie może być użyty

do obalenia prawa”. A wola taikō jest prawem.

Hiro-matsu uklonił się, przyznając mu rację.

- Dobrze, wielmożny panie. Więcej o tym nie wspomnę. Bardzo przepraszam. A teraz. . -

zaczął, nie starając się ukryć uśmiechu. - Co mam teraz zrobić?

- Udaj, że namówiłeś mnie do odłożenia wyjazdu. Po prostu trzymaj ich wszystkich żelazną ręką.

- Jak długo będę zmuszony udawać?

- Nie wiem.

- Nie dowierzam sobie, wielmożny panie. Mogę niechcący popełnić błąd. Myślę jednak, że zdołam nie zdradzić się z radością przez kilka dni. Za twoim pozwoleniem, moje „boleści” powinny się tak wzmóc, żebym zmuszony był leżeć. . i nie przyjmować żadnych gości, ne?

- Dobrze. Zrób tak za cztery dni. Niech trochę tych boleści zacznie być widocznych już dzisiaj. To nie powinno być trudne, ne?

- Nie, wielmożny panie. Bardzo przepraszam. Cieszę się, że bitwę stoczmy w tym roku. W przyszłym. . być może już nie będę mógł pomóc.

- Bzdura. Ale i tak bez względu na to, czy powiem tak, czy nie, to bitwa rozegra się w tym roku. Za szesnaście dni wyjadę z Edo do Osaki. Do tego czasu otrzymasz moją „niechętną zgodę” na marsz i poprowadzisz wojsko. Tylko ty i ja wiemy, że nastąpią kolejne zwłoki i znacznie prędzej niż dotrę do granic moich ziem, zawrócę do Edo.

- Proszę o wybaczenie, że w ciebie zwątpiłem. Gdybym nie był zmuszony pozostać przy życiu, żeby dopomóc ci w przeprowadzeniu planów, nie mógłbym dłużej żyć ze swoim wstydem.

- Nie masz się czego wstydzić. Gdybyś nie był o tym przekonany ty, to Ishido i Zataki przejrzeliby podstęp. Aha, przy okazji, jak zachował się Buntaro, kiedyś się z nim spotkał?

- Cały się gotował, wielmożny panie. Dobrze by mu zrobił udział w jakiejś bitwie.

- Proponował, żeby usunąć mnie jako waszego lennego pana?

- Gdyby mi coś takiego powiedział, odciąłbym mu głowę! Natychmiast!, - Poślę po ciebie za trzy dni. Codziennie prosz o posłuchanie u mnie, a ja codziennie aż do tego czasu będę ci go odmawiał.

- Tak, wielmożny panie. - Stary generał uklonił się nisko. - Racz wybaczyć staremu głupcowi.

Przywróciłeś mi sens życia. Dziękuję.

Skłonił się i wyszedł.

Toranaga wyjął z rękawa karteluszek i niezwykle zadowolony odczytał jeszcze raz list matki.

Wobec prawdopodobnego udostępnienia mu swobodnego przejścia północnym szlakiem i zdrady, która prawdopodobnie czekała tam Ishido, jego własne szanse ogromnie wzrastały. Przytknął

wiadomość do płomienia. Papier skurczył się i zamienił w popiół. Toranaga z zadowoleniem rozgniół

go na proch. Tak, pomyślał, a więc kogo by tu zrobić nowym głównodowodzącym moich wojsk?

W południe Mariko przeszła pomiędzy milczącymi, ponurymi szeregami strażników na dziedzińcu i weszła do wieży. W jednym z przedpokojów na parterze czekał na nią sekretarz Toranagi.

- Bardzo przepraszam, że po ciebie posłałem, pani Toda - powiedział apatycznym tonem.

- To dla mnie przyjemność, Kawanabi-san.

Kawanabi, starszawy samuraj o ostrych rysach twarzy i z ogoloną głową, był kiedyś buddyjskim mnichem. Od lat jednak prowadził całą korespondencję Toranagi. Zazwyczaj pogodny i pełen zapału, dziś, tak jak większość ludzi w zamku, był zasmucony. Wręczył Mariko mały zwoik.

- Oto twoje dokumenty podrózne do Osaki, zaopatrzone w konieczne podpisy - rzekł. -

Wyjedziesz jutro i dotrzesz tam jak najszybciej.

- Dziękuję - odparła głosem, który jej samej wydał się cienki.

- Pan Toranaga powiedział, że może mieć dla ciebie jakieś prywatne wiadomości dla pań Kiritsubo i Koto. A także dla pana generała Ishido i dla pani Ochiby. Otrzymasz je jutro o świcie, jeżeli. .
Bardzo przepraszam, jeżeli będą gotowe, dopilnuję, żeby ci je dostarczono.

- Dziękuję.

Spośród kilku zwojów, które ułożone w pedantyczny stos leżały na niskim biurku, Kawanabi wybrał urzędowy dokument.

- Polecono mi przekazać ci to. Jest to nadanie dotyczące powiększenia lenna twojego syna, które obiecał ci pan Toranaga. Dziesięć tysięcy koku rocznie. Jest datowane ostatniego dnia zeszłego miesiąca i. . no cóż, oto ono.

Przyjęła dokument, przeczytała go i sprawdziła urzędowe pieczęcie. Wszystko było jak należy. Ale nie uszczęśliwiło jej to. Oboje wiedzieli, że w tej chwili jest to nadanie bez pokrycia.

Gdyby oszczędzono życie jej synowi, to i tak zostałby roninem. .

- Dziękuję. Zechciej podziękować panu Toranadze za uczyniony nam zaszczyt. Czy wolno mi będzie zobaczyć go przed odjazdem?

- O, tak. Prosi cię, żebyś po wyjściu stąd udała się na barbarzyński statek. Masz tam na niego zaczekać.

- Czy. . czy będę tłumaczyła?

- Tego nie powiedział. Tak przypuszczam, pani Toda. - Sekretarz spojrział ukradkiem na wykaz, który trzymał w ręku. - Jeżeli pozwolisz, to twoją eskortą w drodze do Osaki będzie dowodził kapitan Yoshinaka.

- Jego ponowna opieka nade mną sprawi mi zaszczyt. Dziękuję. A czy wolno spytać, jak się ma pan Toranaga?

- Czuje się w miarę dobrze, ale jak na tak czynnego człowieka jak on przebywanie w zamknięciu przez wiele dni z rzędu. . Cóż mogę powiedzieć? - Kawanabi bezradnie rozłożył ręce. -

Bardzo mi przykro. Dziś przynajmniej spotkał się z panem Hiro-matsu i zgodził się odłożyć wyjazd.

Zgodził się też zająć paroma innymi sprawami. . już teraz należy ustabilizować ceny ryżu, na wypadek złych zbiorów. . Ale tyle jeszcze pozostaje do załatwienia i. . po prostu nie jest sobą, pani Toda. To straszne czasy, ne? I straszne wróżby. . wróżbici przepowiadają zniszczenie tegorocznych plonów-

- Nie uwierzę im. . aż do żniw.

- Mądrze, bardzo mądrze. Ale niewielu z nas doczeka pory żniw. Mam z nim jechać do Osaki.

- Kawanabi zadrżał i pochylił się nerwowo do przodu. - Słyszałem plotkę, że gdzieś pomiędzy Osaka a Kioto znowu wybuchła zaraza. Ospa. Czy to jeszcze jeden znak niebios, że bogowie odwracają się od nas?

- To niepodobne do ciebie, żebyś wierzył plotkom czy znakom niebios, Kawanabi-san, ani też, żebyś przekazywał plotki. Wiesz, jakie ma o tym zdanie pan Toranaga.

- Wiem. Bardzo przepraszam. Ale, cóż. . w dzisiejszych czasach chyba nikt nie zachowuje się normalnie, ne?

- Może ta pogłoska nie jest sprawdzona. . modłę się, żeby tak było. - Otrząsnęła się ze złych przeczuć. - Czy ustalono nową datę wyjazdu?

- O ile wiem, to pan Hiro-matsu powiedział, że został odłożony o siedem dni. Tak się cieszę z powrotu naszego naczelnego wodza, tak się cieszę, że namówił. . Tak chciałbym, żeby ten wyjazd został odłożony na zawsze. Lepiej walczyć tutaj, niż tam stracić honor, ne?

- Tak - przyznała Mariko, zdając sobie sprawę, że nie ma już dłużej sensu ukrywać, iż wszyscy bez

wyjątku myślą głównie o tym. - Może teraz, po powrocie pana Hiro-matsu, nasz pan przekona się, że poddanie się nie jest najlepszym wyjściem.

- Wielmożna pani, mówię to tylko do twojej wiadomości. Pan Hiro-matsu. .- Sekretarz urwał i przywołał na twarz uśmiech. Do pomieszczenia wszedł pobrzękując mieczem Yabu. - O, pan Kasigi Yabu. Jakże miło cię widzieć. - Kawanabi uklonił się i po wymianie uprzejmości rzekł: - Pan Toranaga oczekuje cię, wielmożny panie. Zechciej wejść od razu na górę.

- Dobrze. A w jakiej sprawie chce mnie widzieć?

- Bardzo mi przykro, wielmożny panie, ale nie powiedział mi. . tylko tyle, że chce się z tobą zobaczyć.

- Jak się czuje? Kawanabi, zawahał się.

- Bez zmian, wielmożny panie.

- Jego wyjazd. . czy została ustalona jego data?

- O ile mi wiadomo, ma to nastąpić za siedem dni.

- A może pan Hiro-matsu odwlecze go jeszcze bardziej, ne?

- To zależy tylko od naszego pana, wielmożny panie.

- Oczywiście - odparł Yabu i wyszedł.

- Mówiłeś o panu Hiro-matsu - przypomniała Mariko.

- Tylko do twojej wiadomości, pani. . jako że nie ma tu pana Buntaro - szepnął sekretarz. -

Kiedy stary Żelazna Pięść wyszedł ze spotkania z naszym panem, to przez całą godzinę musiał odpoczywać. Miał wielkie bóleści, wielmożna pani.

- Ach «tak! To straszne, gdyby mu się coś przytrafiło!

- Tak. Bez niego wybuchłby bunt, ne? Ta zwłoka nie rozwiązuje niczego, prawda? Oznacza tylko zawieszenie broni. Prawdziwy problem. . obawiam się, że. . że odkąd pan Sudara posłużył

generałowi Kiyoshio jako sekundant przy jego śmierci, to na każdą wzmiankę o synu nasz pan wpada w wielki gniew. . Pozostaje już tylko pan Hiro-matsu, który nakłonił go do odłożenia wyjazdu, i jest tylko jedna rzecz, która. . - Po policzkach sekretarza pociekły łzy. - Co tu się właściwie dzieje, wielmożna pani? On chyba stracił władzę, ne?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo, lecz bez przekonania. - Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze. Dziękuję ci, żeś mi o tym powiedział. Spróbuję odwiedzić pana Hiro-matsu przed wyjazdem.

- Idź z Bogiem, pani.

To ją zaskoczyło.

- Nie wiedziałam, że jesteś chrześcijaninem, Kawanabi-san - powiedziała.

- Nie jestem chrześcijaninem, pani. Ale wiem, że macie taki zwyczaj.

Wyszła na słońce, wielce zatroskana zdrowiem Hiro-matsu, a jednocześnie wdzięczna Panu Bogu, że jej czekanie się skończyło i że jutro wyjedzie stąd. Podeszła do palankinu, przy którym czekała eskorta.

- Och, pani Toda - powiedziała Gyoko, wyłaniając się z cienia i zachodząc jej drogę.

- A, dzień dobry, Gyoko-san jakże miło cię widzieć. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz? -

spytała miłym tonem Mariko, którą nagle przeszył zimny dreszcz.

- Niestety, bynajmniej niedobrze, przykro mi. To takie smutne. Zdaje się, że my, Kiku-san i ja, nie jesteśmy już dłużej w łaskach u naszego pana. Od przyjazdu tutaj siedzimy zamknięte w tym podłym, trzeciorzędym zajezdzie, w którym nie umieściłabym nawet męskiej kurtyzany ósmej rangi.

- Och, tak mi przykro. To na pewno jest jakieś nieporozumienie.

- A, tak, nieporozumienie. Mam niepłonną nadzieję, wielmożna pani. Dziś nareszcie pozwolono mi przybyć do zamku, wreszcie doczekałam się odpowiedzi na moje prośby do najjaśniejszego pana, wreszcie wolno mi znowu się mu pokłonić, dziś, później. - Gyoko uśmiechnęła się nieszczerze do Mariko. - Usłyszałam, że masz spotkać się z sekretarzem naszego pana, pomyślałam więc, że zaczekam i się z tobą przywitam. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe.

- Miło mi znów cię widzieć, Gyoko-san. Odwiedziłabym ciebie i Kiku-san lub zaprosiła obie do siebie z wizytą, ale nie było to, niestety, możliwe.

- Tak. . to smutne. To smutne czasy. Trudne dla szlachetnie urodzonych. Trudne dla chłopów.

Biedna Kiku-san aż rozchorowała się ze zmartwienia, że straciła łaski naszego pana.

- Na pewno nie, Gyoko-san. On. . pan Toranaga ma na głowie wiele pilnych problemów, ne?

- To prawda. . prawda. Może napiłybyśmy się cha, pani Toda. Krótka rozmowa z tobą sprawiłaby mi zaszczyt.

- Och, bardzo żałuję, ale mam polecenie załatwić urzędową sprawę. - W przeciwnym razie byłabym zaszczycona twoją propozycją.

- Ach tak, musisz iść teraz na statek Anjin-sana. Wybacz, całkiem zapomniałam. A jak się ma Anjin-san?

- Mam nadzieję, że dobrze - odparła Mariko, wściekła, że Gyoko zna jej prywatne sprawy. -

Widziałam go tylko raz, i to przez kilka chwil.

- Ciekawy człowiek. Tak, bardzo ciekawy. To przykre nie móc widywać przyjaciół, ne?

Obie uśmiechały się, rozmawiały grzecznie i beztrosko, w pełni świadome obecności obserwujących je i przysłuchujących się im samurajów.

- Słyszałam, że Anjin-san odwiedził swoich znajomych, swoją załogę. Jak ich znalazł?

- Nawet mi o nich nie wspomniał, Gyoko-san. Jak już powiedziałam, widziałam go tylko przez chwilę. Bardzo przepraszam, ale muszę już iść.

- To smutne nie widywać przyjaciół. Może ja mogłabym ci o nich coś powiedzieć. Na przykład to, że mieszkają w wiosce eta.

- Co takiego?

- Tak. Zdaje się, że jego znajomi sami poprosili o zamieszkanie tam, woląc to od cywilizowanych dzielnic. Niezwykłe, ne? W przeciwieństwie do Anjin-sana, który jest inny. Plotka głosi, że ich zdaniem wioska eta bardziej przypomina im ojczyznę. Niezwykłe, ne? .

Mariko przypomniała sobie, jak dziwnie zachowywał się Anjin-san tego dnia na schodach wieży. To wyjaśnia wszystko, pomyślała. Eta! O Madonno, biedak. Jakże bardzo musiał się ich wstydzić.

- Przepraszam, Gyoko-san, co powiedziałaś? - spytała.

- Tylko to, że to niezwykle, jak bardzo Anjin-san różni się od reszty barbarzyńców.

- Jacy oni są? Widziałaś ich? Tych pozostałych?

- Nie, wielmożna pani. Nie poszłabym tam. Co mi po nich? Lub po eta? Muszę myśleć o swoich klientach i mojej Kiku-san. A także o moim synu.

- Ach tak, o synu.

Twarz Gyoko posmutniała pod parasolką, ale spojrzenie bryzowych jak jej kimono oczu zachowało twardość kamienia.

- Przepraszam, że pytam, ale nic ci nie wiadomo, jak sędzę, dlaczego utraciliśmy łaski pana Toranagi?

- Nie. Jestem pewna, że się mylisz. Sprawa kontraktu została załatwiona, ne? Zgodnie z umową.

- O, tak, dziękuję ci. Mam kredytywę do kupców zbożowych w Mishimie, płatną pa każde żądanie. Na sumę mniejszą od uzgodnionej. Ale pieniądze są u mnie na ostatnim miejscu. Cóż znaczą

pieniądze wobec utraty pańskich łask, ktokolwiek o nie zabiega, ne?

- Jestem pewna, że wrócisz do łask.

- Ach” łaski! Martwię się również o twoje łaski, pani Toda.

- Zawsze możesz liczyć na moją życzliwość. I przyjaźń, Gyoko-san. Może uda nam się porozmawiać kiedy indziej, ale naprawdę muszę już iść, przykro mi. .

- O, tak, jesteś dla mnie taka miła. Tak się cieszę - dodała Gyoko jak najśłodszym tonem w chwili, gdy Mariko zaczęła się od niej odwracać. - Ale czy znajdziesz czas? Wyjeżdżasz jutro, ne?

Do Osaki?

Mariko poczuła nagle w piersi lodowate ukłucie, bo oto pułapka zatrzasnęła się.

- Czy coś się stało, wielmożna pani?

- Nie. . nie, Gyoko-san. Czy. . czy godzina Psa dziś wieczorem. . ci odpowiada?

- Jesteś nader Uprzejma, wielmożna pani. O, tak, a ponieważ prędzej niż ja zobaczysz się z naszym panem, to czy mogłabyś się wstawić za nami u niego? To taka niewielka prośba. Ne?

- Zrobię to z przyjemnością. - Mariko zastanawiała się chwilę. - Ale można o coś prosić, a mimo to tego nie otrzymać.

Gyoko lekko się zjeżyła.

- O! - powiedziała. - A więc już go prosiłaś o.. o łaskawość dla nas?

- Oczywiście. . a co w tym złego? - spytała ostrożnie Mariko. - Czy Kiku-san nie jest jego faworytą? I czy ty nie jesteś jego wierną poddaną? Czy nie obdarzał cię łaskami w przeszłości?

- Moje prośby są zwykle takie niewielkie. Wszystko, co powiedziałam wcześniej, nie straciło na ważności. A może jeszcze zyskało.

- To o wygłodniałym psie?

- To o długich uszach i bezpiecznym języku.

- Ach, tak. I o tajemnicach.

- Tak łatwo byłoby mnie zadowolić. Względy mojego pana. . i mojej pani. . to niewielka prośba, ne?

- Nie. Jeżeli nadarzy, się sposobność. . Nic nie obiecuję.

- Do wieczora, wielmożna pani.

Wymieniły ukłony. Żaden z samurajów nie dowiedział się z ich rozmowy niczego. Mariko pośród dalszych ukłonów wsiadła do palankinu ukrywając, że całą dygocze, i orszak ruszył. Gyoko patrzyła za nią.

- Ty, kobieto - odezwał się do niej przechodzący młody samuraj. - Na co czekasz? Zajmij się swoimi interesami.

- Ha! - prychnęła z pogardą Gyoko ku uciesze innych strażników. - Kobieto, powiadasz, szczeniaku? Gdybym się chciała zająć twoim interesem, to miałabym piekielne trudności z jego znalezieniem, bo po prawdzie co z ciebie za mężczyzna, skoro nawet nie puścił ci się jeszcze zarost!

Strażnicy gruchnęli śmiechem. Gyoko, dumnie targnąwszy głową, odeszła śmiałym krokiem.

- Witam - powiedział Blackthorne.

- Dzień dobry, Anjin-san. Masz uszczęśliwioną minę!

- Dziękuję. To na widok takiej prześlicznej damy, ne?

- Och, dziękuję - odparła Mariko. - I jak tam twój statek?

- Znakomicie. Wejdiesz na pokład? Chciałbym cię po nim oprowadzić.

- A czy wolno? Mam polecenie spotkać się tu z panem Toranagą.

- Tak. Wszyscy na niego czekamy. - Blackthorne odwrócił się i przemówił do dowódcy samurajów na nabrzeżu. - Kapitanie, wprowadzam tu panią Todę. Żeby pokazać statek. Kiedy przybędzie pan Toranaga, zawołasz, ne?«

- Jak sobie życzysz, Anjin-san.

Blackthorne opuścił nabrzeże. Przy barierkach stali samuraje, a środki bezpieczeństwa zaostrozono jak nigdy dotąd i na statku, i na brzegu. Najpierw Blackthorne wszedł na rufówkę.

- To moje, wszystko moje - rzekł z dumą.

- Czy jest tutaj ktoś z twojej załogi?

- Nie; nikogo. Nie dzisiaj, Mariko-san. - Pokazał jej, jak mógł najprędzej, wszystko, a potem sprowadził ją pod pokład. - To jest główna kabina.

Tylne okna na rufie wychodziły na podwodzie. Zamknął drzwi. Znaleźli się zupełnie sami, tylko we dwoje.

- To twoja kabina? - zapytała.

Potrząsnął głową, przyglądając się jej. Przytuliła się do niego. Mocno ją objął.

- Och, jakże za tobą tęskniłem. .

- I ja za tobą. .

- Tyle mam ci do powiedzenia. I tyle pytań do ciebie - rzekł. - A ja nie mam ci do powiedzenia nic. Tylko tyle, że kocham cię z całego serca. - Zadrżała w jego ramionach, próbując pozbyć się obaw, że Gyoko albo ktoś inny o nich doniesie. - Tak się o ciebie boję.

- Nie bój się, Mariko, ukochana. Wszystko będzie dobrze.

- To właśnie sobie powtarzam: Ale dziś niepodobna mi pogodzić się z karmą i z wolą Boga.

- Ostatnim razem byłaś taka obca.

- Jesteśmy w Edo, ukochany. Przeszliśmy przez Pierwszy Most.

- To z powodu Buntaro? Prawda?

- Tak - odparła. - Z powodu jego i decyzji pana Toranagi, by się poddać. To takie haniebne. .

Nie przypuszczałam, że te słowa przejdą mi przez usta. Bardzo przepraszam.

Wtuliła się głębiej w jego bezpieczne ramiona.

- Jeżeli on pojedzie do Osaki, to ciebie też czeka śmierć?

- Tak. Ród Toda jest zbyt potężny i znaczący. W żadnym przypadku nie pozostawią mnie przy życiu.

- W takim razie musisz popłynąć ze mną. Uciekniemy. My. .

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę uciec.

- Chyba że pozwoli ci na to pan Toranaga, ne?

- A czemu miałyby pozwolić?

Blackthorne szybko powtórzył jej, co powiedział Toranadze, ale nie wspomniał, że poprosił także o nią.

- Wiem, że potrafię zmusić księży do przeciągnięcia Kiyamy i Onoshiego na jego stronę, jeśli tylko pozwoli mi zdobyć Czarną Karawelę - zakończył podniecony. - Wiem, że stać mnie na to!

- Tak - odparła, ze względu na los Kościoła rada, że decyzja Toranagi spętała jej ukochanemu ręce. Jeszcze raz zastanowiła się nad logiką jego planu i nie znalazła w nim żadnego błędu. - Powinno ci się to udać, Anjin-san. Gdyby pan Toranaga się nie poddał i zamiast tego ruszył na wojnę, to wobec wrogiej postawy, jaką zajął wobec niego pan Harima, miałyby wszelkie powody, by nakazać ci taki atak.

- A gdyby pan Kiyama lub pan Onoshi, albo obaj, dołączyli do niego, to przeważąłoby to szalę na jego stronę?

- Tak - przyznała. - Gdyby miał po swojej stronie pana Zatakiego i czas. - Już wcześniej wyłożyła Blackthorne'owi, jak ważny jest strategicznie fakt, że Zataki zawiaduje północnym szlakiem. - Ale Zataki jest przeciwko wielmożnemu panu Toranadze.

- Posłuchaj, mogę chwycić jezuitów za gardło. Przykro mi, wprowadzie są to twoi księża, ale są też moimi wrogami. W jego imieniu potrafię ich podporządkować, a i w swoim również. Czy pomożesz mi dopomóc jemu?

Mariko wpatrzyła się w niego.

- W jaki sposób?

- Pomóż mi przekonać go, żeby dał mi szansę, a ponadto, żeby odłożył wyjazd do Osaki.

Od nabrzeża dobiegły ich dźwięki zbliżających się koni i głosy. Przerwali rozmowę i podeszli do okien. Samuraje odsuwali na bok barierkę. Na plac wjechał ojciec Alvito.

- A ten czego tu chce? - mruknął cierpko Blackthorne.

Przyglądali się jezuitcie, który zsiadł z konia, wyciągnął z rękawa mały zwój papieru i podał go dowódcy samurajów. Ten przeczytał list. Alvito spojrzał na statek.

- Z czymkolwiek tu przybył, to z pewnością w urzędowej sprawie - powiedziała cicho Mariko.

- Posłuchaj, Mariko-san. Ja nie występuję przeciwko Kościołowi. To nie Kościół jest zły, tylko ci księża. I nie wszyscy z nich są niedobrzy. Alvito nie jest zły, choć to fanatyk. Na Boga, wierz mi, że jezuitci ugną się przed panem Toranaga, jeżeli zdobędę Czarną Karawelę i zagrozę jej rejsowi w przyszłym roku, ponieważ muszą mieć pieniądze. . pieniądze muszą mieć Hiszpania i Portugalia.

Toranaga jest przecież ważniejszy. Czy mi pomożesz?

- Tak. Tak, pomogę ci, Anjin-san. Ale wybacz mi, proszę, nie mogę zdradzić Kościoła.

- Pragnę jedynie tego, żebyś porozmawiała z Toranagą albo, jeżeli uznasz, że tak będzie lepiej, pomogła mi porozmawiać z nim.

Z oddali doleciało granie rogu. Znowu wyjrzeli przez okna. Wszyscy patrzyli na zachód. Od zamku zbliżało się czoło pochodu składające się z samurajów, którzy otaczali palankin.

Drzwi kabiny otworzyły się.

- Anjin-san, zechciej wyjść - powiedział samuraj. Blackthorne ruszył pierwszy na pokład i zszedł na nabrzeże. Z chłodną uprzejmością skinął głową ojcu Alvito. Jezuita odklonił się równie lodowato.

- Witam, Mariko-san - przywitał się miło z Mariko. - Jak dobrze jest cię znowu widzieć. i -

Dziękuję ci, ojcie - odparła z niskim ukłonem.

- Niechaj cię Bóg błogosławi. - Zrobił nad nią znak krzyża. - In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti.

- Dziękuję, ojcie.

Alvito spojrzał na Blackthorne'a.

- A więc, pilocie? Jak twój statek?

- Na pewno jest już gotowy.

- Tak, wiem. - Alvito ze ściągniętą twarzą przyjrzał się Erasmusowi. - Jeżeli zostanie użyty przeciwko Prawdziwej Wierze i Portugalii, niechaj Bóg przeklnie go i wszystkich, którzy nim popłyną!

- To z tego powodu tu się zjawileś? Żeby wylać więcej jadu?

- Nie, pilocie - odparł Alvito. - Zostałem zaproszony na spotkanie z panem Toranagą. Twoja obecność tutaj jest mi równie niemiła, jak moja tobie.

- Twoja obecność nie jest mi niemiła, ojcie. Niemiłe jest mi tylko zło, które reprezentujesz.

Alvito zaczerwienił się.

- Proszę was - powiedziała prędko Mariko. - Nie godzi się kłócić przy wszystkich. Błagam was więc o to, byście okazali więcej rozwagi.

- Tak, wybac. Przepraszam, Mariko-san.

Ojciec Alvito odwrócił się i spojrzał na zakryty zasłonami palankin, który właśnie mijał

bariery. Powiewał nad nim proporzec Toranagi. Umundurowani samuraje z przodu i z tyłu podążali w otoczeniu luźnej grupy samurajów w różnobarwnych strojach.

Palankin zatrzymał się, zasłony rozsunęły. Wsiadł z niego Yabu. Wszystkich to zaskoczyło.

Niemniej ukłonili się. Yabu wyniośle odpowiedział im pozdrowieniem.

- O, Anjin-san - rzekł. - Jak się masz?

- Dobrze, dziękuję, wielmożny panie. A ty?

- Dziękuję, dobrze. Pan Toranaga zachorował. Poprosił, żebym go zastąpił. Rozumiesz?

- Tak. Rozumiem - odrzekł Blackthorne, próbując skryć niezadowolenie z powodu nieobecności Toranagi. - Bardzo mi przykro, że pan Toranaga chory.

Yabu wzruszył ramionami, z szacunkiem oddał ukłon Mariko, udał, że nie spostrzegł jezuity, i przez chwilę przyglądał się statkowi. Kiedy obrócił się znowu do Blackthorne'a, na twarzy miał krzywy uśmiech.

- So desu, Anjin-san. Twój statek wygląda inaczej, niż kiedy widziałem go poprzednio, ne?

Tak, to inny statek, zmienił się, zmieniło się wszystko.. nawet nasz świat się zmienił! Ne?

- Bardzo żałuję, ale nie rozumiem, wielmożny panie. Wybacz, ale mówisz bardzo szybko.

Ponieważ moja. .

Blackthorne zaczął wypowiadać wyuczoną formułkę, ale Yabu przerwał mu gardłowym głosem:

- Mariko-san, zechciej mi tłumaczyć.

Zrobiła to.

Blackthorne skinął głową i powiedział wolno: - Tak. Zmienił się, Yabu-sama.

- Tak, bardzo się zmienił. . nie jesteś już barbarzyńcą, ale samurajem, a dotyczy to również twojego statku, ne?

Blackthorne zobaczył na grubych wargach Yabu uśmiech, dostrzegł jego wojowniczą postawę i nagle znów znalazł się w Anjiro, z powrotem na tamtym brzegu, powalony na kolana, widząc Croocqę w kotle, w uszach mając wrzaski Pieterzoona, w nozdrzach smród ziemianki, a w mózgu krzyk: „Jakie to wszystko niepotrzebne, te wszystkie cierpienia, strach, śmierć Pieterzoona, Spil bergena, Maetsukkera, więzienie, eta, wpadnięcie w pułapkę bez wyjścia,- i wszystko przez ciebie!”

- Czy dobrze się czujesz, Anjin-san? - spytała Mariko zaniepokojona jego spojrzeniem, -

Słucham? Ach, ach tak. Czuję się dobrze.

- Co mu jest? - spytał Yabu.

Blackthorne potrząsnął głową, starając się jasno myśleć i usunąć z twarzy nienawiść.

- Bardzo przepraszam. Racz wybaczyć - powiedział. - Ja. . to nic. Niedobrze z głową. . brak snu. Bardzo przepraszam. - Spojrzał Yabu prosto w oczy mając nadzieję, że zdołał ukryć groźne w skutkach zapomnienie się. - Przykro, że Toranaga-sama chory. . mam nadzieję, że nie sprawiam kłopotu wielmożnemu panu Yabu.

- Nie, żadnego - odparł Yabu myśląc: „Tak, odkąd ty i twój parszywy statek przyplłynęliście do

moich brzegów, mam same kłopoty. Straciłem Izu, straciłem działa, straciłem cały honor, a teraz z powodu jakiegoś tchórza grozi mi jeszcze utrata głowy”. - Żadnego kłopotu, Anjin-san - powtórzył

nadzwyczaj grzecznym tonem. - Toranaga-sama poprosił mnie, żebym przekazał ci twoich poddanych, których ci obiecał. - Jego wzrok spoczął na Alvicie. - A więc, Tsukku-san! Czernił jesteś wrogiem pana Toranagi?.

- Nie jestem, Kasigi Yabu-sama.

- Ale wasi chrześcijańscy daimyō są jego wrogami, ne?

- Racz wybaczyć, wielmożny panie, ale jesteśmy tylko duchownymi, nie odpowiadamy za poglądy tych, którzy wyznają Prawdziwą Wiarę, nie mamy również władzy nad tymi daimyō, którzy. .

- Prawdziwą Wiarą tej Krainy Bogów jest shintō, wraz z tao, Drogą Buddy!

Alvito nie odpowiedział. Yabu z pogardą odwrócił się od niego i wydał rozkaz. Beładna grupa oberwanych samurajów zaczęła ustawiać się przed statkiem. Żaden nie miał broni. Niektórzy mieli związane ręce.

Alvito zrobił kilka kroków i uklonił się.

- Bardzo przepraszam, wielmożny panie - odezwał się. - Miałem się spotkać z panem Toranagą. A ponieważ nie przybędzie. .

- Pan Toranagą chciał, żebyś posłużył mu za tłumacza w rozmowie z Anjin-sanem - przerwał

mu z umyślną opryskliwością Yabu, tak jak mu polecił Toranagą. - Tak, tylko ty jeden potrafisz tłumaczyć w taki sposób, bezpośrednio i od razu, ne? Na pewno nie masz nic przeciwko temu, żebyś, zanim odejdziesz, wykonał dla mnie to, czego żądał od ciebie pan Toranagą, co?

- Nie, oczywiście, że nie, wielmożny panie.

- To dobrze. Mariko-san! Pan Toranagą prosi, abyś dopilnowała, żeby odpowiedzi Anjin-sana zostały przełożone wiernie.

Alvito poczerwieniał, ale stłumił gniew.

- Tak, wielmożny panie - odparła Mariko, nienawidząc Yabu.

Yabu wydał następny rozkaz. Dwóch samurajów podeszło do palankinu i wróciło z ciężką kasetą okrętową.

- Przetłumacz, Tsukku-san. „Posłuchaj, Anjin-san, po pierwsze pan Toranaga rozkazał zwrócić ci to. To twoja własność, ne?” Otwórz ją - polecił Yabu samurajowi. W kasecie było pełno srebrnych monet. - „Jest w takim stanie, w jakim zabrano ją ze statku”.

- Dziękuję.

Blackthorne ledwie mógł uwierzyć własnym oczom, bo dawało mu to możliwość najęcia najlepszych marynarzy, i to bez składania fałszywych obietnic. - Ma być umieszczona w skarbcu statku.

- Tak, oczywiście.

Yabu dał znak samurajom na pokładzie, po czym, ku wściekłości tłumaczącego nadal prawie równolegle Alvita, rzekł:

- Po wtóre, pan Toranaga mówi, że możesz odpłynąć lub pozostać, jak wolisz. Przebywając na naszej ziemi jesteś samurajem, hatamoto i podlegasz samurajskim prawom. Na morzu, z dala od naszych brzegów, jesteś tym, kim byłeś przed przypłynięciem tutaj, i podlegasz prawom barbarzyńskim. Otrzymujesz dożywotnie prawo zawijania bez żadnej kontroli do wszystkich portów, którymi włada pan Toranaga. I po ostatnie, tych dwustu ludzi to twoi poddani. Poprosił mnie, żebym przekazał ci ich oficjalnie, wraz - z bronią, tak jak to obiecał.

- Mogę odjechać kiedy i jak chcę? - spytał z niedowierzaniem Blackthorne.

- Tak, Anjin-san, możesz odjechać, ponieważ pan Toranaga wyraził na to zgodę.

Blackthorne wpatrzył się w Mariko, ale ponieważ unikała jego wzroku, spojrział znów na Yabu.

- Czy mogę odpłynąć jutro?

- Tak, jeśli chcesz'. A jeśli chodzi o tych ludzi - dodał Yabu - to wszyscy są roninami.

Pochodzą z północnych prowincji. Zgodzili się zaprzysiąc dozgonną wierność tobie i twoim potomkom. Wszyscy są dzielnymi wojownikami. Żaden nie popełnił zbrodni, na którą są dowody. Stali się roninami, ponieważ ich lenni panowie zginęli, zmarli albo utracili władzę. Wielu z nich walczyło na statkach przeciwko wako. - Yabu uśmiechnął się, jak to on, zjadliwie. - Być może niektórzy z nich sami byli wako.. Rozumiesz słowo „wako”?

- Tak, wielmożny panie.

- Ci, którzy są związani, to prawdopodobnie bandyci albo wako. Zgłosiła się ich cała zgraja i przyrzekli służyć ci nieustraszenie w zamian za darowanie im wszystkich popełnionych przestępstw.

Przysięgli panu Noboru, który ich wybrał dla ciebie na rozkaz pana Toranagi, że nigdy nie popełnili żadnej zbrodni przeciwko panu Toranadze ani żadnemu z jego samurajów. Możesz przyjąć ich do służby pojedynczo, w grupie albo odrzucić. Rozumiesz?

- Mogę odrzucić każdego?

- A po co miałbyś to robić? - spytał Yabu. - Pan Noboru dobrał ich starannie.

- Oczywiście, przepraszam - rzekł zrezygnowany Blackthorne, widząc rosnące niezadowolenie Yabu.

- Całkowicie rozumiem. Ale co się stanie, jeżeli odrzucę tych związanych?

- Odrąbie im się głowy, oczywiście. A co to ma do rzeczy?

- Nic. Przepraszam.

- Pójdź za mną - powiedział Yabu i ruszył do palankinu. Blackthorne spojrzał na Mariko.

- Mogę wyjechać! Słyszałaś? - spytał.

- Tak.

- A to znaczy. . Mam wrażenie, że śnię. Powiedział.?.

- Anjin-san!

Blackthorne posłusznie podążył za Yabu. Palankin - zamienił się teraz w podest. Jakiś urzędnik ustawił stół, na którym leżały zwoje papieru. Nieco dalej samuraje pilnowali stosów mieczy, krótkich i długich, włóczni, tarcz, toporów, łuków oraz strzał, które tragarze zdejmowali z juczych koni. Yabu wskazał Blackthorne'owi miejsce obok siebie, Alvitowi tuż przed sobą, a Mariko przy swoim drugim boku. Urzędnik zaczął wywoływać nazwiska. Roninowie występowali po kolei z szeregu, kłaniali się czołobitnie, podawali swoje nazwisko i rodowód, składali przysięgę na wierność, podpisywali dokumenty i pieczętowali je kroplą krwi z nakłutych przez urzędnika palców. Na koniec każdy z nich klękał przed Blackthorne'em, a potem wstawał i śpieszył do zbrojmistrza. Najpierw dostawał długi miecz do zabijania, a potem krótki. Wszyscy przyjmowali swoje miecze z czcią, dokładnie je oglądali, chwalać ich jakość, a potem z dziką radością wsuwali je za pas. Następnie wydawano im pozostały rynsztunek i tarcze. Kiedy już w pełni uzbrojeni powrócili na swoje miejsca, nie będąc dłużej roninami, lecz znów samurajami, wstąpiły w nich nowe siły, wyprostowali się i prezentowali jeszcze groźniej.

Pozostało trzydziestu związanych roninów. Blackthorne uparł się, żeby osobiście przeciąć więzy wszystkim. Jeden po drugim, tak jak pozostali, składali przysięgę na wierność: „Na mój honor samuraja ślubuję ci całkowite posłuszeństwo i przysięgam, że twoi wrogowie są moimi wrogami”.

Po złożeniu przysięgi odbierali broń.

- Uraga-no-Tadamasa! - zawołał Yabu.

Wywołany wystąpił z szeregu. Alvito wpadł w rozpacz. Między stojącymi w pobliżu samurajami krył się, nie zauważony przez niego Uraga, brat Józef. Był bez broni, w prostym kimonie i kapeluszu z bambusa. Na widok zmieszania jezuity Yabu uśmiechnął się i zwrócił do Blackthorne'a.

- Anjin-san. To jest samuraj Uraga-no-Tadamasa, obecnie ronin. Rozpoznajesz go? Rozumiesz słowo „rozpoznajesz”?

- Tak. Rozumiem. Tak, rozpoznaję.

- To dobrze. Kiedyś był chrześcijańskim kapłanem, ne?

- Tak.

- Teraz już nie jest. Rozumiesz? Teraz jest roninem.

- Rozumiem, Yabu-sama.

Yabu obserwował Alvita. Alvito wpatrywał się uporczywie w odstępce, który mierzył go nienawistnym wzrokiem.

- O, Tsukku-san, ty też go rozpoznajesz?

- Tak, rozpoznaję go, wielmożny panie.

- Jesteś gotów tłumaczyć dalej czy też może straciłeś, ochotę?

- Proszę, mów dalej, wielmożny panie.

- Dobrze. - Yabu wskazał na Uragę. - Posłuchaj, Anjin-san, jeśli chcesz przyjąć tego człowieka, to pan Toranaga daje ci go. Kiedyś był chrześcijańskim kapłanem. . nowicjuszem. Już nie jest. Wyparł się fałszywego obcego boga, nawrócił się na prawdziwą wiarę shintō i. . - Urwał, bo urwał ojciec Alvito. - Przełożyłeś to dokładnie, Tsukku-san? Prawdziwą wiarę shintō?!

Jezuita nie odpowiedział. Gniewnie westchnął i przełożył dokładnie słowa Yabu dodając:

- To właśnie powiedział pan Yabu, Anjin-san, oby Bóg mu wybaczył.

Mariko pozostawiła to bez komentarza i, nienawidząc Yabu, jeszcze mocniej przyrzekła sobie, że już niedługo się na nim zemści.

Yabu przyglądał się im przez chwilę, a potem podjął wątek:

- Tak więc Uraga-san jest byłym chrześcijaninem. A teraz gotów jest służyć tobie. Zna język barbarzyński, wewnętrzny język księży i był jednym z czterech młodych Japończyków wysłanych do waszych ziem. Spotkał nawet naczelnego wodza chrześcijan, jak powiadają. . ale w tej chwili nienawidzi ich wszystkich tak mocno jak ty, ne? - Yabu przyglądał się wyzywająco Alwitowi i raz po raz zerkał na słuchającą go również pilnie Mariko. - Nienawidzisz chrześcijan, Anjin-san, ne?

- Większość katolików to moi wrogowie, owszem. - odparł Blackthorne, w pełni świadom obecności Mariko, która kamiennym wzrokiem wpatrywała się w przestrzeń. - Tak, Hiszpania i Portugalia są wrogami mojego kraju.

- Chrześcijanie są również naszymi wrogami. Prawda, Tsukku-san?

- Nie, wielmożny panie. A poza tym chrześcijaństwo to klucz do życia wiecznego.

- Czy to prawda, Uruga-san? - spytał Yabu. Uruga potrzęsła głową.

- Już tak nie myślę, wielmożny panie - odparł surowo. - Nie.

- Powiedz to Anjin-sanowi.

- Senhor Anjin-san - rzekł Uruga z mocnym japońskim akcentem, ale wymawiając portugalskie słowa poprawnie i bez trudności. - Nie sądzę, żeby katolicyzm był zamkiem. . przepraszam, kluczem do nieśmiertelności.

- Tak - odparł Blackthorne. - Zgadzam się.

- Dobrze - ciągnął Yabu. - Tak więc pan Toranaga oddaje ci tego ronina, Anjin-san. To przeniewierca, ale z dobrej samurajskiej rodziny. Uruga przysięga, że jeżeli go do siebie przyjmiesz, to będzie twoim sekretarzem, tłumaczem i zrobi wszystko, co każesz. Musisz mu tylko dać miecz. Co jeszcze, Uruga? Powiedz mu.

- Racz mi wybaczyć, senhor. Po pierwsze. . - Uruga zdjął kapelusz. Szczyt porośniętej szczeciny głowy miał wygolony jak samuraj, ale brakowało mu jeszcze czuba. - Po pierwsze, wstydzę się, że nie mam właściwej fryzury i samurajskiego węzła. Nie jestem jednak przez to gorszym samurajem, a włosy mi odrosną. - Włożył kapelusz na głowę. Wyjaśnił Yabu, co powiedział, a stojący najbliżej roninowie również słuchali go z uwagą. - Po wtóre, bardzo cię proszę o wybaczenie, że nie potrafię władać mieczem ani żadną inną bronią. Nie uczono mnie tego. Ale wierz mi, że się nauczę.

Zechciej wybaczyć mi ten wstyd. Przysięgam ci całkowite posłuszeństwo i błagam, byś mnie przyjął.

Po twarzy i plecach Urugi ściekał pot.

- Shigata ga nai, ne? - rzekł Współczująco Blackthorne. - Ukeru anatawa desu, Uruga-san. (A czy to ważne? Przyjmuję cię, Uruga-san).

Uruga uklonił się mu i wyjaśnił Yabu, co powiedział. Nikt się nie zaśmiał. Oprócz Yabu. Ale śmiech daimyō przerwała sprzeczka, która wybuchła pomiędzy dwoma ostatnimi roninami w kwestii mieczy, które pozostały do wyboru.

- Wy dwaj, milczeć! - krzyknął.

Obaj obrócili się gwałtownie w jego stronę, a jeden warknął opryskliwie:

- Nie jesteś moim panem! Gdzie twoje wychowanie? Poproś albo sam zamilcz!

Yabu zerwał się na nogi i z uniesionym mieczem ruszył na ubliżającego mu ronina. Samuraje rozpierzchli się, a ronin zemknął. Przy nabrzeżu jednak nagle odwrócił się i zaatakował z przeraźliwym okrzykiem bitewnym. Jego wszyscy kompani rzucili się mu na odsiecz z przygotowanymi mieczami i Yabu znalazł się w pułapce. Uniknął gwałtownego ciosu atakującego ronina, ciął w odpowiedzi mieczem i chybił w, chwili, gdy cała zgraja ruszyła naprzód, by go zabić.

Samuraje Toranagi zareagowali za późno i zrozumieli, że już po Yabu, - Stać! - krzyknął po japońsku Blackthorne. Jego potężny głos osadził w miejscu wszystkich. - Iść tam! - Wskazał roninom miejsce, gdzie przedtem stali w szeregu. - Już! To rozkaz!

Na chwilę wszyscy na nabrzeżu zamarli. A potem ożyli. Zaklęcie Blackthorne'a straciło moc.

Yabu rzucił się na ronina, który go obraził. Ten odskoczył w tył, w bok i z uniesionym nad głową mieczem czekał nieustraszenie na następny atak. Jego kompani zawahali się.

- Iść tam! Już! To rozkaz!

Z ociąganiem, ale posłusznie roninowie usunęli się z drogi, chowając miecze do pochew. Yabu i ronin zaczęli się nawzajem wolno okręzać.

- Ty! - krzyknął Blackthorne. - Stój! Opuść miecz! To rozkaz!

Ronin ani na chwilę nie zdejmował wściekłego spojrzenia z Yabu, ale usłyszał polecenie Blackthorne'a i oblizał wargi. Zamarkował atak z lewej, z prawej, a kiedy Yabu cofnął się, wymknął się poza zasięg jego miecza, pośpieszył do Blackthorne'a i położył swój miecz przed nim.

- Jestem posłuszny, Anjin-san. Nie zaatakowałem go - powiedział Uskoczył i przed atakującym Yabu i wycofał się bez śladu lęku zwinniejszy i młodszy od daimyō, najwyraźniej go prowokując.

- Yabu-san - zawołał Blackthorne. - Przepraszam. . myślę, że to nieporozumienie, ne? Może. : Ale Yabu wyrzucił z siebie potok japońskich słów i skoczył na ronina, który znowu wycofał się, nic się go nie bojąc.

- Yabu-san uważa, że to wcale nie jest nieporozumienie, Anjin-san - wyjaśnił z chłodnym rozbawieniem Alvito. - „Ten cabron musi umrzeć - mówi. - Żaden samuraj nie może puścić płazem takiej zniewagi!”

Blackthorne, który rozpaczliwie starał się rozstrzygnąć, jak ma postąpić, czuł na sobie wzrok wszystkich. Patrzył, jak Yabu zbliża się do ronina. Stojący po jego lewej ręce samuraj Toranagi wycelował łuk. W ciszy słychać było jedynie zdyszane oddechy, kroki i okrzyki obu przeciwników.

Ronin wycofał się, odwrócił i puścił biegiem wokół placu, uskakując na boki, klucząc i ani na chwilę nie przestając syczeć gardłowo zniewag i obelg.

- On go prowokuje, Anjin-san - powiedział Alvito. - Mówi; „Jestem samurajem. . nie zabijam takich bezbronnych jak ty. . ty nie jesteś samurajem, jesteś chłopem, który śmierdzi gnojem. . tak, nie jesteś samurajem, jesteś eta i. .”

Jezuita urwał, bo Yabu zaryczał z wściekłości, wskazał na jednego z samurajów i coś do niego krzyknął.

- Yabu mówi: „Ty! Daj mu swój miecz!” - wyjaśnił Alvito.

Ronin zawahał się i spojrział na Blackthorne'a, oczekując rozkazu.

Yabu też zwrócił się do niego i krzyknął:

- Daj mu jego miecz!

Blackthorne podniósł leżący miecz.

- Yabu-san, proszę, nie walcz - powiedział, życząc mu śmierci. - Proszę, nie walcz. .

- Daj mu miecz! !

Wśród ludzi Blackthorne'a rozszedł się gniewny pomruk. Blackthorne podniósł rękę.

- Cisza! - rozkazał i spojrział na swojego ronina. - Chodź tli. Proszę!

Nie spuszczać Yabu z oka i odskakując to w lewo, to w prawo przed jego wściekłymi ciosami, ronin zdołał się mu wymknąć i dobiegł do Blackthorne'a. Tym razem Yabu nie podążył za nim.

Tylko czekał i przyglądał się mu jak rozjuszony byk szykujący się do szarży. Ronin uklonił się Blackthorne'owi i wziął miecz. A potem obrócił się w stronę Yabu i z bitewnym rykiem rzucił się na niego. Miecze szczęknęły raz i drugi. Przeciwnicy zaczęli się okrażać w milczeniu. Znów wymienili ciosy, miecze zaśpiewały. Wtem Yabu potknął się i ronin zaatakował łatwy cel. W tej samej chwili jednak Yabu zrobił zgrabny unik i uderzył. Jego cios odrąbał roninowi ręce, nadal ściskające miecz.

Przez chwilę ronin stał wyjąć, wpatrzony w kikuty, a potem Yabu odciął mu głowę. Zapadła cisza. A po chwili Yabu otoczył ryk zachwyty. Daimyō jeszcze raz sieknął mieczem podrygujące zwłoki.

Pomściwszy W ten sposób honor, podniósł odciętą głowę za węzeł z włosów, starannie napluł zabitemu w twarz i odrzucił głowę na bok. W milczeniu powrócił do Blackthorne'a i złożył mu ukłon.

- Racz mi wybaczyć moje niewłaściwe zachowanie, Anjin-san. Dziękuję, że dałeś mi miecz -

rzekł uprzejmym tonem, a Alvito przetłumaczył to. - Przepraszam za to, że krzychałem. Dziękuję ci, żeś pozwolił mi z honorem zakrwawić miecz. - Jego wzrok padł na rodowy klejnot, miecz, który podarował mu Toranaga. Dokładnie obejrzał jego klingę, a potem rozwiązał jedwabny pas, żeby usunąć z niej krew. - Nigdy nie dotykaj klingi palcami, Anjin-san, bo to ją zniszczy - powiedział. -

Klinga może się stykać wyłącznie z jedwabiem albo z ciałem wroga. - Urwał i podniósł wzrok. - Czy wolno mi zaproponować ci, żebyś pozwolił swoim poddanym wypróbować miecze? Będzie to dla nich dobra wróżba.

Blackthorne zwrócił się do Uragi.

- Powiedz im to - polecił.

Yabu powrócił do domu późno. Służące zabrały jego przepocone szaty i dały świeże spacerowe kimono, a na stopy włożyły mu czyste tabi. Na chłodnej werandzie czekała na niego jego żona Yuriko z cha i sake w temperaturze wrzenia, tak jak lubił.

- Sake, Yabu-san? - spytała.

Yuriko była wysoka, szczupła, z pasmami siwizny we włosach. Ciemne kimono z nie najlepszego jedwabiu miło podkreślało jej jasną cerę.

- Dziękuję, Yuriko-san.

Yabu z przyjemnością napił się wina, rozkoszując się jego słodko-cierpkim drapaniem, gdy spływało mu przez spieczone gardło.

- Słyszałam, że dobrze ci poszło.

- Tak.

- Ależ bezczelny był ten ronin!

- Dobrze mi to zrobiło, pani, doskonale. Czuję się świetnie. Umoczyłem we krwi miecz Toranagi i dzięki temu stał się mój. - Yabu dopił czarę, więc napełniła mu ją znowu. Dłonią pieścił

rękojeść miecza. - Ale ta walka z pewnością nie przypadłaby ci do gustu. To był dzieciak. . wpadł w pierwszą pułapkę w życiu.

Yuriko czule dotknęła męża.

- Cieszę się z tego, że w nią wpadł - powiedziała.

- Dziękuję ci, ale nawet się nie spociłem. - Yabu roześmiał się. - Niemniej szkoda, że nie widziałaś miny tego kapłana! Uradowałabyś się patrząc, jak ten barbarzyńca poci się. . jeszcze nigdy nie widziałem go rozgniewanego. Omal nie zadławił się gniewem, chcąc go opanować. Ludożerca! Oni wszyscy to ludożercy! Szkoda, że nie możemy ich - wytepić, zanim rozstaniemy się z tym światem.

- Myślisz, że Anjin-san mógłby to zrobić?

- Będzie się starał. Gdybym miał dziesięć takich statków i dziesięciu takich jak on, władałbym na morzu stąd do Kiusiu. On jeden wystarczyłby mi, żeby zaszkodzić Kiyamie, Onoshiemu i Harimie, rozbić Jikkyu i zatrzymać Izu! Potrzebujemy tylko odrobinę czasu, a każdy daimyō zacznie walczyć z własnym, osobistym wrogiem. Izu zaś będzie bezpieczna i z powrotem moja! Nie rozumiem, dlaczego Toranaga chce wypuścić Anjin-sana. Jeszcze jedno głupie marnotrawstwo!

Zacisnął dłoń w pięść i uderzył nią w tatami. Służąca wzdrygnęła się, ale nic nie powiedziała.

Yuriko w ogóle się nie poruszyła. Przez jej twarz przemknął uśmiech.

- Jak Anjin-san przyjął własną wolność i swoich poddanych? - spytała.

- Był tak uszczęśliwiony, jak staruszek, który marzy o poczwórnym yangu jednej nocy. On. .

aha. . - Yabu zmarszczył brwi na tę myśl. -? Ale jednego nadal nie pojmuję. Kiedy ci wako otoczyli mnie za pierwszym razem, byłem zgubiony. Z całą pewnością. Ale Anjin-san powstrzymał ich i przywrócił mi życie. Nie miał po temu żadnego powodu, ne? Tuż przedtem widziałem, jak bije z niego nienawiść. Jest za naiwny, by udawać. . a zresztą, czyż ja mógłbym mu zaufać?

- Przywrócił ci życie?

- O, tak. Dziwne, ne?

- Tak. Dzieje się wiele dziwnych rzeczy, mężu. - Yuriko odprawiła służącą, a potem spytała cicho: - Czego tak naprawdę chce Toranaga?

Yabu pochylił się ku niej i szepnął:

- Myślę, że chce, abym został jego naczelnym wodzem.

- A to z jakiego powodu? Czy Żelazna Pięść jest umierający? - spytała Yuriko. - A co z panem Sudarą? Co z Buntaro? Co z panem Noboru?

- Kto wie, pani. Wszyscy wypadli z jego łask, ne? Toranaga tak często zmienia zdanie, że nikt nie może przewidzieć, co z kolei zrobi. Najpierw poprosił mnie, żebym pojechał zamiast niego na nabrzeże i powiedział to wszystko, co zamierzał powiedzieć on, no a potem zaczął mówić o Hiromatsu, że tak się postarzał, i spytał, co naprawdę myślę o pułku muszkietów.

- Czyżby znowu się szykował do Szkarłatnego Nieba?

- Ten plan jest gotowy. Ale jemu brak do tego ikry. Potrzebne są tu umiejętności dowodzenia i zręczność. Kiedyś miał te cechy, ale już ich nie ma. Teraz jest cieniem tego Minowary, którym był.

Przeżyłem wstrząs, kiedy go zobaczyłem. Przykro mi bardzo, ale popełniłem błąd. Powinienem stanąć po stronie Ishido.

.- Myślę, że wybrałaś właściwie.

- Słucham?

- Najpierw wykąp się, a potem mam dla ciebie, jak sądzę, pewien prezent.

- Jaki prezent?

- Po wieczery przyjdzie tu twój brat Mizuno.

- To jest prezent? - Yabu nastroszył się. - A co mi może dać ten głupiec?

- Dostarczona przez głupca specjalna wiadomość albo jego wiedza mogą być tyle samo warte, co te od doradcy, ne? A czasem więcej.

- Jaka wiadomość?

- Najpierw weź kąpiel. I zjedz. Dzisiaj wieczorem musisz rozumować chłodno, Yabu-chan.

Kasigi Mizuno, młodszy brat Yabu i ojciec Omiego, był niskim mężczyzną z wyłupiastymi oczami, wysokim czołem i rzadkimi włosami.

Miecze nie pasowały do niego i ledwie umiał się nimi **posługiwać**. W strzelaniu z łuku też nie był orłem.

Uklonił się bratu i pogratulował mu kunsztu szermierczego, bo wieści o wyczynie Yabu rozeszły się po zamku, jeszcze bardziej podnosząc jego renomę jako wojownika. Potem zaś, pragnąc sprawić mu przyjemność, przeszedł do rzeczy:

- Dziś dostałem zaszyfowaną wiadomość od mojego syna, wielmożny panie - powiedział. - Pani Yuriko uznała, że powinienem ci ją przekazać osobiście.

Wręczył Yabu list wraz z rozszyfrowaną treścią. Brzmiał on:

Ojcze, powiadom bezzwłocznie i poufnie pana Yabu, że po pierwsze, do Mishimy przybył

potajemnie trasą przez Takato pan Buntaro. Jednemu z jego ludzi wymknęło się to w czasie popijawy, którą wydałem na ich cześć. Po drugie, w czasie swojej tajnej wizyty w Takato, która trwała trzy dni, Buntaro widział się dwukrotnie z Zatakim, a trzykrotnie z jego matką. Po trzecie, przed wyjazdem z Mishimy pan Hiro-matsu powiedział swojej nowej konkubinie, pani Oko, żeby się nie martwiła, „ponieważ póki żyję, pan Toranaga nie opuści Kantō”. Po czwarte. .

Yabu podniósł wzrok.

- Jakże Omi-san może wiedzieć, co Żelazna Pięść powiedział prywatnie swojej konkubinie? -

spytał. - Nie mamy w jego domu szpiegów.

- Już mamy, wielmożny panie. Proszę, czytaj dalej.

Po czwarte, Hiro-matsu jest w razie konieczności gotów zdradzić i zatrzymać Toranagę w Edo, a ponadto, w razie jego odmowy, wprowadzić w czyn, za zgodą lub bez zgody pana Sudary, Szkarłatne Niebo. Po piąte, są to informacje godne zaufania. Osobista pokojówka pani Oko jest córką mamki mojej żony i została polecona do służby pani Oko tu, w Mishimie, kiedy poprzednia jej służąca nabawiła się, traf chce, chronicznego złego samopoczucia. Po szóste, Buntaro-san zachowuje się jak szaleniec, jest ponury i rozdrażniony, dziś na przykład bez powodu sprowokował i zabił

samuraja, przeklinając Anjin-sana. I po ostatnie, szpiegzy donoszą, że Ikawa Jikkyu zgromadził w Surudze dziesięć tysięcy ludzi, gotowych przekroczyć nasze granice. Przekaż, proszę, panu Yabu

moje pozdrowienia. .

Reszta listu była nieistotna.

- Jikkyu, ha! A więc muszę iść na śmierć, nie zemściwszy się na tym diable! - wybuchnął Yabu.

-

- Cierpliwości, wielmożny panie - powiedziała Yuriko. - Przekaż mu wszystko, Mizuno-san.

- Wielmożny panie - zaczął niski brat Yabu. - Od miesięcy staraliśmy się wcielić w życie twój plan, ten, który zaproponowałeś zaraz po przybyciu barbarzyńcy. Pamiętasz, coś powiedział o tych srebrnych monetach? Wspomniałeś, że sto czy nawet pięćset takich, włożonych w ręce odpowiedniego kucharza, mogłoby usunąć Ikawę Jikkyu raz na zawsze. - Wyłupiaste oczy Mizuno stały się jeszcze bardziej żabie. - Wygląda na to, że Mura, naczelnik wioski Anjiro, mąż kuzyna, który ma kuzyna, którego brat jest najlepszym kucharzem w Surudze. Usłyszałem dziś, że został on przyjęty do domu Jikkyu. Jako zaliczkę otrzymał dwieście sztuk srebra, a pełna cena za jego usługę wynosi pięćset. .

- Nie mam tych pieniędzy! To niemożliwe! Skąd wezmę pięćset, jestem rak zadłużony, że nie mam skąd wziąć nawet stu!

- Przepraszam, wielmożny panie. Przepraszam, ale pieniądze te już zostały odłożone. Nie wszystkie monety barbarzyńcy pozostały w tej kasecie. Tysiąc z nich zagubiło się jeszcze przed urzędowym przeliczeniem. Bardzo przepraszam.

Yabu spojrział na niego jak głupi.

- W jaki sposób? - spytał.

- Zdaje się, że nakazał mi to zrobić w twoim imieniu Omi. Pieniądze te przywieziono potajemnie pani Yuriko, za jej wcześniejszym przyzwoleniem, nie narażając się na twój gniew.

Yabu dłuższy czas nad tym myślał.

- Na czyje polecenie? - spytał.

- Moje. Za przyzwoleniem pani Yuriko.

- Dziękuję ci, Mizuno-san. I tobie, Yuriko-san. - Yabu uklonił się obojgu. - A więc to tak!, Ikawa Jikkyu, ha?! Nareszcie! - Klepnął serdecznie brata w plecy, na co ten zareagował z niemal żalną przymilnością. - Świetnie zrobiłeś, bracie. Poślę ci parę sztuk jedwabiu z mojego skarbcza. A jak tam twoja żona?

- No cóż, ma się bardzo dobrze, wielmożny panie. Prosiła, żebyś przyjął jej najlepsze życzenia.

- Musimy razem zjeść. Dobrze. . dobrze. No, a co sądzisz o reszcie tego listu?

- Nic, wielmożny panie. Ale bardzo interesuje mnie twoje zdanie na ten temat.

- Po pierwsze. . - Yabu urwał, zauważając ostrzegawcze spojrzenie żony, i zmienił treść zdania, które miał wygłosić. - Po pierwsze i po ostatnie, znaczy to, że Omi-san jest wspaniałym wasalem. Gdyby ode mnie zależała przyszłość, tobym go awansował. . tak jest, zasługuje na awans, ne?

Mizuno okazał obłudną radość. Yabu cierpliwie pogawędził z nim, jeszcze raz go pochwalił i pożegnał tak szybko, jak na to pozwalała grzeczność.

Yuriko posłała po cha. Kiedy zostali tylko we dwoje, Yabu ponownie spytał:

- A co oznacza reszta tego listu?

Twarz Yuriko zdradzała podniecenie.

- Racz mi wybaczyć, wielmożny panie, ale chcę ci podsunąć nową myśl: Toranaga robi z nas wszystkich głupców i nie ma zamiaru, nigdy nie miał, jechać do Osaki, żeby się poddać.

- Bzdura!

- Pozwól, że ci przedstawię fakty. . Och, wielmożny panie, nie zdajesz sobie sprawy, jakie to szczęście, że masz takiego wasala jak Orni i takiego głupiego brata, który kradnie tysiąc sztuk srebra. A dowody na moją teorię są takie: Buntaro-san, zaufany powiernik Toranagi, został wysłany potajemnie do Zatakiego. Po co? Naturalnie, z nową propozycją. Co by mogło skusić Zatakiego?

Kantō.. jedynie to! Tak więc proponuje się mu Kantō w zamian za przysięgę na wierność Toranadze, kiedy ten stanie się znowu przewodniczącym Rady Regencyjnej, nowej Rady, z nowym mandatem sprawowania władzy. Będzie mógł sobie wówczas pozwolić na taki dar, ne? - Yuriko odczekała chwilę, a potem pieczołowicie tłumaczyła dalej. - Jeżeli przekona Zatakiego, żeby zdradził Ishido, to będzie miał za sobą czwartą część drogi do stolicy, Kioto. A jak spoić ów pakt z bratem?

Oczywiście za pomocą zakładników! Słyszałam dzisiaj po południu, że pan Sudara z panią Genjiko oraz córkami i synem przed upływem dziesięciu dni wybiorą się w odwiedzin do czcigodnej babki w Takato.

- Wszyscy?

- Tak. Pan Toranaga zwraca Anjin-sanowi statek, który jest jak nowy, i oddaje mu działa, proch, dwustu fanatycznych wojowników i wszystkie pieniądze, które na pewno wystarczą do kupienia nowych barbarzyńskich najemników, tych nikczemnych pirackich szumowin z Nagasaki. W

jakim celu? Żeby mógł zaatakować i zdobyć barbarzyńską Czarną Karawelę. Brak Czarnej Karaweli to brak pieniędzy i niesłychane kłopoty dla chrześcijańskich kapłanów, którzy mają wpływ na Kiyamę, Onoshiego i całą resztę zdradzieckich chrześcijańskich daimyō.

- Toranaga nigdy nie ośmieliłby się na to porwać! Próbował taikō i przegrał, a był przecież wszechpotężny. Barbarzyńcy wściekną się i odpłyną. Przystaniemy handlować.

- Tak by było. Gdybyśmy zrobili to my. Lecz tym razem to barbarzyńcy będą walczyć z innym barbarzyńcą, ne? My nie mamy z tym nic wspólnego. Powiedzmy, że Anjin-san zaatakuję Nagasaki i puści je z dymem. . czyż Harima nie jest nastawiony wrogo, podobnie jak Kiyama i Onoshi, a za ich sprawą reszta daimyō z Kiusiu? Powiedzmy, że Anjin-san podpala jeszcze kilka innych portów tych wielmożów, łupi je, a jednocześnie. .

- Jednocześnie Toranaga rozpoczyna Szkarłatne Niebo! - dopowiedział Yabu.

- Tak. Właśnie tak - przyznała uradowana Yuriko. - Czyż to nie tłumaczy jego postępowania?

Czyż intryga ta nie pasuje do niego jak ulał? Czyż nie robi on tego, co robił zawsze? Po prostu jak zawsze czeka, jak zawsze gra na czas, dzień tutaj, dzień tam i robi się z tego miesiąc, a wówczas znów ma przytłaczającą przewagę siły, co pozwala mu zgnieść Wszelki opór. Od chwili, kiedy Zataki przywiózł mu do Yokose wezwanie, upłynął już prawie miesiąc.

Yabu czuł, jak w uszach dudni mu krew.

- A więc jesteśmy uratowani? - spytał.

- Nie, ale nie zgubieni. Uważam, że nie będzie żadnego poddania się. - Yuriko zawahała się. -

Toranaga zwiódł wszystkich. Ależ on jest szczwany, ne? Wszystkich oszukał tak jak nas. Oszukiwał aż do dzisiejszego wieczora. Orni dostarczył mi wskazówek. Wszyscyśmy zapomnieli, że Toranaga jest wspaniałym aktorem teatru nō, w razie potrzeby wdzierającym na twarz minę niczym maskę.

Ne?

Yabu bardzo chciał uporządkować myśli, ale nie był w stanie.

- Ale przecież Ishido nadal ma przeciwko nam całą Japonię! - powiedział.

- Tak. Bez Zatakiego. A ponadto z całą pewnością istnieją też inne potajemne sojusze.

Toranaga i ty utrzymacie nasze przełęczce aż do odpowiedniej chwili.

- W ręku Ishido jest zamek w Osace, następca i bogactwa taikō.

- Tak. Ale on nie wysunie nosa z zamku. Ktoś go zdradzi.

- Co mam robić?

- Dokładnie co innego niż Toranaga. Niech on czeka, a ty przyspieszaj bieg wypadków.

- W jaki sposób?

- Po pierwsze, wielmożny panie, Toranaga zapomniał o jednej rzeczy, którą spostrzegłeś dziś po

południu. O niezmiernej wściekłości Tsukku-sana. Z jakiego powodu? Z takiego, że Anjin-san zagraża przyszłości chrześcijan, ne? Dlatego też natychmiast musisz wziąć Anjin-sana pod swoją opiekę, ponieważ ci kapłani albo ich marionetki zabiją go w ciągu najbliższych godzin. Po drugie, Anjin-san potrzebuje twojej ochrony i rady w zdobyciu nowej załogi w Nagasaki. Bez ciebie i twoich ludzi na pewno mu się to nie uda. Bez niego, jego statku, dział i barbarzyńskich najemników Nagasaki nie spłonie, a musi spłonąć, bo inaczej Onoshi, Kiyama, Harima i ci plugawi kapłani nie stracą głowy na tyle, żeby na jakiś czas wycofać poparcie dla Ishido. W tym samym czasie Toranaga, wspomagany, dziw nad dziwy, przez Zatakiego i jego fanatycznych żołnierzy oraz ciebie na czele pułku muszkietów, przebędzie prędko przełęcz Shinano i dostanie się na równiny Kioto.

- Tak. Tak, masz rację, Yuriko-chan! Tak to się odbędzie. Ach, jesteś taka sprytna, taka przebiegła, taka mądra!

- Wiedza i mądrość nie zdadzą się na nic, jeśli zabraknie środków na wprowadzenie planu w życie, wielmożny panie. Ty sam jeden możesz to zrobić, jesteś wodzem, jesteś wojownikiem, generałem, bez którego Toranaga nie może się obyć. Musisz się z nim zobaczyć dziś wieczorem.

- Przecież nie mogę iść do niego i powiedzieć mu, że przejrzałem jego grę, ne?

- Nie, ale będziesz go błagał, żeby pozwolił ci popłynąć z Anjin-sanem, powiesz, że musisz natychmiast wyjechać. Wymyślimy jakiś wiarygodny powód.

- Ale jeżeli Anjin-san zaatakuje Nagasaki,! Czarną Karawelę, to czy oni nie przestaną handlować i nie odpłyną?

- Tak. Możliwe. Ale w przyszłym roku. A do przyszłego roku Toranaga zostanie regentem, przewodniczącym Rady. A ty jego naczelnym wodzem.

Yabu zszedł z obłoków.

- Nie - powiedział stanowczo. - Kiedy tylko zdobędzie władzę, każe mi popełnić seppuku.

- O wiele prędzej dostaniesz od niego Kantō. Yabu zamrugnął oczami.

- Jak to? - spytał.

- Toranaga za nic nie odda Kantō swojemu przyrodniemu bratu. Zataki jest dla niego nieustannym zagrożeniem. To dzikus, którego rozpiera pycha, ne? Toranaga z dziecinną łatwością podpuści Zatakiego, żeby go poprosił o centralne miejsce w szyku bitewnym. Jeżeli Zataki nie polegnie z czyjejś ręki. . to być może trafi go jakaś zabłąkana kula albo strzała? Zapewne kula.

Konieczniesz musisz poprowadzić do bitwy ten pułk muszkietów, wielmożny panie.

- A czy i mnie nie może trafić zabłąkana kula?

- Może. Ale ty nie jesteś krewnym Toranagi, a więc nie zagrażasz jego władzy. Staniesz się jego najbardziej oddanym wasalem. On potrzebuje dowódców wojskowych. Zasłużysz sobie na Kantō i

do tego właśnie powinieneś dążyć. Kiedy Ishido zostanie zdradzony, Toranaga da ci Osiem Prowincji, a dla siebie weźmie Osakę.

- Wasalem? Ale przecież powiedziałaś, żeby czekać. . a niedługo wca. .

- A teraz doradzam ci, żebyś go poparł z całych sił. Nie wykonuj wszystkich jego rozkazów ślepo jak Żelazna Pięść, ale z głową. Pamiętaj, Yabu-chan, że podczas bitwy, każdej bitwy, żołnierze popełniają omyłki, a zabłąkane kule naprawdę się zdarzają. Jak długo będziesz dowodził tym pułkiem, zachowasz wybór. . i dokonasz go w dogodnej chwili, ne?

- Tak - odparł Yabu, podziwiając żonę.

- Pamiętaj. Warto poprzeć Toranagę. To Minowara, a Ishido to chłop. Ishido to głupiec.

Teraz widzę to wyraźnie. Ishido już teraz, deszcz nie deszcz, powinien walić do wrót Odawary.

Czyż Omi-san nie mówił tego parę miesięcy temu? Czyż w Odawarze nie brakuje żołnierzy? Czy Toranaga nie jest osamotniony?

Yabu radośnie uderzył pięścią w podłogę.

- A więc mimo wszystko wojna! Jakże przebiegła jesteś, żeś go tak przejrzała! Och, a więc on przez cały czas bawił się z nami w lisa, ne?

- Tak - odparła, bardzo z siebie zadowolona.

*

Mariko doszła do tego samego zdumiewającego wniosku, choć nie na podstawie tych samych faktów. Toranaga na pewno udaje, rozumowała, prowadzi potajemną grę. To jedyne wytłumaczenie jego niewiarygodnego zachowania - zwrócenia Anjin-sanowi na oczach Tsukku-sana statku, pieniędzy, wszystkich dział i wolności. Teraz Anjin-san na pewno zaatakuje Czarną Karawelę.

Zdobędzie ją i zagrozi przyszłorocznej Czarnej Karaweli, a przez to bardzo zaszkodzi Kościołowi i zmusi świątobliwych ojców, żeby wymogli na Kiyamie i Onoshim zdradę Ishido..

Ale dlaczego to zrobił? Jeżeli to prawda, pomyślała zdezorientowana, i Toranaga ma takie dalekosiężne plany, to oczywiście nie pojedzie do Osaki i nie pokłoni się Ishido, ne? Jednak musi. .

Ach! A ta dzisiejsza zwłoka w wyjeździe, do której namówił go Hiro-matsu? Madonno na wysokościach, pan Toranaga wcale nie miał zamiaru się poddać! To był podstęp!

W jakim celu? Żeby zdobyć czas.

I co przez to zyskać? Zaczekać i przygotować tysiąc sztuczek. Więcej, nieważne jakich, bo liczy się tylko to, że Toranaga pozostaje sobą - wszechwładnym manipulatorem marionetek, który pociąga za wszystkie sznurki, Ile jeszcze potrwa, zanim Ishido straci cierpliwość, podniesie bitewne chorągwie

i ruszy na nas? Miesiąc. . najdalej dwa. Nie więcej. Tak więc przed dziesiątym, miesiącem obecnego piątego roku ery Keichō zacznie się bitwa o Kantō!

Tylko co Toranaga zyska w ciągu dwóch miesięcy? Nie wiem, wiem jedynie, że teraz mój syn ma szansę otrzymać swoje dziesięć tysięcy koku, żyć i mieć potomków i że ród mojego ojca być może nie zniknie z powierzchni ziemi.

Zaczęła się rozkoszować tą nowo zdobytą wiedzą, zastanawiając się nad nią, roztrząsając ją i dochodząc do wniosku, że logicznie jest bez zarzutu. Co jednak robić tymczasem? - zadawała sobie pytanie. Nic więcej ponad to, co robiłaś i na co się zdecydowałaś, odpowiedziała sobie. Ne? - Pani?

- Tak, Chimmoko?

- Przyszła Gyoko-san. Mówi, że była umówiona.

- A tak. Zapomniałam ci powiedzieć. Najpierw podgrzej sake, a potem wprowadź ją tutaj.

Mariko przyszły na myśl wydarzenia tego popołudnia. Przypomniała sobie uścisk jego ramion, taki bezpieczny, ciepły, mocny.

- Czy zobaczę cię dziś wieczorem? - spytał ostrożnie po odejściu Tsukku-sana i Yabu.

- Tak - odparła w porywie uczucia. - Tak, kochany. Och, jakże się cieszę z twojego powodu.

Powiedz Fujiko-san. . poproś ją, żeby posłała po mnie po godzinie Dzika.

Teraz w ciszy własnego domu ścisnęło ją w gardle. Jakie to głupie i jakie niebezpieczne, pomyślała.

Sprawdziła w lustrze fryzurę i makijaż i spróbowała się opanować. Zbliżyły się kroki.

Odsunięto shoji.

- O, pani - powiedziała Gyoko z głębokim ukłonem. - Jakże miło z twojej strony, że zechciałaś się ze mną spotkać.

- Proszę bardzo, Gyoko-san.

Napiły się sake, którego naląła im Chimmoko.

- Jaka śliczna porcelana, pani. Taka piękna.

Po wymianie grzeczności, Chimmoko została odesłana.

- Bardzo mi przykro, Gyoko-san, ale nasz pan nie pojawił się dziś po południu. Nie widziałam się z nim, chociaż mam nadzieję zobaczyć się z nim przed wyjazdem.

- Tak, słyszałam, że zamiast niego na nabrzeże przybył Yabu-san.

- Kiedy zobaczę się z wielmożnym panem Toranagą, spytam go jeszcze raz. Spodziewam się jednak, że jego odpowiedź będzie taka sama. - Mariko naląła obu sake. - Tak mi przykro, że nie spełni mojej prośby.

- Owszem, wierzę ci. Chyba że wywrze się na niego duży nacisk.

- Ja nie mogę zastosować żadnego nacisku. Bardzo żałuję.

- Ja również bardzo żałuję, pani.

Mariko odstawiła czarękę.

- A więc uznałaś, że niektóre języki nie są bezpieczne - powiedziała. -

- Czy gdybym chciała rozpowiedzieć twoje tajemnice, pani, tobym ci o tym powiedziała prosto w oczy? - spytała szorstko Gyoko. - Posądzasz mnie o taką naiwność?

- Może lepiej będzie, jeśli sobie pójdiesz. Bardzo przepraszam, ale mam tyle zajęć.

- To tak jak ja, pani! - odparła Gyoko, nastroszona. - Pan Toranagą spytał mnie wprost, co wiem o tobie i Anjin-sanie. Dzisiaj po południu. Powiedziałam mu, że nic pomiędzy wami nie ma. „O, tak, a jakże, słyszałam też podłe plotki, wielmożny panie, ale nie ma w nich krzty prawdy.

Przysięgam ci na głowę mojego syna i jego synów. Gdyby ktoś o tym wiedział, to ja na pewno. Wierz mi, że to wszystko wredne kłamstwo, plotka, plotka zazdrośników, wielmożny panie. .” A, tak, pani, wierzaj mi, byłam odpowiednio oburzona, grałam wspaniale i przekonałam go. - Gyoko wypła sake i dodała z goryczą w głosie: - A teraz wszystkie czeka marny los, jeśli on zdobędzie dowody. O co wcale nietrudno. Ne?

- W jaki sposób?

- Podda Anjin-sana próbie, stosując chińskie metody. Podda chińskim metodom Chimmoko, mnie, Kiku-san, Yoshinakę. . a nawet, przykro powiedzieć, ciebie, pani. . stosując metody Chińczyków.

Mariko wzięła głęboki oddech.

- Czy. . czy wolno spytać, czemu tak bardzo się narażasz? - spytała.

-: Ponieważ w pewnych sytuacjach kobiety muszą bronić się nawzajem przed mężczyznami.

Ponieważ ja właściwie nie widziałam nic. Ponieważ lubię ciebie i Anjin-sana i wierzę, że oboje macie własne karmy. A poza tym dlatego, że wolę, żebyś żyła i była moją przyjaciółką, niż zginęła. Ponadto fascynuje mnie obserwowanie, jak wy, troje ciem, krążycie wokół płomienia życia.

- Nie wierzę ci.

Gyoko zaśmiała się cicho.

- Dziękuję ci, pani. - Opanowała się i dodała z całkowitą szczerością: - A więc dobrze, zdradzę ci prawdziwy powód. Potrzebuję twojej pomocy. Tak, Toranaga-sama nie spełni mojej prośby, ale ty być może wymyślisz na to sposób. Jesteś moją jedyną nadzieją, drugiej takiej już w życiu mieć nie będę i nie zrezygnuję z niej tak łatwo. Tak więc wiesz już wszystko. A zatem proszę cię, błagam z całą pokorą o pomoc w spełnieniu mojego życzenia. - Położyła obie ręce na futonie i pokłoniła się nisko. - Zechciej wybaczyć mi moje natręctwo, pani Toda, ale jeżeli mi pomożesz, to wszystko, co mam, będzie na twoje zawołanie.

Gyoko usiadła na piętach, poprawiła fałdy kimona i dokończyła sake.

Mariko próbowała myśleć jasno. Intuicja podpowiadała jej, żeby zaufać tej kobiecie, ale jej umysł wciąż był pełen myśli o przejrzeniu zamiarów Toranagi i czuła ulgę, że Gyoko nie doniosła na nią, jak tego oczekiwała. Postanowiła więc odłożyć decyzję w jej sprawie na później.

- Tak, spróbuję - obiecała. - Musisz mi łaskawie dać na to czas.

- Dam ci coś lepszego. Oto fakty: Czy znasz Bractwo Amidy? Tych zabójców?

- A o co chodzi?

- Pamiętasz tego z zamku w Osace, pani? Chciał zabić Anjin-sana, a nie wielmożnego pana Toranagę. Zarządca pana Kiyamy zapłacił za tę usługę dwa tysiące koku.

- Kiyama? Ale dlaczego?

- To chrześcijanin, ne? Anjin-san już wtedy był dla niego wrogiem, a jeżeli wtedy, to co dopiero teraz? Teraz Anjin-san jest samurajem, jest wolny i ma statek.

- Jeszcze jeden zabójca z Bractwa Amidy? Tutaj?

Gyoko wzruszyła ramionami.

- Kto wie? Ale jeżeli Anjin-san nie będzie się pilnował poza murami zamku, to nie dałabym za jego życie opaski zawszonego eta.

- A gdzie jest teraz?

- W swojej kwaterze, pani. Masz zamiar wkrótce go odwiedzić, ne? Może dobrze byłoby przy okazji ostrzec go.

- Zdaje się, że wiesz o wszystkim, co się dzieje, Gyoko-san!

- Uszy mam otwarte, wielmożna pani. I oczy. Mariko stłumiła obawy o los Blackthorne'a.

- Czy powiedziałaś o tym panu Toranadze? - spytała.

- O, tak, powiedziałam mu o tym. - Kąciki ust Gyoko zmarszczyły się, łyknęła sake. - Prawdę

mówiąc, nie wyglądał na zaskoczonego. Ciekawe, prawda?

- Może się pomyliłaś.

- Może. W Mishimie słyszałam plotkę o zamiarze otrucia pana Kiyamy. Straszne, co?

- Jakim zamiarze?, Gyoko podała jej szczegóły.

- To niemożliwe! Jeden chrześcijański daimyō nie zrobiłby tego drugiemu!,- oświadczyła Mariko i napełniła czarki. - Wolno spytać, o czym jeszcze ze sobą rozmawialiście, ty i on?

- Po części o odzyskaniu przez nas jego łask i wydostaniu nas z tej zapchlonej gospody, wielmożna pani, na co przystał. Mamy otrzymać godziwe-pomieszczenia wewnątrz zamku, blisko Anjin-sana, w jednym z domów dla gości, a poza tym możemy poruszać się swobodnie. Poprosił, żeby Kiku-san zabawiła go dziś wieczorem, co wprawdzie nie rozproszy jego melancholii, ale to już jakiś postęp. Ne?

Gyoko przyglądała się badawczo Mariko. Ta jednak nie zmieniła miny i tylko skinęła głową.

Starsza kobieta westchnęła i mówiła dalej.

- Tak, jest bardzo smutny. Szkoda. Część rozmowy poświęciliśmy tym trzem tajemnicom.

Kazał mi powtórzyć, co wiem, wszystko to, o czym ci napomknęłam.

Aha, pomyślała Mariko, kiedy następny element zagadki dopasował się do całości. Ochiba? A więc to jest ta przynęta dla Zatakiego. A ponadto Toranaga otrzymał pałkę, którą w razie potrzeby może przywołać do porządku Omiego, a do tego broń przeciwko Onoshiemu i Harimie, a nawet przeciwko Kiyamie.

- Uśmiechasz się, pani?

O, tak, chciała odpowiedzieć Mariko, chcąc się podzielić z Gyoko swoim rozradowaniem.

Chciała jej powiedzieć: „Jakże cenne są twoje informacje dla naszego pana. Powinien cię za to ozłocić! Powinnaś otrzymać tytuł daimyō! Jakiż to niezwykły człowiek, że wysłuchał cię, nie okazując na pozór najmniejszego zainteresowania. Jaki wspaniały!”

Ale pani Toda Mariko-no-Buntaro tylko potrząsnęła głową i odparła jakby nigdy nic:

- Bardzo mi przykro, że twoje informacje go nie pocieszyły.

- Nic z tego, co mu powiedziałam, nie poprawiło mu humoru, był posepny i zrezygnowany. To smutne, ne?

- Tak, bardzo mi przykro.

- Tak. - Gyoko głośno wciągnęła nosem powietrze. - Nim jednak sobie pójdę, pani, dla umocnienia naszej przyjaźni chciałabym ci powiedzieć jeszcze coś, co może cię zainteresować.

Bardzo możliwe, że Anjin-san jest bardzo płodnym mężczyzną.

- Słucham?

- Kiku-san jest w ciąży.

- Z Anjin-sanem?

- Tak. Albo z panem Toranaga. Niewykluczone też, że z panem Omim. Wszyscy robili to w odpowiednim czasie. Po wizycie pana Omiego zastosowała oczywiście zwykłe środki ostrożności, ale, jak wiesz, żadna metoda nie jest doskonała, niczego nie da się zagwarantować, a błędy się zdarzają, ne? Wydaje jej się, że zapomniała tego zrobić po wizycie Anjin-sana, ale nie jest pewna. W tym dniu przybył do Anjiro posłaniec i w podnieceniu spowodowanym wyjazdem do Yokose oraz wykupieniem jej kontraktu przez pana Toranagę. . jest to zrozumiałe, ne? - Gyoko podniosła rękę, ogromnie przejęta. - Natomiast po wizycie pana Toranagi, za moją namową, postąpiła przeciwnie. I obie zapaliłyśmy trociczki i pomodliłyśmy się o chłopca. Mariko Wpatrywała się pilnie we wzór na wachlarzu.

- Kto jest ojcem? Jak myślisz? - spytała.

- W tym cały kłopot, wielmożna pani. Nie wiem. Byłabym ci wdzięczna za radę.

- To poczęcie musi być, oczywiście, przerwane. Kiku-san niczym to nie grozi.

- Ja się zgadzam. Ale, niestety, nie zgadza się na to ona.

- Co takiego? To niesłychane, Gyoko-san! Ależ ona musi to zrobić. Albo trzeba zawiadomić o wszystkim pana Toranagę. W końcu stało się to, zanim. .

- Być może stało się to przed jego wizytą, wielmożna pani.

- Pan Toranaga musi o tym wiedzieć. Dlaczego Kiku-san jest taka nieposłuszna i niemądra?, -

Karma, pani. Ona chce mieć dziecko.

- Czyje dziecko?

- Tego nie powie. Oświadczyła jedynie, że każdy z tej trójki ma swoje zalety.

- Mądrze by zrobiła pozbywając się tego dziecka, a następnym razem miała pewność co do ojca. i, -
Zgadza się. Pomyślałam sobie, że ty, pani, powinnaś wiedzieć o tej sprawie, na wypadek. .

Zanim zaczniesz być coś widać albo zanim będzie za późno na bezpieczne poronienie, minie wiele, wiele dni. Może Kiku-san zmieni zdanie. W tym przypadku nie mogę jej do niczego zmusić. Nie jest

już moją własnością, choć tymczasem staram się nią opiekować. Byłoby wspaniale, gdyby ojcem tego dziecka okazał się pan Toranaga. Ale założmy, że będzie miało niebieskie oczy. . Jeszcze jedna rada, wielmożna pani. Powiedz Anjin-sanowi, żeby ufał temu Urzędę tylko do pewnych granic, ale w żadnym razie w Nagasaki. Tam za nic. Ostatecznie ten przechrzta zawsze będzie powolny swojemu wujowi, panu Harimie.

- Skąd dowiadujesz się o tych wszystkich sprawach, Gyoko-san? - spytała Mariko.

- Mężczyźni mają potrzebę powierzenia innym swoich tajemnic, pani. Tym właśnie różnią się od nas. . muszą dzielić się z kimś swoimi sekretami, ale my, kobiety, odsłaniamy je tylko wówczas, kiedy chcemy zapewnić sobie przewagę. Jeżeli ma się troszkę srebra i czujne ucho, a ja mam i to, i to, bardzo o to łatwo. Tak, mężczyźni muszą dzielić się swoimi sekretami. Dlatego właśnie jesteśmy od nich lepsze i zawsze będą w naszym ręku.

51.

W ciemnościach tuż przed świtem krata w bocznej bramie podniosła się bezszelestnie i przez wąski zwodzony most nad wewnętrzną fosą przeszło dziesięciu mężczyzn. Żelazna krata opadła za nimi. Stojący po drugiej stronie mostu strażnicy z rozmysłem odwrócili się do nich plecami i pozwolili im przejść” nie sprawdzając tożsamości. Cała dziesiątka - Naga, Yabu, Blackthorne, Urąga i sześciu samurajów - nosiła ciemne kimona, stożkowate kapelusze i mocno ścisnęła miecze. Naga, z Yabu przy boku poprowadził ich bezbłędnie przez labirynt bocznych, pnących się w górę i opadających w dół schodów oraz mało uczęszczane zaułki. Wszystkim napotkanym, bez wyjątku czujnym patrolom i strażom, Naga okazywał srebrne godło i oddziałek przepuszczano bez zatrzymywania i wypytywania.

Tuż przed kordonem otaczającym nabrzeże, przy którym cumował Erasmus, towarzysząca od Pierwszego Mostu dziesiątce przybyszów eskorta samurajów zatrzymała się, jej dowódca dał im znak, by poszli dalej, zasalutował, a potem wraz z podkomendnymi odwrócił się i wtopił z powrotem w ciemności.

Naga przeprowadził oddziałek przez bariery. Bez słowa wpuszczono ich na nabrzeże. Paliło się tam więcej pochodni i stało więcej strażników niż poprzednio..

- Wszystko gotowe? - spytał Yabu, przejmując dowództwo.

- Tak, wielmożny panie - odparł dowódca samurajów.

- Dobrze. Zrozumiałeś, Anjin-san?

- Tak, dziękuję, Yabu-san.

- Doskonale. Pośpiesz się.

Blackthorne spostrzegł, że jego samuraje stoją z boku, tworząc luźny kwadrat, i, tak jak było ustalone, dał Urągę znak, żeby do nich dołączył. Pośpieszył na statek, a kiedy wreszcie znalazł się rozradowany na własnej rufówce, ponownie zlustrował go wzrokiem, sprawdzając wszystko jeszcze raz od nowa. Na ciemnym niebie nie było jeszcze znać żadnych zwiastunów brzasku. Wszystko wskazywało, że dzień będzie ładny, a morze spokojne.

Spojrzał na nabrzeże. Yabu i Naga byli zajęci rozmową, a Urąga wyjaśniał jego poddanym, co się dzieje. I wtedy znów otworzono bariery, wpuszczając na plac wśród zgryźliwych żartów strażników wyraźnie załężnionych Baccusa van Nekka i resztę jego załogi. .

Blackthorne podszedł do nadburcia i zawołał:

- Hej! Wejdźcie na pokład!

Kiedy jego ludzie dojrzel go, ich lęk nieco opadł i przyśpieszyli kroku, ale strażnicy obrzucili ich przekleństwami, więc stanęli jak wryci.

- Uraga-san! - krzyknął Blackthorne. - Każ im wpuścić moich ludzi na pokład. Natychmiast!

Uraga skwapliwie wypełnił polecenie. Samuraje wysłuchali go, uklonili się w stronę statku i wpuścili załogę.”

Pierwszy znalazł się na pokładzie Vinck, ostatni wdrapał się po omacku Baccus. Europejczycy Byli nadął wystraszeni, ale żaden nie wszedł na rufówkę, która była wyłączną domeną Blackthorne’a.

- Jezu Chryste, pilocie - wysapał Baccus i głośniejszym głosem zapytał: - Co się dzieje?

- Co się stało, pilocie? - dołączył z pytaniem Vinck wraz z pozostałymi. - Rany boskie, spokojnie sobie śpimy, a tu raptem wybucha piekło, drzwi otwierają się na oścież, a te mały pędzą nas tutaj. .

- Posłuchajcie! - rzekł Blackthorne, podnosząc rękę, a kiedy zapadła cisza, cicho mówił dalej: -

Zabieramy stąd Erasmusa do bezpiecznej zatoki za. .

- Nie mamy dość ludzi, pilocie - przerwał mu zaniepokojony Vinck. - Za nic. .

- Posłuchaj, Johann! Japończycy pohołują nas. Lada chwila zjawi się tu drugi statek. Ginsel, idź na dziób. . zajmiesz się ołowianką. Vinck, stań za sterem, Jan Ropper i Baccus obsadzą kołowrót z przodu, a Salamon z Croocciem na rufie. Sonk, zejź na dół i sprawdź ładownie. Jeżeli znajdziesz jakiś grog, to go wytocz. Stań w dryfie!

- Chwileczkę, pilocie! - powiedział Jan Roper. - Po co ten cały pośpiech? Dokąd płyniemy i dlaczego?

Blackthorne zachnął się na takie wypytywanie, ale przypomniał sobie, że przecież mają prawo to wiedzieć, że nie są poddanymi ani eta, tylko jego załogą, towarzyszami żeglugi i do pewnego stopnia niemal współnikami.

- To początek pory burz. Nazywają je tai-funami, wielkimi burzami - odparł. - Na przystani Erasmus nie jest bezpieczny. Po drugiej stronie zatoki, kilka mil morskich na południe, jest najlepsze i najbezpieczniejsze kotwicowisko w tej okolicy. Znajduje się nie opodal wioski Jokohama.

Erasmus będzie tam bezpieczny i przetrzyma każdy sztorm. A teraz, stanąć w dryfie! Nikt się nie poruszył.

- Tylko kilka mil morskich, pilocie? - spytał van Nekk.

- Tak.

- A co potem? I po co ten pośpiech?

- Pan Toranaga pozwolił mi to zrobić teraz - odparł Blackthorne, wyjawiając im tylko część prawdy. - Pomyślałem, że im prędzej, tym lepiej. Bo znowu może zmienić zdanie, ne? W Jokohamie. .

Odwrócił głowę, bo na pokład wszedł Yabu w asyście sześciu strażników. Europejczycy natychmiast zeszli mu z drogi.

- O Chryste - wydusił z siebie Vinck. - To on! To ten psi syn, który zamęczył Pieterzoona!

Yabu z szerokim uśmiechem wspiął się prawie na pokład rufowy, świadom przerażenia, jakie ogarnęło załogę, kiedy go rozpoznała. Wskazał na morze.

- Anjin-san, patrz! - powiedział. - Tam! Wszystko doskonale, ne?

Z ciemności na zachodzie wyłoniła się bezgłośnie galera, sunąc w ich stronę niczym olbrzymia morska gąsienica.

- Dobrze, Yabu-sama! Chcesz zostać tutaj?

- Później," Anjin-san.

Yabu zszedł ze szczytu schodni, a Blackthorne jeszcze raz zwrócił się do ziomków.

- Na dziób. Migiem. . i uważać, co mówicie. Porozumiewajcie się pomiędzy sobą tylko rynsztokowym holenderskim. . na pokładzie jest Japończyk, który zna portugalski! Pogadam z wami, kiedy odpłyniemy. Ruszajcie się!

Członkowie jego załogi rozproszyli się, radzi, że schodzą z oczu Yabu. Na pokład wbiegli susami Urąga i dwudziestu samurajów Blackthorne'a. Pozostali ustawili się na nabrzeżu, szykując do wejścia na" pokład.

- To twoja straż przyboczna, senhor, jeśli pozwolisz - rzekł Urąga.

- Nazywam się Anjin-san, nie senhor - odparł Blackthorne.

- Bardzo przepraszam, Anjin-san - powiedział Urąga i ruszył po schodni.

- Stać! Zostań na dole! Na rufówkę nikt nie wejdzie bez mojego pozwolenia! Powiedz to im.

- Tak, Anjin-san. Proszę o wybaczenie.

Blackthorne podszedł do burty, żeby się przyjrzeć galerze, która właśnie wpływała do przystani tuż na zachód od, nich.

- Ginsel! Zejdź na brzeg i dopilnuj, żeby wzięli nasze liny holownicze! - polecił. - Niech je umocują jak należy! Chyżo!

Przejąwszy dowództwo statku, Blackthorne zlustrował swoich dwudziestu samurajów.

- Dlaczego wybrałeś tylko takich, którzy przedtem nosili pęta, Urąga-san? - spytał.

- Bo należą do jednego rodu, Anjin-san. Są jak bracia, wielmożny panie, Dopraszali się o zaszczyt ochraniańcia ciebie.

- Anatawa. . anatawa. . anatawa. . - Blackthorne na chybił trafił wskazał dziesięciu Japończyków i kazał im zejść na brzeg. Zastąpili ich inni, wybrani również na chybił trafił przez Uragę, który wyjaśnił im, że na polecenie Blackthorne'a wszyscy mają się traktować jak bracia, bo jeżeli nie zechcą, to od razu mogą popełnić seppuku.

- Wakarimasu?

- Hai, Anjin-san. Gomen nasai.

Wkrótce potem liny holownicze umocowano na pokładzie drugiego statku. Blackthorne sprawdził wszystko i wykorzystując swój żeglarski instynkt zbadał wiatr. Dobrze wiedział, że nawet na najspokojniejszych wodach zatoki w Edo, jeśli zacznie się nagły szkwał, czeka ich niebezpieczny rejs.

- Odbijamy!, - zawołał. - Ima, kapitan-san!

Kapitan galery dał znak ręką i odbił od nabrzeża. Na jej pokładzie, zatłoczonym przez samurajów i poddanych Blackthorne'a, płynął Naga. Yabu stał obok Blackthorne'a na rufówce Erasmusa. Statek przechylił się i lekko zadrżał, napotykając morski prąd. Blackthorne'a i jego ludzi rozsadzała radość, a podniecenie tym, że znów płyną, przesłaniało troski. Ginsel wychylał się przez maleńki, zabezpieczony linami pomost na prawej burcie, spuszczał ołowiankę i wykrzykując pomiary głębokości. Nabrzeże zaczęło zostawać w tyle.

- Ahoj w przodzie, yukkuri sei! (Zwolnić!)

- Hai, Anjin-san! - odkrzyknięto.

Statki z kotwicznymi światłami na masztach płynęły razem, przedzierając się ku prądowi zatokowemu.

- Dobrze, Anjin-san - powiedział Yabu. - Bardzo dobrze!

Odczekał, aż statki wypłyną kawałek w morze, a potem wziął Blackthorne'a na bok.

- Anjin-san - zaczął ostrożnie. - Wczoraj uratowałeś mi życie. Rozumiesz? Odwołując tych roninów. Pamiętasz?

- Tak. To był tylko mój obowiązek.

- Nie, nie obowiązek. A Anjiro, pamiętasz tamtego człowieka, żeglarza. . pamiętasz?

- Tak, pamiętam.

- Shigata ga nai, ne? Karma, ne? Było to przed samurajem i hatamoto.. - Yabu, z oczami błyszczącymi

w świetle latarni pokładowej, dotknął miecza Blackthorne'a, a potem rzekł cicho i wyraźnie: - Przed otrzymaniem miecza, ne? Jak samuraj samuraja proszę cię, zapomnij o wszystkim co przedtem. Zaczniemy od nowa. Dziś wieczorem. Zgoda? Rozumiesz?.

- Tak, rozumiem.

- Potrzebujesz mnie, Anjin-san. Beze mnie nie ma barbarzyńskich wako. Sam ich nie zdobędziesz. Nie w Nagasaki. Nigdy? Ja ich zdobędę, pomogę ci ich zdobyć. Teraz walczymy po tej samej stronie. Po stronie Toranagi. Po tej samej stronie. Beze mnie nie ma wako, rozumiesz?

Blackthorne przez chwilę przyglądał się galerze płynącej przed nimi, a potem sprawdził pokład i co robią jego marynarze. W końcu spojrzał na Yabu.

- Tak, rozumiem - odparł.

- Rozumiesz „nienawiść”, słowo „nienawiść”?

- Tak.

- Nienawiść bierze się z lęku. Ja się ciebie nie boję. Ty nie musisz się bać mnie. Już nigdy.

Chcę tego, co chcesz ty: twoich nowych statków tutaj, ciebie tutaj, kapitanów nowych statków.

Mogę ci bardzo dużo pomóc. Po pierwsze, z Czarną Karawelą. . o, tak, Anjin-san - zapewnił Yabu widząc, jak na twarzy Blackthorne'a rozlewa się radość. - Namówię pana Toranagę. Wiesz przecież, że jestem wojownikiem, ne? Poprowadzę atak. Zdobędę dla ciebie Czarną Karawelę, walcząc na lądzie. Razem jesteśmy silniejsi niż w pojedynkę. Ne?

- Tak. To możliwe dostać więcej ludzi? Więcej niż moje dwieście?

- Jeżeli potrzebujesz, dwa tysiące. . pięć tysięcy! Nie martw się, poprowadzisz atak. . ja poprowadzę bój. Zgoda?

- Tak. Uczciwa umowa. Dziękuję. Zgoda.

- Dobrze, bardzo dobrze, Anjin-san - rzekł zadowolony Yabu. Wiedział, że na tym partnerstwie skorzystają obaj, bez względu na to, jak bardzo barbarzyńca go nienawidzi. Logika rozumowania Yuriko ponownie okazała się bezbłędna.

Obserwował barbarzyńcę, jak stoi wysoki, wyniosły, w lekkim rozkroku, z łatwością poddając się rozkołysowi fal i najwyraźniej będąc częścią tego statku, taki potężny, mocny, inny. Tak bardzo inny niż na brzegu. Yabu świadomie przybrał taką samą pozę, wiernie naśladowując Blackthorne'a. .

- Chcę więcej niż Kantō, Yuriko-san - szepnął żonie tuż przed wyjściem z domu. - Chcę jeszcze jednego. Chcę władzy na morzu. Chcę zostać naczelnym admirałem floty. Poprzemy plan Omiego całym zyskiem z Kantō, żeby pod naszą strażą wysłać barbarzyńcę do jego ojczyzny zakupić tam

więcej statków i sprowadzić je-tutaj. Orni pojedzie z nim, ne?

- Tak - odparła, równie uszczęśliwiona jak on. - Jemu możemy ufać.

Nabrzeże w Edo opustoszało. Ostatni strażujący samuraje znikali właśnie w uliczkach prowadzących do zamku. Ojciec Alvito wychynął z Cieni, a przy jego boku brat Michał. Alvito spojrzał na morze.

- Niechaj Bóg przeklnie ten statek i wszystkich na nim - powiedział.

- Z wyjątkiem jednego, ojczu. Na statku płynie jeden z naszych. I Naga-san. Naga-san przysiągł, że w pierwszym miesiącu następnego roku zostanie chrześcijaninem.

- Jeżeli dożyje do tego czasu - odparł Alvito, pełen pesymizmu. - Nie znam Nagi, może myśli o tym poważnie, a może nie. Ten statek zniszczy nas i nic na to nie poradzimy.

- Bóg nam dopomoże.

- Tak, ale na razie jesteśmy Jego żołnierzami i to my musimy dopomóc Bogu. Trzeba natychmiast ostrzec ojca wizytatora i generała-gubernatora. Czy znalazłeś już gołębia pocztowego do Osaki?

- Nie, ojczu, nie sposób go znaleźć za żadne pieniądze. Ani też żadnego do Nagasaki. Wiele miesięcy temu Toranaga-sama rozkazał przekazać sobie wszystkie.

Pesymizm Alvita jeszcze bardziej wzrósł.

- Ktoś musi mieć jakiegoś! - odrzekł. - Zapłać, ile zażąda. Ten - heretyk strasznie nam zaszkodzi, Michale.

- A może jednak nie, ojczu.

- To dlaczego odholowują ten statek gdzie indziej? Oczywiście, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo, ale jeszcze bardziej po to, żebyśmy nie mogli go osiągnąć. Dlaczego Toranaga podarował temu heretykowi dwustu wako i zwrócił srebro? Bo chce go użyć do zaatakowania nas, a monety mają posłużyć wynajęciu piratów, artylerzystów i marynarzy. Po co zwracałby Blackthorne'owi wolność? Po to, żeby zagrabić Czarną Karawelę. Boże, miej nas w opiece. Toranaga też nas porzuca!

- To myśmy go porzucili, ojczu!

- Nic nie możemy zrobić, żeby mu pomóc! Próbowaliśmy wszystkiego z tymi daimyō! Jesteśmy bezradni.

- Może gdybyśmy modlili się mocniej, to Pan Bóg podsunąłby nam jakiś sposób.

- Modlę się i modlę, ale... może Bóg nas opuścił, Michale, i słusznie. Może nie zasługujemy na Jego miłosierdzie. Ja wiem, że na nie nie zasługuję.

- A może Anjin-sanowi nie uda się znaleźć tych artylerzystów i marynarzy. Może nigdy nie dopłynie

do Nagasaki.

- Za to srebro kupi wszystkich, jakich potrzebuje. Nawet katolików. . nawet Portugalczyków.

Ludzie w głupocie swojej bardziej dbają o świat doczesny niż o tamten. Nie przejrzą na oczy.

Swoje dusze sprzedają o wiele za łatwo. Tak jest. Modłę się, żeby Blackthorne nigdy tam nie dotarł.

Ani jego wysłannicy! Nie zapominaj, że on wcale nie musi się tam zjawić osobiście. Tych ludzi można kupić i mu przywieźć. Chodź, bracie, wracajmy do domu.

Przygnębiony Alvito skierował się do misji jezuitów, odległej stamtąd o mniej więcej milę na zachód i usytuowanej blisko portu, za jednym z wielkich składów, w którym zwykle przechowywano jedwabie i ryż. Był on częścią rynku handlowego, którym jezuita zarządzali w imieniu nabywców i sprzedających.

Przez jakiś czas szli nad brzegiem. W pewnej chwili Alvito zatrzymał się i znów spojrzał na morze. Świtało. Nie zobaczył już statków.

- Jakie mamy szanse, że nasz list dotrze? - spytał.

Wczoraj Michał odkrył, że jeden z nowych wasali Blackthorne'a jest chrześcijaninem. Kiedy zeszłego wieczoru przez podziemną siatkę szpiegów przekazano mu wieści, że coś ma się wydarzyć z Anjin-sanem i jego statkiem, Alvito pośpiesznie napisał zaszyfrowany list do del 'Aquy, przekazując przełożonemu najnowsze wiadomości. Ubłagał też poddanego Blackthorne'a, żeby, jeśli kiedyś dotrze do Osaki, dostarczył ów list potajemnie adresatowi.

- Ta wiadomość dotrze - zapewnił cichym głosem brat Michał. - Nasz człowiek wie, że płynie z wrogiem.

- Niech Bóg czuwa nad nim, da mu siłę i niech ukarze Uragę. - Alvito spojrzał na młodszego akolitę.
- Dlaczego stał się apostata? - spytał.

- Powiedział ci to, ojciec - odparł brat Michał. - Chciał zostać kapłanem wyświęconym w naszym Towarzystwie. To nie była przesadna prośba dla dumnego sługi Pana Jezusa.

- Był za dumny, bracie. Bóg w mądrości swojej powiódł go na pokuszenie i odkrył jego żądzę.

- Tak. Modłę się, żeby nie odkrył jej we mnie, kiedy przyjdzie moja kolej.

Alvito minął misję jezuitów, idąc w stronę wielkiej parceli, wyznaczonej przez Toranagę pod budowę katedry, która już wkrótce powinna wyrosnąć z tej ziemi na chwałę Pana. Jezuita widział ją już oczami wyobraźni: wysoką, majestatyczną, a jednak delikatną budowlę, dominującą nad miastem, z niezrównanymi dzwonami, odlanymi w Makau, Goi albo nawet w samej Portugalii i wydzwaniającymi najrozmaitsze melodie, oraz z ogromnymi drzwiami z brązu, zawsze szeroko otwartymi przed wierną samurajską szlachtą. Czuł woń kadzidła i słyszał łacińskie śpiewy.

Ale wojna zniszczy te marzenia, powiedział sobie. Wojna przyjdzie znowu, żeby zrujnować ten kraj, i pozostanie tu tak, jak zawsze było.

- Ojcie! - szepnął do niego ostrzegawczo brat Michał.

Przed nimi stała kobieta, patrząc na wyłaniające się już, częściowo wykopane fundamenty katedry. Obok niej dwie służące. Alvito czekał bez jednego ruchu, przyglądając się jej w półmroku.

Twarz miała zasłoniętą i była bogato ubrana. Brat Michał poruszył się nieznacznie. Nogą dotknął kamienia i popchnął go z klekotem na żelazny szpadel, niewidoczny w szarówce. Zaskoczona kobieta obróciła się ze zdrygnięciem. Alvito rozpoznał ją.

- Mariko-san? - spytał. - To ja, ojciec Alvito.

- i Ojciec? Och, właśnie. . właśnie szłam zobaczyć się z tobą. Niedługo wyjeżdżam, a przed odjazdem chciałam z tobą porozmawiać. Alvito podszedł do niej.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Mariko-san. Tak. Słyszałem, że wyjeżdżasz. Kilka razy próbowałem zobaczyć się z tobą, lecz w tej chwili w dalszym ciągu nie mam wstępu do zamku.

Mariko bez słowa obejrzała się na podwaliny katedry. Alvito zerknął na brata Michała, który również był zdumiony faktem, że tak ważna dama porusza się w tak skromnej asyście, o tak wczesnej porze i bez zapowiedzenia.

- Przyszłaś tu tylko po to, żeby się ze mną zobaczyć, Mariko-sari? - spytał Alvito.

- Tak. I zobaczyć, jak odpływa ten statek.

- Czym ci mogę służyć?

- Chcę się wyspowiadać.

- Więc zrobmy to tutaj - rzekł. - Niechże twoja spowiedź będzie pierwszą dokonaną w tym miejscu, chociaż ziemię tę dopiero co poświęcono.

- Przepraszam, ojcie, ale czy mógłbyś tu odprawić mszę?

- Tutaj nie ma kościoła, ołtarza, ornatów ani wina i hostii. Mogę to zrobić w naszej kaplicy, jeżeli pój. .

- A czy możemy dziś wypić cha z pustej filiżanki, ojcie? Bardzo proszę - powiedziała cichutko. - Wybacz mi tę prośbę. Jest tak mało czasu.

- Tak - zgodził „się od razu, w lot ją pojmując.

Tak więc poszli tam, gdzie być może kiedyś, we wspianiałej nawie pod wysokim sklepieniem, stanie

ołtarz. Dziś dachem katedry było jaśniejsze niebo, a majestatyczny chór tworzyły głosy ptaków i przybrzeżnych fal. Zaintonował uroczystą, piękną śpiewaną mszę, w czym dopomógł mu brat Michał i razem sprowadzili Nieskończonego na ziemię.

Ale przed udzieleniem Mariko sakramentu w postaci wyobrażonej hostii urwał i rzekł:

- A teraz muszę wysłuchać twojej spowiedzi, Mario.

Dał bratu Michałowi znak, żeby odszedł, usiadł na kamieniu w wymyślonym konfesjonale i zamknął oczy. Mariko uklękła.

- Wyznaj przed Bogiem - powiedział.

- Zanim zacznę, ojcze, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Ja czy Pan Bóg, Mario?

- Przed Bogiem błagam o to ciebie.

- A o co chodzi?

- O życie Anjin-sana w zamian za pewną wiadomość.

- Nie w mojej mocy jest dawać lub odbierać życie.

- Tak. Przepraszam, ale można przecież rozpowszechnić wśród chrześcijan rozkaz zabraniający składania jego życia w ofierze Bogu.

- Anjin-san to wróg. Straszliwy wróg naszej Wiary.

- Tak. Ale mimo to błagam o jego życie. W zamian. . w zamian, być może, będę mogła bardzo pomóc.

- W jaki sposób?:

- Gzy obiecujesz, że to dla mnie zrobisz, ojcze? Przed Panem Bogiem?;

- Nie mogę ci składać takich obietnic. Nie mnie jest cokolwiek dawać lub odbierać. Z Bogiem nie ma targów.

Klęcząc przed nim na twardej ziemi, Mariko zawahała się. A potem ukloniła się i chciała wstać.

- A więc dobrze - powiedziała. - W takim razie, wybacz mi. .

- Przedstawię twoją prośbę ojcu Wizytatorowi - przerwał jej Alvito.

- Przepraszam bardzo, ojcze, ale to nie wystarczy.

- Przedstawię mu ją i będę błagał na wszystkie świętości, żeby ją rozważył.

- Jeżeli to, co ci powiem, będzie ogromnie ważne, czy przysięgniesz mi przed Bogiem, że zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby pomóc mu i go strzec, jeśli tylko nie będzie to bezpośrednio godziło w Kościół?

- Tak. Jeżeli nie będzie godziło w Kościół.

- Wybacz mi, ale czy zgadzasz się również na przedstawienie mojej prośby ojcu wizytatorowi?

- Bóg mi świadkiem, że tak.

- Dziękuję ci, ojcze. A więc posłuchaj. . - zaczęła mówić i opowiedziała mu o swoich domysłach dotyczących Toranagi i jego podstępu.

Nagle Alvitowi wszystko zaczęło się zgadzać.

- Masz rację, masz na pewno rację! - powiedział. - Boże, przebac mi, jakże mogłem być taki głupi!

- Posłuchaj dalej, ojcze, oto więcej faktów - dodała i szeptem przekazała mu tajemnice związane z Zatakim i Onoshim.

- To niemożliwe!

- Krąży też pogłoska, że pan Onoshi planuje otruć pana Kiyamę.

- Niemożliwe!

- Wybacz mi, ojcze, ale bardzo możliwe. To są przecież odwieczni wrogowie.

- Kto ci to wszystko powiedział, Mario?

- Krąży wieść, że Onoshi otruje pana Kiyamę w tym roku podczas święta błogosławionego świętego Bernarda - powiedziała ze znużeniem Mariko, umyślnie nie odpowiadając na jego pytanie. -

Nowym władcą wszystkich ziem Kiyamy zostanie syn Onoshiego. Generał Ishido zgodził się na to pod warunkiem, że wcześniej mój pan znajdzie się w Wielkiej Pustce.

- A co z dowodami, Mariko-san? Gdzie dowody na to?

- Bardzo mi przykro, nie mam żadnych. Ale pan Harima jest wtajemniczony we wszystko.

- Skąd o tym wiesz? Skąd wie o tym Harima? Twierdzisz, że należy do tego spisku?

- Nie, ojcze. Twierdzą tylko tyle, że jest w niego wtajemniczony.

- Niemożliwe! Onoshi jest na to za dyskretny i o wiele za sprytny. Gdyby coś takiego planował, to nikt by się o tym nie dowiedział. Skąd masz tę wiadomość?

- Bardzo przepraszam, wybacz mi, ale ci nie powiem. Wierzę jednak, że to prawda.

Alvito szybko dokonał w myślach przeglądu ewentualnych źródeł wiadomości. A potem rzekł:

- Urąga! Urąga był spowiednikiem Onoshiego! Matko Święta! Urąga złamał święty sakrament spowiedzi i zdradził tajemnicę swojemu lennemu panu. .

- Może ta tajemnica nie odpowiada prawdzie, ojczcie. Ale ja wierzę, że jednak tak. Tylko jeden Bóg wie, jak jest naprawdę, ne?

Mariko nie podniosła woalu, więc Alvito nie widział jej twarzy. Na niebo w górze wlewał się już brzask. Alvito spojrział na morze. Na widnokręgu zobaczył dwa statki płynące na południowy zachód.

Wiosła galery zanurzały się rytmicznie w wodzie, wiał półwiatr, a morze było spokojne. Bolało go w piersi, a w głowie huczało od ech usłyszanych, niezwykle ważnych wieści. Modlił się do Boga o pomoc i próbował oddzielić fakty od zmyśleń. W głębi duszy wiedział jednak, że wyjawione przez Mariko tajemnice są prawdą, a jej wnioski bezbłędne.

- Twierdzisz, że pan Toranaga przechytry Ishido.. że wygra?

- Nie, ojczcie. Nikt nie wygra, ale bez waszej pomocy pan Toranaga przegra. Panu Zatakiemu nie można ufać. Zataki zawsze pozostanie największym zagrożeniem dla mojego pana. Zataki w końcu dowie się o tym i zorientuje, że wszystkie obietnice pana Toranagi są bez pokrycia, ponieważ ostatecznie Toranaga i tak na pewno musi usunąć go ze swojej drogi. Gdybym to ja była Zatakim, to zgładziłabym pana Sudarę, panią Genjiko i ich potomstwo zaraz po ich oddaniu się w moje ręce i bezzwłocznie zaatakowałabym północne linie obrony Toranagi; Pchnęłabym swoje oddziały na północ, co natychmiast wyrwałoby z głupiego letargu Ishido, Ikawę Jikkyu i całą resztę. Toranagę można zgnieść ogromnie łatwo, ojczcie.

Alvito odczekał chwilę.

- Podnieś woal, Mario - powiedział. Zobaczył jej zgnębioną minę i spytał: - Dlaczego mi to wszystko powiedziałaś?

- Żeby ocalić życie Anjin-sana.

- To dla niego popełniasz zdradę, Mario? Ty? Toda Mariko-no-Buntaro, córka generała Akechiego Jinsai, popełniasz zdradę z powodu cudzoziemca? Chcesz, żebym w to uwierzył?

- Nie, przepraszam, także. . także dlatego, żeby ochronić Kościół. Przede wszystkim, żeby ochronić Kościół, ojczcie. . nie wiem, co robić. Myślałam, że ty mógłbyś. . pan Toranaga jest jedyną nadzieją Kościoła. Może zdołasz mu jakoś pomóc. . żeby ochronić Kościół. Pan Toranaga wymaga pomocy, to dobry, mądry człowiek i Kościół przy, nim rozkwitnie. Ja wiem, że prawdziwym wrogiem Kościoła jest Ishido.

- Większość chrześcijańskich daimyō uważa, że jeżeli Toranaga pokona kiedyś Ishido i zdobędzie władzę, zniszczy Kościół i następcę.

- Może to zrobić, ale wątpię. Będzie traktował Kościół dobrze. Zawsze go tak traktował.

Ishido jest zdecydowanym wrogiem chrześcijan. Tak samo pani Ochiba.

- Wszyscy chrześcijańscy możni władcy w Japonii są przeciwko Toranadze.

- Ishido to chłop. Toranaga jest prawy, mądry i pragnie rozwoju handlu.

.- Bez względu na to, kto ma władzę, handel musi istnieć.

- Pan Toranaga był zawsze twoim przyjacielem, jeżeli więc zachowasz się wobec niego uczciwie, to odpłaci ci tym samym. - Wskazała na fundamenty katedry. - Czyż to nie jest miarą jego uczciwości? Dał ten grunt z własnej woli, dałby go nawet, gdybyś go zawiódł i gdybyś stracił

wszystko, także twoją przyjaźń.

- Być może.

- I jeszcze jedno, ojcze, z pewnością wiesz, że tylko pan Toranaga może zapobiec nieustannej wojnie. Jako kobieta błagam cię o to, bo nie chcę wiecznej wojny.

- Tak, Mario. Tylko on jeden jest w stanie to zapewnić, być może.

Alvito odwrócił od niej wzrok. Brat Michał klęczał pogrążony w modlitwie, a dwie służące Mariko czekały cierpliwie bliżej brzegu morza. Alvito czuł się przytłoczony, a zarazem podniesiony na duchu, wyczerpany, a mimo to pełen siły.

- Cieszę się, że tu przyszedłeś i mi to powiedziałaś - odezwał się. - Dziękuję ci. W imieniu Kościoła i swoim, jako Jego wiernego sługi. Zrobię wszystko, co przyrzekłem.

Skłoniła głowę i nic nie powiedziała.

- Czy zawieziesz wiadomość, Mariko-san? Dla ojca wizytatora?

- Tak. Jeżeli tylko przebywa w Osace.

- Wiadomość poufną?

- Tak.

- To wiadomość ustna. Przekażesz mu wszystko to, co mi powiedziałaś, oraz to, co ci na to odpowiedziałem.

- Dobrze.

- Przyrzekasz mi to? Bóg ci świadkiem?

- Nie musisz mi tego mówić, ojcze. Przecież się zgodziłam.

Zajrzał jej w oczy, patrząc niewzruszenie, śmiało i zdecydowanie.

- Proszę o wybaczenie, Mario. A teraz pozwól, że wysłucham twojej spowiedzi.

Opuściła woal.

- Wybacz mi, ojcze, ale nie zasługuję nawet na spowiedź.

- Wszyscy na nią zasługują w oczach Boga.

- Z wyjątkiem mnie. Ja nie zasługuję, ojcze.

- Musisz się wypowiadać, Mario. Nie mogę prowadzić dalej mszy. . musisz stanąć przed Nim oczyszczona.

Uklękła.

- Wybacz mi, ojcze, bo zgrzeszyłam, ale mogę jedynie wyznać, że nie jestem godna spowiedzi

- wyszeptała łamiącym się głosem.

Ojciec Alvito ze współczuciem delikatnie położył rękę na jej głowie.

- Cóрко boża, niechaj Bóg przebaczy ci twoje grzechy - powiedział. - Niech pozwoli mi w Swoim imieniu rozgrzeszyć cię i uczynić w Jego oczach godną.

Pobłogosławił ją i kontynuował mszę w jej intencji, odprawianą w tej wyobrażonej katedrze pod gołym niebem o świcie. . mszę prawdziwszą i piękniejszą niż wszystkie znane i jemu, i jej.

Erasmus zakotwiczył w najlepszej chroniącej od burz zatoce, jaką Blackthorne oglądał, na tyle daleko od brzegu, by zachować swobodę manewru, a jednak na tyle blisko, żeby był bezpieczny.

Pod sobą miał sześć sążni czystej wody i twarde dno morskie, a dookoła, nie licząc wąskiego wejścia do zatoki, wzgórze, które osłoniłyby każdą flotę przed gniewem oceanu.

Trwająca dzień żegluga z Edo przebiegła bez wydarzeń, choć była męcząca. Galera cumowała o pół ri na północ na przystani w pobliżu małej rybackiej wsi Jokohama. W tej chwili na pokładzie oprócz Blackthorne'a byli tylko jego ludzie, Holendrzy i Japończycy. Yabu i Naga dokonywali na brzegu przeglądu pułku muszkietów, on zaś miał prędko do nich dołączyć. Słońce na zachodzie stało nisko nad widnokretem, a czerwone niebo zapowiadało następny pogodny dzień.

- Dlaczego teraz, Uruga-san? - spytał Blackthorne z rufówki. Oczy miał zaczerwienione z niewyspania. Przed chwilą polecił swojej załodze i wszystkim wrócić na miejsca, ale Uruga poprosił, żeby ich jeszcze zatrzymał, bo chce sprawdzić, czy pośród jego poddanych nie ma chrześcijan. -

Czy nie można z tym poczekać do jutra?

- Bardzo przepraszam, wielmożny panie, nie można. - Uruga wpatrywał się, w niego, stojąc przed

jego japońskimi wasalami. Holendrzy stali zbici w nerwową gromadkę blisko barierki pokładu rufowego. - Wybacz, ale ogromnie ważne jest, żeby ich znaleźć od razu. Jesteś ich największym wrogiem. Dlatego musisz ich znać, dla własnego bezpieczeństwa. Ja tylko pragnę cię ochronić. To nie potrwa długo, ne?

- Czy wszyscy są na pokładzie?

- Tak, wielmożny panie.

Blackthorne podszedł do barierki i zawołał po japońsku:

- Czy któryś z was jest chrześcijaninem?

Nie było odpowiedzi.

- Wszyscy chrześcijanie wystąp!

Nikt się nie poruszył. Blackthorne zwrócił się więc do Uragi.

- Zostaw na pokładzie dziesięciu strażników, a resztę rozpuść - powiedział.

- Za twoim pozwoleniem, Anjin-san. - Urąga wyjął spod kimona mały obrazek religijny i wizerunkiem do góry rzucił go na pokład. A potem umyślnie podeptał go. Blackthorne'a i jego ludzi zaniepokoiło to świętokradztwo. Wszystkich z wyjątkiem Jana Ropera. - Każ wszystkim poddanym zrobić to co ja. Proszę cię - rzekł Urąga.

- Po co?

- Znam chrześcijan. - Oczy Uragi skrywał częściowo skraj kapelusza. - Proszę, wielmożny panie. Ważne, żeby wszyscy zrobili to samo. Teraz, dziś wieczorem.

- Dobrze - zgodził się niechętnie Blackthorne.

Urąga obrócił się w stronę zebranych samurajów.

- Na moją propozycję nasz pan żąda, żebyście wszyscy zrobili to samo.

Samuraje zaszemrali, a któryś powiedział głośniej:

- Przecież powiedzieliśmy, że nie jesteśmy chrześcijanami, ne? Czego dowiedzie podeptanie obrazu barbarzyńskiego boga? Niczego!

- Chrześcijanie są wrogami naszego pana. Chrześcijanie są zdraźcecy. . ale są chrześcijanami. Wybaczcie, ale znam chrześcijan, gdyż ku mojemu pohańbieniu porzuciłem dla nich naszych prawdziwych bogów. Bardzo przepraszam, ale uważam, że tego wymaga bezpieczeństwo naszego pana.

- W takim razie to nam w zupełności wystarczy - oznajmił natychmiast samuraj, który stał na przodzie. Wystąpił z grupy i podeptał obraz. - Nie wyznaję żadnej barbarzyńskiej wiary! No dalej, reszta, zróbcie, o co was prosi.

Jeden po drugim występowali z szeregu. Blackthorne przyglądał się temu obrzędowi z pogardą.

- To się nie godzi - rzekł zafrasowany van Nekk.

Vinck spojrzał na rufówkę.

- Sakramenckie psubraty - zaklął. - Bez mrugnięcia okiem poderznąliby nam wszystkim gardła. Im na pewno nie można ufać, pilocie.

- Owszem.

- Żaden katolik by tego nie zrobił, nie, Johann? - zagadnął Ginsel. - Sprytny ten Uraga-sama.

- A jaka to różnica, czy te łotry to papiści, czy nie, przecież to same zasrane samuraje.

- Tak jest - poparł Vincka Croocq.

- A jednak nie godzi się tego robić - powtórzył van Nekk.

Samuraje jeden po drugim wdeptywali wizerunek w pokład i rozchodzili się, tworząc grupki.

Było to nudne widowisko i Blackthorne żałował, że na nie pozwolił, bo przed zmierzchem były do załatwienia pilniejsze sprawy. Spojrzał na wieś i przylądki. U stóp wzgórz wyrosło setki krytych słomą wiat, tworzących obóz pułku muszkietów. Tyle jest do zrobienia, pomyślał, gdyż pilno mu było zejść na brzeg, żeby obejrzeć nareszcie tę ziemię, nacieszyć się otrzymanym od Toranagi lennem, do którego należała wioska Jokohama. Panie Boże na wysokościach, rzekł w duchu, jestem panem jednej z największych zatok świata.

Wtem jakiś Japończyk wyminął obraz, wyszarpnął swój miecz i rzucił się na Blackthorne'a.

Tuzin zaniepokojonych samurajów w jednej chwili odważnie stanęło mu na drodze, osłaniając rufówkę. Stojący na niej Blackthorne okręcił się na pięcie i wymierzył pistolet z odciętym kurkiem. Reszta rozpierzchła się wśród wrzawy, popychając się, potykając i kotłując. Samuraj zahamował, stanął rycząc z gniewu, po czym zmienił kierunek natarcia i sieknął mieczem, chcąc zabić Uragę, ale ten jakoś uniknął ciosu. Napastnik obrócił się błyskawicznie w stronę innych samurajów, którzy na niego natarli, przez chwilę z nimi zażarcie walczył, a potem skoczył do burty i rzucił się do morza.

Czterech umiejących pływać samurajów upuściło swoje długie miecze, krótkie miecze chwyciło w zęby i skoczyło za nim. Reszta Japończyków i Holendrzy zgromadzili się przy burcie.

Blackthorne doskoczył do okrężnicy. W dole nie widział nic. Po pewnym czasie jednak wyłowił

w wodzie wzrokiem wirujące kształty. Jeden z nich wyłonił się na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza, i znów się zanurzył. Wkrótce na powierzchnię wyskoczyły cztery głowy. . a pomiędzy nimi trup z nożem w gardle. -

- Bardzo nam przykro, Anjin-san, nóż jest jego własny - zawołał któryś, na co pozostali ryknęli śmiechem.

- Uraga-san, powiedz im, żeby go obszukali, a potem zostawili rybom - polecił Blackthorne.

Obszukanie zabitego nie ujawniło nic. Kiedy cała czwórka powróciła na pokład, Blackthorne wskazał gotowym do strzału pistoletem leżący obrazek i rzekł:

- Wszyscy samuraje, jeszcze raz!

Posłuchano go natychmiast i sam dopilnował, żeby wszyscy przeszli próbę. A potem, żeby uhonorować Uragę i w ten sposób go pochwalić, kazał zrobić to samo Holendrom. Zaczęli protestować.

- No, dalej! - warknął do nich. - Prędzej, bo jak nie, to wam skopię tyłki!

- Nie powinieneś nam tego mówić, pilocie - powiedział van Nekk. - My nie jesteśmy śmierdzącymi, żółtymi poganami!

- To nie są śmierdzący, żółci poganie, do diabła, to samuraje!

Wpatrzyli się w niego. Zatrzęśli się z gniewu, smagani trwogą. Van Nekk chciał coś powiedzieć, ale Ginsel wpadł mu w słowo.

- Samuraje to sukinsyny i poganie. To oni albo im podobni zamordowali Pieterzoona, dowódcę naszej wyprawy i Maetsukker!

- Tak, ale bez tych samurajów nigdy nie powrócimy do ojczyzny! Rozumiesz?

Wszyscy Japończycy patrzyli w tej chwili na nich. W nic dobrego nie wróżących pozach przysunęli się bliżej Blackthorne'a, gotowi go bronić.

- Zostawmy tę kwestię, co? - zaproponował van Nekk. - Jesteśmy zbyt rozdrażnieni i przemęczeni. Mamy za sobą długą noc. Nie jesteśmy tutaj panami siebie, nikt z nas. Nawet pilot.

Pilot wie, co robi. . jest wodzem, jest teraz dowódcą wyprawy.

- A, owszem. Ale nie ma prawa brać ich strony przeciwko nam i nie jest królem, jak Boga kocham, my zaś jesteśmy mu równi - wysyczał Jan Roper. - To, że jest uzbrojony jak oni, ubrany jak oni i umie się porozumieć z tymi psubratami, nie czyni go jeszcze naszym władcą. Mamy prawo, a nasze prawo obowiązuje także jego, nawet jeżeli jest Anglikiem, na miły Bóg! Przysiągł przed Bogiem, że uszanuje te zasady. Przysiągłeś, pilocie?

- Tak - odparł Blackthorne. - To nasze prawo obowiązuje na naszych morzach, na których panujemy i mamy liczebną przewagę. Tu jednak jest inaczej. Dlatego róbcie, co każe, i to już!

Szemrając pomiędzy sobą wypełnili polecenie.

- Sonk! Czy znalazłeś jakiś grog? - spytał Blackthorne.

- Nie, ani kropelki, psia jego mać!

- Przyślę wam na pokład sake - przyrzekł Blackthorne i dodał po portugalsku: - Uraga-san, popłyniesz ze mną na brzeg i weźmiesz kogoś do wiosłowania. Wy czterej - rzekł po japońsku, wskazując czwórkę samurajów, którzy zanurkowali za burtę - jesteście dowódcami. Rozumiecie?

Każdy weźmie pięćdziesięciu ludzi.

- Hai, Anjin-san.

- Jak się nazywasz? - spytał jednego z nich, wysokiego, spokojnego, ze szramą na policzku.

- Nawa Chisato, wielmożny panie.

- Jesteś dzisiaj dowódcą całego statku. Do mojego powrotu.

- Tak jest, wielmożny panie.

Blackthorne podszedł do furty wejściowej. W dole pod nią cumowała łódka.

- Dokąd się wybierasz, pilocie? - spytał zaniepokojony van Nekk-

- Na brzeg. Później wrócę.

- To dobrze, pojedziemy wszyscy!

- Popłynę, na miły Bóg.

- Ja też jadę. .

- O Jezzu, nie zostawiajcie mnie. .

- Nie! Jadę sam! - oświadczył Blackthorne.

- Ale co będzie z nami, jak Boga kocham?! - wykrzyknął van Nekk. - Co zrobimy? Nie zostawiaj nas tu, pilocie.

- Poczekacie! - odparł. - Dopilnuję, żeby na pokład przysłano wam jedzenie i picie.

- Myślałem, że dziś wieczorem wracamy! Dlaczego nie wracamy? - spytał natarczywie Ginsel.

- Jak długo tu pozostaniemy, pilocie, i jak długo..

- A co z Edo, pilocie? - spytał głośniejszym głosem Ginsel. - Jak długo pozostaniemy tutaj w towarzystwie tych przeklętych małp?!

- Właśnie, małp, jak Boga kocham! - włączył się ochoczo Sonk. - Co z naszymi manelami i znajomkami?

- Właśnie, co z naszymi etami, pilocie? Co z naszymi znajomkami i kobietami?

- Zjawię się jutro. - Blackthorne stłumił obrzydzenie. - Bądźcie cierpliwi, wrócę najprędzej, jak się da. Baccusie, obejmiesz dowództwo.

Odwrócił się, chcąc odjechać.

- Jadę z tobą - oświadczył agresywnym tonem Jan Roper, idąc za nim. - Stoimy w zatoce, gdzie twoja władza się kończy, a poza tym chcę dostać jakąś broń!

Blackthorne odwrócił się ku niemu i w tej samej chwili tuzin samurajskich mieczy wysunęło się z pochew, gotowych zabić grubianina.

- Jeszcze jedno słowo, a po tobie! - ostrzegł Blackthorne.

Wysoki, szczupły kupiec zaczerwienił się i zamarł. .

- Przy tych samurajach radzę ci trzymać język za zębami, ponieważ każdy z nich, nim będę w stanie go powstrzymać, może ci ściąć głowę tylko z powodu twojego niewłaściwego zachowania. . nie wspominając już nawet o innych rzeczach! Są bardzo drażliwi, a i ja staję się taki sam w ich towarzystwie. Natomiast broń dostaniesz wówczas, kiedy będziesz jej naprawdę potrzebował.

Zrozumiałeś?

Jan Roper skinął ponuro głową i cofnął się. Samuraje nie zmienili groźnych póz, ale Blackthorne uspokoił ich i pod karą śmierci przykazał, żeby pozostawili jego załogę w spokoju.

- Niedługo wrócę - zapowiedział.

Zszedł po schodni i wsiadł do łódki, a za nim Urąga z samurajem. Nowo mianowany kapitan Chisato podszedł do Jana Ropera, który zadrżał na widok jego groźnej postawy, uklonił się i wycofał.

Kiedy łódka oddaliła się od statku, Blackthorne podziękował Uradzę za pochwycenie zdrajcy.

- Proszę, nie dziękuj, panie. To był mój obowiązek - odparł Urąga.

- Tak, obowiązek - powiedział po japońsku Blackthorne chcąc, żeby zrozumiał to drugi Japończyk. - Ale twoje koku zmienia się. Już nie jest dwadzieścia, jest sto.

- Och, dziękuję, wielmożny panie. Nie zasłużyłem na to. Wypełniałem jedynie swoje obowiązki i na pewno..

- Mów wolno. Nie rozumiem.

Urąga przeprosił i powtórzył wszystko wolniej.

Blackthorne pochwalił go jeszcze raz, a potem, czując przemożne znużenie, usadowił się na tyle łódki. Zmusił się, żeby otworzyć oczy i spojrzeć na statek, chcąc mieć pewność, że kotwiczony w dobrym miejscu. Van Nekk i pozostali stali przy nadburciu. Żałował, że wziął ich na pokład, lecz z drugiej strony wiedział, że nie ma wyboru. Bez nich rejs nie byłby bezpieczny.

Warchoły i szumowiny, pomyślał. Co, do diaska, z nimi zrobić? Wszyscy moi poddani wiedzą o tej wiosce i brzydzą się nimi równie mocno.. O Chryste, ale kabała! Karma, ne? Są ci potrzebni na pokładzie, rzekł sobie, i więcej im podobnych. A ci nowi, też nie będą przyjaźnie nastawieni do samurajów, w dodatku większość z nich to katolicy. Boże Świąty, jak ich wszystkich utrzymać w ryzach? Mariko miała rację. Towarzystwo katolików to mój koniec.

- Nawet moje, Anjin-san - powiedziała mu zeszłego wieczora. - Nie, Mariko-san. Twoje nie.

- Dziś po południu powiedziałaś, że jesteśmy twoimi wrogami.

- Powiedziałem, że moimi wrogami jest większość katolików.

- Gdyby mogli, toby cię zabili.

- Tak. Moja ty, ale. . czy naprawdę spotkamy się w Osace?

- Tak, kocham cię, Anjin-san. Pamiętaj, pilnuj się pana Yabu.

Co do Yabu wszyscy mają rację, pomyślał, bez względu na to, co mówi i co obiecuje.

Popełniłem wielki błąd, odwołując moich ludzi, kiedy był w pułapce. Kiedy tylko przestanę być użyteczny dla tego drania, natychmiast poderżnie mi gardło, choćby nie wiem jak bardzo udawał, że jest całkiem inaczej. A jednak nie myli się co do tego, że jest mi potrzebny. Bez czyjejś ochrony nie dotrę do Nagasaki i się stamtąd nie wydostanę. A ponadto Yabu na pewno mógłby mi pomóc w przekonaniu Toranagi. Z dwoma tysiącami fanatyków pod jego dowództwem możemy spustoszyć całe Nagasaki, a nawet Makau. .

O Madonno! W pojedynkę jestem bezradny.

I wtedy przypomniało mu się, co Gyoko powiedziała Mariko o Urzędę, o tym, żeby mu nie ufać.

Pomyliła się co do niego, pomyślał. I w czym myli się jeszcze?

KSIĘGA PIĄTA

Znalazłszy się ponownie na zatłoczonej redzie pod Osaka po długiej podróży galerą Blackthorne poczuł się tak samo przytłoczony ogromem tego miasta jak za pierwszym razem, kiedy je zobaczył. Tai-fun dokonał tu wielkich spustoszeń, wiele dzielnic w dalszym ciągu było szerniałych po pożarze, ale rozległa metropolia pozostała prawie nietknięta i nadal dominował nad nią zamek.

Nawet z odległości ponad trzech mil morskich widać było ogromny pierścień pierwszego wielkiego muru z wyniosłymi blankami, pomniejszonymi przez posępną złowrogość wielkiej zamkowej wieży.

- O Jezu - rzekł nerwowo Vinck, który stał na dziobie obok Blackthorne'a. - To niemożliwe, żeby było takie wielkie. Amsterdam przy tym mieście to musze łajno.

- Tak. Burza dała się Osace we znaki, ale nie za mocno. Tego zamku nic nie ruszy.

- O Jezu - powiedział znowu Vinck. - Chciałbym już być w kraju. Powinniśmy tam wrócić rok temu.

Blackthorne zabrał go z sobą z Jokohamy, a resztę załogi odesłał do Edo, pozostawiwszy Erasmusa bezpiecznie zakotwiczonego w zatoce pod strażą Nagi. Holendrzy z radością powrócili do siebie, a on ucieszył się, że mu zeszli z oczu. Zaraz po wypłynięciu stamtąd zaczął oswajać Vincka z japońskością. Bosman przyjmował to ze spokojem, ponieważ przez wiele lat wspólnego pływania z Blackthorne'em poznał go na tyle, żeby mu ufać.

- Pilocie, dla ciebie będę się codziennie kąpał i mył, ale niech mnie diabli, jeżeli włożę tę francowatą nocną koszulę! - oświadczył.

Nie minęło dziesięć dni, a Vinck z zadowoleniem mierzył ołowianką głębokość wody. Za szeroki pas na wydatnym brzuchu zatknięty miał z tyłu sztylet w pochwie, a za poszarpaną, lecz czystą koszulą trzymał jeden z pistoletów Blackthorne'a.

- Nie musimy jechać do tego zamku, co, pilocie? - spytał.

- Nie.

- Jezu Chryste. . wolę się trzymać od niego z daleka.

Dzień był pogodny, spokojne morze skrzyło się w promieniach wysoko stojącego słońca.

Wioślarze zachowali siły i karność.

- Tam urządzili tę zasadzkę, Vinck! - powiedział Blackthorne.

- Chryste, ależ tu są mielizny!

Blackthorne opowiedział mu, jak niemal cudem uciekli, o sygnałach dawanych z blanków zamku, o stosach zabitych na brzegu i o dybiącej na ich galerę fregacie wroga.

- O Anjin-san - odezwał się Yabu i podszedł do nich. - Dobrze, ne?

Wskazał ręką na zniszczenia w mieście.

- Źle, Yabu-sama.

- To przecież miasto wroga, ne?

- Ludzie nie są wrogami, wrogami są Ishido i samuraje, ne?

- Tu wszystko jest wrogie.

Blackthorne patrzył, jak Yabu przechodzi na dziób, a wiatr targa mu kimono na mocnej piersi.

- Mam zamiar zabić tego sukinsyna, pilocie - powiedział ściszone głosem Vinck.

- Tak. Nie bój się, ja również nie zapomniałem o biednym Pieterzoonie.

- Ani ja, Bóg świadkiem! Nie mogę pojąć, jak nauczyłeś się mówić po ichniemu. Co on powiedział?

- Po prostu odezwał się przez grzeczność.

- A jaki masz plan?

- Zatrzymamy się tutaj i zaczekamy. On opuszcza statek na dzień albo dwa, a my czekamy i siedzimy jak trusie. Toranaga obiecał, że wyśle listy, które zagwarantują nam spokojny przejazd, ale i tak musimy siedzieć cicho i pozostać na pokładzie. - Blackthorne przesunął wzrokiem po stojących tu statkach i morzu. Wprawdzie nie dostrzegł żadnego zagrożenia, ale i tak rzekł do Vincka: - Na wszelki wypadek najlepiej zrobisz, jeżeli znowu zaczniesz mierzyć głębokość.

Yabu przez chwilę obserwował Vincka, który robił pomiary głębokości wody ołowianka, po czym powrócił do Blackthorne'a.

- Anjin-san, a może lepiej popłynąć tą galerą do Nagasaki? Nie czekać, ne? - spytał.

- Proszę bardzo - zgodził się Blackthorne, nie chwytając jego przynęty.

Yabu roześmiał się.

- Lubię cię, Anjin-san!- powiedział. - Ale sam jeden prędko byś zginął, niestety. Nagasaki jest dla ciebie bardzo niedobre.

- Osaka niedobra. . wszędzie niedobrze!

- Karma.

Yabu uśmiechnął się, a Blackthorne udał, że też go bawi jego żart.

W czasie rejsu z Jokohamy wielokrotnie przeprowadzali tę rozmowę, ale w różnych wersjach. Blackthorne bardzo dobrze poznał Yabu. Znienawidził go jeszcze mocniej, ufał mu jeszcze mniej, bardziej poważał i zdawał sobie sprawę, że ich losy są ze sobą związane.

- Yabu-san ma rację, Anjin-san - powiedział mu Uruga. - On zdoła cię ochronić w Nagasaki, ja nie.

- Z powodu twojego wuja, pana Harimy?

- Tak. Być może już wyjęli mnie tam spod prawa, ne? Mój wuj jest chrześcijaninem, choć, jak sędzę, chrześcijaninem ryżowym.

- A co to znaczy?

- Nagasaki to jego lenno. Miasto to dysponuje wielką zatoką na wybrzeżu Kiusiu, ale nie najlepszą. Więc szybko pojął, co należy zrobić, ne? Został chrześcijaninem i to samo nakazał zrobić swoim poddanym. Mnie polecił zostać chrześcijaninem, wstąpić do szkoły jezuitów, a potem wysłał

mnie w szeroki świat jako jednego z chrześcijańskich delegatów. Ziemię podarował jezuitom i - jak to powiedzieć? - łasi się do nich. W duszy jednak jest całkowicie japoński.

- Czy jezuici wiedzą, co sobie myślisz?

- Tak, oczywiście.

- A czy wierzą w to o ryżowych chrześcijanach?

- Nam, nawróconym, nie zwierzają się, co sobie naprawdę myślą, Anjin-san. A sobie również nie, na ogół. Są przyuczeni do zachowywania rzeczy i spraw w tajemnicy, do wykorzystywania ich, zapoznawania się z nimi, ale nie do ich ujawniania. Pod tym względem bardzo przypominają Japończyków.

- W takim razie lepiej zrobisz pozostając tu, w Osace, Uruga-san.

- Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale jestem twoim poddanym. Jeżeli ty pojedziesz do Nagasaki, to ja z tobą.

Blackthorne był świadom tego, że Uruga stał się dla niego nieocenionym pomocnikiem. Ten człowiek ujawniał tyle tajemnic jezuitów: jak, dlaczego i kiedy prowadzą negocjacje handlowe, jak są zorganizowani w Towarzystwie Jezusowym i jak niewiarygodne machinacje międzynarodowe prowadzą. Równie wiele powiedział mu o Harimie i Kiyamie, o sposobie myślenia, chrześcijańskich daimyō i o tym, dlaczego prawdopodobnie pozostaną sprzymierzeńcami Ishido. Mój Boże, to, co wiem, byłoby bezcenne w Londynie, a tyle jeszcze muszę się dowiedzieć, pomyślał! Jak to wszystko przekazać? Na przykład to, że handel z Chinami, licząc jedynie jedwabie sprzedawane w Japonii, jest wart dziesięć milionów rocznie w złocie i że już teraz jezuici mają swojego przedstawiciela na dworze cesarza Chin w Pekinie, gdzie jest dworakiem, powiernikiem władców i świetnie zna język chiński. Gdybym tylko mógł wysłać list, gdybym tak miał jakiegoś posłańca.

W zamian za te wszystkie wiadomości Blackthorne zaczął uczyć Uragę nawigacji, wiedzy o, wielkich schizmach religijnych i o parlamencie. Nauczył też jego i Yabu strzelać z pistoletu. Obaj okazali się pojętnymi uczniami. Urąga to dobry człowiek, pomyślał. Nie sprawi mi kłopotów. Tyle tylko, że wstydzi się, że nie ma samurajskiego wężła. Ale włosy niedługo mu odrosną.

Z oka na dziobie dobiegł go ostrzegawczy okrzyk.

- Anjin-san!

Japoński kapitan wskazywał przed siebie na elegancki kuter z osadą z dwudziestu wioślarzy, który nadpływał od prawej burty. Na jego maszcie widniało godło Ishido. A obok niego znak Rady Regencyjnej, ten sam, pod którym podróżowali do Anjiro Nebara Jozen i jego ludzie na spotkanie śmierci.

- Kto to? - spytał Blackthorne widząc, że wszyscy wpatrują się w kuter, i wyczuwając ich napięcie.

- Przepraszam, ale jeszcze, nie widzę - odparł kapitan.

- Yabu-san?

Yabu wzruszył ramionami.

- To urzędnik - odparł.

Kiedy kuter się zbliżył, Blackthorne ujrzał na jego rufie starszego mężczyznę, który siedział pod baldachimem, w uroczystej ozdobnej szacie i kaftanie ze sztywnymi, sterczącymi ramionami.

Nie nosił mieczy. Otaczali go Szarzy Ishido.

Bębniści przestali uderzać w kocioł, żeby pozwolić kutrowi na podpłynięcie do burty.

Japończycy pośpieszyli, żeby dopomóc urzędnikowi w dostaniu się na pokład galery, pilot portowy wskoczył za nim i po licznych ukłonach przejął galerę pod swoje rozkazy.

Yabu i starzec zachowując się oficjalnie, dopełnili wszelkich wymaganych formalności. W

końcu usiedli na poduszkach przysługujących ludziom nierównego stanu i urzędnik usadowił się w najbardziej eksponowanym miejscu na rufówce. Samuraje Yabu i Szarzy usiedli po turecku lub uklękli na głównym pokładzie, zajmując mniej godne miejsca dookoła nich.

- Rada wita cię, Kasigi Yabu, w imieniu Jego Cesarskiej Wysokości - rzekł przybyły, niski, przysadzisty, nieco zgrzybiały starszy doradca Rady do spraw protokołu, który ponadto był też urzędnikiem dworu cesarskiego.

Nazywał się Ogaki Takamoto, był księciem siódmej rangi, a służył jako jeden z pośredników pomiędzy dworem Jego Cesarskiej Wysokości, Syna Niebios, a regentami. Zęby, tak jak przystało na

cesarskiego dworaka, miał zgodnie z obowiązującym od wieków zwyczajem uczernione.

- Dziękuję ci, książę Ogaki. To zaszczyt przybyć tu w imieniu pana Toranagi - rzekł Yabu, będąc pod ogromnym wrażeniem zaszczytu, jaki mu okazano.

- Tak, z pewnością. Naturalnie, przybywasz tu również w imieniu własnym, ne? - spytał chłodno Ogaki.

- Oczywiście - odparł Yabu. - A kiedy przybędzie pan Toranaga? Bardzo przepraszam, ale ten tai-fun opóźnił moje przybycie o pięć dni, więc od momentu wypłynięcia nie miałem żadnych wiadomości.

- Ach, tak, tai-fun. Radę bardzo ucieszyła wieść, że ta burza nie wyrządziła wam krzywdy. -

Ogaki kaszlnął. - A co do twojego pana, to z przykrością muszę ci oznajmić, że do tej pory nie dotarł nawet do Odawary. Nastąpiły nie kończące się opóźnienia w wyjeździe i jakieś choroby. To godne ubolewania, ne?

- O, tak, bardzo.. mam nadzieję, że to nic poważnego - rzekł prędko Yabu, niesłuchanie rad, że zna tajemnice Toranagi.

- Nie, na szczęście to nic poważnego. - Książę ponownie sucho zakaszał. - Panu Ishido wiadomo, że twój pan dotrze do Odawary jutro.

Yabu zdumiał się, jak należało.

- Kiedy wyjeżdżałem dwadzieścia jeden dni temu, wszystko było gotowe do natychmiastowego wyjazdu i wtedy zachorował pan Hiro-matsu. Wiem, że pan Toranaga bardzo się tym przejął, ale równie pilno było mu wyruszyć w drogę, jak mnie w tej chwili pilno jest przystąpić do przygotowania się na jego przyjazd.

- Wszystko jest już przygotowane - rzekł niski emisariusz.

- Rada Regencyjna z pewnością nie będzie mi robić żadnych trudności, jeżeli sprawdzę, jak to załatwiono, ne? - spytał serdecznym tonem Yabu. - Uroczystość ta musi być bezwzględnie godna Rady i całego wydarzenia, prawda?

- Godna Jego Cesarskiej Wysokości, Syna Niebios. To on tym razem wzywa daimyō.

- Oczywiście, ale. . - Dobre samopoczucie Yabu przysło. - To znaczy. . to znaczy, że Jego Cesarska Wysokość będzie tu obecny?

- Najjaśniejszy przystał łaskawie na uniżoną prośbę regentów, aby osobiście przyjął hołd od nowej Rady i wszystkich możnowładców, w tym pana Toranagi, jego rodziny i poddanych. Starszych doradców Jego Cesarskiej Wysokości poproszono o wybranie dnia pomyślnego na taki. . taki rytuał.

Jest to dwudziesty drugi dzień tego miesiąca, piątego roku ery Keichō.

Yabu osłupiał.

- Za . . za dziewiętnaście dni? - spytał. - W południe. - Ogaki dystyngowanym gestem wyjął z rękawa papierową chusteczkę i delikatnie wysmarkał nos. - Przepraszam. Tak, w południe. Wróżby są doskonale. Pan Toranaga został czternaście dni temu powiadomiony o tym przez cesarskiego posłańca. Jego bezzwłoczna, uniżoną zgoda dotarła do Rady trzy dni temu. - Ogaki wyjął mały zwój papieru. - Oto twoje zaproszenie na tę uroczystość, panie Kasigi Yabu. Na widok cesarskiej pieczęci w kształcie chryzantemy o szesnastu płatkach Yabu zadrżał, dobrze wiedząc, że nikt, nawet Toranaga, nie może odmówić podobnemu wezwaniu. Odmowa byłaby niesłychaną zniewagą wobec Boskiego Cesarza, otwartym buntem, a ponieważ do panującego władcy należała cała ziemia, to znieważający mógł w jednej chwili stracić wszystkie włości, co szło w parze z cesarskim życzeniem, ażeby buntownik natychmiast popełnił seppuku, na mocy wezwania, które, opatrzone Wielką Pieczęcią cesarstwa, wydawała w imieniu Najjaśniejszego Rada Regentów. Od wezwania takiego nie było odwołania i musiało ono zostać wykonane. Yabu gwałtownie starał się opanować.

- Przepraszam, panie, czy może źle się czujesz? - spytał z troską Ogaki.

- Proszę o wybaczenie, ale w najśmielszych, marzeniach. . - wyjąkał Yabu. - Nikomu nie postało w głowie, że Najjaśniejszy Cesarz. . wyświadczy nam taki zaszczyt, ne?

- Ależ zgadzam się, jak najbardziej. To nadzwyczajne!

- Zdumiewające, że jego Cesarska Wysokość. . w ogóle pomyślał o wyjeździe z Kioto i . . przybyciu do Osaki.

- Zgadzam się. A jednak dwudziestego pierwszego tego miesiąca Najjaśniejszy wraz ze wszystkimi cesarskimi insygniami władzy przybędzie tu.

Na cesarskie insygnia, bez których żadne przekazanie władzy nie było ważne, składały się Trzy Święte Skarby, uznawane za boskie. Jak powszechnie wierzono, na ziemię przyniósł je bóg Ninigino-Mikoto i osobiście przekazał swojemu wnukowi Jimmu Tenno, pierwszemu ludzkiemu władcy, ten z kolei przekazał je swojemu spadkobiercy, i tak dalej aż do obecnego cesarza Go-Nijo.

Były to Miecz, Klejnot i Zwierciadło. Święty Miecz i Klejnot zawsze podróżowały uroczyście z cesarzem, ilekroć przyszło mu nocować poza murami pałacu, Zwierciadło zaś przechowywano w najświętszym sanktuarium w wielkiej świątyni shintō Ise. Miecz, Zwierciadło i Klejnot były własnością Syna Niebios. Stanowiły symbole prawowitej władzy, boskości cesarza, tego, że kiedy on wędrował, wraz z nim wędrował jego boski tron. I tak też wędrowała jego władza.

- Aż się nie chce wierzyć, że zdąży się z przygotowaniami na Jego przyjazd - rzekł Yabu.

- Och, pan generał Ishido poprosił o to Najjaśniejszego w imieniu Rady Regencyjnej zaraz po tym, jak pan Zataki doniósł mu z Yokose, że pan Toranaga, też ku zdumieniu wszystkich, zgodził się przyjechać do Osaki i pokłonić temu, co nieuniknione. Tylko wielki zaszczyt, jaki twój pan czyni Radzie, zachęcił regentów do poproszenia Syna Niebios o uświetnienie tego wydarzenia swoją

obecnością. - Starzec znów sucho zakaszał. - Przepraszam cię, panie, ale czy mógłbyś mi jak najszybciej dać na piśmie swoje potwierdzenie, że przyjąłeś zaproszenie na tę uroczystość?

- Mogę to zrobić w tej chwili? - spytał Yabu słabym głosem.

Roztrzęsiony, posłał po przybory do pisania. Dziewiętnaście dni! - dudniło mu w głowie.

Dziewiętnaście dni! Toranaga może zwlekać jeszcze tyle, a potem i on będzie zmuszony się tu stawić. Mam dość czasu na dopłynięcie do Nagasaki i powrót tutaj, ale za mało, żeby zaatakować Czarną Karawelę i zdobyć ją, a tym samym za mało czasu na wywarcie nacisku na Harimę, Kiyamę, Onoshiego i chrześcijańskich kapłanów, czyli także na rozpoczęcie Szkarłatnego Nieba, dlatego plan Toranagi to tylko jeszcze jedna mrzonka. . och, och, och!

Toranaga przegrał. Powinienem był wiedzieć, że tak się stanie. Rozwiązanie mojego dylematu jest proste: albo ślepo zaufam Toranadze, że wydostanie się z tej matni, albo, prędzej niż planowałem, dopomogę Anjinowi w pozyskaniu ludzi do zdobycia Czarnej Karaweli. Mogę też pójść do Ishido, powiedzieć mu wszystko, co wiem, i potargować się o swoje życie i o Izu.

Co wybrać? Przyniesiono papier, pędzelek i tusz. Yabu odłożył na chwilę na bok swoje troski i skupił się na pisaniu najlepiej i najpiękniej, jak potrafił, swojego potwierdzenia.

Niepodobna było odpisać Najjaśniejszemu Cesarzowi, mając zamęt w głowie. Kiedy skończył, podjął przełomową decyzję: że posłucha się we wszystkim Yuriko. Natychmiast z jego wa spadł wielki ciężar i poczuł się bardzo oczyszczony. Złożył butny, fantazyjny podpis.

Jak być najlepszym wasalem Toranagi? To proste: usunąć Ishido z powierzchni ziemi.

Jak tego dokonać, żeby mieć dość czasu na ucieczkę? - zadawał sobie pytanie. I wówczas nagle usłyszał słowa Ogakiego:

- Na jutro jesteś zaproszony, panie, na uroczyste przyjęcie, które wydaje pan komendant Ishido dla uczczenia urodzin pani Ochiby.

Urąga podążał chyłkiem ulicą w kierunku morza. Noc była ciemna, niebo pogodne i wygwieżdzone, powietrze przyjemne. Miał na sobie luźną pomarańczową szatę buddyjskiego mnicha, nieodłączny kapelusz i tanie słomiane sandały. Za plecami pozostawił magazyny i wysoką, niemal europejską bryłę budynku misji jezuitów. Skręcił za róg i przyspieszył kroku. Ludzi było tu niewiele.

- Hej, ty tam! Stój! - dobiegło go z ciemności polecenie.

Urąga zatrzymał się spłoszony. Z mroków na światło wyszli Szarzy i otoczyli go.

- Dokąd idziesz, kapłanie?

- Do wschodniej części miasta - odparł wysuszonymi ustami, zacinając się. - Do naszej świątyni nichiren.

- Ach, więc ty jesteś z sekty nichiren, ne? - spytał szorstko jeden z Szarych.

- Ja nie należę do jej wyznawców. Uprawiam buddyzm zen, tak jak nasz pan, generał Ishido - powiedział inny.

- Zen. . o, tak, zen jest najlepszy - rzekł trzeci Szary. - Żebym tak jeszcze mógł go pojąć.

Jest za trudny na mój stary łeb.

- Jak na kapłana, mocno się poci, no nie? Dlaczego się pocisz?

- Uważasz, że kapłani się nie pocą?

Kilku Szarych zaśmiało się, a któryś przysunął bliżej pochodnię.

- A dlaczego mieliby się pocić? - zapytał gburowaty Szary. -

Przecież oni całe dni przesypiają, a całymi nocami poduszkuje z mnisz kami, z chłopcami, psami, z sobą, z każdym, kto podleci, i bez przerwy opychają się żarciem, na które nie zapracowali.

Kapłani to pasożyty, tak jak pchły.

- E, dajcie mu spokój, on tylko..

- Zdejmij kapelusz, kapłanie.

Urąga najeżył się.

- A dlaczego? - spytał. - I dlaczego naigrawacie się z kogoś, kto służy Buddzie? Budda nie robi wam nic. .

- Powiedziałem, żebyś zdjął kapelusz! - rzekł groźnie samuraj, występując z grupy.

Urąga wykonał polecenie.

- Nic nie usprawiedliwia niegrzeczności - odparł gniewnie, z nieuświadomioną jezuicką władczością w głosie. - Służba Buddzie jest zaszczytem, zaszczytem jest zostać kapłanem i powinien to zrobić każdy stary samuraj u schyłku życia. A może nie macie pojęcia o bushido? Gdzie wasze wychowanie?

- Jak to? Więc ty jesteś samurajem?

- Oczywiście, że jestem samurajem. W innym przypadku, jakże ośmieliłbym się rozmawiać z samurajami o niewłaściwym zachowaniu? - Urąga włożył kapelusz. - Lepiej patrolujcie ulice, zamiast zaczepiać i obrażać niewinnych kapłanów!

Odszedł wyniosłym krokiem na miękkich, uginających się nogach. Samuraje obserwowali go przez

jakiś czas, aż wreszcie któryś splunął.

- Kapłani!

- Miał rację - powiedział z goryczą dowódca Szarych. - Gdzie wasze wychowanie?

- Bardzo przepraszam. Proszę o wybaczenie.

Uraga podążył ulicą, bardzo dumny z siebie. Zbliżywszy się do galery, znów stał się ostrożniejszy i chwilę odczekał za ścianą budynku. A kiedy zmobilizował się, wyszedł na oświetlony pochodniami teren.

- Dobry wieczór - powiedział grzecznie do Szarych, niedbale opierających się o schodnię galery, i dorzucił religijne błogosławieństwo: - Namu Amida Butsu. (W imię Buddy Amidy).

Szarzy przepuścili go bez przeszkód. Ich rozkazy brzmiały, że barbarzyńcy i samurajom, z wyjątkiem Yabu i jego straży przybocznej, nie wolno schodzić na brzeg. Nikt nie mówił nic na temat buddyjskiego mnicha, który przyplął tym statkiem.

Bardzo utrudzony Uraga wszedł na główny pokład.

- Uraga-san! - zawołał cicho z rufówki Blackthorne. - Tutaj.

Uraga zmrużył oczy, żeby je przyzwyczaić do ciemności. Zobaczył Blackthorne'a i wyczuł

ostrą woń nie mytego ciała, od razu rozpoznając w drugim ludzkim cieniu barbarzyńcę o nazwisku nie do wymówienia, który również mówił po portugalsku. Już prawie zapomniawszy, jak to jest nie czuć smrodu barbarzyńców, który towarzyszył mu przez całe życie. Z tych, których znał, tylko jeden jedyny Anjin-san nie cuchnął, co było jednym z powodów, dla których mógł mu służyć.

- A, Anjin-san - wyszeptał i przedostał się do niego, krótko witając się z dziesięcioma strażnikami rozproszonymi po pokładzie.

U podnóża schodni zatrzymał się czekając, aż Blackthorne da mu znak, by wszedł na rufówkę.

- Poszło bardzo..

- Zaczekaj - ostrzegł go równie cicho Blackthorne i wskazał palcem. - Spójrz na brzeg. Tam, przy magazynie. Widzisz go? Nie, odrobinę na północ. . tam, teraz go widzisz?

Cień człowieka przesunął się i po chwili rozplątał się w ciemnościach.

- Kto to był?

- Obserwowałem cię od chwili, gdy znalazłeś się na tej ulicy. Szedł za tobą. Nie zauważyłeś go?

- Nie, wielmożny panie - odparł Uraga, znowu pełen złych przeczuć. - Nikogo nie widziałem za

plecami, nikogo nie czułem.

- Nie miał mieczy, więc to nie samuraj. Jezuita?

- Nie wiem. Wątpię. . zachowałem nadzwyczajną ostrożność. Przepraszam, że go nie spostrzegłem.

- Trudno. - Blackthorne zerknął na Vincka. - Zejdź pod pokład, Johann. Ja dokończę tę wachtę i obudzę cię o świcie. Dziękuję, że poczekałeś.

Vinck zasalutował i zszedł pod pokład. Wraz z nim zniknął przykry zapach.

- Zaczynałem się już o ciebie martwić - powiedział Blackthorne. - Co się stało?

- Posłaniec pana Yabu spóźnił się, Anjin-san. Oto, co mam do powiedzenia: poszedłem z panem Yabu i czekałem przed zamkiem od południa aż do zmroku.!

- Co robiłeś przez cały ten czas? Dokładnie.

- Dokładnie, wielmożny panie? Wybrałem sobie spokojne miejsce z widokiem na Pierwszy Most i oddałem się medytacjom, to jezuicki nawyk, Anjin-san, ale nie myślałem o Bogu, tylko o panu Yabu, tobie i twojej przyszłości. - Uruga uśmiechnął się. - Wielu przechodniów wrzuciło monety do mojej żebraczej miski. Dałem odpocząć ciału, a umysłowi wędrować, choć przez cały czas Obserwowałem Pierwszy Most. Posłaniec od pana Yabu przybył tuż po zmroku i udawał, że modli się wraz ze mną, aż do chwili, kiedy zostaliśmy całkiem sami. Oto, co mi przekazał: „Yabu-sama mówi, że dziś wieczorem zostanie w zamku i że wróci jutro rano. Jutro wieczorem generał Ishido wydaje uroczyste przyjęcie, na które i ty zostaniesz zaproszony”. Wreszcie powiedział, że powinieneś uwzględnić „siedemdziesiąt”. - Uruga wpatrzył się w Blackthorne’a. - Ten samuraj powtórzył to dwukrotnie, jest to więc, jak pozwalam sobie przypuszczać, wasz prywatny szyfr, wielmożny panie.

Blackthorne skinął głową, ale nie potwierdził, że jest to jeden z umówionych znaków pomiędzy Yabu a nim. „Siedemdziesiąt” oznaczało, że powinien zadbać, żeby statek był przygotowany do natychmiastowego wypłynięcia w morze. Na pokładzie znajdowali się jednak wszyscy samuraje, marynarze i wioślarze, tak więc statek był w pełni gotów. Wszyscy też doskonale zdawali sobie sprawę, że znajdują się na wodach wroga, co bardzo ich niepokoiło, tak więc Blackthorne miał pewność, że wyjdą w morze bez najmniejszych trudności.

- Mów dalej, Uruga-san - zachęcił.

- Powiedziałem już wszystko, z wyjątkiem tego, że dzisiaj przyjechała do Osaki Tonda, Mariko-san.

- O! Czy ona. . Czy nie dojechała tu z Edo bardzo szybko, jak na podróż lądem?

- Tak, wielmożny panie. Prawdę mówiąc, to kiedy czekałem, widziałem, jak jej orszak przejeżdża przez most. Było to po południu, w połowie godziny Kozła. Konie były spienione, ubłocone, a tragarze bardzo zmęczeni. Dowodził tej grupie Yoshinaka-san.

- Czy ktoś z nich cię widział?

- Nie, wielmożny panie. Wątpię.

- Z ilu osób składała się ta grupa?

- Z około dwustu samurajów, a ponadto z tragarzy i koni z bagażami. Eskortowało ich dwakroć tylu Szarych. Jeden z jucznych koni wiózł klatki z gołębiami.

- Dobrze. Co jeszcze?

- Odszedłem najprędzej, jak mogłem. W pobliżu misji jest makaroniarnia, którą odwiedzają liczni kupcy, pośrednicy w handlu jedwabiem i ryżem, mieszkający w misji. W tamtejszej rezydencji znowu przebywa ojciec wizytator. W rejonie Osaki znacznie wzrosła liczba nowo nawróconych. Na cześć panów Kiyamy i. Onoshiego pozwolono na odprawienie za dwadzieścia dni wielkiej mszy.

- A czy to ważne?

- Tak, a poza tym zdumiewa, że na to nabożeństwo pozwolono tak Otwarciem. Ma to być uczczenie święta świętego Bernarda. Dwudziesty dzień wypada w dzień po uroczystości złożenia hołdu Najjaśniejszemu Cesarzowi.

Za pośrednictwem Uragi Yabu opowiedział Blackthorne'owi o cesarzu. Wieści te rozeszły się po całym statku, wzmacniając u wszystkich przecucie nadchodzącej katastrofy.

- Co poza tym?

- Po rynku krąży wiele plotek. Większość złowróżbnych. Yodoko-sama, wdowa po taikō, jest bardzo chora. To źle, Anjin-san, ponieważ z jej radami wszyscy się liczą i są one rozsądne.

Niektórzy twierdzą, że pan Toranaga jest już pod Nagoją, a inni, że jeszcze nie dotarł do Odawary, tak więc nie wiadomo, komu wierzyć. Wszyscy są zgodni, że tegoroczne żniwa będą straszne, tu, w Osace, a to oznacza, że znaczenie Kantō wzrośnie jeszcze bardziej. Większość jest zdania, że Wojna wybuchnie zaraz po śmierci pana Toranagi, a wtedy wielcy daimyō zaczną walczyć pomiędzy sobą. Cena złota jest bardzo wysoka, a odsetki od pożyczek dochodzą do siedemdziesięciu pięciu procent, co..

- To niewiarygodnie wysoko, na pewno się mylisz.

Blackthorne wstał i rozprostował plecy, a potem ze znużeniem oparł się o burtę. Urąga i pozostali samuraje również wstali. Siedzenie w obecności stojącego pana byłoby niegrzecznością.

- Racz mi wybaczyć, Anjin-san - ciągnął Urąga - ale one nigdy nie są mniejsze niż pięćdziesiąt procent, zwykle jest to sześćdziesiąt pięć, a bywa, że nawet osiemdziesiąt. Prawie dwadzieścia lat temu ojciec wizytator zwrócił się z prośbą do Ojca Świętego. . do papieża, żeby pozwolił nam. . pozwolił

Towarzystwu pożyczać na dziesięć procent. Miał rację, że ta propozycja, a została ona przyjęta, przysporzy chrześcijaństwu chwały i wielu nawróconych, ponieważ naturalnie jedynie chrześcijanie mogli dostawać pożyczki, zresztą zawsze bardzo skromne. W twoim kraju nie płacicie takich wysokich procentów od pożyczek?

- Rzadko. To lichwa! Rozumiesz słowo „lichwa”?

- Tak, słowo rozumiem, ale u nas lichwa zaczyna się powyżej stu procent. Chcę ci też powiedzieć, że w tej chwili bardzo zdrożał ryż, co źle wróży. Przez te kilka tygodni, gdy mnie tu nie było, jego cena się podwoiła. Tania jest ziemia. Teraz najkorzystniej jest kupić grunt albo dom. W

czasie tai-funów i pożarów zostaje zniszczonych do dziesięciu tysięcy domów i ginie parę tysięcy ludzi. To wszystko, Anjin-san.

- Doskonale. Świetnie się spisałeś. Minałeś się ze swoim prawdziwym powołaniem!

- Słucham, wielmożny panie?

- Nic, nic - odparł Blackthorne, nie bardzo jeszcze wiedząc, jak daleko może się posunąć w żartach wobec Uragi. - Świetnie się spisałeś.

- Dziękuję, wielmożny panie.

Po chwili zastanowienia Blackthorne spytał Uragę o jutrzejsze przyjęcie, na co ten doradził mu najlepiej, jak umiał. Na sam koniec powiedział mu o tym, jak się wymknął patrolowi.

- „Czy twoje włosy by cię zdradziły?” - spytał Blackthorne.

- O, tak. To by wystarczyło, żeby zaprowadzili mnie do swojego dowódcy. - Urąga obtarł spoczone czoło. - Przepraszam - rzekł - jest gorąco, nie?

- Bardzo.

- Jeszcze jedno, wielmożny panie. Poszedłem do misji, okrążyłem ją. Strażnicy byli bardzo czujni i za nic nie dostałbym się do środka. Obserwowałem misję przez krótki czas i tuż przed odejściem zobaczyłem, że wchodzi tam służąca pani Tody, Chimmoko.

- Jesteś pewien?

- Tak. Była z nią druga służąca. Myślę. .

- Pani Mariko? W przebraniu?

- Nie, wielmożny panie. Na pewno nie. . ta druga służąca była za wysoka.

Blackthorne spojrział na morze i mruknął do siebie:

- Co to może znaczyć?

- Pani Mariko jest chrześcijanką, katoliczką, nie? Bardzo dobrze zna ojca wizytatora. Należy do najważniejszych dam w cesarstwie, pod względem sławy stoi zaraz po trzech najwyższych szlachetnie urodzonych japońskich damach: pani Ochibie, pani Genjiko i żonie taikō, wielmożnej pani Yodoko.

- Może chciała się wyspowiadać? Albo wziąć udział w mszy? Albo jakiejś naradzie? Posłała Chimmoko, by to przygotować?

- Może chodzić o jedno albo o wszystko naraz, Anjin-san. Wszystkie żony magnatów, zarówno przyjaciół generała Ishido, jak i tych, którzy mogą się obrócić przeciwko niemu, są zamknięte w zamku, nie? Kiedy raz tam trafią, to już pozostają, niczym złote rybki w akwarium, czekające na złowienie.

- Wystarczy! Dość tego złowieszczonego gadania.

- Bardzo przepraszam. A jednak mimo to uważam, że pani Toda stamtąd nie wyjdzie. Aż do dziewiętnastego dnia.

- Powiedziałem ci, że wystarczy! Wiem o zakładnikach i o ostatnim dniu.

Na pokładzie panował spokój, głosy wszystkich były przyciszone. Strażnicy odpoczywali swobodnie, czekając na koniec warty. Małe fale chlupotały, uderzając w kadłub, a liny przyjemnie skrzypiały.

- Może Chimmoko przyniosła wezwanie - rzekł po chwili Urąga - prośbę do ojca wizytatora, żeby ją odwiedził. Po przejściu Pierwszego Mostu na pewno znalazła się pod strażą. Pani Toda Mariko-no-Buntaro-no-Jinsai z pewnością znalazła się pod strażą od pierwszych chwil po przekroczeniu granic ziem pana Toranagi. Nie?

- Czy będziemy wiedzieli, że ojciec wizytator wybiera się do zamku?

- O, tak. Z łatwością.

- A od kogo się dowiedzieć, co zostało powiedziane. . albo zrobione?

- To trudna sprawa. Bardzo żałuję, ale oni będą ze sobą rozmawiać po portugalsku albo po łacinie, nie? A kto jeszcze mówi tymi dwoma językami oprócz mnie i ciebie? Oboje by mnie rozpoznali. - Urąga wskazał na zamek i na miasto..- Tam mieszka wielu chrześcijan. Każdy zyskałby bardzo wiele za usunięcie ciebie albo mnie. . nie?

Blackthorne nie odpowiedział. Odpowiedź nie była potrzebna.

- Nie martw się, wielmożny panie. Karma - rzekł Urąga.

- Tak jest. Karma - odparł Blackthorne i nagle dosłyszał, że od strony morza nadciąga zagrożenie.

Jego ciało zareagowało szybciej, niż nakazał mu to zrobić rozum. Okręcił się w chwili, gdy przelatująca z poszumem i poświstem strzała minęła go o centymetry i wbiła się rozedrgana w grodzie. Przyskoczył do Japończyka, żeby go ściągnąć w dół, ale w tym samym momencie następna sycząca strzała trafiła Uragę w gardło i przebiła je. Razem przypadli do zapewniającego osłonę pokładu. Urąga wrzeszczał, a samuraje krzyczeli i spoglądali ponad burty na morze. Na pokład wpadli Szarzy, którzy strażowali na nabrzeżu. Z nocnych ciemności wyleciała następna seria strzał i wszyscy rozpięchli się, szukając schronienia. Blackthorne podczołgał się do burty, wyjrzał przez spływnik i zobaczył, że na znajdującej się w pobliżu rybackiej łodzi gaszą pochodnie, chcąc zniknąć w ciemnościach. Na innych rybackich łodziach robiono to samo i na ułamek sekundy dojrzał na nich wiosłarzy, którzy wiosłowali jak szaleni, oraz rozbłyśki światła odbitego od mieczy i łuków.

Wrzask Uragi osłabł i zamienił się w bolesne, szarpiące nerwy bulgotanie. Szarzy, z łukami w pogotowiu, ruszyli w stronę rufówki i galerę ogarnął tumult. Vinck prędko wydostał się na pokład i nadbiegł chyłkiem z pistoletem gotowym do strzału.

- Chryste, co się dzieje? . Nic ci nie jest, pilocie? - spytał.

- Nic. Uważaj. . strzelają z tych rybackich łodzi! Blackthorne przedostał się z powrotem do Uragi, który szarpał za brzechwę strzały, a z nosa, uszu i ust wypływała mu krew.

- O Jezu - Wydusił z siebie Vinck.

Blackthorne jedną ręką uchwycił wąs strzały, a drugą przyłożył do ciepłego, pulsującego ciała i pociągnął z całej siły za brzechwę. Strzała wyszła bez przeszkód, lecz wraz z nią buchnęła fontanna krwi. Urąga zaczął się dusić.

Zdążyli już ich otoczyć samuraje Blackthorne'a i Szarzy. Niektórzy, nie dbając o własne bezpieczeństwo, osłonili swojego pana przyniesionymi tarczami. Inni trzęśli się w ukryciu, chociaż niebezpieczeństwo minęło. A jeszcze inni miotali groźby w ciemność i strzelali w mrok, nakazując niewidocznym łodziom rybackim zawrócić.

Blackthorne bezradnie trzymał w swoich objęciach Uragę, zdając sobie sprawę, że coś trzeba zrobić, ale nie miał pojęcia co i wiedział, że już nic zrobić nie można. Nozdrza zatykał mu natarczywy słodkomdły zapach śmierci, a w mózgu jak zwykle krzyczało: „Jezu Chryste, dzięki Ci, Boże, że to nie moja krew, nie moja, dzięki Ci”.

Zobaczył w oczach Uragi błaganie, jego poruszające się bezgłośnie usta, dławienie, ciężko falującą pierś, a potem ujrzał, jak jego własne palce same wędrują do czoła leżącego i kreślą pomiędzy jego oczami znak krzyża. Poczł, jak ciało Japończyka drży, dygocze, a usta krzyczą bezgłośnie niczym u przebitej ryby.

Urąga umierał okrutnie długo.

Blackthorne podążał do zamku w honorowej asyście dwudziestu własnych samurajów i w otoczeniu dziesięciokrotnie przewyższającej ich liczbą eskorty Szarych. Z dumą nosił swój nowy mundur - brązowe kimono z pięcioma godłami Toranagi - i po raz pierwszy uroczysty, szerokoskrzydły kaftan. Złociste falujące włosy związał w porządną ogon. Podarowane mu przez Toranagę miecze wystawały przykładnie zza pasa. Na stopach miał nowe tabi i rzemieńne sandały.

Wcześniej Szarzy zaprowadzili go do części zamku przeznaczonej dla Toranagi, znanej mu już z pierwszej wizyty w tym miejscu, tam, gdzie ukrywały się nadal Kiritsubo, pani Sazuko z dzieckiem i pozostali samuraje władcy Kantō. Wykąpał się i znalazł przygotowany nowy strój.

- Czy jest tu pani Mariko? - spytał.

- Nie, wielmożny panie, niestety, nie ma - odparła mu służąca. Właśnie dochodził do wewnętrznej fosy twierdzy. Wszędzie płonęły pochodnie.

Otrząsnął się z obaw i wkroczył na drewniany most. Szedł w otoczeniu innych gości, którzy w asyście Szarych zdążali w tę samą stronę. Czuł na sobie ich ukradkowe spojrzenia.

Nogi same poprowadziły go przez ostatnią bramę z opuszczaną kratą, a dalej Szarzy powiedli go znów przez labirynt przejść aż do ogromnych drzwi. Tutaj go zostawili, podobnie jak i jego samuraje, którzy wraz z innymi odeszli na bok, żeby czekać. Wkroczył w oświetloną pochodniami paszczę drzwi.

Znalazł się w ogromnej, wysoko sklepionej sali ze złotym ozdobnym sufitem. Wykładane złotem kolumny podpierały krokwie z rzadkiego, wypolerowanego drewna, wymuskanego jak draperie na ścianach. W środku znajdowało się pięciuset samurajów z żonami w ubiorach we wszystkich kolorach tęczy, a ich perfumy mieszały się z kadzidlana wonią drewna, palącego się w małych naściennych kadzielnicach. Blackthorne wodził oczami po tłumie, szukając wzrokiem Mariko, Yabu bądź jakiegokolwiek przyjaznej twarzy. Ale nie znalazł żadnej. Po jednej stronie ciągnął się rząd gości, którzy czekali na złożenie pokłonu przed wysokim podium na końcu sali. Stał tam dworzanin, książę Ogaki Takamoto. Blackthorne rozpoznał też wysokiego, szczupłego Ishido, który we władczej postawie również stał obok podestu. Przypomniawszy sobie oślepiającą siłę ciosu, z jaką tamten uderzył go w twarz, oraz swoje własne palce zaciskające się na gardle przeciwnika.

Miejsce na podeście zajmowała tylko jedna osoba, pani Ochiba. Siedziała wygodnie na poduszce. Nawet z tej odległości widział przepych jej kimona, złote nici na najrzadszym niebiesko-czarnym jedwabiu. „Najwyższa Pani”, nazywał ją w podziwie Urąga, opowiadając mu podczas rejsu wiele o niej i o jej historii.

Była lekkiej, niemal dziewczęcej budowy ciała, a jej blada cera jaśniała. Spod namalowanych łuków brwi spoglądały ciemne, duże oczy, a ufryzowane włosy przypominały skrzydlaty hełm.

Procesja gości wolno posuwała się naprzód. Blackthorne stał z boku w kałuży światła, o głowę

przewyższając sąsiadów. Uprzejmie ustąpił z drogi przechodzącym gościom i spostrzegł, że oczy pani Ochiby kierują się na niego. Ishido też na niego spojrział. Powiedzieli coś do siebie i Ochiba poruszyła wachlarzem. Znów popatrzyli w jego stronę. Skrępowany, ruszył do ściany, pragnąc nie rzucać się tak bardzo w oczy, ale drogę zagroził mu jakiś Szary.

- Dōzo - powiedział grzecznie, wskazując mu rząd gości.

- Hai, dōmo - odparł Blackthorne i dołączył do reszty. Japończycy stojący przed nim i za nim uklonili mu się. Odwzajemnił im ukłony. Wkrótce rozmowy zupełnie ścichły. Wszyscy patrzyli na niego.

Zakłopotani Japończycy i Japonki w rzędzie przed nim zeszli mu z drogi i w tej chwili nie było nikogo pomiędzy nim a pomostem. Na chwilę zamarł, po czym w kompletnej ciszy ruszył przed siebie.

Przed podwyższeniem uklęknął i złożył ceremonialne ukłony, które podpatrzył u innych, jeden jej, a drugi Ishido. Wstał, sparaliżowany myślą, że wypadną mu miecze albo że się pośliznie i zbłąźni, ale wszystko przebiegło pomyślnie i zaczął się wycofywać.

- Zaczekaj, proszę, Anjin-san - powiedziała pani Ochiba.

Zaczekał. Bijący od niej blask jeszcze się wzmógł, tak samo jak emanująca z niej kobiecość.

Wprawdzie nie robiła w tym celu nic, wyczuwał jednak spowijającą ją aurę niesamowitej zmysłowości.

- Powiadają, że mówisz naszym językiem? - spytała nadzwyczaj osobistym tonem.

- Racz mi wybaczyć, Wasza Wysokość - zaczął Blackthorne, korzystając z wyuczonego zwrotu i trochę się zacinając ze zdenerwowania. - Bardzo przepraszam, ale muszę używać krótkich słów, i z całym szacunkiem proszę cię, żebyś mówiła do mnie bardzo prostym językiem, tak żebym miał zaszczyt cię rozumieć. - Dobrze wiedział, że jego życie może bez wątpienia zależeć od odpowiedzi, jakich udzieli. Skupił w tej chwili na sobie uwagę całej sali. I wówczas spostrzegł, że przez tłum przesuwa się ostrożnie Yabu i jest coraz bliżej. - Niech mi wolno będzie z całym szacunkiem pogratulować ci w dniu twoich urodzin i prosić, żebyś cieszyła się jeszcze tysiącem następnych.

- To wcale nie są proste, słowa, Anjin-san - powiedziała pani Ochiba, na której zrobiło to wielkie wrażenie.

- Racz mi wybaczyć, Wasza Wysokość. Nauczyłem się ich zeszłej nocy. Czy dobrze to powiedziałem?

- Kto cię tego nauczył?

- Uraga-no-Tadamasa, mój poddany.

Zmarszczyła brwi i spojrzała na Ishido, który pochylił się w jej stronę i zaczął wyjaśniać, ale za szybko, żeby Blackthorne zrozumiał coś więcej ponad słowo „strzały”.

- A, ten chrześcijański kapłan zaprzaniec, który zginął zeszłej nocy na waszym statku?

- Słucham, Wasza Wysokość?

- Ten człowiek. . samuraj, którego zabito wczoraj w nocy na statku. Rozumiesz?

- Ach, bardzo przepraszam. Tak, to on. - Blackthorne spojrzał na Ishido i znów na Ochibę. -

Racz wybaczyć, Wasza Wysokość, czy wolno mi powitać wielmożnego pana generała?

- Tak, pozwalam na to.

- Dobry wieczór, panie generale - powiedział Blackthorne uprzedzająco grzecznym tonem. -

Ostatni raz się widzieliśmy, ja byłem strasznie szalony. Bardzo przepraszam.

W odpowiedzi Ishido złożył mu niedbały ukłon.

- Tak, byłeś - rzekł. - A ponadto bardzo niegrzeczny. Mam nadzieję, że dziś wieczorem nie oszalejesz ani nigdy więcej.

- Tamtego wieczoru byłem bardzo szalony, wybac, proszę.

- Takie szaleństwo to u barbarzyńców rzecz zwyczajna, ne? Podobne publiczne grubiaństwo wobec gościa było poważną niegrzecznością. Blackthorne natychmiast zerknął na Ochibę i spostrzegł, że ją również ono zdumiało. Dlatego zaryzykował.

- Tak, masz całkowitą rację, panie generale. Barbarzyńcy są zawsze tak samo szaleni. Teraz jednak, racz wybaczyć, jestem samurajem i hatamoto, a to dla mnie wielki, bardzo wielki zaszczyt.

Nie jestem już barbarzyńcą! - oświadczył głosem, jakim komenderował z rufówki, który nie będąc krzykiem, był donośny na tyle, żeby dotrzeć do wszystkich kątów sali. - Już rozumiem zachowanie samurajów. . i trochę bushido. Oraz wa. Racz wybaczyć, nie jestem już barbarzyńcą. Ne?, Ostatnie słowa wypowiedział jak wyzwanie, bez najmniejszej obawy. Wiedział, że Japończycy rozumieją męskość i dumę i że poważają je. Ishido zaśmiał się.

- Ach tak, samuraju Anjin-san - odparł jowialnie. - Tak, przyjmuję twoje przeprosiny. Pogłoski o twojej potędze są prawdziwe. To dobrze, bardzo dobrze. Ja również powinienem cię przeprosić.

To straszne, że ci parszywi roninowie zrobili coś podobnego, rozumiesz? Że zaatakowali nocą.

- Tak, rozumiem, wielmożny panie. Bardzo źle. Czterech zabitych. Jeden mój, trzech Szarych.

- To źle, bardzo źle. Nie martw się, Anjin-san. Już nigdy więcej. - Ishido w zamyśleniu spojrzał na salę. Wszyscy zrozumieli go bardzo dobrze. - Wystawię strażę do pilnowania.

Rozumiesz? Bardzo czujne strażę. Nie będzie więcej ataków zabójców. Ani jednego. Jesteś teraz

dokładnie strzeżony. Całkiem bezpieczny w zamku.

- Dziękuję. Przepraszam za kłopot.

- To żaden kłopot. Jesteś ważną osobą, ne? Jesteś samurajem. Jesteś samurajem wyróżnionym przez pana Toranagę. Nie bój się, pamiętam o tym.

Blackthorne podziękował jeszcze raz i zwrócił się do pani Ochiby.

- Wasza Wysokość, w moim kraju mieliśmy królową. . mamy królową. Wybacz mi mój niepoprawny japoński. . Tak, moim krajem włada królowa. W moim kraju mamy zwyczaj obdarowywać kobiety w dniu urodzin. Nawet królową. - Z kieszeni w rękawie wyjął różową kamelię, którą zerwał z drzewa w ogrodzie. Położył ją przed Ochibą, bojąc się, że posunął się za daleko. - Wybacz, proszę, jeżeli dawanie darów jest niegrzeczne.

Ochiba spojrzała na kwiat. Pięćset osób czekało z zapartym tchem, żeby przekonać się, jak zareaguje na taką śmiałość i galanterię barbarzyńcy, a także na pułapkę, w którą - być może nieumyślnie - ją wciągnął.

- Nie jestem królową, Anjin-san - odpowiedziała wolno. - Tylko matką następcy i wdową po panu taikō. Nie mogę więc przyjąć twojego daru jako królowa, bo nią nie jestem, nigdy nią nie będę, nie zabiegam, żeby nią zostać ani też nie chcę nią być. - Po tych słowach uśmiechnęła się do sali i powiedziała do wszystkich: - Ale może jako damie obchodzącej urodziny pozwolicie mi na przyjęcie podarunku Anjin-sana?

Sala zareagowała aplauzem. Blackthorne uklonił się i podziękował jej, pojmując jedynie tyle, że jego dar przyjęto. Kiedy tłum ucichł, Ochiba zawołała:

- Mariko-san, to zaszczyt mieć takiego ucznia, ne?

Przez tłum gości nadeszła Mariko z młodym chłopcem. Rozpoznał też idące blisko nich Kiritsubo i panią Sazuko. Zobaczył, że chłopak uśmiecha się do jakiejś młodej dziewczyny, a po chwili dogania Mariko.

- Dobry wieczór, pani Toda - rzekł Blackthorne i podniecony odniesionym sukcesem dodał ryzykownie po łacinie: - Dzięki twojej obecności ten wieczór jest jeszcze piękniejszy.

- Dziękuję, Anjin-san - odparła po japońsku, czerwieniąc się. Weszła na podwyższenie, ale chłopak pozostał wśród widzów. Pokłoniła się Ochibie. - Niewielka w tym moja zasługa, Ochiba-sama.

To wszystko zasługa pilności Anjin-sana i słownika, który dali mu chrześcijańscy księża.

- Ach tak, słownika! - Ochiba kazała Blackthorne'owi, żeby pokazał jej słownik i z pomocą Mariko dokładnie wyjaśnił jego sens. Książka zafascynowała ją. Tak samo generała Ishido, - Musimy mieć jego kopie, generale - powiedziała. - Każ im, żeby dostarczyli nam sto takich książek. Z ich pomocą nasza młodzież wkrótce nauczy się języka barbarzyńców, ne?

- To dobra myśl, pani. Im prędzej będziemy mieli własnych tłumaczy, tym lepiej. - Ishido zaśmiał się.
- Niechaj chrześcijanie sami przełamią swój monopol, ne?

- Chrześcijanie nie mają żadnego monopolu, panie generale - odezwał się stojący pośród gości stalowosiwy samuraj po sześćdziesiątce. - Prosimy chrześcijańskich księży, a raczej domagamy się, żeby służyli nam za tłumaczy i negocjatorów, ponieważ jedynie oni potrafią porozumiewać się z obiema stronami i cieszą się ich zaufaniem. Przecież ten zwyczaj zapoczątkował pan Goroda, ne? A taikō kontynuował go.

- Oczywiście, panie Kiyama, wcale nie chciałem uchybić daimyō ani samurajom, którzy zostali chrześcijanami - odparł Ishido. - Ale lepiej byłoby dla nas, gdyby to nasi ludzie, a nie zagraniczni kapłani - jacykolwiek kapłani, skoro już o tym mówimy - zawiadywali naszym handlem z Chinami.

- Jak dotychczas nie było ani jednego przypadku oszustwa, panie generale - rzekł Kiyama. -

Ceny są godziwe, handlujemy łatwo i z dobrym skutkiem, a księża rządzą swoimi własnymi rodakami.

Bez Południowych Barbarzyńców nie będzie jedwabiów, nie będzie handlu z Chinami. Bez księży wpadniemy w wielkie kłopoty. Przykro mi, ale bardzo wielkie. Zechciej wybaczyć, że o tym wspominał, panie.

- Och, panie Kiyama - wtrąciła pani Ochiba. - Jestem pewna, że sprawiłeś panu Ishido zaszczyt, prostując jego sąd, prawda, generale? Czymże byłaby Rada Regencyjna bez wskazówek pana Kiyamy?

- Naturalnie - rzekł Ishido.

Kiyama uklonił się sztywno, zadowolony z takiego postawienia sprawy. Ochiba spojrzała na chłopca i poruszyła wachlarzem.

- Co ty na to, Saruji-san? - spytała. - Może chciałbyś nauczyć się języka barbarzyńców?

Chłopiec zaczerwienił się pod ich badawczymi spojrzeniami. Był szczupły, przystojny i bardzo starał się wyglądać doroślej niż na swoje piętnaście lat.

- Och, mam nadzieję, że nie będę musiał tego robić, Ochiba-sama, o, nie. . ale jeżeli dostanę taki rozkaz, to się postaram. Tak, postaram się ze wszystkich sił.

Jego szczerość wywołała wesołość.

- Anjin-san, to mój syn Saruji - z dumą przedstawiła chłopca Mariko.

Blackthorne skupiał się na rozmowie, ale prowadzono ją na ogół za szybko i zbyt potocznym językiem, żeby mógł ją rozumieć. Niemniej na dźwięk nazwiska „Kiyama” stał się czujny. „Uklonił się Sarujiemu i w odpowiedzi otrzymał ceremonialny ukłon.

- Bardzo piękny z niego mężczyzna, ne? To szczęście mieć takiego pięknego syna, Mariko-sama - odparł.

Półprzymkniętymi oczami spojrział na prawą rękę chłopca. Była wykręcona. To mu przypomniało, że kiedyś Mariko wspomniała o swoim ciężkim i długim porodzie. Biedny chłopak, pomyślał. Jakże może władać mieczem? Odwrócił wzrok. Nikt nie zauważył, na co patrzył. Oprócz Sarujiego. Na twarzy chłopaka odbiło się zakłopotanie i męka.

- To szczęście mieć pięknego syna - powiedział jeszcze raz do Mariko. - Ale to przecież niemożliwe, żeby twój syn był taki duży. . jesteś na to za młoda, ne?

- A ty zawsze jesteś taki rycerski, Anjin-san? - spytała Ochiba. - Zawsze taki mądry?

- Słucham?

- Czy zawsze jesteś taki mądry? Mówisz komplementy? Rozumiesz?

- Nie, przykro mi, proszę o wybaczenie. - Blackthorne'owi od ciągłego skupiania się pękała głowa. Mimo to jednak, kiedy Mariko wyjaśniła mu, o czym mowa, odparł z udawaną powagą: - Ach, przepraszam, Mariko-sama. Jeżeli Saruji jest naprawdę twoim synem, to powiedz pani Ochibie, że w takim razie nie miałem pojęcia, że damy wychodzą tu za mąż mając dziesięć lat.

Mariko przełożyła to, co powiedział. A potem dodała coś, co tamtych rozśmieszyło.

- Co powiedziałaś? - spytał.

- Ach! - Mariko spostrzegła, że Kiyama złowrogo spogląda na Blackthorne'a. - Bardzo przepraszam, panie Kiyama - powiedziała - czy pozwolisz, że przedstawię ci Anjin-sana?

Kiyama bardzo uprzejmie odpowiedział na bardzo stosowny ukłon Anglika.

- Mówią, że podobno uważasz się za chrześcijanina? - spytał.

- Słucham?

Kiyama nie raczył odpowiedzieć, więc Mariko przełożyła jego pytanie.

- Ach, bardzo przepraszam, panie Kiyama - powiedział po japońsku Blackthorne. - Tak, jestem chrześcijaninem. . ale z innej sekty. - Twoja sekta nie jest mile widziana na mojej ziemi Nie w Nagasaki. . tak samo, jak sądzę, na Kiusiu i nie w posiadłościach wszystkich chrześcijańskich daimyō.

Mariko nie przestała się uśmiechać. Zastanawiała się, czy Kiyama osobiście wynajął zabójcę z oddziału Amidy i czy to tan nakazał atak zeszłej nocy. Przełożyła jego słowa Blackthorne'owi, łagodząc ich nieuprzejmy ton. Wszyscy w sali przysłuchiwali się im uważnie.

- Nie jestem kapłanem, panie - rzekł Blackthorne wprost do Kiyamy. - Jeżeli jestem w twoim kraju. .

to wyłącznie dla handlu. Nie jestem kapłanem, żeby mówić czy uczyć. Z całym szacunkiem, ja proszę tylko o handel.

- Ja nie muszę handlować z tobą. Nie chcę widzieć ciebie na moich ziemiach. Pod karą śmierci zabraniam ci wstępu do nich. Rozumiesz?

- Tak, rozumiem - odparł Blackthorne. - Przykro mi.

- To dobrze - powiedział Kiyama i wyniośle obrócił się w stronę Ishido. - Powinniśmy tę barbarzyńską sektę całkowicie usunąć z cesarstwa. Zaproponuję to na następnym zebraniu Rady.

Wszem i wobec oświadczam, iż uważam, że pan Toranaga postąpił bardzo nierozważnie robiąc cudzoziemca, a już zwłaszcza tego, samurajem. To bardzo niebezpieczny przykład.

- Ależ to przecież jest z całą pewnością bez znaczenia! Wszystkie pomyłki obecnego władcy Kantō już wkrótce zostaną naprawione. Ne?

- Wszyscy popełniają błędy, panie generale - rzekł z naciskiem Kiyama. - Tylko Bóg jest wszechwiedzący i doskonały. Jedynym prawdziwym błędem pana Toranagi jest to, że swoje interesy przedłożył nad interesy następcy.

- Tak - przyznał Ishido.

- Proszę o wybaczenie, panowie - wtrąciła Mariko. - Ale to nieprawda. Przykro mi, ale obaj mylicie się co do mojego pana.

Kiyama zwrócił się do niej. Grzecznie.

- Masz pełne prawo do swojego stanowiska, Mariko-san. Ale proszę, nie rozmawiajmy o tym dzisiaj. No więc, panie generale, gdzie jest w tej chwili pan Toranaga? Jakie są ostatnie wieści?

- Wczoraj gołąb pocztowy przyniósł mi wiadomość, że jest w Mishimie. Codziennie dostaję meldunki o jego podróży.

- To dobrze. A więc za dwa dni opuści swoje granice? - spytał Kiyama.

- Tak. Pan Ikawa Jikkyu jest gotów przyjąć go tak, jak na to zasługuje.

- Świetnie. - Kiyama uśmiechnął się do Ochiby. Bardzo ją lubił. - Pani, może spytałabyś następcę, czy dla uczczenia tego wydarzenia, pozwoliliby regentom pokłonić się mu.

- Następcą będzie tym zaszczycony, wielmożny panie - odparła Ochiba ku aplauzowi sali. - A potem, być może, ty i wszyscy tutaj weźmiecie jako jego goście udział w turnieju poetyckim. Może sędziami w nim będą regenci?

Wywołało to jeszcze większy aplauz.

- Dziękuję ci, pani, ale może sędziami będą księżę Ogaki, ty i inne damy dworu. -

- Doskonale, jak sobie życzyście.

- A więc, wielmożna pani, jaki będzie temat wiersza? - spytał bardzo zadowolony Kiyama, bo oprócz sławy fechtmistrza i zaciętego wojownika, słynął ze swoich umiejętności poetyckich.

- Proszę, Mariko-san, zechcesz odpowiedzieć panu Kiyamie? - spytała Ochiba, czym u wielu wzbudziła podziw dla swojej zręczności, jako że sama była marną poetką, za to Mariko słynęła ze swoich wierszy.

Mariko ucieszyła się, że nadeszła pora, aby zacząć. Po chwili zastanowienia odparła:

- Powinien być o dniu dzisiejszym, wielmożna pani, a pierwszy jego wers powinien brzmieć „Na bezlistnej gałęzi. .”

Ochiba i wszyscy pozostali pochwalili jej wybór.

- Wspaniale - rzekł zadowolony Kiyama - ale żeby się z tobą zmierzyć, musimy się wznieść na wyżyny, Mariko-san.

- Mam nadzieję, że mi wybaczysz, wielmożny panie, ale ja nie stanę w szranki.

- Ależ oczywiście, że staniesz! - Kiyama roześmiał się. - Należysz do najlepszych poetek w cesarstwie! Bez ciebie turniej nie będzie taki jak powinien.

- Bardzo żałuję, wielmożny panie, wybacz mi, ale nie będę tu obecna.

- Nie rozumiem.

- Co masz na myśli, Mariko-san? - spytała Ochiba.

- Och, wybacz, wielmożna pani, ale jutro wyjeżdżam z Osaki - odparła Mariko. - z paniami Kiritsubo i Sazuko.

Ishido przestał się uśmiechać.

- Wyjeżdżasz? Dokąd? - spytał.

- Na spotkanie mojemu lennemu panu, wielmożny panie.

- On. . pan Toranaga zjawi się tu przecież za kilka dni, ne?

- Pani Sazuko nie widziała męża od paru miesięcy, a mój pan nie miał jeszcze przyjemności widzieć najmłodszego syna. Pani Kiritsubo będzie nam oczywiście towarzyszyć. Pan Toranaga równie długo bowiem nie oglądał najstarszej ze swoich dam, ne?

- Pan Toranaga przybędzie tu tak niedługo, że nie ma potrzeby wyjeżdżać mu na spotkanie.

- A ja uważam, że jednak jest potrzeba, panie generale.

- Dopiero co przyjechałaś i bardzo się cieszyliśmy na twoje towarzystwo, Mariko-san - rzekł

energicznie Ishido. - A zwłaszcza wielmożna pani Ochiba. Ponownie zgadzam się z panem Kiyamą, że koniecznie musisz wziąć udział w tym turnieju.

- Bardzo żałuję, ale nie będę obecna.

- Na pewno jesteś zmęczona, pani. Dopiero co przyjechałaś. To z całą pewnością nie jest dobre miejsce na omawianie prywatnych spraw. - Ishido zwrócił się do Ochiby. - Wielmożna pani, może. . zechciałabyś przywitać pozostałych gości.

- Tak. . tak, naturalnie - odparła Ochiba, tracąc głowę.

Znów posłusznie zaczęła się formować kolejka i rozszumiały się nerwowe rozmowy, lecz po chwili ponownie zapadła cisza, bo rozległy się słowa Mariko:

- Dziękuję, panie generale. Masz rację, ale to wcale nie jest prywatna sprawa, tak więc nie ma o czym mówić. Wyjeżdżam jutro, żeby złożyć uszanowanie mojemu lennemu panu, wraz z jego damami.

- Jesteś tu, wielmożna pani - rzekł chłodno Ishido - na osobiste zaproszenie Syna Niebios, a w dodatku jesteś mile widzianym gościem regentów. Zechciej więc okazać, cierpliwość. Twój pan wkrótce tu przybędzie.

- To prawda, wielmożny panie, ale Jego Wysokość cesarz zaprosił mnie na dwudziesty pierwszy dzień miesiąca. Nie wymaga to ode mnie albo kogokolwiek siedzenia w murach Osaki aż do tego dnia. A może nie?

- Zapominasz się, wielmożna pani Toda.

- Wybacz, panie, ale ani mi to w głowie. Bardzo przepraszam.

Mariko zwróciła się do dworzanina Ogakiego. - Wielmożny panie, czy zaproszenie Najjaśniejszego Cesarza wymaga ode mnie pozostawania na miejscu aż do jego przybycia?

Ogaki nie przestał się uśmiechać.

- Zaproszenie jest na dwudziesty pierwszy dzień tego miesiąca, pani - odparł. - Wymaga to twojej obecności tylko wtedy.

- Dziękuję, wielmożny panie. - Mariko złożyła mu ukłon i obróciła się ponownie w stronę podestu. - Wymaga to mojej obecności jedynie w tym dniu, generale. Nie wcześniej. Tak więc jutro wyjadę.

- Okaż cierpliwość, pani. Regenci powitali cię z zadowoleniem, a do czasu przyjazdu

Najjaśniejszego przy wielu przygotowaniach będzie im potrzebna. A teraz, pani Ochi. .

- Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale rozkazy mojego lennego pana są dla mnie ważniejsze. Muszę jutro wyjechać.

- Nie wyjedziesz jutro i prosimy cię, błagamy, Mariko-san, żebyś wzięła udział w turnieju pani Ochiby. A teraz, wielmożna pani. .

- A więc zatrzymuje się mnie tutaj. . wbrew mojej woli?

- Mariko-san, odłóżmy tę sprawę” na później, dobrze? - powiedziała Ochiba.

- Bardzo przepraszam, Ochiba-sama, ale jestem prostą osobą. Powiedziałam wprost, że mam rozkazy od mojego lennego pana. Jeżeli nie mogę ich wykonać, to muszę wiedzieć dlaczego. Panie generale, czy jestem uwięziona aż do dwudziestego pierwszego dnia? Jeżeli tak, to na czyj rozkaz?

- Jesteś naszym honorowym gościem - odparł ostrożnie Ishido, chcąc, żeby mu się podporządkowała. - Powtarzam, wielmożna pani, że twój pan wkrótce się tu zjawi.

Mariko, wyczuwając jego siłę, zaczęła z nim walczyć.

- Przepraszam - powiedziała - ale z całym szacunkiem pytam jeszcze raz: czy jestem uwięziona w Osace na następne osiemnaście dni, a jeżeli tak, to na czyj rozkaz?

Ishido przygwałdział ją wzrokiem.

- Nie, nie jesteś uwięziona, pani - odparł.

- Dziękuję, wielmożny panie. Wybacz mi moją bezpośredniość.

Wiele dam w sali obróciło się do swoich sąsiadek i część z nich, nie kryjąc się z tym, szeptała” o czym myślą wszystkie te, które są przetrzymywane w Osace wbrew swojej woli:

- Jeżeli ona może jechać, to dlaczego nie ja? Tak samo ty, ne? Jutro wyjeżdżam, och, jak cudownie!

Ale ów poszum na sali uciął głos Ishido.

- Ponieważ jednak uznałaś, że możesz zwracać się do mnie tak arogancko, czuję się w obowiązku poprosić regentów o urzędowe zakazanie ci wyjazdu. . na wypadek, gdyby inni okazali twój brak zrozumienia. - Uśmiechnął się ponuro w złowrogiej ciszy. - Aż do tego czasu zaczekasz w pogotowiu na ich pytania i dyspozycje.

- Przyjęłabym to jako zaszczyt, wielmożny panie, gdybym nie miała obowiązków wobec mojego lennego pana - odparła Mariko.

- Oczywiście. Ale to potrwa tylko kilka dni.

- Bardzo mi przykro, wielmożny panie, ale przez kilka następnych dni mam obowiązki wobec mojego lennego pana.

- Uzbrosisz się w cierpliwość, pani. Zajmie to nam niedługo. Sprawa zakończona. A teraz, panie Ki. .

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę odłożyć wyjazdu na niedługo.

- Odmawiasz posłuszeństwa Radzie Regencyjnej?! - podniósł głos Ishido.

- Nie, wielmożny „panie - odparła dumnie Mariko. - Nie, chyba że kłóci się to z obowiązkami, jakie mam wobec mojego lennego pana i które są moją najwyższą powinnością.

- Przygotuj się na spotkanie z Radą posłusznie i z pokorą, tak jak przystało poddanej!

- Bardzo przepraszam, ale mam rozkaz towarzyszyć damom mojego pana na spotkanie z nim.

Natychmiast.

Wyjęła z rękawa zwój papieru i wręczyła go oficjalnie Ishido, Rozerwał go i przeleciał wzrokiem tekst.

- Mimo to zaczekasz na dyspozycje regentów - oświadczył podnosząc wzrok. .”-

Mariko spojrzała z nadzieją na Ochibę, ale napotkała jedynie chłodną nieprzychylność.

Obróciła się w stronę Kiyamy. Ten jednak pozostał równie niemy, równie niewzruszony.

- Proszę wybaczyć, panie generale, ale przecież nie ma wojny - zaczęła. - Mój pan jest posłuszny woli regentów, tak więc przez następne osiemnaście dni. .

- Sprawa jest zamknięta!

- Ta sprawa zostanie zamknięta, generale, kiedy okażesz się, panie, na tyle grzeczny, że pozwolisz mi dokończyć! Nie jestem chłopką, żeby po mnie deptać! Jestem Toda Mariko-no-Buntaro-no-Hiro-matsu, córka pana Akechiego Jinsai, pochodzę z tysiącletniego rodu samurajskiego Takashima i ostrzegam, że nigdy nie zostanę branką, zakładniczką ani nie dam się uwięzić! Przez następne osiemnaście dni, aż do wyznaczonej daty wizyty ustalonej przez Najjaśniejszego, mogę jeździć dokąd mi się podoba. . tak jak wszyscy!

- Nasz. . nasz pan taikō też był w swoim czasie chłopem. Bardzo wielu samurajów to byli chłopci. Każdy daimyō był kiedyś, w przeszłości, chłopem. Nawet pierwszy Takashima. Wszyscy byli ongiś chłopami. Dlatego posłuchaj uważnie: wypełnisz życzenia regentów.

- Nie. Bardzo przepraszam, ale moim najważniejszym obowiązkiem jest posłuszeństwo mojemu lennemu panu.

Rozżłoszczony Ishido ruszył do niej.

Wprawdzie Blackthorne nie zrozumiał prawie nic z tej wymiany zdań, ale prawą dłoń wsunął niepostrzeżenie do lewego rękawa, żeby przygotować się do rzucenia ukrytym tam nożem.

Ishido stanął nad Mariko.

- Wypełnisz. .

Wtem przy drzwiach zapanowało poruszenie. Przez tłum przedostała się zapłakana służąca i podbiegła do pani Ochiby.

- Bardzo przepraszam, wielmożna pani - przemówiła z płaczem - chodzi o wielmożną panią Yodoko.. prosi cię o przybycie, jest. . Musisz się pośpieszyć, następca już tam jest. .

Zatroskana Ochiba spojrzała na Mariko i Ishido, a potem na wpatrzone w nią twarze gości.

Złożyła im półukłon i spiesznie odeszła. Ishido zawahał się.

- Tobą zajmę się później, Mariko-san - powiedział i ciężko stąpając po tatami odszedł za Ochibą.

Za ich plecami znowu zaczęły się wznosić i opadać szepty. Dzwony obwieściły nową godzinę.

Blackthorne podszedł do Mariko.

- Co się stało, Mariko-san? - spytał.

Wciąż wpatrywała się nie widzącym wzrokiem w podest. Kiyama zdjął zaciśniętą dłoń z rękojeści miecza i uniósł ją.

- Mariko-san! - powiedział.

- Tak? Tak, wielmożny panie?

- Czy wolno mi doradzić ci powrót do domu? Może później łaskawie ze mną porozmawiasz. .

powiedzmy, o godzinie Dzika?

- Tak, tak, oczywiście. Proszę. . proszę o wybaczenie, ale muszę. .

Zamilkła.

- To złowróżbny dzień, Mariko-san. Niechaj Bóg ma cię w opiece. - Kiyama odwrócił się plecami do niej i władczo przemówił do sali. - Proponuję, żebyście powrócili do domów i zaczekali. .

zaczekali i pomodlili się, ażeby Nieskończony przyjął na swoje łono szybko, łatwo i szczytnie wielmożną panią Yodoko, jeśli nadszedł jej czas. - Zerknął na wciąż jeszcze osłupiałego Sarujiego. -

Pójdiesz ze mną - powiedział i ruszył.

Saruji, mimo że nie chciał zostawiać matki samej, zmuszony rozkazem i wystraszony tym, że ściągnął na siebie uwagę wszystkich obecnych, ruszył za nim.

Mariko złożyła zebrany półukłon i poszła do wyjścia. Kiri oblizła suche wargi. Siedząca obok niej pani Sazuko dygotała, pełna obaw. Kiri wzięła ją za dłoń i obie razem podążyły za Mariko. Potem z tłumu wystąpił Yabu i wraz z Blackthorne'em poszedł za nimi, aż nadto dobrze świadom faktu, że jako jedyni spośród samurajów w tej sali noszą mundurowe kimona Toranagi.

Przed salą czekali na nich Szarzy.

- Na wszystkich bogów, cóż w ciebie wstąpiło, pani, żeby tak się stawiać? To głupota, ne? -

zgromił ją Yabu.

- Bardzo przepraszam - odparła Mariko, ukrywając prawdziwy powód swojego zachowania.

Była wściekła na jego grubiańskie zachowanie i pragnęła, żeby zostawił ją w spokoju. - Tak po prostu wyszło, wielmożny panie. Obchodziliśmy urodziny pani Ochiby, aż tu raptem. . doprawdy nie wiem, jak to się stało. Przepraszam za to, Yabu-sama. Przepraszam za to, Anjin-san.

Blackthorne znów się odezwał, ale Yabu ponownie wpadł mu w słowo, tak więc bardzo tym rozjątrzony oparł się o okienny filar, a mózg pulsował mu z wysiłku, żeby cokolwiek zrozumieć.

- Bardzo przepraszam, Yabu-sama - powtórzyła Mariko myśląc, jacy uciążliwi są mężczyźni, którym wszystko trzeba dokładnie tłumaczyć. Że nie widzą nawet rzęs we własnych powiekach.

- Wywołałaś burzę, która zniszczy nas wszystkich! To głupota, ne?

- Tak, ale to nie w porządku, żeby nas zamykać, a pan Toranaga wydał mi rozkazy, żebym. .

- To są rozkazy szaleńca! W jego głowie musiały zamieszkać diabły! Musisz przeprosić i spuścić z tonu. Od tej chwili środki bezpieczeństwa staną się ściślejsze niż dziura w tyłku komara.

Ishido z pewnością cofnie nam pozwolenia na wyjazd, tak więc zniszczyłaś wszystko! - Yabu spojrział

na Blackthorne'a. - I co teraz zrobimy?

- Słucham?

Wszyscy troje przybyli przed chwilą do pokoju dla gości w domu Mariko, który stał wewnątrz pierwszego pierścienia zamkowych fortyfikacji. Doprowadziła ich tam eskorta Szarych, których znacznie więcej niż zwykle warowało w tej chwili przy bramie. Kiri i pani Sazuko udały się do siebie z inną „honorową” strażą Szarych, Mariko zaś obiecała obu, że odwiedzi je po rozmowie z Kiyamą.

- Ależ strażnicy nie pozwolą ci na to, Mariko-san - powiedziała roztrzęsiona Sazuko.

- Nie martw się - odparła. - Nic się nie zmieniło. Wewnątrz zamku możemy poruszać się swobodnie, chociaż pod eskortą.

- Zatrzymają cię! Och, czemu nie. .

- Mariko-san ma słuszość, dziecko - odezwała się nieustraszona Kiri. - Nic się nie zmieniło.

Niedługo się zobaczymy, Mariko-chan.

A potem odeszła z Sazuko do swojego skrzydła zamku i Brązowi zamknęli umocnioną bramę.

Dopiero wtedy Mariko odetchnęła i wraz z Yabu i Blackthorne'em udała się do swojego domu.

Znów przypomniła sobie chwilę, kiedy samotnie przeciwstawiając się wrogowi ujrzała, jak Blackthorne szykuje się do rzucenia nożem, i poczuła się mocniejsza. Tak, Anjin-san, pomyślała.

Tylko na ciebie jednego mogę liczyć. Byłeś tam, gdy znalazłam się w potrzebie.

Spojrzała na Yabu, który siedział naprzeciwko niej, zgrzytając zębami. Zaskoczyło ją, że publicznie ją poparł, wychodząc wraz z nią z sali. Właśnie dlatego, że to zrobił, a także dlatego, że okazując mu gniew nic by nie zyskała, nie zareagowała na jego grubiańskie zuchwalstwa i zaczęła go czarować.

- Racz mi wybaczyć głupotę, Yabu-sama - powiedziała tonem skruszonym i płaczącym. -

Oczywiście, że masz rację, jestem tylko głupią kobietą.

- Racja! To głupota przeciwstawiać się Ishido w jego własnym gnieździe, ne? To głupota tam go atakować - odparł nieco udobruchany Yabu.

- Tak. Masz słuszość. Jaka szkoda, że nie wszyscy nasi wodzowie są tacy silni i mądrzy jak ty, wielmożny panie, bo wtedy pan Toranaga nie miałby takich kłopotów.

- Owszem. Ale i tak wtrąciłaś nas po same nosy w gnojówkę.

- Bardzo przepraszam, wielmożny panie. Tak, to wyłącznie moja wina. - Mariko udała, że powstrzymuje łzy. Spuściła oczy i szepnęła: - Dziękuję ci za to, żeś przyjął moje przeprosiny.

Jesteś taki dobroduszny.

Yabu skinął głową wierząc, że zasłużył sobie na te komplementy, że Mariko słusznie się przed nim płaszczy i że sam jest niezrównany. Przeprosiła go jeszcze raz, kadząc mu i przypoehlebając się. Wkrótce też go ugłaskała.

- Czy mogę wyjaśnić swoją głupotę Anjin-sanowi? Może on podsunie mi jakąś myśl, jak wyjść z. .

Umilkła, skruszona.

- Tak. Dobrze.

Mariko ukłonem wyraziła Yabu swoją wdzięczność, obróciła się do Blackthorne'a i odezwała się po portugalsku.

- Posłuchaj, proszę, Anjin-san, posłuchaj i nie zadawaj w tej chwili pytań. Bardzo przepraszam, ale najpierw muszę udobruchać tego drażliwego sukinsyna. . czy tak się to mówi?

Prędko zrelacjonowała mu, o czym była mowa w sali i dlaczego Ochiba wyszła w takim pośpiechu.

- To źle - stwierdził, patrząc na nią badawczo. - Ne?

- Tak. Pan Yabu prosi cię o radę. Co trzeba zrobić, żeby wydostać się z tej kabały, w którą wpadliście przez moją głupotę.

- Jaką głupotę? - Blackthorne wpatrywał się w nią bacznie. Spłoszyła się jeszcze bardziej.

Spuściła wzrok na maty. Przemówił więc wprost do Yabu. - Jeszcze nie wiem, wielmożny panie. Teraz rozumiem. . teraz myślę.

- A o czym tu myśleć? - odparł ponuro Yabu. - Jesteśmy zamknięci.

Mariko przełożyła te słowa nie podnosząc oczu.

- To prawda, tak, Mariko-san? - spytał Blackthorne. - To zawsze była prawda.

- Tak, bardzo mi przykro.

Odwrocił głowę i wpatrzył się w noc. W uchwytach na kamiennym murze otaczającym ogród przed domem wetknięto pochodnie. Ich światło odbijało się w mokrych liściach i roślinach, które właśnie w tym celu zmoczono. Okutej żelazem bramy po zachodniej stronie strzegło kilku Brązowych.

- Moja ty - usłyszała Mariko jego słowa, które wypowiedział nie zwracając się w jej stronę. -

Muszę porozmawiać z tobą na osobności.

- Mój ty - rzekła, nie patrząc na Yabu i nie ufając sobie. - Ja z tobą również. Znajdę cię dziś wieczorem. - Podniosła oczy na daimyō. - Anjin-san zgadza się z tobą co do mojej głupoty, wielmożny panie, bardzo przepraszam.

- Ale co za pożytek z tego w tej chwili?

- Anjin-san - powiedziała rzeczowo Mariko - późnym wieczorem przyjdę do Kiritsubo-san.

Wiem, gdzie są twoje pokoje. Znajdę cię.

- Tak. Dziękuję - odparł, nadal zwrócony plecami do niej.

- Yabu-sama - zwróciła się z pokorą do daimyō - dziś wieczorem idę do Kiritsubo-san. To mądra kobieta. . znajdzie rozwiązanie.

- Jest tylko jedno rozwiązanie - stwierdził Yabu, przewiercając ją oczami jak węgle. Jego stanowczy ton odebrał jej odwagę. - Jutro złożysz przeprosiny. I zostaniesz.

Kiyama przybył punktualnie. Przyprowadził z sobą Sarujiego, więc struchlała.

Po wymianie zwyczajowych powitań Kiyama rzekł ponuro:

- A teraz zechciej mi wyjaśnić, dlaczego to zrobiłaś, Mariko-san.

- Nie ma wojny, wielmożny panie. Nie powinniśmy być tutaj zamknięci ani traktowani jak zakładnicy, i właśnie dlatego mam prawo poruszać się swobodnie.

- Do przetrzymywania zakładników nie potrzeba wojny. Wiesz o tym. Panią Ochibę trzymano w Edo jako zakładniczkę, żeby zagwarantować bezpieczeństwo twojemu panu w Osace, a przecież nikt z nikim nie był w stanie wojny. Pan Sudara i jego rodzina są dzisiaj zakładnikami u brata pana Toranagi, a przecież oni nie prowadzą wojny. Ne?

Mariko nie podniosła oczu.

- Jest tu wielu takich, którzy są zakładnikami regentów, legalnych zarządców cesarstwa, po to, żeby zagwarantować posłuszeństwo ich panów wobec Rady Regencyjnej. To mądry, ogólnie przyjęty zwyczaj. Ne?

- Tak, wielmożny panie.

- Dobrze. A teraz wyjaw mi swój prawdziwy powód.

- Słucham, wielmożny panie?

- Nie igraj ze mną! - ostrzegł ją gniewnie Kiyama. - Ja również, tak jak ty, nie jestem chłopem! Chcę wiedzieć, dlaczego, dzisiaj zrobiłaś to, co zrobiłaś.

Mariko podniosła oczy.

- Bardzo przepraszam, ale generał Ishido po prostu rozdrażnił mnie swoją butą, wielmożny panie. Ja naprawdę mam rozkazy. Cóż złego w tym, żeby panie Kiri i Sazuko wyjechały stąd na kilka dni i zobaczyły się z naszym panem?

- Doskonale wiesz, że to niemożliwe. Pan Toranaga również z pewnością o tym wie.

- Bardzo mi przykro, ale mój pan wydał mi rozkazy. Samuraje nie kwestionują rozkazów swojego pana.

- Owszem, ale ja je kwestionuję, ponieważ są niedorzeczne. Twój pan nigdy nie postępuje niedorzecznie ani nie popełnia błędów. Dlatego też obstaję przy swoim prawie, by zakwestionować również twoje słowa.
- Bardzo przepraszam, wielmożny panie, ale nie ma o czym mówić.
- Ależ jest. Mamy do pomówienia o Sarujim. A także o tym, że znam cię przez całe życie i że przez całe życie szanowałem cię. Hiro-matsu-sama jest moim najstarszym żyjącym przyjacielem, a twój ojciec był moim najlepszym przyjacielem i zasłużonym sprzymierzeńcem aż do ostatnich dwóch tygodni swego życia.
- Samuraj nie kwestionuje rozkazów swojego lennego pana.
- W tej chwili możesz zrobić jedynie dwie rzeczy, Mariko-san. Przeprosisz i zostaniesz albo spróbujesz wyjechać. A jeżeli spróbujesz wyjechać, zostaniesz zatrzymana.
- Tak. Rozumiem.
- Jutro więc przeprosisz. Zwołam zebranie Rady Regencyjnej, ona zaś wyda decyzję w tej sprawie. Dopiero wtedy wolno ci będzie wyjechać z Kiritsubo i panią Sazuko.
- Bardzo przepraszam, panie, a ile czasu wam to zajmie?
- Nie wiem. Kilka dni.
- Bardzo żałuję, ale nie mam kilku dni, mam polecenie wyjechać natychmiast.
- Spójrz mi w oczy! - polecił, a Mariko posłuchała go. - Ja, Kiyama Ukon-no-Odanaga, pan Higo, Satsumy i Osumi, regent Japonii, potomek rodu Fujimoto, najważniejszy chrześcijański daimyō w tym kraju, proszę cię, żebyś została.
- Bardzo przepraszam, ale mój lenny pan zabrania mi zostać.
- Czy ty nie rozumiesz, co do ciebie mówię?
- Rozumiem, wielmożny panie. Ale wybacz mi, nie mam wyboru - odparła.

Kiyama wskazał na jej syna.

- Zaręczyny mojej wnuczki z Sarujim. . doprawdy nie mogę pozwolić na ich przedłużanie, jeśli ty okryjesz się niesławą.
- Tak, tak, wielmożny panie - odparła Mariko z cierpieniem wypisanym w oczach. - Rozumiem to. - Spostrzegła rozpacz syna. - Bardzo przepraszam, synu, ale muszę wypełnić swój obowiązek.

Saruji chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się.

- Zechciej mi wybaczyć, matko - rzekł po dłuższej chwili - ale czy . . czy twoje obowiązki wobec następcy nie są ważniejsze od obowiązków wobec pana Toranagi? Naszym prawdziwym lennym panem jest następca, ne?

Zastanowiła się nad tym.

- Tak, synu - odparła. - I zarazem nie. To pan Toranaga ma nade mną władzę, a nie następca.

- A czy to nie znaczy, że pan Toranaga ma również władzę nad następcą?

- Nie, przepraszam.

- Wybacz mi, matko, nie pojmuję ciebie, wydaje mi się bowiem, że jeżeli następca wydaje rozkaz, to na pewno jest on ważniejszy od rozkazu naszego pana Toranagi.

Milczała.

- Odpowiedz mu - rozkazał ostrym tonem Kiyama.

- Czy to twoja własna myśl, synu? Czy może ktoś ci ją podsunął? - spytała Mariko.

Saruji zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć.

- My . . pan Kiyama i . . i jego żona rozmawialiśmy o tym. A także ojciec wizytator. Nie pamiętam. Myślę, że sam to wymyśliłem. Ojciec wizytator przyznał mi rację, prawda, wielmożny panie?

- Powiedział, że następca jest ważniejszy w cesarstwie od pana Toranagi. Według prawa.

Odpowiedz mu wprost, Mariko-san - rzekł Kiyama.

- Gdyby następca był mężczyzną, dorosłym, kampaku, legalnym władcą cesarstwa, jakim był

jego ojciec, to okazałabym mu w tej mierze posłuszeństwo, stawiając jego rozkaz ponad rozkaz pana Toranagi. Ale Yaemon jest dzieckiem, tak fizycznie, jak w oczach prawa, i dlatego nie może rozkazywać. Zgodnie z prawem. Czy ta odpowiedź cię zadowala?

- Ale . . ale przecież pozostaje następcą, ne? Regenci słuchają go.. pan Toranaga szanuje. Co znaczy . . co znaczy rok, kilka lat, matko? Jeżeli nie przepro.. wybacz mi, ale boję się o ciebie.

Chłopcu drżały wargi.

Mariko chciała wyciągnąć ręce, chwycić go w objęcia i przytulić. Ale nie zrobiła tego.

- A ja się nie boję, synu. Nie boję się niczego na ziemi. Boję się jedynie sądu Pana Boga -

odparła i obróciła się do Kiyamy.

- Tak - rzekł Kiyama. - Wiem o tym. Niech Madonna cię za to błogosławi. - Zamilkł. - Mariko-san,

czy przeprosisz publicznie komendanta Osaki?

- Tak, chętnie, pod warunkiem, że publicznie nakaże zejść mi z drogi swoim żołnierzom i da pisemne pozwolenie na wyjazd jutro z paniami Kiritsubo i Sazuko.

- Czy okażesz posłuszeństwo woli regentów?

- Racz wybaczyć, wielmożny panie, ale nie w tej sprawie.

- Czy uszanujesz ich prośbę?

- Racz wybaczyć, ale nie w tej sprawie.

- Czy zgodzisz się zaspokoić życzenie następcy i pani Ochiby?

- Wybacz, proszę, jakie życzenie?

- Żeby odwiedzić ich, przez kilka dni dotrzymywać im towarzystwa, kiedy my będziemy rozpatrywać tę sprawę?

- Racz wybaczyć, wielmożny panie, ale co tu jest do rozpatrywania?

Powściągliwość Kiyamy skończyła się i krzyknął:

- Po pierwsze, przyszłość cesarstwa i porządek w nim, po drugie, przyszłość Matki Kościoła, a po trzecie, ty! To oczywiste, że przez bliski kontakt z tym barbarzyńcą zaraziłaś się od niego i, tak jak przewidywałem, zamącił ci w głowie!

Mariko w milczeniu mierzyła go wzrokiem. Kiyama z wysiłkiem opanował się.

- Zechciej mi wybaczyć. . że się uniosłem. A także wybacz mi niegrzeczność - rzekł sztywno. -

Tłumaczy mnie jedynie moja głęboka troska. - Ukłonił się jej z szacunkiem. - Przepraszam.

- To moja wina, wielmożny panie - odparła. - Przepraszam, że zakłóciłam twoją harmonię i przysporzyłam ci kłopotów. Ale nie mam wyboru. - Twój syn dał ci jeden, a ja kilka.

Nic na to nie odpowiedziała.

Atmosfera dla całej trójki stała się bardzo duszna, chociaż noc była chłodna, a ogniem pochodni kołysał wiatr.

- A więc podjęłaś decyzję?

- Nie mam wyboru, wielmożny panie.

- Dobrze, Mariko-san. Nic więcej już nie powiem. Nic oprócz tego, że jeszcze raz nakazuję ci nie przeciągać struny. . proszę o to.

Pochyliła głowę.

- Saruji-san, zechciej poczekać na zewnątrz - polecił Kiyama.

Chłopak był roztrzęsiony, ledwie mógł mówić.

- Tak, wielmożny panie - odrzekł i uklonił się Mariko. - Wybacz mi, proszę, matko.

- Niechaj Bóg ma cię w opiece przez całą wieczność.

- I ciebie.

- Amen - powiedział Kiyama.

- Dobranoc, synu.

- Dobranoc, matko.

- Ojciec wizytator bardzo się martwi - odezwał się Kiyama, kiedy zostali sami.

- O mnie, wielmożny panie?

- Tak. I o Kościół Święty. . a także o tego barbarzyńcę. I o barbarzyński statek. Najpierw powiedz mi o pilocie.

- To wyjątkowy człowiek, bardzo silny i bardzo inteligentny. Na morzu jest. . w swoim żywiole.

Wydaje się, jakby należał do statku i morza, a na morzu nikt nie dorówna mu w dzielności i przebiegłości.

- Nawet Rodrigues-san?

- Anjin-san już dwa razy okazał się lepszy od niego. Raz tu, a drugi raz po drodze do Edo.

Opowiedziała mu o przybyciu Rodriguesa nocą, kiedy zatrzymali się pod Mishimą, o broni, którą ukrył, i o wszystkim, co podsłuchała.

- Gdyby ich statki były równorzędne, to sądzę, że Anjin-san by zwyciężył. Zwyciężyłby nawet, gdyby nie były równorzędne.

- Opowiedz mi o jego statku. Spełniła polecenie.

- Opowiedz mi o jego poddanych. Opowiedziała, jak doszło do tego, że ich ma.

- W jakim celu pan Toranaga dał mu statek; pieniądze, poddanych i wolność?

- Mój pan nie zwierzył mi się z tego, wielmożny panie.

- A co ty o tym myślisz? . .

- Zrobił to po to, żeby wypuścić Anjin-sana na wrogów - odparła z miejsca Mariko i bynajmniej się nie sumitując dodała: - Ponieważ mnie o to pytasz, w tym przypadku wrogowie Anjin-sana są również wrogami pana Toranagi, a są to Portugalczycy, świątobliwi ojcowie, którzy za nim stoją, a ponadto panowie Onoshi, Harima i ty sam, wielmożny panie.

- A czemu to Anjin-san upatruje w nas swoich osobistych wrogów?

- Z powodu Nagasaki, handlu oraz tego, że władacie przybrzeżnymi wodami Kiusiu, wielmożny panie. Ponadto zaś dlatego, że jesteście najmożniejszymi katolickimi daimyō.

- Kościół nie jest wrogiem pana Toranagi. Ani świątobliwi ojcowie.

- Bardzo mi przykro, ale pan Toranaga jest, jak sędzę, zdania, że świątobliwi ojcowie, podobnie jak ty, panie, wspierają generała Ishido.

- Ja popieram następcę. Jestem przeciwko twojemu panu, ponieważ on go nie popiera i zniszczy nasz Kościół.

- Bardzo przepraszam, ale to nieprawda. Mój pan tak bardzo przewyższa komendanta Ishido, wielmożny panie. Dwudziestokrotnie, częściej walczyłeś jako jego sojusznik niż przeciwko niemu, zdajesz więc sobie sprawę, że można mu ufać. Po co stawać po stronie jego otwartego wroga? Pan Toranaga zawsze pragnął handlu i na pewno nie jest nastawiony antychrześcijańsko, tak jak generał Ishido i pani Ochiba.

- Wybacz, Mariko-san, ale Bóg mi świadkiem, jestem zdania, że pan Toranaga po cichu nienawidzi naszej chrześcijańskiej wiary, nienawidzi Kościoła i dąży do zniszczenia sukcesji po taikō, pragnąc zgładzić następcę i panią Ochibę. Marzy mu się jedynie shōgunat, wyłącznie to! Po cichu chce zostać shōgunem, planuje, żeby nim zostać, i wszystko podporządkował temu jednemu celowi.

- Bóg mi świadkiem, wielmożny panie, że nie wierzę w to.

- Wiem o tym. . nie znaczy to jednak, że masz słuszość. - Kiyama przyglądał się jej przez chwilę, po czym dodał: - Sama przyznajesz, że Anjin-san i jego statek są wielkim zagrożeniem dla Kościoła, ne? Rodrigues zgadza się z tobą, że byłoby bardzo źle, gdyby Anjin-san dopadł Czarną Karawelę na morzu.

- Tak, myślę to samo, wielmożny panie.

- Mocno by to zaszkodziło naszej Matce, Kościołowi, ne?

- Tak.

- Ale mimo to nie dopomożesz Kościołowi w walce z tym człowiekiem?

- On nie występuje przeciwko Kościołowi, wielmożny panie, wcale nie przeciwko księżom, chociaż ich nie znosi. Występuje przeciwko wrogom swojej królowej. A Czarna Karawela jest dla niego celem. . z chęci zysku.

- Ale jest przeciwnikiem Prawdziwej Wiary, a zatem heretykiem, ne?

- Tak. Nie sądzę jednak, żeby wszystko, co usłyszeliśmy od świętobliwych ojców, było prawdą. O wielu rzeczach nawet nam nie wspomnieli. Tsukku-san przyznał się do wielu przemilczeń.

Mój pan kazał mi zdobyć zaufanie i przyjaźń Anjin-sana, nauczyć go naszego języka i zwyczajów, a od niego zdobyć wiedzę przydatną dla nas. Tak więc odkryłam. .

- To znaczy wiedzę, która może się przydać Toranadze. Ne?

- Wielmożny panie, posłuszeństwo wobec swojego suzerena jest najwyższą powinnością samuraja. Czyż nie wymagasz posłuszeństwa od wszystkich swoich poddanych?

- Tak. Ale herezja to rzecz potworna, a wygląda na to, że trzymasz z barbarzyńcą przeciwko własnemu Kościołowi i że człowiek ten zaraził cię. Modlę się, żeby Bóg otworzył ci oczy, Mariko-san, zanim stracisz szansę na swoje zbawienie. A na koniec jeszcze jedno, ojciec wizytator wspomniał

mi, że masz dla mnie jakąś prywatną wiadomość.

- Słucham, wielmożny panie? - spytała Mariko, całkiem zaskoczona tym pytaniem.

- Podobno kilka dni temu nadeszła wiadomość od Tsukku-sana. Przywiózł ją specjalny posłaniec z Edo. Jest to jakaś wiadomość o moich. . sojusznikach.

- Prosiłam o spotkanie z ojcem wizytatorem jutro rano.

- Tak. Poinformował mnie o tym. A więc. .

- Racz mi wybaczyć. . ale dopiero po zobaczeniu się z nim jutro..

- Nie jutro, teraz! Ojciec wizytator powiedział, żerna to związek z panem Onoshim i dotyczy Kościoła, ty zaś masz mi wyjawić wszystko-od razu. Tak powiedział, Bóg świadkiem. Czy rzeczy przybrały tak zły obrót, że nie ufasz już nawet mnie?

- Bardzo przepraszam. Umówiłam - się z ojcem Tsukku-sanem. Prosił mnie tylko o to, żebym otwarcie przedstawiła całą sprawę ojcu wizytatorowi, wielmożny panie, ale o nie więcej.

Mariko zrozumiała, że nie ma wyjścia. Kości zostały rzucone. Opowiedziała Kiyamie o spisku na jego życie. Wszystko, co jej było wiadomo. Także on wykpił plotkę, wtedy zaś wyjaśniła mu dokładnie, skąd pochodzi owa informacja.

- Od jego spowiednika? Od niego?

- Tak. Bardzo mi przykro.

- Szkoda, że Urąga zginął - rzekł Kiyama, upokorzony tym bardziej, że nocny atak na Anjin-sana, tak jak i poprzednia zasadzka, okazał się takim fiaskiem, a w dodatku zginął podczas niego człowiek, który jako jedyny mógłby udowodnić, że jego wróg Onoshi jest zdrajcą. - Za to świętokradztwo na wieki będzie się smażył w piekle. Postąpił niegodziwie. Zasłużył sobie na ekskomunikę i ogień piekielny, ale jednak oddał mi przysługę ujawniając spisek. . jeżeli to prawda. -

Kiyama spojrzał na Mariko. Nagle przybyło mu lat. - Nie wierzę, żeby Onoshi był do tego zdolny. Ani w udział w tym wszystkim Harimy.

- Tak. A czy. . mógłbyś spytać pana Harimę, czy to prawda?

- Tak, ale on nigdy się do czegoś takiego nie przyzna. Ja bym tego nie zrobił, a ty? Przykra sprawa, ne? Jakże straszne są postęпки ludzkie.

- Tak.

- Nie uwierzę w to, Mariko-san. Urąga nie żyje, tak więc nigdy nie zdobędziemy dowodu.

Zabezpieczę się na wszelki wypadek, ale. . nie mogę w to uwierzyć.

- Tak. Jedna myśl, wielmożny panie. Czy to nie dziwne, i to bardzo, że komendant Ishido każe pilnować Anjin-sana?

- Dlaczego dziwne?

- W jakim celu go chroni? Skoro go nienawidzi. Bardzo dziwne. Czyż nie jest możliwe, że również on dostrzegł w Anjin-sanie broń, którą można wykorzystać przeciwko katolickim daimyō?

- Nie pojmuję twojego rozumowania.

- Jeżeli, Boże uchovej, umrzesz, wielmożny panie, to pan Onoshi stanie się najpotężniejszym daimyō na Kiusiu, ne? Co może zrobić generał Ishido, żeby poskromić Onoshiego? Nic. . oprócz tego, że być może skorzysta z Anjin-sana.

- To jest możliwe - rzekł wolno Kiyama.

- Osłanianie w tej chwili Anjin-sana ma tylko jedną przyczynę: chęć wykorzystania go w przyszłości. Przeciw komu? Jedynie przeciwko Portugalczykom, a tym samym przeciwko chrześcijańskim daimyō z Kiusiu. Ne?

- To możliwe.

- Uważam, że Anjin-san jest równie cenny dla ciebie, jak Onoshiego, Ishidy bądź mojego pana. Żywy! Jego wiedza jest ogromna. Jedynie wiedza może nas ochronić przed barbarzyńcami, w tym nawet przed Portugalczykami.

- Możemy ich rozbić i wyrzucić stąd, kiedy nam się spodoba - rzekł z pogardą Kiyama. - To komary na koniu, nic ponadto.

- Jeżeli Kościół Święty zwycięży i cały ten kraj, tak jak się o to modlimy, stanie się chrześcijański, to co wtedy? Czy przetrwają nasze prawa? Czy przetrwa bushido? W konfrontacji z Dziesięcioma Przykazaniami? Przypuszczam, że nie - tak jak wszędzie w katolickim świecie - nie, jeżeli świątobliwi ojcowie zdobędą najwyższą władzę, chyba że się odpowiednio przygotujemy.

Kiyama nie odpowiedział jej.

- Wielmożny panie -. odezwała się po chwili - błagam cię, żebyś spytał Anjin-sana o to, co zaszło wszędzie indziej na świecie.

- Nie zapytam. Uważam, że rzucił na ciebie urok, Mariko-san. Wierzę świątobliwym ojcom.

Twój Anjin-san to wysłannik Szatana i wiedz, że zaraził cię swoją herezją. Trzykrotnie użyłaś słowa

„katolik” mówiąc o chrześcijanach. Czyż nie świadczy to, że zgadzasz się z nim w tym, że istnieją dwa wyznania, dwie równie prawdziwe wersje Prawdziwej Wiary? Czyż twoja dzisiejsza groźba to nie nóż, który wbijasz w brzuch następcy? I czy nie godzi to w interesy Kościoła? - Kiyama wstał. -

Dziękuję ci za wiadomość. Idź z Bogiem.

Mariko wyjęła z rękawa mały zapieczętowany pergamin.

- Pan Toranaga prosił mnie, żebym ci przekazała to. Kiyama spojrzał na nie przełamana pieczęć.

- Czy wiesz, co jest w środku, Mariko-san? - spytał.

- Tak. W razie schwywania miałam rozkaz zniszczyć ten list i przekazać ci wiadomość ustnie.

- Kiyama złamał pieczęć. List powtarzał życzenie Toranagi o pokój pomiędzy nimi, jego całkowite poparcie dla następcy i sukcesji po taikō, i krótko informował o Onoshim. Kończył się zaś słowami:

Nie mam dowodu w sprawie pana Onoshiego, ale dostarczy go Uruga-no-Tadamasa, który umyślnie zjawi się w Osace na wypadek, gdybyś życzył sobie go przesłuchać. Niemniej dysponuję dowodem na to, że Ishido odstąpił od waszej potajemnej umowy, na mocy której po mojej śmierci twoim potomkom miało przypaść Kantō. Kantō bowiem zostało w tajemnicy przyrzeczone przez niego mojemu bratu Zatakiemu w zamian za to, że mnie zdradzi, co też już nastąpiło. Wybacz, stary towarzyszu, ale ciebie również zdradzono. Kiedy zginę, ty i twój ród pozostaniecie samotni i zniszczą was, tak jak cały Kościół chrześcijański. Proszę cię, żebyś to sobie przemyślał. Już niedługo otrzymasz dowód mojej szczerości. -

Kiyama przeczytał list ponownie, a Mariko, tak jak jej przykazano, bacznie go obserwowała.

- Obserwuj go bardzo pilnie, Mariko-san - powiedział jej Toranaga. - Nie mam pewności, co do jego umowy z Ishido w sprawie Kantō. Donieśli mi o tym szpiedzy, ale nie jestem o tym przekonany do

końca. Poznasz to po tym, co zrobi - albo czego nie zrobi - jeśli tylko przekażesz mu ten list w odpowiedniej chwili.

Zobaczyła reakcję Kiyamy. A więc to również jest prawda, pomyślała. - Daimyō podniósł wzrok i spytał wprost:

- To ty jesteś tym dowodem jego szczerości, ne? Ofiarą całopalną, Barankiem Bożym?.

- Nie, wielmożny panie.

- Nie wierzę ci. I nie wierzę jemu. W zdradę Onoshiego być może. Ale w resztę. Pan Toranaga znów stosuje swoje stare sztuczki, przyprawiając półprawdy miodem i trucizną. Obawiam się, że to ty zostałeś tutaj zdradzona, Mariko-san.

54.

- Wyruszamy w południe.
- Nie, Mariko-san. - Pani Sazuko była bliska łez.
- Tak - powiedziała Kiri. - Wyruszymy tak, jak mówisz.
- Przecież nas zatrzymają! - wybuchnęła pani Sazuko. - To wszystko na nic.
- Mylisz się, Sazuko-chan - odparła Mariko. - Tak właśnie trzeba. .
- Mariko-san ma słuszość, taki jest rozkaz - rzekła Kiri zaproponowała: - Możemy być gotowe o świcie, jeżeli sobie życzysz.
- Powinniśmy wyruszyć w południe. To polecenie pana Toranagi - stwierdziła Mariko.
- Niewiele nam potrzeba bagażu, ne?
- Tak.
- Niewiele! - wykrzyknęła Sazuko. - Przepraszam, ale to głupota, zatrzymają nas!
- Może nie dojdzie do tego, moje dziecko. Mariko mówi, że nas puszczą. Pan Toranaga też tak uważa. Więc myśl, że tak się stanie - ucięła Kiri. - A teraz idź odpocząć. Muszę porozmawiać z Mariko-san.

Zafrasowana dziewczyna wyszła.

- Słucham, Mariko-san - powiedziała Kiri, składając ręce.
- Wyślę do pana Toranagi szyfrowaną wiadomość o tym, co się tu dziś wydarzyło. Gołąb poleci o brzasku. Ludzie Ishido na pewno zechcą zniszczyć jutro moje ptaki, jeżeli dojdzie do starcia, a tu gołębi przenieść nie mogę. Czy chciałabyś też coś mu przekazać?
- Owszem. Zaraz napiszę list. Jak myślisz, co się stanie?
- Pan Toranaga jest pewien, że nas puszczą, jeżeli będę silna.
- Jestem innego zdania. Daruj, wydaje mi się, że i ty nie wierzysz w powodzenie tej próby.
- Mylisz się. Oczywiście, mogą nas jutro zatrzymać, a wówczas dojdzie do okropnej awantury i groźb, będą one jednak bez znaczenia - Mariko roześmiała się. - Już słyszę te groźby, Kiri-san, miotane cały dzień i noc. Ale na drugi dzień w południe puszczą nas.

Kiri potrząsnęła głową.

- Jeżeli pozwolą nam wydostać się, to wszyscy zakładnicy opuszczą Osakę. To osłabi potęgę Ishido.

Straci twarz, a nie może sobie na to pozwolić.

- Rzeczywiście - potwierdziła z zadowoleniem Mariko. - Znalazł się w pułapce.

Kiri nie spuszczała z niej wzroku.

- Nasz pan przybędzie za osiemnaście dni, ne? Nie ma innego wyjścia.

- Tak.

- Daruj, dlaczego w takim razie nasz wyjazd ma takie znaczenie?

- Nasz pan przykłada do niego wagę, wydał rozkaz.

- A więc ma jakiś plan?

- Czyż nie jest tak, że zawsze ma wiele planów?

- Z chwilą, kiedy Najjaśniejszy zgodził się zaszczyścić nas swoją obecnością, nasz pan znalazł się w pułapce, ne?

- Tak.

Kiri zerknęła na shoji. Zamknięte. Pochyliła się i szeptem spytała:

- Dlaczego więc poprosił mnie w zaufaniu, żebym podsunęła tę myśl pani Ochibie?

- Takie przysłał ci polecenie? - skonfundowała się Mariko.

- Tak. Z Yokose, po pierwszym spotkaniu z panem Zataki. Dlaczego zastawił pułapkę sam na siebie?

- Nie wiem.

Kiri przygryzła wargi.

- Bardzo chciałabym wiedzieć. Wkrótce się dowiemy, ale swoją drogą, chyba nie mówisz mi całej prawdy, Mariko-chan.

Mariko zachnęła się. Kiri dotknęła jej ostrzegawczo, nakazując milczenie.

- Kazał mi zaufać ci bez zastrzeżeń - szepnęła. - Więc dość o tym. Ufam ci całym sercem, Mariko-chan, ale cóż poradzę, że przychodzą mi do głowy różne myśli. Ne?

- Zechciej mi wybaczyć.

- Taka jestem z ciebie dumna - rzekła Kiri normalnym głosem. - Ja nie miałabym odwagi publicznie przeciwstawić się Ishido.

- To nie było dla mnie trudne. Nasz pan rozkazał nam wyjechać.
- To, co robimy, jest bardzo niebezpieczne. Powiedz jednak, jak mogłabym ci pomóc.
- Okaż mi swoje poparcie.
- O to nie potrzebujesz prosić. Zawsze byłam wobec ciebie lojalna.
- Zostanę tu z tobą do rana, Kiri. Ale przedtem muszę porozmawiać z Anjin-sanem.
- Dobrze. Pójdę z tobą.

Opuściły pokoje Kiri pod eskortą Brązowych. Mijani po drodze Brązowi kłaniali się, ogromnie dumni z Mariko. Kiri poprowadziła mały pochód przez wielką salę audiencyjną do korytarza, gdzie pełnili wartę i Brązowi, i Szarzy. Na widok Mariko jedni i drudzy złożyli jej pełen czci ukłon.

Niespodziewana obecność Szarych na własnym gruncie wprawiała w zakłopotanie Kiri i Mariko. Nie dały jednak tego po sobie poznać. Kiri wskazała drzwi.

- Anjin-san?! - zawołała Mariko.
- Hai? - Drzwi otworzył Blackthorne. W głębi stało dwóch Szarych. - Witaj, Mariko-san.
- Witaj. - Mariko spojrzała na Szarych. - Muszę porozmawiać z Anjin-sanem na osobności.
- Proszę, rozmów się z nim, pani - rzekł z szacunkiem dowódca Szarych. - Niestety, pan Ishido osobiście wydał rozkaz, żebyśmy pod karą śmierci nie spuścili go z oka.

Podszedł Yoshinaka, dowódca straży.

- Zechciej zrozumieć, pani, musiałem przystać na dwudziestu strażników dla Anjin-sana. Na osobistą prośbę pana. Ishido. Bardzo mi przykro.
- O ile jest to wyraz troski pana Ishido o bezpieczeństwo Anjin-sana, są mile widziani - odparła Mariko, kryjąc niezadowolenie.

Yoshinaka zwrócił się do kapitana Szarych.

- Będę za niego odpowiadał podczas odwiedzin pani Tody. Możecie poczekać za drzwiami.
- Przepraszam, ale ja i moi ludzie musimy mieć na niego baczenie osobiście - odparł stanowczo samuraj. - Nie ma innego wyjścia.
- Skoro czyjaś obecność jest konieczna, ja chętnie zostanę - zaproponowała Kiri.
- Wybacz, Kiritsubo-san, musimy być obecni - rzekł dowódca Szarych i dodał zakłopotany: -

Żaden z nas nie mówi językiem barbarzyńców, pani Toda.

- Nikt nie podejrzewa was o to, że będziecie podsłuchiwać - odparła Mariko bliska gniewu. -

Ale obyczaje barbarzyńców różnią się od naszych.

- Ci samuraje muszą być posłuszni swemu panu - rzekł Yoshinaka. - Miałaś całkowitą słuszość, pani. Najważniejszym obowiązkiem samuraja jest wierność panu lennemu. I słusznie przypomniałaś o tym publicznie.

- Najzupełniej słusznie, pani - potwierdził kapitan Szarych z taką samą dumą. - To sens życia samuraja, ne?

- Dziękuję - odparła podniesiona na duchu ich szacunkiem.

- Powinniśmy też w miarę możliwości uszanować zwyczaje Anjin-sana - rzekł Yoshinaka. - Chyba znalazłem sposób. Proszę za mną. -

Poprowadził ich do sali audiencyjnej. - Zechciej łaskawie, pani, usiąść z Anjin-sanem o tam -

rzekł wskazując podwyższenie w końcu sali. - Strażnicy Anjin-sana mogą stanąć przy drzwiach i pełnić swoje obowiązki, my swoje, a ty, pani, będziesz mogła rozmawiać bez skrupowania, szanując zwyczaje Anjin-sana. Ne?

Mariko objaśniła Blackthorne'owi słowa Yoshinaki i przez rozwagę ciągnęła po łacinie:

- Nie zostawią cię dziś samego ani na chwilę. Nie mamy wyboru, chyba że każę ich zgładzić, jeżeli tego chcesz.

- Chcę jedynie porozmawiać z tobą na osobności - odparł Blackthorne. - Ale nie kosztem czyjzegoś życia. Dziękuję, że mnie o to spytałaś.

Mariko zwróciła się do Yoshinaki.

- Dziękuję, Yoshinaka-san. Bądź łaskaw posłać kogoś po kadzielnice, żeby odpędzić komary.

- Tak jest. Pozwolisz, pani, że spytam, czy są jakieś wieści o pani Yodoko?

- Niej Yoshinaka-san. Wypoczywa, na nic się nie uskarża. - Mariko uśmiechnęła się do Blackthorne'a. - Idziemy tam usiąść, Anjin-san?

Ruszył za nią. Kiri wróciła do swojej kwatery, a Szarzy zajęli miejsce przy drzwiach sali audiencyjnej. Dowódca Szarych stanął koło Yoshinaki, w pewnym oddaleniu od pozostałych.

- Mnie się to nie podoba - szepnął gniewnie.

- Czyżby pani Toda zamierzała dobyć miecza i zabić go? Nie obraż się, ale gdzie się podział

twój rozum?.

Yoshinaka pokuśtykał na obchód posterunków. Dowódca Szarych spojrział na podwyższenie.

Mariko i Anjin-san siedzieli naprzeciw siebie, wyraźnie oświeceni. Nie słyszał, co mówią. Zatrzymał

wzrok na ich ustach, ale to nic nie dało, chociaż wzrok miał bardzo dobry i znał portugalski. Pewnie znów mówią językiem Ojca Świętego, pomyślał. Straszny język, nie do nauczenia się.

A zresztą, co za różnica? Czemu nie miałyby porozmawiać z heretykiem na osobności, jeżeli takie ma życzenie? Żadne z nich długo nie pożyje. O Matko Przenajświętsza, zabierz ją na zawsze do siebie za odwagę, jaką okazała.

- Bezpieczniej po łacinie, Anjin-san. Mariko odgoniła wachlarzem bzycającego komara.

- Usłyszają nas stąd?

- To mało prawdopodobne, zwłaszcza jeżeli będziemy mówili cicho i jak najmniej poruszali wargami, tak jak mnie nauczyłeś.

- Dobrze. Jak wyglądała rozmowa z Kiyamą?

- Kocham cię. - Moja ty. .

- Tęskniłam za tobą.

- A ja za tobą. Czy możemy się spotkać sam na sam?

- Dziś to niemożliwe. Ale jutro wieczorem tak, kochanie. Mam plan.

- Jutro? A twój wyjazd?

- Mogą mnie zatrzymać, Anjin-san, ale nie martw się, proszę. Pojutrze odzyskamy całkowitą swobodę. Jeżeli jutro zatrzymają mnie, wieczorem będę z tobą.

- Jakim sposobem?

- Kiri pomoże. O nic nie pytaj. Nie będzie utrudnień. . - Urwała, bo właśnie służące przyniosły kadzielnice. Po chwili rozsnął się dym odstraszaając wieczornych natrętów. Kiedy służące odeszły, zaczęli rozmawiać o wspólnej podróży, jedynie spojrzeniami okazując sobie, jak bardzo cieszą się swoją obecnością. Nie wspominali o Toranadze ani o dniu jutrzejszym.

- Ishido jest moim wrogiem. Dlaczego więc pilnuje mnie tylu strażników? - spytał wreszcie Blackthorne.

- Żeby cię chronić. Ale także, by ograniczyć twoją swobodę. Może Ishido chce cię wykorzystać

przeciw Czarnej Karaweli, przeciw Nagasaki i panom Kiyamie i Onosiemu.

- Też o tym pomyślałem. Zauważyła jego przenikliwe spojrzenie.

- Dlaczego tak patrzysz, Anjin-san?

- W przeciwieństwie do Yabu uważam, że nie jesteś głupia i całe twoje wystąpienie było zaplanowane na rozkaz Toranagi.

Mariko wygładziła fałdkę na brokatowym kimonie.

- Tak. Wydał mi rozkazy.

- Zdradził cię - rzekł Blackthorne, przechodząc na portugalski. - Jesteś przynętą w jednej z jego pułapek.

:- Dlaczego tak mówisz?

- Ty jesteś przynętą, ja jestem przynętą i Yabu. Przecież to oczywiste. Toranaga zrobił z nas kozły ofiarne.

- Mylisz się, Anjin-san. Wybacz, mylisz się.

- Powiadam ci - odrzekł po łacinie - że jesteś piękna, kocham cię, ale kłamiesz.

- Nikt mi nigdy tego nie zarzucił.

- Mówiłaś kiedyś, że nikt ci nie powiedział „kocham”. Opuściła spojrzenie na wachlarz.

- Pomówmy o czymś innym.

- Co zyska Toranaga posyłając nas na stracenie? Nie odpowiedziała.

- Mariko-san, mam prawo pytać. Nie boję się. Chcę tylko wiedzieć, co on przez to zyska.

- Nie wiem. -

- Przysięgnij na swoją miłość i na swojego Boga.

- Więc ty także? - zapytała gorzko. - Ty też każesz mi przysięgać przed Bogiem i nic, tylko pytasz i pytasz?

- Twoje życie jest mi równie drogie jak moje, a oba są zagrożone. Dlatego pytam: co on zyska?

- Posłuchaj - odparła podniesionym głosem. - Wybrałam stosowną porę, nie jestem głupia i. .

- Ścisz głos, proszę, Mariko-san, nieostrożność świadczyłaby o głupocie. -

- Przepraszam. A więc naumyślnie wystąpiłam publicznie, zgodnie z życzeniem Toranagi.

- Dlaczego?

- Ponieważ Ishido jest chłopem i musi nas wypuścić. Musiałam rzucić mu wyzwanie w obecności innych panów. Pani Ochiba jest przychylna naszemu wyjazdowi na spotkanie pana Toranagi. Rozmawiałam z nią i nie wyraziła sprzeciwu. O nic się nie kłopotcz, nie ma powodu.

- Nie podoba mi się ogień w twoich oczach ani gniew, ani zajadłość. Gdzie się podział twój spokój i opanowanie? Może powinnaś popatrzeć, jak rosną kamienie. Ne?

Mariko rozchmurzyła się i roześmiała.

- Ach, mój ty! Masz rację. Wybacz, że się uniosłam. - Odetchnęła, znów była sobą. - Jakże cię kocham i szanuję, taka byłam dziś z ciebie dumna, że omal nie ucałowałam ciebie przy wszystkich, jak to jest w twoim zwyczaju.

- O Madonno, to by dopiero wykrzeszło z nich ogień.

- Gdybyśmy byli sami, obsypałabym cię pocałunkami, iż krzyczałbyś o litość.

- Dziękuję ci, pani, ale siedzimy tu jak na dwóch krańcach świata.

- Nic nas nie rozdziela. Dzięki tobie żyję pełnią życia. Po chwili Blackthorne spytał:

- A rozkaz Yabu, żebyś przeprosiła i została?

- Niestety, nie mogę go usłuchać.

- Z powodu rozkazu Toranagi?

- Tak, ale niezupełnie. Sama go błagałam, żeby pozwolił mi przybyć tutaj. Przysięgam przed Bogiem, że taka jest prawda.

- Co stanie się jutro?

Powtórzyła mu to, co wcześniej powiedziała Kiri, dodając:

- Pójdzie lepiej, niż można się było spodziewać. Czyż Ishido nie został twoim patronem? Nie do wiary, jak mądrze pan Toranaga to obmyślił. Przed moim odjazdem zapowiedział przebieg wydarzeń. Wiedział, że Yabu nie ma władzy w Kiusiu. Tylko Ishido albo Kiyama mogą cię tu chronić. Nie służymy za przynętę. Jesteśmy chronieni i bezpieczni.

- A te dziewiętnaście dni, a raczej już osiemnaście? Przecież Toranaga musi tutaj przybyć, ne?

- Tak.

- Czy to nie strata czasu, jak mówi Ishido?

- Doprawdy nie wiem. Wiem jedynie, że dziewiętnaście, osiemnaście, a nawet trzy dni to cała wieczność.

- A jutrzejszy dzień?

- Jutrzejszy dzień także. Albo ten, który po nim nastąpi.

- A jeżeli Ishido jutro ciebie nie wypuści?

- To jedyna szansa. Dla nas wszystkich. Trzeba go upokorzyć.

- Jesteś tego pewna?

- Bóg mi świadkiem, Anjin-san.

Blackthorne wyrwał się z dręczącego snu. Ledwie się ocknął, zobaczył Szarych, którzy przyglądali mu się przez moskitierę. Świtało.

- Dzień dobry - powitał ich z przykrą świadomością, że obserwowano go śpiącego.

Krętymi schodami zszedł do ogrodu, do toalety. Brązowi i Szarzy strażnicy nie odstępowali go na krok. Przestał zwracać na nich uwagę.

Mgła tłumiała poranną jasność. Ale na wschodzie przezierało uwolnione od oparów niebo.

Pachniało morzem. Muchy nie próżnowały. Będzie dziś upał, zawyrokował.

Usłyszał zbliżające się kroki. Przez wejście do toalety zobaczył, Chimmoko. Cierpliwie czekała, gawędząc ze strażnikami, a kiedy wyszedł, ukloniła się i powitała go.

- Gdzie Mariko-san? - spytał.

- U Kiritsubo-san, Anjin-san.

- Dziękuję. Kiedy wyjazd?

- Wkrótce, wielmożny panie.

- Powtórz Mariko-san, chcę powiedzieć dzień dobry przed wyjazdem.

Jeszcze raz to powiedział, choć Mariko obiecała go odnaleźć, zanim pójdzie po swoje rzeczy.

- Tak, Anjin-san.

Jak samuraj skinął jej głową na pożegnanie i poszedł się umyć. Nie było w zwyczaju branie rano gorącej kąpieli. On jednak chodził co dzień rano do łaźni i polewał całe ciało zimną wodą. Ci, którzy

go przy tym widzieli, powiadali: „Ii i, Anjin-san, to bardzo, bardzo zdrowo”: Ubrany w brązowe kimono, uzbrojony w miecze i pistolet ukryty pod pasem, wyszedł na mury, skąd widać było dziedziniec w tym skrzydle zamku. Brązowi wartownicy powitali go jak swojego, choć mocno ich zaniepokoił nie odstępujący go Szarzy. Na przeciwległych murach i pod bramą roiło się od Szarych.

- Dużo Szarych, o wiele więcej niż zwykle. Rozumiesz, Anjin-san? - spytał Yoshinaka, wychodząc na blanki.

- Tak.

Podszedł do nich dowódca Szarych.

- Przepraszam, Anjin-san, nie wychylaj się, proszę.

Pokazało się słońce, grzejąc przyjemnie. Niebo było bezchmurne, powiew znad morza słabł.

Dowódca Szarych wskazał miecz Blackthorne'a.

- Czy można obejrzeć ostrze?

Blackthorne wysunął kawałek miecza z pochwy. Nie wolno było wyciągać go do końca, chyba że miał być użyty.

- Ii i, piękny, ne? - rzekł dowódca Szarych.

Obstąpili ich i Brązowi, i Szarzy, przyglądając się z jednakowym podziwem. Blackthorne schował miecz z satysfakcją.

- Zaszczyc nosić taki miecz - rzekł.

- Umiesz się nim posługiwać, Anjin-san? - spytał dowódca Szarych.

- Nie tak jak samuraj, kapitanie. Ale uczę się.

- Ach tak. To bardzo dobrze.

Na dziedzińcu dwa piętra niżej, gdzie jeszcze nie dotarło słońce, ćwiczyli Brązowi.

Blackthorne popatrzył.

- Ilu samurajów, Yoshinaka-san? - spytał.

- Czterystu trzech, Anjin-san, wliczając dwustu, którzy przyszli ze mną.

- A tam?

- Szarych? - Yoshinaka roześmiał się. - Mnóstwo. Dowódca Szarych odsłonił zęby w uśmiechu.

- Prawie sto tysięcy. Rozumiesz, Anjin-san, „sto tysięcy”?

- Tak. Dziękuję.

Wszyscy spojrzeli w tę stronę, gdzie zza rogu uliczki prowadzącej do dziedzińca pojawili się pod strażą tragarze, konie juczne i trzy palankiny. Głęboki cień w przejściu między wysokimi murami rozpraszały płonące żagwie. Nawet z oddali widać było zdenerwowanie pierwszego tragarza.

Szarzy z naprzeciwka uciszyli się i patrzyli w skupieniu, podobnie pełniący wartę Brązowi.

Otwarto wysoką bramę, żeby wpuścić pochód. Szarzy z eskorty dołączyli do swoich i zostali przed bramą, którą ponownie zamknięto. Szczęknęła żelazna sztaba. Tej bramy nie strzegła spuszczana krata.

- Przepraszam, Anjin-san - rzekł Yoshinaka. - Muszę dopilnować, żeby wszystko było jak należy. Gotowe, ne?

- Zaczekam tutaj.

- Dobrze.

Dowódca Szarych podszedł do parapetu i spojrzął w dół. Chryste Panie, myślał Blackthorne, oby miała rację, oby Toranaga się nie mylił. Chyba już niedługo. Oceniał położenie słońca i mruknął pod nosem po portugalsku:

- Już niedługo.

Kapitan odruchowo potaknął i Blackthorne uprzytomnił sobie, że człowiek ten rozumie po portugalsku, a zatem jest katolikiem i jeszcze jednym potencjalnym zabójcą. Pomyślał o wczorajszej rozmowie z Mariko, przypominając sobie, że mówił po łacinie. Ale czy przez cały czas?

Matko Boska, czy powiedziała po łacinie „mogę kazać ich zabić”? Gzy ten też zna łacinę jak tamten, którego stracono podczas pierwszej ucieczki z Osaki?

Słońce coraz mocniej przygrzewało i Blackthorne przestał patrzeć na dowódcę Szarych.

Jeżeli nie zamordowałeś mnie w nocy, to może nigdy tego nie zrobisz, pomyślał i zapamiętał sobie tego katolika.

Zobaczył w dole małą postać Kiri. Wyszła doglądać dziewcząt niosących kosze i paki dla koni jucznych. Stała na schodach, na których Sazuko umyślnie poślizgnęła się pomagając Toranadze w ucieczce. Nieco dalej na północ rozciągał się ogród z wiejskim domkiem, gdzie po raz, pierwszy zobaczył Mariko i Yaemona, następcę. Przebył w myślach drogę, którą musiał pokonać orszak, żeby wydostać się poza obręb zamku, przez labirynt uliczek i przez las nad morze. Modlił się o to, żeby ominęły Mariko wszelkie niebezpieczeństwa. Po jej odjeździe opuściłby zamek i popłynął galerą razem z Yabu.

Ze szczytu murów morze zdawało się bliskie jak na wyciągnięcie ręki. Czuł jego zew. Zew morskiej dali.

- Konbanwa, Anjin-san.

- Mariko-san!

Radość biła z jej twarzy.

- Konbanwa - odpowiedział i dodał niedbale po łacinie: Strzeż się tego Szarego, rozumie. -

Przeszedł na portugalski, żeby dać jej czas na zebranie myśli. - Nie pojmuję, jak po tak krótkim śnie udaje ci się tak pięknie wyglądać. - Ujął ją pod rękę, odwracając tyłem do dowódcy Szarych i prowadząc bliżej parapetu. - Popatrz, tam jest Kiritsubo-san!

- Dziękuję. Tak, tak. . dziękuję.

- Nie pomachasz jej?

Posłusznie pomachała i zawołała do Kiritsubo-san, która też ją pozdrowiła. Mariko opanowała się i spokojnie powiedziała:

- Dziękuję, Anjin-san. Jesteś bardzo mądry i sprytny. - Zdawkowo pozdrowiła dowódcę Szarych, podeszła do kamiennej ławki, sprawdziła, czy jest czysta, i usiadła. - Szykuje się piękny dzień, ne?

- Tak. Jak ci się spało?

- Wcale nie spałam, Anjin-san. Przegadałyśmy z Kiri resztę nocy, a potem patrzyłam, jak świta. To prawdziwa rozkosz oglądać początek dnia. A ty?

- Spałam niespokojnie, ale. .

- Tak mi przykro.

- . teraz czuję się dobrze. Już odchodzisz?

- Przyjdę w południe po Kiri-san i panią Sazuko. - Odwróciła głowę, żeby kapitan nie widział

jej twarzy i dodała po łacinie: - Mój ty. Pamiętasz naszą pierwszą noc w zajeździe?

- Jak mógłbym zapomnieć?

- Jeżeli wyjazd się opóźni. . wieczorem będzie tak jak wtedy, najlepiej i najspokojniej na świecie.

- Ach, gdybyż to, było możliwe. Wolałbym jednak, żebyś bez przeszkód ruszyła w drogę.

- Muszę już iść, Anjin-san - ciągnęła Mariko po portugalsku. - Pozwolisz?

- Odprowadzę cię do bramy.

- Stąd na mnie popatrz, proszę. Ty i kapitan możecie przyglądać się stąd, ne?

- Oczywiście - odparł Blackthorne, pojmując jej intencję. - Idź z Bogiem.

- Ty też.

Został, na górze. Na dziedzińcu padło słońce i zepchnęło na bok cień. Wyszła Mariko. Widział, jak wita się z Kiri i Yoshinaką i rozmawiają nie nękani obecnością nieprzyjaciół. Ukłonili się sobie.

Mariko zadarła głowę, osłaniając oczy, i pomachała mu wesoło. On też jej pomachał. Otwarto bramę i Mariko, w towarzystwie trzymającej się nieco z tyłu Chimmoko, wyszła pod eskortą dziesięciu Brązowych. Ciężkie skrzydła bramy znów się zawarły. Mariko na chwilę zniknęła z oczu, a potem pojawiła się otoczona dodatkową wartą honorową złożoną z pięćdziesięciu Szarych, którzy odłączyli od tłumu za bramą. Pochód ruszył zacięną ulicą między murami. Odprowadził ją wzrokiem, aż skręciła za róg. Nie obejrzała się ani razu.

- Idę zjeść, kapitanie - powiedział.

- Tak, oczywiście, Anjin-san.

Blackthorne poszedł do swojej kwatery, zjadł trochę ryżu, ryby, piklowanych warzyw, zagryzł

wczesnymi, cierpkawymi owocami z Kiusiu. Smakowały mu małe jabłuszka, morele, twarde śliwki i cha. -

- Jeszcze, Anjin-san? - spytał służący.

- Nie, dziękuję.

Poczęstował owocami strażników, co zostało przyjęte z wdzięcznością, a kiedy się posilili, wyszedł z powrotem na osłonecznione blanki. Chętnie sprawdziłby panewkę ukrytego pistoletu, ale wołał nie ściągać niczyjej uwagi. Obmacał go raz w nocy pod przykryciem na posłaniu, ale bez obejrzenia nie był całkiem pewien, czy jest dobrze nabity.

Nic więcej nie możesz zrobić, pomyślał. Jesteś marionetką. Cierpliwości, w południe kończy się twoje czuwanie.

Oszacował wysokość słońca. Zaczynała się dwugodzinna pora Węża. Po Wężu następował Koń.

Środek pory Konia to południe.

Dzwony w świątyniach na zamku i w mieście obwieściły początek pory Węża. Przyjemnie było umieć dokładnie określić czas. Spozstrzegł leżący nie opodal kamyk. Podszedł, podniósł go i podłożył na brzegu otworu strzelniczego, w słońcu, po czym oparł się wygodnie i zaczął się w niego

wpatrywać.

Szarzy śledzili każdy jego ruch. Kapitan zmarszczył brwi.

- Anjin-san, co znaczy ten kamień? - spytał.

- Słucham?

- Kamień. Po co kamień, Anjin-san?

- A! Patrzę jak rośnie.

- Rozumiem, przepraszam, że przeszkodziłem.

Blackthorne roześmiał się w duchu i spojrzał na Kamień.

- Rośnij, draniu - powiedział.

Przeklinał go, namawiał, rozkazywał, ale kamień za nic nie chciał urosnąć. Naprawdę spodziewasz się, że urośnie? - pomyślał. Nie, oczywiście, że nie, ale kiedy patrzy się na kamień, czas szybciej mija i wzrasta spokój ducha. Nigdy za mało wa. Ne?

Li ii , z której strony spodziewać się ataku? Nie sposób obronić się przed zabójcą, który jest gotów sam zginąć. No tak?

Rodrigues sprawdził podsypkę na panewce jednego z muszkietów stojących przy dziale na rufie. Wziął pierwszy lepszy - i okazało się, że krzemień jest zużyty, nierówny, a więc niebezpieczny. Bez słowa cisnął muszkietem w kanoniera, który złapał broń w ostatniej chwili, ratując się przed uderzeniem kolbą w twarz.

- Matko Boża, senhor pilocie! - wykrzyknął. Nie trzeba. .

- Posłuchaj, pieprzony gnojku, następnym razem, kiedy na twojej wachcie znajdę nie wyszykowany jak należy muszkiet albo działo, dostaniesz pięćdziesiąt batów i przepadnie ci trzymiesięczna zapłata. Bosmanie!

- Tak, pilocie?

Masywne cielsko przybliżyło się i bosman Pesaro zgromił spojrzeniem młodego kanoniera.

- Wezwij obie wachty! Sprawdź wszystko, każdą sztukę broni. Bóg jeden wie, kiedy będzie nam potrzebna.

- Zajmę się tym, pilocie. - Bosman przysunął się groźnie do kanoniera. - Nasiusiam ci wieczorem do grogu, Gomez, i radzę grzecznie go wychleptać. Jazda do roboty!

Na głównym pokładzie było osiem małych dział na śródokręciu, po cztery na-każdej burcie, a prócz

tego jedno na dziobie. Takie uzbrojenie pozwalało uporać się z piratami bez dział, ale nie wystarczało do przeprowadzenia ataku. Mała dwumasztowa fregata nazywała się Santa Luz.

Rodrigues zaczekał, aż cała załoga zabierze się do pracy, odwrócił się i oparł na burcie. Zamek połyskiwał lekko w słońcu jak stara cyna, cały szary z wyjątkiem niebieskoszarej wieży ze złożonymi dachami. Rodrigues splunął i patrzył, czy plamka na wodzie dopłynie do pomostu, na co liczył, czy też skieruje się w stronę morza. Plwocina popłynęła w morze.

- Psiamać - mruknął pod nosem. Wiele dałby za to, żeby mieć pod stopami pokład swojej fregaty, Santa Marii. Diabli nadali taki pech, że kiedy jej potrzebujemy, jest w Makau. i - Go się stało, gubernatorze? - spytał przed kilkoma dniami, wyrwany z ciepłej pościeli w domu w Nagasaki.

- Muszę natychmiast udać się do Osaki - oznajmił Ferriera przypominający, zwłaszcza o tak wczesnej porze, butnego koguta. - Nadeszło pilne wezwanie od del 'Aquy.

- O co chodzi?

- Waży się przyszłość Czarnej Karaweli, nic więcej nie wiem.

- O Madonno, co oni takiego znów uknuli? Jak to waży się przyszłość? Nasz statek jest zdalny do żeglugi, kil ma czysty, osprzęt w idealnym porządku. Handel idzie lepiej, niż się spodziewaliśmy, bez opóźnień, małpy dobrze się sprawują, dupek Harima jest dobrej myśli i. . -

Poraziła go niespodziewana myśl. - Ingeles! Wyruszył w morze?

- Nie wiem. Jeżeli tak. .

Rodrigues spojrział na wejście do zatoki, jakby spodziewał się tam zobaczyć Erasmusa pod znienawidzoną flagą angielską, blokującego mu drogę. Erasmusa, który czekał jak zażarty pies na dzień, kiedy będą musieli wyruszyć w podróż do Makau i dalej, do Portugalii .

- Jezu, Matko Boska i wszyscy święci, oby do tego nie doszło!

- Jak będzie najszybciej? Lorszą?

- Fregatą, gubernatorze. Wypłyniemy za godzinę. Przecież Ingeles nic nie wskóra bez ludzi.

Nie zapominaj, panie. .

- O Madonno, on już gada ich językiem. Co mu przeszkadza posłużyć się małpami? Tylu jest japońskich piratów, że bez trudu zebrałby nawet dwadzieścia załóg.

- Tak, ale nie znajdzie artylerzystów ani takich żeglarzy, jakich mu potrzeba. . nie zdąży ich wyszkolić. Owszem, może na przyszły rok, ale nie przeciw nam.

- Na Madonnę i wszystkich świętych, nigdy nie zrozumiem, dlaczego ci księża, co wszędzie wściubiają nos, dali mu słownik! Chyba za podszeptem szatana! Wygląda na to, że sam diabeł ma

Ingelesa pod opieką!

- Po prostu jest sprytny!

- Niejeden mieszka tu od dwudziestu lat, a nie zna ani słowa z tej małpiej mowy. Ingeles zaprzedał duszę diabłu, nie inaczej. Od ilu lat próbujesz mówić ich językiem i nawet żyjesz z Japonką? Będzie miał japońskich piratów na skinienie.

- Nie, gubernatorze, musi wziąć ludzi stąd, na co jesteśmy przygotowani, a wszystkich podejrzanych kazałeś zakuć w kajdany.

- Dwadzieścia tysięcy srebrnych cruzados i obietnica złupienia Czarnej Karaweli pozwolą mu kupić tylu ludzi, ilu zechce, nawet całe to przeklęte więzienie. Cabron! Może ciebie też uda mu się kupić.

- Uważaj, co mówisz, gubernatorze!

- Jesteś przyszywanym, farbowanym Hiszpanem, Rodrigues! To twoja wina, że Ingeles żyje, dwa razy pozwoliłeś mu się wywinąć! - Gubernator gotów był rzucić się na niego z pięściami. -

Trzeba było z nim skończyć, kiedy miałeś go w garści.

- Możliwe, ale tyle to gadanie teraz warte, co piana za rufą - odparł gorzko Rodrigues. -

Próbowałem go zabić kiedy miałem sposobność.

- Czyżby?

- Sto razy mówiłem. Głuchy jesteś, senhor? A może masz nie tylko usta, ale i uszy zatkane hiszpańskim łajnem?!

Sięgnął po pistolet, gubernator obnażył miecz, a wtedy skoczyła między nich przerażona Japonka.

- Proszę, Rod-san, nie gniewać, nie klócić, proszę! Chrześcijanin, proszę!, Oślepiająca obu wściekłość wyparowała.

- Bóg mi świadkiem, Ingeles to czarci pomiot - rzekł Ferriera. - Przez niego omal się nie pozabijaliśmy. Teraz to widzę. Rzucił zły czar na nas, a zwłaszcza na ciebie, Rodrigues!

Wspominając tamtą kłótnię Rodrigues chwycił krzyż, który nosił na szyi, i wzniosł, pod rozświetlonym niebem Osaki żarliwą modlitwę, by Bóg uchronił go przed czarownikami wszelkiej maści, a jego nieśmiertelną duszę przed zakusami szatana.

Czy gubernator nie ma racji, czy to nie jedyne wytłumaczenie, rozmyślał pełen niedobrych przeczuć. Ingeles jak kot zawsze spada na cztery łapy. Został zausznikiem tego diabła wcielonego Toranagi, dostał statek, pieniądze i wako, a na dodatek mówi po ichniemu, co jest niemożliwe po tak krótkim czasie nawet ze słownikiem, a on dostał i słownik, i nieocenioną pomoc. Jezusie, Maryjo, uchronajcie mnie przed Złym Okiem!

- Dlaczego dałeś Ingelesowi słownik, ojciec? - spytał Alvite w Mishimie. - Nie trzeba było tego odwlec?

- Owszem, nie musiałem mu pomagać na wszelkie możliwe sposoby - przyznał Alvito w zaufaniu. - Jestem jednak przekonany, że uda mi się go nawrócić. Na pewno. Toranaga jest skończony. . Muszę spróbować zbawić jednego człowieka, jedną duszę.

Księża, pomyślał Rodrigues. Bodaj zaraza wszystkich księży. Z wyjątkiem del 'Aqy i Alvity. O

Madonno, biję się w piersi za złe myśli o tych dwóch. Przebacz mi spraw, żeby Ingeles prędzej legł w grobie, niż pokazał mi się na oczy. Nie chcę go zabijać, bo złożyłem uroczystą przysięgę, ale on musi zginąć, im szybciej, tym lepiej. .

Sternik obrócił klepsydrę i zadzwonił osiem razy. Było południe.

Mariko zbliżała „się zalaną słońcem ulicą do bramy. Za nią szła straż przyboczna, dziesięciu Brązowych. Mariko ubrana była do podróży w jasnozielone kimono, białe rękawiczki i duży ciemnozielony kapelusz zawiązany pod brodą złotym muślinowym szalem. Połyskiwała w słońcu parasolka. Otwarto bramę na oścież.

Tłum na ulicy zamarł w milczeniu. Szpalery Szarych ciągnęły się po obu stronach i na zwieńczeniach murów. Mariko widziała Anjin-sana i Yabu na blankach w ich skrzydle zamku, a na dziedzińcu gotową do wymarszu kolumnę, Kiri i panią Sazuko. Brązowi w odświętnych strojach zgromadzili się na podwórku pod dowództwem Yoshinaki, dwudziestu towarzyszyło Blackthorne'owi i po dwóch wyglądało z okien.

W przeciwieństwie do Szarych Brązowi nie mieli zbroi ani łuków, tylko miecze.

Wiele kobiet, samurajek, spoglądało z okien ufortyfikowanych domów przy ulicy i z murów.

Niektóre stały wśród Szarych, trzymając za rękę dzieci barwne jak motyle. Wszystkie miały parasolki, co nie przeszkadzało niektórym korzystać z przywileju przypasania samurajskiego miecza.

Przy bramie stał Kiyama z pięćdziesięcioma własnymi samurajami.

- Witaj, wielmożny panie - pozdrowiła go Mariko i po wymianie ukłonów przeszła przez bramę.

- Dzień dobry, Kiri-chan, Sazuko-chan. Jak ładnie wyglądacie! Czy wszystko gotowe?.

- Tak - odpowiedziały, udając wesołość.

- Dobrze. - Mariko usiadła w palankinie dumnie wyprostowana. - Yoshinaka-san! Poprowadź nas, proszę.

Kapitan utykając wyszedł naprzód i głośno wydał rozkazy. Dwudziestu Brązowych utworzyło czoło pochodu. Tragarze ponieśli palankin Mariko i ruszyli w ślad za Brązowymi przez bramę. Tuż za Mariko jechała Kiri, a za nią pani Sazuko z niemowlęciem.

Kiedy palankin Mariko wysunął się na osłoneczniony zaułek za bramą, zastąpił jej drogę dowódca Szarych. Brązowi, którzy już go minęli, zatrzymali się. Tragarze również.

- Przepraszam bardzo - rzekł dowódca Szarych. - Czy mogę zobaczyć przepustki?

- Wybacz, kapitanie, my przepustek nie potrzebujemy - odparł Yoshinaka.

- Bardzo mi przykro, ale generał Ishido, komendant zamku, dowódca straży przybocznej następcy, wydał rozkazy, do których wszyscy w zamku muszą się stosować.

- Jestem Toda Mariko-no-Buntaro - oznajmiła Mariko. - Mój pan lenny, pan Toranaga, nakazał

mi wyjść mu na spotkanie wraz z damami. Bądź łaskaw nas przepuścić.

- Chętnie bym to uczynił, pani - odparł hardo samuraj, nie ruszając się z miejsca. - Ale nasz pan lenny zarządził, że nikomu nie wolno opuścić zamku w Osace bez przepustki.

- Jak się nazywasz, kapitanie? - spytała Mariko.

- Sumiyori Danzenji, dowódca czwartego legionu. Wywodzę się z równie starego rodu co ty, pani.

- Przykro mi, kapitanie Sumiyori, ale jeżeli nie zejdziesz mi z drogi, każę cię zabić.

- Nie przejdziecie bez przepustki!

- Zabij go, proszę, Yoshinaka-san.

Yoshinaka bez wahania skoczył i zamachnął się mieczem. Błysnęło ostrze, głęboko raniąc Szarego w bok, a drugi, jeszcze gwałtowniejszy cios ściał głowę, która potoczyła się po ziemi.

Yoshinaka wytarł ostrze i schował miecz do pochwy.

- Naprzód! - rozkazał Brązowym na czele. - Szybko!

Wojownicy ustawili się w szyku i pomaszerowali, aż zadudniło echo.

Wtem, nie wiadomo skąd, nadleciała strzała i utknęła w piersi Yoshinaki. Orszak zatrzymał się raptownie. Yoshinaka chwycił drzewce strzały, jakby chciał ją wyrwać, oczy zasły mu mgłą, osunął się na ziemię. Kiri jęknęła cicho. Lekki powiew poderwał końce zwiewnego szala Mariko. Gdzieś na ulicy rozplakało się dziecko i ktoś je uciszył. Wszyscy czekali z zapartym tchem.

- Miyai Kazuko-san! - zawołała Mariko. - Obejmij dowództwo, proszę.

Dumny, wysoki młodzieniec o wklęsłych policzkach wystąpił z grupy Brązowych stojących obok Kiyamy. Minął palankiny Kiri i Sazuko, zatrzymał się przy Mariko i złożył ceremonialny ukłon.

- Dzięki ci, pani - rzekł i krzyknął do żołnierzy w przodzie. - Ruszajcie!

Choć niektórych strach obleciał, usłuchali go wszyscy, ogarnięci dziwną gorączką. Znow szli, Kazuko przy palankinie Mariko. Sto kroków przed nimi ze zwartego tłumu samurajów wystąpiło dwudziestu Szarych i stanęło milczącym szeregiem w poprzek ulicy. Odległość między przeciwnikami zmniejszała się. Któryś z idących wypadł z szyku i dwudziestu Brązowych jeden po drugim zatrzymało się.

- Zmieść ich z drogi! - krzyknął Kazuko.

Od razu jeden Brązowy skoczył naprzód, za nim inni i zaczęła się szybka rzeź. Kiedy padał

Szary, z czekającej drużyny wychodził następny, żeby wesprzeć towarzyszy w okrutnej walce.

Walczone po rycersku, samuraj przeciw samurajowi, piętnastu na piętnastu, ośmiu na ośmiu, kilku rannych Szarych legło w drgawkach na ziemi, przeciw trzem Brązowym stało dwóch Szarych, do których dołączył trzeci, wkrótce pozostała jedna para przeciwników, ostatni Brązowy, ranny zwycięzca czterech pojedynków. Ostatni Szary bez trudu dobił go i stojąc samotnie pośród leżących ciał spojrzął na Miyaki Kazuko.

Zginęło dwudziestu Brązowych. Osiemnastu Szarych poległo, a czterech zostało rannych.

W ogromnej ciszy Kazuko ruszył naprzód wyciągając miecz.

- Zaczekaj - powstrzymała go Mariko. - Zaczekaj, proszę, Kazuko-san.

Staął ze wzrokiem wlepionym w Szarego, rwąc się do walki. Mariko wysiadła z palankinu i podeszła do Kiyamy.

- Zwracam się do ciebie, panie, z oficjalną prośbą, byś rozkazał tym wojownikom, zejść z drogi.

- Wybacz, Toda-sama, rozkaz to rozkaz. Jeżeli sobie życzysz, zwołam posiedzenie regentów i wystąpię o odpowiednie zarządzenie.

- Jestem samurajką. Otrzymałam wyraźny rozkaz, zgodny z bushido, uświęcony kodeksem rycerskim. Rozkaz ten znosi wszelkie zarządzenia i muszę go wykonać. Prawo może wystąpić przeciw rozsądkowi, ale rozsądek, nie może obalać prawa. Jeżeli ktoś powstrzyma mnie od wykonania rozkazu, nie będę mogła żyć - z takim wstydem.

- Natychmiast zwołam posiedzenie.

- Wybacz, panie, ale to, co robisz, jest twoją sprawą. Ja troszczę się jedynie o rozkazy mojego pana i o mój honor. - Mariko wróciła na czoło kolumny. - Kazuko-san! Wyprowadź nas, proszę, z zamku, to rozkaz!

- Jestem Miyi Kazuko z rodu Serata - rzekł Kazuko występując naprzód. - Dowódca Trzeciej Armii pana Toranagi. Proszę, zejdź nam z drogi.

- Jestem Biwa Jiro, dowódca garnizonu generała Ishido - odparł Szary. - Moje życie nic nie znaczy, nie przejdziecie tędy.

Z donośnym okrzykiem wojennym „Toranagaaaaa!” Kazuko zaatakował. Szczęknęły ostrza.

Wojownicy okrążali się. Szary był świetnym szermierzem, Kazuko również. Miecze dźwięczały w starciu. Tłum zamarł.

Kazuko został ciężko ranny, ale zwyciężył. Staął chwiejnie nad nieprzyjacielem, wyciągnął

zdrową rękę i wygrażając niebu mieczem ryknął na cześć i chwałę swego zwycięstwa:

„Toranagaaaaa!” Nie było wiwatów. Nie mieściły się one w rytuale, który pochłonał wszystkich obecnych.

Kazuko zrobił niepewnie jeden krok, potem drugi i załamującym się głosem rozkazał:

- Za mną!

Nikt nie spostrzegł, skąd nadleciały strzały, które go uśmierciły. Ta obraza dla męstwa Kazuko obudziła zażartość w szykujących się na zatracenie Brązowych. Kazuko umierał i wkrótce padłby sam, spełniając swą powinność. Inny oficer wybiegł naprzód z dwudziestką żołnierzy, by utworzyć nowe czoło pochodu, pozostali skupili się wokół Mariko, Kiri i Sazuko.

- Naprzód! - warknął oficer.

Ruszył, a za nim dwudziestu samurajów. Jak w transie tragarze dźwignęli swoje brzemie i potykając się omijali trupy. Sto kroków przed nimi z milczącego tłumu znów wystąpiło dwudziestu Szarych po wodzą oficera. Tragarze stanęli. Straż przednia przyspieszyła kroku.

- Stać!

Oficerowie wymienili zdawkowe ukłony i rodowe nazwiska.

- Proszę zejść z drogi.

- Proszę okazać przepustkę.

Tym razem Brązowi od razu rzucili się naprzód z okrzykiem „Toranagaaaaa!”, odpowiedziało im zawołanie „Yaemooooonn!”, zaczął się bój na śmierć i życie. Ilekroć padł Szary, na jego miejsce wkraczał inny wojownik, dopóki nie zginęli wszyscy Brązowi.

Ostatni Szary wytarł ostrze, schował miecz i stanął zagradzając przejście. Spośród samurajów za palankinami wystąpił naprzód nowy oficer z dwudziestoma Brązowymi.

- Czekaście - powstrzymała ich Mariko.

Z pobladłą twarzą wysiadła z palankinu, odłożyła parasolkę, schyliła się po miecz Yoshinaki i sama poszła naprzód.

- Wiesz, kim jestem. Proszę, zejdź mi z drogi.

- Jestem Kojima Harutomo, dowódca szóstego legionu - odparł z dumą Szary. - Daruj, pani, nie możesz przejść.

Zaatakowała go, ale odparował cios. Szary tylko się bronił i cofał, choć mógł ją bez trudu zabić. Wycofywał się powoli, zmuszając do wywalczenia każdej piędzi ziemi. Brązowi wraz z całą kolumną niepewnie ruszyli naprzód. Mariko próbowała zmusić Szarego do walki, zażarcie go atakując, zadając ciosy i pchnięcia, ale samuraj robił uniki, powstrzymywał ją, nie atakował,

pozwalając, żeby się wyczerpała. Robił to z godnością i powagą z całym szacunkiem, na jaki zasługiwała.

Ponowiła atak, który pokonałby mniej wytrawnego szermierza, ale samuraj odparł go i znów zrobił krok w tył. Łąły się z niej strugi potu. Jeden z Brązowych chciał przyjść jej z pomocą, ale powstrzymał go cichym rozkazem oficer, który wiedział, że nie wolno przeszkodzić walczącym. Po obu stronach samuraje czekali na przyzwalający znak, dysząc żądzą zabijania.

W tłumie jakiś chłopczyk ukrył twarz w kimonie matki. Matka odsunęła go od siebie i przyklęła.

- Patrz, synu - szepnęła. - Jesteś samurajem.

Zdyszana Mariko traciła siły, czuła otaczającą ją wrogość. Szarzy zaczęli zacieśniać pętlę wokół kolumny. Kilku podeszło, żeby odciąć Mariko, więc przestała napierać naprzód. Wiedziała, jak łatwo przyszło by im rozbroić ją i schwytać, a to byłby koniec. Brązowi gotowi byli ją wesprzeć, niektórzy ustawili się przy palankinach. W złowróźbnej atmosferze samuraje szykowali się do walki podrażnieni mdłym zapachem krwi. Kolumna pochodu ciągnęła się od samej bramy i Mariko nie miała wątpliwości, że Szarzy bez trudu wycięliby ich wszystkich w pień.

- Stać! - krzyknęła. Skłoniła się lekko przeciwnikowi, a potem z dumnie uniesioną głową odwróciła się i podeszła do Kiri. - Bardzo.. bardzo mi przykro, ale w tej chwili nie sposób przebić się przez tych żołnierzy - rzekła. - Musimy chwilowo się wycofać. - Poszła dalej wzdłuż szpaleru samurajów, zatrzymała się przed Kiyamą i ukloniła. - Nie pozwolono mi wypełnić mojej powinności, usłuchać rozkazu pana lennego. Nie mogę żyć z taką plamą na honorze, wielmożny panie. O

zachodzie słońca popełnię seppuku. Proszę cię, abys zechciał łaskawie być moim sekundantem.

- Nie zrobisz tego.

- Jeżeli nie będzie nam wolno usłuchać rozkazu naszego pana, jeżeli nie odzyskamy naszych praw - odpowiedziała z mocą - popełnię seppuku o zachodzie słońca!

Ukloniła się i ruszyła w stronę bramy. Kiyama i jego samuraje odkłonili się. Potem wszyscy zgromadzeni na ulicy, na murach i w oknach oddali jej cześć ukłonem. Przeszła przez dziedziniec, a kiedy znalazła się w ogrodzie, nogi poniosły ją same do stojącego na uboczu skromnego domu cha. W środku, wreszcie sama, zaczęła opłakiwać tych, którzy, polegli.

56.

- Piękne, co? - Yabu wskazał leżące w dole ciała.

- Słucham? - spytał Blackthorne.

- To był poemat. Rozumiesz „poemat”?

- Rozumiem słowo, tak. - To był poemat, Anjin-san. Nie rozumiesz?

Gdybym znał właściwe słowa, powiedziałbym, „nie”, Yabu-san, ale kiedy Mariko wydała pierwszy rozkaz i Yoshinaka zabił pierwszego samuraja, przejrzałem jej zamiar. Poemat? To był

ohydny, bezsensowny, zdumiewający rytuał, którego nieuchronnym dopełnieniem jest śmierć jak w hiszpańskiej inkwizycji, a wszystkie ofiary są wstępem do ofiary Mariko. Nie ma odwrotu, Yabu-san

- dla ciebie, dla mnie, dla Kiri, Ochiby, Ishido, dla wszystkich w zamku - dlatego, że ona postanowiła uczynić to, co uznała za konieczne. A kiedy powzięła tę decyzję? Dawno temu, ne? Mówiąc ściślej, powziął tę decyzję Toranaga, - Przepraszam, Yabu-sama, za mało słów - powiedział.

Yabu nie słuchał go. Panowała głęboka cisza, samuraje zastygli w bezruchu. Po chwili zalana słońcem ulica zaczęła ożywać przyciszonymi głosami, powściągliwymi ruchami. Yabu westchnął melancholijnie.

- To był poemat, Anjin-san - powtórzył na odchodnym.

Kiedy Mariko podniosła miecz i ruszyła naprzód, Blackthorne chciał rzucić się na dół w jej obronie, jednak, tak jak inni, nie zrobił nic. Nie dlatego, żeby się bał. Przestał lękać się śmierci.

Odwaga Mariko uprzytomniła mu bezużyteczność tego lęku, a pogodził się ze sobą dawno temu, pamiętnego wieczoru w wiosce.

Naprawdę chciałem wtedy wbić sobie nóż w serce, pomyślał. Od tamtej pory przestałem odczuwać strach przed śmiercią, jak przewidywała Mariko. „Jedynie żyjąc o krok od śmierci można pojąć nieopisaną radość życia”. Nie pamiętam, jak Orni wstrzymał pchnięcie, pamiętam tylko, jak obudziłem się nazajutrz odrodzony.

Patrzył na poległych leżących na ulicy. Mógłbym zabić tamtego Szarego dla niej, myślał, może jeszcze jednego, a nawet kilku, ale wciąż podchodziliby nowi, a moja śmierć nie przeważałaby szali.

Nie boję się umrzeć, tylko przeraża mnie, że nie mogę nic zrobić, by chronić Mariko.

Szarzy zaczęli zbierać ciała, z jednakowym szacunkiem traktując Szarych i Brązowych.

Kiyama ze swoimi samurajami, kobiety z dziećmi, służące rozchodzili się wzbijając kurz.

Nadmorska, bryza przyniosła kwaśny odór śmierci. Mariko, jej wielka odwaga przepełniły mu serce dziwnym ciepłem, wyparły z głowy wszelkie myśli. Spojrzał na słońce. Do zachodu zostało sześć godzin. Skierował się do schodów.

- Anjin-san? Przepraszam, dokąd?

Odwrócił się. Dowódca pilnujących go Szarych, o których całkiem zapomniał, przyglądał mu się pytająco.

- Ach, przepraszam. Idę tam! - Wskazał dziedziniec.

Po zastanowieniu dowódca Szarych niechętnie wyraził zgodę.

- Dobrze. Proszę za mną.

Na dziedzińcu Blackthorne wyczuł wrogość Brązowych wobec strzegących go Szarych. Yabu stał przy bramie obserwując powracających. Kiri i pani Sazuko wachlowały się, mamka karmiła niemowlę. Siedziały w cieniu na werandzie, na pośpiesznie rozłożonych kapach i poduszkach. Przy koniach jucznych i bagażach przycupnęła trwożna gromadka tragarzy. Blackthorne chciał wejść do ogrodu, ale strażnicy potrząsnęli głowami.

- Daruj, Anjin-san, nie wolno tam teraz wchodzić.

- Tak, oczywiście - rzekł wycofując się.

Ulica pustoszała, ale około pięciuset Szarych zostało. Porozsiadali się na ziemi szerokim półkolem, na wprost bramy. Ostatni Brązowi dotarli na dziedziniec.

- Zamknąć bramę! - zawołał Yabu.

- Przepraszam, Yabu-san - odezwał się oficer. - Pani Toda kazała zostawić otwartą bramę.

Mam jej strzec, ale nie zamykać.

- Jesteś pewien?

Oficer zachnął się. Miał trzydzieści parę lat, niesymetryczną twarz z zarostem.

- Wybacz, jestem tego najzupełniej pewien.

- Dziękuję. Nie chciałem cię urazić, ne? Jesteś tu najstarszy rangą?

- Tak, pani Toda zaszczyciła mnie swoim zaufaniem. Ty, panie, jesteś oczywiście starszy ode mnie.

- Ja dowodzę, ty pełnisz obowiązki dowódcy.

- Dziękuję, Yabu-san, ale dowodzi nami pani Toda. Ty jesteś najstarszy rangą. To honor dla mnie być

twoim zastępcą. Za twoim przyzwoleniem.

- Przyzwalam, kapitanie - odparł Yabu złowrogo. - Dobrze wiem, kto nami dowodzi. Jak się nazywasz?

- Sumiyori Tabito.

- Czy pierwszy Szary nie nazywał się też „Sumiyori”?

- Tak, Yabu-san. Był moim kuzynem.

- Kiedy uznasz za stosowne, kapitanie Sumiyori, zechciej łaskawie zwołać oficerów na naradę.

- Tak jest, wielmożny panie. Za przyzwoleniem pani Tody.

Obejrżeli się. Na dziedziniec weszła, podpierając się laską, siwa samurajka. Trzymała się prosto, ale widać było, że kuśtykanie sprawia jej ból. Podeszła do Kiritsubo razem ze służącą, która osłaniała ją parasolką.

- A, Kiritsubo-san - rzekła. - Jestem Maeda Etsu, matka pana Maedy. Podzielam zdanie pani Tody. Byłby to dla mnie zaszczyt czekać razem z nią, za jej przyzwoleniem.

- Witamy, siadaj, proszę - odparła Kifi.

Służąca przyniosła dodatkową poduszkę i razem ze służącą pani Etsu pomogła jej usiąść.

- O, to co innego, teraz mogę odetchnąć - powiedziała pani Etsu, przygryzając wargę, żeby nie jęknąć z bólu. - Z moimi stawami z każdym dniem jest gorzej. Ach, co za ulga. Dziękuję.

- Życzy sobie pani cha?

- Najpierw cha, potem sake, Kiritsubo-san. Dużo sake. Po takich emocjach chce się pić, ne?

Kilka samurajek odłączyło się od odchodzącego tłumu i przeszło przez szeregi Szarych do przyjemnego cienia. Nie wszystkie były zdecydowane, trzy się wycofały, ale wkrótce na werandzie przybyło czternaście pań, w tym dwie z dziećmi.

- Przepraszam, nazywam się Achiko, jestem żoną Kiyamy Nagamasy i też chcę wrócić do domu - powiedziała nieśmiało młoda dziewczyna z małym synkiem. - Chcę wrócić do męża. Pokornie proszę, żebyś pozwoliła mi zostać, pani.

- Ale pan Kiyama srodze się na ciebie rozgniewa, pani, jeżeli tu zostaniesz.

- Wybacz, Kiritsubo-san, ale dziadek prawie mnie nie zna. Jestem żoną mało znaczącego wnuka. Jestem pewna, że to go nie poruszy. Nie widziałam się z mężem od wielu miesięcy i nie dbam o to, co kto powie. Nasza pani ma słuszność, ne?

- Całkowitą słuszność, Achiko-san - odpowiedziała pani Etsu, bez wahania występując w imieniu pozostałych. - Jesteś tu mile widziana, moje dziecko. Chodź, usiądź przy mnie. Jak ma na imię twój synek? Udany chłopak.

Panie jednogłośnie przyznały jej rację, a wtedy drugi chłopczyk, czterolatek, pisnął żałośnie:

- Przepraszam, ja też jestem udany chłopak, ne? Któraś roześmiała się, a inne jej zawtórowały.

- Rzeczywiście, ty też - powiedziała pani Etsu. Kiri otarła łzę.

- Lepiej trochę się pośmiać, za dużo było tej powagi, ne? - rzekła wesoło. - Miłe panie, to wielki zaszczyt, że mogę was powitać w imieniu pani Tody. Na pewno jesteście głodne i spragnione tak jak pani Etsu!

Posłała służące ze stosownymi poleceniami, dokonała prezentacji tych pań, które wymagały przedstawienia, chwalać to piękne kimono, to znów niezwykłą parasolkę. Po chwili rozszechbiotały się jak stadko kolorowych papug. - I jak tu zrozumieć kobiety? - powiedział Sumiyori.

- Nie sposób! - rzekł Yabu.

- Raz są przerażone i we łzach, a za chwilę. . Kiedy pani Mariko wzięła miecz Yoshinaki, myślałem, że pękne z dumy.

- Tak. Szkoda, że ten ostatni Szary był taki dobry. Zabiłaby gorszego szermierza. Chętnie bym to zobaczył.

Sumiyori potarł brodę, która swędziała go od schnącego potu.

- Co byś zrobił na jego miejscu?

- Zabiłbym ją i zaatakował Brązowych. Za dużo tam było krwi. Ledwie się powstrzymałem, żeby nie pościnać głów wokół siebie na murach.

- Dobrze jest czasem zabić. Bardzo dobrze. Czasem to nawet lepsze niż namiętna kobieta.

Rozległ się śmiech kobiet. Obaj malcy paradowali z nadętymi minami, aż fruwały czerwone kimona.

- Przyjemnie popatrzeć. Dzięki bogom, że moje dzieci są w Edo.

- Tak. - Yabu spoglądał w zamyśleniu na kobiety.

- Nad tym samym się zastanawiam - rzekł cicho Sumiyori.

- I do czego doszedłeś?

- Nie ma wyboru. Jeżeli Ishido nas puści, dobrze. Jeżeli seppuku pani Mariko pójdzie na marne. . wówczas pomożemy tym damom odejść w Pustkę i zaczniemy zabijać. Nie będą chciały żyć.

- Niektóre może zechcą.

- Później o tym zadecydujesz, Yabu-san. Przyniesie to korzyść naszemu panu, jeżeli wszystkie popelnia seppuku. Razem z dziećmi.

- Tak.

- Obsadzimy żołnierzami mury i otworzymy bramę. Będziemy walczyć do południa. Ci, co zostaną, cofną się do środka i podpalą to skrzydło zamku. Jeżeli dożyję do tego czasu, sprawiłoby mi zaszczyt, gdybyś zechciał być moim sekundantem.

- Oczywiście.

- Tylu poległych i seppuku pani Tody wstrząśnie cesarstwem, ne? - rzekł Sumiyori z uśmiechem. - Roznieci pożar, zniszczy Osakę, ne? Myślisz, że to opóźni przyjazd Najjaśniejszego?

Czy takie są plany naszego pana?

- Nie wiem. Posłuchaj, Sumiyori-san. Pójdę do kwatery. Poślij po mnie, kiedy tylko wróci pani.

- Podeszedł do Blackthorne'a, który siedział zadumany na schodach. - Posłuchaj, Anjin-san - zagadnął go dyskretnie. - Może mam plan. Tajemnica, ne? Tajemnica, rozumiesz?

- Tak, rozumiem.

Dzwony wybiły nową godzinę. Początek godziny Małpy, sześć szklanek popołudniowej wachty, trzecia na zegarze. Donośny dźwięk przypominał o upływie czasu, wielu odruchowo obejrzało się na słońce.

- Jaki plan? - spytał Blackthorne.

- Później porozmawiamy. Trzymaj się blisko. Nic nie mów, rozumiesz?

- Tak.

Yabu wymaszerował przez bramę z dziesięcioma Brązowymi. Za nimi ruszyło ulicą dwudziestu Szarych. Tuż za pierwszym rogiem znajdował się dom gościnny Yabu. Szarzy zatrzymali się przed jego bramą. Yabu wskazał Brązowym ogród, a sam wszedł do domu.

- To niemożliwe, panie generale - powiedziała Ochiba. - Nie wolno dopuścić, żeby tak znamienita dama popelniała seppuku. Przykro mi, ale znalazłeś się w pułapce.

- Też tak uważam - rzekł z mocą pan Kiyama.

- Pokornie zwracam ci uwagę, pani - rzekł Ishido - że cokolwiek powiedziałem lub przemilczałem, tyle dla niej znaczy, co łajno w wiosce eta. Podjęła decyzję wcześniej, a raczej postanowił tak

Toranaga.

Ochiba wzdrygnęła się na taką wulgarność.

- Oczywiście, on za tym stoi - powiedział Kiyama. - Przykro mi, znów cię przechytrzył, generale. Ale nie możesz pozwolić, żeby popełniła seppuku!

- Dlaczego?

- Przepraszam, generale, musimy mówić ciszej - wtrąciła Ochiba. Stali przed pokojem, w którym leżała chora pani Yodoko, na pierwszym piętrze w samym sercu wieży. - Nie zawiniłeś, generale, i na pewno jest jakieś wyjście.

- Nie możesz pozwolić, generale, żeby nadal wprowadzała w życie swój plan - rzekł cicho Kiyama. - To wzburzy wszystkie damy w zamku.

- Nie pamiętasz - odparł Ishido, marszcząc brwi - że kiedy przez pomyłkę dwie zostały zastrzelone, nikt się nie oburzył, a przynajmniej nie próbowano już więcej ucieczek.

- To był wielki błąd, generale - powiedziała Ochiba.

- Zgoda. Ale prowadzimy wojnę, nie mamy Toranagi w garści, a dopóki on nie zginie, ani ty, pani, ani następca nie jesteście bezpieczni.

- Przepraszam, nie boję się o siebie, tylko o syna - rzekła Ochiba. - Muszą wrócić do zamku za osiemnaście dni. Radzę je wypuścić.

- To niepotrzebne ryzyko. Wybacz. Nie można ufać jej słowom.

- Przecież jest samurajką - rzekł Kiyama z wyrzutem, gardząc nieokrzesanym Ishido, którego obecność w bogatych komnatach przypominała mu taikō, przyjaciela i szanowanego zwierzchnika.

- Tak - poparła go Ochiba. - Przepraszam, ale zgadzam się z panem Kiyamą. Mariko-san dotrzyma słowa. Jest jeszcze ta wiedźma Etsu! Ci Maedowie to dumna rodzina, ne?

Ishido podszedł do okna i wyjrzał.

- Niech ich ziemia pochłonie, mało mnie to wzruszy. Toda jest chrześcijanką, ne? Czy samobójstwo nie kłóci się z jej wiarą? Czy to nie ciężki grzech?

- Tak, ale mając sekundanta, nie popełni samobójstwa.

- A jeżeli nie będzie miała sekundanta?

- Jak to?

- Powiedzmy, że będzie rozbrojona i bez sekundanta.

- Jakim sposobem?
- Trzeba ją schwytać. Zamknąć z dobranymi służącymi do czasu, kiedy Toranaga przekroczy nasze granice. - Ishido uśmiechnął się. - Wtedy niech robi, co chce. Sam jej chętnie pomogę.
- Tylko jak ją schwytać? - spytał Kiyama. - Zawsze zdąży popełnić seppuku, chwycić nóż.
- Może. Ale powiedzmy, że uda się ją schwytać, rozbroić i przetrzymać kilka dni. Czy nie o te kilka dni chodzi? Czy nie dlatego nalega, żeby wyjechać właśnie dziś, zanim Toranaga przekroczy nasze granice i Wykastruje się?
- Czy to da się zrobić? - spytała” pani Ochiba.
- Całkiem możliwe, że tak - odparł Ishido.
- Za osiemnaście dni Toranaga musi się tu stawić - zastanawiał się Kiyama. - Na - granicy może zwlekać najwyżej cztery dni. Trzeba by trzymać ją tydzień.
- Albo bez końca - rzekła Ochiba. - Toranaga zwleka, jakby wcale nie zamierzał przybyć, tak mi się czasem zdaje.
- Musi przybyć przed dwudziestym drugim - rzekł Ishido. - Twój pomysł, pani, był wyśmienity, wyśmienity.
- Czyż nie był to twój pomysł, generale? - Ochiba miała głos jak miód mimo zmęczenia po nie przespanej nocy. - A pan Sudara i moja siostra? Czy są u Toranagi?
- Nie, pani. Jeszcze nie. Przyłyną do Osaki statkiem.
- Włos jej z głowy spaść nie może ani jej synowi.
- Jej syn jest następcą Toranagi, który jest z rodu Minowara. Przypominam ci o tym, pani, przez lojalność dla następcy taikō.
- Mojej siostrze nie może sięgnie stać. Ani jej synowi.
- Jak sobie życzysz.
- Wielmożny panie - zwróciła się Ochiba do Kiyamy. - Czy Mariko-san jest dobrą chrześcijanką?
- Najlepszą, jaką znam. Masz, pani, na myśli grzech samobójstwa? Nie sędzę, by je popełniła, bo zatraciłaby nieśmiertelną duszę. Nie wiem jednak, czy. .
- Wobec tego jest prostsze rozwiązanie - rzekł Ishido bez zastanowienia. - Zwrócić się do najwyższego kapłana chrześcijan, niech zabroni jej nękać prawowitą władzę cesarstwa!
- Nie jest do tego uprawniony - rzekł Kiyama i dodał rozdrażniony: - To interwencja polityczna, a

zawsze byłeś temu zdecydowanie przeciwny.

- Wygląda na to, że chrześcijanie wtrącają się wtedy, kiedy im wygodnie - rzekł Ishido. -

Rzuciłem tylko propozycję.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich lekarz. Poważny, postarzały z wyczerpania.

- Przepraszam, pani, jesteś proszona.

- Umiera? - spytał Ishido.

- Jest bliska śmierci, panie generale, ale kiedy umrze, nie wiem.

Ochiba nie zwlekając ruszyła do drzwi. Niebieskie kimono opinało jej kibić, kołysało się wdzięcznie koło nóg. Obaj mężczyźni odprowadzili ją wzrokiem. Drzwi zamknęły się.

- Naprawdę uważasz, generale, że można schwytać panią Todę? - spytał po chwili Kiyama.

- Tak - odparł Ishido patrząc na drzwi.

W drugim, jeszcze wystawniej urządzonej pokoju, Ochiba podeszła do futonów otoczonych przez lekarzy i służące i przyklękała. Światło sączyło się przez bambusowe żaluzje i rozjaśniało czerwono-złote zdobienia na drzwiach, słupach i suficie. Łoże Yodoko osłaniały wokoło ozdobne parawany. Chora miała zamknięte oczy, jakby spała, jej bladą twarz otulał kaptur buddyjskiej szaty, na chudych dłoniach rysowały się wydatne żyły. Jaka smutną jest starość, pomyślała Ochiba.

Dlaczego upływ czasu bardziej dotyka kobiety? Właśnie kobiety, nie mężczyzn. Chrońcie mnie, bogowie, przed starością. Czuwaj nad moim synem, Buddo, doprowadź go do władzy, a mnie zachowaj dopóty, dopóki będę mogła ochraniać go i pomagać mu.

Z szacunkiem ujęła rękę Yodoko.

- Pani?

- O-chan? - szepnęła Yodoko, bo taki przydomek miała Ochiba.

- Tak, pani?

- Ach, jakaś ty śliczna, śliczna „jak zawsze.

Staruszka uniosła rękę i pogłaskała piękne włosy. Ochibie jak zwykle sprawiło to przyjemność, bo lubiła Yodoko.

- Taka młoda, piękna, pachnąca. Jakie szczęście miał taikō. - Czy nic cię nie boli, pani? Może coś ci podać?

- Nic, nic, chciałam tylko porozmawiać. - Zapadłe oczy nadal patrzyły przenikliwie. - Każ im odejść.

Kiedy zostały same, Ochiba znów spytała:

- Tak, pani?

- Postaraj się, kochanie, żeby generał ją puścił.

- Nie może tego zrobić, pani, bo wszyscy zakładnicy wyjadą, a to nas osłabi. Regenci są tego samego zdania.

- Regenci! - prychnęła Yodoko. - A jakiego ty jesteś zdania?

- Tego samego, pani, sama wczoraj mówiłaś, żeby jej nie puszcząć.

- Ale teraz mówię, że trzeba koniecznie ją puścić, w przeciwnym razie inne popełnią seppuku i błąd Ishido zbruka ciebie i twojego syna.

- Generał jest lojalny, pani. Toranaga nie, niestety.

- Możesz zaufać panu Toranadze, jemu nie. Ochiba potrząsnęła głową.

- Przepraszam, jestem przekonana, że Toranaga chce za wszelką cenę zostać shōgunem i zniszczy mojego syna.

- Mylisz się. Zaprzeczał temu setki razy. Inni daimyō próbują go wykorzystać, każdy dla swoich ambicji. Zawsze tak było. Toranaga był ulubieńcem taikō i zawsze darzył następcę szacunkiem. Toranaga to Minowara. Nie uginaj się pod naciskiem Ishido ani regentów. Każdy z nich ma swoją karmę, swoje sekrety, O-chan. Czemu jej nie puścić? To takie proste. Zabronić jej wyprawić się statkiem, a na naszych ziemiach uda się gdzieś ją opóźnić. Generał ma ją w rękę, tak samo Kiri i inne, ne? Będzie otoczona przez Szarych. Myśl tak, jak myślałby taikō albo Toranaga.

Wciągają ciebie i twojego syna. . - Słowa zamarły jej na ustach, zadrżały jej powieki. Zebrała resztki sił i mówiła dalej: - Mariko-san nie mogłaby się sprzeciwić obecności straży. Wiem, że dotrzyma słowa. Puście ją. -:

- Rozważaliśmy to, pani - cierpliwie tłumaczyła Ochiba. - Ale Toranaga ma tajne oddziały samurajów w samej Osace i w okolicy, nie wiemy ile. Ma też sprzymierzeńców, nie wiemy jakich.

Mogłaby uciec. A kiedy ona wyjedzie, inne podążą jej śladem i przepadnie nasze zabezpieczenie.

Sama to przyznałaś, Yodoko-chan, pamiętasz? Daruj, ale pytałam cię wczoraj, pamiętasz?

- Pamiętam, dziecko - odparła Yodoko, popadając w zamyślenie. - Ach, żeby tu był pan taikō, żeby mógł ci służyć radą. - Oddychała z coraz większym trudem.

- Podać ci cha albo sake?

- Tak, poproszę trochę cha.

Ochiba napiła ją.

- Dziękuję ci, moje dziecko. - Głos staruszki słabł, rozmowa wycieńczała ją. - Posłuchaj, dziecko, musisz zaufać Toranadze. Wyjdź za niego, a w zamian niech zapewni ci sukcesję.

- Nie, nie - odparła Ochiba zaskoczona.

- Yaemon mógłby objąć po nim władzę, a następcą twojego syna byłby owoc nowego małżeństwa. Synowie naszego syna przysięgną wierność po wasze czasy nowemu rodowi Toranagi.

- Toranaga nienawidził taikō. Wiesz o tym, pani. Toranaga jest źródłem wszystkich kłopotów.

Od lat, ne? Właśnie on!

- A ty? A twoja duma, dziecko?

- On jest naszym wrogiem. - Masz dwóch wrogów, moje dziecko. Jeden to twoja duma, a drugi jest taki, że potrzebujesz mężczyzny, który dorównywałby naszemu mężowi. Wysłuchaj mnie cierpliwie, jesteś młoda, piękna, płodna i należy ci się mąż. Toranaga jest ciebie wart, a ty jego. On jeden może zapewnić przyszłość Yaemonowi.

- Nie, on jest wrogiem.

- Był największym przyjacielem naszego męża i najwierniejszym wasalem. Bez. . bez Toranagi. . zrozum. . dzięki jego pomocy. . zrozum. Dałabyś sobie z nim radę. . dałabyś.

- Wybacz, Yodoko-chan, nienawidzę go, budzi we mnie obrzydzenie.

- Wiele kobiet. . O czym to ja? Ach tak, wiele kobiet czuje obrzydzenie do swojego przyszłego męża. Chwała Buddzie, że nie musiałam przez to przejść. . - Staruszka uśmiechnęła się.

Westchnęła dziwnie przeciągle. Ochiba pomyślała, że nadszedł koniec. Ale powieki znów się rozwarły, nikły uśmiech zagościł na wargach.

- Ne?

- Tak.

- Zrób to, proszę, dobrze?

- Zastanowię się. .

Kościste palce uściśniły ją z trudem.

- Błagam cię, obiecaj, że poślubisz Toranagę, wtedy odejdę do Buddy wiedząc, że ród taikō przetrwa

wieki, jak jego imię. . jego imię przetrwa. .

Ochiba tuliła bezwładną dłoń, łzy spływały jej po policzkach. Staruszka zamrugła i szepnęła:

- Musicie puścić Akechi Mariko. Nie. . nie pozwólcie jej zemścić się na nas za to, co zrobił taikō.. co zrobił jej. . i jej ojcu. .

- Co? - wyrwało się zaskoczonej Ochibie.

Yodoko nie odpowiedziała. Po dłuższej chwili zaczęła majaczyć:

- Drogi Yaemonie, witaj, kochany synu, jak. . wspaniały z ciebie chłopak, ale masz tylu wrogów, tylu głupców. . Czy ty też jesteś złudzeniem, czy. .

Zadrzała. Ochiba wciąż pieściła jej rękę.

- Namu Amida Butsu - szepnęła pobożnie. Staruszka wstrząsnęła się i powiedziała wyraźnie:

- Przebacz mi, O-chan.

- Nie mam ci nic do przebaczenia.

- Tyle trzeba przebaczyć. . - Głos umierającej słabł, spojrzenie przygasało. - Słuchaj. . obie. .

obiecuj, że. . ty i Toranaga, Ochiba-san. . to ważne. . proszę. . możesz mu zaufać. . - Stare oczy nakłaniały ją, błagały.

Ochiba nie chciała się podporządkować, choć wiedziała, że powinna. Poruszyło ją to, co usłyszała o Akechi Mariko, a w uszach dźwięczały wielokrotnie powtarzane słowa taikō: „Możesz zaufać Yodoko-samie, O-chan. Ona jest mądra, pamiętaj. Rzadko się myli, możesz jej zawierzyć swoje życie, życie mojego syna i moje. .”

- Obiecu. . - zaczęła Ochiba i nie dokończyła. Pełgający płomień życia zgasł.

- Namu Amida Butsu.

Ochiba uniosła dłoń Yodoko-samy do ust, ukloniła się, położyła jej rękę na kołdrze, zamknęła oczy zmarłej. Tylko dwa razy była z bliska świadkiem śmierci, teraz i wtedy, kiedy umierał taikō.

Wówczas Yodoko zamknęła oczy zmarłemu, za drzwiami tego samego pokoju czekał Toranaga, tak jak teraz Ishido i Kiyama, czuwając nieprzerwanie od poprzedniego dnia.

- Dlaczego posyłasz po Toranagę, panie? - spytała tamtego dnia. - Powinieneś odpocząć.

- Odpocznę, kiedy umrę, O-chan - odparł taikō. - Muszę wyznaczyć następcę. Nieodwołalnie.

Dopóki mam siły.

Wszedł Toranaga, energiczny, silny, władczy. Było ich czworo: Ochiba, Yodoko, Toranaga i Nakamura, pan Japoni na łożu śmierci. Czekali karnie na rozkazy taikō.

- No tak, Tora-san - rzekł taikō zwracając się do Toranagi tak samo poufale jak niegdyś Goroda. Zajadłe oczy wyzierały z pomarszczonej małpiej twarzy, drobne ciało straciło dawną krzepkość po kilku miesiącach choroby. - Umieram. Z nicości w nicość, ale ty będziesz żył, a mój syn jest zdany na łaskę losu.

- Nie jest zdany na łaskę losu, wielmożny panie. Wszyscy daimyō będą szanować twego syna tak, jak szanują ciebie.

- Owszem - odparł taikō ze śmiechem. - Dzisiaj. Dopóki żyję, o tak! Ale co mam zrobić, żeby Yaemon objął po mnie władzę?

- Powołaj Radę Regentów, panie.

- Regenci! - prychnął z pogardą taikō. - Może powinienem ciebie wyznaczyć moim następcą i ty powinieneś orzec, czy Yaemon będzie godny tego zaszczytu.

- Nie jestem godzien podjąć się tego. Twój syn, panie, powinien być twoim następcą.

- Tak, a po nim powinni objąć władzę synowie Gorody.

- Nie. Bo zerwali pokój.

- A ty wytraciłeś ich na mój rozkaz.

- Cesarz tobie, panie, powierzył władzę nad krajem. Zbuntowali się przeciw prawowitej władzy. Wydaj rozkazy, panie.

- Po to właśnie wezwałem ciebie - rzekł taikō i po chwili dodał: - To rzadkość mając pięćdziesiąt siedem lat doczekać się syna. Przykro umierać, kiedy mam sześćdziesiąt trzy lata, jedyne go syna, nie mam bliskich krewnych i jestem panem Japonii. Ne?

- Tak.

- Może lepiej byłoby, gdybym nie doczekał się syna, wówczas przekazałbym władzę tobie, jak to uzgodniliśmy. Masz więcej synów niż Portugalczyk wszy.

- Karma.

Taikō roześmiał się, z ust pociekła mu strużka zabarwionej krwią śliny, którą starannie wytarła Yodoko. Uśmiechnął się i podziękował. Potem spojrział na Ochibę, uśmiechnęła się do niego, ale on zgasił Uśmiech i przyglądał jej się badawczo, z powątpiewaniem, ważąc w myślach pytanie, które, wiedziała o tym, nigdy go nie opuszczało, i którego nie ośmielił się nigdy zadać: „Czy Yaemon naprawdę jest moim synem?”

- Karma, O-chan. Ne? - powiedział łagodnie.

Ze strachu, że spyta ją wprost, Ochibie łzy napłynęły do oczu.

- Nie trzeba płakać, O-chan. Życie to tylko sen we śnie - powiedział. Zamyślił się, potem znów spojrzał na Toranagę i w przypływie serdeczności, z czego słynał, rzekł: - Li ii , przyjacielu, tośmy się nażyli, ne? Tyle bitew. Walczyliśmy ramię w ramię, razem byliśmy niepokonani. Dokonaliśmy rzeczy niemożliwych, ne? Upokorzyliśmy wielkich, pluliśmy im na tyłki, a oni czołgali się i prosili o jeszcze. To my tego dokonaliśmy, chłop i Minowara! - Parsknął śmiechem. - Jeszcze kilka lat i rozbiłbym w puch Czosnojadów. Połączone oddziały koreańskie i nasze, japońskie, szybki wypad na Pekin i już siedzę na chińskim tronie smoka. Wtedy oddałbym tobie Japonię, bo tego pragniesz; a ja miałbym to, czego ja pragnę; - Mocny głos przeczył słabości ciała. - Chłop może zasiąść na smoczym tronie z twarzą i honorem, nie to co tutaj. Ne?

- Tak, panie, Chiny i Japonia różnią się między sobą.

- Tak. Chińczycy są mądrzy. Założyciel dynastii to zawsze chłop albo syn chłopca, a tron zdobywa się siłą, rękoma zboczonymi krwią. Nie mają dziedzicznego zamku, czyż nie w tym leży siła Chin? - Zaśmiał się. - Chłop z zakrwawionymi rękoma, nieugięty i silny to ja. Ne?

- Tak. Ale jesteś też samurajem, panie. Zmieniłeś nasze zasady. Jesteś założycielem dynastii.

- Zawsze cię lubiłem, Tora-san. - Taikō z przyjemnością popijał cha. - Tak, pomyśl tylko, ja na tronie smoka! Cesarz Chin, Yodoko cesarzową, po niej piękna Ochiba, po mnie Yaemon, Chiny i Japonia połączone na zawsze, jak być powinno. Ach, jakie to byłoby łatwe! Potem pchnąłbym nasze oddziały i hordy Chińczyków na północny zachód i południe i wszystkie cesarstwa świata ległyby u naszych stóp jak dziwki dziesiątej kategorii, które, czekają zdyszane, aż weźmiemy to, na co mamy chęć. Jesteśmy niezwyciężeni, ty i ja byliśmy niezwyciężeni, Japończycy są niezwyciężeni, to pewne, bo znamy sens i cel życia. Ne?

- Tak.

- Na czym on polega? - spytał taikō z dziwnym błyskiem w oku.

- Obowiązek, dyscyplina, śmierć - odpowiedział Toranaga. Zasuszony staruszek, który nigdy przedtem nie wydawał się taki maleńki, znów parsknął śmiechem, po czym w charakterystyczny sposób cała serdeczność pierzchła.

- Regenci? - spytał twardo, ze złością. - Kogo byś wybrał?

- Panów Kiyamę, Ischido, Onoshiego, Todę Hiro-matsu i Sugiyamę.

Złośliwy uśmiech wykrzywił twarz taikō.

- Jesteś najsprytniejszym człowiekiem w Cesarstwie, nie licząc mnie! Wyjaśnij moim paniom, dlaczego wybrałeś tych pięciu.

- Bo się nienawidzą, ale razem wzięci mogą rządzić skutecznie i zdusić każdego przeciwnika.

- Nawet ciebie?

- Mnie nie, wielmożny panie. - Toranaga spojrział na Ochibę i zwrócił się wprost do niej. -

Żeby Yaemon przejął władzę, pani, musisz przeczekać jeszcze dziewięć lat. A przez ten czas trzeba bezwzględnie utrzymać pokój. Wybrałem Kiyamę, ponieważ jest największym chrześcijańskim daimyō, świetnym generałem i wiernym wasalem. Następnie Sugiyamę, ponieważ jest najbogatszym daimyō, pochodzi ze starego rodu, nie znosi chrześcijan i ma najwięcej do zyskania, kiedy Yaemon przejmie władzę. Onoshiego, bo jest chrześcijaninem jak Kiyama, ale go nie znosi, więc równoważy jego potęgę. Jest trędowaty, ale trzyma się życia i przeżyje dwadzieścia lat, a szczerze wszystkich nienawidzi, zwłaszcza Ishido. Wybrałem Ishido, ponieważ będzie tropił i wykrywał spiski, bo jest chłopem, nie cierpi samurajów z tradycjami i występuje ostro przeciw chrześcijanom. Todę Hiro-matsu, ponieważ jest uczciwy, posłuszny i wierny, można na nim polegać jak na słońcu, jak na najlepszym mieczu, który jest dziełem rzemieślnika mistrza. On powinien zostać przewodniczącym rady.

- A ty?

- Popelnię seppuku razem z moim najstarszym synem, Noboru. Mój syn Sudara ożenił się z siostrą pani Ochiby, więc nigdy nie będzie stanowił zagrożenia. Mógłby odziedziczyć Kantō, jeśli taka będzie twoja wola, pod warunkiem, że przysięgnie wierność i posłuszeństwo twojemu rodowi.

Nikogo nie zaskoczyło, że Toranaga chce zrobić to, o czym zapewne myślał taikō, gdyż Toranaga był jedynym daimyō stanowiącym prawdziwe zagrożenie. Usłyszała wtedy, jak mąż zwraca się do niej:

- O-chan, co ty byś poradziła?

- To samo, co pan Toranaga, panie - odpowiedziała bez namysłu. - Z tą różnicą, że powinieneś kazać mojej siostrze rozwieść się z Sudarą, który powinien popelnąć seppuku. Pan Noboru powinien zostać następcą pana Toranagi i odziedziczyć prowincje Musashi i Shimoosa, a resztę Kantō powinien dostać twój następca, Yaemon. Radziłabym już dziś wydać te rozkazy.

- Yodoko-sama?

Ku jej zdumieniu Yodoko odpowiedziała:

- Ach, Tokichi, wiesz, że kocham ciebie, O-chan i Yaemona jak własnego syna. Uczyn Toranagę jedynym regentem.

- Co?

- Rozkazując mu umrzeć, wydasz wyrok na swojego syna. Tylko pan Toranaga może teraz dziedziczyć, bo cieszy się poważaniem, jest mądry i przebiegły jak nikt inny. Oddaj mu Yaemona pod opiekę do czasu, aż osiągnie pełnoletniość. Każ panu Toranadze adoptować naszego syna. Niech Yaemon ma w panu Toranadze nauczyciela i niech po nim dziedziczy.

- Nie, tak nie można zrobić - zaprotestowała Ochiba.

- A co ty na to, Tora-san? - spytał taikō.

- Z całą pokorą muszę odmówić, wielmożny panie. Nie mogę przyjąć tej propozycji. Pozwól mi, proszę, popełnić seppuku i odejść przed tobą.

- Będziesz jedynym regentem.

- Nie odmówiłem nigdy posłuszeństwa, panie, odkąd zawarliśmy układ. Ale tego rozkazu nie wykonam.

Ochiba pamiętała, jak starała się nakłonić taikō, żeby zgodnie ze swoją wcześniejszą decyzją pozwolił Toranadze odejść na zawsze. Ale taikō zmienił zdanie i w końcu przyjął częściowo radę Yodoko ustalając, że Toranaga zostanie przewodniczącym Rady Regentów. Toranaga przysięgł

wierność Yaemonowi, ale teraz wszyscy byli oplatani siecią jego intryg, wszystkich dotknął kryzys wywołany przez Mariko.

- Wiem, że to na jego rozkaz - szepnęła Ochiba, nie mogąc pogodzić się z prośbą pani Yodoko, żeby poddać się całkowicie jego woli.

Wyjść za mąż za Toranagę? - myślała. Uchronić mnie, Buddo, przed tym wstydem, spraw, żebym nie musiała go witać, czuć ciężaru jego ciała i jurności.

Przed wstydem?.

Jak jest naprawdę? - zadała sobie pytanie. Prawda jest taka, że kiedyś go pragnęłaś, jeszcze przed taikō, ne? A nawet wtedy, kiedy byłaś z taikō, ne? Nieraz, w głębi duszy. Ne? Mądra Yodoko słusznie powiedziała, że twoim wrogiem jest duma i że potrzebujesz męża. A może - przyjąć Ishido? Szanuje cię, pragnie i to on wygra. Łatwo będzie nim pokierować. Ne? Nie, tylko nie ten nieokrzesaniec! Wiem, jakie złośliwe plotki szerzą moi wrogowie. Bezczelne złe języki! Przysięgam, że wolałabym sypiać z pokojówkami i wygodnie sobie harigatą przez tysiąc żywotów niż zbecześcić pamięć mojego pana wiążąc się z Ishido. Muszę być ze sobą szczerą. Zastanowić się nad Toranagą.

Czy naprawdę nienawidzę go dlatego, że mógł mnie widzieć tamtego dnia?

Zdarzyło się to ponad sześć lat temu na Kiusiu. W towarzystwie dam wybrała się na polowanie z taikō i Toranagą. Polowali osobno, na dużym terenie, a ona oddaliła się od pozostałych, galopując za jastrzębiem. Wjechała między zalesione wzgórza i natknęła się tam na wieśniaka, który zbierał

jagody koło ścieżki. Odkąd przed dwoma laty umarł jej pierwszy, słabowity synek, nic nie poruszyło się w jej łonie, chociaż wypróbowała różne pozycje i sposoby, wszystkie modlitwy, zaklęcia i mikstury, byle zadowolić swojego pana, który pragnął za wszelką cenę mieć następcę.

Spotkanie było nagłe i zaskakujące dla obojga. Wieśniak wybałuszył oczy, jakby zobaczył

kami, ona zaś ujrzała w nim drugiego taikō, tyle że młodszego.

Miała przed sobą dar niebios, o który tak się modliła. Zsiadła z konia, wzięła wieśniaka za rękę i weszli między drzewa.

To było jak we śnie - rozgorączkowanie, prymitywna, zwierzęca żądza, ziemia pod plecami -

do dziś czuła tamten przyjemny oddech, cudownie mocne ręce, tryskające płynne ciepło. Ale potem przycisnął ją całym swoim ciężarem, owionął zepsutym oddechem i wydał jej się wstrętny, choć nie było wstrętne to, co jej dał, i wtedy zepchnęła go z siebie. Chciał jeszcze, ale go uderzyła, przeklęła i kazała dziękować bogom, że nie zamieniła go w drzewo za zuchwalstwo. Zabobonny głupiec błagał ją na klęczkach o przebaczenie - wierzył, że była duchem, bo jakże inaczej taka piękność tarzałaby się z nim po ziemi?

Na drżących nogach dosiadła konia, poprowadziła go, zostawiając za sobą tamtego człowieka i polanę. Oszołomiona myślała, czy aby to jej się nie śniło, czy aby wieśniak nie był prawdziwym kami.

Modliła się, żeby to był kami, a jego nasienie zesłane przez bogów, żeby urodził się z niego syn na chwałę jej pana i przyniósł mu zasłużony spokój. Na skraju lasu czekał Toranaga. Przelękała się, że ją widział.

- Niepokoiłem się o ciebie, pani - rzekł.

- Dziękuję za troskę, ale nic. . nic mi nie jest.

- Masz podarte kimono, liście paproci we włosach i na plecach. .

- Koń mnie zrzucił. . nic się nie stało.

Zaproponowała mu wyścig, żeby dowieść, że jest cała i zdrowa, i popędziła co koń wyskoczy.

Bolały ją pokłute plecy, ale wkrótce zaradziły temu wonne olejki, i jeszcze tej nocy poduszkowała ze swoim panem i władcą, a po dziewięciu miesiącach, ku jego i swojej niezmierzonej radości, urodziła syna.

- Nasz mąż jest ojcem Yaemona - zapewniła z przekonaniem cielesną powłokę Yodoko. -

Spłodził obu moich synów, a tamto było snem.

Po cóż się oszukiwać? To nie był sen, pomyślała. To wydarzyło się naprawdę. Tamten człowiek nie był kami. Jak grzejąca się suka nadstawiłaś się wieśniakowi, żeby spłodził syna, którego ty sama potrzebowałaś nie mniej niż taikō, bo chciałaś go ze sobą związać. Wziąłby sobie jeszcze jedną konkubinę, ne?

A pierworodny?

- Karma - rzekła Ochiba odsuwając od siebie uśpiony ból.

Kiedy miała szesnaście lat, w rok po tym, jak została oficjalnie konkubina taikō, Yodoko dała jej ziołową cha. Wypiła dziwnie rozgrzewający napar, usnęła, a po przebudzeniu pamiętała tylko erotyczne sny i kolorowe wizje rozplywające się w nieskończoności. Yodoko, dzieląca z nią troskę o harmonię ich pana, czuwała przy niej, kiedy się obudziła. Po dziewięciu miesiącach powiła dziecko - pierwsza ze wszystkich kobiet, które miał taikō. Ale chorowite niemowlę zmarło.

Karma, pomyślała.

Ani ona, ani Yodoko nie wspomniały o tym, co się zdarzyło, co mogło się zdarzyć w czasie tego długiego, głębokiego snu. Dopiero przed śmiercią Yodoko napomknęła o tym jednym słowem, „przebacz”.

Jesteś bez winy, Yodoko-sama, do niczego nie doszło, nie miał miejsca żaden potajemny akt.

A jeżeli nawet tak, to odpoczywaj w pokoju, skoro zabrałaś tajemnicę ze sobą. Patrzyła na martwą, żałośnie zwiędłą twarz. Tak samo żałośnie zwiędły był w ostatnich chwilach życia taikō, który też nie zadał nurtującego pytania. Umarł i to jest karma, pomyślała obojętnie. Gdyby żył jeszcze dziesięć lat, zostałabym cesarzową Chin, a tak. . jestem sama.

- Dziwne, że umarłaś, pani, zanim złożyłam obietnicę - powiedziała wdychając kadzidlany zapach i odór śmierci. - Złożyłabym tę obietnicę, ale nie zdążyłam. Czy to jest moja karma? Czy mam spełnić prośbę i dotrzymać, nie wypowiedzianej obietnicy? Co robić?

Synu, synu, nie wiem, co robić.

Przypomniała sobie radę mądrej Yodoko. Myśl tak, jak myślałby taikō.. albo Toranaga.

To ją natchnęło otuchą i dodało sił. Wyprostowała się i zaczęła kalkulować.

Na dziedzińcu zapadła cisza. Przez ogrodową furtkę wyszła Chimmoko i złożyła ukłon przed Blackthorne'em.

- Przepraszam, Anjin-san, moja pani pragnie się z tobą widzieć. Bądź łaskaw chwilę zaczekać, poprowadzę cię.

- Dobrze. Dziękuję.

Blackthorne wstał zamyślony, przytłoczony poczuciem klęski. Część dziedzińca już pokryła się cieniem. Eskorta Szarych stanęła w pogotowiu. Chimmoko podeszła do Sumiyoriego.

- Przepraszam, kapitanie, moja pani uprzejmie prosi, żebyś poczynił przygotowania.

- Gdzie sobie zażyczyła?

- Tam, wielmożny panie. - Chimmoko wskazała wolną przestrzeń przed bramą.

- Publicznie? - zdumiał się Sumiyori. - Nie na osobności, przy kilku wybranych świadkach?

Chce, żeby wszyscy widzieli?

- Tak.

- Jeżeli to ma być tutaj. . to.. kto będzie sekundantem?

- Ufa, że pan Kiyama uczyni jej ten zaszczyt.

- A jeżeli nie?

- Nie wiem, kapitanie. Nie powiedziała. - Chimmoko ukloniła się, podeszła do werandy, znów złożyła ukłon. - Kiritsubo-san, moja pani przeprasza, niedługo przyjdzie.

- Dobrze się czuje?

- O tak - odparła z dumą Chimmoko.

Kiri opanowała niepokój, który ogarnął ją, podobnie jak kapitana, na wieść o wyborze miejsca.

- Czy wie, że inne panie czekają, by ją powitać?

- O tak, Kiritsubo-san. Patrzyłam, jak się schodzą, i powiedziałam jej o tym. Jest zaszczycona ich obecnością i niebawem podziękuję im osobiście. Przepraszam.

Wszyscy patrzyli, jak Chimmoko podchodzi do furki i daje znak Blackthorne'owi. Szarzy chcieli iść za nim, ale potrząsnęła głową i oznajmiła, że jej pani ich nie wzywała. Dowódca Szarych pozwolił Blackthorne'owi odejść.

Za furką rozpościerał się inny świat, świat zieleni i spokoju. Świergotały ptaki, żerowały owady, uroczy strumyk wpadał do sadzawki z liliami, drzewa dosięgały jeszcze słońca. Mimo to Blackthorne nie mógł pozbyć się przygnębienia.

Chimmoko stanęła i wskazała altanę cha-no-yu. Dalej poszedł sam. Zzuł chodaki i wszedł po trzech stopniach. Musiał niemal zgiąć się wpół, żeby wejść do środka.

- Mój ty - powiedziała Mariko.

- Moja ty.

Kłęcząca na wprost drzwi w ciemnoniebieskim kimonie z zielonym obrzeżeniem, zielonym obi i z cienką, zieloną wstążką w starannie upiętych włosach. Nienaganny makijaż podkreślały szkarłatne usta.

- Jesteś piękna.
- Ty też. - Uśmiechnęła się niepewnie; - Przykro mi, że musiałeś na tamto patrzeć.
- To był mój obowiązek.
- Obowiązek? Nie. Nie spodziewałam się. . nie planowałam, że tylu zginie.
- Karma. - Blackthorne otrząsnął się z odrętwienia i przestał mówić po łacinie. - Od dawna planowałaś samobójstwo? Ne?
- Nigdy nie byłam panią swojego życia, Anjin-san. Należało ono zawsze do mojego pana lennego i do mojego męża. Takie jest nasze prawo.
- To złe prawo.
- Tak. I nie. - Oderwała spojrzenie od mat i popatrzyła na niego. - Czy będziemy spierać się o rzeczy, których nie można zmienić?
- Nie. Wybacz.
- Kocham cię - powiedziała po łacinie.
- Tak. Teraz o tym wiem. I ja ciebie kocham. Ale dla ciebie najważniejsza jest śmierć, Mariko-san.
- Mylisz się, kochanie. Najważniejsze dla mnie jest życie mojego pana. I twoje życie. A zdarzają się takie chwile, przebac mi, Madonno, albo pobłogosław za to, kiedy twoje życie jest na pierwszym miejscu.
- Nie ma ratunku. Dla nikogo.
- Cierpliwości. Słońce jeszcze nie zaszło.
- Nie ufam temu słońcu, Mariko-san. - Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. - Gomen nasai.
- Obiecałam ci, że dzisiejszej nocy będzie tak jak w naszym zajeździe. Bądź cierpliwy. Znam Ochibę, Ishido i pozostałych.
- Que va na innych - rzekł po portugalsku w przypiływie złości. - Po prostu liczysz na to, że Toranaga wie, co robi. Ne?
- Que va na twój zły humor - powiedziała łagodnie. - Ten dzień jest zbyt krótki.
- Przepraszam, masz rację. Dzisiaj nie ma czasu na humory. - Przyglądał się jej. Przez bambusowe pręty padał na jej twarz pasiasty cień, który przesuwiał się ku górze i zniknął, kiedy słońce schowało się za mury.

- Co robić? Jak ci pomóc? - spytał.

- Masz wierzyć, że po dzisiejszym dniu nadejdzie nowy dzień.

Przez twarz Mariko przemknęło przerażenie. Spozrzegł to, objął ją i czekanie przestało być straszne. Ktoś nadchodził.

- Tak, Chimmoko?

- Już pora, pani.

- Czy wszystko gotowe?

- Tak, pani.

- Zaczekaj na mnie przy sadzawce.

Kroki oddaliły się. Mariko pocałowała lekko Blackthorne'a.

- Kocham cię - powiedziała.

- I ja ciebie kocham.

Ukloniła się i wyszła, a on za nią.

Zatrzymała się przy sadzawce, odwinęła obi i upuściła je na ziemię. Chimmoko pomogła jej zdjąć niebieskie kimono. Pod spodem Mariko miała na sobie najbielsze kimono i obi, jakie Blackthorne kiedykolwiek widział. Był to strój do rytualnej śmierci. Mariko ściągnęła z włosów zieloną wstążkę, odrzuciła ją i nie oglądając się na Blackthorne'a wyszła z ogrodu.

Pod bramą ułożono osiem tatami, przy których z trzech stron ustawili się w szyku wszyscy Brązowi. Yabu i Kiri z paniami siedzieli w honorowym rzędzie, zwrócenie na południe. Na ulicy Szarzy uformowali uroczyste szeregi, dołączyli do nich inni samuraje i samurajki. Na znak Sumiyoriego wszyscy uklonili się. Mariko też złożyła ukłon. Czterech samurajów wystąpiło z szeregu i przykryło tatami czerwonym materiałem.

Mariko podeszła i przywitała się z Kiritsubo, Sazuko i damami. Odkłoniły jej się i wygłosiły uroczyste powitalne formułki. Blackthorne przyglądał się z boku. Mariko podeszła do czerwonego prostokąta i uklękła pośrodku przed małą białą poduszką. Wyciągnęła sztylet zza białego obi i położyła na poduszce. Podeszła Chimmoko, uklękła, podała śnieżnobiały kocyk i sznur. Przy pomocy służącej Mariko pieczołowicie poprawiła fałdy kimona, owinęła się kocykiem i przewiązała sznurem.

Miało to ochronić kimono przed zakrwawieniem i zachować jego kształt.

Tak przygotowana spokojnie spojrzała na szczyt wieży. Złocenia błyszcząły w słońcu. Ogniste światło pięło się po iglicy. I zniknęło.

Znieruchomiała Mariko wyglądała jak biały posążek na szkarłatnym tle.

Na Ulicy zrobiło się ciemno, służący zapalili pochodnie. Kiedy skończyli, zniknęli równie szybko i cicho, jak się pojawili.

Mariko wyciągnęła rękę i poprawiła sztylet na poduszce. Po raz ostatni przebiegła wzrokiem ulicę do samego końca, ale nikogo tam nie zobaczyła. Znow spojrzała na sztylet.

- Kasigi Yabu-sama!

- Tak, Toda-sama?

- Wygląda na to, że pan Kiyama nie przyjdzie mi z pomocą. Byłabym zaszczycona, gdybyś zechciał być moim sekundantem.

- To dla mnie zaszczyt - odparł Yabu. Ukłonił się, wstał i stanął za nią, po lewej stronie.

Zadzwęczał miecz. Yabu zaparł się stopami w ziemię i uniósł miecz trzymając go oburącz, - Jestem gotów, pani - rzekł.

- Zaczekaj, proszę, aż zrobię drugie cięcie.

Nie odrywając spojrzenia od sztyletu przeżegnała się, pewną ręką sięgnęła po niego i przytknęła do ust, jakby chciała posmakować gładką stal. Poprawiła chwyt, zacisnęła palce i przyłożyła ostrze do szyi z lewej strony. W tym momencie na końcu ulicy zajaśniały pochodnie. Zza rogu wyłonił się orszak, na czele którego szedł Ishido.

Ręka Mariko nie drgnęła.

Yabu stał naprężony, szykując się do ciosu.

- Czekasz, pani, czy nie? - spytał. - Chciałbym spełnić swoje zadanie bez zarzutu.

Mariko z trudem cofnęła się znad przepaści.

- Cze. . czekamy.

Opuściła powoli sztylet drżącą ręką. Równie powolnym ruchem Yabu opuścił miecz, schował i otarł ręce o poły.

- Słońce jeszcze nie zaszło, pani - rzekł Ishido stając w bramie. - Widać je na horyzoncie.

Tak ci spieszno umrzeć?

- Nie, panie generale. Chcę być posłuszna memu panu. . - Złożyła ręce, żeby powstrzymać ich drżenie.

Obrażliwa uwaga Ishido wywołała szmer gniewu w szeregach Brązowych. Yabu sprężył się do skoku, ale powstrzymało go głośne oświadczenie Ishido.

- W imieniu następcy pani Ochiba zwróciła się do regentów z prośbą o zrobienie wyjątku w twojej sprawie, pani. Przychylił się do jej prośby. Oto zezwolenie na wyjazd jutro o świcie. -

Wetknął papiery do rąk Sumiyoriemu, który był najbliżej.

- Wielmożny panie? - odezwała się cienkim głosem Mariko, nie rozumiejąc.

- Możecie wyjechać. O świcie.

- A. . a Kiritsubo-san i pani Sazuko?

- Ach, to także twój „obowiązek”, pani, prawda? Dostały pozwolenie.

Mariko usiłowała zebrać myśli.

- A. . a syn?

- On też. - Pogardliwy śmiech Ishido zagrzmiął w podcieniach bramy. - I wszyscy wasi ludzie.

- Wszyscy mają otwartą drogę? - wyjąkał Yabu.

- Tak, Kasigi Yabu-san - rzekł Ishido. - Jesteś dowódcą, ne? Zgłoś się, proszę, do mojego sekretarza. Wypisuje wasze przepustki, chociaż nie rozumiem, dlaczego mile widziani goście mieliby chęć wyjeżdżać. Szkoda zachodu na siedemnaście dni. Ne?

- A ja, panie generale? - spytała trwożnie staruszka Etsu badając, do jakich granic sięga zwycięstwo Mariko. - Czy. . czy ja też mogę wyjechać?

- Oczywiście, pani Maeda. Dlaczego mielibyśmy kogokolwiek trzymać wbrew woli? Czy to więzienie? Nie! Jeżeli gościnność następcy jest tak przykra, że chce pani wyjeżdżać, proszę bardzo, chociaż nie wiem, jak można przejechać czterysta ri w tę i z powrotem w ciągu siedemnastu dni.

- Prze. . przepraszam, gościnność następcy nie jest. .

- Jeżeli życzy sobie pani wyjechać - przerwał jej surowo Ishido - proszę zwrócić się o zezwolenie zwykłym trybem. Na drugi dzień ruszy pani bez przeszkód w drogę. - Zwrócił się do pozostałych. - Każda z pań może wystąpić o pozwolenie, każdy samuraj. Ale to głupota wyjeżdżać na siedemnaście dni, to zniewaga lekceważyć gościnność następcy, pani Ochiby, regentów. . - groźne spojrzenie spoczęło znów na Mariko - . albo grozić popełnieniem seppuku, z którego nie przystoi damie urządzać widowiska. Ne? Niech giną wrogowie następcy, a nie kobiety, jeżeli jednak kobiety nie kryją się z tym, że są jego wrogami, to niedługo splunę na ich trupy.

Ishido odwrócił się, głośno wydał rozkaz i odszedł. Dowódcy oddziałów powtórzyli rozkaz, Szarzy ustawili się i zaczęli odchodzić, pozostawiając zaledwie garstkę samurajów dla uhonorowania

Brązowych.

- Już po wszystkim, pani - rzekł ochryple Yabu, znów ocierając spocone dłonie. Uczucie niespełnienia wywołało przykry smak w ustach. - Wygrałaś. . wygrałaś.

- Tak. . tak - powiedziała.

Mdlejącymi dłońmi wymacała węzły na białym sznurze. Podeszła Chimmoko, rozwiązała sznur, zabrała kocyk i usunęła się na bok. Wszyscy patrzyli na Mariko czekając, czy wstanie i pójdzie o własnych siłach.

Mariko, podpierając się rękami, usiłowała wstać. Na próżno. Spróbowała jeszcze raz.

Daremnie. Kiri poderwała się, żeby jej pomóc, ale Yabu powstrzymał ją, więc usiadła z zapartym oddechem.

Blackthorne, przepelniony radością, że Mariko wyrwała się śmierci, przypomniał sobie, jak jego wola została wystawiona na próbę, kiedy omal nie popełnił seppuku, a potem musiał wstać jak mężczyzna i pójść bez niczyjej pomocy, jak został samurajem. Trudno mu było pogodzić się z-tym, że Mariko musi wykazać się taką odwagą, a zarazem rozumiał, że tak trzeba, nawet szanował tę konieczność.

Zobaczył, że znów podpira się i odpycha coraz mocniej od czerwonego materiału, aż wreszcie udało jej się wstać. Zachwiała się, z trudem utrzymała równowagę, niepewnie stąpając zesła z mat i zatoczyła się bezradnie. Uznał, że udowodniła swoją siłę i dość się namęczyła, więc podszedł, chwycił ją w ramiona i wziął na ręce w momencie, kiedy straciła przytomność.

Przez chwilę stał na środku areny dumny, że sam zdecydował, co robić. Mariko wisiała mu na rękach bez czucia. Nikt nie ruszył się z miejsca i nie zagroził drogi, kiedy wnosił ją do środka.

Atak na twierdzę Brązowych rozpoczął się ciemną nocą, kilka godzin przed świtem. Pierwsza fala dziesięciu ninja, osławionych skrytobójców, napłynęła przez najbliższe mury nie strzeżone już przez Szarych. Ninja zarzucili owinięte w materiał haki na dach po drugiej stronie wąskiej przepaści i przerzucili się nad nią na linach jak pająki. Ręce i twarze mieli poczernione, ubrani byli w obcisłe stroje, maski i tabi, wszystko czarne, i uzbrojeni w noże z łańcuchami i shuriken - broń do ciskania w kształcie gwiazdy, z ostrymi kolcami maczanymi w truciźnie, albo dysku wielkości dłoni.

Na plecach nosili worki i krótkie kije.

Ninja byli płatnymi wojownikami. Mistrzami podstępu i zasadzki z haniebną specjalnością - szpiegostwo i zabójstwo.

Dziesięciu intruzów wylądowało bezszelestnie na dachu. Pozwijali liny, a czterech zaczepiło haki o jakiś występ i natychmiast spuściło się niżej, na balkon. Kiedy znaleźli się tam, nie wydając żadnego dźwięku, ich towarzysze odczepili haki, spuścili je na dół, a sami ruszyli dalej.

Pękła dachówka i wszyscy zamarli. Na dziedzińcu, trzy piętra niżej, robił obchód Sumiyori.

Zatrzymał się i zadarł głowę, mrużąc oczy. Trwał w bezruchu z otwartymi ustami, żeby lepiej słyszeć, powoli przesuwając czujne spojrzenie. Dach, gdzie stali ninja, był w cieniu, księżyc ledwie świecił, gwiazdy traciły blask w parnym powietrzu. Wojownicy ani drgnęli, oddychając płytko, niedostrzegalnie, stapiając się w nieożywioną całość z dachówkami, na których stali.

Sumiyori ponowił oględziny, cały czas nasłuchując, potem jeszcze raz potoczył wzrokiem, wreszcie wyszedł bardziej na środek, skąd miał lepszy widok. Czterech ninja na balkonie znalazło się w polu jego widzenia, ale ponieważ znieruchomieli jak tamci, też ich nie zauważył.

- Hej! - zawołał do wartowników przy zabarykadowanej na noc bramie. - Widzieliście coś, słyszeliście?!

- Nie, kapitanie - odpowiedzieli czujni wartownicy. - Dachówki zawsze trzeszczą, same się przesuwają, od wilgoci albo może od ciepła.

- Idź na górę i rozejrzyj się - polecił jednemu z nich Sumiyori. - A jeszcze lepiej powiedz wartownikom na ostatnim piętrze, żeby przeszukali wszystkie izby.

Wartownik oddalił się pośpiesznie. Sumiyori jeszcze raz zadarł głowę, popatrzył, wzruszył ramionami i uspokojony podjął przerwany patrol. Pozostali samuraje wrócili na posterunki.

Ninja na dachu i balkonie trwali w takich pozach, w jakich zastygli. Nawet okiem nie mrugnęli.

Umieli pozostawać w bezruchu godzinami, gdyby zaszła taka potrzeba - opanowywali tę umiejętność

podczas ciągłego szkolenia. Na znak przywódcy ruszyli do ataku. Haki i liny umożliwiły im przedostanie się na drugi balkon, skąd mogli Wsłiznąć się do środka przez wąskie okna w granitowym murze. Było to możliwe na ostatnim piętrze, bo poniżej wszystkie okna - stanowiska obronne dla łuczników - przypominały szpary, przez które człowiek by się nie przecisnął. Na dany znak oba oddziały jednocześnie weszły do twierdzy.

W dwu ciemnych izbach spali w równych rzędach Brażowi. Podrzynano im gardła szybko i niemal bezgłośnie. Wyćwiczone zmysły naprowadziły napastników bezbłędnie na cel i po chwili ostatni z dziesięciu Brażowych dusił się z zamartym na ustach ostrzegawczym okrzykiem. Kiedy nikt już im nie zagrażał, przywódca wyjął krzesiwo, zapalił świecę, poniósł ją do okna, osłaniając ostrożnie, i trzy razy posłał w ciemność sygnał. Tymczasem jego ludzie upewnili się, czy w którymś z Brażowych nie tli się jeszcze życie. Przywódca powtórzył sygnał, odsunął się od okna i Wydał

polecenie umownymi gestami.

Napastnicy rozwiązali worki i naszykowali broń - krótkie obosieczne, zakrzywione noże z przymocowanym do trzonka łańcuchem z ciężarkiem, shuriken i noże do rzucania. Na kolejny rozkaz wskazani ninja wydobyli z pokrowców kije i błyskawicznie porozkładali je na całą długość. Były to włócznie i rurki do dmuchania strzał. Po skończonych przygotowaniach każdy klękał twarzą do drzwi i zastygał w bezruchu. Kiedy wszyscy byli gotowi, przywódca zgasił świecę.

Dzwony w mieście wybiły środek godziny Tygrysa, czwartą rano. Wtedy, godzinę przed świtem, wtargnęła do twierdzy druga fala ninja. Dwudziestu wojowników wysunęło się z nie używanego kanału, do którego spływały kiedyś strumyki z ogrodu. Ci byli uzbrojeni w miecze.

Rozbiegli się po zaroślach jak cienie, znieruchomieli i stali się prawie niewidoczni. W tym samym czasie drugich dwudziestu wspinało się po linach na mury, z których roztaczał się widok na dziedziniec i ogród.

Na blankach stało dwóch Brażowych, obserwując puste dachy po drugiej stronie ulicy. Jeden z nich rozejrzał się, spostrzegł haki i zaalarmował drugiego. Ledwie tamten otworzył usta do krzyku, w otworze strzelniczym pojawił się Nina, i strzepnął ręką posyłając kolczasty shuriken prosto w twarz samuraja, który okropnie zacharczał. Ninja rzucił się na drugiego wartownika i dwoma naprężonymi palcami dźgnął go w szyję. Celne uderzenie sparaliżowało go, pod kolejnym ciosem pękł mu z traskiem kark. Ninja doskoczył do wartownika, który próbował wyrwać metalowe kolce tkwiące w twarzy. Trucizna już działała.

Konający samuraj resztkami sił wyszarpnął krótki miecz i uderzył. Mocno zraniony ninja stęknął, ale nie zatrzymał się i uderzeniem dłoni odrzucił głowę Brażowego w tył, aż puściły kręgi.

Samuraj wyzionął ducha na stojąco.

Ninja krwawił, ale nie wydał z siebie głosu. Przytrzymał trupa, położył go na kamiennych płytach i osunął się na kolana. Pozostali napastnicy wspięli się tymczasem po linach i omijając ranego towarzysza rozeszli się po murach. Ranny klęczał przy trupie Brażowego, trzymając się za bok. Przywódca obejrzał ranę, z której tryskała krew. Potrząsnął głową i dał znak palcami. Ninja

posłusznie doczołgał się do kamiennego kąta, znacząc szeroki krwawy ślad. Oparł się wygodnie i wyjął shuriken. Zadrapał się po wierzchu dłoni zatrutymi kolcami, wyjął sztylet, przyłożył czubek ostrza u nasady szyi i z całych sił, oburącz, pchnął.

Przywódca upewnił się, że jego wojownik nie żyje, podszedł do okutych drzwi i ostrożnie je otworzył. W tym momencie ninja usłyszeli, że ktoś nadchodzi, i natychmiast zaczęli się, szykując zasadzkę.

Korytarzem zachodniego skrzydła zamku podążał Sumiyori z Brązowymi. Dwóch zostawił przy drzwiach i nie zatrzymując się szedł dalej. Dwaj zmiennicy wyszli na mury, kiedy Sumiyori dotarł do rogu i krętymi schodami zszedł piętro niżej. Tam, na drugim posterunku, ukłoniło mu się dwóch zmęczonych samurajów, którzy zostali złuzowani.

- Wracajcie do kwatery razem z tamtymi na górze. Obudzimy was o świcie - rzekł Sumiyori.

- Tak jest, kapitanie.

Dwaj samuraje ruszyli schodami, zadowoleni, że skończyła im się warta. Sumiyori pozmieniał wartowników na drugim korytarzu. Z dwoma ostatnimi żołnierzami dotarł do drzwi, przed którymi zatrzymał się, i zapukał.

- Yabu-san?

- Tak? - odpowiedział zaspany głos.

- Przepraszam, zmiana warty.

- A, dziękuję. Proszę wejść.

Sumiyori otworzył drzwi, ale przezornie stanął w progu. Wyrwany ze snu Yabu podparł się na łokciu, a drugą rękę położył na rękojeści miecza. Upewniwszy się, że to Sumiyori, puścił miecz i ziewnął.

- Coś nowego, kapitanie? - spytał.

Czujność nie była już potrzebna. Sumiyori potrząsnął głową, wszedł i zamknął drzwi. W dużej schludnej izbie czekały fu tony, zapraszając wywiniętym brzegiem kołdry, żeby się położyć. Szpary okienne dla łuczników, trzydzieści stóp nad ziemią, wychodziły na ulicę i miasto.

- Nic się nie dzieje. Pani Toda śpi. . Tak powiedziała służąca, Chimmoko.

Podszedł do niskiej komody, na której paliła się lampka oliwna, nalał zimnej cha do filiżanki.

Przy czajniku leżała przepustka z pieczęcią Ishido, przyniesiona przez Yabu.

- Anjin-san? - spytał Yabu przeciągając się i ziewając.

- Nie spał, kiedy zaglądałem do niego ostatni raz, o północy. Prosił, żebym więcej do niego nie zaglądał, dopiero przed świtem, mówił coś o swoich zwyczajach. Nie wszystko zrozumiałem, ale nic się nie stanie, mamy wielu czujnych wartowników, ne? U pań jest cicho, chociaż Kiritsubo-san prawie przez całą noc się nie kładła.

Yabu wstał. Był prawie nagi, miał tylko przepasane biodra. - A co robiła?

- Siedziała przy oknie, wyglądała. Chociaż nie było na co patrzeć. Poradziłem jej, żeby się położyła. Podziękowała za dobrą radę, ale nie ruszyła się z miejsca. Kobiety, ne?

Yabu rozruszał ramiona i łokcie, podrapał się energicznie, żeby pobudzić krążenie. Zaczął się ubierać.

- Powinna odpocząć. Ma dziś przed sobą długą drogę. Sumiyori odstawił filiżankę.

- Wydaje mi się, że to podstęp.

- Co?

- Wątpię, żeby Ishido naprawdę chciał nas wypuścić.

- Mamy podpisane przepustki. Dla wszystkich. Sam sprawdzałeś, kapitanie, nazwiska. Jak mógłby wycofać się z danego publicznie przyrzeczenia? To niemożliwe, ne?

- Nie wiem. Daruj, Yabu-san, ale nadal uważam, że to podstęp. Yabu niespiesznie zawiązywał pas.

- Jaki podstęp?

- Wpadniemy w zasadzkę.

- Po wyjściu z zamku?

- Tak. Tak właśnie myślę. - Sumiyori pokiwał głową.

- Nie odważyłby się.

- Odważy się. Urządzi zasadzkę albo opóźni nasz wyjazd. Nie wyobrażam sobie, żeby puścił panią Todę, panią Kiritsubo, panią Sazuko i dziecko. A choćby panią Etsu albo kogokolwiek innego.

- Mylisz się, kapitanie.

Sumiyori potrząsnął głową ze smutkiem.

- Najlepszym wyjściem było seppuku. Bo tak nic nie zostało rozstrzygnięte.

Yabu wziął miecze i zatknął je za pas. Zgadza się, rzekł w duchu. Nic nie zostało rozstrzygnięte, a pani Toda nie spełniła swojego obowiązku. Ja o tym wiem, ty, kapitanie, Ishido też. Co za dyshonor! Gdyby zrobiła to cięcie sztyletem, okrylibyśmy się sławą na wieki. A tak. .

wróciła z nad skraju przepaści, poniżyła nas, poniżyła siebie. Shigata ga nai, ne? Głupia! - pomyślał, ale na głos rzekł:

- Mylisz się, kapitanie. Pokonała Ishido. Pani Toda zwyciężyła. Ishido nie odważy się urządzić zasadzki. Idź spać, obudzę cię o świcie.

- Nie, dziękuję, Yabu-san, pójdę jeszcze raz na obchód. - Sumiyori podszedł do okna i wyjrzał. - Coś jest nie tak.

- Nic się nie dzieje. Odpocznij. . Chwileczkę! Co to było?

Yabu podszedł do Sumiyoriego, udał, że wpatruje się w ciemności i nasłuchuje, a potem zniemacka wyszarpnął krótki miecz i wbił go w plecy kapitana jednocześnie zatykając mu usta ręką.

Sumiyori skonał. - Trzymając go na wyciągniętych rękach, żeby nie poplamić się krwią, Yabu zaniósł trupą na futony i ułożył jak śpiącego. Oswobodził miecz i zaczął go czyścić wściekły, że intuicja Sumiyoriego zmusiła go do tego nie planowanego zabójstwa. Nie mógł przecież pozwolić, żeby Sumiyori kręcił się po korytarzach.

Poprzedniego dnia, kiedy wracał z przepustkami do kwatery, zastąpił mu drogę nieznajomy samuraj.

- Jesteś zaproszony do współpracy, Yabu-san.

- W czym i przez kogo?

- Przez kogoś, komu złożyłeś wczoraj propozycję.

- Jaką propozycję?

- Że w zamian za przepustki dla ciebie i Anjin-sana, postarasz się, żeby pani Toda została rozbrojona podczas zasadzki, kiedy będziecie w drodze;. Proszę, nie dotykaj miecza, Yabu-san, celuje w ciebie czterech łuczników!

- Jak śmiesz mnie napastować? O jakiej zasadzce mówisz? - rzekł udając oburzenie, choć nogi się pod nim ugięły. Samuraj był bez wątplenia posłańcem Ishido.

Rzeczywiście złożył po cichu taką propozycję przez swoich pośredników, chcąc za wszelką cenę uratować coś ze zrujnowanych przez Mariko planów związanych z Czarną Karawelą. Wiedział

od razu, że to wariacki pomysł. Rozbroić Mariko i zachować życie graniczyło z niemożliwością, obie strony dużo ryzykowały. Nie zdziwił się więc, kiedy Ishido przesłał odpowiedź odmowną.

- Nie słyszałem o żadnej zasadzce - zaprzeczył gniewnie, żałując, że nie ma przy nim Yuriko, która wybawiłaby go z tarapatów.

- Jesteś jednak proszony o udział, chociaż na innych warunkach.

- Kim jesteś?.

- W zamian dostaniesz Izu, barbarzyńcę i jego statek, kiedy głowa wroga spadnie na ziemię.

Oczywiście, jeżeli panią Todę dostaniemy żywą, a ty zostaniesz w Osace do przyjazdu cesarza i złożysz przysięgę wierności.

- Czyja głowa? - spytał Yabu, zmuszając się do myślenia, bo właśnie uprzytomnił sobie, że Ishido wezwał go po przepustki wyłącznie po to, by potajemnie, z zachowaniem środków ostrożności, przedstawić mu swoją propozycję.

- Zgadzasz się czy nie? - spytał samuraj.

- Kim jesteś i o czym mówisz? - Yabu podniósł rękę, w której trzymał dokumenty. - Oto przepustki pana Ishido. Nawet generał nie może ich cofnąć po tym, co się stało.

- Tak mówi wielu. Ale prędzej byki będą srały złotem, niż pozwolimy tobie albo komukolwiek obrażać pana Yaemona. . Bądź łaskaw zdjąć rękę z miecza, panie!

- Uważaj lepiej, jak się wyrażasz!

- Przepraszam. Więc zgadzasz się?

- Jestem w tej chwili władcą Izu, a obiecano mi Totomi i Surugę - zaczął targować się Yabu.

Wiedział, że choć on i Mariko są w potrzasku, tak samo znalazł się w pułapce Ishido.

- Owszem, jesteś - odparł samuraj. - Ale ja nie jestem upoważniony do negocjacji.

Przedstawiłem warunki. Zgadzasz się czy nie?

Yabu skończył czyścić miecz, poprawił kołdrę na leżącym jak we śnie Sumiyorim. Wytarł

spoczone ręce i twarz, opanował nerwy, zgasił świecę i otworzył drzwi. Dwaj Brązowi czekali nieopodal w korytarzu. Ukłonili się.

- Obudzę cię o świcie, Sumiyori-san - rzekł Yabu do ciemnej izby i zwrócił się do jednego z samurajów: - Stań tu na straży. Nikogo nie wpuszczaj. Nikogo! Kapitan musi odpocząć, niech nikt mu nie przeszkadza.

- Tak, panie.

Samuraj stanął na posterunku, a Yabu z drugim wartownikiem pomaszerowali korytarzem, weszli po schodach i skierowali się do sali audiencyjnej i komnat we wschodnim skrzydle. Wkrótce znaleźli się w korytarzu prowadzącym do dużej sali. Wartownicy uklonili się i Wpuścili go do środka.

Przepuścili go też wartownicy strzegący drzwi do następnego korytarza i kwater. Stanął przed właściwymi drzwiami i zapukał.

- Anjin-san? - spytał cicho.

Nikt nie odpowiedział. Odsunął shoji. W izbie nie było nikogo, ale zobaczył odsunięte drugie shoji. Zmarszczył brwi, dał znak wartownikowi, żeby zaczekał, przemierzył pokój i wszedł do ciemnego korytarzyka. Zagroziła mu drogę Chimmoko, z nożem w ręku. Jej posłanie leżało u progu jednego z pokoi.

- Wybacz, panie, zdrzemnęłam się - wytłumaczyła się opuszczając rękę. Nie usunęła się jednak na bok.

- Szukam Anjin-sana.

- Rozmawia z moją panią, wielmożny panie, z Kiritsubo-san i z panią Achiko.

- Spytaj go, proszę, czy mógłby na chwilę do mnie wyjść.

- Oczywiście, panie.

Zapraszającym gestem Chimmoko wskazała Yabu pierwszy pokój, a kiedy tam zawrócił, zasunęła za nim shoji. Wartownik w głównym korytarzu przyglądał się ciekawie.

Po chwili shoji znów się uchyliło i wszedł Blackthorne. Miał przypasany krótki miecz.

- Dobry wieczór, Yabu-san - rzekł.

- Przepraszam, że przeszkadzam, Anjin-san. Chciałem tylko sprawdzić. . zobaczyć, czy wszystko w porządku, rozumiesz?

- Tak, dziękuję. Nie ma zmartwienia.

- Pani Toda dobrze się czuje? Nie chora?

- Teraz zdrowa. Zmęczona, ale zdrowa. Niedługo świt, ne?

- Tak. - Yabu kiwnął głową. - Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku. Rozumiesz?

- Tak. Po południu powiedziałaś „plan”, pamiętasz Yabu-san? Proszę, jaki tajemniczy plan?

- To żadna tajemnica, Anjin-san - odparł Yabu żalując, że niepotrzebnie tyle gadał. - Źle mnie zrozumiałaś. Mówiłem, że musimy mieć plan. . bardzo trudno uciec z Osaki, ne? Musimy uciec, bo.. -

Yabu wymownie przeciągnął ręką po szyi. - Rozumiesz?

- Tak. Ale teraz mamy przepustki, ne? Wyjeżdżamy bezpiecznie z Osaki. Ne?

- Tak. Niedługo wyjeżdżamy. Statkiem bardzo dobrze. Niedługo zbierzemy ludzi w Nagasaki.

Rozumiesz?

- Tak.

Z przyjazną miną Yabu odwrócił się i odszedł. Blackthorne zamknął za nim drzwi, wyszedł na wewnętrzny korytarz, zostawiając uchylone shoji. Minął Chimmoko i udał się do pokoju, w którym spoczywała na futonach Mariko, drobna i krucha, piękniejsza niż zwykle. Kiri klęczała na poduszce.

Achiko leżała obok i spała.

- Czego chciał, Anjin-san? - spytała Mariko.

- Dowiedzieć się, czy wszystko u nas w porządku.

Mariko przetłumaczyła dla Kiri.

- Kiri mówi, czy spytałeś go o ten „plan”?

- Tak, ale mnie zbył. Może zmienił zdanie. Nie wiem. Może się myliłem, ale zdawało mi się po południu, że miał jakiś plan albo go układał.

- Chciał nas zdradzić?

- Oczywiście. Ale nie wiem jak. Mariko uśmiechnęła się.

- Może się myliłeś. Teraz jesteśmy bezpieczni.

Spojrzeli na Achiko, która mamrotała coś przez sen. Została przy Mariko na swoją prośbę, podobnie jak pani Etsu, która spała w sąsiednim pokoju. Pozostałe panie rozeszły się do swoich kwater o zachodzie słońca. Wszystkie wystosowały prośby o zezwolenie na wyjazd. Rozeszła się wieść, że nazajutrz ponad sto dalszych złoży podania. Kiyama posłał po Achiko, żonę swojego wnuka, ale nie usłuchała go i została z Mariko. Daimyō wydziedziczył ją i zażądał oddania prawnika. Achiko rozstała się z dzieckiem. Dręczył ją teraz zły sen, ale wkrótce minął i dziewczyna spała spokojnie dalej.

Mariko spojrzała na Blackthorne'a.

- To cudownie odnaleźć spokój, ne?

- Tak.

Kiedy po przebudzeniu przekonała się, że żyje, nie mogła rozstać się z Blackthorne'em. Przez godzinę byli sami, leżała w jego objęciach.

- Tak się cieszę, że żyjesz, Mariko. Już widziałem cię martwą.

- Ja też myślałam, że już nie żyję. Wciąż nie mogę uwierzyć, że Ishido ustąpił. Choćbym miała żyć dwadzieścia razy. Kocham twoje ręce i twoją siłę.

- Od chwili, kiedy wezwano Yoshinakę do okazania przepustek, miałem przed oczami śmierć, która czeka ciebie, mnie, wszystkich. Przejrzałem twój plan. Układałaś go długo, ne?

- Tak. Od dnia trzęsienia ziemi, Anjin-san. Wybacz mi, nie chciałam. Nie chciałam cię straszyć. Bałam się, że nie zrozumiesz. Tak, od tamtego dnia wiedziałam, że moim przeznaczeniem jest wyprowadzić zakładników z Osaki. Tylko ja mogłam tego dokonać dla pana Toranagi. I dokonałam. Ale jakim kosztem, ne? Madonno, przebacz.

Potem przyszła Kiri, więc musieli się rozłączyć i usiąść osobno, ale to nie miało znaczenia.

Wystarczył uśmiech, spojrzenie, jedno słowo.

Kiri podeszła do wąskiego okna. Punkciki światła na morzu sygnalizowały płynące do brzegu łodzie rybackie.

- Niedługo będzie świtać - powiedziała.

- Tak - odparła Mariko. - Wstanę już.

- Jeszcze nie, Mariko-sama. Odpoczywaj, proszę. Musisz nabrać sił.

- Chciałabym, żeby był tu pan Toranaga.

- Tak.

- Przygotowałaś drugą wiadomość o.. o naszym wyjeździe?

- Tak, Mariko-sama, drugi gołąb wyleci o świcie. Pan Toranaga dowie się dziś o twoim zwycięstwie. Będzie z ciebie bardzo dumny.

- Cieszę się, że nie mylił się w swoich przewidywaniach.

- Tak - odparła Kiri. - Wybacz, proszę, że „wątpiłam w ciebie i w niego.

- Ja w głębi duszy też w niego zwątpiłam. Niestety.

Kiri odwróciła się do okna i popatrzyła na miasto. Miała ochotę krzyknąć; Toranaga mylił się!

Nigdy nie wyjedziemy z Osaki, choćbyśmy nie wiem jak udawały, że tak się stanie. Naszym

przeznaczeniem jest zostać tu, a jego - przegrać.

W zachodnim skrzydle Yabu zatrzymał się przy pokoju wartowników. Nowa zmiana warty była gotowa do objęcia służby.

- Przeprowadzę inspekcję.

- Tak jest, panie.

- Ty chodź ze mną. Reszta niech czeka.

Razem z wybranym samurajem zszedł do dużej sieni, strzeżonej przez wartowników, skąd wychodziło się na dziedziniec i do ogrodu. Jeden rzut oka przekonał go, że wszystko jest w porządku. Zawrócił do twierdzy, po chwili skręcił i ku zdumieniu wartownika zszedł do kwater służby. Służący budzili się z trudem i pośpiesznie przykładali czoła do kamiennej posadzki. Yabu minął ich obojętnie. Schodził coraz niżej rzadko uczęszczanymi, ale dobrze oświetlonymi korytarzami. Omszałe ściany połyskiwały wilgocią. Nikt nie strzegł tych podziemi, bo nie było czego strzec. Wkrótce zaczęli podchodzić wyżej, zbliżając się do murów obronnych.

- Co to było? - spytał Yabu, zatrzymując się raptownie.

Samuraj stanął, zaczął nasłuchiwać i padł zabity. Yabu oczyścił miecz, odciągnął trupa w ciemny kąt i podbiegł do ledwie widocznych, niedużych metalowych drzwi, o których powiedział mu wysłannik Ishido. Mocował się chwilę z zardzewiałymi zasuwami. Kiedy ostatnia ustąpiła, drzwi otworzyły się. Wionęło zimne powietrze. Wysunęła się włócznia i dźgnęła Yabu w szyję, zatrzymując się w porę. Yabu zmarł. Z gęstej ciemności patrzyli na niego uzbrojeni wojownicy ninja.

Yabu uniósł drżącą rękę i dał umówiony znak.

- Jestem Kasigi Yabu - powiedział.

Pierwszy ninja, niemal niewidoczny w czarnym stroju, skinął głową, ale cały czas był gotów zadać cios. Dał znak Yabu, który posłusznie cofnął się o krok. Wysoki, potężny ninja wyszedł

ostrożnie na korytarz. Skośnymi, szeroko rozstawionymi oczami rozglądał się zza maski. Spozstrzegł

leżącego Brązowego i cisnął w niego włócznią. Potem uwolnił ją, pociągając za umocowany do niej lekki łańcuch. Po cichu zwinął łańcuch nasłuchując, czy gdzieś nie czyha niebezpieczeństwo.

Wreszcie skinął ręką. Z ciemności wysypało się dwudziestu wojowników, którzy od razu pobiegli do zapomnianych schodów prowadzących na górę. Byli przygotowani do ataku, uzbrojeni w noże z łańcuchami, miecze i shuriken. Na środku czarnych kapturów mieli czerwone kółka.

Przywódca, nie spuszczając z oka Yabu, powoli odliczał na palcach. Yabu wyczuwał obecność licznego oddziału w ciemnym lochu, ale nie widział nikogo.

Oznakowani napastnicy, przeskakując stopnie, dotarli do szczytu schodów i tam się zatrzymali.

Zagrodziły im drogę drzwi. Odczekali chwilę i spróbowali je otworzyć. Nie ustąpiły.

Podszedł ninja z krótkim łomem i podważył je. Za drzwiami zaczynał się drugi omszały korytarz.

Ruszyli bez słowa i zatrzymali się dopiero przed zakrętem. Ten, który szedł pierwszy, wyrzwał za róg i kiwnął na towarzyszy. Na końcu korytarza jaśniała smuga światła. Wydostawała się przez niewielki otwór w zamaskowanych drzwiach. Ninja przyłożył oko do dziurki. Zobaczył salę audiencyjną, dwóch Brązowych i dwóch Szarych niezbyt czujnie pełniących wartę pod drzwiami do kwater! Obejrzał się, kiwnął głową. Jeden z jego ludzi odliczał na palcach, odmierzając czas z tą samą dokładnością co przywódca dwa piętra niżej. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na liczącego.

W piwnicy przywódca rytmicznie odginał palce, wpatrując się przez cały czas w Yabu. Yabu też patrzył i czekał, pocąc się ze strachu. Ninja przestał liczyć i zacisnął pięść. Wskazał korytarz.

Yabu kiwnął głową, odwrócił się i ruszył powoli tam, skąd przybył. Za jego plecami znów rozpoczęło się nieubłagane odliczanie.

Yabu znał ogrom ryzyka, na jakie się narażał z poczuciem, że nie ma wyboru. Znów przeklął

Mariko, że przez nią musiał przejść na stronę Ishido. Jednym z warunków zawartej umowy było, że otworzy ukryte w podziemiach drzwi. Zgodził się na wszystko, ale nie było mowy o wojownikach ninja, zniechęconych i budzących postrach najemników, którzy dochowywali wierności tylko rodzinie i wprowadzali w arkana fachu tylko najbliższych krewnych - uczyli przepływać pod wodą na dużą odległość, wspinać się na gładki mur, maskować się, trwać w bezruchu dzień i noc, zabijając rękoma, nogami, każdą bronią i każdym sposobem, trucizną, ogniem, prochem. Jedynym celem życia wojowników ninja było zadawanie śmierci za opłatą.

Yabu z pewnym wysiłkiem utrzymał równy krok, oddalając się od przywódcy ninja. Gniotło go w piersi zdumienie, że napastnikami są ninja, a nie roninowie. Ishido oszalał, myślał roztrzęsiony, spodziewając się w każdej chwili włóczni, strzały albo garoty. Już dochodził do zakrętu. Ledwie go minął, puścił się pędem i wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz. Na górze pobiegł następnym sklepionym korytarzem i znów skręcił w stronę pokoi czeladnych.

Ninja odliczał cały czas na palcach, wreszcie przestał. Szybko dał znak ręką i pobiegł za Yabu.

Z ciemności wyskoczyło dwudziestu ninja, którzy podążyli za nim, a dalszych piętnastu ustawiło się na obu końcach korytarza, żeby bronić drogi ucieczki, prowadzącej przez podziemny labirynt lochów pod zamkiem do jednego z kanałów przekopanych pod fosą i znanych tylko Ishido. Tamtędy można było przedostać się do miasta.

Yabu potknął się w biegu, ledwie utrzymał na nogach, wpadł do pokoju czeladzi, roztrącając miski, garnki, tykwy.

- Ninjaaaaaa! - ryknął, co nie było przewidziane w umowie, ale takim podstępem postanowił się bronić na wypadek zdrady.

Przerażeni służący zawtórowali mu krzykami, chowając się w popłochu pod ławy i stoły. Yabu, nie zatrzymując się, gnał przed siebie, znów wbiegł po schodach i wypadł na jeden z głównych korytarzy, gdzie, natknął się na Brązowych z dobytymi mieczami.

- Alarm! - krzyknął. - Ninja. . wśród służby są ninja!

Jeden samuraj pobiegł natychmiast do głównych schodów, a drugi rzucił się do krętych schodów prowadzących na dół i stanął u szczytu z uniesionym mieczem, gotów ich bronić do ostatka.

Na jego widok rozpędzeni służący stanęli jak wryci, z jękiem przypadli do kamiennych murów, skulili się, osłaniając rękoma głowy. Yabu wybiegł przez drzwi wejściowe i zawołał:

- Alarm! Atakują nas!

Tak było umówione. Na ten znak czekali ninja w ogrodzie. Do nich należało odwrócić uwagę od głównego ataku - przez ukryte drzwi do sali audiencyjnej - którego celem było porwanie Mariko.

Samuraje przy bramie i na dziedzińcu rozglądali się skonsternowani, gdy wtem ukryci w ogrodzie ninja rzucili się na nich hurmem. Kiedy Yabu cofnął się do sieni, z pokoju wartowników na górze nadbiegły właśnie posiłki Brązowych.

- Co się dzieje?! - zawołał dowódca straży.

- Ninja, na dziedzińcu i wśród służby. Gdzie Sumiyori?

- Nie wiem. . w swojej kwaterze.

Yabu skoczył na schody mijając pędzących na dół samurajów. Równocześnie ruszyli do ataku ninja w piwnicach. Kolczaste shuriken zgładziły samotnego obrońcę na schodach, służący poginęli przebici włóczniami. Kiedy fala szturmujących dotarła do głównego korytarza, wprowadziła wrzaskiem takie zamieszanie, że rozgorączkowni Brązowi nie wiedzieli, w którą stronę się obrócić.

Czekający na poddaszu ninja, słysząc pierwszy alarmujący krzyk, wypadli ze swoich kryjówek, dogonili i pozabijali ostatnich spośród spieszących tłumnie na dół Brązowych. Ciskając shuriken i zatrute strzały powalali coraz to nowe ofiary. Brązowi szybko zostali pokonani, napastnicy przeskoczyli ciała i parli naprzód, do głównego korytarza piętro niżej. Gwałtowna szarża przybyłych na odsiecz Brązowych załamała się. Ninja rzucali wirujące łańcuchy, które dusiły samurajów albo oplątywały się wokół mieczy - stawali się wtedy łatwym celem dla obosiecznych noży. W powietrzu śmigły shuriken, dziesiątkując Brązowych. Kilku ninja, którzy padli zranieni, czołgało się i walczyło jak wściekłe zwierzęta, do ostatka.

Pierwsze posiłki Brązowych, którzy pośpieszyli do ogrodu, okazały się za słabe. Dopiero wzmocniony liczebnie drugi atak powiódł się. Na dany rozkaz ninja wycofali się, dzięki maskującym strojom unikając poważniejszych strat w swoich szeregach. Uradowani Brązowi rzucili się za nimi i wpadli w zasadzkę, z której nikt nie wyszedł żywy.

Oznakowani napastnicy cały czas czekali pod ukrytymi drzwiami do sali audiencyjnej. Ich przywódca

patrzył przez dziurkę na Brązowych i strzegących Blackthorne'a Szarych, którzy pilnowali okutych drzwi na korytarz, wsłuchując się niespokojnie w odgłosy rzezi na dole. Drzwi otworzyły się, pokazali się w nich stłoczeni Brązowi i Szarzy. Oficerowie obu grup, nie wytrzymując napięcia, rozkazali żołnierzom, opuścić salę i zająć stanowiska obronne na końcu korytarza. Droga była wolna, drzwi wewnętrznego korytarza otwarte, a stojący przy nich dowódca Szarych szykował

się do odejścia. Podbiegła tam kobieta z wysokim barbarzyńcą, za nimi garstka kobiet. Ninja rozpoznał swoją ofiarę.

Pilno mu było wykonać zadanie i wrócić do czekających w napięciu krewnych na dole, trawiła go żądza zabijania, dlatego o ułamek sekundy za wcześnie dał sygnał i wypadł przez drzwi.

Widząc go Blackthorne odruchowo wyciągnął zza kimona pistolet i strzelił. Trafił w głowę nacierającego, co na moment powstrzymało atak. Dowódca Szarych, który przybiegł w tym czasie, z dziką zjadłością rzucił się i powalił jednego ninję. Zgraja rzuciła się na Szarego i zabiła go, ale dzięki kilku sekundom zwłoki Blackthorne zdążył pociągnąć Mariko, zatrzaskać drzwi, zasunąć żelazną sztabę. Ninja doskoczyli do zawarowanych drzwi. Część rozbiegła się, żeby obstawić główne wejście.

- Chryste Panie! Co się. .

- Ninjaaaaaa! - okrzyknęła Mariko.

Kiri, pani Sazuko, pani Etsu, Achiko, Chimmoko i inne służące wybiegły z krzykiem z pokoi.

Napastnicy walili w drzwi.

- Szybko, tędy! - zawołała Kiri, biegnąc w głąb apartamentów.

Kobiety uciekały za nią, nie oglądając się na nic. Dwie pomagały pani Etsu. Drzwi dygotały pod wściekłymi uderzeniami łomów i pękały. Widząc to Blackthorne pobiegł do pokoju po rożek z prochem i miecze. W sali audiencyjnej ninja położyli trupem sześciu Brązowych i Szarych przy drzwiach, a pozostałych pokonali w korytarzu. Zabarykadowali drzwi broniące dostępu do tej części piętra. W czasie walki zginęło ich dwóch, a dwóch zostało rannych.

- Szybko - warknął nowy przywódca z czerwonym kółkiem.

Wojowników z łomami nie trzeba było popędzać, zapamiętali rozpruwali drzwi. Przywódca zatrzymał się przy ciele brata i kopnął je wściekły, że brat swoją niecierpliwością zepsuł atak przez zaskoczenie. Dołączył do oddziału otaczającego drzwi.

Po drugiej ich stronie, w korytarzu, Blackthorne ładował pistolet poganiany łomotem i trzaskiem. Najpierw proch, pomyślał, podsyp go ostrożnie. . łupnęło pękające drewno.. ubij papierowym flejtuchem, włóż kulę, przybij flejtuchem. . puścił zawias przy drzwiach i w powstałej szparze ukazał się łom. . zdmuchnij pył ze skałki.

- Anjin-san! - zawołała Mariko z głębi apartamentów. - Śpiesz się!

Puścił to mimo uszu. Podszedł do drzwi, przyłożył lufę do najeżonej drzazgami szpary na wysokości brzucha i pociągnął za spust. Po drugiej stronie ktoś krzyknął, „walenie ustało.

Blackthorne cofnął się, znów zaczął ładować broń. Najpierw proch, podsyp go starannie. . Drzwi zatrzęsły się pod naporem ramion, pięści, nóg i łomów. . Teraz flejtuch, kula, drugi flejtuch. . Drzwi jęknęły, zadygotały, jedna śruba odskoczyła i stuknęła o podłogę. .

Zdyszana Kiri biegła korytarzem, dwie służące wlokły panią Etsu.

- Po co biegniemy, nie ma dokąd uciec. . - mówiła z płaczem Sazuko.

Ale Kiri potykając się biegła dalej, aż dotarła do pokoju, w którym odsunęła fragment ściany shoji. Ukazały się okute drzwi w kamiennym murze. Pociągnęła je. Ustały lekko.

- To.. to kry-kryjówka mojego pana - powiedziała chcąc wejść, ale zatrzymała się w progu. -

Gdzie Mariko?

Chimmoko pobiegła z powrotem.

W pierwszym korytarzu Blackthorne zdmuchnął pył ze skałki i podszedł do drzwi. Ledwie się trzymały, ale mógł je jeszcze wykorzystać jako osłonę. Nacisnął spust. Rozległ się krzyk, atak ustał, ale tylko na chwilę. Zagrzmiała nowa seria ciosów, odleciała druga śruba, drzwi zakołysały się.

Blackthorne znów zaczął ładować pistolet.

- Anjin-san!

Mariko kiwała na niego rozpaczliwie z końca korytarza, więc chwycił broń i puścił się pędem.

Poprowadziła go biegnąc przodem. Drzwi rozpadły się i ninja wdarli się do korytarza.

Mariko pędziła co tchu, Blackthorne tuż za nią. Biegnąc przez pokój zaplątała się w kimono i upadła. Podniósł ją i popędzili dalej razem. Wybiegła im naprzeciw Chimmoko.

- Szybko! - krzyknęła przepuszczając ich.

Dla niepoznaki pośpieszyła kawałek za nimi, potem zawróciła i stanęła z nożem w ręku.

Kiedy ninja wpadli do pokoju, Chimmoko rzuciła się z nożem na pierwszego. Odparował cios i odepchnął ją na bok, tylko na moment przerywając pogoń za Blackthorne'em i Mariko. Ostatni z biegnących uderzeniem stopy złamał kark Chimmoko.

Mariko biegła najszybciej, jak mogła, ale przeszkadzało jej kimono, więc Blackthorne podtrzymywał ją i ciągnął. Przebiegli jeden pokój, skręcili, potem drugi i Blackthorne zobaczył

otwarte drzwi, przerażone Kiri i Sazuko, a za nimi Achiko i służące opiekujące się panią Etsu.

Wepchnął Mariko do środka. Odwrócił się w progu i stał z nie naładowanym pistoletem w jednej ręce i mieczem w drugiej, spodziewając się lada chwila Chimmoko. Ponieważ nie pokazywała się, chciał

wracać, ale usłyszał szarżujących ninja. Jednym susem znalazł się w pokoiku, zobaczył

nadbiegającego wojownika, zatrzasnął drzwi. Zgrzytnęły na żelazie włócznie i shuriken. Ledwie zdążył zasunąć zasuwę, kiedy napastnicy rzucili się na drzwi.

Podziękował Bogu za wyratowanie, widząc zaś, że mocne drzwi nie ulegną łatwo łomom, podziękował jeszcze raz. Rozejrzył się zdyszany. Mariko klęczała, łapiąc ustami powietrze. W

pokoiku o kamiennych ścianach znalazło schronienie sześć służących, Achiko, Kiri, Sazuko i staruszka, która leżała poblądła, w półprzytomna. Boczne drzwi prowadziły na balkon. Blackthorne podszedł do okna i wyrzwał. Kryjówka zajmowała naroże twierdzy, widać stąd było ulicę i dziedziniec.

Z dołu dolatywały odgłosy walki i pojedyncze, przeraźliwe okrzyki wojenne. Na ulicy i na murach naprzeciw zaczęli zbierać się Szarzy i inni samuraje, ale brama na dziedziniec była zamknięta i strzeżona przez ninja.

- Co się dzieje, u licha? - spytał Blackthorne, czując ból w piersiach.

Nikt mu nie odpowiedział, więc przykląkł przy Mariko i lekko nią potrząsnął.

- Co się dzieje?

Nie była w stanie odpowiedzieć.

Yabu biegł szerokim korytarzem w zachodnim skrzydle do swojej kwatery. Skręcił i raptownie zatrzymał się. Zobaczył sporą grupę wycofujących się samurajów, atakowanych wściekle przez napastników, którzy zbiegli z poddasza.

- Co się dzieje?! - zawołał, przekonany, że natarcie miało nastąpić tylko z dołu, - Atakują ze wszystkich stron - odparł zdyszany samuraj. - Ci przyszli z góry. .

Yabu zaklął. Zrozumiał, że go oszukano, nie wyjawiono całego planu.

- Gdzie Sumiyori?

- Chyba zginął. Ninja zajęli tamtą część piętra. Miałeś szczęście, panie, że uszedłeś z życiem.

Po co właściwie nas atakują?

Odwróciły ich uwagę krzyki. Brązowi przypuścili kontratak, wspomagając samurajów walczących włóczniami. Włócznicy zepchnęli wojowników ninja do tyłu, Brązowi natarli ze zdwojoną siłą. Spadł jednak na nich rój zatrutych shuriken, trafieni padali i umierali, barykadując korytarz.

Ci, którzy ocaleli, wycofali się i przegrupowali.

- Wezwać łuczników! - krzyknął Yabu trzymając się w bezpiecznej odległości.

- Po co nas atakują? Dlaczego takimi siłami? - pytał stojący obok samuraj z zakrwawionym policzkiem. Znienawidzeni, ninja atakowali zwykle w pojedynkę albo małą grupą i po wypełnieniu zadania znikali równie szybko, jak się pojawili.

- Nie wiem - odparł Yabu.

Wrzawa ogarnęła całe skrzydło zamku, niespodziewany i błyskawiczny napad poraził

Brązowych i pomieszał im szyki.

- Gdyby Toranaga-sama był w zamku, mógłbym zrozumieć, dlaczego Ishido zarządził taki atak, ale. .
Dlaczego właśnie teraz? - zastanawiał się samuraj. - Nie ma nikogo.. - Raptem go olśniło.

- Pani Toda!

Yabu chciał mu to wyperswadować, ale samuraj ryknął:

- Po nią przyszli, Yabu-san! Na pewno przyszli po panią Todę! Skrzyknął Brązowych, którzy pobiegli za nim w stronę wschodniego skrzydła, Po chwili wahania Yabu ruszył ich śladem.

Po drodze musieli przeciąć główny podest opanowany przez ninja i usiany trupami samurajów.

Gotowi oddać życie za swoją panią, której groziło niebezpieczeństwo, Brązowi przypuścili atak, którego impet przełamał kordon. Ci pierwsi jednak szybko poginęli. Ale rozchodząca się lotem błyskawicy wiadomość zmobilizowała ich towarzyszy. Yabu pośpieszył naprzód, żeby pokierować walką, trzymając się możliwie najdalej. Jakiś ninja wyciągnął z plecaka tykwę z lontem, który zapalił

od pochodni w ścianie, i rzucił ładunek nad głowami Brązowych. Tykwa łupnęła w mur i wybuchła, rozrzucając płonące szczątki. Ninja po - I prowadził natarcie na Brązowych, którzy w rozsypce ruszyli do odwrotu. Pod osłoną dymu napływały z dołu nowe posiłki ninja.

- Wycofać się i przegrupować! - krzyknął Yabu w jednym z korytarzy odchodzących od podestu, chcąc spowodować jak największe” uzasadnione opóźnienie. Przypuszczał, że porywacze niosą już Mariko do lochów i lada chwila zabrzmie róg sygnalizujący odwrót po i wypełnieniu misji.

Wtem z góry oddział Brązowych rzucił się do samobójczego ataku i przełamał kordon za cenę życia. Inni, nie słuchając Yabu, też ruszyli naprzód. Wybuchwały rzucane bomby, od których zapalały się draperie. Ściany stawały w płomieniach, od iskier zajmowały się tatami. Jęzor ognia zagarnął

wojownika ninja, zmieniając go w wyjąca pochodnię. Kimono paliło się też na jednym z samurajów, który rzucił się na innego - I ninję, żeby spłonąć razem z nim. Jeden samuraj, tnąc mieczem jak toporem wojennym, przedarł się przez szeregi wroga. Jego śladem poszło dziesięciu samurajów i choć dwóch zginęło na miejscu, a trzech padło I śmiertelnie rannych, pozostałym udało się pobic do

wschodniego skrzydła. Następnym dziesięciu zdecydowało się na to samo. Yabu poprowadził kolejną szarżę, która nie napotkała oporu, bo ninja sprawnie wycofali się na parter, a stamtąd do piwnic.

Rozpoczęła się walka o ślepy korytarz we wschodnim skrzydle.

W pokoiku słychać było zgrzytanie. Napastnicy dobierali się do drzwi przy podłodze i zawiasach. Raptem rozległo się stukanie i ostry głos. Dwie służące zaczęły szlochać.

- Co powiedział? - spytał Blackthorne.

Mariko oblizwała suche wargi.

- Powiedział, że jeżeli nie otworzymy drzwi i nie poddamy się, to.. je wysadzi.

- Mogą to zrobić, Mariko-san?

- Nie wiem. Mogą. . mogą użyć prochu i. . - Mariko sięgnęła za pas. - Gdzie mój nóż?

Wszystkie damy sięgnęły po broń. Żadna nie miała sztyletu. Blackthorne miał naładowany pistolet i długi miecz. Krótki miecz zgubił podczas ucieczki.

Głos za drzwiami coraz gniewniej domagał się usłuchania rozkazu. Kobiety spojrzały na Blackthorne'a. Mariko wiedziała, że została zdradzona, i nie ma dla niej ratunku.

- Powiedział, że jeżeli otworzymy drzwi i poddamy się, zatrzymają tylko ciebie, a nas puszcza wolno. - Mariko odgarnęła pasmo włosów z twarzy. - Chcą wziąć ciebie jako zakładnika, Anjin-san.

Blackthorne ruszył do drzwi, żeby je otworzyć, ale Mariko błagalnie zastąpiła mu drogę.

- Nie, Anjin-san, to podstęp - rzekła. - Im nie o ciebie chodzi, tylko o mnie! Nie wierz im, jak ja im nie wierzę.

Uśmiechnął się, pogłaskał ją i sięgnął do zasuw.

- Chodzi im o mnie, to podstęp! Przysięgam! Nie wierz im proszę - mówiła chwytając za jego miecz. Zdążyła go do połowy wyciągnąć, zanim zorientował się i schwycił ją za rękę. - Nie! - zabronił.

- Przestań!

- Nie oddawaj mnie w ich ręce! Nie mam noża! Błagam, Anjin-san!

Wyrywała mu się, ale odsunął ją na bok i położył rękę na górnej zasuwie.

- Dōzo - zwrócił się do pozostałych, gdy Mariko rozpaczliwie uczepiła się jego ręki.

Podeszła Achiko, żeby ją uspokoić, ale Mariko odepchnęła ją z krzykiem:

- Błagam, Anjin-san, to podstęp, jak mi Bóg miły!

Zasuwa ustąpiła.

- Chcą mnie wziąć żywą! - krzyczała Mariko. - Nie rozumiesz?! Chcą mnie pojmać, schwytać żywą, a wtedy wszystko na nic, jutro Toranaga musi przekroczyć granicę, błagam cię, to podstęp, Bóg mi świadkiem. .

Achiko obejmowała Mariko, przekonywała ją, odciągała, a na Blackthorne'a kiwnęła, żeby otwierał drzwi. - Isogi, isogi, Anjin-san. Blackthorne - otworzył środkową zasuwę.

- Tyle krwi się polało, na Boga, niech to nie będzie nadaremno. Pomóż mi! Pamiętaj, co przysięgałeś!

Dotarło do niego znaczenie jej słów. Wystraszony zasunął obie zasuwę.

- Dlaczego miałiby. .

Przerwało mu łomotanie w drzwi, żelazo zabrzęczało o żelazo, ktoś przemówił, kończąc krótkim okrzykiem. Zrobiło się cicho. Kobiety rzuciły się pod ścianę.

- Odejdź od drzwi - krzyknęła Mariko, cofając się. - Zaraz je wysadzi!

- Powstrzymaj go przez chwilę - rzekł Blackthorne i doskoczył do drzwi prowadzących na balkon. - Lada chwila przybędą nasi. Ruszaj zasuwami, powiedz, że się zacięły.

Spróbował odsunąć górną zasuwę na drugich drzwiach, ale była zardzewiała. Mariko podbiegła do drzwi wejściowych, udała, że mocuje się ze środkową zasuwą, przemawiając błagalnie do wojownika po drugiej stronie. Zagrzechotała dolną zasuwą. Gniewny głos niecierpliwił się, Mariko prosiła i zaklinała ze szlochem.

Blackthorne raz po raz uderzał dłonią o oporną zasuwę. Kobiety przyglądały się bezradnie.

Wreszcie zamek odskoczył z brzękiem. Mariko zagłuszyła hałas manipulując przy drugich drzwiach.

Blackthorne zaatakował ostatnią zasuwę. Ręce miał pokierszowane. Ninja ponowił groźne ostrzeżenie. Zrozpaczony Blackthorne wyszarpnął miecz i zaczął uderzać rękojeścią jak młotkiem, nie zważając na hałas. Mariko zagłuszała go jak mogła. Zasuwa ani drgnęła.

Za drzwiami przywódca specjalnego oddziału ninja szalał z wściekłości. Ta kryjówka zupełnie go zaskoczyła. Przywódca rodu dał mu rozkaz - schwytać Todę Mariko żywą, rozbroić, przekazać Szarym, którzy czekali w podziemnym tunelu. Wiedział, że ma coraz mniej czasu. Słyszał walkę toczącą się w korytarzu przed salą audiencyjną i gryzło go, że byłoby już z pewnością na dole, gdyby nie ta szczurza nora i głupi, w gorącej wodzie kąpany brat. To mi się trafił braciszek, pomyślał.

Trzymał w ręku świecę, usypana z prochu dróżka prowadziła do beczulek, które przynieśli ze sobą w workach, żeby po ucieczce wysadzić w powietrze tajne wyjście z piwnic. Nie wiedział, co robić. Żeby dostać się do środka, musiał wysadzić drzwi. Ale stała za nimi Toda, więc wybuch zabiłby ją,

a pewnie pozostałych także, niszcząc cel okupionej tyłoma stratami wyprawy.

Nadbiegł jeden z jego ludzi.

- Pośpiesz się! - szepnął. - Jeszcze trochę i nie powstrzymamy ich! - Popędził z powrotem.

Przywódca podjął decyzję. Dał znak, żeby wszyscy schowali się i krzyknął ostrzegawczo do uwięzionych:

- Odejdźcie! Wysadam drzwi!

Przyłożył świecę do prowizorycznego lontu, odskoczył. Zatrzeszczało i wąż prochu ożył.

Blackthorne szarpnął boczne drzwi i otworzył je. Wionęło wonne powietrze. Kobiety wypadły na balkon. Pani Etsu potknęła się, ale Blackthorne podtrzymał ją w porę, wypchnął z pokoju i obrócił się. Nie odstępując na krok od żelaznych drzwi Mariko zawołała:

- Ja, Toda Mariko, protestuję przeciwko tej haniebnej napaści i swojej śmiercią. .

Skoczył do niej, ale wybuch odrzucił go na bok. Wyrwane z zawiasów drzwi przeleciały przez pokój i odbiły się z jękiem od ściany. Kobiety na balkonie poprzewracały się. Kłęby dymu buchnęły do pokoju, a zaraz potem wpadli ninja. Wygięte drzwi wylądowały w kącie.

Przywódca klęknął obok Mariko, pozostali otoczyli go obronnym pierścieniem. Nie było wątpliwości, Mariko umierała. Karma, pomyślał i poderwał się. Ogluszony Blackthorne powoli odzyskiwał przytomność, z nosa i uszu pociekła mu krew. W kącie leżał skrzywiony pistolet.

Ninja zrobił krok naprzód i stanął. W drzwiach od balkonu ukazała się Achiko. Rozpoznał ją.

Zerknął na Blackthorne'a, którego nienawidził za to, że miał pistolet i tchórzliwie strzelał przez drzwi, za pierwszym razem zabijając, za drugim raniąc. Znów spojrzał na Achiko i sięgnął po nóż.

Rzuciła się na oślep i osunęła na podłogę z nożem wbitym w lewą pierś. Ninja podszedł bez gniewu, wyciągnął nóż z drgającego ciała. Wypełnił ostatni z rozkazów pochodzących, jak przypuszczał, od Ishido, choć nie sposób było tego dowieść. Miał nie ścinać głowy pani Todzie, gdyby udało jej się odebrać sobie życie, chronić barbarzyńcę, a kobiety pozostawić nietknięte z wyjątkiem Kiyamy Achiko. Nie wiedział, dlaczego rozkazano mu ją zabić, ale zapłacono za to, więc zginęła.

Dał sygnał do odwrotu. Jeden z jego ludzi przyłożył do ust róg i zagrał, ostry dźwięk rozniósł

się po całym zamku. Przywódca jeszcze raz obejrzał Mariko. Przyjrzał się dziewczynie i barbarzyńcy, któremu życzył śmierci. Wreszcie odwrócił się i poprowadził oddział przez pokoje i korytarze do sali audiencyjnej. Broniący wejścia ninja odczekali, aż oddział specjalny wycofa się, rozrzućli bomby zapalające i dymne i uciekli. Przywódca z czerwonym kółkiem osłaniał ich. Kiedy wszystkim udało się umknąć, rozsypał na podłodze śmiertelne pułapki - kolczaste metalowe kulki z trucizną. Rzucił się do ucieczki, gdy do sali audiencyjnej wpadli przez zasłonę dymną pierwsi

Brązowi. Ci, którzy chcieli biec za nim, kaleczyli stopy o zatrute kolce i krzyczeli, skazani na śmierć. W warownej kryjówce słyhać było tylko chrapliwy oddech Blackthorne'a. Kiri, która leżała na balkonie z poobcieranymi rękoma i w podartym kimonie, podniosła się z trudem. Weszła do pokoiku, krzyknęła na widok Achiko, dowlokła się do Mariko i osunęła na kolana. Następny wybuch wstrząsnął zamkiem, aż podniósł się kurz, rozległy się krzyki i wołanie „pali się”. Do pokoiku napłynęły kłęby dymu. Sazuko i służące podniosły się z podłogi. Sazuko miała posiniaczoną twarz i ramiona, złamaną rękę. Zobaczyła zastygłą w śmiertelnym przerażeniu twarz Achiko, i zaszlochała.

Kiri obejrzała się na nią i wskazała Blackthorne'a. Dziewczyna podeszła do Kiri i zobaczyła Mariko. Rozplakała się. Po chwili wzięła się w garść i zawróciła do Blackthorne'a, żeby pomóc mu wstać. Podbiegły służące. Podtrzymywany przez nie, podniósł się z trudem, zachwiał i upadł rzęząc.

Z uszu sączyła mu się krew. Do pokoju wpadli Brązowi. Rozejrzeli się przerażeni.

Kiri klęczała przy Mariko. Jeden z samurajów pomógł jej wstać, pozostali tłoczyli się wokół.

Rozstąpili się, kiedy nadszedł Yabu. Był blady i zdenerwowany, ale kiedy zobaczył, że Blackthorne żyje, trochę się uspokoił.

- Sprowadźcie lekarza! Szybko! - rozkazał i przykląkł przy dogorywającej Mariko. Twarz miała właściwie nietkniętą, ale ciało poszarpane. Yabu zdarł z siebie kimono i przykrył ją po szyję.

- Prędko, lekarza - wykrztusił i podszedł do Blackthorne'a. Pomógł mu usiąść i oprzeć się o ścianę.

- Anjin-san! Anjin-san!

Blackthorne był oszołomiony, dzwoniło mu w uszach, prawie nie widział, twarz miał

pokiereszowaną. Kiedy zaczął Odzyskiwać wzrok, zafalowała mu przed oczami postać Yabu, poczuł gryzący dym, ale nie wiedział, kim jest ani co się z nim dzieje. Zdawało mu się, że jest na pokładzie statku, który został uszkodzony w bitwie i czeka na jego pomoc. Wtem zobaczył Mariko i wszystko mu się przypomniało.

Podniósł się, podtrzymywany przez Yabu, i zataczając się doszedł do niej.

Wyglądała tak spokojnie, jakby spała. Uklęknął ciężko, odsunął kimono. Przykrył ją z powrotem. Puls był ledwie wyczuwalny. Po chwili zanikł.

Patrzył na nią chwiejąc się, omal nie upadł. Przyszedł doktor, potrząsnął głową i coś powiedział, ale Blackthorne nic nie słyszał. Wiedział tylko, że śmierć zabrała Mariko i on też nie żyje.

Zrobił nad nią znak krzyża, wypowiedział po łacinie błogosławieństwo i bezgłośnie odmówił

modlitwę. Inni przyglądali mu się. Kiedy skończył, dźwignął się na nogi i wyprostował. Głowa mu pękała, zrobiło mu się czerwono przed oczami, przewrócił się. Pomocne dłonie chwyciły go w porę i ułożyły na podłodze.

- Nie żyje? - spytał Yabu.

- Niewiele mu brakuje - odparł doktor. - Nie wiem, czy nie ma jakiegoś krwotoku.

- Trzeba ich szybko stąd wynieść - rzekł niespokojnie jeden z samurajów. - Jeżeli pożar się rozszerzy, będziemy odcięci.

- Tak - odparł Yabu.

Wyszedł na balkon przywołany przez innego samuraja. Pani Etsu leżała pod ścianą w objęciach służącej. Oczy szklily jej się w poszarzałej twarzy. Z trudem skierowała spojrzenie na Yabu.

- Kasigi Yabu-san?

- Tak, pani.

- Jesteś dowódcą?

- Tak, pani.

Staruszka zwróciła się do służącej.

- Pomóż mi wstać, proszę.

- Zaczekaj, pani, dok. .

- Pomóż mi wstać!

Samuraje na werandzie przyglądali się w milczeniu, jak staruszka wstaje, opierając się na służącej.

- Słuchajcie - powiedziała drżącym głosem. - Ja, Maeda Etsu, żona Maeda Arinosi, władcy Nagato, Iwami i Aki, zaświadczam, że Toda Mariko-sama wolała stracić życie niż dostać się w ręce tych bezwstydných potworów i narazić się na hańbę niewoli. Zaświadczam, że. . że Kiyama Achiko rzuciła się na wojownika ninja i zginęła, ratując się przed hańbiącą niewolą. . że gdyby nie odwaga samuraja barbarzyńcy, pani Toda zostałaby schwytana i poniżona, a my wraz z nią, dlatego jesteśmy mu wdzięczne i nasi panowie też winni mu są wdzięczność za to, że obronił nas przed tą hańbą. .

Oskarżam generała Ishido o to, że zarządził ten haniebny atak. . że zdradził następcę i panią Ochibę. .

- Staruszka zachwiała się, służąca objęła ją mocniej. - Generał Ishido zdradził ich, zdradził Radę Regentów. Proszę was, bądźcie mi świadkami, że nie mogłam żyć z takim wstydem. .

- Nie, pani, nie - szlochała służąca. - Nie pozwolę. .

- Zostaw mnie! Kasigi Yabu-san, pomóż mi, proszę. Odejdź, kobieto!

Yabu podparł panią Etsu niemal nie czując jej ciężaru i kazał służącej odejść. Pani Etsu oddychała z trudem.

- Zaświadczam o prawdzie moich słów swoją śmiercią - powiedziała słabnącym głosem i spojrzała na Yabu. - Byłabym zaszczycona, gdybyś. . . gdybyś został moim sekundantem. Pomóż mi stanąć wyżej.

- Nie trzeba, pani, żebyś umierała.

- Ja już umieram, Yabu-sama - szepnęła tak, żeby inni nie słyszeli. Krwawię, coś we mnie pękło.. Pomóż mi spełnić moją powinność. . . Jestem stara, na nic się nie przydam, a od dwudziestu lat ból towarzyszy mi we dnie i w nocy. Moja śmierć pomoże naszemu panu, ne? - Oczy staruszki roz błysły.
- Ne?.

Yabu ostrożnie pomógł jej stanąć na parapecie, z dumą spełniając prośbę. Pod sobą, w dole, mieli dziedziniec. Przytrzymał staruszkę. Wszyscy jej się ukłonili.

- Powiedziałam prawdę. Zaświadczam to swoją śmiercią - powiedziała utrzymując się na nogach o własnych siłach. Zamknęła oczy z błogim wyrazem, twarzy i rzuciła się w objęcia śmierci.

Regenci zebrali się w Wielkiej Sali w wieży na drugim piętrze. Ishido, Kiyama, Zataki, Ito i Onoshi. Wschodzące słońce rzucało długie cienie, w powietrzu unosił się przykry swąd.

Pani Ochiba też przysła, mocno poruszona, jak wszyscy.

- Przepraszam, generale, nie zgadzam się - rzekł Kiyama napiętym, podniesionym głosem. -

Nie sposób zlekceważyć seppuku pani Tody, męstwa mojej wnuczki, przypieczętowanego śmiercią, oświadczenia pani Maedy. Dochodzi do tego stu czterdziestu siedmiu poległych żołnierzy Toranagi, skrzydło zamku niemal obrócone w perzynę. Nie można przejść nad tym do porządku dziennego.

- Nie można - poparł go Zataki. Przyjechał poprzedniego dnia z Takato i ze skrywaną radością wysłuchał relacji o starciu Mariko z Ishido.- Gdybyśmy pozwolili jej opuścić zamek wczoraj, jak radziłem, nie znaleźlibyśmy się w tym potrzasku.

- Nie jest tak źle, jak myślisz - rzekł Ishido i zacisnął usta.

Ochiba nienawidziła go w tej chwili za to, że zawiódł, że wciągnął ich w tarapaty.

- Ninja zaatakowali, żeby zdobyć łup - dodał:

- I tym łupem miał być barbarzyńca? - prychnął Kiyama. - Taka wielka bitwa o jednego barbarzyńcę?

- Mogliby przecież zażądać okupu, ne? - Ishido wpatrywał się nieugięcie w daimyō siedzącego między Ito Teruzumim i Zatakim. - Chrześcijanie w Nagasaki słono by za niego zapłacili, żywego albo umarłego. Ne?

- Możliwe - zgodził się Zataki. - To podobne do barbarzyńców.

- Mam przez to rozumieć - rzekł rozdrażniony Kiyama - że to chrześcijanie zaplanowali i opłacili tę haniebną napaść?

- Powiedziałem, że to możliwe. Bo tak jest.

- Możliwe, ale mało prawdopodobne - wtrącił Ishido, który nie chciał, żeby otwarty konflikt zburzył delikatną równowagę sił w Radzie Regentów. Rozsadzała go wściekłość, że szpiedzy nie uprzedzili o kryjówce Toranagi, nie mieściło mu się w głowie, że jej budowa otoczona była tak nieprzeniknioną tajemnicą. - Uważam, że ninja przyszli po łup.

- Rozsądne i najzupełniej słuszne przypuszczenie - rzekł Ito ze złośliwym błyskiem w oku. Był

niemłody, niskiego wzrostu, ubrany w bogate szaty, z przypasanymi ozdobnymi mieczami, choć podobnie jak innych wyrwano go z łóżka. Twarz miał umalowaną jak kobieta, poczernione zęby. - Ale może ninja zamierzali zażądać okupu nie w Nagasaki, a w Edo, od pana Toranagi. Czy

barbarzyńca nie jest jego pacholkiem?

Ishido spochmurniał na wzmiankę o Toranadze.

- Zgadzam się, że powinniśmy raczej porozmawiać o panu Toranadze, nie o ninja. To on zapewne wydał rozkaz ataku, ne? Jest zdolny dopuścić się takiej zdrady.

- Nigdy by się na to nie zdobył - zaprotestował Zataki. - Na zdradę owszem, ale nie posłużyłby się tak plugawym narzędziem jak ninja, Tak robią kupcy albo barbarzyńcy. Nie pan Toranaga.

Kiyama z nienawiścią patrzył na Zatakiego.

- Nasi portugalscy przyjaciele w żadnym razie nie posunęliby się do takiej ingerencji w nasze sprawy. Nigdy!

- A czy uwierzyłbyś, panie, że Portugalczycy, a nawet ich księża będą spiskować z chrześcijańskim daimyō z Kiusiu, żeby wydać wojnę niechrześcijanom, wojnę Wspieraną przez inwazję obcych sił?

- Kto spiskował? Są na to dowody?, - Jeszcze nie, panie Kiyama. Ale plotki krążą i pewnego dnia zdobędę dowody. - Zataki zwrócił się do Ishido. - Co począć z tym atakiem? Jakie mamy wyjście? - spytał i spojrział na Ochibę, patrzącą to na Kiyamę, to na Ishido. Wydawała mu się piękna i pociągająca jak nigdy.

- Pan Toranaga, to dla nas oczywiste, zaplanował, że wpadniemy w pułapkę - rzekł Kiyama. -

Urządziła ją Toda Mariko-sama, niech Bóg ma ją w swojej opiece, choć wypada uczcić jej odwagę, honor i poczucie obowiązku.

Ito wygładził fałdkę starannie udrapowanego kimona.

- Nie uważacie, że byłby to doskonały fortel pana Toranagi, taki atak na własnych wasali?

Och, panie Zataki, wiem, że nie użyłby wojowników ninja, ale świetnie potrafi podsuwać pomysły innym tak, żeby brali je za swoje. Ne?

- Wszystko jest możliwe. Ale ninja? To do niego niepodobne. Jest za sprytny, żeby się nimi posłużyć. Nawet za czyimś pośrednictwem. Nie można im ufać. I po co taki zamach na Mariko-samę?

Byłoby mu wygodniej zaczekać, aż my popełnimy ten błąd. Byliśmy w pułapce. Ne?

- Tak. I nadal jesteśmy. - Kiyama spojrział na Ishido. - Tylko głupiec mógł zarządzić napad i tak nam się przysłużyć.

- Może generał słusznie sądzi, że sytuacja nie jest tak poważna, jak myślimy - rzekł Ito. - Żal tylko damy, nieładna spotkała ją śmierć.

- Taka była jej karma. Nie jesteśmy w pułapce - oświadczył Ishido, patrząc twardo na Kiyamę. -

Szczęśliwie się złożyło, że uciekła do kryjówki, bo te plugawe żmije schwytałyby ją.

- Ale nikt jej nie schwytał, generale, można powiedzieć, że popełniła seppuku, nie ona jedna zresztą. Jeżeli teraz nie puścimy wszystkich wolno, inne będą odbierać sobie życie w proteście, a na to nie możemy sobie pozwolić - odparł Kiyama.

- Nie zgadzam się. Wszyscy powinni zostać tutaj, przynajmniej do czasu, kiedy Toranaga-sama nie wkroczy na nasze ziemie.

- To dopiero będzie pamiętny dzień - rzekł Ito z uśmiechem.

- Myślisz, panie, że nie przekroczy granicy? - spytał Zataki.

- To, co myślę, nie liczy się, panie Zataki. Wkrótce dowiemy się, co zamierza. Zresztą to nie ma znaczenia. Tak czy owak Toranaga musi zginąć, jeżeli następca ma objąć tron. - Ito spojrzął na Ishido. - Czy barbarzyńca już umarł, generale?

Ishido potrząsnął głową, patrząc na Kiyamę.

- To byłby pech, gdyby teraz umarł albo został kaleką, taki dzielny człowiek. Ne?

- Ten barbarzyńca to zaraza, im prędzej umrze, tym lepiej. Zapomnieliście już?

- Mógłby okazać się pożyteczny. Zgadzam się z panem Zatakim i z tobą, panie, Toranaga nie jest głupi. Musi mieć dobry powód, żeby tak wysoko go cenić. Ne?

- Racja - odparł Ito. - Jak na barbarzyńcę Anjin-san dobrze się sprawił. Toranaga słusznie zrobił go samurajem. - Spojrzął na Ochibę. - Kiedy dał ci kwiat, pani, pomyślałem, że to gest godny dworzanina i pełen poezji.

Wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

- A co z konkursem poetyckim, pani? - spytał Ito.

- Żałuję, ale trzeba go odwołać - odparła Ochiba.

- Tak - rzekł Kiyama.

- Czy ułożyłeś już, panie, wiersz na konkurs? - spytała.

- Nie. Ale teraz powiedziałbym tak:

Na uschłą gałąź

spadła burza. .

ciemne łączy łąta.

- Niech ten wiersz upamiętni jej śmierć. Była samurajką - rzekł cicho Ito. - Łzy tego lata są też moimi łzami.

- Ale ja wolałabym - wtrąciła Ochiba - inne zakończenie:

Na uschłej gałęzi

Śnieg słuchał. .

Zimowej ciszy.

Zgadzam się jednak z tobą, panie Ito. Głębokie łzy tego lata będą łzami nas wszystkich.

- Daruj, pani, ale mylisz się - rzekł Ishido, - Łzy, owszem, popłyną, ale z oczu pana Toranagi i jego sprzymierzeńców. - Chcąc zakończyć spotkanie, oznajmił: - Natychmiast rozpocznę śledztwo w sprawie napaści ninja. Wątpię, czy kiedykolwiek dojdziemy prawdy. A na razie, ze względu na bezpieczeństwo, z przykrością cofniemy przepustki i zabronimy opuszczać zamek do dwudziestego drugiego dnia.

- Nie - odezwał się z drugiego końca sali trędowaty Onoshi, ukryty za zasłonami palankinu. -

Przykro mi, generale, tego właśnie nie możesz zrobić. Musisz wszystkich, puścić wolno. Wszystkich.

- Zabrzmiało to niemal jak pogrożka.

- Dlaczego?

- Jeżeli tego nie zrobisz, okryjesz hańbą najdzielniejszą damę w cesarstwie, zniesławisz panią Kiyamę Achiko i panią Maedę, oby Bóg ulitował się nad ich duszami. Kiedy rozejdzie się wieść o tym haniebnym postępku, Bóg jeden wie, jak to zaszkodzi następcy i nam wszystkim, jeżeli nie będziemy ostrożni.

Ochibę przeszły ciarki. Rok temu, kiedy Onoshi przybył złożyć wyrazy szacunku umierającemu taikō, strażnicy kazali rozchylić zasłonki, żeby sprawdzić, czy nie ukrył w palankinie broni. Zobaczyła wtedy ohydnie zniekształconą twarz błyszczące fanatycznie oczy, kikut lewej ręki, a w prawej, zdrowej ręce krótki miecz.

Pani Ochiba modliła się, żeby ani ona, ani Yaemon nie zarazili się nigdy trędem. Chciała, żeby narada dobiegła końca, musiała bowiem postanowić co dalej, co począć z Toranagą i z Ishido.

- Po drugie - ciągnął Onoshi - jeżeli ten haniebnny atak stanie się pretekstem, żeby wszystkich zatrzymać, tym samym dasz do zrozumienia, generale, że nie zamierzałeś nikogo wypuścić, chociaż zobowiązałeś się do tego na piśmie. Po trzecie. .

- Rada jednomyślnie postanowiła wydać przepustki! - przerwał Ishido.

- Przepraszam, Rada jednomyślnie zgodziła się z panią Ochibą, która mądrze zaproponowała, by

wydać przepustki na życzenie. Członkowie Rady, podobnie jak pani Ochiba, przypuszczali, że niewielu skorzysta z możliwości wyjazdu, a nawet wówczas dojdzie do opóźnień.

- Chcesz powiedzieć, panie, że damy Toranagi i Toda Mariko nie wyjechałyby, a inne nie poszłyby ich śladem?

- Los tych kobiet nie wpłynąłby ani trochę na zamierzenia pana Toranagi. Musimy myśleć o naszych sprzymierzeńcach! Gdyby nie atak ninja i trzy seppuku, całe to idiotyczne zamieszanie rozeszłoby się po kościach!

- Jestem innego zdania.

- Po trzecie i ostatnie: jeżeli nie puścisz wszystkich wolno po tym, co oświadczyła przy świadkach pani Etsu, większość daimyō oskarży cię, choć nie zrobią tego publicznie, o wydanie rozkazu ataku, zbiorą się nad nami chmury, a potem popłynie dużo łez.

- Nie potrzebuję wysługiwać się wojownikami ninja.

- Oczywiście - odparł Onoshi jadowicie. - Ani ja, ani nikt z tu obecnych. Czuję się jednak, w obowiązku przypomnieć, że potęga następcy opiera się na koalicji około dwustu z dwustu sześćdziesięciu czterech daimyō, i że jest niedopuszczalne, by najwierniejszy chorąży następcy i naczelny dowódca został uznany winnym użycia tak haniebnych metod, winnym rażącego niedołęstwa, skoro atak się nie powiódł.

- Mówisz, panie, że to ja wydałem rozkaz ataku?

- - Skądże, przepraszam. Powiedziałem tylko, że zostaniesz zaocznie skazany, jeżeli nie pozwolisz wszystkim wyjechać.

- Czy jest tu ktoś, kto uważa, że ja wydałem rozkaz?

Nikt otwarcie nie wystąpił przeciw Ishido. Nie było dowodów. Z nikim wcześniej się nie naradzał, a nawet z Kiyamą i Ochibą rozmawiał wymijająco. Wszyscy jednak wiedzieli i byli wściekli, że swoją głupotą doprowadził do niepowodzenia - wszyscy z wyjątkiem Zatakiego. Z drugiej strony Ishido był wciąż panem Osaki, zarządcą skarbu taikō, więc nie można go było tknąć.

- Dobrze - rzekł Ishido stanowczo. - Zatem ninja chcieli zdobyć łup. Sprawę przepustek rozstrzygniemy przez głosowanie. Jestem za tym, żeby je cofnąć.

- Nie zgadzam się - odezwał się Zataki.

- Przykro mi, ja też jestem przeciw - rzekł Onoshi.

Ito zaczerwienił się pod ich wzrokiem.

- Muszę się zgodzić z panem Onoshim, chociaż z drugiej strony. . to bardzo trudne, ne?

- Głosuj - ponaglił Ishido.

- Zgadzam się z tobą, generale.

- Przykro mi, ale ja nie - powiedział Kiyama.

- Dobrze - rzekł Onoshi - więc postanowione. Jak zauważył generał, mamy inne niecierpiące zwłoki sprawy. Musimy wiedzieć, co robi teraz Toranaga. Jak uważacie?

Ishido wpatrywał się posępnie w Kiyamę.

- Co na to powiesz, panie? - spytał.

Kiyama starał się odsunąć od siebie obawy, lęki, nienawiść, dokonać ostatecznego wyboru -

Ishido czy Toranaga. Musiał to zrobić teraz. Dobrze pamiętał, jak Mariko przekonywała go o zdradzie Onoshiego, o zdradzie Ishido, na co Toranaga miał ponoć dowody. Myślał o tym, jaki los czeka następcę i Kościół, gdyby do władzy doszedł Toranaga, a także, co by się stało z japońskim prawem, gdyby do władzy doszli ojcowie święci. W dodatku ojciec wizytator dręczył się obecnością heretyka i jego statku, nie wiadomo, co by było, gdyby przepadła Czarna Karawela, a generał-

gubernator przysięgał na wszystkie świętości, że Anjin-san to czarci pomiot, a Mariko jest narzędziem złych duchów, podobnie jak Rodrigues. Z żalem pomyślał o Mariko, że tyle wycierpiała i zginęła bez rozgrzeszenia, bez księdza, na wieki pozbawiona Bożej łaski. Madonno, zlituj się nad nią.

Tyle łez tego lata.

A jak to było z Achiko? Czy ninja wybrał ją spośród innych, czy zabił byle zabić? Jaka była dzielna, że go zaatakowała, biedne dziecko. Ale dlaczego żyje barbarzyńca? Dlaczego ninja go nie zabili? Powinni mieć taki rozkaz, jeżeli to w głowie Ishido powstał ten haniebny plan, a tak zapewne było. To wstyd dla Ishido, że atak się nie udał - porażka okrywa hańbą. A Mariko! Ile miała odwagi, jak dzielnie i sprytnie schwytała nas do sieci. No i barbarzyńca.

Ja na jego miejscu nie potrafiłbym tak odważnie powstrzymać wojowników ninja ani uchronić Mariko przed hańbą niewoli. I nie tylko ją. Gdyby nie on i tajna kryjówka, pani Mariko zostałaby schwyтана. I Kiritsubo, i Sazuko, i pani Etsu, tak, a nawet Achiko. Moim samurajskim obowiązkiem jest złożyć hołd Anjin-sanowi jako samurajowi. Ne?

Boże, przebacz, że nie poszedłem do Mariko-chan, żeby służyć jej za sekundanta, co było moim chrześcijańskim obowiązkiem. To ten heretyk pomógł jej, wziął ją na ręce, tak jak Chrystus pomagał ludziom, a ja... ja ją opuściłem. Kto jest prawdziwym chrześcijaninem?

- Nie wiem. A jednak on musi umrzeć.

- Co z Toranagą, panie Kiyama? - powiedział Ishido. - Co z naszym wrogiem?

- A co z Kantō? - spytał Kiyama, „wpatrując się w niego.

- Po rozgromieniu Toranagi proponuję oddać Kantō jednemu z regentów.

- Któremu?

- Tobie, panie - odrzekł wprost Ishido, po czym dodał: - Albo może Zatakiemu, panu Shinano.

Kiyama uznał to za mądrą odpowiedź, gdyż Zataki był bardzo potrzebny, dopóki żył Toranaga, a już miesiąc temu Ishido uprzedził go, że Zataki zażądał Kantō jako zapłaty za wystąpienie przeciw Toranadze. Uzgodnili wówczas, że Ishido powinien obiecać mu prowincję, choć obietnica ta miała pozostać gołosłowna. Obaj uważali, że za taką bezczelność Zataki powinien zapłacić życiem i swoją prowincją, kiedy nadejdzie stosowna pora.

- Zbyt wielki to dla mnie zaszczyt - powiedział Kiyama, uważnie oceniając, kto z obecnych jest z nim, a kto przeciw.

- Cenna propozycja, z pewnością warta omówienia, ne? - rzekł Onoshi z trudem kryjąc dezaprobatę. - Ale później. Teraz interesuje nas, co zrobi obecny pan Kantō.

- A więc? - Ishido patrzył wciąż na Kiyamę.

Kiyama wyczuł wrogość Zatakiego, zamaskowaną niewzruszonym wyrazem twarzy. Dwóch przeciw mnie, pomyślał, i Ochiba, ale ona nie ma prawa głosu. Ito zawsze będzie głosował za Ishido, więc wygram - o ile Ishido nic nie ukrywa. Tak czy nie, zastanawiał się patrząc na zaciętą twarz generała. Wreszcie zdecydował się wypowiedzieć swoje zdanie. - Pan Toranaga nie przybędzie do Osaki.

- Dobrze - rzekł Ishido. - Zatem został izolowany, wyjęty spod prawa. Przygotowane jest już do podpisu Najjaśniejszego cesarskie zaproszenie do popełnienia seppuku. A to oznacza koniec Toranagi i jego rodu.

- Tak. Jeżeli Syn Niebios przybędzie do Osaki.

- Co?

- Zgadzam się z panem Ito - ciągnął Kiyama, który wolał mieć w nim sprzymierzeńca niż wroga. - Pan Toranaga jest przebiegły jak mało kto. Myślę, że potrafiłby nawet, nie dopuścić do przyjazdu Najjaśniejszego.

- To niemożliwe!

- A jeżeli wizyta zostanie odłożona na później? - spytał Kiyama. Gardził Ishido za porażkę, dlatego sprawiło mu przyjemność jego zmieszanie.

- Syn Niebios przybędzie zgodnie z planem!

- A jeżeli nie?

- Powiadam, że przybędzie!

- A jeżeli nie?

- Jak pan Toranaga mógłby to osiągnąć? - spytała pani Ochiba.

- Nie wiem. Ale jeżeli Najjaśniejszy zechce opóźnić przyjazd o miesiąc. . nic na to nie poradzimy. Pan Toranaga jest niedościgłym mistrzem przewrotnych intryg. Może być zdolny do wszystkiego, nawet oplatania intrygą Syna Niebios.

Zapadła grobowa cisza. Monstrualna myśl i jej konsekwencje przygniotły zebranych.

- Bądź łaskaw wyjaśnić, panie, co.. co wtedy? - spytała Ochiba, wyrażając wątpliwości, które ogarnęły wszystkich.

- Wojna! - odparł Kiyama. - Już dziś, potajemnie, rozpoczniemy mobilizację. Poczekamy, aż wizyta zostanie odłożona. Będzie to znak, że Toranaga narzucił swoją wolę Najwyższemu. Tego samego dnia pomaszerujemy na Kantō, w czasie pory deszczowej.

Wtem zadrżała podłoga. Zajęczały belki, ale pierwszy lekki wstrząs trwał krótko.

Po chwili nastąpił drugi. Silniejszy. W kamiennej ścianie zarysowała się od dołu szczelina.

Posypał się kurz. Zatrzeszczał drewniany szkielet komnaty, zastukały osuwające się dachówki.

Ochibie zrobiło się słabo, poczuła mdłości. Myślała, czy to jej karma zginąć pod kupą gruzu.

Przyłgnęła do drżącej podłogi i czekała tak jak inni na zamku - wraz z całym miastem i statkami w porcie - na właściwe trzęsienie ziemi.

Nic takiego jednak się nie stało. Wstrząsy ustąpiły. Życie zaczęło się od nowa. Radość wlała się do serc, w kamiennych murach rozbrzmiał śmiech. Wszyscy poczuli, że tym razem - o tej godzinie, tego dnia - kataklizm ich nie dosięgnie.

- Shigata ga nai - rzekł zeszywniały Ishido. - Ne?

- Tak - odparła rozradowana Ochiba.

- Głosujmy - powiedział Ishido rozkoszując się smakiem istnienia. - Jestem za wojną!

- I ja!

- I ja!

- I ja!

- I ja!

Po odzyskaniu przytomności Blackthorne wiedział od razu, że Mariko zginęła, pamiętał też, w jaki

sposób i dlaczego. Leżał na futonach, strzeżony przez Szarych, widział nad sobą belkowany sufit, raziło go słońce, otaczała niesamowita cisza. Przyglądał mu się doktor. Opuścił go największy lęk, lęk o utratę wzroku.

Doktor uśmiechnął się i powiedział coś, ale Blackthorne nie usłyszał. Kiedy spróbował się podnieść, oślepił go ból, huk rozsadził uszy. Czuł jeszcze w ustach gryzący smak prochu, wszystko go bolało.

Znów stracił przytomność, a potem poczuł, jak ktoś delikatnie unosi mu głowę, przytyka do ust filiżankę. Cierpkawa cha o jaśminowym aromacie splukala smak prochu. Dźwignął powieki. Doktor znów coś powiedział, ale on nie usłyszał. Zdusił podchodzący do gardła strach, przywołując w pamięci wybuch, martwą Mariko, rozgrzeszenie, którego udzielił jej przed śmiercią, nie mając do tego prawa. Odepchnął od siebie to wspomnienie i powrócił myślami do innego wybuchu - tego, który wyrzucił go za burtę, a staremu Caradocowi urwał nogi. Wówczas też nie docierały do niego dźwięki, tak samo go bolało, tak samo szumiało w uszach, ale po kilku dniach odzyskał słuch.

Nie ma co się martwić, orzekł. Przynajmniej na razie.

Zwrócił uwagę na długość cieni i zabarwienie słonecznego światła. Wczesny ranek, pomyślał i podziękował Bogu za to, że zachował wzrok.

Zobaczył poruszające się usta doktora, ale żaden dźwięk nie przebił się przez szalejącą mu w głowie burzę.

Ostrożnie obmacał twarz. Nie bolała go, wszystko było całe. Teraz szyja, ręce, tors. Żadnych obrażeń. Z ociąganiem przesunął ręce niżej, do przyrodzenia. Nie został okaleczony jak Alban Caradoc, więc podziękował Bogu, że nie przeżył utraty męskości tak jak on.

Odpoczął chwilę, bo głowa bolała go strasznie. Potem obmacał nogi. Wszystko w porządku.

Ostrożnie przyłożył ręce do uszu, docisnął, otworzył usta, przełknął ślinę, spróbował ziewnąć, żeby odetkać uszy, ale skończyło się to nasileniem bólu.

Odczekani półtora dnia, przyrzekł sobie, a nawet, jeśli trzeba, dziesięć razy dłużej, ale bać się nie będę.

Doktor dotknął go poruszając ustami.

- Przepraszam, nie słyszę - powiedział spokojnie Blackthorne, słysząc te słowa tylko w głowie.

Doktor skinął głową i znów coś powiedział. Blackthorne odczytał z ruchu warg: „Rozumiem.

Teraz śpij, proszę”.

Ale on przecież nie mógł spać. Musiał ułożyć plan działania. Musiał wstać, wyjść stąd, popłynąć do Nagasaki, zebrać tam artylerzystów i marynarzy, żeby zdobyć Czarną Karawelę. Nie miał już o czym myśleć, co wspominać. Nie miał powodu wcielać się w samuraja czy Japończyka. Więzi zostały, przecięte, długi i przyjaźnie anulowane. Dlatego, że jej już nie było..” .

Uniósł się i znów oślepił go ból. Pokonując go usiadł. Zakręciło mu się w głowie, powróciło wspomnienie, które przeżywał we śnie - że jest w Anjiro w czasie trzęsienia ziemi, grunt przesuwa się i pęka, a on skacze w szczelinę, żeby ratować Toranagę i Mariko, zanim połknie ich ziemia. Jak wtedy czuł zimną, lepką wilgoć, ziejący z czeluści odór śmierci, słyszał śmiech zolbrzymiałego we śnie Toranagi.

Zmusił się do patrzenia. Zawroty głowy ustąpiły, mdłości również. Poprosił o cha, żeby pozbyć się powracającego smaku prochu. Napojono go, a kiedy wyciągnął ręce, ktoś pomógł mu wstać. Bez tej pomocy byłby się przewrócił. Cały był obolały, ale przynajmniej wiedział, że nie odniósł

poważnych obrażeń poza uszkodzeniem słuchu, że wyleczy go odpoczynek, masaże i czas. Jeszcze raz podziękował Bogu za to, że żyje, widzi i nie jest kaleką. Szarzy pomogli mu usiąść, położyć się.

Słońce przesunęło się o kwadrant, zanim otworzył oczy nie zdając sobie sprawy, że się przespał. Dziwne, pomyślał mierząc wzrokiem długość cieni. Byłbym przysięgł, że ledwie świta.

Widocznie oczy spletały mi figła. Wygląda na koniec przedpołudniowej wachty. To mu przypomniało Albana Caradoca, więc jeszcze raz się obmacał, dla pewności.

Poczuł czyjeś dotknięcie. Zobaczył nad sobą Yabu, który mówił coś do niego.

- Przepraszam - powiedział wolno. - Na razie nic nie słyszę, - Yabu-san. Niedługo będę zdrow.

Uszy bolą, rozumiesz?

Yabu skinął głową, marszcząc brwi. Porozmawiał chwilę z doktorem, a potem na migi wyjaśnił, że zaraz wróci i żeby Blackthorne do tego czasu odpoczywał.

- Poproszę kąpiel i masaż - powiedział Blackthorne.

Zajął się nim troskliwe ręce. Drzemał pod kojącym dotykiem palców, rozkoszował się ciepłem i aromatem olejków, które delikatnie wcierano mu w ciało. I przez cały czas snuł plany.

Przyszli Szarzy i przenieśli go śpiącego w palankinie do izby w głębi wieży. Nie obudził się.

Zmogło go znużenie i lecznicze, usypiające zioła.

- Nie dosięgnie go tu żaden nieprzyjaciel - rzekł Ishido.

- Kiyama? - spytała Ochiba.

- Żaden chrześcijanin. - Ishido dał znak strażnikom, żeby mieli się na baczności, wyszedł na korytarz, a stamtąd do zalanego słońcem ogrodu.

- Czy dlatego zginęła pani Achiko? Bo była chrześcijanką?

Ishido kazał ją zabić na wypadek, gdyby nasłał ją dziadek Kiyama, żeby uśmierciła Blackthorne'a.

- Nie mam pojęcia - powiedział.
- Trzymają się razem jak rój pszczół. Jak ktokolwiek może wierzyć w te ich religijne -
bzdury?

- Nie wiem. Tak czy owak wytępiamy ich, i to niedługo.

- Jak chcesz to osiągnąć, generale, skoro tyle zależy od ich dobrej woli?

- Obietnicami, dopóki żyje Toranaga. Kiedy zginie, skoczą sobie do gardeł. Będziemy dzielić i
rządzić. Czyż nie tak robi Toranaga, a przed nim taikō? Kiyama chce dostać Kantō, ne? Więc będzie
posłuszny. Po to właśnie obiecałem mu Kantō, w nieokreślonej przyszłości. Onoshi? Kto wie, czego
chce ten szaleniec. . wiadomo tylko, że chciałby przed śmiercią splunąć na głowę Toranagi i Kiyamy.

- A jeżeli Kiyama dowie się o twojej obietnicy danej Onoshiemu, że ziemie Kiyamy będą jego, albo
o twoich zamiarach dotrzymania obietnicy danej Zatakiemu, jego kosztem?

- Kłamstwa, pani, szerzone przez nieprzyjaciół - odrzekł Ishido, spoglądając na nią. - Onoshi chce
głowy Kiyamy. Kiyama chce dostać Kantō. Zataki tak samo.

- A ty, generale? Czego ty chcesz?

- Po pierwsze, żeby następca szczęśliwie ukończył piętnaście lat i objął władzę. Żebyście oboje,
pani, byli do tego czasu bezpieczni. Nic więcej.

- Nic więcej?

- Nie, pani.

Kłamca, pomyślała Ochiba. Ułamała kwiat, powąchała, zachwycona zapachem ofiarowała go Ishido.

- Śliczny, ne?

- Tak - odparł Ishido, przyjmując kwiat. - Dziękuję.

- Yodoko-sama miała piękny pogrzeb. Należą ci się gratulacje, generale.

- Żałuję, że umarła. Zawsze udzielała cennych rad.

Szli chwilę w milczeniu.

- Czy już wyjechały? - spytała Ochiba. - Kiritsubo-san i pani Sazuko z synem?

- Nie. Wyjadą jutro. Po pogrzebie pani Tody. Wiele wyjedzie jutro, to niedobrze.

- Przepraszam, czy to ma jakieś znaczenie? Teraz, kiedy uznaliśmy, że Toranaga-sama nie przybędzie
do Osaki?

- Myślę, że tak. Ale to nieważne, dopóki mamy w ręku zamek w Osace. Nie, pani, musimy być cierpliwi, jak powiedział Kiyama. Poczekamy do wyznaczonego dnia. Wtedy ruszymy.

- Po co czekać? Nie można wyruszyć od razu?

- Trochę potrwa, zanim zbiorą się nasze armie. - Ilu żołnierzy stanie przeciw Toranadze?

- Trzysta tysięcy. Co najmniej trzy razy tyle, co po stronie Toranagi.

- A mój garnizon?

- Zostawię osiemdziesiąt tysięcy doborowych wojowników w obrębie murów i dalszych pięćdziesiąt tysięcy na przejściach.

- A Zataki?

- Zdradzi Toranagę.

- Nie dziwi cię, generale, że pan Sudara, moja siostra i wszystkie jej dzieci udały się w odwiedzinę do Takato?

- Nie. Zataki oczywiście udał, że doszedł do potajemnego porozumienia z przyrodnim bratem.

Ale to wybieg, nic więcej. On go zdradzi.

- Zapewne, w jego żyłach płynie przecież ta sama zła krew - powiedziała z niesmakiem. - Ale ciężko bym przeżywała, gdyby mojej siostrze i jej dzieciom coś się stało.

- Nic się nie stanie, pani. Jestem tego pewien.

- Jeżeli Zataki gotów był podnieść rękę na własną matkę. . ne? Czy aby ciebie nie zdradzi?

- Nie. W decydującej chwili, nie. Dlatego, że nienawidzi Toranagi bardziej niż mnie, pani, nade wszystko zaś szanuje ciebie i pożąda Kantō. - Ishido uśmiechnął się, spoglądając na zwaliste mury. - Dopóki zamek jest nasz i można komuś obiecać Kantō, nie ma się czego bać.

- Bałam się dziś rano - powiedziała przytykając do nosa nowy kwiat i zaciągając się jego aromatem, jakby chciała zatrzeć prześladowające ją wspomnienie strachu. - Chciałam uciekać, ale przypomniały mi się słowa wróżbity.

- Hm? A, tego wróżbity. Zapomniałem o nim - rzekł Ishido z ponurym uśmiechem.

Chiński posłaniec, wróżbita, przepowiedział kiedyś, że taikō umrzeć w łóżku i zostawi zdrowego syna, że Toranaga zginie od miecza będąc jeszcze w wieku średnim, Ishido zaś umrze w podeszłym wieku, jako słynny w całym cesarstwie generał, ze stopami wbitymi w ziemię. Oraz że pani Ochiba dokona żywota w zamku w Osace otoczona przedstawicielami najznamienitszych rodów cesarstwa.

- Tak, zupełnie o nim zapomniałem - powtórzył Ishido. - Toranaga jest w średnim wieku, ne?

- Tak.

Ochiba poczuła świdrujące ją spojrzenie. Ugięły się pod nią kolana na wspomnienie mężczyzny, który ją przygniótł, wziął, spłodził w niej nowe życie. A potem narodziny z honorami, zupełnie inne niż poprzednio, kiedy przerażeniem napawała ją myśl, jakie będzie to dziecko, które miało przyjść na świat.

Jaka ja jestem głupia, pomyślała idąc cienistą, pełną woni alejką. Muszę odpędzić te zwidy, bo przecież niczym innym nie są. Myślałam o mężczyźnie w ogóle.

Ni stąd, ni zowąd zapragnęła, żeby szedł koło niej Toranaga, a nie Ishido, żeby Toranaga był

panem na zamku w Osace, włodarzem skarbu taikō, protektorem następcy, naczelnym wodzem Armii Zachodu - a nie Ishido. Nie byłoby wówczas tych kłopotów. Razem objęliby w posiadanie wszystkie ziemie, cały kraj, a dziś, w tej chwili, wabiłaby go do łóżka albo na słoneczną polanę, jutro zaś, pojutrze wzięliby ślub, przyszłość nie miałaby znaczenia, tylko teraźniejszość, dziś brałaby w posiadanie i oddawałaby się w posiadanie i byłaby spokojna.

Sięgnęła po gałązkę gardenii, przyciągnęła ją do siebie i syciła się bogatym zapachem.

Odsuń od siebie marzenia, nakazała sobie w duchu. Stąpaj po ziemi jak taikō. Jak Toranaga.

- Co zrobisz z Anjin-sanem? - spytała.

- Przypilnuję, żeby mu głowa z karku nie spadła - odparł Ishido ze śmiechem. - Może pozwolę mu zdobyć Czarną Karawelę, a w razie potrzeby posłużę się nim jako straszakiem na Kiyamę i Onoshiego. Obaj go nienawidzą, ne? O tak, to miecz przyłożony im do gardeł, broń przeciw nim i ich kościołowi.

- Jaką wartość dałbyś Anjin-sanowi, generale, w rozgrywce szachowej następcy z Toranaga?

Pionek? Czy może koń?"

- Ach, pani, w Wielkiej Grze to zaledwie pionek - odparł bez namysłu Ishido, - Ale w rozgrywce następcy przeciw chrześcijanom to wieża, co najmniej wieża, a może dwie.

- Czy obie gry nie są ze sobą powiązane?

- Owszem, są, ale Wielka Gra rozstrzygnie się, kiedy daimyō wystąpi przeciw daimyō, samuraj przeciw samurajowi, miecz przeciw mieczowi. W obu grach ty, pani, jesteś oczywiście królową.-

- Nie, generale, przepraszam, nie jestem królową - odparła zadowolona, że zwrócił na to uwagę. Na wszelki wypadek zmieniła temat. - Krąży plotka, że Anjin-san i Mariko-san poduszkiwali ze sobą.

- Tak. Też o tym słyszałem. Chciałabyś poznać prawdę? Ochiba potrząsnęła głową.

- Nie do pomyslenia, że to się mogło zdarzyć. Ishido pilnie jej się przyglądał.
 - Uważasz, pani, że pozbawienie jej honoru coś by dało? Teraz? I zniszczenie razem z nią Buntaro-sana?
 - Nic takiego nie przyszło mi na myśl, generale. Zastanawiałam się tylko, kobieca słabość. Pan Kiyama dobrze to nazwał: ciemne łązy lata. To takie smutne, ne?
 - Bardziej podobał mi się twój wiersz, pani. Obiecuję, że łązy popłyną po stronie Toranagi.
 - Wracając do Buntaro-sana, może ani on, ani pan Hiro-matsu nie będą walczyć po stronie pana Toranagi.
 - Czy to pewne?
 - Nie, generale, ale możliwe.
 - A może mogłabyś coś zrobić, pani?
 - Jedyne, co mogę, to zwrócić się do nich z prośbą o poparcie następcy. . i do wszystkich generałów Toranagi, kiedy okaże się, że bitwa jest nieunikniona.
 - Już wiadomo, gdzie i jak się odbędzie. Zwierające się od północy i południa kleszcze, decydujące starcie pod Odawarą.
 - Tak, ale to jeszcze nie przesądzone, dopóki wojska nie staną naprzeciw siebie na polu bitwy. . Przepraszam, czy to na pewno mądre posunięcie postawić następcę na czele armii ?
 - Ja stanę na czele armii . Obecność następcy jest konieczna, bo wtedy Toranaga nie wygra.
- Nawet on nie zaatakuje chorągwi następcy.
- Czy następca nie byłby bezpieczniejszy tutaj, ze względu na zabójców, amidów. . Nie wolno nam narażać jego życia. Toranaga ma długie ręce, ne?
 - Tak, ale nie aż tak długie. Chorągiew następcy po naszej stronie oznacza, że Toranaga buntuje się przeciw prawowitej władzy. Znam Toranagę. Uszanuje prawo. Jego głowa trafi na ostrze włóczni. Już zapadł na niego wyrok, pani. Kiedy zginie, wytrzebię chrześcijan. Wtedy będziecie bezpieczni, ty i następca.

Spojrzenie Ochiby wyraziło niemą obietnicę.

- Będę się modlić za twoją pomyślność i bezpieczny powrót. Ishido wyprężył się. Tak długo czekał.
- Dziękuję, pani, dziękuję. Nie zawiodę cię.

Ukloniła się i odwróciła. Co za bezczelność, pomyślała, spodziewać się, że wezmę chłopca za męża.

Co teraz? Odrzucić Toranagę czy nie?

Del 'Aqua klęczał przed ołtarzem w ruinach kapliczki. Dach zawalił się prawie cały i częściowo jedna ściana, ale trzęsienie ziemi nie zniszczyło prezbiterium, ocalał piękny witraż i rzeźba Madonny - przedmiot dumy del 'Aqy.

Popołudniowe słońce wpadało między połamanymi belkami stropu. W ogrodzie krzatali się robotnicy usuwając gruz, ich wesołe głosy dobiegały do del 'Aqy wraz z pokrzykiwaniem mew. Wiatr przynosił drażniącą woń słonej wody, dymu, wodorostów i mokradeł. Zapach ten przypominał mu rodzinny dom pod Neapolem, gdzie wraz z aromatem morza wdychał zapach cytryn i pomarańczy, ciepłego chleba, makaronu, czosnku i pieczeni jagnięcej. W dużym okazałym domu dźwięczał głos matki, głosy braci i sióstr, których dzieci baraszkowały w złotym słońcu.

Madonno, modlił się, spraw, żebym wrócił do domu. Tak długo byłem w obcych stronach. Z dala od domu i od Watykanu. Madonno, zdejmij ze mnie to brzemię. Przebac, mam dość japońskiego, Ishido, zabijania, surowych ryb, Toranagi, Kiyamy, ryżowych chrześcijan i wysiłków, których celem jest ożywanie Twojego Kościoła. Obdarz mnie Twoją siłą.

Chroń nas przed hiszpańskimi biskupami. Hiszpanie nie rozumieją Japonii ani Japończyków.

Zniszczą dzieło, które rozpoczęliśmy ku Twojej chwale. Przebac swojej słudze, Marii, i przyjmij ją do siebie. Opiekuj się. .

Usłyszał kroki w nawie. Skończył modlitwę i wstał.

- Przepraszam, że przeszkadzam, eminencjo - powiedział ksiądz Soldi. - Prosiłeś, żeby zawiadomić cię od razu. Ojciec Alvito przysłał szyfrowany list z Mishimy. Właśnie przyleciał gołąb.

- I?

- Pisze, że spotka się dziś z Toranagą. Wczoraj to było niemożliwe, bo Toranagą wyjechał z Mishimy, ale ma wrócić dziś w południe. List datowany jest dzisiaj o świcie.

Del 'Aqua ukrył rozczarowanie, popatrzył na niego, na chmury, jakby wśród nich szukał

pocieszenia. Wiadomość o ataku ninja i śmierci Mariko wysłano do Alvity o świcie, dla pewności posyłając dwa gołębie.

- Nasza wiadomość powinna już dotrzeć - rzekł Soldi.

- Taką mam nadzieję.

Ojciec wizytator wyszedł z kaplicy, przemierzył krużganek i skierował się do kancelarii. Niski Soldi podbiegał za nim jak ptaszek, z trudem nadążając.

- Jest jeszcze jedna wiadomość ogromnej wagi, eminencjo - powiedział Soldi. - Nasi informatorzy donieśli, że wczesnym rankiem regenci przegłosowali decyzję o wojnie.

- O wojnie? - Del 'Aqua stanął jak wryty.

- Najwyraźniej uznali, że Toranagą nie przybędzie do Osaki, cesarz także. Dlatego postanowili razem wystąpić przeciw Kantō.

- To nie pomyłka?

- Nie, eminencjo. Będzie wojna. Kiyama przesłał wiadomość przez brata Michała, potwierdzającą wieści z innego źródła. Michał właśnie wrócił z zamku. Decyzję podjęto jednogłośnie.

- Kiedy zacznie się wojna?

- Kiedy będą mieli pewność, że cesarz nie przybędzie do Osaki.

- Ta wojna nie będzie miała końca. Boże zmiłuj się nad nami! I miej w opiece Mariko, dzięki której Kiyama i Onoshi dowiedzieli się zawczasu o perfidi Toranagi.

- A Onoshi, eminencjo? A jego perfidia wobec Kiyamy?

- Nie mam dowodów, Soldi. Zapewne wyssano to z palca. Nie mogę uwierzyć, że Onoshi byłby do tego zdolny.

- A jeżeli tak, eminencjo?

- Na razie jest to niemożliwe, nawet gdyby zostało zaplanowane. Teraz obaj są sobie potrzebni.

- Dopóki żyje pan Toranaga. .

- Nie potrzebujesz przypominać mi o nieprzyjaźni między tymi dwoma. Wiem, do czego byliby zdolni, żeby. . Boże wybaczone im obu.

Del 'Aqua zaczął iść. Soldi zrównał się z nim.

- Czy mam wysłać tę informację ojcu Alvicie?

- Jeszcze nie. Najpierw muszę postanowić, co robić. Toranaga dowie się wkrótce z własnych źródeł. Boże, zmiłuj się nad nami i wejrzyj łaskawie na ten kraj.

Soldi usłużnie otworzył drzwi.

- Jest jeszcze jedna sprawa dużej wagi. Rada zarządziła, że ciało pani Mari nie zostanie nam wydane. Jutro odbędzie się uroczysty pogrzeb, na który nas nie zaproszono.

- Należało się tego spodziewać. To wspaniale, że zechcieli ją tak uhonorować. Wyślij kogoś z naszych, żeby przyniósł garść prochów. Tego nie zabronią. Prochy zostaną pochowane w poświęconej ziemi w Nagasaki. Poprawił przekrzywiony obraz i usiadł za biurkiem. - Odprawię tu za nią requiem, a w Nagasaki pełną mszę żałobną z jak najwspanialszą oprawą. Spocznie w grobie

przy katedrze jako najgodniejsza córka Kościoła. Zajmij się nagrobkiem, zatrudnij najlepszych artystów, kaligrafa, dopilnuj wszystkiego. Jej odwaga i poświęcenie będą ogromną zachętą dla naszych wiernych. To bardzo ważne, Soldi.

- A wnuczka Kiyamy, eminencjo? Wydadzą nam ciało. Na żądanie Kiyamy.

- Dobrze. Należy zatem jak najszybciej odesłać zwłoki do Nagasaki. Porozumiem się z Kiyamą i ustalę, jaką oprawę nadamy pogrzebowi.

- Wasza eminencja osobiście odprawi nabożeństwo?

- Tak, o ile będę mógł opuścić Osakę.

- Pan Kiyama czułby się zaszczycony.

- Tak, ale nie możemy dopuścić, żeby jej pogrzeb pomniejszył wagę drugiej ceremonii.

Pogrzeb pani Marii ma wielkie znaczenie polityczne.

- Oczywiście, eminencjo. Dobrze to rozumiem.

Del 'Aqua przyjrzał się swojemu sekretarzowi.

- Dlaczego nie ufasz Onoshiemu?

- Chyba dlatego, że jest trędowaty, budzi we mnie przerażenie. Przepraszam, eminencjo.

- Jego powinienś przeprosić, Soldi, trudno go winić za chorobę. Nie mamy dowodów na istnienie, spisku.

- Inne jej wyznania były zgodne z prawdą. Więc może i to?

- Nie mamy dowodów. To tylko domysły.

- Tak, domysły.

Del 'Aqua obrócił karafkę, przyglądając się refleksom światła.

- Podczas modlitwy przypomniał mi się zapach kwitnących pomarańczy i świeżego chleba.

Zatęskniłem za domem.

Soldi westchnął.

- Marzy mi się abbacchio, eminencjo, pizzaiola, gąsior Lacrima Christi i. . Boże przebacz mi moje łakomstwo! Niedługo będziemy mogli wrócić do domu, eminencjo. W przyszłym roku. Do tego czasu wszystko się ułoży.

- Nic się nie ułoży. Ta wojna nas nie oszczędzi. Ucierpi Kościół, ucierpią wierni.

- Nie, eminencjo. Kiusiu pozostanie chrześcijańskie niezależnie od tego, kto zwycięży - rzekł

z przekonaniem Soldi, chcąc podnieść na duchu przełożonego. - Ta wyspa może poczekać, aż Bóg spojrzy na nią przychylnym okiem. W samym Kiusiu jest nad czym pracować. Trzy miliony dusz do nawrócenia, pół miliona wiernych oczekujących posługi. Dalej, Nagasaki i handel. Japończycy muszą handlować. Ishido i Tora-naga skoczą sobie do gardeł. Czy to ma jakieś znaczenie? Obaj są przeciwnikami chrześcijaństwa i mordercami.

- Owszem. Ale, niestety, wydarzenia w Osace i Edo mają decydujący wpływ na Kiusiu. Co robić, co robić? - Del 'Aqua nie poddał się przyływowi melancholii. - Gdzie jest Ingeles? - spytał.

- Pod strażą w wieży.

- Zostaw mnie na chwilę samego, przyjacielu, muszę pomyśleć. Muszę postanowić, co robić. Co dalej. Kościół jest w wielkim niebezpieczeństwie.

Del 'Aqua wyjrzał przez okno. Nadchodził brat Perez. Soldi ruszył do drzwi, żeby zatrzymać zakonnika.

- Nie - rzekł ojciec wizytator. - Przyjmę go teraz.

- Dzień dobry, eminencjo - powiedział brat Perez, drapiąc się bezwiednie. - Wzywałeś mnie?

- Tak. Przynieś list, Soldi.

- Podobno wasza kaplica legła w gruzach - rzekł zakonnik.

- Częściowo. Usiądź, proszę.

Perez zajął miejsce po drugiej stronie biurka.

- Bogu dzięki, nikt nie zginął - ciągnął del 'Aqua. - Za kilka dni usuniemy szkody. A jak tam wasza misja?

- Bez uszczerbku - odparł Perez, nie kryjąc zadowolenia. - Po wstrząsach wybuchły dookoła pożary, wielu ludzi zginęło, ale my wyszliśmy bez szwanku. Bóg czuwa nad nami. Podobno poganie mordowali się wczoraj na zamku - dodał enigmatycznie.

- Tak. Pani Maria, ważna postać wśród naszych nawróconych, zginęła w tych zamieszkach.

- A tak, mam swoje źródła informacji. „Zabij go, Yoshinaka”, powiedziała pani Maria, rozpoczynając krwawą łaźnię. Słyszałem, że sama próbowała kilku uśmiercić, zanim popełniła samobójstwo.

Del 'Aqua poczerwieniał.

- Spędziłeś tu tyle czasu i nie masz zielonego pojęcia o Japończykach, chociaż znasz trochę ich język.

- Wiem, co to herezja, głupota; zabójstwo, polityczne rozgrywki, a pogańskim językiem władam bardzo dobrze. Znam się nieźle na tutejszych poganach.

- Ale nie na obyczajności.

- Słowo Boże jest ponad obyczajem. Na początku było Słowo. Jeszcze jedno. Wiem też o cudzołóstwie. Co eminencja sądzi na temat cudzołóstwa i nierządnic?

Otworzyły się drzwi. Soldi podał list od papieża i wyszedł. Ojciec wizytator triumfalnie wręczył dokument zakonnikowi.

- Od Jego Świątobliwości. Dostarczył go wczoraj specjalny wysłannik z Makau.

Perez przeczytał dekret papieski. Dokument przewidywał, za oficjalną zgodą króla Hiszpani, że kapłani wszystkich zakonów religijnych będą od tej pory podróżować do Japonii wyłącznie przez Lizbonę, Goa i Makau. Zabraniał pod groźbą natychmiastowej ekskomuniki udawania się z Manili bezpośrednio do Japonii, a ponadto nakazywał wszystkim księżom, z wyjątkiem jezuitów, opuścić natychmiast Japonię i udać się do Manili, skąd mogli, na życzenie przełożonych, powrócić do Japonii, ale tylko przez Lizbonę, Goa i Makau.

Brat Perez obejrzał pieczęć, podpis i datę, jeszcze raz przeczytał uważnie dekret, po czym zaśmiał się szyderczo i cisnął list na biurko.

- Nie wierzę!

- To dekret Jego Świątobliwości. .

- To nowa herezja wymierzona przeciw braciom zakonnym, przeciw nam albo innym zakonnikom zebrzącym, którzy niosą Słowo Boże między pogan. To pismo zamyka nam na zawsze dostęp do Japonii, bo Portugalczycy, za namową pewnych ludzi, będą się wiecznie wykręcać, nie zezwolą na przejazd, nie udziela wiz. Jeżeli ten dokument nie jest sfałszowany, dowodzi to słuszności tego, co od lat powtarzamy: jezuita mogą potrząsnąć nawet namiestnikiem Chrystusa w Rzymie!

Del 'Aqua powstrzymał gniew.

- Rozkazuję ci wyjechać. Jeżeli nie usłuchasz, zostaniesz ekskomunikowany.

- Jezuickie groźby nie mają znaczenia, eminencjo. Nigdy nie przemawiacie językiem Boga.

Nie jesteście żołnierzami Chrystusa. Służycie papieżowi, eminencjo, człowiekowi. Jesteście politykami, przyziemnymi, - Używającymi życia ludźmi, wystarczy spojrzeć na wasze pogańskie jedwabie, ziemie, bogactwa, wpływy i potęgę. Chrystus objawił się na ziemi pod postacią prostego człowieka, który chodził boso, drapał się i śmierdział. Nie wyjadę stąd nigdy. Ani ja, ani moi bracia w Chrystusie!

Del 'Aqua zapalał straszliwym gniewem.

- Wyjedziesz z Japonii! !

- Przysięgam na Boga, że z Japonii nie wyjadę! Ale tutaj moja noga więcej nie postanie. Jeżeli zechcesz mnie kiedyś widzieć, pofatyguj się do naszej świętej misji, przyjdź i służ biednym, chorym i nie chcianym, tak jak robił to Chrystus. Obmyj im nogi jak Chrystus i zbaw swoją duszę, zanim będzie za późno.

- Pod groźbą ekskomuniki rozkazuję ci natychmiast opuścić Japonię.

- Dajmy temu spokój, eminencjo. Nie jestem i nie będę nigdy ekskomunikowany. Przyjmuję do wiadomości treść tego dokumentu, jeżeli jest aktualny. Nosi datę szesnastego września tysiąc pięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, sprzed niespełna dwóch lat. Tak ważnej decyzji nie sposób podporządkować się od razu, trzeba ją sprawdzić, co zajmie przynajmniej cztery lata.

- Oczywiście, że jest aktualny!

- Nieprawda. Bóg mi świadkiem, że jest odwrotnie. Za kilka tygodni, a najdalej kilka miesięcy, doczekamy się wreszcie arcybiskupa Japonii. Zostanie nim hiszpański biskup! W listach z Manili donoszą mi, że z każdą pocztą spodziewają się nadejścia królewskiego aktu mianowania.

- Niemożliwe! To terytorium portugalskie i nasza prowincja.

- Kiedyś należało do Portugalczyków i jezuitów. Teraz jest inaczej. Dzięki naszym braciom, z Bożą pomocą, król hiszpański utracił waszego generała w Rzymie.

- Plotki. Wierutne kłamstwa. Jeżeli jest ci miła twoja nieśmiertelna dusza, usłuchaj rozkazu Namiestnika Chrystusa.

- Usłucham. Jeszcze dziś do niego napiszę. Ty zaś oczekuj hiszpańskiego biskupa, hiszpańskiego wicekróla i nowego kapitana Czarnej Karaweli, też Hiszpana! O tym także będzie mowa w liście od króla. I my mamy wysoko postawionych przyjaciół, którzy nareszcie pokonali jezuitów, i to na dobre! Z Bogiem, eminencjo. - Brat Perez wstał i wyszedł.

Widząc opuszczającego budynek zakonnika, Soldi nadbiegł z sąsiedniego pokoju. Del 'Aqua tak się zmienił na twarzy, że przestraszony sekretarz czym prędzej nalał mu brandy z karafki.

- Eminencjo?

Del 'Aqua potrząsnął głową i dalej patrzył tępo przed siebie. Od roku nadchodziły niepokojące wieści z Madrytu. Specjalni wysłannicy na dwór Filipa Hiszpańskiego donosili o rosnących wpływach wrogów zakonu.

- To nieprawda, eminencjo. Hiszpanie tu nie przyjadą.

- Niestety, to może okazać się prawdą. Ani się obejrzymy. - Del 'Aqua położył rękę na liście od

papieża. Ten papież mógł umrzeć, nasz generał też. . a nawet król Hiszpanii. A zatem. . - Wstał

prostując plecy. - A zatem przygotowujemy się na najgorsze, będziemy modlić się i robić wszystko, co w naszej mocy. Poślij brata Michała po Kiyamę. Niech zaraz tu przyjdzie.

- Tak, eminencjo. Ale Kiyama jeszcze nigdy tu nie był. Trudno oczekiwać, że usłucha wezwania.

- Powiedz Michałowi, żeby użył dowolnych argumentów, byle tylko I sprowadził Kiyamę przed zachodem słońca. Następnie wyślij wiadomość I o wojnie Martinowi, żeby przekazał ją natychmiast Toranadze. Ty o tym napiszesz, a ja dołączę zaszyfrowany list od siebie. Potem pošlesz kogoś po Ferriera.

- Tak, eminencjo. Ale wracając do Kiyamy, Michałowi na pewno nie uda się. .

- Powiedz Michałowi, żeby rozkazał mu przyjść, w imię Boga, jeśli trzeba! Jesteśmy żołnierzami Chrystusa, szykujemy się do wojny, do świętej wojny! Nie ma chwili do stracenia!

59.

- Anjin-san?

Blackthorne usłyszał przez sen swoje imię. Głos dobiegł go z daleka, odbijając się długo echem.

- Hai? - odpowiedział.

Ktoś powtórzył jego imię, dotknął go. Otworzył oczy, wyteżył wzrok, i oprzytomniał, usiadł.

Przy łóżku klęczał doktor. Kiritsubo i pani Ochiba stały w pobliżu. Pod ścianami dużej izby rozstawili się Szarzy. Lampy oliwne mrugały czerwono.

Doktor znów przemówił. Blackthorne usłyszał jego głos słabo, wciąż szumiało mu w uszach, ale teraz nie miał już wątpliwości. Odzyskiwał słuch. Odruchowo podniósł ręce do uszu i docisnął. Ostry ból rozsadził mu czaszkę, aż zaćmiło go w oczach.

- Przepraszam - wydukał czekając, aż ból się zmniejszy, nakazując mu to. - Uszy bolą, ne?

Ale słyszę, rozumiesz, doktor-san? Teraz słyszę, trochę. Co mówisz?

Patrzył na ruszające się usta, żeby lepiej słyszeć.

- Pani Ochiba i Kiritsubo-san pytają, jak się czujesz.

- A! - Blackthorne spojrzał na nie. Dopiero teraz zwrócił uwagę, że Kiritsubo ubrana jest na biało, tylko we włosach ma zieloną przepaskę. Kimono Ochiby było ciemnozielone, gładkie, ozdobione zwiewnym białym szalem. - Dziękuję, czuję się lepiej - odpowiedział, i zaniepokojony ceremonialną bielą. - Tak, lepiej. - Przyjrzał się I blednącym ciemnościom za oknem i zrozumiał, że to pierwszy brzask, a nie zmierzch. - Doktor-san, ja spać dzień i noc?

- Tak, Anjin-san, Dzień i noc. Połóż się, proszę.

Doktor wziął Blackthorne'a za rękę i zacisnął długie palce na przegubie, - opuszkami wsłuchując się w dziewięć pulsów - trzy wierzchnie, trzy środkowe i trzy głębokie - jak od niepamiętnych czasów nakazywała chińska medycyna.

Wszyscy zamarli w oczekiwaniu na diagnozę. Doktor pokiwał głową z zadowoleniem.

- Jest dobrze, Anjin-san, Nie ma ciężkich obrażeń, rozumiesz? Głowa bardzo boli, ne?

Ze szczegółowymi wyjaśnieniami doktor zwrócił się do pani Ochiby i Kiritsubo.

- Anjin-san - powiedziała Ochiba. - Dziś jest pogrzeb Mariko-samy. Rozumiesz słowo

„pogrzeb”?

- Tak, pani.

- Odbędzie się, kiedy wzejdzie słońce. Masz prawo wziąć w nim udział, jeżeli sobie życzysz.

Rozumiesz?

- Chyba tak. Proszę, ja też idę.

- Dobrze.

Ochiba przykazała doktorowi, żeby otoczył pacjenta staranną opieką, ukloniła się Kiritsubo, uśmiechnęła do Blackthorne'a i wyszła.

- Wszystko dobrze, Anjin-san? - zapytała Kiri.

- Głowa słaba, pani. Przepraszam.

- Bądź łaskaw przyjąć moje podziękowanie. Rozumiesz?

- Obowiązek. Tylko obowiązek. Porażka. Mariko-sama nie żyje, ne?

Kiri złożyła pełen szacunku ukłon.

- Nie porażka. O nie. Dziękuję ci, Anjin-san. Za nią, za siebie, za wszystkich. Później powiem więcej. Dziękuję.

Ona także wyszła.

Blackthorne wziął się w garść i wstał. Głowa pękała mu z bólu, aż chciało mu się krzyczeć.

Zacisnął usta. Oddychanie było męką, buntował się żołądek. Mdłości minęły, pozostawiając obrzydliwy niesmak. Powoli wysunął nogę, zrobił krok, podszedł do okna i przytrzymał się parapetu, usiłując zapanować nad nudnościami. Odczekał chwilę i zaczął się przechadzać w tę i z powrotem, ale to nie pomagało ani na ból głowy, ani na mdłości.

- Jestem dobrze, dziękuję - powiedział i usiadł z ulgą.

- Proszę, wypij to. Będzie ci lepiej. Hara się uspokoi.

Doktor uśmiechnął się dobrotliwie. Blackthorne pociągnął łyk i zrobiło mu się niedobrze. Smak mikstury był jeszcze gorszy niż zapach, który przypominał ptasie odchody i gnijące w upalny dzień wodorosty.

- Wypij. Wkrótce lepiej, przepraszam.

Blackthorne przewyciężył wstręt i wypił do dna.

- Zaraz lepiej, przepraszam.

Przyszły służące i uczesały go. Fryzjer ogolił. Zrobiono mu gorące okłady na ręce i twarz.

Poczuł się lepiej, ale głowa nadal go bolała. Inne służące pomogły mu ubrać się w odświętne kimono i kaftan. Dostał nowy krótki miecz.

- Podarunek, panie. Podarunek do Kiristubo-samy - wyjaśniła służąca.

Blackthorne zatknął krótki miecz za pas razem z długim mieczem od Toranagi. Rękojeść mocno ucierpiała, kiedy walił nią w zasuwę. Pamiętał Mariko stojącą tyłem do drzwi, potem była pustka, a potem klęczał przy niej patrząc, jak umiera. I znowu pustka, aż do tej chwili.

- Przepraszam, to jest wieża, ne? - rzekł do dowódcy Szarych.

- Tak, Anjin-san. - Samuraj, przykucnięty jak wielka, groźna małpa, ukłonił się z szacunkiem.

- Powiedz, proszę, dlaczego tu jestem?

Samuraj uśmiechnął się i głośno wciągnął powietrze, co było objawem uprzejmości.

- Pan generał wydał taki rozkaz.

- Ale dlaczego tutaj?

- Rozkaz pana generała. Bardzo mi przykro, rozumiesz?

- Tak, dziękuję - odparł Blackthorne z rezygnacją.

Kiedy był wreszcie gotów, poczuł się okropnie. Napił się cha i to pomogło, ale na krótko.

Zwymiotował do miski, którą trzymał przed nim służący. Przy każdym skurczu żołądka dźgał go ból, jakby ktoś wbijał mu igły w piersi i głowę.

- Bardzo mi przykro - powiedział spokojnie doktor.- Proszę, pij.

Wypił ohydne lekarstwo, ale nie pomogło. Świt rozjaśniał niebo.

Służący dali znak i wyprowadzili go z dużej izby z obstawą wartowników z przodu i z tyłu.

Zeszli po schodach, potem na dziedziniec. Czekał tam na niego strzeżony palankin. Z ulgą w nim usiadł. Na rozkaz-dowódcy Szarych tragarze chwycili za drągi i dołączyli do palankinów oraz odświętnie ubranych samurajów i dam zdążających na piechotę przez labirynt uliczek. Część kobiet miała biały szal na głowie do ciemnego kimona, inne uzupełniły biały strój kolorowym szalem.

Blackthorne udawał, że nie widzi skierowanych na siebie spojrzeń, starał się trzymać prosto i przybrał obojętną minę. Modlił się w duchu, żeby nie napadły go mdłości, żeby oszczędzony był mu ten wstyd. Ból wzrastał się.

Orszak przepływał przez warowne mury, między milczącymi szeregi tysięcy samurajów.

Nikogo nie zatrzymano, od nikogo nie żądano przepustki. Żałobnicy bez przeszkód mijali wartownie, przechodzili pod podniesionymi kratami i pokonali pięć fos. Za główną bramą, kiedy opuścili fortyfikacje, Blackthorne spostrzegł, że Szarzy otoczyli go ciasniej i zaostrzyli czujność, pilnie przyglądając się każdemu w pobliżu. To go trochę uspokoiło. Nie zapomniał przecież, że rzuca się w oczy swoją obecnością. Wąż pochodni wysunął się na otwartą przestrzeń, prześlizgnął przez most, zwinął na placu nad brzegiem rzeki.

Na środku placu długości pięciuset i szerokości trzystu kroków wykopano głęboki kwadratowy dół, który wypełniono drewnem. Bambusowe słupki podpierały dach z mat osłonięty białym jedwabiem, a cztery ściany z białych lnianych płacht wskazywały wschód, północ, zachód i południe.

Pośrodku każdej ściany ustawiono drewnianą furtkę.

- Furtki są po to, Anjin-san, żeby dusza miała którędy wylecieć do nieba - wyjaśniła kiedyś Mariko w Hakone.

- Chodźmy popływać albo porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym.

- Dobrze, ale przedtem pozwól, że dokończę, bo to bardzo przyjemne. Pogrzeb jest dla nas bardzo, bardzo ważny, dlatego powinienes się o nim dowiedzieć, ne? Zgadzasz się?

- Tak. Ale po co aż cztery furtki? Nie wystarczyłaby jedna?

- Dusza musi mieć wybór. To mądre. . o, my jesteśmy bardzo mądrzy, ne? Czy mówiłam ci już dziś, że cię kocham? - spytała. - Jesteśmy bardzo mądrym narodem, bo dajemy duszy wybór. Prawie wszystkie wybierają południową furtkę. To przy niej na stołach leżą suszone figi, świeże granaty i inne owoce, rzodkiewki i różne warzywa, pęczki ryżowych sadzonek, jeżeli pora roku pozwala. I zawsze stoi miseczka świeżo ugotowanego ryżu, to bardzo ważne. Na wypadek, gdyby dusza zechciała się pożywić przed odejściem.

- Dla mnie naszykujcie pieczonego bażanta albo..

- Niestety, mięsa nie można, nawet ryby. Traktujemy to bardzo poważnie, Anjin-san. Na stole nie może też zabraknąć kociołka z płonącym węglem, szczapami drogocennego drewna i olejkami, żeby ładnie pachniało..

Łzy cisnęły się Blackthorne'owi do oczu.

- Chcę mieć pogrzeb o świcie - mówiła nieraz z rozmarzeniem. - i Nade wszystko lubię świty.

A gdyby to mogło jeszcze być jesienią. .

Biedactwo, pomyślał. Wiedziałaś, że nie doczekasz jesieni.

Palankin zatrzymał się na honorowym miejscu w pierwszym rzędzie, i niemal pośrodku. Widać było

stąd nawet krople wody, którą zroszono owoce. Było tak, jak to opisała. Setki palankinów ustawili się dokoła, a cały plac wypełnił milczący, nieruchomy tłum samurajów i dam. Blackthorne dojrzał Ishido i Ochibę. Siedzieli w bogatych palankinach wpatrzeni w białe płachty łopoczące lekko na wietrze. Kiyama znalazł się i po drugiej stronie Ochiby, nieco dalej Za taki oraz Ito. Zamknięty palankin Onoshiego też tam był. Wszyscy obstawieni przez straż. Samuraje Kiyamy i Onoshiego nosili krzyże.

Blackthorne daremnie szukał wzrokiem Yabu, nie widział też żadnego Brązowego ani życzliwej twarzy. Kiyama rzucił mu tak złowrogie spojrzenie, że od razu docenił obecność wartowników.

Sklonił głowę, ale Kiyama nie odwzajemnił nawet tej uprzejmości. Odetchnął, kiedy Kiyama popatrzył

gdzie indziej.

Ciszę rozdarły bębny, dzwony, metaliczny łomot. Kakofonia dźwięków świdrowała uszy.

Wszyscy spojrzeli na bramę wjazdową zamku. Z jej czeluści wyłonił się ozdobny palankin z dachem, niesiony przez ośmiu kapłanów shintō. Siedział w nim jak posąg Buddy najwyższy kapłan. Idący przed nim i za nim mnisi uderzali w metalowe bębny, i wyprzedzając procesję dwustu kapłanów buddyjskich w pomarańczowych szatach. Za nimi pojawili się ubrani na biało kapłani shintō, I a potem ozdobne, białe mary z daszkiem.

Siedziała na nich z pochyloną głową, podparta poduszkami Mariko, starannie umalowana i uczesana. Niosło ją dziesięciu Brązowych. Idący przodem dwaj młodzi mnisi rzucali papierowe płatki róży, które wiatr porywał na znak, że życie jest nietrwałe jak kwiat. Za marami dwóch kapłanów ciągnęło ostrzem po ziemi włócznie, oznaczające, że Mariko była samurajką i nieugięcie wypełniała swoje obowiązki. Dalej czterech I kapłanów niosło nie zapalone pochodnie. Syn Saruji szedł z twarzą białą I jak kimono, które miał na sobie. Kiritsubo i pani Sazuko, też ubrane na biało, miały włosy rozpuszczone i przewiązane zielonym muślinem. W pewnej odległości za nimi zamykali pochód niedobitkowie garnizonu Toranagi, niektórzy ranni, wielu okulałych.

Blackthorne widział tylko Mariko. Wydawała się pogrążona w modlitwie, nietknięta. Trwał w niewzruszonej pozycji wiedząc, jakim zaszczytem była dla niej ta publiczna uroczystość, na którą przybyli Ishido i Ochiba. Ale to nie złagodziło jego rozpacz.

Najwyższy kapłan zaintonował pieśń, przy wtórze bębnów. Śpiewne zawrodozenie rozbrzmiewało ponad godzinę. W ciszy, która potem zapadła, Saruji sięgnął po nie zapaloną pochodnię i obszedł wszystkie cztery furtki sprawdzając, czy nic ich nie przesłania.

Chłopiec drżał, a wracając do mar, wbił wzrok w ziemię. Wziął wiszący przy nich biały sznur i wprowadził Brązowych przez południową bramę. Ustawiono palankin na stercie drewna. Popłynęła żałobna pieśń. Saruji przytknął pochodnię do żaru w kociołku. Buchnął płomień. Ociągając się Saruji wszedł sam przez południową bramę i cisnął pochodnię na stos. Nasycone olejem drewno zajęło się w okamgnieniu. Dół zamienił się w wielki piec. Płomienie wystrzeliły na dziesięć stóp w górę. Saruji cofnął się przed żarem, wziął pachnące drewnienka i wonne olejki i wrzucił je do ognia. Suchy

jak pieprz dach wyleciał w powietrze. Zapaliły się płócienne ściany. Ogień szalał niepowstrzymanie, pożerając z trzaskiem wszystko wokół dołu.

Przewróciły się słupki, na których wcześniej spoczywał dach. Tłum westchnął. Kapłani dorzucili drewna na stos, płomienie urosły, buchnął dym. Pozostały już tylko cztery małe bramy. Lizał je żar.

Po chwili stanęły w płomieniach.

Ishido, najważniejszy uczestnik uroczystości, wysiadł z palankinu i dopełnił rytuału, rzucając drogocenne drewno. Złożył ceremonialny ukłon, wsiadł do palankinu i kazał się odnieść na zamek.

Odjechała też Ochiba. Za nią inni.

Saruji po raz ostatni pokłonił się płomieniom. Zbliżył się do Blackthorne'a, stanął przed nim i złożył ukłon.

- Dziękuję, Anjin-san - powiedział i odszedł razem z Kiri i panią Sazuko;

- To już koniec, Anjin-san - rzekł z uśmiechem dowódca Szarych. - Kami bezpieczne. Idziemy do zamku.

- Zaczekajcie, proszę.

- Przepraszam, rozkaz, ne? - zaniepokoił się samuraj. Wartownicy stali murem.

- Proszę, zaczekajcie.

Nie zważając na ich niepokój, Blackthorne wysiadł z palankinu. Przeszył go oślepiający ból.

Samuraje rozstawili się wokoło. Podeszedł do stolika, wziął kilka szczapek kamforowego drewna i rzucił je przez ścianę płomieni.

- In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti - wyszeptał i zrobił znak krzyża. Odwrócił się i odszedł.

Kiedy się obudził, czuł się o wiele lepiej, choć był osłabiony, a tępy ból wciąż pulsował mu w skroniach i w czole.

- Jak się czujesz, Anjin-san? - spytał doktor, szczerząc się w uśmiechu. Jego głos był nadal słabo słyszalny. - Długo spałeś.

Blackthorne podparł się na łokciu i spojrzał rozespany na wpadające przez okna słońce.

Dochodzi piąta po południu, pomyślał. Spałem ponad sześć godzin.

- Spałem cały dzień, ne?

Doktor uśmiechnął się.

- Cały dzień wczoraj, noc i dzisiaj. Rozumiesz?

- Rozumiem. Tak. - Blackthorne położył się. Skóra lśniła mu od potu. Dobrze, pomyślał. To najlepsze, co mogłem zrobić, nic dziwnego, że poczułem się lepiej.

Łoże z miękkich kołder osłaniały z trzech stron parawany z namalowanymi krajobrazami, inkrustowane kością słoniową. Przez okna naprzeciw wlewało się słońce, rozjaśniając przyjemny, duży pokój. Unosiły się roje much. Za, oknami odgłosy życia na zamku spletały się ze stukotem nie podkutych koni, brzęczeniem uprzęży. Łagodny wiaterek roznosił zapach dymu. Chyba nie chciałbym, żeby spalono moje ciało, pomyślał Blackthorne. Zaraz, zaraz, czy to aby nie lepsze niż skrzynia, którą zakopują w ziemi, a potem robaki. . Przestań, przywołał się do porządku. Po co się martwić, karma to karma, a trup to trup, wtedy już wszystko jedno - byleby nie utonąć, to najgorsze, woda wypełnia ciało, rozdyma je, kraby. . Przestań!

- Napij się, proszę. - Doktor podał mu wstrętny napój. Mdlilo go, ale wypił.

- Poproszę cha - powiedział.

Służąca naląła mu. Była to niemłoda kobieta o twarzy jak księżyc w pełni, z przyklejonym uśmiechem i oczami jak szpareczki. Trzy filiżanki przywróciły mu znośny smak w ustach.

- Powiedz, proszę, Anjin-san, jak uszy?

- Tak samo. Ciągle daleko.. daleko, rozumiesz?

- Rozumiem. Jeść, Anjin-san?

Na małej tacy zobaczył ryż, zupę i przypieczoną rybę. Dolegliwości żołądkowe wprawdzie nie ustały, ale ponieważ od dwu dni nie jadł, więc usiadł i zmusił się do zjedzenia odrobiny ryżu, popijając zupą rybną. To uspokoiło żołądek. Jadł więc dalej, posługując się bez trudu pałeczkami, aż nic nie zostało.

- Dziękuję. Głodny.

- Tak - rzekł doktor. Na niskim stoliku przy łóżku położył płócienny woreczek z ziołami. - Parz sobie tego cha, Anjin-san. Raz dziennie, aż zużyjesz. Rozumiesz?

- Tak, dziękuję.

- To był dla mnie zaszczyt, że mogłem ci służyć.

Sędziwy doktor skinął na służącą, która zabrała pustą tackę, jeszcze raz ukłonił się i oboje wyszli. Blackthorne został sam. Wyciągnął się na fotonach z o wiele lepszym samopoczuciem.

- Po prostu byłem głodny - powiedział na głos.

Był ubrany tylko w przepaskę na biodrach. Zdziwiło go, że uroczysty strój leży niechlujnie na

podłódze tam, gdzie go rzucił, chociaż przy mieczach pojawiło się czyste brązowe kimono. Zamyślił się. Raptem wyczuł czyjąś obecność. Zaniepokojony usiadł i rozejrzał się. Potem ukląkł i spojrzał za parawan. Niewiele myśląc zerwał się na nogi, aż łupnęło mu w głowie. Koło drzwi klęczał japoński jezuita z różańcem w ręku.

- Kim jesteś? - spytał walcząc z bólem.

- Brat Michał, senhor.

Czarne oczy wpatrywały się w niego nieprzerwanie. Blackthorne odszedł od parawanu i stanął nad mieczami.

- Czego chcesz ode mnie?

- Przysłano mnie, żebym spytał, jak się czujesz - odparł Michał po portugalsku. Mówił wyraźnie, choć z akcentem.

- Kto cię przysłał?

- Pan Kiyama.

Blackthorne uzmysłowił sobie, że są zupełnie sami.

- Gdzie moi, strażnicy?

- Nie masz strażników, senhor.

- Oczywiście, że mam! Dwudziestu Szarych. Gdzie oni są?

- Nie było ich, kiedy przyszedłem, senhor, a ty jeszcze spałeś. Bardzo mi przykro. - Michał wskazał z powagą drzwi. - Może spytasz tamtych samurajów.

Blackthorne wziął miecz.

- Odejdź od drzwi, proszę.

- Nie jestem uzbrojony, Anjin-san.

- Ale nie zbliżaj się do mnie. Księża mnie drażnią.

Michał posłusznie wstał i odsunął się, zachowując denerwujący spokój. Na podeście schodów dwóch Szarych opierało się niedbale o balustradę.

- Dzień dobry - rzekł uprzejmie Blackthorne, nie poznając żadnego z nich.

Nie uklonili się.

- Dzień dobry, Anjin-san - powiedział jeden.

- Przepraszam, gdzie moi strażnicy?

- Strażnicy odwołani w godzinie Zająca, dziś rano. Rozumiesz: w godzinie Zająca? Nie jesteśmy twoimi strażnikami, Anjin-san. To nasz zwykły posterunek.

Blackthorne poczuł na plecach zimny pot.

- Strażnicy odwołani. . czyj rozkaz?

Samurajowie roześmieli się. Wyższy odpowiedział:

- W wieży wydaje rozkazy tylko pan generał albo pani Ochiba. Jak się czujesz, Anjin-san?

- Dziękuję, lepiej.

Wyższy samuraj zawołał kogoś. Po chwili z pokoju w końcu korytarza wyszedł oficer z czterema żołnierzami. Oficer był młody, szedł prężnym krokiem. Kiedy zobaczył Blackthorne'a, rozbłyły mu oczy.

- A, Anjin-san. Jak się czujesz?

- Lepiej, dziękuję. Przepraszam, gdzie moi strażnicy?

- Mam rozkaz powiedzieć ci, żebyś udał się na statek, kiedy wstaniesz. Oto twoja przepustka. - Oficer wyjął dokument z rękawa i wskazał pogardliwie Michała. - Ten człowiek będzie twoim przewodnikiem. Niebezpieczeństwo! - kołatało po głowie usiłującemu zebrać myśli Blackthorne'owi.

- Dziękuję - rzekł. - Najpierw muszę widzieć pana Ishido. Proszę. Bardzo ważne.

- Przykro mi. Masz rozkaz wrócić na statek, kiedy wstaniesz. Rozumiesz?

- Tak. Przepraszam, bardzo ważne widzieć pana Ishido. Powiedz swojemu dowódcy, proszę.

Teraz. Muszę widzieć pana Ishido, zanim odejdę. Bardzo ważne.

Samuraj podrapał się w ospowatą szczękę.

- Spytam. Ubierz się, proszę.

Odmaszerował dumnie. Blackthorne z ulgą wrócił do pokoju i szybko się ubrał. Pozostali czterej pilnowali go. Mnich czekał w korytarzu.

Cierpliwości, powtarzał w duchu Blackthorne. Nie myśl i nie martw się. To jakaś pomyłka. Nic się

nie zmieniło. Nadal jesteś ważny i potężny.

Zatknął miecze za pas i wypił cha. Obejrzał przepustkę. Była opatrzona pieczęcią, pokryta pismem. To nie pomyłka, pomyślał. Czyste kimono zaczęło kleić mu się do ciała.

- Hej, Anjin-san - odezwał się jeden z samurajów. - Słyszałem, że zabiłeś pięciu ninja. Bardzo dobrze, ne?

- Niestety, tylko dwóch. Może trzech.

Blackthorne pokręcił głową, chcąc złagodzić ból i szum.

- Słyszałem, że zginęło pięćdziesięciu siedmiu ninja, a Brązowych, stu szesnastu. To prawda?

- Nie wiem. Przepraszam.

Wszedł oficer.

- Masz rozkaz wrócić na statek, Anjin-san. Ten mnich będzie twoim przewodnikiem.

- Tak. Dziękuję. Ale najpierw, przepraszam, muszę widzieć panią Ochibę. Bardzo, bardzo ważne. Spytaj, proszę. .

Samuraj zachnął się i gardłowym głosem powiedział coś szybko do Michała. Mnich uklonił się niewzruszenie i rzekł do Blackthorne'a:

- Przykro mi, senhor. Jego zwierzchnik zwrócił się z zapytaniem do swojego zwierzchnika, ale teraz masz natychmiast udać się ze mną na galerę.

- Ima! - dodał samuraj, żeby nie było wątpliwości. Blackthorne czuł, że wydano na niego wyrok.

- Dziękuję, kapitanie - rzekł otępały. Gdzie moi strażnicy? -

- Nie masz strażników.

- Poślij, proszę, na mój statek. Sprowadź, proszę, moich wasali z. .

- Rozkaz na statek! Rozumiesz, ne? - Zabrzmiało to niegrzecznie i nieodwoalnie. - Na statek!

- dodał samuraj z kwaśnym uśmiechem, czekając, aż Blackthorne pierwszy się ukloni.

Blackthorne spostrzegł to i pociemniało mu w oczach. Wydawało mu się, że śni jakiś koszmarny sen. Miał nieprzepartą ochotę wypróżnić się, otrzeć pot z czoła i uklonić się. Wiedział, że jeśli nawet dowódca Szarych odkłoni się, to nieuprzejmie, na pewno nie jak równemu sobie, więc będzie to dla niego policzek przy wszystkich. Było oczywiste, że został sprzedany, wydany chrześcijańskim wrogom, że” w zradzieckim spisku maczali palce Kiyama, Ishido i księży.

Niezależnie jednak od powodu zdrady, od jej ceny, nie pozostawało mu nic innego jak obetrzeć czoło, ukłonić się i wyjść. . czekali na niego.

Przypomniała mu się Mariko i jej strach, kim dla niego była, czego dokonała, czego nauczyła.

Oparł dłoń na nadłamanej rękojeści miecza, stanął w groźnym rozkroku. Wiedział, że jego los jest rozstrzygnięty, karma wyznaczona, więc jeżeli miał zginąć, to wołał zginąć od razu, byle z honorem.

- Jestem John Blackthorne, Anjin-san - rzekł z zawziętością, dzięki której sprawiał wrażenie dziwnie silnego i pełnego lekceważenia. - Dowódca statku pana Toranagi. Wszystkich statków.

Samuraj i hatamoto! A ty kim jesteś?

Dowódca Szarych poczerwieniał.

- Saigo Massakatsu z Kagi, oficer garnizonu pana Ishido.

- Jestem hatamoto, a ty? - spytał Blackthorne jeszcze bardziej niegrzecznie, nie wymieniając choćby nazwiska przeciwnika, którego widział z niewiarygodną wyrazistością, dostrzegając każdy por, włos zarostu, cętkę w nieprzyjaznych brązowych tęczówkach, każdy włoszek na zaciskającej się na mieczu dłoni.

- Nie jestem hatamoto. - Jesteś samurajem czy roninem?

Ostatnie słowo wysyczał, czując za plecami żołnierzy, ale było mu wszystko jedno. Nie odrywał oczu od oficera, spodziewając się szybkiego, śmiertelnego ciosu, który wymagał hara-gei, zdobycia energii z najgłębszych pokładów. Szykował się do odparcia ciosu z równie oślepiającą siłą, by obaj zginęli godnie, by pokonać przeciwnika.

Zdumiał się, kiedy dowódca Szarych pobladł, skulił się, ukłonił z pokorą. Trwał w tym ukłonie całkowicie bezbronny.

- Źle się zachowałem, daruj, Anjin-san. Byłem roninem, ale pan generał pozwolił mi spróbować jeszcze raz. Proszę o wybaczenie Anjin-san, źle się zachowałem. - Szczery wstyd przebijał przez te słowa.

Blackthorne'owi wydawało się, że śni. Był gotów zadać cios, spodziewał się śmierci, nie zwycięstwa. Rozejrzał się. Samuraje ukłonili się jak za pociągnięciem sznurka i zastygli tak razem ze swoim dowódcą. Uznali jego przewagę.

Blackthorne odczekał chwilę i złożył sztywny ukłon. Ukłon zaznaczający własną wyższość. A oni stali pochyleni, aż wyszedł na korytarz razem z Michałem, zszedł na dół po schodach i wy dostał

się na dziedziniec. Przepęłniało go przemożne uczucie zadowolenia, ból znikł. Szarzy na dziedzińcu przyglądali mu się, a samuraje eskortujący go do pierwszej wartowni trzymali się w bezpiecznej odległości. Jednego żołnierza posłano naprzód.

Przy następnej wartowni Blackthorne wymienił ukłony jak równy z równym z oficerem, który uważnie, przepisowo obejrzał przepustkę. Nowa eskorta doprowadziła Blackthorne'a i Michała do następnej wartowni, gdzie wszystko się powtórzyło. Przeszli jedną fosę, potem drugą. Nikt ich nie zatrzymał ani nie interesował się nimi.

Blackthorne spostrzegł, że głowa coraz mniej mu dokucza, przestał się pocić. Rozluźnił palce zaciśnięte na rękojeści miecza i poruszył nimi. Zatrzymał się przy źródelku w murze, napił się i zmoczył głowę.

Eskorta Szarych posłusznie czekała. Nie przestawał zachodzić w głowę, dlaczego stracił łaskę Ishido i pani Ochiby. Nic się nie zmieniło, wmawiał sobie. Prostując się spostrzegł spojrzenie Michała.

- Czego chcesz?

- Nic, senhor - odparł Michał i uśmiechnął się serdecznie. - A, senhor, oddałeś mi wielką przysługę. Miło było popatrzeć, jak ten cham i cabron liże podłogę! Dzięki ci - dodał po łacinie.

- Nic dla ciebie nie zrobiłem - odrzekł Blackthorne po portugalsku, gdyż nie chciał rozmawiać po łacinie.

- Pokój z tobą, senhor. Bóg chadza dziwnymi ścieżkami. Przysłużyłeś się nie tylko mnie, ale wszystkim samurajom. Ten ronin zasłużył na to, żeby najeść się wstydu. Nie godzi się naruszać bushido.

- Ty też jesteś samurajem?

- Tak, senhor, mogę się tym poszczycić. Mój ojciec jest kuzynem pana Kiyamy, a mój ród pochodzi z prowincji Hizen na Kiusiu. Skąd wiedziałeś, że to ronin?

- Sam nie wiem. Powiedział, że jest z Kagi, a to daleko. Mariko.. pani Toda mówiła, że Kaga jest daleko na północy. Nie wiem, nie bardzo pamiętam, co właściwie powiedziałem.

Podszedł dowódca eskorty.

- Przepraszam, Anjin-san, czy ten człowiek robi ci jakieś przykrości?

- Nie. Nie, dziękuję - odparł Blackthorne i ruszył w drogę.

Znów, bardzo uprzejmie, sprawdzono przepustkę.

Do zachodu pozostało jeszcze kilka godzin. W rozgrzanym powietrzu podnosiły się kłęбки kurzu. Mijali stajnie, w których samuraje oporzadzali konie i czyścili ekwipunek. Siodła, lance i włócznie wskazywały na gotowość do natychmiastowego wymarszu.

- Ile koni, kapitanie? - spytał Blackthorne zdumiony ich liczbą.

- Tysiące, Anjin-san. Trzydzieści tysięcy tutaj i gdzie indziej na zamku.

Kiedy przechodzili przez przedostatnią fosę, Blackthorne skinął na Michała.

- Prowadzisz mnie na galerę?

- Takie dostałem polecenie, senhor.

- Nigdzie indziej?

- Nie, senhor.

- Kto wydał to polecenie?

- Pan Kiyama. I ojciec wizytator, senhor.

- Aha! Wolę, żebyś mówił do mnie Anjin-san, księżu.

- Daruj, Anjin-san. Nie jestem księdzem. Nie zostałem jeszcze wyświęcony.

- A kiedy będziesz?

- Wszystko w rękach Boga - rzekł Michał z przekonaniem.

- Gdzie jest Yabu-san?

- Przykro mi, nie wiem.

- Zabierasz mnie na statek - Tylko tam?

- Tak, Anjin-san.

- I potem będę mógł udać się, gdzie zechcę?

- Miałem się tylko dowiedzieć, jak się czujesz i zaprowadzić na statek, nic więcej. Jestem zwykłym posłańcem, przewodnikiem.

- Jak ci Bóg miły?

- Jestem zwykłym przewodnikiem, Anjin-san.

- Gdzie tak dobrze nauczyłeś się portugalskiego? I łaciny?

- Byłem jednym z czterech. . czterech akolitów wysłanych przez ojca wizytatora do Rzymu.

Ja miałem trzynaście lat, Uraga-no-Tadamasa dwanaście.

- Teraz sobie przypominam. Uraga-san opowiadał mi o tobie. Byłeś jego przyjacielem. Wiesz, że nie żyje?

- Tak. Serce mi się ścisnęło, kiedy o tym usłyszałem.: - Zrobili to chrześcijanie.

- Mordercy, Anjin-san. Zabójcy. Zostaną osądzeni, nie ma obawy. Po chwili milczenia Blackthorne spytał:

- Jak ci się podobał Rzym?

- Rzym był okropny, odrażający. Brudny i brzydki. Jedzenie też było okropne. Tam żyją sami eta, aż trudno uwierzyć! Osiem lat zajęła nam podróż tam i z powrotem. Na klęczkach dziękowałem Matce Bożej, kiedy wreszcie wróciłem.

- A Kościół? Duchowni?

- Wielu było okropnych - rzekł spokojnie, Michał. - Byłem wstrząśnięty, patrząc na ich zachowanie, brak skrupułów, kochanki, przepych, chciwość i hipokryzję. Na ich podwójną moralność, inną dla owieczek, inną dla pasterzy. To było wstrętne. . A mimo to znalazłem wśród nich Boga.

Dziwne. Znalazłem Prawdę w katedrach, klasztorach, między kapłanami. - Michał popatrzył na niego szczerze, tkliwie. - Rzadko, Anjin-san, bardzo rzadko dostrzegałem przebłyski świętości, to muszę przyznać. Ale odnalazłem Prawdę, Boga i wiem, że chrześcijaństwo to jedyną drogą do życia wiecznego.. daruj, katolickie chrześcijaństwo.

- Widziałeś stopy inkwizycji, więzienia, sądy nad czarownicami?

- Widziałem straszne rzeczy. Niewielu jest mądrych ludzi, większość to grzesznicy i wiele zła dzieje się na ziemi w Imię Boże. Ale nie są to dzieła Boga. Ten świat to padół płaczu, przygotowanie do wiecznej szczęśliwości. - Pomodlił się w skupieniu dla otuchy i po chwili rzekł: -

Nawet niektórzy heretycy mogą być dobrzy, ne?

- Może - odparł Blackthorne, czując sympatię do Japończyka.

Ostatnia fosa i ostatnia brama, główna brama południowa. Ostatnia wartownia, przy której zabrano przepustkę. Michał pierwszy przeszedł pod podniesioną kratą. Blackthorne za nim. Czekają na nich stu samurajów Kiyamy. Nosili krzyże, nie byli przyjaźnie nastawieni. Widząc - to Blackthorne zatrzymał się. Michał szedł spokojnie dalej. Ponaglony skinieniem przez dowódcę eskorty, Blackthorne ruszył naprzód. Samuraje otoczyli go zwartym murem. Tragarze i handlarze pierzchali na boki i bili czołom o ziemię. Niektórzy trzymali w wyciągniętej ręce prosty, krzyż.

Idący przodem Michał błogosławił ich. Droga prowadziła lekko w dół, mijała plac pogrzebowy z wygasłym dołem, przebiegała przez most do miasta, kierując się ku morzu. Tym samym gościńcem szli od I strony miasta Szarzy i inni samuraje. Krzywili się na widok Michała i zmusiliby go do ustąpienia im z drogi, gdyby nie oddział samurajów Kiyamy.

Blackthorne szedł krok w krok za Michałem. Strach nie miał do niego przystępu, ale myśl o ucieczce owszem. Nie było jednak gdzie uciec ani gdzie się ukryć. Na łądzie. Mógł poczuć się bezpieczny tylko na pokładzie Erasmusa, wypływając w morze z kompletem załogi, zapasami żywności i

amunicji.

- Co się stanie na galerze, bracie?

- Nie wiem, Anjin-san.

Szli ulicami miasta, coraz bliżej morza. Michał pierwszy skręcił za róg i wyszedł na targ rybny. Zgrabne dziewczęta i grubaski, staruszki i młodzieńcy, kupujący i sprzedawcy, dzieci i dorośli wybałuszili na niego oczy i pośpiesznie zaczęli bić pokłony. Blackthorne z obstawą samurajów mijał stragany, kosze i bambusowe tace pełne ryb i owoców morza połyskujących świeżością. Wyłożone ryby, ryby pływające w zbiornikach, krewetki i homary, kraby i langusty. W

Londynie nie jest tak czysto, pomyślał, ani ryby nie są takie czyste, ani sprzedawcy. Wtem zobaczył rząd straganów z kociołkami na węgiel, odurzył go zapach pieczonej langusty.

- Boże święty! - Bez namysłu skręcił w tamtą stronę. Samuraje zagrodzili mu drogę.

- Gomen nasai kinjiru - powiedział jeden.

- Iye! - odparł Blackthorne szorstko. - Watashi tabetai desu, ne? Watashi Anjin-san, ne?

(Jestem głodny. Jestem Anjin-san.)

Zaczął się przepychać. Dowódca eskorty chciał go zatrzymać. Michał szybko zawrócił, żeby załagodzić sytuację. Uprzejmie, ale stanowczo poprosił o pozwolenie, którego z ociąganiem udzielono.

- Kapitan mówi, żebyś jadł do woli - rzekł Michał. - Czego sobie życzysz, Anjin-san?

- Poproszę to. - Blackthorne wskazał olbrzymie krewetki ogołoczone z głów i rozcięte wzdłuż.

Pod kruchą skorupką jaśniało białoróżowe mięso. Oczu nie mógł oderwać od tych delicji. - Powiedz, proszę, kapitanowi, że od dwóch dni nic nie jadłem i głód jest silniejszy ode mnie. Przepraszam.

Półnagi sprzedawca, wysuszony i ogorzały, błyskał trzema zębami. Rozpierała go duma, że wybrano właśnie jego stragan. Zręcznie wyłożył pałeczkami najładniejsze pięć krewetek na bambusową tackę i od razu zaczął piec następną porcję.

- Dōzo, Anjin-sama!

- Dōmo.

Blackthorne'owi burczało w brzuchu. Miał ochotę rzucić się łapczywie na jedzenie. Opanował się jednak, wziął czyste, drewniane pałeczki, umoczył krewetkę w sosie i zjadł ze smakiem. Była pyszna. Poczęstował Michała, który przez grzeczność sięgnął po krewetkę. Dowódca eskorty

odmówił uprzejmie.

Uporawszy się z pierwszą porcją, zjadł jeszcze dwie. Nie miałby nic przeciwko kolejnym dwóm, wstrzymał się jednak, żeby nie wyjść na żarłoka i nie przeciążać żołądka.

- Dōmo - powiedział odstawiając tackę i bekając, jak nakazywała uprzejmość. - Bimi desu!

(Pyszne).

Uszczęśliwiony sprzedawca uklonił się, to samo zrobili właściciele pobliskich straganów i w tym momencie Blackthorne uzmysłowił sobie, że nie ma czym zapłacić. Poczzerwieniał.

- Co się stało? - spytał Michał.

- Nie mam pieniędzy ani nic takiego, co mógłbym mu dać. Czy mógłbyś z łaski swojej pożyczyć mi trochę?

- Nie mogę, Anjin-san. My chodzimy bez pieniędzy.

Zapadła kłopotliwa cisza. Sprzedawca uśmiechnął się i czekał cierpliwie. Zażenowany Michał

zwrócił się do dowódcy eskorty. Dowódca, wściekły na Blackthorne'a, wydał polecenie jednemu z żołnierzy, który podszedł i hojnie zapłacił sprzedawcy, ten zaś wylewnie podziękował. Michał, czerwony i spocony, odwrócił się i ruszył naprzód. Blackthorne dogonił go.

- Bardzo przepraszam za to, co zaszło.. nie pomyślałem! Pierwszy raz chciałem tu coś kupić.

Nigdy nie miałem przy sobie pieniędzy, to może dziwne, nigdy nie pomyślałem. .

- Drobiazg, Anjin-san. Zapomnij o tym, proszę.

- Bądź łaskaw powiedzieć oficerowi, że zapłacę mu, kiedy wejdę na statek.

Michał spełnił prośbę, po czym szli jakiś czas w milczeniu. Blackthorne próbował uprzytomnić sobie, gdzie dokładnie się znajduje. U wylotu ulicy widać było plażę, spokojne morze ciemniejące w przedwieczornym słońcu. Kiedy zorientował się, gdzie są, pokazał w lewo, na szeroką ulicę biegnącą ze wschodu na zachód.

- Chodźmy tamtędy.

- Tędy będzie szybciej, Anjin-san.

- Tak, ale trzeba przejść koło misji jezuitów i portugalskiej lorszy. Wolę obejść ich z daleka, choćby dłuższą drogą.

- Kazano mi iść tędy.

- Chodźmy tamtędy.

Blackthorne stanął. Zapytany przez oficera Michał wyjaśnił w czym rzecz. Oficer machnął ręką, żeby szli dalej tak, jak prowadził Michał.

Blackthorne pomyślał; co by było, gdyby się zaparł. Zmusiliby go, żeby szedł, albo związali i nieśli, albo wlekli po ziemi. Żadna z tych ewentualności nie odpowiadała mu, więc wzruszył ramionami i pomaszerował.

Wyszli na biegnącą wzdłuż plaży szeroką drogę, która pół ri dalej doprowadzała do nabrzeży i magazynów portowych jezuitów. Sto kroków stamtąd cumował portugalski statek, jeszcze dwieście kroków dalej galera. Z tej odległości nie sposób było dojrzeć ludzi na pokładzie.

Blackthorne schylił się po kamień i cisnął go w morze.

- Przejdźmy się kawałek plażą - zaproponował.

- Dobrze, Anjin-san.

Michał szedł po piasku, Blackthorne po płytkiej wodzie, orzeźwiając się jej chłodem, rozkoszując szumem.

- Piękny dzień, ne?

- Tak, Anjin-san - rzekł Michał z niespodziewaną serdecznością. - Nieraz się zdarza, wybac mi, Madonno, że chciałbym nie być księdzem, a tylko synem mego ojca, i to jest właśnie taka chwila.

- Dlaczego?:

- Chciałbym, żebyś przepłynął swoim dziwnym statkiem z Jokohamy do Hizen, do portu Sasebo. Wymienilibyśmy się wiedzą. Ty uczyłbyś nas wszystkiego, co wiesz o morzu i statkach, a w zamian zaproponowałbym ci najlepszych w cesarstwie nauczycieli bushido, cha-no-yu, hara-gei, ki, medytacji zazen, układania kwiatów i wszystkich umiejętności i gałęzi wiedzy, które opanowaliśmy.

- Odpowiada mi taka wymiana. Może spróbujemy?

- Dzisiaj to niemożliwe. Ale i tak nauczyłeś się już dużo, i to w krótkim czasie, ne? Mariko-sama była wspaniałą nauczycielką. Jesteś prawdziwym samurajem. Posiadasz też rzadką u nas cechę: nieobliczalność. Taikō był taki, Toranaga-sama też taki jest. Bo widzisz, zwykle można dokładnie przewidzieć, jak każdy z nas się zachowa.

- Naprawdę?

- Tak.

- Czy możesz wobec tego przewidzieć, jak mogę wyrwać się z tej pułapki?

- Niestety, nie, ma z niej wyjścia, Anjin-san.

- Nie wierzę. Skąd wiedziałeś, że mój statek jest w Jokohamie? - To żadna tajemnica.

- Tak?

- Powszechnie wiadomo prawie o wszystkim, co ma związek z twoją osobą. Jesteś poważany za obronę pana Toranagi i pani Tody.

- W to też nie wierzę.

Blackthorne schylił się, wziął płaski kamyk i puścił drugą „kaczkę”. Poszedł dalej, nucąc marynarską piosenkę. Kiedy po chwili natknęli się na falochron, skręcili z powrotem na drogę.

Magazyn portowy i misja jezuitów rysowały się groźnie na tle czerwieniejącego nieba. Ubrani - na pomarańczowo bracia strzegli kamiennej bramy.

Michał skierował się w tamtą stronę. Tak właśnie przewidywał Blackthorne. Postanowił, że nie wejdzie do środka ani nie odda broni, chyba żeby pobito go do nieprzytomności.

- Prowadzisz mnie tylko do galery, he?

- Tak, Anjin-san. - Michał dał mu znak, żeby został przed bramą. - Nic się nie zmieniło. Kazano mi zawiadomić po drodze ojca wizytatora. Przepraszam, musisz chwilę zaczekać.

Zaskoczony Blackthorne patrzył, jak Michał przechodzi pod kamiennym łukiem. Spodziewał

się, że tutaj nastąpi kres wędrówki. Że czeka go dochodzenie, tortury, a potem wydadzą go w ręce gubernatora. Sto kroków dalej widać było lorszę. Na rufie stali Ferriera i Rodrigues, a na głównym pokładzie zebrali się uzbrojeni marynarze. Za lorszę przybrzeżna droga zakreślała lekki łuk, przy końcu którego widać było galerę. Blackthorne'owi zdawało się, że wśród marynarzy przy burtach poznaje Yabu i Vincka i że są tam też jakieś kobiety. Dostępu do galery strzegł silny zastęp Szarych.

Blackthorne wyteżył wzrok. Ferriera i Rodrigues byli uzbrojeni po zęby. Członkowie załogi tak samo. Artylerzyści rozłożyli się niedbale „w pobliżu dwóch małych dział skierowanych na brzeg, ale byli w pogotowiu. Zwalisty bosman, Pesaro, schodził z kilkoma marynarzami na nabrzeże.

Blackthorne wyprzedził go spojrzeniem i zadrzał. W twardej ziemi tkwił słup, a pod nim ułożono stos.

- A, pan pilot, witam.

Nadszedł del 'Aqua. Idący obok Michał wyglądał przy nim jak karzeł. Ojciec wizytator, ubrany w jezuicką sutannę, z wielką siwą brodą, przypominał biblijnego patriarchę. Inkwizytor w każdym calu, dobrotliwy na pokaz, pomyślał Blackthorne. Dziwnie się poczuł, kiedy musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć w brązowe oczy, w których wyczytał litość. Wiedział jednak, że to tylko pozór, i nie spodziewał się szczerego współczucia.

- Witam, ojciec wizytatorze - odparł. Krewetki zaciążyły mu w żołądku jak ołów.

- Idziemy?

- Czemu nie.

A więc sąd odbędzie się na pokładzie, pomyślał Blackthorne przerażony, żałując, że nie ma przy sobie pistoletów. Zginałbyś pierwszy, eminencjo.

- Zostań tu, Michale - polecił del 'Aqua. Spojrzał na portugalską fregatę, spochmurniał i ruszył w jej stronę.

Blackthorne zawahał się. Michał i stojący wokół samuraje dziwnie na niego patrzyli.

- Sayonara, Anjin-san - rzekł Michał. - Idź z Bogiem.

Blackthorne skinął głową i zaczął iść między samurajami spodziewając się, że doskoczą do niego i odbiorą mu miecze. Przepuścili go jednak bez zatrzymywania. Stał i obejrzał się z bijącym sercem.

Ogarnęła go chęć, żeby dobyć miecza i ruszyć do ataku. Ale wtedy nie mógłby uciec. Nawet by z nim nie walczone. Samuraje mieli włócznie, więc rozbiliby go i zwięzali. Nie dam się zwięzać, postanowił. Pozostawało mu tylko iść naprzód, gdzie miecze nie dawały żadnej obrony przed działami. Gdyby chciał szarżować, postrzeliliby go w kolana, zwięzali. .

- Kapitanie Blackthorne - zawołał del 'Aqua. - Już idę, za chwilę. - Blackthorne skinął na Michała. - Powiedziałeś, że jestem prawdziwym samurajem. Mówiłeś szczerze?

- Tak, Anjin-san.

- Więc jako samuraj proszę cię o przysługę - rzekł niemal szeptem, pełen napięcia.

- Jaką?

- Chcę zginąć śmiercią samuraja.

- Twój los jest w rękach Boga, Anjin-san.

- Tak. Ale ja zwracam się z prośbą do ciebie. - Blackthorne wskazał widoczny w oddali stos. -

To paskudna śmierć.

Zaskoczony Michał popatrzył w tamtą stronę i dopiero teraz spostrzegł słup.

- Matko przenajświętsza. .

- Kapitanie Blackthorne, proszę za mną - zawołał del 'Aqua.

- Wyjaśnij to oficerowi - nalegał Blackthorne. - Ma ze sobą dość samurajów, żeby postawić na

swoim, ne? Wyjaśnij mi to. Byłeś w Europie. Wiesz, jak tam jest. Nie proszę o wiele, ne?

Przecież jestem samurajem. Któryś z nich mógłby być moim sekundantem.

- Dobrze. . poproszę. - Michał podszedł do oficera i zaczął mu coś szybko tłumaczyć.

Blackthorne ruszył naprzód, skupiając całą uwagę na statku, Del 'Aqua zczekał na niego i poszli dalej razem.

Ferriera, z pistoletami zatknętymi za pas i rapierem u boku, zszedł z rufy i kroczył

majestatycznie po pokładzie. Przyglądał mu się Rodrigues, trzymając rękę na kolbie pistoletu. Na brzegu stał już Pesaro i dziesięciu marynarzy dzierżących muszkiety z bagnetami. Słup rzucał długi cień ku nadchodzącemu Blackthorne'owi.

Boże, co ja bym dał za parę pistoletów, działo i dziesięciu marynarzy, pomyślał Blackthorne, idąc naprzeciw swemu przeznaczeniu. Boże, oszczędź mi wstydu. .

- Dobry wieczór, eminencjo - rzekł Ferriera, nie spuszczając z oka Blackthorne'a. - A więc, Inge. .

- Dobry wieczór, gubernatorze. - Del 'Aqua gniewnym gestem wskazał stos. - To pański pomysł?

- Tak, eminencjo.

- Wracaj na pokład, gubernatorze!

- To wojskowa decyzja.

- Na pokład!

- Nie! Pesaro!

Bosman poprowadził marynarzy z bagnetami na Blackthorne'a. Ferriera wyciągnął zza pasa pistolet.

- A więc, Ingeles, znów się spotykamy.

- Nie powiem, żeby to była przyjemność. - Blackthorne wysunął miecz z pochwy. Trzymał go oburącz, niezbyt zręcznie, bo obłamania rękojeść uwierała.

- Jeszcze dziś będziesz miał przyjemność znaleźć się w piekle - ochryłym głosem rzekł, Ferriera.

- Gdyby starczyło ci odwagi, stanąłbyś do walki jak mężczyzna. Ale ty jesteś tchórzem, hiszpańskim tchórzem bez jaj.

- Rozbroić go! - rozkazał Ferriera.

Blackthorne został „otoczony, miał odcięty odwrót. Dziesięciu marynarzy celowało w niego bagnetami. Jeden zadał cios w nogi, Blackthorne zamachnął się mieczem, ale kiedy pierwszy

napastnik cofał się, drugi zaatakował od tyłu. Del 'Aqua oprzytomniał i krzyknął:

- Przestańcie, na Boga! Zabierzcie broń, to rozkaz!

Marynarze zamarli w napięciu. Wszystkie muszkiety wymierzone były w Blackthorne'a, który stał osaczony z uniesionym mieczem.

- Wszyscy do tyłu - zawołał del 'Aqua. - Cofnąć się! Na Boga, cofnąć się! Jesteście ludźmi czy zwierzętami?

- Chcę go dostać w swoje ręce! - rzekł Ferriera.

- Wiem, ale nie dostaniesz, panie! Mówiłem o tym wczoraj i dzisiaj! Boże, daj mi cierpliwość!

Każ swoim ludziom wejść na pokład!

- Rozkazuję ci, ojczyźnie wizytatorze, wrócić tam, skąd przyszedłeś!

- Ty rozkazujesz mnie?

- Tak, rozkazuję! Ja, dowódca Czarnej Karaweli, gubernator Makau, naczelny wódz portugalskiego korpusu wojskowego. Ten człowiek zagraża państwu, Kościołowi, Czarnej Karaweli i Makau!

- Bóg mi świadkiem, jeżeli temu człowiekowi włos z głowy spadnie, obłożę ekskomuniką ciebie i całą twoją załogę. Słyszysz, co mówię, panie? - Del 'Aqua obrócił się do muszkietierów, którzy cofnęli się przestraszeni. Jedynie Pesaro trwał hardo na swoim miejscu z pistoletem w rękę, czekając na rozkaz Ferriery. - Z drogi, wracajcie na pokład!

- Popełniasz wielki błąd, ojczyźnie wizytatorze - wściekał się Ferriera. - Ten człowiek jest niebezpieczny! Jestem naczelnym dowódcą wojskowym w Azji i powiadam, że. .

- W tej sprawie decyduje Kościół, nie wojskowi.

Oszołomiony Blackthorne nie mógł zebrać myśli i ledwie widział na oczy, bo głowa znów pękała mu z bólu. Wszystko działo się tak szybko, najpierw strzeżono go, potem już nie, zagroził mu stos, ale uszedł cało, Spodziewał się sądu, ale nieoczekiwanie sam inkwizytor stanął w jego obronie. Nie mógł się w tym wszystkim połapać.

- Jeszcze raz ostrzegam! - krzyczał Ferriera. - Na Boga Wszechmogącego, popełniasz wielki błąd, księżo. Zawiadomię o tym Lizbonę!

- Ale teraz każ swoim ludziom wejść na pokład, bo inaczej odbiorę cii dowództwo Czarnej Karaweli!

- Nie masz takiej władzy, księżo!

- Albo natychmiast rozkażesz swoim ludziom wejść na pokład i zabronisz im tknąć Ingelesa, albo

obłożyć ekskomuniką ciebie i wszystkich, którzy pod tobą służą, i przeklnę was na wieki!

- Na Madonnę. . - Ferriera umilkł. Nie bał się o siebie, tylko o los Czarnej Karaweli, opuściłaby go większość załogi, gdyby nie usłuchał. Zastanawiał się chwilę, czy nie zastrzelić jezuitę, ale to nie zdjęłoby klątwy. Dlatego uległ. - Dobrze, wszyscy na pokład! Odstąpić go!

Marynarze posłusznie rozeszli się, z ulgą oddalając od rozgniewanego kapłana. Blackthorne wciąż nie mógł uwierzyć własnym oczom i uszom. Chwilowe zamieszanie wykorzystał Pesaro.

Wycelował. Del 'Aqua spostrzegł ukradkowy ruch i doskoczył do Blackthorne'a, żeby osłonić go własną pierś. W momencie, kiedy Pesaro nacisnął spust, dosięgły go strzały, pistolet wypalił w powietrze, Pesaro zwałił się z krzykiem na ziemię.

Blackthorne obejrzał się i zobaczył sześciu łuczników Kiyamy, którzy znów naciągali cięciwy.

Stał przy nich Michał. Oficer powiedział coś ostro. Pesaro zawył, naprężył się i wyzionął ducha.

Michał drżąc przemówił.

- Oficer przeprasza, ale obawiał się o życie ojca wizytatora.

W duchu błagał Boga o przebaczenie. Ale Pesaro złamał zakaz, tłumaczył sobie. A moim obowiązkiem jest pilnować, żeby wypełniano rozkazy ojca wizytatora, chroniono go, tępiono zabójców, i żeby nikt nie został ekskomunikowany.

Del 'Aqua ukląkł przy zwłokach, przeżegnał je i odmówił modlitwę. Zgromadzeni wokół

Portugalczyki patrzyli na samurajów jak na morderców. Najchętniej by ich pozabijali. Od strony misji śpieszyli pozostali żołnierze Kiyamy, a od galery nadciągała gromada zaniepokojonych Szarych.

Rozwścieczony Ferriera zachował dość przytomności, żeby w tym momencie zapobiec walce.

- Wszyscy na pokład! Zabierzcie ciało! - krzyknął. - Posępni marynarze wykonali rozkaz.

Blackthorne opuścił miecz, ale nie schował go do pochwy. Stał otępiały, spodziewając się jakiegoś podstępu.

Na pokładzie Rodrigues wydał po cichu polecenie:

- Przygotować się do odparcia ataku, tylko ostrożnie, jeśli wam Bóg miły! - Marynarze stanęli w pogotowiu na swoich miejscach. I - Osłaniać gubernatora! Przygotować łódź.

Del 'Aqua powstał z klęczek i zwrócił się do Ferriera, który stał butnie przy schodni, gotów bronić swojego statku.

- Ty, panie, jesteś winien śmierci tego człowieka! - syknął. - Twoja żądza zemsty, twój fanatyzm i .

- Zastanów się, eminencjo, zanim powiesz coś, czego będziesz żałował - przerwał Ferriera. -

Usłuchałem twego rozkazu wiedząc, że popełniasz straszny błąd. Słyszałeś, że kazałem swoim ludziom wrócić na pokład! Pesaro tobie był nieposłuszny, nie mnie, i jeśli ktoś jest winien, to ty. Nie pozwoliłeś nam spełnić obowiązku. Ingeles to nasz wróg! Wojsko powinno decydować o jego losie!

Bóg mi świadkiem, powiadomię o wszystkim Lizbonę.

Ocenił spojrzeniem gotowość bojową statku, rzucił okiem na nadchodzących samurajów.

Na zejściówce na główny pokład pojawił się Rodrigues.

- Gubernatorze, nie mogę wypłynąć przy tym wietrze i stanie wody.

- Naszykuj łódź, żeby w razie czego nas odholowała.

- Właśnie wydałem rozkaz.

Ferriera ponaglił marynarzy niosących ciało bosmana. Wkrótce wszyscy znaleźli się na pokładzie. Działa były obsadzone tak, żeby nie rzucało się to w oczy, i każdy miał pod ręką dwa muszkiety. Z dwóch stron nabrzeża gromadzili się samuraje. Stojąc jeszcze na brzegu, Ferriera powiedział stanowczo do Michała:

- Każ im się rozejść! Nic się nie dzieje, nie mają tu nic do roboty. Popełniono błąd, wielki błąd, ale słusznie zastrzelono bosmana. Każ im się rozejść.

Mówił to wbrew sobie, bo najchętniej by ich wszystkich pozabijał, ale wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo zmusiło go do wycofania się. Michał spełnił prośbę. Samuraje nie zawrócili.

- Proszę już iść, eminencjo - rzekł z goryczą Ferriera. - Ale to jeszcze nie koniec. Pożałujesz, że go uratowałeś!

Del 'Aqua też wyczuwał napiętą atmosferę. Pozostał niewzruszony. Zrobił znak krzyża, wypowiedział krótkie błogosławieństwo i odwrócił

- Chodźmy, pilocie - rzekł.

- Dlaczego puszczacie mnie wolno? - spytał Blackthorne z niedowierzaniem, udręczony bólem głowy. I - Chodźmy, pilocie!

- Ale dlaczego puszczacie mnie wolno? Nie rozumiem.

- Ja też nie - wtrącił Ferriera. - Ja też chciałbym poznać prawdziwy powód, eminencjo. Czy nie jest nadal niebezpieczny dla nas i dla Kościoła?

Del 'Aqua patrzył na niego w milczeniu. Tak, chciał odpowiedzieć i utrzyć nosa temu fanfaronowi. Ale bardziej nam zagraża szykująca się wojna i ważniejsze jest zapewnienie tobie i twoim następcom

swobodnej żeglugi Czarną Karawelą przez najbliższe pięćdziesiąt lat. Ważne jest, kogo wybrać: Toranagę czy Ishido. Nie masz pojęcia o naszych zmartwieniach, Ferriera, o stawce tej gry, o zagrożeniach, o tym, w jak delikatnej jesteśmy sytuacji.

- Zastanów się, proszę, panie Kiyama - powiedział wczoraj do daimyō za pośrednictwem Michała, gdyż nie był pewien swojej japońszczyzny. - Wydaje mi się, że powinieneś wybrać Toranagę.

- To niepożądane wtrącanie się w nasze wewnętrzne sprawy, wykraczające poza kompetencje Kościoła. A barbarzyńca musi zginąć.

Mimo dyplomatycznych zabiegów nie udało mu się nakłonić Kiyamy do zmiany stanowiska. Ale dziś rano, kiedy poszedł powiedzieć Kiyamie, że z Bożą pomocą Ingeles został unieszkodliwiony, zajaśniał promyk nadziei.

- Rozważyłem twoje słowa, ojczyznisz rzekł Kiyama. - Nie zostanę sprzymierzeńcem Toranagi. Ale do czasu bitwy będę się bacznie przyglądał obu stronom i we właściwej chwili dokonam wyboru. A teraz zgadzam się puścić barbarzyńcę wolno.. nie z powodu tego, co powiedziałaś, ale żeby uczcić panią Mariko.. i dlatego, że Anjin-san jest samurajem. .

Ferriera cały czas wpatrywał się w niego.

- Czy Ingeles nie jest już niebezpieczny?

- Pomyślnych wiatrów, gubernatorze, niech Bóg cię prowadzi. Pilocie, zabieram cię na galerę. .

Dobrze się czujesz?

- Głowa. . po wybuchu. . Naprawdę puszczaście mnie wolno? Dlaczego?

- Ponieważ pani Maria, pani Mariko, prosiła, żebyśmy zaopiekowali się tobą. - Del 'Aqua ruszył naprzód.

- Ale to żaden powód! Nie robilibyście tego tylko na jej prośbę.

- Pewnie - rzekł Ferriera i zawołał: - Eminencjo, a może by tak powiedzieć mu całą prawdę?

Del 'Aqua nie zatrzymał się. Blackthorne zaczął posuwać się za nim, ale tyłem, wciąż spodziewając się podstęp.

- Nic nie rozumiem. Ale zniszczę cię. Zdobędę Czarną Karawelę. Ferriera roześmiał się pogardliwie.

- Jakim sposobem, Ingeles? Nie masz już statku!

- Jak to?

- Nie masz statku. Przepadł. Gdyby nie to, dostałbym cię w swoje ręce, nie bacząc na groźby eminencji.

- Kłamiesz. .

Zamroczony Blackthorne słyszał, jak Ferriera powtarza to ze śmiechem, mówi coś jeszcze o palcu bożym. . słowa: „Twój statek wypalił się do cna, nigdy nie zdołasz dobrać się do mojego statku, ale zawsze będziesz wrogiem, heretykiem, zagrożeniem dla prawdziwej wiary”. . - Spojrzenie Blackthorne’a padło na Rodriguesa, którego twarz wyrażała współczucie, a wargi ułożyły się w zdanie: Tak, to prawda, Ingeles.

- Nie wierzę, to nie może być prawda.

Gdzieś z końca świata dobiegł go głos inkwizytora.

- Dostałem dziś wiadomość od ojca Alvito. Trzęsienie ziemi wywołało wysoką falę, która. .

Blackthorne już nie słuchał. W głowie dudniło mu: Twój statek przepadł, zawiodłeś go, twój statek przepadł, nie ma go, nie ma, nie ma. .

- Nieprawda! Kłamiesz, mój statek kotwiczy w bezpiecznej przystani, pod strażą czterech tysięcy ludzi. Nikt go nie dosięgnie!

- Nikt prócz Boga - odezwał się ktoś, a inkwizytor mówił dalej:

- Fala przechyliła statek. Podobno poprzewracały się lampy olejowe na pokładzie i wybuchł pożar, który strawił statek. -

- Kłamstwa! A wachty na pokładzie? Przecież zawsze na pokładzie jest wachta! To niemożliwe!

- krzyczał z rosnącym przeświadczeniem, że żyje za cenę zniszczonego statku.

- Jesteś uziemiony, Ingeles - szydził Ferriera. - Jesteś szczurem lądowym. Zostaniesz tu na zawsze, nie zabierzesz, się żadnym z naszych statków. Nigdy się stąd nie wyrwiesz. .

To nie miało końca, a on czuł, że tonie. Wtem odzyskał jasność widzenia. Usłyszał krzyki mew, poczuł zgniłą woń wybrzeża, zobaczył Ferriera, śmiertelnego wroga i pojął, że to wszystko kłamstwo, które miało mu pomieszać w głowie. Był o tym święcie przekonany, jak również o tym, że do spisku należą księża.

- Niech cię piekło pochłonie! - ryknął i rzucił się do Ferriery z uniesionym mieczem, ale tylko w wyobraźni dopadł nieprzyjaciela. Ktoś go przytrzymał, odebrał miecz, ustawił między dwoma Szarymi, którzy odprowadzili go do galery i tam dopiero oddali miecze i puścili wolno.

Niewiele słyszał i widział, ból wyparł mu z głowy wszystkie myśli prócz pewności, że chcą go podstępem przywieść do szaleństwa, więc musi zebrać wszystkie siły, by do tego nie dopuścić.

Niechże mi ktoś pomoże, błagał w duchu. Raptem pojawił się przy nim Yabu, Vinck, wasale, a on nie mógł rozróżnić języków, w jakich się do niego zwracali. Wprowadzono go na pokład, gdzie była Kiri i Szuko, dziecko płaczące w objęciach piastunki, niedobitki garnizonu Brązowych, wioślarze i marynarze.

Odór potu, odór strachu. Yabu coś do niego mówił. Vinck też. Jak długo trzeba skupiać uwagę.

- Pilocie, jak Boga kocham, dlaczego cię puścili?

- Bo.. bo.. - Nie mógł tego z siebie wykrztusić.

Nie wiedząc jak i kiedy, znalazł się na pokładzie rufowym. Yabu wydał rozkaz kapitanowi, żeby wypłynął w morze, zanim Ishido rozmyśli się i zatrzyma ich, albo Szarzy na brzegu rozmyślą się i nie pozwolą galerze wypłynąć. Yabu kazał kapitanowi płynąć jak najszybciej do Nagasaki. . Kiri uprzejmie zaprotestowała, że najpierw trzeba do Edo, koniecznie do Edo..

Wiosła zsunęły się z nabrzeża i zaczęły zmagać się z przeciwną falą i wiatrem, kierując płaski statek na szerokie wody. Odprowadzały go rozkrzyczane mewy. Blackthorne otrząsnął się i wydał polecenie.

- Nie. Przepraszam. Do Jokohamy. Musimy do Jokohamy.

- Najpierw weźmiemy ludzi w Nagasaki, Anjin-san,- rozumiesz? Najważniejsze. Najpierw ludzie. Mam plan - odparł Yabu:

- Nie. Do Jokohamy. Mój statek. . mój statek w niebezpieczeństwie.

- Jakim niebezpieczeństwie?

- Chrześcijanie mówią. . pożar!

- Co takiego?!

- Na miłość boską, pilocie, co się stało? - krzyknął Vinck.

Blackthorne drżącą ręką wskazał lorszę.

- Powiedzieli mi. . powiedzieli, że Erasmus przepadł. Nasz statek przepadł, Johann. . spalił się.

- Zbolałym głosem wyrzucił z siebie: - Boże, spraw, żeby to nie była prawda!

KSIĘGA SZÓSTA

Stał w płytkiej wodzie patrząc na przechylony, czarny szkielet statku zaryty w dnie siedemdziesiąt jardów od brzegu. Szkielet bez masztów, bez pokładów, bez niczego, sam kil i sterczące żebra obmywane drobnymi falami.

- Małpy próbowały wyciągnąć go na brzeg - stwierdził ponuro Vinck.

- Nie. To przyływ tam go osadził.

- Jak Boga jedyne go kocham, dlaczego tak mówisz, pilocie? Jeżeli statek się pali blisko brzegu, to wyciągasz go, do cholery, i gasisz! Chryste Panie, nawet te zaszrane żółtki to wiedzą! -

Vinck splunął na piasek. - Nie powinieneś być oddać go w ręce małpom. Co my teraz zrobimy? Jak wrócimy do domu? Trzeba go było zostawić w Edo, a nam dać żyć z naszymi eta.

Zawodzenie Vincka zezłościło Blackthorne'a. Vinck w ogóle go denerwował. Trzy razy w ciągu minionego tygodnia był bliski tego, żeby kazać wasalom ukrócić cierpienia Vincka, po cichu uprzętnąć go i wyrzucić za burtę, tak nieznośne były te jęki, płacze i oskarżenia. Za każdym razem jednak opanowywał się i ruszał na poszukiwanie Yabu. W obecności Yabu Vinck z przerażenia zapominał języka w gębie. Na galerze łatwo się było opanować. Tutaj, wobec haniebnie ogołoczonego statku, było trudniej.

- Może wyciągnęli go na brzeg, Johann - rzekł śmiertelnie znużony Blackthorne.

- Jasne, że tak. Ale głównojady nie ugasiły pożaru, niech ich piekło pochłonie! Nie trzeba było zostawiać statku śmierdzącym Japońcom, zaszczanym małpom.

Blackthorne nie słuchał, tylko patrzył uważnie na galerę. Cumowała kilkaset kroków dalej, koło wioski Jokohama, przy pomoście od nawietrznej. Szalasy regimentu muszkietników stały nadal nad brzegiem i na pobliskich wzgórzach, a żołnierze biegali i ćwiczyli zatroskani. Dzień był ciepły, słoneczny, wiatr ożywczy. Zapachniało mimoszą. Blackthorne nie był pewien, czy to aromat perfum Kiri i pani Sazuko, które rozmawiały na pokładzie dziobowym, osłaniając się pomarańczowymi parasolkami. Zaczął przyglądać się Yabu i Nadze. Chodzili w tę i z powrotem po pomoście, Naga coś mówił, Yabu słuchał, obaj bardzo niespokojni. Spojrzeli raz z napięciem w jego stronę.

Kiedy przed dwoma godzinami galera okrążyła przylądek, Yabu powiedział:

- Po co patrzeć z bliska, Anjin-san? Statek przepadł, ne? Koniec. Płynmy do Edo! Szykować się do wojny. Nie ma czasu.

- Przepraszam, tu się zatrzymamy. Muszę popatrzeć z bliska. Proszę.

- Płynmy do Edo! Statek przepadł, koniec. Ne?

- Chcesz, weź galerę. Ja skoczę do wody.

- Czekaj. Statek przepadł, ne?

- Zatrzymajmy się, proszę. Na krótko. Potem do Edo.

W końcu Yabu zgodził się, przycumowali i spotkali się z Nagą.

- Bardzo mi przykro, Anjin-san. Ne? - powiedział Naga. Po jego oczach znać było niewyspanie.

- Tak, bardzo przykro. Jak to się stało?

- Niestety nie wiem. Nie było mnie tu, rozumiesz? Musiałem jechać na kilka dni do Mishimy.

Kiedy wróciłem, dowiedziałem się, że w nocy było trzęsienie ziemi, to stało się w nocy, rozumiesz?

Rozumiesz „trzęsienie ziemi”, Anjin-san?

- Rozumiem. Tak. Mów dalej, proszę.

- Małe trzęsienie ziemi. W nocy. Niektórzy mówią, że przyszła fala przyływu, inni, że jedna wielka fala sztormowa. Tej nocy była burza, ne? Mały tai-fun. Rozumiesz „tai-fun”?

- Tak.

- Przepraszam. Noc była ciemna. Nadchodzi wielka fala. Lampy olejowe na pokładzie tłuką się.

Statek zaczyna się palić, ne? Wszystko się pali, szybko, bardzo..

- A wartownicy, Naga-san? Gdzie marynarze?

- Bardzo ciemno. Pożar bardzo szybki, rozumiesz? Bardzo przykro. Shigata ga nai, ne? -

dodał z nutką nadziei.

- Gdzie marynarze, Naga-san? Zostawiłem wartowników. Ne?

- Wróciłem na drugi dzień, bardzo przykro, ne? Statek palił się jeszcze przy brzegu. Statek przepadł. Zebrałem wszystkich, którzy tej nocy byli na pokładzie albo patrolowali brzeg. Kazałem zdać sprawozdanie. Nikt nie wie dokładnie, co się stało. - Naga spochmurniał. - Kazałem wyratować, przynieść, co się da, rozumiesz? Wszystko leży teraz w obozie. - Wskazał polanę. - Pod strażą. To moja straż. Tamtych zabiłem i pojechałem czym prędzej do Mishimy powiadomić pana Toranagę.

- Wszystkich zabiłeś?

- Tak, nie wypełnili swoich obowiązków.

- Co powiedział pan Toranaga?

- Bardzo zły. Bardzo słusznie zły, ne? Chciałem popełnić seppuku. Pan Toranaga nie dał zgody.

Ii ii ! Pan Toranaga bardzo zły, Anjin-san. - Naga nerwowo zatoczył ręką półkole. - Cały pułk w niełasce, Anjin-san. Oficerowie w niełasce. Odesłani do Mishimy. Pięćdziesięciu ośmiu już popełniło seppuku.

Blackthorne miał ochotę krzyknąć: choćby pięć tysięcy, a nawet pięćdziesiąt tysięcy, to i tak nie przywróci mi statku!

- Źle - powiedział jak automat. - Bardzo źle.

- Tak. Lepiej płynąć do Edo. Dziś. Wojna lada dzień.

Naga zaczął konferować z Yabu. Otepiały Blackthorne niewiele z tego rozumiał, widział

natomiast rosnące zakłopotanie Yabu, czuł wstręt do drażniących uszy słów, nienawiść do Nagi, Yabu i całej reszty. Naga zwrócił się do niego z zażenowaniem, ale stanowczo.

- Wybacz, Anjin-san. Nic więcej nie mogłem zrobić. Honto, ne? Blackthorne z wysiłkiem skinął głową.

- Honto. Dorno, Naga-san. Shigata ga nai.

Bąknął coś przepaszajaco i odszedł od nich. Chciał być sam ze swoją wściekłością, nad którą ledwie panował. Wiedział, że nic więcej nie może zrobić, nigdy nie dowie się całej prawdy, a statek tak czy owak przepadł, że księżom udało się w jakiś sposób, prośbą, groźbą czy przekupstwem, nakłonić ludzi do tej haniebnej zdrady. Uciekając od Yabu i Nagi kroczył niespiesznie, z dumnie uniesioną głową, ale zanim zszedł z pomostu, dogonił go Vinck. Widząc, że Vinck kuli się z przerażenia, uległ jego błaganiom i pozwolił iść za sobą.

Kawałek dalej, za przybrzeżnymi wydmami, natknęli się niespodziewanie na odrażające czerepy nadziane na włócznie. Było ich ponad sto. Spłoszyli ptaki, które zerwały się białą rozwrzeszczaną chmurą, a kiedy pośpiesznie stamtąd odeszli, poroziadały się z powrotem do kłótliwego żeru.

Przyglądał się teraz wypalonemu kadłubowi nękany myślą, że Mariko dojrzała prawdę i szepnęła Kiyamie albo księżom: „Bez statku Anjin-san jest bezbronny wobec Kościoła. Proszę zostawcie go przy życiu, zniszczcie tylko statek. ”

Zupełnie jakby słyszał padające z jej ust słowa. Nie myliła się. Takie proste rozwiązanie ciężącego katolikom problemu. Właściwie każdy mógł na to wpaść. Tylko jak katolicy zrobili wyłom w cztero tysięcznym pułku? Kogo przekupili? Jak?

Teraz to już nie ma znaczenia. Zwyciężyli.

Boże, pomóż mi, przepadł statek, przepadłem i ja. Nie mogę pomóc Toranadze, ta wojna zetrze nas na proch.

- Przebacz mi - rzekł zwracając się do wraku. - Tyle mil przepłynęliśmy razem, a taki smutny spotkał

cię koniec.

- He? - odezwał się Vinck.

- Nic - odparł. Przebacz mi, myślał. Nie wydałem cię nikomu. Biedna Mariko. Jej też przebacz.

- Co mówiłeś, pilocie?

- Nic. Myślałem na głos.

- Powiedziałeś coś. Sam słyszałem, jak Boga kocham!

- Na miłość boską, zamilcz!

- Zamilcz i tyle, tak? Skazani jesteśmy do końca życia na tych gównojadów! Tak?

- Tak!

- Mamy kłaniać się w pas pogańskim matołom do końca naszego zasranego życia, które nie wiadomo jak długo potrwa, bo im tylko w głowie wojna, wojna, wojna. Tak?

- Tak.

- A więc to tak? - Vinck drżał jak w febrze, Blackthorne nie spuszczał go z oka. - To twoja wina. Namawiałeś, żeby płynąć do Japońców, a ilu zginęło w drodze? Ty jesteś temu winien!

- Tak. Masz rację, bardzo mi przykro.

- Przykro ci, pilocie? A jak wrócimy do domu? Masz nas doprowadzić do domu, to twój psi obowiązek! Jak chcesz to zrobić? No?

- Nie wiem. Dotrze tu kiedyś inny nasz statek, Johann. Musimy czekać, aż . .

- Czekać? Jak długo mamy czekać? Pięć gównianych lat, dwadzieścia? Chryste Panie, sam mówiłeś, że te matoly urządziły sobie wojnę! - Vinck darł się jak opętany. - Poucinają nam głowy i zatkną jak tamte, żeby je ptaki rozdziobały. .

Zatrząsał się w ataku szaleńczego śmiechu, sięgnął za połę podartej koszuli, spod której wyjrzała kolba pistoletu. Blackthorne mógł z łatwością przewrócić Vincka i odebrać mu pistolet, ale nie zrobił tego. Z pianą na ustach, wymachując pistoletem, Vinck puścił się wokół niego w opętane płasy. Blackthorne bez strachu, z nadzieją czekał na kulę, ale Vinck raptem czmychnął i pobiegł

brzegiem, strasząc ptaki, które podrywały mu się spod nóg, wypełniając wrzawą powietrze. Vinck pędził jak szalony, a po jakichś stu krokach padł na ziemię i leżąc na plecach przebierał nogami, wymachiwał rękoma i miotał przekleństwa. Potem obrócił się na brzuch, krzyknął i zastygł z twarzą zwróconą do Blackthorne'a. Nastąpiła cisza.

Kiedy Blackthorne podszedł do leżącego, zobaczył wycelowany pistolet, zbuntowane, obłąkane oczy, wyszczerzone zęby. Vinck nie żył.

Blackthorne zamknął mu powieki, dźwignął go, przerzucił przez ramię i ruszył w stronę galery.

Wybiegli mu naprzeciw samuraje z Nagą i Yabu na czele.

- Co się stało, Anjin-san?

- Oszalał.

- Naprawdę? Nie żyje?

- Tak. Najpierw pogrzeb, potem do Edo. Zgoda?

- Hai.

Blackthorne kazał przynieść łopatę i poprosił, żeby zostawiono go na chwilę samego. Pochował

Vincka na niedostępnym dla przyływu wzniesieniu, skąd widać było wrak. Zmówił nad grobem modlitwę, zatknął krzyż sporządzony z wyrzuconych przez morze deszczulek. Miał wielką, zbyt wielką wprawę w odmawianiu modlitwy za zmarłych. W ciągu tej jednej podróży, odkąd pożegnali Holandię, ponad sto razy zastępował kapłana członkom swojej załogi. Zostali przy życiu tylko Baccus van Nekk i chłopak Croocq, reszta pochodziła z innych statków - niemowa Salamon, Jan Roper, kucharz Sonk, żaglomistrz Ginsel. Pięć statków, czterystu dziewięćdziesięciu sześciu ludzi. Odeszli wszyscy z wyjątkiem tej siódemki. W imię czego?

Marzenia, żeby opłynąć dokoła ziemię? Być pierwszym?

- Nie wiem - rzekł na głos. - Teraz wszystko przepadło. Uklepał ziemię, żeby grób porządnie wyglądał.

- Sayonara, Johann.

Zszedł do morza, rozebrał się do naga i popłynął do wraku. Uprzedził Nagę i Yabu, że zwyczaj wymaga oczyszczającej kąpieli, kiedy pochowa się żeglarza na brzegu. Z braku innej osoby, musiał to zrobić kapitan, bez świadków, morze oczyszczało duszę przed Bogiem, który był Bogiem chrześcijańskim, chociaż nie tym samym, co Bóg jezuitów.

Uchwycił się zebra statku, na którym już sadowiły się kolonie skorupiaków, trzy sążnie niżej piasek zasypywał stępkę. Morze upominało się o swoje. Rozejrzał się bez nadziei. Nie było czego ratować.

Dopłynął do brzegu. Wasale czekali z czystym kimonem. Ubrał się, zatknął miecze za pas i ruszył do pomostu. Nie zdążył tam dojść, kiedy jeden z wasali zawołał, wyciągając rękę:

- Anjin-san!

Uciekający przed jastrzębiem gołąb pocztowy łopocząc skrzydłami pędził do gołębnika w wiosce. Gołębnik mieścił się na poddaszu najwyższego domu stojącego nieco dalej ód brzegu, na pagórku. Zawieszony wysoko nad ofiarą jastrzęb złożył skrzydła i spadł jak pocisk. Poleciały pióra, ale atak nie był celny. Gołąb zaskrzeczał i opadł jakby śmiertelnie raniony, ale tuż nad ziemią odzyskał siły i frunął do bezpiecznej kryjówki. Dał nura do dziury w gołębniku, w ostatniej chwili umykając rozwścieczonemu jastrzębiowi. Rozległy się wiwaty. Tylko Blackthorne pozostał obojętny na ten popis sprytu i odwagi. Nic nie mogło go poruszyć.

- To dobre, ne? - powiedział wasal skrępowany ponurą miną pana.

- Tak.

Blackthorne wszedł na galerę. Zastał Yabu, panią Sazuko, Kiri i kapitana. Mogli ruszać w drogę.

- Yabu-san. Ima Edo ka? - spytał.

Ale Yabu nie odpowiedział, nikt zresztą nie zwrócił uwagi na Blackthorne'a. Wszyscy śledzili Nagę, który biegł do wioski. Wszedł mu naprzeciw gołębiarz. Naga złamał pieczęć i przeczytał: Galera z całą załogą i pasażerami ma czekać na moje przybycie w Jokohamie. Toranaga.

Jeźdźcy pokonali szczyt wzgórza oświetleni porannym słońcem. Pierwszych pięćdziesięciu, straż przednią, prowadził Buntaro. Za nimi jechał oddział chorągwianych. Potem Toranaga. Dalej główne siły wojennej wyprawy pod wodzą Omiego. Następnie ojciec Alvito Tsukku-san i dziesięciu akolitów trzymających się blisko siebie, a na końcu nieliczna straż tylna z sokolnikami. Samuraje byli w pełnym rynsztunku bojowym kawaleri .

Toranaga jechał swobodnie, jakby odmłodził i sił mu przybyło, zadowolony, że zbliżają się do kresu podróży. Dwa i pół dnia temu wysłał rozkaz do Nagi, żeby zatrzymał galerę w Jokohamie, i wyruszył z Mishimy. Kawalkada posuwała się naprzód forsownym marszem, zmieniając konie co dwadzieścia ri. Kiedy na jednym z postojów zabrakło świeżych koni, odpowiadający za to samuraj stracił pobory-na rzecz drugiego i został postawiony przed wyborem: popełnić seppuku albo ogolić głowę i zostać kapłanem. Wybrał śmierć.

Wiedział głupiec, co go czeka, pomyślał Toranaga, całe Kantō jest postawione w stan gotowości bojowej. No, ale nie można go całkiem spisać na straty. Wieść o nim rozniesie się lotem błyskawicy po moich włościach i więcej opóźnień nie będzie.

Tyle jeszcze zostało do zrobienia, myślał. W głowie kłębiło mu się od pewników, planów, przewidywań. Za cztery dni rozstrzygający dzień, dwudziesty drugi dzień ósmego miesiąca, miesiąca Oglądania Księżyca. Dziś w Osace dworzanie Ogaki Takamoto uda się do Ishido i z żalem oznajmi, że z powodu złego stanu zdrowia Syn Nieba złoży wizytę w Osace z kilkudniowym opóźnieniem.

Jakże łatwo było to zaaranżować. Wprawdzie Ogaki szczyił się tytułem księcia Siódmego Rzędu i należał jako dziewięćdziesiąty piąty potomek do dynastii cesarza Go-Shoko, ale był biedny, jak cały cesarski dwór. Dwór nie miał stałych dochodów. Tylko samuraje czerpali dochody z ziemi i od stuleci dwór musiał zadowalać się ściśle kontrolowaną i niewygórowaną pensją przyznawaną przez

shōguna, kampaku lub rządzących w danym czasie generałów. Toranaga, z zachowaniem dużej ostrożności, przez pośredników, przeznaczył dziesięć tysięcy koku dla Ogakiego, by ten rozdzielił je wedle życzenia między potrzebujących krewnych. Przypominając uniżenie, że jest Minowarą, a zatem również „potomkiem Go-Shoko, z radością ofiarowywał swe usługi i mniemał pokornie, że Najjaśniejszy nie narazi swojego bezcennego zdrowia na zdradziecki klimat Osaki, zwłaszcza około dwudziestego drugiego dnia.

Nie było oczywiście gwarancji, że Ogaki wpłynie na Najjaśniejszego, ale Toranaga przypuszczał, że Syn Nieba sam albo namówiony przez doradców skorzysta z wymówki i opóźni, a może nawet odwoła przyjazd. Raz tylko w ciągu trzech stuleci rządzący cesarz opuścił pałac w Kioto. Zdarzyło się to cztery lata temu. Na zaproszenie taikō cesarz przybył obejrzeć kwitnące wiśnie koło zamku w Osace, a ponieważ zbiegło się to w czasie z przekazaniem tytułu kampaku Yaemonowi, przypieczętował niejako tę sukcesję.

W zwykłych okolicznościach żaden daimyō, nawet Toranaga, nie ośmieliłby się złożyć tak obraźliwej propozycji członkowi dworu, gdyż równało się to przywłaszczeniu sobie przywilejów wyższej władzy - w tym wypadku Rady Regentów - i zostałoby uznane, całkiem słusznie, za zdradę.

Ale Toranaga już był o zdradę oskarżony.

Jutro Ishido ze swoimi sprzymierzeńcami wyruszy przeciwko mnie, myślał. Ile czasu zostało?

Gdzie powinna się odbyć rozstrzygająca bitwa? Pod Odawarą? Zwycięstwo zależy od czasu i miejsca, nie od liczebności wojsk. Będę miał przeciw sobie co najmniej trzykrotnie większą armię.

Nie szkodzi, najważniejsze, że Ishido opuszcza zamek w Osace! Zmuszony przez Mariko. W szachowej grze o władzę poświęciłem królową, ale Ishido stracił dwie wieże.

Tak. Ale w ostatniej rozgrywce straciłeś więcej niż królową. Straciłeś statek. Pionek może zostać królową, ale statkiem nie!

Zjeżdżali ze wzgórza kłusem, trzęsąc się niemiłosiernie. W dole rozpościerało się morze.

Minęli zakręt i ujrzeli wioskę Jokohamę i wrak niedaleko brzegu. Na polanie ustawił się do przeglądu pułk muszkietów z końmi i wyposażeniem, a trasę przejazdu nad morzem wyznaczała honorowa gwardia zbrojnych samurajów. Na skraju wioski, w równych rzędach, klęczeli chłopci. Dalej widać było galerę z załogą. Po obu stronach pomostu leżały na piasku jedna przy drugiej łodzie rybackie. Toranaga zapamiętał, żeby dać reprimendę Nadze. Wysłał rozkaz, żeby pułk był gotów do wymarszu, ale odrywanie rybaków i chłopów od pracy, to brak odpowiedzialności.

Obrócił się w siodle, przywołał samuraja i polecił mu przekazać rozkaz dla Buntaro, żeby pojechał naprzód na inspekcję.

- Potem jedź do wioski i odeślij chłopów do pracy. Tylko naczelnik niech zostanie.

- Tak, panie - odparł samuraj i dźgnął konia ostrogami.

Toranaga podjechał na tyle blisko oczekujących, że rozróżniał ich twarze. Anjin-san i Yabu, Kiri i pani Sazuko. Krew popłynęła mu szybciej w żyłach.

Buntaro, z wielkim łukiem i dwoma kołczanami na plecach, galopował drogą, a za nim sześciu samurajów. Zjechali na bok, na polanę. Buntaro sposepniał na widok Blackthorne'a. Ściągnął cugle, rozejrzał się uważnie. Na wprost pułku stał zadaszony podest z poduszką. Obok, na niższym i mniejszym podeście, czekały Kiri i pani Sazuko. Na czele pułku, z racji starszeństwa, stał Yabu, a przy nim Naga i Anjin-san. Nic nie budziło podejrzeń, więc Buntaro dał znak oddziałowi, że można wjeżdżać. Samuraje z przedniej straży pozsiadali z koni i otoczyli podest. Nadjechał Toranaga.

Naga uniósł chorągiew. Cztery tysiące żołnierzy ryknęło: „Toranagaaaaaaa!” Potem ukłonili się.

Toranaga nie odpowiedział na powitanie. W milczeniu lustrował zgromadzonych. Zauważył, że Buntaro ukradkiem obserwuje Anjin-sana. Yabu miał miecz, prezent od Toranagi, ale był

zdeenerwowany. Łuk Anjin-sana był prawidłowo założony i nieruchomy, miecz miał ukruszoną rękojeść.

Kiri i najmłodsza konkubina klęczały z pochylonymi głowami, opierając dłonie na tatami. Twarz mu złagodniała, ale zaraz potem z niezadowoleniem spojrzął na pułk. Żołnierze trwali w ukłonie. Zamiast odkłonić się, skinął tylko głową, a wtedy samuraje wyprostowali się. Wyczuł przebiegający ich dreszcz niepokoju. Świetnie, pomyślał zsiadając zręcznie z konia, zadowolony, że drżą przed jego zemstą. Oddał cugle samurajowi i podszedł do kobiet.

- Witaj, Kiri-san!

Ukloniła się z radością.

- Dziękuję, panie. Myślałam, że już nigdy nie będę miała przyjemności cię ujrzeć.

- Ja też, pani. - Toranaga wspaniałomyślnie dał po sobie poznać zadowolenie. Spojrzął na młodą konkubinę. No, Sazuko-san? Gdzie mój syn?

- Jest pod opieką mamki, panie - wyszeptała, radując się jego widomą łaskawością.

- Poślij kogoś, proszę, po naszego syna.

- Pozwól łaskawie, panie, że sama go przyniosę.

- Dobrze, skoro sobie tego życzysz. - Toranaga uśmiechnął się i czule odprowadził ją wzrokiem. Spojrzął na Kiri. - A ty, czy dobrze się czujesz? - spytał cicho.

- Tak, panie. O, tak, i serce mi rośnie, kiedy widzę, jaki jesteś silny.

- Schudłaś, Kiri-chan, odmłodniałaś.

- Dziękuję, panie, dziękuję, ale niestety, to nieprawda.

Toranaga uśmiechnął się.

- Nie wiem, co cię zmieniło, ciężkie przejścia czy samotność, ale jest ci z tym do twarzy. .

twój widok sprawia mi wielką przyjemność, Kiri-chan.

- Dziękuję, panie. Tak się cieszę, że poświęcenie Mariko-san otworzyło bramy Osaki. Byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby o tym wiedziała.

- Najpierw zajmę się tą zbieraniną, potem porozmawiamy. Jest o czym, ne?

- O tak! - Oczy jej rozblęły. - Syn Nieba opóźni przyjazd, ne?

- To byłoby rozsądne. Ne?

- Mam poufną wiadomość od pani Ochiby.

- Tak? Dobrze! Ale to musi poczekać. - Umilkł. - Czy pani Mariko zginęła godną śmiercią? Z

wyboru, a nie przez przypadek?

- Sama wybrała śmierć. To było seppuku. Gdyby tego nie zrobiła, zostałaby pojmana. O, panie, była taka wspaniała, taka dzielna w trudnych chwilach. Ale gdyby nie Anjin-san, spadłaby na nią i na nas wszystkie hańba niewoli.

- No tak, ninja. - Toranaga prychnął, oczy mu pociemniały, aż Kiri mimo woli zadrżała. - Ishido bardzo zawinił i musi za to zapłacić. Pozwól, że cię opuszczę, Kiri-chan.

Podszedł do podwyższenia i usiadł, znów przybierając groźną minę. Zewsząd otaczała go straż.

- Omi-san! - zawołał.

- Tak, panie?

Orni, smuklejszy i jakby starszy, podszedł i ukłonił się.

- Odprowadź panią Kiritsubo do jej kwatery i sprawdź, czy przygotowano odpowiednią dla mnie. Będę tu dziś nocował.

Orni zasalutował i poszedł, nie mrugnawszy nawet okiem na tę niespodziewaną zmianę planu.

Dobrze, pomyślał Toranaga, Orni uczy się albo szpiegzy donieśli mu, że kazałem Sudarze i Hiro-matsu stawić się tutaj, z czego wynika, że do jutra na pewno zostanę.

Przeniósł uważne spojrzenie na pułk. Skinął na Yabu, który podszedł i zasalutował. Uprzejmie odwzajemnił gest.

- Witaj, Yabu-san!
- Dziękuję, panie. Jestem niezmiernie rad, że nie wpadłeś w zdradzieckie szpony Ishido.
- Dziękuję. Wzajemnie. Nie powiodło wam się w Osace.
- Nie. Moja harmonia legła w gruzach, panie. Liczyłem, że wydostaniemy się z Osaki i przyprowadzę do ciebie obie panie, syna, a także panią Todę, Anjin-sana i marynarzy na jego statek. Niestety, przykro o tym mówić, spotkała nas zdrada i tam, i tutaj.
- Tak. - Toranaga spojrział na obmywany przez morze wrak. Gniewny mars ściągnął mu twarz, wszyscy spodziewali się wybuchu. Trwało to jednak tylko chwilę. - Karma - rzekł spokojnie. - Tak, karma, Yabu-san. Co może człowiek wobec żywiołów? Nic. Co innego ludzkie zaniedbanie. Wracając do Osaki, chciałbym szczegółowo dowiedzieć się o wszystkim, co się tam zdarzyło, kiedy tylko żołnierze rozejdą się i wezmą kąpiel.
- Przygotowałem dla ciebie, panie, pisemny raport.
- Dobrze. Dziękuję, ale wolałbym najpierw usłyszeć o tym wprost od ciebie.
- Czy to prawda, że Najjaśniejszy nie przybędzie do Osaki?
- Najjaśniejszy zrobi to, co uzna za stosowne.
- Życzysz sobie, panie, przeprowadzić przegląd pułku?
- Z jakiej racji miałbym obdarzyć ich tym zaszczytem? Nie wiesz, że są w niełasce, niezależnie od potęgi żywiołów? - Cierpliwość wyraźnie wyczerpywała się.
- Tak, panie. Przepraszam. To okropne. - Yabu daremnie usiłował odgadnąć zamiary Toranagi.
- Byłem przerażony, kiedy usłyszałem, co się stało. W głowie się nie mieści.
- Owszem. - Toranaga sposepniał, spojrział na Nagę i stojące za nim zwarte szeregi. - Nie pojmuję, jak możliwa była taka nieodpowiedzialność. Ten statek był mi potrzebny!
- Nie gniewaj się, panie - odezwał się wzburzony Naga. - Życzysz sobie, żebym przeprowadził drugie dochodzenie?
- Czy czegoś zaniedbałeś?
- Nie wiem, panie, niczego, wybacz, panie.
- Przeprowadziłeś drobiazgowo dochodzenie, ne?
- Tak, panie. Daruj mi moją głupotę.

- To nie stało się z twojej winy. Wyjechałeś, nie byłeś dowódcą. - Zniecierpliwiony Toranaga zwrócił się do Yabu. - To dziwne, a nawet podejrzanе, że z wyjątkiem kilku roninów Anjin-sana, wszyscy pochodzili z Izu. Dowódca, żołnierze na patrolach w obozie, na brzegu i na pokładzie.

- Dziwne, panie, ale pozwolę sobie zauważyć, niepodejrzane. Miałeś całkowitą słuszność, obciążając odpowiedzialnością oficerów, tak jak Naga słusznie wymierzył karę. Zaraz po przybyciu przeprowadziłem własne dochodzenie, ale nie mam nic do dodania, wybaczone. To karma, karma wspomagana przez tych gównojadów chrześcijan. Mimo to racz przyjąć moje przeprosiny.

- A więc dopatrujesz się umyślnego działania?

- Dowodów nie ma, panie, ale fala i zwykły ogień to zbyt łatwe wytłumaczenie. Każdy pożar można ugasić. Jeszcze raz przepraszam.

- Przyjmuję twoje przeprosiny, ale powiedz mi, z łaski swojej, skąd mam wziąć drugi statek.

Jest mi potrzebny!

Yabu poczuł skurcz żołądka.

- Tak, panie, wiem. Żałuję, że nie można go niczym zastąpić, ale Anjin-san mówił mi w podróży, że niedługo przybędą inne zbrojne statki z jego kraju.

- To znaczy kiedy?

- Nie wiadomo, panie.

- Za rok? Dziesięć lat? Ja mam zaledwie dziesięć dni.

- Nie wiem, niestety. Może spytasz go, panie.

Toranaga spojrział, na Blackthorne'a, który stał trochę z boku, przygaszony.

- Anjin-san!

- Tak, panie?

- Źle, ne? Bardzo źle. - Toranaga wskazał wrak statku. - Ne?

- Tak, bardzo źle, panie.

- Kiedy przyplyną inne statki?

- Moje statki, panie?. - Tak.

- Kiedy. . kiedy Budda pozwoli.

- Porozmawiamy wieczorem. Teraz idź. Dziękuję za Osakę. Idź na galerę albo do wioski.

Porozmawiamy wieczorem. Rozumiesz?

- Tak, panie, rozumiem. Dziękuję. Gdzie wieczorem?

- Przyślę po ciebie. Dziękuję za Osakę.

- Obowiązek, ne? Zrobiłem mało. Toda Mariko-sama dała wszystko. Wszystko „dla Toranaga-sama.

- Tak.

Toranaga z powagą odwzajemnił ukłon. Blackthorne zatrzymał się w pół kroku. Toranaga podążył za jego spojrzeniem. Nadjechał właśnie” Tsukku-san z akolitami, zsiadali z koni na skraju polany. W Mishimie Toranaga nie udzielił księdzu zgody na rozmowę. - Zawiadomił go wprawdzie od razu o pożarze statku, ale umyślnie kazał czekać, aż wyjaśni się sytuacja w Osace i galera dotrze do Anjiro. Dopiero wówczas postanowił sprowadzić księdza i dopuścić do konfrontacji we właściwym momencie.

Blackthorne ruszył w stronę jezuitę.

- Nie, Anjin-san. Nie teraz, później. Teraz idź do wioski! - rozkazał Toranaga.

- Panie! Ten człowiek zabił mój statek! To wróg!

- Pójdiesz - tam! - Toranaga wskazał położoną niżej wioskę. - Bądź łaskaw tam zaczekać.

Porozmawiamy wieczorem.

- Wielmożny panie, ten człowiek. .

- Nie. Pójdiesz na galerę - obstawał przy swoim Toranaga, chcąc wymusić posłuszeństwo. -

Pójdiesz teraz. Proszę.

To lepsze niż przyzwyczajanie sokoła do ręki, pomyślał podekscytowany, zapominając na chwilę o kłopotach. To lepsze, bo Anjin-san jest nie tylko dziki i niebezpieczny, ale także nieobliczalny, jedyny w swoim rodzaju, niepodobny do nikogo.

Kątem oka spostrzegł, że Buntaro zaszedł drogę Anjin-sanowi, jakby mu było pilno siłą nakłonić go do wykonania rozkazu. Co za głupota, przemknęło przez myśl Toranadze, to zbyt bezczelne.

Nie odrywał spojrzenia od Blackthorne'a.

- Już idę, panie. Przepraszam. Już idę - rzekł Blackthorne ulegając. Otarł spoconą twarz i ruszył w dół.

- Dziękuję, Anjin-san - powiedział Toranaga, kryjąc zadowolenie. Patrzył, jak Blackthorne posłusznie odchodzi - silny, gwałtowny, zdolny do zabijania, a przecież poddający się woli swojego

pana.

- Anjin-san! - Zawołał uznawszy, że pora spuścić drapieżnika z uwięzi, dać mu Swobodę.

Ostatni sprawdzian. - Idź do niego, jeżeli chcesz. Lepiej nie zabijać Tsukku-sana. Ale jeżeli chcesz go zabić, zrób to. Lepiej nie zabijać. - Powiedział to wolno i wyraźnie, powtórzył. - Wakarimasu ka?

- Hai.

Toranaga spojrział w niewiarygodnie błękitne oczy, ziejące niepoohamowaną nienawiścią, jakby chciał odgadnąć, czy ten dziki ptak rzuci się na ofiarę i zabije ją z własnej woli, czy powróci nie nasycony na rękawicę.

- Wakarimasu ka?

- Hai.

Toranaga odprawił go skinieniem ręki. Blackthorne odwrócił się i ruszył jak odrętwiały w stronę Tsukku-sana. Buntaro zszedł mu z drogi. Blackthorne nawet go nie zauważył, patrząc tylko na księdza. Powietrze zgęstniało.

- Jak myślisz, Yabu-san, co zrobi? - spytał Toranaga.

- Zabije. Oczywiście, że zabije, jeżeli go dopadnie. Ksiądz zasługuje na śmierć, ne? Wszyscy chrześcijanie zasługują na śmierć, he? Jestem pewien, że księży i Kiyama przyłożyli rękę do zniszczenia statku, choć nie mogę tego udowodnić.

- Dałbyś głowę, że zabije Tsukku-sana?

- Nie, panie - odparł szybko Yabu. - Głowy bym nie dał. To barbarzyńca, obaj są barbarzyńcami.

- Naga-san?

- Ja na jego miejscu, mając twoją zgodę, zabiłbym księdza i całą resztę. Nie widziałem nigdy tak silnej i nie skrywanej nienawiści. Od dwu dni Anjin-san chodzi w kółko i mamrocze jak szalenciec, gapi się na wrak, śpi na plaży, prawie nic nie je. . - Naga spojrział na oddalającego się Blackthorne'a.

- Też uważam, że same siły przyrody nie dokonały dzieła zniszczenia. Znam księży, na pewno maczali w tym palce. Dowodów nie ma, ale. . Nie wierzę, że powodem była burza.

- Odpowiedz na pytanie!

- Wścieknie się. Popatrzcie, jak idzie. . Chyba go zabije, taką mam nadzieję.

- Buntaro-san?

Buntaro pokazał nie ogoloną twarz o mocnych szczękach. Nie wypuszczając łuku z rąk stał

pewnie na muskularnych nogach.

- Radziłeś mi nie zabijać Tsukku-sana, więc nie chcesz, żeby ksiądz zginął. Nie jest dla mnie ważne, czy Anjin-san zabije czy nie. Obchodzi mnie tylko to, co jest ważne dla ciebie, panie. Czy mogę go powstrzymać, gdyby chciał okazać ci nieposłuszeństwo? To dla mnie nic trudnego z tej odległości.

- Czy mogę mieć pewność, że tylko go zranisz?

- Nie, panie.

Toranaga roześmiał się, rozładowując atmosferę.

- Anjin-san nie zabije. Badzie krzyczał, złorzeczył i potrząsał mieczem, a Tsukku-san zapala świętym oburzeniem i bez cienia strachu wysyczy: „Nie tknąłem twego statku!” Anjin-san nazwie go kłamcą, a Tsukku-san, nie przestając pałać oburzeniem, będzie obstawał przy swoim, powołując Boga na świadka, i przeklnie Anjin-sana. Będą się nienawidzić przez dwadzieścia wcieleń, ale nie pozabijają się. Przynajmniej nie teraz.

- Skąd to wszystko wiesz, ojczu? - zawołał Naga.

- Nie wiem tego na pewno, synu. Przewiduję, co się stanie. Trzeba poświęcić wiele czasu na przyglądanie się ważnym ludziom, przyjaciołom i wrogom, żeby ich dobrze poznać. Tych dwu obserwowałam, bo obaj są dla mnie bardzo ważni. Ne, Yabu-san?

- Tak, panie - odparł Yabu zaniepokojony.

Naga spojrział szybko na Blackthorne'a - szedł niespiesznie, jeszcze jakieś siedemdziesiąt kroków dzieliło go od Tsukku-sana, który stał na czele akolitów w pomarańczowych szatach.

- Ojczu, żaden z nich nie jest tchórzem, ne? Jak mogą się teraz z honorem wycofać?

- Anjin-san nie zabije z trzech powodów. Po pierwsze, ponieważ Tsukku-san jest nie uzbrojony i nie będzie się bronił, nawet gołymi rękami. Zabicie bezbronnego kłóci się z ich zasadami, jest grzechem wobec chrześcijańskiego Boga. Po drugie, ponieważ jest chrześcijaninem. Po trzecie, ponieważ ja uznałem, że jeszcze nie czas.

- Za pozwoleniem - odezwał się Buntaro - mogę zrozumieć trzeci, a nawet pierwszy powód, ale ich nienawiść bierze się właśnie stąd, że jeden drugiego nie uznaje za chrześcijanina tylko za czciela Szatana, jak to nazywają.

- Owszem, ale ten ich Chrystus podobno nauczał, że wrogom należy przebaczać. Na tym polega bycie chrześcijaninem.

- To głupota, ne? - rzekł Naga. - Przebaczać wrogowi to głupota.

- Jestem tego samego zdania. - Toranaga spojrział na Yabu. - To głupota przebaczać wrogom.

Ne, Yabu-san?

- Tak - przyznał Yabu.

Toranaga spojrział na północ. Dwaj nieprzyjaciele byli już bardzo blisko siebie i Toranaga przeklął w duchu swój brak rozwagi. Obaj byli mu nadal bardzo potrzebni, nie należało więc ryzykować ich życia. Wypuścił z ręki Anjin-sana dla zachcianki” nie po to, żeby zabił, i teraz tego żałował. Nie pozostawało mu jednak nic innego, jak przyglądać się z daleka razem z innymi. Krótkie, ostre starcie rozegrało się zgodnie z przewidywaniami. Toranaga powachlował się z ulgą. Wiele dałby za to, żeby rozumieć pełne zaciętrzewienia słowa i przekonać się, czy miał słuszość. Po chwili Anjin-san odwrócił się i odszedł. Tsukku-san otarł - twarz kolorową papierową chusteczką.

- Ii i ! - Naga był pełen podziwu. - Pod twoim dowództwem nie możemy przegrać.

- Możemy, synu, i to łatwo, jeżeli taka jest moja karma. - Zmienionym głosem dodał: - Naga-san, każ samurajom, którzy przyplnęli z Osaki, przyjść do mojej kwatery.

Naga pobiegł.

- Cieszę się, Yabu-san, że przybyłeś cały i zdrowy. Daj pułkowi rozkaz rozejścia się.

Porozmawiamy po kolacji. Mogę posłać po ciebie?

- Oczywiście. Dziękuję, panie. - Yabu zasalutował i odszedł.

Zostali tylko wartownicy, na znak Toranagi stojący w pewnym oddaleniu. Toranaga zaczął uważnie przyglądać się Buntaro, który poczuł się nieswojo jak pies pod zbyt natarczywym spojrzeniem. Kiedy Buntaro nie mógł już wytrzymać, rzekł:

- Panie?

- Prosiłeś kiedyś o głowę Anjin-sana, ne? Ne?

- Tak. . tak, panie.

- Co teraz powiesz?

- Obraził mnie w Anjiro. Nadal jestem okryty wstydem.

- Rozkazuję ci zapomnieć o tym wstydzie.

- Już zapomniałem, panie. Ale Mariko zdradziła mnie i o tym nie mogę zapomnieć, dopóki Anjin-san żyje. Mam dowody. Pragnę jego śmierci. Proszę o pozwolenie. . Do czego jest ci potrzebny bez statku, panie? To moja prośba życia.

- Jakie dowody?

- Wszyscy o tym wiedzą. W drodze z Yokose. Rozmawiałem z Yoshinaką. Wszyscy o tym wiedzą - powtórzył posępnie.
- Yoshinaką widział ich razem? Rzucił na nią oskarżenie?
- Nie. Ale z tego, co mówił. . - Udręczony Buntaro spojrzał prosto w oczy Toranadze. - Wiem i to wystarczy. Błagam o spełnienie prośby życia. Nigdy cię o nic nie prosiłem, panie, ne?
- Jest mi potrzebny żywy. Gdyby nie on, ninja schwytaliby ją i okryli hańbą, a więc ciebie również.
- Prośba życia, jedyne pragnienie - rzekł Buntaro. - Proszę o pozwolenie. Statku nie ma, barbarzyńca spełnił swoje zadanie. Zechciej mnie wysłuchać.
- Mam dowody, że Anjin-san nie okrył ciebie hańbą.
- Jakie dowody, panie?
- Posłuchaj i zachowaj to dla siebie, tak jak uzgodniłem to z Mariko. Kazałem jej zaprzyjaźnić się z nim. - Toranaga nie dopuścił Buntaro do głosu. - Owszem, byli przyjaciółmi. Anjin-san uwielbiał ją, ale nigdy nie okryli ciebie hańbą. W Anjiro, przed trzęsieniem ziemi, kiedy Mariko ofiarowała się uwolnić zakładników z Osaki, wystąpić publicznie przeciw Ishido, wywołać kryzys popełniając seppuku, tego dnia właśnie posta. .
- A więc to było zaplanowane?
- Oczywiście. Nigdy się tego nie nauczysz? Tego dnia kazałem jej wziąć z tobą rozwód.
- Panie?
- Rozwód. Czy można wyrazić się jaśniej? ;.- Ale. . :
- Rozwód. Od lat doprowadzała cię do furi , a ty od lat źle ją traktowałeś. A jak odnosiłeś się do jej niani i dam do towarzystwa? Mówiłem ci, że potrzebna mi jest jako tłumaczka dla Anjin-sana, a ty wpadłeś w straszny gniew i pobiłeś ją. Niewiele brakowało, a byś ją zabił, ne? Ne?
- Tak, zechciej mi wybaczyć.
- Uznałem, że nadeszła pora położyć kres temu małżeństwu. I taki wydałem rozkaz. Właśnie wtedy.
- Poprosiła o rozwód?
- Nie. Ja o tym zdecydowałem. Twoja żona błagała, żebym cofnął rozkaz. Odmówiłem. Wtedy oznajmiła, że natychmiast popełni seppuku, nie oglądając się na moją zgodę, bo nie może pozwolić, żebyś doświadczył takiego poniżenia. Kazałem jej poddać się mojej woli. Odmówiła. - Toranaga mówił

ze złością. - Twoja żona zmusiła mnie, swojego pana lennego; żebym cofnął rozkaz i zgodził się przewrócić go nieodwołalnie „dopiero po Osace, a wiedzieliśmy oboje, że w Osace czeka ją śmierć.

Rozumiesz?

- Tak. . tak, rozumiem.

- W Osace Anjin-san uratował nie tylko jej honor, ale także honor moich pań i najmłodszego syna. Gdyby nie on, zakładnicy siedzieliby do tej pory w Osace, a ja zginąłbym albo dostał się w ręce Ikawy Jikkyu zakuty w kajdany jak pospolity przestępca!

- Wybacz, panie, ale dlaczego to zrobiła? Nienawidziła mnie, dlaczego więc chciała odłożyć rozwód na później? Z powodu Sarujiego?

- Ze względu na twój honor. Wiedziała, co to znaczy obowiązek. Twoja żona dbała o twój honor do tego stopnia, że przyrzekła zachować całą tę historię w tajemnicy. Nikt prócz mnie i was dwojga nie miał się nigdy o niej dowiedzieć. Ani Anjin-san, ani syn Mariko, ani nawet jej chrześcijański spowiednik.

- Co?

Toranaga wyjaśnił jeszcze raz. W końcu Buntaro pojął wszystko i Toranaga odesłał go.

Zostawszy wreszcie na chwilę sam, wstał i przeciągnął się, czując ciężar wykonanej pracy. Minęło już południe, ale słońce stało wysoko. Ugasił dokuczliwe pragnienie zimną cha, którą podał mu członek przybocznej straży, i zszedł na brzeg. Zdjął przepocone kimono i zanurzył się w rozkosznie orzeźwiającej wodzie. Trochę ponurkował, ale niezbyt długo, żeby nie budzić niepokoju wartowników. Wyplłynął na powierzchnię, obrócił się na plecy i patrzył w niebo, gromadząc siły na długi wieczór i noc.

Ach, Mariko, pomyślał, jesteś niezrównana. Tak, jesteś, bo z pewnością będziesz żyć wiecznie Czy jesteś u Boga chrześcijan w chrześcijańskim niebie? Oby nie. To byłaby niepowetowana strata. Mam nadzieję, że twój duch odczekaże czterdzieści dni, żeby odrodzić się gdzieś tutaj. Proszę o to Buddę. Niech twój duch przyjdzie do mojej rodziny i znów wcieli się w kobietę, nie w mężczyznę. Jesteś tak wielkim skarbem, że szkoda byłoby mieć ciebie w męskim wcieleniu.

Uśmiechnął się. Pamiętał dobrze, co zaszło w Anjiro, i w rozmowie z Buntaro w tym tylko rozminął się z prawdą, że Mariko nie zmusiła go do cofnięcia rozkazu. „Jak mogłaby mnie zmusić do zrobienia czegoś, co nie byłoby po mojej myśli?” - spytał patrząc w niebo. Poprosiła mnie z należytym szacunkiem, żeby nie ogłaszać wszem i wobec o rozwodzie przed jej powrotem z Osaki.

Jestem jednak pewien, że gdybym jej odmówił, popełniłaby seppuku. Nalegałaby, ne? Oczywiście, że tak, a to by wszystko Zepsuło. Wyrażając z góry zgodę, oszczędziłem jej niepotrzebnego wstydu, a sobie kłopotu, na zachowaniu zaś tego w tajemnicy, jak zapewne życzyłaby sobie, zyskują wszyscy.

Ciesząc się ze swego łaskawego ustępstwa, roześmiał się w głos. Niewielka fala załapała mu usta, zachłysnął się.

- Nic ci się nie stało, panie? - zawołał z niepokojem pływający w pobliżu strażnik.

- Nic, nic. - Toranaga odkaszlnął i splunął, młóćąc nogami pod wodą. Teraz widzisz, do czego prowadzi zadufanie, skarcił się w duchu. Drugi raz popełniasz dziś błąd. Spojrzał na wrak. - Płyn ze mną, pościgamy się! - zawołał do strażnika.

Wyścigi z Toranaga oznaczały dokładnie to właśnie. Kiedyś jeden z generałów, chcąc się przypodobać, umyślnie pozwolił mu wygrać. Zapłacił za to wszystkim, co miał.

Strażnik zwyciężył. Toranaga pogratulował mu i trzymając się żebra wraku odczekał, aż odzyska równy oddech. Ciekawość nie dawała mu spokoju. Przyjrzał się dokładnie stępce Erasmusa.

Po skończonych oględzinach wrócił na brzeg i poszedł do obozu wypoczęty i rześki.

W dogodnym miejscu przygotowano dla niego tymczasową kwaterę. Mocna bambusowa konstrukcja podtrzymywała szeroką słomianą strzechę. Podwyższoną drewnianą podłogę pokrywały tatami, a ściany shoji tworzyły pomieszczenia. Straże stały już na posterunkach. Przygotowano także pokoje dla Kiri, Sazuko, służby i kucharzy, połączone chodnikami na palikach.

Pierwszy raz ujrzał syna. Pani Sazuko nie przyszłoby na myśl popełnić nietakt i przynieść dziecko na polanę, choć wspomniałomyślnie przystał na to, mogłaby wszak przeszkodzić w sprawach wielkiej wagi.

- Udany chłopak - powiedział z dumą, bardzo zadowolony, trzymając z wprawą dziecko. - A ty, Sazuko, wypiękniałaś, macierzyństwo służy ci. Musimy jak najszybciej postarać się o następnego potomka.

- Tak się bałam, panie, że już nigdy cię nie zobaczę, że nie pokażę ci najmłodszego syna. Jak uciekniemy z tej pułapki. . Wojska Ishido..

- Spójrz, jaki udany chłopak! Za tydzień wybuduję na jego cześć świątynię z dochodem. . -

podzielił na pół i jeszcze raz na pół liczbę, którą miał na myśli. . - dwudziestu koku rocznie.

- Jesteś bardzo hojny, panie! - Uśmiechnęła się szczerze.

- To wystarczy, żeby jakiś nierób powiedział od czasu do czasu Namu Amida Butsu, ne?

- O tak, panie. Czy świątynia stanie w pobliżu zamku w Edo? A gdyby tak nad rzeką albo strumieniem? To byłoby cudownie.

Przystał na to z ociąganiem - tak korzystnie położona działka kosztowała więcej, niż gotów był

wyłożyć na ten kaprys. Ale chłopak jest udany, pomyślał, mogę sobie w tym roku pozwolić na taki gest.

- Dziękuję ci, panie.

Pani Sazuko chciała coś jeszcze powiedzieć, ale właśnie do cienistej werandy, na której siedzieli; podbiegł Naga.

- Wybacz, ojczec, czy samurajów z Osaki chcesz widzieć pojedynczo czy wszystkich razem?

- Pojedynczo.

- Tak, panie. Książę Tsukku-san prosi o spotkanie w dogodnej porze.

- Przekaż mu, że niebawem po niego poślę.

Toranaga podjął rozmowę z konkubiną, lecz poprosiła, by pozwolił jej odejść wiedząc, że chciał jak najszybciej zająć się samurajami. Nie uległa jego prośbie, żeby została, ponowiła uprzejme nalegania, aż w końcu ją puścił.

Przesłuchał uważnie wszystkich po kolei, gromadząc fakty, porównując relacje, przywołując czasami to jednego, to drugiego samuraja ponownie. Do zachodu słońca poznał przebieg wydarzeń, a raczej obraz ich przebiegu wyniesiony przez uczestników. Zjadł szybko lekki posiłek, pierwszy tego dnia, i wezwał Kiri, odsyłając strażników na bezpieczną odległość.

- Opowiedz mi najpierw, Kiri-san, co robiłaś, co widziałaś, czego byłaś świadkiem.

Przygotowała starannie swoją opowieść, ale wypytywał ją długo, aż zrobiło się całkiem ciemno.

- I i ii - rzekł. - Mało brakowało, Kiri-chan. Niebezpiecznie mało.

- Tak - odparła Kiri, siedząc z rękoma złożonymi na szerokim brzuchu. Dodała tkliwie: -

Wszyscy wielcy i mali bogowie strzegli ciebie, panie, i nas. Wybacz, że wątpiłam w ostateczny wynik i w ciebie. Bogowie nam sprzyjali.

- Wygląda na to, że bardzo sprzyjali.

Toranaga wpatrywał się w ciemności. Przyjemny wietrzyk od morza chwiał płomieniami pochodni i odganiał owady. Po niebie płynął piękny księżyc z widocznymi ciemnymi plamami i Toranaga pogрузzył się w zadumie. Czy ciemne są lądy, a reszta to śnieg i lód? Skąd właściwie wziął się księżyc? Kto tam mieszka? Tyle jest rzeczy, które chciałbym wiedzieć, myślał.

- Czy mogę o coś spytać, Tora-chan?

- O co chcesz spytać, pani?

- Dlaczego właściwie Ishido nas wypuścił? Przecież nie musiał, nie? Na jego miejscu nigdy bym tego nie zrobiła. Więc dlaczego?

- Powtórz mi najpierw wiadomość od pani Ochiby.

- „Powiedz, proszę, panu Toranadze, że moim szczerym życzeniem jest, by mógł on w jakiś sposób dojść do porozumienia z następcą. Na dowód przyjaznych uczuć następcy chciałabym przytoczyć jego wielokrotne zapewnienia, że nie chce prowadzić wojsk przeciw swojemu wujowi, panu Kan...

- Tak powiedziała?!

- Tak. Dokładnie.

- Wie przecież, tak jak Ishido, że gdyby Yaemon stanął na czele wojsk przeciw mnie, musiałbym przegrać!

- Powtórzyłam, co powiedziała, panie.

- Iii ii ! - Toranaga walnął zyłastą pięścią w tatami. - Jeżeli to prawda, a nie podstęp, to jestem już jedną nogą w Kioto.

- Tak.

- Za jaką cenę?

- Nie wiem. Nic więcej nie powiedziała, panie. Przesyła tylko pozdrowienia dla siostry.

- Co mógłbym dać Ochibie, kiedy wszystko już ma. Ma w swoich rękach Osakę, skarb, a Yaemon był dla mnie zawsze jedynym następcą. Ta wojna jest niepotrzebna. Cokolwiek się zdarzy, za osiem lat Yaemon zostanie kampaku i odziedziczy wszystkie ziemie, cały kraj. Nic więcej nie mógłbym jej ofiarować.

- Może zależy jej na małżeństwie? Toranaga zdecydowanie pokręcił głową. - Na pewno nie.

Nie wyszłaby za mnie za nic „w świecie.

- Dla niej to idealne rozwiązanie.

-: Nie weźmie go pod rozwagę. Ochiba moją żoną? Cztery razy zaklinała taikō, żeby zaprosił mnie do Wielkiej Pustki.

- Owszem, za jego życia.

- Zrobię wszystko dla scalenia państwa, utrzymania pokoju, zapewnienia Yaemonowi godności kampaku. Czy tego właśnie pragnie?

- Małżeństwo przypieczętowałyby sukcesję, jej oczko w głowie.

Toranaga zapatrzył się w księżyc, roztrząsając słowa wypowiedziane przez panią Yodoko w Osace.

Ponieważ jednak nie mógł rozwikłać zagadki, którą miał przed sobą, odłożył ją na później i skupił się na niecierpiących zwłoki sprawach bieżących.

- Chyba znów uprawia swoje sztuczki. Czy Kiyama powiedział ci, że statek barbarzyńców został umyślnie podpalony?

- Nie, panie.

Toranaga zmarszczył brwi.

- Dziwne, bo musiał już wtedy o tym wiedzieć. Tsukku-san od razu dowiedział się ode mnie i dla niepoznaki wysłał gołębia, chociaż tamci na pewno już wiedzieli.

- Winnych tej zdrady trzeba ukarać, ne? Tych, którzy namawiali, i tych głupców, którzy do niej dopuścili.

- Trochę cierpliwości, a każdy otrzyma, co mu się słusznie należy, Kiri-san. Podobno chrześcijańscy księża nazywają to „palcem bożym”.

- Szczyt zakłamania! I głupota, ne?

- **Tak...-**

Z jednej strony głupota, pomyślał Toranaga, a z drugiej nie.

- Dziękuję ci, Kiri-san. Twoja obecność sprawia mi wielką radość. A teraz bądź łaskawa posłać po Yabu-sana, a potem przynieś nam cha i sake i zostaw nas samych.

- Tak, panie. Czy mogę teraz zadać pytanie?

- To samo pytanie?

- Tak, panie. Dlaczego Ishido nas wypuścił?

- Odpowiedź brzmi: nie wiem, Kiri-chan. Popełnił błąd. Ukłoniła się i odeszła zadowolona.

Dochodziła północ, kiedy Toranaga pożegnał Yabu, dziękując mu za wszystko i kłaniając się jak równemu sobie. W czasie spotkania zaprosił Yabu na tajną naradę wojenną, która miała się odbyć nazajutrz, tytułował go nadal generałem pułku muszkietów i zaświadczył na piśmie jego panowanie nad Totomi i Surugą - z chwilą, kiedy włości te zostaną zdobyte.

- Pułk ma decydujące znaczenie, Yabu-san. Na tobie spoczywa odpowiedzialność za przygotowanie go do walki. Łącznikiem między nami może być Omi-san. Korzystaj z wiedzy Anjin-sana, z czego się da, ne?

- Tak, panie, o nic więcej nie mógłbym prosić. Pokornie dziękuję.

- Wielce mi się przysłużyłeś, sprowadzając moje panie, syna i Anjin-sana. Utrata statku jest dotkliwa, ale może doczekamy się wkrótce następnego. Dobranoc, przyjacielu.

Po odejściu Yabu Toranaga, bardzo zmęczony, popijał cha.

- Naga-san?

- Tak, panie?

- Gdzie Anjin-san?

- Jest z wasalami koło wraku.

- Co robi?

- Nic, tylko patrzy. - Naga poczuł się nieswojo pod przenikliwym spojrzeniem ojca. - Wybacz, czy powinien być gdzie indziej?

- Co? Nie, to bez znaczenia. Gdzie Tsukku-san?

- W jednym z domków gościnnych.

- Mówiłeś mi, że chcesz przyjąć wiarę chrześcijańską?

- Tak, panie.

- Dobrze. Sprowadź go tu.

Niedługo potem Toranaga dojrzał znajomą szczupłą sylwetkę księdza, któremu oświetlały drogę pochodnie. Widok pobrużdżonej twarzy, ciemnych włosów bez śladu siwizny, przypomniał mu Yokose.

- Cierpliwość to ważna cnota, Tsukku-san. Ne?

- Zgadzam się najzupełniej. Dlaczego o tym mówisz, panie?

- Myślałem o Yokose. To było tak niedawno, a wszystko wyglądało wtedy inaczej.

- O tak, niezbadane są zrzędzenia Boże. Bardzo się cieszę, panie, że nie przekroczyłeś swoich granic.

- Chciałeś się ze mną widzieć? - przypomniał Toranaga, wachlując się. Zazdrościł skrycie księdzu płaskiego brzucha i znajomości języków.

- Chciałem przeprosić za to, co się zdarzyło.

- Co powiedział Anjin-san?

- Gniewał się na mnie i oskarżał o to, że spaliłem mu statek.

- A zrobiłeś to?
- Nie, panie.
- Więc kto?
- Sprawił to Bóg. Bóg rozpętał burzę i statek spłonął.
- Nie wierzę. Twierdzisz, że nie miałeś w tym udziału? Ani ty, ani żaden chrześcijanin?
- Miałem udział o tyle, że się modliłem. Tak jak inni. Przysięgam na wszystkie świętości, że ten statek był narzędziem Szatana. Nieraz przekonywałem cię o tym, panie, wiedząc, że jesteś odmiennego zdania. Zechciej mi wybaczyć, że obstawałem przy swoim. Może jednak ten akt Bożej woli obróci się na korzyść?
- Jak to?, - Ojciec wizytator, uwolniony od tego zmartwienia, może teraz poświęcić całą uwagę panom Kiyamie i Onoshi.
- Nie pierwszy raz o tym słyszę, Tsukku-san - rzekł ostro Toranaga. - Jaką rzeczywistą pomoc może mi zaofiarować przełożony chrześcijańskich kapłanów?
- Zaufaj, panie. . - Alvito ugryzł się w język. Potem rzekł z namaszczeniem: - Daruj, panie, jestem głęboko przekonany, że jeżeli zaufasz Bogu, On ci pomoże.
- Ufam, ale najbardziej sobie. Na razie dochodzą mnie wieści, że Ishido, Kiyama, Onoshi i Zataki zgromadzili wojska. Ishido wystawi przeciw mnie trzysta, a nawet czterysta tysięcy żołnierzy.
- Ojciec wizytator wywiązuje się z umowy, którą zawarł z tobą, panie. W Yokose doniosłem o niepowodzeniu, ale teraz dostrzegam nadzieję.
- Nadzieja nie zda się na nic przeciw mieczom.
- Bóg zwycięża mimo wszelkich przeciwności.
- Owszem, jeżeli istnieje. - Toranaga znów zaostrzył głos. - W czym upatrujesz tę nadzieję?
- Nie jestem pewien, panie. Czyż jednak nie widać ręki boskiej w tym, że Ishido wyrusza przeciw tobie, opuszczając zamek w Osace?
- Nie. Rozumiesz znaczenie tej decyzji?
- Jak najbardziej. Ojciec wizytator z pewnością też.
- Chcesz powiedzieć, że to jego zasługa?
- Nie, panie. Alę taki jest bieg wydarzeń.

- A jeśli Ishido mianuje pana Kiyamę naczelnym wodzem i wyśle go razem z następcą przeciw mnie, a sam zaczai się w Osace?.

- Tego nie mogę przewidzieć, panie. Ale jeżeli Ishido opuści Osakę, to będzie cud. Ne?.

- Uznasz to z całym przekonaniem za kolejne dzieło Boga chrześcijan?

- Nie. Ale może tak być. Wierzę, że nic się nie dzieje bez Jego wiedzy.

- Nawet po śmierci możemy nie dowiedzieć się niczego o Bogu - rzekł Toranaga i niespodziewanie dorzucił: - Podobno ojciec wizytator opuścił Osakę. - Z satysfakcją obserwował

niezadowolenie Tsukku-sana. Wiadomość nadeszła w przeddzień wyjazdu z Mishimy.

- Tak - potwierdził ksiądz coraz bardziej zaniepokojony. - Wyjechał do Nagasaki, panie.

- Odprawić nabożeństwo żałobne dla Tody Mariko-samy?

- Tak, panie. Jak ty dużo wiesz. Jesteśmy gliną na garncarskim kole, którym ty obracasz.

- To nieprawda. Zapomniałeś, że nie lubię czczych pochlebstw.

- Nie, panie, proszę o wybaczenie. Nie zamierzałem ci schlebiać. - Skonsternowany Alvito podwoił czujność. - Jesteś przeciwny tej uroczystości, panie?

- Nie przywiązuję do niej wagi. Tak wyjątkowa osoba zasługuje, żeby uczcić jej pamięć.

- Dziękuję, panie. Ojciec wizytator będzie bardzo zadowolony. To dla niego bardzo ważne.

- Oczywiście. Ponieważ była moim wasalem, a zarazem chrześcijanką, więc posłuży za wzór innym chrześcijanom. Albo tym, którzy noszą się z zamiarem przejścia na nową wiarę. Ne?

- Z pewnością stanie się wzorem dla innych. Takie poświęcenie zasługuje na najwyższą pochwałę.

- To, że oddała życie za innych? - spytał Toranaga oględnie, nie mówiąc nic o seppuku. - Tak.

Toranaga uśmiechnął się na myśl, że Tsukku-san nie wspomniał ani razu o dzielnej Kiyamie Achiko, jej śmierci i uroczystym pogrzebie.

- Więc nie wiesz o nikim, kto wydał rozkaz lub pomógł w podpaleniu statku? - spytał twardo.

- Nie, panie. Wiem tylko o modlitwach.

- Słyszałem, że budowa kościoła w Edo idzie dobrze.

- Tak, panie. Dziękuję.

- Liczę, że starania najwyższego kapłana chrześcijan przyniosą wkrótce rezultaty. Potrzeba mi czegoś

więcej niż nadziei, a pamięć mam bardzo dobrą. A teraz bądź łaskaw posłużyć mi za tłumacza. - Wyczuł wrogość księdza. - Nie ma powodu do obaw.

- Nie boję się go, panie, ale zechciej zrozumieć, że nie chcę przebywać w jego pobliżu.

Toranaga wstał.

- Wymagam od ciebie szacunku dla Anjin-sana. Nieraz wykazał się odwagą i ratował życie Mariko-samie. Odchodzi od zmysłów, bo stracił statek, to rozumiałe, ne?

- Tak, tak, bardzo mi przykro.

Toranaga ruszył w stronę morza. Wartownicy oświetlali drogę pochodniami.

- Kiedy dostanę raport najwyższego kapłana o przemyście broni?

- Kiedy tylko zdobędzie wszystkie informacje z Makau.

- Bądź łaskaw poprosić, żeby przyspieszył śledztwo.

- Tak, panie.

- Którzy daimyō chrześcijanie byli w to zamieszani?

- Niestety, nie wiem. Może żaden.

- Szkoda, że nie wiesz, Tsukku-san. To by mi oszczędziło sporo czasu. Niejeden daimyō chciałby poznać prawdę.

A jednak wiesz, Tsukku-san, pomyślał Toranaga. Mógłbym cię zapędzić w kozi róg, choćbyś się wywijał i wykręcał jak wąż, a kiedy kazałbym ci przysiąc na twojego Boga, musiałbyś powiedzieć: Kiyama, Onoshi i zapewne Harima. Ale jeszcze nie nadszedł czas. Tak samo za wcześniej, żebyś się dowiedział, że nie posądzam was, chrześcijan, o podpalenie statku. Nie zrobił tego Kiyama, Harima, ani nawet Onoshi. Jestem tego pewien. A jednak to nie był palec boży. To był palec Toranagi.

Tak.

Spytałbyś pewnie, dlaczego to zrobiłem.

Kiyama zrobił mądrze, odrzucając moją propozycję, kiedy Mariko przekazała mu list ode mnie. Musiałem dowieść szczerości intencji. Jaki inny mogłem dać dowód, jak nie statek i barbarzyńce, których wy, chrześcijanie, tak się baliście. Spodziewałem się, że utracę wszystko, ale w końcu przepadł tylko statek. Dziś w Osace pośrednicy powiedzą Kiyamie i najwyższemu kapłanowi chrześcijan, że to prezent ode mnie. Dowód, że jestem przeciwnikiem Ishido, nie Kościoła. To chyba jest dowód, ne?

Czy można zaufać Kiyamie? - spytasz całkiem słusznie.

Nie. Ale Kiyama jest przede wszystkim Japończykiem, a dopiero potem chrześcijaninem.

Zawsze o tym zapominasz. Kiyama zrozumie mój gest. Zniszczenie statku ma wymiar ostateczny, podobnie jak ofiara Mariko i odwaga Anjin-sana.

Chciałbyś wiedzieć, jak dokonałem dzieła zniszczenia.

Co za różnica, Tsukku-san? Niech ci wystarczy, że to zrobiłem. Nikt o tym nie wie prócz mnie, kilku zaufanych ludzi i podpalacza. Podpalacz? Skoro Ishido użył wojowników ninja, dlaczego ja nie miałbym tak postąpić? Nająłem jednego i udało się. Ishido poniósł porażkę.

- Niewybaczalna głupota - powiedział Toranaga na głos.

- Panie? - spytał Alvito.

- To niewybaczalne nie ukryć tak wybuchowej tajemnicy jak przemycone muszkiety - rzekł

naburmuszony. - I namawiać daimyō chrześcijan do buntu przeciw panu lennemu, taikō. Ne?

- Tak, panie. Jeżeli to prawda.

- Jestem tego pewien, Tsukku-san.

Toranaga nie podtrzymywał rozmowy widząc, że Tsukku-san jest podekscytowany, a zatem będzie znakomicie tłumaczył.

Doszli już nad morze i Toranaga kroczył pewnie naprzód, nie poddając się znużeniu. Kiedy mijali czerepy na piasku, Tsukku-san przeżegnał się ze strachem. To głupota być przesadnym, pomyślał Toranaga, ale głupotą też jest niczego się nie bać.

Wasale Anjin-sana czekali pochyleni w ukłonie. Tylko Anjin-san nie wstał na powitanie.

Siedział patrząc tępo przed siebie.

- Anjin-san - zawołał łagodnie Toranaga.

- Tak, panie? - Blackthorne otrząsnął się z zamyślenia i wstał. - Przepraszam, chcesz teraz rozmawiać?

- Tak, proszę. Przyprowaździłem Tsukku-sana, bo chcę rozmawiać wyraźnie. Rozumiesz?

Szybko i wyraźnie?

- Tak.

W znieruchomiłych oczach Blackthorne'a widać było śmiertelne znużenie. Toranaga zwrócił się do Tsukku-sana. - Czy on rozumie, co powiedziałem?

Patrzył i słuchał przykryj dla uszu mowy. Anjin-san skinął głową, nie odrywając oskarżycielskiego spojrzenia od księdza.

- Tak, panie - rzekł ksiądz.

- Bądź łaskaw tłumaczyć dokładnie, co powiem. Słuchaj, Anjin-san, przyprowadziłem Tsukku-sana, żebyśmy mogli rozmawiać szybko, nie gubiąc znaczenia żadnego słowa. To dla mnie bardzo ważne, więc proszę o twoją cierpliwość.

- Tak, panie.

- Tsukku-san, najpierw przysięgnij na Boga chrześcijan, że dochowasz naszej tajemnicy, jakby była święta. Jakbyś słuchając Anjin-sana siedział w konfesjonale. Ne?, - Ależ, panie, to nie. .

- Zrobisz to. Jeżeli nie, cofnę na zawsze swoje poparcie dla ciebie i twojego Kościoła.

- Zgadzam się, panie. Przysięgam przed „Bogiem.

- Dziękuję. Wyjaśnij mi, co uzgodniliśmy.

Toranaga usadowił się na piasku, odganiając wachlarzem natrętne owady.

- Opowiedz, proszę, Anjin-san, co wydarzyło się w Osace.

Blackthorne zaczął opowiadać urywanymi zdaniami, ale niedawne przeżycia narzuciły mu się z taką siłą, że słowa popłynęły same i ojciec Alvito z trudem nadażał za tłumaczeniem. Toranaga słuchał i nie przerywał, wtrącając w miarę potrzeby delikatną zachętę, jak to robią wytrawni słuchacze.

Blackthorne skończył opowiadać o brzasku, niemal zapomniawszy o obecności księdza. Wiem wszystko, pomyślał Toranaga, a raczej wszystko to, co gotów był mi opowiedzieć Anjin-san. Ksiądz też wszystko wie, ale na pewno nie usłyszał nic takiego, co katolicy albo Kiyama mogliby wykorzystać przeciw mnie, Mariko albo Anjin-sanowi:

- Jesteś pewien, Anjin-san, że gubernator skazałby cię na stos? - spytał.

- O tak, gdyby nie ten jezuita. W jego oczach jestem heretykiem, a ogień podobno

„oczyszcza” duszę.

- Dlaczego ojciec wizytator uratował cię?

- Nie wiem. Mariko-sama miała z tym coś wspólnego. Bez statku jestem bezradny. Sami pomyśleliby o tym, ale może ona podsunęła im, jak to zrobić.

- Co mogła wiedzieć o podpalaniu statków?

- Nie wiem. Ninja wdarli się do zamku. Może i tutaj ninja zmylili strażę. Mój statek został

umyślnie podpalony. Mariko widziała się z ojcem wizytatorem w dniu, w którym zginęła. Wydaje mi się, że powiedziała mu, jak spalić Erasmusa, w zamian za moje życie. Ale dla mnie nie ma życia bez mojego statku, panie. Nie ma życia.

- Mylisz się, Anjin-san. Dziękuję ci, Tsukku-san, możesz odejść. Napracowałeś się. Odpocznij, proszę.

- Dziękuję, panie. - Alvito zawahał się. - Przepraszam za gubernatora. Ludzie rodzą się w grzechu i często w grzechu żyją, choć są chrześcijanami.

- Chrześcijanie rodzą się w grzechu, my nie. Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi, a nie ograniczonymi, niepiśmiennymi chłopami. Rozumiemy, czym naprawdę jest grzech. A jednak, Tsukku-san, na miejscu gubernatora nie wypuściłbym z rąk Anjin-sana. To była słuszna decyzja wojskowa.

Jeszcze pożałuje, że nie postawił na swoim. Ojciec wizytator także.

- Życzysz sobie, panie, żebym to przetłumaczył?

- To było przeznaczone dla twoich uszu.

Toranaga pożegnał księdza, dziękując za pomoc, i odprawił go pod strażą do domu.

- Anjin-san. Najpierw pływamy.

- Panie? - Pływamy!

Toranaga rozebrał się i wszedł do rozjaśniającej się wody. Blackthorne i wartownicy wzięli z niego przykład. Toranaga wypłynął w morze, a potem okrążył wrak. Blackthorne płynął za nim, orzeźwiony chłodem. Niebawem Toranaga wyszedł na brzeg. Służący przygotowali ręczniki, czyste kimona, cha, sake i jedzenie. - Jedz, Anjin-san.

- Dziękuję, nie jestem głodny.

- Jedz!

Blackthorne usłuchał, ale po kilku kęsach zakrztusił się.

- Przepraszam.

- Jesteś głupi. I słaby. Słaby jak Czoskojad. Niepodobny do hatamoto. Ne?

- Panie?

Toranaga powtórzył ostro. Wskazał wrak wiedząc, że Blackthorne słucha go teraz z całą uwagą.

- To jest nic. Shigata ga nai. Nieważne. Słuchaj, Anjin-san jest hatamoto, ne? Nie Czoskojad. Rozumiesz?

- Tak, przepraszam.

Toranaga skinął na strażnika, który podał opieczętowany zwój.

- Słuchaj, Anjin-san. Mariko-sama dała mi to przed wyjazdem z Edo. Prosiła, żebym ci to oddał, jeżeli wyjdiesz żywy z Osaki, rozumiesz, jeżeli wyjdiesz żywy.

Blackthorne wziął pergamin, potrzymał chwilę, złamał pieczęć. Mariko napisała po łacinie: Mój ty. Kocham cię. Jeżeli czytasz te słowa, to znaczy, że zginęłam w Osace, i przeze mnie straciłeś zapewne też statek. To, co dla ciebie najcenniejsze, poświęcę ze względu na moją Wiarę, by chronić Kościół, a przede wszystkim uratować ci życie, które jest mi najdroższe, droższe nawet od dobra pana Toranagi. Mogę stanąć przed wyborem: ty albo twój statek. Nie gniewaj się, że wybieram twoje życie. Statek i tak jest skazany na zagładę, niezależnie od twojego losu. Oddam statek w ręce twoich wrogów, żebyś ty mógł żyć. Statek nic nie znaczy, zbuduj drugi. Przecież umiesz, uczyłeś się nie tylko żeglować, ale i budować statki, prawda? Jestem przekonana, że pan Toranaga przyśle cieśli i innych rzemieślników - potrzebuje ciebie i twoich statków - a ja zapisałam tobie z osobistego majątku niezbędne fundusze. Zbuduj nowy statek, zbuduj nowe życie, kochanie.

Zdobądź Czarną Karawelę w przyszłym roku i żyj jak najdłużej. Wiedz, najdroższy, że moja chrześcijańska dusza modli się, żeby spotkać ciebie w chrześcijańskim niebie, a moja japońska hara modli się, żeby w przyszłym życiu być zawsze blisko ciebie i dawać ci radość. Wybacz, twoje życie jest najważniejsze. Kocham cię.

- Co jest w tym liście, Anjin-san?

- Przepraszam, panie. Mariko-sama pisze, że statek jest niepotrzebny. Zbudować drugi.

Pisze. .

- O! To możliwe? Możliwe, Anjin-san?

- Tak. Jeżeli dostanę. . - Nie pamiętał, jak powiedzieć „cieśla”. - Jeżeli Toranaga-sama da ludzi, ludzi do budowy statku, ne? Tak. Mogę zbudować. - Od razu zaczął wyobrażać sobie nowy statek. Mniejszy, o wiele mniejszy od Erasmusa. Dziewięćdziesiąt do stu ton wyporności, większego nie dałby rady. Wprawdzie Alban Caradoc szkolił go i na pilota, i na budowniczego, ale nigdy nie projektował ani nie nadzorował od początku do końca budowy statku. Bóg zapłać, Alban, podziękował

mu z głębi serca. Tak, na początek dziewięćdziesiąt ton. Golden Hind Drake'a miał mniej więcej taką wyporność, a ile wytrzymał! Mógłbym wziąć na pokład dwadzieścia dział wystarczająco dużo, żeby.

. -

Chryste Panie, działa!

Obejrzał się gwałtownie na wrak, potem popatrzył na minę Toranagi i samurajów i uprzytomnił

sobie, że mówił po angielsku.

- Przepraszam, panie. Myślę za szybko. Duże muszkiety w morzu, ne? Muszę szybko wziąć!

Toranaga porozumiał się ze swoimi ludźmi.

- Samuraje mówią, że wszystko ze statku jest w obozie. Morze płytkie przy odpływie, rzeczy wyłowione, ne? Teraz w obozie. Dlaczego o tym mówisz?

Blackthorne'owi zakręciło się w głowie z radości.

- Mogę zrobić statek. Jeżeli są-działa, mogę walczyć z wrogiem. Czy Toranaga-sama może dostać proch?

- Tak. Ilu cieśli? Czego potrzebujesz?

- Czterdziestu cieśli, kowali, dębowe deski, rosną tu dęby? A potem żelazo, stal, zrobię tu kuźnię, potrzebny mi. . - Znów mówił po angielsku. - Przepraszam. Napiszę na papierze. Pomyślę i napiszę. Powiedz, proszę, dostanę ludzi do pomocy?

- Tylu, ilu zechcesz. I pieniędzy. Zaraz. Potrzebny mi statek. Zaraz! Jak szybko możesz zbudować?

- Sześć miesięcy.

- Nie można szybciej?

- Żałuję, ale nie.

- Później porozmawiamy, Anjin-san. Co jeszcze pisze Mariko-sama? -

- Niewiele, panie. Daje pieniądze na statek, swoje własne. Przepraszam, bo.. bo myśli, że pomaga moim wrogom zniszczyć statek.

- Jakim wrogom? W jaki sposób zniszczyć?

- Tego nie pisze, panie. Nic dokładnie. Tylko przepraszam. Mariko-sama mówi sayonara.

- Cieszę się, że już wszystko dobrze, Anjin-san. Iii ii, Mariko-sama miała rację. O tamto się nie martw! - Toranaga wskazał wrak. - Zbuduj zaraz nowy statek. Statek do walki, ne? Rozumiesz?

- Rozumiem bardzo dobrze.

- Czy ten nowy statek mógłby walczyć z Czarną Karawelą?

- Tak.

- W przyszłym roku?

- Może.

- A załoga?

- Na przyszły rok wyćwiczę swoich wasali na kanonierów. Na marynarzy nie.

- Możesz wybrać najlepszych marynarzy w Kantō.

- Na przyszły rok mogę być gotów - rzekł z uśmiechem Blackthorne. - A wojna? Co z wojną?

- Może być, może nie być, a próbować trzeba, ne? Czarna Karawela to twój łup, rozumiesz:

„łup”? I nasza tajemnica, ne?

- Księża szybko odkryją tajemnicę.

- Może. Ale tym razem nie będzie fali przyływu ani tai-funu, przyjacielu. Ty będziesz czuwał i ja będę czuwał.

- Tak.

- Najpierw Czarna Karawela, potem do domu. Sprowadzisz całą flotę. Rozumiesz?

- O tak.

- Jeżeli przegram, karma. Jeżeli nie, wtedy jest wszystko, Anjin-san. Tak jak powiedziałeś.

Czarna Karawela, ambasador, układ, statki! Rozumiesz?

- Tak, tak! Dziękuję.

- Podziękuj Mariko-samie. Gdyby nie ona. .

Toranaga po raz pierwszy pożegnał się z nim jak równy z równym. Wasale Blackthorne'a uklonili się, pozostając pod wrażeniem - zaszczytu, jaki spotkał ich pana.'

Blackthorne odprowadził spojrzeniem Toranagę, a potem spostrzegł, że służący pakują nie dokończony posiłek. Powstrzymał ich i zasiadł do jedzenia.

Jadł powoli, jak należy, z godnością, a służący spierali się, kto mu będzie usługiwać. Próbował ogarnąć myślami niezmierzone perspektywy, które otworzył przed nim Toranaga. Wygrałeś, powiedział sobie, mając ochotę skakać i tańczyć z radości. Pełen wdzięczności odczytał ponownie list Mariko.

- Za mną - rozkazał i ruszył w stronę obozu.

W głowie już układał plan statku i rozmieszczenie dział. Boże Przenajświętszy, pomóż Toranadze, niech Ishido nie wejdzie do Kantō i Izu, miej w opiece Mariko, gdziekolwiek jest, i spraw, żeby

działa nie były zardzewiałe. Mariko miała rację, Erasmus był skazany na zagładę.

Przywróciła mi chęć do życia. Mogę zbudować nowe życie, nowy statek. Dziewięćdziesiąt ton! Mój statek będzie pruć fale ostrym dziobem, gotów w każdej chwili do walki, zgrabny i szybki jak greyhound, lepszy od Erasmusa, a tuż pod wystającym butnie bukszprytem będzie piękny galion o rysach Mariko. Mój statek. . Chryste Panie, z wraka można wyratować tonę rzeczy! Stępka częściowo nadaje się do wykorzystania, niektóre żebra, a do tego tysiące gwoździ - z reszty stępki zrobię wiązania i brasy, wszystko, co trzeba. . jeżeli będę miał dość czasu.

Tak. Mój statek będzie podobny do niej, przyrzekł sobie. Będzie mały, wypieszczony, doskonały jak ostrze Yoshitomo, najlepsza broń na świecie, i tak samo niebezpieczny. Za rok zdobędzie statek dwadzieścia razy większy od siebie i wypędzi nieprzyjaciół z Azji. A za dwa, trzy lata wpłynie Tamizą do Londynu, z ładowniami pełnymi złota, obryzgany przez wszystkie morza świata.

- Będzie się nazywał Pani - powiedział na głos.

61.

Dwa dni później, o świcie, Toranaga sprawdził popręgi przy siodle. Pchnął klacz kolanem w miękki brzuch i podciągnął popręg o dwa oczka. Paskudne bydło, pomyślał mając za złe koniom, że są zdradliwe, złośliwe i niebezpieczne. To ja, Yoshi Toranaga-no-Chikitada-no-Minowara, a nie jakiś głupkowaty dzieciuch. Odczekał chwilę i znów mocno dźgnął klacz kolanem, aż stęknęła i potrzęsnęła łbem. Podciągnął popręg do oporu.

- Dobrze, panie! Bardzo dobrze - rzekł z podziwem łowczy, żyłasty samuraj, krzepki i zahartowany. - Niejednemu wystarczyłoby podciągnąć raz.

- A kiedy siodło przekrzywiłoby się, głupiec mógłby skrócić kark. Ne?

- Tak panie, za karę! - odparł ze śmiechem łowczy.

W zagrodzie dla koni otaczali ich wartownicy i sokolnicy z okapturzonymi ptakami. Tylko jastrząb gołębiarz Kogo mógł przypatrywać się wszystkiemu złotymi bezlitosnymi oczyma. Sokół

wędrowny Tetsu-ko wydawał się przy nim mały, ale zajmował honorowe miejsce.

Podszedł Naga, prowadząc konia.

- Dzień dobry, ojczy.

- Dzień dobry, synu. Gdzie twój brat?

- Pan Sudara czeka w obozie, panie.

- Dobrze. - Toranaga uśmiechnął się, a ponieważ lubił syna, wziął go na stronę i rzekł: -

Zamiast jechać na polowanie, wypiszesz rozkazy wojenne, które podpiszę wieczorem po powrocie.

- Och, ojczy, dziękuję ci, dziękuję - ucieszył się Naga, dumny, że przypadł mu zaszczyt podjęcia rękawicy rzuconej przez Ishido, że własnoręcznie wypisze rozkazy dla wojsk, żeby ruszyły do przełęczy granicznych, zgodnie z wczorajszym postanowieniem rady wojennej.

- Dalej: pułk muszkietów ma rozkaz wyruszyć do Hakone jutro z samego rana. Dalej: dziś po południu przybędzie transport z bagażami z Edo. Dopilnuj, żeby wszystko było gotowe.

- Oczywiście. Kiedy staniemy do walki?

- Wkrótce. Wczoraj dostałem wiadomość, że Ishido i następca wyjechali z Osaki na przegląd wojsk. Nie mą odwrotu.

- Żałuję, że nie mogę polecieć do Osaki jak Tetsu-ko, zabić Ishido, Kiyamę i Onoshiego, a tobie oszczędzić trudu.

- Dziękuję, synu. - Toranaga nie podjął się wytłumaczenia, jak ogromne przeszkody trzeba najpierw usunąć, by dostać się tamtym do skóry. Rozejrzał się. Sokolnicy i strażnicy czekali w pogotowiu. Przywołał łowczego. - Najpierw pojedę do obozu, potem pojedziemy nad brzegiem cztery ri na północ.

- Ale naganiacze są już na wzgórzach. . - Łowczy ugryzł się w język i szybko dodał: - Wybacz, panie. Zdaje się, że zjadłem jakieś świństwo.

- Na to wygląda. Może powinieneś przekazać swoje obowiązki komuś innemu. Może krwawnicę zamąciły ci w głowie, współczuję - odparł Toranaga. Gdyby nie to, że polowanie miało zmylić wroga, zmieniłby łowczego. - He?

- Tak, daruj, panie - rzekł stary samuraj. - Pozwolisz, że spytam, czy życzysz sobie polować tam, gdzie zdecydowałeś wczoraj, czy nad brzegiem morza?

- Nad brzegiem morza.

- Tak jest, panie. Przepraszam, muszę wydać nowe polecenia.

Pora zwolnić go ze służby, pomyślał Toranaga bez złości, patrząc na biegnącego samuraja. Do końskiej zagrody wszedł Orni i kulejący młody samuraj ze świeżą szramą na twarzy, pamiątką z Osaki. Toranaga od razu ich zauważył.

- Omi-san! To ten wojownik?

- Tak, panie.

Toranaga sprawnie i szybko przepytał samuraja na osobności. Zrobił to przez grzeczność dla Omiego, gdyż rozmawiał już z tym żołnierzem pierwszego wieczoru i wyciągnął wnioski. Również przez grzeczność pytał Anjin-sana o treść listu Mariko, choć wiedział, co napisała.

- Wyraż to, proszę, swoimi słowami, Mariko-san - rzekł przed jej wyjazdem z Edo do Osaki.

- Mam wydać jego statek w ręce wrogów, panie? - spytała ze łzami w oczach.

- Nie, pani. Nie. To, co wyjawiałaś mnie, masz szepnąć Tsukku-sanowi tu, w Edo, a potem w Osace powtórzyć naczelnemu kapłanowi i Kiyamie. Powiesz im, że bez statku Anjin-san nie stanowi dla nich zagrożenia. A teraz napiszesz list do Anjin-sana.

- Oni zniszczą mu statek.

- Będą próbowali to zrobić. Sami wpadliby na to rozwiązanie, więc właściwie niczego nie zdradzasz, ne?

- Czy możesz ochronić jego statek, panie?

- Będą go strzegły cztery tysiące samurajów.

- Ale jeżeli im się uda. . Anjin-san nic nie znaczy bez statku. Błagam o zachowanie go przy życiu.
- Niepotrzebnie, Mariko-san. Jest dla mnie cenny nawet bez statku, zapewniam cię. A w liście poproszę go, żeby zbudował nowy statek, jeżeli straci ten.
- Co?
- Mówiłaś, że potrafi, ne? Jeżeli dostarczę mu cieśli i wszystkich rzemieślników?
- O, tak. Jesteś taki mądry, panie! Nieraz mówił, że uczył się budowy statków. .
- Jesteś tego całkiem pewna, Mariko-san?
- Tak, panie.
- Dobrze.
- Sądzisz, panie, że nawet cztery tysiące samurajów nie będzie przeszkodą dla księży chrześcijan?
- Tak. Niestety, chrześcijanie nie spoczną, dopóki nie zniszczą statku. Anjin-sanowi też nie przepuszczą, póki statek pływa po morzu. To dla nich zbyt wielkie zagrożenie. Ten statek musi przepaść, więc równie dobrze można go im wydać. Ale tylko ty i ja będziemy wiedzieli, że jedyną nadzieją Anjin-sana jest zbudowanie nowego. Ja jeden mogę mu w tym pomóc. Rozwiąż dla mnie problem Osaki, a ja dopilnuję, żeby zbudował statek.

Powiedziałem jej prawdę, pomyślał Toranaga, wdychając końskie zapachy i nie słuchając rannego samuraja ani Omiego. Wspomnienie Mariko przepełniło go żalem. Życie jest takie smutne, westchnął w duchu, zniechęcony do ludzi, Osaki i rozgrywek - cóż z tego, że o wielką Stawkę, skoro przynosiły tyle cierpień żyjącym.

- Dziękuję, Kosami - powiedział, kiedy samuraj umilkł. - Świetnie się spisaleś. Jedźcie ze mną, proszę.

Toranaga podszedł do klaczy i jeszcze raz trącił ją kolanem. Zarżała, ale popręgu nie dało się docisnąć.

- Konie są o wiele bardziej zdraдлиwe od ludzi - powiedział sam do siebie. Dosiadł klaczy i pogalopował, a za nim straż przyboczna, Orni i Kosami.

W obozie na polanie zatrzymał się. Czekali tam Buntaro, Yabu, Hiro-matsu i Sudara z sokołem w ręku. Pozdrowili go.

- Dzień dobry - powitał ich wesoło Toranaga, dając znak Omie-mu, żeby wziął udział w rozmowie, a innym, żeby się odsunęli. - Jesteś gotów, synu?

- Tak, ojczec - odparł Sudara. - Posłałem ludzi w góry, żeby sprawdzili gotowość naganiaczy.

- Dziękuję, ale postanowiłem polować nad morzem.

Sudara natychmiast przywołał strażnika, kazał mu jechać w góry i ściągnąć stamtąd ludzi nad morze.

- Wybacz, panie, powinienem był to przewidzieć. Hiro-matsu, jak zawsze trzymający miecz w pogotowiu, miał naburmuszoną minę.

- Nadal uważam, że to niehonorowe i niepotrzebne - rzekł. - Niedługo wszystko będziemy mieli za sobą. Bez zdradliwych podstępów dopadniemy Ishido i naszczamy na niego.

- Daruj, Hiro-matsu-san - rzekł Yabu. - Bez tej strategii i muszkietów przegramy. To nowoczesna wojna, tylko w ten sposób możemy wygrać. - Obejrzał się na Toranagę, który nie zsiadał

z konia. - Dowiedziałem się wieczorem, że Jikkyu zmarł.

- To pewne? - Toranaga udał zaskoczenie. W dniu wyjazdu z Mishimy otrzymał o tym poufną wiadomość.

- Tak, panie. Podobno niedomagał od jakiegoś czasu. Mój szpieg donosi, że zmarł dwa dni temu. - Yabu nie krył zadowolenia. - Jego następcą jest syn, Hikoju.

- Ten szczeniak? - wtrącił z pogardą Buntaro.

- Tak, zgadzam się, że to pisklę. - Yabu rósł w oczach. - Panie, czy to nie otwiera nam południowego szlaku? Nie moglibyśmy od razu zaatakować na gościńcu Tokaidō? Izu jest bezpieczne po śmierci tego starego lisa, a Suruga i Totomi są bezradni jak tuńczyki na piasku. Ne? Zamyślony Toranaga zsiadł z konia.

- Co ty na to? - zwrócił się do Hiro-matsu.

- Gdyby udało się opanować szlak aż do przełęczy Utsunoya - odparł generał - zachowując łączność zdobyć wszystkie mosty i szybko przejść Tenriu, wbilibyśmy nóż w brzuch Ishido.

Moglibyśmy odciąć Zatakiego w górach, wzmocnić atak Tokaidō i popędzić na Osakę. Bylibyśmy niezwyciężeni.

- Dopóki następca stoi, na czele wojsk Ishido, możemy zostać zwyciężeni - powiedział

Sudara.

- Jestem innego zdania - rzekł Hiro-matsu.

- Przykro mi, ja również - powiedział Yabu.

- Ale ja też tak uważam - powiedział Toranaga równie surowo i poważnie jak Sudara. Nie wspomniał im jeszcze o ewentualnym przejściu Zatakiego na ich stronę, kiedy przyjdzie na to czas.

Po co mam im o tym mówić, pomyślał. To jeszcze nie przesądzone.

Ciekawe, jak mam pogodzić dwie sprzeczności? - zastanawiał się. Zgodnie z obietnicą ożenić przyrodniego brata z Ochibą, a jednocześnie samemu ożenić się z nią, bo taką wystawiła cenę? Mało prawdopodobne, żeby Ochiba zdradziła Ishido. Gdyby tak się stało i obstawała przy swojej cenie, wyjście jest proste: brat będzie musiał ugiąć się przed nieuniknionym.

Spostrzegł skierowane na siebie spojrzenia.

- Co? - spytał.

Po chwili milczenia odezwał się Buntaro.

- Co będzie, panie, kiedy staniemy przed chorągwią następcy?

Pytanie to nigdy dotąd nie zostało zadane wprost.

- Jeżeli do tego dojdzie, przegram - odparł Toranaga. - Popelnię seppuku, a ci, którzy szanują testament taikō i niewątpliwe prawo następcy do dziedziczenia, poddadzą się, prosząc o łaskę.

Jeżeli tego nie zrobią, stracą honor. Ne?

Wszyscy pokiwali głowami. Toranaga wrócił do przerwane go wątku i rzekł wesoło do Yabu:

- Ale do tamtego pola bitwy jeszcze daleko, więc nie zmieniamy planów. Rzeczywiście, Yabu-san, utworzył się przed nami południowy szlak. Na co zmarł Jikkyu?

- Zachorował, panie.

- Czy to była choroba za pięćset koku?

Yabu roześmiał się, choć ogarnęła go wściekłość, że Toranaga dotarł do pilnie strzeżonej tajemnicy.

- Tak przypuszczam, panie. Mój brat ci powiedział?

Toranaga kiwnął głową i poprosił, żeby wyjaśnił pozostałym. Zadowolony z chytrego fortelu, Yabu opowiedział, jak Mizuno, jego brat, przekazał pieniądze zdobyte od Anjin-sana pomocnikowi kucharza, podstawionemu do kuchni Jikkyu.

- Tanio, ne? - cieszył się Yabu. - Pięćset koku za południowy szlak?

- Daruj, panie, to obrzydliwa historia - rzekł Urażony Hiro-matsu do Toranagi.

Toranaga uśmiechnął się.

- Podstęp i zdrada to oręż wojenny, ne?

- Tak, ale nie dla samuraja.

- Przepraszam, panie Hiro-matsu, nie chciałeś mnie chyba obrazić - rzekł z rozdrażnieniem Yabu.

- Nie chciał obrazić. Prawda, Hiro-matsu-san? - spytał Toranaga.

- Nie, panie. Wybacz, proszę.

- Podstęp, zdrada, trucizna, skrytobójstwo zawsze były bronią w czasie wojny, przyjacielu -

rzekł Toranaga. - Jikkyu był wrogiem i głupcem. Pięćset koku za południowy szlak to tyle co nic!

Yabu-sama dobrze mi się przysłużył. Tutaj i w Osace. Ne, Yabu-san?

- Staram się zawsze wiernie ci służyć, panie.

- Wyłumacz więc, proszę, dlaczego zabiłeś kapitana Sumiyoriego przed atakiem ninja.

Twarz Yabu nie zdradzała niczego. Dłoń spoczywała spokojnie na rękojeści miecza Yoshitomo.

- Kto tak twierdzi? Kto mnie oskarża, panie?

Toranaga wskazał czekających nie opodal Brązowych. - Tamten wojownik! Podejdz, proszę, Kosami-san.

Samuraj zsiadł z konia, przykuśtykał i uklonił się.

- Ktoś ty? - spytał groźnie Yabu.

- Sokura Kosami z dziesiątego legionu, panie, przydzielony do straży przybocznej pani Kiritsubo w Osace - odparł młodzieniec. - Postawiłeś mnie na straży przed swoją kwaterą, którą zajmował też Sumiyori-san, tej nocy, kiedy napadli ninja.

- Nie pamiętam ciebie. Śmiesz twierdzić, że zabiłem Sumiyoriego?

Kosami zawahał się.

- Mów! - rozkazał Toranaga.

- Zanim dopadli nas ninja, panie.- zaczął szybko opowiadać Kosami - zdążyłem otworzyć drzwi i krzyknąć do Sumiyori-sana, ale on nie poruszył się, panie. - Zwrócił się do Toranagi drżąc pod wlepionymi w siebie spojrzeniami. - Zawsze miał lekki sen, a to było zaledwie chwilę po tym. . to wszystko, panie. -

- Wszedłeś do izby? Potrząsnąłeś nim? - dopytywał się Yabu.

- Nie, panie, skądże. Ninja przybiegli tak szybko, że zaraz się wycofaliśmy, a dopiero potem przeszliśmy do ataku, tak jak mówiłem. .

Yabu spojrział na Toranagę.

- Sumiyori-san pełnił służbę od dwóch dni. Był wyczerpany, tak jak wszyscy. Czy to, co mówi strażnik, czegoś dowodzi?

- Niczego - przyznał spokojnie Toranaga. - Ale później, Kosami-san, wróciłeś do izby. Ne?

- Tak, panie, Sumiyori-san leżał na futonach tak, jak go widziałem poprzednio.. nie było żadnych śladów zamieszania, a Sumiyori-san leżał martwy, ktoś dźgnął go nożem w plecy.

Pomyślałem, że to ninja i nie zastanawiałem się, dopóki Omi-san nie zaczął mnie wypytywać.

- Ach! - Yabu popatrzył na bratanka, mierząc dzielącą ich odległość. - A więc wypytywałeś go?

- Tak, panie - odparł Orni. - Pan Toranaga prosił, żebym jeszcze raz wszystkich przesłuchał.

To był pierwszy dziwny szczegół zasługujący moim zdaniem na uwagę naszego pana.

- Pierwszy dziwny szczegół? Więc jest drugi?

- Na rozkaz pana Toranagi wypytałem służących, którzy przeżyli atak. Było ich dwóch, panie.

Przykro mi, ale obaj mówili, że widzieli cię idącego w jedną stronę z samurajem, a w chwilę potem zawróciłeś, już bez niego, krzycząc „Ninja!”

- Przeszyli biedaka włócznią i mieczem, a mnie omal nie stratowali. Musiałem się wycofać, żeby ogłosić alarm. - Yabu zwrócił się do Toranagi, ustawiając się w lepszej pozycji do ataku. -

Składałem o tym raport tobie, panie, ustnie i pisemnie. Jaką wagę mają słowa służących?

- Omi-san? spytał Toranaga.

- Przepraszam, Yabu-sama:- rzekł Orni. - Obaj widzieli, jak otwierasz zaryglowane drzwi w lochach i słyszeli, jak mówisz: „Jestem Kasigi Yabu”. Dzięki temu zdążyli się ukryć i ocaleli.

Ręka Yabu drgnęła. Sudara jednym skokiem osłonił Toranagę, a równocześnie Hiro-matsu zamachnął się mieczem na kark Yabu.

- Stać! - rozkazał Toranaga.

Miecz zawisł w powietrzu, zatrzymany mistrzowską ręką Hiro-matsu. Yabu stał nieruchomo.

Popatrzył na nich i gromko się roześmiał.

- Czy jestem roninem bez honoru, który zaatakowałby własnego pana lennego? Jestem Kasigi Yabu, pan Izu, Surugi i Totomi. Ne? - Spojrzał na Toranagę. - O co jestem oskarżony, panie? Że pomogłem ninja? To niedorzeczne! Służący kłamią! Wymyślają niestworzone historie nie mające nic wspólnego ze mną. Albo ten tutaj. Rzuca oskarżenie, którego nie można udowodnić, a ja nie mogę odeprzeć.

- Dowodów nie ma, Yabu-sama, przyznaję - rzekł Toranaga. - Yabu-sama, czy jesteś winien tych czynów? - spytał Hiro-matsu.

- Oczywiście, że nie!

- Ja jednak myślę, że dopuściłeś się zdrady - rzekł Toranaga. - Dlatego odbieram ci wszystkie twoje ziemie. Dziś przed południem rozprujesz sobie brzuch.

Wyrok był nieodwołalny. Na tę chwilę Yabu przygotowywał się przez całe życie.

Myślał gorączkowo. Karma. Nic nie mogę zrobić, rozkaz jest niepodważalny, Toranaga to mój pan lenny, albo zetną mi głowę, albo umrę z godnością. Tak czy owak zginę. Omi mnie wydał, to moja karma. Wszyscy służący mieli zginąć, taki był plan, ale dwóch ocalało i to moja karma. Zachowuj się godnie, nakazał sobie w duchu, zbierając całą odwagę. Panuj nad myślami i czynami.

- Panie - rzekł śmiało - po pierwsze, jestem niewinny, Kosami jest w błędzie, a służący kłamią.

Po drugie, jestem twoim najlepszym dowódcą. Proszę uniżenie o zaszczyt poprowadzenia szarży gościńcem Tokaidō albo w czasie pierwszej bitwy, żebym zginął z pożytkiem.

- Dobra myśl, Yabu-san - rzekł uprzejmie Toranaga. - Z ręką na sercu przyznam, że jesteś najlepszym dowódcą dla pułku muszkietów, ale, niestety, nie ufam ci: Dziś przed południem masz rozpruć sobie brzuch.

Yabu opanował wściekły gniew i spełnił powinność samuraja i głowy rodu, dokonując aktu całkowitego poświęcenia. - Uroczyście zwalniam mojego bratanka Kasigi Omi-sana z wszelkiej odpowiedzialności za wystąpienie przeciwko mnie i ustanawiam go moim następcą.

- Dobrze - rzekł Toranaga, zdziwiony nie mniej od pozostałych. - To mądra decyzja. Wyrażam zgodę.

- Przekazuję mu we władanie Izu, dziedziczne lenno rodu Kasigi.

- Nie możesz oddać Izu, bo już do ciebie nie należy. Jesteś moim wasalem, ne? Izu to moja prowincja i ja mogę ją oddać, komu zechcę. Ne?

Yabu wzruszył ramionami.

- Przekazuję mu Izu, tak czy owak. . - Roześmiał się. - To prośba życia. Ne?

- Prosić zawsze można. Odrzucam prośbę. Od tej chwili wszystkie twoje rozkazy będą zatwierdzane przeze mnie. Buntaro-san, będziesz oficjalnym świadkiem. Yabu-san, kogo wybierasz na sekundanta?

- Kasigi Omi-sana.

Toranaga spojrział na Omiego. Poblady Omi uklonił się.

- To dla mnie zaszczyt - rzekł.

- Dobrze. Zatem wszystko ustalone.

- A co z atakiem gościńcem Tokaidō? - spytał Hiro-matsu.

- Jesteśmy bardziej bezpieczni pod osłoną gór.

Toranaga pożegnał się krótko, dosiadł konia i odjechał. Sudara uprzejmie skinął głową i ruszył za nim. Kiedy tamci dwaj oddalili się, Buntaro i Hiro-matsu stanęli swobodniej, ale żaden, Omi także, nie odrywał wzroku od bliskiej miecza ręki Yabu.

- Gdzie chcesz to zrobić, Yabu-sama? - spytał Buntaro.

- Tu czy tam, nad brzegiem morza czy na kupie gnoju, Wszystko mi jedno. Nie potrzebuję ceremonialnych szat. Omi-san, zaczekasz, aż zrobię dwa cięcia.

- Tak, panie.

- Pozwolisz, Yabu-san, że ja też będę świadkiem - rzekł Hiro-matsu.

- Nie popękają ci wrzody na tyłku? Generał zjeżył się i powiedział do Buntaro:

- Poślij po mnie, proszę, kiedy będzie gotowy. Yabu splunął.

- Jestem gotowy. A ty? Hiro-matsu obrócił się na pięcie.

Po chwili namysłu Yabu wyciągnął zza pasa miecz Yoshitomo.

- Zechciej spełnić moją prośbę, Buntaro-san. Oddaj ten miecz Anjin-sanowi. - Zmarszczył

brwi. - A właściwie, jeżeli to nie kłopot, czy byłbyś łaskaw posłać po niego, żebym wręczył mu ten miecz osobiście?

- Zaraz to zrobię.

- Sprowadź też, proszę, tego śmierdzącego księdza, żebym mógł bez przeszkód porozmawiać z Anjin-sanem.

- Dobrze. Czego jeszcze sobie życzysz?

- Potrzebny mi papier, tusz i pędzelek, którym napiszę testament i przedśmiertny wiersz, a prócz tego dwie tatami. Dlaczego miałbym kaleczyć kolana albo klęczeć w błocie jak śmierdzący chłop. Ne? - dodał zawadiacko Yabu.

Buntaro podszedł do czekających z boku samurajów, którzy z podniecenia przestępowali z nogi na nogę. Yabu usiadł niedbale na ziemi i zaczął dłubać w zębach łądyżką trawy. Orni przyklęknął

obok, ale na wszelki wypadek poza zasięgiem miecza.

- Ii i i! Tak mało brakowało! - rzekł Yabu. W porywie wściekłości załomotał wyciągniętymi nogami.
- Iii ii, tak mało! Ech, karma, ne? Karma! - Ryknął śmiechem i splunął, dumny, że ma jeszcze w ustach ślinę. - Plwam na wszystkich bogów, którzy byli, są i będą! Wiedz, Omi-san, umieram szczęśliwy. Jikkyu nie żyje i czeka na mnie, zgrzytając zębami, po drugiej stronie Ostatniej Rzeki, a ja, kiedy tam dotrę, będę mu pluł w twarz przez całą wieczność.

Orni, nie spuszczać z niego czujnego spojrzenia, rzekł z przekonaniem:

- Oddałeś panu Toranadze wielką przysługę, panie. Nadmorski szlak stoi otworem. Masz słuszość, panie, a Żelazna Pięść i Sudara są w błędzie. Trzeba od razu atakować, z muszkietami damy radę.

- Ta kupa gnoju! Stary głupiec! - Yabu roześmiał się. - Zsiniał, kiedy przypominałem mu o jego krwawnicach, widziałeś? Ha! Już wtedy o mało mu nie popękały. Samuraj? Jestem lepszym samurajem od niego! Ja mu pokażę! Nie uderzysz, dopóki nie dam rozkazu.

- Pokornie dziękuję za ten zaszczyt i za to, że uczyniłeś mnie swoim następcą. Przysięgam, że honor rodu Kasigi jest bezpieczny w moich rękach.

- Gdybym tak nie uważał, nie powierzyłbym go tobie. - Yabu ściszył głos. - Słusznie wydałeś mnie Toranadze. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo, choć to wszystko kłamstwa. Toranaga ma powód, żeby się mnie pozbyć. Zawsze mi zazdrościł, że jestem nieustraszony w boju, rozumiem się na broni palnej i znam wartość statku. Ja to wszystko wymyśliłem.

- Tak, panie, pamiętam.

- Uratujesz nasz ród. Jesteś przebiegły jak stary szczer. Odzyskasz Izu i inne ziemie, to jest teraz najważniejsze, i przekażesz je swoim synom. Wiesz dużo o muszkietach. I o Toranadze.

Ne?

- Przysięgam, że zrobię, co w mojej mocy, panie.

Obronna postawa i czujność Omiego nie uszły uwagi Yabu. Spojrzał na rękę gotową schwycić miecz.

- Myślisz, że ciebie zaatakuję?

- Ależ nie, panie, przepraszam.

- Cieszę się, żeś taki ostrożny. Jesteś podobny do mojego ojca. Tak, bardzo go przypominasz. - Wystrzegając się gwałtownych ruchów odłożył oba miecze na ziemię, jak najdalej od siebie. - Proszę! Jestem bezbronny. Jeszcze przed chwilą chciałem ściąć ci głowę, ale teraz już nie. Nie masz powodu się mnie bać.

- Zawsze trzeba się ciebie bać, panie.

Yabu parsknął śmiechem i zaczął ssać świeże źdźbło. Po chwili odrzucił je.

- Wysłuchaj moich ostatnich rozkazów, które wydaję jako głowa rodu Kasigi. Przyjmiesz pod swój dach mojego syna i wykorzystasz go, jeżeli będzie tego wart. Mojej żonie i konkubinie gorąco podziękujesz za to, że były mi tak oddane, i znajdziesz dla nich dobrych mężów. Twojemu ojcu, Mizuno, rozkazuję popełnić seppuku.

- Proszę uniżenie, by mógł zgolić głowę i zostać kapłanem.

:- Nie. Jest zbyt głupi, nie mógłbyś mu nigdy zaufać. . Jak śmiał przekazywać Toranadze moje poufne wiadomości!. . Byłby ci zawsze zawadą. A twojej matce. . - wyszczerzył zęby - rozkazuję zgolić głowę i wstąpić do klasztoru poza Izu, gdzie do końca życia będzie się modlić za pomyślność rodu Kasigi. Do klasztoru buddyjskiego albo shintō, wolę shintō. Zgadzasz się na shintō?

- Tak, panie.

- Dobrze. Wreszcie przestanie jęczeć ci nad uchem i odrywać od spraw rodu - rzekł Yabu ze złośliwym zadowoleniem.

- Stanie się, jak każesz.

- Dobrze. Rozkazuję ci pomścić kłamstwa, jakich dopuścił się przeciw mnie Kosami i zdrajcy służący. Nieważne, kiedy to zrobisz, bylebyś zdążył przed śmiercią.

- Będę ci posłuszny.

- Czy o czymś zapomniałem?

Orni upewnił się, czy nikt ich nie podsłuchuje.

- A następca? - spytał ostrożnie. - Jeżeli stanie przeciw nam na polu bitwy, przegramy, ne?

- Poprowadzisz na niego pułk muszkietów i zabijesz, niezależnie od tego, co powie Toranaga.

Yaemon to twój główny cel.

- Tak właśnie wywnioskowałem. Dziękuję.

- Dobrze. Ale zamiast tak długo czekać, lepiej potajemnie uzgodnić cenę za jego głowę, zwrócić się do ninja. . do sekty Amidy.

- Jak do nich dotrę? - spytał Omi drżącym głosem.

- Ta wiedźma Gyoko, Mama-san, będzie wiedziała jak.

- Ona?

- Tak. Ale uważaj na nią i na Amidów. Nie zwracaj się do nich pochopnie, Omi-san. Niczym jej nie uraż, otaczaj ciągłą opieką. Ona zna zbyt wiele tajemnic, a papier i tusz dosięgają nawet przez rzekę

śmierci. Była przez rok nieoficjalną konkubina mojego ojca. . być może jej syn jest moim przyrodnim bratem. Strzeż się jej, zbyt wiele zna tajemnic.

- Skąd wezmę pieniądze?

- To twoje zmartwienie. Zdobądź je, jak chcesz, skądkolwiek.

- Tak. Dziękuję. Będę-ci posłuszny.

Yabu nachylił się. Omi błyskawicznie sięgnął po miecz, gotów go obnażyć w mgnieniu oka. Yabu poczuł się mile polectany, że nawet bez broni budzi respekt.

- Zachowaj to w głębokiej tajemnicy. I pamiętaj, bratanku, podtrzymuj przyjaźń z Anjin-sanem. Postaraj się podporządkować sobie flotę, którą kiedyś sprowadzi. Toranaga nie rozumie, ile naprawdę jest wart Anjin-san, ale słusznie zostaje za górami. Zyskuje czas. I ty zyskujesz czas.

Musimy wypłynąć w morze, nasze załogi na ich statkach, pod naczelnym dowództwem Kasigich.

Kasigowie muszą żeglować, zawładnąć morzem. Wydaję taki rozkaz.

- Zaufaj mi. Tak się stanie.

- Dobrze. I ostatnia rzecz, nigdy nie ufaj Toranadze.

- Nie ufam, panie - odparł Omi żarliwie. - Nigdy nie ufałem i nie będę ufał.

- Dobrze. Nie zapomnij rozprawić się z tamtymi parszywymi kłamcami. I Kosamim. - Yabu westchnął głęboko, uspokojony. - Wybacz, muszę ułożyć przedśmiertny wiersz.

Orni wstał, zrobił kilka kroków tyłem, uklonił się i odszedł jeszcze dalej. Dopiero pod obstawą własnych strażników poczuł się bezpiecznie, usiadł i zaczął czekać.

Toranaga i towarzyszący mu jeźdźcy kłusowali drogą podmywaną przez wody wielkiej zatoki, którą mieli po prawej ręce. Okolica była nizinna, bagnista, usiana poletkami błota. Kilka ri na północ droga łączyła się z głównym traktem Tokaidō. Dwadzieścia ri dalej w tym samym kierunku leżało Edo.

Toranaga miał ze sobą stu samurajów i dziesięciu sokolników z ptakami. Sudara, z dwudziestoma strażnikami i trzema sokolnikami, jechał w przedniej straży.

- Sudara! - zawołał Toranaga, jakby raptem o czymś pomyślał. - Zatrzymaj się w najbliższej gospodzie. Chcę zjeść śniadanie!

Sudara pomachał ręką na znak, że usłyszał, i pogalopował naprzód. Nadjeżdżającego Toranagę powitał bijący pokłony gospodarz i uśmiechnięte służące. Zatknięto proporce Toranagi, od północy i od południa stanęły straże.

- Witaj, panie, twoje przybycie to wielki zaszczyt - rzekł gospodarz. - Czym raczysz się posilić w moim skromnym zajeździe?

- Poproszę cha i trochę klusek z soją.

- Tak, panie.

Niemal natychmiast pojawiła się przed nim piękna miseczka z jedzeniem przygotowanym tak, jak lubił, dzięki pośpiechowi Sudary. Toranaga przysiadł na werandzie i spoglądając na drogę zjadł z apetytem prosty chłopski posiłek. Zebrani goście ukłonili się i rozeszli, dumni, że zatrzymali się w tej samej gospodzie, co wielki daimyō. Sudara objechał posterunki straży.

- Gdzie naganiacze? - spytał łowczego.

- Część na północy, część na południu, a dodatkową grupę wysłałem na wzgórza. - Stary samuraj z żalospną miną wskazał kierunek na Jokohamę, w głąb lądu. - Przepraszam, czy wiadomo, gdzie nasz pan życzy sobie jechać?

- Nic nie wiem. Ale nie popełnij dziś więcej błędów.

- Tak, panie.

Po skończonym objeździe Sudara zameldował się u Toranagi.

- Czy wszystko jest po twojej myśli, panie? Co jeszcze mógłbym dla ciebie zrobić?

- Nic, dziękuję, - Toranaga skończył jeść, popił zupą. Potem beznamiętnie stwierdził: -

Trafiłeś w sedno, mówiąc o następcy.

- Wybacz, panie. Jeżeli cię obraziłem, to nieumyślnie.

- Miałeś rację, więc o co miałbym się obrażać? Co zrobisz, jeżeli następca wystąpi przeciwko mnie?

- Będę wypełniał twoje rozkazy.

- Idź i przyprowadź sekretarza.

Po chwili zjawił się Kawanabi, sekretarz podróżujący wszędzie, z Toranaga, były samuraj i kapłan. Szkatułka, którą Woził w koszu przy siodle, zawierała przybory do pisania i pieczęcie.

- Panie?

- Napisz tak: „Ja, Yoshi Toranaga-no-Minowara, na powrót mianuję syna Yoshi Sudarę-no-Minowarę moim następcą, przywracając mu należne dochody i tytuły”.

Sudara ukłonił się.

- Dziękuję ci, ojcze - powiedział pewnym siebie głosem, ale w duchu zadał sobie pytanie:

„Dlaczego?”

- Przysięgnij uroczyście, że będziesz postępował zgodnie z moimi nakazami, testamentami i zapisami.

Sudara złożył przysięgę. Toranaga zaczekał, aż Kawanabi wypisze rozkaz, podpisał się i przyłożył pieczęć, która nadawała dokumentowi moc prawną. Na kwadratowej podstawie pieczęci z kości słoniowej wyrzeźbione było imię Toranagi. Toranaga przycisnął pieczęć do twardego czerwonego tuszu, a potem u dołu stronicy ryżowego papieru. Odbitka wyszła doskonale, - Dziękuję, Kawanabi-san, postaw wczorajszą datę. Na razie to wszystko.

- Pozwolę sobie zauważyć, że będziesz potrzebował jeszcze pięciu kopii, panie, dla zapewnienia trwałości sukcesji. Dla pana Sudary, dla Rady Regentów, dla notariusza, do akt osobistych i do archiwum.

- Sporządź je bezzwłocznie. I daj mi dodatkową kopię.

- Tak, panie. - Sekretarz oddalił się.

Toranaga zaczął przyglądać się smagłej, beznamietnej twarzy Sudary. Ani ta twarz, ani ręce niczego nie zdradziły, kiedy umyślnie zaskoczył Sudarę nagłym oświadczeniem. Ten brak zadowolenia, wdzięczności, dumy, czy choćby zdziwienia, zasmucił go. Ale właściwie po co się smucić, myślał Toranaga. Mam innych synów, którzy śmieją się, popełniają błędy, krzyczą, złoścą się i mają wiele kobiet. To normalni synowie. A ten ma iść w moje ślady, przewodzić po mojej śmierci, trzymać w garści ród Minowara, przekazać Kantō i władzę kolejnym potomkom. Ma rozważać wszystko na zimno, jak ja. Nie, nie jak ja. Mnie zdarza się pośmiać, zdarza się nad kimś ulitować, lubię sobie pierdnąć, poduszkować, ciskać gromy, tańczyć, grać w szachy i w sztukach nō. Niektórzy ludzie, tacy jak Naga, Kiri, Chano i Anjin-san, radują moje serce. Z przyjemnością poluję, a nade wszystko lubię zwyciężać. A ciebie nic nie cieszy, Sudara, niestety. Nic prócz twojej żony, pani Genjiko. Pani Genjiko to twoja słabość.

- Panie? - odezwał się Sudara.

- Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się śmiałeś.

- Życzysz sobie, żebym się śmiał, ojcze?

Toranaga potrząsnął głową. Wiedział, że przygotował syna, by jak najlepiej wykonał czekające go zadania.

- Ile potrzebujesz czasu, żeby potwierdzić wiadomość o śmierci Jikkyu?

- Przed wyjazdem z obozu wysłałem pilny szyfr do Mishimy na wypadek, gdybyś nie był

pewien, czy to prawda, ojcze. Odpowiedź dostanę w ciągu trzech dni.

Toranaga podziękował bogom, że został uprzedzony o zamachu na Jikkyu przez Kasigi Mizuno, a przed paroma dniami dowiedział się o śmierci wroga. Rozważył od nowa swój plan, ale nie dopatrzył

się żadnych niedociągnięć. Ze zdławionym gardłem podjął decyzję.

- Postaw w pogotowiu pułk jedenasty, szesnasty, dziewięćdziesiąty czwarty i dziewięćdziesiąty piąty w Mishimie. Za cztery dni rzuć je na Tokaidō.

- Szkarłatne Niebo? - spytał zbity z tropu Sudara. - Atakujesz?

- Tak. Nie będę czekał, aż wyruszą przeciwko mnie.

- Więc Jikkyu nie żyje?

- Tak.

- Dobrze rzekł Sudara. - Radziłbym, jeśli pozwolisz, dodać dwudziesty i dwudziesty trzeci.

- Nie. Dziesięć tysięcy żołnierzy działających z zaskoczenia powinno wystarczyć. Muszę jeszcze utrzymać granice na wypadek niepowodzenia lub pułapki. Trzeba też związać wojska Zatakiego.

- Tak.

- Kto powinien poprowadzić wojska do ataku?

- Pan Hiro-matsu. To dla niego wymarzona kampania.

- Dlaczego?

- Bo wiedzie utartym szlakiem, jest prosta i niewymyślna, ojcze. Pan Hiro-matsu będzie wymarzoną dowódcą tej kampanii.

- Ale nie nadaje się już na naczelnego dowódcę?

- Niestety, Yabu-san słusznie powiedział, że broń palna zmieniła oblicze świata. Żelazna Pięść nie nadąża za duchem czasu.

- Jeśli nie on, to kto?

- Tylko ty, panie. Aż do zakończenia wielkiej bitwy nie powinieneś nikomu powierzać dowództwa, taka jest moja rada.

- Rozważę ją - odparł Toranaga. - Jedź do Mishimy. Wszystko przygotuj. Oddziały Hiromatsu będą miały dwadzieścia dni na przebycie rzeki Tenriu i opanowanie gościńca Tokaidō.

- Z całym szacunkiem chciałbym zauważyć, że cel ostateczny powinien znajdować się nieco dalej na

szczytce wzniesienia Shiomi. Daj im trzydzieści dni.

- Nie. Jeżeli wydam taki rozkaz, większość zginie, zanim tam dotrze, i nie będzie komu odeprzeć przeciwnika ani robić na niego wypadów w czasie odwrotu.

- Nie wyślesz za nimi posiłków?

- To atak pozorowany. Główne uderzenie pójdzie przez góry Zatakiego.

Toranaga uważnie przyglądał się synowi. Sudara nie okazał po sobie zdziwienia ani aprobaty, ani dezaprobaty.

- Ach. Przepraszam, panie.

- Kto w miejsce Yabu ma dowodzić muszkietami?

- Kasigi Omi.

- Dlaczego?

- Zna się na nich. Myśli po nowemu, jest odważny, inteligentny, cierpliwy, ale też niebezpieczny, i to bardziej niż wuj. Jeżeli zwyciężysz, a oh przeżyje, radzę ci pod byle pozorem zaprosić go do Wielkiej Pustki.

- Jeżeli zwyciężę?

- Szkarłatne Niebo zawsze było planem ostatecznym. Sam tak mówiłeś wiele razy. Jeżeli zostaniemy rozbici na Tokaidō, Zataki spadnie na równiny. Muszkiety nie zdadzą się wtedy na nic.

To plan ostateczny. Nigdy takich nie lubiłeś.

- Co radzisz zrobić z Anjin-sanem?

- Tak jak Omi-san i Naga-san uważam, że należy trzymać go w ryzach. Jego ludzie nic nie znaczą, to ludzie eta, tylko patrzeć, jak sami się wyrzną. Wszystkich obcych należałoby trzymać pod ścisłą strażą albo w ogóle przegnać. Trzeba ich traktować jak zarazę.

- Ustanie handel jedwabiem. Ne?

- Zapłaciłbym taką cenę, żeby pozbyć się tej zarazy.

- Jedwab jest nam koniecznie potrzebny, a dla własnej obrony musimy jak najlepiej poznać obcych, zdobyć ich wiedzę, ne?

- Powinno się ograniczyć liczbę obcych i trzymać ich pod ścisłym nadzorem w Nagasaki.

Mogliby raz na rok przeprowadzać wymianę handlową. Przecież chodzi im przede wszystkim o

pieniądze. Tak przynajmniej twierdzi Anjin-san.

- A więc jednak jest użyteczny?

- I to bardzo. Przekonał nas o słuszności dekretów o wydaleniu. Anjin-san jest mądry i odważny. Ale jest tylko zabawką. Sprawia ci przyjemność, panie, tak jak Tetsu-ko.

- Dziękuję ci za uwagi. Kiedy ruszy atak, wrócisz do Edo i tam zaczekasz na dalsze rozkazy - rzekł stanowczo Toranaga.

- Tak, panie.

Zataki przetrzymywał panią Genjiko z synem i trzema córkami w swojej stolicy Takato. Na prośbę Toranagi Zataki wypuścił Sudarę, ale tylko na dziesięć dni, pod uroczystą przysięgą. Zataki słynął z bezwzględności i pogardy dla honoru. Gdyby Sudara w porę nie wrócił, wybiłby do nogi zakładników, bo tak przewidywał kodeks honorowy. Toranaga i Sudara dobrze wiedzieli, że nie powstrzymałoby Zatakiego żadne jawne bądź tajne porozumienie.

- Wyruszysz do Mishimy bez chwili zwłoki.

- Najprędzej będzie tamtędy. - Sudara wskazał rozchodzące się przed nimi drogi.

- Tak. Jutro prześlę ci rozkazy dzienne.

Sudara uklonił się, podszedł do konia i odjechał wraz z dwudziestoma strażnikami.

Toranaga wziął miseczkę, w której ostygła resztkę klusek.

- Przepraszam” panie, życzyś sobie jeszcze? - zapytała podbiegając młoda służąca.

Była puciołowata i nieładna, ale spostrzegawcza i bystra, a takie właśnie Toranaga lubił mieć kobiety i służące.

- Nie, dziękuję. Jak ci na imię?

- Yuki, panie.

- Powiedz swojemu panu, Yuki, że robi dobre kluski.

- Tak, panie. Dziękujemy, że raczyłeś odwiedzić naszą gospodę. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, wystarczy jedno skinienie.

Mrugnął do niej, a ona roześmiała się, zabrała tackę i szybko odeszła. Z lekkim zniecierpliwieniem popatrzył na drogę, a potem uważnie rozejrzał się wokół siebie. Gospoda była zadbana, koło studni czyste, wszędzie zamieciono. Na podwórku i dalej, jak okiem sięgnąć, czekali cierpliwie jego ludzie. Toranaga spostrzegł zdenerwowanie łowczego i postanowił, że ten dzień

będzie ostatnim dniem służby starego samuraja. Gdyby Toranaga rzeczywiście był zainteresowany polowaniem, z miejsca wyznaczylby nowego łowczego, a tego odesłał do Edo, wyposażając hojnie na stare lata.

Tym się różnimy, pomyślał bez złośliwości, ja i ty,” Sudara. Ty bez wahania kazałbyś mu popełnić seppuku, żeby oszczędzić wydatku i późniejszych kłopotów, a także zwiększyć fachowość nowego łowczego. Tak, mój synu, znam cię bardzo dobrze. Jesteś dla mnie niezwykle ważny.

A co z panią Genjiko i dziećmi, zadał sobie nieuniknione pytanie. Gdyby pani Genjiko nie była siostrą Ochiby - najukochańszą siostrą - z żalem dopuściłbym do ich wygubienia przez Zatakiego, żeby uchronić Sudarę przed przyszłymi niebezpieczeństwami. Pani Genjiko i dzieci to jedyna słabość Sudary, a ja mogę niebawem zginąć. Na szczęście Genjiko jest siostrą Ochiby, a przez to ważnym elementem Wielkiej Gry, więc mogę ją oszczędzić. Nie powinienem, ale zrobię to. Muszę zaryzykować. Będę pamiętał, że Genjiko jest cenna z innych powodów - rodzi udane dzieci, ma przebiegłość rekina, gotowa jest bronić zajadle gniazda tak jak Ochiba, z tą jedną zasadniczą różnicą, że jest wierna i oddana mnie, a Ochiba następcy.

A więc postanowione. Przed upływem dziesiątego dnia Sudara musi oddać się w ręce Zatakiego. Prosić o przedłużenie? Nie, Zataki nabraliby podejrzeń, a na to nie mogę pozwolić. Po czyjej stronie stanie Zataki?

Mądrze zrobiłem, zabezpieczając Sudarę. Jeżeli jest dla nas przyszłość, to w rękach jego i Genjiko, pod warunkiem, że będą się trzymać testamentu taikō. Decyzja, żeby przywrócić Sudarę do łask, była słuszna i sprawi przyjemność Ochibie.

Napisał już list, który zamierzał wysłać do niej wieczorem wraz z kopią rozkazu. W ten sposób, myślał, wyciągnę jej z gardła ość, którą się dławi od dawna za moją przyczyną. Dobrze wiedzieć, że Genjiko to jedna ze słabości Ochiby, a może nawet jedyna. A jaką ma słabość Genjiko?

Żadnej. Dotąd żadnej nie znalazłem. A jeżeli jakąś ma, to na pewno ją znajdę.

Przyglądał się sokołom. Poskrzekiwały, poprawiały pióra, były w świetnej formie. Samica Kogo, jedyny ptak bez kaptura, strzelała żółtymi ślepiami i rozglądała się dokoła z równym jak on zainteresowaniem.

Co byś powiedziała, moja piękna, zapytał w duchu, gdybym ci wyjawiał, że nie mogę być cierpliwy, muszę rzucić się do ataku, a główne uderzenie pójdzie gościńcem Tokaidō, nie przez góry Zatakiego, jak powiedziałem Sudarze? Spytałabyś pewnie dlaczego? Bo nie ufam Zatakiemu, tak jak ty nie ufasz nikomu, tylko swoim skrzydłom. A ja przecież nie mam nawet skrzydeł. Ne?

Kogo łysnęła oczami, oglądając się na drogę. Wyteżył wzrok i uśmiechnął się widząc, że zza dalekiego zakrętu wyłaniają się palankiny i juczne konie.

- Jak się masz, Fujiko-san?

- Bardzo dobrze, panie, dziękuję. - Ukłoniła się ponownie. Widać było, że nie odczuwa bolesności

po poparzeniach. Odzyskała zręczność ruchów, miała zaróżowione policzki. - Pozwolisz, że spytam, jak się miewa Anjin-san? Podobno bardzo źle zniósł podróż z Osaki.

- Powrócił do zdrowia, ma się bardzo dobrze.

- Och, panie, nie mogłabym usłyszeć lepszej nowiny.

- Świetnie.

Podszedł do drugiego palankinu, żeby powitać Kiku, która uśmiechnęła się wesoło i pozdrowiła go tkliwie.

- Tak długo cię nie widziałam, panie.

- Wybacz, szczerze żałuję - odparł, mimo niepewności i zmartwień zniewolony jej radością i olśniewającą urodą. - Bardzo się cieszę, że cię widzę. - Spojrzał na ostatni palankin. - Ach, Gyoko-san, dawnośmy się nie widzieli rzekł cierpko.

- Tak, panie, dziękuję. Chociaż jestem stara, czuję się jak nowo narodzona, mając zaszczyt znów cię widzieć, panie. - Gyoko złożyła przepisowy ukłon, spod kimona z kosztownego jedwabiu wyrżał szkarłatny rąbek. - Prawdziwy mocarz z ciebie, panie - przymilała się.

- Dziękuję. Ty też dobrze wyglądasz.

Kiku klasnęła w ręce i wszyscy roześmieli się.

- Poczyliem przygotowania, żebyście się tu zatrzymały - rzekł Toranaga uszczęśliwiony obecnością Kiku. - Fujiko-san, chodź ze mną, proszę.

Zaprosił ją na poczęstunek, porozmawiał o tym i owym, wreszcie przeszedł do rzeczy.

- Uzgodniliśmy termin, pół roku. Daruj, muszę już dziś wiedzieć, czy zechcesz go zmienić.

Fujiko posmutniała, zbrzydła. Przytknęła koniuszek języka do spiczastych zębów.

- Jak mogłabym zmienić zawartą umowę, panie?

- Bardzo prosto. Zarządzam jej rozwiązanie.

- Wybacz, panie, nie o tym myślałam - rzekła Fujiko bez wzburzenia. - Z własnej woli zawarłam przed Buddą uroczystą umowę z duchem męża i syna. Nie mogę od niej odstąpić.

- Rozkazuję ci.

- Daruj, panie, bushido zwalnia mnie z obowiązku posłuszeństwa względem ciebie. Umowa z tobą była równie uroczysta i żeby ją zmienić konieczna jest dobrowolna zgoda obydwu stron.

- Czy jest ci dobrze z Anjin-sanem?

- Jestem jego konkubina. Staram się, żeby jemu było dobrze ze mną.

- Czy mogłabyś żyć z nim dalej, gdyby nie było tej drugiej umowy?

- Bardzo trudno jest z nim żyć, panie. Trzeba odrzucić albo omijać prawie wszystkie uprzejmości, zwyczajowe formy, dzięki którym życie staje się znośne, bezpieczne, wygodne, dlatego jego dom nie jest dla mnie bezpieczny, nie ma wa, harmonii. O ileż trudniej wytłumaczyć to służącym, skoro ja sama tego nie rozumiem. . ale mogłabym nadal prowadzić jego dom.

- Proszę, żebyś odstąpiła od umowy.

- Jestem winna posłuszeństwo tobie, panie, ale swojemu mężowi również.

- Umyśliłem sobie, Fujiko-san, że Anjin-san ożeni się z tobą. Nie byłabyś już konkubina.

- Samuraj nie może służyć dwóm panom, a żona dwóm mężom. Mam obowiązek wobec zmarłego męża. Wybacz, nie mogę tego zmienić.

- Cierpliwością można zmienić wszystko. Anjin-san pozna lepiej nasze zwyczaje i wtedy jego dom będzie miał wa. Aż trudno uwierzyć, ile się nauczył, odkąd. .

- Nie zrozum mnie źle, panie, Anjin-san jest wyjątkowym, niezwykłym człowiekiem, najlepszym, jakiego znam. Obdarzył mnie wielkim zaszczytem i wiem, że jego dom stanie się wkrótce prawdziwym domem, ale. . wybacz, panie, muszę spełnić moją powinność. To, co przyrzekłam mężowi, jedynemu mężowi. . - Z trudem opanowała się. - Tak musi być, ne? Tak musi być, panie bo inaczej. . cały wstyd, cierpienie i poniżenie tracą sens, ne? Jego śmierć, śmierć mojego dziecka, miecze połamane i zakopane w wiosce eta. . Bez wypełniania obowiązków bushido byłoby śmiechu warte.

- Musisz odpowiedzieć na jedno pytanie, Fujiko-san. Czy obowiązek spełnienia prośby pana lennego i powinność wobec zdumiewająco dzielnego człowieka, który staje się jednym z nas i jest twoim panem, a także wobec jego nie narodzonego dziecka - dodał, gdyż takiej przyczyny dopatrywał

się w zdrowo zarumienionej twarzy - czy to wszystko nie przeważa tamtego zobowiązania?

- Nie noszę w łonie jego dziecka, panie.

- Jesteś tego pewna?; - Nie, nie jestem.

Toranaga patrzył i czekał. Cierpliwie. Miał jeszcze wiele do zrobienia, a poza tym nie mógł się doczekać przyjemności polowania. Ważniejsza jednak była Fujiko. Dziś obiecał sobie udawać, że zwyciężył, ma czas, może być cierpliwy i spokojnie dopilnować wszystkiego, co do niego należało.

- Więc?

- Przepraszam, panie, odpowiem nie.

- Niech więc tak będzie, Fujiko-san. Wybacz, że pytałem, to było konieczne. - Toranaga nie był ani zły, ani zadowolony. Fujiko szła za głosem honoru, nie spodziewał się niczego innego przed pół rokiem, kiedy zawierał z nią umowę. To czyni z nas wyjątkowy naród na ziemi, pomyślał z satysfakcją. Układy ze śmiercią to układy święte. Ukłonił się z szacunkiem. Twoje poczucie honoru i lojalność wobec męża przynoszą ci zaszczyt, Usagi Fujiko - rzekł wymieniając nazwisko, które poszło w niepamięć.

- Dziękuję ci, panie. - powiedziała płacząc ze szczęścia, gdyż te proste słowa zdejmowały piętno z męża, jedyne, jakiego miała w tym życiu.

- Wysłuchaj mnie teraz, Fujiko. Cokolwiek stanie się ze mną, przed ostatnim dniem wyruszysz do Edo. W czasie tej podróży możesz zginąć, ale tak, żeby to wyglądało na wypadek. Ne?

- Tak, tak, panie.

- To będzie nasza tajemnica. Nikt inny się nie dowie.

- Tak, panie.

- Do tego czasu będziesz prowadziła jego dom:

- Tak, panie.

- A teraz powiedz Gyoko, żeby tu przyszła. Poślę po ciebie przed odjazdem. Zostało nam jeszcze do omówienia kilka spraw.

- Tak, panie. - Fujiko ukloniła się nisko. - Jestem ci wdzięczna za uwolnienie mnie od życia. -

Odeszła.

Dziwne, myślał Toranaga, jak kobieta potrafi się zmieniać. Raz jest brzydka, to znów ładna, a chwilami nawet piękna, choć to tylko złudzenie.

- Posłałeś po mnie, panie?

- Tak, Gyoko-san. Jakie przynosisz wieści?

- Najrozmaitsze, panie - odparła Gyoko. Twarz miała starannie umalowaną i nie okazywała strachu, chociaż wszystko się w niej kotłowało. Wiedziała, że do tego spotkania doszło nieprzypadkowo, a instynkt ostrzegał przed Toranagą. - Prace nad utworzeniem cechu kurtyzan postępują zadowolająco. Niebawem zostanie ci przedstawiony do zatwierdzenia regulamin. Piękna okolica na północ od miasta byłaby. .

- Wybrałem już miejsce, bliżej wybrzeża. Yoshiwarę.

Pochwaliła wybór, jęcząc w duchu. Yoshiwara - Szuwary - to były bagna, które należało osuszyć, żeby nadały się do zabudowy.

- Wyśmienicie, panie. Przygotowany jest również regulamin dla gejsz, do twojej akceptacji.
- Dobrze. Przepisy mają być krótkie i rzeczowe. Jakim hasłem oznaczysz bramę do Yoshiwary?
- Żądza nie trwa wiecznie, trzeba coś z nią zrobić.

Roześmiał się. Gyoko uśmiechnęła się, zachowując jednak czujność.

- Pozwól, panie, że podziękuję ci w imieniu przyszłych pokoleń - dodała z powagą.
- Zgodziłem się nie ze względu na ciebie ani przyszłe pokolenia - odparł Toranaga i przytoczył fragment swojego komentarza do testamentu taikō. - „Wielcy mężowie od wieków potępiali domy nierządu i frywolne przybytki, jednakże mężczyźni nie są cnotliwi i władca zakazujący poduszkowania w takich domach jest głupcem, gdyż zakaz taki sprowadza jeszcze większe zło”.

- Jakiś ty mądry, panie.

- Zebranie w jednym miejscu frywolnych przybytków pozwala nie tylko mieć na oku wszystkich niecnotliwych, ale również ich opodatkować. Słusznie mówisz, Gyoko-san: „Żądza nie trwa wiecznie”. Szybko się psuje, jak żywność. Co więcej?

- Kiku-san powróciła całkowicie, do zdrowia, panie.

- Tak, widziałem. Jest zachwycająca! Trudno wytrzymać letnie upały w Edo, przepraszam. Na pewno jest zdrowa?

- Ależ tak, panie, tylko bardzo za tobą tęskniła. Czy będziemy ci towarzyszyć do Mishimy?

- Jakie jeszcze plotki doszły do twoich uszu?

- Tylko to, że Ishido wyjechał z zamku, w Osace. Rada Regentów wyjęła cię spod prawa, panie, co za bezczelność.

- Którędy zamierzają atakować?

- Nie wiem, panie - odparła ostrożnie Gyoko. - Przypuszczam, że natarcie będzie dwukierunkowe. Po śmierci ojca, pana Jikkyu, Ikawa Hikoju ruszy Tokaidō, a pan Zataki, który lekkomyślnie sprzymierzył się z panem Ishido, wyruszy z Shinano drogą Koshu-kaidō. Pod osłoną gór jesteś, panie, bezpieczny. Na pewno dożyjesz sędziwego wieku. Za twoim pozwoleniem przeniosę swoje interesy do Edo.

- Proszę bardzo. A przedtem postaraj się dowiedzieć, którądy pójdzie główne uderzenie.

- Postaram się, panie. Okropne czasy, panie, kiedy brat występuje przeciw bratu, syn przeciw ojcu.

Toranaga spuścił powieki i odnotował w pamięci, że trzeba czujniej pilnować Noboru, najstarszego syna, który winien był wierność taikō.

- Tak, okropne czasy - rzekł. - Czasy wielkich przemian. I złych, i dobrych. Na przykład ty i twój syn jesteście teraz bogaci. Twój syn zarządza, zdaje się, wytwórnią sake w Odawarze?

- Tak, panie. Gyoko poszarzała pod warstwą szminki.

- Wytwórnia przynosi duże zyski, me?

- Jest najlepszym zarządcą w Odawarze, panie.

- Tak słyszałem. Mam dla niego pracę. Anjin-san będzie budował nowy statek. Ja dostarczę materiałów i rzemieślników, dlatego chcę, żeby przypilnował tego ktoś doświadczony i odpowiedzialny.

Gyoko poczuła taką ulgę, że omal nie zemdląca. Myślała, że Toranaga zechce ich zlikwidować przed wyruszeniem na wojnę albo obłożyć druzgocącymi podatkami, ponieważ dowiedział się o jej kłamstwie na temat Anjin-sana i pani Tody albo o poronieniu Kiku, o którym powiadomiła go ze łzami w oczach miesiąc temu, a które zostało wywołane przy jej pomocy i za jej namową.

- Oh ko, panie, kiedy mój syn ma przyjechać do Jokohamy? Dopilnuje, żeby to był taki tani statek, jakiego jeszcze nie było.

- Nie chcę, żeby był tani. Chcę, żeby był najlepszy, a koszty zmieściły się w rozsądnych granicach. Twój syn będzie odpowiadał przed Anjin-sanem.

- Przrzekam, panie, na moją przyszłość i związane z nią nadzieje, że stanie się wedle twego życzenia.

- Jeżeli statek powstanie dokładnie według wskazań Anjin-sana i budowa nie potrwa dłużej niż sześć miesięcy; uczynię twego syna samurajem.

Gyoko ukloniła się, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Wybacz mnie głupiej, panie - rzekła po chwili. - Dziękuję, dziękuję.

- Ma się nauczyć od Anjin-sana budowania statków, żeby potem samemu uczyć innych. Ne?

- Tak się stanie.

- Wracając do Kiku-san. Ze swoimi talentami zasługuje na lepszy los.

- Sprzedasz jej kontrakt, panie? - spytała Gyoko, znów pełna najgorszych przeczuć.

- Nie powinna zostać na powrót kurtyzana ani jedną z twoich gejsz. Powinna żyć w domu, gdzie będzie tylko parę dam.

- Ależ, panie, gdzie będzie jej lepiej?

Wymienili uprzejmości, po czym Toranaga rzekł:

- Szczerze mówiąc, Gyoko-san, zbyt ją polubiłem, a nie mogę sobie pozwolić, żeby ktokolwiek zaprzętał moje myśli. Jest za ładna, jest klejnotem nie dla mnie. . Przepraszam, to musi pozostać między nami.

- Oczywiście, panie, skoro tak mówisz - zapewniła Gyoko, łamiąc sobie głowę nad rzeczywistym powodem. - Gdyby to był ktoś, kto wzbudziłby podziw i uwielbienie Kiku, mogłabym spokojnie umrzeć.

- Ale nie wcześniej niż za sześć miesięcy, kiedy zobaczysz statek Anjin-sana pod pełnymi żaglami.

- Tak. . o tak. - Gyoko powachlowała się, bo słońce tak przygrzewało, że nie było czym oddychać. Nie mogła odgadnąć, dlaczego Toranaga jest taki hojny, ale spodziewała się, że cena będzie bardzo, bardzo wysoka. - Kiku-san będzie niepokieszona, opuszczając twój dom, panie.

- Naturalnie. Myślę, że powinna otrzymać wynagrodzenie za wierność i posłuszeństwo. Zostaw to mnie i na razie o niczym jej nie wspominaj.

- Tak, panie. Kiedy mój syn ma przyjechać do Jokohamy?

- Powiadomię cię o tym przed odjazdem.

Gyoko ukloniła się i podreptała. Toranaga poszedł popływać. Niebo na północy pociemniało jak przy ulewie. Kiedy zobaczył jeźdźców zbliżających się od strony Jokohamy, wrócił do gospody.

Orni zsiadł z konia i odwinął ściętą głowę.

- Pan Kasigi Yabu spełnił twój rozkaz, panie.

Umyta i uczesana głowa tkwiła na podstawce przeznaczonej specjalnie do - tego celu.

Toranaga przyjrzał się wrogowi, jak to robił tysiące razy w życiu. I jak zwykle zastanawiał

się, czy - po śmierci na jego twarzy, oglądanej przez zwycięzcę, znać będzie strach, ból, gniew czy przerażenie. A może dostojeństwo? Twarz Yabu zastygła w wyrazie wściekłości, wargi były ściągnięte w mściwym grymasie.

- Jak umarł? - spytał.

- Najlepszą śmiercią, jaką widziałem, panie. Pan Hiro-matsu powiedział to samo. Dwa cięcia, trzecie pod gardło. Bez pomocy i bez krzyku. Oto jego testament.

- Ściąłeś głowę za jednym zamachem?

- Tak, panie. Poprosiłem Anjin-sana, żeby pozwolił mi wziąć miecz pana Yabu.

- Yoshitomo? Ten, który dałem Yabu? Dał go Anjin-sanowi?

- Tak, panie. Rozmawiał z nim przez Tsukku-sana. Powiedział tak: „Anjin-san, daję ci ten miecz na pamiątkę twojego przybycia do Anjiro i w podzięce za przyjemność, której zaznałem dzięki tamtemu małemu barbarzyńcy”. Anjin-san wzdragał się, ale Yabu nalegał i dodał: „Żaden z tych gównojadów nie zasługuje na taką klingę”. W końcu Anjin-san przyjął miecz. Dziwne, pomyślał

Toranaga. Spodziewałem się, że da go Omiemu.

- Jakie wydał polecenia? - spytał.

Otóż to, myślał słuchając odpowiedzi. Gdyby nie zostały zapisane w testamencie, który Yabu w obecności innych samurajów wręczył oficjalnemu świadkowi, Buntaro, Orni nie powtórzyłby wszystkich zaleceń a może nawet kilka by zmyślił. Yabu dobrze zrobił, pomyślał Toranaga i przyrzekł sobie nigdy nie zapominać, że papier i tusz dosięgają zza grobu.

- Żeby uczcić odważną śmierć twojego wuja, powinienem uszanować jego ostatnie życzenia.

Wszystkie bez wyjątku i bez zmian, ne? - rzekł Toranaga wypróbując Omiego.

- Tak, panie.

- Yuki!

- Tak, panie - odezwała się służąca.

- Przynieś cha, proszę.

Kiedy służąca pobiegła, Toranaga rozważył raz jeszcze ostatnie życzenia Yabu. Były uzasadnione i przemyślane. Głupiec Mizuno stał na drodze Omiego. Matka także, nieznośna stara wiedźma.

- A zatem, z twoją zgodą, zatwierdzam je wszystkie. Chcę też zatwierdzić przedśmiertne życzenia ojca, zanim zostaną spełnione. W nagrodę za wierność i oddanie mianuję cię dowódcą pułku muszkietów.

- Dziękuję, panie, nie zasługuję na takie wyróżnienie - rzekł uszczęśliwiony Omi.

- Twoim zastępcą będzie Naga. Dalej: wyznaczam cię na głowę rodu Kasigi, a twoje nowe lenno obejmuje przygraniczne ziemie Izu, od Atami na wschodzie do Nimazu na zachodzie, razem ze stolicą Mishimą, z rocznym dochodem trzydzieści tysięcy koku.

- Nie wiem, jak ci dziękować, panie. Nie jestem godzien takich zaszczytów.

- Więc postaraj się być godzien, Omi-san - rzekł dobrodusznie Toranaga. - Obejmij w posiadanie zamek w Mishimie. Już dziś wyjedziesz z Jokohamy, a w Mishimie zgłosisz się do pana Sudary. Pułk muszkietów za cztery dni dotrze do Hakone. Dalej: tylko do twojej wiadomości, w zaufaniu powiem, że wysyłam Anjin-sana z powrotem do Anjiro. Zbuduje tam nowy statek.

Przekażesz mu swoje obecne lenno. Bezzwłocznie.

- Tak, panie. Czy mogę dać mu swój dom?

- Możesz - odparł Toranaga, chociaż lenno obejmowało wszystko: nieruchomości, domy, chłopów, rybaków, łodzie.

Obejrzeni się, słysząc perlisty śmiech. Na podwórku nie opodal Kiku bawiła się w przrzucanie wachlarza ze służącą Suisen, której kontrakt Toranaga wykupił, żeby pocieszyć Kiku po przykrościach poronienia.

Zachwyt Omiego, choć starał się go ukryć, widoczny był jak na dłoni i tym większy, że zupełnie się nie spodziewał zobaczyć ją tutaj. Spojrzała w ich stronę. Śliczny uśmiech rozjaśnił jej twarz, pomachała wesoło i wróciła do zabawy.

- Ładna, ne? - rzekł Toranaga.

- Tak - odparł Orni zakłopotany.

Toranaga wykupił jej kontrakt z myślą, że odsunie od niej Omiego, ponieważ była jego słabością i mogła stać się pożądaną nagrodą czekającą, aż Omi dowiedzie, po czyjej jest stronie.

Okazało się, że pomógł w usunięciu Yabu i nieraz dowiódł lojalności. To właśnie Orni podsunął myśl, żeby przesłuchać służących. Dobre pomysły Yabu też zresztą pochodziły od Omiego. Miesiąc temu Orni wykrył szczegóły spisku Yabu z udziałem kilku oficerów pułku muszkietów, którzy mieli zamordować na polu walki Nagę i innych Brązowych oficerów.

- Nie mylisz się, Omi-san? - spytał Toranaga, kiedy Orni doniósł mu o tym w Mishimie. Cekał wtedy na wynik misji Mariko.

- Nie, panie. Kiwami Matano z trzeciego pułku Izu czeka na posłuchanie.

Oficer z Izu, niemłody, mocno zbudowany, przedstawił tajny plan, podał hasła i udzielił wyczerpujących objaśnień.

- Nie mógłbym dłużej żyć z tą hańbiącą tajemnicą, panie. Jesteś naszym panem lennym. Gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że plan był ułożony „na wypadek konieczności”. To znaczy, jak przypuszczam, gdyby Yabu-sama postanowił w czasie bitwy przejść na drugą stronę. Nie gniewaj się, panie, miałeś być głównym celem napaści, potem Naga-san i pan Sudara

- Kiedy powstał ten plan i kto o nim wie?
- Wkrótce po utworzeniu pułku. Wie o nim pięćdziesięciu czterech z nas, nazwiska dałem na piśmie wielmożnemu Omiemu. Kasigi Yabu-
- sama osobiście zatwierdził plan, znany pod nazwą „Śliwa”, przed wyjazdem do Osaki.
- Dziękuję. Należy ci się pochwała za lojalność. Zachowaj tę tajemnicę, aż dam ci znać. Potem dostaniesz lenno warte pięć tysięcy koku.
- Daruj, panie, na nic nie zasługuję. Błagam o pozwolenie na seppuku za to, że tak długo zachowałem tę hańbę w tajemnicy.
- Nie udzielam pozwolenia. Będzie, jak powiedziałem.
- Wybacz, panie, nie zasługuję na taką nagrodę. Pozwól mi przynajmniej pozostać z tym, co mam. Spełnienie obowiązku nie wymaga nagrody. Powinienem raczej zostać ukarany.
- Jakie masz dochody?
- Cztery tysiące koku, panie. Dostatecznie dużo.'
- Zastanowię się nad tym, co powiedziałaś, Kiwami-san. Po wyjściu oficera Toranaga spytał:
- Co mu obiecałaś, Omi-san?
- Nic, panie. Przyszedł do mnie wczoraj z własnej woli.
- Chcesz powiedzieć, że jest uczciwy?
- Nie wiem, panie. Przyszedł do mnie wczoraj, więc czym prędzej przybiegłem tutaj.
- Zatem nagrodzę go. Lojalność jest najważniejsza, ne?
- Tak, panie.
- Nikomu o tym ani słowa.

Po odejściu Omiego Toranaga zadał sobie pytanie, czy Mizuno i Omi nie zmyślili spisku, żeby zniesławić Yabu. Wysłani przez niego szpiegzy potwierdzili jednak prawdziwość spisku. Pożar statku dostarczył znakomitego pretekstu do usunięcia pięćdziesięciu trzech zdrajców, którzy zostali włączeni wyznaczonego wieczoru do straży z Izu. Kiwami Matano trafił na daleką północ, gdzie otrzymał nieduże lenno.

- Ten Kiwami jest chyba najbardziej niebezpieczny - powiedział Sudara, jedyny wtajemniczony w sprawę spisku.

- Tak. Nigdy nie zostanie obdarzony zaufaniem. Ale pamiętać trzeba, że w złych ludziach tkwi dobro, a w dobrych znajdzie się zło. Trzeba pozbywać się zła nie tracąc tego, co dobre.

Pod moimi rządami niczego nie spisuje się lekkomyślnie na straty.

Tak, Omi, myślał teraz Toranaga z wielką satysfakcją, rzeczywiście zasługujesz na nagrodę.

- Służyłeś mi wiernie, Omi-san. Za kilka dni rozpocznie się walka. Kiedy zwyciężę na polu ostatniej bitwy, mianuję cię władcą Izu i przywrócę twojej linii Kasigich dziedziczny tytuł daimyō.

- Daruj, panie, nie zasługuję na taki zaszczyt.

- Jesteś młody, ale nad wiek dojrzały, wiele sobie po tobie obiecuję. Przypominasz swojego dziadka, który był mądry, ale brakowało mu cierpliwości.

Wesoły śmiech znów przyciągnął uwagę Toranagi. Patrząc na Kiku, zastanawiał się od nowa, co z nią począć.

- Czy wolno spytać, panie, co rozumiesz przez cierpliwość? - rzekł Orni wyczuwając, że należało zadać to pytanie.

Toranaga z lubością przyglądał się rozbawionej dziewczynie.

- Być cierpliwym znaczy panować nad sobą. Jest siedem uczuć, ne? Radość, gniew, niepokój, zachwyty, smutek, strach i nienawiść. Jeżeli człowiek nie ulega żadnemu z nich, jest cierpliwym. Nie jestem tak silny, jak mógłbym być, ale jestem cierpliwym. Rozumiesz?

- Rozumiem cię, panie.

- Cierpliwość to niezbędna cecha przywódcy.

- Tak. -

- Weźmy na przykład tę damę. Rozprasza mnie, jest doskonale piękna. Nie dla prostego żołnierza takie cacko. Uznałem, że będzie jej lepiej gdzie indziej.

- Ależ, panie, nawet jako pomniejsza z twoich dam. .

Orni wypowiedział obowiązkowy grzecznościowy zwrot - obaj Wiedzieli, że nieszczerze -

modląc się żarliwie ze świadomością, iż nigdy nie wypowie swojej prośby na głos.

- Owszem - rzekł Toranaga. - Ale wielki talent zasługuje na poświęcenie. - Wciąż patrzył, jak roześmiana Kiku przerzuca się wachlarzami ze służącą. Przechodzące konie zasłoniły widok. Bardzo mi przykro, Kiku-san, pomyślał, muszę cię oddać innemu, odsunąć szybko od siebie. Zanadto przywiązałem się do ciebie, taka jest prawda, choć Gyoko nie chciała w nią uwierzyć, podobnie jak nie uwierzy Omi ani nawet ty sama. - Kiku-san zasługuje na dom, który mogłaby nazwać swoim. I na

męża.

- Lepiej, żeby była konkubina najskromniejszego samuraja niż żoną bogatego chłopca albo kupca.

- Jestem innego zdania.

Te słowa zamknęły sprawę. Karma, pomyślał Orni rozżalony. Głupcze, skarcił się w duchu, po co się smucisz. Twój pan podjął decyzję, od której nie ma odwołania. Midori jest idealną żoną.

Matka zostanie mniszką i w twoim domu zapanuje harmonia.

Jednego dnia tyle smutku i tyle szczęścia. Zostanę daimyō Izu, dowódcą pułku, Anjin-san zbuduje pierwszy statek w Anjiro, a więc w moim lennie Izu. Muszę przegnać smutek. Życie jest samym smutkiem. Kiku-san ma swoją karmę, ja swoją, Toranaga swoją, a na przykładzie pana Yabu widać, jaką głupotą jest martwić się o cokolwiek.

Omi spojrzał na Toranagę czując, że rozjaśniło mu się w głowie, wszystko poukładało się na swoim miejscu.

- Proszę o wybaczenie, panie, zmąciły mi się myśli.

- Jeśli chcesz, możesz się z nią pożegnać.

- Dziękuję, panie. - Omi zawinął głowę Yabu. - Życzysz sobie, żebym ją zakopał, czy ma być wystawiona na pokaz.

- Nadziej ją na włócznię, twarzą do wraku.

- Tak, panie.

- Jaki ułożył wiersz przed śmiercią? Omi odpowiedział:

Czymże są chmury

Jeśli nie wytłumaczeniem nieba?

Czymże jest życie

Jeśli nie ucieczką przed śmiercią?

- Ciekawe - rzekł Toranaga z uśmiechem.

Omi uklonił się, oddał zawiniętą głowę jednemu ze swoich ludzi i przeszedł między końmi i samurajami na podwórko, gdzie bawiła się Kiku.

- O pani, jakże się cieszę, widząc ciebie zdrową i szczęśliwą - rzekł z kurtuazyjną uprzejmością.

- Jestem z moim panem, Omi-san, który jest silny i zadowolony. Trudno, żebym nie była szczęśliwa.

- Sayonara, pani.

= Sayonara, Omi-sama. - Ukłoniła się, przeczuwając ostateczną rozłąkę, z której dotąd nie zdawała sobie sprawy. Otarła łzę i jeszcze raz ukłoniła się.

Patrząc, jak Omi odchodzi szybkim, zdecydowanym krokiem, miała ochotę rozpłakać się, bo serce jej pękało, ale zaraz, tak jak zawsze, przypomniały jej się wielokrotnie słyszane słowa, słowa dobre i mądre: „Czemu płaczesz, dziecko? My ze Świata Wierzb żyjemy chwilą, oddajemy się bez reszty przyjemnościom, jakie dają kwiaty wiśni, śnieg, liście klonu, cykanie świerszczy, uroda księżycy, zmieniającego swoją postać i odradzającego się wciąż na nowo, pieśni, cha i sake, pachnidła i jedwabie, pieszczoty, uleganie prądowi życia. Posłuchaj, dziecko: nie bądź smutna, bądź

jak lilia unoszona przez prąd strumienia. Jakaś ty szczęśliwa, Kiku-chan, jesteś księżniczką Ukiyo, Płynącego Świata, bądź uległa, żyj chwilą. .”

Kiku otarła drugą łzę, ostatnią. Niemądra dziewczyno, nie płacz, dość! - nakazywała sobie w duchu. Spotkało cię niewiarygodne szczęście! Jesteś konkubina największego daimyō, co prawda mało ważną, nieoficjalną konkubina, ale co to szkodzi, twoi synowie będą samurajami. Czyż to nie najwspanialsza rzecz na świecie? Czyż wróżbita nie przepowiedział losu tak dobrego, że aż trudno uwierzyć? A przecież wróżby spełniły się, ne? Jeśli chcesz płakać, to jest ważniejszy powód.

Kiełkujące nasienie, które cha o dziwnym smaku wypłukała z twego łona. Ale czemu nad tym płakać?

To był dopiero kiełek, nie dziecko, a kto tak naprawdę był ojcem?

- Nie wiem, nie wiem tego na pewno, Gyoko-san, przepraszam, wydaje mi się, że mój pan -

odpowiedziała na pytanie Gyoko, bardzo pragnąc mieć jego dziecko, żeby zapewnić sobie synów samurajów.

- A jeżeli będzie miało niebieskie oczy i jasną cerę? To możliwe, ne? Policz dni.

- Liczyłam i liczyłam, och, jak liczyłam!

- Więc bądź ze sobą szczerą. Bardzo mi przykro, ale od ciebie zależy również moja przyszłość. Przed tobą wiele płodnych lat. Masz dopiero osiemnaście wiosen, ne? Lepiej mieć pewność, moje dziecko, ne?

Jakaś ty mądra, Gyoko-san, pomyślała, a mnie jakby ktoś odebrał rozum. To był tylko kiełek, a my, Japończycy, uważamy rozsądnie, że dopiero trzydzieści dni po urodzeniu dusza wiąże się z ciałem i karma staje się nieodwołalna. Tyle szczęścia mnie spotkało, chcę mieć syna, jednego drugiego, chcę mieć synów i ani jednej dziewczynki. Biedne dziewczynki! O bogowie, otaczajcie opieką wróżbitę, dziękuję wam, dziękuję za moją karmę, za łaskawość wielkiego daimyō, za to, że moi synowie będą samurajami, i sprawcie, proszę, żebym była godna tych wspaniałości. .

- Co się stało, pani? - spytała Suisen zdumiona radością bijącą z twarzy Kiku.

Kiku westchnęła z ukontentowaniem.

- Myślałam o wróżbicie, o moim panu, mojej karmie, oddałam się marzeniom. .

Oslaniając się czerwoną parasolką, podeszła bliżej Toranagi ledwie, widocznego zza koni, samurajów i sokolników. Siedział na werandzie popijając cha, kłaniała mu się znów Fujiko. Wkrótce przyjdzie kolej na mnie, pomyślała Kiku. Może dziś zakiełkuje nowe nasienie. Oby tak się stało..

Zadowolona i szczęśliwa powróciła do zabawy.

Za bramą Omi dosiadł konia i ruszył z kopyta, czując jak coraz szybszy pęd orzeźwia go i oczyszcza, wdychając przyjemnie drażniący zapach końskiego potu. Nie potrzebował oglądać się za siebie. Zostawiał u stóp Kiku całą namiętność swojego życia, całe uwielbienie. Ogarnęła go pewność, że nigdy więcej nie przeżyje namiętności, jednoczącej dwie dusze ekstazy. Ale przeświadczenie to nie było przykre. Przeciwnie, błogosławił Toranagę za uwolnienie go z krępujących pęt. Nie jestem od nikogo uzależniony, myślał chłodno i rzeczowo jak nigdy przedtem. Ani od ojca, ani od matki, ani od Kiku. Teraz ja też mogę być cierpliwy. Mam dwadzieścia jeden lat, tylko patrzeć, jak zostanę daimyō Izu, świat stoi przede mną otworem.

- Tak, panie? - spytała Fujiko.

- Pojedziesz prosto do Anjiro. Zamiast Jokohamy wyznaczyłem Anjin-sanowi lenno wokół

Anjiro. Ziemie w promieniu dwudziestu ri od wioski i cztery tysiące koku rocznie. Przejmiesz dom Omi-sana.

- Pozwolisz, panie, że podziękuję w jego imieniu. Czy mam rozumieć, że jeszcze o tym nie wie?

- Tak. Powiadomię go dzisiaj. Kazałem mu wybudować nowy statek, Fujiko-san. Anjiro o wiele lepiej nadaje się do tego celu niż Jokohama. Ustaliłem z Gyoko, że jej najstarszy syn będzie zarządcą budowy odpowiedzialnym przed Anjin-sanem, a materiały i rzemieślników opłaci się z mojej kiesy. Musisz mu pomóc to wszystko zorganizować.

- Oh ko, panie - powiedziała zatroskana. - Zostało mi bardzo mało czasu u boku Anjin-sana.

- Tak. Muszę mu znaleźć inną konkubinę. Albo żonę. Ne? Fujiko zmrużyła oczy.

- Jak mogłabym w tym pomóc, panie? - spytała.

- Kogo proponujesz? Chcę, żeby Anjin-san był zadowolony. Zadowoleni ludzie lepiej pracują, ne?

- Tak. - Fujiko zaczęła myśleć: Kogo dałoby się porównać z Mariko-samą? Uśmiechnęła się. -

Panie, obecna żona Omi-sana, Midori-san, byłaby najlepsza. Teściowa jej nie znosi, jak wiesz, i chce, żeby Omi rozwiódł się. Przepraszam, była zdumiewająco nietaktowna i powiedziała to przy mnie.

Midori-san jest urocza i bardzo inteligentna.

- Myślisz, że Omi chce się rozwieść? - To była nowa myśl.

- O nie, panie, na pewno nie. Jaki mężczyzna pragnie być posłuszny matce? Ale takie jest nasze prawo, więc powinien był rozwieść się z nią od razu, kiedy powiedzieli o tym rodzice, ne?

Wprawdzie jego matka ma przykry charakter, ale z pewnością wie, co jest dla niego najlepsze.

Przepraszam, muszę trzymać się prawdy, bo sprawa jest wielkiej wagi. Nikogo nie chcę urazić, panie, ale posłuszeństwo względem rodziców to podpora naszego prawa.

- Masz słuszość - rzekł Toranaga, rozważając pomysł, który spadł jak z nieba. - Czy Anjin-san przychyliłby się do wyboru Midori-san na żonę?

- Nie, panie, gdybyś rozkazał mu zawrzeć małżeństwo.. ale pozwolę sobie zauważyć, że nie trzeba mu rozkazywać.

- Tak?

- Może udałoby się tak urządzić, żeby sam o tym pomyślał. To byłoby najlepsze wyjście. Omi-sanowi, oczywiście, wystarczy rozkazać.

- Oczywiście. Pochwaliłabyś wybór Midori-san?

- O tak. Ma siedemnaście lat, zdrowego syna, pochodzi ze świetnego rodu, więc dałaby Anjin-sanowi udanych synów. Gdyby rodzice Omiego nie nalegali, żeby Midori oddała mu syna, wówczas Anjin-san mógłby go adoptować. Wiem, że mój pan ją lubi. Mariko-sama żartowała z nim na ten temat. Midori-san jest dobrze urodzona, rozważna i mądra, z pewnością byłby przy niej bezpieczny.

Jej rodzice nie żyją, więc nie będą mieli za złe, że wyszła za mąż za jednego z . . za Anjin-sana.

Toranaga zastanowił się. Muszę zakłócić równowagę Omiego, to pewne. Ten młodzik łatwo mógłby zepsuć mi szyki. Nie będę musiał nic robić, żeby rozwieść Midori. Ojciec Omiego wyrazi nieodwołalne ostatnie życzenie przed popełnieniem seppuku, a jego żona nie pozwoli mu odejść z tego świata, dopóki nie ożeni syna jak należy. Więc tak czy owak za kilka dni Midori dostanie rozwód. Tak, byłaby bardzo dobrą żoną.

- Jeżeli nie ona, Fujiko-san, to co powiesz o Kiku? Kiku-san?

- Przepraszam, panie, rozstaniesz się z nią? - zdumiała się Fujiko.

- Możliwe. Więc?

- Uważam, że byłaby z niej doskonała nieoficjalna konkubina. Jest zachwycająca i utalentowana. Zwykłemu człowiekowi, trzeba przyznać, zawróciłaby w głowie, a miną lata, zanim Anjin-san nauczy się doceniać jej rzadki kunszt w tańcu, śpiewie i rozmowie. A jako żona? -

powiedziała z naciskiem wyrażającym całkowitą dezaprobatę. - Dziewczęta ze Świata Wierzb nie są uczone i ćwiczone w tym, co.. co pozostałe. Rozwijają inne zdolności, panie. Nie takie, jakich potrzeba, by prowadzić dom samuraja i odpowiadać za sprawy finansowe.

- Czy mogłaby się tego nauczyć?

- Najlepiej byłoby - odparła Fujiko po dłuższym namyśle - żeby Anjin-san miał za żonę Midori-san, a Kiku-san za konkubinę.

- Czy nauczyłyby się żyć z jego, hm, odmiennymi poglądami i zwyczajami?

- Midori-san jest samurajką, panie. To byłby jej obowiązek. Rozkazałbyś jej. Kiku-san również.

- Ale Anjin-sanowi nie?

- Znasz go lepiej ode mnie, panie. O poduszkowaniu i. . lepiej niech sam decyduje.

- Toda Mariko-sama byłaby dla niego idealną żoną? Ne?

- Zdumiewająca myśl, panie - odparła Fujiko bez zmruczenia oka. - Nie ulega wątpliwości, że bardzo się szanowali.

- Tak - rzekł znacząco. - Dziękuję ci, Fujiko-san. Rozważę twoje słowa. Za dziesięć dni Anjin-san będzie w Anjiro.

- Dziękuję, panie. Jeśli wolno mi coś doradzić, port Ito i uzdrowisko Yokose też powinny należeć do lenna Anjin-sana.

- Dlaczego?

- Ito na wypadek, gdyby Anjiro okazało się za małe. Może dla takiego dużego statku potrzebna będzie większa pochylnia? Tam takie mogą być. A Yokose. .

- Są czy nie?

- Tak, panie.

- Byłaś tam?

- Nie, panie.- Ale ponieważ i ty, i Anjin-san interesujecie się morzem, uznałam za swój obowiązek dowiedzieć się czegoś o statkach i żegludze. Kiedy usłyszałam o pożarze statku Anjin-sana, pomyślałam, że może mógłby zbudować drugi. Zastanawiałam się jak i gdzie i najlepsze wydało się Ito. Łatwo się tam obronić przed wojskami Ishido.

- A dlaczego Yokose?

- Bo hatamoto powinien mieć w górach odpowiednią siedzibę, gdzie mógłby ciebie, panie, godnie

przyjąć.

Toranaga przyglądał się uważnie Fujiko wiedząc, że pod pozorami łagodności kryje się nieugięta wola, którą mógł złamać tylko rozkazem.

- Zgoda. Rozważę, co mówiłaś o Midori-san i Kiku-san.

- Dziękuję, panie - powiedziała z pokorą, zadowolona, że wywiązała się z powinności wobec swojego pana i spłaciła dług wobec Mariko. Ito dla pochylni, a Yokose, bo tam, jak powiedziała Mariko, zaczęła się ich „miłość”.

- Tyle szczęścia mnie spotyka, Fujiko-san - powiedziała Mariko w Edo. - Nasza podróż tutaj dała mi więcej szczęścia, niż mogłabym oczekiwać, żyjąc dwadzieścia razy.

- Błagam cię, Mariko-san, opiekuj się nim w Osace. Jest inny niż my, niestety jest barbarzyńcą. Znajduje nirwanę w życiu, nie w śmierci.

Nic się nie zmieniło, pomyślała Fujiko, wspominając Mariko z wdzięcznością. To Mariko uratowała Anjin-sana, nikt inny - ani Bóg chrześcijan, ani bogowie, ani sam Anjin-san, nawet nie Toranaga, nikt tylko Mariko. Uratowała go Mariko-no-Akechi Jinsai.

Przed śmiercią wzniosę małą świątynię w Yokose i ufunduję jeszcze dwie, w Osace i Edo. To będzie jedno z moich przedśmiertnych życzeń, Toranaga-sama - przyrzekła sobie patrząc na niego cierpliwie i ciesząc się, że tyle jeszcze miłych rzeczy robi dla Anjin-sana. Midori na żonę, to pewne, w żadnym razie Kiku, która może najwyżej zostać konkubiną, i to niekoniecznie najważniejszą. Lenno powiększone do Shimody na południowym krańcu wybrzeża Izu.

- Życzysz sobie, panie, żebym Zaraz wyjechała?

- Zostań tu na noc i wyjedź jutro. Tylko nie przez Jokohamę.

- Rozumiem. Przepraszam, czy mogę od razu po przyjeździe objąć w posiadanie nowe lenno mojego pana?

- Kawanabi-san dostarczy ci przed odjazdem potrzebne dokumenty. A teraz przyślij tu, proszę, Kiku-san.

Fujiko ukloniła się i odeszła.

Toranaga chrząknął. Szkoda, że ta kobieta skończy z sobą, pomyślał. Jest bystra nad podziw, jej odejście to niepowetowana strata. Ito i Yokose? Ito, rozumiem, ale dlaczego Yokose? O czym jeszcze przemyśliwała?

Tanecznym krokiem zbliżała się Kiku. Szeleszcząc wytwornymi jedwabiami, w białych tabi okrywających drobne stopy pod czerwoną parasolką była obiektem zazdrości wszystkich, którzy na nią patrzyli. Ach Kiku, pomyślał Toranaga, nie mogę sobie pozwolić na tę zazdrość. W tym życiu nie mogę sobie na ciebie pozwolić, bardzo mi przykro. Powinnaś zostać w Płynącym Świecie, być

kurtyzaną pierwszej rangi. Albo lepiej gejszą. Jaki świetny pomysł miała ta stara wiedźma! Byłabyś bezpieczna, należąc do wielu, przez wielu adorowana. Byłabyś bohaterką schadzek, powodem waśni i samobójstw, piękną obsypywaną pieniędzmi, którymi byś gardziła, niepokojącą legendą - dopóki zachowałabyś urodę. A tak? Nie mogę cię zatrzymać, niestety. Samuraj, któremu oddałbym cię za konkubinę, miałby w łóżku obosieczny miecz - własne odurzenie oraz powszechną zazdrość. Ne?

Trudno byłoby znaleźć takiego, co wziąłby cię za żonę, niestety, taka jest prawda. Fujiko ma rację, nie jesteś przygotowana do prowadzenia domu samuraja, bardzo mi przykro. Uroda przemienie - głos, owszem, zachowasz, żywość umysłu też, ale i tak niezadługo wyrzucą cię na śmietnik świata.

Niestety, wszystko to prawda. Jak również to, że nawet najslynniejsze damy Płynącego Świata, kiedy poczują brzemień lat, najlepiej robią, pozostając w swoim świecie, prowadząc inne domy, oplakując utraconych wraz z młodością kochanków, topiąc smutek w beczkach sake. Pomniejsze damy w najlepszym razie zostają żonami chłopów, rybaków, kupców, sprzedawców ryżu albo rzemieślników, spośród których ty się wywodzisz. Wyrosłaś nieoczekiwanie jak rzadki kwiat na dzikiej polanie, by szybko rozkwitnąć i równie szybko zwiędnąć.

To takie smutne. Jak dać tobie synów samurajów?

Zatrzymaj ją do końca życia, podpowiedziało serce. Jest tego warta. Nie oszukuj siebie, jak oszukujesz innych. Mógłbyś ją zachować dla siebie, trzymając trochę z bliska, a najczęściej z daleka, tak jak twoje ulubienice Tetsu-ko i Kogo. Przyznaj, że Kiku znaczy dla ciebie tyle co sokół, którego karmisz z ręki, z którym polujesz, a po kilku sezonach rozstajesz się na zawsze, porzucając na łaskę losu. Nie okłamuj siebie, to zgubne. Dlaczego nie miałbyś jej zatrzymać? Znaczy tyle co sokół, piękny i rzadki, wysokiego lotu, ale nie jest niczym więcej, choć jest z pewnością wyjątkowa i jakże sposobna do uciech. .

- Dlaczego śmiejesz się, panie, z takim ukontentowaniem?

- Bo twój widok cieszy moje oczy, pani.

Blackthorn wisiał całym ciężarem ciała na jednej z trzech lin umocowanych do stępki wraku.

- Hipparuuuu! - zawołał. - Ciągnij!

Stu półnagich samurajów wyęczało siły, ciągnąc liny. Blackthorne liczył, że w porze popołudniowego odpływu uda się wyciągnąć wrak na brzeg i uratować, co się da. Zmienił pierwotny plan, dokonawszy radosnego odkrycia, że wszystkie działa zostały wyłowione z morza nazajutrz po pożarze i wyglądają niemal jak w dniu, w którym opuściły odlewnię pod Chatham, w rodzinnym hrabstwie Kent. Odzyskano również prawie tysiąc kul armatnich, kartacze, kule łańcuchowe i wiele części metalowych. Te ostatnie były wprawdzie pogięte i porysowane, ale miał na początek więcej materiału do budowy statku, niż wyobrażał sobie w najśmielszych marzeniach.

- Wspaniale, Naga-san! Wspaniale! - nie mógł się nachwalić Japończyka, kiedy zobaczył, ile rzeczy

ocalono.

- Dziękuję,- Anjin-san. Bardzo się starałem, przepraszam.

- Nie ma za co przepraszać. Już wszystko dobrze!

Cieszył się wtedy jak dziecko. To będzie żaglowiec, jakiego świat nie widział, odrobinę dłuższy i szerszy, ale smukły jak greyhound, psiajucha!

Cieszę się, że ciebie tu nie ma, Rodrigues, myślał bez zawziętości, a za rok zatopię kogoś innego, kto przyplynie na twoje miejsce. Jeżeli Ferriera znów będzie gubernatorem, byłby to dar niebios, ale nie liczę na to i cieszę się, że odpłynąłeś stąd cało. Jesteś świetnym pilotem i zawdzięczam ci życie.

- Hipparuuuuuuu! - krzyknął. Naprężone liny otrząsnęły się z wody jak z kropli potu, ale wrak ani drgnął.

Od czasu rozmowy z Toranagą na plaży, kiedy przeczytał list Mariko, a wkrótce potem obejrzał działa, dni wydawały mu się za krótkie. Rysował wstępne plany, sporządzał coraz to nowe wykazy, poprawiał plany, przedstawiał dokładne spisy potrzebnych ludzi i materiałów, żeby nie popełniono żadnych błędów. A wieczorami przesiadywał do późna nad słownikiem, ucząc się nowych słówek, żeby dawać polecenia rzemieślnikom i dowiedzieć się od nich, co mogą już wykonać. Nieraz popadał w zwątpienie i chciał zwrócić się o pomoc do księdza, ale przypominał sobie, że to niemożliwe, bo zostali śmiertelnymi wrogami. Karma, powtarzał bez żalu, współczując księdzu ogarniętemu fanatyzmem.

- Hipparuuuuuuu! -

Samuraje znów zmierzyli siły z oporem morza, zabrzmiała pieśń, pociągnęli równo liny. Wrak drgnął, a kiedy zdwoili wysiłki, oderwał się od dna i wszyscy rozciągnęli się jak dłudzy na piasku. Podnieśli się ze śmiechem, chwycili za liny, ale wtedy okazało się, że wrak ponownie utknął.

Blackthorne pokazał, jak mają przesuwac liny w lewo i w prawo, ruszyć wrak bokiem, ale nic to nie dało, tkwił w miejscu jak zakotwiczony.

- Będę musiał podwiązać pławy, wtedy przyplływ go podniesie - powiedział na głos po angielsku.

- Dozo? - spytał Naga.

- Ah, gomen nasai, Naga-san.

Przeklinając nieznajomość słów, objaśnił za pomocą rysunków na piasku, że trzeba zrobić tratwę i przy niskiej wodzie przywiązać do żebrowania, wtedy przyplływ uniesie wrak i będzie go można wyciągnąć na brzeg. A dzięki podłożonym wałkom, przy kolejnym odpływie da się nim manewrować.

- Ah, so desu! - rzekł z podziwem Naga.

Jego objaśnienia zrobiły wielkie wrażenie na pozostałych oficerach, a wasale Blackthorne'a aż spuchli z dumy, tacy wydali się sobie ważni. Blackthorne spostrzegł to i wskazał jednego z nich palcem.

- Jak się zachowujesz?

- Co? Wybacz, panie, jeśli cię obraziłem.

- Dzisiaj wybaczam, jutro nie. Płyn do statku i odwiąż linę. Samuraj ronin zadrżał i wyrócił oczy:

- Daruj, panie, nie umiem pływać.

Zapadła cisza i Blackthorne zrozumiał, że wszyscy czekają, co teraz nastąpi. Był wściekły na siebie, bo tym razem nieopatrznie wydał wyrok śmierci, całkowicie niezasłużony. Chwilę się zastanowił.

- Toranaga-sama rozkazał, wszyscy uczą się pływać. Ne? Za trzydzieści dni moi wasale mają pływać. Zrozumiano? A ty do wody, będziesz miał pierwszą lekcję pływania.

Samuraj szedł na coraz głębszą wodę jak na stracenie. Kiedy stracił grunt pod nogami, podążający za nim Blackthorne wyciągnął go za włosy i zmusił do płynięcia. Samuraj krztusił się kaszlał, ale dopłynął jakoś do wraku, ratowany co chwila przez Blackthorne'a. Blackthorne zaczął go holować z powrotem, ale dwadzieścia jardów przed płycizną odepchnął go i rozkazał:; - Płyn!

Samuraj dotarł półżywy do brzegu. Zapamiętał na całe życie, żeby nie puszyć się w obecności swojego pana. Koledzy wiwatowali, a ci, którzy umieli pływać, tarzali się ze śmiechu.

- Bardzo dobrze, Anjin-san, bardzo mądrze - rzekł Naga, śmiejąc się. - Pozwolisz, że wyślę ludzi po bambus. Na tratwę, ne? Jutro wszystko będzie na miejscu.

- Dziękuję.

- Ciągniemy jeszcze dzisiaj?

- Nie, dzie. . - Blackthorne urwał w pół słowa i osłonił oczy. Na wydmie, spoglądając w ich stronę, stał ksiądz Alvito. - Nie, dziękuję, Naga-san. Na dziś koniec. Przepraszam.

Chciał pójść po ubranie i miecze, ale szybko mu je przyniesiono. Ubrał się niespiesznie, zatknął miecze za pas.

- Dzień dobry - rzekł Blackthorne, podchodząc do Alvity.

Ksiądz miał zapadłe policzki, ale patrzył przyjaźnie, podobnie jak przed straszną kłótnią pod Mishimą. Nieufność Blackthorne'a wzrosła.

- Dzień dobry, pilocie. Chciałbym, jeśli pozwolisz, zamienić z tobą kilka słów przed wyjazdem.

- Proszę bardzo.
 - Co zamierzasz, ruszyć wrak na fali przyływu?
 - Tak.
 - Obawiam się, że nic z tego nie będzie.
 - Nie szkodzi. Spróbuję.
 - Naprawdę wierzysz, że uda ci się zbudować statek?
 - O tali - rzekł spokojnie Blackthorne, zachodząc w głowę, czego chce od niego Alvito.
 - Sprowadzisz do pomocy resztę załogi?
 - Nie - odparł Blackthorne po chwili namysłu. - Lepiej im w Edo. Kiedy statek będzie prawie gotowy. . zdążę ich tu sprowadzić, nie śpieszy mi się.
 - Mieszkają z ludźmi eta, prawda?
 - Tak.
 - Czy z tego powodu nie chcesz ich sprowadzić?
 - To jeden z powodów.
 - Nie dziwię się. Podobno ciągle się kłócą i chodzą pijani. Słyszałeś, że jakiś tydzień temu wybuchła awantura i spalił im się dom, a przynajmniej taka krąży plotka?
 - Nie. Są jacyś poszkodowani?
 - Nie. Ale tylko Bogu można za to dziękować. Następnym razem. . Podobno któryś z nich zaczął pędzić wódkę. Okropność, do czego doprowadza człowieka pijaństwo.
 - Tak. Przykro mi z powodu tego domu. Zbudują nowy.
- Alvito kiwnął głową i popatrzył na sterczące z wody żebra wraku.
- Chciałem ci powiedzieć, że wiem, co dla ciebie znaczy utrata Mariko-san. Twoja opowieść o Osace bardzo mnie zasmuciła, ale też podniosła na duchu. Rozumiem sens jej ofiary. . Czy opowiadała ci o ojcu, o tamtej tragedii?
 - Trochę.
 - Więc ty też rozumiesz. Znałem dobrze Ju-san Kubo.
 - Masz na myśli Akechi Jinsai? -

- Tak, przepraszam. Teraz jest znany pod tym imieniem. Mariko-sama nie opowiadała ci?

- Nie.

- Taikō nadał mu szyderczy przydomek: Ju-san Kubo, Shōgun Trzynastu Dni. Jego bunt, od skrzyknięcia ludzi do wielkiego seppuku, trwał zaledwie trzynaście dni. To był wybitny człowiek, ale nienawidził nas, nie jako chrześcijan, ale jako obcokrajowców. Nieraz myślałem, czy Mariko nie przyjęła wiary chrześcijańskiej tylko po to, żeby jak najwięcej się o nas dowiedzieć, a potem zniszczyć. Mówił, że nastawiłem Gorodę przeciw niemu.

- A zrobiłeś to?

- Tak.

- Jaki on był?

- Niski, łysy, bardzo dumny, wybitny generał i znany poeta. Przykro, że wszyscy z rodu Akechi tak skończyli. A ostatnia Mariko.. ale to, co zrobiła, uratowało Toranagę, jeśli Bóg tak zechce. - Alvito dotknął różańca. - I jeszcze jedno, pilocie. Chciałem cię przeprosić. . no cóż, cieszę się, że ojciec wizytator wyratował cię z opresji.

- Za mój statek też przepraszasz?

- Za Erasmusa nie, nie miałem z tym nic wspólnego. Przepraszam za tamtych dwóch, Pesaro i gubernatora, ale jestem zadowolony, że twój statek przepadł.

- Shigata ga nai, ojczu. Niedługo będę miał drugi.

- Jaki statek chcesz zbudować?

- Odpowiednio duży i szybki.

- Żeby zaatakować Czarną Karawelę?

- Żeby popłynąć do Angli i przed każdym się obronić. - Szkoda całej tej pracy.

- A co, znów „palec boży”?

- Albo ludzka interwencja.

- Jeżeli coś się stanie z nowym statkiem, zbuduję następny, a w razie potrzeby jeszcze jeden. Albo zaciągnę się na statek, a po powrocie do Angli stanę na głowie, żeby zdobyć statek korsarski i przyplłynę z powrotem.

- No właśnie. Dlatego nigdy stąd nie wyjedziesz. Za dużo wiesz, Anjin-san. Już ci to mówiłem i powtarzam jeszcze raz, bez złej woli. Naprawdę. Jesteś dzielnym człowiekiem, przeciwnikiem godnym szacunku, szanuję cię i uważam, że powinniśmy zawrzeć rozejm. Będziemy często

widywać się w nadchodzących latach, jeżeli obaj przeżyjemy tę wojnę.

- A przeżyjemy?

- Tak. Za dobrze znasz japoński. Niebawem zostaniesz osobistym tłumaczem Toranagi. Nie powinniśmy się kłócić, jesteśmy na siebie skazani. Czy Mariko-san mówiła ci o tym? Mnie mówiła.

- Nigdy mi o tym nie mówiła. Co jeszcze powiedziała?

- Prosiła mnie gorąco, żebym został twoim przyjacielem i chronił, jak mogę. Anjin-san, nie przyszedłem, żeby spierać się z tobą i kłócić, proszę o rozejm, zanim odjadę.

- Dokąd jedziesz?

- Najpierw statkiem z Mishimy do Nagasaki. Kończą się negocjacje handlowe. Potem tam, gdzie Toranaga i wielka bitwa.

- Pozwolą ci swobodnie podróżować nawet w czasie wojny?

- O tak. Będziemy potrzebni temu co wygra. Możemy chyba obaj okazać rozsądek i zawrzeć pokój. Proszę o to ze względu na Mariko-samę.

Blackthorne przez chwilę nie odpowiadał - Kiedyś zawarliśmy rozejm, bo ona tego chciała -

rzekł. - Mogę zaofiarować ci rozejm, nie pokój, pod warunkiem, że przyrzekniesz trzymać się co najmniej pięćdziesiąt mil z dala od mojej przystani.

- Przyrzekam, pilocie, oczywiście, ale nie masz się czego obawiać z mojej strony. A zatem rozejm, przez pamięć o niej. - Alvito wyciągnął rękę. - Dziękuję.

Blackthorne uściśnął mu dłoń.

- Jej pogrzeb odbędzie się niebawem w Nagasaki - rzekł Al vi to. - Nabożeństwo odprawi sam ojciec wizytator. Część prochów zostanie złożona w katedrze.

- Ucieszyłaby się. - Blackthorne popatrzył na wrak, potem na Alvitę. - O jednym. . o jednym nie wspomniałem Toranadze. Tuż przed śmiercią udzieliłem jej błogosławieństwa tak, jak zrobiłby to ksiądz. Była katoliczką, a nikogo prócz mnie nie było. Chyba mnie nie słyszała, nie wiem, czy była przytomna. Czy to uznajecie? Zwracałem się do Boga, nie mojego czy twojego, ale po prostu do Boga.

- Uczą nas, że tego nie można uznać. Ale dwa dni przed śmiercią Mariko-sama na swoją prośbę otrzymała rozgrzeszenie od ojca wizytatora i była w stanie łaski.

- Więc wiedziała, że Umrze. . odda życie za innych.

- Tak, błogosławiona niech będzie na wieki!

- Dziękuję, że mi to powiedziałeś - rzekł Blackthorne.

- Sayonara, Anjin-san - rzekł Alvito, znów podając mu rękę.

- Sayonara, Tsukku-san. Zapal, proszę, świeczkę na jej grobie. . ode mnie.

- Dobrze.

Uścisk rąk i rozstali się, godni siebie przeciwnicy. Zawsze będziemy wrogami, myślał

Blackthorne, patrząc na wysoką sylwetkę oddalającego się księdza. Wiemy o tym obaj, nawet zawierając rozejm. Co byś powiedział, znając plany Toranagi i moje? Tak samo byś mi groził, ne?

Dobrze. Rozumiemy się. Rozejm nikomu nie zaszkodzi. Ale nie będziemy się często widywać, Tsukku-san. Budując statek, zastąpię ciebie w roli tłumacza dla Toranagi i regentów, po pewnym czasie wyłączę cię z rozmów handlowych, nawet kiedy jeszcze portugalskie statki będą woziły jedwab. Zresztą i to się zmieni. Moja flota to tylko początek. Za dziesięć lat będzie rządził na tych morzach angielski Lew. Ale najpierw mój statek, potem wszystko inne. .

Zadowolony podszedł do Nagi i ustalił plany na następny dzień. Wspiął się wyżej, do tymczasowego domu w pobliżu domu Toranagi. Z wielkim smakiem zjadł ryż i rozdrobnioną surową rybę. Dołożył sobie drugą porcję i roześmiał się.

- Panie? - spytał kucharz.

- Nic, nic.

Czuł przy sobie Mariko i słyszał, jak mówi: „Może któregoś dnia polubisz nawet surową rybę.

Wejdiesz wtedy na drogę do nirwany, wiecznego spokoju”.

Nieraz, w dzień i w nocy, rozmawiał z nią w myślach, wspominając przeżyte razem chwile, opowiadając jej, co zdarzyło się nowego, odczuwając jej obecność z taką siłą, że oglądał się czasami, jakby za nim stała.

Zrobiłem to znów dziś rano, Mariko, lecz zamiast ciebie zobaczyłem Buntaro, a przy nim Tsukku-sana. Miałem miecz u boku, ale Buntaro trzymał w ręku swój wielki łuk. Musiałem zebrać całą odwagę, moja kochana, żeby podejść i powitać ich jak należy. Patrzyłaś na to? Byłabyś ze mnie dumna, zachowałem kamienny spokój, jak przystało na samuraja. Buntaro oznajmił: „Pani Kiritsubo i pani Sazuko powiadomiły mnie o tym, jak obroniłaś je i moją żonę przed utratą honoru. Uratowałaś je przed wielkim wstydem. Dziękuję ci, Anjin-san. Wybacz mi moje dawne wybuchy gniewu.

Przepraszam i dziękuję”. Ukłonił się i poszedł, a ja tak bardzo chciałem, żebyś wiedziała, że wszelka groźba minęła i nikt się nigdy o nas nie dowie.

Pogodził się z tym, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Była przy nim na zawsze, wiedział, że będzie ją kochał w dobrych i złych chwilach, do schyłku życia.

Toranaga wjechał na pagórek przy obozie w otoczeniu samurajów. Wcześniej polował z Tetsu-ko na wybrzeżu, a teraz wybierał się na wzgórza za wioską, trzymając na ręku Kogo. Chciał

wykorzystać ostatnie dwie godziny dnia, bo nie wiedział, czy kiedykolwiek jeszcze zapoluje.

To był mój dzień, pomyślał. Jutro idę na wojnę, ale dzisiejszy dzień miałem na to, by uporządkować domowe podwórko udając, że nic nie zagraża Kantō, Izu ani mojej sukcesji, że dożyję zimy, a potem na wiosnę znów będę polował. Tak, dziś był dobry dzień.

Przyszło mu na myśl, że Anjin-san Chętnie pożywiłby się mięsiwem, więc postanowił upolować zająca. Jadąc pod górę krętą drogą, uważnym spojrzeniem lustrował obóz. Odbывała się musztra - zabroniona, podobnie jak strzelanie, kiedy w pobliżu przebywał Tsukku-san. Z przyjemnością popatrzył na uzbrojonych żołnierzy. Pobliskiwało w słońcu dwadzieścia dział, w których odzyskanie włożono tyle trudu, a nie opodał pochylał się nad niskim stolikiem Blackthorne, siedząc na ziemi, wreszcie jak normalny człowiek. Wrak wystawał z wody nie ruszony z miejsca. Ciekawe, jak wydostaniesz go na brzeg, myślał Toranaga, nie wątpiąc, że Blackthorne znajdzie sposób, żeby tego dokonać.

Zbudujesz statek, a ja go zniszczę, tak jak zniszczyłem ten, albo oddam, żeby przypodobać się chrześcijanom, którzy są dla mnie ważniejsi od twoich statków, daruj, przyjacielu, i od innych statków w twojej ojczyźnie. Tamtymi statkami przyplyną twoi pobratymcy z poselstwem od królowej. A ty potrzebny mi jesteś tutaj.

Kiedyś powiem ci, Anjin-san, dlaczego musiałem spalić twój statek, ale wtedy będziesz tak zaprzątnięty innymi sprawami, że nie rozgniewasz się i zrozumiesz, przed jakim stanąłem wyborem

- twój statek albo twoje życie. Słusznie wybrałem twoje życie, ne? A potem będziemy razem śmiać się z „bożego palca”. Nic prostszego, jak wyznaczyć zaufanych ludzi na wybraną wachtę, żeby potajemnie rozsypali po pokładzie proch strzelniczy, uprzedziwszy Nagę - zaraz po tym, kiedy Orni dostarczył wiadomości o spisku Yabu - żeby poprzekładał dyżury i na następnej wachcie i patrolach na brzegu znaleźli się wyłącznie ludzie z Izu, a wśród nich pięćdziesięciu trzech zdrajców. Jeden ninja z krzesiwem i statek zamienia się w pochodnię. Oczywiście, ani Omi, ani Naga nic o tym nie wiedzieli.

Bardzo mi przykro, to było konieczne. Uratowałem ci życie, Anjin-san, na którym bardziej ci zależało niż na statku. Dziesiątki razy musiałem ważyć w ręku twój los, ale jak dotąd udało mi się zachować ciebie przy życiu. Mam nadzieję, że tak będzie dalej. Dlaczego? Dziś dzień szczerości, ne? Odpowiedź brzmi: ponieważ mnie śmieszysz i potrzebuję przyjaciela. Nie odważę się zaprzyjaźnić z żadnym ze swoich ani z Portugalczykiem. Jeśli nikt nie będzie słuchał, przyznam się szeptem głębokiej studni, że jest mi potrzebny jeden przyjaciel. Twoja wiedza również. Mariko-sama miała rację. Zanim odjedziesz, chcę dowiedzieć się wszystkiego, co wiesz. A jak mówiłem, obaj mamy mnóstwo czasu.

Chcę wiedzieć jak opłynąć statkiem ziemię i w jaki sposób mała wyspa może bronić się przed wielkim mocarstwem. Odpowiedź mogłaby mieć zastosowanie do nas i Chin, ne? Tak, tak, taikō w

niejednym miał słuszość.

Kiedy poznaliśmy się, powiedziałem: „Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla buntu”, a ty odparłeś: „Owszem jest, jeżeli się wygra!” Och, Anjin-san, przyjąłem cię wtedy na swojego terminatora. Ja też uważam, że wszystko jest w porządku, jeżeli się wygra.

Niewybaczalną głupotą jest przegrać.

Nie przegrasz, będziesz bezpieczny w swoim dużym lennie w Anjiro, gdzie rybak Mura będzie strzegł cię przed chrześcijanami, których karmi fałszywymi doniesieniami na moje polecenie.

Tsukku-san naiwnie uwierzył, że jeden z moich ludzi - cóż z tego, że chrześcijanin - ukradnie twoje ruty i przekaże księżom bez mojej wiedzy. Och, Mura, jesteś mi wierny od trzydziestu lat z okładem i doczekasz się wkrótce nagrody! Co powiedzieliby księża na to, że jesteś samurajem, nazywasz się Akira Tonomoto, szpiegujesz na moje polecenie, będąc rybakiem, naczelnikiem wioski i chrześcijaninem? Zaczęliby pierdzieć, aż by się kurzyło, ne?

Nie martw się o swoją przyszłość Anjin-san, ja o niej myślę. Snuję plany, że hej, jesteś w dobrych rękach.

Kiedy Toranaga powiedział Kiku, że za zgodą Fujiko-san zostanie za miesiąc konkubiną Anjin-sana, zaczęła jęczeć i rozpaczać. Wyjaśnił cierpliwie to, co zostało postanowione, przywracając twarz niepokieszonej dziewczynie.

- A kiedy Anjin-sanowi urodzi się syn, będziesz dostawała tysiąc koku rocznie.

- Co, co, co?

Powtórzył obietnicę i dodał:

- W końcu samuraj to samuraj, dwa miecze to dwa miecze, jego synowie będą samurajami.

Anjin-san to hatamoto, jeden z najważniejszych wasali, admirał mojej floty, bliski doradca, a nawet przyjaciel. Ne?

- Wybacz, panie, ale. .

- Najpierw będziesz konkubiną.

- Najpierw, panie?

- Może powinnaś zostać żoną. Fujiko-san nie chciała drugi raz wyjść za mąż, a uważam, że Anjin-san powinien się ożenić. Mógłby z tobą, czemu nie. Jeżeli spodobaś mu się, a na pewno umiesz się o to postarać, bylebyś nie odrywała go od budowy statku. . ne? Tak, myślę, że powinnaś zostać jego żoną.

- Och, tak, tak, tak!

Zarzuciła mu ręce na szyję, przepraszając, że tak niestosownie i niegrzecznie przerwała mu i nie wysłuchała posłusznie do końca. Odeszła wniebowzięta, choć przed chwilą gotowa była rzucić się ze skały w przepaść.

Ach, kobiety” zamyślił się Toranaga ukontentowany. Ma teraz wszystko, czego chce, Gyoko też - jeżeli statek zostanie zbudowany na czas, a tak będzie - tak samo księża i . .

- Panie! - Jeden z myśliwych wskazał kępę krzaków koło drogi.

Toranaga ściągnął cugle i rozluźnił pęczę, którą sokół przywiązany był do rękawicy.

- Teraz - rozkazał cicho.

Spuszczono psa. Zając wyskoczył spod krzaka i Toranaga uwolnił Kogo. Pomknęła jak strzała za uciekającą w panice ofiarą. Zając pędził zygzakiem przez wertepy do ciernistych zarośli. Kogo zbliżała się nieuchronnie, tnąc powietrze silnymi skrzydłami coraz bliżej ziemi. Dziobnęła, a kiedy zając z piskiem uskoczył, zawracając z drogi, nie przerwała pogoni, skrzecząc z wściekłości. Ostatni zwrot w szalonym pędzie do kryjówki, wrzask schwytanego w szpony - Kogo zaczęła podskakiwać, składając skrzydła, wreszcie skręciła kark miotającej się ofierze. Wypuściła zająca ze szponów, podfrunęła strzepując pióra i opadła na ciepły, drgający zewłok. Dopiero teraz wydała okrzyk zwycięstwa, zasyczała rozkoszując się mordem. Popatrzyła na Toranagę.

Podjechał bliżej, zsiadł z konia, pokazał przynętę. Jastrząb zostawił upolowaną zwierzynę, a nie widząc zręcznie schowanej przynęty, usiadł na wyciągniętej ręce. Toranaga poczuł przez skórzano-stalową rękawicę zaciskające się na palcu szpony.

- Ii ii, dobrze się sprawiłaś, moja piękna - powiedział nagradzając ją kawałkiem zajęczego ucha, które odciął naganiacz. - Podjedz sobie, byle nie za dużo, bo to jeszcze nie koniec.

Uradowany naganiacz podniósł zająca.

- Panie! Waży chyba cztery razy tyle co ona. Dawno takiego nie widzieliśmy, ne?

- Tak. Odeślij go Anjin-sanowi do obozu.

Toranaga dosiadł konia i dał znak, że ruszają dalej.

Udane polowanie, myślał, ale to nie to samo, co podziwiać atak sokoła wędrownego. Jastrząb gołębiarz jest po to, żeby zapełnić kucharzowi garnek - zabija wszystko, co się rusza. Urodzony zabijaka. Jak ty, Anjin-san, ne? Jesteś krótkoskrzydłym jastrzębiem. Co innego Mariko, ona była wędrownym sokołem.

Stała mu przed oczami jak żywa, wywołując daremne pragnienie, żeby wyprawa do Osaki i w Pustkę nie była konieczna. Nie można było inaczej, tłumaczył sobie cierpliwie. Musiałem uwolnić zakładników, nie tylko z mojego rodu. Za to teraz mam kilkudziesięciu nowych sprzymierzeńców, potajemnie stojących po mojej stronie. Dzięki tobie i pani Etsu, waszej odwadze i poświęceniu, związali się ze mną podobnie jak ród Maeda, a tym samym całe zachodnie wybrzeże. Musiałem

wypłoszyć Ishido z bezpiecznego legowiska, poróżnić regentów, oswoić Ochibę i Kiyamę. Tobie to zawdzięczam, a ponadto dałaś mi czas. A czas pozwala przygotować sidła i przynęty.

Ach, Mariko-chan, kto by pomyślał, że słaba kobieta, córka Ju-san Kubo, mojego dawnego rywala, zdrajcy Akechi Jinsai, może tyle dokonać i tak pięknie i z honorem zemścić się na taikō, wrogu i zabójcy twojego ojca. Poszybowałaś jak Tetsu-ko i spadłaś na wypatrzone ofiary, które ja chciałem zabić.

Smutno, że już ciebie nie ma. Taka lojalność zasługuje na specjalne wyróżnienie.

Na grzbiecie wzniesienia Toranaga zatrzymał się i kazał sobie podać Tetsu-ko. Sokolnik zabrał Kogo, Toranaga ostatni raz pogłaskał Tetsu-ko, zdjął kaptur i wypuścił. Zakołowała mu nad głową, unosząc się coraz wyżej i wyżej, wypatrując zdobyczy, której nie miał już nigdy dla niej płoszyć. Wypuszczam Tetsu-ko na wolność, żeby uczcić ciebie, Mariko-san, pomyślał. Twoją wierność dla mnie i dla naszej najważniejszej zasady: nie spocznie syn ni córka pod niebem, pod którym żyje morderca ojca.

- Mądrze zrobiłaś, panie - powiedział sokolnik.

- He?

- Wypuszczając Tetsu-ko na wolność. Ostatnim razem już myślałem, że do ciebie nie wróci.

Jesteś najlepszym sokolnikiem, panie, wiedziałeś, kiedy zwrócić ją niebu.

Toranaga zgromił go spojrzeniem. Nie wiedząc, czym sobie na to zasłużył, wystraszony sokolnik podał mu Kogo i czmychnął.

Rzeczywiście, przyszła na nią pora, pomyślał rozdrażniony Toranaga, ale jest też symbolicznym darem dla ducha Mariko, uczczeniem wyjątkowości jej zemsty.

A synowie tych wszystkich, których ty zabiłaś?

To co innego, zginęli ci, którzy na to zasłużyli, odpowiedział sobie w duchu. A jednak czujnie wypatrujesz, kto zbliża się do ciebie na odległość strzału z łuku - tak nakazuje rozsądek. Spodobała mu się ta uwaga, i postanowił włączyć ją do testamentu taikō.

Zadarł głowę i popatrzył na sokoła, który już nie należał do niego. Piękny ptak krążył

swobodnie, wolny i beztroski. Jakaś nieznana siła pociągnęła go na północ, znikł Toranadze z oczu. -

Dziękuję ci, Tetsu-ko. Obyś miała wiele córek - powiedział i przeniósł uwagę na to, co działo się w dole.

Przedwieczorne słońce podświetliło schludną wioskę, Anjin-sana przy stoliku, ćwiczących samurajów, dym znad palenisk. Na drugim krańcu zatoki, około dwudziestu ri stąd, było Edo.

Czterdzieści ri na południowy wschód - Anjiro. Dwieście dziewięćdziesiąt ri na zachód - Osaka, a na północy, w odległości zaledwie trzydziestu ri - Kioto.

Tam powinna odbyć się decydująca bitwa, pomyślał. W pobliżu stolicy. Na północ, koło Gifu, Ogaki albo Hashimy, po obu stronach Nakasendō, Wielkiego Północnego Gościńca. Może tam, gdzie droga skręca do stolicy, nie opodal wioski Sekigahara, w górach. Gdzieś tam. Z pewnością utrzymałbym się przez całe lata pod osłoną gór, ale czekałem na taką właśnie okazję: Ishido wystawił głowę i mogę poderżnąć mu gardło.

Główne natarcie pójdzie Północnym Gościńcem, nie wzdłuż wybrzeża, Tokaidō, chociaż do ostatniej chwili będę wciąż zmieniał zdanie. Mój brat pojedzie razem ze mną. O tak, Zataki sam się przekona, że Ishido wydał go Kiyamie. Mój brat nie jest głupi. Dotrzymam przyrzeczenia i wystaram się dla niego o Ochibę. W czasie bitwy Kiyama zmieni front, jak przypuszczam, i zaatakuje znienawidzonego wroga, Onoshiego. To będzie sygnałem dla muszkietów, zaatakuję ich wojska z obu flank i zwyciężę. O tak, zwyciężę - Ochiba nie pozwoli następcy stanąć przeciwko mnie. Wie, że gdyby do tego dopuściła, byłbym zmuszony go zabić, niestety.

Toranaga uśmiechnął się do siebie. Kiedy zwyciężę, zaraz oddam Kiyamie wszystkie ziemie Onoshiego i namówię, żeby wyznaczył na swojego następcę Sarujiego. Kiedy zostanę przewodniczącym nowej Rady Regentów, od razu przedłożę ofertę Zatakiego pani Ochibie, którą ta bezczelność rozwścieczy, co z kolei zmusi regentów, by z żalem zaprosili mojego brata do Wielkiej Pustki. Kto powinien zająć jego miejsce w Radzie? Kasigi Omi. Kiyama stanie się celem ataku Omiego.. Tak, to rozsądne i proste posunięcie, bo przecież Kiyama, jako pan wszystkich chrześcijan, na pewno zacznie obnosić się ze swoją wiarą, która jest prawnie zakazana. Nadal obowiązują wydane przez taikō dekrety o wydaleniu, ne? Można się chyba spodziewać, że Omi powoła się na moc prawną dekretów, a reszta go poprze? Nie będzie Kiyamy, nie będzie też nigdy więcej regenta chrześcijanina, wykorzenimy głupią obcą religię, która zagraża Krainie Bogów, od początku zagrażała naszemu wa. . a zatem należy ją zniszczyć. My, regenci, zachęcimy rodaków Anjin-sana, żeby przejęli handel od Portugalczyków. Postaramy się też, nie zwlekając, ograniczyć handel i obcokrajowców do Nagasaki, zamknąć to tałatajstwo w silnie strzeżonej, niewielkiej dzielnicy miasta. Na zawsze zamkniemy przed nimi nasz kraj. . przed nimi, przed ich bronią i jadem.

Tyłu wspaniałych rzeczy dokonam, kiedy zwyciężę. Tak przewiduję. Jesteśmy narodem, w którym wiele da się przewidzieć.

Nastanie złota era. Ochiba i następca będą rezydować w zamku w Osace, a ja będę rządził w ich imieniu, od czasu do czasu składając im pokłon. Za jakieś trzy lata Syn Niebios poprosi, żebym rozwiązał Radę i został shōgunem. Regenci będą nalegali, żebym się zgodził. Uczynię to, z ociąganiem. Po dwóch latach, bez specjalnych uroczystości, ustąpię na rzecz Sudary, zachowując władzę i mając na oku zamek w Osace. Będę czekał cierpliwie i pewnego dnia tych dwoje uzurpatorów zamkniętych w środku popełni jakiś błąd, i będzie po nich, jakimś sposobem przypadnie zamek w Osace, jeszcze jeden sen we śnie. Zdobędę prawdziwą nagrodę w Wielkiej Grze, która rozpoczęła się, odkąd nauczyłem się myśleć, a stała się możliwa z chwilą śmierci taikō, tą nagrodą zaś jest SHŌGUNAT.

O to zabiegam i walczę przez całe życie. Ja, nikt inny, jestem dziedzicem cesarstwa. Będę shōgunem.

Dałem początek dynastii.

Wszystko to jest możliwe dzięki Mariko-san i barbarzyńcy, który przyplął ze wschodu.

Mariko-san, twoim przeznaczeniem była chwalebna śmierć i wieczne życie. Anjin-san, przyjacielu, twoim przeznaczeniem jest nigdy nie opuścić tej ziemi. A moim - zostać shōgunem.

Siedzący na ręku jastrząb zatrzepotał skrzydłami i uspokojony popatrzył na niego. Toranaga uśmiechnął się. Nie ja decydowałem o tym, kim zostanę, myślał. To moja karma.

Tego roku, dwudziestego pierwszego dnia dziesiątego miesiąca, miesiąca Bez Bogów, natarły na siebie o świcie wielkie armie. Działo się to w górach koło Sekigahary, przy Północnym Gościńcu, we mgle, a potem w marznącej mżawce. Późnym popołudniem Toranaga wygrał bitwę i rozpoczęła się rzeź. Spadło czterdzieści tysięcy głów.

Trzy dni później schwytano Ishido, któremu Toranaga przypomniał łaskawie o przepowiedni.

Zakutego w łańcuchy odesłano do Osaki, gdzie ludzie eta zakopali pana generała tak, że z ziemi wystawała tylko głowa. Bambusowa piła czekała na przechodniów zachęcając do piłowania najszlachetniejszej szyi cesarstwa. Ishido postarzał się bardzo, zanim po trzech dniach umarł.

OD TLUMACZY

Z wyjątkiem utrwalonych w polszczyźnie japońskich nazw geograficznych (np. Kiusiu) i pojedynczych wyrazów, w przekładzie zachowaliśmy transkrypcję międzynarodową, przyjętą w polskich publikacjach, a opartą na pisowni angielskiej. Należy zatem czytać: ch jak ć

sh jak ś

j jak dź

z jak dz

y jak j

w jak ł.

Np.: cha (ćia), shōgun (śioogun), ninja (nindzia), zen (dzen), Yabu (Jabu), wa (ła).

Kreska nad samogłoską oznacza jej wydłużenie (ō to długie o). Pozostałe samogłoski i spółgłoski wymawia się tak jak w języku polskim.